

4767/84

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA

NAUKOM, SZYKOM I PRACOM

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

WARSZAWA

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

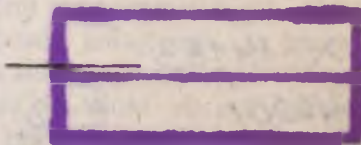
PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1861.

Tom czwarty.

POCZET NOWY, TOM IV.



**WARSZAWA.**

W DRUKARNI GAZETY POLSKIEJ,  
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

1861.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

4620. 1861. 4

II

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 21 Września (3 Października) 1861 r.

Censor, RADCA KOLLEGIALNY

Stanisławski.



30.000

X-14183  
4620/ II 4.

1861

WARSZAWA

W DRUKARNI GAZETY POLSKIEJ

1861

# EDGAR ALLAN POE

## I JEGO NOWELLE.

PRZEZ

*Felicjana Faleńskiego.*

---

### I.

Może o żadnym społeczeństwie nie pisano tyle, co o Stanach Zjednoczonych. Stał się nareszcie kraj ten spowszedniałym ogólnikiem idei gorączkowego ruchu, ducha spekulacyi, realizmu w życiu, i poniekąd słusznie. Zkąd przyszło do podobnej anomalii na tej ziemi cudów natury?—nie tu miejsce rozbierać. Przynajmniej, że pośród tych olbrzymich dziwów niepodobna skarłowacieć człowiekowi, a tém mniej zależeć pola; gdziebądź się zwróci, energii mu potrzeba, siły, czynności niestrudzonej, ciągłej. Więc działa i idzie naprzód, a szybko, a gorączkowo, bo czasu szkoda, a życie krótkie. Tam nie ma powszedniego, nie oklepanego—wszystko wyjątkowe. Gdzie dziś las dziewiczy, jutro na tém miejscu droga żelazna, miasto, plantacya bawełny—nie wiedzieć jeszcze co: dość że coś będzie—co bądź—co najwięcej zysku przyniesie. Nie ma tam czasu wahać się nawet. Patrząc na olbrzymie dziwy natury, wśród których roi się to niestrudzone mrowisko, mimowolnie uznać przychodzi, że tam ludzie dorastają tego co ich otacza. Niezglebione puszcze, niezmierzone łąki, góry najnieprzebyte, zlewy wód najpotężniejsze na świecie, potworna płodność ziemi dziewiczej—człowiek tam zdobył to wszystko z zadziwiającym pośpiechem. Do przemysłu

głowy dodał rąk pracę, i uzbroiwszy się w cierpliwość pająka, zasnuł siecią dróg żelaznych wszystko co się dało, i łowi w sieć tę nawet to, co się nie łatwo daje. Ameryka, ta wielka anomalia polityczna, z czołem miedzianém, uwieńczoném 33 gwiazdami, (z których kilka stało się już spadającemi), owa ogromna pół-giełda, pół-rękodzielnia, stąpa naprzód, podobna do niezulego bożyszcza Dżag-grenatu; niektórzy ciągną jęj rydwan w pocie czoła, inni popychają naprzód tę kamienną ideę, niektórych druzgocze ciężar mechanizmu kół jęj. Piszczalkami parowemi wygwizdała przeszłość której nie ma, i dobrze jęj oddychać w dymie, przez pół złożonym z fabrycznych wyziewów, przez pół z kadzideł, któremi sama chętnie sobie dogadza;—a przecież duszno w tym dymie człowiekowi, któryby nie samym tylko chlebem karmić się pragnął. Nazwijmy rzecz właściwém mianem. Ameryce niesłychanie żyć pilno. Podobna ona do tych młodych organizacyj, noszących w sobie zarody suchot dziedzicznych. Choroba nie ogarnęła jeszcze płuc dziewczyny, ale tkwi w jęj duszy instynktowe przecucie krótkości życia; więc się śpieszy używać, przepada za światem i jaskrawemi wrażeniami, i patrząc na potęgę podniecenia gorączkowego, które ją utrzymuje w stanie ciągłej extazy, możnaby się pomylić, biorąc ją za jedno z energią sił żywotnych. Ameryce brak zastanowienia. Prawda, że dziwy pracy, wytrwałości i przemyślu człowieka, współubiegają się tam bezustanku z potworną płodnością świata pierwotnego; ale Amerykanin przemyka się szybko wśród cudów najcudowniejszej w świecie przyrody, i zdaje się nie zwracać na nie uwagi, i zdaje się nie mieć nawet świadomości wrażeń poetycznych, jakie ztamtąd wieją. Mieszka w domu zajezdnym, w wagonie lub paropływie, myśl jego lata telegrafem, dzienniki brzmią mu tylko reklamą i ogłoszeniami. Gorączka pracy mechanicznej, przemysłu eksploatacyjnego, spekulacyj handlowych, absorbuje tam człowieka, i pociągając go korzyściami, staje mu się wyłącznością. Pośpiech zbyt mało zostawia czasu do obejrzenia się, do zstąpienia w siebie. Przy podobnych warunkach bytu, reakcja nawet wyglądać musi jak ocknienie się roztargnionego. Chmury zapaleńców idą tam za pierwszym lepszym szarlatanem,



obwieszczającym koniec świata na dzień naznaczony, albo porzucając wszystko, przenoszą się po nad Słone Jeziora i w Góry Skaliste, wskrzeszać Biblijne Patryarchaty. Stoliki magnetyczne, pukające duchy i piszące ekierki, wzrosły tam do godności dogmatu. Świeżo temu, przerwała się świetlista przepaska zjednoczenia, ześliznęła się z niej gwiazda jedna i stała się błędną, i była obawa, żeby za jej przykładem nie poszły błędzić i drugie, z czego, po pewnym czasie mógłby powstać niezbyt pożądanym, oddzielny system planetarny. Nakazano zatem post powszechny, skrucę i modlitwy. W podobny sposób uspokaja się w płaczu dziecko, które się uderzyło głową o róg stołu: „wiesz, biedny stół, uderzyłeś go czołem, i o małoś nie zepsuł; przeproś go za to, i nie płacz”. Rzeczą jest godną uwagi, że w ogóle u narodów pozbawionych imaginacyi, reakcyja dzieje się zwykle na korzyść wiary — najczęściej nawet łatwowierności tylko. Zmysł czysto mechaniczny, gorączkowe życie ruchu, pragnień i niepokoju, olbrzymie sił zasoby, ale i błędy olbrzymie, — oto Ameryka córka podstarzałej Europy, — zbyt mądre dziecko, które się nie uchwala. Dalekoż ona zajdzie, wzięwszy sobie złotego cielea za przewodnika? — co nam do tego — niech idzie naprzód — Bóg ją zatrzyma kiedy czas będzie.

Mając mówić o jednym z najpoetyczniejszych pisarzy Ameryki, niepodobna nam było nie potrącić o prozę życia społeczeństwa, wśród którego żyć mu dano, pośród której szamotał się jak przykuty Prometeusz — biedny Prometeusz XIX wieku, zamiast łańcuchów spętany pajęczą siecią, ale podniesioną do potęgi potrzeb życia i wymagań świata, i przeto nie łatwą do zerwania. Był poeta — tém gorzej dla niego. Lat temu nie wiele, Cyprian Norwid, ów umysł głęboko kontemplacyjny i tyle rozumiejący przeszłość, iż wygląda jakby nie żył *dzisiaj*, zagnany okolicznościami, ujrzał się znagła na tej ziemi obiecanej. Ale nie wytrzymał tam długo, i przy pierwszej sposobności otrząśł nawet złotodajny proch jej ze swego obuwia, wyrываяc się, byle prędzej z powrotem. Tehu tam brakło poecie; gdzie stąpił, gdzie się zwrócił, czuł się odosobnionym, jakby go nakryto szklannym dzwonek, którego ścian się nie domyślasz, bo są przejrzyste, a z pod których je-



dnak wyciągnięto powietrze. Tęskny myśliciel nie miał nawet spocząć gdzie, wśród tej obczyzny zaprzątniętej tylko jutrem. W istocie, z czemże tam przestawać wędrowcowi odbitemu od swoich? W Ameryce całej nie znajdzie cegły jednej, któraby była mchem porośla.

Gdzie nie ma przeszłości, tam i ojczyzny być nie może; bo ojczyzna, to koniecznie ziemia z prochu ojców. Komu brak ojczyzny, tego i narodowość jest tylko czystą abstrakcją. Jeżeli prawdą jest, jak to ktoś powiedział, że imaginacja jest to wspomnienie podniesione do ideału, tedy u narodu tak bezwzględnie *dzisiejszego* jak jest Ameryka, wszelki wyższy polot myśli, musiałby być albo całkiem niemożliwy, albo czuć się zmuszonym szukać sobie narodowości po za obrębem społeczeństwa, wśród którego go rzucono. Pierwsze wymyka się warunkom zwyczajnego porządku rzeczy; co do drugiego zaś, bliższe rozpatrzenie się w literaturze Stanów Zjednoczonych, zdaje się stwierdzać tę zasadę a priori. Bo nareszcie, wszelkie możliwe formy natchnienia i myśli, są koniecznym wcieleniem tego, co krąży w powietrzu, którem się oddech, co zewsząd opływa duszę, co wypieszcza serce od najpierwszego poczucia bytu. *Powołany* przychodzi do gotowego, bierze z kądem nie bądź i wypowiada jak sam chce uniesienia wiary i tęsknoty, które każdy ze zdziwieniem poznaje być swojemi własnymi. W społeczeństwie, pozbawionem imaginacji a nie mającém narodowości, z kądem brać soki pożywne laurowi? Co tu wypowiadać pocie? Czy przeszłość która jest wczorajsza, czy obrazy życia społecznego upływającego pomiędzy giełdą a kantorem, czy naturę o którą nikt nie dba, czy dramat którego nie ma w życiu? Weźmy jedyne pisarza amerykańskiego, który ma wszelkie pozory miejscowości, Fenimora Cooper, tak niegdyś wziętego w Europie, z powodu obrazów bohaterskiego życia pierwszych osadników, które robił przedmiotami swoich powieści. Żyje on na morzu, zapuszcza się w niezgłębione puszcze pierwotne, tula się naprzemian: to po niezmiernych jeziorach, to nie wychodzi z olbrzymich płaszczyzn zielonych, błakając się od wigwamu do wigwamu. Opisy jego mają powab urozmaicenia i nowości, ale po za obrębem tych niespodzianek, spotyka nas

monotonia nużąca; niby dowiadujemy się tam coraz czegoś nieznanego, ale resztę, zdaje się nam mimowolnie, jakbyśmy już oddawna umieli napamięć. Przy wszystkich pozorach oryginalności, Cooper jest tylko naśladowcą Waltera Skotta. I jak zwykle bywa w takim razie, upodobał sobie wady swego mistrza i przesadził je najstaranniej jak tylko potrafił. Drobnostkowość opisów posunął do potęgi katalogu, cudowność jest u niego potworną, zbieg wypadków przechodzi zwykle prawdopodobieństwo. Odejmyjmy mu dziką wielkość i energię życia pośród natury pierwotnej, słowem to wszystko, co stanowi tło, które znalazł gotowe; a pozostanie Amerykanin Stanów Zjednoczonych, chłodny, praktyczny umysł, rozumujący efekta, który sobie zrobił zadanie być narodowym, ale się nie obrachował z możliwością. Wady Coopera są wadami braku imaginacyi i gorącego przekonania. Jest coś automatycznego w ruchu działaczy jego utworów, nawet w szczegółach ich życia, nawet w grze ich namiętności; w opisach brak jest perspektywy, kolorytowi zbywa na ciepło.

Mówiąc o Cooperze, mimowolnie się potrąca o drugiego pisarza z tejże samój epoki, równie prawie jak tamten popularnego w Europie. Chcemy tu mówić o Waszyngtonie Irwingu, który przynajmniej nie naśladował nikogo. Człowiek ten bierze zkad nie bądź, byle nie z przed siebie. Błąka się po Hiszpanii, Anglii, Hollandyi, Niemczech, Francyi, opowiada stare podania w sposób lekkomyślny, nadrabia humorem gdzieby uczucia potrzeba, i wszędzie czułego parweniuszem, zazdrosnym tradycyi, a nie umiejącym ich cenić. Co do tego ostatniego względu, uderzającą jest rzeczą zwrot pisarzy amerykańskich młodszego pokolenia. Okoliczności zmieniły się nie mało. Dziś Ameryka zanadto się już oddaliła od Europy, żeby jęj przebaczyć nie miała niektórych jęj wyższości moralnych. Tradycye tej ostatniej, arystokratyczność, że się tak wyrażę jęj pochodzenia nie dzisiejszego, zasoby pamiętek jęj domowych, z których wieje tyle uroku, wprawiają w mimowolną zadumę niejednego z jęj myślicieli. Szukają: coby tu podstawić na miejsce ich braku? i trafiają rozmaicie. — „Szczanjmy grobowce chwaly dawnych władców tej ziemi, — woła W. Cullen Bryant — „szlachetny to był ród tych, co przepadli

wraz z dziewiczymi lasy. Na zgliszczach to przeszłości ich odwiecznej, na ziemi utworzonej z prochu ich pokoleń, pobudowaliśmy nasze miasta wczorajsze. Przywłaszczyliśmy sobie ich dziedziny, ziemia ich jest naszą ojczyzną, z ich źródeł zaspakajamy pragnienie, z ich zagona chleb się nam rodzi, cień drzew sadzonych ich dłonią chroni nas od skwaru. Wydarliśmy im wszystko, szanujmy przynajmniej ich mogiły!" — Niepodobna omylić się na znaczeniu tych wyrazów. Jest to postęp cywilizacyjny, przywiedziony do skruchy, na samą myśl osamotnienia jakie sobie zgotował.— Są znowu tacy, którym duszno w surowych powijkach purytańskiej hypokryzyi, czy też nazbyt wolno w tym braku jakiegokolwiek wiary obowiązującej, udającym tolerancją. Ci mają jakby przecucie naiwnego średniowiecznego katolicyzmu, który powleka ich utwory kolorytem rzewnej jakiejs, mglistej, zadumanej tęsknoty. Nathaniel Hawthorne podobny jest do wędrowca ewangelicznego, siadającego w bramach miast i u wiejskiego kołowrota, i nieustannie będącego w podróży. Wszędzie niesie on z sobą swoje pełne tajemniczości parable, nieco monotonne, a które się kręcą w niezbyt obszerném kółku klasztornego jakiegoś mistycyzmu, przypominającego średniowieczne upodobanie w tańcach śmierci.— Inni znowu, jak Longfellow, czują potrzebę wprost zapożyczyć się od stariej Europy. Dość zacytować Ewangelinę i Złotą Legendę. Longfellow jest pisarzem znakomitego znaczenia, i dla tego kierunek który obrał, może pociągnąć za sobą dość ważne następstwa w dalszym rozwoju literatury Amerykańskiej. Zdaje się on ulegać wpływowi Emmersona, który jest wychowawcem filozofii niemieckiej (Nowalis), ale i bez tego, umysł ten głęboko kontemplacyjny, byłby zaszedł tam, gdzie się teraz znajduje. Wychowywał się on w Europie, i odbywał podróże po Szwecyi i Danii. Zna wybornie literaturę francuską i hiszpańską i nawet trudni się ich wykładem. Okoliczności te łatwo tłumaczą wpływ któremu uległ. Mglista poezya Północy wykołysała do słodkiego dumania umysł jego, z natury tęskny i łagodny. Stare podania, miejsca pełne wspomnień, wspaniałe katedry, zwaliska zamków, z całym swoim urokiem średniowiecznym utkwily w tej pamięci, tak chętnie rozglądającej



się po za sobą. Ztąd i kreacye Longfellowa noszą cechę wrażeń, które umysł jego przechował. Elsy, Ewangelina, są to istoty pochodzenia czysto Skandynawskiego. Charakter téż poezyi jego, nie wyłączając nawet formy, zdradza miejsca rodzinne. Zarzuciłby jęj można sentymentalność zbyt naiwną i jakąś melancholiczną monotonię. (w ogóle pisarze amerykańscy grzeszą brakiem urozmaicenia), ale trzeba mieć na względzie, że to roślina przesadzona z pod obcego nieba, musi zatem przycierpieć nieco, zanim znowu sama sobą żyć zacznie. Co do przedmiotów które poeta osobliwie upodobał, w tych widocznie przeważa żywioł katolicki, idea bezwarunkowego poświęcenia, cichej rezygnacyi, spokoju duszy opartego na wyrzeczeniu się siebie.— Tak więc, najznakomitszy dziś poeta Stanów Zjednoczonych, jest tylko przybraném dzieckiem Ameryki, zrodzoném z matki Europy, której z miłością zawdzięcza pierwszy pacierz nauczony, pierwsze abecadło. Chętnie on, po opustoszałych przestrzeniach natury pierwotnej, towarzyszy wygnańcom europejskim, prześladowanym przez amerykańską filantropię, lub kołysze się podaniami wieków średnich, których wiarę naiwną, namaszczenie ducha i tajemniczą cudowność, nie tylko zrozumieć, ale i wypowiedzieć potrafił. Z téj utylitarnej prozy życia, która go zewsząd otacza, lubi on, że się tu wyrazimy słowy wielkiego Mickiewicza „wybiegać za wioski granice”, albo uciekać w przeszłość.

Od niego wprost już jest przejście do Edgara Poe, który uciekł nierównie dalej jeszcze, bo w mgliste krainy ducha, gdzie przestrzenie nie mają krańca, tak jak przeszłość początku. Extatyczny sposób zapatrywania się jego na życie ziemskie, silnie zdaje się być związany z burzliwém niesłychaniem chciwem wiedzy, a głęboko analitycznym usposobieniem tego dziwnego ducha. Dlatego, zanim przystąpimy do rozbioru pism poety, pozwolimy sobie przebiec najprzód jego niespokojne, pełne szalonych wrażeń, zbyt gwałtownie płonące życie, które dlatego może zgasło przedwcześnie. A może téż, w samą porę zdmuchnęła Opatrzność tę gwiazdę świetną, uprzedzając, żeby się nie wylamała z warunków zwykłego rzeczy porządku, i nie stała zgubną sama sobie. I w istocie, człowiek podo-



bny mógł tylko skończyć jak Alfred de Musset, jeśli nie jak Gerard de Nerval.

## II.

Edgar Poe urodził się w Baltimore, w r. 1813. Powiedziećby można, że usposobienie do ekscentrycznego, wichrowatego życia, miał sobie przekazane dziedzictwem. Ojciec jego, snadź także szaleniec niepośledni, pokochał ogień niejaką Elżbietę Arnold, aktorkę angielską, wielkie nie dobrego swojego czasu. Będąc synem zasłużonego generała i jedynym potomkiem bardzo szanownej rodziny, nie mógł liczyć w tym względzie na poślężanie nieczyje. Dlatego, nie radząc się nikogo, ani się zastanawiając długo, wykradł młodą awanturkę, uciekł z nią i pojął za żonę. Wkrótce, czy przyciśnięty potrzebą, czy też idąc za popędem jednego z tych dziwacznych zachceń, którym chętnie hołdował, wszedł do teatru i począł występować publicznie, z niewielkiem jednak jak się zdaje powodzeniem, gdyż nędza towarzyszyła mu wszędzie, gdzie się ruszył. Wreszcie na uwieńczenie wszystkich szaleństw karnawałowego swego życia, umarł wraz z żoną, zostawiając w najostatniejszem opuszczeniu troje drobnych dzieci. Ludzie litościwi porozbięrali sieroty. Edgara wziął niejaki Allan, zamożny negocyant z Richmondu, ponieważ dziecię piękne jak aniołek, bardzo podobalo się jego żonie. Byli to ludzie bezdzietni, umyślili zatem przysposobić za syna małego sierotę, i odtąd zaczął się on nazywać Edgar Allan Poe. Zrodzony wśród namiętych szalów życia awanturczego, wykarmiony na tułaczce i gwałtownych przeprawach, wreszcie pchnięty w nędzę i osamotnienie, i nagle wyniesiony do dostatków, pośród pieczołowitych starań któremi go otoczono, zapamiętał wszystko, z wszystkiego sobie zrobił użytek, i wyprzedzając lata, począł się rozglądać po świecie, przedwczesny ciekawiec, z natury cheiwy wiedzy, wrażeń i użycia. Wkrótce z przybranemi swemi rodzicami odbył podróż do Anglii, Szkocyi i Irlandyi, i umieszczony na pensyi u niejakiego doktora Bransby w Stoke-Newington blisko Londynu, przebył tam lat parę, dając do-

wody nadzwyczajnych zdolności. Wrócił do Richmondu mając lat 9, i uczył się dalej pod kierunkiem najlepszych nauczycieli. W trzy lata potem wszedł do uniwersytetu w Charlottesville, gdzie zadziwił wszystkich niesłychaną swoją zdolnością do matematyki i nauk przyrodzonych; ale więcej jeszcze przedwczesnym a szybkim dojrzewaniem, wreszcie gwałtownymi namiętnościami, któremi znała wrzecz zaczęła ta osobliwsza natura. Wypędzony z tamtąd dla gorszącego życia (miał lat 12), wrócił do domu, ale nie na długo. Rozpusta, gra w karty i długi, poróżniły go wreszcie z przybranym ojcem. Z nagłą świeżo wybuchłe powstanie Grecyi, rozżarzyło umysł zapaleńca: przedsięwziął udać się tam, w celu przyłożenia ręki do poparcia słusznej sprawy. W tém miejscu następuje dziwna przerwa w szczegółach jego życia; żaden z jego biografów zapelnąć jej nie umie. Zapowiadano nieraz w dziennikach amerykańskich bliższe objaśnienia w tym względzie, historią przygód, nawet korespondencye Edgara z téj epoki,—ale nigdy jakoś nie przyszło to do skutku; snadź wypadki musiały być drażliwe nieco. Koniec końcem, ni ztąd ni z owąd, zamiast w Grecyi, znajdujemy go w Petersburgu, na bruku, bez pasportu, wplątanego w jakąś niezbyt czystą sprawkę, i w skutek téj zmuszonego odwołać się do ambasadora amerykańskiego, dla uniknienia surowości praw rossyjskich, i uzyskania możności powrotu do swego kraju. Wróciwszy tam w roku 1829 (szesnastym swego życia), zdaje się, że miał czas jakiś szczerę postanowienie usatkwowania się nieco, wprosił się jakoś do szkoły wojskowej w West-Point, i wkrótce począł znowu wprawiać w zdumienie olbrzymiemi postępami, jakimi zdobywał naukę; ale wtém, chwilowo tylko uspięone instynkta rozpusty, ocknęły się w nim z większą jeszcze niż wprzód gwałtownością, i w skutek tego znów został wypędzony z zakładu. Jednocześnie zaszły okoliczności, które na życie jego wywarły wpływ stanowczy. Zdaje się, że od ostatniego poróżnienia się z swoim ojcem przybranym, przestał mieć u niego względy jakiegokolwiek. Stosunki całkiem ochłodłe, spajała jeszcze jakotako pani Allan, która istotnie kochała Edgara ser-

cem matki—najwięcej przebaczącym na świecie. Teraz i ten węzeł pękł z jej śmiercią. Allan zamierzył ożenić się po raz powtórny. W tym miejscu przypada drugi mglisty ustęp w życiu Edgara, którego podobnież nikt z jego biografów nie jest w stanie rozświetlić dostatecznie. Obawiamy się powiedzieć zawiele, z różnych jednak względów wnosićby można, że pomiędzy młodym szaleńcem a narzeczoną przybranego jego ojca, istniały stosunki, przypominające tyle znaną sytuację Don Karlosa. Nic zatem dziwnego, że się nareszcie rozeszli stanowczo. Miał też Allan niebawem dziecko z swojej żony, i Edgar ujrzał się w końcu wydziedziczonym całkowicie. W tych okolicznościach wydał na świat niewielki zbiór poezyj: była to pierwsza jego praca. Utwory te nie znalazły powodzenia. Wiotkie i przejrzyste jak obłoki, fantazyje te, dziwnie miękkiego, świetlanego kolorytu, po większej części nawet obrazy tylko o niepewnych zarysach, gdzie rozplývają się i zléwają idee harmonii najoderwanszych, ułamki teoryi o zamiłowaniu piękna, i platońskie tęsknoty duszy do ukochanego ideału, nie mogły żadną miarą znaleźć uznania, jakkolwiek zdradzały już przyszłego mistrza. Przyciśnięty niedostatkiem wszedł do wojska, ale nieszczególny to musiał być żołnierz, skoro przedewszystkiem nie potrafił walczyć z sobą. Raz włamawszy się w krainy ducha, trawiony gorączką odkryć wśród ciemności, niespokojny i marnotrawny duch ten, rozpustę z życia przeniósł do umysłu, i począł żyć sam z sobą, rozmyślając ponuro a niesfornie, nurtując po głębiach, lub wylatując jak rzadko dano komu. Nie czując się jeszcze dość oderwanym od rzeczywistości, czy też znajdując, że nie widzi wkoło siebie dość jasno, począł podsycać sobie wyobraźnię gorącemi napojami. Niebawem przeszło mu to w nałóg, z nałogu w nadużycie, bo człowiek ten nie umiał nic robić w miarę; i oto, widzimy go znowu wypędzonego z wojska, w nędzy i ostatniem poniżeniu. Próbował pisać, ale odpychano obdartego szaleńca, który zdawał się już nie mieć nic wspólnego z rozsądkiem. Miał już zginąć marnie pod ławą którejkolwiek szynkowni, albo w pierwszym lepszym rynsztoku, gdyby nie najpocieszniejszy w dzie-



dzinie sądu o sztuce wypadek. Właściciel któregoś z przeglądów, naznaczył był dwa premia do konkursu: jedno za najlepszą powieść, drugie za poemat. Edgar dostarczył jedno i drugie, ale napróżno naprzykrzał się o przyjęcie rękopismów—gadać z nim nawet nie chciano. Wreszcie dla pozbycia się natręta, wzięto od niego papiery i porzucono gdzieś na boku, bo nikt ich czytać nie myślał. Przypadkiem prezes komitetu zwrócił uwagę na piękność charakteru którym były zapisane, wziął się przerzucać je machinalnie, i zdumiał się nie mało, znajdując, że i treść odpowiadała wdziękowi kalligraficznemu. Na skutek tego zdumienia, nieznanemu autorowi przyznano nagrodę. Jestto zapewne wypadek nie często się powtarzający w historii sztuki, żeby kalligrafia zaprowadziła kogo na wyżyny parnasu. Bądź co bądź, piękność form zdawała się być gwiazdą przewodnią Edgara. Niegdyś dzieckiem ocaliła go od zmarnienia, dziś jakimś kosztem dała go poznać światu. Kennedy, przewodnik stowarzyszenia przysądżającego premium, zapragnął zrobić znajomość z uwieńczonym autorem, który obok tego nie bazgrał jak kura. Wtedy Poe stawiał się obdarty, obdrapany, ale z gęstą miną. Był zapięty aż po brodę, zapewne nic nie mając pod spodem. Kennedy ulitował się jego szubrastwu, i polecił go niejakiemu Tomaszowi White, który właśnie zakładał naonczas nowy Przegląd w Richmondzie. Ten White znalazł właśnie w Edgarze to, czego mu było potrzeba. Miał pieniądze, ale brakło mu głowy. Poe dał mu swoją głowę, i stanął na czele przedsięwzięcia, które wkrótce za jego powodem przedziwnie zakwitło. Miał wtedy lat 22. W piśmie tém (nazywało się ono Southern Literary Messenger) ukazały się najprzód: *Nieporównane przygody niejakiego Hansa Pfaal*, następnie wiele innych drobniejszych nowelli, które z kolei rozbierzemy poniżej. Przez dwa lata zdumiewał Edgar Poe czytelników Przeglądu tego: to niezwykłą śmiałością, że nie powiem zuchwalstwem pomysłów swojej fantazyi, to dziwną poezją pełną tajemniczych głębi, to nareszcie niesłychanie trafnymi poglądami krytycznymi, dotyczącymi najróżnorodniejszych przedmiotów,—tak dalece wielostronne zasoby posiadał umysł ten niepospolity. Zda-



je się, że ciężkie próby jakie tylko co był przeszedł, zniechęciły go na czas niejaki do życia nieporządnego, kumania się z oberwańcami, kieliszka i pochmurnych dumań pośród zgiełku zakopconych szynkowni. Przyniewolony zobowiązaniem, pracował dużo, i widząc, że mu się z tém dobrze dzieje, powoli wciągnął się w obcowanie z ludźmi dobrego towarzystwa, i zamiłowanie godziwych wrażeń życia spokojnego. Wkrótce, ulegając słodkiemu wpływowi tych nieznanych sobie dotąd rozkoszy, pokochał młodą, pełną zalet osobę, i zateśkniwszy do cichego domowego szczęścia, zapragnął zrobić z niej sobie towarzyszkę dożgonną. Wirginia Cleram było nazwisko téj pięknej, dobrej, łagodnej, ale nadewszystko jak się zdaje wielce odważnej, i przeto godnej lepszego losu kobiety, która nie zważając na przecucia matki, skłoniła się powierzyć swą przyszłość Edgarowi. Nie można wiedzieć jak długo była szczęśliwą z owym cudakiem, najmniej podobno stworzonym na męża,—to tylko pewna, że właściciel Przeglądu zaczął z nim mieć wkrótce życie mocno cierniowe. Pióro w kął poszło—Przegląd zaczął nie mieć redaktora. I przykro powiedzieć, ale wcale to nie dla młodej, pięknej i słodkiej jak anioł żony, wcale nie dla cichego, pełnego powabów szczęścia domowego, ani choćby tylko przez grzeszne lenistwo, zaniedbał Edgar tych przyjętych na siebie, a tak z godnych z swoim powołaniem zobowiązań. Dwa lata trwał już ten nowy powrót marnotrawcy na drogę porządnego życia—było to długo—zadługo nawet jak na niego. Złe popędy kipiały sobie w cichości i szukały tylko powodu do wybuchu. Właśnie w tym czasie napisał był osobliwszy poemat pod napisem „*Kruk*.” Powodzenie tego utworu, czy też zadowolenie, że mu się udał, sprawiło, że w przystępie radości, poszedł po staremu upić się na potęgę, i wracał do domu najcelniejszą ulicą New-Yorku, czepiając się ścian i zataczając na przechodzących. Z kolei wróciły znowu nocne hulanki, butelka i karty, stosunki z wesołemi dziewczętami, wycieczki po szynkowniach, przeplatane rysztoicznemi przygodami. Właściciel Przeglądu zmuszony został odjąć mu wreszcie jego redakcyą, a z nią i 500 dolarów, ściśle z nią związane. Zostały mu tylko

obowiązki w osobie żony, która nie wniosła mu wprawdzie nie prócz serca, ale też tego serca i nie odebrała, choć mogła to zrobić, przekonawszy się jak je umieściła lekkomyślnie. W tém miejscu rozpoczyna się nowy pe-ryod życia Edgara. Błędne, cygańskie, koczujące, wichrowate, pełne przygód, pełne silnych wrażeń wałęsanie się po świecie, z którego nie odpocznie już aż w mogile. Widzimy go po wszystkich zakątkach Stanów Zjednoczonych. Przenosi swoje manatki od miasta do miasta; bywa pod wozem, ale bywa i na wozie. Pije, poniewiera się, pracuje gorączkowo, wypływa, dobrze mu się dzieje, znów wpada w błoto, znów redaguje jakiś przegląd. Raz bywa obdarty, drugi raz modnie ubrany; tu napisał coś wielbionego powszechnie; tam ścigają go za długi; owdzie widziano go leżącego w rynsztoku. W pośród tych dziwnych kolei losu, tworzy on i puszcza w świat szereg prac najróżnorodniejszych: diatryby filozoficzne, rozbiory, poezye, estetyczne studia, ale mianowicie nowelle, których wydaje wreszcie zbiór jednolity, pod osobliwszym napisem *Dziwadła i arabesków*. Tymczasem gorszące jego życie zwraca na niego surowość opinii publicznej. Dzienniki wymierzają mu chłostę w obwieszczeniach głoszących dużemi literami: że żona *znanego powszechnie* Edgara Poe umiera na barłogu z głodu i nędzy. Nieszczęśliwa istotnie wkrótce potem cierpieć przestała. Czy na skutek rozpaczki jaka go ogarnęła po jej stracie, czy wyrzutów, któremi go zewsząd z tego powodu obrzucano publicznie, czy nareszcie jako nieuchronne następstwo nadużyć rozpusty, a najpewniej z tych trzech przyczyn razem połączonych, dostał Edgar napadu szaleństwa. Ale bo też i było oszaleć od czego. Zapewne mało kogo zapozwano przed sąd równie surowy, mało kogo przygwoźdzono do równie obelżywego pręgiarza. Odtąd, cobądź przedsięwziął, potępiano bez litości. Gdziebądź się zwrócił, odtrącano go z pogardą; dokądbądź uciekł, wszędzie wysyłano w ślad za nim głos nieubłagany, jakim niegdyś Bóg widzący, ścigał Kaima. Bez wątpienia winy były wielkie, ale też i miłosierdzie wielkie być powinno.—Przez czas jakiś po tych wypadkach, Edgar jakby wpadł w wodę. Zapewne, przebywszy przełom obłą-



kania, długo bardzo przyjść do siebie nie mógł. Zdaje się, że ówczesny to stan swój duszy kręśli on w jednej z późniejszych nowelli swoich, noszącej napis: *człowiek tłumy*. Przerażające jakieś rozdwojenie ducha, spotęgowywa i tak już okropne wrażenie tego studyum psychologicznego. Autor tylko co wyszły z silnych organicznych wstrząśnień, rozpatruje się wkoło siebie, i mimowolnie idzie w ślad za jakimś człowiekiem, który ani na chwilę nie może pozostać samotny. Mówi o nim jak o osobie drugiej, ale czujemy dowodnie, że to on sam jest tym nieszczęśliwym, nieubłaganie pędzonym z miejsca na miejsce, a nie mogącym nigdzie znaleźć spokoju. Słowa prawdy, któremi zakończy ten mistrzowski ustęp, przesywają dreszczem.— „Człowiek ten,”—powiada on,— „wszędzie nosi z sobą swoje zbrodnię. Napróżno gonić za nim—na co się zdało, uczyć się o nim czego jaśniejszego? Osobliwsze to miłosierdzie Boże nad niewinnością, że serca podobne nie łatwo czytać się dają.”—Zdaje się, że zniechęcońy do świata i życia, czas jakiś przepędził w najzupełniejszym odrętwieniu ducha, nic nie tworząc, czy też tylko nie dając nic wiedzieć o sobie. Tak przynajmniej wnosić można z owoczesnych uwag po dziennikach, w których obwiniają go o pogardę świata, zbrzydzenie sobie stosunków z ludźmi, i bierne próżniactwo. W tém jego opuszczeniu, matka zamężonej Wirginii, była mu opatrnością prawdziwą. Straciwszy jedyne dziecko, nieszczęśliwa ta kobieta, wszystkie uczucia swoje przelała na tego, którego z takim wyrzeczeniem się siebie, kochała jej córka. Nie małą już było rzeczą przebaczyć mu, ona uczyniła więcej, bo zapomniała mu wszystkiego. Przybrała go sobie za dziecię swego serca, otoczyła tklivemi staraniami, z jego szczęścia zrobiła sobie cel życia. Trzecia to już z kolei matka, którą miał ten człowiek: cóż więc dziwnego, że się wychował nie tak jak przystało? Nieco się opamiętawszy, dla chleba zapewne, wziął się znów do pracy z gorączkową gorliwością. Ale już odtąd przedsięwziął nie dać się wyzyskiwać dziennikarzom, do których miał nie jedną krwawą urazę. Żeby się mózż obejść bez nikogo, zapragnął mieć swój własny Przegląd, i dla ubierania sobie potrzebnego na to funduszu, ogło-

sił publiczne wykłady. Rozpoczął je w New-Yorku, czytaniem i komentowaniem *Eureki*, wielkiego filozoficznego poematu, rozwijającego pomysły kosmogoniczne. Nowe to zjawienie się Edgara, ściągnęło mu chmary słuchaczy. Pod wrażeniem uciech z tego powodu, począł znowu pić bez pamięci.—Nie wiadomo co go skłoniło porzucić wreszcie New-York, gdzie mu się tak dobrze działać poczęło. Widzimy go znowu wałęsającego się po Wirginii od miasta do miasta, i wszędzie urządzającego wykłady. Liczył w tém podobno na poparcie dawnych swoich zwolenników i towarzyszy szkolnych z Charlottesville i West-Point, co go téż i nie zawiodło. Przybywa wreszcie do Richmond, pociągnięty wspomnieniami lat dziecińczych. Przyjmują go tam z uniesieniem, witając w nim zaszczyt ziemi która go wydała. I zaprawdę szczyć się nim wtedy było można. Jakoś ustatkował się był zupełnie, wypiękniał, wyszlachetniał. Przypuszczają nawet niektórzy, że się dał wciągnąć do towarzystwa wstrzemięźliwości. Zdaje się, że około tego czasu począł także myśleć o powtórniem ożenieniu, zwłaszcza, że znalazła się druga na świecie kobieta, równa w odwadze, niedawno temu zmarnowanej Wirginii. Szczęściem Pan Bóg nie był się jeszcze od nię odwrócił. Było już po zapowiedziach, kiedy ktoś z przyjaciół spotkawszy narzeczonego, począł mu winszować tego, jak mówił, ze wszechmiar szczęśliwego wyboru. Na te słowa Edgar spochmurniał i zamyślił się złowrogo. Być może, że wspomnienie biednej, zbyt wczesnie zmarłej, zbyt szybko zapomnianej Wirginii, przesunęło się jak mglisty obłok po jego umyśle.—„Nie winszuj mi,”—rzekł przyjacielowi,—„dopóki się nie przekonasz, że się istotnie ożenił.”—Powiedziawszy to, wszedł do pierwszej z brzegu szynkowni, upił się po staremu, i wprost ztamtąd udał się w odwiedzinę do swojej narzeczonej, która ma się rozumieć, jeśli wyszła do niego, to zapewne tyle tylko, ile potrzeba było, żeby go pożegnać raz na zawsze. Ułatwiwszy się w taki sposób z przyszlęciem swoim szczęściem domowem, rozpoczął odczyty „o pierwiastku poetycznym” w których rozwija teorye estetyczne, nieco trudne do przyjęcia za pewnik.—„Cel poezyi,”—powiada tam,—„ma być téj samej natury, co jej



źródło; nie powinna zatem mieć na względzie nic innego, nad siebie samą.”—Paradoks ten umiał on przyoblec w najpowabniejsze formy, a popiérając go niewyczerpaną swoją erudycją, nadał mu pozory pociągającego przekonania, do czego miał talent sobie tylko właściwy. To tłumaczy, dlaczego odczyty te były może najwięcej uczęszczane ze wszystkich, które był dotąd otworzył. Zachęcony tém przyjęciem, zamierzył położyć wreszcie kres dalszym objazdom, i osiąść w Richmondzie, na resztę życia. Ale miał jeszcze coś do załatwienia w New-Yorku, więc puścił się w drogę, nie zważając, pomimo ostróg przyjaciół, na niezbyt pewny stan swego zdrowia. Przybywszy wieczorem do Baltimore, uczuł się gorzej jeszcze; kazał zanieść swoje rzeczy do dworca kolei idącej do Filadelfii, a sam wstąpił do szynkowni, napić się czego pokrzepiającego. Zdaje się, że pokrzepiał się tam, zwyczajem swoim, nieco zanadto; gdyż dnia następnego, o brzasku dziennym, znaleziono go bez znaku życia na bruku ulicznym. Musiano go obedrzeć podczas nocy, bo nie było przy nim ani pieniędzy, ani papierów żadnych, i dlatego zrazu nie można się było dowiedzieć nawet, kim był w istocie. Ktoś z przechodzących poznał nieszczęśliwego. Dotrzeźwiono się w nim życia, i zanieziono do najbliższego szpitala, ale tam skonał niebawem, w konwulsjach tak zwanego *delirium tremens*. Stało się to 7 października 1849 r. Miał wtedy Edgar lat 37. Dziwnym zbiegiem wypadków umarł w miejscu swego urodzenia, tak jak zakończył także swoją karierę literacką w Richmond, gdzie ją był rozpoczął.—

Życie tego osobliwszego człowieka, jednego z najświetniejszych myślicieli swego czasu, życie tak dziwacznie popapełniane, tak gorączkowo, tak niemiłosiernie pośpieszne, tak rozpasanie rozrzutne, tak zużyte aż do nadużycia, tak szybko pozbyte, a o którym nie można jednak powiedzieć, żeby było zmarnowane—daje wiele do myślenia. Zaledwie uwierzyć można, że trwało tylko lat trzydzieści kilka. Miał Edgar zwolenników zagorzałych, miał i zapalczywych nieprzyjaciół. Pierwsi usiłowali go zrobić przyczystą ofiarą na ołtarzu ludzkości, drudzy gorzej go jeszcze mieszały z błotem, niż się sam mieszał. Walka

między niemi przeżyła nawet poetę. Co do nas, nie oszczędzaliśmy go w szczegółach jego życia, ale go też i kamienować nie myślimy. „Chcąc mnie sądzić, nie zemną trzeba być, lecz we mnie,” powiedział to niegdyś wielki żeglarz do towarzyszy usiłujących odwieść go od niebezpieczeństw burzy; „ja płynę dalej, wy idźcie do domu!” I potem jeszcze:— „wielkie serca... są jak ule zbyt pełne. Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.”—I czyliż należy wymierzać drogi meteorom, według teoryi wiecznie jednostajnego ruchu, jakiemu podlegają planety? Miał Byron wszystko co zapełnić może zwyczajne życie: blask urodzenia, otwartą drogę do dostojenstw, bogactwa, powodzenie w świecie, a przecież zerwał z siebie te wszystkie ozdoby, i podeptał je z pogardą; bo właśnie, „to były grzechy jego żywota.” Lat temu nie wiele, pewnego mglistego poranka, na jednej z najplugawszych ulic Paryża, znaleziono zwłoki młodego człowieka, powieszzonego na kracie od okna. Był to Gerard de Nerval.—Dlaczego? Zkąd mu się to wzięło?—spytali wtedy nie jeden z tych, co go widzieli nieraz świetnym, wesołym, lubiącym świat, co żyli z nim zblizka, co go *niby* znali. Niedługo potem, Alfred de Musset, ten płomienisty burzyciel, zgasł dnia pewnego dość nagle.—Co mu było? tak młody! pewnie chorował?—Nie, truł się powoli, aż się i dotruł.—Na wieść tę obudziła się nawet Akademia, której był drzemiącym sekretarzem. Niegdyś Hejne, ów najsmutniejszy z humorystów, ile razy mówił o Alfredzie, nazywał go zawsze, „*ce jeune homme d' un si beau passé.*” On jeden go rozumiał, on, co się sam zapijał na śmierć szyderstwem, tak jak tamten piolunówką.

Edgar Poe był jednym z tych ludzi wyjątkowych, podobnych do aerolitów, o których długo wierzono, że są wyrzutkami wulkanicznymi z innego świata. Natura podobna bywa logiczną właśnie tylko w fałszach, które zadaje sama sobie. W jednej ze swoich nowelli zastanawia się on z entuzjazmem nad prawdziwemi warunkami szczęścia. Liczy ich cztery: życie na otwartem powietrzu, miłość kobiety, pogardę wszelkiego rozgłosu

i stworzenie jakiego piękna nowego. Proszę mi w tém poznać życie, spędzone pomiędzy szynkownią a podejrzanym domem; proszę odgadnąć człowieka, który jak dziecko przepadał za oklaskiem, i który w niejednej robocie swego ducha wyraźnie szuka brzydoty jedynie dla jej powabu. A przecież rzecz to prosta. Posłuchajmy tylko, co mówi znowu w przedmowie do Eureka: — Księgę tę, — powiada on, — „przypisuję tym, którzy wiarę swą włożyli w marzenia, jako w jedyną rzeczywistość”. — Kiedy mi potem mówią: że nie przebierał w towarzystwach, — wcale się temu nie dziwię. Dla człowieka noszącego swój świat w sobie, świat zewnętrzny jest bezwzględna pustynią. W najlepszym on jak i w najgorszym towarzystwie, zawsze będzie równie samotny. Ci co go bliżej znali, powiadają o nim, że najczęściej bywał milczący. Jeśli się zaś ożywił, nieraz z najpoetyczniejszego uniesienia przechodził nagle w cyniczne wybryki, zasmucające swoją płaskością. Nie trudno wierzyć temu. Dość zrobić sobie pojęcie człowieka głęboko zatopionego w sobie, który zapomniał się na chwilę i począł myśleć głośno. Taki jeśli się zagnała opatrzy, że rozmawiał sam z sobą, rad jest zniweczyć wrażenie téj słabości, a na to im gwałtowniejszy środek, tém mu lepszy. Lubił rozpustę, — gdzie zbytek bogactwa, tam i o rozrzutność nie trudno. Natura twórcza podsyca się zniszczeniem; wulkaniczne jej pierwiastki nie dają jej chwili spoczynku; zgnilizna ma dla niej powaby soków żywotnych. Powiadają, że nikt nad niego nie potrafił być plugawszym oberwańcem, nikt miewać znowu formy wykwintniejsze, nikt się nad niego dokładniej sponiewierać, nikt świetniej królować nie umiał; bywał spodlonym i ohydny, i bywał pięknym jak geniusz. Dla krótkości miejsca rozbierzmy bliżej jeden tylko rys jego charakteru — dzieje jego serca. Jakaś Lenora była pierwszą jego miłością. Stracił ją, czy też nie istniała nigdy — trudno wiedzieć — dość, że ją kochał właśnie może dlatego. Wkrótce uczucia swoje przeniósł na biedną Wirginię. Wziął ją i zmarnował, bo on wszystko zmarnować musiał czego się dotknął, zaczawszy od siebie. Niby ją kochał, a tęsknił wiecznie do tamtéj, zawiesiwszy sobie portret jej po nad stolikiem, gdzie



pracował. A przecież kiedy mu umarła Wirginia, uczul jej stratę aż do obłąkania. On wtedy ją dopiero w najlepsze kochać zaczął, kiedy jej już nie było. Z kolei zapomniał Wirginią dla innej, którą znowu w jednej chwili kochać przestał, skoro mu już nic nie przeszkadzało do szczęścia. Bo człowiek ten rad ślubował tylko niepodobieństwom. Mniej więcej wszyscy gonimy za tém, czego nie ma na świecie ziemskim, ale utrapienicy podobni do Edgara popędowi temu oddają się jawniej i zupełniej jakoś; mniej ich krępują względy świata, czy też więcej mają odwagi zdeptać je i być im panami. Co do pijaństwa Edgara, to powiadają, że go wcale nie posuwał do zbytku. Lada odrobina czegoś mocniejszego, zdolną była odebrać mu przytomność rzeczom tego świata. Rzecz łatwa do pojęcia, że umysł, u którego podniecenie było stanem normalnym, najprostszemi środkami mógł dochodzić do ekstazy. Przy takich warunkach, okoliczności jak najbardziej obciążające, stają się tylko dopełnieniem koniecznym. Widziano Hoffmana przepędzającego noc całe w knajpach przy kuflu. Upojony wyziewami i gwarem, w tej ciemnicy oświetlonej w pół cienie, pośród obłoków dymu fajczanego, był on u siebie, był sobą, dla siebie tylko jednego. Ci co się patrzą na rzeczy nienamacalne, snadź nie zawsze widzieć je mogą równie dokładnie. Zapewne, dla spotężnienia sobie władz duszy, potrzeba im niekiedy zobojętnić umysły.

Kończąc tych kilka słów pobłażania, wcale nie myślimy ośmielać niemi tych, którym się zdaje, że dość łać w siebie wódkę szklankami, wycierać sobą towarzyskie baliki i przewalać się po rynsztokach, żeby uchodzić za wielkich ludzi, na których się nie poznano. Kto wie, czy nie wolimy już: brzdąkaczy noszących powiewne włosy, dlatego, że je sobie Liszt zapuszczał; bazgrałów nie mających z Wandykiem nic wspólnego prócz wąsów i hiszpanki, i romantycznych marzycieli, wybornie udających roztargnienie, które miał ktoś przed nimi, ale którego oni nie mają. Z takich widziano niekiedy dość pożytecznych nauczycieli muzyki, rysunku lub literatury, jeśli nie gorzelanych lub rewizorów na rogatkach. Ale co do ludzi niepoznanych, od których zamiast poezyi czuć

kminkówkę, na tych prędkiej lub później poznaje się straż porządku ulicznego.

### III.

Skończywszy z człowiekiem, weźmy się do autora. Poe przedstawia osobliwszy fenomen realisty w fantastyczności. Uzbrojony w chorobliwe swoje usposobienie, anatomizuje on rzeczy nie mające ciała, analizuje to co nie ulega rozbiorowi, rozgląda to co *może* jest, ale czego *zapewne* nie ma. A tymczasem skalpel jego i czynniki chemiczne i drobnowidz, nie obawiają się bynajmniej zarzutów naukowych. Popiera je głębokie zastanowienie, zimna przenikliwość, ścisłość prawdziwie matematyczna, ale szczególnie niezblągana logika, nie mająca sobie równej. Logika ta, gdzicindziej chłodna tylko, u Edgara porywająca zarazem, jak strumień wód Styxowych unoszących w nieznanne podziemia, przesywa wprawdzie dreszczem, ale raczej to dreszcz gorączki, dreszcz wewnętrzny, jak jest i wewnętrznym świat, w który one wprowadza. Świat ten nie jest inny niż ziemski, nie jest on bezwarunkowo urojony, jak po większej części u Hoffmanna; owszem, powiedziecby można, że to świat codzienny, gdyby nie pewna indywidualna wyjątkowość wymagalna koniecznie, niby jako inicjacya do jego tajemnic. Idzie tu przede wszystkim o usposobienie wysoce nerwowe. Stan ten rozstrojenia ogólnej harmonii zmysłów, stawiając człowieka w bolesnej niezgodzie z otaczającym go światem, zmusza go chronić się w sobie, i z fenomenów uludy robić sobie wyznanie wiary. Przypomina to stan przejścia w kształceniu się owadów, kiedy się znajdują dopiero w połowie swego udoskonalenia, to jest na drodze do dostania skrzydeł. Stan ten Michelet dość hypotetycznie porównał do życia embryona przedwcześnie zostawionego własnym siłom. Cechuje go niesłychana wrażliwość i pociąg do poszukiwań w ciemnościach. Rozpasana wyobraźnia Edgara wielce mu się nadawała do tego rodzaju studyów. Właściwie mówiąc, umysł ten niespokojny, niecierpliwy, wiecznie tęskniący po chorobliwemu, a zarazem dziwnie namiętny, nie mógł

szukać innej drogi. Jeden jest tylko punkt, na którym się on schodzi z Hoffmannem: to naiwność. Poe jest szczerzy na wzór dziecka. On, jak Hoffmann, widział i czuł wszystkie dziwactwa, które opowiada, żył w tym świecie, który opisuje, obcował z każdą z osób, które powołuje do działania; zkądinąd nawet rzecz to nieunikniona, bo niemal każda z tych osób jest nim samym. W ścisłym znaczeniu tego wyrazu nie ma u niego cudowności, niczemu tam się dziwić nie należy; tam wszystko jest *co najmniej* możebne, oparte na właściwych sobie prawach równie fizycznych jak moralnych, z których pierwsze upoważniła ścisłość badań naukowych, drugie, zaciekawienia się metafizyczne. Jednym słowem, jestto świat *względnie* tylko urojony.

A przecież dziwna to kraina, w którą nam wkroczyć przyjdzie za Edgarem! Kraina raczej możebności niż prawdopodobieństwa, — *le grand peut-être*, jakby powiedział Rabelais, — Alhambra, gdzie niewtajemniczony nie widzi nic, prócz bramy do wejścia.

Ale czarodziej stoi u proga z kluczem Salomona w pamięci, wymawia zakłętę słowo, i oto rozjaśniają się w oczach widza przestrzenie, których ani się domyślał wprzód; wszystko się rozświetla, spotężnia, olbrzymieje, jaskrawieje, rozszerza się dziwnie — do nieskończoności. Niezwykła rozprężliwość nadaje każdemu przedmiotowi kształty przesadzone i przez to spływające się z sobą; co większa, plastyczność zlewa się tam z pojęciami najoderwańszymi. Cudowne krajobrazy, zawile wyrachowania matematyczne, najfantastyczniejsze zjawiska, głębokie kwestye ducha, przywidzenia, hipotezy i przeczucia, układają się tam w jakiś rodzaj tęczowej mozaiki, ruchliwej, niespokojnej, mieniającej się bez końca. — Kto wie? — powiadasz sobie, powoli wciągając się w te dziwa, i mimowolnie zaczynasz powątpiewać o rzeczywistości, którą zostawiłeś za progiem. Wrażenie podobne zarazem do hypnotyzmu i do upicia się haczychem, zdaje się zmysły ciała twego przenosić ci do duszy.

Taką jest fantastyczność Poego. Hoffmann jest niezaprzeczenie większym poetą od niego, a przecież bawi tylko, nawet wtedy kiedy przestrasza; Poe umie zelektryzować,



zmrozić szpik w kościach, popędzić krew do mózgu i do serca. Pomimo tego jednak, czujesz, że sam mistrz pozostał chłodnym, opamiętałym, panem siebie; że jeśli ciebie spoił, sam został trzeźwy. Niekiedy zdaje się być porwany własnym zapalem, mówi z uniesieniem lirycznym pełnym entuzjazmu; sądziłbyś, że jest pod wpływem natchnienia, któremu sam nie włada; ale to tylko forma nieco więcej łądząca: on, jak zawsze, bada tylko, porównywa, wnioskuje. On przedewszystkiem realista, logik bystry. On jeśli hallucynację podniósł do godności dogmatu, a opętanie umiał ująć w teorię, znalazł przynajmniej sposób być jasnym w wykładzie tych ciemności, po których się błakał; jeśli dziwactwo przeszło u niego w monomanię, nie zabraknie mu syllogizmu na obronę swoich zasad. Raz wzięwszy sobie za zadanie studyować wyjątki od zwykłego rzeczy porządku, nietylko nie zatrzymuje się przed żadną trudnością przeprowadzenia tego co widzi być prawdą, ale nawet idzie dalej niż ktokolwiek z tych, co szli przed nim tą samą drogą. Pierwsze przemawia na korzyść jego dobrej wiary, drugie wiąże się ściśle z jego usposobieniem głęboko logicznym. U niego żądza zbadania ciemności ma na celu konkluzje moralne. Niby, według niego, dobrze urządzone życie nerwowe, zdolne jest wynieść materję do stanu natury duchów czystych. Jemu idzie nieustannie o wyprowadzenie człowieka na bity gościniec wiodący do dobrego, a to za pomocą wyrachowania środków przyjaznych, mogących się zgodzić z zasadami Przedwiecznymi, które według niego stanowią zawiązek społeczeństw, utrzymują je, kierują nimi, ale tymczasem pojedynczego człowieka zostawiają niejako własnemu przemysłowi.

Takim jest realizm Poego. On przez logikę idzie do logiki. U niego logika jest nietylko środkiem, ale i celem; nietylko przyczyną, ale i skutkiem. Jest to niby kłębek Aryadny, który prowadzi po ciemnościach, nawijając się sam na siebie, żeby ukresu drogi stać się zupełnym. Dlatego, jakbądź nieraz pozory są potemu, żadnej z prac Poego nie należy uważać za próżne zmyślenie. U niego, co utwór, to zagadka Sfinksa. W najulotniejszym, szuka on rozwiązania jakiego problemu. Upodobanie jego do malowania chorób umysłowych

wych, męczarni wewnętrznych, katuszy dusznych, które wyobraźni tak obszerne przedstawiają pole, a tyle ciekawych fenomenów skrzętnym budownikom systematów metafizycznych, nie jest częścią sztuką dla sztuki. W ogóle teorie jego mają pozór tych mglistych, przezroczych marzeń, których ojczyzną bywa śnieżne niebo Północy, blado zakrwawione biegunową zorzą. Ktoś nawet powiedział o nim, że jest Swedenborianinem. Ale to nie jest prawdą. Poe nie zbywa czytelnika wielkimi z pozorów, a w rzeczy wielce pustymi słowy, ani nie odurza go formułami, których niepodobna rozwikłać z ich udanej zwężności. Położywszy zasadę (jakkolwiek najczęściej, jeśli nie zawsze hypotetyczną) rozwija ją jasno, szczegółowo, dostępnie, i wyczerpuje wszystkie jej zasoby, z całą mocą udzielającego się czytelnikowi przekonania. Nic systematyczniejszego nad jego wywody, nic więcej wykończonego nad rezultata, do których dochodzi. Metoda jego w tym względzie może służyć za wzór do naśladowania. Takim jest Poe, pracowity a głęboki myśliciel, choć z pozorów nowellista tylko, jak wielu innych.

Z kolei powiedzmy słów kilka o zewnętrznym charakterze jego utworów. W braku dosadniejszego wyrażenia daliśmy im miano Nowelli. Właściwiejby może nazywać je anegdotami filozoficznymi. Jakoś-bo od nowelli wymaga się więcej ruchu, urozmaicenia, w ogóle więcej mechanizmu powieściowego, o co Poe zdaje się nie dbać wiele. A przecież i jego utworom nie zbywa na warunkach dobrze przeprowadzonego opowiadania. W ogóle forma ich jest prosta, lakoniczna, kunsztownie ześrodkowana, i wszędzie więcej treści jak słów, co spowodowuje, że wrażenia promieniują od każdej z najdrobniejszych części składowych, z potęgą ściśle jednakową. Niektóre z tych utworów zakrawają na poemata, inne znowu nastroja jakiś humor nerwowy, febryczny, podobny do serdecznego śmiechu, którego się dostaje od laskotania. I zawsze przewiewa je nawskróś jakieś jeszcze wrażenie dodatkowe, niby stanowiące powietrze obrazu. To konieczność niezblągana, to tylko co spełniona lub się spełnić mająca katastrofa osobliwsza, to jakieś dziwaczne warunki bytu pewnych rzeczy lub pewnych zda-

rzeń. Niekiedy nastrój przychodzi od natury zewnętrznej lub wyjątkowego usposobienia bohaterów. Parne cisze przed burzą tamujące oddech w piersi i przyspieszające serca bicie; stan przychodzenia do sił po przebyciu ciężkiej choroby; zwrotnikowe pogody olśniewające blaskami słońca i meteorów nocy, ponapajane rozkosznymi wyziewy, ale od których nerwy miękną i rozstrajają się na wzór strun muzycznego narzędzia; jakieś przywidzenie somnambuliczne, lub niepokój nieokreślony, nieujęty, cisnący łązy do oczu nie wiedzieć czemu; zgiełk miasta, powaby pustyni, lub okropności jakiegoś nieznanego świata. A tło tego wszystkiego stanowi osobliwsze jakieś niebo nie tujejsze, którego barwę, niby fioletową niby zielonawą, zdają się przesłaniać magiczne tumany pyłów złotych. I słońce, inne jakoś niż nasze, najczęściej krwawe, zdaje się z trudnością przenikać atmosferę, niepokojoną ciągłym dreszczem. A i postaci występujące na tłach tych, żyją także jakoś po niepodobnemu. Rzadko napotkasz tam kobiety. Za to zwykle chore lub umierające na nieznanie cierpienia, posiadają dziwną potęgę ducha, niesłychane zasoby wiedzy, w połączeniu z darem proroczym. I wyglądają jakby uwieńczone światłami, i rysują się jakby na tłach lazurowych, i poruszają się pośród mgły nadprzyrodzonej—nieujęte, pełne wdzięku zjawiska, ku którym wyrывa się dusza. Widocznie tak a nieinaczej uosabiał sobie miłość, ów niepoprawiony marnotrawca szczęścia.—Co do opisowości Poego, łatwo pojąć, jak musi być hojna, bogata, szeroka. Ma on osobliwsze upodobanie do form wspaniałych. Ten sybarytyzm umysłowy wyznaje nawet otwarcie w jednym ze swych poematów traktującym o sztuce: „Nie należy,—powiada on,—bohatera poematu zniżyć do niedostatku, gdyż niedostatek jest rzeczą nieszlachetną i przeciwną pojęciu piękna. Nieszczęście nawet mieszkać powinno w świetnych komnatach, urządzonych wspaniale.”—Ztąd nie trudno wytłumaczyć sobie, dlaczego zbiór swoich utworów nazwał *arabeskami*. Sąto istotnie szczerzłote floresy, dziwnie poprawnych, choć zuchwałych, prawie szalonych zarysów, określające się wyraźnie, z sobie tylko właściwych wdzięków na tle z perłowej macicy, mieniącym się w blaski



i cienie. Tylko, że splata się też z niemi płomienista płatanina *dziwadła*, przypominających fryzy gotyckie i malowidła pergaminowych rękopismów. Pełna bojaźni Bożej fantastyczność średniowieczna, uosobiła w nich powabne w swojej ohydzie kształty *Wroga Rodu*. Coś koniecznie kusi przyglądać im się, choć się wstrząsa dusza. Takimi to hieroglifami poprzyozdabiał Poe ściany tej tajemniczój świątyni, u której wejścia położył napis: „Kto wie? być może”. Jak widzimy, wcale nie chybił, dając utworom swoim miano: *dziwadła* i *arabesków*.

Jak powiedzieliśmy, Poe wziął sobie za zadanie szukać prawdy w możebnościach. Wśród tych podróży po nieznanych bezbrzeżach, za bussolę wziął sobie jasnowidność spostrzegaczą, a logika jest mu rudlem, którego ani na chwilę nie wypuszcza z dłoni. Metoda jego w tym względzie warta jest zastanowienia. Szykuje on prawdopodobieństwa, nie według pewnych, raz na zawsze przyjętych zasad, ale stosownie do stopnia uzdolnienia wyjątkowego, stosownie do liczby, czy potęgi, środków umysłowej przezorności, która się udziela czytelnikowi, jakby coś zaraźliwego. Za typ w tym względzie przedstawia on niejakiego Dupin. Zdolności analityczne tego człowieka podniecane ciąglą wprawą, doprowadzają go do cudownych rezultatów—„Umysł wynalazczy”—powiada Poe,—„musi mieć koniecznie żywą wyobraźnię, a wyobraźnia, to tylko spotęgowana analiza. Nie zastanawiając się nad słabą stroną tego założenia, podziwiać należy głębokie a dziwnie pracowite studia nad zmysłem postrzegawczym, od których Poe rozpoczyna zbiór swoich nowelli. Jako pole popisu, czy raczej szkołę w tym względzie, rozbiera on grę w warcaby, w szachy i w wista. Radzi nie tyle uważać na grę, ile na grających; ztąd naturalne pierwszeństwo wistowi, jako przedstawiającemu więcej kombinacyi, ze względu liczby osób należących do gry.—„Przedewszystkiém,”—powiada on,—„należy się nauczyć fizjognomii swego partnera, żeby mózdz rozróżnić nastroj wrażeń na niej występujących od tych, które się ma uważać na twarzach przeciwników. Następnie trzeba uważać sposób zadawania kart u każdego. Można także z pewnych oznak

zadowolenia poodgadywać, jakie w każdym ręku znajdują się atuty i honory. W miarę postępu gry zapisując sobie w pamięci wyraz każdej twarzy, nagromadza się sobie nieobrachowany kapitał spostrzeżeń, z których każde prowadzi do osobnej korzyści. Po sposobie zbierania lewy, odgadnąć można, czy zbierający ją zrobi niebawem drugą. Łatwo też rozpoznać podstęp po sposobie zadania. Przypadkowe, mimowolne słowo, upuszczona lub odwrócona karta, którą się chwyta z pośpiechem, obawą lub niedbałością, rachowanie lew i porządek ich układania, pomieszanie, wahanie się, ożywienie, niecierpliwość:—wszystko to powinno być graczowi zbiorem skazówek, prowadzących do tej przedziwnej pewności, którą nie znający rzeczy mogą brać za traf tylko. Wprawny obserwator, zaraz po pierwszych zadaniach wie już dokładnie, co się znajduje w czyjém ręku, i może grać na odkryte.—Oto jest przykład systemu dyagnostycznego, jaki Poe lubi stosować do życia. Idąc tym torem, Dupin doszedł do tego, że umiał wypowiadać ludziom nie już myśl ich, ale bieg ich myśli. Nie będziemy się dłużej zastanawiali nad tym uosobionym syllogizmem. Spaja on w pewien rodzaj trylogii trzy nowelle (Podwójne morderstwo przy ulicy Morgue, Tajemnica Maryi Roget i List skradziony) nie mające innego związku nad jedność przedmiotów. W każdej z nich idzie o wyświecenie prawdy w jakimś dziwnie zawikłaném zdarzeniu, do czego nie wystarcza już zwyczajna, choćby najprzebieglejsza rutyna śledcza. Do tego samego rodzaju łamigłówek sądowych zaliczyć należy i *Chrzászcza złotego*. W ogóle sáto studia jasnowidztwa spostrzegawczego, zastosowanego do celów policyjnych. Miał to upodobanie i Balzac, Dante rzeczywistości XIX wieku. Umysły analityczne lubią tworzyć sobie trudności dla łamania się z niemi, tak, jak niespokojne męztwo szuka niebezpieczeństw, dla samej możebności skręcenia karku. Co do wynalazczej fantazyi w podobnych studiach, co do sumiennosci, co do jasności w ich przeprowadzeniu, Poe nie ustępuje Balzakowi.

Wspomniany wyżej Dupin, i Legrand bohater *Złotego chrzászcza*, sáto ludzie z upodobania, z powołania nawet zaciekający się w możebnościach. *Porwanie do Maelstromu*, wystawia nam człowieka, w którym niebezpieczeństwo



obudza zagnała ten zmysł obserwacyjny, mogący być w tym razie brany za jedno z zachowawczym. Prosty rybak norwegijski w powrocie z połowu, wciągnięty został wraz ze statkiem w wir, z którego nikt jeszcze nie wyszedł żywy. Znajdując się już w samym lejku otchłani i nie mając nic do stracenia, począł on rozważać warunki szybkości wirowania i zagrażania się w przepaść mnóstwa innych przedmiotów, wraz z nim porwanych w ten taniec śmierci. Na skutek przekonania, jakiego nabrał w tym względzie, zdecydował się wyskoczyć ze statku, uczepiwszy się beczki, co go istotnie uratowało za powrotem przyływu morza. Wir Maelstromu (który mówiąc naukowo, znajduje się istotnie pod 68 stop. szerokości północnej, na wysokości Loffodenu), objaśniony tam jest z dokładnością szczegółów, zdolną przynieść zaszczyt prawdzie bezwzględnej. Nie spuszczaamy jednak z uwagi, że zdarzenie samo, czyli raczej myśl wydzwignienia kogoś z podobnej katastrofy, jest czysto hypotetyczną. — Odtąd też wkraczamy już w krainę przywidzeń, w studia nad życiem wewnętrznym, przez które Poe idzie zuchwale do rezultatów najodważniejszych. Zaczął je od ogłoszenia *istotnej prawdy względem tego, co zaszło u pana Waldemara*. Fizyologiczna ta facecya ma tak namiętny pozór przekonania naukowego, że uwiodła nawet wielu ludzi poważnych. Niby o zdarzeniu tém mówiono już wiele, pisano nawet niemało, że zaś gorące dyskusye za i przeciw doprowadziły do przesady i wykręcania faktów, widzi się zatem autor zmuszonym dla miłości prawdy, wypowiedzieć nareszcie, jak się właściwie rzecz miała. Szło tam o dowiedzenie się: 1) Czy w chwili śmierci umierający może ulegać wpływowi magnetyzmu? 2) W razie możebności tego faktu, czy związek magnetyczny wzmacnia się wtedy, czy słabnie? i 3) Czy niepodobnaby tym sposobem dowolnie zatrzymywać ulatujące życie? Próby robione przez autora rzecz wyjaśniającego, zakończyły się najświetniejszą zdobyczą naukową. Wola magnetyzera pokazała się być naraz silniejszą od posłannictwa Anioła Śmierci — czyli, co na jedno wyjdzie, od woli Bożej. Przekonanie podobne niekoniecznie jest prawowiernem, bądź co bądź Poe wyznaje je sobie w szczerości ducha.



—„Człowiek,”—powiada on,—„umiera jedynie w skutek słabości swojej woli. Gdyby mógł chcieć dość silnie, od niegoby tylko zależało mózdz i żyć wiecznie.”—Mysł tę lubi on rozwijać dość często, jak to zobaczymy w dalszym ciągu. W obecnym razie, w miejsce nie dość silnej woli umierającego, przedsięwziął podstawić potężne chcenie życia w pełni. Blizko 7 miesięcy trwał ten stan uwięzienia duszy w ciele, którego jej opuścić nie dano. Zjeżdżali się zewsząd lekarze, fizyologowie, badacze, uczeni, skwapliwie zapisując spostrzeżenia, o jakich dotąd nie marzyło się nikomu. Gdyby ich nie była zdjęła ciekawość dowiedzenia się: jak też będzie wyglądał po obudzeniu? nieboszczyk Waldemar spałby do dzisiaj. Bądź jak bądź, pozór powagi naukowej tego ułamku nie ma sobie równego.—W innej nowelli, noszącej napis *Objawienia magnetyczne*, Poe prowadzi doświadczenie swoje dalej nierównie; powiedziećby można, że tam dopiero zbiera owoce jego na właściwej drodze. Niejaki Vankirk nie wierzący dotąd w nieśmiertelność duszy, znajduje się podobnie jak Waldemar, *in articulo mortis*. Ma on pewne wątpliwości na korzyść tej wiary, ale mu daleko jeszcze do przekonania, bo, jak powiada:—„spekulowanie na abstrakcyę, to tylko czeza gimnastyka umysłowa, dająca przymiot za istotę.”—W tém tedy niby przeczuciu, niby półwierze, pragnie poddać się wpływowi podniecenia magnetycznego, ku któremu czuje pociąg. Stan bowiem jasnowidztwa oprócz korzyści dotykającego zetknięcia się z rzeczami, których w normalnym stanie namacać niepodobna, przedstawia jeszcze według niego fenomen współczesności pomiędzy przyczyną i skutkiem, pomiędzy rozumowaniem i jego konkluzją: co zaprowadza między niemi poniekąd solidarną odpowiedzialność. Jeśliby się zatem udało, za pomocą łańcucha systematycznie prowadzonych pytań, powyciągać jakie *dane* w tym względzie, możnaby z tego utworzyć pewien rodzaj rozumowego katechizmu, mającego te same zalety, co protokół śledczy na gruncie. Katechizmu tego nie przeczytał jednak nigdy, bo skonał z ostatnią jego kartą, co nie przeszkadza, że wprzódy kwestyę wyczerpał aż do dna. Tak więc, powiedziećby można, że umarł w samą porę. Nawet sądzić się godzi,

że poszedł na tamten świat najzupełniej uleczony z swoich wątpliwości, co jest także nie małą zasługą, zważając, że katechizm, który go do tego doprowadził, nie każdego nawrócić byłby w stanie. Są to teorye panteistyczne, przepędzone tylko przez nieco subtelniejszy alembik.

Człowiek, według Poego, gdyby był w stanie odrzucić ciało, przestałby istnieć na własny rachunek, i wtedy stałby się koniecznie Bogiem. Ale to jest niemożliwe, inaczej przypuściłoby należało, że czynność Boża może wrócić nazad, coby ją robiło bezcelową. Człowiek jest stworzeniem. Stworzenia są to myśli Boże. A myśl nie może być jak tylko nieodwołalną. Zatem śmierć nawet nie uwolni nas od ciała. Da nam tylko inne, doskonalsze, doskonałe zupełnie, skończone, nieśmiertelne. I wszystko wtedy mieć będziemy insze, jedną tylko wolę zabierzemy z sobą. Wola zdolna jest spoić dwa życia, dwa światy, sięgać po za grób, jak i z po za grobu. Bo też człowiek jest myślą Bożą, częścią Boga. A Bóg, to tylko jedna wielka wola, przenikająca wszystko własnością swojej potęgi. Człowiek dla tego jedynie ustępuje Bogu i poddaje się śmierci, że będąc tylko częścią Jego całości, nie może Mu stawić dość silnego oporu. A przecież, w miarę słabych środków swoich, jakże jeszcze potężnym być może!

Z pewnością nie było na świecie kobiety więcej kochanej jak Ligeja; ani też uczeńszej, ani mniej życzącej sobie umierać. Jej oczy były to dwie zagadki, dwie głębie. Z pozoru łagodna, spokojna, zimna jak sfinks kamienny, wewnątrz pożerczo trawiona żądzą wiedzy, zbliżyła się przedwcześnie do tego tajemniczego progu, służącego za wejście do państwa Cieniów. Nie ma słów na opisanie szalonego pasowania się jej z tą smutną koniecznością, na spotkanie której wyszła sama. A jednak, do ostatniej chwili, mimo wszystkich męczarni wewnętrznych, jakże rozpaczliwie pozostała panią swego stanowiska! Nie mogąc żyć po raz drugi, zapragnęła przynajmniej umrzeć dwa razy. Warto przytoczyć pieśń łabędzią własnego jej niegdys utworu, którą kazała sobie śpiewać przy łożu konania o północy:

— Ach! otóż noc zabawy po tylu oplakanych latach!  
Tłum skrzydlatych, zasłoniętych, zalanych łzami aniołów,



zasiadł miejsca teatru, dla przyglądania się dramatowi obaw i nadziei, podczas kiedy orkiestra wzdycha w przestankach sfer harmonią.

Mimowie, stworzeni na podobieństwo Boga z Wysokości, polatują to tu, to owdzie, szepejąc z cicha, biedne lalki, przychodzące lub oddalające się stosownie do rozkazu ogromnych, bezkształtnych istot, które strzāsając ze swoich sępiach skrzydeł niewidzialne nieszczęście, przenoszą scenę gdzie im się podoba.

O! ten pstry dramat,—doprawdy zapomnieć go niepodobna! Z tēm jego widmem wiecznie ściganēm przez tłuszcę, która go nigdy nie schwyta, ponieważ bieży po okręgu koła zawsze wracającym tam z kąd wyszedł. A duszę intrygi stanowi wiele szaleństwa i więcej jeszcze grzechu, ale Grozy najwięcej.

I patrzcie — cōż to za pełzająca postać wchodzi na scenę w tłum mimów! Cōś czerwonego od krwi, wywijającego się z najustronniejszej części sceny, pełźnie, wije się, rozciąga. Mimowie, zdrętwieni śmiertelną trwogą, stają się jēj pastwą, a Serafowie łkają, widząc, jak zęby gadziny przeżuwają spiekłe kawały krwi ludzkiej.

Wszystkie światła gasną — wszystkie — wszystkie: i ponad tą widownią przejmującą dreszczem, z gwałtownością burzy zapada zasłona podobna do ogromnego całunu, a Aniołowie bledzi i drżący, wyznają wstając i odsłaniając twarze: że dramat ten, to tragedia nazwiskiem człowiek, której bohaterem jest Zdobywca Gadzina.” —

Bez wątpienia, wola to unierającej działała, że niebawem po jēj śmierci dano jēj następczynię. Rozpacz, opętanie, konieczność jakaś niepojęta, popychająca do szukania pastwy dla ulżenia boleści, skleiły ten nowy związek wynalazku szatana. W bezludnej gdzieś okolicy, w jednej z wież opuszczonego jakiegoś opactwa, z fantastycznym zbytkiem urządzono komnatę ślubną. W pomysle tym uwydatnia się najwidoczniej artystyczna strona pijaństwa Poego; chorobliwa jego wyobraźnia, podobająca sobie w ponurych przywidzeniach umysłu owładniętego przez opium, działa sama jak cōś odurzającego. Lubi ona być prawdopodobną jak zachcenie czarodzieja, plastyczną jak wyrzeźbione dziwactwo, szczegółową jak ostatnie rozpo-



rządzenie, dokładną jak rachunek. Komnata nowożeńców była to wielka, pięciokątna sala, o nadzwyczaj wysokich ścianach. Jedyne jej okno stanowiła, od strony południowej ogromna szyba szkła weneckiego tak ciemnej barwy, że promienie słoneczne, przechodząc przez nią, stawały się księżycowemi. Prócz tego, zacieniona jeszcze była splotami winorośli spinającemi się po gzemsach, i w części fantastyczną draperyą, o której będzie poniżej. Wyniosły sufit tej komnaty rzeźbiony z czarnego dębu, zaokrąglął się w sklepienie, ponajeżane najdziwaczniejszemi ozdobami, w stylu przez pół gotyckim, przez pół druidycznym. Ze środka jego, na złotym łańcuchu w długie ogniwa, zwisała się lampa z tegoż kruszczu, kształtu kadzielnicy wschodniej w przejrzystą rzeźbę, przez tkankę której nieustannie przewijały się wężykami różnobarwne płomienie. W każdym rogu komnaty znajdował się olbrzymi sarkofag z czarnego granitu, przemawiający z po za grobu mową hieroglifów, nie czytana od lat kilkutysięcy. Ale osobliwie obicia jej, czyli raczej osłony tych ścian niesłychanie wysokich, jakże przerażające robiły wrażenie! Były to sute, fałdziste draperye z ciężkiej lamy złotej, puszczone wolno, poczynając od najwyższych gzemsów dotykających sufitu. Na jaskrawém tle ich, mieniącym się stosownie do barwy płomienia w lampie, występowały czarno tysiące kształtów, podobnych na oko do arabesków; ale kto się bliżej wpatrzył, rozpoznawał tam najdziwaczniejsze roje widziadeł, tajemnicze pochody poczwornych, przerażających postaci, przypominających zmory, jakimi pokusa udęczała niegdyś niespokojne sny średniowiecznego mnicha. Każda zmiana punktu widzenia sprawiała w tych fantasmagoryach urozmaicenie nie mające końca, stosowny zaś przyrząd, wprowadzający nieustannę krążenie wiatru po za oponą, nadawał im pozór życia, przeszywający dreszczem do szpiku kości. Pośród tych wszystkich złowieszczych szczegółów, nie dających chwili wytchnienia, obrachowanych jedynie na niepokój umysłu, na udęczenie duszy, wznosiło się łoże małżeńskie w stylu indyjskim, niskie, całe z hebanu, zapuszczone od szczytu oponą podobną do całunu. Na tém to łożu, nieszczęśliwa Rowena wkrótce ginąc zaczęła z nieznaniej choroby, mając przedwczesne widzenia

z innego świata. Wreszcie umarła pewnej strasznej nocy, kiedy była najwięcej udręczoną, najżywiej przekłętą, kiedy z większą niż dotąd energią rozpaczy wywołano wspomnienie, nigdy niezapomnianej Ligei, że aż przybyć musiała podobna do Cienia Cieni, dodając do udręczeń Roweny swoje własne widmo. Jednakże nie tu koniec wielkiego dzieła zamęczenia ofiary na kamiennym ołtarzu silnej woli. Po trzykroć zniszczenie śmierci z coraz natarczywszą siłą wpajało się szpony w te zwłoki marmurowe; za każdym razem uparcie wracało życie, nie już życie żywotne, ale pośmiertne, nieznanej natury; nie już życie tej która była umarła, ale cudze, w tej świeżo przez nią opuszczonej powłoce; aż póki do ostatka nie znikła w sobie, i nie stała się tą, która raz jeszcze odżyć pragnęła — choćby mając umrzeć raz powtórny. Jakiej zaś natury było to życie, czyli raczej ta śmierć powtórna? sam Poe nie sięga już dalej — widać że i cel jego dalej nie sięgał. W ogóle nie jedno on zostawia do myślenia, do dokończenia w sobie, do dopełnienia czy też zaokrąglenia; na podobieństwo tych dowolności, jakie w zakończeniu swoich utworów zostawiali nieraz kompozytorowie muzyczni przyszłym koncertantom.

Morella jest to siostra Ligei z niejaką różnicą. Wyobraźmy sobie uosobienie szatana wiedzy, białego, wiotkiego, pięknego, ale bez żadnej wątpliwości dziwnie pedanckiego szatana, który każe się kochać, który zmusza do kochania, którego niepodobna nie kochać, bo jest potężnie wiedzący, potężnie pewny siebie, potężnie chcący. Wiemy czem jest tego rodzaju uczucie — prosto miłością z obawy — nienawiścią, w innej tylko formie. Coś podobnego łączy zwierzę z jego ujarzmicielem, — tygrys lizać będzie rękę swego pana, rycząc z wściekłości. Sam kochanek Morelli wyznaje otwarcie, że płomień któremi ku niej rozgorzał, nie były płomieniami Erosa; że największą rozpaczą jego życia było to przekonanie z każdym dniem wzrastające, że nigdy nie potrafi ująć w pewną formę niezwykłej natury tego przywiązania, ani ustalić błakającej się jego potęgi. Cóż więc dziwnego, że zapragnął śmierci swej towarzyszki; że kiedy się wreszcie zbliżyć poczęła, znajdował kroki jej zbyt powolnymi; że przeklinał miesiące zwłoki, potem tygodnie zwłoki, potem dni, wreszcie już tylko godziny. Umarła



nareszcie, ale jednocześnie dając życie córce, i zapowiedział przed zgonem, że ile obudzała wstrętu za życia, tyle będzie ubóstwiana po śmierci. Pomysł téj zagadki metafizycznej, obraca się na idei *ztożsamienia*, która według teorii Poego, polega na możebnym *uwiecznieniu się* istoty rozumnej.—„O ile, powiada on, przez osobistość rozumimy treść myślącą obdarzoną rozumem, i o ile jest pewnikiem świadomość siebie jako nieodłączna towarzyszka myśli; o tyle też świadomość sprawia, że jesteśmy *samemi sobą*, wyróżniając nas tym sposobem z pomiędzy innych istot myślących, i dając nam naszą tożsamość osobistą. Świadomość zaś tego ostatniego przymiotu, stanowi zasadę niepodzielności, która przy zgonie opuszcza człowieka, *a może go też nie opuszcza*”. Tę tedy możebność, robi on zależną od upodobanej przez siebie potęgi woli, i jak w poprzedniej novelli sprowadził za jęj pomocą śmierć powtórna, tak tu sprowadza odrodzenie.

W ustępie noszącym napis *potęgi słowa*, idzie dalej nierównie, bo ukazuje nam gwiazdę, stworzoną w przestrzeni za pomocą kilku słów namiętnych. Cudowna jęj zieloność zjiscza tam niewcielone nigdy marzenia, ale znajdującym się obok wyuzdanym wulkanom dała życie nie jedna chwila rozpaczy i zwątpień. Bo wszelki ruch, *stwarza* koniecznie, a źródło jego tylko w woli być może,—a wola, to myśl któręj początek w Bogu. Dlatego wyobrazić sobie nawet niepodobna, ile to niespodzianek czeka nas na tamtym świecie; chociaż nie myślmy znowu, że się tam wszystkiego dowiemy odrazu. Bo szczęście raczej zależy na posiadaniu wiedzy, jak na nięj samęj. Wieczną szczęśliwością jest wiedzieć na zawsze; ale wiedzieć wszystko jest potępieniem szatana. Najwyższy wprawdzie wie wszystko, ale to jest jedyna rzecz która mu jest tajną.

Jak widzimy, Poe nie cofa się przed żadną trudnością, że nie powiem niepodobieństwem. Życie wewnętrzne, tajniki Bożęj potęgi i niepojętych wpływów świata pośredniego, najoderwańsze kwestye tyczące się natury Boga i stosunku duszy do ciała; człowiek ten sięgnął po to wszystko i wszystko wypowiedzieć próbował—nawet potrafił. Nieustrudzona żądza zapasów z trudnościami, popycha go na-



wet do rozwiązywania problemów, które nauka z rozpaczą pozostawia wiedzy zagrobowej. Nie są to już spekulacje filozoficzne, ale cierpliwe, metodyczne monografie, posiadające wszelkie pozory zasługi naukowej.

Posłuchajmy co opowiada Monos o swojej własnej śmierci. Zaprawdę myśl jest wielce dziwna. Ale też konający tylko mógł tak namacalnie studyować własne swoje stygnięcie, tylko sam zmarły do tego stopnia przypatrywać się własnemu rozkładowi. Trudno o dokładniejszą analizę stanu pośmiertnego, raczej może nigdyby się drugi nie pokusił współubiegać w tym względzie z Poem o lepszą. Miejmy też na uwadze, że Monos, to Poe sam w swęj osobie, z całym swoim niesmakiem do otaczającego go społeczeństwa, z całym zniechęceniem do tego fałszywego kierunku, w którym Ameryka dzisiejsza upatruje postęp, z całym swoim gorączkowym upragnieniem odrodzenia świata—choćby za pomocą oczyszczenia go ogniem. Bo nawet istotnie o ogień tam chodzi nie na żarty. Świat zestarzał się, zgrzybiał, zdziecinniał. Na domiar wszystkiego wymyślił demokrację powszechną, co mu Poe liczy za najkrytyczniejszy symptomat. Wyglądający lepszych czasów wzdychają do przepowiadanej oddawna katastrofy, która ma odświeżyć na nowo oblicze matki ziemi, oczyszczając je z obrzydliwości ran, porobionych przez chciwość handlarską i nieposzanowanie przemysłowe. Ale Monos nie doczekał już tej chwili szczęśliwej odrodzenia świata. Za to Eiros był naocznym świadkiem jego zniszczenia—nie wiemy tylko co je zastąpiło w przyszłości—ale mniejsza o to. Już i to, czego się dowiadujemy o smutnych losach naszej ziemi, jest rzeczą nie małej wagi. Jestem pewny, że nauka nie wieleby znalazła do zarzucenia tej wyrozumowanej hipotezie, obrobionej z tak ostróżną dokładnością.

Zanim zstąpimy wreszcie z tych mglistych wysokości, w których waży się nie jedno przeznaczenie, zatrzymajmy się chwilę przy obrazku, który nie da się przyczepić do żadnego wyłącznie rodzaju w zbiorze nowelli Poego, tak dalece się wyróżnia z pomiędzy innych melancholiczną jakąś pogodą dającą wypocznienie. Nie brak wprawdzie i tu żywiołu okropności, przestrzegającego powagi, jak niegdyś zwłoki

zmarłych na ucztach egipskich; ale przynajmniej zarysy są miększe, tony łagodniejsze, koloryt nieco mniej szary. Obrazek ten przypomina świetlaną emalię, oprawną w ciemne, ponurego blasku perły, które w braku innego wyrazu, nazwano czarnemi. Postać kobiety jest jego główną ozdobą, kobiety młodej, pięknej, pełnej życia, a przecież znikłej przedwcześnie w sposób osobliwszy, bo jakby wsiąklą w swój własny portret. Jest to raz jeszcze cud potęgi woli, tą razą nieświadomej nawet siebie. Był młody malarz namiętnie rozkochany w swój sztuce; ale przeniewierzył się jej dla świeżej twarzyczki dziewczęcej, i groźna rywalka poprzysięgła mu zemstę. Skoro przedsięwziął przenieść na płótno ubóstwione rysy dziewczyny, stało się, że przestał być panem siebie. Zapragnął blasku jej oczu, uśmiechu ust jej, białości szyi i ramion, rumieńców twarzy, wreszcie krwi żył jej, serca, piersi,—słowem całego jej życia. Więc też stopniowo śmiać się przestała, pobladła, poczęło słabnąć bicie jej serca, i stała się wreszcie czemś niedoścignionem żadną fantazyą na świecie; wyciągnięta z siebie, wyzuta niejako sama z siebie, uleciała z ostatniem pociągnięciem pędzla, i nawet miłość kochanka nie była w stanie wstrzymać jej lotu. Za to obraz jej wyraźnie żyje, jak to powiadają. Widział to na własne oczy pewien podróżny w opuszczonym jakimś zamku w Apeninach, i wyczytał objaśnienie tego dziwu w załączonej obok książeczce. Bo trzeba wiedzieć nawiasem, że Poe umie porazić na wszystko i nigdy się niczem nie zakłopotuje. Ale też prawdopodobieństwo jego opowiadań nie polega na tak drobnych szczegółach; sięga ono raczej treści rzeczy, i z tej też strony, względnie biorąc, zarzutu mu zrobić nie łatwo.

Jak powiedzieliśmy już nieraz, Poe ani na chwilę nie ginie po za swemi kreacyami. Owszem, czujemy nieustannie, że to on sam jest każdą z nich,—wszędzie on, i to on tylko. Dlatego dziwnie to ciekawe studyum psychologiczne, uczyć się go z jego własnych studyów. Biorąc go takim jakim się sam wypowiada, niechęć mamy klucz do wytłumaczenia sobie nie jednej niekonsekwencji jego życia. Przypatrzmy się na przykład jego kobietom. Wszystkie są przedziwnie czyste, — on widocznie kochał tylko Wir-



ginię, tę piękną, cierpliwą Wirginię, którą jednak zabiła jego rozpusta. A przecież tej ostatniej nie podniósł on nigdy do godności przekonania. Jak już wiemy, rozpusta jego duszy niema nic wspólnego z ciałem.

Nie jeden wzgląd zbliża Poego do Byrona. Najprzód podmiotowość jego; następnie badawczy, niespokojny, gorączkowy umysł, żądny odkryć w sferze ducha, oraz szukania dróg nowych tam, kędy nikt jeszcze nie stąpał; ale najwięcej podobno sceptycyzm w rzeczach zbrodni, czyli raczej wiara w powołanie do niej człowieka. Tę ostatnią starał się nawet ująć w wielce systematyczną teorią.

Nie łatwo wypowiedzieć, z jak metodycznym upodobaniem, umysł ten tak niezmordowanie analityczny, tak chętnie szukający trudności do zwalczenia zagrażał się w te ciemne, przepaściste głębie sumienia, gdzie tyle jest do studyowania, niczem nie wytłumaczonych popędów. Przywykły sprowadzać wszystko do następstw loicznych, próbował też usprawiedliwić następstwa wpływów nadprzyrodzonych, których człowiek nie bywa panem, sprowadzając je do loicznych przyczyn; a że miał zawsze gotowe formuły na określenie najoderwańszych pojęć, dał im nazwę *ducha przewrotności*. Ten żywioł złego jest niejako kusicielem *ad hoc*, kieruje on bowiem nie czynnościami człowieka zwykłymi, ale temi, które popełnia wyjątkowo. W tym względzie rozróżnia Poe popędy grzechu pierwotnego, pochodzące raczej z biama na oku, wystawiającego dobrem co jest złe istotnie; od popędu, który nas popycha broić złe, jedynie dla miłości złego. Za przykład przedstawia wrażenie człowieka spoglądającego w przepaść. — „Nie ma, powiada on, tak nieukróconej, tak wścieklej żądz w naturze, jak pociągający powab otchłani. Pomyśleć wtedy choć chwilę, jestto zginać bez ratunku, bo namysł koniecznie każe się cofnąć, a tu już i tak idzie o zrobienie naprzekór własnemu ocaleniu; cóż dopiero, jeśli się jeszcze dołączy do tego sposobność zrobienia na złość dobrej radzie. Kto więc nie jest dość silny oprzeć się pokusie, nie uniknie zguby.” — Jak widzimy, studia nad tym drętwiącym duszę pierwiastkiem złego, krążą około wypadków słabości woli



ludzkiej, tak jak poprzednie miały za zadanie wykazywać możebne cuda jej potęgi. Co zaś do idei ducha przewrotności, sofizmat ten, za ledwieby zasłużył na prawo obywatelstwa w dziedzinie psychologii, gdybyśmy mu dali właściwe jego miano, *zapomnienia się, odejścia od siebie, wreszcie opętania*. W tym względzie, powiastka nosząca napis *Czarny kot*, zasługuje na osobliwsze pierwszeństwo. Ma ona za sobą całą powagę jednej z najgłębszych prawd fizyologicznych, która powiada: że nie ma zgubniejszej choroby moralnej nad gorzałkę. W ogóle we wszystkich nowellach należących do łańcucha niniejszej treści, prócz idei prześladowczej, popychającej do złego, występuje jeszcze głos sumienia w rozmaitych swoich objawach: stanowi to moralną stronę teorii ducha przewrotności, bezpośrednio przykuwającą karę do winy, na podobieństwo kuli, która się wlecze u nogi galernika, gdziebądź się on ruszy. Sumienie to wygląda wprawdzie raczej na jakiś rodzaj grania w duszę ludzką jak w piłkę ku uciesze szatana, wreszcie nawet na drugie, potężniejsze jeszcze od pierwszego, opętanie; bądź jak bądź, wybija się jednak klin klinem i sprawiedliwość się staje, a na tém właśnie rzecz główna. *Człowiek tłumy* jestto nie znany zbrodzień, noszący w sobie tajemnicę swego czynu. Nie zna on ani snu, ani wytchnienia, zmuszony jest zagłuszać się nieustannym ruchem, ale nadewszystko nie może ani chwili pozostać samotnym. *William Wilson* udręczany jest przez swego sobowtóra, wyjawiającego światu jego niegodziwości. W czarnym kocie zabójca zdradza się po pijanemu; w *Sercu oskarżającym* ma przywidzenie jawności swego czynu, i tém go właśnie wyjawia; a w *Duchu przewrotności* dzieje się to za pomocą nieustannego podszeptu, który się w końcu pomienia na siłę z wolą zbrodniarza. Wiedząc już, jak wiele Poe wkłada siebie samego w swoje utwory, przypatrzmy mu się mimochodem, w niektórych ustępach tej seryi studyów nad objawami sumienia, gdzie widocznie spisywał symptomata własnych swoich udręczeń, bo tyle tam prawdy chwytanęj na uczynku. W *Williamie Wilson* opisuje on pobyt swój na pensyi u doktora Bransby, następnie roz-

pustne życie swoje w uniwersytecie. Zapewne nie wszystkie szczegóły są tam prawdziwe, wiele jest może przesady; ogólny ton jednak zdradza głęboką skrucę spowiadającego się, który się czerni w obawie, żeby nie był zbyt mało szczerym. *Człowiek tłumy* jestto widocznie on sam znowu po stracie Wirginii; sam jeden na całym świecie, a jednak nie mogący zostać ani chwili w zbyt strasznym towarzystwie samego siebie. *W kocie czarnym* wypowiada skutki pijaństwa, z rozpaczą człowieka nie umiejącego się już wstrzymać na fatalnej pochyłości prowadzącej do obłąkania. — „Przecież, — jak sam to mówi gdzieś indziej, — nie człowiek to, który nigdy nie próbował odurzenia, odkrywa cudowne pałace, albo dawne swoje nieco dziwne znajomości, w płomykach dogorywającego żarzewia. Nie onto spostrzega przeciągające w przestrzeni zadumane zjawiska, których nie widzą ludzie powszedni, ani też rozmyślać będzie nad wonią jakiego nieznanego kwiatu; nie jego też umysł wtajemniczy się w słodki wpływ melodyi, która dotąd nie zwróciła niczyjej uwagi.” —

I zaprawdę, niepodobna się dość wydziwić rozbujalności fantazyi, która stworzyć zdołała *Berennikę*, *Upadek domu Uher* i kilka jeszcze innych nowelli, mniej więcej podobnej treści. Jakiś przerażający wampiryzm uczuciowy, zdaje się jedynie ożywiać te postacie, poruszające się na tle siném, wśród horyzontów niezbyt przestronnych, poobwieszanych obłokami brzemieniami burzą, pośród parnego, zastalego powietrza, przejętego siarczanami wzięwy, lub stęchlizną podziemi. Obrazy te, które się widzi jakby po przez mgłę czy gazę, podobne są do niewyraźnych wspomnień z innego świata, które się przysniły, i siedzą na piersi, i uciskają oddech, i jeszcze po obudzeniu straszno do nich wrócić. Tu już wszystko dowolniej rozumowane, mniej jasne, i naprózno pytalibyśmy się autora: na zasadzie jakiejto konieczności August Bedloe wrócił powtórnie do życia, lub Berlifitzing przedzierzgnął się w konia? Osobliwie ta ostatnia legenda jest okropna nad wszelki wyraz. Wrażenie to, nie tyle leży w jej obrazowaniu, które o wiele ustępuje drugim, ile w dziwnej zagadkowości jej pomysłu, prowadzącego



nie wiedzieć dokąd. Przeczytawszy to, zdaje ci się, jakbyś zajrzał w nieznane jakieś głębie, w których oko twoje napróżno dna szuka. Dopracowywasz myślą, więcej może, niż się to zamarzyło autorowi samemu.

Loiczną w tym względzie koleją, nienasycona skrzętność studyowania rzeczy wymykających się zwykłym warunkom bytu, doprowadziła wreszcie Poego do spekulacyjnych nadużyć, a ztąd do szukania piękna w samej okropności, w końcu już tylko w brzydocie. W rzędzie nowelli stanowiących ten oddział, niektóre, jak *Studnia i wahadło*, *Zjawisko czerwonej śmierci* i *Rękopism znaleziony w butelce*, są prawdziwemi arcydziełami obrazowania; inne przy wszystkich swoich zaletach obrobienia, wyglądają na „próżne marnotrawstwo dowcipu i talentu,” jakby powiedziała Narcyza-Gabryela. Wspomniany wyżej *Rękopism znaleziony w butelce*, wyróżnia się jeszcze nad inne jakąś myślą względnie prawdopodobną, opartą na hipotezie naukowej, która przypuszcza, że wody oceanu mają coraz rwistszy prąd ku biegunom, gdzie wreszcie przepadają w głębokościach ziemi. Dla zrobienia go loiczniejszym, pomysł téj fantazyi związany jest ze znaną legendą przekłętogo okrętu, błakającego się wiecznie. Rozbitek jakiś pośród burzy, wrzucony został trafem na to widmo przepływające opodal, i na niem żegluję dalej ku krainom krańcowym, których nie zwiedził jeszcze żaden śmiertelnik. Myśl ta była szczególnie ulubioną Poemu. Dotyka jęj mimochodem w *Nieporównanych przygodach niejakiego Hansa Pfaalla*, ale osobliwie rozwinął ją w większej nad inne powieści, noszącej tytuł *Przygody Arthura Gordona Pym*. Powieść ta, w części z naiwności opowiadana, w części z urozmaicenia szczegółów, przypomina, nie wiedzieć czy fantastyczne czy prawdziwe podróże Melvilla. Spotykamy w nięj wszystkie upodobania Poego zgromadzone razem. Zmysł spozstrzegawczy przeprowadzony tam jest przez najrozmaitsze kombinacye, bądź już wypróbowane cząstkowo gdzieindziej, bądź téż postwarzane dopiero z osobliwszým upodobaniem. Jestto anegdota jednotomowa dziwnie wynalazcza, dowcipna po filozoficznemu.



W oddziale nowelli, nad których rozbiorem zastanawiamy się w tej chwili, z niewielkim wyjątkiem przeważa żywioł humorystyczny. U pisarza tak poważnie myślącego jak Poe, dar ten wygląda na anomalję, i istotnie jest nią, zwłaszcza tam, gdzie się mięsza z okropnością. Od sprzeczności tej robi się niedobrze. Zdaje nam się widzieć wyszczerzającą zęby panterę, na której siedzi zwykle fantazya. Wesolość ta jest nawet jakoś nie do uwierzenia. Gdybyśmy naraz ujrzeli śmiejącego się sfinksa, który siedział zadumany najpoważniej przez czterdzieści wieków, nie mielibyśmy przykrzejszej niespodzianki. W istocie jest jakieś zdziocinienie starości w tym humorze kapryśnym, gryzącym, podobnym do mchu zjadającego nawet kamień, do rdzy zdolnej strawić nawet żelazo. Weźmy za przykład, najmniej jeszcze ze wszystkich okropną, a stosunkowo najpociesniejszą przynajmniej w tym rodzaju powiastkę. Tytuł jej: *Cztery zwierzęta w jednej osobie*. Jestto Antyoch Epifanes, który po wymordowaniu własną ręką tysiąca pokrępowanych Izraelitów, obchodzi radosny tryumf własnej waleczności. Śpiewa na cześć swoją pieśń pochwalną, za co go okrzykują księciem poetów, i wkładają mu na czoło wieniec olimpijski. Przebrany tedy za żyraffę, ciągnie przez miasto wspaniałym pochodem, pełen chwały. Ma też za sobą orszak stosowny: lwa, tygrysa i lamparta, którym wolno jest wybierać do zjedzenia, kogo im się podoba. Ale naraz stało się to, czego nie przewidział. Dworzanie zapragnęli spróbować, jak też smakuje żyraffa. I oto rzucają się na księcia poetów, który zaledwie ma czas wziąć za pas nogi, i zmykać co tchu do hippodromu. Ten dowód charakteru w nogach, zyskuje mu oklaski całego narodu, oraz wieniec laurowy udzielany za zwycięztwo w biegu.

Jedyny ustęp zalecający się spokojnym, szczerym żartem, jestto *Pogadanka z mumią*. Autor skorzystał w niej ze znanéj wiary dawnych Egipcyan, że dopóty dusza nie opuszcza ciała, dopóki ono nie ulegnie zniszczeniu. Zresztą zabalsamowany hrabia egipski zostawał właściwie w letargu tylko, czy coś podobnego; nie wyjęto mu zaś trzewiów, ani mózgu, ponieważ należał do ro-

dziny Chrzászcza; nie należy się zatém dziwić zbyt mocno, że go z łatwością przywrócono do życia za pomocą cudownych skutków galwanizmu i że z nim rozprawiano jak najmiléj o polityce i różnych innych marnościami przy winie i cygarach aż do godziny 4éj z rana. Gawędka ta, przy całej swojej pozornéj lekkości, pełna jest szczegółów głęboko naukowych, i stanowi poniekąd przejście do oddziału, w którym znowu humor ukryty jest jak najstaranniej pod powierzchownością powagi naukowej. Chcemy tu mówić o tych genialnych kuglarstwach Poego, w których z prawdziwie przewrotną przyjemnością igra hipotezami i możebnościami, robiąc z nich kaczki dziwnie potężnego życia. Próbę tego rodzaju mieliśmy już w osobliwszém zdarzeniu pana Waldemara. *Podróż balonem* narobiła gwałtu, jakiego przykłady tylko w Ameryce nie są bajecznemi. Wydrukowana w jednym z dzienników nowoyorkskich, przyniosła mu nieobliczone zyski. W całym zbiorze nowelli Poego nie ma równie amerykańskiego puffa. Jestto ani mniej, ani więcej, jak dziennik przebycia oceanu Atlantyckiego w przeciągu 65 godzin, w balonie całkiem nowego pomysłu, opatrzonym przyrządem do kierowania. Artykuł poprzedzony był reklamą z wykrzyknikami, dużym i ozdobnym drukiem, jak przystało na mistyfikacyą, która chce uchodzić za prawdę po tamtéj stronie pólkuli. U nas właśnie dlatego obudzilyby podejrzenie, tam właśnie dlatego rozgorączkowała miliony ludzi na całe *godzin kilka*, a wiemy coto jest kilka godzin wyłącznego zajęcia w Ameryce. *Hans Pfaall* ma jeszcze kolosalniejsze zachcenie nad przekołysanie się z Europy do Ameryki: on zapragnął dostać się na księżyc. Ale co dziwniejsza, że dopiął swego; ale co jeszcze dziwniejsza, że miał zimną krew zapisać gruby zwój papieru wrażeniami swéj przejażdżki; ale co najdziwniejsza, że znalazł sposobność wyprawienia téj przesyłki na ziemię pod adresem miejsca swego pochodzenia. Sąto nadzwyczaj pracowite, dziwnie metodyczne, dziwnie poważne kómentarze jednego z najekscentryczniejszych przywidzeń na świecie. Istotnie, zrobiono tam wszystko co było można, dla uprawdopodobnienia tego, co jest z pewno-



ścią najwięcej podobne do kłamstwa; ale, jak powiada Nowalis, człowiek, któremu się śni, że marzy, jest najbliższy obudzenia się. Takie też robi wrażenie w czytaniu ta gimnastyka naukowa, w której lada chwila kark skrócić można. Czy się to stało Poemu? rzecz inna. On umie być panem swego położenia. On działa najczęściej z dobrą wiarą, a zawsze z dobrej woli. Paradoksa gdzieindziej będące roślinami egzotycznymi, u niego wyrastają we właściwej sobie strefie: nie tylko mają korzenie, ale kwiat i owoc.

Na tém zakończymy rozbiór pism naszego autora.

Zbierzmy jeszcze w jedno kilka uwag rzuconych tu i ówdzie mimochodem. Poe przy całej swojej popularności nie stworzył jednak szkoły: jestto nauczyciel zbyt wymagający. I potem, zbyt mało może jest poetą, a znowu nie zawiele realistą. U swoich mógł tylko zrobić wrażenie reklamy na wielki rozmiar; po śmierci przebrzmiał rozgłoszenie, ale także nie został w pamięci, bo nie wypowiedział wyraźnie potrzeb swego czasu. A przecież ani uprzedził swego wieku, ani się też spóźnił; ale zawsze byłby nie w porę, bo zbyt mało uwzględniał to co jest, wierząc tylko w to, co byćby mogło. Zresztą świat jego nie jest tutejszy. Nie ma społeczeństwa, wśród któregoby Poe nie wyglądał jak ognek błędny nie przyczepiony do niczego. Jeśli szukał wyjątków i zagadek, to dlatego, że sam był jednem i drugim. Jeśli chętnie obcował z mozebnosciami, to dlatego, że się wtedy tylko czuł w swoim towarzystwie. Fantazyja jego była mu rzeczywistością. Widzieliśmy go z rozmaitych stron jego, bo w każdej swojej myśli, każdego czasu, wszędzie którądybądź przeszedł, zostawił coś z siebie. Dziwaczne boleści, osobliwsze wiary, rozpaczliwe zachcenia, stanowią treść tego niespokojnego ducha, który „trawi się w sobie i świeci sam w sobie, jako lampa w rzymskim grobie”. Duch ten mieszkał w człowieku, z którym nigdy nie miał zgody. O człowieku tym powiadają, że upadł, że się sponiewierał, któż go sądzić się odważy? Pozwolimy tu sobie na zakończenie przytoczyć jeszcze jeden ustęp z dzieł tego genialnego szaleńca, który nigdy nie miał innego powiernika prócz siebie. Jest coś rozdzierającego w tej smutnej elegii przypominającej minione lepsze czasy. Nic ona



nie mówi, żeby kiedy wrócić mogły znowu. Tytuł jej jest: Pałac nawiedzany.

— „W jednej z najzłotejszych naszych dolin zamieszkałej przez dobre anioły, wznosił się niegdyś piękny i wspinały pałac cały w światłach. Był to w państwie królowej Mysli. Nigdy skrzydło Serafina nie osłaniało budowy w połowie tyle pięknej, co ten pałac promienisty.....

Wędrowcy przechodzący przez tę dolinę szczęśliwą, mogli oglądać po przez dwa jasne okna orszaki dobrych duchów, snujące się harmonijnie przy dźwięku strojnej lutni, w około tronu wspinałej królowej.

A brama pięknego pałacu uśmiechała się kością słoniową i koralem, i płynęły przez nią nieustannie tysięczne echa, których słodkim obowiązkiem było wyśpiewywać dźwięcznie roztropność i mądrość władczyni.

Ale synowie udręczenia w szatach żałobnych targnęli się na władzę królowej. Płaczmy! bo już nigdy blask dnia jutrzejszego nie zaświta tej nieszczęśliwej. Chwała jej nawet jest już dzisiaj tylko mglistym wspomnieniem dawnych zapadłych czasów.

I dziś wędrowcy idący doliną, widzą tylko po przez zacerwienione okna, postacie niepewnych kształtów, snujące się niespokojnie wśród dysharmonijnych dźwięków. A tymczasem, zbladłemi drzwiami, na podobieństwo żałobnego a rwistego strumienia wali się poczwarna tłuszcza pękając ze śmiechu — bo nie umie się już uśmiechać.” —

Kogóż nie rozżęskni to łzawe dumanie? Któż nie pozna w tej smutnej harmonii, głosu spowiedzi wydobytego z pod serca? Niestety! własna to dusza śpiewaka jest tym promienistym niegdyś pałacem, dziś rozpadającym się w gruzy i nawiedzanym przez dręczące duchy. Onto, a nie kto inny, nie umie się już uśmiechać i dlatego sztydzić musi. A przecież siedlisko jego jest jak i wprzód w zielonej dolinie nadziei.....—

Takim był Edgar Poe. Jeśli wolno go podziwiać, to też go i pożałować należy. Ma Ameryka swoje proroki, które udręczają na wszelki przypadek, w obawie zapewne, czy nie są fałszywymi. Na jej obronę powiedziecby można, że się to dzieje bez jej wiedzy, ale cóżto za obrona! Łatwiej podobno obronić gorzałkę Poego, niż systema-

tyczne upijanie się Kalifornią wielu milionów rozsądnej, praktycznej ludności, która to tylko uważa za nie swoje, co nie ma bezpośredniej styczności z hegemonią przemysłową aż do humbugu włącznie. Tam wszyscy równi—wyjąwszy tego, który rządzi narodem. Tam każdy w braku korony ma przynajmniej czapkę na głowie, jemu tylko jednemu świecić gołą łysiną, żeby wiedział, że on sługa wszystkich. Tam także człowiek mający skroń promienistą, potrzebuje zapewne zwlec z siebie ozdobę nie jedną, żeby mu przebaczone wreszcie złote wkoło głowy światła, których niepodobna zrealizować na dolary.

W Strykowie, d. 11 lipca 1861 r.



# CZARNOKSIĘŻNIK.

DRAMAT KALDERONA DE LA BARKA

W TRZECH AKTACH.

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

*Bolesław Wiktor.*

---

## OSOBY.

CYPRYAN.

DJABEL.

FLORUS.

RZĄDCA Antyochii.

LELIUS, syn jego.

LEANDER, starzec.

JUSTYNA, mniemana jego córka.

MOSKON, { służący Cypryana.

KLARYN, {

LIBIA, służąca Justyny.

FABIUSZ, służący Rządcy.

Straż.

Lud.

*Rzecz dzieje się w Antyochii, mniemana jego córka.*

*Rzecz dzieje się w Antyochii, prowincji rzymskiej, w IIIcim wieku po Chrystusie.*

## AKT I (\*).

### SCENA I.

(Piękna okolica w górach).

*Wchodzi CYPRYAN w szatach uczonego, za nim KLARYN i MOSKON w ubraniu uczniów niosą księgi.*

Cypryan. Pośród kwiatów, w drzew gęstwinie,  
W wdzięcznych gajów tych obszarze,  
Milój każda chwila płynie,  
Niżli w miejskim życia gwarze;

(\* Za wstęp do niniejszego dramatu służy rozprawa tłumacza *O dramacie hiszpańskim i o Calderonie*, zamieszczona w numerze sierpniowym Biblioteki Warsz. 1859 r.



W księdze znajdę towarzysza.  
 W Antyochii wielkie święto,  
 Uroczysty dzień Jowisza:  
 Do świątyni niosą nową  
 Jego posąg marmurowy.  
 Ot już obrzęd rozpoczęto,  
 Na ulicach hałas, wrzawa,  
 Lud weselem się napawa.  
 Ale za tępą ja nie gonię,  
 Do samotni tej się schronię  
 W drzew i krzewów labiryncie;  
 Lecz wy idźcie, nie omińcie  
 Sposobności do zabawy;  
 A gdy słońca okrąg krwawy  
 W głębi morskich fal zatonie,—  
 Co okryte chmury nocą,  
 Jak grób srebrny zamigocą,  
 W którym złote spoczną zwłoki,—  
 To zwracajcie wasze kroki  
 W to najdroższe mi ustronie.

**Moskon.** JAKO? kiedy lud się cieszy,  
 Gdy do grodu każdy spieszy,  
 By podziwiać społem zbliżka  
 Te obrzędy, widowiska,  
 Pełne blasku i potęgi;  
 Ciebie razi to wesele,  
 Chcesz sam zostać z twemi księgi?

**Klaryn** (do *Cypryana*). Światłe zdanie twoje dzielę:  
 Te pochody uroczyste,  
 Tańce, śpiewy, te orszaki,  
 To dzieciństwo oczywiste.

**Moskon** (do *Klaryna*). Człęk, karmiony zawsze szpaki,  
 Nie wypowie to, co czuje,  
 Tylko zawsze potakuje.

**Klaryn.** To mi człowiek co się zowie!  
 Fałsz zarzucać śmie mi w oczy;  
 Bądźże grzecznym choć troszeczkę.

**Cypryan.** No porzućcie już mędrcomie  
 Tę odwieczną waszą sprzeczkę;  
 Dalej! A gdy noc otoczy  
 Świat w osłony swojej cienie,  
 Powracajcie w to schronienie.

**Moskon** (do *Klaryna*). Kto na uczty skargi szerzy,  
 Nie wiem czy mu iść należy.

**Klaryn.** Lecz kto radą drugich raczy,  
Postępować zwykł inaczej.

**Moskon.** Ach! do Libii gdyby grotem,  
Gdyby ptaka lecieć lotem!  
(*Odchodzi.*)

**Klaryn.** Libio moja! ty jedyna!  
Kiedyż przyjdzie ta godzina,  
Gdy mą będziesz kochaneczką,  
Mą pieszczotką, mą Libieczką?

## SCENA II.

**Cypryan** (*sam*). Sam tu jestem; więc w tej chwili  
Gdy duch władze swe wysili,  
Choć żadnego klucza niema,  
To zadanie może zbada,  
Które duszą moją włada,  
W zawieszeniu ciągłym trzyma,  
Odkąd w księdze Pliniuszowej  
Tajemnemi czytam słowa  
Tego Boga określenie,  
W którym wszystkie tajemnice  
Mają swoje zjednoczenie:  
Ach! czyż wąż jaki schwyć?  
(*Siada i czyta.*)

## SCENA III.

CYPRYAN i DJABEŁ.

**Djabeł** (*wchodzi w bogatym ubraniu*).

(*Do siebie.*)

Nadaremne twe badanie,  
Próżno szukać chcesz Cypryanie,  
Co przed tobą moc ma skrywa.

**Cypryan.** To głos jakiś się odzywa!  
Kto tu idzie?

**Djabeł.** (*stając przed Cypryanem*). Jam wędrowiec,  
Co w gęstwiny tej manowiec  
Od poranku zabłąkany,  
Aż mój piękny koń bułany  
Padł bezsilny, martwy prawie,  
Tam się pasie na murawie,  
Która jak płaszcz szmaragdowy  
Stroi wzgórze i parowy.

Do Antyochii w ważnej sprawie  
 Dążę, a czas próżno trawię,  
 Gdyż troskami sfrasowany  
 Nie dostrzegłem, że dworzany  
 Zostawili mię samego;  
 I ot pośród wzgórza krążę,  
 Myśląc, że do celu dążę.

**Cypryan.** Nie pojmuję, wyznam szczerze:

Te wysokie widzisz wieże,  
 Co w obłoki szczytem biega?  
 Więc podobnaż z drogi zboczyć,  
 Gdy je wszędzie można zoczyć?  
 Pierwsza lepsza droga w borze,  
 Czyto prosta, czyto kręta,  
 Poprowadzić w miasto może.

**Djabeł.** Tak z ciemnotą gdy nadęta:

Chociaż w świetle wiedzy gości,  
 Zawsze ślepa przy mądrości.  
 Ale to rzecz niewłaściwa:  
 Gdy zdaleka kto przybywa,  
 Wejść do miasta pośród mroku  
 I na każdym błądzić kroku;  
 Więc zostanę tu do ranka,  
 A tymczasem pogadanka.  
 Twoja postać, twe ubranie,  
 To w samotni ksiąg czytanie,  
 Tak to wszystko mi dowodzi,  
 Żeś głęboko jest uczony:  
 Wielcem z tego ucieszony,  
 Bo nauka mię obchodzi;  
 Takich ludzi z serca cenię.  
 Przyjm więc moje uwielbienie.

(Siada).

**Cypryan.** Więc nauki także badasz?

**Djabeł.** Nie, jednakże jestem w stanie  
 Dać o wszystkim moje zdanie.

**Cypryan.** Ale głównie co posiadasz?

**Djabeł.** Wszystkie w świecie znam nauki.

**Cypryan.** Któż dokaże takiej sztuki?

Nawet życia nam za mało,  
 Żeby jedną znać gruntownie;  
 A ty mówisz to tak śmiało,  
 Żeś bez pracy i bez trudu  
 Posiadł wszystkie.

**Djabeł.** Nieodzownie,

Bo ja mieszkam w państwie takim,  
 Gdzie bez pracy wszystko wiedzą.



**Cypryan.** Gdybym mógł być twym rodakiem!  
To kraj szczęścia, to kraj cudu.  
Tu, im dłużej czego śledzą,  
Tém się stają ciemniejszymi.

**Djabeł.** A że baśni ci nie prawie,  
To ci powiem, że o sławie  
Zamyślałem profesora  
Pierwszej w kraju akademii;  
Nie jednego promotora  
Znalazł między najmędrszemi.  
Inny palmę wziął pierwszeństwa;  
Ale przecież są zwycięzcy,  
Co cześć czynią zwyciężonym.  
O czém jesteś zamyślonym?  
Bo ja z góry jestem w stanie  
Zwalczać każde twoje zdanie,  
Choćby było najprawdziwsze.

**Cypryan.** Ach! to chwile najszcześniejsze,  
Gdy z kim mogę wieść rozprawy;  
Oto pojąć jam ciekawy  
Jedno miejsce u Pliniusza,  
Co mię gnębi, niepokoi,  
Do rozpaczy prawie zmusza,  
Wydrze siłę myśli mojej:  
Czémże jest ten bóg nieznany?

**Djabeł.** Ot masz miejsce to bez zmiany:  
Bóg najlepszym, wszechmogącym,  
Wszechobecnym, wszechwiedzącym.

**Cypryan.** Tak jest.

**Djabeł.** W czémże trudność leży?

**Cypryan.** W tego Boga nikt nie wierzy,  
Bo takiego Boga niema;  
Wszak pierwszeństwo Jowisz trzyma  
Pośród licznej bogów zgrał:  
On najlepszym? Wszak ułomne  
Jego życie: dość gdy wspomnę  
Los Europy i Danał.  
Gdzie najwyższe dobro gości,  
Gdzie działania boskie, święte,  
Czyż to w płomień namiętności  
Ziemięski może być objęte?

**Djabeł.** Lecz to wszystko ludu baśnie,  
W które mędracy świeccy właśnie  
Chcieli mądrość swą ustroić.

**Cypryan.** Możeż mnie to zaspokoić?

Wszak cześć, urok niezbadany  
 Nas od bogów mają dzielić,  
 By nikt nie mógł się ośmielić  
 Na nich nawet się użalać,  
 Lub zarzutem hołd ich skalać.  
 Jeśli dobrem bóg prawdziwym  
 Czemuż w gniewie tak żarliwym  
 Między sobą walczą bogi?  
 Czemu różne ich są drogi?  
 Czyż się nieraz nie wydarza,  
 Że u różnych bóstw ołtarza  
 Dwóm wyrocznia wrogom powieć,  
 Że zwyciężą? I wodzowie  
 Biegną śmiało gdzie cześć wzywa;  
 A wtém jeden z nich przegrywa.  
 Otóż powiedz, przyjacielu:  
 Do jednego mogąż celu  
 Sprzeczne wole doprowadzić?  
 Jeśli jedna sprawiedliwa,  
 To już druga niegodziwa.  
 Więc gdy bogi walkę wiodą,  
 Rozdzieleni tą niezgodą,  
 Jasnny wniosek ztąd wypływa:  
 Śród nich dobro nie przebywa.

**Djabeł.** Choć się człowiek nieraz biedzi,

Tych wyroczni odpowiedzi  
 Nie odgadnie, nie oceni;  
 Bo przed okiem śmiertelnika  
 Cel przeznaczeń się ukrywa:  
 Nieraz tym, co zwyciężeni,  
 Pomyślniejszą jest przegrana,  
 Niżli cześć dla przeciwnika.

**Cypryan.** Na cóż mylna obietnica

Zwyciężonym była dana,  
 Gdy wszechmocna bóstw żrenica  
 Naprzód widzi kto bój wygra?  
 Więc bóg słowem swoim igra?

**Djabeł.** Lecz wyrocznie nie chcą zwodzić,

Tylko w każdym zapał rodzić.

**Cypryan.** Na to przecież są geniusze,

Które śród nas się przechodzą,  
 Co do złego wiodą duszę,  
 Lub w niej zacne chęci rodzą;  
 Z wiary o nich dowód płynie,  
 Że duch z śmiercią nie zaginie.

Więc niech bóstwo przez nie wpływa,  
Na namiętność, myśl człowieka,  
A do fałszu nie ucieka;  
Bo fałsz to rzecz niegodziwa.

**Djabeł.** Sprzeczność w rzeczy takiej małej  
Bóstw jedności nie wyklucza;  
Że są w zgodzie doskonałej,  
O tém człowiek nas poucza,  
Człowiek istny cud stworzenia.

**Cypryan.** Więc Bóg, który go utworzył,  
Snadź już innych wpierw ukorzył;  
Bo inaczej mocby mieli  
Jego dzieło uniweczyć  
W każdej chwili. A jeżeli  
Jedni drugim mogą przeczyć,  
Równi siłą, różni w chęci,  
Któryż drugich przewycięży?

**Djabeł.** Kto w fałszywe argumenta  
Zgubnie swoją myśl opęta,  
Ten rozsądku nie przynęci  
I daremnie czas zmitręży,  
Temu niema odpowiedzi;  
Ale jakież dalsze wnioski?

**Cypryan.** Bóg jest jeden, wszechmogący;  
On najlepszy, wszechwiedzący,  
Bez początku i bez końca,  
Stwórca świata, gwiazd i słońca,  
Nieomylny, sprawiedliwy,  
I najwyższy i prawdziwy;  
A choć wieloosobowy,  
W swój istocie jeden zawdy.

(*Wstaje.*)

**Djabeł (z goryczą).** Mądrość mówi twemi słowy;  
Trudno jawniej przeczyć prawdy.

**Cypryan.** To ci przykro.

**Djabeł.** Ha! cóż robić,  
Gdy się tobie dałem pobić,  
Ja com w rozum mój tak wierzył,  
Żem się nieraz z mędrcy mierzył.  
Choć odpowiedź mam gotową,  
Nie chcę walczyć już na nowo,  
Bo tam widzę ludzi w dali;  
Więc poproszę, by wskazali  
Gdzie do miasta jest najbliżej;  
A więc żegnaj.



**Cypryan.** Idź w pokoju.

**Djabeł** (*na stronie*). Tyś twą mądrość wzniosł najwyżej,  
Więc cię w innym zwalczę boju;  
Już nie weźmiesz ksiąg do ręki,  
Gdy przywabią ciebie wdzički;  
I Justynę w sidła schwycę,  
Na raz zemsty dwie nasycę.  
(*Odchodzi*).

## SCENA IV.

**Cypryan** (*sam*). To człek dziwny, przybył w porę.  
Nic mój myśli tu nie kłóci;  
Więc raz jeszcze rzecz rozbioreę  
Zanim służba ma powróci.

## SCENA V.

LELIUS i FLORUS (*wchodzą*).

**Lelius.** Tu zostańmy; tylko skały  
I te ciemne drzew gęstwiny,  
W które promień się nie wkradnie,  
Będą na nasz bój patrzyły.

**Florus.** Tak, z nas jeden trupem padnie!  
Już dość słów, a teraz czyny!

**Lelius.** W ciszy niemy język stali  
Niech przemawia! A więc dalej!  
(*Dobrywają miecze i walczą*).

## SCENA VI.

CIŻ SAMI i CYPRYAN (*który staje pomiędzy niemi*).

**Cypryan.** Co to znaczy Leliu, Florze?  
Otom pośród was bezbronny!

**Lelius.** Cypryan! tyś tu, o tej porze!  
Nie kłóć zemsty mój dozgonnej.

**Florus.** Jak duch leśny niespodzianie  
Zkąd się wziąłeś tu Cypryanie?

## SCENA VII.

CIŻ SAMI oraz MOSKON i KLARYN

*Moskon (wchodząc do Klaryna).*

Spieszmy! pan nasz napadnięty.

**Klaryn.** A mnie na co bój zawzięty?

Mnie mój żywot bardzo drogi;

Więc ja sobie dalej w nogi!

**Moskon i Klaryn (do Cypryana).** Panie!**Cypryan.** Idźcie! ani słowa!*(do Fubiusza i Leliusza).*

Jakto? wielcy przyjaciele,

Którzy miasta są ozdobą,

Całą sławą i nadzieją,

Teraz na śmierć walczą z sobą;

Zamiast wielkie spełniać cele,

Mogą wzajem krew przeleją!

**Lelius.** Cześć dla ciebie miecz powstrzyma,

Lecz do pochwy go nie włoży.

To nie z księgą teraz sprawa:

Pojedynku inne prawa;

Gdy dwóch szlachty gniew rozstroży,

Zjednoczenia środka niema:

Jedna tylko śmierć ich zbrata.

**Florus.** Tak, to prawda; więc co mamy

Próżno zwłóczyć? Nie kładź tamy,

Porzuć rady twe, Cypryanie,

Bo to tylko czasu strata.

**Cypryan.** Wy sędzicie, żem nie w stanie

Pojedynku pojąć prawa;

I mnie rodu mego sława

Obowiązek poznać wkłada:

Co jest hańbą, co zaszczytem.

A choć dziś mną żądza władza

Zbadać to, co nie odkrytem,

Ma odwaga nie usnęła,

I jam gotów jest do dzieła;

Czyliż księga raz z orężem

Bratnią dłonią się sprzymierzy?

Jeśli zacnym ten jest mężem,

Co wyzwany na bój bieży,

To was hańba nie dosięże;

Więc do pochwę te oręż!

Lecz powiedzcie, zkąd was dzieli

Taka zawiść, złość zawzięta;  
 A przyrzekam, że jeżeli  
 Walka wasza słusznie wszczęta  
 Dla obrazy jakiej zmycia,  
 To nie mieszam się już wcale:  
 Nie żałować wtedy życia,  
 I natychmiast się oddałą.

**Lelius.** Myśmy oba rozkochani:  
 Najpiękniejsza pośród miasta  
 Owładnęła nas niewiasta;  
 Więc o życie walczym dla niej:  
 Innéj na to nie ma rady,  
 Bo czyż można wejść w układy?

**Florus.** Nie chcę nawet, by zuchwało  
 Słońce na nią spoglądało;  
 A więc nie ma tu sposobu:  
 Jakaś przyrzekł, zostaw obu.

**Cypryan.** Zaczekajcie, jeszcze jedno:  
 Możnaż szła w nią tak rozżarzyć,  
 O zwycięztwie żeby marzyć?

**Lelius.** Przy niej wszystkie cnoty bledną;  
 A napróżno Flor zazdrości-  
 Słońcu jego zuchwałości;  
 Bo czyż słońce się odważy  
 Tój cudownéj przyjrzyć twarzy?

**Cypryan.** Chciałbyś pojąć ją za żonę?

**Florus.** To najszczerze me żądanie.

**Cypryan.** (do *Leliusa*). I ty?

**Lelius.** Wierzaj mi Cypryanie,  
 Wtedy byłoby ziszczone  
 Najgorętsze me pragnienie;  
 Choć ubogie jest jój mienie,  
 Cnota stanie jój za wiano,  
 Wraz z pięknością niezrównaną.

**Cypryan.** Gdy ją oba pojąć chcecie,  
 To powiedzcie, jak możecie  
 Jój bez zmaży kalać sławę?  
 Cóż świat powie, gdy to krwawe  
 Zajście mordem się zakończy,  
 A zabójca z nią się złączy?  
 Nie chcę wcale, byście razem  
 O jój rękę się starali;  
 Tę myśl niecną, któż pochwali?  
 Kto rzecz taką puszcza płazem,



Ten swój hańby nie dostrzeże;  
Lecz powiedzcie tylko szczerze,  
Kogo ona z was przekłada?

**Lelius.** Dość już tego! to mi rada!  
Iść i pytać, kto pozyska  
Ję przychylność, to rzecz niska!  
Jeszcze żądać, żeby rzekła  
Komu pragnie oddać rękę!  
Mnie wybierze, — cierpię mękę:  
Bo mię zazdrość zgnębi wściekła,  
Że Flor kochać się ośmiela  
Tę, co miłość mą podziela.  
A jeżeli on szczęśliwszy,  
Doznam męki jeszcze żywszej.  
Więc być może rozstrzygnioua  
Tylko mieczem nasza sprawa:  
Dla jednego czci obrona,  
Dla drugiego zemsta krwawa!

**Florus.** Słuszne wtedy twoje zdanie,  
Gdy kobieta jest wietrznica,  
Rzuca wnet co ją zachwyca,  
W ciągłej uczuć żyje zmianie.  
Jam szedł śmiało na bój krwawy,  
Dobylśmy oba miecze:  
Możem przestać bez niesławy,  
Bo rzecz tylko się odwlecze.  
Cypryan na przeszkodzie staje,  
Więc do ojca się udaje.

**Lelius.** W części jestem przekonany;  
Do ję ojca też pospieszę.  
(*Oba chowają miecze.*)

**Cypryan.** Ja się bardzo z tego cieszę.  
Gdy cześć waszjéj ukochanej  
Taka czysta i bez zmazy,  
To być może, że ję skazy  
Żadnej przez to nie zadacie,  
Że się razem ubiegacie;  
Lecz powiedzcie, kto jest ona,  
Gdyż być musi uprzedzona  
Nim z nią ojciec mówić będzie;  
Mam stosunki w mieście wszędzie,  
Więc wam będę pośrednikiem.

**Lelius.** Słusznie mówisz.

**Florus.** To Justyna!

**Cypryan.** Słabe wasze są pochwały,  
One wątłym są promykiem,

Co przedstawia świetność słońca;  
 Niech nią pyszni się kraina:  
 Bo jój piękność czarująca,  
 Cnoty budzą hołd wspaniały.  
 Więc już idę ją odwiedzić,  
 O wyborze się dowiedzieć.

**Florus.** O niebiosa! na mą stronę  
 Skłońcie serce niewzruszone!  
 (odchodzi).

**Lelius.** W niepewności aż truchleję!  
 Zwińcz miłości nie nadzieje!  
 (odchodzi).

**Cypryan.** Nieba! dajcie wsparcie temu,  
 Co zapobiedz pragnie ztemu!  
 (Odchodzi).

## SCENA VIII.

### MOSKON i KLARYN

**Moskon.** Czy słyszałeś co się dzieje?  
 Cypryan poszedł do Justyny.

**Klaryn.** Mnie to wcale nie obchodzi,  
 Ani ziębi, ani grzeje.

**Moskon.** Nic nie mówię bez przyczyny:  
 Niechaj wasze tam nie chodzi.

**Klaryn.** A to czemu?

**Moskon.** Bo usycha  
 Dla Libieczki serce moje,  
 I gorąco tego żąda:  
 Niechaj do niej nikt nie wzdycha,  
 Niech nań słońce nie spogląda.

**Klaryn.** Ja tam o to tak nie stoję,  
 Żeby bić się dla miłości.

**Moskon.** Chwałę zdanie jegomości,  
 Pójdźmy, niechaj nam objawi:  
 Kto ją nudzi, kto z nas bawi.

**Klaryn.** Nie wiem o co się założę,  
 Że na koszu ja zostanę!

**Moskon.** Czemuż dajesz za wygranę?  
 Któż to z góry zgadnąć może?

**Klaryn.** Bo te panny wyuczone,  
 Zawsze łotrów biorą stronę!

## SCENA IX.

Mieszkanie Lizandra.

*Wchodzą: JUSTYNA i LIZANDER.*

**Justyna.** Smutek serce me przygniata,  
 Żem bezbożność tę widziała,  
 Gdy kraina prawie cała  
 Jakby Bogu, panu świata,  
 Na ołtarzu wieńce spleta  
 Posągowi, co ze spiżu  
 Ręka ludzka utoczyła;  
 W tém jest chyba piekiel siła,  
 Bo prawdziwy Bóg na kryżu  
 Cześć tajemną ma w pobliżu.

**Lizander.** Pomnij, żeś ty chrześciana.  
 Czyżbyś Boga chrześcian czciła,  
 Gdybyś też twych nie roniła  
 Do wieczoru od poranka,  
 Że twa wiara jak wgnanka  
 Dzisiaj tak jest znieważoną.

**Justyna.** Tak, ja chcę być ciebie godną,  
 A nie córką twą wyrodną,  
 Niech te żale mnie pochłoną!

**Lizander.** Czemuś nie jest mą rodzoną?  
 Tém się jedném zawsze smucę,  
 Żeś nie moją jest Justyno!  
 O nieszczęsna ma godzino!  
 Cóżem wyrzekł? Już nie wrócę!  
 Poczóż spokój biednej kłóćce?

**Justyna.** Co ty mówisz? Powiedz, panie.

**Lizander.** Strach tak przejął serce moje,  
 Żę się w siebie spojrzeć boję.

**Justyna.** Nieraz słysząc to wyznanie,  
 Byłam trwożna niesłychanie;  
 Pytać o tom się nie śmiała:  
 Ale teraz, pełna trwogi  
 Błagam powiedz, panie drogi.  
 Jak sierotą jam się stała,  
 Bo spokojubym nie miała.

**Lizander.** Dotąd kryłem tajemnicę  
 Twego życia, urodzenia;  
 Lecz się z czasem wszystko zmienia:  
 Ty wyrosłaś na dziewicę,



Rozum krasi twoje lice;  
 Ja do ziemi już się chyłę,  
 I podpory w kiju szukam,  
 Do wrót grobu niby pukam,  
 Policzone moje chwile;  
 Przemilczałem czasu tyle,  
 Ale dłużej się nie godzi:  
 Obowiązekbym mój zламаł,  
 I napróżno tobie kłamał.

**Justyna.** Smutek w duszy mój się rodzi,  
 I dreszcz trwogi mię przechodzi!

**Lizander.** Więc ci powiem tajemnicę:  
 Jam Lizander, prócz imienia,  
 Nie słyszałaś o mnie wcale.

*(Po chwili milczenia)*

Ja pojmuję, że twe lice  
 Tak jest pełne podziwienia.  
 Słuchaj: ten gród, co wspaniale  
 Jako hydra siedmiogłowa  
 Siedem wzgórz ku niebu wznosi,  
 I swą wolę świata głosi,  
 Co cesarów jest siedliskiem,  
 Rzym rodzinném móm ogniskiem.  
 Tam mieszkali me rodzice,  
 Choć nie znani i ubodzy,  
 Lecz pamięci mojej drodzy,  
 Pochodzeniem tém się szczycę:  
 W naszej wierze urodzeni,  
 Cnoty w spadku przekazali.  
 Ich ojcowie umęczeni,  
 Palmę świętą pozyskali,  
 I w tryumfie na dziw ludu  
 Zakończyli życie trudu.  
 I ja nie chcę ujść zagłady,  
 Obym wstąpić mógł w ich ślady!  
 Kiedym wyrósł na młodziana,  
 W Aleksandrze miała pana  
 Rzym stolica chrześcijaństwa;  
 Lecz w ukryciu od pogaństwa,  
 Co jak tygrys poi oczy,  
 Gdy męczeńską krew wytoczy.  
 Kościół, matka naszej wiary  
 Zemsty wrogów się nie boi,  
 Daje wiernych na ofiary;  
 Lecz przez wierne swoje stoi,  
 Więc je chroni: bo jeżeli  
 Wszyscy razemby zginęli,  
 Gdzieżby znalazł się wybrany,

Coby uczyć szedł pogany,  
I ogłaszał Boże słowo,  
Biorąc za to śmierć krzyżową?  
Papież mię pobłogosławił,  
I uświęcił na kapłana,  
Potém wołę swą objawił:  
„Oto tobie moc jest dana,  
W Antyochii żebyś głosił  
Słowo Boże w tajemnicy,  
A w potrzebie i śmierć znosił  
Jako Pańscy męczennicy”  
Więc stosownie do rozkazu  
Rozpocząłem wędrowanie;  
Aż wtém oto ujrzę zrazu,  
Śród pustyni niespodzianie  
Złote w niebo biegną wieże;  
Lecz wnet słońce swe przymierze  
Z dniem zerwało; w miejsce swoje  
Gwiazd srebrzyste siejąc roje,  
Jak pochodnie śród ołtarzy,  
Towarzysze méj ofiary.  
Gdy tak dążę przez pustynię,  
Naglem znalazł się w gestwinie,  
Gdzie mię niby chmur obszary,  
Otoczyły nagle nocą  
Liście za dnia tak zielone.  
I już gwiazdy nie migocą,  
I ot serce me strwożone!  
Tum chciał czekać blasku słońca;  
Wyobraźnia pałająca  
Tajemnicze swe rozmowy  
Z samotnością rozpoczęła;  
A wtém jakby jęk grobowy,  
Głos z innego niby świata,  
Niewyraźny mnie dolata,  
Niby dusza, gdy żałobą  
Zdjęta sama mówi z sobą.  
Trwoga straszna mię przejęła,  
Zmysły zbiegły się do ucha;  
Lecz niczego nie podsłucha:  
Tylko liściem wiatr kołyszę.  
Znow głos kłóci niemą ciszę;  
To ostatni jęk boleści,  
Konający głos niewieści.  
Cisza; znowu ją przerywa  
Głos mężczyzny: „Niegodziwa!  
• Coś krew zaczął pohańbiła,  
Lepiej z ręki méj giń marnie,

Nim nikczemny kat męczarnie  
 Tobie z ręki swojej zada!  
 Już godzina twa wybiła!"  
 A niewiasta odpowiada:  
 „Więc jeżeli nie nademną,  
 To się zlituj nad krwią własną!”  
 By przeszkodzić strasznej winie  
 Biegnę tam, lecz nadaremno:  
 Jeździec w lasu znikł gęstwinie.  
 Słyszę łkania, co wnet gasną,  
 I znów słowa przerywane:  
 „Jam niewinna! przed sąd stanę,  
 Jako dusza chrześcijańska;  
 Męczennica jestem Pańska.”  
 Ot niewiastę tę znajduję,  
 Lecz już z śmiercią się mocuje;  
 Spojrzy, rzeknie z wysileniem:  
 „Kiedyś mąk mi zadał tyle,  
 I ostatnią wydrzyj chwilę.”  
 A ja na to: móm pragnieniem  
 Jest nieść pomoc ci w niedoli;  
 Może niebo mię przysyła.”  
 — „Dziękic, człeku, dobrej woli!  
 Śmierć za chwilę mię nie minie;  
 Oby litość twa zwróciła  
 Się ku biednej tój dziecinie,  
 Co powstanie z mój mogiły:  
 Ból dziedzictwem jego całym!”  
 A wtém nikną już jój siły,  
 I już kona; wtém ujrzałem....

## SCENA X.

CIŻ SAMI i LIBIA.

Libia (do *Lizandra*).

Twój wierzyciel wszedł ze strażą,  
 I do ciebie wieść się każą;  
 Rzekłam, że cię nie ma w domu.  
 (*Wskazując mu drzwi boczne*)  
 Uchodź tędy po kryjomu.

**Justyna.** I przeszkadzać wtedy muszę,  
 Gdym zawisła całą duszą,  
 U tój strasznej twój powieści!  
 Ale trudno, uchodź panie:  
 Sąd cię w ręce nie dostanie.



Lizander. Ileż człowiek nie przeboli,  
 Żyjąc w nędzy i niedoli.  
*(Odchodzi).*

## SCENA XI.

JUSTYNA i LIBIA.

Justyna. Słyszę szelest i wołania;  
 Widać idą do mieszkania,  
 Domyślając się fortelu.

Libia. Nie, to Cypryan.

Justyna. W jakim celu?

## SCENA XII.

TEŻ SAME, CYPRYAN, KLARYN i MOSKON.

Cypryan. Służyć wam jest mém życzeniem;  
 Otóż widząc z przerażeniem,  
 Jak dopiero co w téj chwili  
 Ztąd pachołcy wychodzili,  
 —Żapragnałem się dowiedzieć,...

*(Do siebie)*

Coś mię trwoży i przeraża!

*(Do Justyny)*

Czy nie możnaby uprzedzić...

*(Do siebie)*

Dreszcz przebiega moje żyły!

*(Do Justyny)*

Złego, które wam zagraża.

Obowiązek dla mnie miły...

*(Do siebie)*

Krew, to żarzy, to lodnieje,

Nieba, co się zemną dzieje!

Justyna. Niech was niebo ma w opiece,  
 Żeście dobrzy tak dalece:  
 Przychodźcie zawsze prawie  
 Wspierać w każdej trudnej sprawie..

Cypryan. Zawsze służyć wam gotowy

*(Na stronie)*

Cóż mój język i myśl płacze?

Justyna. Ojciec wyszedł.

Cypryan. Więc rzecz kończę,

-I krótkimi powiem słowy:  
 W odwiedzinach mam cel drugi.

**Justyna.** A więc jestem na usługi.

**Cypryan.** Zatem słuchaj mój powieści.

Ty piękności ziemskiej wzorze,  
W tobie, w cudnym swym utworze  
Bóstwo wdzięki boskie mieści.  
O! nie zaznaj téj boleści,  
Która serce moje pali!  
Z rąk mych spokój twój odbierasz,  
A mnie za to mój wydzierasz!  
Któż nademną się uzali,  
Kto z niedoli téj ocałi?  
Lelius, Florus, w tobie szczerze  
Zwłaszcza pierwszy rozkochani,  
Dla bogini, dla swój pani  
Pragnąc życie nieść w ofierze,  
Walczą z sobą jak szermierze;  
Lecz nadszedłem szczęściem w porę:  
Dla cię bić się nie dozwalam,  
I od śmierci ich ocalam;  
Za to z ręki twój śmierć biorę!  
Wszak pospólstwo bardzo skore  
Do potwarzy i obmowy:  
Nie chcąc miejsca dać zgorszeniu,  
Tu przychodzę w ich imieniu.

*(Do siebie)*

Dniu nieszczęsny, dniu grobowy!

Parko, przetnij me osnowy!

*(Do Justyny)*

Więc niech słowo twe rozstrzyga,

Ostatecznie niech wyrzeka:

Kogo dzisiaj szczęście czeka.

*(Do siebie)*

Im nadzieja zdala miga,

Mnie los zgubny tylko ściga.

*(Do Justyny)*

Wybranego śmiertelnika

Uwiadomię: niech się cieszy,

Niech do ojca twego spiesz!

*(Do siebie)*

Mnie nadziei i promyka!

Ziemia z pod stóp się umyka!

**Justyna.** Zkądże mówić tak zuchwale

Ciebie jakiś szal poduszczą?

Aż przytomność mię opuszczą!

*(Po chwili)*

To poselstwo i te żale

Niepotrzebne są tu wcale.

**Cypryan.** Gdybyś kogo ukochała,  
Tobym wtedy był zuchwały,  
Głosząc moich uczuć szale;  
Lecz tyś dotąd jako skała  
Fale uczuć odtrącała.  
Cóż powieździeć do Leliusza?

**Justyna.** Że zapomnieć mnie już pora.

**Cypryan.** Cóż stanowisz względem Flora?

**Justyna.** Niech mnie kryć się nie przymusza.

**Cypryan.** A mnie?

*(Na stronie).*

Z strachu aż drży dusza!

**Justyna.** Twoja miłość zbyt zuchwała.

**Cypryan.** W niej me bóstwo, mój kraj czarów.

**Justyna.** Gdy odmawia ci swych darów,

Więc napróżno twa pochwała.

Jużem wam odpowiedź dała.

*(Oboje odchodzą, każde w inną stronę).*

## SCENA XIII.

### LIBIA, KLARYN i MOSKON

**Klaryn.** Libio droga!

**Moskon.** Tyś jedyną!

**Libia.** Cóż odemnie znowu chcecie?

**Klaryn.** Tyś najdroższa nam na świecie!

Wszak łzy nasze dla cię płyną!

Kiedyż nasze troski zginą?

My zabijem się dla ciebie.

Lecz uniknąć chcąc obmowy,

Spór rozstrzygnij dwoma słowy:

Kogo wolisz, ten już w niebie,

Drugi w żalu się zagrzebie.

**Libia.** Trwoga-dreńczy mię straszliwa,

Nie wiem co się zemną dzieje.

Tracę rozum i truchleję!...

Myśl mi nowa się odkrywa:

Wezmę obu nieszczęśliwa!

**Klaryn.** Cóż to znowu za myśl dzika?

**Libia.** Już ty tylko bądź spokojny.

**Moskon.** Nie unikniem ciągłej wojny.



**Libia.** Z ciebie tylko wieczny sprzeka!

**Moskon.** Więc niech powie dobrodziejka.

**Libia.** Co dzień inny mym kochankiem.

(*Odchodzi.*)

## SCENA XIV.

KLARYN i MOSKON?

**Moskon.** Dzień dzisiejszy mnie należy.

**Klaryn.** Zgoda na to, jak najszczerzy;  
Jutro moja jest z porankiem.

**Moskon.** Więc jam dzisiaj jest wybrankiem!  
Szczęściem dusza moja wzrasta!

(*Chce odejść*)

**Klaryn.** (*Zatrzymując go*) Lecz zapewne znasz mię panie.

**Moskon.** I cóż znaczy to pytanie?

**Klaryn.** Pomnij ledwo brzmi dwunasta,  
Ona moją.

**Moskon.** Na tém basta!

(*Odchodzi*)

## SCENA XV.

Noc.—Plac przed domem Lizandra, w głębi morse.

LELIUS i FLORUS.

Lelius (*wchodzi*).

Ledwie ciemna noc złowrogi  
Płaszcz nad ziemią rozpościera,  
Biegnę patrzeć na jój progi,  
Gdzie myśl moja się przedziera;  
O! bo chociaż głos Cypryana  
Wstrzymał miecz mój dzisiaj zrana,  
Cóż uczucie me powstrzyma?  
Dlań hamulca wcale nie ma!

Florus. (*Wchodzi z przeciwnéj strony*).

Tu zostanę aż do świtu;  
Wszędzie smutek mię uciska,  
Tum jak ptak, gdy śród błękitu  
Do światłości mknie ogniska.  
O miłości! zwij zaranie,

Odpowiedzi zbliz godzinę!  
Spiesz się prędzěj, spiesz Cypryanie!  
Ja ożyję, albo zginę.

Lelius. Jakiś szelest tutaj słyszę.

Florus. To głoś jakiś kłóci ciszę.

## SCENA XVI.

CIŻ SAMI i DJABEL. (*który ukazuje się na krużganku domu Lizandra*).

Lelius. Mnie się zdaje, z jej mieszkania  
Na krużganek ktoś wychodzi.

Florus. Tam ktoś stoi! czy wzrok zwodzi,  
Mgłą urojeń się przesłania?

Djabeł. (*Do siebie*). W ten więc sposób dziś dokażę,  
Że Justyny cześć spotwarzę.  
(*Schodzi po drabince*)

Lelius. Co ja widzę, nieszczęśliwy?

Florus. O rozpaczy! ledwim żywy!

Lelius. Człowiek, czarno przyodziany,  
Tam się zsuwa koło ściany.

Florus. O zazdrości! wstrzymaj męki:  
Kto on taki, pierw chęć zbadać.

Lelius. Muszę wiedzieć, kto te wdzięki,  
Com postradał, śmie posiadać.

(*obaj z dobytymi szpadami zbliżają się ku domowi*).

Djabeł. (*Do siebie*). A więc celu już dopinam:  
Dziś Justynę potwarz splami,  
Przytém krwawą walkę wszczynam;  
Ot już dążą; więc otwieraj  
Się przepaści, rozpościeraj  
Mgłą przed obu ich oczyma!  
(*przepada się w ziemi, a wtém Lelius i Florus zbliżają się ku sobie*).

## SCENA XVII.

LELIUS i FLORUS.

Lelius. Bądź co bądź, ja muszę wiedzieć  
Ktoś jest: proszę mi powiedzieć.

**Florus.** Tyś ciekawy, kto był świadkiem  
 Twój rozkosznej tajemnicy;  
 Mnie ciekawość czczya nie skłania  
 Do osoby twój poznania:  
 Muszę wiedzieć, kto ukradkiem  
 Stał się panem tej dziewicy,  
 I kto zeszedł z jej kruzganku,  
 Gdy tam smutnie bez ustanku  
 Patrzą stojąc wśród ulicy.

**Lelius.** A to dobre co się zowie!  
 Chce mi gwałtem zepsuć w głowie,  
 I zuchwale we mnie wmawia  
 To, co właśnie on sam sprawia.  
 Lecz na boga, na mą duszę,  
 Kto ty jesteś wiedzieć muszę:  
 Mam przez ciebie wszystko stracić,  
 Musisz życiem to przypłacić.

**Florus.** Mnie twój wybieg nie oślepi:  
 Miłość twoja cię wyjawia.

**Lelius.** Próżno język twój rozprawia:  
 Miecz wyświeci wszystko lepiej.

**Florus.** A więc dalej do rozprawy!  
 (Walczą).

**Lelius.** Tak, jam wiedzieć jest ciekawy,  
 Czyjśm życiem ona żyje.

**Florus.** Zginę, albo to wykryje!

## SCENA XVIII.

CIŻ SAMI, CYPRYAN, KLARYN I MOSKON.

**Cypryan.** Powstrzymajcie bój zacięty!

**Florus.** Nic powstrzymać mnie nie może  
 W moim gniewie.

**Cypryan.** To ty, Florze!

**Florus.** Kiedy miecz jest w dłoń ujęty,  
 To nazwiska nie ukrywam.

**Cypryan.** W twój obronie miecz dobywam,  
 Godzę na śmierć przeciwnika.

**Lelius.** To mię strachem nie przenika,  
 Owszem jeszcze mniej się boję.



Cyprian. Lelius?

Lelius. To ja!

Cyprian. A więc stoję  
Między wami. Lecz dlaczego  
Drugie zajście dnia jednego?

Lelius. Już nie będzie tego dalej:  
Myśmy już się pojednali;  
Wiem ja teraz co się dzieje,  
Więc porzucam już nadzieję.  
A choć ciebiem wprzód zaklinał,  
Byś był moim pośrednikiem,  
Proszę, byś już nie wspominał,  
Ani przed nią, ni przed nikim,  
Żem ją kochał, o niej marzył,  
Miłość w sercu dla niej żarzył;  
Bo to wszystko nadaremnie:  
Dziś rzecz cała się odślania,  
Flor widuje ją tajemnie;  
Zszedł przed chwilą z jej mieszkania  
Ztąd z krążganku po drabinie.  
Niechaj miłość ma zaginie!

(*Odchodzi*)

Florus. Czekaj chwilę.

Cyprian. Niechaj idzie!

(*Do siebie*)

Drzę i wszystko mam w ohydzie.

(*Do Flora*)

Jeśliś zyskał, co on stracił,  
I chce puścić w zapomnienie;  
Tobys złém za dobre płacił,  
Powiększając mu cierpienie.

Florus. To wy oba mię dręczycie!  
Nie mów o mnie już z Justyną,  
Z niegodziwą tą dziewczyną,  
Co splamiła czyste życie.  
Tęj obrazy nie przebaczę,  
Nad zawodem srogim płaczę,  
Chociaż innéj nie ma rady,  
Jak tych uczuć zatrzeć ślady.

(*Odchodzi*).

## SCENA XIX.

CYPRYAN, MOSKON, KLARYN.

**Cypryan.** Co to znaczy? co ja słyszę?

Walcząc o nią tak zaciekli,

Nagle obaj się wyrzekli.

Niezawodna, że są w błędzie!

Lecz nadzieją się kołyszę:

Błogi skutek z tego będzie.—

Daj święteczne, Moskon, szaty;

Klaryn! pałasz, pióropusze!

Miłość lubi co powiewne,

Miłość lubi co przezrocze;

Ja weselić dziś się muszę.

Gdy przywdzieję strój bogaty,

Już się księgi nie otoczę;

Bo uczucie im nie krewne:

Szał uniesień w nas rozwija,

Ale wiedzę, myśl zabija.

(*Odchodzi.*)

## AKT II.

## SCENA I.

Plac przed domem Lizandra.

CYPRYAN, KLARYN i MOSKON. (*Wchodzą w świeżych szatach.*)

**Cypryan.** Myśli moje rozburzone!

Dokąd, dokąd mię niesiecie?

Zkąd ta śmiałość? czyliż wiecie,

Że wybuchy to szalone:

Gdy zuchwale jak Tytani

Aż ku niebu się piętrzycie,

A stanąwszy na zenicie

Przepadacie wnet w otchłani?

Pocóm widział tę Justynę,

Cudne lice, ten wzrok szczery,

Boską światłość czwartej sfery?

Ach przeklinam tę godzinę!

Tu dwóch o nią się rozprawia,

Wzajem hańbę jój zarzuca;  
 A ja nie wiem kto zakłóca,  
 Kto z nich serce me rozkrwawiał!  
 Rozjuszone furji zmije  
 Myśl mą szarpia, jad w nią leją:  
 To rozpaczą, to nadzieją,  
 To zazdrością tylko żyje!  
 I w tój walce, w ciągłej męce,  
 Wszystko inne mi nieznanem,  
 Bo Justyna mym tyranem:  
 Jój myśl, serce, duszę święcę. —  
 Pójdź Moskonie!

**Moskon.** Słucham panie.

**Cypryan.** Zobacz, czyli Lizandr w domu.

**Klaryn.** Nie, ja pójdę: dziś bez sromu  
 Moskon iść tam nie jest w stanie.

**Cypryan.** Zawsze śmieszne macie spory.

**Klaryn.** Bo się wzajem siebie boim:  
 Dzień dzisiejszy jest dniem moim,  
 On jutrzejszój panem pory.

**Cypryan.** Jeszcze znosić te niesnaski!  
 Nie, już żaden iść nie może,  
 Bo jak słońce na przestworze,  
 Tu Justyna rzuca blaski.

## SCENA II.

CIŻ SAMI, oraz JUSTYNA i LIBIA. (*Które dążą  
 ku domowi*).

**Justyna.** Nieszczęśliwam! Biada! biada!  
 Libio! patrz, to Cypryan stoi.

**Cypryan.** (*Do siebie*). Panem być zazdrości mojej,  
 Ukryć boleść mi wypada,  
 Zanin rzeczy nie wyjaśnię.  
 Tak, mą miłość jój wypowiem;  
 Zazdrość ciąży mi ołowiem,  
 I na ustach słowo gaśnie.

(*Do Justyny*)

Nie na próżnom wziął te stroje:  
 Do stóp twoich w nich się chyłę.  
 Okaż mi choć łaski tyle,  
 I przyjm korne służby moje:



W tém pociecha moja cała;  
 A któż wierniej ci usłuży?  
 Więc mi nie daj cierpieć dłużej,  
 Gdyś mi kochać zakazała.

**Justyna.** Widać, panie, że me słowo  
 Wpływu na cię mieć nie może,  
 Kiedy dzisiaj....

**Cypryan.** O, mój Boże!  
 Pragnie dręczyć mię na nowo.

**Justyna.** A więc jakże mam powiedzieć,  
 Że to wszystko nadaremnie  
 Chcieć wzajemność wzbudzić we mnie,  
 U drzwi mych na straży siedzieć:  
 Choćbyś czekał dni, miesiące,  
 Choćby lata, całe wieki,  
 Od nadziei bądź daleki:  
 Zawsze miłość twą odtrącę,  
 Bo me serce tak się zbroi,  
 Tak niezłomne moje zdanie,  
 Żem cię kochać nie jest w stanie  
 Aż do samėj śmierci twojej.

(*Wchodzi do domu*)

### SCENA III.

CIŻ SAMI prócz Justyny.

**Cypryan.** (*Do odchodzącej Justyny*).

Już się dusza ma zachwycą,  
 I radością już jaśnieje;  
 Wnet się ziszczą me nadzieje,  
 Niedaleka ich granica:  
 Bo gdy śmierci mój godzina  
 Ma rozbudzić duszę twoję,  
 Poczniej dzielić miłość moję,  
 Gdyż mój skon się już poczyna.

**Klaryn.** Gdy mój pan jak trup zmartwiał  
 Leczy swe miłosne szaty,  
 Libio! daj mi uściśnienie.

**Libia.** Pragnąc czyste mieć sumienie,  
 Nie chcę krzywdy dla Moskona:  
 Czy rachuba nie zmylona?  
 Czy do ciebie dziś należy?  
 Jego wtorek, twoja środa...

(*Liczy na palcach*)

**Klaryn.** Niechaj Libia mi zawierzy;  
Moskon milczy a więc zgoda!

**Libia.** Lecz on może sam jest w błędzie?  
No, dziś twoje niechże będzie.

**Klaryn.** A więc pójdźże w me objęcie.

**Libia.** *(Obejmując go)* Obowiązek spełniam święcie.

**Moskon.** Czy królowa, ma władczyni  
Jutro dla mnie to uczyni;  
Na ramieniu mém zawisnie  
I tak szczerze mnie uściśnie?

**Libia.** Żal mi ciebie, mój Moskonie!  
Lecz wiesz, jestem sprawiedliwa.  
A więc miłość znów prawdziwa  
Jutro dla cię w mojem łonie.

*(Odchodzi.)*

## SCENA IV.

KLARYN, MOSKON, CYPRYAN.

**Moskon.** Lecz patrz, gdy my rozprawiamy,  
Tam z myślami pan się bije;  
Pójdźmy, to go podsłuchamy.

*(W chwili gdy Moskon i Klaryn zbliżają się doń z dwóch przeciwnych stron, Cypryan nagle porusza rękami i trąca ich obu dwou).*

**Cypryan.** Gdy się troska w serce wpije,  
Biada wtedy, nędzne życie!

**Klaryn.** Biada, biada!

**Moskon.** I mnie biada!  
Nazwę biedy dać wypada  
Okolicy naszej całej.

**Cypryan.** Więc wy oba tu stoicie!

**Klaryn.** Ja przysięgnę, że tu stałem.

**Moskon.** I ja także.

**Cypryan.** O ni dolo!  
Skończ raz z sercem mém zbolatém,  
I śmiertelne rzuć weń strzały.  
Kto w swém życiu tyle zniesie,  
Szczęsny gdy nic życia rwie się.  
Takie męki komuż znane?  
Idźcie, ja tu sam zostanę.

Klaryn. Kiedy nie ma co się uczyć,  
Pójdźmy trochę się powłóczyć.

## SCENA V.

CYPRYAN. (*Sam*).

Niepojęte myśli ciemnie!  
Nie zgębiajcie mię o mary!  
Bom uwierzyć gotów w czary,  
Że duch inny wstąpił we mnie.  
W bałwochwalstwie myśl ma ginie,  
I duch pychy mię otoczył,  
Żem dziewicę cudną zoczył,  
Żem podziwiał mą boginię.  
A jój srogość może ludzi,  
Jednak dreszczem mię przeszywa.  
Wiem z kąd miłość ma wypływa,  
Nie wiem kto mą zazdrość budzi;  
Alę rozpacz rzecz niegodna,  
Ona bańbą myśli mężkiej.  
Zgubą kupię krok zwycięzki,  
I wychylę czarę do dna,  
Bo Justynę posiąść muszę:  
Twój pomocy, piekło wzywam!  
Twego wsparcia się spodziewam:  
Za Justynę oddam duszę.

## SCENA VI.

CYPRYAN i DJABEŁ.

Djabeł. (*W głębi*). Ja ją przyjmuję!  
(*Burza, pioruny i błyskawice*).

Cyprian. Przebóg! co się dzieje!  
Niebo w tój samej chwili świeci i ciemnieje;  
Dzień się mrokiem przyodziewa;  
Z łona chmur i piorunów, groza się dobywa;  
Niebo z górą bój toczy, jój szczyty roztrąca;  
I jak Etna gorejąca  
Cały widnokrąg rozlał się w promieni morze;  
Mgłą słońce, żrącą parą powietrzne przestworze!  
Mądrości! czyż od ciebiem został tak zdaleka,  
Że myśl moja napróżno te dziwy docieka?  
Morze wspina swe bałwany,  
I pędzi ponad chmury jak prąd rozłukany,



Miotąc pianę w powietrzu lekkimi podmuchy,  
 Co przelata wskrós wiatru jak powiewne puchy.  
 Okręt wichrami miotany  
 Szuka ratunku w fali rozigranej:  
 Już zguba blizką, ale stokroć gorzej,  
 Kiedy mu port zdradziecki swe wejście otworzy.  
 Te wołania o pomoc, te rozpaczne krzyki,  
 To są śmierci poprzedniki,  
 Która chce się nasycać swych ofiar konaniem;  
 Ten orkan rozpasany jój pyszném ubraniem,  
 Dla niej się niebo i ziemia zakłóca.  
 Burza okręt na brzeg rzuca,  
 O skał rafy go zahacza,  
 I z nowym już żywiołem okręt walkę stacza;  
 Ledwie że uszedł cało z morskich wód przestrzeni,  
 Już piana krwią się ofiar nieszczęśliwych rumieni.

(*Burza wzrasta*).

**Głosy w głębi.**

Lecimy do dna!

**Djabeł.** (*Za sceną*). Na drzewa kawale,  
 By spełnić mój zamiar, na brzeg się ocale.

**Cyprian.** Tylko jeden się z burzy dzięki jej naigrawa,  
 Dobywa się z odmętu; już na brzegu stawa.  
 A zgubny żywioł okręt coraz bardziej nęka:  
 Maszt złamany, już okręt w kawały rozpęka,  
 Fala go rozpiętrzona w swém łonie pochłania,  
 Unosząc do miękkiego trytonów postania.

**Djabeł.** (*Wchodzi zmoczony, jak gdyby tylko co wyszedł z wody*). (*Do siebie*).

Żeby celów dopiąć nowych,  
 Trze ba było go ułudzić  
 I pozornie burzę wzbudzić  
 Na tych polach szafirowych,  
 I w postaci już się jawię  
 Innój jak mię widział pierwój,  
 Kiedy zwalczał mię bez przerwy.  
 Teraz lepiej z nim się sprawię,  
 I siłami go otoczę,  
 I uchwycę w ich okucie  
 Miłość wiedzy i uczuciel  
 Dalój więc do celu kroczę:

(*Głośno*)

Dobra matko, ziemio miłal  
 Daj opiekę, bądź ochroną  
 Przeciw fali, co szaloną  
 Siłą na brzeg mię rzuciła.

**Cypryan.** Przyjacielu! jasném licem  
 Odrać ciężkich prób wspomnienia:  
 Pomnij, że się wszystko zmienia  
 To, co żyje pod księżycem.

**Djabeł.** Kto ty jesteś, że pod twoje  
 Stopy dziwny los mię rzuca?

**Cypryan.** Dość, że los twój mię zasmuca,  
 Chciój usługi przyjąć moje:  
 Obym mógł żal twój ukoić!

**Djabeł.** Próżne chęci i żądanie:  
 Nic na świecie nie jest w stanie  
 Mojej duszy ran zagoić.

**Cypryan.** Więc cóż cierpień tych przyczyna?

**Djabeł.** Utraciłem całe mienie;  
 Lecz porzucam złorzeczenie,  
 W niepamięci niech zaginą  
 Wszystkie troski, przeszłe życie.

**Cypryan.** Ot już burza się nie sroży,  
 I wśród jasných już przestworzy  
 Niebo błyszczący się w błękiecie.  
 Przestrzeń morza kryształowa  
 Z cicha toczy swe bałwany  
 Bez szelestu i bez piany;  
 Snać się wstrząsała mórż osnowa  
 Na to jedno tylko mgnienie,  
 Żeby okręt twój pograżyć.  
 Powiedz dokąd chciałeś dążyć?  
 Twoje imię, pochodzenie?

**Djabeł.** Ale niczem to rozbicie!  
 Twoje myśli nie dośledzą,  
 Usta me nie wypowiedzą,  
 Co kosztuje mię przybycie  
 Tu w tę stronę? Gdyś ciekawy,  
 To posłuchaj całej sprawy.  
 Skutkiem dziwnych losów woli,  
 Jam żyjącem zjednoczeniem  
 Pomyślności i niedoli.  
 Świetném mojem urodzeniem,  
 Mą mądrością, memi czyny,  
 Tak wyniosłem się wysoko,  
 Że król jeden z swój wyżyny  
 Zwrócił na mnie swoje oko;  
 Król potężny, pan nad pany:  
 Bo gdy gniewem owładany

To i mocarz strachem zdjęty!  
 A pyropy, dyamenty  
 Na błękitném skrzą sklepieniu \*  
 Jego gmachu. Ulubieńcem  
 Będąc jego, w uniesieniu  
 Pychy stałem się szaleńcem;  
 Zamarzyłem o koronie,  
 Chcąc na jego zasiąść tronie.  
 Straszna kara mię dotknęła.  
 Owładnięty dzikim szałem  
 Winy mojej nie uznałem;  
 O! bo skrucha mię nie zdjęła:  
 Wolę ducha moc zbrodniczą  
 Niż uległość niewolniczą.  
 A znalazłszy popleczników  
 W tłumie jego domowników,  
 Wiedzion głosem zemsty srogięj,  
 Sieję mordy i pożogi.  
 Ten głos mię wśród morza pędzi  
 Od krawędzi do krawędzi.  
 Łąką morza purpurową  
 Popłynąłem na okręcie,  
 Zeby znaleźć miejsce owo,  
 Gdzie człek jeden dał mi słowo:  
 Bo chcę żądać dotrzymania.  
 Burza okręt tu zagania  
 I pogrąża w wód odinęcie.  
 Choć na morzu rozhukaném  
 Mogłem łatwo stać się panem  
 Wszystkich wiatrów, sług Eola  
 I zamienić na wietrzyki,  
 Mojej myśli niewolniki;  
 Lecz nie chciałem, bo ma wola  
 Wcałe inne ma zamiary.

(Do siebie)

Tu myśl jego już ujęta  
 W mojej magii chytre pęta.

(Do Cypryana)

Gdy nie wierzysz w moje czary,  
 To w téj chwili blask przesłonię;  
 Słońce w mroku wnet utonie.  
 A gniew straszny zwykł mną władać!  
 Jam śmierć sobie gotów zadać;  
 Ale nie miéj żadnej trwogi.  
 Ja znam wszystko i gwiazd drogi,  
 Wszystko co chcę zrobić dołam:  
 Ot w téj chwili, gdy zawałam,



Ten szczyt, który się tak srodze  
 Kryje czarnych gęstwin mrokiem,  
 Takim wdziękiem rozpogodzę,  
 Że zabłyśnie przed twém okiem  
 Jak precudne gór ustronie,  
 Choć zostanie w drzew koronie.  
 Oto padam na kolana  
 I pomocy twojej wzywam,  
 Choć nie próżno się spodziewam,  
 Że ma mądrość nie zrównana  
 Wszystkie twoje spełni żądze,  
 Że w twe serce radość wleję,  
 Gdy nademną tak boleje;  
 A gdy mówię to nie błędę.

*(Do siebie)*

W jego miłość tu uderzam!

*(Do Cypryana)*

Jam ci wdzięczen nad pojęcie  
 Za serdeczne to przyjęcie.  
 I nic odtąd mię od ciebie  
 Nie oderwie, nie odtrąci:  
 Ani żadne losu zmiany,  
 Ni ciąg wieków nie zbadany,  
 Ni wpływ tych gwiazd, co na niebie  
 Życia znaczą nam wyroki,  
 Nic przyjaźni téj nie zmąci;  
 Odtąd zgodne nasze kroki.  
 To, com wyrzekł nic nie znaczy  
 Przy tém, co wzrok twój zobaczy,  
 Gdy się cała rzecz dokona,  
 Jak w méj myśli nakreślona.

**Cypryan.** Więc błogosławię burzy, że się wszczęła  
 I twe mienie pochłonięła,  
 Ciebie samego na ten brzeg rzuciwszy;  
 Bo tu doznasz odemnie przyjaźni najbliższej,  
 Jezeli tylko raczysz pozostać w gościnie:  
 Tak, pragnę ci mą przyjaźń dowieść w każdym czynie.  
 Więc bądź mym gościem, baw tu jak najdłużej,  
 Bo tu ci wszystko na rozkazy służy:  
 Niechaj ci stodko te chwile przebiegą.

**Djabeł.** A więc uznajesz mię już za twojego?

**Cypryan.** *(Obejmując go).* Niech ten uścisk obustronny  
 Będzie pieczęcią przyjaźni dozgonnej.  
*(Na stronie)*

Oh! gdyby tylko to dopiąć się dało,  
 Żeby on swoją magię przelał we mnie całą;

I miłość moją wspierając, ta sztuka  
 Niosłaby ulgę sercu, jakiej próżno szuka;  
 I możebym o władnął mych męczarń przyczynę,  
 Co mię wprawia w szaleństwo, i dla której ginę!  
 O wzdycham do tego święta!

Djabeł. (*Na stronie*).

Już miłość z żądzą wiedzy ujęły go w pęta.

## SCENA VII.

CIŻ SAMI, oraz KLARYN i MOSKON

(*Którzy wpadają każdy z innej strony*).

Klaryn. (*Do Cypryana*). Czy żyjesz jeszcze panie?

Moskon. Ach! jakiś ty grzeczny!

Wszakże widzisz, że żyję; jakżeś niedorzeczny!

Klaryn. Użyłem tego zwrotu zwykłego wymowy  
 Na dowód, że w tém cudu widzę tajemnicę,  
 Ze mimo grad piorunów, mimo błyskawicę,  
 I włos mu jeden nawet nie spadł z głowy.

Moskon. I ciągle podziw zdejmuje cię taki,  
 Ze przyjść do siebie nie możesz w téj chwili.

Cypryan. (*Do djabła*). Moi służący!

(*Do Klaryna i Moskona*).

Pocoście wrócili?

Moskon. Bo ci się chcemy dać znowu we znaki.

Djabeł. To mi weseli!

Cypryan. Tego im niebraknie,  
 A głupstwa robić, to każdy z nich łaknie.

Moskon. (*Do Cypryana*). Kto to jest taki, powiedz mi pan  
 szczerze.

Cypryan. To mój gość miły, niech cię strach nie bierze.

Klaryn. Na cóż wieść gości w zaciszu domowe?

Cypryan. Ocenić jego, to nad twoją głowę.

Klaryn. Pan weźmiesz po nim spadek?

Moskon. Co téż ten człek prawi?

Nie tak prędko, jak myślisz: on tu z rok zabawi.

Klaryn. I zkadże ty to wnosisz?

**Moskon.** Gdy kto niespodzianie  
W gościnę przyjdzie, dymu po nim nie zostanie;  
A ten...

**Klaryn.** No, mówże!

**Moskon.** Wiele dymu pozostawi.

**Cypryan.** (*Do djabła*). Pójdź, mój gościu miły  
Wypocząć, byś zwątlone mógł odzyskać siły.

**Djabeł.** Spełniam chętnie twą wolę.

**Cypryan.** Chcę ci spokój wrócić.  
(*Odchodzi*).

**Djabeł.** (*do siebie*). A ja cię w niwecz obrócić!  
Już cię mam, już nad tobą poczynam panować:  
Teraz zgubę Justyny muszę przygotować.

## SCENA VIII.

### KLARYN i MOSKON.

**Klaryn.** Zdaje mi się, że wulkan gdzieś wybuchł ognisty,  
I rozlał po powietrzu ten wyziew siarczysty.

**Moskon.** Ale to czuć od gościa.

**Klaryn.** A ja wiem przyczynę,

**Moskon.** Cóż takiego?

**Klaryn.** On biedak ma tak lichą minę,  
Że wszystko mi się zdaje, iż on jest parszywy;  
Więc siarką się smaruje.

**Moskon.** Oj ty, niegodziwy!

## SCENA IX.

### LELIUS i FABIUSZ.

**Fabiusz.** Znów namiętność tu cię nęci.

**Lelius.** Gdziem utracił życie, duszę,  
Tam odzyskać znów je muszę:  
O miłości, spełń me chęci!

**Fabiusz.** Przed Justyny znowuś domem?

**Lelius.** Bo uczucie me wybucha.  
Drugich chętniej ona słucha,



Pośród nocy z wielkim sromem;  
 A więc powiedz, cóż to znaczy,  
 Że w dzień wylać chcę me żale?  
 I niepomny na nic wcale  
 Pójdę niech się wytłumaczy;  
 A ty sobie odejdz, stary!  
 Pójdę, hańbę jój wyrzucę;  
 Może bezwstyd jój ukróczę:  
 Niecofnione me zamiary!

(*Fabiusz odchodzi.*)

## SCENA X.

**LELIUS.** (*Zdąża ku domowi Lizandra, wtém wychodzi stamtąd Justyna.*)

**Justyna.** (*Zwracając głowę ku domowi.*) Libio.....  
 (*Spostrzegając Leliusa.*)

Kogóż ja tu widzę?

**Lelius.** To ja.

**Justyna.** Cóżto? Zkąd u pana  
 Taka śmiałość niespodziana?

**Lelius.** Moja miłość mnie w ohydzie,  
 Zazdrość serce me rozdziera  
 I nadzieję mą zabija;  
 Więc gdy miłość ma przemija,  
 Cześć dla ciebie z nią zamiera.

**Justyna.** Cóż zuchwałość w tobie budzi,  
 Że śmiesz....

**Lelius.** Wściekłość mię owładła!

**Justyna.** Wchodźć....

**Lelius.** Gniew, szał mię posiada.

**Justyna.** Gardząc wzgląd na sądy ludzi..

**Lelius.** O! ty już dbać nie masz o co.

**Justyna.** A me imię, moja sława?

**Lelius.** Powiedz temu, który stawa  
 Na krążganku twoim nocą;  
 Znam twe sprawy każdój chwili:  
 Nie zadziwiła mię odprawa,  
 Bo przeszkodą nie twa sława,  
 Tylko, że ci z innym milėj.

**Justyna.** Wstrzymaj język twój złośliwy,  
 Czemu srodze chcesz się bawić,  
 I cześć moją tak plugawić?  
 Roisz sobie same dziwy,  
 By mi robić zarzut sromu;  
 Dla niesłusznej twój urazy,  
 W czystém życiu szukasz zmayı.  
 Co? mężczyzna był w mym domu?  
 Tu pod nocy wszedł zasłoną?

**Lelius.** Tak jest.

**Justyna.** I wszedł po krużganku?

**Lelius.** To mię gnębi bez ustanku.

**Justyna.** Czci! ty dla mnie bądź obroną!

## SCENA XI.

CIŻ SAMI i DJABEŁ. *Który wychodzi z domu Justyny  
 i staje za nią.*

**Djabeł.** *(Do siebie).* Teraz moją złość wyzionę,  
 I ustronie to spokojne,  
 Nieskalane, bogobojne,  
 Strasznie będzie splugawione:  
 W tym młodzianie szął rozniecę,  
 Oczom jego się ukazę;  
 A gdy wściekłość w nim rozżarzę,  
 Wtedy nagle precz odlecę.

*(Chce niby iść dalej, lecz zaledwie Lelius go spostrzegł, cofa się do drzwi  
 i znika.)*

**Justyna.** *(Niewidząc djabła, do Leliusa).*  
 Więc ty chyba chcesz mię zabić?

**Lelius.** *(Z gwałtowném wzruszeniem).*  
 O! nie, chcę tu skonać, zginąć!

**Justyna.** Cóż tak mogło na cię wpłynąć.

**Lelius.** Bo nie zdołam już osłabić  
 Mych podejrzeń odtąd niczem:  
 Twą obłudę teraz widzę,  
 Z twój mniemanój cnoty szydę;  
 Teraz, ot przed mém obliczem  
 Postać mi się okazała  
 Tego, który jest szczęśliwszy:  
 Cofnął się, mnie zobaczywszy.

**Justyna.** Wyobraźnia wybujala,  
 Myślą, okiem twém owładła.  
*(Lelius chce wejść do domu, Justyna go wstrzymuje).*

**Lelius.** Nic mię teraz nie powstrzyma.

**Justyna.** Przed twojemi więc oczyma  
I dzień tworzy te widziadła?

**Lelius.** Ha! zobaczę to złudzenie.

**Justyna.** A więc zobacz, ja nie bronię:

Może śród dnia cześć uchronię,

Co wzięść chciały nocy cienie.

*(Lelius wchodzi do domu).*

## SCENA XII.

JUSTYNA i LIZANDER. *(Wracający z ulicy).*

**Lizander.** Pójdź, Justyno.

**Justyna.** *(Na stronie).* Nieszczęśliwa!

Gdy Leliusza on zobaczy,

Cóż pomyśli, co to znaczy?

**Lizander.** Serce z bólu się rozrywa!

Ty bądź mojem pocieszeniem.

**Justyna.** Czemu mówisz z takim drżeniem?

**Lizander.** Dłużej cierpieć nie wytrzymam:

Już ni łoż, ni skargi nie mam.

*(Siada na przodzie sceny).*

## SCENA XIII.

LELIUS, LIZANDER i JUSTYNA.

**Lelius.** *(Wracając z domu Lizandra: do siebie).*

Teraz wierzę: w wyobraźni

Zazdrość senne kształty roi,

Tylko próżno trwoży, drażni:

Bom nie znalazł śród pokoi

Tego człeka, co na jawie

Tutaj stanął, przy mnie prawie:

Wszakże nie miał wyjść którądy.

**Justyna.** *(Zeicha do Lizandra).*

Tu mój ojciec, niechodź tędy.

**Lelius.** Czekam aż on się oddali,

Bo już zazdrość mię nie pali.

*(Usuwa się w głąb.)*

**Justyna.** *(Do Lizandra).* Czemu płaczesz, coś tak smutny?



**Lizander.** Słuchaj: serce me się krwawi;  
 W krwi niewinnój wróg się pławi,  
 I nas czeka los okrutny:  
 Przeszedł rozkaz od Decyusza,  
 By ni jedna żywa dusza  
 Nie została z wiernych grona.

**Justyna.** (*Na stronie*). O, mój Boże! jam zgubiona!  
 Ojciec życiem to przypłaci;  
 Bo tak jawnie ubolewa  
 Nad uciskiem swoich braci:  
 A tu ani się spodziewa,  
 Że syn rzadcy wszystko słyszy:  
 Gdyby chociaż mówił ciszej!

**Lizander.** Otóż, moje drogie dziecię...

**Justyna.** Jeśli to cię gnębi tyle,  
 To odpocznij choć na chwilę.

**Lizander.** O nie! gdy mię smutek gniecie,  
 To lżej, kiedy mówię z tobą.

**Justyna.** Ojczy: litość miěj nad sobą,  
 I oszczędzaj wiek sędziwy.

**Lizander.** Jakto? gdy chcę ci wyjawić,  
 Co mię mogło w rozpacz wprawić;  
 Kiedy mówię pełen trwogi,  
 Jaki zapadł wyrok srogi  
 W oném mieście siedmiu wzgórzy,  
 Krwią nad Tybrem wypisany,  
 Rumieniący jego wody:  
 Nie chesz słuchać, to cię nurzy.  
 Nie tak dawniej.... Oj! wiek młody  
 Jakże skłonny jest do zmiany!

**Justyna.** Tak to zawsze, pośród świata  
 Z czasem wszystko się przemienia.

**Lelius.** (*Do siebie*). Co tóż mają do mówienia?  
 Głos urwany mię dolata.

## SCENA XIV.

CIŻ SAMI i FLORUS.

**Florus.** Kto trawiony od zazdrości,  
 W czyjém sercu piekło gości:  
 Niech obłudę drze zasłonę!  
 Wszystkie względy odrzucone....

Lecz jój ojciec!.... czyż być może?  
Więc na inny raz odłożę.

Lizander. Kto przestąpił moje progi?

Florus. (*Do siebie*). Losie, losie mój złowrogi!

Ha! cóż robić, trudna rada!

Jakiś pozór dać wypada.

(*Głośno*).

To ja.

Lizander. Czego żądasz, Florze?

Florus. Mówić z tobą w ważnej sprawie.

Justyna. (*Na stronie*). Zlituj się, o wielki Boże!

Ciężkie moje położenie.

Lizander. (*Do Flora*). Mów, czy jakie masz zlecenie?

Florus. (*Na stronie*). Jak z téj biedy się wybawię?

Lelius. (*W głębi do siebie*). Florus w domu jój przebywał

I swobodny jak u siebie.

To nie sen, to już prawdziwał!

Lizander. (*Do Flora*). Bładość lice twe pokrywa;

Cóż tak nagle wzrusza ciebie?

Florus. Niechaj to cię nie przeraża,

Tylko przyjmij moje rady:

Wróg tajemny ci zagraża,

A więc strzeż się jego zdrady,

Bo on czyha na twe życie:

Więcój już się nie dowiędzie.

Lizander. (*Na stronie*). Widać jemu jest wiadomo,

Żem wyznawcą świętej wiary;

Więc ostrzega mię kryjomo,

Jakie rządcą ma zamiary.

(*Głośno*)

Powiedz wszystko, i cóż dalej?

## SCENA XV.

### CIŻ SAMI i LIBIA.

Libia. (*Do Lizandra*). Rządca kraju jest u bramy,

I na ciebie oczekuje.

Florus. (*Do Lizandra*). Jeszcze będziemy rozmawiali:

Czekam.

Lizander. Szczerze ci dziękuję,

Bo dość jeszcze mówić mamy.

(*Odchodzi*).

## SCENA XVI.

FLORUS, JUSTYNA, LELIUS.

**Florus.** (*Do Justyny*). O ty! czysta i cnotliwa,  
Którą zgrozą aż przesywa  
I wietrzyka słodkie wianie,  
Gdy twe łono tchnieniem pieści,  
Powiedz, czemu to udanie?  
Czemu klucz do twojej cześci,  
Czemu wejście w twe ustronie  
Śmiałaś w obce oddać dłonie?

**Justyna.** Wstrzymaj złości twojej razy  
Tam, gdzie słońce nawet samo  
Nie znalazło żadnej skazy.

**Florus.** Tyś, skażona wieczną plamą,  
Do twój cnoty przystęp dała  
Po kruzganku.

**Justyna.** Zkąd zuchwała  
Taka mowa?

**Florus.** Twa obłuda  
Innej mowy nie jest godna;  
Już mnie zwieść ci się nie uda.

**Lelius.** (*w głębi*). A więc rzecz jest niezawodna,  
Że Flor nie jest jej kochankiem,  
Nie on wkrađa się kruzgankiem;  
Już dochodzę teraz wątką:  
Inny panem niewiniątka.

**Justyna.** Zważ twe imię, pochodzenie,  
Nie znieważaj czci niewieściój.

**Florus.** Gdzie cześć twoja? Splugawiona,  
Boś przyjęła go w ramiona;  
Oślepiła cię potęga,  
Że on synem jest pretora,  
Że wpływ jego wszędzie sięga:  
Więc do hańby takaś skora.

**Lelius.** (*Do siebie*). To widocznie o mnie mowa.

**Florus.** Lecz ta wielkość małość kryje,  
Ciężkie winy w sobie chowa,  
Samym fałszem tylko żyje.

**Lelius.** (*Występując*). Pomnij, siebie sam poniża,  
Nieobecnym kto ubliża;



Porzuć kłamstwo twe przewrotne,  
Bo się krew już we mnie burzy,  
Że mi szczęście tak nie służy,  
Że ci śmierci nie zadałem  
Mimo walki wielokrotne.

**Justyna.** Boże! za cóż ja to znoszę?

**Florus.** Ja to wszystko z czołem śmiałem  
W oczy teraz znów ci głoszę.

*(Obaj biorą się do szpad).*

**Justyna.** Zaczekajcie: Leliu, Florze!

**Lelius.** Kiedy krzywda mię spotyka,  
Zemstą zgnębię przeciwnika!

**Florus.** To, com wyrzekł, niecofnięte!

**Justyna.** Nieszczęśliwam! zbaw mię Boże!

**Florus.** *(Do Leliusa).* Skarcę złości twe zacięte.

*(Walczą).*

## SCENA XVII.

CIŻ SAMI, LIZANDER i RZĄDCA z orszakiem.

**Wszyscy wchodzący.** Stójcie!

**Rządca.** Co to? wy zuchwali!

Miecz dobyty! bój staczali!

**Justyna.** O nieszczęście!

**Lizander.** O niedola!

**Lelius.** Panie....

**Rządca.** Zkądże ta swawola?

Syn mój własny wichrzycielem!

Walcz z swoim przyjacielem.

**Lelius.** Ojczy....

**Rządca.** *(Do straży).* Nie ma tu różnicy:

Wtrącić obu do ciemnicy.

**Lelius.** Zazdrość gnębi, hanba kała!

**Florus.** Wszystko na mnie się obala.

*(Straż obu uprowadza).*

**Rządca.** A osobno obu wsadzić,

By nie mogli się już wadzić.

*(Do Lizandra)*

Czyż podobna, o człowieku,  
Tak się plamić w twoim wieku!

**Lizander.** Nieraz pozór jest zwodniczen:  
Córka nie wie tu o niczem.

**Rządca.** Czyliż kłamać tak się godzi?

Tak, więc weszli tu kryjomo,  
To nie było jej wiadomo!  
Ona piękna, oni młodzi...  
Żeby ludzie nie sądzili,  
Że mię stronność w zdaniu myli,  
Muszę w gniewie się hamować.

*(Do Justyny).*

Lecz nie mogę ci darować.  
Pewno wkrótce mnie się uda,  
Że wykryje się obłuda,  
I wykażę, jak na dłoni:  
Ta skromnisia za czém goni.

*(Odchodzi z orszakiem).*

## SCENA XVIII.

### JUSTYNA i LIZANDER.

**Justyna.** Łzy obroną moją całą!

**Lizander.** Prózne żale! Żle się stało!  
O dniu zgubny, nieszczęśliwy,  
Gdym ci odkrył ród prawdziwy:  
Że ja byłem u strumienia,  
Świadkiem twego urodzenia  
W puszczy, pośród wzgórz głębokiej,  
Gdzie wydały ciebie zwłoki.

**Justyna.** Jam....

**Lizander.** Daremna ta obrona.

**Justyna.** Jam niewinnie posądzona!

**Lizander.** Już zapóźno na poprawę!

**Justyna.** Chcę odeprzeć mą niesławę.

**Lizander.** Wszystko świadczy przeciw tobie.

**Justyna.** Nieraz pozór rzecz zamąca.

**Lizander.** O! już widzę siebie w grobie,  
Gdzie mię boleść moja wtrąca.

**Justyna.** Nie opuszczaj mię sieroty,  
Bo skonałabym z tęsknoty.

*(Odchodzi).*

SCENA XIX.

Wystawa, na prawo drzwi, w głębi górna okolica.

DJABEŁ, CYPRYAN, KLARYN i MOSKON.

**Djabeł.** Odkąd wszedłem w twoje progi,

Tęskność lice twe powleka;

Więc od ciebie snąc ucieka

Spokój w życiu, co tak błogi.

Gdy podzieli się tęsknota,

Może troska się odgoni,

I nadzieja ci rozstłoni

Dotąd zwarte swoje wrota.

Ja niczego się nie boję,

I zamknięcia sfer otworzę,

I żywioły wsze ukorzę

A twe żądze zaspokoję!

**Cypryan.** Nawet sztuką czarnoksiężką

Nikt tu w świecie nie dokona,

By ma żądza niezmierzona

Mogła skończyć bój zwycięzko:

Kocham, i tém siebie trawię.

**Djabeł.** Czyż nadzieja już stracona?

**Cypryan.** Gdybyś wiedział czém jest ona!

**Djabeł.** A więc słucham cię ciekawie.

**Cypryan.** Rąbek nieba śród zarania,

Kiedy słońce wzrok roztwiera

I promieniem łyzy ociera,

W śnieg i szkarłat się osłania

Śród powietrznych sfer mieszkania;—

Więzy róży szmaragdowe,

Gdy z ich objęć wydobyta

Głosi łąkom, że maj wita,

A powiewy tchną majowe

Łzy zarania na dąbrowę,

Co spadają nań uśmiechem;—

Strumyk, kiedy szronem ścięty,

Milczy niemy, żalem zdjęty,

Że nie ozwie się ni echem,

Ni poszeptem, ni oddechem;—

Goździk, gdy się barwą pali

Jak gwieździsty krzew koralu;—

Ptaszek, barwny strój gdy wdzięwa,



Jako arfę co przygrywa  
 Szmerem wiewnej swojej fali  
 Śpiewom pieśni kryształowej;—  
 Skała, słońcu gdy urąga  
 Co zeń szatę białą ściąga,  
 Uroczysty strój majowy,  
 A nie złamie jój osnowy;—  
 Laur, gdy śniegiem ustrojony,  
 Albo narcyz rozpieszczony,  
 Co choć stopy w śniegu kryje,  
 W górze włos zielony wije  
 I z promieni chce korony;—

To zaranie purpurowe,  
 Słońce, strumień, róża, łany,  
 Ptaszek piewca rozkochany,  
 Te uśmiechu łyzy perłowe,  
 I oddechy pól majowe,  
 Goździk, który kryształ pije,  
 Skała, co się w niebo wije,  
 Laur, z promieni wieńca chciwy:  
 Ach! to wszystko obraz żywy,  
 Częstki téj dla której żyję!

Widać rozum postradałem:  
 By inaczej się przedstawić,  
 Nowe-m szaty kazał sprawić.  
 Zapomnieniu mądrość dałem,  
 Mowę—w służbę nierozumu,  
 Sławę mą—na pastwę tłumy,  
 A łzom moim—uczuć technienie,  
 Wiatrom wszystkie me nadzieje,  
 I me światło—na wzgardzenie!  
 Żyję tylko snem miłości,  
 Marny sługa namiętności.  
 Nie! ja chyba oszaleję!

Com powiedział, to powtarzam,  
 Że już na to się odważam:  
 Oddać piekłu moją duszę,  
 Bo Justynę osiąść muszę;  
 Lecz za cenę taką małą,  
 Czyliż piekłoby ją dało?

**Djabo!** Ależ pomnij, przyjacielu:  
 Czyja wola niewytrwałą,  
 Kto nie zwalcza przeszkód śmiało,  
 Ten nie dopnie nigdy celu.

Ileż razy wola męża  
 Srogą piękność przezwycięża,  
 Lub przez prośby i błaganie  
 Łatwo panem jej się stanie;  
 Więc daj pokój z narzekaniem.  
 Chcesz, to piękność nie wzruszona  
 Wnet upadnie w twe ramiona.

Cypryan. Pytasz o to!

Djabeł. Więc zostaniem  
 Teraz sami.

Cypryan. (*Do Klaryna i Moskona*). Idźcie z domu.

Moskon. Owszem.

(*Odchodzi*).

## SCENA XX.

CYPRYAN, DJABEŁ, KLARYN.

Klaryn. (*Na stronie*). A ja pokryjomu  
 Tu zostanę. Mnie się zdaje,  
 Że w tym gościu djabeł siedzi.

(*Ukrywa się*).

Cypryan. Ot już wyszli.

Djabeł. (*Na stronie*). Niech zostaje  
 Sobie Klaryn, mniejsza o to.

Cypryan. Czekam twojej odpowiedzi.

Djabeł. Te drzwi muszą być zamknięte.

Cypryan. Więc jesteśmy teraz sami.

Djabeł. Słowa z twoich ust wyjęte:

„Oddam życie, oddam duszę,  
 A Justynę posiąść muszę!”

Cypryan. Tak.

Djabeł. Więc zgoda między nami.

Cypryan. Co to znaczy?

Djabeł. Że ja zdołam  
 Mądrość dać ci niezbadaną,  
 I na rozkaz twój wywołam  
 Twoją postać ukochaną:  
 Tu sprowadzi ją twe słowo;  
 Lecz piśmienną wprzód umową  
 Trzeba stwierdzić te układy.

**Cypryan.** Więc ty zamiast szczerój rady,  
 Jeszcze zwiększasz moje męki:  
 Ja dać mogę z rąk do ręki,  
 Lecz ty chciałbyś się układać  
 O to, czém nie możesz władać,  
 Bo czar nigdy nie okoli  
 W swoje pęta wolnej woli.

**Djabeł.** Daj cyrograf z tym warunkiem.

**Klaryn.** (*W ukryciu*). A do licha! daję słowo,  
 Djabeł ten nie w ciemię bity!  
 Cyrografu za zaszczyty,  
 Nie dałbym za skarby świata!

**Cypryan.** Żart przyjemnie czas przeplata  
 Zwłaszcza między przyjaciółty,  
 Lecz gdy człowiek jest wesoły.

**Djabeł.** A więc chcesz być przekonany  
 Jakie cuda moc ma sprawia:  
 Cóż twym oczom się przedstawia  
 Tu przed nami na przestrzeni?

**Cypryan.** Widzę niebo, łąki, łany,  
 Drzewa, góry, prąd strumieni.

**Djabeł.** Cóż zajmuje cię najbardziej?

**Cypryan.** (*Wskazując górę*). Obraz luběj, co mną gardzi.

**Djabeł.** Towarzyszu wieków, czasów,  
 Królu pól i wód i lasów,  
 Co nad ziemią wgląd wstrząśnioną  
 Czoło wieńczysz chmur koroną,  
 Jam jest ten co ciebie wzywa,  
 Grzbiet twój eter niech przepływa!

(*Do Cypryana*).

Jeśli góry z posad wzruszę,  
 Czy ci luběj oddam duszę?

(*Góra przenosi się na inne miejsce*).

**Cypryan.** Więc w mych oczach cud był taki!  
 Strasznej mocy to oznaki.

**Klaryn.** Aż drzę cały, ledwo żyję:  
 Serce we mnie młotem bije.

**Djabeł.** Ptaku, co lekkimi ruchy  
 Mkniesz w powietrznych sier obszary,  
 Rozwiewając drzew konary  
 Niby skrzydeł lekkie puchy;  
 Napowietrzny ty okręcie,  
 Co w przejrzystych chmur odmiećie  
 Rozwinąłś jak żaglowe



Płótna skały granitowe,  
Powróć już na twe siedlisko,  
Ucisz strach i dziwowisko.  
*(Góra wraca na swoje miejsce).*  
Widzisz, czém jest moje słowo.  
Teraz próbę zrobim nową;  
Nowe cuda tu powstaną:  
Czy chcesz widzieć ukochaną?

**Cypryan.** Chcę.

**Djabeł.** Więc teraz twarda skało,  
Ty żywiołów wszech potworze,  
Niech się łono twe rozporze,  
Ukaż postać jój wspaniałą.

*(Roztwiera się skała i w jój wnętrzu ukazuje się Justyna snem zdjęta).*

Czy ta sama?

**Cypryan.** To jój lice!  
Ach! poznaję mą dziewicę.

**Djabeł.** Więc me usta nie kłamały.  
Widzisz w niczem przeszkód nie mam,  
Gdy dobywam ją ze skały.

**Cypryan.** O! ty, boska nad pojęcie,  
O! pójdz do mnie w me objęcie!  
Jam już w błogiém upojeniu,  
Bo to słońce me w rozbrzasku  
Ja wypiję: blask po blasku,  
Drżący promień po promieniu!

*(Chce się zbliżyć do Justyny, wtém skała się zamyka).*

**Djabeł.** Stój! dopiero ja posiędziesz;  
Gdy związany pismem będziesz.

**Cypryan.** Stań! o ciemnych chmur obłoku,  
Nie zasłaniaj memu oku  
Słońca, które dla mnie wschodzi.  
Ha! wiatr tylko w dłonie schwytam!

*(Do djabła).*

Mądrość twoja cześć mą rodzi,  
Już w moc twoją się oddaję;  
Więc rozkazuj: teraz pytam  
Czego żądasz?

**Djabeł.** Krwią twą własną  
Daj cyrograf.

**Klaryn.** Włos powstaje!  
Chętnie wyrzekłbym się życia,  
Żeby nie być śród ukrycia  
Świadkiem takiej strasznej sprawy.

**Cypryan.** Zamiast pióra wezmę rapier,  
Chustka stanie mi za papier,  
A krew zamiast atramentu.

*(Rani sobie ramię i pisze mieczem na chustce).*

Ja wielki Cypryan daję  
(Zgroza, ginę już do szczętu!)  
Uroczyste przyrzeczenie,  
(Szał mię owładł, przerażenie!):  
Że mą duszę zaprzędaję  
(Aż drzę cały, oszaleje!)  
Temu, który tajemnicę  
Sztuki swojej we mnie wleje,  
Że w objęcia me uchwycę  
Kształt Justyny cudny, wdzięczny:  
Kładę podpis własnoręczny.

**Djabeł.** *(Na stronie).* Już w mém ręku, już się korzy!  
A mych czarów jak się trwoży!  
Drży na duszy i na ciele!

*(Głośno).*

Czyś już skończył?

**Cypryan.** Już.

*(Oddaję mu chustkę).*

**Djabeł.** Twe cele

Wnet się ziszczą: twego słońca  
Już wszechmocnym panem będziesz.

**Cypryan.** Za to duszę mą posiędziesz,  
Będiesz władać nią bez końca.

**Djabeł.** W zamian inną ci oddaję.

**Cypryan.** Jakże długo ci się zdaje,  
Nauczanie będzie trwało?

**Djabeł.** Rok, z warunkiem....

**Cypryan.** No, mów śmiało.

**Djabeł.** Że ty zenną wśród podziemi  
Będiesz przez ten czas zamknięty  
Między lochy ponuremi.  
A do usług będzie wzięty

*[Wyciągając Klaryna z kryjówki].*

Ten ot człowiek, co ciekawy  
Szukał w wszystkiém tém zabawy;  
Niech pożytek nam przynosi,  
Przytém rzeczy nie rozgłosi.

**Klaryn.** Poco-m ja się tu ukrywał?  
Djabła anim się spodziewał!

Niech tych raczej djabli biorą,  
Którzy nocną chodzą porą  
Na podsłuchy.

**Cypryan.** Miłość, wiedzę  
Zaspokoję: bo godzina  
Niedaleka, gdy Justyna  
Będzie moja; i dośledzę  
Wszystkie rzeczy niezbadane,  
I na podziw świata stanę  
Na świeczniku ziemskiej chwały!

**Djabeł.** Niedaremne moje plany!

**Cypryan.** I mój dobrze osnowany!

**Djabeł.** (*Do Klaryna*). Pójdźże z nami!

(*Do siebie*),

Już zuchwały

Wróg zwalczony!

**Cypryan.** Me marzenia  
Szczęście ziszcza, rozpromienia.

**Djabeł.** (*Do siebie*). Nie ucichną gniewy moje,  
Aż pokonam ich oboje.

(*Głośno*).

Pójdźmy! śród tych dzikich wzgórz,  
Najciemniejszy loch w pieczarze  
Za mieszkanie nam posłuży:  
Dziś początki ci pokażę.

**Cypryan.** Kiedy taki mistrz w miłości  
I przewodnik ku mądrości,  
Będzie sława nie zrównana  
Czarnoksiężcy Cypryjana!

## AKT III.

### SCENA I.

Lesiste wzgórze; w głębi jaskinia.

CYPRYAN (*wychodzi z jaskini*).

O piękności moja sroga!  
Oto się zbliża chwila szczęścia błoga,  
Cel nadziei pożądaný,  
Kres méj miłości i twój ciągłej zmiany:



Dziś koniec mego męczeństwa,  
 Nad twą pogardą dzień mego zwycięstwa!  
 Pośród tej góry wysokićj,  
 Co się jak zamek wznosi pod obłoki,  
 I w tej jaskini podziemnej,  
 Co dwóm żyjącym była jak grób ciemny,  
 Ciężką ja szkołę przetrwałem;  
 Jam się tu magii poświęcał z zapalem,  
 Wszech tajni doszedł osnowy  
 Tak, zem już mistrza nauczać gotowy.  
 A widząc, że dziś słońce nowy obrót bierze,  
 I śród ciągłej wędrówki w nowój staje sferze,  
 Opuszczam me więzienne ponure mieszkanie,  
 Chcąc poznać śród światłości com dokonać w stanie.

Niebiosa jasne, prześliczne!  
 Słuchajcie, gdy zaklęcia wyrzeknę magiczne;  
 Powietrze! lube twe wianie  
 Wstrzymaj, gdy mój głos straszny poruszy otchłanie;  
 I ty, skał obrzymie stromy,  
 Wzrusz się w posadach na mych dźwięków gromy;  
 Pnie, w zielone strojne wdzięki,  
 Omroczcie ich pogodę, słysząc moje jęki;  
 Krzewy, kwitnące wspaniale,  
 Zadrzyjcie, gdy was echem dojdą moje zale;  
 I wy ptaszki, piewcy leśni,  
 Lękajcie się mych cudów, uciszcie swe pieśni;  
 Dziki zwierzu, porzuć knieje,  
 Podziwiał moje trudy, patrz co się tu dzieje!  
 I w ślepotcie i w obłądnie,  
 Zmieszane, przełknięte, przerażone wszędzie,  
 Niebo, powietrze, zwierzęta i skały,  
 Rośliny, mą będziecie sztuką podziwiały.  
 Bo nie próżno przez Cypryana  
 Sztuka piekielna została zbadana.

## SCENA II.

CYPRYAN i DJABEL.

Djabeł. Cypryanie!

Cypryan. Co, mój mistrzu?

Djabeł. Dla czego zuchwale,  
 Na mą naukę nie zważając wcale,  
 Ośmielasz się wyjść z pod ziemi,  
 Patrzeć w oblicze słońca z promieniami świetnemi?

**Cypryan.** Bo widzę, że ma potęgą  
 Grozą i przerażeniem głębi piekieł sięga,  
 Żem zdołał wiedzę rozszerzyć  
 Tak, że mistrz ze mną w magii nie może się mierzyć;  
 Nic mi już nie jest tajemno,  
 Wszystko już dla mnie w magii otworem przedemną;  
 Negromancyi linie ciemne  
 Odkrywają mi groby umarłych podziemne;  
 Ziemia, posiadać ich chciwa,  
 Z łona swego ich ciała na głos mój dobywa;  
 Nieboszczyka postać błada  
 Posłusznie na pytania moje odpowiada;  
 Słońce, w szybkim biegnąc pędzie,  
 Samo tém się przeraża, gdy w dziwnym obłędzie  
 Nagle z drogi się zwraca, wsteczny bieg poczyna,  
 I spełnia kres przeznaczeń: wybiła godzina;  
 Dzisiaj ma boska Justyna,  
 Ukochana, upragniona,  
 Rzuci się w moje ramiona:  
 Szczęście dawno pożądane.  
 Wiedz o tém, że na żadną zwłokę nie przystanę.

**Djabel.** Więc pismem ziemskie obszary,  
 I wiatrów wiew swawolny przez zaklęć swych czary,  
 I wszystkie natury siły  
 Przymus, by twój miłości przyjaznemi były.

**Cypryan.** Ujrysz co władza moja dokona,  
 Kiedy niebo i ziemia będzie przerażona.

(*Odchodzi.*)

### SCENA III.

DJABEŁ. (*sam.*)

Zezwalam i zamiar chwale;  
 O, bo z mojej nauki nie tajno mi wcale,  
 Że, powolne na zaklęcie,  
 Piekło może Justynę rzucić w twe objęcie.  
 Chociaż moja potęga nawet cuda tworzy,  
 To jednak wolnej woli gwałtem nie ukorzy;  
 Lecz gdy przed duszą roztoczy  
 Krąg niepojętych rozkoszy uroczy,  
 Co przemocy się nie uda,  
 Tego dokona chytrąj pokusy ułuda.

## SCENA IV.

DJABEŁ i KLARYN (*który wychodzi z jaskini*).

**Klaryn.** Kochanko moja nieczuła,  
Coś żelaznym puklerzem serce twe okuła,  
Nadeszła chwila, w której mam nadzieję,  
Zbadać czy serce twoje miłością goreje;  
Bo oto z wielkim mozołem  
Poznałem całą magię, wszystko w niej pojąłem.  
Więc teraz, o ja biedny! teraz będę świadom,  
Czyś się jakim z Moskonem nie oddała zdradom.  
Słuchajcie moich zaklęć, o nieba wodniste,  
A jak tamten powiada, o nieba przeczyste!  
O góry!...

**Djabeł.** Co to znaczy?

**Klaryn.** O mój mistrzu wielki! -  
Zróżdło-m magii wyczerpał do dna, do kropelki;  
W dniu przeznaczeń chcę, żeby jój wszechmocna  
władza  
Odkryła, czy mi Libią wierna, czy też zdradza.

**Djabeł.** Porzuc tę czczą gadaninę,  
Idź w tych skał niebotycznych lesistą gęstwinę:  
Jeżeliś cuda magii widzieć taki chciwy,  
Poszukaj twego pana i patrzaj na dziwy,  
Gdzie już koniec jego trudów;  
A ja tu sam chcę zostać.

**Klaryn.** Lecę do tych cudów.  
Dotąd jeszcze nie zasłużył,  
Bym z twą pomocą tajnej sztuki użył,  
Dlatego, żem ci jeszcze cyrografu nie dał,  
W którymbym krwią mą własną duszę ci zaprzedał.  
Więc teraz oto na kawałku płótna....

*(Dohywa chustki od nosa).*

(Nie dziw się, że tak mokra, gdy myśl ciągle smutna)  
Gdy pięść po nosie uderzy,  
Strumień czystej krwi pobieży;  
Będzie taki samiuteńki,  
Jak gdybym go wypuścił z piersi albo z ręki.

*(Puściwszy sobie krew z nosa, pisze na chustce, wymawiając uro-  
czyście następane wyrazy).*

„Ja wielki Klaryn mówię, gdy Libię posiędę,  
Djabłu z duszą na wieki zaprzędany będę”.

**Djabeł.** Jużem tobie powiedział, żebyś mię zostawił,  
I żebyś się tymczasem z twoim panem bawił.



**Klaryn.** No, nie gniewaj się daremnie;  
Lecz kiedy cyrografu nie chcesz wziąć odemnie,  
Napisanego z całą formą urzędową,  
Robisz mi wielki zaszczyt: chcesz wierzyć na słowo.

## SCENA V.

DJABEŁ (*sam*).

Daléj piekielna głębino!  
Niech dzikie tve potęgi prądem tu popłyną;  
Wypuść z twojego więzienia  
Duchów rozpusty i zezwierzęcenia;  
Niechaj zamienią w zwałisko  
Świątynię cnót Justyny, dziewicze ognisko;  
I myśli jěj niewinne, niebem jaśniejące,  
Niech otoczy plugawych widziadeł tysiące;  
Do miłości niech ją wzywa  
Kwiat swą wonią i ptaszek niech miłość jěj śpiewa;  
Gdzie tylko wzrok swój obróci,  
Niech zaraz łup miłości jěj myśli zakłóci;  
Co tylko ucho usłyszy,  
Niech lubym dźwiękiem uczuć i miłością dyszy;  
Zeby jěj wiara żadną nie była obroną,  
Zeby przyszła się rzucić na Cypryana łono,  
Jego słowami zakłęta,  
I w chytre ducha mego uplątana pęta.  
Zacznijcie! ja zamilknę jakby oniemiały,  
Gdy śpiewy wasze czary będą rozlewały.

Głos z głębi. Gdzie szczęście żywota gości?

Chór. W miłości, tylko w miłości.

(*W czasie śpiewu djabeł odchodzi*).

## SCENA VI.

(Pokój Justyny).

JUSTYNA (*wchodzi z niepokojem*).

Głos. Wszędzie w życiu miłość płonie,  
Wszędzie ogień swój rozżarza;  
I człek żyje, nie gdy stwarza,  
Lecz gdy w płomień jěj utonie:  
I śni błogo na jěj łonie,  
Drzewo, ptaszek i roślina,

Ledwie życie swe poczyną.  
Gdzież blask życia i wdzięk gości?

**Chór.** W miłości, tylko w miłości!

**Justyna.** Dziwne mary i widziadła!  
Czemu pieszcząc tak dręczycie?  
Zkąd mię wasza moc owładła?  
Taka troska przez me życie  
Nigdy w sercu nie osiadła.  
Co istnieniem mojem całym  
Wstrząsa coraz większym szalem?  
Czém ten obłąd, mar zawiałość?  
Czém ten ból co czuję ciałem  
I mą duszą?

**Chór.** Miłość, miłość!

**Justyna.** Ach! odpowiedź na to słyszę,  
O słowiczku! w twojem pieniu,  
Co miłością taką dysze  
Do kochanki, gdy w marzeniu  
Na gałązce się kołyszcie.  
Ucisz, ucisz twoje pieśni,  
Bo co w duszy mej się nie śni,  
To w niej piosnka twa rozbudzi;  
Gdy tak czują ptacy leśni,  
Jakież czucie jest u ludzi!

Tu winorośl za pnem goni,  
W zieleń chwyta go ponętnie;  
To igrając niby stroni,  
Aż obejmie go namiętnie,  
Jedno tętno w nich zadzwoni.  
Winorośli! niechaj twojej  
Szał miłości się ukoi:  
O! bo czuję zakłócona,  
Gdy krzew z krzewem tak się spoi,  
Jakże ludzie gdy w ramiona!

A tam bujne widzę kwiecie,  
Zwraca lice swe do słońca,  
Z blaskiem łzawy liść swój plecie;  
Jaka barwa pałająca,  
Gdy w światłości płynić świecie!  
Strzeż się, kwiatku: któż ocali,  
Gdy tęsknota ciebie spali,  
W proch obróci blask uroczy?  
Ach! gdy listek tak się żali,  
Jakże tęskne płaczą oczy!

Ptaszku, ucisz pieśń tęsknoty,  
Wino opuść twoje sploty,  
Kwiatku strzeż się niestałości.  
Zkąd ta siła, że jak groty  
Mnie razicie?

Chór. Ach z miłości!

Justyna. Miłość, dotąd mnie nieznana,  
Czczém widziałem się zdawała:  
Lelia, Flora i Cypryana  
Jam z pogardą odtrącała;  
A dziś zkądże taka zmiana?  
Ach! ten Cypryan wśród boleści  
Przepadł, zginął gdzieś bez wieści,  
Żem dla niego była srogą.  
Był u ludzi w takiój cześci!  
Gdy go wspomnę, zdjętam trwogą:  
Cóżto znaczy? żal współczucia?  
Wszak i tamci żalu godni;  
Dla mnie cierpią wśród okucia,  
Jakby winni jakiej zbrodni:  
W zimnym lochu dla uczucia!  
Przestań myśli, bo w obłądnie  
Głos twój taką moc zdobędzie,  
Że Cypryana się odważę  
Szukać; pójdę za nim wszędzie!

## SCENA VII.

JUSTYNA i DJABEŁ. *(który nagle jęj ukazuje się).*

Djabeł. Pójdź! ja drogę ci pokażę.

Justyna. Kto jesteś, co w me ustronie  
Wchodzisz, gdy zewsząd zamknięte?  
Czyś widziałem w snów osłonie,  
Marą szaku? Strachem zdjęte  
Serce w dziwny obłąd tonie.

Djabeł. Jam nie marą, co myśl zwięwa,  
Więc się próżnej oprzej trwodze;  
Gdy cię miłość pokonywa,  
Ja na pomoc ci przychodzę:  
Więść, gdzie Cypryan twój przebywa.

Justyna. Chociaż w przyjaźń się ustroją  
Twoje słowa, choć mię drażnią;  
Choc' pokusy niepokoją,



I owładły wyobraźnia:  
Nie owładną wola moją.

**Djabeł.** Coś w twój myśli utworzyła,  
To objawić musisz w czynie.  
Woli twojej marna siła;  
Grzech już ciebie nie ominie:  
Tyś pół drogi już zrobiła.

**Justyna.** Mnie twa mowa nie przekona:  
Choć myśl czynu jest początek,  
Lecz w czyn jeszcze nie wcielona;  
Dłonią przerwę jego wątek,  
Bo w niej czynu moc złożona.  
Myślą tylko dłoń nie włada.  
Zanim wola co dokona,  
Pierwój ciała ruchy nada;  
Jój potęga niewzruszona,  
Bo kto nie chce, nie upada.

**Djabeł.** Myśli twoje nie zaginą,  
Tak, bo sztuka niepojęta  
W swoje więzy wnet, Justyno,  
Tak przemożnie cię opęta,  
Że z nią chęci tve popłyną.

**Justyna.** W wolnej woli ma moc cała;  
Ona będzie mą obroną.

**Djabeł.** Mnieżby oprzeć się zdołała?

**Justyna.** Wolną byłążbym stworzoną,  
Gdybym przemódz ci się dała?

**Djabeł** (*usiłując napróżno ją wprowadzić*).  
Pójdź, gdzie rozkosz ciebie wzywa.

**Justyna.** Rozkosz drogo opłacona.

**Djabeł.** O! tam błogość jest prawdziwa!

**Justyna.** Przepaść, w której wolność kona.

**Djabeł.** Tam jest szczęście.

**Justyna.** Śmierć straszliwa.

**Djabeł.** Próżno walczyć chcesz zuchwała;

Mknij za mocy mój podniętą.

(*Ciągnie ją gwałtem*).

**Justyna.** Boże! Tobiem zaufała.

**Djabeł** (*puszczając ją*). Zwyciężyłaś mię, kobieto,  
Boś zwyciężyć się nie dała.  
Choć nad tobą swą prawicę,

Przeciw mnie Bóg rozpościera,  
 Zawsze moją złość nasyce:  
 Gdy żyjąca się opiera,  
 To widziało jój uchwyce;  
 Duch niedługo się ukaże,  
 Co twą postać przyobleknie;  
 Człek uwierzy tój czczéj marze,  
 I od ciebie cześć ucieknie,  
 I splugawią cię potwarze.  
 Dwa tryumfy odnieść muszę,  
 Gdy twa cnota obronioną:  
 Gmach twój sławy z gruntu wzruszę,  
 I pod czarów mych osłoną  
 Grzechem drugą zgubię duszę.  
 (*Znika.*)

## SCENA VIII.

Justyna (*sama*).

Boże! błagam Cię, o Panie!  
 Niech ta hańba się rozwieje,  
 Niech zeń śladu nie zostanie  
 Jak z płomienia gdy zgoreje,  
 Z kwiatu w srogich wichrów tanie!  
 Więc nie zdołasz... O mój Boże!  
 I do kogóż ja to prawię?  
 Tu był człowiek... Czyż być może?  
 W śnież to było, czy na jawie?  
 Nie, to mara! Cóż się trwożę?  
 Urojenie się rozwiało.  
 Nie! widziałam na me oczy:  
 Postać ludzka, żywe ciało,  
 Dreszcz mię przejął, strach mię mroczy.  
 Ojcz! Libio!

## SCENA IX.

JUSTYNA, LIZANDER, LIBIA.

(*Lizander i Libia wchodzą z dwóch przeciwnych stron.*)

Lizander i Libia. Cóż się stało?

Justyna. Ach! powiedzcie, co to znaczy:  
 Ztąd mężczyzna szedł przed chwilą.  
 Dziwna! któż mi wytłumaczy?

Lizander. Co? mężczyzna?

Justyna. Mnie nie mylą

Moje oczy.

Libia. To sen raczej:

Nie widziałam tu nikogo.

Justyna. Jam widziała.

Lizander. Moje dziecko

Prozną się nie zdejmuj trwogą:

Tu zamknięto zewsząd przecie.

Libia (*na stronie*). Oj, ten Moskon! on mi drogo

To zapłaci; on zapewne,

Będąc w stancyi méj zamknięty,

Tutaj wyszedł.

Lizander. Smutki rzewne

Myśl rzucają twą w odmęty,

Gdzie się snują kształty wiewne,

Gdzie świadomość jawu ginie,

W postać ludzką pył się składa,

Co w promieniu słońca płynie.

Libia. Tak, to słusznie pan powiada.

Lizander. Rzucisz smutki, to strach minie.

Justyna. To nie postać, co sen stwarza,

W kształty żywe przyodziewa;

Oh! ból serce me rozżarza,

Na kawałki je rozrywa,

I przyszłością mię przeraża.

Moce piekiel, jakieś czary,

Snadź się na mnie poprzysięgły,

I ziściłyby zamiary,

Tylko co mię nie dosięgły;

Lecz Bóg łaskaw jest bez miary,

On nademną weźmie pieczę,

I moc wszelką zgnębi inną,

Co odemnie precz uciecze;

Na pokorną i niewinną

Mak niesłusznych nie wyrzecz.

Libio, płaszcz mój! Do kościoła

Pójdę w takim duszy stanie,

Gdzie przed panem korzym czoła

Śród podziemi chrześciance.

(*Libia podaje jej płaszcz*).

Kościół jeden tylko zdoła

Zgasić ogień, co mię pali.



Lizander. Idę z tobą. moje dziecię.

Libia (*na stronie*). Idźcie sobie jak najdalej!  
Ja odetchnę jak wyjdziecie.

Justyna. Pan nademną się użali.  
Boże! moja sprawa Twoją:  
Tobie w modłach się polecę.

Lizander Pójdźmy.

Justyna. Panie bądź mi zbroją:  
Czyliż przeciw Twój opiece  
Te pokusy się ostoją?

(*Lizander i Justyna odchodzą*).

## SCENA X.

LIBIA i MOSKON (*który wchodząc ogląda się wokoło*).

Moskon. Czy już wyszli?

Libia. Już ich niema.

Moskon. Trwoga zdjęła mię niemała.

Libia. Czy cię rozum się nie trzyma:  
Wyjść, by pani cię widziała.

Moskon. A broń Boże! jam ze drzeniem  
Skrył się zaraz śród schowania,  
I siedziałem tam kamieniem;  
Za cóż Libia mi przygania?

Libia. Zkądże wziął się tu mężczyzna?

Moskon. Chyba djabeł. Co u licha?  
Niechże Libia prawdę wyzna,  
Czy dlatego ciągle wzdycha?

Libia (*wzdychając*). Nie dlatego.

Moskon. Czemuż, miła?

Libia. To dopiero jest pytanie!  
Całym dzień mu poświęciła,  
I zrozumieć nie jest w stanie.  
(*Placze*).

Klaryn.... tak go kocham czule,  
Bo w nim rozkosz moja cała;  
W łzach się dzisiaj nie utulę,  
Jam go wczoraj nie płakała.  
U niem stawić się na słowie:  
Nieobecność przez pół roku

Mnie nie skłoni wbrew umowie  
Do żadnego w życiu kroku.  
Jeśli z tobą nieszczęśliwa  
Aż pół roku ciągle bawię,  
On niech ze mną rok przebywa,  
Ciebie przez ten czas odprawię.

**Moskon.** O niewdzięczna! To frasunek!  
W rozpacz taka mowa wtrąca,  
Z uczuć robić chcesz rachunek:  
Jakżeś zimna i szydząca!

**Libia.** Choć w rachunki-m te się wdała,  
Przy nich przyjaźń się nie zmienia.

**Moskon.** A więc, kiedyś taka stała  
To do jutra, do widzenia!

**Libia.** Wszak ja krzywdy twój nie żądam,  
Więc już dziś cię nie zobaczę;  
Lecz niech jutro nie wyglądam,  
Na spóźnienie, niech nie płaczę.

## SCENA XI.

Las w górach.

(**CYPRYAN** *wchodzi zamysłony, za nim KLARYN*).

**Cypryan.** Więć się zapewne pobuntowały  
Gwiazdziste nieba orszaki,  
Ciagnąc samopas w niebieskie szlaki,  
Stawiać mi opór zuchwały.  
A i moc wszelka wgłębi podziemi  
Niema na moje rozkazy;  
I wiatry tysiąc i jeden razy  
Zadrzały kłątwy mojemi;  
I tyleż razy pismem tajemnym,  
Pokryłem ziemi przestrzenie;  
I nie ziszczono moje pragnienie,  
I wszystko dotąd daremnym!  
I moim oczom się nie ukaże  
To niebo moje żyjące,  
Ani nie wszędzie żywota słońce,  
Za którym gonię i marzę.

**Klaryn.** Oto tysiąc jeden razy,  
Kreślę linie i figury,  
Oto groźne me wyrazy,  
Straszą wiatry, biją w chmury;

Jednak Libia nie przychodzi.  
Piękna sztuka, kiedy zwodzi!

**Cypryan.** Ten raz jeszcze ją zawołam,  
Może cudu dopiąć zdołam.  
Przyjdź, Justyno!

## SCENA XII.

CYPRYAN i widziadło JUSTYNY.

*(Ukazuje się widziadło w postaci i odzieniu Justyny).*

**Justyna.** Na wezwanie  
Biegłam przez las, gór bezdroże;  
Czego żądasz, mów Cypryanie,  
Czego żądasz?

**Cypryan.** Tak się trwożę!

**Justyna.** A więc skoro.....

**Cypryan.** Ja drzę cały!

**Justyna.** Tu przybyłam....

**Cypryan.** Jam struchlały!

**Justyna.** Zkąd mię miłość.....

**Cypryan.** Cóż się boję?

**Justyna.** K'tobie woła...

**Cypryan.** Milcząc stoję.

**Justyna.** Wypełniwszy twoje czary,  
Biegnę teraz w gór obszary.

*(Zasłania twarz płaszczem i szybko odchodzi).*

**Cypryan.** Stój Justyno, moja droga!  
I cóż dumam? Zkąd ta trwoga?  
Dalej! może ją dogonię.  
Jakże spieszy! jeszcze blisko.  
W zmierzchu liści to ustronie  
Dziwne da nam widowisko  
*(Łożem ślubném by się stało).*  
Tój miłości, której w świecie  
Niebo nawet nie widziało.  
Ludzie, wy jój nie pojmiecie!

## SCENA XIII.

**Klaryn.** To mi piękna narzeczona,  
Nie wiem zkąd ją dymem słychać,



Aż się duszę, muszę kichać?  
 A! rozumiem, pewno ona  
 Czarem była przymuszona  
 Lecieć tutaj wprost od prania,  
 Lub od jada gotowania;  
 Ależ płaszczem jest okryta:  
 Kto tam zgadnie co kobieta.....

*(Ogląda się wokoło).*

Ale oto ją dogania,  
 Tu z nią pędzi na dolinę:  
 Jak się w ręku jego ślania!  
 Sposobności nie ominę:  
 Będę świadkiem całej sprawy,  
 Bom ja zawsze jest ciekawy.

*(Ukrywa się).*

## SCENA XIV.

CYPRYAN *(gwałtem wprowadza widziadło, które płaszczem  
 twarz sobie zasłania).*

Cypryan. O prześliczna ma Justyno!

Tu w ustroniu tém lesistém,  
 Blaski słońca gdzie nie wpłyną  
 Ni powietrze tchnieniem czystém,  
 Jesteś czarów mych zdobyczą:  
 Zbrojny sztuką tajemniczą,  
 Byle tylko cię posiadać,  
 Jam przeszkody nie znał żadnej.  
 Ach! twój urok tak wszechwładny,  
 Że dlań duszę chcę postradać;  
 Lecz ta strata jakże mała,  
 Gdy nagroda tak wspaniała!  
 Bóstwo moje, rzuć zasłonę:  
 Maż się słońce kryć za chmury,  
 Odziać jasność w strój ponury?  
 Okaż blaski twe złocone.

*(Zdziera z niej zasłonę i spostrzeżga skielet).*

Co ja widzę, nieszczęśliwy?  
 Skielet zimny dłoń mą ściska,  
 Martwém próchnem wzrok mu błyska!  
 Niepojęta, straszne dziwy!  
 Zkądże w potwór taki blady,  
 Tak szkaradny i grobowy,  
 Jedna chwila purpurowej  
 Kraszy mogła zatrzeć ślady;

A tak życiem lśniła młodém,  
Jak zaranie słońca wschodem!

Widziadło. Z wszelkim blaskiem, o Cypryanie,  
Na téj ziemi tak się stanie.  
(Przepada się w ziemi).

## SCENA XV.

KLARYN (*wybiega nagle z ukrycia i wpada na Cypryana*).

Klaryn. Choć odważny-m, wyznać muszę,  
Na ramieniu miałem duszę.

Cypryan. Zaczekajcie martwe cienie,  
Mam cel inny.

Klaryn. Co on prawi,  
Czym ja trupem? Czy dotknięcie  
O tém cię nie przekonało?

Cypryan. Więc kto jesteś?

Klaryn. To mię bawił  
Sam w tém kwestyę mam niemałą.

Cypryan. Czy widziałeś, jak się w mgnieniu  
Skrył ten skielet w ziemi łono,  
Czy téż w wiatru zginął tchnieniu,  
Piękność świetnie uwdzięczoną  
(Ach! cudniejszój nie ujrzymy)  
Rozwiewając w proch i dymy?

Klaryn. Więc ty wiesz, żem się za katy  
Na te smutne wybrał czaty?

Cypryan. Lecz gdzież ona?

Klaryn. Gdzieś zginęła.

Cypryan. Trzeba szukać, więc do dzieła;  
To oszustwo wykryć muszę.

Klaryn. Co ja, to się ani ruszę.

## SCENA XVI.

CIZ i DJABEŁ (*który wchodzi nie widząc ich*).

Djabeł. I cóżto znaczy, o nieba srogie?  
Wszak były czasy dla mnie tak błogie,

Żem miał i wiedzy i łaski dary,  
Gdym był bez zmaży. Pychą bez miary  
Straciłem łaskę. Cóż gwałt robicie,  
Że wydzieracie wiedzy użycie?

**Cypryan.** Mądry mój mistrzu, o Lucyferzel!

**Klaryn.** Cicho! to pewno drugi trup idzie.

**Djabeł** (do Cypryana). Co chcesz odemnie?

**Cypryan.** W moc twoją wierzę:

Strach mię ogarnął, wszystko w ohydzie!  
Rozwiąż te czary, o to cię proszę.

**Klaryn.** Nie chcę być przy tém, więc się wynoszę.  
(*Odchodzi.*)

## SCENA XVII.

DJABEL i CYPRYAN.

**Cypryan.** Ledwie nad ziemią wyrzekł zakłęcie,

Nagle zjawiła się tu Justyna,

Mój cel, nadzieja, rozkosz jedyna;

Zdała się piękną nad wsze pojęcie....

Lecz wiesz to dobrze, cóż się rozwodzę?

Zbliżam się do niój, chwytam w ramiona,

Chcę ujrzyć lice, spada zasłona:

I w miejsce cudnych wdzięków znachodzę

Skielet, co w prochy wiatr wnet rozgania.

Trup rzekł te słowa śród pożegnania:

„Z wszelkim blaskiem, o Cypryanie,

Na téj ziemi tak się stanie”.

Więc mi wytłumacz, bom zrazu sądził,

Żem w dziele czarów w czémkolwiek zbłądził.

Lecz jam był baczny; błędu-m nie zoczył,

W znakach, w zakłęciach, w niczém nie zboczył;

Więc ty mię zwiódłeś, dając mi mary,

Gdym chciał żyjącą dostać przez czary.

**Djabeł.** W tém ani moja, ni twoja wina:

Ty pewnoś w niczém się nie omylił,

Jam téż ci wiedzę mą dać się silił;

Ten cud zrządziła wyższa przyczyna.

Lecz mniejsza o to, przyrzekam tobie:

Wkrótce cię panem Justyny zrobię,

Znajdzie się na to droga pewniejsza.

**Cypryan.** Już o to nie dbam, o to mi mniejsza.

Ten cud mię trwogą nabawił taką,



Że gardzę twoją sztuką wszelaką:  
 Nie chcę już widzieć twego oblicza.  
 Czyto przez podstęp, czy skutkiem trafu,  
 Twa obietnica była zwodnicza:  
 Dość, że zerwana nasza umowa,  
 A więc zwrócenia chcę cyrografu.

**Djabeł.** A ja ci mówię, że czcze twe słowa:  
 Wszakżem dopełnił to com obiecał,  
 Jam cię w nauce tajnej oświecał,  
 Byś mógł Justynę głosem przyciągnąć;  
 Wiatr ją tu przyniósł na twe zakłęcie,  
 Cóż zatém jeszcze pragniesz osiągnąć:  
 Nasza umowa więc stoi święcie.

**Cypryan.** Ty mi przyrzekłeś, że owoc zbiorę  
 Z ziarna nadziei, com zasiał w porę  
 W tych dzikich wzgórzach.

**Djabeł.** Miej na uwadze,  
 Żem tylko przyrzekł, iż ją sprowadzę.

**Cypryan.** Tyś dać ją przyrzekł.

**Djabeł.** Czyś ją w ramiona  
 Nie obejmował?

**Cypryan.** To tylko złuda,  
 To jój widziadło!

**Djabeł.** To były cuda!

**Cypryan.** Czyje?

**Djabeł.** On przyjął ją w swą opiekę.

**Cypryan.** Więc powiedz, czyje?

**Djabeł** (ze drżeniem). Nie chcę, uciekę.

**Cypryan.** Więc na cię sztuki twojej użyję;  
 Zaklinam ciebie: powiedz mi, czyje?

**Djabeł.** Boga, co wziął ją w swoją obronę.

**Cypryan.** Wszak bogów tłumi są niezliczone.

**Djabeł.** On nad innymi wszechmocnie włada.

**Cypryan.** Więc przed nim siła innych upada,  
 Więc przy nim władztwo ich jest zwodniczym?

**Djabeł.** Nie wiem o niczym, nie wiem o niczym.

**Cypryan.** Zrywam umowę, wszystko się maże,  
 I w imię Boga tego ci każe  
 Powiedzieć, czemu chciał ją ratować?

**Djabeł** (z przymusem). Aby bez zmyślenia cześć jej zachować.

**Cypryan.** Dobro najwyższe! On nie pozwala  
Wyrządzać złego, od krzywd ocala:  
Lecz cóż Justyna mogłaby stracić,  
Będąc przed ludźmi tutaj ukryta?

**Djabeł.** Czciaby to swoją mogła przypłacić:  
Tłum się wszystkiego chytrze dopyta.

**Cypryan.** Więc wszystko widzi, rządzi wszechwładnie,  
Że nawet przyszlą krzywdę odgadnie;  
Lecz czyż czar takim silnym być może,  
Że ten Bóg władzą swą go nie zmoże?

**Djabeł.** Nie, On wszechmocny!

**Cypryan.** Któż jest tym Bogiem,  
Bogiem wszechmocnym i wszechwiedzącym,  
Najwyższém Dobrem, od krzywd broniącym?  
Tylem lat znaleźć Go nie był w stanie.

**Djabeł.** Ja nie wiem.

**Cypryan.** Powiedz!

**Djabeł.** Powiem ze drzeniem:  
To Bóg, którego czczą chrześciance!

**Cypryan.** Czemuż Justynę strzegł swém ramieniem?

**Djabeł.** Ona chrześcianką.

**Cypryan.** Tak swoich broni!

**Djabeł** *(ze wściekłością).*  
Lecz już zapóźno, próżno Go wzywać  
I z méj niewoli chcesz się wyrwać,  
A Jemu służyć. On nie osłoni.

**Cypryan.** Jam twój niewolnik?

**Djabeł.** Mam słowo twoje.

**Cypryan.** Cyrograf dałem ci warunkowo,  
Więc go odbieram; precz z tą umową!

**Djabeł.** Jakto?

**Cypryan.** Natychmiast zwróc pismo moje!  
*(Dobryca szpady i uderza nią djabła, lecz nie może go ranić).*

**Djabeł.** Próżno się miotasz wściekłości szaleń,  
Nie zadasz ciosu twojém żelazem;  
W rozpacz cię wtrącę jednym wyrazem:  
Jeszcze ci tego nie powiedziałem,  
Komu ty służysz: czart twoim panem!

**Cypryan.** Co mówisz? powtórz.

**Djabeł.** Jam jest szatanem!

Cyprian. Straszna wiadomość! Ja w służbie czarta,  
Co zbrodnią żyje, wечно nieprawy?

Djabeł. Tak, tyś jest moim. Nie wygrasz sprawy,  
Bo przeciw tobie świadczy ta karta!

*(Pokazuje mu cyrograf).*

Cyprian. Jakim sposobem zmazać mą winę?  
Żadnej nadziei! Więc pewno zginę?

Djabeł. Tak jest.

Cyprian. Ha! cóż się wahać i smuć?  
Mam to żelazo. Rozstać się z światem?  
Tak, w jednej chwili życie me skrócę,  
Samego siebie stanę się katem!...  
Ten co Justynę od krzywdy zbawił,  
Mnie bez pomocy czyżby zostawił?

Djabeł. Przeciwno tobie są twoje winy,  
On broni cnotę, nie grzeszne czyny.

Cyprian. Jeśli wszechmocnym On panem świata,  
To w Nim nagroda z łaską się brata.

Djabeł. Nagroda z karą.

Cyprian. Lecz ja się korzę:

Któż karze, jeśli żałuję szczerze?

Djabeł. Kto moim, Jemu służyć nie może.

Cyprian. Idź precz: do Boga ja już należę!

Djabeł. Więc obietnica twa nic nie warta  
I krwią twą własną pisana karta?

Cyprian. Tak jest: Bóg przez swą wszechmocną wolę,  
Gdy zechce zmoże moją niedolę.

Djabeł. A w jaki sposób?

Cyprian. On w swęj mądrości  
Wię jak rozwiązać pęta twęj złości.

Djabeł. Ja pierwej z ciebie duszę wywęlekę.

*(Walczą).*

Cyprian. O Boże chrześcian! w Twoją opiekę....

*(Wyrywa się z rąk djabła).*

Djabeł. On dał ci życie.

Cyprian. Obdarzy bardziej:  
Ja Go szukałem, więc mną nie wzgardzi.  
*(Odchodzą każdy w inną stronę).*



## SCENA XVIII.

(Sala w pałacu rządu Antyochii).

*Wchodzi RZĄDCA z FABIUSZEM i orszakiem.***Rządca.** Jakże ci się to udało?

**Fabiusz.** Gdy ukryci w swym kościele  
 Boga swego czczą nie śmieje,  
 Ja ze strażą moją całą  
 Wpadam, cały dom okrążę;  
 Wnet w podziemiu ich znachodzę,  
 A oddanych wielkiej trwodze  
 Wszystkich chwytam w krępy więzę  
 I do ciemnych lochów sadzam,  
 Ależ szczęśna ta godzina:  
 Był tam Lizandr i Justyna,  
 Których tobie przyprowadzam.

**Rządca.** Chcesz na wyższym być urzędzie,  
 Wziąć co tylko skarb mój mieści?  
 Za pomyślnie takie wieści  
 Wszystko co chcesz twojém będzie.

**Fabiusz.** Sługa łaskę pana ceni;  
 Lecz ma prośbę, jeśli pora...

**Rządca.** Więc mów.

**Fabiusz.** Wolność Lelia, Flora,  
 Co tak dawno uwięzieni.

**Rządca.** Chociaż niby w takiej karze  
 Chciałem przykład dać krajowi,  
 Wszakże dziś przyjacielowi  
 Prawdę wyrzec się odważę:  
 Chcąc uchronić mego syna,  
 Rok w więzieniu trzymam obu.  
 Mścić się niema więc sposobu,  
 Flora groźna mi rodzina;  
 O to miałem téż obawę,  
 By młodzieńcy zapaleni  
 I miłością oszaleni,  
 Znów nie wpadli w starcie krwawe;  
 Osłaniałem téż me plany,  
 By tymczasem się Justyny  
 Pozbyć z jakiegobądź przyczyny,  
 I oddalić w kraj nieznany.  
 A gdy teraz obłudnica  
 Z gruntu poznać nam się dała,

Dziś wygnanie, kara mała:  
 Krwią przypłaci ta zwodnica.  
 Więc niech będą uwolnieni,  
 Niech się stawią tu za chwilę.

**Fabiusz.** Panie! do stóp twych się chylę;  
 Sługa łaskę twoją ceni.  
 (*Odchodzi.*)

## SCENA XIX.

RZĄDCA i orszak.

**Rządca.** Ha! więc teraz żadna siła  
 Jój z rąk moich nie wychwyci,  
 Ona zemstę mą nasyci  
 Za niepokój co zrządziła:  
 W krwawym ręku kata zginie!  
 (*Do straży.*)  
 Przyprowadzić ją tu macie!  
 (*Niektórzy ze straży odchodzą.*)  
 Widowisko miastu dacie:  
 Śmierć i hańba jój nie minie.

## SCENA XX.

CIŻ SAMI, oraz LELIUS, FLORUS i FABIUSZ.

**Fabiusz** U stóp twoich, jakeś kazał,  
 Obaj więźnie kornie stoją.

**Lelius.** Ojczy! obym winę moją  
 W twój pamięci wkrótce zmazał;  
 Bo jak syn przed ojcem gniewnym,  
 Nie jak zbrodniarz przed sędziego  
 Staję; żalu łzy mi biegą.

**Florus.** Przebaczenia i ja pewnym,  
 Choć jam kary nie zasłużył,  
 Lecz przed tobą schylam głowę.

**Rządca.** Choć wyroki me surowe,  
 Wszakże prawa-m nie nadużył.  
 Ja nie mógłm wam darować:  
 Byłbym ojcem nie urzędem,  
 Co pod każdym winien względem  
 Ścisłe władzę swą sprawować.  
 Zaniechajcie téj niechęci,

Zawiść zacnym nie przystoi;  
 Usłuchajcie rady mojej:  
 Rzućcie przeszłość niepamięci,  
 Dajcie sobie bratnie dłonie.

Lelius (*do Flora*). Więc bądź moim przyjacielem.

Florus. Odtąd już się nie rozdzielem.  
 (*Ściskają się*).

Rządca. Więc wam razem być nie bronię:  
 Jakżem z tego ucieszony,  
 Od miłości żeście wolni,  
 I do szaleństw już nie zdolni.

Djabeł (*za sceną*). Uciekajcie! to szalony.

Rządca. Kto tu krzyzczyć śmie, zuchwały!

Lelius Ja zobaczę.  
 (*Odchodzi*).

Rządca. Na mym dworze  
 Taki hałas zkąd być może?

Florus. Snadź wypadek to niemały.

Lelius (*wraca*). To rzecz dziwna! słuchaj, panie:  
 Cypryan, zdawna zaginiony,  
 Wraca teraz, lecz szalony:  
 Straszne, cierpi obłąkanie.

Florus. W taki smutny stan młodzieńca  
 Wtrąca myśli zaciekanie:  
 Tak je kochał niesłychanie.

Głosy (*za sceną*). Uciekajcie od szaleńca.

## SCENA XXI.

CIŻ SAMI i CYPRYAN (*który wchodzi na półnagi; za nim tłum ludu*).

Cypryan. Nigdy nie był przytomniejszy,  
 Wyście wszyscy w szale raczej.

Rządca. I obecność ma nie zmniejszy  
 Zuchwałości; co to znaczy?

Cypryan. Słuchaj ziemi téj pretorze,  
 Namiestniku Cezarowy,  
 Przyjaciele, Leliu, Florze,  
 Patrycyusze i rycerze,  
 Wielki ludzie! kilku słowy



Dziwne rzeczy wam powierzę:  
 Jam jest Cypryan; szkół podziwem,  
 Byłem nauk wszech zaszczytem,  
 I nie było nic mi skrytém  
 Niby mędrca nad mędrcami;  
 Jednak jakże pozór mami,  
 Ach! to światło me fałszywém!  
 Bo cóż w końcu tam zdobyłem?  
 To zwątpienie, co bez przerwy  
 Ciemną moją myśl pożera;  
 Wtém Justyna licem miłém  
 Mnie odrywa od Minerwy,  
 Panią moją już Wenera;  
 Lecz Minerwie jeszcze wierny,  
 Toczę z sercem bój niezmierny.

Raz gdy morza nawałnica  
 Do stóp moich gościa rzuca,  
 Strasznie wspomnieć tę godzinę,  
 Miłość duszę tak zakłóca,  
 Wdzięczném licem tak zachwyca,  
 Żem dał duszę za Justynę;  
 Bo ten gość mię oczarował,  
 Bo me serce obietnicą,  
 Umysł wiedzy błyskawicą  
 On przemożnie opanował.  
 I ot wśród tych gór zarośli  
 W pasmie, które najwynioślej  
 Pod obłoki grzbiet swój ściele,  
 Był mym mistrzem wśród podziemi;  
 I dał wiedzy mnie tak wiele,  
 Że przenosić mogę góry;  
 Lecz me cuda bezsilnemi,  
 By téj ziemi pięknej córzy  
 Stać się panem, by ją słowo  
 Ciągło siłą magnesową.  
 A przyczynę temu wiecie?  
 Ot jest jeden Bóg na świecie,  
 Który ją od złego strzeże;  
 Więc ja w Boga tego wierzę,  
 I wszechmocnym Go uznaję:  
 Jedno on ma panowanie,  
 Jemu tylko cześć oddaję;  
 Tego Boga czczą chrześciance!  
 Choć się piekłu zaprzedałem  
 Krwiąją mą własną z duszą, z ciałem,  
 Chociaż rozpacz mię przenika;  
 Lecz Bóg może nie ukarze,

Może winy krwią mą zmażę:  
Ja chcę śmierci męczennika.

*(Do rządcy Antyochii).*

Jeśli twoja władza krwawa  
Ścigać chrześcian nie ustawa,  
To wiedz o tém, zem ich bratem:  
Starzec pośród gór sędziwy  
Dał mi wiary uświęcenie.  
I cóż zwlekasz? Bądź mi katem,  
Władco pogan sprawiedliwy;  
Niech mię zemsta twa ogarnie!  
Każ ściąć głowę; lecz to—mgnienie!  
Lepiej długie daj męczarnie;  
Wszystko przenieść chcę cierpliwie,  
Nawet srogich mąk tysiące;  
Strachem ciszy méj nie zmażę:  
Bo Bóg jeden jest prawdziwie,  
Bóg, którego szukał długo.  
Człeku nie lśnić swą zasługą,  
Wszelka sława ludzka zginie,  
Jako marny dym przemienie,  
Ludzkie sprawy czczym popiołem!

*(Upada bezsilny twarzą ku ziemi).*

**Rządca.** Słyszac ciebie, ażem zdumiał;  
Za przebraną zuchwalstw miarę,  
Z kar najsroższych jedną karę,  
Nie wiem, czybym wybrać umiał:  
Wstawaj!

*(Potrąca go nogą).*

**Florus.** Sztywny, z sił wyzuty,  
Jak z żelaza posąg kuty.

## SCENA XXII.

CIŻ SAMI i JUSTYNA, *(którą straż przyprowadza).*

**Jeden ze straży.** Oto, panie, masz Justynę!

**Rządca.** Z żywym trupem ją zostawić!

Może, razem tu zamknęci,  
Zmienia myśl, ujrzą winę;  
Wtedy mogą się wybawić,  
Jeśli błędy swe porzucą,  
Do mych bogów się nawrócą;  
Lecz jeżeli śmierć ich nęci,

To już muszą zginąć marnie,  
I straszliwe znieść męczarnie.

(*Odchodzi z orszakiem i ludem.*)

Lelius. Śród miłości i śród trwogi  
W zawieszeniu myśl się chwieje.

(*Odchodzi.*)

Florus. Nie wiem sam nad czém boleję,  
Tak mnie gnębi los złowrogi.

(*Również oddala się.*)

## SCENA XXIII.

JUSTYNA i CYPRYAN.

Justyna. I tak samą porzucacie,  
Nie wyrzekłszy ani słowa?  
Czemż śmierci mi nie dacie,  
Kiedym na nią tak gotowa?

(*Idąc za odchodzącymi potyka się o Cypryana.*)

A! pojmuje! więc ta cisza  
I te cztery nieme ściany  
Wolne dadzą mi konanie;  
A mam w trupie towarzysza.  
O! szczęśliwy nadspodzianie,  
Coś w początek niezbadany  
Twego życia już powrócił,  
Jeśliś tylko błędy rzucił  
I umierał w wierze świętej.

Cypryan. (*Wracając do przytomności.*)  
Pyszny władco gniewem zdjęty,  
Czemu zwlekasz? Życie złożę....

(*Spostrzega Justynę i wstaje.*)

Tu, Justyna? Wielki Boże!

Justyna. Cypryan? Oczom nie dam wiary!

Cypryan. Nie! Myśl z wiatru tworzy czary.

Justyna. Tak, powietrze to widziadło  
Stwarza, aby mną owładło.

Cypryan. To wcielenie wewnętrznych wrażeń

Justyna. Mglista postać moich marzeń!

Cypryan. Czego żądasz tu odemnie?

Justyna. POCO ścigasz mię daremnie?  
Ja nie myślę już o tobie.



**Cyprian.** Wcale ciebie nie szukałem;  
Lecz cóż robisz tu, w tój dobie?

**Justyna.** W więzach! A ty co, Cypryanie?

**Cyprian.** I ja także. Lecz ty?. kałem,  
Żadną winą nie zmazana,  
Znosisz to prześladowanie?  
Zkąd wznieciłaś gniew tyrana?

**Justyna.** Zanim pogan złość zacięta  
W swym się gniewie upamięta,  
W imię święte, w Boga imię  
Muszą cierpieć chrześciance:  
Niech w ofierze śmierć mą przyjmie!

**Cyprian.** Bóg cię z sieci zdrań wyrwa,  
Więc w twój duszy jest otucha;  
O Justyno! tyś szczęśliwa!  
Spraw niech modłów mych wysłucha,  
Miłosiernie niech przebaczy.

**Justyna.** On prośb szczerych słuchoć raczy.

**Cyprian.** Ja Go z wiarą błagam szczerze,  
Ale wątpię: strach mię bierze,  
Za me winy niesłychane.

**Justyna.** Jego łaski nieprzebrane.

**Cyprian.** Więc przebaczy?

**Justyna.** Niezawodnie!

**Cyprian.** Nawet taką wielką zbrodnię,  
Żem w układy wszedł z szatanem,  
By twych wdzięków stać się panem;  
Że mu duszę zaprzedałem?

**Justyna.** Tyle gwiazd na niebie całym,  
Tyle piasku nie ma w morzu,  
Ptaków w jasnych chmur przestworzu,  
Pyłku w świetnym blasku słońca,  
Iskier w ogniu gdy wybucha:  
Ile łaska wszechmogąca  
Wjną przebacza gdzie jest skrucha.

**Cyprian.** A więc ufam, w łaskę wierzę;  
I już na śmierć chętnie bieżę.

SCENA XXIV.

CIŻ SAMI, nadto FABIUSZ, *który wprowadza jako więźni,  
Libię, Moskona i Klaryna.*

Fabiusz. Służba panów los niech dzieli:  
Dalej, będzie wam weselój!

Libia. Więc, że oni chrześcianie,  
Jakaż nasza w tém jest wina?

Moskon. Słudze zawsze się dostanie,  
Gdy pan krzywo coś poczyna.

Klaryn. Tom się tego wykierował,  
I pod rynnę z deszczu schował.

SCENA XXV.

CIŻ I SŁUŻĄCY.

Służący. Pretor władca nasz, Aureli  
Zwie Justynę i Cypryana.

Justyna. Dusza moja się weseli.  
Chwilo zgonu pożądana!  
Pójdź Cypryanie ze spokojem.

Cypryan. Wiara, cisza w sercu mojem!  
Ono nad tém już nie boli,  
Że mam umrzeć: śmierć od piekła  
Prześladowań mię wyzwoli.  
Gdy się dusza czartu dała,  
Mamże Bogu nie dać ciała?

Justyna. W śmierci-m kochać cię przyrzekła.  
Rusztowanie nas zjednoczy,  
Gdy kat głowy nasze stoczy;  
Dziś dopełnię obietnicy.

*(Justyna, Cypryan, Fabiusz, służący odchodzą).*

SCENA XXVI.

LIBIA, MOSKON i KLARYN.

Moskon. Czyście kiedy to widzieli?  
Tak wesoło na śmierć spieszą.

Libia. Ale nam—żyć jest weselój.

**Klaryn.** Niech się państwo tak nie cieszą,  
Bo mam z wami coś na pieńku,  
Czas potemu; pomaleńku  
Rzecz tę całą rozbierzemy.

**Moskon.** O co idzie? nic nie wiemy.

**Klaryn.** Przez rok méj nieobecności...

**Libia.** I cóż dalej?

**Klaryn.** Do jejmości  
Moskon smalił precz cholewki!  
A umowa—nie przelewki!  
Ale, choć się coś odwlecze,  
To, jak mówią, nie uciecze:  
Na rok biorę cię w mą pieczę.

**Libia.** Więc ty myślisz, żem tak zmienna.  
O! jam zawsze jest sumienna:  
Wszak gdy kolej twoja była,  
Tom dzień cały łzy ronila.

**Moskon.** Święta prawda, co tu słyszysz;  
Chętnie-na to się podpiszę.

**Klaryn.** Czemuż, gdy dziś do jój domu  
Wszedłem nagle po kryjomu,  
Nie płakała ani chwili,  
Pędząc z tobą czas najmiléj.

**Libia** Bo to nie był dzień pokuty.

**Klaryn.** Jam nie taki łeb zakuty!  
Dzień gdym zginął, był mój właśnie.

**Libia.** Gdzie tam!

**Moskon.** Ja was w tém objaśnię:  
Rok przestępny, dzień parzysty,  
Błąd Klaryna oczywisty.

**Klaryn.** Nie mam kłócić się ochoty;  
Trudno wszystko wytłumaczyć,  
A więc zgoda. Co ma znaczyć?  
Czy słyszycie? Burza, grzmoty!  
*(Nagle powstaje nawałnica).*

## SCENA XXVII.

*Wchodzą przerażeni RZADCA z orszakiem, a następnie  
FABIUSZ, LEIUS i FLORUS.*

**Libia.** Patrzcie! cały gmach się wali.



**Moskon.** Przestrach! wszyscy potruchleli!

**Rządca.** Wstrząsa się niebios posada,  
Zda się, że na ziemię spada.

(*Grzmoty i błyskawice*).

**Fabiusz.** Ledwie, że na rusztowanie  
Kat Justyny i Cypryana  
Mieczem krwawe strącił głowy,  
Piekiel wstrząsały się otchłanie,  
Ziemia z drżeniem to uczuła,  
Wicher zerwał swe okowy.

**Lelius.** Lazur nieba wnet zasłała  
Burza ciemnych chmur całunem.  
Z ognistego chmury łona  
Błyskawicą i piorunem  
Oto zieje rozszalona!

**Florus.** A na wężu tam skrzydlatym  
Zakębionym i łuszczatym  
Mknie potwora obrzydliwa;  
Do milczenia zda się, wzywa.

(*Odstłania się głąb sceny: rusztowanie na którym leżą zwłoki Justyny i Cypryana; nad niemi unosi się djabeł na wężu skrzydlatym*).

**Djabeł.** Posłuchajcie śmiertelnicy,  
Co w obronie tój dziewicy  
Z woli niebios wam objawię:  
Oto imię jój w niesławie,  
Choć jój dusza jest bez zmayı!  
Jam jest ten co wiele razy,  
Przybierając kształt stokrotny,  
Wdzierał się w jój dom samotny,  
Żeby cnotę jój zniestawić.  
Cypryan, co dziś z nią przebywa,  
Gdzie nic szczęścia nie przerywa,  
Stał się moim niewolnikiem;  
Lecz choć wielkim był grzesznikiem,  
Z więzów zdołał się wybawić:  
Bo krwią swoją chrześcijańską  
Tę umowę zmył szatańską.  
I oboje się unoszą  
W lepsze światy śród przestworzy,  
W sfery czyste przed tron Boży,  
Gdzie cześć Stwórcy hymnem głoszą.  
Aż się cały w wściekłość wprawiam,  
Że to wszystko wam objawiam  
Wedle Boga woli jawnej,  
Choć do fałszu-m tylko wprawny!

(*Zapada się w ziemię*).

**Lelius.** Straszne rzeczy!

**Florus.** Istne dziwy!

**Libia.** Niepojęte!

**Moskon.** Cud prawdziwy!

**Rządca.** Czarnoksiężnik przy swym zgonie  
Sztuką swą te czary sprawił.

**Florus.** Czym na jawie czy sny gonie?  
Czy cud zmysłów mię pozbawił?

**Lelius.** Jam podziwem cały zdjęty!

**Klaryn.** Ja wiem co to wszystko znaczy,  
Cała rzecz się tak tłumaczy:  
Że kto takie cuda działa,  
Tego niebios moc wspierała.

**Moskon.** Chociaż spór o Libię wszczęty,  
Jeszcze nie jest rozstrzygnięty;  
Dajmy pokój podziałowi,  
I przestańmy się frasować:  
Tylko raczcie dziś darować  
Błędy czarno-księżnikowi.

KONIEC.



ŻYCIE I PRACE NAUKOWE  
JANA PURKYNE'GO

DOKTORA MEDYCYNY I FILOZOFII.

NAPISAL

*Janusz Ferd. Nowakowski.*

---

(Ciąg dalszy).

III.

ROZPRAWY W RÓŻNYCH CZASOPISMACH I W DZIEŁACH  
INNYCH AUTORÓW OGŁOSZONE.

20. W roku 1820 *Dr. Pleischl*, ówczasowy professor chemii w uniwersytecie prażskim, przygotował dzieło opisujące stan laboratorium i prac w niem wykonanych pod tytułem:

Das chemische Laboratorium an der k. k. Universität zu Prag. Entstehung und gegenwärtiger Zustand des selben sammt Nachrichten über einige der darin vorgenommenen Arbeiten. Mit 1 Kupft. Prag. 1820 (Calve).

Między innemi pracami był opis otrzymania *emetyny* w korzeniu *ipekakuany* się znajdującej i mającej własność sprawiania wymiotów. *Pleischl* wiedząc, że dawniej *Purkynie* na samym sobie robił doświadczenia z lekarstwami i truciznami, prosił go o udzielenie mu do swego dzieła wiadomości o *emetynie*. *Purkynie* to uczynił, mając wzgląd na dawkę leku, trwanie czasu, głównie na symptomata i siedlisko uczucia cikliwości, które szczególnie w rozplą-



taniu nerwu błędnego (*nervus vagus*) znalazł i podał wiadomość o własnej idyosynkrasy, jakiej przy tych doświadczeniach, przez kilka dni doznawał tak, że każde oglądanie koloru brunatnego do emetyny podobnego, uczucie ekliwości w nim wzbudzało.

21. Roku 1821 podał do wychodzącego wówczas Czasopismu *Hesperus* myśl o podobieństwie śnienia do życia na jawie.

*Hesperus* encyclopädische Zeitschrift für gebildete Leser. Herausgegeben von Christian Karl André. Bd. 28. J. 1821. N. 9. pag. 65. Auch etwas über die Traumwelt Bd. 25. N. 347.

Z powodu krótkości tego artykułu i sposobu zapamiętania się Purkyniego na sam przedmiot, podajemy go całkowicie w dosłownym tłumaczeniu:

Spytaj się śniącego, czy to jest rzeczywistym co mu się we snach przedstawia, ma li on pogląd prawdziwy na to o czym wtedy myśli i marzy? uśmieje się i we śnie z twego niewczesnego zapytania, jak dogmatyk się śmieje z idealisty. Albowiem podobnie nieprzemogoną siłą skrepowany jest śniący względem swych snów, jak czuwający względem objawów naturalnych,—tak sam rozum snem zamamiony, najprzyjemniejszym uczuciem prawdy kierowany, łączy koniecznie najsprzeczniejsze myśli. Przypuśćmy, że śniący pozornie się przebudził, będzie się śmiał z przeszłego snu i złudzenia, w jakie zmysły popadły, ułoży sobie w myśli porządne następstwo minionych czynności, a przez to i swą osobę uprzytomni, poddając się dalszemu rozwojowi swego istnienia.

Potem znowu nalegające objawy świata zewnętrznego mijają około niego, czynność ściga czynność, okoliczności się mącą, powstaje burza uczuć i namiętności, to zaś wszystko nagle się zatamuje, tylko mieszanina ciemnych wspomnień pozostanie na chwilę, aż i ta zbliży się do zupełnego przebudzenia. Naokoło panuje ciemność, przebudzony znajduje się na swym łożu, zwolna występują wspomnienia minionych dni jego życia, a także przesuwają się i jego przeszłość ze swemi przedsięwzięciami, życzeniami,

nadziejami, i teraz wierzy, że się istotnie przebudził, że swemu łożu został powrócony. To co się snuło w jego myśli, było tylko zdwojonym snem.

Zda się, że jakaś cudza siła utrzymuje duszę śniącego i czuwającego w mamiącym kole czarów. Niech jakkolwiek bądź działają na nas te mocy czarów, zawsze pozostaną tylko próżnym mamidłem, dopóki z głębi naszej myśli, czy wstanie snów, czy też przebudzenia nie wyjdzie udowodnienie ich rzeczywistości i prawdy. Ta to myśl unosi się po nad snieniem i czuwaniem, a ktoby dosięgł zupełnego przebudzenia, stałby się panem świata.

„Czemże więc jest to prawe czuwanie? Czyż całe nasze życie nie jest ciągłym przebudzaniem się z jednego snu do drugiego? Jeśli kiedykolwiek nam się zdarzy w życiu osiągnąć wyższe stanowisko, już z uśmiechem spoglądamy na przeszły stan życia, i zdaje nam się, że teraz dopiero przyszlismy do istotnego światła. Tak chłopiec dziwi się nad swym już jakby we śnie widzianym dzieciństwem. Młodzieńcowi się wydaje, że w objęciach miłości dopiero się ocknął. Mąż dumnym wzrokiem i pewną samowiedzą rozgląda się w swych zdobyczach, z niezłomną wolą, z nieklamana odwagą sił, z prawdziwym wypadkiem działań patrzy na świat społeczński; dosięgł wierzchołka poziemskiego przebudzenia i jasno przed sobą widzi życie ludzkie z jego znaczeniem. Wkrótce zaś zbliży się drzymka nowego jutra i starość. Poznaje, że wszystkie wrażenia świata były tylko złudzeniem pozornej potęgi, na nowo bierze sankcyą prawdy, jaką był w poziemskiej ograniczoności życia udzielił, tak samo jak przebudziwszy się odejmuje rojącym się snom pożyczoną im rzeczywistość. I nic dziwnego, albowiem wspomnienia ubiegłych czasów tracą ożywczego ciepłego ducha, bladną obrazy przeszłości; tylko jeszcze najodleglejsze pamiątki z pierwszego dzieciństwa, które w ostatniej starości wydają się tak bliskie, świeżością swą wzmacniają życie do nowego pochodu wracające. Religijność tylko w głębinach myśli od świata odłączona, oznajmia przyjście wyższego dnia, gdzie śmiercią ziemskiego życia nowe przebudzenie się dokonywa.

Tak to odumiera śniący dla czuwania, czuwający dla nowego zaśnięcia; a chociaż obrazy snów się ścigają, cho-



cięż wielka jest różnorodność światów we śnie widzianych, zawsze dusza, ów Proteusz, znajdzie stosowny urząd, którym bada te objawy, w nim ześrodkowuje i z nich wysyła prądy swych działań. Nieskończonym szeregiem zbiorów życia postępować będzie dusza twoja, w nieprzeliczonych zmianach rozwijać się będzie przyroda przed wzrokiem twym i będzie mistrzynią rozumu twego, będziesz zawsze przyjęty do wyższych towarzystw duchowych, gdzie właśnie będzie owo istotne przebudzenie.

Tajemna droga wiedzie do wnętrza. Gdzie wiara i miłość osłonięte nauką w czyny się zmieniają, tam jest to prawdziwe przebudzenie; niechby to i we śnach było. W pośród twojego ducha znajduje się to istotne przebudzenie: nie trzeba go szukać w granicach innego życia.

Gdy nadejdzie ostatnie przebudzenie, przypomni sobie nas, Pan, Twórca wszystkiego śnienia i czuwania, a ocuci aż do najdrobniejszych chwil nieskończony żywot każdego. Wówczas i zmacona mowa snów nabędzie swego znaczenia, i nie jeden sen wyżej stanie nad czuwaniem”.

22. Roku 1820, pierwszego asystentstwa anatomicznego, kiedy szło o położenie zasług w celu otrzymania kiedyś professorstwa w fakultecie lekarskim, Purkynie był bardzo czynny, podjąwszy *jeden* konkurs z patologii i farmakologii na uniwersytecie prażskim po odejściu profesora Vavrucha do Wiednia, *drugi* zaś z fizjologii na uniwersytecie peszteńskim po wyjściu profes. Lenhoska do Wiednia, a oprócz tego chodziło mu także o pewne odznaczenie się w świecie literackim. Wypracował tedy po wielu własnych doświadczeniach rozprawę o *zawrocie*, którą ogłosił w czasopiśmie:

Medicinishe Jahrbücher des Oesterreichischen Staates. Jahrg. 1820, 2. st. 79 et seq.

Beiträge zur Kenntniss des Schwindels aus heautognostischen Daten.

Purkynie najprzód objaśnia, co się rozumie przez słowo *heautognosie*, heautognostyczny i t. d. *Heautognosie* (ἐαυτοῦ siebie a γινώσκω znanie) *siebieznawstwo*, jest to słowo utworzone przez Gruithuisen'a, profesora mni-



chowskiego, do oznaczenia badania doświadczalnego psychologicznego, które zasadza się na poznaniu objawów za pomocą własnej wiedzy nabywanych. Nazwa ta w świecie literackim niemieckim się nie przyjęła, bądź że pochodziła z południowych Niemiec, lub że nie pozyskała miłości panującej filozofii, albo też, że Gruithuisen był samoukiem. W świecie literackim, mówi Purkynie, niemieckim a pewno i wszędzie panują bezzasadne jakieś wymagania czyli naukowa arystokracja, od każdego, kto się do towarzystwa uczonych chce przyłączyć, żądająca jakiegoś tresowania, uległości autorom, szkołom estetycznej, filozoficznej i t. d. Kto tym wszystkim okolicznościom umie zadosyć uczynić, chociażby miał lichą głowę, zyszcze sobie pewne stanowisko, kiedy przeciwnie inny chociaż utalentowany, samouk nieokrzesany tego nie dokáže, gdyby nawet był geniuszem, swą obecnością prawa piszącym. Takim Gruithuisen nie był, ale był zawsze znakomitym badaczem i myślicielem, daleko większym od swój sławy, którą sam zachwiał dziwactwami i paradoxami. Publiczność raz sprzeczką obrażona zapomina o stu innych zasługach. Ja sam byłem podobnym samoukiem, (czyż mogło być inaczej przy tworzeniu naszych nauk?), dlatego miałem sympatyą do Gruithuisena i nie wahałem się używać jego terminologii (nazwosłowania), gdzie ją stosowną znajdowałem.

Pobudką mego badania zawrotu było jedno miejsce w dziele Gertnera. „Darstellung des Darwinschen Systems der praktischen Heilkunde. 2. Bde. Göttingen, 1799”, gdzie jest wzmianka, iż obracając się około osi swego ciała i patrząc się pilnie na punkt w suficie, a potem stanąwszy prosto, gdy przed siebie patrzymy, powstaje zawrót w kierunku koła stojącego. Po pierwszym zaraz doświadczeniu znalazłem to samo. Poprowadziło mnie to do czynienia możebnych zmian zawrotu, bo chciałem przedmiot ten gruntownie zbadać. Rzecz jest bardzo zrozumiała, dlatego pozwałam ją sobie wyłożyć.

Mało się znajdzie między nami, coby w dzieciństwie nie zataczali się, aż do padnięcia, a później w tańcach towarzyskich. Każdemu wiadomo, że zawrót wpierw lub później się powiększy, jeśli kierunkiem jego będzie koło leżące. Mamy więc dwa sposoby zawrotu: o kole stojącym

i leżącym. Stojące koło swą szerokością, jest obrócone ku twarzy, choć może być swym ostrzem lub obwodem doń skierowane. To wówczas następuje, gdy zataczając się około osi swego ciała, tak nachylimy głowę ku plecom, iżby się aż ku skroniom skłaniała. Potem stanąwszy i głowę podniósłszy, wydaje się jakbyśmy ku tyłowi byli stoczeni, lub jakby ten nacisk działał od zagłowia ku przodowi, tak jakbyśmy w jedną lub drugą stronę mieli koziółka wywrócić. Te i tym podobne doświadczenia posłużyły mi do utworzenia w tym przedmiocie następującej teorii.

Przedstawmy sobie kulę wydętą, napełnioną miękką materią, np. gęstości kaszy. Jeśli się ją prędko będzie około własnej osi obracać, naturalnie i wewnętrzna zawartość będzie się poruszać, co pewien czas potrwa, póki się nie uspokoi. Jeszcze widoczniejszy dowód podobnego ruchu mamy w szklance napełnionej wodą, w której okruszyny chleba lub kawałki gutaperchy pływają, i jeżeli zaczniemy naczynie około swjej osi obracać, jednocześnie okruszyny poruszać się będą ze ścianami naczynia; gdy ruch przeryjemy, okruszyny dalej się zataczać nie przestaną póty, póki znów wszystko się nie uspokoi. Taby się stosowało i do innych położeń osi naczynia. Doświadczenie to przemieśmy na wydętość czaszki i jej zawartość, to jest: mózg, materią znacznej miękkości. Nie ulega już wątpliwości, że przy obracaniu się czaszki, mózg razem z jej ścianami obrotowi ulega i że przez to miękkiej jego substancji udziela się dążność do samodzielnego ruchu, który potrwa chwil kilka, nawet po przerwanem zataczaniu się. Ta to więc dążność do ruchu, albowi nacisk cząstek mózgowych, zdaje się być przyczyną objawów zawrotu i jego różnych gatunków wedle położenia głównej osi. Wewnętrzne ciśnienie cząstek mózgowych na siebie wzbudza podrażnienie nerwów, udzielające się mięśniom i w nich ruchy mimowolne wywołujące. Ruchy te nie będące wpływem ani naszej woli, ani wiedzy, przypisujemy nie sobie, lecz ze-wnętrznym przedmiotom, z czego powstaje to złudzenie, iż nam się zdaje, jakby się wszystko na około nas kręciło. Że to zależy od mimowolnych ruchów mięśni, przekonamy się następującym sposobem.



Obróć się prędko choć ze dwanaście razy około osi twego ciała, potem stań i oprzyj się obiema rękami o ścianę, a niezawodnie uczujesz, iż ściana na jedną dłoń ciśnie kiedy druga nie znajduje oporu. Zkądinąd zaś wiadomo, że ściana niewątpliwie stoi, i że te pozorne ruchy są skutkiem mimowolnych ruchów rąk. I rzeczywiście tak jest: przy troskliwszém bowiem badaniu znajdujemy, że prawa ręka bez świadomości na ścianę cisnęła, lewa zaś od niej się odsuwała, a co mimowolnie na ścianę przeniesliśmy.

Jeszcze dobitniej się to ukazuje, kiedy przy obracaniu ciała z głową w tył nachyloną patrzymy w sufit, a po zastanowieniu się, głowę podniesiemy i rękami o stół się oprzemy. Jeżeliśmy się obracali w prawo, to nam się zdaje jakoby stół ku lewej ręce się podnosił, a pod prawą ku dołowi opadał. W tym wypadku ramiona mimowoli się poruszają, lewe cisnie na stół, kiedy prawe nieznacznie nad stołem się unosi. Podobne przeciwruchy czujemy w nogach, przez co równowaga naszego ciała znacznie się zmienia. Przeciwruchy mają miejsce i w mięśniach ocznych, a przeniesione na przedmioty widziane, sprawiają ich pozorne poruszanie się i okręcanie.

Zawrotów jest wiele rodzaj: w płaszczyźnie poziomej, pionowej i w kierunkach między temi dwiema płaszczyznami pośrednich. O wirowym zawrocie jużesmy mówili; jest jeszcze zawrót przestruchowy, gdzie nam się wydaje jakbyśmy byli tłoczni, lub w górę unoszeni, albo w ziemię zagłębiani. Podam kilka przykładów.

Zaraz z początku tych doświadczeń przychodziła mi myśl, że główny objaw w morskiej chorobie, zawrót, podobnymi sprowadzony zostaje okolicznościami, co mój zawrót sztuczny, to jest przez usilne ruchy ciała naszego, a szczególnie mózgu przy kołysaniu się okrętu. Nie wątpiłem wówczas, iż mi się sztucznym sposobem uda wywołać morską chorobę na ziemi. Na Sztawnickiej wyspie w huśtawce zacząłem się huśtać przez pół godziny, potem godzinę i dłużej; lecz napróżno, bo ani zawrotu, ani cklowości w żołądku, ani wymiotów doczekać się nie mogłem: widać, że nie miałem usposobienia, bo przecież wielu i na morzu chorobie tej nie podlegają. Osiągnąłem przecie w tém doświadczeniu jeden wypadek: jeżeli przy huśtaniu



siedziałem sposobem zwyczajnym ku przodowi odwrócony i po pewnej chwili wyszedłem w zamiarze przejścia się, czułem przy poruszaniu się ku przodowi lub tyłowi jakies zawadzanie, które przy obszernych krokach znikało. Za zmianą pozycyi siedzenia i późniejsze uczucie się zmieniało. Przechodząc się potem zdawało mi się, jakbym po bokach ścianami był ściskany.

Jeżeli po prędkiej jeździe nagle się zastanowimy, uczuwamy skłonność do poruszenia wstecznego; toż gdybyśmy w górę zostali wzniesieni i odrazu zatrzymani, zdawałoby nam się, że nadół lecimy. Takie pozorne przeciw-ruchy okazują się przy każdym jednostronem wytężeniu pewnej grupy mięśni, jakkolwiek o współdziałale mózgu wątpić nie można.

Co się tyczy zawrotu umysłu przytaczam dwa przykłady. Jeżeli stoimy nad brzegiem przepaści i w dół patrzymy, w myśli rodzi się uwaga o pewnem staniu i równowadze naszego ciała, co u wielu uczuciem zawrotu się objawia. Przyczyna leży w złudzeniu co do położenia w świecie zewnętrznym. Przestrzeń wydaje się naszemu wzrokowi jak pusta kula, której jeden koniec osi znajduje się w naszych stopach, drugi zaś nad głową. Pod stopami widzimy zwykle płaszczyznę, na której w równowadze ciało swe utrzymujemy. Lecz gdy stoimy nad przepaścią, natenczas wydaje nam się jakoby południki widowni sięgały daleko pod nasze stopy i jakoby teraz oś dolna, na której zawsze stoimy, aż tam się przedłużała. W skutek tego tracimy podstawę, mniemając, że ona jest daleko niżej niż rzeczywiście się znajduje, co rodzi w nas chęć zmiany położenia, przez opuszczenie poprzedniego pewnego, chęć objawiającą się pod postacią zawrotu. Coś podobnego zdarza się niekiedy przed usnięciem. Wyższe zmysły jak wzrok, słuch utracają zwolna swą bystrość, a skóra przy leżeniu swą czułość na ciśnienie. W skutek tego marzymy, stajemy się wolni od ziemskiego ciężaru i jakoby unosimy się wyżej. Nagłe ocucenie z tego rodzaju złudzenia, wydaje się jakbyśmy spadli na pościel, co również tylko nagłym powrotem czucia skóry wyjaśnić się daje.

Inny szereg doświadczeń przedsięwzięłem chcąc się dowiedzieć, jakiby wpływ miały na wzbudzenie zawrotu

ruchy krwi bierne, to jest nie pochodzące od serca. Najlepiej tu pomaga działanie siły odśrodkowej (Schwungkraft). Do tych doświadczeń użyłem znaną karuzeli. Położywszy się na poziomym kręcącym się kole nogami ku środkowi, a głową do obwodu, po kilku obiegach musiałem kazać zatrzymać koło, w skutek silnego napływu krwi do głowy, która jakby trzasnąć miała. Nogi zaś przeciwnie oziębły mi i skolezwały. Potem położyłem się przeciwnie, głową do środka, a nogami do obwodu koła, i w czasie obrotu czułem chłód w głowie z poczynającymi się mdłościami a w nogach ociężałość. Wstawszy zawrotu żadnego nie czułem, z czego wnoszę, że i przy pierwszych doświadczeniach bierne ruchy krwi przyczyną zawrotu być nie mogły, tylko przypisać ją należy wewnętrznemu ciśnieniu miękkich części mózgu.

Ta myśl zdaje się być stwierdzoną znaną chorobą owiec, kołowacizną, pochodzącą z pęcherzyków w mózgu, w którym się zarodki tasiemców (tenia) rozwijają. Pęcherzyk taki, napełniony płynem serowicznym wzrasta do znacznej wielkości, ciśnie na masę mózgu, wywołując stępienie zmysłów lub przyczynę ruchów stanowiących zawroty. Postanowiłem wtedy podobieństwo to stwierdzić doświadczeniami na zdrowych owcach. Miałem trepanem zrobić w głowie owcy otwór, potem włożyć pęcherzyk (chciałem użyć wypróżnionych oczów zwierząt ssących lub pęcherzyków z ryb), między mózg a czaszkę, albo do samego mózgu, a ten nadać lub rtęcią wypełnić. Gdyby się to było zrobiło na różnych miejscach mózgu, a działania te były się zrównały z objawami kołowacizny owiec, spodziewałem się wyprowadzić z tego wnioski, wskazujące tu czynność samych części mózgu. Do doświadczeń tych jednak nie przyszło, tymczasem Flourens ogłosił swe badania i doświadczenia nad układem nerwowym. Że później sam Purkynie do doświadczeń Flourensa się zwrócił i pod względem zawrotów z swojemi porównał, już wyżej pod N. 7 wzmianka jest zrobiona.

Staral się wszakże Purkynie jeszcze oddzielnie swe zdanie o tém powiedzieć, aby do publicznej wiadomości doszło, i to się stało przez następującą rozprawę:



23. Ueber die physiologische Bedeutung des Schwindels und die Beziehung desselben zu Flourens neuesten Versuchen ueber die Hirnfunction.

Magazin für die gesammte Heilkunde von J. N. Rust. 23 Band, 2 Heft. Berlin, 1825. w 8. st. 284.

O fizyologiczném znaczeniu zawrotu i jego stosunku do najnowszych badań Flourensa, dotyczących czynności mózgu.

Nie chcemy tu powtarzać tego co już było wyżej powiedzianém pod N. 7. Rozprawa Purkyniego miała na celu uwiadomienie świata uczonego, o stosunku, w jakim stoją dawniejsze jego doświadczenia o zawrocie, do experimentów Flourensa, celem utworzenia należytego o tém sądu i dania bodźca do dalszych poszukiwań. Tymczasem (pisze Purkynie), wszystko się to nie stało. Publiczność odpowiadała głębokiem milczeniem. Sam Flourens dotąd zapewne nie wie o moich doświadczeniach. A ja szczęśliwy za pomocą małoznacznej dySSERTACJI i dwóch rozpraw do czasopismów lekarskich ułożonych, chciałem przeniknąć do publiczności uczonej Europy! Niechże mi tu będzie wolno kilka słów powiedzieć o publiczności literackiej.

Publiczność literacka może być uważana z wielu względów. Najprzód każdy badacz prawdy żąda najrozsądniejszego rozgłosu, dlatego aby wszyscy ludzie rozumni prawdę z nim razem poznali i nią byli uszczęśliwieni: jest to dążenie czysto *duchowe*.

Są zaś prawdy, zwłaszcza empiryczne, za pomocą ludzkich zmysłów zdobywane, które na jasności i wartości zyskują, jeśli ich więcej badaczy pozna, rozszerza i potwierdza. Upowszechnienie takich prawd, jest najprzód im samym potrzebne, a następnie konieczne do rozszerzenia wiedzy ludzkiej: dążenie to nazwałbym *naukowém*.

Badaczowi wreszcie z przyrodzonego uczucia na tém zależy, aby prawdy przezeń docieczone, zostały upowszechnione i wedle swój wartości do rzędu prawd zaliczone, a nakoniec aby zasługa wynalazcy przyznaną była. I to jest dążenie *osobiste*.

Niedoskonałość ludzi i towarzystw sprawia, że owe dążenia skrzywione być mogą, że jedno do fanatyzmu, drugie do dogmatyzmu, trzecie do próżności dochodzi.



W towarzystwie zaś stoi na zawadzie bądź bojaźliwość i surowość, bądź rozdział usiłowań naukowych, niekrytyczność albo stronne zdanie przyjaciół i nieprzyjaciół.

Nie jest to więc rzecz łatwa z przyczyn powyższych, prawdę znaną do upowszechnienia przyprowadzić. Głównie zależy to od powagi samej prawdy. Są bowiem prawdy takiej ważności, że sobie same drogę prędko wytykają, bądź przez swą jasność, widoczny pożytek z nich płynący i potrzeby rodu ludzkiego, lub przez wspaniałość swego odkrycia. Jeżeli zaś prawda nie razi jasnością, nie objawia korzyści, jakie przynosi, przychodzi w czasie kiedy nie dorozumiewają się jej potrzeby, w tedy sama sobie drogę do upowszechnienia tamuje.

Wiele tu zależy od przyjaznych okoliczności rozszerzenia i upewnienia prawdy. Podstawę najprzód stanowi samo towarzystwo, do pojmowania wszelkich prawd usposobione, ukształcone; potem własne trybunały naukowe, jak to niektóre akademie, dzienniki krytyczne, czasopisma, zbiory i t. d. Wiele także zależy od przemyślności wynalazcy i od jego oględności, jakich środków do upowszechnienia używa. Co do ostatniego nie mógłbym się chlubić, abym zawsze był wybierał środki najstosowniejsze do upowszechnienia prawd przezemnie odkrytych lub do głoszenia o nich swego zdania. Że przecież większość ich uznana i ilość prędko rozszerzoną została, leżało to w ich własnej powadze i w potrzebach bieżącego wieku; że zaś z nich wiele po latach pięćdziesięciu uznania nie znalazły, pochodzi to od ograniczenia żądań ludzkich i od mojej własnej niedbałości."

---

24. Wrocław od roku 1812 posiada sławne Towarzystwo szląskie ojczyściej oświaty, (*Schlesische Gesellschaft Zur Beförderung der vaterländischen Cultur*). W miesięcznych posiedzeniach dawało ono często Purkyniemu sposobność zajmowania się różnemi prawami przyrodniczemi, które chociaż skromne przedmiotem, jednak upowszechnienie znalazły. Do takich należało badanie trzeciego tonu *Tartini*e'go, zwanego tonem kombinującym. Ton ten dobrze jest znajomy każdemu znawcy mu-

zyki. Jeżeli na skrzypcach wywołamy dwa wyższe współdzwięczne tony i w równej sile je utrzymujemy, posłyszemy jakiś wrzaskliwy trzeci ton, jako towarzyszący bas. Ten już znacznie dawniej był znany (Sorge, Romieu), że zaś przez Tartini'ego najślawniejszego w swym czasie skrzypka był uważany i opisany (Trattato di Musica secondo la vera Scienza dell'Armonia. Padova, 1754), dano mu nazwę tego artysty. Roku 1824 Purkynie zajmując się wydaniem drugiej części swych badań i doświadczeń o fizyologii zmysłów (zobacz N. 3), zamierzał rzecz dalej prowadzić rozszerzając swe uwagi oprócz wzroku i do innych zmysłów. Najbliższym przedmiotem był słuch, w którym mało subiektywnych objawów się okazywało. Między innymi zdawało mu się, że ton Tartini'ego posiada pewien charakter subiektywności. Pominąwszy, iż co się tyczy jego miejscowości jasno i bezpośrednio poznajemy, że swe siedlisko ma wewnątrz ucha, możemy się jeszcze o tém przekonać następującym sposobem: niechaj dwa czyste dyskantowe głosy w przerwach wielkie tertio dobrą chwilę i ciągle silnym głosem zadzwieczą. Stanąwszy blisko tych głosów, usłyszemy ton Tartini'ego wewnątrz głowy się odzywający. Potem oddalajmy się zwolna od śpiewaków, stając to po lewej, to po prawej stronie, słuchajmy prędko jednem, to drugim uchem usiłując zdobyć miejsce, z którego ów trzeci dźwięk pochodzi. Miejscowości téj nie uda nam się istotnie wynaleźć, jak to łatwiej bywa kiedy dźwięk z obiektywnego źródła pochodzi. Jeżeli się o to pokusimy, zawsze będziemy do własnego ucha prowadzeni, jako do głównego siedliska tego dźwięku. Leży to w naturze tego zmysłu. Ton wzmiankowany uważać można za szereg uderzeń lub wewnętrznych dotknięć błonom nerwowym słuchowym udzielonych. Kiedy liczba dotknięć jest niejednostajna, ale taka, że po przerwach dwa w jedną chwilę padną, z tego powstanie nowy szereg dotknięć podwójnych, silniejszych, który jeżeli następuje po sobie z potrzebną prędkością, znów jako oddzielny ton pojęty będzie. Że zaś kombinacja ta wewnątrz naszego ucha się odbywa, trzeba ją uważać za subiektywną, o czém przekonywa osobliwość samego tonu. Sądzić zaś z tego, że jest wyłącznie



subiektywny, że mu podobne kombinacye fal głosowych nie odpowiadają, byłoby rzeczą daremną.

(Uwaga niniejsza była najprzód ogłoszona: w Fünftes Bulletin d. nat. wiss. Sect. d. Schles. Gesellsch. f. vaterland. Cultur im Jahre 1825, a z tąd przeniesiona do „Kastners Archiv f. d. gesammte Naturlehre 1826.” Heft. 1. pag. 39).

25. Znane jest doświadczenie, gdy kamerton w stanie jego drgania blisko ucha przesuwamy, to podwójny dźwięk z przerwą w środku uważamy, co z kształtu kamertonu i z różnicy jego dźwięków łatwo daje się objaśnić. To proste doświadczenie naprowadziło Purkynie'go do jego rozszerzenia i dalszego użycia. Wziął on giętką rurę, jakie dawniej na cybuchy używano. Na jednym końcu umocował rogową osadę do wkładania w otwór ucha, drugi koniec rury miał osadę powiększającą otwór. Przyrząd ten jednym końcem wsadził w ucho, drugim zaś wolno prowadził nad płaską szklaną deszczułką smyczką do drgania przywiedzioną, jak to zwykle postępuje się w doświadczeniach Chładnie'go, z tą różnicą, że tu piasek się nie używa. Píše Purkynie, że za pomocą tego przyrządu mógł z pewnością samym słuchem oznaczyć każde miejsce spokojne i każde drgające, co za pokryciem piaskiem deszczułkę, zupełnie się sprawdziło. Sposób ten auskultacyi mógłby się wszędzie użyć, gdzie idzie o wykrycie najdrobniejszych miejsc dźwięku. Był on w rzeczywistém pojęciu poprzednikiem stetoskopu (1). Doświadczenie to było opisane roku 1825 w jednym z bulletynów szląskiego Towarzystwa.

Przychodzimy teraz do opisanie rozpraw ogłoszonych w czasopiśmie fizyologiczném profesora Müller'a.

Archiv für Anatomie, Physiologie und wissenschaftliche Medizin. Herausgegeben von Joh. Müller. Jahrgang 1834. s. 385.

26. Tłoczydło mikroskopowe. (Der microscopische Quetscher. mit. 1. Abbi).

(1) Przyrząd do badania tonów serca.



Przy swych pracach mikroskopowych uznał Purkynie za stosowne, cząstki miękkie przezroczyste, szczególnież zwierzęce, powolnym naciskiem rozszerzać i jakby na ich pierwiastki anatomiczne rozłożyć. Zwyczajnie wykonywa się to za pomocą szklanych tabliczek, mniej więcej cienkich i ciężkich, stosownie do nacisku, jaki się pragnie wywrzeć. Działanie to jest za rozwlekłe. Wymyślił więc i wykonał do tego przyrząd wygodny, zawsze mogący się użyć, wywierający nacisk stosownie do naszej woli. Przyrząd ten naprzekór ludziom zdania przeciwnego, w krótkim czasie został powszechnie uznany i dotąd jest używany. Później zgniatacz mikroskopowy przez Schicka, Plösla, Amicie'go i samego Purkyniego zupełnie został zmieniony, stosownie do zamierzonych celów; zdaje mu się jednak, że pierwsza jego forma dotąd okazuje się najwygodniejszą, chociaż nie przeczy, że doskonałe zrobienie tłoczydła, wymaga bardzo zręcznego mechanika. Purkynie powiada, że miał jedno tak delikatne tłoczydło, iż mógł wymoczeki w biegu zatrzymywać, bez ubliżenia ich organizmowi.

W archiwum na miejscu wskazanem, znajduje się szczegółowy opis i rysunek rzeczonoego przyrządu. Purkynie z tego powodu przytacza następnę zdarzenie: „w roku 1840 otrzymałem z Paryża list z olbrzymim programem dzieła biograficznego, z wyliczeniem wielkiej liczby wówczas jeszcze żyjących monarchów, ministrów, wojskowych, bohaterów, uczonych różnego rodzaju, artystów i t. d. Przyłączony był formularz z rozmaitemi rubrykami i wezwaniem abym je wypełnił i wkrótce odesłał. W formularzu znajdowało się już moje nazwisko z francuzka mylnie napisane, a między innymi uczynioną była wzmianka o wynalezionym przezemnie jakimś ważnym przyrządzie *chirurgicznym*! Nie słyszałem później aby to przedsięwzięcie kiedykolwiek do skutku przyszło.”

---

27, 28, 29. W tymże samym roku 1834 i następnych 1835 oraz 1836 Purkynie w archiwum zaczął ogłaszać częścią z prof. Valentinem, częścią sam, badania o ruchu migawkowym, o czém wyżej pod nr. 5 obszerniej

już było mówione. W roczniku 1834 str. 159 podał z Valentinem rozprawę „Entdeckung kontinuierlicher, durch Wimperhaare erzeugter Flimmerbewegungen”. (Odkrycie ruchu ciągłego rzęskowego przez migawki sprawianego), która była uprzedzającym oznajmieniem, aby wedle zwyczaju dla odkrywców pierwszeństwo zachowane było. W r. 1835 po wyjściu głównego ich dzieła, podali oni jako dodatek swoje badanie i myśl o niezależności ruchów migawkowych od ośrodków układu nerwowego (Müll. Arch. Jahrg. 1835, p. 391, Ueber Unabhängigkeit der Flimmerbewegungen vom centralen Nervensystem). Nareszcie sam Purkynie doniósł o swém odkryciu ruchu migawkowego w komórkach mózgowych, jakie spostrzegł w dojrzałym płodzie owczym, o czém dotąd wielu wątpi. (Müll: Arch. Jahrg. 1836, p. 289. Ueber Flimmerbewegungen im Gehirn).

30. Kiedy w latach 1833—1837 odkrycie Eberle'go o sztuczném trawieniu do jakiejś ważności doszło, wtedy rzecz ta poczęła Purkyniego bardzo zajmować, tak iż się wziął do podobnych badań.

Przedewszystkiem badał on mikroskopem błonę śluzową żołądka, i ze swą szkodą odkrył gruczoły żołądkowe niewiedząc, że w tymże czasie w Anglii Sprout-Boyd je znalazł. Dalsze badania łącznie z Dr. Pappenhejmem były pracami powiększej części przygotowawczemi, bo obszerniejsze później nastąpić miały. Szczegóły o tém podane są w archiwum r. 1838: Ueber künstliche Verdauung von Purkynie und Pappenhejm, p. 1 etc. Tu tylko uczynić wypada wzmiankę o niektórych ich spostrzeżeniach, na jakie dotąd mało zwracano uwagę, chociaż zdają się być bardzo ważnemi i rzecz ta istotnie na dalsze badanie oczekuje.

Przed wymienieniem własnych spostrzeżeń nad trawieniem Purkynie opisuje sposób, jakim się ono odbywa. Przedewszystkiem trzeba sobie przygotować płyn do naturalnego soku żołądkowego podobny. Od czasu odkrycia przez Eberle'go własności wszystkich błon śluzowych, za pomocą kwasów sposób trawienia naśladowujących, rzecz



ta do metody przez późniejszych badaczy przeprowadzona, co rok się powtarza w wykładach fizyologicznych doświadczeniami o sztuczném trawieniu.

Sok trawiący tak się przyrządza: bierze się tak zwanęj podpuszczki, to jest suszonej błony śluzowej czwartego żołądka z cielęcia, wołu, lub innego zwierzęcia, kraje się na małe kawałki, nalewa wodą a po rozmiękczeniu cedzi się i dodaje nieco kwasu solnego, dla nadania smaku kwaskowego. Zwykle w gabinetach fizyologicznych bywa na pogotowiu przyrząd do wylęgania jaj, to jest takie naczynie, w którym zapomocą lampy ogrzewającej wodę, stan ciepła na 30°R. ciągle się utrzymuje, a w wewnętrznej przestrzeni jaja się wkładają. Otóż na miejsce jaj wkłada się naczynko do połowy napełnione trawiącym sokiem, a w nie rzecz mającą się poddać trawieniu (substancję mięsną lub inną). Zwyczajnie do tego doświadczenia używa się białka na twardo ugotowanego, pokrajanego w kostki 1 1/2''' objętości, na których rogach i bokach najlepiej widać postępowanie trawienia. Żeby zaś powietrze nie miało przystępu, naczynie pokrywa się szklaną tablicą. Zajrzawszy do szklanki po godzinie, dwóch lub trzech, już widzieć można, że rogi i kanty kostek stały się przezroczyste, że zmniejszyły swą objętość i w końcu, że w cieczy się rozpląną, co uważamy za ich strawienie, a co przyrodzonym sposobem dzieje się w żołądku.

Po tym krótkim opisie doświadczeń sztucznego trawienia Purkynie dodaje kilka własnych postrzeżeń:

I. W doświadczeniach sztucznego trawienia sok trawiący bywa zamknięty w naczynku szklanym i szkłem nakrytym niedoznając żadnego prócz atmosferycznego ciśnienia. Tego właśnie w stanie natury nie ma. Żołądek opatrzony jest silnymi błonami mięśniowymi, które naokoło jego objętości się ściągają i ciśnienia mocne wywierają, co niewątpliwie trawienie przyspiesza.

Oprócz tego ogólnego prężenia jest jeszcze kolejne ściąganie się i zwalnianie pojedynczych pręg mięśniowych czyli ruchy robaczkowe, perystaltyczne, za pomocą których sok trawiący dobrze z pokarmami się miesza. Ale pokarm poprzednio zmielony już zębami, do dalszego strawienia jest przygotowany.



W oddzielnych doświadczeniach Purkynie zwrócił uwagę na te względy. Najprzód uczynił porównawcze próby: do jednej szklanki włożył na twardo zgotowane białko i na najdrobniejsze części pokrajane ( $\frac{1}{4}$ " —  $\frac{1}{8}$ "") z sokiem trawiącym; w drugiej szklance było białko w zwykłej wielkości 2" w kostki. W pierwszej szklance białko w ciągu  $1\frac{1}{2}$  godziny zupełnie się rozplynęło, w drugiej zaś jeszcze i po czterech godzinach znajdowały się kawałki nierozpuszczone. Celem poznania działalności ruchów, sporządzono stosowne naczynie blaszane o podwójnych ścianach, w między próżni których woda +  $30^{\circ}$  R. się odnawiała, we środku zaś był sok trawiący z twardém białkiem.

Naczynie to ze swemi zawartościami bezustanku się poruszało, drugie zaś naczynie podobnie przygotowane i ogrzane zostawało w spoczynku. W pierwszym, twawienie skończyło się w półtrzeciej godziny, w drugim ani po trzech nie było wszystko strawione. Nareszcie szło o wywarcie ciśnienia na substancją się trawiącą. Wzięliśmy, mówi, z Dr. Pappenhejmem do tego doświadczenia szklankę napełnioną sokiem trawiącym i dodaliśmy 30 granów twardego białka. Naczynie to zakryło się szklaną taflą, w środku mającą otwór, w który się wstawiła rurka barometru  $1\frac{1}{2}$ " gruba, na 28" długa i tę się mocno oblepiło. W rurkę nalało się do pełna czystego soku trawiącego, tak że substancja trawiąca się ciężarowi  $4\frac{1}{2}$  funta ulegała. W dwie i pół godzin trawienie było ukończone, a przy zwyczajném doświadczeniu byłoby trwało trzy godziny. Doświadczeniami temi dość jasno wykazali, że rozgryzienie, mieszanie i ciśnienie pokarmów pędzse trawienie sprowadza.

II. Inny szereg doświadczeń miał na celu wykazanie, z kąd naturalny sok trawiący bierze swój kwas. Żeby do tego służył oddzielny przyrząd wydzielający, nie zdawało się to prawdopodobném; anatomia bowiem takowego nie wskazała, gruczoły zaś żołądkowe wydzielają w stanie łaknienia płyn niekwaśny, który wtedy własności kwasu nabywa, skoro błona żołądkowa substancją pokarmową lub inną została podrażnioną, co się mogło dzieć przez reakcyę nerwową, bo czynnik nerwowy wedle ówczesnej

teorii uważał Purkynie jeśli nie zatożsamy z elektrycznością, to jój bardzo podobny. Wnet tedy powstała myśl zrobienia doświadczenia, jakiby wpływ wywarł galwanizm na sztuczne trawienie. Przypuszczało się tu, że jak galwanizm roztwory solne rozkłada na zasady i kwasy, jedne przy biegunie cynkowym a drugie przy miedzianym się zbierające, tak podobnieby gałęzie nerwu (tu głównie błędnego, *nervus vagus*) przy podwyższeniu lub zmianie jego czynności wydzielały kwas do trawienia potrzebny przez rozkład substancyj pierwotnych krwi lub mięsnej żołądka. Tu tylko mógł być kwas chlorowodorodny (HCl) który głównie w organizmie pod postacią soli wszędzie obecnej się znajduje. Zrobił wtedy Purkynie stos galwaniczny o 40 krążkach 1 1/2" grubości. Druty zanurzył w szklankę napełnioną sokiem trawiącym, do którego jak zwyczajnie włożył kilka kawałków zgotowanego na twardo białka. Blisko końca drutu bieguna cynkowego paperek wskazywał obecność kwasu, a na drugim biegunie alkali, w białku zaś po trzech nawet godzinach w cieple 30° R. nie było ani śladu trawienia.

Szukał dalej działania kwasów i alkaliów, biorąc dwa naczynia, każde napełnione sokiem trawiącym z białkiem twardem; aby zaś obieg prądu galwanicznego ułatwić, złączył oba naczynia knotem bawełnianym, dobrze wodą zmoczonym, a potem naczynia wstawił do stosownie ogrzanego przyrządu wylęgającego. Otóż po trzech godzinach w naczyniu bieguna cynkowego, kawałki białka powiększłej części były strawione albo silnie nadtrawione. W naczyniu bieguna miedzianego białko było całe, chociaż pozornie zmienione, jakby twarogowate. Nareszcie udało mu się trawienie galwaniczne i w zwyczajnym cieple (wówczas w czerwcu 15°—20° R.) co jest bardzo ważne i na dalsze badanie zasługuje. Pokazywałoby to jakąś równoważność *aequivalent* elektryczności i ciepła, co właśnie należy do pytań, nad rozwiązaniem których nasza epoka usilnie pracuje. Kwas temi doświadczeniami wydobyty dawał cechy chlorowodorodne. Głównie jednak założył sobie Purkynie dowieść, że i przy prawidłowym trawieniu za życia, nerwy żołądkowe wpływają sposobem galwanicznym na wydzielenie kwasu, co mu się



tém podobniejszém do prawdy wydało, że gdzieindziej u *Gymnotus electr.*, *Raja torpedo* czynność nerwowa działanie elektryczne wypełnia. Aby tego dowiódł, zamierzył mimo experymentów na zwierzętach następujące doświadczenie uczynić na sobie samym.

Drut galwaniczny, jedwabiem okręcony, dobrze izolowany, opatrzony na końcu (bolus) kulką glinianą położoną (aby przeprowadzić elektryczność) miał Purkynie połknąć, a drugi jego koniec połączyć z bardzo delikatnym galwanometrem, z któregooby przeciwny drut prowadził do ziemi albo tylko ręką się trzymał. To miało się robić podczas uczucia głodu, albo w różnych chwilach trawienia i miało się obserwować stan galwanometru, czyliby się nie zdradził jaki objaw elektryczny przy trawieniu. Takie i podobne doświadczenia zamyslałem robić (powiada), niewykonawszy ich jednak z powodu oderwania przez inne zajęcia, młodszemu terazniejszemu pokoleniu je poruczam.

31. W archiwum Müllera r. 1845, str. 281, Purkynie udzielił niemieckiej publiczności swoje mikroskopowe badania nerwów, które już znacznie w pierw (r. 1838) podał do Rocznika lekarskiego fakultetu Jagiellońskiego uniwersytetu w Krakowie, gdzie jak mówi wedle naszych słowiańskich, niepomyślnych stosunków literackich, długie lata w ukryciu miały pozostawać, ze szkodą dla nauki i z moją własną.

Zamierzył je tedy wystawić w miejscu okazalszém, szerszém, przystępném dla niemieckich przyrodnawców, ku czemu archiwum zdawało się najstósowniejzém.

Bodźcem do tych badań stało się odkrycie młodszego Burdacha, że wszystkie tkaniny ciała zwierzęcego, jak tkanka łączna, ścięgna, więzy, onerwne, okostne i t.d., zmoczone kwasem octowym, stają się przezroczystemi; inne zaś szczątki jak tłuszcz, substancya nerwowa, włókna prążkowane, pod względem widoku zmian nie doznają; a chociaż obłożone tkanką łączną, skoro ocet się ich dotknie, zaraz jasno w oczy wpadają. Tym sposobem ocet stał się bardzo ważnym środkiem w anatomii mikrosko-



powej zwierzęcej. Skoro tylko Purkynie o tej własności się przekonał, natychmiast nie omieszkał jak najrozszerzając kwasu używać, głównie w odkryciu pierwotnych włókien nerwowych, które inaczej nie są widoczne.

A. Burdach wynalazku swego głównie użył do wykazania pierwotnych włókien nerwowych w skórze żaby, ja zaś (pisze Purkynie) pokusiłem się do ich wykazania w skórze ludzkiej; lecz naprózno: nieprzezroczyistość cząstek oglądanych stanęła na przeszkodzie. Zwróciłem się więc do błon cieńszych, tylko włóknistych. Nastąpiła mi się błona cienka (pia mater) rdzenia kręgowego; tę odłupawszy, na szkle rozpostarłszy i kwasem octowym zmoczywszy, widziałem prędko przezroczystą, a na niej już i dla gołego oka przystępne piękne sploty najcieńszych nerwowych nitek, które pod mikroskopem aż do pierwotnych włókien się uwydatniły. Był to rzeczywiście widok zachwycający, bo zjawilo się tu niespodziewane mnóstwo nerwów, o których wpiérw ani sobie marzyć można było. Muszę tu pominąć szczegółowy opis, jaki przemnie, później przez prof. Luskę, a niedawno Lenhosska młodszego przedsięwzięty, na dalsze i dokładniejsze oczekuje badanie. Nadmienię tylko jeszcze, że nerwy te doprowadziłem aż do błony cienkiej mózdzku, w mózgu jednak ich nie znalazłem. Wedle mego zdania, nerwy te udają się z tętnicami na rdzeń kręgowy, i należałyby do układu nerwu sympatycznego. Ich czynnością zda mi się być zewnętrzne uczucie rdzenia, względem ochronienia go wewnątrz pochwy błony twardej.

B. Dalej podał Purkynie pierwszą myśl podziału pierwotnych włókien nerwowych na: a) grube mózgodzeniowe; b) cienkie mózgowie; c) cienkie bez ziarneczek; d) cienkie z utworami ziarnistými.

C. Potém zwrócił się do błony twardej mózgu i rdzenia kręgowego. W mózgowiej się znalazło mnóstwo splotów nerwowych, towarzyszących większym tętnicom. Purkynie mu się zdaje, że sploty te należą do układu nerwu sympatycznego i z arteryami wchodzą do mózgowia; chociaż teraz mu nie wiadomo, czy z mózgowými (par

quartum et par quintum) się łączą. Na twardej błonie rdzenia kręgowego, ani śladu nerwów nie znalazł.

D. Znakomite było wynalezienie nerwów na wielkiej żyły (vena magna Galeni), odprowadzającej krew z gałęzi bocznych komórek mózgowych.

Nerwy te przechodzą prosto na błonę twardą, wśród sąsiedztwa zatoki poprzecznej. Wówczas objawił domniemanie, że zapewne ostatnie żyły do zatok krwistych się wlewające, nerwami są opatrzone; dalsze poszukiwanie innym zostawiwszy. Lecz nikt się do tego nie wziął. Przyszła kolej znowu na niego. Oglądając żyły zatokowe u wołu, znalazł w nich liczne nerwy, a szczególnie błona samych zatok, była jakby nerwami przetkana. Podobnie znalazł mnóstwo nerwów oplatających błony żyłne na przedniej ścianie pochwy rdzenia, gdzie żyły przez Brescheta opisane, wielki splot tworzą.

E. Znalazł sploty nerwowe na tętnicach mózgowych, aż do trzeciego rozgałęzienia. W splotach komórek bocznych nie znalazł nerwów.

Godném jest uwagi, w jaki sposób mózg i rdzeń kręgowy, różnemi warstwami splotów nerwowych jest otoczony, z których to splotów każdy do innego organicznego utworu należy. Najbardziej ku wewnątrz leżącym splotem nerwowym, jest splot błony naczyniowej rdzenia i mózdzku, w mózgu zaś w większej części po arteriach się rozpościęra. Druga warstwa należy do błony twardej i jej zatok, przechodząca na żyły mózgowie. Na stronie zewnętrznej okostnej czaszki, znalazł liczne nerwy i to byłaby warstwa trzecia. Nareszcie skóra głowy, jak wiadomo, opatrzona jest mnóstwem nerwów, pochodzących najwięcej od piątej pary kończących się w brodawkach dotykowych i w korzeniach włosowych: jestto warstwa czwarta.

Zapewne się uda znaleźć nerwy w kanalikach Brescheta kości czaszki, jakotóż i w zatokach kości czołowej i klinowej. Jeżeli przyjmiemy (mówi P.), że nerwy te są czułe (Bohdalek); ztąd jasno wypływać będzie czynność błon wewnętrznych, naczyniowej i twardej, to jest strzeżenie mózgu od wszelkiego przepełnienia krwią.



W stanie zaś chorobliwym pojedynczych tych tkanin, każde ich obrażenie objawi się oddzielnym bólem ogłówniej (galea aponeurotica), okostnej (periosteum), bólem kości, błon twardej i naczyniowej, bólem mózgu, z których każdy doświadczonemu lekarzowi, wskaże właściwe miejsce obrażenia.

*F.* Znalazłszy tak wiele nerwów w błonach naczyniowej rdzenia kręgowego, twardej mózgu, obu wyraźnie włóknistych, naturalnym biegiem rzeczy zwrócił się do innych utworów włóknistych, jak do okostnej, błon ścięgniastych, ścięgien i więzów. Najpierwszą ze zbadanych była okostna z przedniej powierzchni kości goleniowej, każdemu dobrze znana z bólu następującego po uderzeniu; i znalazł czego się spodziewał, t. j. mnóstwo nitek nerwowych. Szukając zaś podobnie w miejscach przyczepu mięśni, nie znalazł nerwów, i zdaje mu się, że one tylko znajdują się w miejscach wolnych jedynie skórą pokrytych.

W powięziach zwłaszcza biodrowe mięśnie pokrywających, znalazł też dość liczne nerwy. W ścięgnach i więzach żadnych, chociaż wiadomo, że w pewnych warunkach bardzo prędko uczucie objawiają. W jednym tylko przypadku spotkał znaczną ilość nerwów w ścięgnach mięśni dwubrzuszných szyi ptaków. Zapewne w podobnych stosunkach i gdzieindziejby się znalazły.

*G.* Następnie wziął się do oglądania rogówki ocznej, (cornea), czy do niej wchodzi nerwy, już przez Bohdalka gołym okiem widziane. Nie było nic dziwnego, że za pomocą mikroskopu, przy użyciu kwasu octowego, pokazał się cały splot najdrobniejszych włókienek nerwowych.

*H.* W błonach surowicznych napróżno szukał nerwów, chociaż w zapaleniach wielką okazują czułość. Jeżeli nie chcemy przypuścić (mówi P.), że uczucie przechodzi i do środka nerwów, musimy koniecznie przyjąć stan jakiejś nerwowiny (nerwowej substancji), w utworach organicznych się rozchodzącej, któraby bardzo dla mikroskopu przystępną być nie mogła. To jednak wpiers się nie uda, póki się nie wynajdzie sposobu wysledzenia obecności nerwowiny za pomocą środków chemicznych.



*J.* W przyrządach płciowych znalazł mnóstwo nerwów aż do najostatniejszych cząstek; lecz o tem nie szczególnego tu powiedzieć się nie da.

*K.* Dalej wziął się do przejrzenia nerwów serca. Znalazł je na zewnętrznej powierzchni głównie po tętnicach się płączące, a z niemi i do mięśni wnikające, w których nerwów nie widział. Na ścianach komórek serca znalazł włókna nerwowe, ale bardzo rzadko rozłożone. Lecz na tych ścianach spostrzegł utwór szczególny, jakiego nigdzie jeszcze nie znalazł.

W sercach owiec, cieląt, wołów i t. d., widział gołem okiem na powierzchni wewnętrznych ścian komórek, cienkie paski, pół-przezroczyste, aż na mięśnie brodawkowate sięgające i po beleczkach przechodzące. Szczególniej dobrze je ma być widać w sercu owcy, kiedy wnętrze przyżółtym tłuszczem dobrze jest pociągnięte. Patrząc mikroskopem znalazł owe paski złożone z wielokątnych komórek, opatrzonych jednem lub dwoma jądraimi; na wierzchu, szczególniej w miejscu ich stykania się, było widać poprzeczne prążki, podobne do prążków na włóknach mięśni dowolnych spotykanych. Nic dziwnego (pisze P.), że mnie szukającemu nerwów, zrazu przedstawiły się za gangliowe ziarnka, w czem wkrótce się spostrzegłem; chociaż tu blisko nerwów nie było. Na chwilę porównanie z ziarnkami chrząstkowými się nastęrczało. Nareszcie zdecydowałem się uznać je za rodzaj mięśni. Przez ściąganie się komórek, ściągająby się cały pasek, trzymając w naturalnych granicach mięśnie wewnętrznej ściany komórki serca. Takie ziarnkowate paski znalazłem u przeżuwiających (owiec, kóz, wołu, wielbłąda, sarny), u konia zaś, świń, zająca i u mięsożernych, a także u człowieka nie znalazłem.

*L.* Przy powyższych śledzeniach znalazł on w sercach owiec i bydła gromady komórek innego rodzaju, znacznie mniejszych, podługowatych i w oddzielnej błonie z tkanki łącznej ułożonych. Jestto zapewne rodzaj grzyba komórkowatego (Kernpilz).

32. Godzi się także nadmienić o rozprawie p. Barry Szkota, który mieszkając w Pradze, badał u Purkynie go pod mikroskopem aż do najdrobniejszych włókienek mięsnie dowolne, głównie u gadów, i znalazł, że każde pierwotne włókienko, złożone jest z dwóch jeszcze pierwotniejszych, spiralnie razem złączonych; krzyżowanie obrotów razem wzięte da widok znajomych poprzecznych kresek w mięśniach dowolnych. Dalej badał ruch rząsków migawkowatych u muszli, gdzie najlepiej spostrzegać się dają. Rozprawę tę napisaną po angielsku przetłumaczył Purkynie na niemiecki i podał do publicznej wiadomości przez archiwum Müllera (r. 1850).

33. W aktach *naturae curiosorum*, r. 1835, po wydaniu głównej rozprawy: „De phenomeno generali motus vibratorii,” łącznie z prof. Valentinem ogłosił nowe szczegółowe spostrzeżenia o ruchach migawkowych, zwłaszcza na błonie śluzowej tchawicy wołu.

(Nova Acta Academiae Caesareae Leopoldino-Carolinae Naturae Curiosorum. Vratislaviae et Bonnae. 4. 1835).

34. *O węzowniczych przewodach odchodowych gruczołów potowych skóry.* (Ueber die spiralen Ausführungsgänge der Schweissdrüsen der Haut), w dziele: Bericht über die Versammlung der deutschen Naturforscher und Ärzte, in Breslau im Jahre 1833, pag. 59.

35. Kiedy w Pradze r. 1837 odbywało się zgromadzenie badaczy natury i lekarzy, nie zaniedbał Purkynie być przytomnym i z rozprawami wystąpić. Wziął do odczytu w oddziale zoologiczno-fizyologicznym następujący temat: *O gruczolach żołądkowych i o naturze trawienia w żołądku.* Rozprawa ta wydrukowaną została w dziele:

Bericht über die Versammlung der Deutschen Naturforscher und Ärzte, in Prag, im Jahr 1837.

a. Głównie tu zwracał uwagę na utwór ziarnisty, jako na najważniejsze podścielisko wszystkich gruczołów i innych gruczołowatych ciał, które nazwał: *Euchym*. Dawniejsi anatomowie o tém zupełnie zapomnieli, jedni (Lieberkühn) zwracali uwagę na naczynia krwionośne, poznane przez sztuczne nastrzykiwanie; drudzy (J. Müller) i późniejsi tylko na naczynia wydzielające; z kąd wynikło, że substancya ziarnista, chociaż o wiele wydatniejsza, w preparatach nastrzykiwanych stała się dla oczu nie dojrzaną.

Sprawiedliwość nakazuje tu wyjaśnić, że wówczas, to jest na *dwa lata przed Schwann'em* Purkynie już publicznie wygłosił główną ideę o teoryi komórki (*Zellen-theorie*), o czém przekonywają następane słowa wyjęte z relacyi prażskiego zgromadzenia str. 175:

„Tym sposobem organizm zwierzęcy sprowadzony „jest do trzech pierwotnych postaci: t. j., płynnej „ziarnistej i włóknistej. Postać ziarnista przywodzi „na myśl zasadniczą budowę roślin, która jak wiadomo cała z ziarn czyli komórek się składa. Tak jak „w roślinie każda pojedyncza komórka obdarzona „jest życiem własnem *vita propria*, w skutek czego „z ogólnego soku pożywnego właściwą dla siebie „substancję przygotowuje i tę do wewnątrz przyjmuje: tak również można sobie wyobrazić, że coś „podobnego ma miejsce przy wytwarzaniu się i „knieniu ziarn euchymu. To zdanie o wytwarzaniu „się ziarn w organizmie zwierzęcym, jako podobne „do wytwarzania się komórek w roślinach, wymaga „głębszego zbadania porównawczej fizyologii roślinnej. Jest nadzieja, że jeżeli się uda poznać specyficzne wytwarzanie się ziarn w całej ich właściwości, to chemia zwierzęca na tém wiele zyszcze, nie „bez znakomitych korzyści i dla ogólnej fizyologii.”

Stosowném będzie przytoczenie tu ustępu z ogłoszonej w roku 1845 w *Jahrbücher für wissenschaftliche Kritik* pod redakcją prof. v. Hennig przez berlińskie towarzystwo wydawanego, recenzji Purkyniego nad



dziełem Schwann'a: Mikrosk. Untersuchung über die Uebereinstimmung in der Structur und dem Wachsthum der Thiere und Pflaitzen, Berlin 1839. (Poszukiwanie mikroskopowe nad zgodą w budowie i wzrastaniu zwierząt oraz roślin).

„Szczęśliwym i w właściwym czasie (pisze P.) powziętym był zamiar zrobienia w Morfogenesie roślin i zwierząt gruntownego porównania i odniesienia obudwu pierwiastkowych postaci do *jednego* początku (Ursprung). Schwann'owi należy się zasługa, że on pierwszy różne spostrzeżenia się tu odnoszące zebrał i naukowo je wyjaśnił jako zasadnicze myśli natury. Nie ulega wątpliwości, że i inni badacze na polu mikrotomii roślin i zwierząt dawniej lub przynajmniej jednocześnie coś podobnego mieli na myśli; że usiłowali robić takie wywody i porównywania co do pierwiastkowej budowy zwierząt i roślin, bo to z samej istoty rzeczy wynika; że obiektywne doświadczalne badanie dochodzi w końcu do pewnego oznaczonego celu, gdzie prawdziwy duch przedmiotu sam w całej swojej czystości się wyłania i badaczowi w pełni swęj chwały objawia. Wówczas należy już do samego badacza umieć korzystać z objawienia Boskiej myśli i onę sobie przyswoić, z czém mógłby potem publicznie wystąpić.”

Purkynie, (mówi Dr. Ejselt), w pierwszych latach swego starannego zajmowania się histologią roślin i zwierząt był tyle szczęśliwy, że tę zasadniczą ideę poznał. Oprócz tego mówił on bardzo wiele o tym przedmiocie z współpracownikiem swoim prof. Valentinem, który r. 1834 w rozprawie swojej uwieńczonej wielką nagrodą Akademii paryzkiej o porównawczej histologii roślin i zwierząt też samą myśl wypowiedział. Dziwnem jest tylko, iż pismo to nie zostało publikowanem. Za dowód jego sposobu pojmowania rzeczy służyło wówczas i może służyć jeszcze dziś słowo *cambium*, którem oznaczał on naprzemian pierwiastkową substancję roślin i zwierząt, pojęcie porównania, którego Valentin później nawet w swoich pismach morfologicznych użyć się nie wahał. W recenzji tej przy zupełnem uznaniu zasług Schwann'a. wyrzekł Purkynie, iż życie sło-

wa *komórka* (Zelle) jest jednostronne, albowiem jądra w pierwiastkowej substancji roślin i zwierząt, tylko w roślinach na prawdziwe komórki się zamieniają, u zwierząt zaś postać jądra zawsze zatrzymują. Od początku jednakże wygodniejszym zdawało się użycie *jednego* słowa *komórka*, na co powszechnie się zgodzono, tak, iż trudno by temu było się opierać. Si volet usus, quem penes arbitrium est, et mos et norma loquendi.

b. Na 4<sup>em</sup> posiedzeniu tegoż samego zebrania (23 września) mówił Purkynie, o spostrzeżeniach nad wewnętrzną budową pierwotnych włókien nerwowych. Przy oglądaniu świeżych nerwów w cienkich skrawkach poprzecznych, widział pod mikroskopem we środku każdego skrawka dziurkę okrągłą, z czego wniósł, że każde włókno posiada wewnątrz kanalik, w którym soki nerwowe krążą. Aby się o tem jeszcze lepiej przekonać, napuszczał on nerwy węglanem potassu, przez co skrawki cieńsze a zatem więcej przezroczyste otrzymał, w których podobne oczka jeszcze widoczniej się okazywały. Na świeżych nerwach poziomo leżących i tłoczyłem pod wodą przygniecionych, ze swych pochw obnażonych, pokazywały się podobne przezroczyste środkowe kreski, które później jako części twarde poznał i osiami cylindrycznymi (Axen-cylinder) nerwów nazwał, a która to nazwa powszechnie została przyjętą.

c. Mówił dalej o splotach nerwowych od nerwu sympatycznego pochodzących, otaczających tętnice mózgowe, które mógł śledzić aż do trzeciego rozgałęziania się. Spostrzeżenie to w jeden obraz złączone przedstawia nam mózg za pomocą błony naczyń opasany, jako bogaty zbiór nerwów, wszędzie między jego zawoje wnikających, co odpowiada nerwom po błonie naczyńiowej rdzenia kręgowego rozpostartym, z tą tylko różnicą, że one tu po arteryach a tam po błonie naczyńiowej się rozchodzą.

d. Następnie opisywał oddzielny utwór ziarnisty, sploty naczyń pokrywający w komórkach mózgu się znajdujące. Są to ciała przezroczyste, nazewnętrz zaokrąglone, od wewnątrz do ścian splotu przylegające, w jeden lub dwa końce wydłużone i opatrzone w środku jądrem silnie



światło łamiącym. Z początku wziął je za utwór nerwowy, lecz potem zaliczył je do szczególnego rodzaju nabłonka, co powszechnie zostało przyjęte. Rzęsków migawkowych na nich nie widział.

e. Później wykładał swe postrzeżenia o ciałkach zwojowych, które *piérwszy* miał szczęście zobaczyć. Było to w roku 1833, kiedy z A. W e n d t e m badał budowę skóry, a prócz tego pilnie się zajmował rozbiorem mózgu pod względem budowy włóknistej. Przyglądając się bliżej skrawkowi czarnej substancji (*substantia nigra*), w odnogach mózgu ukrytej, spostrzegł, iż jest złożona z pojedynczych plamek, jakby z łupinek otrąb. Dalej oglądając lupą, brał je za rodzaj barwnika, tworzącego podobne rysy w naczyniówce oka (*choroides*), jednak ważnego znaczenia do nich nie przywiązywał. Dopiero gdy E h r e n b e r g w swój rozprawie o mózgu (Ehrenberg Beobacht., einer auffall. bisher unbek. Structur des Seelen—Organs b. Mensch. u. Thier. 6. Kpt. gr. 4. Ber. 1836, czytanej w akademii berlińskiej już w r. 1833), szczególne ciałka w ganglionach pijawki (Tab. VI, Fig. 6, 7), odrysował i opisał zowiąc ciałkami maczugowatemi, nieprzyznając im żadnej ważności i bliżej ich nieoznaczając, zwrócił się Purkynie do swoich dawniejszych spostrzeżeń i ciałka te nazwał *zwojowemi*, dlatego że stanowią główną podstawę węzłów nerwu sympatycznego. W ciągu r. 1837 pilnie je oglądał w mózgu ludzkim. Najprzód wziął się do substancji czarnej w odnogach mózgowych, już poprzednio badanej i wkrótce poznał, że jest złożona z oddzielnego gatunku ciałek zwojowych, włóknami nerwowymi rozmaicie przeplatanych. Dalej, zwrócił się do innych substancji zabarwionych mózgu, jak *substantia ferruginea* (rdzawa) w czwartej komórce, i tę także znalazł z ciałek zwojowych złożoną. Później oglądał wszystkie substancje szare mózgowia, ciałek prążkowanych (*corpora striata*), wzgórków wzrokowych (*thalami optici*), czworaczych (*corpora quadrigemina*), jąder mózdkowych ciałek, oliwkowych (*olivae*), substancji szarej rdzenia kręgowego i t. d., opisał i wyrysował ich ciałka ganglionowe wszelkiego gatunku i utworu, o czém w sekcji obszernie mówił. Nadmienić wypada, że w tych pracach miał udział prof. V a l e n t i n, ale szczegól-



niej ograniczył się na zbadaniu węzłów zwojowych. Rozprawa Valentina znajduje się w aktach Leopoldyńskiej akademii. (Acta Acad. Caes. Leop. Carol. Natu. Cur. Vol. XVIII. P. 1. pag. 51 — 240. Tab. 1 — VIII). Znajdują się tam główne myśli Purkyniego o znaczeniu utworów pierwotnych układu nerwowego, szczególnie na str. 89 wypowiedziana najpierw przez Purkyniego, pojęta analogia między zarodkami jajka i ciałkami zwojowymi.

O ich znaczeniu w ten sposób się wyraził, że należy je uważać za środkowe (centralne) utwory, za czem przemawia sama ich budowa współśrodkowa. Stosunek ich do elementarnych włókien nerwowych byłby jak środkowe punkta sił do wychodzących ztąd linii dynamicznych odprowadzających i przyprowadzających, jak zwojów do nerwów zwojowych, jak mózgu do rdzenia kręgowego i nerwów mózgowych; w nichby czynność nerwowa miała swój początek, swe rozdzielenie i ześrodkowanie.

f. Nareszcie nadmienił o ziarnkach krochmalikowych, jakie w blaszce sitowej (*lamina cribrosa*) i wewnątrz bocznych komórek między ciałem prążkowanym a wzgórkami wzrokowymi znalazł.

Działanie jodu na krochmal nie było jeszcze wówczas znane, a teraz wiadomo powszechnie, że Virchow swoje próby odczynnikowe od tego rozpoczął i naukę o krochmalikowym wyrodzeniu się na tém ugruntował.

g. W piątym posiedzeniu sekcijnem wykladał Purkynie obszernie postępy sztucznego trawienia. Przypominał własność żółci, która w małej ilości przymieszana do płynu trawiącego, nagle trawienie wstrzymuje. Zdaje się, że i w ciele żyjącem w przechodzeniu miazgi żołądkowej (*chymus*) do dwunastnicy coś podobnego się dzieje. Domieszczeniem żółci do substancyj proteinowych trawienie żołądkowe się ukończy, aby dać zapewne możność trawieniu substancyj węglowych roślinnych.

36. Kilka swych dawniejszych farmakologicznych spostrzeżeń ogłosił Purkynie w książce wydanej przez dział lekarski szląskiego Towarzystwa ojczyściej oświaty:

Neue Breslauer Sammlungen aus dem Gebiete der Heilkunde, herausgegeben von der mediz. Sect. der Schles. Gesellschaft für vaterländische Cultur 1. Bd. Breslau bei Gosohorsky. 1829.

Jako słuchacz medycyny w trzecim roku, w którym nam (pisze Purkynie), materia medica czyli lekoznavstwo przez profesora V a v r u c h 'a była wykładana, zwróciłem najprzód swą uwagę na własności zmysłowe leków, to jest na ich zapach i smak. Sposobność mi się zdarzyła w aptece pod *Złotą koroną*, której dzisiejszy posiadacz pan szlachcic z Helly był moim współzakiem, a ówczasowy laborant pan S z i c h t moim dobrym znajomym z Błatna, gdzie rządził cukiernią barona Hildprandta, oraz stary prowizor Guilelmi, któremu się przymilając, zyskałem wolny wstęp do składu materyałów. Tam nieraz pół dnia strawiłem na oglądaniu wszystkiego, macaniu, kosztowaniu, nawet sporządziłem sobie mały zbiór; szczególnie brałem flaszeczki napełniane wonnemi olejkami i wodami, które pociemku wachając wprawiałem się w ich poznawanie. Zajmowałem się wówczas nową nauką o woniach (osphresiologią), o której w swoim czasie chciałem pisać. Później poznałem osfresiologią Cloquet'a, która mnie nie zaspokoła i śmiem twierdzić, że dziś nawet gdyby się kto z młodszych do tego przedmiotu zabrał, przy obecnym postępie chemii organicznej, do znacznych wypadkówby doszedł. Przy tych badaniach nastęrczyła mi się równie ważna okoliczność. Szkoła mi pokazywała zawsze własności leków względnie do stanu chorobliwego ciała ludzkiego. Porządek szkolny wymaga, że przed poznaniem samych chorób, już dokładnie się uczymy poznawania środków przeciw chorobnych, zapewne aby o nas powiedzić nie było można: *sero medicina paratur*. Metoda ta bardzo mi się nie podobała. Zaraz z początku mych studyów medycznych zwróciwszy się do fizyologii, uważałem za bardzo ważne i użyteczne poznanie działania lekarstw na zdrowy organizm. Tę bowiem naukę uważałem za podstawową część całej fizyologii, nad którą jeszcze bardzo mało pracowano. Już wówczas homeopatyja głośno się odzywała, zasada jęj głównie dążyła do poznania działania lekarstw na zdrowe ciało, do zbadania chorobowych objawów wywoływanych przez leki,



zkaąd płynęło prawidło (*similia similibus*), które rodzaje chorób mają się niemi leczyć. Tylko mi się te nadzwyczaj małe dawki nie podobały i nareszcie cała ta rzecz wydała mi się jak wielu innym czystą mistyfikacją. Oryginalna jednak myśl o potrzebie fizyologicznego badania leków mnie nie opuszczała i od czasu do czasu ważniejsze z nich na sobie samym doświadczałem. Tu należą me badania nad emetyną, o czém wyżej pod N. 20 pokrótce nadmieniałem. Dawniejsze z lat studenckich doświadczenia zatrzymywałem, zamierzając je z czasem rozszerzyć i w pewnej całości ogłosić. Tymczasem następne prace naukowe do czego innego mnie pociągnęły, a rodzinne i towarzyskie położenie doświadczeń tych często niebezpiecznych i innym obowiązkom przeszkadzających wypełnić nie pozwoliły; rozstałem się więc z niemi, poruczając je czerstwemu potomstwu. Co w wspomnionj wyż książce napisałem, było w tym przedmiocie ostatniem mém słowem. Powiedziano tam: 1. O działaniu kamfory głównie na mózg i cały układ nerwowy. 2. O naszym (opium) makowcu które nie znalazłem tak niewinnym, jak w szkole i z książek mnie tego nauczono. 3. O działaniu belladony i stramonium. 4. O działaniu olejku terpentynowego czystego i po zmieszaniu z wyskokiem. 5. O odurzeniu przez muszkatolową gałkę. Niestaje tu miejsca na obszernie rozprawianie o tych doświadczeniach.

---

37. O pojęciu fizyologii odnośnie do innych nauk i sztuk, o kształceniu fizyologów, o zakładaniu instytutów fizyologicznych, mowa miana przy otworzeniu prażskiego uniwersytetu w czasopiśmie: *Vierteljahrsschrift für die practische Heilkunde herausgegeben von der medicinischen Facultät in Prag. 1852. Bd. 33.* Do tego należy *Nachwort* (dodatek) profesora *Halli*: „o historyi zakładu fizyologicznego w Pradze.”

---

38. *Topologia zmysłów, tamże, 1854. Bd. 41.*

---

39. *Ueber die scheinbare Beugung gerader Linien gegen die Peripherie des Gesichtsfeldes.*



(O pozorném zgięciu prostych linii ku obwodowi pola widzenia), w dziele:

Sitzungsberichte der königl. böhm. Gesellschaft der Wissenschaften in Prag. Jahrg. 1859.

40. Bericht ueber dem physiol. Institute von Prof. Lenhosek in Pesth geschenkten microscop. Preparate ueber die Structur des Rückenmarks, tamże, Jahrg. 1860. pag. 43.

(Sprawozdanie o preparatach mikroskopowych dotyczących budowy rdzenia kręgowego, darowanych zakładowi fizyologicznemu w Pradze przez profesora Lenhosska, tamże, roku 1860, str. 43).

41. Ueber die Coincidenz gleicher Gehörempfindung im Innern des Hinterhauptes, tamże, Jahr. 1860. Pag. 98. (O jednoczesności równego uczucia słuchowego we wnętrzu tyłu głowy. Tamże, rok 1860, str. 98).

#### IV.

#### ARTYKUŁY W DZIEŁACH ENCYKLOPEDYCZNYCH SIĘ ZNAJDUJĄCE.

Nie zawsze Purkynie mógł się usuwać od prac encyklopedycznych i recenzyj, raz, że do takiego autorstwa żadnego powołania w sobie nie czuł, a powtóre, iż żywa jego natura dosyć przedstawiała nowych i ciekawych materiałów dla samoistnego badania; jednakże z powodu okoliczności musiał się nimi niekiedy zajmować. Do tych prac należą :

42. W dziele: Encyklopedisches Wörterbuch der medicinischen Wissenschaften. Herausgegeben von den Professoren C. F. v. Gräfe, C. W. Hufeland, H. F. Link, K. A. Rudolphi etc. Berlin 1828—1849.

Achromatopsia (nieczułość na barwy); Akustik; Affect (namiętność); Ahnung (przeczcucie); Anthropologie;

Artikulierte Töne; Association; Augentäuschungen (złudzenia wzroku); Bauchreden (brzuchomówstwo); Begattung (spółkòwanie); Begierde (żądza); Beissen (kąsanie); Bewusstsein (przytomność); Brühen (oparzenie); Brüten (wyłęganie się); Brunst (ciekanie się); Calor animalis (ciepło zwierzęce); Chylificatio (zmlaczanie); Chylus; Chimificatio (miażdżenie); Chymus (gąszcz czyli miazga żółądkowa); Circulatio sanguinis; Contractilitas; Cranioscopia; Dens; Diastole (rozszerzanie się serca); Digestio (trawienie); Ei; Empfängniss (poczęcie); Erzeugung (spłodzenie).

Więszą jednakże wartość Purkynie przyznaje artykułom: affekt, złudzenia wzroku i cranioscopia. Co się tyczy pierwszego, była to praca oryginalna. Los jej był podobny do losu tego rodzaju rozpraw; w dziele encyklopedycznem została ona niepostrzeżoną. Specyalny psycholog jój tam nie szuka, lekarz na nią nie zważa; szczególnem w tej rozprawie jest to, że Purkynie z wrażeń poznania utworzył oddzielną klasę, podciągając ją pod bliższą rozwałę. W artykule złudzenia wzroku, mógł on jako autorytet dać nie tylko treściwy pogląd, ale i nie jednę nowość. Z trzeciego artykułu *Cranioscopia*, przytaczamy ten ustęp: „Na postać czaszki oprócz samego mózgu wpływają kości czaszki i mięśnie do przyrządów zmysłowych należące. Wszystkie przymioty ducha tak u zwierząt jak u człowieka, są prawami kierującemi postacią czaszki. Z tych oznak zewnętrznych można znów wnosić o duchu. Wyrosty i guzowatości na czaszce szczególniej w bliskości organów zmysłów, w ściślej są zależności z temiż organami, a następnie pośrednio z przymiotami duchowemi pewne kształty czaszki za sobą pociągającemi. Tak np. ostrożność (*Vorsicht*) wymaga bystrości słuchu, mięśnie więc uszne stanowią znaczne wyniosłości na czaszce, a zatem wyniosłości owe rozwinięte każą domyślać się ostrożności, z czego jednakże nie wynika, aby na tém miejscu właściwy organ mózgu musiał się znajdować i t. d.”

43. *W dziele: Handwörterbuch der Physiologie mit Rücksicht auf physiologische Pathologie, in Verbindung mit mehreren Gelehrten herausgegeben, von Dr. Rudolph Wagner. Braunschweig, 1842—1853, 8.*

*Microscop*: 2<sup>ter</sup> Band, s. 411. u. f.

*Sinne im Allgemeinen* (zmysły w ogólności, znajduje się także w *Živie* roku 1853), III Band, 1<sup>o</sup> Abtheilung, s. 352 u. f.

*Wachen, Schlaf, Traum und verwandte Zustände* (czuwanie, spanie, śnienie i stany podobne). III Band, 2<sup>te</sup> Abtheilung. s. 412—480. Toż samo w czasopiśmie Muzeum królestwa czeskiego roku 1857, str. 323—341.

## V.

### RECENZYE.

W roku 1827 zaczęły wychodzić staraniem profesora Gans'a w Berlinie, pod redakcją prof. Henninga: Roczники krytyki naukowej w duchu filozofii Hegla, (*Berliner Jahrbücher für wissenschaftliche Kritik*). Prof. Henning był przyjacielem Purkyniego, który nie mógł się Henninowskiemu od współpracownictwa wymówić. W tych rocznikach znajdują się rozbiory dzieł:

44. W roku 1827. Johann Müller: *Vergleichende Physiologie des Gesichtsinnes*. Leipzig, 1826.

45. W r. 1827. G. Müller: *Ueber phantastische Gesichterscheinungen*. Coblenz, 1826.

46. W r. 1828. Laurencet (de Lyon): *Anatomie du cerveau dans les quatres classes d' animaux vertebres*. Paris, 1825. pag. 327.

47. W r. 1828. Burdach: *Vom Baue und Leben des Gehirns*. 3 Bd. Leipzig, 1819—1826.

48. W r. 1829. Ern. ab Baer: *de ovi mammalium genesi epistola*, Lips. 1829, pag. 396.

49. W r. 1830. Szafarzyk: *Geschichte der slaw. Sprache und Literatur nach allen Mundarten*. Ofen, 1826, p. 431.

50. W r. 1832. Bowring: *Cheskian anthology*. London, 1832, pag. 753.

51. W r. 1833. Dzondi: *Functionen des weichen Gaumens*. Halle, 1831.

52. W r. 1833. Bennati: *Recherches sur la formation de la voix*. Paris, 1832, pag. 537.

53. W r. 1835. Z Oleska: *Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego*. Lwów, 1833, pag. 102.



54. W r. 1835. *Velpeau*: Embryologie, ou ovologie humaine. Paris 1833, p. 601.

55. W r. 1836. *Van Deen*: Disquisitio physiologica de differentia et nexu inter nervos vitae animalis et organicae. 1834, p. 401.

56. W r. 1837. *Kopitar*: Glagolita Clozianus. Wien, 1836, p. 180.

57. W r. 1839. *Girgensohn*: Entwicklungsgeschichte des Rückenmarkssystems. Riga 1837, p. 54.

58. W r. 1841. *Szafarzyk i Palacky*: Die ältesten Denkmäler der böhm. Sprache. Prag. 1840, p. 100.

59. W r. 1845. *Schwann*: Mikroskopische Untersuchungen ueber die Uebereinstimmung in der Structur und dem Wachsthum der Thiere und Pflanzen. 1839.

60. *Flourens*: Recherches experimentales sur les propriétés et les formations du système nerveux. Paris, 1840, p. 100. W czasopiśmie Kritisches Repertorium der Heilkunde. Herausgegeben von J. Rust. Berlin.

61. *Westrumb*: Physiologische Untersuchungen ueber die Einsaugungskraft der Venen. 1825.

62. *Horn*: Ueber den Geschmacksinn des Menschen. 1825.

## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

„Siostra Filomena” powieść, przez Juliusza Goncourt.—„Jak trzeba wspierać sztuki.” przez Ludwika Viardot.—„Wyprawa sycylijska,” przez Maxyma Du Camp.—Tom XIX „Konsulatu i Cesarstwa.”

**W** ciągu ubiegłego miesiąca pojawiła się w Paryżu książka, która, chociaż w formie powieści napisana, należy do rzędu bardzo poważnych płodów myśli i jak brylant czystej wody odbija od brudnych tworów skażonej wyobraźni, którymi dziś powieściarze francuzcy zasypują księgarnie. Tytuł tej powieści *Siostra Filomena*; autorem jej Goncourt, autor kilku znakomitych studyów historycznych. Zajęta wyłącznie ubóstwem, przekazana cierpiącym, pół-medyczna a pół-ascetyczna, zaledwie związana z tym światem, tak ją choroba i śmierć wypełnia, książka o której mowa, będzie czytana chciwiej niż wiele radosnych romansów, bo jest osnuta nie na napływowym, ale na prawdziwym gruncie ludzkiego żywota: pracy i poświęceniu.

Węzeł powieści najprostszy w świecie. Marya Gaucher, córka wyrobnicy, dzieckiem straciwszy matkę, znajduje opiekunkę w ciotce służącej u bogatej wdowy. Dziecię wychowywane razem z synem tej pani, oddaje się całą duszą uludom przemijającego szczęścia: zdaje jej się, że jest córką swjej dobrodziejki; wszystko co jej przypomina, że jest tylko służącą, do żywego rani tę dostojną, szlachetną ale zbyt dumną duszę.

Widząc to ciotka, dbająca o przyszłość dziewczyny, dla jej szczęścia wydała ją z zamożnego domu, gdzie jak w swoim bujała, i oddaje na wychowanie do klasztoru, gdzie mała Marysia wraz z surową opieką, otrzymuje zakonne imię Filomeny.

Opisanie klasztoru skrócone niby dziecinnem piórem Filomeny, tworzy dziwnie zajmujący rozdział. Z marzeń i wrażeń siedmioletniej panienki, autor zrobił tkanekę pajęczą: coś równie subtelnego jak spostrzeżenia czarodziejki z Tysiaca Nocy, co to słyszy jak chodzą mrówki i trawa rośnie. Czucie Marysi równie jak jej słuch delikatne. Wszystko tu pełne prostoty rzewnej: pierwsza rozpacz dziecka wyrwanego z domu, który się nauczyło uważać za własny; potem głęboka tęsknota i smutek milczący; w końcu rezygnacya młodego umysłu złamanego surową regułą nowego życia; blade uciechy i wybuchy czułości, wywoływane wspomnieniami lat przesakanych u wdowy, które leżą w duszy pod pieczęcią, niby wspomnienia rajskiego żywota... Cały ten kłębek uczuć rozproszony z rzadkiem jasnovidzeniem prawdy. Nie podobna podsłuchać dokładniej i lepiej wyrazić szmerów, jakie czynią rodzące się w dziecinną główce pojęcia.

Wypadek nowy nadaje inny obrót myślom Filomeny. Przybywa na pensyą do klasztoru młoda panienka imieniem Celina; pomiędzy nią a sierotą wnet ścisła zawiązuje się przyjaźń.

Celina jest zupełnie nowym typem w tegoczesnej powieści. Zrodzona w wiekach średnich, rozwinięta w cudom przychylnym miejscu, przezczysta ta duszyczka byłaby pewnie w poczet świętych policzoną. Teraz nie jeden upatrzy w niej nieprawdopodobieństwo; ale mimoto uśmiechnie się do niej, jak do anioła we śnie widzianego.

Celina urodziła się świętą, równie jak lilia białą się rodzi. Jasna dusza męczennicy goreje w wątlém ciałku tego paryzkiego dziecięcia; silna wiara porywa ją z ziemi i utrzymuje w górnej atmosferze objawienia. Oto ustęp, w którym autor tłumaczy zjawienie téj legendowej postaci w powieści:

„Zanim ją oddano do klasztoru, Celinka była służącą i opiekunką razem swojej babki. *Zywoty świętych*





zachwyciły najpierw jej żywy umysł. Z początku babka czytała jej wnuczce; potem z kolei wnuczka rozłożywszy na kolanach wielką księgę, czytała z niej babce; a co wyczytała o bohaterskiem poświęceniu, cnotliwem życiu, szczytnem konaniu, szczęśliwej śmierci, o wołających z nieba głosach, o lecących z tamtąd palmach dla męczenników, olśniło wzrok dziewczynki i upoiło ją na wieki. Złote legendy zapełniły jej główkę i przebiły oczy promieniami. Podobna z czoła do małej Madony Memlinga, tylko o cudach marzyła. Utworzyła sobie osobny świat zachwyty, równie błogi jak ów bajeczny, w którym piastunki igrać każą pierwszemu marzeniu z pierwszą myślą dziecięcia.

„Ponieważ przy boku sędziwej babki nie złudzeń Celinki nie zakłóciło; ponieważ w tym zaciszu, nie spotkała ani zwątpienia, ani niepokojącego uśmiechu: droga na pustynią stała jej się złotym gościńcem usypanym kwiatami. Nie widziała przed sobą dyamentowych pałacy, w których bazarze zaczarowane mieszczą księżniczki, ale marzyła wciąż o złotych poopieranych o ziemię drabinach, po których dusza świętego pustelnika idzie z celi w niebiosa... W nocy nieraz straszyły ją złe duchy; w dzień oglądała jasne świętych postacie i powtarzała słowa tajemnicze szumiące w jej uszku, jak muszle sprowadzone ze wschodniego morza.—Czemu nie szczebioczesz? Pytała czasem babka, podczas kiedy dziewczynka spuściwszy głowę, w milczeniu obrabiała chusteczkę. Mała na to pytanie odpowiadała tylko uśmiechem oczu; przemówić nie chciała, bo marzyła o samotności pustyni upatrzonej gdzieś w babczynym ogrodzie.”

Taka to skrzydlata dusza spadła jak gołąb na dumną Filomenę. Uważając sierotę jako sobie przez Boga naznaczoną pastwę, jako piękną lampę, którą zapalić trzeba było, Celina zaczęła podniecać pobożność towarzyszki, rwać liczne węzły krępujące ją do ziemi i unosić z sobą w sfery niebiańskie, z kąd można patrzeć na świat nasz z miłością trwałą, bo żaden pocisk z niego nie dolatuje.

Nastało pomiędzy dwiema dziewczętami współzawodnictwo w naukach i modlitwie. Patrząc na te dwie lecące pod niebiosa dusze, zdaje ci się, że ścigasz oczyma

kręgi dwóch górnołotnych ptaków. Czasami Filomena pragnie się zniżyć; organizacya jęj mniej idealna niż Celiny, a na ziemskie bóle czulsza, cierpi na zbyt wielkiem od bliźnich oderwaniu. Wtedy Celina każe jęj patrzeć w górę i jako dusza, co tu już wszystkie próby przeszła zwycięzko, znowu porywa z sobą w błękity.

Podniebna bohaterka pana Goncourt, zapali pewnie nie jedną żywą wyobraźnią; nie jedna czytelniczka będzie się modlić jak do świętej, znalezionej w katakumbach, do tęj postaci prostej a dostojnej, niby posąg wycięty z jednej sztuki w modlęcej pozie przez gotyckiego rzeźbiarza. Autor uosobił w Celinie owe istoty korne, pod zwykłą formą przedstawiające wielkie figury wieków bogobojnych. Świat się ich ani domysła, bo zdala od niego żyją te dusze złote, żadnym nie przykryte cieniem, żadnym nieczystym tchnieniem nie zaniepokojone, a czystą myślą strzelające wprost ku niebu jak płomień ofiary Abła.

Celina wyszedłszy z pensyi zostaje siostrą miłosierdzia. Klasztor opuszczony przez anioła, który go blaskiem swęj aureoli oświecał, nabiera w oczach Filomeny ciemno-lodowatej fizognomii więzienia. Nuda ją napada i toczy, melancholia czarnem przysłania skrzydłem...

Uwiadomiona o tęp ciotka, zabiera ją do domu młodego Henryka, któremu po śmierci matki służy.

Przerzucona nagle z klasztornego życia w męty paryzkiej służebności, Filomena czuje nieustannie rany zadawane przez niskie dusze, które ją otaczają; w izdebce odzwiernego doznaje wrażeń, jakie czuć musiały chrześciańskie dziewice zamykane przez prokonsulów w domach rozpusty; spragniona miłości, służy z poświęceniem panu swemu, którego za brata uważa; ale młodzieniec, człowiek powszedni, nie dostrzega dobroci pokornej służy. Raz nawet brutalne słowo z ust mu się wymyka, i rozrywa ostatni węzeł łączący z nim Filomenę. Zgryziona, nieszczęśliwa, na wzór przyjaciółki, zostaje także siostrą miłosierdzia, i zajmuje w szpitalu miejsce Celiny, podczas zarazy zmarłej przedwcześnie śmiercią wybranych.

Odtąd powieść przenosi się do szpitala i z niego już nie wychodzi. Zamknąwszy drzwi za sobą, fotografuje odważnie wszystkie miejscie tych okropności. Autor obser-



wuje szpital wszechstronnie; opisy jego wyglądają jak dramatycznie skreślone śledztwo: każdy jęk, każde wstęchnienie znajduje w książce echo, każdy gest umierającego odbija się tu jak w zwierciadle. Siostra Filomena podraستا w tém „mieście boleści”. Oswoivszy się z widokiem bólu, z grobowém powietrzem szpitala i ze śmiercią, zostaje opatrnością cierpiących.

Polot ku górze téj silnej duszy, wszystkie stopnie, jakimi szła od samolubstwa do ofiary, pokazane z budującą jasnością. Nie ma wzruszeń zdrowszych nad te, które dają owe walki wstrętu przełamanego przez miłosierdzie. Zadziwiająca prawda opowiadania udziela ich czytelnikowi; wraz z siostrą miłosierdzia czuje, z nią razem mdleje, z nią razem woła: „dość już, dość już na dzisiaj!” Ale wnet ciekawość zwycięża i nie może porzucić książki. Jak Alcyp z *Konfessyi świętego Augustyna*, wciągnięty do cyrku, zrazu zakrywa oczy rękami, powoli rozszerza palce, a w końcu upaja się widokiem krwawej zabawy: równie czytelnik pożera karty, które z początku odpychał. Ale wrażenie wprost przeciwne Alcypowemu przykuwa go do téj księgi: rozczerzenie, litość nim miota: pragnie wypić do dna ten kielich ludzkich goryczy.

Tegoż pragnie siostra Filomena wzmocniona wzrastającym uczuciem miłosierdzia. Zmysły jej stają się nieczułe na fizyczne wrażenia, ciało nabiera cudownej niematerialności, obiecanéj wybranym. Pełne i czynne życie zakonnicy opisane z zapalem. Autor na skrzydłach bieży od łoża do łoża za dobroczynną istotą, podwajając się w potrzebie, każdy jej gest uszlachetnia, idealizuje najpokorniejsze jej prace: zdaje ci się, że widzisz ów obraz Murilla, na którym anioł światłemi rękami ludziom jesé gotuje.

W tymże szpitalu, gdzie tak wzniośle miłosierdzie pełni Filomena, poznaje młodego doktora nazwiskiem Branier. Styczność każdodzienna zaprowadza między nimi braterską poufałość. Siostra wypytuje lekarza o Paryż, którego gwary dolatują zdaleka, podobnie jak pokutnicy na Tebaidzie pytali pielgrzymów, czy ludzie jeszcze jadają i stawiają pałace.



Zwolna uczucie Filomeny dla Braniera żywszem się staje, ale autor zakonny welon nań rzuca; mówi o niem pocichu, rozdziały stają się krótkie jak strofy tajemniczej elegii: większa bladość, chód mniej śmiały, mniej natęznione wejrzenie, oto jedyne oznaki zdradzające wewnętrzny niepokój Filomeny: żywsze bicie serca znać jej daje, że kocha; jak kocha, dowiaduje się dopiero w męczarniach zazdrości.

Kobieta Rzymianką zwana, niegdys jak anioł piękna a jak szatan rozpustna, wchodzi do szpitala z rakiem w piersiach, wymagającym okropnej operacji. Branier poznaje w nieszczęsnej swą pierwszą, ubóstwianą kochankę, a doktor naczelny naznacza go jej operatorem. Położenie okropne, obowiązek nadludzki, obraz przerażający! Są ustępy krające jak nóż chirurga. Strach Rzymianki, konanie rozpustnicy, katusze upadłej duszy szamoczącej się ze śmiercią dreszczem przejmują.

Siostra Filomena odkrywszy, że Branier kochał niegdys tę nieszczęsną nędznicę, utracą dlań współczucie, którego tak potrzebuje na śmiertelném posłaniu. Głucha walka anioła stróża zazdroszczącego grzesznicy powierzonej swój pieczy, kończy się dramatyczną sceną: Rzymianka kona podczas modlitwy wieczornej, którą siostra miłosierdzia naprzeciw jej łoża odmawia; krzyki i bluźnierstwa konającej przerywa surowy głos Filomeny pierwszy raz nie złagodzony litością. Nakoniec miłość Chrystusowa ziemską miłość zwycięża. Rzymianka umiera w objęciach Filomeny, ale wrażenie smutne pozostaje: ludzka namiętność zbliżywszy się do anioła, ledwie że go nie oszpeciła.

Rozwiązanie smutne jak grób. Branier ugodzony w serce śmiercią tej kobiety umarłej pod jego lancetem, skon jej jak zbrodnią sobie wyrzuca; najprzód szuka zapomnienia w trunku, ale wnet dusza jego wstydzi się tego spodlenia. Nie mogąc odzyskać straconego spokoju, nieszczęsny doktor zabija się, drasnawszy wyjętym z gangrenowej rany lancetem.

W ostatnim rozdziale widzimy Filomenę przy świetle lampy klęczącą obok zwłoków samobójcy, któremu jej modlitwa może bramy niebios otworzy.

Miłość taka nie jest ani porywającą, ani uroczą. Zrodzona w szpitalu, ma jego smutny charakter. Branier człek niepowszedni, nie jest jednak dość powabny, żeby mógł tak wielkie serce zakłócić. Tak zdaje się czasem, atoli dobrze rzeczy zważywszy, czytelnik przyzna, że taka miłość nie potrzebowała ozdób: powinna więcej strapić niż wzruszyć. Pod tą wyblakłą formą jest czém być powinna: dokuczliwą pokusą bohatercko pokonaną. Branier nie wie nic o uczuciach Filomeny, nigdy nawet ich się nie domyśla. Tak zamknięta i stłumiona w sercu miłość zakonniczy rzuca blask smutny pożaru w pustyni.

Powtarzam, książka ta jest przezroczystym całunem zarzuconym na jęczący przedpokój śmierci. „Po za świątynią i ofiarą nie pokazujcie wnętrzości”, mówi starożytnie przysłowie; to przykazanie nie stosuje się jednak do powieści Goncoura. Szpital jest świątynią boleści, śmierć dzień i noc tam składa ofiary; autor Filomeny miał więc prawo odsłonić tu rany cierpiącej ludzkości. Podobne opowiadania jeżeli są szczere, mają skuteczność przykładu, uderzając umysł poruszają serce i ulepszają je odsłaniając przepaść nędzy i cudu miłosierdzia.

W całym ciągu powieści uderza wielki talent obserwacyi i malowniczość opisów dopomagająca zawsze do wrażenia moralnego. Książkę Goncourt'a najwłaściwiej porównać do obrazu Rembrandta przedstawiającego „*Chrystusa leczącego chorych*”. Takież tu grono chorych z wyrazistemi rysy, też same fizyognómie ludowe podniesione rezygnacją, ten sam urok światła i cienia rozweselający lub zaszepiający salę równie ciemną jak jerozolimskie sklepienie. Wprawdzie Chrystus figuruje tu tylko na krucyfiksie, ale na jego miejscu odziana jego odbłyskiem, jak on góruje nad bolesną grupą siostra miłosierdzia, córka Boga ubogich, która w Jego imię leczy i Jego cuda odnawia.

---

Natchniony wystawą sztuk pięknych, pan Ludwik Viardot wydał zajmującą książkę pod napisem: „*Comment faut-il encourager les arts?*”. Wiele w niej myśli wyższych i erudycyi niemało.



Autor za pierwszą zasadę stawia, iż nie trzeba mieszać w naturze człowieczej poczucia *dobrego* z poczuciem *piękną*: że pierwsze jest instynktem odróżniania złego od dobrego, sprawiedliwego od niesprawiedliwego, jest sumieniem, rzeczą potrzebną każdemu; drugie zaś, jest tylko pewną delikatnością sensacyi i sądu, gustem zwaną, rzeczą potrzebną tylko niektórym, a nie wchodzącą bynajmniej w poczet *obowiązków* obywatelskich.

„Poczucie *dobrego*, powiada Viardot, podnoszące człowieka do poznania Boga, duszy, nieśmiertelności, sprawiedliwości i cnoty, będące wspólną podstawą wszystkich społeczności, jest głównym żywiołem naszej natury, darem Opatrzności: bez niego człowiek nie byłby człowiekiem. Przeciwnie, poczucie *piękną* mogące być rzadkie, ponieważ jest zbyt cenne, jest pracowitym i wolnym nabytkiem inteligencyi, czasem odmawianym największemu wysileniu. Pierwsze, jak szlachectwo, nie kosztuje nic, bo z nim człowiek się rodzi; drugie, jak każda nabyta nauka, wymaga zdolności, natchnienia, czasu, zastanowienia, pracy umysłowej w bezczynności ciała.”

Słowem, Viardot dowodzi, że w dziedzinie dobrego jest tylko jedna powaga, *sumienie*; w dziedzinie zaś *piękną* powagą jest gust, uczucie zbiorowe, które autor zowie: „*partie exquisite du bon sens*.”

Z tego punktu wyszedłszy, Viardot utrzymuje, że powołanie samo się deklaruje, że się rozwija lepiej, napotykając przeszkody, niż opiekę, która mu skrzydła ucina; że dobrze jest zachęcać je i zaszczycać, *po*, ale nie *przed* złożeniem egzaminu; że niebezpieczna dawać młodzieży jako zwodniczą przynętę, korzyści wabiące ich bez prawdziwego powołania do karyery, którejby pewnie nie obrali bez łaskawych ułatwień; że jest rzeczą zbyt cenną zakładać bezpłatne szkoły sztuki i pensjonujące akademie, jak rzymska; że te sztuczne kombinacye zawsze i wszędzie wydawały rezultata przeciwne zamierzonym, (autor nie mówi tu o szkołach rysunku dla wyrobników). Że nakoniec, lekye płatne zawsze lepsze niż lekye za darmo, bo ci co sami płacą, lub za których płacą, czują się zmuszeni dolożyć pracy, żeby powodzenie pokryło nakład: opłata



powinna być, bo ona najlepiej odstrasza wszystkie wątpliwe zdolności.

Powyższego założenia Viardot dowodzi obszernie przykładami wziętymi z kilkonasto-wiekowej historii sztuk pięknych. Przebiegnijmy ją z nim pobieżnie.

Po świecie najdawniejszym, Indyach, Assyryi, Feni-cyi, Egipcie, rodzaju wieków średnich, podczas których intelligencya ulegała nieubłaganemu prawu despotyzmu, Ateny zajaśniały jako najpiękniejszy kwiat umysłu ludzkiego. Przedtem, niżej monarchy i kapłana, istniała tylko jakaś bezimienna czerń bez indywidualności. Ateny rozpoczynają erę swobody. Wolność zapłodniła geniusz: na imię mu, Sokrates, Platon, Arystoteles, Eschyles, Sofokles, Herodot, Demostenes, Fidiasz. Oni są odwiecznymi mentorami narodów.

W Grecyi artyści mieli zachęty, ale rozdawane przez Ateńczyków nagrody i zaszczyty, były stopniowane subtelnie i w taki sposób, że współzawodnictwo nie ustawało nigdy. Ogłoszenie w teatrze nazwiska człowieka, którego uczyć chciano, wymienienie go na igrzyskach, korony rozdawane przez senat, wawrzyny przez lud dawane, koronacje świąteczne, wizerunek wystawiany w narodowym pałacu, portret zawieszany w świątyni, strawa dawana przez lat sto artyście, dzieciom jego i potomkom w Prytaneum; posąg na placu publicznym, posąg w Prytaneum, statua w świątyni delfickiej, grobowiec, igrzyska obchodzone peryodycznie przy grobowcu: cała ta długa drabina nagród istniała, ale nie było w Atenach szkoły sztuki otwartej dla każdego. Powyższe zaszczyty i nagrody dawane były dopiero po ukończonem dziele zasłużonemu. Nigdy nie przyszło do głowy Ateńczykom ułatwić każdemu trudny zawód sztukmistrza przeznaczony wybranym; nigdy nie wyciągali oni zbyt dobroczynnej ręki ku tym, którzy na złość Minerwie, dłutem lub pędzlem bawić się chcieli.

W Grecyi artyści rośli pod technieniem Bożem, nie w konserwatorskiej szklarni.

W Rzymie sami tylko Grecy byli artystami, szli oni tam jak pedagodzy pełnić swoje rzemiosło. Ateńczyk Metrodor zaproszony do Rzymu, malował owe obrazy niesione

podczas tryumfu Pawła Emiliana, które Tytus Liwiusz zowie: *simulacra pugnarum picta*.

Rzymianin gardził sztuką jak szlachcic rzemiosłem. Potrzeba było wyraźnego pozwolenia Augusta, żeby Quintus Pedius, syn konsularnego męża, mógł uczyć się malarstwa dla zabawy; jeszcze dozwolili mu to dlatego jedynie, że był niemy.

Malarstwo sprowadzone do roli ozdoby wewnętrznej domu, takie jakie widzimy na freskach w Pompei, u Rzymian postradało szlachetność: sztuka tam umarła jednocześnie z wolnością. Rzeźba zrodzona w Grecyi, gdzie miała szczytne zadanie uwieczniania pamięci zwycięzców, w Rzymie musiała uwieczniać po ukazie, wizerunki ubóstwionych przez motłoch Cezarów.

Antoniusze, Adryany i Marki Aureliusze daremnie usiłowali podźwignąć sztukę z upadku, który wkrótce stał się zupełną ruiną, tak dalece, że w europejskich muzeach nie znajduje się ani jedna późniejsza rzeźba nad gruby posąg przedstawiający imperatora Maxyma zabitego w 23 roku przez pretoryańskie gwardye.

A jednak, nigdy więcej nie było *zachęty*.

Przebiegłszy czasy upadku Rzymian, kiedy sztuka cała skupiła się w mozaikach i złotnictwie, przebywszy pospiesznie długie ciemności średniowieczne, Viardot jednym skokiem staje w Atenach nowożytnych, Florency, i tak mówi: „Obydwa te miasta były rzeczpospolitą, oba popularne, burzliwe, tryskające życiem i czynem: pierwsze miało Homera i Pizystrata, drugie Danta i Cosma; pierwsze Peryklesa, drugie Medyceusza; pierwsze Thucydydesa i Arystotelesą, drugie Guicciardiniego i Machiawela; pierwsze Polygnota, Jetinus'a, Fidyasza, Apellesa, drugie Giotta, Brunelleschiego, Leonarda i Michała Anioła.”

Kiedy w roku 1294 Florencyą zadekretowała budowanie katedry, kazała swemu podeście „nakreślić plan wspaniały, większy i piękniejszy nad wszystkie, jakie dotąd przemysł i rozum ludzki wymyślił, a to dlatego, że ręka ogółu, wtedy tylko powinna budować, kiedy ma projekt odpowiadający wielkości złożonej z dusz wszystkich w jednej woli połączonych obywateli.”

Kto tak pięknie przemawiał w tak odległej epoce? Czy to król jaki? czy książę? Nie: to po prostu gmina. Florencya w ówczas była urządzona demokratycznie; pierwszy Medyceusz dopiero w półtora wieku później się zjawił.

Ani Arnolfo di Capo, który rozpoczął budowę tej katedry tak szlachetnie uchwalonej; ani Brunelleschi, który wystrzelił w niebiosa drugą świątynią sławną, przepyszny *Duomo*, naśladowany później przez Michała Anioła w Rzymie; ani Mikołaj z Pizy, który odnalazł w płaskorzeźbach greckiego sarkofagu styl starożytnego dłutnictwa; ani Giotto, ów pastuszek z wioski Vespignano, którego Cimabue spotkał rysującego kozy na piasku, a który wnet wszystkich mistrzów mistrzem został: żaden z tych przodowników sztuki odrodzenia, powiada Viardot, nie miał protekcyi żadnej władzy, żadnym zachętom poprzednim twórczości swęj nie zawdzięczał.

Działo się to, wedle wyrażenia Vasarego: *per dono di Dio*.

Fra Angelico zamknięty w klasztorze, Masaccio, syn szewca; Donatello sierota przygarniony przez litość sąsiada; Andrea Verrocchio, który ze sztycharza został malarzem, oraz dwóch jego uczni sławnych: Perugin tak ubogi, że kiedy przybył z Ombryi, sypiał w kuferku i Leonardo, naturalny syn notaryusza z Vinci; Andrea del Sarto, syn krawca: wszyscy ci wielcy artyści nie znali ani pomocy, ani zachęty, zanim nie zdobyli talentem sławy.

Wawrzyniec Medyceusz pierwszy założył w swoim własnym pałacu bezpłatną szkołę sztuk pięknych. Michał Anioł Buonaroti wstąpił tam, jeden z pierwszych, ale sławny ów wychowaniec kamieniarza, artysta mimo rodziców, dał już próbkę sił swoich, kiedy w piętnastym roku życia wyźłobił dla zabawki, *Satyra*, którego wraz z jego *Apolinem*, *Bachusem* i *Brutusem* zachowano w galeryi florenckiej.

Szkoła Wawrzyńca Wspaniałego upadła natychmiast, skoro wstąpił na tron syn jego Piotr III, zmienny i skąpy tyran, co to dla zabawy kazał Buonarotemu robić sobie posągi ze śniegu.

Później, kiedy Medyceusze znów opanowali Florencyą, przywrócili też akademią założoną przez Wawrzyń-



ca, ale jak w Rzymie za Antoniusza, tak wtedy już sztuki wskrzesić nie można było. Skoro Leonard, Rafael i Michał Anioł, opuścili Florencyą, udając się do Rzymu i Medyolanu; skoro od zarazy umarł Andrea del Sarto: sztuka florencka usnęła na wieki. W sto lat później, po śmierci tych wielkich ludzi, mimo akademii i zachęt, zostali tylko Carlo Dolci i jego córka Agnieszka, którzy wielką sztukę dobijali drobiazgowością miękką, tworząc już nie religijne ale bigoterskie obrazy.

Z Florencyi Viardot przeniosłszy się do Rzymu, dowodzi, że to miasto nie było nigdy stolicą szkoły. To co bardzo nie właściwie nazwano szkołą rzymską, jest szkołą wyłączną Rafaela z Urbinu. Przyniósł ją z sobą, kiedy go Juliusz II zawezwał z Florencyi; zgasła z nim razem przedwcześnie, nie zostawiając po sobie ani jednego ucznia, skoro Juliusz Rzymianin wygnany ze swego rodzinnego miasta, przeniósł się na dwór księcia Mantuy, gdzie jako inżynier oczyścił miejskie powietrze, a jako malarz zdobył pałace.

Tenże sam Juliusz II wezwał także Michała Anioła, od którego papieże żądali naprzemiany malatur, rzeźby i architektury. Leon X hodował na swym dworze tych zagranicznych artystów, dodawszy im z miejscowych tylko Sebastiana del Piombo. Po śmierci Leona X, który był Florenczyk i Medyceusz, iskra zgasła. Mało brakło, żeby Juliusz Rzymianin, Fattore, Perino del Vaga, Jan z Udinu i Piombo, nie pomarli z głodu pod następcami jego.

Oto w jak nędzną dolę wtrąciło artystów włoskich przyzwyczajenie do obstalunków i hojności dworu papieżkiego.

W kilka lat później, skoro Piotr III zapragnął mieć swój portret wykonany pędzlem sławnego artysty, musiał aż siedmudziesiątletniego Tyciana uprosić, żeby opuścił na chwilę ukochaną Wenecyą i przyjechał go odmalować. W Rzymie nie było już ani jednego dobrego malarza.

Inni papieże, Paweł IV naprzykład, musieli wzywać Bolończyków, Carragia, Guida, Dominikina i Guerchin'a. Innocenty X skorzystał z przejazdu Hiszpana Velesques'a przez Rzym, żeby się kazać odmalować.

Koniec końców, po *ostatnich Rzymianach*, Piotrze Cor-tone i Karolu Marate, w mieście wiecznym widziano już

tylko samych cudzoziemskich artystów: oni tylko jeszcze z pewną świetnością uprawiali niwę sztuki. Najprzód przyszli Francuzi: Poussin, Claude, Mignard; następnie Niemcy, Mengs i Angelica Kauffman; jeszcze później, za naszych już czasów, Owerbeck i Kornelius.

W Wenecyi od epoki w której Wenedy zawezwali mozaistów byzantyńskich (wiek XI), ażeby im ustroili przepyszną Marka świątynię, sztuki nieporównanym blaskiem zajaśniały. Rzeczpospolita wenecka nie tylko potrafiła zatrzymać u siebie wszystkich własnych kunstmistrzów, ale jeszcze przywabiła mnóstwo genialnych cudzoziemców.

Wszyscy prawie mistrze weneccy, nie w Wenecyi się porodzili: Tycian w Cadore; Giorgione w Trevizie; dwaj Veronezy w Veronie; Palma stary w Pergamie; Peridenona w Frioul; Schiavone w Dalmacyi. Niemniej przeto weneckimi się zowią, tak geniusz ich upodobał sobie to miasto rozkoszy. Wenecya jednak nie miała żadnego dworu, ani papieża ani króla; nie miała nawet owęj arcy bogatej szlachty, która wielkimi obstalunki każe sobie przebaczać względy ślepej fortuny. Nie miała ani florenckich Medyceuszów, ani medyolańskich Sforzów, ani mantueńskich Gonzagów.

W tej wielkiej epoce historyi weneckiej, nie ma żadnego śladu akademii, ani szkoły, ani nic z tego wszystkiego co dziś *zachęta* zowią. Trzeba dójść aż do końca owego wieku, żeby pierwszą o tem znaleźć wzmiankę. Antonio Canova, biedny wieśniak z Possagno, siłą geniuszu i woli, zostawszy pierwszym rzeźbiarzem w Europie spróbował otworzyć szkoły, i dawać lekcye podobnym sobie z ubóstwa i zdolności.

Wątpić się godzi o zachowaniu tych szkół w ujarzmionej Wenecyi; cóżkolwiekby, to jest faktem, że nie wyszedł z nich ani drugi Canova, ani drugi Tycian.

Rozciągnąwszy poszukiwania nasze po całych Włoszech, powiada dalej Viardot; przejrząwszy inne miasta, które były stolicami szkół, jak Parma, Medyolan, Bolonia, Neapol; przeczytawszy żywoty Corregiów, Caravagiów, Salvatorów, Riberów: przekonamy się, że zawsze i wszędzie artyści wynosili się sami, mimo przeszkód; co wię-

ksza, że skoro zaczynają się na ich korzyść ułatwienia naukowe i zasiłki pieniężne, artystów nie ma.

W Seville Murillo chcąc następcom swoim utworować drogę, założył akademią rysunku. Municypalność odstąpiła mu na ten cel część tak zwanej bursy (la lonia). Wszystkiego dostarczono darmo w tej szkole, nie tylko nauk, ale materyalnych przedmiotów do uprawy malarstwa potrzebnych: tylko geniuszu nie dostarczano. Założona w 1660 r., akademia ta, umarła we dwadzieścia lat później, nie wydawszy ani jednego znakomitego ucznia, ani jednego nawet godnego wzmianki naśladowcy.

W Madrycie toż samo się stało: chcąc wskrzesić sztukę, pogrzebaną wraz z Klauduszem Coello, Filip V sprowadził do Hiszpanii wraz ze zbiorem posągów królowej Krystyny, kilku malarzy francuzkich i włoskich. Na wezwanie jego, przybyli: Van Loo, Rane Houasse, Trocarini, Buonavita i Vanvitelli.

Syn Filipa V Ferdynand VI założył akademią, która do dziś dnia nazwę jego nosi (Academie de San-Fernando), uposażył ją hojnie, i z Włoch sprowadził profesorów. Karol III umieścił ją w obszerniejszym gmachu, obrzucił darami i przywilejami. Na ten wzór założono akademią w *San-Luis* w Saragossie, akademią *San-Carlos* w Waleneyi. Prózne usiłowania! Bez podpory monarszej trzy te akademie byłyby przepadły w zawiązku, jak sewilska. Wyjąwszy Goya, talent zupełnie osobisty, oderwany, niepodległy, fantastyczny, niepoprawny, nie biorący nic z przeszłości i nie dający nic przyszłości, nie wydały ani jednego godnego wzmianki artysty.

Otóż taż sama Hiszpania miała poprzednio Ribera, Herrera, Pacheco, Valesqueza, Zurbarana, Murilla i mnóstwo innych. Wszyscy byli synami dzieł swoich.

Przechodząc z kolei do szkoły flamandzkiej, Viardot dowodzi, że dwaj bracia Van Eyck z Bruges, bez pomocy dworu burgundzkiego zrobili pierwsze zastosowanie malarstwa olejnego.

Nie na żołdackim również dworze Karola Zuchwalego, Hemling, biedny żołnierz ranny w bitwie pod Nancy, zabrany do szpitala świętego Jana w Bruges, nauczył



się malować i dokonał cudowny *Relikwiarz św. Urszuli, Zamełcie św. Katarzyny i Adoracją Magów*, które dotąd są chlubą i fortuną szpitala, w którym z ran go wyleczono.

Przenosząc się z Bruges do Antwerpii, dzieje malarstwa pozostają też same. Sztuka rodzi się sama, bez opiekunów i protektorów; później sama gaśnie mimo pomocy i protekcyi.

Pierwszy wielki artysta antwerpski był kowalem: zwał się Quentin Metzys: miłość zrobiła zeń malarza. Zanim wymalował *Ukrzyżowanie i włożenie do grobu*, kuł konie i robił kraty do rozpinania wina.

Później po szczęśliwem połączeniu mądrzej sztuki włoskiej z naiwną sztuką flamandzką, ze związku tego wyszła nowa wspaniała szkoła. Naczelnikiem jej kto? Syn doktora, polityka, syn biednej wdowy urodzony na wygnaniu, gdzie umarł ojciec jego; człowiek, którego malarzem zrobiła nieprzełamana moc powołania: Piotr Paweł Rubens.

Po nim przyszli Van Dyck, Jordaens, Teniers, jego uczniowie, a potem już nic, mimo protekcyi i hojności hiszpańskich infantów i arcyksiążąt austriackich.

Niemcy miały trzy szkoły: augsburską założoną przez Holbein'a starego; dreźnieńską założoną przez Łukasza Kronach, i norymberską, której założycielem Albert Dürer. Każda z nich trwała tyle co życie człowieka i umarła wraz ze swym naczelnikiem, mimo pomocy cesarza Maksymiliana i elektorów saskich. Trzeba było potem czekać trzy wieki na Owerbeck'a.

Szkoła holenderska zaczyna się z niepodległością narodową połączonych prowincyj. Kiedy siedm prowincyj zwały się w jedną rzeczpospolitą; kiedy Holandia wymknęła się na zawsze ze szponów Hiszpanii i Austrii: w przeciągu niespełna lat piętnastu zjawili się jeden po drugim: Rembrandt, Keyser, Albert Cuyp, Brawer, Terburg i dwóch Ostadów, Gerard Dow, Metsu, dwóch Wulvermanów, dwóch Miérisów, Hobbema, Dujardin, Steen i t. d. i t. d. Wszyscy wyszli na szczyt sami, bez niczyjej pomocy, pchani tylko wolą własnego geniuszu.

Skoro po zawarciu pokoju utrechckiego Holandia porzuciła swój rząd popularny, a nadała sobie ustawy

monarchiczne, twórczość sztukmistrzów znikła, a cały kunszt piękny ograniczył się na porcelanie Van der Werff'a i kwiatach Van Huysum'a.

Francya, wedle pana Viardot, dostarcza takich samych przykładów, jak Rzym, Florencya, Wenecya, Hiszpania, Niemcy, Flandrya i Holandya. Przyznaje jednak, że Franciszek I był szczerym przyjacielem sztuki. Sprowadzając z Włoch obrazy i rzeźby, przywabiając do Francyi Celliniego, Primate'a, Leonarda, Andrea del Sarto, dał silny pochop szkole narodowej. Ta szkoła franko-włoska wydała Cousin'a, Freminet'a, Pilon'a, Goujon'a i Limousin'a.

Przyznaje również Viardot, że syn Franciszka, Henryk II, mąż Medyceuszówny, ze znajomością rzeczy prowadził dalej dzieło wkrótce przez wojny religijne przerwane. W istocie byłoby niedorzecznością utrzymywać, że monarcha nie może wyrzucić zbawionego wpływu na rozwój sztuki. Viardot temu nie przeczy, dowodzi tylko, że wpływ władzy nie jest potrzebny, że jest rzadko szczęśliwy, bo rzadko dobrze skierowany, że może łatwo obłąkać artystę, a wtedy przysługi sztuce nie odda.

Najznakomitsi artyści francuzcy w malarstwie i rzeźbie za Richelieu'go i Ludwika XIV byli: Poussin, Claud Gelee, Lesueur i Piotr Puget. Wszyscy czterej bez żadnej protekcji zajaśniali.

Bez nauczyciela i bez opieki walcząc z nędzą, dwa razy pojmany na publicznym gościńcu, Poussin wyszedłszy z Andelys, o żebranym chlebie przyszedł do Rzymu, celu swych marzeń. Tam talent jego wykształcił się na studyowaniu arcydzieł. Posłyszawszy o genialnym malarzu Francuzie, król francuzki zapragnął się ustroić jego blaskiem i zawezwał Poussin'a do Paryża. Poussin przybył, ale zaraz na wstępie potrafił się o malarza urzędowego Vouet'a i podintendenta Noyers'a, dwie niewdzięczne figury. „*Cet-Animal*,” powiada Michelet o Noyersie, mając sobie polecenie przyjęcie Poussin'a, którego Richelieu z Rzymu zawezwał i ulokował w Tuilleryach, bezwstydnie wyznaczył mu robotę, wymagał, żeby robił tyle a tyle arcydzieł na miesiąc”.

Usłyszawszy ten warunek Poussin czémprędzej porwał tłumoczek i powrócił do Rzymu, gdzie dzieło swoje ukoronował obrazem *Potopu*, ojczyźnie zaś nawet popiołów swoich nie zostawił.

Klaudyusz Gelée urodzony w Lotaryngii, kiedy jeszcze nie należała do Francyi, żył i umarł w Rzymie; tak dalece nie literat, że w 80 roku życia nie umiał jeszcze podpisywać swego nazwiska, a tak dumny, że nigdy żadnego wsparcia ani od księcia lotaryngskiego ani od króla francuzkiego nie przyjął.

Lesueur'a wygnał ze dworu Lebrun, tak jak Poussin'a nadworny malarz Vouet. Żył tedy w samotności zupełnej, zdala od wersalskiego słońca. W końcu życia zamknął się u trapistów, gdzie wymalował najpiękniejszy swój utwór, *Historią świętego Brunona*.

Piotr Puget, okrętowy cieśla w Marsylii, gdzie się urodził, zostawszy snycerzem *per dono di Dio* (jak mówi Vasari), przybył do Wersalu skosztować dworskiego życia. Ale wnet zbrzydziwszy pozłacane słuźalstwo, oburzony wymaganiami dyrektora sztuk pięknych, który chciał mu dawać do kopiowania swoje własne rysunki, męczony potrzebą niepodległości, powrócił do Marsylii i tam żyjąc samotnie, oddał się zupełnie własnemu natchnieniu.

Pan Viardot przechodząc z kolei wszystkie epoki historii sztuk we Francyi, przytacza jeszcze Greuza, stroniącego od Wersalu jak od zarazy, usiłującego napróżno oddziaływać przeciw bezecnemu smakowi Pompadury, będącego w ścisłej przyjaźni z Diderotem a nie z dyrektorem, malarza encyklopedystów, a nie króla. Dalej przytacza również niepodległego Dawida, malarza republikańskiego, który zostawił dwa arcydzieła: *Przysięgę Horacyuszów* i *Serment du Jeu de Paume*.

Prud'hon, trzynaste dziecko mularza z Burgundy, od mnicha z łaski otrzymał pierwsze lekcye rysunku. Przez całe życie walczył z nędzą; zapoznany przez długie lata, zmuszony był dla utrzymania rodziny oddawać się niegodnej talentu swego pracy. Kilka tylko ukradzionych godzin poświęcał szczytnemu malarstwu; przez resztę czasu malował winiety do książek, wielkie litery dla księgarzy i obrazki dla cukierników.



Przytoczywszy jeszcze trzech najslawniejszych malarzy zmarłych: Géricault, Ary Scheffera i Decampa, którzy nigdy nie byli pensyonowani, nie zasiadali w akademii i sami sobie zawdzięczali swą sławę, Viardot zatrzymuje się na szkole tegoczesnej, którą jeszcze za niedojrzałą do osądzenia uważa. Konkluzya taka, że „akademia, korporacya tytułowana i patentowana, natchnienie własne ucznia, zastępuje tradycyą i scholastyczną manierą profesora; *łatwość* zaś życia, stawia zamiast potrzeby życia, która innym jest ostrym do pracy bodźcem. Ostatecznie, sztuka, roślina nie posłuszna prawom kultury, wymyka się wszelkim rozumowym kombinacyom, wymyślanym dla jęj propagowania i przyswojenia jęj, „bo sztuka, jak mówi Plato, jest ptakiem leśnym, który nienawidzi klatki i żyć może tylko na wolności.”

Jakoż w istocie, cóż widzimy dzisiaj, kiedy protegowanie sztuki w modzie? Mnóstwo dzieł miernych; znakomitych, zapal budzących, zaledwie kilka. Wiele talentu, geniuszu mało; wiele powodzenia, mało chwały. Rzekłbyś, że w umyśle ludzkim w massie wziętym, równie jak na pewnej przestrzeni gruntu, jest tylko pewna ilość soków pożywnych i twórczych: albo dąb jeden zabrawszy wszystkie te soki, strzeli pod niebo, albo zamiast niego, kilkadziesiąt małych drzewek wyrośnie.

„O wy! powiedział Perykles (mowa przytoczona przez pana Viardot) o wy! którzy czekacie aż przedsięwzmacie wielkie prace, przygotowujcie się i strzeżcie bezczynnego w siły własne zaufania! Ci z was, których uznają zdolnymi do budowania, złożenia lub malowania dzieł godnych uwielbienia, będą mieli wielką sławę i wielkie zyski; ale ci, których ręka nie biegła, do których Minerwa się nie uśmiechnęła, ci zaprawdę lepiejby zrobili, żeby uprawiali ziemię albo lepili garnki.”

Trzeba przyznać, że Ateńczycy mieli rozsadek. Oto mowa przeszło tysiąc lat stara, a mogłaby wybornie być powiedzianą dzisiaj, i byłaby może lepsza od tęj, którą minister poprzedził rozdanie nagród artystom po tegorocznej wystawie.

Wyszła w osobném odbiciu *Wyprawa Sycylijska* przez Maxyma Du Camp. Czytelnicy nasi znają już z wyjątków drukowanych w *Revue des Deux Mondes* tę zajmującą relacją francuzkiego powieścio-pisarza, który przy boku Garibaldego poszedł zahartować omdlałe w bezczynności serce.

Du Camp jest poetą i artystą niepospolitym. Wiele podróżował, pojmuje sztukę i naturę, czyn i marzenia; co większa i rzadsza, nie tylko artystą jest, ale i człowiekiem. Złożywszy w pismach swoje wyznanie wiary, uznał, że to nie dość, że trzeba bliźnim dać więcej niż talent: ofiarował więc wolę swoją i życie świętej sprawie oswobodzenia Włoch, zaciągnął się pod sztandar Garibaldego.

Był wszędzie gdzie wódz-bohater prowadził śmiały zastęp; w wolnych od czynu chwilach, napisał ogłoszone teraz wrażenia.

Francya wojująca spełniła zadanie swoje na polach bitew w północnych Włoszech; nauka jej dała tam swoją pomoc, męstwo złożyło egzamin: wodzowie i żołnierze krew swą szczerze dali.

Wyparto Austryą z Lombardyi; ale na południu wolność jeszcze nie była zdobyta, jedność nie dokonana. Nie będziemy tu roztrząsać, ani sądzić zbyt niecierpliwie jednych, ani zbyt niecierpliwie drugich; nadmienimy tylko, że po za logiką faktów historycznych, jest tajemnicza interwencya, logika zapału, mądrość zuchwała, przez którą ręka Boża podejmuje się kreślić boski poemat odrodzenia.... Maxyme du Camp porównuje Garibaldego do Joanny D'arc. Nikt podobno lepiej go nie pojął i nie zdefiniował.

Francya była także reprezentowana w tej cudownej, natchnionej kampanii: wprawdzie tylko przez małą garstkę swych synów, ale inaczej być nie mogło. Pod Magenta i Solferyno rozpruła sobie żyły i najlepszą wylała krew: kilku zaledwie ludzi zapału zostało do walki ostatniej: pomiędzy nimi du Camp reprezentował francuzkich artystów.

W opisie rzewnym, bardzo mało mówi o sobie. *Ja*, prawie zupełnie tam nie obecne; jednak osobistość artystyczną znać na morzu i lądzie. Garibaldego maluje jako

poeta; Cavura, jak dyplomata; stanowisko Francyi w tój sprawie, ocenia sumiennie. Nigdzie uniesień, nigdzie kwasu, wielki spokój i bezstronność. Na dowód tój bezstronności przytaczamy ustęp, w którym autor mówi o pp. De Flotte i Pimodanie:

„Każdy z nich dobrze przedstawiał cnoty, naszój, pełnej sprzeczności Francyi, które zwano to duchem ruty-ny, to duchem awantur, a które nazwać słuszniej duchem szukającym lepszego. Co do mnie, nie żałuję tych dwóch ludzi tak różnych od siebie po wierzchu a tak podobnych w gruncie, przez abnegacyą, odwagę i poświęcenie. Obaj padli za sprawę, którą wolno obrali. Mniemam, że skoro jakiebądź poświęcenie bezinteresowne pełni się gdzie, dobrze jest żeby Francya była tam przez dzieci swoje reprezentowana.”

—Wyszedł tom XIX Thiersa *Historji konsulatu i cesarstwa*. Zawiera nader ciekawy opis pobytu cesarza na wyspie Elbie i jego wylądowania. W przyszłej kronice pomówimy obszernie o tym tomie będącym perłą pomnikowej pracy Thiersa.



# STUDYA W POLSCE

NAD LITERATURĄ GRECKĄ W CZTERECH PRZESZŁYCH WIEKACH  
I PRZEKŁADY TRAGIKÓW NA JĘZYK POLSKI (\*).

PRZEZ

*Zygmunta Węclewskiego.*

---

....**Z**a szczęśliwych, wśród ciągłego prawie pokoju rządów Zygmunta I i Zygmunta Augusta, Polacy, hojnie wrodzonymi zdolnościami udarowani, tak wysoko w poliorze, cywilizacji i naukach stanęli, iż, o wiele inne narody Europy wyprzedziwszy, Włochów samych, nauk i sztuk zwolenników, u steru cywilizacji ówczesnej stojących, doścignęli i z nimi się zrównali. Nauki bowiem i sztuki, dotąd na północy Europy nieznanne, wtedy dopiero, że tak powiem, za śnieżyste Alpy się przedarłszy, nową sobie w Polsce siedzibę obrały, gorliwie od ludzi wszelkiego stanu uprawiane i wśród pokoju szerzone (1). Jan Tarnowski, Piotr Kmita, Jan Firlej, Krzysztof z Szydłowca,

(\*) P. Zygmunt Węclewski, nauczyciel gimnazjum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, w programacie szkolnym za rok 1857 dał przekład Choeforów Aeschyla i poprzedził go niniejszą w języku łacińskim rozprawą. Aby przedmiot, tyle ważny, nie pozostał obcym dla naszej publiczności, dajemy go w przekładzie polskim. (*Przyp. red.*)

(1) Współczesny pisarz rozwodząc się o tem, pomiędzy innemi to powiada: „ponieważ hańbą i poniżeniem jest ciemnota zwłaszcza też teraz, kiedy niższego nawet stanu ludzie i kobiety, toczą rozprawy w przedmiotach religijnych i często przekonywają tych, od którychby się uczyć i przekonanie czerpać powinni...” (Wiszniewski T. VI, 2, miejsce to z Krzyckiego *de ratione missae* 1529 wypisał).

województwie i znakomici hetmani, w nauce i wykształceniu nie ustępowali głośnym z uczoneści biskupom: Tomickiemu, Padniewskiemu, Łaskiemu, Krzyckiemu.

Od czasu przyjęcia Chrystyanizmu, duchowieństwo nasze z powołania oddane nauce języka łacińskiego, w szkołach także, któremi kierowało albotóż i nauczało, tę wyłącznie naukę pomiędzy młodzieżą krzewiło; a kiedy, za sprawą szczególnież papięży, odrodzenie nauk w wieku XV nastąpiło, prawie wszyscy, o sławę z nauk, o godności i znaczenie dbający, po łacinie mówili i dzieła swe w języku tym układali, mało dbając o mowę ojczystą, w cieniu chat wiejskich ukrytą. Kiedy więc ani potrzeba, ani chęć żadna do innych nauk nie wiodła, nie myślano o nieznanym sobie językach: hebrajskim i greckim i w szkołach ich nie uczono (1). Nie znalazł u nas przyjęcia i słuchaczy mąż, którego święty synod bazylejski w roku 1439, do nauki języka greckiego wyprawił (2) i próżno wracać musiał: w tém jasny dowód, jak mało w owym czasie naukę języka tego u nas ceniono (3).

Z początkiem dopiero wieku XVI, kiedy wszczęli i szerzyli niezgodę w nauce kościoła ci szczególnież, co greczyznę do wyjaśnień punktów spornych za konieczną uważali, i Polacy, przy zachęcie i hojnej dla uczonych pomocy Tomickiego, z całą usilnością i zapałem nauce języka tego się oddali. Po wielu latach przycichły wpraw-

(1) Wiszniewski Hist. lit. pols. T. VI. Jocher Obraz bibliogr. T. I.

(2) Wiszniewski T. III, 3. Mężem tym był Demetryusz Konstantynopolitańczyk, o którym w liście od synodu do uniwersytetu krakowskiego przesłanym powiedziano: „Posiada on przytém wielką biegłość w obydwóch językach, łacińskim i greckim; przez co może wielu wykształcić, jeżeli umieszczony będzie przy którym uniwersytecie, literaturę grecką poznać chcącym. Dlategoż zdawało się nam, że w Królestwie Polskiem, dosyć blizkiem krajów greckich, z korzyścią umieszczonym być może, zwłaszcza téż w uniwersytecie krakowskim; będzie to ze sławą i pożytkiem i dla króla posiadać takiego męża, z którego usług w wielu sprawach korzystać może.” (Wiszn. T. VI. 175).

(3) Aby się to komu dziwnem nie wydawało, niech to dla niego za smutną wprowadzić pociechę posłuży, że nietylko w tym czasie, ale nawet i w wieku przeszłym we Francyi i Niemczech, na język grecki i hebrajski wielu gwałtownie powstawało. (Wiszn. T. VI, 176 i przytaczani tam pisarze Gaillard T. VII, 293. Fleury Hist. Kośc. str. 133. N. XCI),

dzie rozbudzone spory, co zapal do greczyzny i u nas wywołały, ale to wielkie za sobą następstwo pociągnęły, że życie, śmiałość i wdzięk nieudany, cechujące utwory starożytnych Greków, tak dalece ujęły i zapal ten posunęły, iż uczeni nasi po wszystkich stronach kraju nietylko wiele na łacinę tłumaczyli, dokładnie wyjaśniali i wielu autorów wydawali, ale nadto i na język grecki z łaciny tłumaczyli; przy wielu okolicznościach w akademii krakowskiej i w innych miejscach, po grecku publicznie przemawiali; nie brak też i takich, co wiersze nawet po grecku pisać próbowali (1).

Z tego co zrobiono widać, że przedewszystkiem zajmowano się dziełami do wieku i panujących wyobrażeń stosownymi, ze szczególnym względem na potrzeby kraju (2). Tak więc, oprócz ksiąg świętych i moralnych, których bardzo wiele w tłumaczeniu na język łaciński wydano (3), wiele traktatów Hippokratesa z Koos Vedicus, lekarz krakowski, Galena prawie wszystkie pisma, Struś i Józef Tektander, o ile wiadomo, wytłumaczyli. Aby przytęm obywatele, do narad w najważniejszych sprawach kraju powołani, znali wzory wymowy, umysłami kierującęj, Mela, Hegendorfin, Marycki, Masłowski, prawie wszystkie inowy Demosthenesa, i Sokratesa Arceopagitik, Demetriusza Phaleryjskiego księęę o wymowie i wiele innych w podobnym rodzaju z przekładem na ję-

(1) Zdaje się, że do roku 1524 książki greckie wydawane były w Wiedniu nakładem drukarzy krakowskich, jakoto: Euripidesa, Hekuba i Ipbigenia, tłumaczenia Erazma Roterdańskiego (Wiszn. T. VI, 177). Wiersze greckie pomiędzy wielu innymi pisali Zacharyasz Starnigelius, Mikołaj Żórawski, Symonides, Gizelius, Birkowski. Mowę Cycerona za Archiaszem poetę i księęę tegoż o przyjaźni, o powinnościach na język grecki przelożył Żórawski; dyalektykę z dzieł Aristoteles zebrał i w języku greckim ułożył Jan Ursyn Lwowiezyk: po grecku mowy wielu miewalo, wymienia ich Wiszniewski. (T. VI, 186) i Jocher.

(2) Do pism moralnych, oprócz niektórych poetów zaliczam Heliodora Opowiadania Ethiopskie na język łaciński przez Stanisława Warszawickiego Polaka, przelożone. Bazylea 1552 r. Przekładu tego miał dokonać do użytku Zygmunta Augusta króla polskiego. Zdanie Melanchtona o tym przekładzie przytacza Wiszniewski. (T. VI 206).

(3) Niezliczoną ilość i uczonych i tytułów księęęek trzeba by tu wyliczać. Wszystko to troskliwie zebrał: Wiszniewski. T. VI, 182—210 i Jocher T. I.



zyk łaciński wydali (1). Z poetów wyszedł najprzód w Krakowie r. 1529 wiersh Moscha *ἔως διαπέτης*, a za nim Hesiod Tomasza Poznańczyka, Bion Piotra Illicina, Homer cały, jak świadczy Orzechowski, Jakóba Przyłuskiego, Arata Phaenomena Jana Kochanowskiego (2). Mógłbym tu jeszcze bardzo wielu takich wymienić, którzy Plutarcha, Dionysiusza Halikarnaskiego, Phocylda i innych pisma drobniejsze przełożyli (3); wszyscy bowiem co najuczęśli mężowie owego czasu, a w liczbie ich Kopernik, Hozyusz, Kromer (4), całą młodość, o ile się zdaje, w miłym dla siebie zajęciu z autorami greckimi spędzili; później zaś, to sprawami kraju, to publicznymi i prywatnymi obowiązkami zajęci, zaniedbać ich musieli. Powoli przecież znakomite historyków i poetów dzieła w niesłuszne poszły zapomnienie, i to zapewne najwięcej przyczyniło się do zupełnego u nas upadku nauk w wieku XVII i przytępienia umysłów (5).

Już pod koniec wieku XVI, z osłabieniem zapału do literatury greckiej, akademія krakowska do nowych prac się nie garnąc, wywczasu niby zażywała, zdawszy całą pracę na młodszą w kraju akademię zamojską. Tu Birkowski przełożył Dionysiusza Halikarnaskiego, a Brzo-

(1) Mowy Demosthenesa po kilka razy wydawano (Filippiki, Olyntyjskie, w obronie wolności Rodyjczyków) r. 1531 (Mela), 1532 (Hegendorf), 1538 (tenże), 1546 (Marycki), 1547 (tenże). Isokratesa Areopagityk, w którym zdrowe i mądre rady zarządu krajem podaje, poświęcony Zygmuntowi Augustowi przez Hegendorfa r. 1538. Demetriusza Falerejskiego księga o wymowie i Dionyzjusza Halikarnaskiego, niektóre pisma wytłumaczone przez Stanisława Hłowskiego Bazylea 1557, Paryż 1556 i 1554. Masłowskiego przekład téjże księgi Demetriusza wyszedł w Padwie 1557.

(2) Wiszniewski T. VI, 213 i nast. Wymienić tu należy i uczonych, którzy z greckiego na język ojczysty tłumaczyli: Mymerus niektóre pisma Plutarcha, Jakubowski Herona i Leandra Muzensza, nareszcie Jan Kochanowski i Marcin Bielski, o których zob. niżej.

(3) Jocher T. I, 25 i nast. Wiszniewski T. VI, 190 i nast.

(4) Wszystkich wymienia Wiszniewski T. VI 187 w przypisach.

(5) Inni, którzy przedmiot ten traktowali i przyczyny badali, sądzą, że nauki inny kierunek przybrały, albo też, że po tylu już u innych narodów przekładach i wyjaśnieniach (w znanym powszechnie języku łacińskim) nowe przekłady za zbytuczne uważano.

ski wydał wyjaśnienia Aristotelesa i Euklidesa (1). Do dzieł tych, małej zresztą wartości, aby całość pracy nad greczyzną w tym czasie objąć, dodać należy Zygmunta Lauxmina: *Epitome institutionum linguae graecae* (2), i przełożone na język ojczysty zdania Theognida, Lucyana Timon, Plutarcha Theseusz i Aristotelesa Ethikę, Ekonomikę i Politikę. Nie brak też skromnych i od wszelkich nieprzyzwoitości oczyszczonych wydań (*castigatae et ab omni obscenitate expurgatae editiones*) autorów greckich, które tak dobrze charakteryzują kierunek i wyobrażenia owego wieku (3). Z tém wszystkiem złoty to był i bardzo pomyślny wiek dla nauk w porównaniu z tym, co po nim nastąpił. Od roku bowiem 1685 do 1744, kiedy srogie wojny i ciągła domowa niezgoda znękaną kraj trapiła, znikły prawie ślady nauk i cywilizacyi, a z niemi pamięć o języku greckim w zupełne poszła zapomnienie.

Gdy wreszcie po smutnym upływie lat sześćdziesięciu, przyszło do współzawodnictwa Pijarów z Jezuitami i widać już było jakiś postęp nauk, odżyła nieco pamięć i chęć do języków starożytnych; wyszło kilka, ale tak małej wartości dziełek, że te bez żadnego na literaturę narodową wpływu pozostały; umysły bowiem, olśnione i nęczone pozorem cywilizacyi francuzkiéj, niezdolne już były w samém źródle dzieł Greków badać (4).

(1) Dionyzjusza Halikarnaskiego o szyku wyrazów po grecku i po łacinie przejrzał i po raz pierwszy przełożył S. Birkowski professor akademii zamojskiéj. O Brzoskim zob. Jochera T. I, 26, 192.

(2) Lauxmin ze Żinudzi rodem wydał w Wilnie r. 1655 *Epitome institutionum linguae graecae*. Aż do tego czasu używano u nas grammatyk greckich przez cudzoziemców wydawanych. Pomiędzy niemi wymieniamy: 1) *Elementale introductorium in nominum et verborum declinationes graecae etc.* (Kraków 1528 z drukarni Math. Szarfenberg) niewiadomego autora. 2) J. Ceporina, rodem Szwajcara, *Compendium gramm. gr.* 1526 w Krakowie. 3) Mikołaja Klenarda Bawarczyka, *Institutiones absolutissimae in graecam linguam cum annotationibus in nominum verborumque difficultates* w Wilnie 1600. 4) Jakóba Gretzera S. J. *Institutionum linguae graecae libri tres*. Wilno 1604.

(3) Jocher T. I, XII. Horacyusza, Owidyusza i Marcyalisa najwięcej od wszelkich nieprzyzwoitości oczyszczano. Tamże, str. 33, 35, 38.

(4) Epikteta Enchiridion po grecku i po łacinie, wydał Christ. Heyne (tak więc nawet nie Polak) w Warszawie 1776. Izokratesa mowy pouczające do użytku kandydatów i alumnów szkoły głównej. Kraków 1785. *Wiszn. Hist. lit. pols.*



Za naszych dopiero czasów Groddeck, Gdańszczanin, usilnemi staraniami w uczniach i ich następcach wzniecił nowy zapal do języków starożytnych, dawną dzielność i chęć do nich budząc (1). Kiedy przecież nie jest naszym zamiarem nowszych czasów starania około literatury greckiej u nas opowiadać, do drugiej części rozprawy naszej przystąpimy, w której poznać mamy przekłady tragicików greckich na język ojczysty i ocenić, o ile każdy z tłumaczy zbliża się lub odstępuje od obranego sobie pierwowzoru.

Ze wszystkich języków nowożytnych nasz jeden podobno najmniej doznał zmiany. Tak małą liczbę wyrazów przestarzałych i wyszłych z użycia, nowemi zastąpiono, że przekłady poetów greckich w XVI wieku dokonane, nie tak jak inni, nietylko zupełnie rozumiemy, ale wielce nam się dotąd podobają. I nie dziw, bo dawny nasz sposób pisania tak cudnie przystawał do prostoty i wdzięku greczyzny, iż owe przekłady naturę i ducha wzorów swych odbiły. Wiodło to niekiedy, przyznajmy, i do błędu z przesadą, bo wielu dosłownie przekłady robiło, by wskazać, jak giętkim i jedynym jest nasz język do odtwarzania dzieł greckich. Nie jeden téż, dosłownie tłumacząc, grube błędy popełniał, jeśli nie czuł ducha i życia starożytnych, i przez to całą moc obranego wzoru osłabiał. Wolnym jest od tego zarzutu Kochanowski, który oprócz 3 rapsodyi Iliady, Phaenomenów Arata i wielu epigramatów (2), początek Euripidowej Alcesty przełożył. Daleki on wprawdzie od mocy greckiego poety, pociąga jednak ku sobie słodyczą i doborem wyrażień, co tak wszystkie dzieła jego cechuje. Nie całe sto wierszy Alcesty i to, co z Homera tłumaczył, poetę, tłumacza wskazują; nie straciłby na mocy i godności Euripides, gdyby tak jak zaczął, całą Alceste przełożył (3). Mówiąc

(1) Jocher T. I, XIX i nast.

(2) Jocher T. I, IX, któremu uczony professor lit. greckiej i rzymskiej Borowski wiele miejsc ukazał, z kąd Kochanowski brał treść do swoich epigramatów i niedawno wydana książka Józ. Przyborowskiego: *Wiadomość o życiu i pismach J. Kochanowskiego*, str. 165 i nast.

(3) Wiersz w dialogu jedenastozgłoskowy niemiarowy (Jocher T. I, XVII). W chórach, których dziewięć tylko mamy, wiersze miarowe. Od



o tragikach, nie możemy pominąć bez wzmianki Walentego Jakubowskiego, który, współczesny prawie z Kochanowskim i biegły w języku greckim, Antigonę Sofoklesa na epopeję w przekładzie przerobił (1).

Wiek ciemnoty i zepsucia po czasach Kochanowskiego bez śladu przekładów upłynął, znajomość bowiem języków starożytnych do tego stopnia upadła, iż nietylko z greckimi, ale z łacińskimi nawet autorami z tłumaczeń francuzkich się zapoznawano. W ostatnich dopiero czasach, kiedy chęć i znajomość języków starożytnych odżyła, nie brakło na ludziach, którzy pilnie się wzięli do tragików greckich, szczególnież też do Sofoklesa (2).

Najpierwszym z nich był Tadeusz Eliaszewicz, który w Wilnie wydał Edipa Kolonejskiego i Orestesa Euripidowego. Nie mając przekładów tych w rękę, a nawet nie znając ich wcale, na samą tu o nim wzmiance porzastać musimy (3).

Szczegółowy więc rozbiór innych tłumaczy rozpoczynając, powiemy tu najprzód o przekładzie Antigony Sofoklesa, przez Wincentego Smacznińskiego dokona-

wiersza 38 do 65 (w naszych edycjach) Apollo i Mars naprzemian wierszami przemawiają, a u Kochanowskiego wiersz 57—59 samemu Marsowi, a śpiew chóru: *ἀλλ' οὐδὲ φίλων τις πελας οὐδεὶς* Apollinowi dany. Lubo to nie ma związku z naszym przedmiotem, dodać tu jednak musimy, że Marcina Bielskiego „Sejm niewieści” nie ma nic wspólnego z Aristofanesowemi *Ἐκκλησιασσοῦσαι* oprócz podobieństwa treści, co zapewne stąd poszło, że utwór ten Aristofanesa, znany był Bielskiemu, podobnie jak i „Odprawa posłów” Kochanowskiego treścią przyponina starożytnego poetę, którego tak dobrze znał nasz Kochanowski. (Mecherzyński. Biblioteka Warszawska r. 1849. T. III).

(1) Wiszniewski. T. VII, 311 i Juszyński w swoim Dykcyonarzy poetów polskich pierwszy wiersz tego poematu: „Powiem cudowne dzieje stubramnego miasta” i ostatni: „Niech sam Kreon zapłacze, jeżeli jest człowiekiem” przytaczają.

(2) Przypominamy tu, że Groddeck w Wilnie 1806 i 1808 r. wydał z objaśnieniami Philokteta i Trachiniae Sofoklesa razem z rozprawami o scenie greckiej i thymele. Wszystkie pisma jego wymienia Jocher. T. I, XIX w przypisach.

(3) Edip w Kolonie, tragedia Sofoklesa. Z greckiego przekładał Tadeusz Eliaszewicz. Wilno 1829, 8vo. Orestes, tragedia Euripidesa w 5 aktach. Z greckiego na polski język wierszem przełożone. Wilno 1829, 8vo. Tenże w piśmie miesięcznym Dziennik Wileński z r. 1829 pisał o czasie, w którym Sofokles Edipa kolonejskiego utworzył.

nym. Podług mego zdania, nie dosyć rzecz samą i ducha starożytnego poety odtworzyć, ale kształt także i formę, zwłaszcza téż tragika, ze wszelką możliwą ścisłością zachować należy. Zaniedbał tego tłumacz Antigony tak w dyalogach jak chórach, poprzestawszy na formie rymowego wiersza, zwykłego poetom naszym. Wykrzywił przez to i wielu przymiotów utwór Sofoklesa pozbawił, bo nieraz, goniąc za rymem, nietylko od myśli poety odstąpił, ale wielu dodatkami powiększać treść musiał, to kraszając poemat zbytniami ozdoby i dźwięcznymi wyrazami, to skracając nieraz wedle potrzeby budowy wiersza polskiego. Nie wygląda to na przekład, ale raczej na wolne jakieś naśladowanie Antigony, skracanej dowolnie lub powiększanej, z ujmą dla pierwowzoru. Czytając czujemy utwór Sofoklesa, ale przekręcony i powiększony notami glossatorów. Razi miejscami zbyt duża krótkość z opuszczenia dwóch lub więcej wyrazów pochodząca, miejscami zawiele, dla jasności może i wyrazistości, text poety zwiększony. Nie tyle to jeszcze czuć się daje w dyalogach, ile w chórach, w których bez względu na zmianę strof a z niemi uczucia, wszystkie jednym rodzajem wiersza oddane. A nie brak, jak widać, zdolności i siły tłumaczowi do pięknego przekładu, byle zechciał pokonać nie wiele trudności w Antigonie i wyrównać wzorowi jędrnością wyrażen; nie jedno w nim miejsce celuje poważną i mocną dykcją (1).

(1) Poezye Wincentego Smacznińskiego, Warszawa 1850. Tom II, oprócz innych poezyj obejmują przekład Antigony. Długo byłoby wliczać wszystkie miejsca, w których tłumacz pobłądził. Abyśmy sąd nasz przed czytelnikami usprawiedliwili niektóre miejsca wskażemy:

1) Pierwsze trzy wiersze czterema w tłumaczeniu oddane, z których pierwszy: „Miła sercu Izmeno”, trzy następne dwóch wierszy oryginału treść obejmują: „czy z nieszczęść doznanych, a w spadku po Edypie na nas przekazanych, jest jaka w życiu naszym okropna niedola, której jeszcze *Jowisza* nie spełniła wola? (zbyt rozwlekle).

2) Wiersz 20, *τί δ' ἔστι; δηλοῖς γάρ τι καλχαίνουσ' ἔπος* w przekładzie:

„Widzę na twojej twarzy rozognione żary  
I ukryte w wyrazach tajemne zamiary”.

(Zupełnie co innego; noty, nie oryginał).

3) Wiersz 25, *τοῖς ἐνερθεῖν ἐπιμον νεκροῖς*, opuszczone.

Alfons Walicki a szczególnie też Kazimiérz Kaszewski złożyli dowody studyów nad tragedjami Sofo-

4) Wiérsz 39—40, *τι δ' ὠ ταλαίφρων, εἰ τὰδ' ἐν τούτοις, ἐγὼ λύουσ' ἂν ἢ φάπτουσα προσφείμην πλέον;* tak wytłumaczone:

„Nieszczęśliwa, gdy władca nakazem zagraża,  
Winowajcą, kto prawa niebacznie znieważa;  
Mogęż je albo złamać lub utrwalić mocą?”

(Zupełnie co innego).

5) Wiérsz 74, *οἷα πανουργήσασ'*, opuszczone.

6) Wiérsz 88, *Φερμὴν ἐπὶ ψυχροῖσι καρδίαν ἔχεις.* „Miłość w twych piersiach ognie rozplomienia skrycie (falszywie).

7) Wiérsz 93—97 siedmioma wiérszami przełożone (wyd. Schneidew):

„I to Izmena moje zamiary niweczy?  
Krzywd bratu wyrządzonych nie chcę być mścicielem?  
Jesteś u mnie i w trętu i pogardy celem.  
Pójdę, oddam się wrzącym uczuciom mej duszy,  
Narażę się na srogość najcięższej katuszy,  
Niemylnie cierpieć będę za śmiałość zuchwałą  
I umrę, ale umrę i w cierpieniach z chwałą”.

(W początku zupełnie co innego).

8) Wiérsz 141—143, *ἑπτα λοχαγοὶ γὰρ ἐφ' ἑπτὰ πύλαις ταχθέντες ἴσοι πρὸς ἴσους, ἔλιπον Ζηνὶ τροπαίῳ παρχάλκεια τέλη* w przykładzie:

„U siedmiu bram tebańskich siedmiu wodzów stoi: *pod ich sterem bitne męże, migają zęste oręża i zbroja dotyka zbroi. Ale w piersiach stygnie męztwo.*

(zimne piększydła).

9) Wiérsz 783, *ἔρως-ὄς ἐν μολακαῖς παρειαῖς νεάνιδος ἐννουχευεις.* „Miłości, na krasnych licach dziewie drzemiących (?) lubisz osiadać *zbiorem wdzięków niewolących”.*

10) Nareszcie posłuchajmy przekładu śpiewu ostatniego chóru:

„Pragniesz osiągnąć pomyślność błogą,  
Mądrości postępuj drogą,  
I szanuj bogi za każdym krokiem  
W upokorzeniu cichém i głębokiém.  
Ale kto nieustannie w zamiarach opornych  
Nie składa bogom czci i hołdów kornych,  
I świętość ma w poniewierce,  
Płocze okazuje serce:  
I gdy tonie w nieszczęść falach,  
Późno wielbi, czém gardzi i kończy dni w żalach”.

Inne błędy i źle wytłumaczone miejsca milczeniem pomijamy, to jedno dodając, że rażą przytém imiona bogów w formie łacińskiej, podług przyjętego u nas oddawna zwyczaju, oddane np, Jowisz, Mars, Minerva i t. p.



klesa i pierwszy z nich Edipa króla, drugi oprócz tego Antigone i Edipa Kolonejskiego przełożył (1). Mając przekład Edipa króla obydwóch, porównamy je, aby wartość ich podług sądu naszego ocenić. Kaszewski, podobnie jak i poprzedni tłumacz, rymowym wierszem przekłada; Walicki w dyalogach ani miar ani rymu nie zachowuje, a chóry obydwóch bez miar, bez harmonijnego związku strof z antistrofami, o równej tylko liczbie sylab (2). Język Kaszewskiego jasny, wspaniały i świetny; Walickiego zaciemny, jałowy i zaniedbany; pierwszy niekiedy dorównywa cudnej mocy dykcyi Sofoklesa, drugi przez suchość i czczość wysłowień, daleki od poety greckiego, choć trudno mu miejscami i powagi odmówić, ścisłego trzymania się tekstu i unikania zbyt licznych ozdób, których dla zaokrąglenia i pełności pierwszy wiele sobie pozwala. Pomimo to wszystko Kaszewski, wspaniale ulubionego sobie Sofoklesa podług sił całych odtwarzający, zwyczajko z porównania tego wychodzi i spodziewać się należy, iż jaśniej i wierniej od innych odtwarzać go będzie, byle tylko rodzajem dykcyi więcej zbliżał się do pierwowzoru i w stosowniejszą formę przekłady swoje wlewał (3).

(1) Przekład K. Kaszewskiego w Bibliotece Warszawskiej. Alfons Walicki „Sofoklesa Edyp król”. Arcydzieła dramatyczne. Tom II. Wilno 1845.

(2) Niekiedy przecież Alf. Walicki w śpiewach chórowych usiłuje w strofach i antistrofach miarę oryginału naśladować.

(3) Otóż jako dowód naszego sądu przytaczamy w przekładzie obydwóch pierwszą strofę i antistrofę pierwszego chóru (w. 151—166 Schneidew).

K. KASZEWSKI.

### *Strofa.*

O słodkie, słodkie słowo Zeussowe,  
Coś z Delf złocistej wyszło chrannicy.  
Jakież wyroki obwieścisz nowe  
Dla téj przestawnéj Teban ziemicy?  
Umysł mój trwożny, strach sercem miota:  
Febie, lekarzu, deloski boże!  
Ja twych wyroków czekam w pokorze,  
I dziś i w dalszym biegu żywota.  
Ocal nas wieczny, wyroczny Febie,  
Synu nadziei, prosimy ciebie.

Antoni Małeckie, tłumacz Elektry Sofoklesa (1), w dyalogach naturalny, lecz w chórach ozdobą przesadza; miejscami świetny i wzniosły i, czego brak wszystkim powyższym przekładom, pełen wszędzie jędrnej dykcji. Bardzo sumienny to i wierny tłumacz, całych sił dołożył, aby nie nie dodać takiego, coby obcém było Sofoklesowi. Tetrametr trochaiczny w dyalogach przez niego użyty, razi nieco, lubo to go niby do użycia miary tój

*Antistrofa.*

Ciebie Ateno, ja wzywam wprzód,  
I Artemidy, twojej siostrzycy,  
Która w opiekę nasz wzięła gród,  
I ma tron świetny w naszej ziemi;  
I ciebie wzywam, pogromco Febie,  
Zstąpcie we troje nam ku potrzebie  
Jakoście ongi zstąpili raz  
W ciężkiej niedoli, gdy naszą ziemię,  
Strasznej potwory dławilo brzemię,  
Tak i dziś zstąpcie ratować nas.

A. WALICKI.

*Strofa.*

Dźwięczna wieści Zeusowa! co nam przynosisz z Pytony  
Do jasnych Teb grodu?  
Umysł trwogą rozliczną w piersi niepewnej zmaczony.  
Zbawco, Delijski, Peanie!  
W pokorze z słów twoich, Panie,  
Czy prędkiego klęsk wywodu,  
Czy po lat długich przelotnym obiegu  
Moich przeznaczeń czekać mam hasła?  
Powiedz nam złota nadziei córo, wieści niezgasta.

*Antistrofa.*

Naprzód cię, córo Zeusowa, o nieśmiertelna Ateno,  
I ziemiowłada siostrzyco,  
Artemis, ciebie przyzywam, która w tój ziemi  
Władasz przesławną stolicą,  
I zdala rażący Febie  
Troisci w ciężkiej potrzebie,  
Aby wybawić nas od mąk trapiących,  
Jeźliście kiedy dawniej raczyli,  
Znijdźcie ku wspomózeniu memu i w obecnej chwili.

Nie mogąc tu więcéj miejsce przytaczać, tych, którzyby więcéj jeszcze o słusności sądu mojego przekonać się chcieli, odsyłam do strof i antistrof następnych, zwłaszcza téż w chórze drugim (w. 464—511); porównawszy przekład z textem oryginalu, z sądem moim zgodzić się muszą.

(1) Elektra tragedia Sofoklesa, przekładania Antoniego Małeckiego 1854.

upoważniało, że końcowe części niektórych tragedyj Eschyla i Sofoklesa miarą tą układane. Nie zwrócił przecież uwagi, że wiersz szesnastozgłoskowy rzadki u poetów naszych, i to nie w dramatach, i że starożytni tragicy tetrametru trochaicznego wtedy tylko używali, kiedy mniejsze jakieś wzruszenie duszy oddać chcieli (1). W chórach, podług pewnych miar ułożonych, naganiają krytycy, że krótkie wiersze przepzeplatał dłuższemi.

Wypada tu jeszcze, abym, o ile to ma związku z rozprawą moją, wspomniał o Lucyanie Siemieńskim, który wśród wielu prac swoich literackich Eschyla także przekładał. Jeszcze w r. 1851 prozą wprowadzie, ale pełną poetyckiej kraszy właściwej sobie, wydał Agamemnona (2). W parę lat potem (1854 r.) zwykłym wierszem polskim wstęp do tegoż Agamemnona przełożył (3). Wszystko, co poeta ten wydał, wyższą cechę na sobie nosi. Toż samo i o rzeczonyj tragedyi powiedzieć musimy, w której ani niewolniczo za wzorem postępuje, ani też nie opuszcza niczego, co siłę stanowi, a czego pierwszy wspomniony od nas tłumacz Antigony tak często się dopuszczał, mając widać ciągle na myśli owo zdanie starego grammatyka: „*Poetas metri necessitas excusat*”.

Nareszcie sędzę, że przy tój sposobności wytłumaczyć mi się wypada, dla czego, wydawszy Agamemnona, nie poszedł za radami i nie we wszystkiem usłuchał życzliwych sobie i uczonych mężów i teraz także (t. j. w Choeforach) tegoż rodzaju wiersza użyłem. Nie będąc poetą i nie mając do tego pretensyi, obawiałem się, abym uganiając się za rymem, nie odstąpił od prawdy i wierności oryginału (4). Żem zaś w dyalogach dla słusznych,

(1) Munk *Metrica*, str. 126. Wiersza tego (tetrameter trochaicus catalecticus), jak lirycy, tak i dramatycey używają, ostatni w tych miejscach dyalogów, w których mocniejaze uczucia oddać wypada.

(2) Biblioteka Warszawska 1851. T. III. Próby przekładu Agamemnona z trylogii Eschylea: Oresteja przez L. Siemieńskiego (w. 1—600). Nie wiem czy więcej przełożył i czy całego Agamemnona ukończył.

(3) Przegląd dziejów literatury powszechnej L. Siemieńskiego. Kraków 1855, str. 261.

(4) Sam L. Siemieński tłumaczy się słowy prawdziwego poety w *Bibliot.* Warsz. 1851. T. III, 225: „mogę powiedzieć, że trudności same



zdaniem mojem, powodów tego zaniedbał, a w chórach wiersza użyłem, to dlatego pracę tę sobie zadał, aby i dla ucha co zrobić przy pewnej z dawniejszych lat moich nabytej łatwości. Lubo wiem o tém dobrze, że powszechnie u nas więcej się gładkie i harmonijne wiersze podobają, niż wiernością się odznaczające, wołałem przecież podług sił moich prawdziwym i wiernym się okazać i pozostać ścisłym wierszopisem, niż fałszywym tłumaczem.

textu, język zawily, przytém konieczność zbliżenia się do pierwowtoru powodowały mnie do przekładu prozą, tém bardziej gdy mi na myśl przyszła uwaga tak głęboko rozsądna Götheego etc.

## WSPOMNIENIE

# Ś. P. ANTONIEGO HANNA.

---

Wezwany przez niektórych z dawnych kolegów, do napisania życiorysu ś. p. Antoniego Hanna, lubo znałem bliższe stosunki późniejszego jego życia, nie tailem jednak trudności, z któremi przy spełnieniu tego zamiaru spotkaćby się przyszło.

W istocie z ludzi, których wydała, była szkoła główna warszawska, nie wielu zapewne pochłubićby się mogło takim ogólném uznaniem wartości osobistej, jak ś. p. Antoni Hann; wśród więc takich okoliczności, przy braku rozlicznych danych, trudne jest zadanie dla życiopisarza, gdy nie mogąc się oprzeć na wielu czynach ciągle dotykalnych, musi w części odwoływać się do pamięci powszechniej, aby udowodnić, że ten szacunek publiczny był słusznie i nie stronniczo zarobiony, i na pociechę, stał się tą razą udziałem jednego z zacnych ludzi.

Antoni Hann urodził się roku 1796 (1) w Warszawie; początkowe nauki pobięrał na pensyi prywatnej, utrzymywanej przez p. Marchanda; dalej uczęszczał do b. liceum warszawskiego, a ukończył wykształcenie na wydziale filozoficznym b. szkoły głównej warszawskiej, w której w r. 1822 uzyskał stopień magistra filozofii, w oddziale nauk przyrodzonych.

Jeszcze jako kandydat do stopnia naukowego uniwersyteckiego, oddawał się praktycznym robotom che-

(1) Gazeta Codzienna z dnia 15 marca 1861 roku, numer 71.

micznym, w pracowni chemicznej powyższego uniwersytetu, którą zawiadywał ówczesnie Adam Kitajewski, profesor chemii; i tym sposobem powtarzając doświadczenia, sprawdzając opisywane, przygotowując przetwory chemiczne, kształcił się do przyszłego zawodu naukowo-technicznego. W tym czasie został adjunktem, preparatorem przy katedrze chemii, co mu dało pole do samodzielniejszej pracy; owocem zaś jej była rozprawa o kwasie jarzębinowym i jego związkach, jako odpowiedź na zadanie do nagrody, przez wydział filozoficzny podane, za którą piszący otrzymał medal złoty.

Fundusze ciężką pracą zarobione, tak ze skromnej posady rządowej, jakoteż z nauczania prywatnego, obrał teraz ś. p. Hann na dalsze swoje kształcenie tak w językach obcych, jakoteż w rysunku, kaligrafii i gimnastyce, w którychto rzeczach był bardzo biegły.

Tak przygotowany, ze szczupłym zapasem pieniężnym, w czasie feryj wakacyjnych, dwa razy odbył podróż do ościennych krajów niemieckich, Czech i Węgier, w celu naukowo technicznym. Pamiętamy jeszcze te chwile, gdy z tłumoczkami na plecach, i laską podróżną, wychodził z Warszawy, aby między obcymi zbierać gruntowne wiadomości; a to niepokazne przedstawienie się, może mu nieraz więcej pomogło do dowiedzenia się prawdy, zwłaszcza między prostymi fabrykantami, niżby to mógł osiągnąć inny okazalej podróżujący. Szczęśliwa w tym rodzaju powierzchowność, oraz sposób postępowania, który umiał dobrze zastosować, znakomicie mu także tę rzecz ułatwiły.

Powyższe znane okoliczności, zwróciły uwagę władzy, która zamierzywszy założyć w Warszawie instytut politechniczny, postanowiła wysłać kosztem skarbu za granicę, dla właściwego ukształcenia się na jego profesorów, magistrów uniwersytetu, szczególnież poświęcić się zamierzających powołaniu nauczycielskiemu, lub z korzyścią na tym polu już pracujących. Do liczby wybranych należał i Hann, który od roku szkolnego 1825, do końca roku 1829, poświęcił swój czas na uczenie się w zakładach przemysłowych wiedeńskich i paryżkich, a większą



część przeciągu feryjnego, na zwiedzanie zakładów przemysłowych i fabryk w całych Niemczech, Francyi, Belgii, Hollandyi, a w końcu i Anglii; w niektórych z nich pracując dla wykształcenia praktycznego jako prosty robotnik.

Obmyśliwszy właściwe środki zaopatrzenia instytutu wyższego technicznego w stosownych nauczycieli, aby nie pozostawiać kraju w długiem oczekiwaniu potrzebnej instytucji, rząd ówczesny Królestwa otworzył szkołę przygotowawczą do instytutu politechnicznego, w której kandydaci na profesorów przyszłego zakładu, w miarę ich wracania z zagranicy, rozpoczynali wykłady tymczasowe. W tęto szkole za powrotem swoim do kraju, w roku 1829, otrzymał Hann jedną z katedr chemii stosowanej, w której tylko przez rok jeden, z powodu wiadomych wypadków krajowych i następnego zwinięcia instytutu politechnicznego, mógł nauczać.

W roku 1830, przez kilka miesięcy zarządzał fabryką saletry, z tynków murów otrzymywanej, w jednej z trzech saletralni publicznych.

Po roku 1830 pozostając czasowo w mieście pruskim Elblągu, tak się dał poznać mieszkańcom swemi wiadomościami technicznymi, oraz bezinteresowną pomocą, nauczaniem i radą, że przy opuszczaniu miasta, ciż mieszkańcy w dowód wdzięczności, ofiarowali mu piękny puchar srebrny.

Wróciwszy znowu do kraju zajmował się pracami prywatnemi, z których się utrzymywał; dopiero w roku 1843 powołany został na posadę intendenta mennicy, oraz na członka honorowego zarządu kolei żelaznej, a po zgonie dyrektora mennicy warszawskiej, mianowano go na powyższy urząd, na którym aż do dnia 14 marca 1861 r., czyli chwili swéj śmierci pozostawał.

Wykształceni ludzie czynu, obierają jedną z dwóch dróg do służenia dobru powszechnemu: albo drogę praktyczną, wskazującą i uczącą przykładem; albo drogę bardziej teoretyczną, polegającą na oświecaniu piśmiennie o tém, co w tenże czyn powinno być wprowadzone. I je-

dna i druga droga jest zaszczytna; a chociaż pierwsza do upowszechnienia wiadomości praktycznych ważniejsza, druga zaś za to jest rozgłośniejsza. Na tej pierwszej drodze główne zasługi położył ś. p. Hann, a oddawszy się zatrudnieniom praktycznym, nie wiele miał czasu do poświęcenia zawodowi pisarskiemu. Nie długo po ukończeniu uniwersytetu, już jako biegły technik i artysta, dał się poznać uczonym zagranicznym. Wyrysowawszy bowiem na szkle obraz Bogarodzicy, utrwalił go na niem kwasem fluorowym. Podziwiano wówczas artystyczne wykonanie rysunku, i subtelność odcieni igielkami różnej grubości wykonanych. Rysunek takowy okazany głośnemu chemikowi francuzkiemu p. Dumas, zyskał od tegoż bardzo pochlebne uznanie; wzmiankę zaś o tém, równie jak i sposób, podług którego Hann pracę swą uskutecznił, umieścił ten uczony w wielkiem swém dziele chemii stosowanej (1).

Pomijając wyliczanie, tak rozlicznych komitetów rządowych, w których to czynnościach Hann uczestniczył, jak również opisywanie zatrudnień jego praktycznych, bo te są bardzo różnorodne, wskazywanie zaś samo, byłoby zawsze nie dostateczne, zważając, że od czasu wykształcenia swego, całe życie Hann im poświęcił: wykażemy pokrótce inne jego prace na dłużej pozostałe, to jest artystyczne i piśmienne, które okazują, że i tym sposobem był użyteczny dobru powszechnemu.

Nie długo po wprowadzeniu do nas sztuki litograficznej, wyrysował na kamieniu (2):

1) Podobiznę tytułu do Statutu litewskiego z herbem, 1816 r. Rył na kamieniu Antoni Hann.

2) Rysunki królów polskich, do pierwszego wydania Pielgrzyma w Dobromilu.

3) Podobizny podpisów Sobieskiego, Leszczyńskiego, Karola XII, Stanisława Poniatowskiego, Kollątaja, Tadeusza Kościuszki. Stanisł. Małachowskiego, Ignacego Krasickiego i t. p. do jednego z czasopisów warszawskich.

(1) *Traité de Chimie appliquée, aux arts; par Dumas, Tome Deuxième.* A. Paris 1830 str. 570.

(2) Podług Gazety Codziennéj z dnia 3 (15) marca 1861 r.



4) Żółkowski Alojzy w sztuczce pod napisem: „Nasze przebiegi;” karykatura 1822 roku.

Z prac piśmiennych pozostałych po ś. p. Hannie, znaczniejsze są następujące:

a) Po odbyciu po kraju podróży technicznej, napisał Hann rozprawę pod tytułem: „Uwagi nad niektórymi gałęziami przemysłu krajowego, przez profesora Antoniego Hanna.” Rozprawa ta nasamprzód umieszczoną była w ogólnym programacie kursów, wykladać się mających w szkole przygotowanej do instytutu politechnicznego, w roku szkolnym 18<sup>30</sup>/<sub>31</sub>, Warszawa.

b) Przez kilkanaście lat pisał corocznie artykuły do kalendarza znanego pod nazwą Gałęzowskiego, a później Janickiego. Artykuły te techniczne odznaczające się doбором opisów i zastosowaniem do kraju, odbijane były bez podpisu Hanna, a oznaczane tylko gwiazdką. Im to w znacznej części kalendarz ten winien był ówczesnie swoją zasłużoną wziętość.

c) W czasie ostatniej wystawy przemysłowej warszawskiej w r. 1857, wezwany Hann jako członek rady przemysłowej, przy kommissyi rządowej spraw wewnętrznych istniejącej, do komitetu ją urządzającego, a następnie do oceniania wystawionych wyrobów; napisał obszernie naukowo-techniczne sprawozdanie o wyrobach garbarskich, białoskórniczych i t. p., które w całości w książce pod tytułem: „Opis wystawy wyrobów rękodzielniczych i płodów rolniczych, odbytej w Warszawie 1857 r. Warszawa 1860.” od str. 164 do 189, umieszczone zostało.

Powyższe prace jakkolwiek nie odznaczające się swą rozciągłością, nacechowane są głęboką nauką i praktycznością; ta bowiem najtrudniejsza strona nauk technicznych, wymagająca gruntownej znajomości rzeczy i stosunków krajowych, znalazła w Hannie gorliwego przedstawiciela. Aby dojść do tego stanowiska, i w późniejszym już czasie, prawie przez cały ciąg swego żywota, bo niemal co parę lat, odbywał on swoim kosztem podróże za granicę, celem przyswojenia wszystkiego, cokolwiek z rzeczy praktycznych u obcych widział pożytecznego



i na upowszechnienie u swoich zasługującego, dla spożytkowania później na użytek krajowy.

Lecz jeżeli życie fizyczne Hanna, przedstawia obraz dobrze wypełniony pracami dla dobra ogólnego; nie mniej ważna strona moralna, którą się on odznaczał, zasługuje także na wzmiankę; nauka bowiem i wiadomości, tém głębiej cieniem osłaniają człowieka, jeżeli niemi wzbogacony, zamiast dążyć do swego moralnego udoskonalenia, udał się w przeciwnym kierunku.

Jakkolwiek ś. p. Hann, jak to widzieliśmy, miał czas mocno zajęty obowiązkami służby publicznej i poradami technicznymi prywatnymi, najchętniej i najczęściej bezinteresownie udzielanemi; pełnił jednak przez długi czas z gorliwością obowiązki członka Towarzystwa Dobroczynności, i zostawił tam między swemi współpracownikami chlubne wspomnienie człowieka, w każdej okoliczności najdzielniej dobrej sprawy biednych broniącego.

W ostatnim roku życia należał do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Był ś. p. Hann z natury wesoły, często dowcipny, ale dobroć serca i uczciwość, tego przymiotu nie dozwalała mu używać na szkodę drugich. Wyrozumiały na słabości ludzkie, największym był nieprzyjacielem idących nieprawem drogami, bo sam należąc do ludzi zacnych, nie mógł znieść niczego, co uważał za niegodne wysokiego przeznaczenia człowieka. Bezzenny, ale otoczony kochającą go bliską rodziną i licznymi przyjaciółmi, używał do ostatniej chwili powszechnego poważania, które, powtarzamy, niezaprzeczenie najsłuszniej mu się należało.

Z natury także ś. p. Hann obdarzony był silnym zdrowiem, i to również było jedną z przyczyn, której winien wysokie swoje praktyczne ukształcenie; pracując jednak ciężko w pracowniach i zakładach technicznych, dla uzdolnienia się do przyszłego zawodu, nadwreżył to zdrowie, którego tym sposobem nie oszczędzał: ztąd później często zapadał, i zakończył życie na ciężką chorobę piersiową. Odprowadzony przez kolegów, niektórych dziś z najpiérwszych dostojników kraju, lub nauki,

oraz licznych znajomych, pochowany został na cmentarzu Powązkowskim.

Niech te kilka niedostatecznych słów, nad prawie świeżą jeszcze mogiłą człowieka znanego powszechnie między nami, posłużą za hołd oddany rzadkim przymiotom serca, uczciwości i nauce, jakimi odznaczał się ś. p. Antoni Hann; niech służą za wskazówkę, że tą tylko drogą dochodzi się do przyznania nie udanego i trwałego szacunku, który stanowi najpiękniejszą nagrodę za cnie i pożytecznie przepędzonego żywota.

*Józef Belza.*

## KRONIKA LITERACKA.

---

*Dziela Ludwika Osińskiego profesora literatury w uniwersytecie warszawskim, członka Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk. Tom I. Warszawa. Nakład. wdowy po autorze. 1861. (W 8ce, str. 431 T. II, str. 457. T. III, str. 386).*

**B**ył czas, który dobrze pamiętamy, kiedy imię Osińskiego głośnej w całym kraju używało sławy, a prelekcye jego literatury porównawczej ściągaly tłumy słuchaczy. Dzień sobotni każdego tygodnia, o godzinie 4 po południu, poruszał wszystkich miłośników piśmiennictwa ojczyznego: każdy biegł do gmachów uniwersytetu, aby usłyszeć głos wymowny ulubionego profesora. Podwórze zapełniały pojazdy i dorożki; salę: Polki, literaci, uczniowie i oficerowie armii polskiej. Ławki zawsze pełne, nie mogły pomieścić zebranych; liczne ich grona mieściły się w przedziałach i zakątach sali.

Wszyscy oczekiwali chwili pojawienia się Osińskiego.

Okryty togą wchodzi professor i zasiada katedrę, szmer przychylny, a pełny poszanowania wita go przy wnijsciu. Osiński w krótkich słowach przypomina treść poprzedniej lekcji i zaczyna nowy wykład. Cichość grobowa zalega salę.

Głos jego melodyjny zachwyca wszystkich; każdy przytoczony ustęp czy z przekładu, czy oryginalny, w ustach Osińskiego nabierał szczególnego wdzięku. Nikt tak czytać i deklamować nie umiał i nie znamy nikogo, coby w tém mógł dorównać temu profesorowi.



Na lat kilka przed r. 1830 wybuchła zacięta walka między tak zwanymi *klassykami* i *romantykami*; upór i zaciętość, jak zwykle, cechowały dwa te stronnictwa. Wieść rozniesiona, że podany na członka Towarzystwa przyjaciół nauk Adam Mickiewicz, nie utrzymał się przy głosowaniu, a pierwszy głos nieprzychylny miał dać Osiński, wzburzała młode pokolenie. Przypisywane mu trawestowanie dwóch wierszy z *Dziadów* wielkiego poety:

„Ciemno wszędzie, głupio wszędzie  
Nic nie było i nie będzie”.

jeszcze większą niechęć rozszerzało. A pomimo to przecież Osiński doznawał zawsze jednakowego szacunku pomiędzy uczniami, w chwilach nawet wzburzenia, głos jego przywracał spokój i porządek w sali.

Najwięksi przyjaciele i zwolennicy Mickiewicza, spieszyli na prelekcye Osińskiego, a chociaż ostrego słowa krytyki nie żalowali, ulegali mimo to, czarującą jego deklamacyi.

Osiński już miał piękny rozgłos na całym obszarze dawnéj Polski, kiedy go powołała ówczesna komissya rządowa oświecenia narodowego do objęcia katedry literatury w uniwersytecie warszawskim.

Rozgłos ten chlubny zasłużył sobie rzetelnie pracami literackimi, już to tłumaczeniem poważnych tragedyj, już oryginalnymi utworami, wreszcie potężną wymową i obronami sądowemi.

Wystąpił on na widownię w chwilach najsmutniejszych dla kraju, bo w czasach tak zwanych *pruskich*, kiedy imię Polski wykreślone zostało z mapy Europy, a stolica potężnej niegdyszeczypospolitój zmieniona na prowincjonalne miasto, z gwarnego życia, umilkła grobową ciszą. Najwspanialsze gmachy opustoszały nagle, inne poszły w ruinę. Ojczyzna mowa zdławiona w obradach publicznych i sądach, tylko z ambony dawała się słyszeć osłupiałemu pod gromem nieszczęść ludowi, i ze sceny narodowej. Tu też niezaprzeczenie przeważne zasługi położył Osiński.

Wybrał on do przekładu tragedye Piotra Kornela *Horacyszów* i *Cyda* tak odpowiednie do ówczasowego położenia społeczności naszéj. Duch staréj, potężnéj, a czystéj jeszcze Romy i duch rycerski Hiszpanów, wstrząsnął silnie sercami widzów.

Kwiat polskiéj młodzieży walczył na obcej ziemi, zraszał ją krwią swoją i użyzniał kośćcami, w nadziei lepszej przyszłości. W cichych domowych ogniskach mówiono o oddalónéj braci, po-

wtarzano sobie w żywym tylko słowie, czyny ich bohaterskie; opłakiwano stratę, przywdziewały rodziny żałobę po poległych. Wyraz *poświęcenie* nie był czczym słowem: pojmowano go głęboko i stwierdzano życiem, czynem.

To też przy wystawieniu Horacyuszów na scenie w akcie III, scenie VI gdy stary Horacyusz pyta o los bitwy i dowiaduje się o ucieczce syna, wszyscy widzowie drżeli od wzruszenia, zapał ich nie miał hamulca. Posłuchajmy tego ustępu.

### Horacyusz.

Rzym więc ma służyć Albie! i żeby nie służył  
Mój syn, do ostatniego tchu siły nie użył?  
Julio, to być nie może, to zmyślenie czyje.  
Nie, Rzym nie jest poddany, lub mój syn nie żyje!  
Zna on lepiej powinność: nie byłby krwią moją.

### Julia.

Widzieli ze mną wszyscy co na murach stoją:  
Przy braciach walczył mężnie, lecz w smutnej kolei,  
Gdy sam jeden pozostał, tak sam, bez nadziei,  
Gdy trzech mężów odeprzeć napróżno się sili,  
Uciezka...

### Horacyusz.

I żołnierze zdrajcy nie dobili?  
Zdradzone wojsko w szykach schronienie mu dało?

### Julia.

Po tej porażce nie wiem, co się dalej stało!

### Kamilla.

Bracia moi!

### Horacyusz.

Nie wszyscy godni tej żalości,  
Dwaj w wiecznej żyją chwale, ojciec im zazdrości:  
Groby ich najpiękniejsze niech ozdobią kwiaty,  
Chwała tak pięknej śmierci nagrodą ich straty.  
Niezłamanego męztwa tę zapłatę mieli,  
Że póki żyli, póty Rzym wolny widzieli:  
Własnego mieli króla, nie znali poddaństwa,  
Nie doczekali jarzma sąsiedzkiego państwa.  
Płaczcie nad trzecim, płaczcie nie zatartej plamy,  
Którą po zdradzie jego wszyscy nosić mamy!  
Płaczcie całego rodu mego pohąbienia,  
Płaczcie, wiecznej sromoty Horacych imienia!

Julia.

Cóż miał przeciw trzem czynić?

Horacy.

Umrzeć... lub w rozpacz

Dać poznać przeciwnikom co rzymska broń znaczy.

Gdyby był jedną chwilą utarczkę przedłużył,

Przynajmniejby Rzym Albie nieco później służył.

Niechajby był zostawił przy czci, mój wiek stary.

Niechby umarł, wszak ojciec godzin tój ofiary!

Obywatel, ojczyźnie krwią powiuność płaci:

Ile jój kto oszczędza, tyle sławy traci;

Każda chwila, od czasu sromotnego czynu,

Głębiej piętnuje hańbę na ojcu i synu.

Razem ze krwią zbrodniarza, wieczny wstyd zagładzę:

Wszakże nad niecnym synem mam ojcowska władzę.

Scena ta z całą potęgą odbijała się w sercu wszystkich. Myśli i uczucia starego Horacyusza były wierném odbiciem ojców i matkę polskich, co sami skrycie uzbrajali synów swoich, wysyłając w obce kraje. Ojcowie uzbrajali w przybory wojenne synów, matki opatrywały w drogę i ze łzami a błogosławieństwem zawieszają szkaplerze na piersiach synów z garstką ojczystej ziemi. Wszyscy czuli dobrze jarzmo niemieckie i słowa starego Horacyusza brzmiały jak dzwon pogrobowy, wyrzutem i zachętą do poświęcenia tym, co żywą pamięć przechowali niepodległości rzeczypopolitej.

Mistrzowska gra Wojciecha Bogusławskiego, w roli starego Horacyusza, przypominającego postacią i rysami twarzy starych, bohaterkich Rzymian, zapał widzów więcej potęgowała. Nic więc dziwnego, że tłumacz, który występował na pierwszej wystawie w roli Kuracyusza wywołany, w tryumfie na rękę był obnoszony wśród okrzyków uwielbienia. Publiczności ówczesnej uniesienie łatwo wytłumaczymy, dodając, że wiersz tak harmonijny, pełen siły i mężkości, język tak piękny, pierwszy raz zabrzmiał na scenie teatru narodowego.

Z nieminiejszym powodzeniem przyjęto tłumaczenie z Piotra Kornela tragedyi *Cyd*. Wyobrażenie honoru i rycerskiego ducha Hiszpanów, obok uczucia miłości, dobrze przystawało do pojęć ówczesnego społeczeństwa naszego. Ideę honoru żołnierskiego podniósł właśnie zwycięzca Europy Napoleon I do poetycznego ideału. Témto przywiązywał prócz samych Francuzów, wojo-



wników innych narodowości do swego sztandaru, który wznosił tak wysoko (1).

(1) Przed Osińskim tłumaczył ten dramat Andrzej Morsztyn, i z prologiem oryginalnym przedstawił w zamku warszawskim w czasie sejmu 1661 r., w obec króla Jana Kazimierza i małżonki jego Maryi Ludwiki. Dla porównania tych przekładów podajemy dwa ustępy, najlepsze z tłumaczenia Morsztyna.

#### Z AKTU IV, SCENY 2.

##### Andrzeja Morsztyna.

My wtenczas niespodzianie powstawszy na nogi,  
Uczyniliśmy na nich zewsząd okrzyk srogi:  
Nasi także z okrętów powziawszy to hasło,  
Toż czynią, a w Maurach wszystko serce zgasło;  
Stłach ich wielki ogarnął i pierwej zwątpili  
O wygranéj, niż do rąk przyszło, niż się bili.

##### Ludwika Osińskiego.

Tu był czas: zewsząd mężnym uderzamy szykiem,  
Ozwało się powietrze zwyciężkim okrzykiem,  
Hasło to powtórzyły brzegi i okręty:  
Zdumiał się Afrykanin, postrachem cofnięty:  
I ten, co nie ze wszystkiém do lądu przyplynał  
Trwożny, jeszcze nie walczył: już mniema, że zginał.

#### Z AKTU V, SCENY 1.

##### Roderyk (L. Osińskiego).

Powstańcie teraz wszystkie potęgi, choć z piekła!  
Złączcie się Kastyllianie, Nawarro, Maurowie!  
I kto się tylko mężem w Hiszpanii zowie,  
Jakiż nadludzki ogień w mojem sereu plonie!  
Walczyć mam dla miłości w Xymeny obronie.  
Ach! tą lubą nadzieją ręka ośmielona,  
Na wszystko się odważy i wszystko pokona!

##### Roderyk (A. Morsztyna).

Nastąpcieź teraz wszystkie potęgi choć z piekła!  
Stańcie tu Nawarczycy, Granado, Maurowie,  
I kto się tylko mężem w Hiszpanii zowie:  
Złączcie się wszyscy, na mnie nastąpcie obozem,  
Tak zagrzany wszystkich was powiodę za wozem!  
Zmówcie się rozerwać mi tak smaczną nadzieję.  
Smieje się z was, i jedną ręką was rozwieje!

Znieważona cześć sędziwego starca, której słaba ręka tak dawniej dzielna, przywrócić nie zdołała; odkłana zemsta synowi, który krwią przeciwnika plamę honoru obmywa; jego świetne zwycięstwo nad Maurami, szlachetność prawdziwie rycerska, przy uczuciu miłości: ten język harmoniny, który pod biegłym piórem Osińskiego tak się naginał do oddania scen to tkliwych i pełnych rzewności, to natchnionych odwagą i zaciętym bojem: wszystko przeważnie wpłynęło na świetne przyjęcie tego dramatu.

Skończyły się po kilku latach *czasu pruskie* z wnijsciem do Warszawy w listopadzie 1806 r. Francuzów. Stara stolica rzeczypospolitęj nowém odetchnęła życiem, stawszy się wkrótce miastem stołeczném utworzonego Księstwa Warszawskiego. We trzy lata niespełna. kraj ten naciśniony najściem przeważnych sił austriackich, rozpoczął walkę w obronie swych granic z garstką wojowników. Warszawa jak prędko i niespodzianie zajęta przez wojska nieprzyjacielskie, równie niespodzianie opuszczoną przez nie została. W godowe szaty przybrana, czekała napowrót zwyciężkiego wojska polskiego. Towarzystwo warszawskie przyjaciół nauk zawiązane w owych czasach panowania pruskiego, kiedy narodowy język trzeba było ochraniać od ostatecznej zagłady z pod nacisku germanizmu, przygotowywało zarówno z całym obywatelstwem świetne przyjęcie wojowników naszych.

Osiński jako członek tego zasłużonego grona, w wigilią uroczystości wezwanym został do napisania stosownego wiersza.

Nie łatwe było zadanie, jakkolwiek przedmiot sam bogaty, zagrzewał serce. Wieczorem wyszedł zebrać myśli i czekać chwili natchnienia. Przechodząc rynek *Starego-Miasta*, zatrzymał uwagę jego gmach starożytnego ratusza. Pod jego murami stanął, a rozpamiętywając jego dzieje przeszłości, tu ułożył pierwsze strofy sławnej *ody*, którą w nocy napisał, a w dniu następnym na świetném zebraniu Towarzystwa przyjaciół nauk odczytał.

Zgromadzenie prócz uczonych, członków rządu i młodzieży, w większej połowie składało się z zaproszonych wojowników naszych. Wielu jeszcze ze świeżemi ranami wsparci na kulach, zasiedli w sali tłumnej.

Stanisław Potocki odczytał znaną *pochwałę* zwyciężkiej armii narodowej, która jako wzór wymowy i dziś nie traci na wysokości wartości. Wśród głębokiego wzruszenia powstał Osiński; głos jego melodyjny wśród powszechnéj ciszy, przejmował serca obecnych. Gdy odczytał ten ustęp:

Ujrzał Tyber zadumiony,  
 Nowe męże, nowe szyki;  
 Mniemał, że na głos Bellony,  
 Wstały Rzymu wojownicy!  
 Nie oni sami, podobne im plemię  
 Sławną za sławną chcą zamienić ziemię.

Gdzież zamierzili granice swój chwały!  
 Na Alpach, na Pirenach utkwili palasze.  
 Nurty Oazy, wzdęte Nilu wały,  
 Ileż rzek skrapia święte laury nasze!

Zapał tłumiony wybuchnął głośnym zakławionym okrzykiem! Grono poważnego Towarzystwa powstało, wraz z zebraną publicznością, wszystkich oczy zwróciły się na zastęp naszych wojowników, legionistów, co przynieśli na ojczystą ziemię przeciwną siwiznę zdobytą w trudach obozowych i zaszczytne blizny, a teraz okryci jeszcze kurzawą zwyciężkich bitew, przyśli w gościnę, w małą świątynię nauki. Widziano na ogorzałych obliczach rycerstwa naszego, pooranych bliznami, czy zmarzeczkami długich lat i niewygód, jak wybijało serdeczne wzruszenie, jak gorącemi zlewali je łzami.

Słyszeliśmy w wiele lat później sędziwego wojaka, gdy opowiadał o tej uroczystości. „Kiedy mi Bóg odmówił szczęścia abym poległ na polu bitwy, to w tym dniu, w owęj chwili powszechnego zapału pragnąłem umrzeć, a śmierć ta byłaby również miłą jak pod zwyciężką chorągwią?” Nie będziemy przechodzili życiorysu Osińskiego, odsyłając czytelników do umieszczonego na czele pierwszego tomu, przez F. S. Dmochowskiego ucznia a następnie przyjaciela naszego profesora. Odznacza się on również szczegółami biograficznymi, jak oceną prac literackich Osińskiego. W tomie tym, oprócz przekładu trzech tragedji Piotra Kornela, Cyda, Horacyuszów i Cynny, zamieszczono tłumaczenie *Alziry* tragedji Woltera, *Fenelona czyli zakonnice w Kambre*: wszystkie wierszem i *Gabryellę de Vergy* tragedję prozą, przekład z francuzkiego Du Belloya. Wydawca co do ostatniego utworu wspominając o tłumaczeniu wielu sztuk dramatycznych z okresu gdy Osiński objął po teściu swoim Wojciechu Bogusławskim przedsiębiorstwo teatru narodowego, pisze w przedmowie:

„Wydrukowałem z wszystkich tych sztuk jedną tylko Gabryellę de Vergy, w której żywość akcji i okropność katastrofy silne czyni wrażenie, a rola Gabryelli była niegdyś tryumfem gry artystki Ledóchowskiéj.” Nie godzimy się na to usprawiedliwienie wydawcy, z umieszczenia tego tłumaczenia. Osiński kierując



sam teatrem, zagnalony potrzebą przedstawienia nowój sztuki, przełożył ten dramat, ale nie przeceniał wartości tego tłumaczenia nad inne podobne, które pospiesznie dla sceny wykonywał. Nie umiemy znaleźć powodu dla czego wydawca, obok poezyj mających dziś jeszcze pewną wartość, jak wiersze o *dobroczynności, o sztuce aktorskiej, ody, na cześć Kopernika, do Franciszka Morawskiego i przekładu z Przemian Owidyusza mowa Ajaxa i Uliessa*: drukował *wiersze ulotne*, bez żadnej ceny. Jakkolwiek zajmują one tylko arkusz druku, nie zasługiwały bynajmniej na pomieszczenie w dziełach Osińskiego. Pisał on je z okoliczności drobnych, pod chwilowém wrażeniem: ztąd nie zaleca je nic prócz gładkiego i to niezawsze wiersza, czasem dowcipnego zwrotu: nieznac w nich bynajmniej pióra tłumacza Cyda. Jeżeli miał zamiar wydawca, wszystkie prace zmarłego profesora ogłosić, to wszystkie dać należało wiersze, które sam Osiński drukował i zostawił, albo też poprzestać na stosownym tylko wyborze.

Tom II i III wydany obejmują prelekcye literatury porównawczej. Wydawca po wstępie, dał nam w porządku następnym rozprawy Osińskiego.

*Epepea.* Iliada Homera i Odyssea. Eneida Wirgiliusza, Farsalia Lukana. Luzyada Kamoensa. Jerozolima wyzwolona Tassa. Raj utracony Milтона, Henryada Woltera i wojna Chocimska Krasickiego

*Poezya. Heroi-komiczna.* Myszejda i Monachomachia Krasickiego.

*Poezya dramatyczna.* Tragedya u Greków. (Wydawca z powodu, że w pozostałych rękopismach nie znalazł wykładu greckiej literatury dramatycznej. chcąc zapełnić przerwę przez zatracony zeszyt, zamieścił jej zarys skreślony podług późniejszych tegoczesnych estetyków, przywołując przekłady z greckiego, Kazimierza Kaszewskiego i Antoniego Małeckiego). Tragedya u nowożytnych. Kornel. Lopez de Vega. Cervantes, Kalderon, Rassyn.

Tom III. *Poezya dramatyczna.* Teatr Niemców. Szyller. Teatr Włochów, Alfieri.

Komedyja u starożytnych. Arystofanes. Plaut i Terencyusz. Komedyja nowożytna. Moliere i jego następcy. Komedyja u Włochów. Sztuka dramatyczna w Polsce do końca XVIII wieku.

*Poezya liryczna.* Oda i pieśni. Poezya biblijna. Jan Kochanowski.

*Poezya dydaktyczna.* Ziemiaństwo Wirgiliusza. Przemiany Owidyusza. Ziemiaństwo Delila.

*Poezya pasterska. Satyra. Liąty. Bajki.*—Tom IV, który wkrótce opuści prasę drukarską, obejmuje dokończenie prelekcij, mowy sądowe i pochwały czytane na posiedzeniach Towarzystwa Warszawskiego przyjaciół nauk.

Nie będziemy szczegółowo zastanawiać się nad wartością prelekcij. Dziś zmieniło się o wiele stanowisko poglądu, nie tylko na utwory rozbierane przez Osińskiego, ale i sposób traktowania *literatury porównawczej*, której wykład miał zmarły professor sobie poruczony.

Zbyt wielki przedział czasu już nas dzieli: może nie tyle co do lat, ale co do zmiany wyobrażeń. Ocena prelekcij Osińskiego, z dzisiejszego stanowiska, byłaby zbyt surowa, a śmiało powiemy niesprawiedliwa; trzeba osądzić w ramach właściwego okresu, zbadać jak oddziaływał na umysły współczesne i o ile się przyczynił do rozwoju i zamiętania literatury ojczystej.

Na tém polu, nie zaprzeczenie Osiński znakomite położył zasługi. Pierwszy obudził społeczność naszą z obojętności dla literatury narodowej i umiał zwabić na swe prelekcye nie tylko młodzież akademicką i szkolną, ale wykształceńszą część publiczności polskiej i samych nawet zaciętych nieprzyjaciół klassycyzmu, młodych romantyków.

W tymże samym gmachu uniwersyteckim, zajmował katedrę literatury polskiej Kazimierz Brodziński. Prelekcye jego za prawdę, bez porównania wyższej były wartości od Osińskiego rozpraw: ale odczytywane głosem słabym i cichym, uczniów tylko zwabiały i kilku zwolenników co oceniali każde słowo śpiewaka Wiesława. Wybornie jednak obaj professorowie, dopełniali wzajem wykładu literatury z katedry uniwersyteckiej.

Osiński, wyznawca i uwielbiciel tak zwanego klassycyzmu, stawiając przed oczy skarby literatury, tak starożytniej, jak nowocześnie, wykazywał jój wielkość, arcydzieła, oznajmiał słuchaczy swoich z niemi, dając wzory przekładów jakie mamy w ojczystej mowie: brał pod sąd swój i wielu pisarzy narodowych jak ich utwory, przechodząc przyjęte wówczas podziały poezyi. Brodziński, z wyższego stanowiska, głębiej badając, ważył każde słowo, w ocenie wielkich pisarzy naszych, rzucał poglądy oryginalne i stał jako na przełomie dawnych i nowych wyobrażeń.

Osiński miał tę odwagę cywilną, że śmiało stał pod chorągwią klassycyzmu, z nieuleknionym wzrokiem spoglądając na coraz rosnące zastępy romantyków, których przejednywał chwilowo, gdy harmonijnym głosem odzywał się z katedry. Brodziński skromny i nieśmiały, wyznawca postępu, stronnik nowych wy-



obrażeń literackich, w każdym utworze swoim, czy w poezyi, czy w prozie: cichy a sumienny pracownik, pragnął zgody i zgodę zalecał. Gdy Osiński, mniej dbał na krytykę i gromy rzucane na klasyeczność, Brodziński po wydaniu pism swoich jednego tomu, obejmującego właśnie rozprawy wykładane z katedry, po jednej recenzji zrażony, zaniknął tekę i przerwał wydawnictwo swoje.

Obaj professorowie rozszerzali zamiłowanie w młodzieży nie tylko do literatury, ale do wszystkiego co zacne, piękne i szlachetne.

Niżej bezporównania stoi Osiński co do talentu i znaczenia w dziejach literatury: bo Brodziński wraz z Mickiewiczem jest reprezentatem naszego okresu; ale jako professor niemniejsze z katedry położył zasługi.

Brodziński na obcej ziemi zakończył życie, ma przecież choć skromny pomnik na cmentarzu katolickim w Dreźnie, staraniem wdzięcznych rodaków wzniesiony. Osiński zmarły w ojczyźnie, pochowany na Powązkach, nie doczekał się dotąd nawet drewnianego krzyżyka, coby wskazywał miejsce wiecznego spoczynku tłumacza Cyda i Horacyuszów.

Wydanie pism zasłużonego profesora uniwersytetu warszawskiego, winniśmy jednemu z wdzięcznych uczniów śp. Osińskiego, który przyszedł w pomoc pozostałej wdowie. Uczeń także F. S. Dmóchowski, dołożył starania w uporządkowaniu rękopismów i wydrukowaniu. Wydanie odznacza się troskliwością tak co do zewnętrznej formy, jak korekty. Pocieszającą jest myśl, że w naszym narodzie, nigdy prawdziwa zasługa zapomniana nie zostanie. Mamy w wydaniu dzieł śp. Osińskiego nowy dowód tej szlachetnej pamięci, w zachowaniu przez uczniów jego, prac szanownego i wielbionego niegdyś profesora, pamiętnego uniwersytetu warszawskiego.

Dochód czysty, zebrany po sprzedaży tego dzieła, ma być obrócony na wystawienie grobowca na cmentarzu Powązkowskim.

Przybędzie nowa ozdoba w tym wielkim grodzie zmarłych, a pomnik Osińskiego, nie jednego przechodnia zatrzyma przy sobie i wywoła zaprawdę rzewne wspomnienia!

K. Wł. Wójcicki.

---

Śmieciński. Powieść szlachecko-ukraińska, przez Aleksandra Grozę. Żytomierz. 1860 roku. Coraz częściej daje się nam widzieć w piśmiennictwie naszym drobne potomstwo pana Tadeusza; należy doń i obecna powieść, której rysy i kształty lubo nieskoń-



czenie mniej nadobne i pociągające, odkrywają jednak blizkie pokrewieństwo. Pod tytułem i pretekstem jednej osoby, p. Groza opisuje całe życie domowe na Rusi w drugiej połowie XVIII wieku; w jedności narodowej wyszukuje cech znamionujących miejscowość, które zwolna przycierać się zaczynają pod wpływem innego ducha czasu i innych okoliczności. Ta to małowniczość miejscowej charakterystyki, charakter prowincjonalnej indywidualności, silnie jednak połączonej z interesem ogółu i ciężacéj ku wspólnemu środkowi, stanowi główną, nawet jedyną zaletę utworu. Warunki poezyi wyższej: głęboka uczuciowość, zapał, ideał duchowy, są tu zgoła pominięte, tak że utwór ten jest raczej rodzajowym obrazkiem niż historyczną kompozycją. Cała małowniczość jego obraca się około wychowania i życia gospodarczego samego bohatera, który jest wcale pospolitym i nic nieznanym człowiekiem; w zwyczajnych okolicznościach życia umięjący sobie radzić, upada nikczemnie w stanowczéj chwili: z obawy śmierci dopuszcza się haniebnego odstępstwa. Serce więc nasze nie zyskuje na przeczytaniu tego utworu, umysł tylko chwilowo zajęty jest opisem mało znanych a ciekawych szczegółów zewnętrznych. Przyjemność, jaka ztąd płynie, byłaby nierównie żywszą, gdyby formalna strona utworu była bardziej staranną i pociągającą, a zalet tych nie możemy przypisać dyceji i obrazowaniu p. Grozy. Gawędowy styl nie jest jeszcze epepeą; trzeba mieć serdeczność Wincentego Pola, aby potocznemi i napozór prozaicznemi wyrazy dostać się do serca słuchacza. Inni pospolitość biorą za prostotę i dlatego téż w ich dziełach z gawędy tworzy się gadanina: w tym przypadku znajduje się téż czasami utwór p. Grozy.

x.

*Rozbitek. Powieść Zygmunta Kaczkowskiego. Wilno. 1861.*  
Właściwy byłby tytuł: *Rozbitkowie*, bo wszyscy tam w téj powieści porozbijali się mniej więcej: niektórzy nawet nie powypływali bynajmniej. Głównym jéj bohaterem jest niejaki Karol, bohater dość słaby zaprawdę, słabszy od każdego ze swych współbohaterów, a któremu jednak autor każe się rozbić aż po trzykroć. Skiba, jest mentorem tego nowoczesnego Telemaka szukającego po świecie idei właściwego postępu, niby zatraconego gdzieś ojca. Obawiając się dlań zgnuśnienia wśród czarodziejskich ogrodów przeszłości, spycha go ten przebrany bożek w otchłań politycznych marzeń, zkąd sam tylko wychodzi tym którym wskoczył,

bo co do Karola, wypływa on uleczonym z demokratycznych przywidzeń, ale na to tylko, żeby się puścić niebawem na przენiewiercze tonie miłości. Rozbiwszy się i tam, jak o to nietrudno, zapragnął jeszcze spróbować szczęścia na oceanie wiedzy, ale i tą razą nie powiodła mu się żegluga, a działo się to w Paryżu. W trakcie tego, w jego własnym domu, Skiba próbuje żeglugi na zdradliwych falach postępowego gospodarstwa i rozbija się przy samym brzegu pokrajanym w ośmiopolowy płodozmian. Zastraszony tēm Karol wraca, i tu rozpoczyna się jego ostateczne ocalenie. Wszystko, co niepotrzebne, usuwa mu się z drogi, a on wpływa pełnemi żaglami do przystani szczęścia, usypanej ze skrzętności około miłego grosza. Katastrofą tego dramatu niezbyt wiele mającego życia, są wypadki galicyjskie 1846 roku. Jest to historia umysłowa kilku głów, kilku serc, porwanych naonczas wirrem wypadków, zakończona receptą korzystania z okoliczności. Ingredyencyami do niej wchodzącymi mają być: miłość, dobra wola i praca, zażywane według miary i wagi; a w tēj zamożność przynosząca nieustanny procent, niechybnie uwieńczy skutek lekarstwa. Trzeba się mieć jednak na baczności z zachowaniem stosownej diety, bo nic łatwiejszego jak skończyć, pomimo tych środków, na podobieństwo *Abracadabry* Kraszewskiego, który zaszedł nie dalej jak do żłobu napełnionego wyborném sianem łąkowém. Znajdujemy, że konkluzye filozoficzne tēj powieści pozostawiają wiele do życzenia. Karol jest dziedzicem wielkich dóbr moralnych; chcąc mu je autor powiększyć w jego rękach, zmienił je tylko na zdawkową monetę. Ów potomek alchemika, pragnącego odkryć sposób robienia złota jedynie tylko na potrzeby ojczyzny, wojownika nie mającego ani chwili wytchnienia, dalej statysty, dalej jeszcze konfederata barskiego i Kościuszkowskiego półkownika, z których każdy zrobił sobie zadanie życia „nie dać się uprzedzić nikomu”, daje się uprzedzić wszystkim na drodze obowiązków, a sam przychodzi już do gotowego. Nic nie jest w stanie wytłumaczyć nagłego wyjazdu jego do Paryża i trzyletniej blisko nieobecności w kraju, chyba to tylko, żeby przez ten czas zdążyć opamiętać się Skiba, umrzeć Izidor, a Józia (nie mając więcej konkurentów) zatęsknić wreszcie do wspomnień pierwszego z nim spotkania w chatce Bernata. Nawet każdy z tych, którzy się grupują w około bohatera, jest bezwarunkowo lepszym od niego. Nie mówimy tu już o półkowniku i jego żonie, o tych ludziach tak *niedzisiejszych*, w których kreśleniu Kaczkowski jest osobiwym arcymistrzem; ale naprzykład o Skibie, który



aż do ostatka dochowuje wierność swoim przekonaniom, o tym serdecznym Bernacie tak prostodusznie znakomitym, nawet o Józii, tój osobliwszój laleczce moralnej, która jednak w konkluzji daje szczęście Karolowi. Dziwna też to ta Józia. Charakter słaby, niedołączny, nijaki, niewart zastanowienia, gdyby nie to tylko było pięknem co się podoba. Ona jest taka wesółka, taka ekscentrycznie pusta, ona nie kocha nikogo, ona nigdy nie wie jak się tam ma właściwie; usłuchała hrabiny Millefleurs i tańczyła z Niemcami, choć już nikt wtedy z nimi nie tańczył; usłuchała ciotki, która ją przekonała że nie kocha Karola; usłuchała babki, która jój wyperswadowała znowu, że go kocha. W każdym razie podejmujemy się jednak bronić konsekwentność tego charakteru, kto, jak ona, przy świetle łun pożarów, i tylko co uciekłszy z życiem ze zrabowanego pałacu, zalanego krwią i łzami, mógł tak po dzierlatkowemu szczebiotać i roztrzepywać się w lichój chatce Bernata, gdzie lada chwila można się było spodziewać nie proszonych gości: ten wierzę, że potrafi stąpać po drodze życia ani się troszcząc o zmiany wyobrażeń i reformy społeczne.

Jeżeli, jak słusznie mamy prawo mniemać, powieść jest z prawdziwego zdarzenia, zarzuty które robimy charakterom osób, utraciłyby połowę swojej wagi, ze względu na wierność kronikarską; choć z drugiej strony, zawsze radzibyśmy widzieć w autorze raczej rozumowanego historyka jak kronikarza. Z tych powodów, salon hrabiny Millefleurs, i to co się w nim mówi, zaliczylibyśmy do mniej szczęśliwie obrobionych ustępów. Podobnież charakter szambelana i Fonsia zdają się nam być nieco przesadzonemi; może przy większym rozwinięciu zyskałyby na prawdzie: tak jak są, wyglądają tylko jak kontury bez wyraźnego środka, zresztą opisy niejść i czasów nic nie pozostawiają do życzenia. Nie mówimy już o obrazach z przeszłości, bo w tym względzie zrobił nas Kaczkowski dziwnie wymagającemi względem drugich w porównaniu z sobą. Ilekroć orlim swoim wzrokiem spojrzysz ten znakomity pisarz w zachodzące słońce, które opromieniało spiżowe postacie dziadów dzisiejszego pokolenia, tyle razy jest sobą samym, co już dosyć powiedzieć. Przedewszystkiém to i może wyłącznie nawet historyk przeszłości. Nawet język jego, do którego przyznałby się Skarga i Kochanowski, dziwnie wygląda opowiadając rzeczy dzisiejsze.

Tych kilka uwag o stronie artystycznej Rozbitka, wypowiedzieliśmy jedynie ze względu, iż wyszedł w świat przybrany



w miano powieści. Właściwie jednak powinienby być osądzony na innéj drodze, co go zapewne i nie minie. Jest to raczêj utwór dydaktyczny, robota mająca zadanie utylitárne, jak Pan Podstoli, Podstolic, Amerykanka w Polsce, wreszcie Latarnia czarnoksiêzka. Sam nawet autor wyznaje to otwarcie na str. 237, tomie II. Powieść tedy w znaczeniu literackim stanowi tam wzgląd podrzędny. Głównym zaś celem jest *naprawa społeczna* na drodze gospodarczêj, przemysłowêj i ekonomicznêj. Właściwi sędziowie niech rozstrzygają, o praktyczności dobrych chęci autora na téj drodze; co do nas ograniczymy się, przywodząc w tym względzie własne jego słowa, uderzające równie prawdą jak sposobem jêj wypowiedzenia: „Marzenia o przeszłości są piękne, oh! ledwie co może być od nich piękniejszém na ziemi! ale powinny one być tylko dodatkiem do życia. Potrzebne są bowiem tylko o tyle, o ile chcąc rów przeskoczyć, potrzeba się wrócić w tył, ażeby dostatecznego nabrawszy pędu, nie chybić skoku. Ale przeszłość i sama tylko przeszłość, jako jedyna karma dla życia, jako treść jego wyłączna, to czarna rozpacz, to martwość, to śmierć”.

(f).

*Duch-pieśń, przez A. J. Gorzałczyńskiego. W Kijowie. 1860. Str. 28. W druk. Uniwersyt.* Jest to poemat, a raczêj jeden z tych egotycznych dytyrambów, w jakie nowożytna poezya obfituje. Smutne w ogólności robią wrażenie te wiersze, jako przykład poetycznego nastroszenia umysłu, z którego nic innego nie wyrasta tylko wyegzaltowane przekonanie o wysokości swojego powołania. Duch-pieśń wyniósł autora w niedostępne ludziom sfery, żądając od niego, żeby już nie wracał nigdy na ziemię.

Słyszysz ten akord ludziom niepojęty?

Ziemi już nie ma, tyś już w niebo wzięty;

Wrócisz na ziemię?! przekłety, przekłety!.

Pomimo tej przestrogi, autor który zapewne lepiej rozumiał niż ją rozumie czytelnik, zawołał raz: ziemi! tyś rajem! i odtąd jak mówi p. Gorzałczyński:

Duch-pieśń uleciał i nie wrócił więcêj,

Alem przeszłości nie żałował wcale!..

.....

Wziąłem do ręki lutnią pieśni ziemi;

Pięć strun tam było, jednéj niedostało;

Brzmiały wciąż pieśni usta natchnionemi,

I byłem mistrzem jakich tutaj mało.

Wkrótce jednak autor (o ile zrozumieć można) zakochał się i porzucił poezję.

Ton zanadto nastrojony!  
Precz mi słabe to narzędzie,  
Moją pieśnią życie będzie:  
Precz mi lutnio potrzaskana!

Zajść musiała jakaś zmiana w uczuciach autora, bo narzeczona tak się do niego odzywa:

„Tyś pobladł! czemu twoja twarz zmieniona,  
Czemu tak dziko oko twoje pała?  
Czemu odpychasz nieszczęsną od łona?“  
Jękla, w rozpaczy ręce załamała,  
W mój piersi ogień jakiś wielki plonie,  
A głowa pali, serce w piersi pęka  
I konwulsyjnie ścisnęły się dłonie.

W takim stanie rzeczy, autor uznał za stosowne porzucić swoją narzeczoną, która zostawszy sama z ojcem, nie traci nadziei, że kochanek do niej wróci:

O mój ojczu, mój kochany,  
On powróci! zapomniany!  
Krzyknął starzec zgrozą zdjęty:  
„Zapomniany i przeklęty!!”

Tymczasem autor rzeczywiście (o ile zrozumieć można) powrócił i zaprowadził swoją narzeczoną do ołtarza; ale wtém znowu coś takiego zaszło, co stanęło na przeszkodzie jego szczęściu.

Słyszysz ton dziki, tobie niepojęty?  
To pomsta Boża nad nami;  
Słyszysz: „przeklęty, przeklęty, przeklęty!”  
„Amen” rzekł kapłan „Pan z wami!”

W dalszym ciągu autor tak mówi o sobie:

Życie na zawsze z mój twarzy znikło,  
Dla ludzi byłem dziki, niepojęty.  
Czy wy czujecie takie życie, piekło?  
Gdy w duszy woła: przeklęty, przeklęty!  
Wreszcie zaczęły rwać się więzy ciała;  
Jedyne dziecko na wieki zasnęło,  
I żona wkrótce za dzieckiem skonała,  
A serce ziemskie z bólu ani drgnęło.

Wreszcie zjawia się znowu Duch-pieśń i mówi do autora:

Śpiewaj raz jeszcze, tu, na światów szczycie  
Ostatni akord dobądź z ducha łona;

Łabędź ostatnią pieśnią żegna życie,  
W ostatnim dźwięku pieśni, cicho kona:  
Uleć z tej ziemi w tój pieśni zachwycie!

Jakoż rzeczywiście autor zaczął znowu śpiewać i z pieśnią świat opuszczać:

Długa pieśń płynie, słuchały niebiosy,  
Słuchała ziemia, ludzie nie pojęli...  
Mistrz świat opuszczał, oni nie słyszeli.  
Już coraz cichsze słyhać ziemi głosy.

Wreszcie

Ścichło... pieśń taka... takie piewcy losy!

Podobno, że ta szósta struna, którój autorowi brakowało,  
była to struna sensu. (e.)

*Opowiadania Kurennego, powieść przez Michała Grabowskiego.*

(Z godłem): „Mijają lata, z latami zdarzenia:  
Nad zwycięzcami, nad zwyciężonymi  
Trawą usłana, mogiła zapada.” G.

„Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu,  
Patrzę w niebo, gwiazd szukam przewodniczek łodzi;  
Tam zdala błyszczy obłok, tam jutrenka schodzi,  
Tu błyszczy Dniestr, tu zeszła lampa Akermanna.

Mickiewicz.

Żytomierz. Nakładem księgarni Jana Hussarowskiego, 1861 roku, w drukarni A. Kwiatkowskiego i komp. w Żytomierzu w 8, str. 112.

Jest to drugie wydanie znanėj powieści, a jednéj z najpiękniejszych utworów Michała Grabowskiego, wydanėj w r. 1838, p. n.: *Koliszczyzna i Stepy*. Autor szczęśliwym trafem znalazł na stepie ukraińskim starca, który sam miał udział w *rzezi humaniskiej*, zwanėj inaczéj *koliszczyzną*, i z ust jego usłyszana opowieść spisał. Pełne to wysokiej wartości, a właściwéj sobie barwy opowiadanie, które się czyta jak zajmujący poemat; tyle na sobie rzeczywistéj poezyi. Jestto utwór w małych rozmiarach, który śmiało policzyć możemy do prawdziwych ozdób literatury naszéj. Piérwsze wydanie oddawna wyczerpaném zostało: księgarz wileński Teofil Glücksberg widząc taki pokup, chciał nabyć od autora drugą edycyą, i ofiarował mu honorarium dwadzieścia



pięć rubli książkami. O takiej hojności tego księgarza, pisał sam autor w Tygodniku petersburgskim. Wydanie obecne drukowane bujnym i wyraźnym drukiem, mogłoby być staranniejsze; format niezgrabny i papier brudny, nie odpowiadają wartości estetycznej samej powieści, która zasługuje na edycyą ozdobną i illustrowaną, bo przedmiotów w niej godnych okółka artysty nie brakuje.

(w).

*Dzieje Starego i Nowego Testamentu, krótko zebrane dla dzieci. Wydanie drugie, przejrzone i poprawione przez ks. Waleryana Serwatowskiego, autora wykładu Pisma Świętego i wielu innych dzieł, członka Towarzystwa naukowego krakowskiego, z 10 rycinami kolorowanymi. Warszawa. Nakładem księgarni G. Gebethnera i R. Wolffa, 1861.* Książka ta zastosowana do pojęcia młodego wieku, dobrze odpowiada swemu zadaniu. Wykład jasny, styl pełen prostoty, język czysty a rodzimy, są to nie małe zalety. Godzimy się ze zdaniem ks. Józefa Wyszynskiego, na czele tego dziełka wydrukowaném, że *Historya ta Starego i Nowego Testamentu, pożytek duchowny przynosząc, zasługuje, ażeby znajdowała się w ręku każdej chrześciańskiej matki.* Wydanie staranne i ozdobne, przy dostępnej cenie.

(w).

*Rocznik koła towarzyskiego w Poznaniu na rok 1861, w 18-ce, str. 45. Czcionkami N. Kamińskiego i spółki w Poznaniu.* Jestto sprawozdanie z działań tego Towarzystwa, którego celem zabawa i nauka. Liczy członków na r. b. 335, prezesem był ś. p. Tytus hr. Działyński: dwóch wice-prezesów, Wegner Leon i Motty Marcelli. Miejsce zebrania w Bazarze poznańskim. Z umiarkowanych składek (wkupne na raz jeden talarów trzy: składka roczna w dwóch ratach talarów sześć) opędzane są koszta najmu lokalu, światła, posługi i t. p.; przewyżka ze sprzedaży biletów w czasie zabaw czy wieczorów muzykalnych, tańczących, czy wieczorów literackich, wnoszoną jest do kassy Towarzystwa pomocy naukowej. W r. 1860 na 9 wieczorach literackich mieli odczyty:

- 1) Dr. Wiłuski: „O barometrze i zjawiskach powietrza.”
- 2) Dr. Nehring: „O Chęcińskiego komedyi: *Szlachectwo duszy.*”
- 3) Studniarski Antoni: „O Cezarze Szekspira.
- 4) Dr. Szafarkiewicz: „O apparatach gazowych do oświetlania i ogrzewania.”

5) Dr. Matecki: „O magnetyzmie zwierzęcym.”

6) Studniawski Maxymilian: „O podróżach Henryka Bartha do środkowej Afryki.”

7) Dr. Mierzyński: „O życiu Sebastjana Klonowicza.”

8) Jarochoowski Kazimierz: „O porwaniu synów Jana III.”

Koło towarzyskie ma czytelnię złożoną ze wszystkich pism peryodycznych, w polskim języku wychodzących na całym obszarze dawniej Polski, oraz ważniejsze zagraniczne, i broszury dotyczące naszego kraju.

(w).

*Pamiętka z Czerniakową przez Jana Warmińskiego. Warszawa, w drukarni Juna Jaworskiego, 1861. W 16-ce, str. 47.*—Dla mieszkańców Warszawy, wieś Czerniaków z kościołem i klasztorem księży Bernardynów, z przechowanymi w nim relikwiami św. Bonifacego, jest miejscem ulubionem do pielgrzymki pobożnej w pierwszych dniach wiosny. W połowie maja każdego roku, w czasie odpustu na św. Bonifacy, tysiące Warszawian z rodzinami, zaczyna swoją pielgrzymkę, trwającą dni kilkanaście: ztąd dla tych, co się zrodzili w starym grodzie mazowieckim, we wspomnieniach z lat dziecinnych, Czerniaków zachowuje na całe życie czarowny urok. Znany badacz Julian Bartoszewicz, w *Księdze świata*, skręślił nam dokładny rys historyczny tego miejsca. P. Warmiński dobrze uczynił, że czerpał z tego źródła. Zebrał tu nadto wszystkie szczegóły odnoszące się do Czerniakowa, których i w *Księdze świata* nie było; opisał całą pielgrzymkę, wreszcie podał ciekawe wiadomości, dotyczące tej wsi jednej z najbliższych głównej stolicy Królestwa. Praca autora, może posłużyć za dokładnego przewodnika zwiedzającym Czerniaków. Cena niezwykle dostępna, bo broszura ta w księgarni kosztuje groszy piętnaście.

(w).

*Przewodnik naukowy w Paryżu dla młodzieży polskiej, 1860 r.* Pod tym tytułem uczniowie Szkoły Wyższej polskiej ułożyli podręcznik informacyjny dla młodych Polaków, przybywających do Paryża w celu korzystania z wielkich zasobów naukowych stolicy Francji. Złożmy sobie obraz z „Przewodnika” zakładów naukowych francuzkich, aby powziąć wyobrażenie, jakiemito drogami i środkami młodzież tamta dochodzi specjalności!

Uniwersytet paryzki jest instytucją, obejmującą w sobie wszystkie zakłady wychowania publicznego całego kraju, jakimi

są: *wyższe zakłady naukowe i szkoły* czyli niższe zakłady naukowe, pod któremi rozumieją się: *licea, kolegijs, pensyje prywatne, szkółki początkowe.*

Wyższemi zakładami naukowemi są: *Akademija paryzka (Sorbona), Kollegijum francuzkie, Szkoła paleologiczna, Szkoła prawa, Szkoła medycyny i Wyższa szkoła normalna.* W obszernym gmachu Sorbony mieści się naczelna władza akademii i trzy wydziały: teologiczny, literacki i umiejętności. Professorowie wydziału literackiego wykładają kursa w Sorbonie, Kollegijum francuzkiem i w Szkole normalnej; mają oni zwykle stopień doktorów.

W Kollegijum francuzkiem początkowo miano tylko wykladać nauki języków obcych, ale gdy młodzież mało do niego uczęszczała, otworzono w niem katedry literatury krajowej i obcych, tudzież wschodnich języków, historii i umiejętności.

*Szkoła paleologiczna* usposabia do prac i poszukiwań historycznych. Tu uczniowie czytają stare dokumenta i dyplomata; uczą się poznawać dawne monety i pomniki starożytne; pracują nad dawną grammatyką, łaciną średniowieczną, badają kształcenie się języków romańskich; czytają i tłumaczą stare poezyje trubadurów; i piosnki prowansalskie. Szkoła ta przygotowuje na zdanych bibliotekarzy i archiwistów.

*Szkoła wyższa normalna* sposobi ludzi na professorów w liceach. Kurs jest trzechletni. W dwóch pierwszych latach sposobią się uczniowie w Sorbonie i Kollegijum francuzkiem, dla otrzymania stopnia magistra. Na początku roku trzeciego oddział umiejętności rozdziela się na trzy gałęzie: umiejętności *matematycznych, fizycznych i przyrodzonych.* W tym roku uczniowie wprawiają się do wykłada lekeyj pod okiem profesora, następnie na kilka miesięcy rozsyłani bywają po liceach paryzkich dla zastępowania professorów. Po ukończeniu tego roku, mianują ich professorami-zastępcami w liceach. Nie może być professorem w liceum, kto nie jest adjunktem. Stopień ten otrzymuje się na konkursie publicznym po pięciu latach professorstwa. Professorów licealnych mianuje minister oświecenia, professorów akademii cesarz sam.

*Szkoła cesarska politechniczna* przygotowuje młodzież do wyższych zakładów specjalnych, jakoto: do *Szkoły dróg i mostów,* przysposabiającej na inżynierów; *Szkoły górniczej,* która podobnie kształci na inżynierów rządowych (wchodzących do korpusu górniczego) i cywilnych, zostających dyrektorami kopalń i hut metalurgicznych; do *Szkoły artylleryi i inżynieryi w Metz;* do *Szkoły*



*sztabu*, mającej na celu kształcenie oficerów sztabowych. Do tej szkoły przyjmują także uczniów ze szkoły wojskowej w St. Cyr, która przysposabia na oficerów piechoty, kawaleryi, do sztabu i piechoty okrętowej, do budowy okrętu, artylerji morskiej i służby wojskowej morskiej.

*Szkola centralna sztuk i rękodziel* z kursem trzechletnim. W pierwszym są prace jeograficzne i rysunki architektoniczne. Na początku drugiego półrocza następnego roku uczniowie wybierają oddział specjalny: 1) *mechaników* do budowania machin prostych i parowych, przędzalni, olearni, gorzelni, cukrowni; 2) *budowniczych* do budowania gościnców bitych, kolei żelaznych, stawiania mostów, gmachów, prowadzenia kanałów; 3) *górników*, zajmujących się wyborem metali, górnictwa; 4) *chemików*, trudniących się wszelkim przemysłem fabrycznym, jakoto: robieniem cukru, wódki, urządzaniem farbiarni.

*Konserwatoryjum sztuk i rzemiosł* ma na celu kształcić rzemieślników, robotników i fabrykantów.

*Szkola cesarska sztuk i rzemiosł* sposobi na naczelników warsztatu, nadzorców i robotników biegłych.

*Szkola wyższa handlowa* prowadzi do zawodu kupieckiego, administracyjnego lub finansowego.

*Szkola rolnicza* w Grignon kształci na rolników.

*Szkola sztuk pięknych* ma trzy wydziały: architektury, malarstwa i rzeźby.

*Konserwatoryjum muzyczne* ma za przeznaczenie kształcić się w sztuce muzyki i deklamacyi.

— Biblijoteki publiczne ułatwiają pragnącemu się kształcić sposobność i dostarczają środków. W nich są czytelnie dobrze urządzone, a nawet książek można do domu pożyczać.

Prócz biblijotek specjalnych, przy każdej prawie szkole znajdujących się, główniejszemi są:

Biblijoteka cesarska, najbogatsza w Europie, składa się z 1,700,000 tomów i 80,000 rękopismów; ma do miliona rycin, sztychów, kart i 120,000 medali.

Biblijoteka Mazaryniego liczy 200,000 tomów i 40,000 rękopismów. Prócz tego są jeszcze:

Biblijoteka św. Genowefy.

Biblijoteka Sorbony.

Biblijoteka arsenału.

Biblijoteka Szkoły prawa.

Biblijoteka Szkoły medycznej.

Biblijoteka muzeum historyi naturalnej.

Biblijoteka Konserwatorium sztuk i rzemiosł.

Biblijoteka miasta Paryża i

Biblijoteka polska liczy około 30,000 tomów, bogaty ma zbiór rycin i wypisy historyczne, dotyczące Polski z archiwów angielskich i francuzkich.

— Szkoła wyższa polska, założona w r. 1818 przez księcia Adama Czartoryskiego, przysposabia głównie młodzież do wyższych zakładów naukowych inżynierskich; jednak wysyła ona swych uczniów i do innych zakładów naukowych, jakoto: Szkoły medycyny, prawa, paleologicznej, rolniczej i t. d.

Licea różnią się tēm od kolegijów, że tamte są przez rząd, ostatnie zaś przez miasta opłacane.

Na czele każdego liceum jest *provisor*, zajmujący się działem naukowym; *cenzor* pilnuje porządku i karności, a *ekonom* zajmuje się rachunkowością i utrzymaniem domu. Uczniowie są albo *miejscowi*, albo *pół-miejscowi*, mieszkający za murami szkolnemi a tylko jedzący obiad i podwieczorek w liceum, albo *przychodni* i *zamiejscowi*, tylko przybywający do słuchania lekcyj. Prócz zwyczajnych lekcyj, odbywają się jeszcze tak zwane *konferencyje*. Na tych professorowie zbierają uczniów równo uzdolnionych, bez względu na klasy, w których się znajdują, zadają im pytania, wprawiają w łatwe wysłowienie się, zapewniają się o ich postępie, zachęcają do pracy.

W liceum są trzy działy:

I *szyp początkowy* dla uczniów, od 7 do 12 lat, klas: wstępnej, ósmej i siódmej; II *gramatyczny* dla uczniów, od 12 do 15 lat, klas: szóstej, piątj i czwartj.

W tych dwóch działach uczą gramatyki francuzkiej, łacińskiej i greckiej, rozbioru gramatycznego, historyi starożytnej, początków historyi francuzkiej, początków geografii ogólnej, arytmetyki i geometrii, tudzież rysunku graficznego.

Uczniowie, którzy z klasy IV otrzymali nagrodę lub dwie pochwały, lub którzy się przez rok cały odznaczali w ćwiczeniach piśmiennych, otrzymują bez egzaminu świadectwo uzdatnienia; inni uczniowie muszą złożyć przed *provisorem*, *cenzorem* i jednym z professorów tak zwany egzamin gramatyczny, aby wejść do działu wyższego. Dział ten dzieli się na dwa oddziały: *literacki* i *umiejętności*, a zatem każdy uczeń, wchodzący do tego działu, musi wybierać jeden z tych oddziałów. W oddziale literackim uczniowie poświęcają się szczególnie literaturze łacińskiej i greckiej i naby-

wają ogólnych wiadomości z fizyki, chemii i historii naturalnej. W rozdziale umiejętności, oddają się wyłącznie matematyce, fizyce, chemii, historii naturalnej, a nabywają tylko ogólnego wykształcenia literackiego. Z oddziału literackiego uczniowie zdają egzamin na bakałarza literackiego, a z drugiego na bakałarza umiejętności. Dział ten mieści 4 klasy: trzecią i drugą z odłącznym, a retorykę i loikę ze wspólnym obu oddziałom wykładem. Prócz tego, oddział umiejętności ma jeszcze klasę specjalną (*mathématiques spéciales*).

Każdy z tych trzech działów licealnych ma osobne sale do nauki, sypialnie, jadalnie i dziedzińce do zabaw.

Między warunkami wejścia, rodzice nie zamieszkali w mieście licealnem, wybierają sobie *zastępcę*. Oprócz rodziców, opiekuna lub zastępcy, nikt bez pozwolenia prowizora nie może odwiedzać ucznia w zakładzie. Prawie we wszystkich liceach uczniowie mogą wychodzić co dni piętnaście z rodzicami lub zastępcą.

Żadnych pieniędzy nie wolno jest zostawiać w ręku uczniów.

Korepetytor zaświadcza każdego dnia na piśmie, o ile uczeń nauczył się lekcji i wypracował zadanie. Te świadectwa professor przegląda i podpisuje, co służy rodzicom lub ich zastępcom za rękojmię regularnej nauki i uczęszczania do szkoły.

Taki sam program nauki jest w szkole narodowej polskiej, zwaney batyniolską, i we wszystkich liceach, kolegijach i pensjach prywatnych.

Nie wdając się w rozbiór krytyczny systemu wychowania francuzkiego, który jednakże nigdy w zupełności dla nas nie przystaje, zakończymy sprawozdanie nasze przestrogiami uczniów szkoły wyższej do Polaków, przybywających na naukę do Francyi, które mogą się przydać równie dla naszej młodzieży, jak dla jej rodziców i opiekunów, tak skwapliwie dzieci swe za granicę wysyłających.

„Nie jeden z naszych młodych rodaków przybywa do Paryża nie w zamiarze obrania specjalnego jakiegoś zawodu naukowego, ale w chęci ogólnego, jak się wyrażają, wykształcenia. Zbyt szczuple wymierzony czas na pobyt za granicą, niedostateczne szkolne przygotowanie, odraża do obowiązującego i ściśle krępującego regulaminu, a przedewszystkiem chęć łatwego i wygodnego kształcenia się, łączenia salonowego trudu z naukową ciekawością, wycieczek w świat towarzyski z wycieczkami do akademij, powodują nieraz młodych rodaków do wybierania so-



bie kilku lekkich a świetnych wykładów w *Collège de France* lub *Sorbonie*, i do zaspokojenia tém własnego sumienia, a czasem i natrętnych pytań o przedmiot zajęcia w Paryżu... Ośmielamy się powiedzieć, że podobne kształcenie się ani indywiduom, ani społeczeństwu nie przynosi pożytku. Zlekka zrywane czyli raczej zarwane wiadomości i sądy, głucho zasłyszane zdania i pomysły, nie stanowią żadnego zapasu naukowego, bywają owszem zaporą do wszelkiej porządnej pracy. Wykłady owe są dla francuzkich uczniów rekreacją po szkolnym inozole, zabawą a nie zaś zawodem, chwilą miłego odpoczynku po godzinach fachowego i ciężkiego trudzenia się. Opiérać na nich swą karyerę intelektualną, jest karmić się samemi słodyczami: prowadzi do czczości i zarozumienia i tworzy najniepożyteczniejszych w każdym kraju ludzi—niedouków, którzy ani sami pracować, ani drugim pomagać w pracy nie zechcą i nie potrafią....

Książka niniejsza może się przydać tylko tym, którzy obowiązki człowieka i obywatela z poważnej rozumieją strony; którzy jako lekarze czy prawnicy, filologowie czy inżynierowie, oddani roli lub przemysłu, czy wreszcie jako ludzie humanitarnie i politycznie, ale gruntownie i w duchu potrzeb krajowych wykształceni, chcą dla siebie sferę działania pozyskać i tém samem podnieść siły ogólne.

Praca naukowa w zakładach paryzkich jest wielką, mozolną i wymagającą przedewszystkiem nieprzerwanego wytrwania i zupełnego zrzeczenia się wszelkich względów i przyjemności towarzyskich. Protekcyje, rekomendacyje, stosunki, wymawiania się nieprzewidzianemi przeszkodami i tympodobne „zwalnijące okoliczności,” nie tu nie nadadzą. Wszyscy są równi przed prawem, imię lub fortuna są raczej utrudzeniem niż ułatwieniem i tylko ścisła i regularna praca w istocie zaleca. W szkołach inżynierskich mianowicie (do których się najwięcej garnie młodych rodaków) wszelkie opuszczenia, spóźnienia się, nawet słuszną spowodowane przyczyną, są znaczne i decydują nie tylko o stopniach i dyplomach, ale zgoła o utrzymaniu ucznia w zakładzie, bez względu na zdolności, choćby celujące. Z programów, które tu znajdują w tej książce koledzy nasi, mogą już poznać trudności, jakie czekają kandydata na wstępie instytucyi, ale nierównie trudniej jeszcze utrzymać się w podobnej szkole i wydażyć szybkiemu biegowi nauk. Professorowie tak prędko w wykładzie swym postępują, tak bez zatrzymania się od jednego do drugiego przechodzą działu, tak wiele zostawiają uczniowi do wyrobienia, a nie

mając czasu do oceny jego zdolności, a nawet dobrej woli, tak wyłącznie sądzą po owocach, po wypracowanych zadaniach, po egzaminach, iż drobna, napozór mało znacząca opieszłość, może nieraz z kolei wytrącić zupełnie. Jedna tylko opuszczona lub niedobrze powtórzona godzina już tworzy taki szereg opóźnień, że niezwykłego trzeba wysilenia, aby je zapłacić. Profesorowie żądają nie tylko, aby każdego dnia lekcya była notowana, ale tegoż samego dnia przepisana, wyrzeczona; często nawet wypada, używając dzieł pomocniczych, przygotować się na lekcję następną, aby jej wykład zrozumieć, a nie liczymy już ćwiczeń, zadań, planów i t. p., tak ważnych i tyle czasu zajmujących. Pobyt w szkołach inżynierskich nie może w żadnym razie zgodzić się z wieczornymi zabawami, pogadankami, teatrami i t. d... Jeśli uczęszczanie do innych szkół nie ma być płochą zabawką, ludzeniem siebie i drugich; jeśli uczeń chce w istocie otrzymać stopień akademicki i uzdolnić się do jakiegoś wyraźnego a zaszczytnego powołania, musi on sam w sobie wywołać te środki przymusu i kontroli, któreby mu w szkołach specjalnych z zewnątrz przychodziły."

Bodajby te słowa, uczuciem braterskiej zyczliwości kręślone, przejęły tak młodzież naszą, jak rodziców i opiekunów jej, silnym poczuciem potrzeby nauki, która nie jest wcale zabawką, ale trudem i przygotowaniem do pełnienia świętych obowiązków w obranym ku pożytkowi społeczeństwa zawodzie (k).

---

*Abecadło, rysował W Gerson. 1860. Warszawa, nakładem G. Gebethnera i Wolffa.* Nie jest to abecadlnik do poznania liter służący, ale raczej album fantastycznych postaci ustawionych w sposób przypominający kształt większych, czyli początkowych liter alfabetu. Ten kaprys artysty może zabawić młodych rysowników chcących kopiować ładne figurki przez p. Gersona narysowane, ale zresztą do żadnego innego użytku ta książeczka posłużyć nie może, a najmiej do ułatwienia nauki czytania.

---

*Portrety Nie-Van-Dyka. Lwów. 1861.* Dzieło Józefa Szujskiego znanego chlubnie pisarza na polu dramatycznym. Korrespondent krakowski *Kuryera Wileńskiego*, w nr 55 z r. b., tak ocenia tę pracę młodego pisarza:

„Są to „Portrety”, ale najtrafniejsze, najestetyczniej uchwycone portrety. Jestto, rzeczby: można cudowne zwierciadło, które przedstawił utalentowany autor, zepsutej Galicyi, aby się jej wszystkie stany i klasy, przejrzały w nióm dokładnie, a przejrawszy się, aby poznały swe tysiączne wady ułomności, swe grzechy społeczne, swe choroby kastowe, rodowe i pańskie, swoje lenistwo do pracy i opuszczenie rąk w dążnościach dla dobra kraju, a poznawszy to wszystko, aby się poprawiły. Nie-Van-Dyk, dzwoni także na to kazanie. Ponieważ zaś wątpię, aby tam do was tak prędko zaszło to zacne dziełko, dla ogólnego więc oznajomienia was z nióm przytoczę tu wam treść jego. Po przedmowie, w której humorystycznie autor określa sam siebie i tłumaczy się, co go do napisania portretów spowodowało, następuje portret pod napisem: Szlachta i inteligencya. Następnie idą portrety te: wiejski polityk, słabe duchy, lekkie duchy, rycerze mgły, gorący. Tartuffe, mąż zaufania, szlachcie postępowy, szlachcie podupadający i szlachcie robiący pieniądze, odcienia pół-panków, arystokraci, wielcy panowie *rois fainéans*, pan wichrowaty, pan finansista, pan dekorowany, *jeunesse dorée*, kawaler *comme il faut*, tancerz prowincjonalny, literat młody, uczeni i niedouczeni, poetyczni młodzieńce, którzy się gniewają o to:

„Czemu ta ziemia nie jest popielatą

Lecz zieloną; lub czemu niebo nie jest złote:

Pielgrzymi na zrobioną z papieru Golgotę.

egzaltowane piękne panie i panienki (które myślą o pieniądzach), kobieta obiecy-swiat, dwie generacye. Jeszcze kilka portretów, jedność i stronnictwa i dwa ostatnie najżywotniejsze poruszające kwestye, bo kwestyę ludu wiejskiego i kwestyę żydów.“

**O Ruchu muzycznym** mówiliśmy w zeszycie sierpniowym. Wśród artykułów, czysto specjalnych, poświęconych muzyce, znajdujemy i takie, które obszerniejsze sfery zajmują, do takich policzamy w nr. 34, p. n. *Gdzie idziemy?* i *Kilka słów o teatrze*, które poniżej jako godne upowszechnienia w całości podajemy. Ruch muzyczny redagowany wybornie przez Józefa Sikorskiego, pisarza pełnego talentu i wytrawnego sądu, którego pióro nie tylko w zakresie muzycznym tak świetnie się odznacza, ma być zamienionym na *Pamiętnik muzyczny i teatralny* od nowego roku, i objąć w ramy swoje tak teatr narodowy w Warszawie,



jak w całej Polsce a zarazem i literaturę dramatyczną. Przez to zyskując na urozmaiceniu i większej popularności, ma nadzieję szczerze dotychczasowe kółko swoich czytelników (trzystu), powiększyć. Plan to dobrze obmyślany, a przy spodziewanej nowej organizacji teatrów warszawskich, która ma im wrócić dawną dążność i znaczenie, przy traktowaniu literatury dramatycznej tak krajowej jak zagranicznej, nie wątpimy, że *Pamiętnik* projektowany, znajdzie większe daleko upowszechnienie niż je ma dzisiaj.

### „Gdzie idziemy?”

Są tacy, którzy się niepokoją jednostronnością kierunku naszej muzykalności i w ogóle postem artystycznym, w którym żyjemy. Mniemamy, że post długo nie potrwa i jednostronność także. Okoliczności przywiodły nas w pewne stadyum, one nas także z niego wywiodą i dalej poprowadzą.

Przodkowie nasi słynni byli z pobożności, więc pieśń pobożna wielkie miała znaczenie w ich życiu prywatnym i publicznym, bo w narodzie naszym nieraz życie prywatne znakomitego męża bywało życiem publicznym, a duch rzeczypospolitej władał domową zagrodą. Pieśń, zaś to jeden z gorętszych objawów pobożności, jest dowodem rozpłomienienia i jego czynnikiem; trzeba bowiem albo być już wysoko nastrojonym, by się na pieśń zdobyć, albo za jej wpływem, wysokiemu uleść nastrojowi. Od niejakiego czasu, częściej niż dawniej, mamy sposobność doświadczać tego wpływu i znaczenia pieśni. Jest ona dla nas, czém bywała dla naszych przodków, czém będzie dla potomków: wspomnieniem przeszłości, dźwignią terażniejszości, orężem do zdobycia przyszłości. Bo pieśń pobożna, symbol i symptomat najwyższego podniesienia ducha, ku Najwyższej władzy, w modlitwie o najwyższe dobro, musi zawierać w sobie przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Trzy te chwile nieśmiertelnego bytu naszego, przenikające całą istotę pojedynczą, władające kierunkiem narodu całego, wpłynęły przeważnie od niejakiego czasu na naturę muzykalności naszej, na naszą pochoptność do muzyki. Gdzie się obrócisz, brzmi pieśń pobożna, artyści zdają się nią tylko trudnić, nakładcy nią się tylko zajmują. Żeby się w to nie wmieszała namiętność i spekulacja, powiedzieć nie można—ale trudno z niemi

walczyć, w czasie najsilniejszego ich rozwinięcia. Powiedzmy też prawdę: biada narodowi nie umiejącemu być szlachetnie namiętnym w danym razie, bo chybaby już nie miał życia w sobie; można wybaczyć spekulacyi, która namiętności karinę poddaje. Jedna i druga nie pójdą dalej niż pozwolą okoliczności; spokojnie więc na nie patrzymy i czekamy cierpliwie, póki nie przeminają.

Ale ponieważ są tacy, którzy się niepokoją dzisiejszą jednostronnością kierunku muzyki naszej, więc powiemy śmiało, że kierunek ten nie tak jest jednostronny jak się zdaje—ani nowy, od niejakiego czasu trwający. Naród cały nie może mieć zachceń chwilowych, bo jest wychowawcą własnej historii. Może tylko, a nawet musi, więc powinien silniej niekiedy oddychać, że tak powiemy; cyrkulujące w nim soki zmuszają go do tego. Naród każdy nie tylko wreszcie samego siebie tylko jest wychowawcą, ale i innych narodów, jak człowiek nie od siebie samego, ale i od całego społeczeństwa popęd bierze. Uznajmyż wreszcie, że nie my ludzie kierujemy wyłącznie naszymi sprawami; jest Opatrzność, która w duchu przepisanych przez siebie praw odwiecznych prowadzi świat cały do wiadomych sobie celów. My ludzie, narzędzia niezmiennej Jój woli, mamy się niekiedy za popychających Ją do celów, które za obmyślane przez nas uważamy. Działamy więc najzupełniej zgodnie z Jój rozkazami, i byle tylko je spełnić wedle naszego wewnętrznego głosu, nie troszczymy się o skutki. W zgodności naszego popędu z wolą Opatrzności jest dowód istnienia myśli przewodniczki—nie ma więc co obawiać się fatalności, żeby nas na jakie ciemne nie popchnęła drogi. Widne zawsze są one wybranym, widne narodowi całemu. Sztuka, jeden z objawów myśli i istnienia, idzie razem z ludzkością, i zbłąkać się nie może, choć się pozornie błąka. Ktoby tego jasno nie widział, to niech pomui, że gdyby jeden tylko kierunek myśli ludzkiej przewodził, życie nasze zwichnęłoby się stanowczo, a więc i sztuka, która jest jego obrazem. Jednostronność jój kierunku, prowadziłaby do jednostronnego władz narodu uprawiania, więc do szkód, których niepodobna cyframi wykazać; ale które na ubytku na spleśnieniu części naszego duchowego majątku pokazałaby się prędzej czy później. Do tego nie przyjdzie, bo samo społeczeństwo nasze na to nie pozwoli, nawet idąc za głosem tego samego ducha modlitwy, który na co raz szersze wprowadza nas pole.—Różne tam modlitwy spotykamy rodzaje.

Mamy tu mówić o pracach światowych a jednak nazywamy je modlitwą, i nie cofamy naszego wyrażenia, bo dla ludzi z ser-



cem, jakimi są zwykle artyści, jest ona we wszystkim do czego się serdecznie biorą.

Sztuka, wiadomo to dosyć powszechnie, nie koniecznie jest rozrywką—jest myślą także. A myśl szperająca po swych własnych głębinach, musi się tam spotykać z tém, co najświętszego w człowieku się znajduje: z myślą Bożą; jój uznanie jest także modlitwą w treści, choćby nią w formie nie było. Alboż forma jest wszystkim? alboż myśl cała w jednej wyrazić się zdoła formie?

Gdy kompozytor streścić musi swoją wiedzę, by wypowiedzieć co mu natchnienie, ta iskra Bożego ducha, rozświeca; gdy śpiewak drgnięciu serca posłuszny znajduje sposób najlepszy oddania myśli, która kompozytora natchnęła; gdy artysta dramatyczny na scenie domowej, gdy malarz na domorosłej sztuki wystawie, przedstawia najwspanialsze dzieło Boże: człowieka—choćby dla poprawienia go z przywar—nie oddają hołdu Istocie Najwyższej, źródłu wszelkiego dobra i piękna? nie modlą się do Niój za naród jego własnym językiem, w duchu narodu samego, skoro od niego wzięli pojęcia i sposoby swoje? nie popierają jego sprawy bezpośrednio, szczegółowo, choć w formie ogólnej, pośredniej? Gdyby tak nie było, aniby świat doszedł do tyłu gałęzi wiedzy, nie uznały był sztukę za coś istotnego, aniby składał genialnym jój przedstawicielom hołdy, których im nawet ciemne wieki średnie nie odmawiały. Myśl Boża w ludziach genialnych jak w ogniskach skupiona, największe rozjaśnia cienie. Także grubo one nas obsiadły, byśmy pogardzili dziś pewną odnogą sztuki, dlatego, że nas nie olśniewa? byśmy się wyrzekali kształcić nasz własny język, to echo nas całych, w sposób, w jaki on niemal najlepiej wykształcić się może, bo mową do wyrażenia ideału zdążającą? Także źle pojmujemy miłość bratnią, byśmy pragnąc z upadku się podnieść, zmuszali do bezczynności naszych braci, pragnących pracować z nami, dla nas i dla siebie? także mało cenimy zdobycze cywilizacyi, byśmy poniewierali niemi właśnie ubiegając się o te, które za najdroższe uznajemy? Ręka rękę myje—noga nogę wspiera; nie odcinajmy więc sobie dobrowolnie ręki i nogi, bobyśmy nie mieli czém obmyć i podierać drugiej.

W ogólnem gospodarstwie krajowem musi być równowaga czynności; gdy się ona zepsuje, może iść kulawe gospodarstwo czas jakiś—ale społeczeństwo tak długo pracować będzie, aż je poprawi, zgrzybiałe maszyneryi koła nowemi zastąpi; i gospodar-



stwo pójdzie dalej—choćby postawszy czas jakiś. To samo z gospodarstwem duchowém, to samo z jedną jego odnogą, sztuką; idzie ona za tantém, wszystkie jego losy dzieli. Ona sama nie ma dla siebie własnej autonomii, bo byłaby abstrakcją, urojeniem. Jój rzeczą iść za życiem, przeczuwać je, przepowiadać fazy jego niekiedy, i tym sposobem być jego dźwignią, pomocnikiem, ozdobą. Ale ono nie da sobie nic przez nią narzucić; bo nie z niej samój się składa. Bądźmy więc o nią spokojni. Symptomata jój mogą być z nią w niezgodzie. Z tą zaś prawdą jest jak z ciałem człowieka: gdy jedna jego część jest zagrożona, wszystkie inne chronić ją śpieszą. Ona im to odda w swym czasie....“

---

### „Kilka słów o teatrze.

Bywa to nieraz z człowiekiem, że kiedy na niego ciężkie spadną kłopoty, to mu się nie chce wiele z tego co go dawniej bardzo obchodziło; nie dba o przyjemności a nawet i obowiązki niektóre zaniedbuje, spełniając nowe, ważniejsze, naglejsze. W tém samym położeniu bywa niekiedy całe społeczeństwo, jest w niem dzisiaj poniekąd kraj nasz cały, a w szczególności Warszawa, a to względem jednej z instytucyj ważnych każdemu ucylizowanemu narodowi, będącej miarą wykształcenia, obrazem ludzi i obyczajów, symptomatem życia intelektualnego, podniętą do dobra i piękna, słowem wszystkiém, czém jest w kraju instytucja dźwigniona i podtrzymywana siłą narodu moralną. Łatwo zgadnąć, że mówić tu chcemy o teatrze, który od niejakiego czasu zamknięty z powodów, których tu wymieniać nie ma potrzeby, czeka niecierpliwie chwili, w której umysł społeczeństwa naszego do sztuki rozbudzi się na nowo, uzna potrzebę istnienia instytucji, przypomni sobie *obowiązek* względem narodu i pracujących w jego imieniu, dla jego dobra ludzi pojedynczych, połączonych z témże społeczeństwem jednością pochodzenia, dążności, opinij, uczuć i pożytecznych niezmiernie sprawie od ogółu unikowanej, choć pożytek ten uboczną zdaje się iść drogą na pomoc siłom narodowym. Lekceważyć téj pomocy nie będzie nikt, wiedzący jakie są źródła, w których siła moralna narodu się odświeża i wzrasta; wiedzący, że gdy jedno z tych źródeł nieprzyjazny jego kryszta-

łowi muł zasuje, to w ogólnem wszystkich źródeł zlewie, mniej będzie ożywych kropel i mniej czystych.

Więc jakkolwiek pojmujemy okoliczności, które podwoje teatru zamknęły u nas od niejakiego czasu, widzimy jednak, że zamknięcie to jeśliby jeszcze dłużej potrwać miało, naraziłoby nas pewnie na straty, które nie łatwo może powetować się dały, tém mniej, że nigdy strat w całości powetować nie można i lepiej nie tracić, niż się odbijać w okolicznościach przewidzieć się nie dających.

Teatr jako przedsięwzięcie, przedstawia dosyć znaczny kapitał, znacznych kwot bieżących na eksploataowanie go wymaga. Koszta te mało co są mniejsze przez to, że tylko do biernego wyczekiwania są użyte i stać się mogą z czasem ciężarem dla kraju, który je ponosi, nie biorąc od nich procentu moralnego, pomnażać mającego moralny narodu kapitał. Prawda, na ogólnym budżecie wydatków kraju mała to stosunkowa pozycja nie idzie zatem, żeby skazać się dobrowolnie na marnowanie miliona, gdy kilku milionów uratować nie można.

Nie myślimy tu na serjo przedstawiać tój kwestyi jako finansową, bo wiemy, że rachunek nie zawsze bywa jeszcze u nas rzeczą najważniejszą, jak też istotnie nie zawsze nią być powinien. Więc choć to także okoliczność godna względu i może zapatrywanie się czyjeś na rzecz zwrócić całkiem na finansowe pole, opuszczamy ją, by się powołać na przytoczony wyżej względ ważniejszy, bo moralny.

Jak człowiek zaniedbujący kształcenie jednej z władz danych sobie od Stwórcy, staje się niekompletnym i winnym wobec Jego sądu, tak się dzieje i z narodem całym. Sztuka jest jednym z objawów władzy pojmowania piękna nieodłącznego od prawdy. Jeśli więc darów naszych artystycznych nie używamy, nie kształcimy ciągle, stajemy się przeto coraz niekompletniejsi, coraz mniej siebie samych i dawcy darów odwiecznego mniej godni. Powie on do narodu, jak ów pan ewangeliczny do swego sługi: „Dałem ci tyle a tyle talentów, coś z niemi zrobił”?

Żeby nas od tego groźnego pytania uchronić, teatr nasz, to jest ludzie doń należący, krzątają się cichaczem jak mogą, by ich naród nie zastał nieprzygotowanych, gdy ich zawezwie do działania, w którym mniejsza o to, że ktoś zabawkę dla siebie upatruje, my widzimy istotny pożytek dla ogółu, tém większy, że instytucya myśli o wielu ważnych odmianach, których prze-



prorowadzenie tylko od okoliczności zależy. Kilkaset rodzin do teatru warszawskiego należących, przez pośrednictwo kilkuset pojedynczych osób, to także gromadka godna uwagi społeczeństwa miliony rodzin liczącego, może wiele działać i poprzeć kierunek ogółu, do którego należy i należeć pragnie serdecznie, czekając tylko okoliczności przyjaznych, by to okazać. Społeczeństwo też zapewne czuje obowiązek swój pielęgnowania instytucji, kierowania jej duchem, bo tym sposobem pielęgnuje swój rozwój, własne swe sprawy ma na względzie. Więc nie zapomnieniem ją gnębić, choćby w niej wady widziało, ale podnosić obywatelskimi ramionami, do obywatelskich posług ją uzdolnić. Gdyby dobrem było lekarstwem obojętnością wady leczyć, to nic łatwiejszego niż na takie lekarstwo się zdobyć. Ale nie martwym to oporem, nie niezastężonym zaniedbaniem złe się usuwa gdzie jest; lecz pieczą, miłością, bodajby walką, która przecież jest znamię życia i na każdym polu do zwycięstwa poprowadzić może.

Kilka tych myśli zdało nam się stosownym rzucić na papier, z powodu nowego dowodu czynności wewnętrznej w teatrze. Czasu tam nie marnują, lubo wyczekiwanie, oglądanie się na sprzeczne z sobą okoliczności, ani do obrania kierunku, ani do stanowczej jego wydatności nie pomagają. Robi się jednak co można. Nie powiemy nic o przyozdobieniu wewnętrznym, dopełnionym gruntownie z wielkim smakiem, elegancją i nie bez pewnej myśli; suknia zdobi, ale nie stanowi człowieka. Ale napomniemy ogólnie o przedsięwziętych artystycznych pracach w dziedzinie komedji, dramatu poważnego i opery, podtrzymujących to i owo z repertoaru dawniejszego, gotujących nie jedno nowe. Z nowego zacytujemy tylko jedno, bośmy wypadek długich stosunkowo starań przed kilkoma dniami oglądali. Byłoby przedstawienie kompletne jednej z oper Rossiniego, przez młodzież, że tak powiemy, szkolno-teatralną. Nie wymieniamy tu ani treści opery (choć nieznaną jeszcze u nas), ani nazwisk młodych artystów, ani wdawać się będziemy w rozprowadzanie nadziei, jakie powzięło o nich nieliczne grono artystyczne zebrane na to domowe, familijne prawie przedstawienie. Powiemy tylko, że nam to uobecniło w pamięci wszystko, co z powodu teatru myśli okolicznościowych lub ogólnych w naszym i w wielu obywatelskich ludzi tkwi pojęciu. Żał nam było prawie tych zabiegów, które skazane są może na zmarnowanie, żał owych wy-



trawnych artystów, do niedawnego jeszcze czasu różnym rodzajom sztuk oddanych, z wielkim naszym pożytkiem żyjących poprzednio na jasnym słońcu opieki publicznej, a dziś zapomnianych. Dary, które jak dawniej braciom składać są gotowi wedle swęj przemożności, są odtrącane; talenta, które kształcić ciągle pragną, rdzewieją; ci którym chcą pomagać do życia, o pomoc ich nie dbają, mówić o nich i z niemi prawie nie chcą. Do wszystkich goryczy ich zawodu przymieszała się jeszcze jedna, najprzykrzejsza ze wszystkich: wiedzą, że na nią nie zasłużyli, a żyć nią muszą; żal tylu dzieł pięknych już istniejących, które albo już były na scenie naszej, albo się wstąpić na nią gotują, albo wprowadzićby się na nią dały: żal owoców, któreby zbierać można na szczególomy i ogólny pożytek.

I powiedzieliśmy głośno tych oto słów kilka, jako echo coraz liczniej odzywających się głosów za instytucją, sztuką, artystami, za przeszłością i przyszłością poniekąd naszą; dla rozwagi i przypomnienia komu warto tego, co albo krzywo widziane albo odpychane jest z niesprawiedliwym oporem.

## WIADOMOŚCI Z NAUK.

---

### O MIJOCENICZNYCH GIPSACH I MARGLACH

W POŁUDNIOWO-ZACHODNICH STRONACH

KRÓLESTWA POLSKIEGO.

NAPISAL

*Ludwik Zejszner.*

---

**D**ługo krystaliczne trzeciorzędowe gipsy i z nimi jak najściślej połączone ilowe margle, rozwinęły się znakomicie w południowo-zachodnich stronach Królestwa Polskiego. Gipsy te nadały okolicom Buska, Wiślicy, Działoszyc i wielu innym właściwe wejrzenie, i sprawiają na zwiedzających głębokie wrażenie, dla swęj krystalicznej budowy.

Skąły te nie tworzą połączonej ciągłej warstwy, występują w pojedynczych skałach, rzadko na nieco obszerniejszych przestrzeniach bywają rozpostarte. Gipsy wraz z marglami rozdzieliły się w trzech okolicach: 1) przy Szkalbmierzu i Proszowicach, 2) w dolinie Nidy i 3) przy mieście Staszowie; a chociaż w dwóch pierwszych znakomite zajmują przestrzenie, połączenia ich bezpośredniego nie można dostrzec; jednakże wszelkie jest prawdopodobieństwo, że się łączą z sobą. Połączenie to zasłania gruby pokład gliny, nader znakomicie w okolicach Wisły rozwiniętej. Gipsy i margle są na wielkich przestrzeniach mineralogicznie zupełnie do siebie podobne, a gdzie wystę-

puje więcej ogniw, tam statecznie leżą na sobie w jednym i tymże samym porządku.

1. POMIĘDZY SZKALBMIERZEM A PROSZOWICAMI wypełniają gipsy zagłębienie 4 do 5 mil □ obszerne; od zachodu odgranicza one wzniesienie pomiędzy Miechowem, Słomnikami a Michałowicami, składające się z opoki: od wschodu wzniesiony grzbiet opoki, pod którym leżą wioaski Góry, Chroberz, Złota, Pelczyska; od północy wzniesienia piętrzące się nad Działoszycami; od południa kryją się pod gliną, która się ciągnie aż do Wisły nieprzerwanym pokładem. Gipsy i margle Szkalbmiersko-Proszowskie pokazują się zwyczajnie jako pojedyncze, nie połączone skały; pochodzi to głównie, że leżą pod grubym pokładem gliny, mającym często do 50 stóp; wznoszące się pojedyncze skały gipsowe lub marglowe, są na bokach pagórków lub w parowach.

2. GIPSY DOLINY NIDY dzielą się w zachodniej stronie na dwa ramiona: jednem sięgają do Bogucic poniżej Pinczowa, drugiem do Gotartowic; od połączenia w okolicy Buska wypełniają w części zagłębienia doliny Nidy i zajmują nierównie znaczniejsze przestrzenie jak poprzednie; nie pokrywają one grube pokłady gliny, lecz cienkie warstwy nawianego piasku; za Solcem już ani gipsów, ani margli nie widać, gruby bowiem pokład piasków naprowadzonych przez wody Nidy zakrywają skały znajdujące się pod nimi.

W zachodnim końcu góry Pińczowskiej, pomiędzy Bogucicami a Gotartowicami przedziela gipsowe i marglowe skały znakomity pokład wapienia heterosteginowego, z którego składa się podłużna góra Pińczowska: od Bogucic ciągną się te skały w dolinie Nidy przez Wołę Zagościa ku Buskowi, drugiem czyli wschodniem ramieniem, począwszy od Gotartowic przez Chwałowice, Chrabków, Szaniec do Buska; odtąd łączą się i z małemi przerwy ciągną się za Wislicę do Solca; z tą różnicą, że pomiędzy Wislicą a Bogucicami i Gotartowicami gips, w niższych częściach porzeczka Nidy margle przeważają.

3. PRZY STASZOWIE niezbyt obszernie rozwinął się gips, zajmuje przestrzeń prawie milę □ obszerną.

Pusch (1) sądził, że gips w południowo-zachodnich stronach Królestwa należy do wierzchniego ogniwa formacji kredowej, gdyż spoczywa na opoce, a w Czarkowach ma się z nim ściśle łączyć pokład siarki; opoka zaś zawiera wielkie okazy *Ananchites ovata*. Bliższe jednak badania wykonane przezemnie w r. 1857, 1858 i 1859 przekonywają, że ten wniosek nie jest usprawiedliwionym, gips

(1) Pusch Geognostische Beschreibung von Polen. T. II. str. 358-363,



leży bowiem na wapieniu heterosteginowym, w parowie zwanym Doły Łabędzia pod Działoszycami i przy Szańcu, należącym do młodszych ogniów trzeciorzędowej formacji, do mijocenicznój. W Dołach Łabędzia znajduje się gips na swój północnej granicy, i to jest przyczyną, że bardzo ścięczał; grubość jego wynosi 8 stóp, a nawet trzy stopy nieco dalej; pokrywa go margiel jasno-szary, grubo-łupkowy, zmieniający się w cienko-łupkowe, które znów spoczywają na wapieniu żółtawo-białym, z rzadko rozdzielonemi skorupkami *Heterostegina Puschii*.

#### N. 1. PRZECIĘCIE W SZANCU.

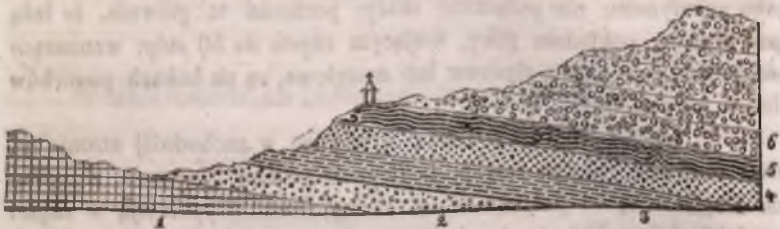


Fig. 1.

1. Opoka.
2. Spodni wapień heterosteginowy.
3. Gips długokrystaliczny
4. Gips drobno-ziarnisty.
5. Piaskowiec łupkowy.
6. Wierzchni wapień heterosteginowy.

W samej wiosce Szaniec, pod kościołem znajduje się jeszcze ważniejsze przecięcie, które dowodzi niewątpliwie o wieku trzeciorzędowym pokładów gipsu w Polsce. Gips Szańca spoczywa, jak w Dołach Łabędzia na wapieniu heterosteginowym, a tenże na opoce obszernie rozwiniętej pomiędzy Buskiem a Szańcem, w następującym porządku, zaczynając od dołu. fig. 1. 1) Opoka. 2) Białawy wapień spodni heterosteginowy rozciągający się na proszek, z rzadkimi, lecz wyraźnymi skorupkami *Heterostegina Puschii*. 3) Gips wielokrystaliczny przemienia się 4) w gips drobnokrystaliczny, białawy z wydzielonemi z rzadka większemi kryształami i pokłady gipsu: razem są każdy około 40 stóp grube. 5) Piaskowiec drobno-ziarnisty, jasno-szary, grubo-łupkowy, układa się naprzemian z warstwami piasku, tworzy razem pokład około 30 stóp gruby. 6) Wapień białawy, czyli wierzchni heterosteginowy drobno-gruzełkowany, okrywa piaskowiec, a tem samém i gips. Niektóre jego warstwy składają się z samych skorupki *Heterostegina Puschii*, wraz z innymi skamieniałościami, i dochodzą do 3ch lub 4ch stóp grubości. Pokład tego wapienia jest najgrubszy z wymienionych, wynosi bowiem 150 do 200 stóp: z niego składają się wysokie grzbieity nad Szańcem, Pińczowem i t. d.

Dwa te przecięcia pod Działoszycami i Szańcem okazują, że gips i z nim ściśle połączone margle w południowo-zachodnich stronach Polski, zawarte są w środku wapienia heterosteginowego, a tém samém należą do trzeciorzędowej, mijocenicznój formacyi.

Przyczyna tak odmiennego ocenienia wieku przez Puscha, pochodzi, że nie we wszystkich miejscowościach rozwinęły się wymienione ogniwa mijoceniczne; powszechnie jedno, albo dwa leżą na sobie, w innych miejscach bywa tylko więcej i to jest wyjątkowym przypadkiem, jak w Dołach Łabędzia i przy Szańcu, gdzie się cały szereg pokładów rozwinął: w tych stronach wykonano kilka otworów świdrowych, a gdzie zostały wykonane, okazała się znaczniejsza liczba pokładów. Przyczyna nie osadzania się różnych ogniw mijocenicznych w porządku, jak następowały, pochodzi, że albo dno morza zmieniało ciągle swą głębokość, albo że w różnych czasach morze nie miało jednakowo wysokich brzegów. Widać, że podziemne siły ciągle wynosiły i zagłębiały dno morza, a w zagłębieniach chwilowo trwających osadzały się w owczesném morzu niektóre osady: ztąd pochodzi, że każdy z nich jeden, rzadziej kilka osadziło się pokładów na opoce formacyi kredowój. Wiek pojedynczego pokładu nie zawisł od skały, na której spoczywa bezpośrednio: jest to bowiem po prostu spód twardy.

Wierzchnie ogniwo formacyi kredowój czyli opoka, jak onę lud nazywa, służyła za spodek pomiędzy Wisłą a górami Kieleckimi formacyi mijocenicznój, na której następujące ogniwa odróżniają się dokładnie.

1. SPODNI WAPIEŃ HETEROSTEGINOWY, marglowy, ziemisty, jasno-szary, lub żółtawo-biały; czasem łupkowy, zwyczajnie podzielony w grube warstwy: zawiera *Heterostegina Pushii*. Bardzo znakomicie rozwija się na północ od Działoszyc, widać go w Dołach Łabędzia, pod Sancygniowem, przy Książu Małym i Wielkim, przy Rzędowicach, Uniejowie i przy Szańcu.

2. IŁOWY MARGIEL, ciemno-szary, mniej więcej zawiera domieszanej soli kuchennój; na znaczniejszej przestrzeni występuje we wsi Hołdowiec, przy Kobylnikach, w Gniazdowicach pod Proszowicami, w Miernowie przy Pełczyskach, w Strożyskach przy Wislicy, w Gadawie pod Solcem.

3. GIPS DŁUGO-KRYSTALICZNY. Często kilka stóp długie kryształy, dwójakowato zrosłe, spajają mniejsze kryształy, albo jasno brunatny margiel. Pokład ten 40 do 60 stóp gruby, sterczy często skalisto w wielu miejscach: wyjątkowo zmienia się w drobno-ziarnistą odmianę, a w niej wydzielają się wielkie kryształy bezbarwnego, a przezroczystego gipsu.



4. GIPS ŁUPKOWY powstaje przez domieszanie iltu; zmienia się z grubo-łupkowego w cienko-łupkowy; czyste odmiany pokazują nieco budowę ziarnistą, zwyczajnie bywa skrytokrystaliczną. Barwa zwyczajnie jasno-brunatna, rzadko ciemno-niebieskawo szara. Rzadko tworzy pokład więcej jak 20 stóp gruby.

5. PIASKOWIEC DROBNOZIARNISTY, jasno szary, układa się naprzemian z ruchomym piaskiem. Pokład ten ogranicza się na nie wiele miejscowości, jako to: Tępoczów, Szaniec, Mały Książ; często na polach walają się pojedyncze kawałki piaskowca wśród roli, jako to: przy Łyszkowicach i Gniazdowicach.

6. WIERZCHNI WAPIEŃ HETEROSTEGINOWY, biały, niekiedy wpada w żółtawy, żółtawo-brunatny; składa się z jednostajnego wapienia, niekiedy zlepia drobne ziarna pochodzące z rczkruszonych ułamków zwierzokrzewów i skorupki heterosteginów: z tych organicznych części składają się pokłady na kilka stóp grube. Wapień ten osadził się najgrubiej z wymienionych, rozwija się bardzo znakomicie przy Szańcu, Pińczowie, gdzie tworzy do pół mili długie grzbiety, mające zupełnie proste linie, a ich kontury nadają właściwą fizyonomią tym okolicom.

Prócz tych głównych skał pokazują się niektóre inne, jednakże na małe przestrzenie ograniczone, to jest: wapienie i stwardniałe margle spoczywające nad gipsem. Wapień pomiędzy Pietrkowicami a Pośadzą na pierwszy rzut oka podobny do wapienia jura krakowskiego, jest białym i jednostajnym, zawiera krystaliczną siarkę, otoczoną miejscami ciekawą powłoką białawego gipsu. Zdaje się, że wapień ten spoczywa na gipsie, albowiem zajmuje najwyższą część grzbietu, w którego spodzie rozwija się gips przy Pietrkowicach. Szare wapienie z odciskami pektenów pod Staszowem, czy spoczywają nad gipsem nie masz pewności. Oliwkowe wapienne margle jednostajne, przy Czerwonym Chotlu, przy Wislicy w pagórkach Kardynała zdają się leżeć pod gipsem. Ten szereg ogniw, jak się nadmienilo wyjątkowo, pod Szańcem i Działoszycami osadził się prawie w zupełności; pospolicie jeden lub dwa ogniwa widać na opoce, w innych miejscach widać tylko jedno, albo nie są odsłonięte, a o ich bytności wiercenia tylko przekonywają.

Przyczyna tego pochodzi, jak to wyżej nadmienilem, że w czasie osadzania się tego osadu trzeciorzędowego, spodek opoki wznosił się i zagłębiał się nieustannie, przez podziemne siły wstrząsany. Nim się zaczęły osadzać mijoceniczne gipsy i z niemi połączone ogniwa, dno opoki nie było równą płaszczyzną: już wtedy znajdowały się długie grzbiety i zagłębienia, a w ostatnich osadzały się trzeciorzędowe



ogniwa. Najznaczniejszy pomiędzy niemi jest grzbiet opoki, rozciągający się pomiędzy wioskami Góry a Pelczyskami: na obydwóch jego bokach osadził się gips, w południowej stronie: gruby pokład gliny zakrywa ich połączenie, jako i związek zachodzący z gipsami Staszowa.

Często wstrząsane dno opoki, podczas tworzenia się formacji mijocenicznój, czyli podczas osadzania margli i gipsów, sprawiło, że często widać wapienie heterosteginowe, stanowiące najniższy pokład, nie pokryte żadnym późniejszym ogniwym, jak to przy Uniejowie, Rzędowicach, Boczkowicach, Święcicach, Sancygniewie. W Hołdowcu na znacznej przestrzeni rozwinął się ilowy margiel nad wapieniem osadzony, który jak się zdaje z poszukiwań świdrowych, spoczywa na wapieniu heterosteginowym. W Dołach, w parowie zwanym Łabędzia, przy osadzie żydowskiej Łabędź pod Działoszycami, na heterosteginowym wapieniu, bez przegradzającego ilowego marglu, leży długo-kryształiczny gips; pomiędzy Wislicą a Bogucicami gips pokrywa bezpośrednio opokę, jako i w długim grzbiecie w Woli Zagościa, w Gorysławicach pod Wislicą. Niekiedy pojedyncze ogniwa widać jedne na drugich, i tak łupkowy pokrywa gips długo-kryształiczny, jako to: w Gorysławicach, Małoszowie, Ciuślicach, Łaszowie. Wyjątkowo wapień spodni heterosteginowy, gips, piaskowce i wapień wierzchni heterosteginowy bywają razem osadzone, jak to w przecięciu Szańca opisałem. Wapień wierzchni heterosteginowy, nawet bez przegradzających młodszych ogniw, leży bezpośrednio na opoce, co widać na wielkiej przestrzeni w górze Pińczowskiej.

W niniejszej rozprawie opiszę tylko średnie ogniwa mijocenicznego osadu, to jest margle ilowe i z niemi jak najściślej połączone ogniwa gipsu, gdyż te pokłady ściślej rozpoznawałem.

1. IŁOWY MARGIEL znajduje się w stanie ziemistym, zwyczajnie bez oddziałów łupkowych, niekiedy i te występują: częściej bywa grubo-łupkowym, wyjątkowo cienko-łupkowym, barwy ma szare, po zwilżeniu czarniawo szare, prawie czarne. Po tej barwie, łatwo zdaleka poznać jego granice przy Hołdowcu, gdzie całe pola składają się z tej odmiany, tudzież w Gałowie, gdzie ma taką barwę; pojedyncze zaś ściany pokryte gliną, przy Kobylnikach, Miernowie, poznać łatwo po czarnej barwie. Obcych, domieszanych minerałów mało zawiera: w Hołdowcu pokazywały się w nim małe kawałki gipsu i lignitu z wyraźnymi słojami. Pusch spomina, że przy ujściu Nidy do Wisły, zawierają te margle lignit, tego jednakże nie można teraz uważać, cały bok w Winiarach okrywa żółta glina mamutowa. Margle te w małej ilości mają domieszana sól kuchenną, wykwitającą na bardzo wielu miejscach: na czarnych marglach widać sól przy Dziekanowicach

pod Działoszycami nad Nidzią, w Gadawie w dolinie Nidy; czarne margle na polach Hołdowca pokrywa cienka powłoka soli białej. Z wypłukania tych margli pochodzą zapowne wykwity soli kuchennej pomiędzy Rzędowicami i Gniazdowicami, na przestrzeni 300 sążni kwadratowych, tudzież na łąkach pomiędzy Gniazdowicami i Proszowicami. W Hołdowcu warstwuje naprzemian z iłami marglowymi grubo-ziarnisty piasek na 2—3 stóp grubo, niekiedy nierównie grubszy, jak o tém przekonywa otwór świdrowy w Hołdowcu wykonany. Również grubym jest osad tego marglu w Gadawie przy Solcu, według Puscha; jeszcze potężniej osadził się w Gniazdowicach ten margiel, leżący nad i pod drobno-ziarnistym gipsem: pokład jego wynosi około 220 stóp. W Łaszowie leży na wielko-ziarnistym gipsie pokład marglu, około 10 stóp gruby, zawierający warstwę stwardniałego marglu 4—6 stóp grubo.

Wykaz miejsc, w których występują szare margle, poczynając od najwięcej na północ posuniętych miejscowości:

- |                        |                              |
|------------------------|------------------------------|
| 1. Parowy za Łabędziem | 10. Sietejów przy Maloszowie |
| 2. Jakóbowice          | 11. Zakrzów                  |
| 3. Januszowice         | 12. Łaszów                   |
| 4. Działoszyce         | 13. Gniazdowice              |
| 5. Bronocice           | 14. Miernów                  |
| 6. Rosiejów            | 15. Sobaczów                 |
| 7. Dziemierzycy        | 16. Gadawa                   |
| 8. Kobylniki           | 17. Ujście Nidy do Wisły.    |
| 9. Hołdowiec           |                              |

2. DŁUGO-KRYSTALICZNY GIPS. Składa się z wielkich, długich kryształów, zrosłych w dwojaki; długość ich wynosi jedną, a nawet dwie stopy, niekiedy dochodzi nawet do 6 i 10 stóp; wyjątek ten uważałem w ścianach gipsu przy Gorysławicach pod Wiślicą; zwyczajnie mają 6—8 cali długości. Kryształy te nie są proste, lecz krzywią się, podobnie jak mróz na szybach. Szczególniej dobrze widać to w wielkiej ścianie gipsu w Gorysławicach, w Nadoli przy Busku, w Słupowie. Te kryształy mają barwę jasnego wina, albo ciemno brunatną i są w półprzezroczyste, niekiedy bywają szare, co pochodzi od małej ilości domieszanego ładu, i dlatego są nie przezroczyste i nie przeświecają na krawędziach. Długie kryształy łączą mniejsze, wypełniając miejsca próżne, rzadziej spojenie to sprawia drobno-ziarnisty gips. W dolnych częściach tego pokładu kryształy gipsu tkwią w jasno-brunatnym, ziemnistym marglu, burzącym się mocno w kwasach: lepsze to niekiedy równa się prawie, co do masy gipsowi. Jednakże ilości marglu bywają bardzo zmienne, pospolicie, przeważają w dol-



nych warstwach, w górnych zwyczajnie są czyste gipsy. W niektórych miejscach, w środku pokładu długo-kryształicznego gipsu wydziela się węzłami odmiana drobno-ziarnista, biała, czyli alabaster; jego ziarna zwyczajnie nie są bardzo spojone, za lekkim naciśnieniem rozpadają się w proszek, dlatego alabaster ten niezdatny do szlifowania. W Działoszycach znajduje się onego znaczniejsza bryła, 10 stóp długa, a 5—6 stóp gruba; w Ciuślicach są pojedyncze kule mające 5—6 cali w średnicy, miejscami bardzo liczne. W Małoszowie wydziela się w gipsie bardzo znakomita bryła marglu jasno-szarej barwy, który w proszek zwykły się rozpadać.

W Działoszycach wśród grubo-ziarnistego gipsu znajdują się jakby węzły napełnione proszkowym jasno-brunatnym manganitem, zmieszane w części z proszkowym limonitem, jasno pomarańczowej barwy; niekiedy mieszają się te dwa minerały, a węzły ich czasem mają prawie stopę w średnicy.

Pomiędzy Zakrzowem a Pietrkowicami zastępuje długo-kryształiczny gips odmiana drobno-ziarnista, przemieniająca się w niewyraźnie ziarnistą. W tej odmianie wydzielają się pojedyncze kryształy blaszkowego gipsu, szarej barwy, na krawędziach przyświecające, dochodzące często do bardzo znacznych wymiarów, 6—18 cali miewają dwa wymiary. Pospolicie do drobno albo skrytoziarnistej odmiany gipsu domieszczywa się margiel, wtedy przechodzić zwykły w łupkową odmianę i nieustannie panuje wahanie pomiędzy dwiema temi odmianami.

W Gniazdowicach, Pietrkowicach do tego stopnia przeważa łupkowa odmiana, że czysty gips naprzemian układa się z łupkowym marglem; ostatni minerał łatwo po burzeniu odkryć się daje.

Prócz siarki, manganitu i limonitu, innych obcych domieszanych minerałów, niezawiera ten pokład, i te minerały nie znajdują się w wielkiej ilości. W Pietrkowicach znajduje się siarka w stanie jednostajnym, słomiasto żółtej barwy, niekiedy wpada w jasno-brunatną; blask ma słaby, prawie bez blasku, nie przezroczysta; znajduje się rozrzucona w drobnoziarnistym gipsie w kawałkach kulkowatych, często dochodzących do wielkości orzecha włoskiego; większe i mniejsze ułamki tkwią obok siebie w gipsie, jakby pochodziły z rozbicia większej bryły: niekiedy łączą się one żyłkami. Często siarka tkwi w szarym marglu, w którym wydziela się białawo-szarawy margiel, mający linie proste i przypomina feldspat wydzielony w porfirach.

W długokryształicznych gipsach pomiędzy Pietrkowicami a Koniuszą, są również rozsiane drobne ziarna siarki; wiarogodni ludzie opowiadali mi, że siarkę rodzimą znajdowano w gipsach w Gniazdowicach podobnymże sposobom. Wszelkie jest prawdopodobieństwo, że



ten minerał znajduje się na wielu innych miejscach w gipsie; bytność onego wskazują siarczane wody tryszczące w tej okolicy, jako to: przy Dziekanowicach, Małoszowie.

W jakich stosunkach do gipsu zostaje pokład siarki w Czarkowach, nie można oznaczyć; tyle tylko jest pewnego, że spoczywa na opoce: w pobliskiej granicznej wiosce Żukowice, sterczą skały długo-kryształicznego gipsu, ale związku pomiędzy nimi nie widać.

Aczkolwiek ten pokład składa się z wielkich kryształów, pokazują się niekiedy w nim oddziały warstwom odpowiadające; zwyczajne warstwy są bardzo grube, 12—18 stóp, a co szerególniejsza z grubszymi naprzemian układają się cieńsze warstwy, mające 2—3 stopy. Widać to dobrze w Gorysławicach pod Wiślicą, w Winiarach pod Zagościem.

Wykaz miejsc, w których sterczą skały długoziarnistego gipsu :

- |                       |                     |
|-----------------------|---------------------|
| 1. Parów za Łabędziem | 18. Łyszkowice      |
| 2. Działoszyce        | 19. Luborzycza      |
| 3. Jakóbowice         | 20. Chwałowice      |
| 4. Ciuślice           | 21. Szaniec         |
| 5. Niewiatrowice      | 22. Bogucice        |
| 6. Bronocice          | 23. Nadola          |
| 7. Słupów             | 24. Siesławice      |
| 8. Sielec             | 25. Bieniutki       |
| 9. Zakrzów            | 26. Winiary         |
| 10. Małoszów          | 27. Zagojska wola   |
| 11. Raclawice         | 28. Skotniki        |
| 12. Lelowice          | 29. Chotel Czerwony |
| 13. Gaik Goliszewka   | 30. Gorysławice     |
| 14. Markocice         | 31. Wiślica         |
| 15. Gniazdowice       | 32. Górki           |
| 16. Pietrzkowice      | 33. Czarkowy        |
| 17. Posądzka          | 34. Żukowice.       |

3. GIPS ŁUPKOWY. Drobne cząstki domieszanego iłu, albo wydzielonego na oddziałach sprawiają łupkowatość; gips ten składa się właściwie z odmiany drobnoziarnistej, albo skrytoziarnistej; od ilości domieszanego iłu, zawisł stopień jego łupkowatości. Gips ten dzieli się w grubsze albo cieńsze łupki; cienkie są zaledwie 3—4 linij grube; w przełamie jest jednostajnym, albo skryto-kryształicznym; jeżeli ił domieszywa się obficie, powstaje przełam ziemisty. Odmiana łupkowego gipsu prawie czysta, dzieli się w grubsze łupki, mające pół cala i więcej, a nawet łupkowatość bywa nie wyraźną; wtedy ciemniejsze linie

pomiędzy jaśniejszemi wskazują oddziały. Barwa gipsu jest jasno-brunatna, albo ciemno-szara wpadająca w niebieską; brunatne ubarwienie pochodzi od bitumicznych części, przejmujących tę skalę; łatwo o tém przekonać się można, rysując ułamki nie wystawione na działanie powietrza, wydają statecznie odory skalnego oleju.

Oznaczyć grubość tego pokładu gipsu nie łatwo, gdyż zwyczajnie jest okrytym; nie zdaje mi się, aby 20 stóp przenosił. W ogólności pokład ten cieńszym jest od długokrystalicznej odmiany, a grubość nie wytrzymuje na większych przestrzeniach. Nie we wszystkich miejscach, w których widać odsłonięty ten pokład, leżą warstwy poziomo, często nachylają się pod niezbyt wielkim kątem na wschód, wyjątkowo na południe, jak to załączony spis pokazuje.

Jakubowice nachylenie łupków na wschód pod 33°

Sielec „ „ na południe 10<sup>h</sup>ora 5°

Raclawice „ „ na zachód — 15°

Lelowice „ „ na południe 4—5<sup>h</sup>ora 15°—25°

Dalowice „ „ na wschód 7<sup>h</sup>ora 15°

Pomiędzy Konarami a Szczytnikiem wschód 10°

Spis miejsc w których występują łupkowe gipsy:

- |                       |                        |
|-----------------------|------------------------|
| 1. Ciuślice           | 14. Markocice          |
| 2. Parów za Łabędziem | 15. Lelowice           |
| 3. Pierocice          | 16. Pałecznicza        |
| 4. Słupów             | 17. Błogocice          |
| 5. Łaszów             | 18. Dalowice           |
| 6. Bolowice           | 19. Kowary i Szczytnik |
| 7. Małoszów           | 20. Gniazdowice        |
| 8. Zakrzów            | 21. Pietrzkowice       |
| 9. Sielec             | 22. Przeclawice        |
| 10. Kościejów         | 23. Łyszkowice         |
| 11. Głubczów          | 24. Biórków mały       |
| 12. Raclawice         | 25. Baran.             |
| 13. Dziemierzyce      |                        |

Podrzędne skały zostające w ścisłym związku z gipsem:

1. WAPIEŃ BIAŁY, jednostajny; na pierwszy rzut oka zupełnie podobny do wapienia krakowskiego gębkowego, formacji Jura, lecz niema oznaczonych oddziałów; zwyczajnie bywa podzielony w grubsze warstwy, lecz dla licznych poprzecznych oddziałów, trudniej onych dostrzegać: miejscami cały ten osad jest jakby skruszony, składa się z ułamków wielkości orzecha włoskiego, lub jabłka, z powierzchnią szarą chropowatą. W tym czystym wapieniu wydzielać się zwy-

kła siarka rodzima, z wyraźną budową krystaliczną, pięknej siarkowo-żółtej barwy, przeświecająca, z blaskiem mocnym tłustym, wpadającym w dyamentowy. Siarka wypełnia niekiedy żyłki, nieoznaczenie wijące się, albo jest wrosłą w kawałkach większych od orzecha włoskiego, lub tworzy grubsze żyły ( $\frac{1}{2}$  cala) grube. Siarka zwyczajnie nie styka się z wapieniem, chociaż i to się wydarza, zwyczajnie przedziela one powłoka drobno ziarnistego gipsu, białawego: przy samém zetknięciu siarki bywa niekiedy minerał czarny, niewiele linii gruby. Przy siarce są w wapieniu małe pęchorzyki wysłane krystalicznym kalcytem, a na nim siarka; dotąd kryształów nie udało się znaleźć. Gips krystaliczny ciemno-szary także się wydziela.

Wapień ten uważałem tylko w górze Wyzrań w Pietrkowicach, po nad Posądzą, gdzie stanowi wyniesiony grzbiet, a w spodzie onego na południowej stronie pod Posądzą jest gips trzeciorzędowy, jako i na północnej stronie w Pietrkowicach. Gruby pokład gliny powlekający wapień i gips, nie pozwala rozpoznawać stosunki zachodzące pomiędzy temi dwiema skałami. Pod Staszowem znajduje się także spoisty wapień w pobliżu skał gipsowych, nie jest wszakże białym lecz szarym, z niewyraźnymi odciskami Pektenów.

2. MARGLOWY WAPIEŃ oliwkowo-szary, jednostajny, z przełamem płasko-muszlowym, dzieli się w cienkie warstwy w pagórku nazwanym Kardynała pod Wiślicą; zdaje się spoczywać pod długokrystalicznym gipsem; w Chotlu Czerwonym zajmuje znaczne części pola, okryte czarnej rędziny warstwą, zaledwie pół stopy grubą.

Opisawszy skały wchodzące do formacji mijocenicznej opiszę pojedyncze miejscowości.

Fig 2. PRZECIĘCIE W DOŁACH ŁABĘDZIN POD DZIAŁOSZYCAMI.



1. Próchnica.
2. Gлина żółta.
3. Gips długokrystaliczny
4. Margiel szary grubolupkowy.
5. Margiel cienkolupkowy.
6. Wapień marglowaty heterosteginyowy spodni
7. Wapień biały ziemniasty.

Doły za Łabędziem. Na północ od tej kolonii ku Iżykowicom są bardzo głębokie parowy; w jednym z nich, w pobliżu ról należących do kolonii widać pokłady w następującym porządku ułożone.



PARÓW PIERWSZY poczynając od wierzchu:

1. Próchnicowata glina 2 stopy gruba.

2. Glina żółta 8'.

Formacja mijoceniczna.

3. Biały margiel proszkowy 1'.

4. Margiel łupkowy jasno-szary 4'.

5. Wapień margłowy dziurkowaty, jasno-szary, miejscami wpada w brunatny z *Heterostegina Puschii* 3'.

6. Margiel łupkowy podobny do N. 4. 8' gruby.

7. Wapień białawy jednostajny, z przelamem nierównym 12'.

8. Wapień margłowy szary, jednostajny.

PARÓW DRUGI bardziej na północ położony, od wierzchu poczynając. (fig. 2).

1. Próchnica 6'.

2. Glina żółta 12'.

3. Gips długo-krystaliczny, ciemno-szary, tworzy pokład zmiennej grubości, nie grubszy nad 8'; ściąga się miejscami do trzech stóp, i w tedy warstwa staje się niewyraźną, gips zastępuje margiel, z którym tkwią wielkie buły gipsu.

4. Margiel szary, grubo-łupkowy 2'.

5. Margiel cienko-łupkowy, bardziej jasny 12'.

6. Wapień margłowy dziurkowaty, jakby z drobnych gruzełków złożony, jasno-szary, miejscami wpada w brunatny, z licznymi soczewkami *Heterostegina Puschii* 5'. Skala ta służy do budowy, wyrabiają z niej pewien rodzaj większych cegiełek. Pokład ten, odpowiada pokładowi N. 5 poprzedniego parowu.

7. Wapień biały ziemisty, nieco margłowy.

Szczególna zachodzi tutaj okoliczność: w pobliskim parowie, około 200 kroków dalej na północ położonym, 50 do 70 stóp głębokim, boki jego składają się z niewątpliwiej opoki, co dowodzą odciski Inoceramów. Glina podobnie jak w dwóch pierwszych parowach, pokrywa tak opokę jako i trzeciorzędowe osady, z których składa się wyżyna.

W lesie Brzozówki, przy folwarku Jewinów należącym do Sancygniowa, są głębokie parowy, w których widać sam wapień margłowy ziemisty, zendrowato-żółtawej barwy, przepelniony skorupkami *H. Puschii*. Wapień ten dzieli się w warstwy kilka stóp grube, zwyczajnie bywa grubo-łupkowym, grubość łupków przechodzi od 2 do 5 cali. I tutaj bezpośrednio na wapieniu spoczywa glina 30 do 40 stóp grubym pokładem; prawie w jej środku wydziela się na 4 stóp grubo

warstwa próchnicy; dowodzi to, że ta urodzajnością odznaczająca się ziemia, tworzyła się w różnych odstępach czasu.

Założono oddawna w wapieniu heterosteginowym łomy i łudują z tego kamienia domy w Działoszycach i w osadzie Łabędź; już w średnich wiekach kościół gotycki w Działoszycach z tego wapienia wystawiono. Dziwna rzecz, dla czego w tej części kraju, ubogiej w lasy, ten wyborny kamień, łatwo dający się obrabiać w ciosy, tak mało jest używany.

Działoszyce pół mili dalej na południe od parowu Łabędź, występuje długo-ziarnisty gips; wielkie skały z tej odmiany sterczą w samémże miasteczku, na drodze zaś prowadzącej do cementarza żydowskiego, w rowie drogowym znajduje się łupkowy gips brunatnej barwy. Skały długo-krystalicznego gipsu przenoszą się ku Jakubowicom, przytykającej wioski; w Januszowicach stykających się z Jakóbowicami już nie masz gipsu, tylko w potoku, w samejże wiosce, pokazują się szare margle okryte gliną. Wierzchnia część gipsu Działoszyckiego jest prawie czystą, w spodniej spajają wielkie kryształły jasno-brunatny margiel.

Wśród długo-krystalicznego gipsu wydziela się drobno-ziarnisty biały, nieco w szare wpadający gips i tworzy wielki węzeł, prawie na sążen wielki. W innych miejscach wydziela się znów proszkowy manganit, czarny jak sadze, obwiedziony proszkowym limonitem, pomarańczowej barwy, z czarnymi żyłkami manganitu. Niekiedy dwa te minerały mieszają się z sobą i tylko po barwie dają się odróżnić. W Działoszycach wykonany został otwór świdrowy w spodku łomu gipsowego, nad którym wznosi się wysoko ta skała, bo około 60 stóp. Robiono tutaj poszukiwania na sól i następujące warstwy przewiercono poczynając od góry:

1. Gips długo-krystaliczny przewiercony został 3 stopy, pod tym znajduje się.
2. Piasek z ilem 6 stóp.
3. Margiel niebieskawo-szary 26 stóp.
4. Wapień grubo-ziarnisty 2 stopy.
5. Wapień biały ziemisty 2 stopy.

Dwie ostatnie warstwy zapewne należą do wapienia heterosteginowego.

Naprzeciw od Działoszyce, ze strony zachodniej rozciąga się długi, wysoki grzbiet, składający się głównie z opoki, pokryty gliną: pomiędzy Szczotkowicami a Bronocicami w trzech miejscach występuje na małych przestrzeniach gips, poprzerwany opoką. O istotnej roz-

ciągłości nie można nic pewnego powiedzieć, gdyż zwyczajnie glina utrudnia dalsze rozpoznanie.

• Przy samych **Szczotkowicach**, za tartakiem na boku od Nidzicy, jest mały łom gipsowy w odmianie długo-krystalicznej: gips zdaje się, jakby był na opoce przyklepionym, gdyż opoka z licznymi Inocerami nieco dalej rozpościera się i składa cały bok: w połowie prawie drogi do Bronocic znów pokazują się skały długo-krystalicznego gipsu, lecz kryształki nieco są krótsze.

Przy samych **Bronocicach**, przy moście w górze zwaną Baski, występują obiedwie odmiany gipsu, długo-krystaliczny i łupkowy, tudzież margiel: jednakże jak się te skały pomiędzy sobą ułożyły, nie jest jasnym.

**Słupów.** Małe pół mili od Działoszyc za Szczotkowicami, rozwijają się znakomicie skały gipsowe, odgraniczone ku zachodowi od Mioszowa opoką. Warstwy od góry ku dołowi leżą w następującym porządku:

1. Próchnicowata glina 2 stopy.
2. Glina żółta 2 stopy.
3. Zwir kwarcowy składający się z ułamków wielkości laskowego i włoskiego orzecha, 6 cali.
4. Gips cienko-łupkowy, brunatny, miejscami niebieskawo-szary, 6 stóp.
5. Gips długo-krystaliczny, szary i bezbarwny, kryształki tkwią w jasno-brunatnym marglu: grubość niewiadoma.

**Niewiatrowice.** Też same gipsy przeciągają się ze Słupowa na pola Niewiatrowic, opoką w wyższych pagórkach odgraniczone.

**Pirocice.** Zdaje się, że gipsy Słupowa i Pirocic łączą się pomiędzy sobą, chociaż zetknięcia bezpośredniego, dla grubiej powłoki gliny, nie widać; a że się te wioski stykają, zdaje się, że ta warstwa nie jest przerwana, a choćby to było, osad ten jednakowy posiada charakter.

Dwa są tutaj łomy gipsowe; w pierwszym następstwie pokładów od wierzchu jest następujące:

Na gipsie nie leży glina, ani próchnica; powleka go cienka powłoka złożona z nastroszonej ziemi z przyległych pól:

1. Gips cienko-łupkowy, jasno-brunatny, 6 stóp.
2. Margiel łupkowy żółtawo-brunatny 4'.
3. Gips grubo-łupkowy, brunatno-szary, 10'.
4. Margiel łupkowy żółtawo-brunatny, 3'.
5. Gips grubo-łupkowy, brunatnawo-szary; bez względu na łupkowatość gipsu, wydziela się w nim, jakby różkiem zakrzywiony, pro-



szkowy czarny manganit: grubość tej wydzieliny wynosi 6 do 8 cali, grubość pokładu gipsu 10 stóp.

6. Gips długo-krystaliczny jasno-szary: wielkie jego kryształy tkwią w przeważającym jasno-brunatnym marglu. Oddziałów warstw nie widać; grubość nieznana.

Drugi łom dzieli od pierwszego znaczniejszy grzbiet, pod gliną widać pokład długo-ziarnistego gipsu znakomicie rozwiniętego, do poprzedzającego zupełnie podobnego.

Kościejów w grzbiecie z opoki, ciągnącym się ku Raclawicom, bliżej tej wioski pokazują się nagle skały długo-krystalicznego gipsu, okryte cienkim pokładem gliny.

Raclawice. W kilku miejscach występują gipsowe skały, przedzielone głębokimi dolinami. Na przedłużeniu grzbietu Kościejowskiego są skały gipsowe, wierzchem jest łupkowa odmiana żółta, niżej długo-krystaliczna, okryta gliną na jedną stopę grubo; glina okrywa z nim zetkniętą opokę. W pagórkach znacznie wznoszących się za kościołem występują także dwa wymienione pokłady gipsu: wierzchem łupkowy, nachylony na wschód pod  $15^{\circ}$ , niżej sterczą wielkie skały długo-krystalicznego. W parowie prowadzącym z pól pomiędzy włościańskimi domkami ku kościołowi, znajduje się jasno-żółtawo-szary margiel: jest to zapewne spodnie ogniwo, leżące pod wielko-krystalicznym gipsem.

Dziemierzyce. Głęboka dolina rzeki Scieklec, dzieli grunta Raclawic na wschodnie i zachodnie; ostatnie okrywa gruby pokład gliny. Na zachodnim stoku w samych Dziemierzycach, z pośrodku gliny występują margle szare; jest to spodni pokład, pod dalej występującym gipsem: dawniej otwarte były tam łomy, obecnie są zupełnie zrównane i obsiane. Wiarogodni ludzie opowiadali, iż tutaj przez pewien czas kopano i sprzedawano ten minerał.

Markocice. Wioska stykająca się bezpośrednio z Dziemierzycami, ma wysoko wzniesione pagórki gipsowe, otoczone opoką, a w nich znacznie łomy. Obszernie rozłożona glina i tutaj okrywa gips i opokę grubym pokładem. Gips tutaj ma nieco odmienne następstwo pokładów od zwyczajnego; poczynając od wierzchu ku spodowi, leżą na sobie jak następuje:

1. Gips łupkowy, jasno-brunatny, albo szary, 4 stopy.
2. Ł łupkowy, 6 stóp.
3. Gips warstwowy, warstwy  $\frac{1}{2}$  stopy grube, 4 stopy.
4. Gips łupkowy, brunatny 15 stóp.
5. Gips długo-krystaliczny.

**Pałecznicza.** W trzech miejscach występują gipsy w tej górskiej wiosce. Wśród obszernie rozwiniętej opoki, na końcu wioski, przy cementarzu wystaje długo-krystaliczna odmiana, a nieco dalej łupkowy gips, żółtawej barwy. W parowie zwanym na Gluziu bardzo potężnie rozwija się odmiana łupkowa, grubość onęj dochodzi do 25 stóp, pod nią leży długo-krystaliczna i z tej odmiany składają się góry zwane Nad Bagna, Zasławie.

W górze Pamięcickiej jest wierzchem łupkowy, w spodzie wielko-krystaliczny gips.

**Głubczów.** Pomiędzy Raclawicami i Pirocicami, wśród wysoko wzniesionej wyżyny, pokrytej głębokimi dolinami leży wieś Głubczów; gips i opoka stykają się tu z sobą i bez ładu raz jedna, drugi raz druga skała przeważa. Na granicy od wsi Solcza, wyniosły pagór zwany Bugaj, składa się z gipsu łupkowego, brunatnej barwy, spodem jest długo-ziarnista odmiana gipsu okrywa glina. Głęboki parów dzieli grzbiet wznoszący się od południa od zabudowań folwarcznych Głubczowa, nazwany Zawisnie, czy Zawisłe, ma także obydwie pokłady gipsu: łupkowy wierzchem, w spodzie wielko-krystaliczny.

**Lelowice.** Znacznie wzniesiona góra, na której stoi dwór lelowski, składa się zupełnie z długo-krystalicznego gipsu, zewsząd otoczonego opoką.

Na przeciwnej stronie tego wzniesienia znajduje się gips łupkowy, pochylony na południe 4—5<sup>hora</sup> pod 15°—25°, niżej rozpościera się gips długo-krystaliczny. W gaju Goliszczowka znów występują dwa znane ogniwa, długo-krystaliczny w spodzie, łupkowy wierzchem, okryty gliną.

Od Pałeczniczy na wschód znajduje się grupa gór gipsowych, pomiędzy wioskami Łaszów, Bolowiec i Małoszów i tutaj występują znane ogniwa zwyczajnie okryte gliną.

**Łaszów.** Ostrokregowata, znacznie z równiny wyskakująca góra Białek, składa się z wierzchu z łupkowego gipsu niebieskawo-szarego, po zwiertzeniu żółtawo-brunatnego; niżej jest drobno-ziarnistym jasno-szary gips, w którym wydzielają się pojedyncze kryształki; w samym spodzie znajduje się gips, należący do długo-krystalicznej odmiany. W pobliżym łomie jest tylko krystaliczna odmiana, okryta szarym margłem, w którym wydzieliła się od siedmiu do dwóch cali gruba warstwa twardego, wapiennego marglu, jasno-żółtej barwy, cienką jak papier warstewką czarnego manganitu okryta; oddziały poprzeczne niekiedy mają liczne dentryty.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

*Miesiąc Sierpień 1861 roku.*

## DZIEŁA.

Encyklopedia powszechna, Tom VII, Zeszyty 62, 63 i 64. Warszawa, 1861. Nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. od 673—784, 785—896, 897—983. Spisu rzeczy XIV, okł. druk., każdy zeszyt kop. 35.

*A. Thiers.* Historia konsulatu i cesarstwa. Dzieło ozdobione 20 rycinami. Zeszyty LV i LVI. Warszawa, 1861, Nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8ce, str. od 449—560, 561—672, okł. druk.

Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia po koniec wieku XVII w dawniej Polsce, wydawane przez *Aleksandra Przędzieckiego* i *Edwarda Rastawieckiego*. Serya 3, Zeszyty VII i VIII, Warszawa, 1861, druk J. Ungra, w 4cc, str. nieliczb. 9. (Tekst polski i francuzki) rycin 4, okł. druk. Cała serya rs. 24.

*Polujanski Aleksander.* Leśnictwo polskie. Część druga. Urządzenie lasów, Warszawa, 1861, nakł. A. Lewińskiego, druk braci Hindemith, w 8ce, str. 73, II, Tab. 7, okł. druk.

*J. B. W(agner).* Krótkie wiadomości z dziejów polskich, ozdobione 45 wizerunkami (drzeworytami) królów polskich i sławnych hetmanów. (Odbicie ze Skarbczyka polskiego). Warszawa, 1861, nakł. A. Nowoleckiego, druk K. Kowalewskiego, w 8ce, str. 196, XIII, okł. druk.

*Kolodziński B.* Geografia powszechna dla użytku uczącej się młodzieży, według najlepszych źródeł ułożona. Warszawa, 1861, nakł. A. Nowoleckiego, w 8ce, str. 316 i spisu rzeczy nieliczb. 4, okł. druk.

*T. Ks. L(ubomirski).* Jurydykcyja patrymonialna w Polsce. Warszawa, 1861, druk Gazety Polskiej, w 8ce, str. 51. (Odbitka z Biblioteki Warszawskiej za m. lipiec 1861).



*Zejdowski J.* Grammatyka niemiecka dla młodzieży polskiej. *Deutsche Grammatik für die polnische Jugend.* Część 1. Warszawa, 1861, druk braci Hindemith, w 8ce, str. nieliczb. 4, liczb. 86, kop. 37 $\frac{1}{2}$ .

Pierwszy Nauczyciel. Elementarz polski dla dzieci zawierający początkową naukę czytania, katechizmu, historii świętej, historii naturalnej i historii polskiej, oraz początki rachunków, wierszyki i bajeczki, z 32 wizerunkami królów polskich. Warszawa, 1861, nakł. A. Lewińskiego, druk Ch. Kelter et S. Rothmühl, w 12ce, str. 51, Tab. 3, okł. druk.

*Kraszewski Józef Ignacy.* Odczyty o cywilizacji w Polsce. Warszawa, 1861, druk Gazety Polskiej, w 8ce, str. 146.

*Pienkowski Karol.* Idealni, dramat w trzech aktach wierszem. Warszawa, 1861, druk Gazety Polskiej, w 8ce, str. 137.

Dzieła Ludwika Osińskiego profesora literatury w uniwersytecie warszawskim. Tom III, Warszawa, 1861, nakł. wdowy po autorze, druk J. Jaworskiego, w 8ce większ., str. 386.

*Eutropii Historiae Romanae selecta ad usum scholarum. Recognovit, notasque et indicem rerum ac verborum latino-polonum adiecit L. S. Editio quarta. Varsaviae, 1861, impensis libr. S. H. Merzbach,* druk J. Psurskiego, w 8ce, str. 117.

*Goltz Adam.* Ochronki wiejskie. Wyd. 2. Warszawa, 1861, nakł. C. Lewickiego, druk J. Psurskiego, w 8ce, str. 46.

Jedwab' ludowy (Ajlantyna) przez Towarzystwo jedwabnicze warszawskie. Warszawa, 1861, druk J. Psurskiego, w 8ce, str. 28.

Objaśnienia dla używających wody mineralne, przytém Cennik wód mineralnych i lekarstw specjalnych apteki Karola Lilpopa. Warszawa, druk A. Gins, w 12ce, str. 17.

*Konwerski Feliks.* Geografia powszechna krótko zebrana. Warszawa, 1861, druk J. Psurskiego, w 8ce mniejsz., str. 250, okł. druk.

*Ziemiecka Eleonora.* Powiastki ludowe, z rysunkami litografowanemi. Serya druga. Warszawa, 1861, nakł. A. Dzwonkowskiego i spół., druk J. Glücksberga, w 8ce, str. 113.

Wizerunki i życiorysy znakomitości tegoczesnych zebrane z najnowszych źródeł. N. 4 Wiktor Emmanuel. Warszawa, 1861, nakł. A. Dzwonkowskiego i spół., druk J. Psurskiego, w 8ce, str. 30, okł. druk.

Arcybiskupi gnieźnieńscy i prymasi. Wizerunki z galerii łowickiej, objaśnione tekstem historycznym przez *Juliana Bartoszewicza*. Zeszyt 15 i 16. Warszawa, 1858, nakł. A. Pecy et Comp., druk J. Ungra, w 4ce większ., str. nieliczb. 30, wizerunków 8.

*Statkowski Wincenty*. Odpowiedź Gazetom Polskiej i Warszawskiej na uwagi o broszurze: „Słówko o narodowości”. Warszawa, 1861, druk Gazety Polskiej, w 8ce, str. III, 27.

*Statkowski Wincenty*. Aforyzmy o narodowości i kosmopolityzmie. Warszawa, 1861, nakł. autora, druk J. Jaworskiego, w 8ce, str. 21.

*Polkowski Ignacy ks.* O życiu i pismach ks. Karola Antoniewicza. Warszawa, 1861, nakł. G. Gebethnera i R. Wolffa, druk Gazety Polskiej, w 8ce, str. 113, kop. 60.

*Kraszewski J(ózef) I(gnacy)*. Album widoków. Część 1. Podlasie. Warszawa, 1861, nakł. i litogr. A. Dzwonkowskiego i spół., druk Gazety Polskiej, w 4ce podłużnej, str. 8, ryc. 5. Zeszyt rs. 1—rs. 3.

*Gawarecki Zygmunt i Kohn Albin*. Rolnik polski. Tomów dwa z wielu rycinami. Zeszyty 2 i 3. Warszawa, 1861, nakł. A. Dzwonkowskiego i spół., druk J. Jaworskiego, w 8ce, str. od 55—150, 151—246. Całe dzieło rs. 7.

*Świątkiewicz Wojciech ks.* Nauki parafialne obejmujące znakomitsze wypadki Starego i Nowego Testamentu zebrane z dzieł ks. Bonnardel. T. III. Warszawa, 1861, druk ks. Missyonarzy, w 8ce, str. 480, okł. druk.

*Dutkiewicz Walenty*. Słowo o Tadeuszu Czackim. Warszawa, 1861, druk Gazety Warszawskiej, w 8ce, str. 8. (Przedruk z Gazety Warszawskiej).

Dziennik Praw. Tom 56, NN. 169, 170. Warszawa 1860, 1861, druk komissyi rząd. sprawiedliwości, w 8ce, str. 270, Tab. 1, fol., str. nieliczb. 3.

## DZIEŁA ZBIOROWE.

Gwiazdka, przez *Aleksandra Niewiarowskiego*, Tom II, Część XVI—XVIII. Warszawa, 1861, druk J. Jaworskiego, w 8ce mniejsz., str. od 183—242. (Zawiera trzy akta z *Snu srebrnego Salomei* przez *Juliusza Słowackiego*).

## PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik Religijno-moralny. Serya 2, T. VIII, N. 8, M. sierpień 1861, str. od 121—240, zawiera:

Wykład Pisma Świętego: dokończenie księgi Numerorum, p. ks. *W. Serwatowskiego*. Materyały do dziejów kościoła polskiego z języków wschodnich, p. *A. Muchlińskiego*. Poczet biskupów katolickich w Mołdawii, p. ks. *M. Demkowicza*. Poeta Klonowicz udarowany od klasztoru sieciechowskiego wójtowstwem psarskiem, p. ks. *A. Gackiego*. Ks. Ignacy Łukasz Stankiewicz, p. ks. *A. Szelewskiego*. Literatura włoska w sprawie papieżkiej, p. ks. *M. Nowodworskiego*. Kronika kościelna i rozmaitości. Wiadomości krajowe. Kronika zagraniczna. Wiadomości naukowe i bibliografia duchowna.

Roczniki gospodarstwa krajowego. T. XLIV, Posz. II, M. sierpień 1861, str. od 251—436, Tab. I, zawiera:

Czynności sekcyi chowu inwentarza. Rozmaitości. Instrukcyja oznaczająca sposób postępowania przy egzekucyi okupu prawnego. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. czerwiec 1861 r.

Dziennik Politechniczny. Zbiór wiadomości z postępu: Inżynierji, Budownictwa, Mechaniki i Technologji, oraz nauk związek z niemi mających, wydawany przez *B. Marczewskiego* i *W. Marczewskiego* inżynierów. Rok 1861. Warszawa, druk J. Psurskiego, w 4ce większ., okł. druk., Poszyty 1, str. 20 i 4, Tab. 1 i VI; 2gi, str. od 21—50 i od 5—8, Tab. 1 i od VII—XII; 3ci, str. od 51—70 i od 9—12, Tab. 1 i od XIII—XVII, zawierają:

Błędy w niwellacyi, niwellacya podwójna, p. *W. Witkowskiego*. Most Victoria w Ameryce. Nowy rodzaj kotłów parowych o wysokiem ciśnieniu. Machina ciepikowa Ericssona. Nawęglanie gazu, p. *Adama Prażmowskiego*. Przechowywanie zboża. Wiadomości o robotach inżynierskich wykonanych w ciągu r. 1860 w Warszawie. Ruch budownictwa w Warszawie w 1860 r. Ułatwione sposoby poznawania podzielności liczb, p. *A. Zbikowskiego*. Pryzmatoid, p. *J. B.* O studniach artezyjskich, p. *A. Grotowskiego*. O oszczędném użyciu drzewa pod względem technicznym. Nowy rodzaj mostów kratowych żelaznych. Kościół parafialny w Wyróżbach. Piła podwodna do przerywania pali. Smołowanie dachów gontowych. Nieco o własności publicznej, mianowicie rzecznej. Przegląd pism zagranicznych. O podzieleniu kąta na trzy równe części. Nowy dowód objętości pryzmatoidu. O oznaczeniu granic rzekom, a w szczególności Wiśle, p. *Wierzbowskiego*. Wystawa narzędzi rolniczych z fabryki H. Cegielskiego. Wiadomości bieżące.



Urządzenia dla dróg żelaznych w Królestwie Polskiem. Instrukcja w przedmiocie obwałowania rzek. Tablica porównawcza miar gruntowych używanych w Polsce (na okładce).

Tygodnik Lekarski. M. sierpień 1861, NN. 31—35, zawierają:

*Sztam*: O rozwolnieniu u małych dzieci. *Zieleniewski*: Notatki do historii akuszeryi w Polsce. *Romański*: O wpływie filozofii na dążność medycyny. *Sankiewicz*: Spostrzeżenia lekarskie. *Koniuszewski*: Listy lekarskie. *Adamowicz*: List z kąpiel i morskich Croisie. *Baraniecki*: Program topografii lekarskiej. *Sankiewicz*: Węglík i skuteczne jego leczenie. *Chodakowski*: O puszczaniu krwi w zapaleniu płuc. *Janikowski*: Nowiny z medycyny publicznej. *Sciborowski*: Wiadomości z pism zagranicznych. Posiedzenia Warszawskiego Towarzystwa lekarskiego. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła.

Ruch Muzyczny. M. sierpień 1861, NN. 32—35, zawierają:

Krótki rys historii powszechnej muzyki (c. d.). Do p. Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego, z powodu wydania jego: „Święty Boże”. Akordometr. Literatura zagraniczna. Notatki, p. *W. Dundera*. Igrzyska muzyczne. Gdzie idziemy. Przegląd kompozycji. Herold i Boieldieu. Wspomnienia z podróży, p. *M. Jelskiego*. Gazeta muzyczna.

Kółko domowe. Pismo poświęcone polskim rodzinom. Rok I. M. sierpień 1861, Poszyt 5, str. od 129—160, zawiera:

Mistrz Twardowski, wiersz p. *Julie Janiszewską*. Droga z Neapolu do Rzymu, p. *Jozefa Kremera*. Śmierć Władysława Łokietka, p. *J. Smigielską*. Wspomnienia historyczne miesiąca sierpnia, p. *Aleksandrę z Chomętowskich Borkowską*. Nieśmiertelnik i róża. Małgorzata Fuller, zyciorys, p. *Maryę z Korzeniowskich Zaleską*. Próbkí stylu z XVIII wieku, p. *J. Smigielską*. Korrespondencya z Krakowa. O ubiorach. Objasnienie tablicy rysunków, przytém tablica i rycina mód.

Przyjacieli Dzieci. M. sierpień 1861, NN. 18—22, zawierają:

Dzieje narodu polskiego, p. *Leona Rogalskiego* (c. d.). Historia święta, p. *S. M.* (c. d.). Jan Zamojski, p. *Huberta*. Imieniny Taty, obrazek wierszem. Typy i ubiory ludu wiejskiego w Polsce. Boże Narodzenie, powieść *Dickensa*, tłumaczona z angielskiego (c. d.). Myszeida, *Ignacego Krasickiego* (c. d.). Opowiadania Janka z Bielca, p. *Jana Kantego Gregorowicza*. Bielany, p. *Warminskiego*. O potrzebie ochraniania przyzecznych zwierząt, p. *Albina Kohna*. Przemysł wędrowny na ulicach Warszawy. Rozmaitości. Myśli. Zdania.

Jutrzenka, Tygodnik dla Izraelitów polskich. M. sierpień 1861, NN. 5—9, zawierają:

Rozmaite nazwy Żydów. Dokument prawodawczy izraelskiej centralnej władzy czterech ziemstw kraju polskiego, p. *Izaaka Rosenblatt*. Pieśń Żyda rolnika, p. *Aleksandra Kraushaar*. Potrzeba tłumaczenia pism religijnych. Wyjątki z dzieł rabinicznych, p. *M. M.* Słów kilka w kwestyi bożnic, p. *H. Glattstern*. Obraz dobroczynności gminy starozakonnych m. Warszawy, p. *Ja. Roth*. Wojna domowa w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Pierwsze poznanie się, podanie ludowe, p. *Marka Dubs*. Zawiązanie się i wzrost gminy izraelskiej m. Częstochowy. Co nas obchodzą współwyznawcy zagraniczni. Czesi i Żydzi. Immigracya Żydów do Polski, p. *J. Reifmana*. Żyd czy Izraelita, p. *Adolfa Jakóba Kohna*. Korrespondencye. Rozmaitości.

Magazyn Mód. M. sierpień 1861, NN. 31—35, zawierają:

Kościół za szklanę wody, p. *Różalię z F....a M. S.* (c. d.). Janina, zdarzenie prawdziwe, p. *Paulinę z L. Wilkońską*. O powozach. Korrespondencye. Gwiazdka. Nowości zagraniczne. Poezye. Szarady. Mody. Opisy rycin mód i deseni. Przepsy kuchenne.

Tygodnik Ilustrowany. M. sierpień 1861, NN. 97—101, zawierają:

Melchior książę Gedrojć biskup żmujdzki, p. *J. B.*, z drzeworytami. Notatki z podróży po europejskiej Turcyi (c. d.). List *Tadeusza Padalicy (Zenona Fiza)* z 3 drzeworytami. Zaręczyny staropolskie i tegoczesne (dok.). Ignacy Popławski, z drzewor. Pomnik Kopernika w Toruniu, z drzewor. Pomniki Kazimierza Pułaskiego i Tadeusza Kościuszki w Ameryce, p. *Kazimierza Władysława Wójcickiego* z 2 drzewor. Od czego się ma ukształcenie ludu zaczynać. Zwaliska zamku w Bobolicach, z drzewor. Kurek srebrny bractwa strzeleckiego w Krakowie, p. *K. B.* z drzewor. Trzy listy niedrukowane Jana Śniadeckiego. Józef Bogusław Słuszka, p. *Juliana Bartoszewicza*, z drzewor. Słup graniczny pod wsią Boguszami, z drzewor. Kościółek świętej Salomei w Grodzisku, z drzewor. Tomasz Padura. Dawny klasztor Kartuzów w Berezie, p. *L. Dołżońskiego*, z drzewor. Przyjęcie posłów polskich przez Henryka Walezyusza w Paryżu r. 1575, z drzewor. Polskie oznaki godności i broń sieczna, p. *K. B.*, z drzewor. Żytomierz, p. *Józefa Ignacego Kraszewskiego*, z drzewor. Kodeks cywilny i procedura małżeńska, z drzewor. Ks. Hugo Kołłątaj, z drzewor. Mody dawne i terażniejsze, z drzewor. Pomnik grobowy Waleryana Olszowskiego, p. *Stanisława Barcikowskiego*, z drzewor. Czersk nad Wisłą, z drzewor. Fundusz gromadzki. Kilka słów o żebractwie, p. *Każ. Wład. Wójcickiego*. Komunikacye, przemysł, handel. Korrespondencye. Kronika tygodniowa. Bajka. Rozmaitości. Szachy. Rebusy.



Kmiatek. M. sierpień 1861, NN. 31—35, zawierają:

Gawędy wiejskie. Opowiadania Góralczyka z historii polskiej. Rozmowy starego Wojciecha z ludem wiejskim. Szkalmierzaki. List Stacha z pod Kutna do Kazimierza Góralczyka. Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny. Módl się i pracuj, a Bóg ci dopomoże. Ściegie św. Jana Chrzyciela. List Mateusza z pod Chełma do Wojciecha z pod Powsina. O szarańczy. Grzechy śmiertelne.

Czytelnia Niedzielną. M. sierpień 1861, NN. 31—34, zawierają:

Opowiadanie Majora, wiersz. Niepołomice i puszcza niepołomska. Dorota Daniłowiczówna. O zgromadzeniach rzemieślniczych. Macocha. Perły, wiersz. Pomyślna podróż. Okolice Krakowa. Egzamina w ochronach warszawskich. Wspomnienia z Krakowa. Nauka zachowania zdrowia. Różności.

Gazeta Warszawska. M. sierpień 1861, NN. 183—208, zawierają:

Czarnogóra i jój pogranicza, p. *J. Zam....* (c. d.). Marzenie o publicznym wychowaniu młodzieży, p. *T. Dziekońskiego*. Słótko o Tadeuszu Czackim, p. *Walentego Dutkiewicza*. Listy z miasta, p. *A. W.* Historia o Pra-pra-pra-wnuku i Pra-pra-pra-dziadku, powieść w 2 częściach, p. *Teod. Tom. Jeża*, Część 2. Wiadomości literackie. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące.

Gazeta Polska. M. sierpień 1861, NN. 183—208, zawierają:

Urazy królewiat polskich, p. *Karola Szajnochę* (dok.). Listy z Mokotowskiej ulicy. Przywódzcy stronnictw w wiedeńskiej radzie państwa. Kronika paryzka. Aleksander Petocfi, poeta ludowy węgierski, p. *E. S.* Moralny stan włościan w W. Ks. Poznańskim, p. *Fr. Staszica*. Ś. p. Ignacy Chodźko. Ś. p. Ignacy Chotomski. Pensye prywatne żeńskie, p. *P. Czarnkowskiego*. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące.

Pszczola. M. sierpień 1861, NN. 182—207, zawierają:

Moje przygody w Grecyi (c. d.). Uwagi nad edukacją publiczną. Charakterystyka marynarzy angielskich. Dwór i gromada, obrazek z rzeczywistości. O obowiązkach Izraelitów, p. *M. G.* Ekonomia polityczna i miłosierdzie. Produkcya bawełny. Przegląd tygodniowy. Różności. Wiadomości bieżące.

Kuryer Warszawski. M. sierpień 1861, NN. 182—207.

Gazeta Rządowa Królestwa Polskiego. M. sierpień 1861, NN. 172—195, zawierają:



Instrukcyja o przyjmowaniu małoletnich synów szlachty Królestwa Polskiego do korpusu kadetów w Cesarstwie. Postanowienie o szlachcie i ochotnikach, którzy wstąpili do służby wojskowej.

Warszawska Gazeta Policyjna. M. sierpień 1861, NN. 186—211, zawierają:

Zdarzenie w Hiszpanii z czasów Filipa II (c. d.).

Warschauer Zeitung. M. August 1861, NN. 170—195, zawierają:

*Die englische Rute. Das baltische Sangerfest. Stanislaus Lubomirski, v. W. Sch. Etwas Neues von Andersen. Ein Beitrag zur Geschichts- und Alterthumskunde einiger Studte und Dorfer in Koniner Kreise, v. Wilhelm Schonichen. Natolin Poesie und Prosa. Beethoven in Gratz, eine Skizze, v. Marz Ring. Lokalbericht. Technisches. Vermischtes.*

Korrespondent handlowy i przemysłowy. M. sierpień 1861, NN. 60—68, zawierają:

O narzędziach i sprzętach rolnika polskiego XIX stulecia wyrabianych w fabrykach krajowych i używanych w gospodarstwach naszych (c. d.). O hodowli bydła w ogólności (c. d.). Nawóz świeży i przegniły. Dwa nabytki literatury rolniczej. Opis dóbr Skaryszew, p. *Józefa Kozłowskiego*. O stosunku utrzymującym równowagę w gospodarstwie. Sposób robienia mydła. Korrespondencye. Wiadomości handlowe. Średnie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Gazeta Rolnicza. M. sierpień 1861, NN. 31—34, zawierają:

Informacyja o sprowadzaniu parobków i robotników ze Szlązka, W. Ks. Poznańskiego i z Niemiec. Listy statystyczno-rolnicze o W. Ks. Poznańskim (c. d.). Waga bydłca. O urzędzeniu i administracyi większych posiadłości ziemskich, p. *A. K. Stelmasiwicza*. Słowność zagranicznych agentów w sprowadzaniu Niemców. O budowaniu z cegieł wapienno-piaskowych. Pogląd na gospodarstwo rolne przy wolnej pracy na Wołyniu i przyszłość jego, przez *Aleksandra Jasińskiego*. O kapitale, p. *Juliana Liedtke* (c. d.). Piśmiennictwo rolnicze. Korrespondencye gospodarskie. Nowiny gospodarskie. Ceny średnie produktów rolniczych na ostatnich targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego.

## MUZYKALIA.

*Kratzer Andrzej*. Pobudka wojskowa, ułożona na fortepian i wydana z dawnego manuskryptu. Warszawa, litogr. A. Dzwonkowskiego i spół., str. 7, kop. 30.

*Brzezińska Filipina.* Pieśń w utrapieniu do Matki Najświętszej. Melodya. Warszawa, nakł. J. Kaufmann i spół., litogr. W. Otto, str. 5.

*Gross Adam.* „Dies irae, dies illa”. Hymn pogrzebowy, muzyka do śpiewu na jeden i na cztery głosy, z akompaniamentem fortepianu. Warszawa, nakł. C. Lewickiego, lit. A. Dzwonkowskiego, str. 10, kop. 45.

*Sturm A.* Polonez stary odbijany. Polakom dobrze znany, ułożony na fortepian. Warszawa, nakł. i lit. J. Müller, str. 3.

*Nowakowski Józef.* Hymn do Boga Rodzicy napisany na cztery głosy: sopran, alt, tenor i bass. Warszawa, nakł. autora, sztych Gebethnera i Wolffa, str. 8.

*Einert Teodor.* Wspomnienie wieczorne, obrazek muzyczny na fortepian. Dzieło 8. Warszawa, nakł. i lit. G. Gebethnera i R. Wolffa, str. 14, kop. 75.

*Dobrzyński Ignacy Feliks.* Marsz żałobny na śmierć Fryderyka Chopin. ułożony podług orkiestry na fortepian. Warszawa, nakł. J. Kaufmann, lit. W. Otto, str. 12.

*Münchheimer Ad.* Marsz żałobny skomponowany i przełożony na fortepian. Warszawa, lit. A. Dzwonkowskiego, str. 6, kop. 30.

*Chwatal F. X.* Waryacya na temat: „Tam na błoni błyszczą kwiecie etc.”, ułożona na fortepian. Warszawa, nakł. J. Kaufmanna i spół., lit. W. Otto, str. 9.

*Sosnkowski Józef.* Polonez skomponowany na fortepian i poświęcony cieniom generała Dąbrowskiego. Warszawa, nakł. i litogr. A. Dzwonkowskiego i spół., str. 7, kop. 37<sup>1/2</sup>.

*Kolberg Oskar.* Nasze siola, Kujawiaki czyli Obertasy, ułożone na fortepian. Ed. 2 popraw. Warszawa, nakł. i litogr. A. Dzwonkowskiego i spół., str. 11, kop. 45.

*Kossakowska Wanda.* Melodya: Życie w niewoli, skomponowana na fortepian. Warszawa, lit. J. V. Fleck, str. 5.

*Freyer A.* Kompozycje kościelne: N. 1 Pieśni do Mszy świętej z towarzyszeniem organów lub fisharmoniki, dla użytku w kościołach prowincjonalnych i przy domowem nabożeństwie. Dz. 12, str. 9, kop. 45. N. 4 Ośm Preludyj, na organy do użytku przy nabożeństwach, jakoteż do początkowego ćwiczenia się w grze pedałowej, obligato z podaniem aplikatury dla nóg. Dz. 9, str. 13, kop.

40, N. 5 Ośm Preludyj, na organy bez pedału lub fisharmonikę. Dz. 11, str. 10, kop. 45. Warszawa, nakł. i litogr. G. Gebethnera i R. Wolffa.

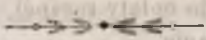
*Grossmann Ludwik.* Dwa śpiewy znane: Warszawianka i Litwinka, ułożone na fortepian. Warszawa, nakł. J. Kaufmann i spół., lit. W. Otto, str. 6.

## 1861.

20. Braterstwa nierówne czyli jaki zasiew taki zbiór. Obraz obyczajowy z życia czeladników rzemieślniczych w 3 aktach. napisał ks. Zygmunt Odelgiewicz, przełożony stowarzyszenia czeladników we Lwowie. Lwów. 1861. Str. 56. W 8ce.

21. Dziewczę z Sącza, rzecz mieszczańska z czasów wojny szwedzkiej roku 1655, wierszem przez Mieczysława Romanowskiego. Lwów 1861 r., w drukarni Zakładu Narodowego Ossolińskich. W 8ce, str. 83.

22. Rys dziejów zakonu kaznodziejskiego w Polsce, ułożył ks. Sadok Barącz. 2 tomy: T. I, str. 402; tom 2gi, str. 526. W 8ce. Lwów, w drukarni Zakładu Ossolińskich, nakładem Manieckiego.



## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

### WARSZAWA.

Wrzesień 1861 r. Do najważniejszych postanowień rady administracyjnej, wydanych w miesiącu wrześniu r. b., należy następujące, ustanawiające kursa przygotowawcze, jako zapowiedź oczekiwanego uniwersytetu:

#### *Rada Administracyjna Królestwa.*

Zważywszy, że młodzież która pokończyła nauki w dotychczasowych różnorodnych zakładach naukowych Królestwa, potrzebuje dopełnienia wiadomości, jakie wymagane będą przy wstępie jej do mającej się rozwinąć Szkoły Głównej, na przedstawienie Dyrektora Głównego Prezydującego w Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego postanowiła i stanowi:

Art. 1. Urządzone będą w Warszawie, w gmachu Instytutu szlacheckiego, kursa przygotowawcze dla młodzieży, mającej wstąpić do Szkoły Głównej.



Art. 2. W kursach przygotowawczych wykładane będą następujące nauki: a) loika; b) psychologia; c) encyklopedia i metodologia nauk akademickich; d) język i literatura polska, oraz język i literatura rosyjska, ze względu na literaturę innych narzeczy słowiańskich; e) język łaciński; f) język grecki; g) historia powszechna w połączeniu z geografią; h) geometrya; i) algebra k) trygonometrya; l) fizyka; m) język niemiecki i język francuzki.

Art. 3. Kursa przygotowawcze, jako przechodnie, ustanawiają się na rok jeden. Gdyby się okazała potrzeba dalszego ich trwania, Komissya Rządowa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wejdzie z nowym przedstawieniem.

Art. 4. Tylko tacy kandydaci do kursów przygotowawczych przyjęci być mogą, którzy ukończyli z dobrymi świadectwami Gimnazya Filologiczne, Gimnazjum Realne, lub przynajmniej jego klasę VI-tą, albo Szkoły wyższe Realne w Kaliszu i Kielcach.

Art. 5. Opłata wstępna do kursów przygotowawczych naznacza się 1sr. 15 za rok cały. Uczniowie kursów przygotowawczych, którzy przed ich zamknięciem a po otwarciu Szkoły Głównej zdołają zdać z niej egzamin wstępny i do niej przyjęci będą, dopłacą tyle ile niedostawać będzie do opłaty rocznej, jaka za wstęp do Szkoły Głównej oznaczoną zostanie.

Art. 6. O terminie otwarcia i zamknięcia kursów przygotowawczych i o warunkach egzaminów wstępnych, Dyrektor Główny wyda stosowne rozporządzenie.

Art. 7. Zostawia się także Dyrektorowi Głównemu Komissyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wybór zwierzchnika kursów przygotowawczych, wyznaczenie mających wykładać w nich professorów, określenie zakresu wyliczonych wyżej przedmiotów, jak niemniej ułożenie przepisów karności nad uczniami.

Art. 8. Wykonanie niniejszego ustanowienia, które w Dzienniku Praw ma być zamieszczone, Dyrektorowi Głównemu Komissyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego poleca się.

Działo się w Warszawie, d. 8 (20) września 1861 r.

P. o. Namiestnika Królestwa, Jenerał Adjutant,

(pdpisano) *Hr. Lambert 1-szy.*

Dyrektor Główny Prezydujący w Komissyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego,

(podpisano) *Hr. Wielopolski Margrabia Myszkowski.*

Sekretarz Stanu, (podpisano) *Karnicki.*

— Postanowieniem rady administracyjnej Królestwa Polskiego z d. 1/13 września r. b. zarządzo wydawnictwo Gazety Rządowej pod wyłącznym zawiadywaniem Komissyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia publicznego; postanowienie to w całości umieszczamy:

„Uznawszy za stosowne, aby ustanowiona w r. 1837 Gazeta Rządowa mieściła w sobie nie tylko część urzędową i polityczną, ale i naukową, a przeto aby oddaną była pod kierunek władzy, której ster oświecenia publicznego jest powierzony i pod której zwierzchnictwem powyższy organ rządowy jeszcze w r. 1823 powstał; na przedstawienie Dyrektora Głównego Prezydującego w Komissyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia publicznego z Najwyższego JEGO CESARSKO-KRÓLEWSKIEJ MOŚCI upoważnienia postanowiła i stanowi.

Art. 1. Dziennik Urzędowy, dotychczas pod tytułem Gazeta Rządowa wychodzący, powraca pod wyłączne zawiadywanie Komissyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia publicznego. Podlega on będzie wyłącznie Cenzurze Komitetu, przy Komissyi Rządowej ustanowionego.

Art. 2. Gazeta Rządowa odtąd wychodzić będzie w języku polskim, pod tytułem „Dziennik Powszechny, pismo urzędowe, polityczne i naukowe.” Ukazy Najwyższe zamieszczone w nim będą w języku polskim i rosyjskim, inne artykuły w języku polskim, rozporządzenia zaś rządowe, które potrzeba będzie ogłaszać w obu językach, w osobnym dodatku pomieszczone zostaną. Redakcją jej trudnić się będą osoby przez Dyrektora Głównego Komissyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia publicznego, stosownie do etatu przez Radę Administracyjną zatwierdzonego, powołać się mające, tudzież z jego zarządzenia za swe wypracowania oddzielnie wynagradzane.

Art. 3. Postanowienia, rozporządzenia i nominacje, tudzież wiadomości i obwieszczenia, ze strony Władz Administracyjnych i Sądowych do publikacji przeznaczone, mają być przedewszystkiem w Dzienniku Powszechnym zamieszczone i w tym celu przez Władzę do Redakcyi tejże gazety przesyłane. Inne gazety i pisma publiczne dopiero we 24 godzin po ogłoszeniu przez Dziennik Powszechny powtórzyć je będą mogły.

Art. 4. Z wyjątkiem postanowień i decyzji Rządu, bezpłatnie zamieszczać się mających, od publikacji wszelkich obwieszczeń,

байд адміністрацыйных байд сядовых побіраюа бядзе дотыччасова оплата, постановіеніем Рады Адміністрацыйнэй з д. 12/24 лістапада 1838 р., для Газеты Рэдавоўей означона.

Art. 5. Квартална пренумерата Дзіенніка Пowszechnego, ктэры на ааьчых аркушах, кодзіенне выаьwsзы Недзіеле і Швїята урочысте, wychодзіць бядзе, устанавіа сїя на rsr. 2. Подвыаьszenie lub обнїзїеніе цену пренумерацинэй, тылко за децызыа Рады Адміністрацыйнэй Крэства наступоваць моае.

Art. 6. Опрэць доходу з пренумераты і обвїсзечуа, прызначаны постановіеніем Рады Адміністрацыйнэй з д. 27 лістапада (9 грудніа) 1838 р. nr. 26,984 для Газеты Рэдавоўей, coroczny засілек ze skarбу w kwocie rsr. 1,502, преносї сїя w ааьстосї на рзеч Дзіенніка Пowszechnego.

Art. 7. Rachunek z wplywów і wydatków na roczne utrzymanіе Дзіенніка Пowszechnego, Dyrektor Główny Komıssyi Rządowej Wyznań Religijnych і Oświecenia publicznego ostatecznie zatwierdza. Pozostałосї od rocznych wydatków o ileby сїя okazały, pod oddzielny tytuł do Banku Polskiego przelane być мааь. Tym sposobem utworzї сїя моаьcy fundusz, obracaomy być маа на stopniowe ulepszenia w wydawnictwie Дзіенніка Пowszechnego, lub на pokrycie ewentualnych niedoborów, nie inaczej wszakae, jak за upowaaьnіеніем Рады Адміністрацыйнэй Крэства.

Art. 8. Dotychczasowa stopa оплат, przez posылкэ Газеты Рэдавоўей на prowincyа, ustauowionych, utrzymuje сїя для Дзіенніка Пowszechnego bez wzgledu на powїekszony format onego.

Art. 9. Wykonanie niniejszego postanowienia, kтэре w Дзіенніку Praw ма być umieszczone, Dyrektorowi Głównemu Prezydującemu w Komıssyi Rządowej Wyznań Religijnych і Oświecenia publicznego поручонэм zostaje.

Działo сїя w Warszawie d. 1/13 wrzesńia 1861 r.

P. o. Namiestnika Jenerał-Adjutant,

(podp.) *Hr. Lambert.*

Dyrektor Główny Prezydujący w Komıssyi Rządowej Wyznań Religijnych і Oświecenia publicznego,

(podp.) *Al. Hrabia Wielopolski Margrabia Myszkowski.*

Sekretarz Stanu, (podp.) *Karnicki.*



— Gazeta Warszawska z d. 20 września, z powodu postanowienia powyższego, robi następujące uwagi:

Ogłosiliśmy postanowienie Rady Administracyjnej o przemianach, jakiej ma uleść dzisiejsza *Gazeta Rządowa*. Sądząc z treści postanowienia, przypuszczać musim, że nowy organ urzędowy ma zająć stanowisko, jakie w innych krajach zajmuje rządowa i pół-rządowa prassa; że pod rubryką urzędową ma ogłaszać postanowienia, pod rubryką zaś inną ma je rozświecać artykułami rozumowaniami, przygotowywać do nich opinię lub objaśniać. Słowem, *Dziennik Powszechny* ma połączyć w sobie charakter francuzkiego *Moniteur* np. z charakterem *Pays, Constitutionnel* i innych organów, inspirowanymi zwanymi. Nie wchodząc w rozbiór innych ustępów postanowienia z d. 13 września, zapewniających ważne temu organowi korzyści nad prywatnymi współzawodnikami, (bo te korzyści zawsze i wszędzie organom rządowym posługują), wyrazić jednak musim przekonanie a raczej przypuszczenie, że utworzenie pisma „rządowego, politycznego i naukowego”, powinno wpłynąć korzystnie na ciężkie dzisiejsze stosunki prasowe, które tylko ten zrozumieć może kto się ich dotknął. Posiadając organ mający prowadzić i nauczać w danym kierunku, władza zapewne zechce pozwolić innym prywatnym organom kontrolowanie tego kierunku, rozświecanie go a nawet prostowanie, tam, gdzie przekonania organów prywatnych z przekonaniami *Dziennika Powszechnego* zgadzać się nie będą. Ztąd powinna się wyrodzić dla nas większa jak dotąd swoboda w wyrażaniu naszych opinij, na której tak my, jak *Dziennik* a przede wszystkim kraj zarobić powinien. Występując, jeżeli wypadnie przeciw artykułom *Dziennika*, nie przekraczamy granic zwykłej polemiki dziennikarskiej; natura zaś przedmiotów spowodować musi, że polemika ta nie będzie procesem *de lana caprina* albo czysto osobistym, ale rozświecaniem kwestyj istotnie kraj obchodzących. Polemika podobna wszakże jest możebną jedynie w warunkach swobody, ograniczonej tylko koniecznymi ogólnymi względami; wszelkie nawet najdrobniejsze ścienienie robi ją niepodobną. Wówczas *Dziennik* pozostałby musiał sam jeden i sam jedenby przemawiał. O ile nas jednak doświadczenie osobiste, historia dziennikarstwa a nawet pewna znajomość ludzkiej natury nauczyły, głos bez odpowiedzi, to kazanie na stepie, myśl nie wywalczona pozostanie zawsze jałową a gdy minie chwila ciekawości, *Dziennik*, nawet przy staraniach redakcyi, może pozostać z tym samym wpływem co dzisiejsza *Gazeta Rządowa*. Do pism tego rodzaju nader właściwie zastosować można te słowa

Larochefoucauld'a podobno: *Où la critique n'est pas permise, la louange est sans dignité*; (gdzie krytyka wzbroniona, tam pochwała nie ma godności); siła ich właśnie i wpływ leży w możności owiej krytyki, której warunki skreśliliśmy wyżej. Ponieważ przypuszczamy, że te myśli spowodowały założenie *Dziennika*, dla tego zwróciliśmy uwagę na ów fakt, który tak stosowany, może być ważnym, pojmowany zaś inaczej, byłby istotnie bez żadnego znaczenia."

— Podaliśmy artykuł Józefa Sikorskiego o teatrze naszym, i jego znaczeniu. Redakcja Tygodnika ilustrowanego, poparła to zdanie. My tu możemy przywieść opinią dojrzałą i rozumną, jednego z myślicieli naszych, który uważając reformę teatrów warszawskich jako rzecz konieczną, stawia za zasadę przyszłego repertoaru, nie usilność w zewnętrznej wystawności i działania na zmysły, co dotąd stanowiło główny cel sceny; ale naukę, myśli szlachetne i zacne, wypowiedane przez artystów, które oddziaływałyby mogły na serca widzów, i przeważnie wpływać na ukształcenie młodego pokolenia. Do tego nowego celu dojść tylko można wyższą komedią i dramatem historycznym. Reorganizacja szkół, wpłynie na wykształcenie przyszłych pokoleń: teatr postawiony na właściwem sobie stanowisku, jako świątynia, z której żywe słowo artysty, zagrzać potrafi szlachetnym ciepłem serca, podnieść umysły widzów do tego co piękne, zacne i wielkie, działa doraznie, właśnie na działającą społeczność swoją. W kronice tygodniowej Tygodnika ilustrowanego (nr. 104), czytamy te pełne prawdy słowa. „Teatr wtedy tylko zasługuje na obojętność i zapomnienie, jeżeli dąży do zepsucia obyczajów, do rozpowszechnienia niemoralności; jeżeli usiłuje poruszyć zmysły, zostawując ducha w spoczynku, jeżeli wreszcie ucho słuchacza nie rozumie dźwięków mowy, rozlegających się ze sceny. Lecz jeśli nie jest pustą rozrywką, służącą do zabicia kilku godzin czasu, do podrażnienia zmysłów stepionych nikczemnym lenistwem; jeżeli jest szkołą narodową obyczajów i sztuki, jeśli rozbudza w duszy najszlachetniejsze i najwznioślejsze uczucia, i trąca w najtkliwsze struny serca; wtedy dopuszczenie go do upadku, byłoby grzechem, za który teraźniejszość stałaby się odpowiedzialną przed przyszłymi pokoleniami.”

„Potępiamy stanowczo widowiska, w których zwinność nóg i gibkość ciała, trzyma pierwszeństwo przed potęgą myśli, żywem oddanej słowem; potępiamy dramata szalonej szkoły, w których talent autorów zachodnich, silił się na wynajdywanie coraz to



okropniejszych zbrodni i rzucanie w serca słuchaczy jadu zwątpienia i niewiary: ale uderzamy czołem przed arcydziełami dramatycznymi, podnoszącymi człowieka do ideału cnoty."

"Od publiczności w znacznej części zależy pokierowanie sceną. Zaniedbanie i obojętność, niech będą udziałem widowisk gorszących: poparcie i współczucie, niech spotkają utwory podnoszące duszę i serce. Wskazówką tą wiedziona dyrekcyja teatrów, przy dobrych chęciach, z łatwością może wywiązać się ze swego zadania. Raz jeszcze powtarzamy, że obojętność dla sceny narodowej, jeżeli ta odpowiada potrzebom i słusznym wymaganiom ogółu, jest szkodliwą."

"Idźmy do teatru z myślą, że tam spieszmy nie dla pustoty i rozrywki, ale dla nauczenia się czegoś pożytecznego, że tam wspieramy szkołę narodowości i języka, kształcimy serce i umysł; a wtedy nikt nie zarzuci nam pewnie, że błędzimy; z drugiej zaś strony, nikt nie podsunie nam strawy lichiej i nikczemnej, bo ją odepchniemy ze wstrętem."

Dyrekcyja teatrów naszych równie jak artyści, pojmując konieczną zmianę w repertoarze dotychczasowym, wzięła się z energią do przygotowania się, ażeby w danym czasie z całą godnością sceny narodowej wystąpić. Rozdano oprócz komedyi Fredry do nauki, i próby wciąż się odbywają sztuk następnych: Barbary Zapolskiej (komedia). Barbary Radziwiłłówny Felińskiego; Karpackich Górali J. Korzeniowskiego; Wąsów i peruki tegoż. Śmierć Czarnieckiego (prolog) z dramatu A. E. Odyńca. Lila-Veneda akt ostatni: z dramatu J. Słowackiego. Samson, scena Kornela Ujejskiego. Z oper narodowych: *Krzyż wojskowy* (Libretto Aleksandra Niewiarowskiego) z muzyką Roźnieckiego. Wkrótce próby się zacząną Flibustyerów F. Dobrzyńskiego. Moniuszko pracuje nad nową operą *Straszny dwór*, przedmiot wzięty ze *Starych Gawęd* K. Wł. Wójcickiego: libretto Jan Chęciński, i wykończą *Rokiczań* (libretto) Józefa Korzeniowskiego; w którym król Kazimierz Wielki, jak piérwiastkowo był plan ułożony, wystąpi w całej powadze swojej. F. Dobrzyński po oddaniu do teatru Flibustyerów, zajmie się wykończeniem *Walenroda*, który na scenie przedstawiony, okaże całą świetność talentu znakomitego kompozytora. Przypominamy tu z dramatów, *Andrzeja Batorego* i *Mnicha*, Korzeniowskiego, obu godnych sceny naszej. Widzieliśmy próbę w kostiumach *Barbary Zapolskiej*; ubiory polskie wzięte z album Matejki, odpowiadają wszelkim wymaganiom najściślejszego archeologa.



— *Gazeta Polska* mówiąc o wydanej broszurze w Wiedniu r. b. p. n.: *Twardowski der Polnische Faust. Ein Volksbuch von Dr. Johann Nepomuk Vogl* (w 12-ce, str. 78), zwróciła uwagę Tygodnika ilustrowanego, że wiele drzeworytów z tej broszury, mogłoby mu się przydać, gdyby dał legendę o Twardowskim. Przejrzeliśmy pomienioną broszurę, i przekonaliśmy się, że ilustracya w niej p. Kaszler'a przydatną być nie może naszemu Tygodnikowi, jako pozbawiona wszelkiej charakterystyki polskiej. Ani sam Twardowski, ani wypadki z jego życia nie noszą typu odpowiedniego naszej dawniej legendzie. Ale redaktor *Gazety Polskiej* dobrze zrobił, że przypomniał to zajmujące podanie narodowe, bo Tygodnik ilustrowany wchodząc w myśl jego, przygotowuje tak tekst jak drzeworyty przez naszych artystów mające być wykonane. Tym sposobem upowszechni je pomiędzy licznym gronem czytelników swoich, w pierwotnej czystości, bez dodatków i zmyśleń niemieckiego autora wzmiankowanej broszury.

— Redakcyja *Kuryera Wileńskiego* donosi, że p. Wacław Przybylski z własnej woli usunął się od współpracownictwa, a w miejsce jego Władysław Syrokomla objął redakcyję *Przeglądu miejscowego*. Autor Dębora umieścił rozprawę p. n.: *Koleje literatury starożytniej w Europie: Horacy, przekład Janina*. Studium to ani poglądem, ani treścią nie odpowiada zadaniu swemu. Pomijamy co pisze Syrokomla w ogóle o stanie literatury starożytniej w Europie, ale zwracamy uwagę naszego poety, że o najlepszym przekładzie Aleksandra Krajewskiego pieśni Horacyusza zamilczał. Rozumny pogląd tego tłumacza, ogłoszony w piśmie naszym nie tak dawno, wieleby nauczył samego Syrokomlę, i sprostował wiele błędnych zdań rozrzuconych w jego studyum.

— Zapowiedziane przez nas dawniej dzieło magistra obojga praw warszawskiego uniwersytetu Franciszka Maciejowskiego, wyszło z druku p. n.: „Zasady prawa rzymskiego pospolitego, podług instytucyi Justyniańskich,” w jednym dużym tomie o 641 stronicach. Dzieło to, owoc niepospolitej nauki i pracowitych studyów, powinno zająć uwagę nie samych tylko prawników, ale wszystkich naukowych ludzi. Rozwój dziejowy prawodawstwa rzymskiego, zasady prawa pospolitego i postępowanie sądowe pospolite rzymskie, są treścią trzech części tego uczonego dzieła, które wyszło na dobre, gdy wkrótce mamy nadzieję otwarcia głównej szkoły prawa. Obszerny rozbiór tak szacownej pracy, po-

damy w jednym z następnych zeszytów, we właściwym dziale kroniki literackiej.

— Wydawca Album wileńskiego Kazimierz Wilczyński, ogłosił w ozdobnej edycji: *Ołtarzyk ostrobramski*, ozdobiony 24 stalorytami z obrazów znajdujących się w kościołach wileńskich. Z pieśni pobożnych tu zawartych przytoczymy hymn Lenartowicza do *Anioła Stróża*, i Wład. Syrokomli do *N. Panny Ostrobramskiej*.

### HYMN DO N. PANNY.

Królująca z wysoka,  
Nad murami naszymi!  
Rzuc promienny blask oka,  
Spojrzyj Matko ku ziemi.

Tu w błagalnym rozgwarze,  
Płynie modła w przestrzeni,  
Tu sieroty, nędzarze,  
Tu na duszy strapieni.  
Ich nadzieja jedyna,  
Twoja litość Matczyzna!

Znasz co w myślach się mieści,  
I co w sercach nam pała,  
Znasz tajemki boleści.  
Boś Ty sama bolała!

Wiesz kto ulgę udziela!  
Niechże Syn Twój, Bóg człowiek,  
Choć promykiem wesela,  
Łzy osuszy nam z powiek;  
Niech się wstawi do Syna,  
Twoja litość Matczyzna!

### DO ANIOŁA STRÓŻA.

O! mój ty aniele złoty  
Z samego nieba przychodzień,  
Bądź przewodnikiem sieroty  
Przez całe życie, dzień po dzień.

Niech twoje pogodne oko,  
Ustawnie nademną czuwa;  
Nad tą przepaścią głęboką,  
Kiedy się noga obsuwa.

Prowadź mię, zbawienie moje,  
A we śnie, wśród nocy głuchej,  
Odpędzaj złych myśli roje,  
Jak owe niedobre duchy.

Twój głos, niech na mnie wciąż woła,  
Żebym pod górę szedł śmielęj,  
Jak srebrny dzwonek z kościoła,  
Kiedy się dzionek zabieli.

— Dwa znane poemata Teofila Lenartowicza: *Zachwycenie i Błogosławiona*, wyszły razem w przepysznym wydaniu nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu, z ilustracjami Antoniego Zaleskiego. Ilustracje te stanowią staloryty, załączone do tekstu. Oprócz karty tytułowej wykonanej przez Cypryana Norwida, do *Zachwyconej*, załączonych jest sześć stalorytów, dwa do *Błogosławionej*. W dalszym ciągu tak przepyszego wydania, zapowiedziane mamy pieśni o ziemi naszej Wincentego Pola, Maryę Malczeskiego, Walenroda, Grażynę i pana Tadeusza, Mickiewicza. Zwracamy uwagę szanownego wydawcy, że Mohort Pola, zasłu-

guje na pomieszczenie w tym zbiorze, równie jak Dworzec mego dziadka Franciszka Morawskiego; a nikt lepiej nie potrafi ilustrować tych dwóch utworów, jak Julian Kossak, który z rzetelnym talentem wielkiego artysty, umie odtwarzać postacie naszych ojców z zapadłej przeszłości.

— W drukarni Józefa Bergera (Gazety Polskiej), kończy się druk *Pamiętników Krzysztofa Zawiszy* wojewody mińskiego z czasów Augusta II; opracowane przez Juliana Bartoszewicza. W nich znajduje się ostatnia wiadomość o znanym Janie Chryzostomie Pasku, i z Zawiszy pamiętników widzimy, że żył jeszcze w roku 1703.

— W Kopenhadze wychodzi czwarte wydanie w duńskim języku, przekładu *Pamiętników Paska*; a w Zagrzebiu drukują szóste już wydanie tłumaczenia *Pana Podstolego*, Krasickiego. W ogóle plemiona słowiańskie zwracają uwagę na naszą literaturę, i bliżej zaczynają się z nią zapoznawać. Znajdą też w niej na długie jeszcze lata dla siebie zdrowy a pożywny pokarm duchowy. Najbliżsi bracia nasi Czesi, dobrzeby zrobili, gdyby więcej niż dotąd, zwrócili prace swych tłumaczy na arcydzieła literatury naszej; skorzystaliby na tém niewątpliwie w rozwoju ducha narodowego bogacięj, niż z przekładów ciągłych bez wyboru pisarzy niemieckich. Sądzimy, że ta uwaga nie będzie bez silnego echa pomiędzy Czechami.

— Podaliśmy już w całości prospekt na *Dwutygodnik Apolla Korzeniowskiego*, którego pierwszy zeszyt ukaże się 15 listopada. Widzieliśmy teraz format przyjęty przez redaktora: jest w wielkiej osemce, okazały, zbliżony do przeglądów zagranicznych. Odbijać się będzie w drukarni J. Jaworskiego.

— Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie, wyszła książka tłumaczona z niemieckiego p. n.: „Turcy pod Wiedniem,” obrazek historyczny dla dzieci i starszych, przez Ferdynanda Schmidta, przez E. P. z obrazkiem.

— Dyrektor baletu p. Turczynowicz, ułożył we 3 obrazach balet p. n.: *Wiesław i Wanda* czyli *sen dziewicy*. Treść wzięta z owych czasów, gdy Polska wiodła krwawe zapasy z najezdniczymi Tatarami.



— Redakcja Tygodnika ilustrowanego, zapowiadając dalsze wydawnictwo tegoż pisma, tak rozpowszechnionego, pisze w numerze 102:

„Czyniąc zadosyć życzeniom wielu naszych prenumeratorów, z początkiem tomu IV znieśliśmy rubrykę doniesień. W następnych i dalszych kwartałach drukować będziemy: *Wycieczkę do Gdańska* Deotymy, *Podróż po południowej Słowiańszczyźnie* Romana Zmorskiego, obie z licznymi drzeworytami; dalej komedię konkursową pani Maryi Iluickiej p. n.: *Kto winien*; powiastkę Felicyana Faleńskiego *Po nad źródłem*, i dwutomowy obraz z życia warszawskiego, *Ciernie kwitnące*. Z powodu znacznej obszerności tej ostatniej pracy, postanowiliśmy w przyszłym kwartale (od 1 października r. b.) częstsze dawać dodatki, tak iżby przed nowym rokiem jeszcze została ukończoną.”

Z tego programu widzimy, jak redakcja nie ustaje w ciągłych usiłowaniach swoich, aby Tygodnikowi nadać prawdziwą wartość literacką, przez co jak jest tak i będzie ozdobą każdej prywatnej biblioteki.

— Wydawnictwo *Encyklopedyi powszechnej* postępuje bez przerwy, litera *E* już ukończona w tomie VIII, i w tymże tomie pomieszczoną zostanie litera *F*. Pokup na to dzieło tak użyteczne i potrzebne w każdym rodzinném kółku, na nowo się ożywił i znakomicie powiększył.

— Nakładem nowj księgarni (w gmachu teatralnym) Celsa Lewickiego, wyszła w drugiem wydaniu rozprawa Adama Goltza *O wiejskich ochronkach*. Rzecz na czasie powtórzona, a opracowana gruntownie, ze znajomością przedmiotu.

— A. E. Odyniec kończy w druku w Wilnie, część drugą dramatu p. n.: *Jerzy Lubomirski*; część trzecią i ostatnią ma mieć już wykończoną w druku.

— Z Kuryera Wileńskiego dowiadujemy się, że dotąd obchodzi lud na Litwie uroczystość zwaną *Dziady*, poświęconą pamięci zmarłych. Ale straciły one zupełnie już wszystkie cechy dawne, z przedchrześcijańskich czasów. W dniach 12 i 13 listopada, zbiera się cała rodzina z domownikami do zastawionego stołu licznemi potrawami; gdzie pierwsze trzymają miejsce, bliny, kiełbasy,

kwas, bulon z mięsa wołowego, pirogi, kasza gęsta, i gatunek grzybka stanowiący godowy wieniec. Gospodarz domu rozpoczyna modlitwę za dusze zmarłe, a gospodyni zapaloną gromniczną świecę, obnosi trzykrotnie około stołu. Na tém się kończy obchód cały. Obrzędy, w *Dziadach Mickiewicza*, już obecnie należą do wspomnień historycznych.

— W Wilnie nakładem księgarni Rubena Rafałowicza wyszedł „Szkic historyi powszechnéj dla dzieci: przez Aleksandra Zdanowicza z atlasem, złożony z czterech tablic symboliczno-chronologicznych do historyi starożytnéj i nowożytnéj, według metody Jazwińskiego ozdobnie chromolitografowanych. (Cena złp. 15).

— Nowa księgarnia Celsa Lewickiego, zawiązawszy stałe stosunki ze Lwowem, zaopatrzyła się w dzieła, chociaż oddawna wydane, a u nas wcale dotąd nieznanne. Z tych wymienimy ważniejsze, które ma do sprzedania 1. *Kopia rękopismów* własnoręcznych Jana III króla polskiego i księcia Stanisława Lubomirskiego strażnika a potem marszałka w. koronnego, (z autografów biblioteki Willanowskiej). Lwów 1833. 2. *O rozmaitem następstwie* na tron za dynastyi Piastów. Rozprawa z rękopisów J. M. Ossolińskiego wyjęta. Lwów 1833 r. 3. *Poloneutihia* Andrzeja Lubienieckiego. Z rękopismów Zakładu naukowego imienia Ossolińskich. Wiadomość o tym rękopiśmie i życiu Lubienieckiego zebrał Aleks. Batowski. Wydanie Zakładu naukowego imienia Ossolińskich. Lwów 1843 r. 4. *Ustawy Zakładu narodowego imienia Ossolińskich*. Lwów 1857. Wymieniliśmy dzieła tylko treści historycznej ważniejsze, następnie doniesiemy o innych. Rzecz godna uwagi, jak trudne są komunikacje księgarskie ze Lwowem, prędjéj dotychczas, można mieć u nas dzieło żądane z Paryża lub z Londynu niż z tego miasta. Księgarnia C. Lewickiego, trudności te usunęła obecnie.

— Dnia 11 b. m. odbyło się zwyczajne posiedzenie członków Kommissyi archeologicznej, w liczbie 12tu zebranych, pod przewodnictwem prałata *Bowkiewicza* i w obecności p. zarządzającego wileńskim okręgiem naukowym rz. czł. księcia *Szyryńskiego Szychmatowa*.

Po odczytaniu i przyjęciu protokołu przeszłego posiedzenia, członek współpracownik i konserwator zbiorów naturalnych Muzeum p. *Ludwik Köhne* odczytał swój artykuł o rozmaitych rodza-

juch szarańczy. Powód do tego artykułu dał głównie list p. Ludwika Karpowicza, do redaktora Kurjera Wileńskiego i rz. czł. Arch. Kommissyi A. H. Kikora, w którym korespondent donosząc o zjawieniu się téj plagi w gubernii mohylewskiej, przesłał dla naukowego rozbioru i przechowania w Muzeum kilkanaście zasuszonych owadów, mających kształt szarańczy i kilka przezeń uszkodzonych kłosów. Przytaczamy ten list w urywkach:

„(Z Mohylewskiej gubernii, w lipcu). W tych dniach rozniosła się wieść u nas, iż w homelskim powiecie, w majątku księcia Pa-skiewicza Wasilówce, odległym od Mohylewa o wiorst 250, pokazała się w wielkiej ilości szarańcza, i niszczy na polu żyto i jarzynę. Chcąc się przekonać, w jakim stopniu ta smutna pogłoska jest sprawiedliwą, pojechałem do Wasilówki; o milę ztamtąd postrzegłem już na drodze przy żytnich poletkach niezwyčajnie wielką ilość różnokolorowych polnych koników, których włościanie tutejsi nazywają: „Skoczki, żytniki”, po nad żytem zaś w niektórych miejscach widziałem latające jednostki, nieznanego mi owadu, z długimi skrzydłami, mającego podobieństwo do zielonych wielkich koników polnych; i tak dojechałem do samej Wasilówki, nie widząc nigdzie szarańczy i uszkodzenia na zbożu. Wjechawszy do wsi, pierwszego człowieka, któregom spotkał, zapytałem, czy jest u was szarańcza? odpowiedział mi na to, iż uprzednio szarańcza była na ich życie przy wsi samej i wiele im żyta zepsuła, ale kiedy to żyto żęgli, przeniosła się o półtory wiorsty i tam teraz niszczy żyto i jarzynę. Kiedym przyszedł na wskazane miejsce, włościanin pokazał mi na ziemi gromadę owadów siedzących, rozmaitego koloru i kształtu, i rozmaitej wielkości, z długimi i krótkimi skrzydłami, mających trochę podobieństwa do koników polnych; w tém miejscu, gdzie one siedziały, kłosa żytnie były zupełnie zjedzone, tak, iż jedna tylko słoma sterczała. Pokazując mi to żyto, włościanin powiedział, że szarańcza ta cały dzień siedzi na ziemi, przy zachodzie zaś słońca siada na kłosa, które tak gęsto pokrywa, iż z daleka patrząc na żyto, wygląda ono jakby sukнем pokryte było. Kiedym poszedł dalej żytem, z pod nóg moich wlatywały liczne gromady tychże owadów, a kłosa żytnie w wielkiej ilości widziałem uszkodzone, tak, iż wyrwawszy garść żyta, ledwo kilka w niem kłosów nieuszkodzonych znaleźć można było.

„Opowiadano mi, iż najstarsi ludzie nie pamiętają, aby kiedykolwiek na ich polach były podobne owady, i z kąd się teraz wzięły niewiadomo. Włościanie są przekonani, że musiały się wyprowadzić



z ziemi, i o żadnych zaradczych środkach dla jęj wytępienia nie myśla, w nadziei, że zbliżająca się zima wymrozi ją zupełnie.

„Obszedłszy pole, na którym ten nieznany mi owad niszczył i niszczy żyto, przekonałem się, iż ilość jego jest nie zbyt wielka, że trzyma się jednego miejsca póki ma dostatecznie pokarmu, to jest nim na miejscu, które zajmuje, kłósów zupełnie nie obje, lub też nim żyta nie zerzną, a wówczas się przenosi na drugie miejsce. Obecnie zajmuje przestrzeń nie większą nad kilka dziesięcin; gdyby więc zechciano jedną włókę żyta na ofiarę poświęcić, a resztę w około zżęto, i wówczas zostawione żyto spalono, spłonąłby z żytem razem i owad; dla zabezpieczenia zaś, aby się ten owad w ziemi nie wylągl, i na rok przyszły w większej ilości się nie pokazał, należałoby po nadejściu późnej jesieni, całą przestrzeń ziemi, na której ten owad niszczył i teraz niszczy żyto, głębiej zorać. Przy użyciu tych środków, możnaby było się spodziewać, iż ogień i mróz uchroniłby nas od klęski, której oczekiwać należy przy beczynnem ubolewaniu, tém bardziej, iż już o wiorst kilka od Wasilówki, jednostki podobnego owadu dają się widzieć”.

Owoż, po dokładnem rozpatrzeniu przesłanych przez korespondenta owadów, p. Köhne doszedł do wniosku, że to jest najczystsza szarańcza wędrowna (*Gryllus migratovius*), która na Ukrainie i na Wołyniu tak ogromne zrządziła już spustoszenia. Wnioski te opiera p. Köhne na stałych cechach naukowych, wyróżniających ten owad żarłoczny z pomiędzy wielu innych gatunków, a mianowicie na silnem rozwinięciu szczęk, skrzydeł i nóg tylnych, oraz na obecności u samic kanału głosowego. Środki do zniszczenia tego owadu są tylko mechaniczne: zakopywanie w dołach, gniecienie wędrujących szeregów lub palenie ich; chemiczne lub inne środki, któreby mogły ten owad niszczyć w wielkich ilościach, nie są nam dotąd znajome.

Kończąc sprawozdanie o tém, niech nam wolno będzie złożyć łaskawemu korespondentowi najczulsze w imieniu Muzeum podziękowanie za przesłane okazy szarańczy, które publiczność, w dniu na odwiedzanie przeznaczonym, w trzeciej górnej sali oglądać może.

Towarzystwo otrzymało w darze ważne bardzo dzieło od Cesarzkiej St Petersburgskiej Akademii nauk, a mianowicie pierwsze zupełne wydanie kroniki *Jerzego Hamartola*. Na wezwanie prezydującego, rzeczywisty członek Mikołaj Malinowski dał następną w języku francuzkim o tém dziele wiadomość:

„Cesarska Akademia nauk często zasila Towarzystwo nasze szacownemi darami dzieł uczonych, przez siebie wydawanych. Dzisiejszy upominek jest szacowniejszym nad inne. Jest to dar całemu uczonemu światu wyświadczony. Dotąd Europa nie posiadała jeszcze w języku greckim zupełnego wydania rocznika Jerzego Hamartola. Późniejsi pisarze bizantyjscy, a głównie *Konstantyn Porfyrogeneta*, *Cedren* i inni, wypisywali go i skracali, przerabiali po swojemu; ztąd wiadomość o uczonym mnichu rozbiegła się po świecie, lecz sam tekst jego pracy nigdy drukowanym nie był; nawet w najzupełniejszym wydaniu Byzantynów przed 25 latami w Bonn sporządzoném, napróżno byłoby szukać dzieła Jerzego Hamartola. Gdy więc dziś Akademia nauk wydanie tego szacownego pomnika świata dostarczyła, należy jój za to niezaprzeczoną wdzięczność.

Jerzy Mnich, zwyczajem zakonnym nazwał się Hamartolem, to jest grzesznikiem, przez zakonną pokorę; najprawdopodobniej był rodem z Aleksandryi w Egipcie; żył jeszcze przed rozerwaniem kościołów wschodniego i zachodniego, to jest przed rokiem 854, bo wszędzie wspomina z najwyższém uszanowaniem kościół rzymski i papieżów. Wartość dziejowa jego pracy jest wysoka, ponieważ miał pod ręką dawniejszych kronikarzy, których pisma zaginęły, a z których szerokie czynił wypisy. Sam patrzył na zdarzenia końca VIII i czterdziestu pierwszych lat IX wieku. Obfitym téż jest w wiadomości o pierwotnych dziejach Słowian. Ztąd téż Ludwik August Schlötzer, który pierwszy zwrócił uwagę na ważność bizantyjskich pisarzy, dla dziejów słowiańskich, już o Hamartolu wspomina, lubo w druku go nie znał, a do rękopismów jego nie zajrzał.

Dopiero uczony Strojew w roku 1820 obeznawszy się z kodeksem greckim chronografa Jerzego, oraz z rękopismami częściowych tłumaczeń tego pisarza na język słowiański, w Serbii dokonaniem, zwrócił uwagę uczonego świata na wartość tego źródła dla dziejów Słowiańszczyzny.

Kodeks moskiewski, z dawnego patryarszego księgozbioru pochodzący, jest pod wszelkimi względami najszacowniejszym, bo chociaż wielkie biblioteki włoskie, francuzkie, angielskie i niemieckie, posiadają mniej lub więcej obszerne rękopisma tego chronografa, żaden jednak z zupełnością moskiewskiemu nie dorównywa. Kodeks *Koiślinański* jest najdawniejszy, bo pochodzi z X wieku, mniej jest poprawny od moskiewskiego. Dotąd odkryto po rozmaitych bibliotekach 40 oddzielnych kodeksów od X do XV wieku.

Uczony wydawca pierwszego petersburskiego wydania, *E. von Murati*, wzięwszy za podstawę swój pracy rzeczony kodeks moskie-

wski, postarał się o rozmaitość czytań i porównanie tekstu ze wszystkimi ważniejszymi europejskimi rękopismami tegoż dzieła, i dodał różnicę czytań innych kodeksów, uzupełnił całe dzieło z rozmaitych pisarzy od roku 842, kiedy Jerzy pisać przestał, aż do roku 1143, głównie zaś chronografy *Leona Grammatyka* i *Cedrena*, wymienił wszędzie przytaczane miejsca z Pisma Świętego, Ojców Kościoła i innych pisarzy w kronice wspomnianych; na brzegu oznaczył lata przed i po narodzeniu Chrystusa.

Akademia nauk zamierza przysługę dziejom wyświadczoną jeszcze uzupełnić, przez wydanie na jaw dawnego tłumaczenia słowiańskiego całej Kroniki Jerzego. Będzie to wielkiej ceny dar dla filologii, bo porównyując miejsca żywcem w kronice Nestora i jego kontynuatorów z roczników bizantyńskich wzięte, z miejscami tłumaczenia z serbskiego, łatwo wykazać będzie różnicę mowy słowiańskiej, jaką w tak odległym czasie nad brzegami Dunaju i brzegami Dniepru pisano. W każdym razie Towarzystwo nasze nie omieszka Akademii za ten piękny dar, jaki od niej otrzymało, podziękować.

Nakoniec odczytany został spis ofiar w miesiącu upływnym.

— Nakładem księgarni i litografii Adama Dzwonkowskiego wyszły: I. Zeszyt 15 i 16 dzieła: Arcybiskupi i prymasi, wizerunki z galerii łowickiej, objaśnione tekstem historycznym przez Juliana Bartoszewicza: obejmuje portrety i życiorysy: 1) Henryka Firleja z Dąbrowicy. 2) Jana Wężyka. 3) Floryana Kazimierza księcia Czartoryskiego. 4) Jana Lipskiego. 5) Macieja Żubieńskiego. 6) Wacława Leszczyńskiego. 7) Mikołaja Prażmowskiego. II. (Z publikacji wizerunków i życiorysów znakomitości tegoczesnych zebranych z najnowszych źródeł, wyszedł nr. 4 obejmujący życiorys Wiktora Emmanuela króla włoskiego. III). Album Kraszewskiego, zeszyt pierwszy; Podlasie, zawiera wraz z opisem ryciny przedstawiające: 1) Romanów podlaski. Stary dwór. 2) Sernik w Chmielicy. 3) Oranżerya w Romanowie. 4) Kaplice tamże. 5) Pustą chatkę tamże. 6) Część ogrodu Romanowa.

— P. Stefan Grzymała przygotował do druku gramatykę języka czeskiego dla Polaków, która ma być drukowaną w Pradze czeskiej, ze wstępem p. Emanuela Tonnera, który w miesiącu wrześniu r. b. bawił w naszym mieście, w celu naukowym.

— Ogromny poemat Wincentego Pola: *Hetmańskie pachole*, z którego śliczny ustęp podaliśmy w naszym piśmie, ma być dru-



kowanym w Warszawie, nakładem jednego z zamożnych naszych wydawców. Jestto utwór najobszerniejszych rozmiarów, ze wszystkich znanych naszego poety; a treścią jego są czasy ostatnich Zygmunatów Jagiellończyków i posągowa postać Jana Tarnowskiego, hetmana w. koronnego.

— *Kuryer Wileński*, w przeglądzie pisma naszego, zeszytów za lipiec i sierpień r. b. mówi:

„W kronice literackiej” ważnem jest zjawiskiem rozbiór krytyczny „Historji literatury polskiej” Juliana Bartoszewicza, przez uczonego autora Historji szkół i kościołów Józefa Łukaszewicza. Dzieło pana Bartoszewicza wywołało dosyć pochwał, lecz nierównie więcéj namiętnych krzyków, ze wszech stron podnoszonych z powodu cierpkich i stronnych zdań autora o ludziach zasłużonych krajowi, których sposobu myślenia p. Bartoszewicz nie aprobeuje, chociaż i jego zapatrywanie się na dzieje nasze nie każdy aprobeować zechce. W rzędzie tych wielorakich reklam, prawdziwie krytyczna praca p. Łukaszewicza stoi tak wysoko nauką, wytrawnością sądu i godnością słowa, że żadna inna mierzyć się z nią nie odważy. Jedyna wspólność, jaka zachodzi między temi dorywczezi uwagami, a obszerném studyum p. Ł. jest ta, że niedotykając zalet książki p. Bartoszewicza, „bo te wpadają same w oczy czytelników i już inni recenzenci dzieła uprzedzili w ich okazaniu”, p. Łukaszewicz uderza na stronę ujemną z ogromnym zapasem sprostowań. Recenzent zarzuca p. Bartoszewiczowi: „fałszywy pogląd na dzieje narodowe, mylne sądy o rzeczach, autorach i ich dziełach, opuszczanie ważniejszych autorów lub ich dzieł, a natomiast wzmianki o pisarzach, którzy nie tylko w naszej, ale nawet w innej najuboższej literaturze byłiby zerami, nie rzadkie a czasem i przygrube omyłki, niedokładności, domysły żadnym chociażby téż tylko prawdopodobnym dowodem niepoparte, powtarzanie nieustanne jednych i tych samych myśli, brak krytyki historycznej, nakoniec paradoksy i hyperbole bez końca i miary, sprzecznomówność”. Obwinienia tego dowodzi krytyk 17tu kartami najrozmaitszych sprostowań, których powtarzać nie uważamy za potrzebne i możliwe. Pozwalamy sobie jednak poprzeć lub podkopać kilka szczegółów sprawozdania, na mocy uwag udzielonych przez p. Malinowskiego. Pan Łukaszewicz podziela z innymi zdanie o istniejącej, a dziś jakoby zaginionej historji Zygmunta I, przez Stanisława Górskiego. Zdaje się, iż rzecz tak się ma: Stanisław Górski zbieracz Tomicyanów, obejmujących naj-

ważniejsze materiały do dziejów całego panowania Zygmunta I, umieszczał na czele tych pism chronologiczny opis zdarzeń, a czasem tu i owdzie nie wielki komentarz: albo więc te wykazy i komentarze podobało się komuś nazwać historią Zygmunta I przez Górskiego, albo nawet cały zbiór Górskiego tak był nazwany; niema bowiem dowodu, aby Górski osobno dzieje tego króla pisał. Na przekorę twierdzeniu p. Bartoszewicza, p. Łukaszewicz utrzymuje, że „jeżeli Trzeciecki zajął stanowisko w literaturze krajowej, to je zajął swoim przekładem Krescentyna, swojemi poezjami łacińskimi, ale nie życiorysem Reja”. Trudno się zgodzić, żeby przekład Krescentyna, książki gospodarskiej, jakich wiele, miał być lepszy od wspomnianego życiorysu, tak wybornie charakteryzującego epokę. Słusznie pan Łukaszewicz obwinia Bartoszewicza, iż mówiąc o nędznych mowach Goślickiego, nie wspomniał jednak o znakomitým jego dziele: „De optimo senatore.” Dzieło to napisane jest z takim talentem, że professor wileński Münnich oskarżył Goślickiego o kradzież całej swojej książki o senatorze z zatraconego dzieła Cycerona „De Republica,” którego zupełny egzemplarz Goślicki miał jakoby posiadać i dla zatarcia śladów zniszczyć. Münnich cieszył się, że i tę nowego wynalazku potwarz mógł na autora rzucić. P. Bartoszewicz bajkopisa Krzysztofa Niemierzyca nazywa Szwedem, arjaninem, kozakiem, wojakiem i zdrajcą ojczyzny. Pan Łukaszewicz zarzuca zbyteczną hojność w epitetach i powiada, że był to sobie tylko szlachcic, stronnik domu saskiego. Obaj tu mają słuszość po swojemu: błąd zaś obu leży w tém, że Niemierzyc zdrajca był inną, a pisarz inną osobą. Z kolei niesłusznie p. Łukaszewicz powstaje na Bartoszewicza, iż wydanie „Swady“ przypisał Janowi Fryd. Sapieże, gdy wyjść miała jakoby w 1684 r., kiedy ten Sapieha był zaledwie w czwartym roku życia. Tu zawiodła pamięć p. Łukaszewicza, albo też zaszła jakaś niepodobna do wytłumaczenia omyłka. „Swada” wyszła w roku 1747. Zasługi w jej wydaniu wielkiej nie było, nauki też wcale ta praca nie potrzebowała: jest to bowiem zbiór wierszy, mów, panegiryków, broszur politycznych, epitalamiów, listów, nagrobków i t. p., pisemek przygodnych, które do każdej silva rerum wpisywano. Potrzeba tylko było wiele pieniędzy na wydrukowanie dwóch ogromnych foliów. Można powiedzieć, że Sapieha ze swoim sekretarzem Danejkowiczem byli obadwaj wydawcami „Swady,” a zważywszy na panujący wówczas duch panegiryczny, nic dziwnego, że pan kanclerz chciał, aby i jego portret i szumna dedykacja pomieszczone były na czele dzieła, na

którego wydanie Jezuitom lubelskim pewno nie małe wysypała pieniądze. Słusznie p. Łukaszewicz powstaje przeciwko autorowi Hist. lit. za ryczałtowe potępienie okresu stanisławowskiego a la Dzeduszycki. Słusznie powiada, że „ci co rwali fundusze jezuickie i t. p. nie byli dziećmi epoki Stanisławowskiej, tylko epoki saskiej; że okres Stanisławowski dopiero wydał nam ludzi, którymi przed światem pochlubić się możemy.” Słusznie też powstaje na niezgodne z prawdą twierdzenie, że „używać było godłem uczonych, co to za Stanisława Augusta przyszli do znaczenia.” Używanie to i znaczenie było takie, że Poczobut nie mógł dobić się do kanonii wileńskiej, bo mu jakiś ks. Gzowski szeroko spokrewniony w województwie trockim, gdzie biskup Massalski miał znaczne dobra, zawadzał. Ks. Massalski żadnego z professorów akademii wileńskiej, choć sam był prezesem kommissyi edukacyjnej, kanonikiem nie zrobił; dopiero ks. Naruszewicz, zostawszy biskupem smoleńskim, pozdabiał ich dystynktoryami posad kościelnych, na księżycu. Ale *sum cuique*; p. Ł. zbyt się uniósł w obronie ks. Stanisława Konarskiego, kiedy powiada, że bez jego reform nie mielibyśmy Naruszewiczów i Poczobutów: obaj ci uczeni byli wychowañcami Jezuitów i nawet członkami tego zakonu do jego kassaty. Pomimo jednak nie wielu tych usterków, któreśmy wytknęli, mało mamy w naszej literaturze krytycznej takich prac, jak studjum p. Łukaszewicza. Szkoda tylko, że spuszczać się na innych, pominął strony dodatnie dzieła p. Bartoszewicza: gdyby nie to pominięcie, obraz byłby zupełniejszy.”

— Towarzystwo przyjaciół nauk poznańskie ogłosiło przez odezwę z dnia 1 lipca 1858 r., umieszczoną w pismach polskich, konkurs do napisania „Historyi włościan i stosunków ekonomicznych w dawniej Polsce,” podejmując się zarazem przysądzenia naznaczonej przez hr. Augusta Cieszkowskiego nagrody 1,000 talarów w pruskiej monecie, najlepszej z prac, które w ciągu dwóch lat następnych nadesłane zostaną. Kiedy w terminie naznaczonym nie nadesłano pracy, ogłosiło Towarzystwo zadanie to powtórnie, zakreślając termin nadesłania pracy do d. 1 lipca r. b. Gdy i to ogłoszenie pozostało bez skutku, postanowił zarząd Towarzystwa, zgodnie z życzeniem hr. Augusta Cieszkowskiego, zważywszy doniosłą ważność przedmiotu i zamierzając zachęcić do wykończenia pracy tych, którzy ją może rozpoczęli, przedłużyć ponownie czas do nadesłania prac na 12 miesięcy i zakreślić termin prekluzyjny do dnia 1 lipca 1862 roku. Ogłoszenie pierwotne zadania nastąpiło



z tym dodatkiem, że nietylko prace nowe, lecz i ogłoszone drukiem od czasu założenia Towarzystwa naukowego poznańskiego, do udziału w konkursie przypuszczone będą.

— Nakładem księgarza J. Glücksberga, kończy się w druku *Kalendarz ludowy*.

— Nakładem księgarni polskiej A. Dzwonkowskiego i zarazem w zakładzie litograficznym i sztycharskim nut wyszły, p. n.: *Tańce narodowe polskie*, które zawierają: 'Zbiór mazurów różnych na fortepian zebranych przez Andrzeja Kratzera, w ozdobnym wydaniu. Piękna chromolitografowana okładka rysunku H. Pillatego, stanowi kartę tytułową; na niej z wielkiem życiem i prawdą, mamy oddanych kilka scen wioskowych, jak: powracający orszak weselny z kościoła, który poprzedza družba na dzielnym koniu, z buławą ozdobną, we wstęgi i kwiaty, taniec w karczmie i odjazd z niej do domu.

Nakładem tejże księgarni, w dalszym ciągu wydawnictwa *Wizerunków i życiorysów znakomitości tegoczesnych* mamy nowy zeszyt V: *życiorys Abd-el-Kadera*. Popiersie tego bohatera arabskiego załączone, w rysach oblicza i spojrzeniu, wybija wyrazem szczególnym, znamionującym wyższość duchową Abd-el-Kadera, którą się odznaczał tak na polu krwawych walk, jak w zawodzie literackim i w życiu domowém. Wiadomo, że zbiór jego poezyj ma wyjść w przekładzie francuzkim. Fares Ecchidiak poeta arabski, chrześcianin mieszkający w Syryi, w r. 1850 napisał piękny poemat, opiewający cnoty i przymioty Abd-el-Kadera, i drukiem ogłosił, z przypisem dla znakomitego Emira.

— W dniu 8 sierpnia roku bieżącego, odbyło swoje posiedzenie Towarzystwo lekarskie w mieszkaniu doktora A. Baranieckiego w mieście Jermolińcach (gubernii podolskiej) pod prezydencją doktora Aleksandra Kremera. Podolskie Towarzystwo lekarskie uważało za rzecz konieczną, dla obudzenia większej w swych członkach działalności, odbyć parę razy posiedzenia kolejno w rozmaitych miejscach na prowincyi. Pierwszém miejscem zgromadzenia były Jermolińce, następne odbyć się mają w Winnicy, Tulczynie, Braclawiu albo w inném miejscu, zaprosiwszy poprzednio lekarzy okolicznych. Zgromadzenie pierwsze nie było nazbyt liczne, gdyż członkowie będąc późno zawiadomieni, w liczbie tylko 13 zebrać się mogli. Na posiedzeniu rozprawiano o panujących

w okolicy epidemiach: tyfusie, ospie, kokluszku i o środkach ich leczenia; o słabościach pojawiających się przypadkowo, o używanej kuracyi; podano kilka ciekawych wypadków fizyologicznych i patologicznych, historii chorób i t. p. W końcu Dr. A. Baraniecki czytał rozprawę: „O pracach lekarskich aptekarza lwowskiego Teodora Torosiewicza. Pracownik ten nie zmordowany wydał dzieł 91 i nie ustaje dotąd pracować dla dobra nauki i kraju; w roku następnym (1862) obchodzić będzie 50-letnią rocznicę założenia swęj apteki, która tyle pożytku dla nauki i dla ludu przyniosła. Prócz tego Dr. Baraniecki pokazywał zebrany kilka rzadkich dzieł i medalów, na uczczenie zasług lekarskich wybitych, przyrządy elektro-galwaniczne, wynalazku Fuszego z Bony, których professor Neumann w klinice swęj używa; małe i tanie instrumenta chirurgiczne, w Egipcie używane, przedmioty rozmaite przez niewidomych w instytucie paryzkim toczone i wiele innych ciekawych rzeczy, mających styczność ze sztuką lekarską.

— *Kmiotek* pismo tygodniowe, które początkowo redagował J. K. Gregorowicz, znany pisarz ludowy i redaktor *Magazynu mód*, przeszło następnie pod redakcją Władysława Anczyca. Prowadzone starannie i sumiennie, z wielką znajomością potrzeb ludu naszego, zyskuje coraz większe upowszechnienie.

— *Czytelnia niedzielna*, której redakcyja cała się zmieniła, wyjąwszy właścicielki Alexandry Petrowowęj, wychodzi regularnie, lubo wiele straciła na dawnęj wartości. Życzyć należy, ażeby u nas powstało pismo wyłącznie poświęcone klasie rzemieślniczęj, jak *Kmiotek* dla naszych rolników. *Czytelnia* łącząc w sobie oba cele, nie jest wstanie odpowiedziéć zadaniu w tak szczupłych ramach, w jakich wychodzi.

### Korrespondencye.

Autorowi rozprawy nadesłanęj p. n.: *O trybunach ludu w Rzymie*, Redakcyja ma zaszczyt odpowiedziéć, że takowęj w piśmie swojém drukować nie może.

P. S. P. Mironowiczowi w *Rosieniach*. *Rękopism* p. n.: *Recenzya pedagogiki Sierocińskiego*, z powodu swęj obszerności, w Bibliotece Warszawskięj nie może być pomieszczony.





† Dnia 6 września r. b. umarł w Krakowie w 56 roku życia *Wojciech Majer* Dr. O. P., były prezes trybunału W. Miasta Krakowa, później radzca sądu wyższego krakowskiego. Postawiony u steru trybunału, nieposzlakowanym charakterem, sprężystością kierunku, zmierzającego do ile można spieszego wymiaru sprawiedliwości, potrafił sobie zjednać powszechne uznanie. Praca ta pomnożona udziałem w rozlicznych komisjach, nie odwróciła go od zajęć naukowych, które otworzyły mu wstęp do Towarzystwa naukowego, a których owocem były między innymi 3 rozprawy drukiem ogłoszone: *1) stosowaniu ustaw nowych* (wydana w r. 1840); *2) instancjach sądowych*; *3) części rozryd: alnej i zachowku*, zamieszczone w *Roczniku Tow. nauk. krak.* Wypracował on nadto ustawę górniczą przedstawioną ostatniemu sejmowi Rzpltej krakowskiej. Gdy zaś za nastaniem nowego rządu niezwłocznie i prawodawstwo jego wprowadzać zaczęto, celem zapobieżenia skażeniom języka, jakie z niewłaściwego przekładu tekstu niemieckiego przez nieobeznanych z terminologią polską wynikać musiały, sam najważniejsze ustawy przetłumaczył i ministerstwu do użycia przedłożył. Po rychłym zaprowadzeniu języka niemieckiego w szkole i urzędzie, praca ta pozostała bez praktycznego użytku. Dopiero w ciągu ostatniego roku ogłoszono według niej polski przekład ustawy cywilnej. Ze zaś podówczas przyznano znowu większe nieco prawo językowi polskiemu, tak, że Towarzystwo naukowe uwzględniając potrzebę ogólną i kłopotliwe położenie większej części urzędników nieobeznanych dostatecznie z polską terminologią, zawiązało komisją celem wygotowania podręcznego słownika terminologicznego administracyjno-prawniczego; kierunek tej pracy dostał się znowu wyborem członków komisji s. p. *Majerowi*. Byłoby w czasie, gdy mocno podupadły stan zdrowia już z domu wychodzić mu nie dozwolił i kiedy wszelka praca, zwątlone siły jego niebezpiecznie wyczerpywała. Żył je jednak z godną podziwu energią, dopóki duch myślą a ręka piórem z jaką taką swobodą powodować zdołała. Wszak i po śmierci jeszcze nie przestanie on być przydatnym komisji, której przewodniczył, bo ręką jego dokonane wypisy z *Voluminów* praw, z *Tucholczyka*, z słownika *Lindego* i wielu ustaw górniczych, bogaty dla jej pracy stanowić będą materiał. Tak spędził żywot wprawdzie nierozżyty, niemniej jednak dla tego według sił i stanowiska cały poświęcony usłudze publicznej.

† Dnia 19 września r. b. umarł w Paryżu w sędziwym wieku, przeżywszy lat 84 *Antoni Górecki* znany poeta, a głównie bajkopisarz. Wystąpił on na pole literackie w pierwszych latach bytu Królestwa Polskiego kongresowego. Wydawał wówczas *Bruno hr. Kiciński: Tygodnik polski i zagraniczny*, pismo wielkiej wziętości, tu pierwsze swoje utwory ogłosił s. p. *Górecki* i do razu wszystkich oczy na siebie obrócił. Z poetów ówczesnych on rzeczywiście jaśniał prawdziwym talentem. Wiersz jego: *Śmierć zdrajcy ojczyzny*, całe młode pokolenie umiało na pamięć, równie jak kilka śpiewów historycznych, między temi odznacza się: *Zdobycie wawozów Somo-Sierra*. Jako bajkopisarz głównie jest znany, chociaż i inne utwory poetyczne cechuje niezwykła siła, potęga języka i prawdziwe natchnienie poetyczne. Przez lat trzydzieści kilka na obcej zamieszkały ziemi, na niej znalazł wieczny spoczynek. Syn jego słynny malarz, poślubił najstarszą córkę *Adama Mickiewicza*. Pisma s. p. *Antoniego Góreckiego* wydawane w broszurach i dziś rzadkie, zasługują, ażeby zebrane zostały razem i ogłoszone. *Julian Horajn* miał tę myśl przed kilku laty i przygotował do druku: dziś ich wydanie byłoby zapewne pięknym uczczeniem pamięci poety i zasług poczciwych, jakie położył w usługach obywatelskich dla kraju.

K. Wł. W.



**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**

**w Obserwatoryum Astronomiczném**

**WARSZAWSKIEM.**

***Sierpień, 1861.***





	m.	e.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.20	27	8.561
Najwyżej barometr dochodził d. 2 o g. 10 r.	756.36	27	11.292
Najniżej — — d. 10 o g. 10 r.	736.74	27	2.594
Średnia dzienna zmiana barometru	3.15		1.396
Największa dzienna zmiana barometru d. 8 — 9 r. w czasie przejścia Księżycy przez Równik	11.53		5.108
Średnia wysokość barometru jest większa o od stanu normalnego z 35 lat poprzedzających	0.69		0.308
Średnia temperatura sierpnia wynosi	+ 18 <sup>o</sup> .12 C.	+	14 <sup>o</sup> .50 R.
i ta jest większa o	0.01	"	0.01 "
od stanu normalnego z 35 lat poprzedzających	+ 18.11 "	+	14.49 "
Największe ciepło było d. 13 o g. 4 w.	+ 31.70 "	+	25.36 "
Najmniejsze — — d. 27 o g. 6 r.	+ 9.70 "	+	7.66 "
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.42 "		2.90 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 13 — 14 o g. 4 w	10.04 "		8.03 "

Termometrograf wskazał: Maximum: + 31<sup>o</sup>.87 C. = + 25.50 R. d. 13 po połud.  
Minimum: + 8<sup>o</sup>.75 " = + 7.00 " d. 23 w nocy.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 70.17 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 10.77 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest o 4.9 setnych mniejsza od normalnej (75.05).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 35.0 mil. czyli 15.41 lin. par.; mniejsza o 40.9 mil. czyli o 18.22 lin. par. od ilości wody jaka zwykle u nas w Sierpniu spada (75,9 mil. czyli 33.62 lin. par.).

Stan elektryczności atmosferycznej co do jej natężenia średni miesięczny jest 18.6 stopni, największe natężenie siły elektrycznej dochodziło: 42 stopni d. 27 o g. 10 rano.

Dni pogodnych było 8, napółpogodnych 11, pochmurnych 12.

Dni deszczu 8 (d. 1, 4, 9, 10, 12, 18, 24, 28).

— mgły 6 (d. 2, 7, 19, 23, 26, 27).

— grzmotów i błyskawic 2 (d. 6, 9).

— błyskawic 1 (d. 3).

Wiatrów mocnych 20 (1 PdW., 3 PdZ., 10 Z., 6 PnZ.).

Wichrów 2 (1 Z., 1 PnZ.).

Wiatr panujący Zachodni częste także były wiatry Północno-Zachodnie.

Sierpień r. b. był nader suchy, wietrzny i dosyć ciepły, temperatura, jego zbliżała się do stanu normalnego. Dni: 3, 6, 13, 16, 20 były gorące ich średnia temperatura dzienna dochodziła blisko 18 stop. R.; przeciwnie dni: 10, 27, 28, 31 przy wiatrach Północno-Zachodnich były chłodne. Barometr w ogóle utrzymywał się wyżej jak zwykle; największa zmiana dzienna barometru wynosząca 5.11 lin par. przypadła d. 8 na 9 w czasie przejścia księżycy przez równik niebieski. Susza panowała znaczna; wilgotność powietrza jest blisko o 5 setnych mniejsza od normalnej. Ilość wody z deszczu jest o połowę mniejszą niż zwykle. Pod względem stanu nieba miesiąc ten zbliżał się do stanu normalnego; albowiem w stanie średnim stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 7,4:12,7:11,0; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 8:11:12.

W tym miesiącu pokazywały się liczne i wielkie plamy na słońcu.

D. 8 między godz. 8 rano a godz. 1 po połud. świetne koło otaczało słońce.

D. 9 o godz 7 wiecz. w stronie wschodniej nieba, błyszczała świetna tęcza podwójna.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle ..... stóp 2 cali 0 n. m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 3..... stóp 2 " 7 " "

" " najmniejsza " d. 24 i 25.. stóp 1 " 8 " "

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem co dzień o godzinie 8 rano.



## MOWY POGRZEBOWÉJ

## PERYKLESA,

KILKU WSTĘPNEMI UWAGAMI POPRZEDZONY

PRZEKŁAD

A. Cywińskiego.

Tucydides, najpoważniejszy, najgłębszy i najtreściwszy ze wszystkich dziejopisarzy greckich, przeplata opowiadanie swe wojny peloponezkiej w ważnych i uroczystych chwilach mowami przypisanymi Hellenom, którzy stojąc u steru rządu państw, największy udział w tej wojnie biorących, mogli też na nią nie tylko czynem, ale i słowem przeważnie wpływać. Tucydides sam daje nam wskazówkę, jak mowy jego uważać i jaką wagę do nich przywiązywać mamy. „Co niektórzy Hellenowie na czele ruchu ówczesnego stojący” są słowa jego (1), „w pewnych razach i w pewnym położeniu wedle największego podobieństwa do prawdy mówić mogli, to starałem się oddać, trzymając się, co do głównej myśli, jak najbliżej tego, co *w rzeczy samej powiedzieli*.” Widzimy ztąd, że Tucydides układając swe mowy chciał prawdę idealną z realną połączyć i pogodzić, z czego się też nader zrećznie i szczęśliwie wywiązał.

(1) Tuc. I, 22, 1.



W mowach Tucydysesa przebija się obok odrębnej indywidualności mówców, nierównie więcej duch, zasady i dążność tych państw helleńskich, w których imieniu mówcy ci występują; w nich starają się strony przeciwne, jak np. Kerkyrejscy, Koryntyjanie, Lakonowie i Ateńczykowie, za pośrednictwem swych rzeczników wykazać, uzasadnić i usprawiedliwić powody, dla których poczyniły sobie tak a nie inaczej, dla których w ogóle zniewolonymi być się widziały stanąć po tej lub tamtej stronie rozdwojonego narodu helleńskiego. To też mowy te są po największej części trafnie i bezstronnie obmyślonemi apologiami polityki, jakiej się podczas wojny peloponezkiej największy udział w niej mające miasta, rzeczypospolite i wyspy helleńskie chwyciły, a razem wzięte, rzucają one na ówczesny stan i stosunki polityczne Hellady, światło, dające nam obraz ich wierny, żywy i całkowity, jakiego samo proste rzeczy opowiadanie nie mogłoby dokonać. Czém są w dramacie greckim chóry, tém w historii Tucydysesa są mowy, głosy objawione przed dokonaniem wielkich akcyj historycznych, już naprzód konieczność i doniosłość ich poznać dające.

Podobne mowy, nie zawsze znaczenie wypadków historycznych mające, lecz prawie zawsze do szczegółowego i wszechstronnego pojęcia i zrozumienia tychże przydatne, a przytém jednostajnemu rzeczy przedstawieniu wiele ruchu, życia i różnorodności nadające, naśladowali później historycy rzymscy, mianowicie Sallustyusz, Liwiusz i Tacyt, a za przewodem tych ostatnich także dziejopisarze nasi, między którymi dosyć tu wymienić Łukasza Górnickiego, autora *Dziejów w koronie polskiej*, gdzie wiele wybornych mów nachodzimy.

Między mowami, znajdującemi się w historii Tucydysesa, górują niezaprzeczenie trzy mowy Peryklesowi przypisane (1), a z tych najbardziej druga, miana w Atenach podczas publicznego obchodu pogrzebowego na uczczenie Ateńczyków w pierwszym roku wojny peloponez-

(1) Tuc. I, 140—144; II, 35—46; II, 60—64. Jedną mowę Peryklesa, w której tenże siłę zbrojną i zasoby wdienne Aten wylicza, podaje Tucydyses streszczoną w mowie zawiesz. II. 13.

kiej poległych. Cel tej mowy nie ogranicza się na samej tylko pochwalę wojowników poległych, lecz sięga dalej jeszcze i wyżej: mowa ta jest zarazem pochwałą ludu i rzeczypospolitej ateńskiej, wypowiedzianą w sposób godny Peryklesa, owego najprzedniejszego męża ludu helleńskiego. Przeznaczona być eulogią, jest ona jednak o tyle apologią, o ile Perykles, wychwalając rzeczpospolitą ateńską, przeciwstawia jej, bez wyraźnego wymienienia a jednak w sposób natychmiast domyślić się dający, instytucje Sparty, głównej Aten współzawodniczki, i okazuje dowodnie, że od wad i niedostatków, jakim te podlegały, tamta wolną była. A tak pochwała Aten, wyrzeczona w tej mowie, jest z drugiej strony krytyką wymierzoną przeciw Sparcie, dającą w końcu poznać, że z ludem tak wolnym, potężnym i wykształconym, jakim Ateńczykowie byli, nie mogli się mierzyć i w zawody iść niżsi od niego pod wielą względami Lacedemończykowie.

Krótką to mowa, a i pod względem języka i stylu nosi ona wydatne piętno mowy staroattyckiej, czerstwej wprawdzie i dosadnej, lecz dalekiej jeszcze od pełni i kształtności mowy nowoattyckiej, posuniętych później przez krasomówców aż do wytworności i przesady. Bo też Tucydides i w mowach przez siebie ułożonych nie przestaje być historykiem, rozważającym rzeczy głęboko i spokojnie je opowiadającym, bez posługiwania się środkami mowy obliczonemi na to, aby wyobraźnią zapalić, uczucie rozbudzić i mocne na duszy zrobić wrażenie.

Atoli to, co tę mowę w całym, powiedziałbym, obszarze literatury greckiej tak bardzo odznacza i znamionuje, jest treść, a raczej duch jej; duch, jaki się w pojedynczych indywidualach i całych narodach tylko w chwilach najpełniejszej umysłowej i politycznej dojrzałości tychże objawić może. Jakoż nieprzesadzone uznanie i ocenienie tego, co Ateny nie tyle dla siebie, ile dla Hellady całej już zdziałały, nieuprzedzona i nieschlebiająca świadomość tego, co one jeszcze zdziałać mogły i miały, chcąc odpowiedzieć wielkiemu posłannictwu swemu, gorąca, do poświęceń skora miłość ojczyzny za najlepszą i najdoskonalszą uznanej, znalazły w tej mowie wyraz utrzymujący się wszędzie na równej z myślami wysokości. Czytając ją, nie wiemy,



kogo bardziej podziwiać mamy: czy Peryklesa, który ją pierwotnie powiedział, czy też dziejopisarza, który główne jej myśli wiernie, jak się zdaje, lecz w właściwy sobie sposób powtórzył; czy też wreszcie lud ateński, którego chwałą brzmi niemal każde jej słowo. To pewna, że mowa ta przenosząca nas w najświetniejsze czasy rzeczypospolitej ateńskiej jest najwymowniejszym pomnikiem, który wielkości Aten i gieniuszowi Peryklesa talent i kunszt dziejopisarski Tucydidesa wystawił.

O ile mowa ta równa się, co do myśli i sposobu ich odania, pierwotnej mowie Peryklesa, trudna a nawet niepodobna dziś rozstrzygnąć. Plutarch, biograf Peryklesa, twierdzi, że tenże prócz zredagowanych przez siebie uchwał ludowych nic więcej nie przekazał po sobie pismem. Nie zbija tego twierdzenia zawarta w jednym dyalogu (1), Platona wzmianka o mowie pogrzebowej Peryklesa, z której raz Aspazya Sokratesowi całe ustępy przytoczyć miała, bo te mogła ona, ile że sama niezawodnie tę mowę Peryklesa słyszała, z pamięci powtórzyć, nie posługując się żadnym pismem, a przynajmniej nie pismem Peryklesa. Zkądinąd wiemy, że Perykles był największym mówcą czasu swojego, co mu też przydomek olimpijskiego zjednało. Nawet Plato, nie wielki zresztą zwolennik wygórowanych, jak mniemał, zasad demokratycznych Peryklesa, przypisuje (2) mu jednak nadzwyczajną w sztuce mówienia doskonałość, dodając zaraz, jakby na pochwałę tej umiejętności, w której sam mistrzem był, to, że doskonałość onę zasadzającą się nie tak na doborze i układzie słów, jak raczej na wyborze i zastosowaniu myśli zmierzających zawsze do pewnych celów, zawdzięczał Perykles najbardziej głębokiemu wtajemniczeniu się w filozofią Anaxagorasa. Peryklesa mowy przekonujące, których myśli, że tu obrazu Eupolida użyję, jak żądło pszczoły głęboko w umysłach słuchaczy pozostawały, sprawiły to głównie, że mąż ten, aczkolwiek ani razu nie był archontem, kierował jednak przez lat czterdzieści prawie wyłącznie nawą rzeczypospolitej ateńskiej, dzierżąc przez cały

(1) Menexenos, pag. 236.

(2) Fredros, pag. 269 i 270.

ten czas tak wielką, zgodnie mu przyznaną władzę, że w Atenach było wtedy, jak się Tucydides trafnie wyraża (1), z nazwiska ludowładztwo, a w rzeczy samej jedynowładztwo. Że jednak po Peryklesie żadna nie została się i nie doszła nas mowa, pochodzi to ztąd, że mówcy wówczas nie przypisywali jeszcze mowom swoim innej wartości prócz téj, którą one mieć mogły, będąc w pewnej chwili ku pewnemu celowi wypowiedziane, że zatem potrzeby spisywania ich nie widzieli. Nie pomyślano wtedy jeszcze liczyć do rzędu literackich utworów mów, mogących bez względu na treść już dla samej swój doskonałej formy i kompozycji zasługiwać na to, aby pismem utrwalone i zachowane były. Tę wartość przyznano im wtedy dopiero, kiedy w Atenach zaczęły się upowszechniać nader wytworne, nie zawsze do ustnego wygłoszenia przeznaczone mowy polityczne i sądowe, a szczególnie pochwalne, (*πανηγυρικὸν γένος*). Wtedy téż w nieprzerwanéj kolei występowali mówcy, osobny składając poczet pisarzy, liczący aż do Demostenesa dziewięciu, tak nazwanych mówców attyckich.

Stosunek, jaki między Peryklesem a Tucydidesem istniał, był taki, jaki zwykł bywać między mistrzem a uczniem. Tucydides żył w Atenach i sprawował tamże różne urzędy publiczne, w czasie, kiedy losy miasta tego spoczywały prawie jedynie w ręku Peryklesa. Ten charakterem, gieniuszem i wymową swoją służył sobie i podbił, jak wszystkich niemal Ateńczyków, tak i Tucydidesa. Nietylko w polityce, ale i w całym zapatrywaniu się na świat i ludzi przejął się Tucydides duchem i zasadami męża, którego od młodych zaraz lat podziwiać, uwielbiać i za ideał poczytywać się nauczył. To przejęcie rozciągało się nawet na styl mowy, którego używał Perykles, uczeń sławnego retora, Antyfonta Ramnuzyjskiego. To téż duch, zasady i mowa Peryklesa rozlane są i nurtują głęboko w całej historii Tucydidesowej. Już starożytni uważali to: dlatego mówiąc o historyku Tucydidesie wywołują zaraz mówcę Peryklesa, a mówiąc o tym, odwołują się znowu do tamtego. Tak to, jako i znana nam zasada, której

(1) Tuc. II, 65, 2.



się Tucydides przy układzie mów swoich trzymał, zasada łączenia i godzenia prawdy idealnej z realną, dają nam jak najlepszą rękojmią, że mowy jego, Peryklesowi przypisane, są jakoby wspólnem obu, nawzajem się uzupełniającem dziełem pokrewnych myśli i mowy. Tak uważana mowa Peryklesa okaże się własną jego mową, przez Tucydidesa żywo i wiernie pochwyconą i oddaną. Że z mowy tej zachowało się aż do czasów wielkiego Stagiryty jedno zdanie (1), którego w Tucydidesie nie nachodzimy, możnaby ztąd wnosić, że nie wszystko, co Perykles pierwotnie powiedział, Tucydides powtórzył; lecz ztąd nie wynika jeszcze, aby tamten nie miał powiedzieć tego, co mu ten w usta kładzie.

Mowa pogrzebowa Peryklesa stała się dla późniejszych pisarzy i mówców greckich, wzorem do naśladowania pobudzającym.

Świadczą o tém dwa ułamki podobnej mowy, jeden od Gorgiasza, drugi od Hypereidesa pochodzący, tudzież mowa Lizyasa (Lysias) nosząca napis: *λόγος επιτάφιος* i jedna takież napis nosząca mowa Demostenesa. Najbardziej jednak treścią i układem do mowy pogrzebowej Peryklesa zbliżona jest mowa składająca ośnowę jednego z pomniejszych dyalogów Platona, pod napisem: Menexenos. W tym dyalogu powtarza Sokrates młodemu, na mówcę sposobiacemu się Menexenowi, mowę stosującą się na Ateńczyków w boju poległych, jaką z ust Aspazyi naprędce improwizowaną miał słyszeć. Przyjaciółka, a w końcu nawet małżonka Peryklesa, mogła ją tylko w duchu tegoż powiedzieć. Ztąd to podobieństwo mowy Platona do mowy pogrzebowej Peryklesa, zacięrające się tam tylko, gdzie Plato myśli ogólne Peryklesa rozszerza i własnymi szczegółowemi zapełnia, i tam, gdzie powodowała nim tak naturalna u takiego pisarza chęć przewyższenia i poprawienia wzoru. Mowa pogrzebowa Peryklesa pod niejednym może względem, przez niejednego z później żyjących mówców greckich prześcigniona, jest i będzie jednak w rodzaju swoim jedyna, tak prosta, a przy-

(1) Odjąć rzeczyzospolitéj młodzież, jestto to samo, co pozbawić rok wiosny.



tém tak wzniosła, tak mało na obudzenie uczucia a tak wielce na ustalenie przekonania wymierzona, tak skąpa w słowa, a tak bogata w myśli odnoszące się ostatecznie do jednej najwyższej, dobro i szczęście ojczyzny, nad wszystko przekładać uczącej myśli.

## II.

Pierwszy i jedyny dotąd znany nam przekład polski mowy pogrzebowej Peryklesa, ukazał się z pod pióra Antoniego Bronikowskiego, który do dokonanych już przez siebie przekładów częściowych kilku wybrańszych płodów literatury greckiej, przyłączył w ostatnim czasie także przekład dwóch pierwszych ksiąg historii Tucydidesa (1), a więc i mowy rzeczonyj, zawartej w drugiej księdze tejże historii. Jakkolwiek nie możemy nie uznać trudności, z jakimi się musiał łamać Bronikowski, podjąwszy się pierwszy przekładu na język polski Tucydidesa, autora greckiego, którego mowa już starożytnym przestarzałą, skłębioną i dlatego gdzieś nie rozumiałą być się wydawała, musimy jednak wyznać, że przekład ten nawet umiarkowanym wyznaganiom znawców nie odpowiedział, a tém mniej ich życzeniom.

Przekład dobry powinien zdaniem naszym zgadzać się co do myśli, wiernie z myślami zawartymi w pierwotworze, a co do sposobu ich wyrażenia, odpowiednio z duchem, budową i właściwościami języka, którego do przekładu użyto. Pierwszy wzgląd stanowi, że tak powiem, maturalną, drugi formalną, a oba razem artystyczną wartość przekładu. Wyłączne lub przeważne przestrzeganie jednego z większym lub mniejszym pominięciem drugiego względu, pociągnie za sobą to, że przekład cały będzie mniej więcej nieudatnym, a więc nie doskonałym, bo doskonałość jego właśnie na tém zależy, aby obudwom warunkom zarówno odpowiedział. Wierne i dosłowne od-

(1) Thucydidesa *Historya wojny peloponezkiej*. Przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Zeszyt I zawierający księgi I i II. Poznań rok 1860.

danie treści, tak pożądanę w każdym tłumaczeniu, skoro osiągnięte będzie kosztem języka przekładowego, z uszczerbkiem formy, przestanie być zaletą. Bronikowski, któremu zresztą gruntownej znajomości języka greckiego bynajmniej nie odmawiamy, popełnił w tłumaczeniu swém Tocydydesa ten wielki błąd, że zamiast oddać myśli autora w sposób językowi polskiemu najodpowiedniejszy, oddał je w kształcie jużto językowi greckiemu w ogóle, jużto w szczególe dykcji oryginalnej Tocydydesa właściwym, niepomny na to, że właściwości te nie zawsze się w języku naszym w tenże sam sposób powtórzyć dadzą. Nie pochodzi to z ubóstwa języka polskiego, albowiem język ten bogaty, rozwinięty i giętki, jak nie każdy z doskonalszych języków żyjących, zdolny jest każdą myśl obcą, aż do drobnych jej odcieni wyrazić; lecz ponieważ jest i nie przestanie być językiem odrębnym, naturze swój wiernym, przeto też wszystko, co wyrazić chce, wyrazi to w właściwy sobie, z naturą swą zgodny sposób. Język ten nastęrczy, jeżeli nie kilka, to przynajmniej jeden sposób wystarczający zupełnie do oddania trafnie i dobitnie myśli któregośkolwiekbyż pisarza obcego. Tłumaczowi przyjdzie nieraz trudnym nie tyle może wynalazek najstosowniejszego wyrażenia, ile wybór między gotowemi już w tym języku wyrażeniami. Chcieć język polski stosować i naginać do kształtów języka greckiego, jestto to samo, co chcieć naturę jego doskonałą przeinaczać i ducha jego swobodnego krępować. A przecież tak chciał, tak uczynił Bronikowski. Myśli autora, o których wierne oddanie tak bardzo Bronikowskiemu chodziło, nietylko nie przez to nie zyskały, ale co gorsza straciły wiele: stały się ciemnymi, niezrozumiałymi, gdziekolwiek nawet nie logicznymi. Tocydydes, już dla starożytnych ciemny, stał się w tłumaczeniu polskiem Bronikowskiego zupełnie ciemnym i zagadkowym.

Na dowód, jak Bronikowski Tocydydesa przełożył, przytoczymy z przekładu jego jedno tylko miejsce (1), dodając zaraz, że podobnych miejsc znajdzie czytelnik w tym przekładzie bez liku. Brzmi ono tak: „Ale z tych

(1) Str. 81; Tuc. II, 42, 4.



tu żaden ani bogactwem, dłuższe jego kosztowanie wyżej zaceniwszy (niż co?), nie rozmiękł w nikczemność (!), ani nadzieją ubóstwa (nielogicznie), jakoby jeszcze mu smać wyrwawszy się (z czego lub czemu?), udało z bogacieć (—ić), odwłoki narażenia się na grozy bojów nie uczynił; lecz pomstę nad wrogami, za pożądaną od tamtych ponęt przyjąwszy (poczytawszy lub oceniwszy), a z niebezpieczeństw to tu (?) zarazem za najpiękniejsze uznawszy, zapragnęli oni owszem, narażając się na nie (nie ma tego w Tocydydesie), nad tymi tu (?) mścić się, a tamtych (?) tą (?) drogą jedynie dobiierać się, nadziei—niepewność udania się (powodzenia lub zwycięstwa) poruczywszy, a w czynie ze względu na widnie już przed ich oczyma rozłożoną obecność (co to ma znaczyć?), siłę tylko własnej zawierzyć za zgodne siebie osądzając (grecezm), i w tém obrony raczej konieczność i cierpienie na wyższym kładnąc względzie (mieć na względzie) niżeli zachowanie się ustępując nieprzyjacielowi, sromoty mów ludzkich uniknęli, a czyn kosztem ciał okupili (narazili życie swe czy też już zginęli?) i w szczupluteńkiej chwili rozstrzygającego losu jednocześnie (niepotrzebne, bo i nielogiczne) na szczycie chwały raczej jak trwogi ustąpili z zawodu."

Dosyć tego. Któż, pytam się, z czytelników polskich mógłby się zorientować w tym gąszczu słów, polskiego wprawdzie brzmienia, lecz składu, toku i barwy nie polskiej? Któż może się domyślić, co w nich zawarte? I to ma być, jak Bronikowski w końcu przedmowy do przekładu swego chciałby w nas wmówić, sposób tłumaczenia Tocydydesa „nie zacierający właściwości tak nieodzownych do zarysu tej nadzwyczajnej osobistości dziejopisarskiej, i nie zdzierający wspaniałego ustroju posągowego, który geniusz sam sobie wykował." Nam się zdaje, że to jest raczej przedrzeźnianie wielkiego dziejopisarza greckiego, a mowy naszej rażące nadużycie.

Nie, Tocydydes zasługuje ze wszech miar na to, aby był, jeżeli nie w strojnniejszą, to przynajmniej w chędoższą szatę języka polskiego przyodziany, choćby tylko dla jednej mowy pogrzebowej, w usta Peryklesa włożonej.



Mowę tę przełożyłem na język polski w tej chęci, aby z nieskończeniem szacownego dzieła Tucydidesa, jedną przynajmniej i to najwালniejszą cząstkę udzielić czytelnikom polskim w tym kształcie, jakoby zdaniem mojem i dziełu samemu i językowi naszemu odpowiedział. Daleki od mniemania, jakoby przekład mój wolny był od usterków, podaję go nie za najlepszy, ale tylko za lepszy od tego, którego A. Bronikowski dokonał. A jeżeli też w oddaniu myśli autora, na co głównie baczyć trzeba, nie jedno może popełnił uchybienie, pocieszam się tem, że się jał rzeczy, której podobać już takiemu znawcy i miłośnikowi języka i literatury greckiej, jakim był Cyce-ron, nie łatwem być się wydawało. Co on o mowach publicznych Tucydidesa w ogóle mówi (1): *Ipsae illae (Thucydidis) conciones ita multas habent obscuras abditasque sententias, vix ut intelligentur*, odnosi się niemniej i do mowy pogrzebowej Peryklesa. Jakkolwiek od czasów Cyce-rona Tucydides znalazłszy tylu wydawców, komentatorów i tłumaczy, odsłonił się nam i wyjawil prawie zupełnie, to jednak skargę podobną do tej, która się niegdys z ust Cyce-rona wyrwała, szerzy i dziś jeszcze nie jeden uczony filolog. „Czytajno,” mówi jeden z nich (2), „mowę pogrzebową Peryklesa, a przekonasz się, że w niej pełno trudnych do zrozumienia i ciemnych miejsc; chceszli w niej niejedną myśl zgłębić, musisz słowa pojedyncze wielokroć i wielorako rozbierać i rozważać. Ja przynajmniej wyznaję otwarcie, że chociaż mowy zawarte w pierwszych księgach Tucydidesa, dość często czytywałem, muszę jednak czytając je znowu po niej jakim czasie upływie, wszystkie me myśli skupić i całą uwagę napiąć, aby je dobrze zrozumieć.”

Bo też Tucydides skreślił i przeznaczył swe dzieło, nie dla pierwszej lepszej, ale tylko dla wybranej klasy czytelników; nie dla samych tylko współczesnych, ale dla wszystkich następnych pokoleń; nie ku samej tylko prze-

(1) Cic. de Orat. 9, 30.

(2) Kirchhoff w rozprawie swej umieszczonej w programacie gimnazjum brylońskiego z r. 1860, noszącej tytuł: *Thucydides Graecorum ingeniosus rerum gestarum scriptor atque inter omnes, qui similes exstiterunt, antiquitatis historicos princeps*. Pag. 16.

mijającej zabawie, ale ku ciągłej nauce, i w tém tylko a nie inném znaczeniu nazywa on je: *κρηνα ἐς αἰετι* (1). Największy dziejopisarz starożytności jest tylko dla tych przystępny, którzy się do niego wznieść zdołają, a tego godzien on nierównie więcej, jak tylu innych pisarzy starożytnych.

Posłuchajmy go. teraz i mówiącego przezeń Peryklesa.

### III.

Tuc. II, 35--46 podług edycyi Godofreda Boehmego.

Pod koniec pierwszego roku (2) wojny peloponezkiej, Ateńczykowie prawu (3) ojczystemu posłuszni, sprawili kosztem publicznym pogrzeb tym, którzy w tym roku na polu bitew (4) polegli. Końcem przemówienia nad temi ofiarami wojny, wybrany był Perykles, syn Xantypa. Ten w chwili ku temu wyznaczonej, postąpiwszy od grobowca (5), wszedł na mównicę wyniesioną, z kąd go rzesza otaczających słyszeć mogła, i miał do niej rzecz taką:  
 „Większa część tych, którzy z tego miejsca kiedyindziej przemawiali, zwykła wynosić prawodawcę, który do

(1) Tuc. I, 22, 4.

(2) W drugim roku 87 olimpiady czyli w r. 431 przed erą chrześcijańską. w porze zimowej zaczynającej się podług Tucydidesa, który rok cały na dwie tylko pory, letnią i zimową dzieli, od początku miesiąca października a ciągnącej się aż do końca marca.

(3) Piękne to prawo chowania Ateńczyków w boju poległych kosztem publicznym, miał ustanowić Solon; prawo zaś zalecające, aby nad nimi każdą razą przemawiano, nastąpiło później, lecz niewiadomo, kiedy i przez kogo (Dionys. Archaeol. 5, 17). Nad poległymi i to dopiero po dokonanej akcji pogrzebienia ich prochów, przemawiał zwykle jeden tylko umyślnie ku temu wybrany mówca, talentem i znaczeniem najbardziej się między Ateńczykami odznaczający. Tą razą był nim Perykles.

(4) W małych zresztą utarczках podjazdowych pod Rytami i Frygiami, gdzie jak Tucydides wyraźnie powiada II, 22, 2, ze strony Ateńczyków padło nie wielu.

(5) Grobowiec ten znajdował się w zewnętrznej części Kerameiku, najpiękniejszego Aten przedmieścia. Chowano w nim zwykle w sposób prawem przepisany wojowników poległych. Tylko tych, którzy na polach Maratońskich a podług Herodota i pod Plateami zginęli, pochowano na znak większego uczczenia zaraz na miejscu odniesionego zwycięstwa.



dawnego prawa nakazującego Ateńczyków w boju poległych kosztem i zachodem narodu całego chować, dodał to jeszcze, aby i mowę pochwalną nad nimi miewano. Owi mówcy byli przekonani, że pięknie jest chwalić tych, którzy w obronie ojczyzny życie swe położyli. Mojem jednak zdaniem byłoby wystarczającym, mężów, którzy odznaczyli się czynami, czynem też uczcić — jak to teraz, uczestnicy tego publicznego obchodu pogrzebowego, spełnionem widzicie — a nie żądać jeszcze, aby uznanie zasług mężów tyłu i takich od większego lub mniejszego daru wymowy jednego mówcy zawisło. Trudno bowiem mówcy utrzymać środek, a i wtedy nawet nie zawsze jeszcze prawda mocną wiarę budzi. Słuchaczowi łączącemu znajomość czynów z przychylnością dla ich sprawców, wyda się może wnet niejedno, co o nich usłyszy, nie tyle wyświeconem, ileby sobie życzył i ile już wie; gdy tymczasem słuchacz nieświadomy tych rzeczy, poczyta niejedno za przesadzone, przez zazdrość, jeżeli usłyszy coś takiego, co możność jego przechodzi. Pochwały bowiem o drugich głoszone zwykli ludzie dopóty znosić, dopóki tuszą sobie, że sami zdołają wykonać to, co słyszeli; usłyszawszy zaś cośkolwiek, czemuby podobać nie mogli, stają się zaraz zazdrosnymi i niedowierzającymi. Ponieważ jednak przodkowie nasi uznali za dobre i postanowili, aby obywateli w boju poległych i mową czczono, nie wypada mi inaczej, jedno zastosować się do prawa. Przyjmując więc na siebie ten prawem uświęcony mówienia obowiązek, będę się starał, wedle sił a możności mojej, trafić do zdania i odpowiedzieć życzeniu każdego słuchacza.”

„Zacznę od przodków naszych: słuszna bowiem i zarazem tej uroczystości odpowiednia, onym pierwsze poświęcić wspomnienie. Wyłącznie i ciągle mieszkańcy tej ziemi, bronili oni jej mężnie i przekazali ją następnym pokoleniom wolną, jaką i do dziś dnia jest, puścizną. A tak godni oni uwielbienia, lecz godniejsi tego jeszcze ojcowie nasi: ci bowiem przyczyniwszy się nie bez wielkich trudów do tego, co po tamtych odziedziczyli (1), nie

(1) Było to szczupłe dziedzictwo, bo granicami samej tylko Attyki objęte.



mało panowania (1), zostawili je żyjącym dziś synom. Atoli my, my zwłaszcza w pełniejszym wieku będący, rozprzestrzeniliśmy (2) jeszcze to panowanie i opatrzyli kraj nasz tak, że posiada teraz siły wystarczające, i do prowadzenia wojny i do utrzymania pokoju. Dzieła wojenne, którym to zawdzięczamy, dokonane częścią przez ojców naszych, częścią przez nas samych w walkach staczanych zapalczywie z napadającymi nas już to barbarami, już to Hellenami pominę (3), nie chcąc roztaczać tego, co sami wiecie; atoli jaka ustawa, jakie starania, a przede wszystkim jaki duch i usposobienie narodowe przyczyniły się do tego, żeśmy się do tak wysokiego szczebla znaczenia i potęgi wzniesli, to, zanim przystąpię do pochwały tych tu walecznych, za ojczyznę poległych mężów, najprzód okażę (4): będzie to jak mi się zdaje, i chwili tej godnym i dla wszystkich zgromadzonych tu tak współobywateli, jako i cudzoziemców korzystnym."

„Ustawa, którą się rządzymy, jest taka, że nie mamy powodu zajrzewać praw sąsiednim państwom; owszem wzorem jesteśmy pod tym względem dla niejednych, a nie naśladowcami drugich. Nosi ona nazwę ludowładztwa,

(1) Było to naczelne dowództwo i zwierzchnictwo nad wielką częścią państw hellenickich, przyznane Ateńczykom podczas wojen perskich. W tłumaczeniu mojem opuściłem: *οσσην εχομεν*, ile go (panowania) posiadamy, albowiem sprzeciwia się to myśli zawartej w następnem zaraz zdaniu, gdzie jest mowa o rozprzestrzenieniu tegoż panowania.

(2) Rozprzestrzenienie to nastąpiło za Peryklesa i głównie przez niego. Państwo ateńskie składało się w r. 448 przed Chr., kiedy najrozsleglejszemu było, z miast hellenickich w Traeyi, Hellespontu i Propontydy: ze wszystkich prawie osad hellenickich w Azji, ze wszystkich wysp na morzu Egejskiem prócz Melos, Tery i Krety; w Helladzie właściwej należały do niego: Trezona, Megara, Lokry, Naupakt, czasowie Focyda z Beoeya; wpływowi jego ulegała nadto Achaja i Argolida.

(3) Przedmiot ten tak stosowny w mowie tego rodzaju, nie mógł być tak pominięty, atoli Tucydydes uważał tu za zbyt cenne mówić jeszcze o rzeczach, którym poprzednio w historii swojej kilka stronnic (I, 73 i 74) był poświęcił.

(4) W tém podany jest plan całej mowy, składającej się z dwóch wielkich części: z szybkiego poglądu na ustawę, stosunki wewnętrzne i zewnętrzne, stan kwitnący i potęgę rzecyzospolitej ateńskiej i na pochwałę obywateli w obronie téjże poległych.

zład, że nie kilku tylko, ale bardzo wielu udział w rządzie bierze; wszelako gdy prawa rozstrzygające spory pojedynczych, wszystkim równe służą, bywa z ubiegających się do urzędów rzeczypospolitej, każdy tylko w miarę odznaczenia i zasługi swojej uwzględniany, a nie wedle tego, do jakiej klasy społeczeństwa on należy; ktokolwiek rzeczypospolitej pożytecznym być może i chce, ma do tego drogę otwartą, choćby był ubogim i niskiego stanu (1). Wolni jesteśmy obywatele, a i w życiu codziennem wolni od wzajemnej podejrzliwości; to też nie gniewamy się na sąsiada, jeżeli czyni jak mu się podoba, i nie dajemy mu uczuć niechęci naszej, która aczkolwiek nie szkodzi, nie miło jednak dotyka (2). W życiu prywatnem nie narzucający sobie krępujących więzów, trzymamy się jednak w życiu publicznem ściśle ustaw, mając je w wysokim, aż do bojaźni posuniętem poszanowaniu i będąc posłuszni każdorazowym władzom i ustawom, a zwłaszcza tym, które na korzyść pokrzywdzonych istnieją, i tym, które acz niepisane, ściągają na przestępców hańbę, głosem powszechnym zawyrokowaną (3)."

"Nadto i dla ducha obmyśleliśmy mnogie po znojach wytechnienia, jakimi są igrzyska i święta, zapełniające cały niemal rok, tudzież ozdobne mieszkań urzędzenia; wszystkiego tego widok i zażycie codzienne wypogadza i rozwesela umysły nasze (4)."

(1) Myśl zdania całego jest ta, że u Ateńczyków była z nazwy demokracja: lud bowiem do rządu należał i miał równe prawa; lecz w rzeczy samej istniało u nich panowanie przedniejszych, arystokracja, i to nie rodu, ale zasługi, co się najwydatniej przy obsadzaniu urzędów publicznych okazywało. Przy *απο υέρους*, wedle klasy społeczeństwa, miał mówca na myśli oligarchie, mianowicie spartańską, gdzie jedna tylko uprzywilejowana klasa, tak nazwani *ουοιοι*, wyłącznie rządy i urzędy sprawowała. I w dalszym ciągu tej mowy zmierza nie jedno do Lacedemończyków, lubo ich Perykles raz tylko po nazwisku wymienił. Taki wzgląd na nieprzyjaciół ma w sobie coś szlachetnego.

(2) Inaczej było w Sparcie: tam w stosunkach życia prywatnego, jeżeli to istotnie było, panowała nieufność, podejrzliwość i wielki rygorizm.

(3) Są to odwieczne prawa natury i moralności w serca ludzkie wlane.

(4) Lacedemończycy przestając na igrzyskach i świętach obchodzonych bez wystawności i na mieszkaniach urządzonych jak najprościej, nie mogli też nicsem ponurego umysłu swego rozweselić.



„Zawdzięczamy też wielkości miasta naszego to, że do niego ze wszystkich krain wszystko wpływa, z kąd mamy tę korzyść, że płodów obcych używać możemy jak własności naszej, tak samo jak płodów naszej ziemi (1).”

„Także pod względem ćwiczeń wojennych, różnimy się od przeciwników naszych (2). Kraj nasz jest przystępny i wspólny dla wszystkich; nie masz u nas prawa, któreby cudzoziemców wydalalo: owszem wolno u nas każdemu przybyszowi oglądać, co tylko chce, i wszystkiego się dowiedzieć; nie masz u nas nic ukrytego (3), nie zgola, z czegoby nieprzyjaciel nasz nie mógł korzystać. Bo też nie pokładamy ufności w skrytych robotach i podstępnych wymysłach, jedno w odwadze i dzielności naszej. Co się tyczy wychowania, wiemy, że tamci (Lacedemończycy) od najmłodszych zaraz lat zaprawiają się do męstwa ćwiczeniami jak najznojniejszemi; my natomiast wychowujemy się i żyjemy, jak nam najdogodniej, a jednak niemniej śmiało na niemniej krwawe boje spieszymy i zwyciężamy. Dajemy tego dowody: Lacedemończykom, gdy nas i to nie sami tylko, lecz ze wszystkimi związkowymi swymi, na własnej ziemi naszej wojują, dotrzymujemy kroku (4), a i kiedy kraj ościenny orężnie natchodzimy, i to sami tylko, łatwo też najczęściej zwyciężamy, lubo w tym razie przychodzi nam walczyć na obcej ziemi, z wrogiem broniącym zagród i mienia swojego. Nie zdarzy-

(1) Tej korzyści nie miała i nie mogła mieć Spanta, 5 mil od morza odległa, niehandlowana, dla obcych mało przystępna.

(2) Mianowicie Lacedemończyków, którym jak wiadomo, prawa Likurga w ćwiczeniu i zaprawianiu się do wojny główne zadanie życia wytknęły. Cały ten ustęp mowy Peryklesa, odnoszący się do ćwiczeń wojennych i osiągniętych ztąd skutków, jest porównaniem pod tym względem Ateńczyków z Lacedemończykami, tworzącem w końcu przeciwieństwo dla pierwszych nader pochlebne.

(3) Jak to było u Lacedemończyków, którzy przed obcymi kryli się z urządzeniami, siłą zbrojną i polityką swoją. Słusznie też zarzuca im Tucydides gdzieindziej: *το κρυπτον της πολιτειας, arcana imperii*.

(4) Poszedłem tu za powagą Doederleina, który to miejsce w ten sposób zmienił i uzupełnił: *ουτε γαρ Λακεδαιμονιοις ειποιεν ου καθ' εκαστους*, zamiast znajdującego się w rękopismach: *ουτε γαρ Λακεδαιμονιοι καθ' εκαστους*.



ło się jeszcze, aby którykolwiek z nieprzyjaciół naszych potykał się gdzie z siłą naszą zjednoczoną; co ztąd pochodzi, iż równocześnie i o siłę morską staranie mamy, i na lądzie wojska z pośród obywatelstwa naszego na wsze strony szlemy. Jeżeli nieprzyjaciół zetrze się gdzie z jednym zastępem wojska naszego, to zwyciężywszy chwali się, że wszystkich nas rozgromił; zwyciężony zaś, głosi, że wszystkim nam nie mógł nie uleść. Jeżeli bawiąc się raczej, niż natężając przed czasem, gotowi jesteśmy walczyć zagrzani męztwem, co nie z posłuszeństwa prawom, ale z ducha i usposobienia naszego płynie, odnosimy to w zysku, że nie dręczymy się już naprzód zaprawianiem się do znoszenia przyszłych ciosów, a gdy te nam grożą, nie mniej odwagi i hartu duszy okazujemy, jak ci, którzy się na ciągle trudy i znoje wskazują."

„Z tego względu jest naród nasz godny podziwienia, a i z innych jeszcze względów. Kochamy się w pięknie, nie posuwając tego do zbytku, i kochamy się w naukach, nie popadając przytęm w miękkość (1). Bogactwa naszego używamy ku temu, aby działać, a nie aby niemi błyszczyć i przechwalać się. Nie hańbi to nikogo, gdy się do ubóstwa przyznaje, ale raczej to hańbi, gdy mogąc kto pracować, aby go uniknąć, nie czyni tego. Obywatel piastujący u nas urząd publiczny, może obok niego zajmować się także sprawami swemi domowemi, a obywatel rzemiosłu oddany, obeznac się dostatecznie z rzeczami publicznymi, bo kto w tych udziału nie bierze, tego my bardziej, niż którykolwiek inni, nie za bezczynnego, ale za bezużytecznego uważamy (2). Sami długo i dobrze zwykliśmy sprawy państwa sądzić i obmyślać, trzymając się tej zasady, że słowa nie przynoszą czynowi uszczerbku, ale tylko brak pouczenia się niemi wprzód, nim się do czynu przystą-

(1) Atencykowie kochali się w pięknie, nie przesadzając tego, jak to narody orientalne, mianowicie Persowie, czyniły, i kochali się w naukach, nie pozbawiając się hartu duszy, jaki to wpływ szkodliwy oddawaniu się naukom Lacedemończykowie przypisywali.

(2) Inaczej rzecz się miała w oligarchiach, w których interesie leżało, aby z wyjątkiem klasy panującej, wszystkie inne od udziału w sprawach publicznych wykluczone były.

pi (1). To też mamy tę wyłączną zaletę, że przedsięwzięcia nasze jak najsmielsze, jak największy zwykł poprzedzać namysł i zastanowienie się, gdy tymczasem u innych narodów niewiadomość odwagę, a rozważa bojaźń rodzi. Znać dobrze okropności wojny i słodczyce pokoju, a jednak nie stronić od bojów, lecz owszem szukać ich: to dowodzi zaiste jak największej mocy duszy”.

„Jesteśmy wspaniałomyślni, lecz w sposób przeciwny, jak większa część innych narodów, albowiem nie odbierając, lecz świadcząc dobrodziejstwa, jednamy sobie przyjaciół. Dobroczynca chcąc należną sobie wdzięczność za wyświadczone dobrodziejstwo ciąglą przychylnością dla tego, któremu je wyświadczył, jak najdłużej sobie zachować, bywa stałszym przyjacielem; gdy przeciwnie ten, który dług wdzięczności zaciągnął, wiedząc, że odwiedzając się nie wyświadcza dobrodziejstwa, ale tylko dług spłaca, zwykł w przyjaźni stygnąć. Jeżeli kto, to pewno my nie wahamy się nieść pomoc każdemu, bez obliczania własnych korzyści, lecz tylko w chęci przysłużenia się sprawie wolności.”

„Jednem słowem: całą rzeczpospolitą naszą nazywam szkołą Hellady (2) i twierdziłbym, że każdy jej obywatel łączy w osobie swojej z największą zręcznością i ogłąda dostateczne do wielorakich zawodów uzdatnienie. Że w tém nie przesadzam, lecz prawdę mówię, świadczy sama rzeczypospolitej naszej potęga, którą tym doskonałym przymiotom naszym zawdzięczamy. Ze wszystkich narodów jest naród nasz jeden tylko, co w zapasach z wrogiem silniejszym się okaże, niż o nim głoszone (3); jeden tylko,

(1) Perykles oczyszcza tu Ateńczyków z czynionego im tak często zarzutu zbytznego zajmowania się sprawami państwa, częstego obradowania nad niemi i połączonej z tém wszystkiém wielomówności.

(2) Atenom dostały się w starożytności inne jeszcze zaszczytniejsze nazwy, jakoto: *παντων ανθρώπων παιδευτήριον, πρωταγείαν της σοφίας, εστία της Ελλάδος*, uczelnia ludzkości, gospoda mądrości, ognisko Hellady.

(3) Tém dotknął mówca Lacedemończyków, którym nawet posłowie Koryntu ze Spartą sprzymierzonego wręcz powiedzieli, że Spartanie w chwilach próby nie zawsze się tak wielkimi okazywali, za jakich ich powszechnie uważano i głoszone. Tuc. I, 69, 5.



co najeżdźcom swoim, pokonawszy ich, nie daje powodu do oburzenia się, że takiemu przeciwnikowi ulegli, a na podległych sobie nie ściąga zarzutu sromotnego, jakoby mieli nad sobą pana niegodnego panowania. Wielkie znaki potęgi naszej, której i na świadectwach piśmiennych nie zbywa, sprawią to, że terazniejszy i przyszłe wieki podziwiać nas będą: tego pewni nie potrzebujemy żadnego Homera, żadnego mówcy chwającego (1), którego słowa zachwyciłyby na chwilę, lecz treść ich, choćby najwygórowańsza, nie dosięgłaby jeszcze rzeczywistości. Do każdego morza i lądu wymogliśmy sobie odwagą naszą przystęp i zostawili wszędzie nieprzetrwane pamiątki dobrodziejstw wyświadczonych przyjaciołom i klęsk zadanych nieprzyjaciołom naszym.

„Za taką to ojczyznę, nie chcąc jej sobie dać wydrzeć, walczyli szlachetnie mężowie ci i polegli i za taką powinien każdy, co ich przeżył, gotów być życie swe położyć.”

„Nad zaletami i wielkością ojczyzny naszej dlatego się tak rozwodził, aby okazać, że nam wcale o co innego walczyć przychodzi, jak tym, którzy u siebie nic podobnego wskazać nie mogą; dalej aby udowodnić, że mężowie ci, na których uczczenie teraz mówię, są ze wszech miar pochwały godni. To, com powiedział, jest już pochwałą ich największą, albowiem sławić ojczyzny naszej wielkość, jest to sławić tych i im podobnych mężów dzielność, będącą wielkości onej przyczyną i zarazem ozdobą (2). Mało znalazłoby się Hellenów, których pochwała, tak jak tych tu, zrównoważyłaby się z ich czynami. Sądzę, że kto tak, jak ci, skończył, męstwo i najprzód okazawszy i ostatecznie stwierdziwszy, dowiódł tém samém, że był mężnym. Wszakże i u ostatnich zresztą ludzi (3), słuszna jest bohaterstwo ich w walce za ojczyznę dowiedzione wysoko poczytać: tacy śmiercią piękną zmasali plamy żywota swo-

(1) Zamiast: *οὔτε Ομήρου ἐπαινέτου οὔτε ὅσους ἐπειμὲν τὸ αὐτίκα τέρψει*, czytam z Doederleinem: *οὔτε Ομήρου οὔτε ἐπαινέτου ὅστις ἐπεισι κ. τ. λ.*

(2) Jestto zręczne przejście od pochwały rzeczypospolitej ateńskiej do pochwały obywateli w obronie téjże poległych.

(3) U barbarów.



jego i t $\acute{e}$ m si $\acute{e}$  og $\acute{o}$ łowi wi $\acute{e}$ c $\acute{e}$ j przysłużyli, ni $\acute{z}$  mu za życia, b $\acute{e}$ d $\acute{a}$ c cz $\acute{o}$ nkami jego, szkodzić mogli.”

„Z tych naszych poległych bohaterów żadnemu nie odjęła dzielności ch $\acute{e}$ ć używania dłu $\acute{z$ ej jeszcze bogactwa swego, żadnemu nie kazała l $\acute{e}$ kać si $\acute{e}$  śmierci na polu bitwy nadzieja, że dźwign $\acute{a}$ wszy si $\acute{e}$  jeszcze z ub $\acute{o}$ stwa m $\acute{o}$ głby si $\acute{e}$  nawet zbogacić. Sławę ukrócenia wroga wy $\acute{z$ ej ceni $\acute{a}$ c, ni $\acute{z}$  wszystkie te życia korzyści i pon $\acute{e}$ ty, i walkę z nim za najpi $\acute{e}$ kniejsze swe zadanie uwa $\acute{z}$ aj $\acute{a}$ c, chcieli oni najprz $\acute{o}$ d pokonać go, a pot $\acute{e}$ m dopiero owych korzyści zażywać lub o nie si $\acute{e}$  ubiegać. Nadzi $\acute{e}$ ci niepewność zwycięstwa poru $\acute{c}$ zywszy, zaufali oni, gdy bitwa zawrzała, sobie samym i wtedy woleli racz $\acute{e}$ j bić si $\acute{e}$  do upadłego, ni $\acute{z}$  poddawszy si $\acute{e}$  ocalić. Podjęli wi $\acute{e}$ c walkę, narazili swe życie i w jedn $\acute{e}$ j ulotn $\acute{e}$ j chwili rozstrzygaj $\acute{a}$ cego losu, najwi $\acute{e}$ kszą, nie trwog $\acute{a}$  przejęci, ale nadzieją otchnieni, zesli ze świata (1), zostawiwszy po sobie dobre imię.”

„A tak m $\acute{e}$ żowie ci byli takimi, jakimi ich ojczyzna mieć chciała. Kto ich przeżył, powinien życzyć sobie, gdy mu z wrogiem potykać si $\acute{e}$  przyjdzie, wi $\acute{e}$ c $\acute{e}$ j szczęścia (2), lecz nie mniej odwagi; powinien nie ograniczać si $\acute{e}$  na sam $\acute{e}$ m tylko rozprawianiu, jak pi $\acute{e}$ kną i pożyteczną jest odwaga i waleczność taka: ktoby to chciał wynosić, m $\acute{o}$ głby o t $\acute{e}$ m, jak to sami dobrze wiecie, siła mówić, ale okazać to tak $\acute{z$ e czynem, mieć na ojczyznę naszą wsz $\acute{e}$ dzie i zawsze oko i myśli zwrócone, rozmiłować si $\acute{e}$  w ni $\acute{e}$ j, poznać całą j $\acute{e}$  wielkość, a poznawszy ją zapisać sobie w gł $\acute{e}$ bi serca i duszy, że sprawcami i pomno $\acute{z$ ycielami tego wszystkiego byli m $\acute{e}$ żowie odwag $\acute{a}$  i m $\acute{e}$ ztwem natchnieni, powołania i obowi $\acute{a}$ zków swoich dobrze świadomi, m $\acute{e}$ żowie bez plamy i skazy, którzy nawet wtedy, gdy w przedsięwzięciu jakim niepowodzenia doznali, nie pozbawili przeto ojczyzny rad i usł $\acute{u}$ g swoich, lecz owszem przynieśli j $\acute{e}$  w dani, co najdro $\acute{z$ szego mieli. Poświęcili si $\acute{e}$  dla og $\acute{o}$ łu a dla siebie zyskali przez to nieśmiertelną chwałę i najokazalszy grobowiec, nie ten, w którym teraz spoczywają, ale ów, przy

(1) Przypomina to wiersz Horacego: *horae momento aut cita mors venit aut victoria laeta.*

(2) Aby nie zginął z r $\acute{e}$ ki wroga, jak wojownicy t $\acute{a}$  mow $\acute{a}$  uczczeni.

którym sława ich, ilekroć się sposobność mówienia o nich lub naśladowania ich nastęrczy, w wiecznej pozostanie pamięci. Albowiem znakomitych mężów grobem jest ziemia cała, i nie sam tylko napis na pomniku wystawionym im na ziemi ojczystej świadczy o nich, ale i na obcej ziemi, gdzieby daremnie napisu takiego szukano, żyje u każdego pamięć nie tyle może czynów ich, ile ducha, który ich do takowych pobudził."

"Tych teraz naśladować, tym teraz wyrównać się starajcie. Przekonani mocno, że szczęście w wolności a wolność w duchu odwagą, mężstwem i walecznością tchnącym leży, dzielcie ochotnie trudy i niebezpieczeństwa wojny. Albowiem nie ten, co wlecze dni żywota w nędzy i niedoli bez nadziei pomysłniejszej losu zmiany, ale ten, co się jeszcze w życiu swém zmiany szczęścia obawiać może i co w razie przegranej najdotkliwszą poniósłby stratę, życie narażać winien. Męża podniosłego serca boli każde za tchórzostwem idące poniżenie bardziej, niż zgon, który na polu bitwy wśród wytężenia sił i wspólnej nadziei nawet uczuć się nie daje."

(1) „Dlatego też nad wami, rodzice obecni tych tu walecznych, za ojczyznę poległych mężów nie ubolewam, ale raczej pocieszyć was chcę. Wszakże nie zapomnieliście jeszcze, żeście wzrosli wśród zmiennych życia kolei, wszak wiecie, że ten szczęśliwy, komu los dozwolił tak pięknie skończyć, jak ci skończyli, i taki żal po sobie zostawić, jaki wy po tych macie, kogo szczęśliwie upłynionemu życiu równie szczęśliwie zgon odpowiedział (2). Trudno, wiemci to dobrze, przekonać was, że tak jest, was, którym szczęście drugich, to szczęście, któregoście sami niegdyś doznawali, tak często stratę jego przypominać będzie. Oto nie brak dobra, któregośmy jeszcze nie zakosztowali, ale strata tego, do któregośmy już nawykli, żal rodzi. Lecz znos-

(1) Odtąd aż do zakończenia tej mowy pociesza Perykles rodziców synów, braci i żony poległych wojowników. Jestto drugiej części tej mowy druga połowa.

(2) Zamiast: *καὶ οἷς ἐνευδαιμονῆσαι τε ὁ βίος ὁμοίως καὶ ἐντελευτῆσαι ξυνεμετρήθη*, czytam: *καὶ ο. ε. τ. ο. β. καὶ ὁμοίως κ. τ. λ.*



cie to mężnie, krzepiąc się, kto jeszcze jest w sile wieku, nadzieją nowego potomstwa. Ojcu nie jednemu zastąpi syn później narodzony stratę nieboszczyka a ojczyźnie przyniesie to dwojaki pożytek: zapełni próżnię między ludnością powstałe i przyczyni się do powszechnego bezpieczeństwa. Obywatel nie mogący porównać z innymi synów na obronę ojczyzny stawiać, nie może też o dobru jej równie sprawiedliwie, jak ci inni, radzić i stanowić."

"Wy zaś, coście wiek rodzicielstwa już przekroczyli, spędziwszy większą część żywota waszego szczęśliwie, poczytajcie to sobie za czysty zysk, a pomni na to, że reszta dni waszych już policzoną jest, szukajcie ulgi sercu waszemu i pociechy w chwale tych tu bohaterów, których rodzicami byliście. Pragnienie sławy jedno tylko nie starzeje się; starca już zużytego cieszy nie pomnażanie zysków, jak to niektórzy utrzymują, ale cześć, jakiej od ziomeków swoich doznaje."

"Was, synowie i bracia obecni tych tu ojczyźnie zasłużonych mężów, czekają, jak to przewiduję, wielkie do zwalczania trudności. Zmarłego zwykł każdy chwalić i nie prędko was, choćbyście jak najbardziej się zasłużyli, na równi z nieboszczykami, lecz w najlepszym razie nieco niżej od nich postawi. Albowiem żyjący nienawidzi każdego, który się z nim o lepszą ubiega, i tylko tego, który już żadnych nie stawia mu przeciwności, czci i miłuje, pewny, że w nim nie znajdzie już współzawodnika."

"I do was, niewiasty, któreście teraz w stan wdowi popadły, wypada mi z kolei przemówić: zamknę to w kilku słowach mających was zachęcić do wytrwałości w pełnieniu powinności waszych (1). Wiedzieć więc, że będzie to dla was wielką chlubą, jeżeli odpowiecie godnie temu, co płci i powołaniu waszemu przystoi, i że ta na nią zasłuży (2), o której bądź to chwalebnych, bądź to nagan-

(1) Wyrazy: *γυναικεῖα ἀρετῆ*, znajdujące się u Tucydysesa w pierwszym zdaniu, przeniósłem do drugiego i połączyłem je z wyrazem: *παραίνεσις* (zachęcenie) wymagającym jeszcze dopełnienia swej myśli. *Ἀρετῆ*, użyte o niewiście, znaczyło u Greków pełnienie powinności od płci i powołania jej nieodłącznych.

(2) Tak tłumaczą aposiopozę grecką: *ταύτης μεγάλης ἢ δόξης*, po zdaniu względnie: *ἵς ἀν... κλέος ἦ*.



nych postępkach najmniej rozgłosu między mężczyznami będzie.”

„Uczyliem więc i ja prawu zadosyć, powiedziawszy nad tymi zgasłymi, com stosownego wiedział, i w rzeczy samej ci w cieniu śmierci spoczywający już teraz są uczczeni, a nadto dzieci ich będzie od dnia dzisiejszego aż do ich pełnoletności (1), rzeczpospolita własnym swym kosztem wychowywała. Taki ona za takie męztwo i poświęcenie się swych obywateli przeznacza nagrody wieńiec, zaszczytny dla tych zgasłych a dla pozostałych po nich korzystny. Im większe bowiem w kraju jakim są męztwa nagrody, tém dzielniejszych téż liczy on obywateli.”

„A teraz wyplakawszy się, każdy nad tym, który mu krwią najbliższy był, rozejdźcie się.”

(1) Aż do 18 roku życia.



## POGADANKA Z MUMIĄ (\*).

**H**uczna biesiada poprzedniego wieczora nieco mi była utrudziła nerwy. Miałem opłakaną migrenę i upadałem ze znużenia. Zamiast tedy przepędzić wieczór na mieście, jak zrazu miałem zamiar, przyszło mi na myśl, że może nie mam nic lepszego do zrobienia jak przekąsić co do poduszki i zaraz się potem spać położyć.

Coś lekkiego ma się rozumieć. Przepadam za kotletami baraniami. Zjeść naraz więcej jak jeden nie zawsze bywa rozsądnie. W każdym razie niepodobna nic zarzucić liczbie dwa. Istotnie zaś pomiędzy dwa i trzy nie ma innej różnicy jak szczupła jednostka. Być może, żem się zapędził do czterech. Moja żona obstaje za pięcioma, ale widocznie pomieszała dwie rzeczy całkiem różne. Abstrakcyjnie biorąc, możebym się zgodził na liczbę pięć, ale *in concreto* stosuje się to właściwie do butelek czarnego piwa, bez pomocy którego kotlety baranie są rzeczą, którejby unikać należało.

Ułatwiwszy się w ten sposób ze skromną moją wierzszą, i wdziawszy szlafmycę w błógiem przekonaniu,

(\*) W poprzednim numerze Bibl. Warsz. daliśmy obszerny rozbiór dzieł Edgara Poe; w dalszym ciągu zamieszczając będziemy przekłady niektórych nowelli tego znakomitego pisarza, z którego utworami warto jest zapoznać się bliżej. Rozpoczynamy od *Pogadanki z Munią*, która da go poznać ze strony satyrycznej, chociaż nienależy zapominać, że u Poego humor jest przymiotem ściśle podrzędnym, o czem będą mieli sposobność czytelnicy przekonać się z dalszych ustępów.

że jęj nie zdejmę aż nazajutrz około południa, przyłożyłem głowę do poduszki, i, dzięki nie mającemu sobie nic do wyrzucenia sumieniu, zapadłem niebawem w sen głęboki.

Ale kiedyż nadzieje ludzkie nie uległy zawodowi? Zaledwem zaczął chrapać w najlepsze, aż tu na gwałt dzwonią u bramy i wałą w kołatkę aż się rozlega. Zerwałem się na równe nogi. Jeszczem przecierał oczy nie mogąc przyjść do siebie, kiedy mi żona wetknęła pod nos list nader pilny od mego starego przyjaciela doktora Ponnonner. Cóż tedy w nim było tak pilnego?

— Kochany przyjacielu (pisał on), — jak tylko ten list odbierzesz, rzucaj w kął wszystko i natychmiast przychodź do mnie. Chcę z tobą podzielić nie małą radość. Koniec końcem, dzięki uprzykrzonej natarczywości, wydeptałem nareszcie w City Muzeum zezwolenie do bliższego zbadania mumii, o której wiesz. Mam upoważnienie rozebrać ją z powijaków, nawet otworzyć, jeslibym to uważał za stosowne. Kilku tylko najbliższych przyjaciół będzie przy tém, więc i ty ma się rozumieć. Mumia znajduje się już właśnie u mnie, i zaczniemy ją rozpowijać nie później jak o jedenastęj dzisiejszego wieczora. Przesyłam ci uściśnienie ręki i czekam cię.”

*Ponnonner.*

Za pierwszym na ten list spojrzeniem uczułem, że mię sen odleciał jakby go nie było. Zerwałem się z łóżka jak opętany, ubrałem się w sposób cudownie szybki choć może nie zupełnie dokładny, i co tchu popędziłem do doktora.

Zastałem tam już wszystkich — czekano na mnie z gorączkową niecierpliwością. Mumia leżała na stole i w chwili kiedym przybył już ją rozbierać zaczęto.

Byłato jedna z dwóch, które kilka lat temu przywiózł był krewny Ponnonnera kapitan Sabretash. Wziął je był z grobowca położonego blisko Eleithiady, w górach libijskich, w dość znacznej od Teb odległości. Na tém miejscu grobowce, acz mniej wspaniałe od tebańskich, przedstawiają daleko więcej zajęcia, ze względu wyboru osób którym służą. Komnata z której pochodziła nasza mumia, miała być wielce ozdobna: ściany od góry aż do dołu przybrane w malowidła i płaskorzeźby, posagi, naczynia,



ale osobiwie mozaika bardzo znakomitego stylu, świadczyły o dostatkach nieboszczyków.

Rzadkość ta złożoną została w muzeum, najzupełniej w tym samym stanie w jakim ją kapitan znalazł, to jest bez naruszenia trumny; i tak też przez lat ośm wystawioną była na ciekawość publiczną. Mieliśmy zatem do naszego rozporządzenia mumię jak najbardziej całkowitą, a ci co wiedzą jak to jest rzeczą rzadką, nie zadziwią się naszej radości z tego powodu.

Zbliżywszy się do stołu, ujrzałem wielkie pudło czyli pakę, długości około siedmiu stóp, szeroką może na trzy, grubą na półtrzeciej stopy. Była podłużną, ale nie miała kształtu trumny. Z początku myśleliśmy, że jest z Sykomoru, ale bliżej zbadawszy, przekonaliśmy się, że pudło było wyrobione z papki papyrusowej zagniecionej na bardzo twarde ciasto. Ozdabiały je grube malowidła, przedstawiające przedmioty smutku i żałobne sceny, pomiędzy którymi przewijała się w różnych kierunkach równianka charakterów hieroglificznych, opiewających zapewne nazwisko zmarłego. Szczęściem znajdował się wśród nas pan Gliddon. Z łatwością tedy wytłumaczył nam znaki, które były poprostu fonetyczne, i składały słowo: Allamistakeo.

Nie mało mieliśmy trudu, chcąc otworzyć to pudło bez uszkodzenia; postawiwszy wreszcie na swoim, znaleźliśmy w środku drugie, już kształtu trumny, objętości znacznie mniejszej jak zewnętrzne, ale zresztą najzupełniej do tamtego podobne. Próżnia pomiędzy nimi wypełniona była żywicą, której wpływ zmienił do pewnego stopnia barwę pudła wewnętrznego.

Otworzywszy to ostatnie, co nam już przyszło z łatwością, dostaliśmy się do trzeciego, również kształtu trumny i zupełnie takiego jak drugie, wyjąwszy to, że było cedrowe, co zdradzał nawet mocny zapach aromatyczny właściwy temu drzewu. Pomiedzy tém trzeciem i drugim pudłem nie było już żadnej próżni, tylko szczelnie do siebie przystawały.

Po otwarciu trzeciego pudła dobraliśmy się wreszcie do ciała, któreśmy też zaraz wyjęli. Spodziewaliśmy się,

że je znajdziemy, jak to zwykle bywa, okręcone w lniane powijaki; ale zamiast tego było tylko starannie oblepione papką papyrusową, co wszystko pokrywała jeszcze nakształt pochwy lekka warstwa gipsu, na puszczana farbami i złotem. Malowidła wyobrażały przedmioty będące w związku z pośmiertnym stanem duszy, oraz jej stawianiem w obec rozmaitych bóstw piekielnych, następnie wiele bardzo postaci zupełnie do siebie podobnych, widocznie wizerunki osób zabalsamowanych. Od głowy do stóp prostopadle zbiegał napis w hieroglifach fonetycznych, opiewający znowu imiona i godności zmarłego, jak również imiona i godności jego rodziców.

Wkoło szyi, kiedyśmy z niej zdjęli pochwę, znaleźliśmy naszyjnik ze szklanych podłużnych paciorek barw najrozmaitszych, które odpowiadały wyobrażeniom niektórych bóstw: jak chrząszcza lub skrzydlatej kuli. Podobnym naszyjnikiem był też zmarły przepasany w pół ciała.

Odjąwszy zewsząd pochwę papyrusową, znaleźliśmy ciało zachowane jak nie można lepiej. Barwę miało czerwonawą; skóra była jędrna, gładka i błyszcząca. Zęby i włosy wyglądały w dobrym stanie. Co do oczu, te zdawały się być wyjęte i zastąpione szklannemi, prawdziwie po mistrzowsku udającemi życie, gdyby nie to, że zbyt wyraźnie stały słupem. Palce i paznogie były świetnie wyłoczone.

Z czerwonej barwy ciała wniósł Gliddon: że musiało być balsamowane za pomocą smołowca; ale zdrapawszy nożykiem powierzchnię skóry i rzuciwszy na ogień nieco proszku ztąd otrzymanego, uczuliśmy zapach kamfory i innych gumm aromatycznych, co nas przekonało przeciwnie.

Pilnie opatrzwszy ciało, dla znalezienia zwykłych nacięć, przez które wyjmowano trzewia, z wielkiem naszym zdumieniem nie znaleźliśmy ich bynajmniej. Nikt z nas nie wiedział wtedy, że nie jest rzeczą tak rzadką napotkać mumię całkowitą i bez nacięć. Zwykłym trybem, mózg wyjmowano nosem, wnętrzości przez otwór w boku, następnie całe ciało jak najstaranniej golono, umywano i nasalano; w tym stanie zostawiano je na kilka



tygodni, po upływie których dopiero przystępowano do właściwego balsamowania.

Nie znalazłszy żadnego śladu nacięcia, doktor Ponnonner już był przygotował narzędzia chirurgiczne do zbadania wnętrza nieboszczyka, kiedym mu zrobił uwagę, że już jest po drugiej. Na skutek tego zgodzono się odłożyć dalsze badania na noc następną, i już mieliśmy się rozejść, kiedy wtém ktoś rzucił myśl spróbowania na zmarłym stosu Wolty.

Zastosowanie wpływów galwanicznych do trupa mającego kilka tysięcy lat wieku, było myślą jeśli nie wyłącznie rozsądną, to przynajmniej tyle oryginalną, żeśmy ją jednogłośnie schwycili w lot. Na ten cel, w dziesiątej części seryo a w dziewięciu dziesiątych żartem, pospieszyliśmy przygotować baterję w gabinecie doktora, poczem przenieśliśmy tam naszego Egipcyanina.

Z niemałym trudem udało nam się obnażyć nareszcie część muskułu skroniowego, który zdawał się być mniej stężały od reszty ciała; ale i ten, jakeśmy to przewidywali, wcale nie okazał wrażliwości w zetknięciu ze strumieniem. Ta pierwsza próba wydała nam się stanowczą. Uśmiewszy się serdecznie z naszej nedorzecznosci, jużesmy sobie wzajemnie dawali dobranoc, kiedy przypadkiem spojrzawszy na oczy mumii, osłupiałem ze zdumienia. Rzeczywiście, dość było jednego rzutu oka, żeby się przeświadczyć: że źrenice, któreśmy wszyscy mieli za szklane, i które w istocie osobliwszym sposobem wyglądały jak wryte, były w tej chwili tak dokładnie zapuszczone powiekami, że zaledwie mała tylko część tak zwanój *tunica albuginea* pozostawała widoczną.

Krzyknąłem z podziwu, i skorom wytłumaczył jego powód, wszyscy podzielili go ze mną.

Nie powiem, żeby mię przestraszył ten fenomen, wcale nie; tylko, bardzo być może, że gdyby nie owe kilka butelek czarnego piwa, o których poprzednio wspominałem, byłbym się uczuł lekko wzruszonym. Co zaś do moich towarzyszy, ci nie silili się nawet ukryć swego przestachu. Doktor Ponnonner prawdziwie obudzał litość; Gliddon niepojętym jakimś sposobem stał się niewidzialnym: jestem też pewny, że pan Silk Buckingham nie



będzie miał śmiałości zaprzeczyć, że go widziano na czworakach pod stołem.

Opamiętawszy się, postanowiliśmy, jak to łatwo pojąć, prowadzić dalej doświadczenie. Tą razą wzięliśmy za cel działań wielki palec prawej nogi. Zrobiliśmy nacięcie po nad kością zwaną *os sesamoideum pollicis pedis*, i tym sposobem trafiliśmy do krańca muskułu *abductor*. Ale zaledwie wprowadzono w porozumienie z prądem ten nerw obnażony, aliści, ruchem szybkim jak błysk, zebrała nasza mumia nogę swoją pod siebie, poczem wyprostowawszy ją z niepojętą siłą, dała tak dzielny raz w brzuch doktora, że tenże nakształt pocisku z katapulty, wyleciał przez okno na ulicę.

Rzuciliśmy się tłumnie ratować przynajmniej szczątki nieszczęśliwego, ale doznaliśmy niemałego szczęścia, spotkawszy go na wschodach wracającego niesłychanie szybko, pożeranego najgorętszemi płomieniami filozoficznemi, i mocniej jeszcze niż kiedy przejętego potrzebą posuwania dalej naszych doświadczeń w sposób równie gorliwy jak nieubłagany.

Za jego tedy poradą zrobiliśmy niezwłocznie głębokie nacięcie na końcu egipskiego nosa, poczem doktor sam swoją ręką przyłożył do niego koniec druta.

Moralnie i fizycznie biorąc, przenosię jak i dosłownie, skutek był *elektryczny*. Zrazu nieboszczyk otworzył tylko oczy, potem je zaczął mrużyć bardzo szybko, co trwało kilka minut; następnie kichnął, następnie usiadł, następnie jeszcze zbliżył pięść do nosa doktora; wreszcie zwracając się do panów Gliddona i Buckinghamama, rzekł do nich w najczystszej egipczyźnie te słowa:

„Zmuszonym się widzę powiedzieć wam, moi panowie, że postępowanie wasze równie mię zadziwia jak martwi. Od doktora Ponnonnera nie należało się spodziewać niczego lepszego, — jestto sobie dobroduszne ciele, które nie wymyśli prochu. Lituję się nad nim i przebaczam mu. Ale panowie, moi Gliddon i Silk, coście przecie podróżowali po Egipcie, co go tak znacie, jakbyście się w nim urodzili, którzy mówicie po egipsku jakby was matka uczyła, których nawykłem uważać za serdecznych przyjaciół jako mumia; od was przecie spodziewałem się grze-

czniejszego postępowania. Cóż mam myśleć o waszej obojętności, podczas kiedy się ze mną obchodzą w sposób tak prostacki? Cóż mam trzymać o was, skoro pozwalacie równie Pawłowi jak Gawłowi obdzierać mię z moich trumien i odzienia w tym przeklętym lodowym klimacie? Jakież cel mieć możecie nakoniec wspomagać i zachęcać tego rzezimieszka Ponnonnera, żeby mię za nos ciągnął?"

Bez wątpienia, każdy gotów pomyśleć, że słysząc podobną przemowę w podobnych warunkach, wszyscyśmy albo tłok zrobili we drzwiach, albo się niebezpiecznie pochorowali na nerwy, albo przynajmniej zemdleli jednozgodnie. Istotnie jedno z tego trojga miało prawo się zdarzyć, a nawet i wszystko troje razem. Tymczasem, na uczciwość, nie pojmuję, jak się to zrobiło, aleśmy najzupełniej zostali jak byli. Prawdziwej przyczyny tego należałoby zapewne szukać w duchu czasu, który kaduczośnie wygląda na ducha przeciwności, mając upodobanie rozkładać to co nie jest złożone i tłumaczyć nawet to, czego wytłumaczyć niepodobna. Albo też może zawdzięczyć to należy postawie całkiem swobodnej i ośmielającej, z którą mumia wypowiadała swoje słowa. Cóżkolwiekby, rzecz nieinaczej się stała, — co więc, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że w tém wszystkiem jest co nadzwyczajnego.

Z mojej strony nie zdziwiłem się niczemu, — stanąłem tylko ile możności na boku, po za obrębem działalności pięści Egipcyanina. Doktor Ponnonner wpakował sobie ręce w kieszenie od spodni, spojrział na mumię z podębła i stał się mocno czerwony; Gliddon głaskał sobie faworyty i poprawiał kołnierzyka; Buckingham spuścił głowę i zaczął obgryzać paznogie prawej ręki.

Egipcyanin przyglądał mu się surowo przez kilka minut, wreszcie rzekł drwiąco:

— Cóżto? Czyż się nie doczekam odpowiedzi mości Buckinhamie, słyszałeś waść, czy nie, com przed chwilą powiedział? Może choć raczysz przestać obgryzać paznogie.

Na to Buckingham jakby się ocknął, odjął od ust rękę prawą, a natomiast wziął się do obrabiania w ten sam sposób lewej.



Nie mogąc dojść do ładu z Buckinghamem, mumia z gniewem zwróciła się do Gliddona, pytając go ostrym tonem o wytłumaczenie przynajmniej, czego sobie życzy całe nasze towarzystwo?

Gliddon odpowiedział na wszystko *po fonetycznemu*, i gdyby nie brak czcionek hieroglificznych w amerykańskich drukarniach, byłoby to dla mnie przyjemnością jak rzadko, mózdz wypisać w najkompletniejszej całości i we właściwym języku jego wyborną rozprawę.

Korzystam z téj sposobności dla zrobienia uwagi, że cała następująca rozmowa z mumią miała miejsce po egipsku. Gliddon i Buckingham służyli nam za tłumaczy. Ale jakkolwiekby wybornie władali tym językiem, w niemałym nieraz znajdowali się kłopotcie, ile razy potknęli się w rozmowie o wyobrażenie całkiem nowoczesne i przeto w zupełności obce starożytnemu człowiekowi. Była naprzykład chwila, kiedy Gliddon, nie mogąc inaczej wytłumaczyć Egipcyaninowi wyrazu *polityka*, wpadł na szczęśliwą myśl wyrysowania mu węglem na ścianie małego jegomości z krostowatym nosem, z dziurami na łokciach, stojącego na wzniesieniu, z lewą nogą w tył, prawą ręką naprzód, zaciśniętą pięścią, wytrzeszczonemi oczyma i gębą otwartą pod kątem 90 stopni.

Podobnie Buckingham nie byłby nigdy potrafił wytłumaczyć mu co znaczy wyraz *Whig* (1), gdyby nie przytomność Ponnonnera, który zagnął ściągnawszy rękę, zdjął mu z głowy to, co się aż dotąd wydawało być własnemi włosami uczonego podróżnika. Wyznać należy, że go tém jednak zmieszał nieco.

Nie wyda się téż dziwném nikomu, że przedmiotem mowy Gliddona było osobliwie wykazanie niesłychanych dobrodziejstw, jakie nauka osiąga z rozpowijania i rozkrawania mumii; był to delikatny sposób usprawiedliwienia się z tego wszystkiego, czegośmy się poprzednio byli dopuścili na osobie naszego szanownego *subiectum*. Egipcyanin zdawał się poprzestawać na tém tłumaczeniu; jakoż wstawszy nareszcie ze stołu na którym niezbyt wygodnie leżał aż dotąd, podał wszystkim rękę na znak zgody.

(1) Stronnictwo polityczne, ale wyraz ten znaczy zarazem perukę, co stanowi dwuznaczność tego konceptu.



Po ukończeniu tej ceremonii, zajęliśmy się niezwłocznie opatrzeniem lekkich uszkodzeń, jakie był porobił skalpel pod postacią doktora. Zszyliśmy Egipcyaninowi skroń, obandażowali nogę i przyklepiliśmy mu na nosie kwadracik z angielskiego plasterka.

Spostrzeżono wreszcie, że hrabia (taki był jak się zdaje tytuł Egipcyanina) doznawał niejakich dreszczów, bezwątpienia z powodu klimatu. Zaczem doktor wyszedł na chwilę do swojej garderoby, zkąd wrócił nieinaczéj, jak mając w rękę: frak czarny najświeższego kroju, spodnie perłowego koloru z podpinkami, koszulę z haftowanym gorsem, kamizelkę z brokateli, piaskowy paltosak, laskę z rączką kształtu końskiej nogi, kapelusz, patentowane buty, rękawiczki kozłowe koloru słomianego, lorynetkę, parę angielskich faworytów i krawatę wąską jak tasiemka. Kiedy przyszło do ubierania hrabiego, niejaki kłopot sprawiła nań różnica wzrostu i objętości, zachodząca pomiędzy nim i doktorem, a która była poniekąd w stosunku dwóch do jednego,—ale jakoś się to dało załatwić zgodnym sposobem. Wreszcie Gliddon wziął go pod rękę i zaprowadził do wygodnego fotelu przed kominem, a tymczasem doktor zadzwonił i kazał przynieść wino i cygar.

Rozmowa przedziwnie się ożywiła. Łatwo pojąć, że przedewszystkiem przedmiotem jej było podziwienie ze zmartwychwstania naszego gościa.

— Sądziłem—rzekł Buckingham—żeś pan już był w najlepsze umarły.

— Ale gdzie zaś—odparł hrabia—toż ja mam zaledwie siedmset lat. Mój ojciec żył tysiąc, a jeszcze, wcale nie był dziecińnią kiedy umarł.

Tu nastąpił cały grad pytań i wyrachowań, z pomocą których odkryto, że starożytność naszej mumii była bardzo lichy oszacowaną. Pokazało się, że upłynęło już pięć tysięcy pięćset lat i nawet kilka miesięcy od czasu złożenia jej w podziemiach Eleithiady.

— Nie mały to jednak kęs czasu przespałeś się pan w smołowcu—rzekł wreszcie Buckingham.

— W czém takiem?

— W smołowcu...

— Co to takiego? Ach! ale domyślam się wreszcie o co rzecz idzie. W istocie, kiedyś tam używano tego podobno, ale za moich czasów, ani już nawet mówiono o czém inném, jak o dwuchlorku merkuryusza.

— Ale co nam najtrudniej zrozumieć—wtrącił Ponnonner—to, że umarłszy i będąc pogrzebanym pięć tysięcy przeszło lat temu w Egipcie, znajdujesz się pan znagła w naszym towarzystwie najdokładniej żyjący i to jeszcze zdrowszy jak ryba.

— Gdybym był wtedy umarł, jak pan powiadasz—odparł hrabia—bez żadnej wątpliwości byłbym umarły i w tej chwili; gdyż jak się przekonywam, mało co wiecie o galwanizmie, i dziś z jego pomocą anibyście potrafili dokazać tego, co za naszych czasów było rzeczą powszednią. Istotnie jednak znajdowałem się tylko w letargu; zabalsamowano mię zaś, sądząc, że umarł. Spodziewam się, że znacie główną zasadę balsamowania?

— Ależ właśnie że nie.

— A! rozumiem. O! opłakana ciemnoto! Nie mogę jednak w tej chwili zaczynać z wami od abecadła. Potrzeba wam tylko wiedzieć, że balsamowanie w Egipcie miało po prostu na celu zawiesić na czas nieograniczony wszystkie czynniki żywotne, jakie tylko owładnąć mogło. Krótko mówiąc, człowiek zostawał na wieki w tym samym stanie, w jakim go zabalsamowano. Co do mnie zaś, zabalsamowano mię w całości takim jakim mię widzicie, ponieważ pochodzę z krwi Chrząszcza.

— Z krwi Chrząszcza?

— Tak jest. Chrząszcz był godłem,—albo herbem, jeśli wolicie,—jednej z najznakomitszych i najliczniejszych rodzin w Egipcie. Pochodzić z krwi Chrząszcza, znaczy po prostu należeć do rodziny, której Chrząszcz jest godłem. Mówię przenośnie.

— Ale cóż to ma. wspólnego z pańskim życiem obecném?

— Otóż było powszechnym zwyczajem w Egipcie, przed zabalsamowaniem uprzętać z człowieka mózg i trzewia: jedna tylko rodzina Chrząszcza była od tego wyjętą. Gdybym zatem nie był jednym z Chrząszczów, zmu-

szony byłbym dzisiaj obchodzić się bez kiszek i rozumu, co w żadnym razie nie jest rzeczą wygodną.

— Teraz rozumiem—rzekł Buckingham—i domyślać się nawet zaczynam, że wszystkie mumie, które do nas dochodzą w całości, muszą być z rodziny Chrzászcza.

— Bez żadnej wątpliwości.

— Ja zaś myślałem dotąd—odezwał się Gliddon nieśmiało—że Chrzászcz był jednym z bogów egipskich.

— Jednym z *czego?*—zawołał hrabia zrywając się na nogi.

— Jednym z bogów—powtórzył podróżnik.

— Panie Gliddon, doprawdy zaledwie własnym moim uszom wierzę, słysząc cię podobnie mówiącego—rzekł na to hrabia z politowaniem siadając napowrót.—Wiedz o tém, że nie było na świecie narodu, któryby wyznawał więcej jak jednego Boga. Chrzászcz, wół, ibis, podobnie jak i inne stworzenia u innych narodów, byłyto w części symbola, a w części niejako istoty pośrednie pomiędzy ludźmi i Bogiem, zbyt wielkim, żeby się godziło zbliżać do Niego bezpośrednio.

Chwilę trwało milczenie; przerwał je wreszcie doktor Ponnonner:

— Nie jest tedy rzeczą niepodobną, stosownie do pańskiego wywodu—rzekł on—żeby można było znaleźć w tych samych podziemiach z których pana wzięto, inne także mumie, któreby również przywrócić można do życia.

— To się rozumie samo przez się—odpowiedział hrabia.—Wszyscy Chrzászczowie, ile ich tylko mogło być zabalsamowanych żywcem, są niewątpliwie żywi do dziś dnia. Niektórzy nawet z tych co się kazali zabalsamować naumyślnie, mogli być potem zapomniani przez swoją rodzinę, i mogą się dotąd znajdować w grobowcach.

— Czy nie raczyłyby pan—odezwałem się—wytłumaczyć nam, co znaczy ten wyraz *naumyślnie*, któryś był łaskaw wymówić przed chwilą?

— Z największą przyjemnością—rzekł mi na to Egipcjanin, oglądając mię od stóp do głów przez szkiełko, jako człowieka, który po raz pierwszy dopiero ośmielił się zrobić mu zapytanie,—z najmilszą chęcią. Zwyczajny wiek



ludzki za moich czasów wynosił około ośmuset lat. Mało kto (wyjąwszy osobliwszym wypadkiem) umierał przed sześćsetnym rokiem swego życia; niektórzy żyli dłużej jak dziesięć wieków, ale w ogóle ośmset lat było uważane jako rzecz zwyczajna. Po odkryciu zasady balsamowania, o jakiej wam wyżej wspomniałem, przyszło na myśl naszym mędrcom: że możeby się udało, przychodząc w pomoc sprawie nauk szlachetnym poświęceniem, poprzetrzącać ciąg istnienia, i mózdz sobie żyć przerwami. Szczególnie co do historii, doświadczenie okazało, że nie małą ten pomysł oddał jej usługę. Dziejopisarz naprzykład, doszedłszy pięciuset lat wieku, pisał dzieło swoje z jak największym staraniem; poczem, stosownie do jego woli, za balsamowywano go na jakie lat pięćset lub sześćset. Wróciwszy do życia po upływie tego czasu, znajdował koniecznie dzieło swoje zmienione w zbiorowisko szmat pozszywanych na chybił trafił, czyli raczej w jakiś rodzaj areny literackiej, stojącej otworem najsprzeczniejszym domysłem, najwyszukańszym zagadkom, najzajadliwszym kłótniom komentatorów, z których każdy sądził, iż sam jeden ma słuszość. Te domysły, te zagadki, które występują zwykle pod nazwiskiem przypisków lub poprawek, bywało tak opętały, tak powykoszławiały, tak pozagwożdżały literę tekstu, że autor nie poznawał w tym grochu z kapustą własnej swojej księgi. Odszukawszy wreszcie z ciężkim trudem tę swoją robotę tak niegdyś staranną, przekonywał się zwykle, że nie warta była zachodu szukania. Po przerobieniu jej od deski do deski, pozostawał mu jeszcze ważny obowiązek do spełnienia, to jest: popoprawiać stosownie do swoich wiadomości i osobistego doświadczenia, pojęcia społeczeństwa obecnego o epoce w której on sam żył wprzód. Ten tedy tryb poprawiania i sprawdzania wszystkiego, że tak powiem własnoręcznie, praktykowany od czasu do czasu przez naszych mędrców, nie pozwalał dziejom naszym wyrodzić się w czystą bajkę.

— Czy raczysz nas pan objaśnić (przepraszam że przerywam)—odezwał się Ponnonner—jaki mógł być stosunek prawdy istotnej, do tego co dawali za prawdę komentatorowie?

— Mówiąc szczerze, przekonania komentatorów szły zwykle tą samą drogą co tradycya, i to w ten sposób, że się nigdy, ale to nigdy co się nazywa, nie spotykały z prawdą.

— Wracając do naszego przedmiotu—rzekł znowu doktor—ponieważ jest rzeczą dowiedzioną, że już przeszło pięć tysięcy lat upłynęło od pańskiego pogrzebu, potrafisz tedy zapewne powiedzieć nam coś pewnego (nie już z pogłoski podaniowej, ale według najpoprawniejszych roczników) o przedmiocie tyle przedstawiającym zajęcia dla całej ludzkości: to jest, o stworzeniu świata, które miało miejsce, jak to panu nie tajno, nie więcej jak na dzie sięć wieków przedtém.

— Nie rozumiem pańskiego pytania.

Doktor powtórzył swoją uwagę, ale upłynęło czasu nie mało, zanim Egipcyanin pojął wreszcie o co chodzi. Po niejakiem namyśle dał się słyszeć w te słowa:

— Przedmiot którego pan dotknąłeś, wyznaję otwarcie, jest całkiem nowym dla mnie. Za moich czasów nie przypominam sobie nikogo, coby nawet pomyślał choć na chwilę, że świat może mieć początek. Raz tylko zdarzyło mi się słyszeć pewnego uczonego, przytaczającego niejasne jakieś podanie o początku ludzkiego rodu. Mówiąc o tém, użył jak wy wyrazu *Adam*, co znaczy *ziemia czerwona*, ale raczej na oznaczenie społecznego wylęgnięcia się z mułu ziemskiego (jak się to stało i z innymi stworzeniami) pięciu ogromnych plemion ludzkich, które się zaraz potem rozeszły w pięć różnych części świata, prawie równych między sobą.

W tém miejscu wszyscyśmy ruszyli ramionami, a niektórzy z nas dotknęli sobie palcem czoła, porozumiewając się znacząco. Silk Buckingham opatrzył okiem znawcy kształt głowy Egipcyanina i rzekł po chwili:

— Długość życia ludzkiego za waszych czasów, w połączeniu z umiejętnością przerywania sobie jego biegu według woli, powinna była nie mało się przyczynić do rozwinięcia wyobrażeń i nagromadzenia wiadomości. Przypisałbym tedy niezaprzeczoną w porównaniu z nami we wszystkich przedmiotach wiedzy niższość starożytnych



Egipcyan, nie czemu innemu, jak jedynie większemu zcieśnieniu czaszki.

— Wyznaję powtórnie—odparł hrabia z zimną grzesznością— że mam znowu niejaką trudność w zrozumieniu pana. Racz mię wyraźniej nieco objaśnić, o jakich to przedmiotach wiedzy chciałeś mówić.

W tém miejscu całe towarzystwo jednogłośnie zacytowało spostrzeżenia frenologiczne, oraz cuda magnetyzmu zwierzęcego.

Hrabia wysłuchiwał nas cierpliwie do końca, następnie od niechcienia przytoczył kilka anegdot, z których się wydało jasno jak na dłoni, że pierwowzory Galla i Szpurzhejma istniały i nawet poprzepadały w Egipcie, ale to w epoce tak odległej, że nawet już prawie o nich zapomniano; co zaś do Mezmeryzmu, to ten pokazał się być szarlataneryą w obec istotnych cudów, jakich tajemnice posiadali kapłani Tebańscy, którzy umieli robić wszy i inne tym podobne zwierzęta.

Spytałem czy umieli także wyrachowywać zaćmienia. Uśmiechnął się nieco pogardliwie i odpowiedział, że umieli. Trochę mię to obeszło,—jednakże jużem się zabierał robić hrabiemu mnóstwo innych zapytań dotyczących się wiadomości astronomicznych, kiedy wtém ktoś z obecnych, który się był dotąd wcale do rozmowy nie mieszał, szepnął mi do ucha, że jeżelibym potrzebował objaśnień w tym względzie, to mogę się poradzić niejakiego Ptolemeusza, a także pewnego Plutarcha pod rozdziałem de facie lunae.

Wypytywałem dalej naszego gościa o szkła palące i soczewkowe, a raczej ogólnie o umiejętność wyrabiania szkła w Egipcie; ale jeszcze był nie skończył moich pytań, kiedy milczący towarzysz dotknął zlekka mego łokcia, prosząc, dla miłości Boga, żebym choć rzucił okiem na Dyodora Sycylijskiego. Hrabia zaś zapytał mię tylko po prostu: czy dziś posiadamy drobnowidze, za pomocą których moglibyśmy robić równie delikatne rzeźby na onyxie, jak to oni robili. Podczas kiedym przemyślał nad odpowiedzią, zagnała Ponnonner wyrwał się w sposób dziwnie niespodziany:



— Ale za to wszystko proszę się przypatrzeć naszemu budownictwu—zawołał ni w pięć ni w dziewięć z wielkim oburzeniem dwóch podróżników, którzy go uszczypli aż do siniaków, ale i to się na nic nie zdało,—proszę zobaczyć—krzyczał on z uniesieniem—Wodotrysk Gry w Kręgle w Nowym Yorku, albo przynajmniej Kapitolium w Waszyngtonie, do pioruna.

Powiedziawszy to, pocziwiec zapędził się aż do wyliczania wymiarów owego gmachu. Według niego, sam portyk składa dwadzieścia cztery kolumn, z których każda ma pięć stóp średnicy, a odległa jest dziesięć stóp jedna od drugiej.

Na to hrabia począł ubolewać że nie może przypomnieć sobie dokładnie w tej chwili wymiarów choć jednego z celniejszych gmachów miasta Aznak, którego założenie ginęło w pomroce dziejów, ale którego zwaliska istniały jeszcze za czasu jego pogrzebu, pośród rozległej piaszczystej płaszczyzny ku zachodowi Teb. Przypominał sobie tylko z powodu portyków, że widział tam jeden, należący do jakiegoś podrzędnego domostwa na przedmieściu zwaném Karnak, który się składał z czterdziestu czterech kolumn odległych dwadzieścia pięć stóp jedna od drugiej, a każda trzydzięci siedm stóp objętości. Do tego portyku prowadziła od Nilu długa na dwie mile ulica, złożona ze sfinksów, z posągów i z obelisków, wysokich na stóp dwadzieścia, sześćdziesiąt i sto. Sam pałac, ile mógł sobie przypomnieć, miał w jednym tylko kierunku dwie mile długości, i coś jak siedem mil obwodu. Mury jego były bogato ozdobione równie zewnątrz jak wewnątrz malowidłami hieroglificznymi. Nie próbował twierdzić: że w jego murach byłoby się wygodnie zmieściło pięćdziesiąt kapitolów doktora; wszakże nikt z nas nie potrafiłby mu dowieść: że dwieście podobnych kapitolowi okazałości miałyby jakąś trudność spotkać się w obrębie tego pałacu, który zresztą był sobie tylko pierwszym lepszym domostwem na przedmieściu, jak się rzekło. Zkądinąd znowu, hrabia czuł się w obowiązku oddać sprawiedliwość Wodotryskowi Gry w kręgle, któremu podobnego istotnie ani Egipt, ani reszta świata nigdy nie posiadała.

Spytałem wtedy hrabiego: co myśli o naszych drogach żelaznych?

— Nic szczególnego — rzekł mi. — Są dostatecznie li-che, dość źle urządzone, a gorzej jeszcze zastosowane. Nie mogą tedy iść w porównanie z szerokimi drogami ściśle poziomymi i prostymi, po których przetaczaliśmy świątynie całe, posągi i obeliski, miewające po sto pięćdziesiąt stóp wysokości.

Mówiłem mu o olbrzymich naszych środkach mechanicznych. Przyznał, że istotnie umiemy coś na tej drodze; ale spytał zarazem: jakbyśmy sobie poradzili, gdyby nam przyszło postawić na nogi posąg, na gżemsie choćby któregokolwiek z najmniejszych pałacu Karnaku.

Udałem że nie słyszę, i spróbowałem go zaczepić w przedmiocie studni artezyjskich, ale wzruszył tylko ramionami, podczas kiedy Gliddon mrugnął na mnie znacząco, i szepnął mi do ucha: że właśnie niedawno temu, inżynierowie poszukując wody w wielkiej oazie, trafili na starożytną studnię najnieposzlakowanej wywierconą.

Tedy począłem słać naszą stal, ale Egipcyanin spytał mię z dumą: czy nasze dłuta zdołałyby tak dokładnie i delikatnie powyżłabiać napisy i ozdoby na obeliskach, jakie po prostu porobiono narzędziami miedzianymi?

To nam tak odrazu zamknęło usta, żeśmy osądzili za stosowne, przejść lepiej do metafizyki. Wziąwszy najnowsze dzieło w tym przedmiocie, przeczytaliśmy Egipcyaninowi jeden rozdział o ruchu społecznym i jeden o postępie.

Hrabia rzekł nam na to: że za jego czasów ruch społeczny był rzeczą przeraźliwie powszednią; co zaś do postępu, ten przez czas niejaki był prawdziwą plagą, ale nie przypomina sobie, żeby postąpił kiedy choć krokiem jednym naprzód.

Rozprawialiśmy potem o znakomitych powagach i niezrównanej wadze demokracji, i nie mało mieliśmy kłopotu, zanim nam się udało wpakować w głowę hrabiemu poważną stronę korzyści, jakich używamy, żyjąc w kraju gdzie nie ma króla, czyli raczej gdzie wszyscy są królami.

Wysłuchał nas z widocznym zajęciem, i zdawał się dziwnie tém bawić. Kiedyśmy skończyli, rzekł: że i u nich,



dawno już temu (względnie do jego czasów), stało się coś zupełnie podobnego. Jedną razą, trzynastu prowincjom egipskim zachciało się być wolnemi, żeby dać z siebie wspaniały przykład reszcie ludzkości. Zlecieli się zewsząd mędracy, i ukuli konstytucyę tak wyborną, że już nic nie pozostawało do życzenia. Czas jakiś szło jako tako; tylko że ni ztąd ni zowąd zagaściło się w państwie samochwalstwo i zarozumienie, jakiemu równego świat nie oglądał. Skończyło się zaś na tém, że te trzynaście prowincyj, wciąż gnawszy jeszcze do spółki z jakie piętnaście czy dwadzieścia innych, wpakowały sobie na kark tak nieznośny despotyzm, jak od owego czasu o podobnym nie słyszano.

Spytałem o nazwisko tyrana, który był ogarnął władzę nad tém nieszczęśliwém zjednoczeniem.

O ile sobie hrabia mógł przypomnieć, tyran ten nazywał się: motloch.

Nie wiedząc co na to odpowiedzieć, zagadałem Egipcjanina niezrównanemi pożytkami pary, o których starożytni nie mieli najmniejszego pojęcia. Ale znagła uczulem w boku kułaka, który pochodził ni mniej ni więcej jak od milczącego sąsiada.

— Dajże pan raz już pokój z temi bzdurstwami— rzekł mi z cicha— czyż możesz być tyle prostoduszny, żebyś nie wiedział, że Salomon de Caus poprostu ukradł tylko to, co było własnością Herona.

Zdawało się tedy żeśmy już zewsząd pobici bez rady, kiedy wtem (bezwątpienia za wpływem naszej szczęśliwej gwiazdy), pospieszył nam na ratunek Ponnonner, zapytując: czy i we względzie potrzeb toaletowych zamyśla starożytność walczyć z nami o lepszą?

Słyszając te słowa, hrabia spojrział mimowolnie na podpinkę swoich spodni, następnie wzięwszy w ręce poły od fraka, przypatrywał im się ciekawie czas nie mały. Wreszcie puścił je, i otworzył usta, ale nie przypominam sobie, żeby jaki głos z nich wydał.

Tedy jakoś nabraliśmy otuchy; doktor zaś zbliżywszy się do hrabiego z postawą pełną godności, wezwał go do zeznania pod słowem honoru: czy w jakiejkolwiek bądź epoce znali Egipcjanie sposób wyrabiania, bądź pigulek Brandretha, bądź pastylek Ponnonnera?



W głębokiej niespokojności czekaliśmy odpowiedzi, ale napróżno. Odpowiedzi być nie mogło. Egipcyanin zaczerwienił się po same uszy i spuścił głowę. Nigdy nie widziano zupełniejszego tryumfu, ani porażki więcej zawstydzającej. Nie mając serca spoglądać dłużej na podobne upokorzenie, wzięłem za kapelusze i wymknąłem się cichaczem.

Przyszedłszy do domu, spostrzegłem że już było po czwartęj, więc się niezwłocznie udałem do łóżka. W tej chwili jest dziesiąta. Wstałem o siódmęj, i spisałem te uwagi ku zbudowaniu moich dzieci oraz ludzkości. Co do dzieci, z temi się już nie zobaczę. Moja żona jest to sroga sekutnica. Prawdę zaś mówiąc: życie, i w ogóle wiek dziewiętnasty, nabawia mię nudności. Jestem przekonany, że wszystko idzie naprzewrót. W dodatku trapiiony jestem żądzą dowiedzenia się: kto będzie wybrany prezydentem w roku 2045. Dlatego, jak tylko się ogolę i wypiję kawę, biegnę do Ponnonnera, żeby mię zabalsamował na kilka wieków.



# HERNANI.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

*Viktora Hugo.*

---

## OSOBY.

---

HERNANI.

DON KARLOS.

DON RUI GOMEZ de SILWA.

DONA SOŁ de SILWA.

DONA JÓZEFA DUARTE, ochmistrzyni.

KSIĄŻE GOTHA.

BARON HOHENBURG.

KSIĄŻE LUTZELBURG.

JAKÓB, prz Śilwy.

DON SANCHE,

DON MATIAS,

DON RIKARDO,

DON GARCIA SUAREZ,

DON FRANCISKO,

DON ŻUAN de HARO,

DON PEDRO GUZMAN de LARA,

DON ZIL 'TELEZ ŻIRON,

DAMA,

1szy

2gi

3ci

} Spiskowi.

} Hiszpanie.

Spiskowi ligi świętj: Niemcy i Hiszpanie, Górale i Panowie. Żołnierze,  
Lud. — Rok 1519.

---

*Pierwszy, drugi i piąty akt w Saragossie; trzeci w okolicach Saragossy;  
czwarty w Aix-la-Chapelle.*

## AKT I.

## KRÓL.

Sypialnia. Noc. Lampa na stole.

## SCENA I.

DONA JÓZEFA DUARTE, później DON KARLOS.

DONA JÓZEFA

*(zasuwa firanki u okien, ustawiła krzesła. Na prawej stronie sceny słychać kołatanie do drzwi tajemnych. Dona Józefa przysłuchuje się. Nowy stuk).*

To na wschodach ukrytych.

*(Słucha. Stuknięcie).*

Tak.

*(Słucha: stukanie powtarza się).*

Znowu stukanie.

To pewno on. Otwórzmy.

*(Otwiera. Don Karlos, osłonięty płaszczem i w kapeluszu, wbiega).*

Witam ciebie, panie!

*(Wprowadza Don Karlosa; on odwijając płaszcz i ukazuje się w bogatym stroju francuzkiego kroju: Dona Józefa przypatruje się mu z bliska i odskakuje przerażona).*Ach! to ktoś nieznamy! A! wzrok mię nie myli!...  
Gwałtu!

DON KARLOS

*(chwytając ją za rękę).*

Dwa słowa jeszcze, a zginiesz w tej chwili!

*(Patrzy srogo na Donę Józefę; ta przerażona milczy).*Wszak u Dony Sol jestem, z którą zaręczony  
Stryj jój, książę Pastrana, pan bardzo wielbiony,  
Zgrzybiały i zazdrośny? Mów-że! A dziewczica  
Kocha młodego chłopca, na którego lica  
Mech mężki nie wystąpił? Zwykle to przygody:  
Gdy narzeczony stary, to kochanek młody  
I co wieczór przybywa.*(Dona Józefa milczy; Don Karlos wstrząsa jój ręką).*

Mów! gdy jesteś w stanie.

DONA JÓZEFA.

Zakazałeś mi wyrzec i dwa słowa, panie!

DON KARLOS.

Właśnie o jedno chodzi: tak, lub nie! Ja tobie  
Rozkazuję: odpowiedz!



DONA JÓZEFA.

Tak! Na co?

DON KARLOS.

Tak sobie.

Stary ksiązę w tój chwili nie jest w domu właśnie?

DONA JÓZEFA.

Tak.

DON KARLOS.

Kochanek przyjdzie?

DONA JÓZEFA.

Tak.

DON KARLOS.

Niech mię piorun trzaśnie!

DONA JÓZEFA.

Tak.

DON KARLOS.

A więc to na tēm miejscu schadzka? O tój dobie?

DONA JÓZEFA.

Tak.

DON KARLOS.

Ukryj mię.

DONA JÓZEFA.

Ciebie?

DON KARLOS.

A mnie.

DONA JÓZEFA.

Na co?

DON KARLOS.

Tak sobie!

DONA JÓZEFA.

Ja—ukryć cię?

DON KARLOS.

Tu—i zaraz.

DONA JÓZEFA.

Nigdy.

DON KARLOS.

Chciej tą razą.

*(Dobywa kieskę z zanadrza i sztylet z pochwy).*

Co wolisz: czy to złoto, czy-li to żelazo?

DONA JÓZEFA

*(biorąc pieniądze).*

To szatan!

DONA KARLOS.

Nie kto inny.

DONA JÓZEFA

*(otwiera w murze szafę wązką).*

O to, ofiaruję.

DON KARLOS

*(przypatruje się).*

Skrzynię?

DONA JÓZEFA

*(zamyka szafę).*

Nie chcesz? Innego nic nie mam.

DON KARLOS

*(odmyka szafę na nowo).*

Przyjmuję.

*(Przypatrując się).*Może to stajnia, kędy zamykasz ożogi  
Na których w północ latasz na rozstajne drogi?*(Włazi z trudnością w szafę)*

O! O!

DONA JÓZEFA

*(ze zgrozą).*

Mężczyzna u nas!

DON KARLOS

*(z szafy).*

Wy kobiet czekałyście?

O hańbol o wstydzie!

DONA JÓZEFA.

Donna Sol już idzie!  
Zamykaj-że pan szafę! O! Boże, mój Boże!

DON KARLOS

*(z szafy).*

Stara! Gdy słowo piśniesz, trupem cię położę.

DONA JÓZEFA

*(sama).*

Ach Jezu! Gdybym wołać zaczęła? lecz kogo?  
Ludzie śpią oddaleni; postyszyć nie mogą.  
Ba! tamten pewno przyjdzie. Powiedziawszy szczerze:  
To rzecz jego; ma oręż. A nas niech Bóg strzeże  
Od szatana.

*(Ważąc worek w rękę).*

Nie złodziej, to powiedzieć mogę.

*(Wchodzi Dona Sol. Dona Józefa kryje pieniądze).*

## SCENA 2.

DONA JÓZEFA, DON KARLOS *ukryty*, DONA  
SOL, *później* HERNANI.

DONA SOL.

Józefa!

DONA JÓZEFA.

Pani.

DONA SOL.

Czuję tajemniczą trwogę:  
Hernani nie przychodzi.....

*(Słychać stąpanie za ukrytymi drzwiami).*

To chód jego nogil..

Otwórz piérw nim zapuka: pędzój,

*(Dona Józefa otwiera, Hernani wchodzi; obszerny płaszcz, ogromny kapelusz, ubranie górala aragońskiego, całe szare ze skórzutym pasem: przy jego boku sztylet, miecz, róg myśliwski).*

DONA SOL

*(biagnie ku niemu).*

Hernani!

Al mój drogi,



HERNANI.

O dona Sol! Patrzę w twoje oczy!  
Przecie!... Głos, który słyszę, to twój głos uroczy!  
Czemuż me dni z twojami rozerwane w niebie,  
Gdy, chcąc innych zapomnieć, muszę kochać ciebie?

DONA SOL.

*(dotyka jego płaszcza).*

Jezu! jaki deszcz leje; mokryś, jak z powodzi.  
Pewno przesiąkłeś luby?

HERNANI.

Cóż mię to obchodzi!

DONA SOL.

Zdejm-że płaszczy twój, Hernani.

HERNANI.

Dona Sol, ma droga,  
Powiedz: kiedyś uśpiona tak czysta, tak błoga,  
Tak spokojna, niewinna; kiedy twoje oczy  
Sen miękką swoją dłonią miłośnie zamroczy:  
Czy ci Anioł stróż z nieba nie powiada zeicha,  
Jak luba jesteś temu, kogo świat odpycha?

DONA SOL.

Spóźniłeś się, Hernani; ale powiedz przecie,  
Zimno ci?

HERNANI.

We mnie ogień, gdym przy tobie, dziecię!  
O! gdy miłość zazdrosna kipi w naszém łonie,  
Gdy serce się przepełni i pożogą płonie,  
Cóż może nas obchodzić, kiedy z góry która,  
Zleje nas falą deszczu rozdąsana chmura?

DONA SOL.

*(odpinając płaszczy z jego ramion).*

Oddaj mi oręż, luby; odrzuć płaszczy zmoczony.

HERNANI.

*(kładąc dłoń na mieczu).*

Oręż, nie! To przyjaciel wierny, niesplamiony!  
—Wszak twój stryj i mąż przyszyły nie jest w domu, pani?

DONA SOL.

Nie, ta godzina cała jest naszą, Hernani.

HERNANI.

Godzina, chwila nasza! Później trza wybierać:  
Kto nie umie zapomnieć, powinien umierać!  
Aniele! chwila z tobą; po tej jedynéj chwili  
Życie i wieczność niczém:—wszystkośmy przeżyli!

DONA SOL.

Hernani!

HERNANI

*(z goryczą).*

Księcia nie ma! O! jak mi los sprzyja!  
Jak złodziej, cały drżący, który drzwi wybija,  
Wchodzę, kradnę u starca jedno ust twych tchnienie,  
Godzinę twego śpiewu, jedno twe spojrzenie!  
O! jak jestem szczęśliwy! Zazdroszcza mi, wierzę!  
Jam mu ukradł godzinę, on mi życie bierze.

DONA SOL.

Uspokój się, mój drogi!

*(Do Józefa, podając jéj płaszcz Hernaniego).*

Kaź ten płaszcz wysuszyć.

*(Józefa odchodzi).**(Siada i znakiem pokazuje Hernanitemu miejsce przy sobie).*

HERNANI

*(stoi zamyślony).*

Księcia nie masz?

DONA SOL

*(z uśmiechem).*

Czy dla mnie nie chcesz kroku ruszyć?

HERNANI.

A więc ksiązę odjechał?

DONA SOL.

O! mój ty! Hernani!

Nie myśl o księciu, nie myśl.

HERNANI.

Myślmy o nim, Pani!  
Ten starzec kocha ciebie; masz być jego żoną!  
I pocałunkiem starca lica tve już płoną!  
Ja mam o nim nie myśleć?

DONA SOL

*(śmiejąc się).*

O! to żal dziecinny.

Pocałunek był w czoło, ojcowski, niewinny.

HERNANI.

Pocałunek kochanka, męża, zazdrosnego!  
 Myślałaś pani o tém, że będziesz do niego  
 Należć!... O! szalony starzec, który żąda  
 Gdy już kończy swą drogę, gdy już w grób spogląda,  
 Kobiety! I zapragnął ten szkielet zbutwiały  
 Wziąć dziewczę, dziecię cudne! O! starzec zuchwały!  
 Gdy jedną ręką zziębłą chwyta za twe dłonie,  
 Śmierć mu drugą już ciśnie na swém martwém łonie!  
 W naszą miłość chce wrzucić zapałów swych marę?  
 Starcze! lepiej grabarzom idź dać z siebie miarę!  
 —W tym związku nie pytano, pani, zdania twego?

DONA SOL.

Podobno wola króla...

HERNANI.

Króla!! Głowa mego  
 Ojca krwawa, upadła z jego ojca woli!  
 Lata przeszły, a cios ten zawsze świeżo boli!  
 Dla cieni tego króla i dla jego wdowy,  
 Dla jego syna, krewnych, we mnie zawsze nowy  
 Tli ogień wiecznej zemsty! On umarł. Nad synem  
 Przysięgłem pomścić ojca, strasznym, krwawym czynem.  
 Szukałem cię, Karlosie, o! królu Kastylii,  
 Bo nienawiścią kipi krew naszych familii.  
 Ojcowie, bez litości, sumienia walczyli  
 Lat trzydzieści! Dziś oba do grobu zstąpili,  
 Lecz ich nienawiść żyje! Jak widma złowieszcze,  
 Dwaj synowie zostali, i walka trwa jeszcze!  
 Ach! to ty chcesz kojarzyć te obrzydłe śluby?  
 Dobrze! wchodzisz w mą drogę...

DONA SOL.

Przerażasz mię, luby!

HERNANI.

Od kolebki pod ciosem przekleństwa, ja teraz  
 Sam dla siebie straszylłem stawałem się nieraz!  
 Słuchaj: człowiek któremu musisz być oddana,  
 Ruj Silwa, grand Hiszpanii i książę Pastrana,



Ten bogacz arragoński, zamiast lat młodości,  
 Zamiast ognia poświęceń najczulszej miłości,  
 Tyle złota, kamieni, dać ci, dziecię, zdoła,  
 Że twa skroń zaćmi blaskiem królów nawet czoła;  
 A na stan twój, bogactwo, dumę i znaczenie  
 Królowe rzucać będą zazdrosne spojrzenie.  
 Oto jego zalety! Ja—nędzarz, i miałem  
 Puszczę domem, gdzie bosą nogą się błąkałem.  
 Być może, iż posiadam takóŜ herb wspianiały  
 Dziś rdzą krwawą zjedzony, zatarty, szcerniały;  
 Być może, że mam prawa: ale dotąd jeszcze  
 Kryją je rusztowania całuny złowieszcze.  
 Tymczasem Bóg opatrzył me długie tułactwo  
 W powietrze, słońce, wodę—nędzarzy bogactwo!  
 Pozwól, by od jednego z nas cię uwolniono!  
 Wybieraj, lub iść za mną, lub być jego żoną!

DONA SOL.

Z tobą, luby!

HERNANI.

Pomiędzy dzikie towarzysze  
 Ludzi, których imiona kat w swych księgach pisze?  
 Wygnańców, których serce jak i miecz ze stali,  
 W których duszy krwi zemsta pożogą się pali,  
 Rzucisz pani dni swoje do tego ogrójca?...  
 Bo może nie wiesz o tém, że ja jestem zbójca!  
 I gdy w całej Hiszpanii nie miałem schronienia,  
 Jedna tylko, wśród lasów swych dziewiczych cienia,  
 Wśród skał, gdzie orła tylko ma tułacz za świadka,  
 Przyjęła mię jak syna Katalonia, matka!  
 Wyrośłem wśród jój dzieci, tych wolnych górali,  
 I niech głos mojej trąbki, na ich gór oddali  
 Zabrzmi jutro, wnet mężnych trzy tysiące stanie.  
 Drżysz, bledniesz! Do namysłu masz czas jeszcze, pani!  
 Iść za mną, w skał ostępy, między pokolenia,  
 Co podobne szatanom z twoich snów widzenia!  
 Podejrzywać ruch każdy, głos, kroki i oczy,  
 Spać na trawie, pić w źródle; i nie jednéj nocy,  
 Gdy będziesz karmić dziecię, co do cię się tuli,  
 Słyszec nad swoją głową świst zabójczej kuli;  
 Dzielić losy nędzarza, tułactwo, wygnanie,  
 Iść za mną, gdzie mój ojciec padł—na rusztowanie?

DONA SOL.

Pójdę, mój luby!



HERNANI.

Książę stary i w znaczeniu;  
 Książę plam krwi nie nosi na swoim imieniu,  
 Książę ci daje razem ze swoją osobą  
 Bogactwo, tytuł, szczęście....

DONA SOL.

Jutro idę z tobą!

Hernani! Nie gań mojej zbytcej śmiałości,  
 Czyś straszny szatan zemsty, czyś anioł miłości,  
 Nie wiem! lecz wiem, że rządysz całym mem istnieniem!  
 Zostań, lub idź gdzie zechcesz: ja będę twym cieniem!  
 Jedyną tylko żądzę w duszy mojej mieszczę,  
 Widzieć cię dziś i jutro, i widzieć cię jeszcze, —  
 Widzieć cię zawsze! Gdy odgłos twoich kroków ginie,  
 Moje serce nie bije, krew w żyłach nie płynie;  
 Brak mi ciebie, i jestem nicobecną sobie!  
 Ale gdy znów cię witam, gdym znowu przy tobie:  
 Moja dusza powraca, i czuję, że żyję,  
 Kocham, jestem szczęśliwą: serce bije, bije!....

HERNANI

*(ściskając ją w objęciach).*

Aniele!

DONA SOL.

Jutro w północ pod mem oknem staniesz;  
 Nie bój się, mnie gotową i mężną zastaniesz.  
 Kłaśniesz w dłonie trzy razy.

HERNANI.

Pomyśl dobrze sobie

Kto ja?

DONA SOL.

Kochanku, panie, oddaję się tobie!

HERNANI.

O! kiedy chcesz być moją, powiedziec ci muszę:  
 Wiedz, moja, me nazwisko, mój stan, moją duszę;  
 Wiedz jaki los cię czeka z pasterzem Hernanim,  
 Z wygnańcem i ze zbójcą, i co cięży na nim.

DON KARLOS

*(otwierając szafę z łuskotem).*

A kiedyż ten pan swojej historii dopowie?  
Myślicie, że w tej szacie dobrze słuchaczowi?

*(Hernani usuwa się zdziwiony. Dona Sol z krzykiem chroni się w objęcia Hernaniego, patrząc na Don Karlosa ze zdumieniem pełnem przestachu).*

HERNANI

*(chwytając za oręż).*

Ty—kto jesteś?

DONA SOL.

Ratujcie!

HERNANI.

Kogo pani woła?

Mój miecz od niebezpieczeństw ochronić ją zdoła.  
Zazdrosnych można zbudzić. A kiedym przy pani,  
Mniemam, że dość obrony będzie ze mnie dla niej.

*(Do Don Karlosa).*

A ty, co tam robiłeś?

DON KARLOS.

Ja? A zdaje mnie się,  
Wcale nie wędrowałem, tak jak pan, po lesie.

HERNANI.

Kto szdyzi po obrazie, to pewno w nadziei  
Spadkobierców rozśmieszyć.

DON KARLOS.

Każdy po kolei  
Pomówmy. Kochasz panią i jój czarne oczy,  
I co wieczór podziwiasz jój wdzięki urocze:  
Dobrze. Ale i ja ją kocham i widzieć żądałem  
Kto przez okno tu wchodził, gdy ja pod niem stałem.

HERNANI.

Klnę się ci na cześć moją: po tej samej drodze  
Wyjdiesz ztąd; zdaje mi się, którą ja przychodzę.

DON KARLOS.

Zobaczymy. Mą miłość pod jój stopy ściele.  
Dzielmy się po połowie: widziałem tak wiele  
Miłości i czułości w pięknej duszy pani,  
Ze nawet dwom kochankom dosyć się dostanie.



Owoż schadзки koniecznie chcąc być dzisiaj świadkiem,  
 Wzięty za pana w cieniu, wchodzę tu przypadkiem;  
 Kryję się, słucham szczerze, wyznaję pokornie,  
 Jednak słuchać źle było, dusić się wybornie;  
 Zresztą miętem bezbożnie francuzkie odzienie  
 I, cóż robić, wyszedłem.

HERNANI.

Miecz mój także, Panie,  
 Wyjść pragnie.

DON KARLOS

(z ukłonem).

Niech tak będzie, chociaż to nie pora.

HERNANI

(dobywając oręża).

Broń się!

(Don Karlos dobywa szpady).

DONA SOL.

Boże! Hernani!

DON KARLOS

(do Dony Sol).

Nie trwoż się, Senora!

HERNANI.

Twoje imię, nazwisko?

DON KARLOS.

Niech wiem piérwój jego?

HERNANI.

Tajemne i zabójcze! kryję dla innego,  
 Który kiedyś uczuje w nagłym, strasznym skonie,  
 Imię moje w swém uchu, a sztylet mój w łonie!

DON KARLOS.

Jakże on się nazywa?

HERNANI.

Wiedzieć ci nie trzeba!

Broń się!

(Krzyżują miecze; Dona Sol omdlała upada na krzesło, słychać pukanie do drzwi.)

DONA SOL

*(zrywa się przerażona).*

Do drzwi ktoś stuka! Słuchajcie! o nieba!

*(Walczący zatrzymują się. Dona Józefa wchodzi bocznemi drzwiami przerażona).*

HERNANI

*(do Dony Józefy).*

Kto to stuka?

DONA JÓZEFA

*(do Dony Sol).*

Co robić? Służba rozbudzona:

Księżę nagle powrócił!..

DONA SOL.

Księżę?! Jam zgubiona!

DONA JÓZEFA.

Nieszczęśni! o mój Boże! Nieznajomy! miecze!

Bili się tu w pokoju! O! to piękne rzeczy!

*(Przeciwnicy chowają miecze. Don Karlos nasuwa kapelusz i otula się płaszczem. Słychać stukanie na nowo).*

HERNANI.

Co tu począć?

*(Stukanie się powtarza).*

GŁOS ZEWNĄTRZ.

Dona Sol, otwórzyc!

*(Dona Józefa chce otwierać, Hernani ją zatrzymuje).*

HERNANI.

Nie otwierać!

DONA JÓZEFA

*(dobywając szkaplerz).*

Święty Jakóbie! Racz nas w tém nieszczęściu wspierać!

*(Znowu stukanie).*

HERNANI

*(Ukazując na szafę. Do Don Karlosa).*

Kryjmy się!

DON KARLOS.

W szafie?

HERNANI.

HERNANI.

Wchodź pan! Zmieścimy się zgodnie!

DON KARLOS.

Mocno obowiązany: to nadto wygodnie.

HERNANI

*(ukazując boczne drzwi).*

Uciekajmy!

DON KARLOS.

Dobranoc, a ja zaś, uparty,  
Zostanę.

HERNANI.

Kiedyś mi pan opłacisz te żarty!

*(Do Dony Sol).*

Gdybym wnijscie zawalił...

DON KARLOS

*(do Dony Józefy).*

Otworzyć potrzeba!

HERNANI.

Co on mówi?

DON KARLOS

*(do przerażonej Dony Józefy).*

Otworzyć!

*(Stukanie. Dona Józefa idzie drzwi otwierać).*

DONA SOL.

Umieram! o! Nieba!

## SCENA 3.

CIŻ SAMI, DON RUJ GOMEZ DE SILWA,  
*Służba z pochodniami.*

DON RUJ.

Dona Sol! O téj porze? Z dwoma mężczyznami?  
Chodźcie tu. Więcej światła, i bądźcie świadkami.*(Do Dony Sol).*



Święty Janie d'Avilla! którzy-ż są wybrani?  
Nas tu trzech w jednej dobie! A dwóch nadto, pani.

(Do Hernaniego i Don Karlosa).

Młodzi ludzie! Słuchajcie: co was tu przywiodło?  
Gdy Cyd i Bernard honor nosili za godło,  
Olbrzymi mój Hiszpanii i szli po Kastyli  
Ustanowiali starców, a kobiety czcili!  
Mniej ciężły im zbroje i ostre bułaty  
Niżli wam wasze szpady i jedwabne szaty!  
Ci ludzie głowy białe wiekiem szanowali,  
I miłość swą w świątyniach na klęczkach składali;  
Nie zdradzali nikogo, a dla pośmiewiska  
Nie hańbili swych nazwisk, ni innych nazwiska!  
Gdy kochali kobietę, brali ją niewinną,  
Z mieczem, z toporem w rękę, a nie drogą inną!  
Co zaś do wiarołomców w rycerskiej potrzebie,  
Co wieczorem, o zmroku. patrząc po za siebie,  
Powierając zamysły nocnej tajemnicy,  
Wykradają u mężów święty wstyd kobiecy;  
Przysięgam: że Cyd wielki, patrząc na to plemię,  
Nazwałby ich podłymi, i rzucił o ziemię,  
I hańbiąc ich szlachectwo, w któreby nie wierzył,  
Płazem swojego miecza o herb ich uderzył!  
Tak postąpiłby sobie, jakby z dzikiem zwierzem,  
Każdy dawniejszy rycerz z dzisiejszym rycerzem!  
Pocoście tutaj? Czego? Więc to znaczyć ma się:  
Żem stary, i wam młodym ze mnie śmiać uda się:  
Więc, gdy będę przechodzić na kiju mym wsparty,  
Będę z mój siwej głowy słyszeć śmiech i żarty?!  
Ale nie wasze, ręczę!

HERNANI.

Księżę!

DON RUJ.

A! milczenie!

Macie pióra na głowie, jedwabne odzienie,  
Polowanie, gonitwy, zwierzyńce, sokoły,  
Karuzele i bale, i uczt huczne stoły;  
Pod balkonem możecie śpiewać swe piosenki;—  
Macie młodość i radość, życia wszystkie wdzięki  
I nie wiecie co począć, jak znudzone dziecię!!  
Nowych cacek wam trzeba, i starca bieżecii!  
Złamaliście to cacko....

DON KARLOS.

Racz się zastanowić....

HERNANI.

Książę!...

DON RUJ.

Kto tu śmie się odezwać, kiedy ja chcę mówić?..  
 Milczeć oba! I za mną, o! za mną, panowie!  
 Cóż to? To żarty tylko!, może który powie....  
 Tak! skarb jest u mnie w domu: cześć zacnej dziewczyny!  
 Cześć kobiety! Cześć całej don Silwów rodziny!  
 Ja kocham tę kobietę; wkrótce ślubu święty  
 Ma mnie z nią wiecznie złączyć węzeł nierozjęty;  
 Mam ją za nieskałaną i świętą dla świata!  
 Owóz wyjechać muszę. Mimo moje lata,  
 I mimo zacność rodu, nie uniknę sromu:  
 Bo wnet złodziej czi cudzej wkradnie się do domu!  
 Precz, panowie! takimi czyny się pysznicie?  
 Któż podlejszy, by zrobił to, co wy robicie?!  
 Nikt. Więc dalej! do czego macie tu ochotę?...

*(Zrywa order Złotego Runa).*

Macie, bierzcie i depczcie moje Runo Złote!..

*(Rzuca kapelusz).*

Macie, rwijcie me włosy, zsiwiałe nareszcie:  
 Byście się mogli chwalić nazajutrz po mieście,  
 Że nikt nie zhaubił jeszcze jako wy panowie—  
 Tak białych włosów na tak zacnej głowie.

DONA SOL.

O, panie!

DON RUJ.

*(do służby).*

Czy widzicie ten zamach zbójecki!  
 Mą siekierę, mój sztylet i mój miecz toledzki!

*(Do Don Karlosa i Hernaniego).*

Wy, za mną!

DON KARLOS

*(zbliżając się).*

Książę! Cesarz nie żyje chrześcijański

*(Zdejmuje płaszcz i kapelusz).*

DON RUJ.

Szydzisz!.. Boże, to król!..

DONA SOL.

Król!

HERNANI.

Jakto, król hiszpański!..

DON KARLOS

*(poważnie).*

Tak, Karlos! Księżę paniel Cóż ci to się stało?  
 Mój dziad Cesarz umiera. Ledwo doleciało  
 Uwiadomienie do mnie, posłańcom nie wierzę,  
 Sam spieszę, tu, do ciebie; bo cię kocham szczerze,  
 Poradzić się, zapytać: a drogie me chwile.  
 Dla takiej prostej rzeczy, tu hałas tuyle!...

*(Ruj Gomez odsyła służbę, która za danym znakiem odchodzi. Don Ruj bada wzrokiem Don Karlosa, na którego Dona Sol patrzy z zadziwieniem i przestachem, a Hernani ognistymi oczami).*

DON RUJ.

A dlaczegoż tak długo mi nie otwierali?

DON KARLOS.

Tak. Cała służba twoja za tobą się wali:  
 Méj tajemnicy stanu nie chciałem im zwierzyć.

DON RUJ.

Rozumiem, lecz pozory....

DON KARLOS.

Po co to im wierzyć?

DON RUJ.

Przebacz, królu.

DON KARLOS.

Dość o téj niewczesnej zazdrościł  
 Cesarz umarł.

DON RUJ.

Dziad Waszój to Królewskiej Mości.

DON KARLOS.

Bardzo czuję tę stratę.

DON RUJ.

Któż następcą będzie?



DON KARLOS.

Saksoński książę stanął w pretendentów rzędzie  
I Franciszek, król Francyi.

DON RUJ.

A gdzie sejm się zbierze?

DON KARLOS.

Zdaje mi się, w Frankfurcie, albo-li też w Spirze,  
Lub w Es

DON RUJ.

Królu! musiałeś już myśleć koniecznie  
O twych prawach do tronu.

DON KARLOS.

O! myślałem wiecznie!

DON RUJ.

Ojciec wasz, królu panie, był arcyksiążęciem;  
I sejm, przed takim ważnym dla się przedsięwzięciem  
Wspomni, że ten, co z tronu zszedł w grobów mieszkanie,  
Był twoim dziadem przecie, Najjaśniejszy panie.

DON KARLOS.

Czy myślisz, że Franciszek może mieć nadzieję?

DON RUJ.

To bohater!

DON KARLOS.

Jednakże zmienne są koleje!  
Przeciwno cudzoziemcom artykuł przeczący  
W Złotej Bulli....

DON RUJ.

Więc króla Hiszpanii wyłączy.

DON KARLOS.

Alem mieszczanin Gandu, i z tytułu tego....

DON RUJ.

Ostatnia wojna wzniosła Franciszka pierwszego.

DON KARLOS.

I ten orzeł co na mych sztandarach zaświeci,  
Być może, równie szczytnie i zwycięzko wzleci!

DON RUJ.

A umiesz po łacinie, Najjaśniejszy panie?

DON KARLOS.

Zle.

DON RUJ.

Tém gorzej, to także na przeszkodzie stanie.

DON KARLOS.

Zadowolnię ich dumną choć hiszpańską mową.  
I wierz mi, książę Silwa, to rzeczą nie nową,  
Że dość mówić z wysoka, by być zrozumianym.  
Teraz jadę do Flandryi: muszę być wybranym!  
Uprzedzić chcę o sobie Elektorów zdanie.

DON RUJ.

Jakto? więc nas opuszczasz, Najjaśniejszy panie,  
Nie oczyściwszy kraju ze zbójców zarazy?

DON KARLOS.

Księżu Arkos wydałem w tym względzie rozkazy.

DON RUJ.

A czyliż myślisz, królu, że ich herszt już drzymie  
I pozwoli się pojmać?

DON KARLOS.

Jakie herszta imie?

DON RUJ.

Nie wiem; lecz powiadają z męztwa znakomity.

DON KARLOS.

Wiem z pewnością, że teraz w Galicyi jest skryty!

DON RUJ.

Więc to fałsz, że się w naszych prowincjach znajduje?

DON KARLOS.

Największy. Dasz mi nocleg, mój książę?

DON RUJ

*(kłaniając się bardzo nisko).*

Dziękuję

Najjaśniejszemu panu!

*(Woła służbę, która wchodzi z pochodniami, książę ustawia ją w dwa rzędy. Dona Sol nieznacznie zbliża się do Hernaniego. Don Karlos śledzi ich poruszenia).*

DONA SOL

*(z cicha do Hernaniego).*

Jutro o północy

Pod mém oknem.

HERNANI

*(z cicha).*

Pamiętam.

DON KARLOS

*(na stronie).*

Jutro! są w méj mocy.

*(Głośno do Dony Sol, zbliżając się z grzecznością).*

Pozwól, pani, ażebym podał jój mą rękę!

*(Podaje jój rękę i do drzwi odprowadza: Dona Sol wychodzi).*

HERNANI

*(na stronie).*

O mój sztylecie!

DON KARLOS

*(wracając, na stronie).*

Ciężką zadałem mu mękę.

*(Z cicha do Hernaniego).*

Zrobiłem zaszczyt tobie, dotknawszy twój szpady,

Chociaż mam podejrzenia; lecz nie lubię zdrady.

Idź, uciekaj, nie dając o sobie poszlaku.

DON RUJ

*(powracając do króla)*

Kto to?

DON KARLOS.

Zaraz odjeżdża. On z mego orszaku.

*(Wychodzą, Ruj Gomez poprzedza króla z pochodnią w rękę).*



## SCENA 4.

HERNANI

*(sam).*

Tak! z twego orszaku, królu, tak, z orszaku jestem!  
 Dzień i noc twoich kroków mój krok jest szelestem;  
 Sztylet w rękę, a oko za twemi śladami:

Idę, ścigam cię wiecznie, — aż będziemy sami.  
 Mój rywal w moim wrogu, tak rządziły nieba:  
 I nienawiść i miłość w sercu nosić trzeba.

Ja i jego w mém łonie pomieścić nie mogę;  
 Kochając, zagasilem zemsty méj pożogę!  
 Lecz ponieważ przychodzisz w złowróżbą godzinę,  
 Przypominasz, to dobrze: zbudziłeś gadzinę!  
 Los ważył się, czy niebo, czyli piekło ziści;  
 Padła miłość na szalę mojej nienawiści!

Tak! ja z twego orszaku! To twe powiedzenie,  
 I żaden pan, co czuwa na twoje ocknienie,  
 Żaden twój dworak, z duszą tak niską i podłą,  
 Służalec, co w twój służbie człeka stracił godło,  
 Żaden z pochlebców twoich nikczemnej gromady  
 Nie będzie, jak ja idę, iść za tobą w ślady!

Każdy z nich będzie tylko tytułu, honoru,  
 Zaszczytów. próżnych cacek królewskiego dworu,  
 Lub złota z twojej ręki jak żebrak wyglądać:  
 Ale ja, nie szalony, by tak mało żądać!

Ja żądam nie honorów, ani czeźej wielkości,  
 Lecz duszy twego ciała, krwi twoich wnętrzności,  
 Wszystkiego co ma zemsta wściekła, rozjuszona,  
 Sztyletem znaleźć może na dnie twego łona!

Idź naprzód! ja za tobą! Moja zemsta czuwa,  
 Idzie ze mną i myśli mordercze nasuwa!

Idź! a ja tuż przy tobie! I w cieniu, i w ciszy,  
 Mój krok śledzi twe kroki i szelest ich słyszy:

We dnie, na uczcie, królu, gdy odwrócisz głowę,  
 Zobaczysz mnie za sobą, widzenie grobowe!  
 Spojrzawszy po za siebie, gdy noc ziemię zmroczy,  
 Uczujesz na swém licu dwie iskry: — me oczy.

*(Wychodzi ukrytymi drzwiami).*

## AKT II.

## ZBÓJCA.

Dziedziniec otwarty. Na lewo wielkie mury pałacu Silwów, z oknem o balkonie; pod oknem furta. Na prawo, w głębi, domy i ulice. Noc. W niektórych mieszkaniach widać jeszcze światło w oknach.

## SCENA I.

DON KARLOS, DON RIKARDO, DON MATIAS, DON SANCHEZ; *wchodzą wszyscy razem, okryci obszernymi płaszczami: DON KARLOS na czele.*

DON KARLOS

*(przygląda się domowi).*

Oto, ta sama furta, i okno nademną;  
Gdzie niepotrzeba—światło, a w niem jednem ciemno.

DON SANCHEZ.

A więc tego bandytę, królu, nie ścigałeś,  
Pozwoliłeś mu odejść?

DON KARLOS.

Tak, jak powiedziałeś.

DON MATIAS.

A może to herszt całej tój zbójcekiej braci?

DON KARLOS.

Żaden król mieć nie może wspanialszej postaci.

DON SANCHEZ.

A imię jego, panie?

DON KARLOS

*(patrząc na okno Dony Sol).*

Munoz... Fernan... na ni.

DON SANCHEZ.

Może Hernani?

DON KARLOS.

Tak jest.

DON SANCHEZ.

To on!

DON MATIAS.

To Hernani!

Herszt bandy.

DON SANCHEZ

*(do króla).*

Ze słów jego nic też nie utkwiło  
W waszej pamięci, panie?

DON KARLOS

*(nie spuszczać oka z okna Dony Sol).*

A! nie można było

Słyszec.

DON SANCHEZ.

Na cóż go było wypuszczać z mieszkania?

DON KARLOS

*(patrzac nań dumnie).*

Hrabio Montorej, cóżto, dajesz mi pytania?

*(Panowie odstępują w milczeniu).*

Zresztą w mém sercu były myśli wcale nowe:  
Chciałem wziąć mu kochankę, nie dbałem o głowę.

DON RIKARDO

*(na stronie).*

Czemuż nie to i drugie?

DON KARLOS

*(patrzac na oświetlone okna domów).*

Te okna, téj nocy

Patrzą na nas ciekawie jak zazdrosne oczy.

*(Światło gaśnie w dwóch oknach).*

Nakoniec. Jedno zgasło... ach! oto i drugie...  
Jak chwile oczekiwań są nieznośnie długie!..  
Któż potrafi godzinom przysporzyć lotności?

DON SANCHEZ.

My często to mówimy u Królewskiej mości.

DON KARLOS.

A mój lud biedny u was to powtarza nieraz.

*(Światło gaśnie w ostatniem oknie).*

Przecie: ostatnie zgasło.

*(Obraca się do okna Dony Sol).*



Lube okno! Teraz  
Zabłyśnij. Noc dzisiejsza tak czarna, tak ciemna!  
Dona Sol! zaświeć w oknie, jak gwiazdka nadziemna.

*(Do panów).*

Czy już północ?

DON RIKARDO.

Już blisko.

DON KARLOS.

Zastaną nas zorze!

A i tamten, co chwila, zjawić się tu może.

*(Okno d. Sol oświeca się nagle. Na szybach widać jej cień).*

Panowie! tu pochodnię. Jój cień już widziałem!  
Nigdy z taką rozkoszą słońca nie witałem.  
Spieszmy! I znak i schadzka dobrze umówiona;  
Trzeba klasnąć trzy razy, a zjawi się ona!  
Zobaczycie ją wkrótce. Nie: lepiej, panowie,  
Czatujcie na tamtego. Dzielmy po połowie  
Kochanków między siebie: król kochankę bierze,  
A kochanka wam daje.

DON RIKARDO.

Dziękujemy szczerze.

DON KARLOS.

Gdy się przypadkiem zjawi, porzućcie ukrycie;

We trzech i uzbrojeni łącno go ranicie;

A nim zmysły odzyska, ja porwę dziewczynę.

Cała ta awantura dość śmieszna ma minę.

Ale go nie zabijać, gdy go tam złapiecie;

Bo śmierć ludzka nie fraszka dla sumienia przecie.

*(Panowie oddalają się w boczną ulicę. Don Karlos po chwili klaszcze w dłoń trzy razy; za trzecim razem okno się odmyka: Dona Sol ukazuje się na balkonie).*

## SCENA 2.

### DON KARLOS i DONA SOL.

DONA SOL

*(z balkonu).*

Hernani!

DON KARLOS

*(na stronie).*

Muszę milczeć, bo głos zdradzić może.

*(Klaszcze w rękę).*

DONA SOL.

Schodzę zaraz.

*(Zamyka okno i wkrótce z lampą w ręku wychodzi przez furtkę).*

Hernani!

*(Don Karlos naciska kapelusz i szybko zbliża się do niej. Dona Sol upuszcza lampę).*

Ach! to nie on, Boże!

*(Chce uciekać, Don Karlos ją zatrzymuje).*

DON KARLOS.

Dona Sol!

DONA SOL.

Głos nie jego! Ach! ja nieszczęśliwa!

DON KARLOS.

I jego mowa więcej nie byłaby tkliwa.

Króla, kochanka, pani, widzisz koło siebie.

DONA SOL.

Król!...

DON KARLOS.

Ach! mów i rozkazuj! królestwo za ciebie!

Bo ten, z którego żądasz wydrzeć się ramienia

Jest twój król i niewolnik twojego skinienia.

DONA SOL

*(starając się wyrwać).*

Na pomoc! mój Hernani!

DON KARLOS.

Straszny zawód dla niej:

Nie zbójca cię wykrada, tylko twój król, pani!

DONA SOL.

Nie: zbójcą ty sam jesteś, choć nosisz koronę!

Patrz: wstydzę się za ciebie i rumieńcem płonę.

Czy takie wszystkich królów czyni znakomite?

W nocy, zdradą i gwałtem porywać kobiety!

O! Hernani zacniejszy sto razy! I tuszę,

Że gdyby człek się rodził tak, jaką ma duszę,

Gdyby serce tworzyło i zbójcę, i króla:

Dla niego zacność tronu, tobie—zbójcy rela!

DON KARLOS

*(stara się ją uprowadzić).*

Pani....

DONA SOL.

Jam córka hrabi.....

DON KARLOS.

Jeśli o to idzie,  
Uczynię cię księżną.

DONA SOL.

O hańbo! o wstydzie!  
(*Usuwając się na kilka kroków*).

Mój ojciec krew szlachezną za ciebie przelewał,  
Don Karlosie! Więc czegoś po mnie się spodziewał?  
Jestem z krwi, której zacność jest spuścizną całą;  
Na kochankę—za wielką! Na żonę—za małą!

DON KARLOS.

A więc chcesz? Złączmy, pani, w jednym szczytnym losie  
Twe życie z mą koroną!....

DONA SOL.

O nie! Don Karlosie!  
Zresztą, cóż mię obchodzi? Ja wolę pójść za nim,  
Za mym panem i królem, góralem Hernaním!  
Wolę z nim, po za prawem, odludne ukrycie,  
Wolę głód i pragnienie i tułaczę życie;  
I dobrowolna, królu, dla niego wygnanka,  
Dzielić okropne losy mojego kochanka,  
Wojnę, nędzę, żałobę, śmierć i rusztowanie,  
Niżli być twoją żoną, Najjaśniejszy panie!

DON KARLOS.

Jak ten człowiek szczęśliwy?

DONA SOL.

Nędzarz i wygnany!

DON KARLOS.

Miła nędza, wygnanie, kiedy kto kochany!  
Ja samotny.. I anioł jemu się dostanie!  
A więc mnie nienawidzisz?

DONA SOL.

Nie kocham cię panie!

DON KARLOS

(*chwyając ją za rękę*).

Mniejsza o to!



DONA SOL.

O nieba! królem jesteś przecie!  
 Masz tyle władzy, szczęścia, rozkoszy na świecie!  
 Gdy za twą miłość króla, zażadasz miłości,  
 Wszystkie twojego dworu najpierwsze piękności  
 Gotowe... tobie skinać, wybrać tylko trzeba.  
 A mój biedny wygnaniec! Cóż mu dały nieba?  
 Ty masz Murcyą i Leon, Arragon, Nawarę,  
 I dziewięć królestw jeszcze, i Kastylią starą,  
 I Indię złota pełną i państwa bez końca,  
 Które zachodzącego nie widziały słońca;  
 I ty, wszechwładny, możny, ty król! chcesz mnie biedną  
 Wydrzeć mu, gdy on tylko, tylko mnie ma jedną?!

*(Kłękła przed Don Karlosem).*

DON KARLOS.

Słuchaj! Nie nie pomoże! Powiadam ci, pani,  
 Bądź moją, a wybieraj którą chcesz z Hiszpanii.  
 Powiedz; wyrzeknij słowo..

DONA SOL.

Nie chcę twój korony!

*(Wyrzywa mu sztylet z zapasa).*

Tego sztyletu żądam dla méj czci obrony!

*(Don Karlos puszcza ją, cofa się).*

Teraz przystąp krok jeden!

DON KARLOS.

Nie dziwię się, droga,

Że bandytę kochamy!

*(Chce przystąpić, Dona Sol podnosi sztylet, Don Karlos cofa się).*

DONA SOL.

Ratunku! Na Boga!

Hernani!

DON KARLOS.

Próżno wołasz.

DONA SOL

*(podnosząc sztylet).*

Zginiesz! mówię tobie!

DON KARLOS.

Żeby cię zmusić, mam tu trzech ludzi przy sobie.

## SCENA 3.

## CIŻ SAMI i HERNANI.

HERNANI

*(Stając za Don Karlosem).*

Zapominasz o czwartym!

*(Dona Sol z krzykiem radości bieży do Hernaniego, który patrzy na króla ognistym wzrokiem).*O! Boga mam świadkiem,  
Żem nie chciał spotkać ciebie nawet i przypadkiem.

DONA SOL.

Mój Hernani, ocal mnie!

HERNANI.

Bądź spokojna, droga!

DON KARLOS.

Ciekawym co ci ludzie robią tam, na Boga!  
Że go tu dopuścili...

HERNANI.

Oni w mojem ręku.

DON KARLOS.

Don Rikardo! Montorej!

HERNANI.

Nie posłyszysz brzęku  
Ich oręza, nie wołaj; za trzech twoich, panie,  
Mych ludzi sześćdziesięciu na skinienie stanie:  
Sześćdziesięciu! a każdy czterech twych zwycięży.  
Więc lepiej, naszych tylko dobądźmy oręży.  
Podniosłeś na kobietę rękę w nocnej chwili,  
To było nie roztropnie, o! królu Kastyli:  
I nikczemuie...

DON KARLOS

*(z pogardą).*

A! zbójco bez wymówek, proszę.

HERNANI.

On sztydzi! O! to prawda; ja berła nie noszę,  
Lecz gdy król mię obraża i hańbę mą głosi,

Mój gniew do jego wzrostu, mnie, zbójcę wynosi.  
Strzeż się! bo cięższy temu, który mię obraża,  
Rumieniec mego czoła, niżli gniew cesarza:  
Szalonyś, jeśli jaka nadzieja cię łudzi.

(*Chwyta go za rękę*).

Czy wiesz, w czyjém ty ręku, i śród jakich ludzi?  
Twój ojciec wtrącił mego w strasznych grobów cienie,  
—Nienawidzę cię! Wzięłaś mój tytuł i mienie,  
—Nienawidzę cię! Żądasz wydrzcć mi ją niecznie,  
—Nienawidzę cię, królu, nienawidzę wiecznie!

DON KARLOS.

To dobrze....

HERNANI.

Nienawiści stłumiłem pożogę!  
Dziś jój tylko szukałem, on wchodzi w mą drogę!  
Don Karlosie! Sam wpadłeś we własne twe sidła!  
Pomoc, ucieczka, oręż,— o! to czcze mamidła!  
Sam jesteś! Mam cię w ręku i trzymam cię, panie.  
Cóż poczniesz?

DON KARLOS

(*dumnie*).

Hola zbójco! Cóż to za pytanie?

HERNANI.

Dobrze! Ręka najemna ciosu ci nie zada.  
O! zemsta z mojej dłoni tak łatwo nie pada!  
Nikt więcéj, prócz mnie tylko, nie zada ci rany:  
Broń się więc!

(*Dobywa miecz*).

DON KARLOS.

Nie, zuchwalcze! Ja król, ty poddany!  
Uderz! lecz walczyć z tobą....

HERNANI.

Wczoraj jeszcze, panie,  
Mój miecz spotkał się z twoim.

DON KARLOS.

Wczorajsze spotkanie  
Nic nie znaczy. Jam twego nie wiedział nazwiska,  
A ty mojej godności. Dziś znamy się zblizka:  
Wiem żeś zbójca i króla wyzywasz zuchwale.



HERNANI.

Broń się!

DON KARLOS.

Zabijaj! Walczyć ja nie myślę wcale.

HERNANI.

Nie radzę ci mój zemsty i gniewu probować.  
Broń się!

DON KARLOS.

Niel Bezbronnego możesz zamordować!  
(*Hernani cofa się, Don Karlos ostro nań patrzy*).

Ach! myślicie, zabójcy, że zastępy wasze  
Mogą bezkarnie palić, niszczyć miasta nasze ...  
Ze krwią złani, z Kaimów piętnem na swém czole,  
Będziecie czasem mogli grać szlachetnych rolę?  
Nie! wam zbrodnia—nagrodą! Bój z wami—bluźnierstwo;  
Pojedynki są dla nas, a dla was—morderstwo!  
(*Hernani milczy chwilę, zamyślony, później miecz swój łanie o kamień*).

HERNANI.

Idź wolny.

(*Król ze wzgardą na niego patrzy*).

Kiedys Bóg da spotkać się na nowo!

DONA SOL.

Mój Hernani!

DON KARLOS.

To dobrze: odpowiesz mi głową.  
Za chwil kilka najśrodszy rozkaz będzie dany,  
Abyś był w każdym miejscu jak zbójca ścigany:  
Jest cena na twą głowę?

HERNANI.

Jest i znakomita.

DON KARLOS.

Od dziś mam cię za zdrajcę! Zbójca i banita  
Przytułku mieć nie będziesz.

HERNANI.

Już go i dziś nie mam.

DON KARLOS.

Wywołam cię z Hiszpanii.

HERNANI.

A ja się spodziewam  
Mieć port pewny we Francyi.

DON KARLOS.

Z cesarstwa wywołam,  
Gdy zostanę cesarzem.

HERNANI.

W on czas znaleźć zdołam  
Kątek mały na świecie, niepodległy tobie.

DON KARLOS.

A gdy ja świat posiądę?

HERNANI.

Ja skryję się w grobie!

DON KARLOS

*(z pogardą).*

Starać się o kobietę, co kocha ten zbójca?!

HERNANI

*(gwałtownie).*

Nie zapominaj królu, żeś zabił mi ojca!  
Nie przypominaj przyszły następco Cezara,  
Żeś słaba i bezsilna méj zemsty ofiara!

DON KARLOS.

Uczyń więc!

HERNANI

*(narzuca swój płaszcz na ramiona Don Karlosa).*

Idź bezpiecznie, w mój płaszcz owinięty,  
Chcę, byś dla wszystkich innych, oprócz mnie, — był święty.

DON KARLOS.

Ty zaś, któryś tak do mnie przemawiał w téj chwili,  
O! nie proś przebaczenia u króla Kastyli!

*(Wychodzi).*

## SCENA 4.

HERNAŃI i DONA SOL.

DONA SOL

*(chwytając za rękę Hernaniego).*

A teraz, uciekajmy!

HERNANI

*(usuwa rękę z powagą).*

O! tobie przystało,

Im większa moja nędza, tém więcej być stała;  
 Nie wyrzec się zamiarów i gdy śmierć tak blizką,  
 Być dni moich i kroków drogą towarzyszką,  
 Wiem, żeś anioł dobroci, cnoty, szlachetności!  
 Ale widzisz sam, Boże! Mogęż bez litości,  
 Bez sumienia i wstydu przyjąć jej ofiarę,  
 Kiedy mam przed oczyma rusztowania mare?

DONA SOL.

Co mówisz, mój Hernani?

HERNANI.

Wiesz-że co to znaczy,  
 Darować życie jemu? On mi nie przebaczy!  
 Ucieka; ledwo w pyszne swoje gmachy wbieży,  
 Zwoła służbę, dworaków, swój lud, swych żołnierzy,  
 Swych panów, swoich katów ...

DONA SOL.

Hernani! Drzę cała;  
 Więc uciekajmy, luby, chwila nam została!

HERNANI.

Uciekać z tobą droga? Minęła godzina.  
 Dona Soll! gdym cię poznał, ty moja, jedyna,  
 Gdyś chciała zstąpić do mnie, do mego ogrójca,  
 Mogłem ci ofiarować, ja nędzarz i zbójca,  
 Me góry i mój strumień, me lasy grobowe,  
 I tułaczego życia i chleba połowę,  
 I łożę które w gęstwiach natura mi ściele;  
 Ale pół rusztowania? O przebacz aniele,  
 Ten tron dla mnie jednego.

DONA SOL.

Mnie pamięć nie myli,  
 Tyś mi to przyrzekł, drogi.

HERNANI

*(kłękając przed nią).*

Lecz w stanowczej chwili,  
 Kiedy śmierć taka blizka wygląda z ukrycia,  
 Śmierć, ten koniec ponury ponurego życia,  
 Wyznaję, że choć bolem bezbrzeżnym miotany,



Choć w kolebce krwi zrodzon i na śmierć skazany,  
 Choć załoba wieczysta życie moje trudzi;  
 Atoli ja szczęśliwy, najszczęśliwszy z ludzi!  
 Bo ty mię ukochałaś, mam wyznanie święte,  
 I z cicha błogosławiś me czoło przekłete!

DONA SOL.

Pozwól niech pójdę z tobą.

HERNANI.

To zbrodnicza rada:

By nieszczęsny kwiat zrywał, kiedy w otchłań pada.  
 O! dosyć dla nędzarza, że czuł jego wonie!  
 —Innego życia wieniec włóż na swoje skronie,  
 Bądź żoną tego starca: śmierć więzy rozrywa,  
 Zapomnij!.. I na wieki, luba, bądź szczęśliwa!

DONA SOL.

Chcę mieć pół twego grobu! O! w śmierci krainę  
 Ja za tobą, mój drogi!

HERNANI.

Pozwól niech sam ginę!

(*Chce odejść.*)

DONA SOL

(*w rozpacz.*)

Hernani! Ty odchodzisz? O! dać miłość świętą,  
 Dać życie, i ofiarę widzieć odepchniętą?  
 I zapomnieć miłości za danym rozkazem!  
 I nie mieć tyle szczęścia, aby umrzeć razem.

HERNANI.

Ja wygnaniec wyklęty, jedną nogą w grobie!

DONA SOL.

Niewdzięczny.

HERNANI

(*z zapalem.*)

Mój aniele! zostaję przy tobie.  
 Żądałaś a więc masz mię! O, chodź w me objęcia:  
 Zostanę tu na wieki! Zmieniam przedsięwzięcia!  
 Zapomnijmy ich! Usiądźmy tu, na tym kamieniu.

(*Kłęk przed nią.*)

Oko moje niech tonie w twych oczu spojrzeniu.  
 Mów do mnie; śpiewaj dla mnie! Prawda, jak to miło

Kochać i być kochanym całej duszy siłą?  
 Być w dwojgu, w samotności, i gdy serce słyszy:  
 Kocham cię! wymówione w świętej nocy ciszy!  
 Pozwól niech na twém łonie dumam rozmarzony,  
 Dona Sol! ma miłości... Moja!

*(Dzwonów bicie słyszeć się daje).*

DONA SOL

*(przerazona).*

Biją w dzwony!

Słyszysz? wszak biją w dzwony?

HERNANI

*(klęcząc przed Doną Sol).*

To nasze wesele

Obchodzą.

*(Bicie w dzwony wzmagą się. Słyszać głosy, widzieć pochodnie na ulicy w oknach i na dachach domów).*

DONA SOL.

Wstań! uciekaj! Patrzaj światła wiele?

HERNANI.

Więc pochodnie przy ślubie będą nam świeciły!

DONA SOL.

O! to obrzęd jest śmierci, wesele mogiły!

*(Szczyk broni i krzyki w oddaleniu).*

HERNANI.

O! chodź w moje objęcia!

GÓRAL

*(wpada z mieczem w rękę).*

Zbiry i Alkady

Wszyscy są na ulicy, i zbrojne gromady  
 Ludu.

*(Hernani zrywa się).*

DONA SOL.

Prawdę mówiłeś, że król nie przebacza

GÓRAL.

Baczność!

HERNANI

*(do Górala).*

Już jestem gotów.

DONA SOL.

O! śmierć nas otacza!

HERNANI

*(do Górala).*

Daj miecz!...

*(Do Dony Sol).*

I bądź mi zdrowa!

DONA SOL.

Ja winą twój zguby;

Gdzie idziesz?

*(Ukazując na furtę).*

Uciekajmy! o tędy, mój luby!

HERNANI.

Towarzyszy opuścić? O nie!

*(Wrzawa walczących zbliża się).*

DONA SOL.

Jak tęskno dzwon bije!

*(Zatrzymując Hernaniego).*

Pamiętaj jeśli zginiesz, ja cię nie przeżyję!

HERNANI

*(trzymając ją w objęciu).*

Pocałunek!

*(Całuje ją w czoło).*

DONA SOL.

Hernani! mój mężu! o! Boże!

HERNANI.

Wszak to pierwszy, niestety!

DONA SOL.

I ostatni może!

*(Hernani wybiega z mieczem w ręku, Dona Sol upada omdlała na ławkę).*

SONIEC AKTU DRUGIEGO.



## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Thiersa tom XIX Historji Konsulatu i Cesarstwa.— „Starożytne i nowożytne Greki” przez Marcellus’a. — „Wiadomości o hrabinie Du Barry” przez Emila Cantrel.— List Jana Jakóba Rousseau do Lamartina.— Wiadomości literackie.

Ostatnie dni cesarstwa, czyli historia stu dni, którą pan Thiers w XIX tomie dzieła swego opowiada, była już kilka razy skreślona z rozmaitych punktów widzenia. Dwóch mianowicie utalentowanych dziejopisów francuzkich, Vaulabelle i Vie-Castel, opracowali sumiennie pamiętne lata 1814 i 1815, a jakkolwiek pod względem administracyjnym, relacya ich nie dorównywa relacyi Thiersa, kto chce wiedzieć dokładną prawdę, powinien wersyą autora *Historji konsulatu i cesarstwa*, porównać z wersyą autora *Historji dwóch restauracyj*, a nawet opowiadaniem Viel-Castela, który, chociaż patrzy ze stanowiska czysto monarchicznego, nie mało do rozwidnienia ciemnych kwestyj przyczynić się może.

Historya Vaulabella jest w kraju najpopularniejszą. Jakoż, dzieje Francyi od 1814 do 1830 roku, nie mają wierniejszego a mianowicie prawdomówniejszego nadeń historyka. Ściśle dokładny co do podanych faktów, Vaulabelle surowym jest dla ludzi; nielitościwie przypomina im rzeczy o których zapomnieć pragną. Z téj przyczyny pisarze oficjalni i akademicy, potępili jego dzieło jako *namiętne*, co nie przeszkadza, że wyszło zwycięzko ze stroniczych zarzutów i z czasem stało się powagą dla dziejopisów.

Viel-Castel zupełnie do innego należy obozu. Zbliża się on do grona polityków, którzy sławni już za Restauracyi, wyszli na mężów stanu za Ludwika Filipa. Tym trudno wyrzucać namiętną miłość dla zasad Napoleońskich, cztery dopiero wyszły tomy tej historyi, nie napotkały więc oporu w literackim areopagu.

Trzej powyżsi autorowie razem zestawieni, tworzą trzy narodowe kolory francuzkie: biały, czerwony i niebieski, (proszę pamiętać, że francuzka gwardya narodowa niebieskie mundury nosi). Porównywając tedy Thiersa z Vaulabellem, a Vaulabella z Viel-Castellem, i potrącając coś zawsze na karb białej, czerwonej lub niebieskiej przesady, można na końcu dołować się prawdy.

Dla ułatwienia tej mozolnej pracy czytelnikowi, spróbujemy tu tego dodawania i odejmowania.

Dziewiętnasty tom Thiersa dzieli się na trzy części: *Wyspa Elba, Akt dodatkowy, Pole majowe*. Cesarz Francuzów, jak wiadomo, był przez chwilę królem Elby. Życie jego w tém małym państwie Thiers opisuje bardzo szczegółowo; stawia przed oczy wykaz zupełny organizacyi lilipuciego królestwa: finanse, wojsko, marynarka, policya, zarząd, opisane dokładnie. Nie zapomniał o niczem: powiada nawet, że Napoleon z ratusza przeniósł się do pałacu gubernatorskiego i dobudował doń nowe skrzydło, żeby mógł pomieścić matkę, siostry a nawet żonę, na przypadek gdyby jej przyszła ochota go odwiedzić. Meble do tego pałacu sprowadzono z Genui.

Co do powodów jakie skłoniły Napoleona do opuszczenia Elby, Thiers i Vaulabelle podają też same. Były one ważne, a nawet naglące. Pensya roczna, dwa miliony, wyznaczone cesarzowi i przyznane traktatem z 14 kwietnia 1814 r. nie zostały wypłacone; pozostający w kasie fundusz nie wystarczał na utrzymanie domu i żołnierzy. Gubernatorstwo Korsyki powierzone zaciętemu wodzowi Szuanów, uczyniło tę wyspę bardzo niedogodnym sąsiedztwem. W takich okolicznościach, Napoleon dowiedziawszy się od Meneval'a, że zgromadzeni jeszcze w Wiedniu monarchowie, zastanawiają się nad tém, czyby nie lepiej było wysłać go na ocean; nie tracąc czasu, w pierwszych dniach lutego postanowił wrócić do Francyi.

Przed samym wyjazdem zwierzył się tylko trzem osobom: Bertrandowi, Drouotowi i matce. „Energiczna ta kobieta, powiada Thiers, w zdumieniu słuchała zwierzenia i cofnęła się przerażona: pojmowała bowiem, że syn jej, mimo swęj chwały, mógłby skonać na brzegach Francyi jak powszedni złoczyńca. „Dozwól mi, rzekła, być matką na chwilę, potem powiem ci moje zdanie.” Skupiła się i milczała czas jakiś; nakoniec tonem silnym i natchnionym zawołała: „Jedź, synu! jedź! Idź za przeznaczeniem swoim. Może ci się nie powiedzie... natenczas śmierć twoja wnet po jałowym zamachu nastąpi... Ale tu pozostać nie możesz, widzę to z boleścią! Zresztą, miejmy nadzieję, że Bóg który cię strzegł w tylu bitwach, raz jeszcze strzedz cię będzie.” Powiedziawszy to, gwałtownie wzruszoną uściskała syna.

Podobnie pięknych ustępów z życia domowego, nie ma ani w *Vaulabellu* ani w *Castellu*; przez takie to szczegóły rodzime, oraz administracyjne Thiers nad kolegami swymi góruje. Ale od chwili jak cesarz wstąpił na pokład *Niestalego* (okręt *l'Inconstant*, na którym przyplłynął z Elby do Francyi), od chwili jak rozpoczął tę podróż, która mogła się skończyć tylko albo na tronie, albo w przydrożnym rowie, *Vaulabella* opowiadanie wyższem się staje. O stanie opinii publicznej w czasie wylądowania, o rodzinie królewskiej, o usposobieniu ościennych mocarstw, o wojsku, dyplomacyi, stronnictwach, dziennikach i t. d. autor *Historji konsulatu i cesarstwa* nie powiada nic, czegobyśmy poprzednio nie czytali skreślonego daleko żywiej i goręcej w *Historji dwóch restauracyj*.

Rzecz to bardzo naturalna. Na każdym z tych dziejopisów powrót Napoleona z Elby inne czyni wrażenie. *Vaulabelle* czuje jak wieśniak, jak żołnierz: przypasuje trójkolorową szarfę 1792 roku, i na czele swęj gminy rusza naprzeciw człowieka, który w owęj chwili uosabia rewulucyą i przybywa ją zbawić.

Oględny mieszczanin, Thiers, namyśla się czy iść czy nie iść naprzeciwko Napoleona... Przewidując przyszłe trudności, skrobie się w głowę; pozostaje kwaśny, zniechęcony, i dlatego tylko, żeby nie powiedziano iż opuszcza swego bohatera, podejmuje się teki spraw zagranicznych. Jestto dziejopis — *Caulaincourt*...



Co do Viel-Castela, temu nad czołem białe pióro wciąż wieje. Z lilią na piersiach uwija się w szeregach królewskich ochotników. Jestto przewodnik młodzieży liberalnej z czasów Restauracyi: z tego punktu patrzy i opowiada.

Jakie było w istocie usposobienie narodu francuzkiego, kiedy dowiedział się o powrocie z Elby? Thiers mówi, że złe; Vaulabelle twierdzi, że wieśniaków dobre, a złe tylko mieszczan: dowodzą tego aż nadto słowa wyrzeczone przez *mairą* z okolic Grasse. „Zaczynaliśmy być szczęśliwi i spokojni, rzekł do Napoleona, a ty znów wszystko zawichrzysz”.

Później, opinia młodego wojska przemogła w Grenobli i wybuchła wśród powszechnego upojenia. „Francuzi gotowi zrobić wszystko dla ciebie, Najjaśniejszy panie, ale trzeba, żebyś ty zrobił też wszystko dla nich; porzuć ambycyą i despotyzm: chcemy być wolni i szczęśliwi. Trzeba zaniechać systematu podbójczego, który sprawił nieszczęście Francyi i twoje”.

Kto tak mówił? Czy jaki przyjaciel Lafayet’a? Broń Boże! Jeden z najwaleczniejszych wodzów młodej armii: Labédoyère. Jakże zmienić się musiały czasy, żeby takie słowa mogły powstać w ustach pułkownika, a co większa, żeby ich Napoleon chciał słuchać.

Uderzony chłodem jakim go owiał na wjeździe Paryż, Napoleon pojął trudności, jakie napotka przy tworzeniu ministeryum. Po wielu zabiegach hrabia Mollien wziął tekę skarbu; Duc Decrès marynarki; Davoust wojny; Fouché policyi; Carnot spraw wewnętrznych; Duc Vicence spraw zagranicznych; Bassano napowrót zajął miejsce sekretarza stanu, a Cambaceres, niemal przyciągnięty za uszy, podjął tekę sprawiedliwości.

Skreśliwszy szeroko trudności ministeryalne, Thiers idzie za Cesarzem do jego gabinetu i opowiada z najdrobniejszemi szczegółami środki jakie przedsięwziął. „Telegrafami i kuryerami oznajmiał całej Francyi dzień dwudziestego marca; zdatnych i śmiałych oficerów posłał do departamentów, w których prefekci mogliby się opierać przywróceniu cesarstwa. Rozesłał instrukcyą komendantom twierdz granicznych, ażeby zatknęli trójkolorową

chorągiew i bronili przystępu nieprzyjacielowi. Nakazał ministrowi policyi zająć się niezwłocznie prefektami i podprefektami, potwierdzić jednych, odwołać drugich, wedle ich postępowania i t. d. i t. d.”.

Powszednie te zabiegi nakazane okolicznościami, nie bardzo w podobnej chwili zajmują czytelnika. Ale Thiers niezmiernie lubi takie drobiazgi: wyliczając je, ma pole popisania się ze swym talentem administracyjnym. Nie darowawszy tedy ani jednego czytelnikowi, pragnącemu dowiedzieć się jak najprędzej, czy lepiej było przenieść natychmiast wojnę nad Ren, i odzyskać dawne granice Francyi, czy też czekać na atak, gotując się do jego odparcia: Thiers nareszcie za tym ostatnim systematem się oświadcza.

Vaulabelle także utrzymuje, iż wojna natychmiastowa była niepodobną. Wypadało przed wyjściem na granicę uspokoić Francją, a mianowicie też rzucając się w nowy odmet wojny nie oszukiwać narodu, któremu się pokój przyobiecało.

Najwadliwszą stroną XIX tomu historyi Thiersa jest zdaniem krytyków biegłych, strona wojskowa. Opisując przygotowania wojenne i operacye wojskowe, Thiers popelnia mnóstwo omyłek. Sucheta stawia na czele piątego korpusu, którym zawsze Rapp komenderował; dalej mówi, że cesarz zamierzał sformować siódmy korpus, kiedy tenże oddawna był uformowany. W rozłożeniu armii anglo-pruskiej i francuzkiej, zachodzą także myłki. W rachunkach wojskowych dowiedziono Thiersowi ogromnej przesady. Wedle niego, Napoleon w ciągu dwóch miesięcy zebrał i uzbroił 300 tysięcy ludzi; wedle zaś rachunku ministra wojny, porównawszy liczbę wojska z końca marca, z tą której doszła w końcu maja, pokazuje się, że rzeczywiste powiększenie na całej armii wynosi tylko pięćdziesiąt trzy tysiące.

Ale porzućmy te szczegóły wojskowe, jako mniej ogół obchodzące, a obaczmy jak daleko cesarz na politycznym polu postąpił.

Kiedy Napoleon ku stolicy szybkim posuwał się krokiem, Ludwik XVIII widząc że to nie żarty, chciał zmienić politykę i pokazać się liberalnym. Przypiął tedy,



po raz pierwszy w życiu wstążeczkę legii i pięknymi słowy obiecał Izbie utrzymanie ustaw. Klaskano tam i protestowano, ale efekt tój sceny nie wyszedł za próg Izby. Zaprobowano tedy innemi ustępstwami zjednać sobie publicznego ducha. „W położeniu obecném, mówił głośno ksiądz Montesquieu, król chwyci się każdej oztateczności”. — Jakto? zagadnął ktoś z boku, przyjmie nawet Lafayetta? — Nawet Lafayetta, odrzekł ksiądz, pokornie na piersiach ręce krzyżując.

Ale już było zapóźno. Nawet Lafayette nie był w stanie zbawić monarchii Burbońskiej. Zmieniać politykę w obec okoliczności, rzecz zawsze dla rządu niebezpieczna; zmieniać swoją podstawę, rzecz niepodobna. Opinia nie ufa ustępstwom przez konieczność wyciśniętym: massy i mężowie stanu nie wierzyli w możliwość liberalizmu Burbonów; druga zaś nienależnie wielka część kraju, mieszczaństwo, podobnież nie dowierzało Napoleonowi. Tak to przeszłość każdego rządu cięży na nim i żadna władza nie umknie przed odpowiedzialnością za swe błędy. Ludwik XVIII i Napoleon, w niewielkiej od siebie odległości, przekonali się o tém.

Cesarz widział doskonale wszystkie zawady, o jakiebysię potracił w praktyce nowy rząd konstytucyjny. Sam je przedstawił i szukał im odporu; ale jakiebądź były rachuby cesarza, trudnoby mu było je urzeczywistnić, nawet po zwycięztwie. Nie daje się i nie odbiera dowolnie swobody narodowi. Przy pierwszém spotkaniu z Neyem, o ledwie nie powtórzyła się scena Fontainebleau. Przytoczyliśmy ostre wyrazy, jakie z powodu pokoju i wolności wyrzekł Labédoyere do wylądowującego cesarza. Dawne narzędzia despotyzmu zużyły się; trudno było o nowe. Wątpliwem jest przeto, czy Napoleon nawet powróciwszy zwycięzcą z pod Waterloo, mógł być powtórzyć 18<sup>to</sup> *brumaire*. Rzecz godna uwagi, że w roku 1815 wielki świata zdobywca, był zmuszony wchodzić w układy z opinią kraju swego i uchylić czoła przed wolnością. Czuł on, jak bardzo jego przeszłość osłabiała terażniejszość, ile przez nieufność Francuzów tracił, więcej niż kiedy potrzebnego uroku; wszystkiemi



iskrami swego geniuszu usiłował zapalić wiarę narodu, ale nie miał mocy, bo mu się przeniemiał.

Akt dodatkowy, spisany przez Beniamina Constant, chociaż obiecywał wszelaką wolność krajowi, nie zadowolnił nikogo: zgadzają się na to wszyscy trzej wyż wspomnieni historycy. Podawane przez nich przyczyny są też same. „Do nieukontentowania z tytułu wskazującego poprawkę a nie gruntowną przemianę; do nieukontentowania z formy, która przypominała konstytucyą udzieloną przez Ludwika XVIII, przybyło nieukontentowanie z gruntu rzeczy. Dla dawnych republikanów była to monarchia; dla monarchistów z 1791, była to monarchia o dwóch Izbach; dla młodych liberałów dalej posuniętych, była to monarchia arystokratyczna, bo potwierdzała sukcesyjne parostwo.”

Zadowoleni byli tylko legitymiści. Zacierając ręce z radości, podzegli nieukontentowanie, które aż nadto widoczném stało się na *Majowém polu*.

Jednak uroczystość ta, jak wszystkie uroczystości Napoleońskie, miała wiele wzniosłego uroku. Rzecz dziwna, że nie natchnęła Thiersa. Opisuje on tylko jej układ materalny, widzi w niej tylko sposobność nakreślenia planu, zrachowania i podsumowania liczb i ludzi.

„Napoleon okrążył budynek Szkoły wojskowej i wszedł tylnymi drzwiami. Na pierwszym piętrze wprowadzono go do wnętrza ceremonialnego. Wnętrze to przybudowane zewnątrz, przedstawiało półkole którego brzegi” i t. d.

Wszystkie te szczegóły znaleźć można w ówczesnych protokółach; historyk powinienby trudnić się czemś ważniejszym niż ich wynajdywaniem. Z przeproszeniem czytelników unoszących się nad dziełem Thiersa, pozwalamy sobie zrobić uwagę, iż największe zabiegi intendentów Anibala lub Aleksandra, małoby dziś w ich historii zajmowały; inne tam rzeczy obchodzą potomność: dla tego dzieło Thiersa wieleby zyskało otrzasnąwszy się z masy niepotrzebnych szczegółów. Czyż w chwili takiej, w chwili kiedy się mają ważyć losy świata, wypada obliczać ilość zakupionych koni lub rozpatrywać się w rozporządzeniach dekretujących zmiany półkowych numerów? Prawda, że kasując podobne szczegóły, dzieło Thiersa

zmniejsząłoby się o trzecią część z wielkim żalem biurokratów. Ci zowią to historią administracyjną. Zgoda, ale to nie jest historia w rzeczywistém znaczeniu tego słowa: ta, nie pisze się piórem intendenta pułkowego; nie przepisuje okólników, raportów, ani wykazów; nie gubi się w drobiazgach: ale trudni przedewszystkiem badaniem kwestyj ogólnych, moralnych.

Pomijamy styl: tym, jak wiadomo, *Historya konsulatu i cesarstwa* nie jaśnieje. Cóż jest styl, jeżeli nie harmonia wysłowienia, kolor, obfitość, różnaitość i dobitność w sztuce wyrażenia myśli? W dziele Thiersa znajdujesz zawsze jedną formę wysłowienia, jeden przykrój okresów, jednaką banalność wyrażen, mianowicie ilekroć autor chce być czułym. Tak naprzykład, wspomniawszy o wojsku pozostałem przy księżnie d'Angoulême w Bordeaux, Thiers jak sielanka, mówi: „żołnierze ci dla dostojnej córy Ludwika XVI czuli głębokie uszanowanie, nie tając, że serca ich dla Napoleona biją!”

Boże uchwaj, żebyśmy od Napoleońskiego historyka mieli wymagać liryzmu; wiemy, że w takim dziele trzeba częstokroć poświęcić poezją dla jasności; ale wydaje nam się, że dokładność nie wyklucza elegancyi, i że można pisać wyraźnie a nie powszednio.

Moralista z Thiersa nie wyższy od pisarza: zwykle sądzi on ludzi ze stanowiska powodzenia: jeżeli czasami gani ich słabość, to w sposób pozwalający wątpić o szczerości tej nagany. Postępowanie, naprzykład Berthiego w 1814 roku, oburza każdą prawą duszę. Były dostojnik cesarski na kilka dni przed 20 marca obraduje ze stronnikami Burbonów. Na takiego człowieka jest tylko jedna nazwa: „zdrajca”. *Nieszczęśliwy* Berthier, powiada, Thiers, równie zdziwiony że tam był, jak patrząca na niego publiczność, nosił na twarzy ślady niepokoju duszy. Sprawiedliwa kara w osobie *uczciwego człowieka*, za to, iż chciał znaleźć miejsce pod każdą władzą”. Nie jestże to zbyt pobłażliwy sąd dla ludzi poświęcających honor honorom? Historia winna im wymierzyć cięższą karę, niż ta, jaką im Thiers naznacza.

W obec takich winowajców autor *Historji konsulatu i cesarstwa* zawsze jest pełnym łagodności i wyrozumienia.



Oto w jaki sposób tłumaczy zdrady tak liczne w owęj smutnej epoce.

„Gdyby za naszych czasów, po czterdziestoletniej praktyce wolności, przerywanej a nie zapomnianej, nauczonym przywiązywać się do zasad, szanować je, szanować siebie w nich, zaproponowano, wojskowym czy cywilnym, tak nagłe przejście z jednego do drugiego stronnictwa: zdziwilibyśmy się i uważalibyśmy podobną propozycją za obelgę. Ale Francya wówczas odebrała tylko niemoralne wychowanie od rewolucyi i despotyzmu; widząc władzę przechodzącą tak często z rąk do rąk, nie pojmowano niezmienności postępowania; nawet ludzie polityczni stąpający uważniej niż wojskowi, nie okazali się skrupulatniejszymi od nich”.

Czemu tedy ten *pocziwy* Berthier okazywał tak zawstydzone oblicze na radzie prezydowanej przez Blacas'a? Czemu Ney cierpiał wyrzuty sumienia? Czemu Benjamin Constant przez całe życie nie mógł sobie darować swego w czasie *stu dni* postępowania? A mówimy tu tylko o przemianach uderzających, które dla szlachetnych pobudek lub oddanych usług potomność przebaczyła. Kiedy ci nawet czuli wyrzuty, cóż mówić o zwykłych odstępach, którymi sam nowy pan gardzi a społeczeńsi i potomni piętnują jednem wyrazem: *zdrajca*.

Nie! Nie! Pan Thiers się myli. Sumienie nie urodziło się wcale we Francyi dopiero w 1815 roku. Dawniej, dzięki niebu, znano tu już uczciwych ludzi, bezinteresownych i wiernych aż do grobu swojej zasadzie. Rewolucya więcej niż któraby inna epoka dostarczyła takich przykładów, a trudniej wtedy było dotrwać niż dzisiaj: bo kiedy nóż nad karkiem wisi, trzeba niepowszedniej cnoty, żeby nie osłabnąć i nie ustąpić: przed ogłoszeniem tedy Burbońskiej konstytucyi wiedziano tu duskonale co jest honor i cnota.

Co do przemian, nigdy nie widzieliśmy smutniejszych i bezwstydniejszych, jak po owych czterdziestu latach, przez które Francuzi praktykowali wolność. Potwornością swoją przeszły one wiele odstępstwa z czasów restauracyi, które Thiers usprawiedliwia. Policzkować je, a nie ekuzować powinien historyk, jeżeli chce mieć



prawo gromić przewierców w terażniejszości i przyszłości.

Pod tym względem Vaulabelle obowiązek swój pełni; a chociaż otwartość ściągnęła nań grad literackich pocisków, lud nie ściał zasiewu, który teraz piękne żniwo wydaje. Z *Historji dwóch restauracyj* naród francuzki uczy się dziejów owęj epoki; historyą Viel-Castela powinni czytać ci, którzy pragną poznać historyą owych czasów ze stanowiska parlamentarnego.

Tom XIX Thiersa kończy się na tem, że cesarz zwoławszy Izby, odjeżdża do obozu. W przyszłym tomie znajdujemy go w Waterloo.

Pochmurzony kirem przyszłych wypadków, p. Thiers następującą kończy uwagą: „Smutny ten nasz wiek! mianowicie dla tych, co jego pierwszą połowę widzieli. Daj Boże, żeby przyszłe pokolenie lepszych dni się doczekało. Ale wiercie nam, młodzi, że tylko korzystając z lekcyj w które te pół wieku obfituje, a które uwydatnia niniejsza historia, będziecie mogli otrzymać dni lepsze, a mianowicie na nie zasłużyć.”

Otóż właśnie tych *lekcyj* czytelnik napróżno szuka w dziele Thiersa.

Znakomita praca ś. p. Marcellus'a, *Greki starożytne i nowożytne*, więcej teraz niż w chwili pojawienia się swego, zwraca uwagę francuzkich belletrystów. Zwykły to los dzieł poważnych: nie przywabiają nagle jaskrawym blaskiem, ale raz zacząwszy, można je czytać bez końca. Najważniejszém w tej ze wszech miar niepospolitej książce, jest prawie zupełne tłumaczenie utworów Meleagr'a poety, który żył przed dwoma tysiącami lat, a na wydobycie z toni zapomnienia zasłużył.

Erudyci oddawna zrestaurowali zębem czasu poszarpane pisma Meleagra. Pan Saint-Beuve posiadający kapliczki dla wszystkich świętych literackich, umieścił go w jednej z najozdobniejszych framug swego panteonu; ale pierwszy raz dokonano we Francyi zupełnego przekładu dzieł tego wdzięcznego barda. Schowany w gęstwinie stulistnej anthologii, oryginalny ten poeta grecki zbyt

długo pozostał nie odróżniony od swych niesmacznych naśladowców.

Anthologia, zbiór starożytnych pism ulotnych, na wzór którego wydawano za czasów wielkiej rewolucyi sławny *Almanach Muz*, jest mieszaniną dziwnie wzniosłych i płaskich utworów myśli; przeglądający ten zbiór czytelnik przypomina sobie dzisiejsze przydrożne murki greckie, gdzie ułamki rzeźb Fidiasza znajdują się wśród gliny, stosów cegły i śmieci.

Kiedy pojawiło się to pismo, literatura grecka przeniesiona z Aten do Aleksandryi, zaraziła się tam azyatyckim złym smakiem, wymuszenie zmiękczyło jąrdny język muzy Pindara; subtelność odebrała jej dawną moc a galanterya zapal. Jestto epoka *poetkóv*, których roje widać na dworze Ptolomeuszów i Seleucydów. Wszystkie wysokie źródła natchnienia wyschły; kraj targały boje; znaczenie wielkich symbolów zatarto; dwuznaczne powiastki zastąpiły tradycye poważne; ocukrowana mitologia popsuła surową teologią wieków pierwotnych. Wielkie bogi przez Homera śpiewane a przez Fidiasza rzeźbione, przerodziły się w małe rozpustne bóstwa, zostały igraszką retorów. Nakoniec, gorsza od szarańczy plaga spadła na poezyą grecką pod egipskiem niebem: Amor rozmarzony, nudny i ckliwy, zapanował w niej samowładnie. Każdy wiersz nosi tytuł Amora: „Amor niewolnik, Amor strzelec, Amor student, Amor ptaszek i t. p.” Nic, tylko to. Miód zepsuty płynie strugami, na ruinach greckiej literatury po kolana brodzisz w sztucznych bławatkach.

Anthologia miała cztery wydania; tylko czwarte dochoowało się do naszych czasów. Pierwsze, zebrane przez Meleagr'a, było kwiatem starożytnej poezyi ulotnej; ostatnie, kompilowane w wieku X jest tylko uszkodzonem i dowolnie naprawianem wykopaliskiem. Mnóstwo fałszów wkradło się do zbioru, a natomiast ponikło mnóstwo przedziwnych kamei podpisanych imieniem Safony lub Stesihory.

Zostało jednak dosyć, żeby uważać anthologią za najdroższy relikwiarz muzy starożytnej. Mierności mnóstwo, ale tu i owdzie wśród mieszaniny kruszców, błyszczą prawdziwe złoto. Księgę tę porównać można najwłaściwiej



do modnej teraz bransoletki, złożonej z tureckich piastrów, bizantyńskich monet i przezrzystych sycylijskich medali.

Meleagr przynajmniej cały przeszedł do potomności: jego sto dwadzieścia ośm epigramów, tworzą dno skarbcza.

Meleagr nie był Grekiem. Urodzony w Palestynie, spędził młodość w Tyrze; a następnie zamieszkał na wyspie Cos, gdzie na wzór dziada swego Anakreonta, żył długo: szukając porównania w dzisiejszych czasach, nazwałby go można Krcolem rasy ateńskiej. Krew mieszana płynie w jego wierszach; sól atycka roztapia się we wschodnich przeñośniach; gorączkowa werwa nie ma już wielkości cechującej natchnienia pierwszych liryków. Niektóre epigramy możnaby przypisać perskiemu lub indyjskiemu poecie.

—Więc Meleagr był satyrykiem? spyta kto może. Uprzedzając to bardzo naturalne dziś pytanie, przypomnieć należy, że wyraz *epigram* u starożytnych nie miał tego co teraz znaczenia. Epigramata greckie nie są wcale gorzkie ani kolące: mają rozmiar i skrzydła pszczoły, ale nie mają jej żądła. Są to miniatury sielanek, małe ody, igraszki umysłu o jednej strzałce, elegie o jednym westchnieniu, nagrobkowe napisy tak wdzięczne, iż zda ci się, że grobowe kwiaty rozgarniasz, ażeby je odczytać; sceny morskie lub miłosne, tak drobne, że się mogą pomieścić na pierścionkowej pieczęcie.

Meleagr pomiędzy wszystkimi w żłobieniu takich poetycznych figurynek celuje. Cechą ich azyatyckie omalenie, trzeźwione co chwila helenskim eterem. Rzekłbyś, Alcybiades na perskim dworze, ubrany w powłóczystą szatę satrapy, ale drapujący ją w fałdy ateńskiej tuniki.

Nieprzeliczone mnóstwo opiewanych przez niego kobiet, przywodząc na myśl harem, utwierdza porównanie: Demo, Dorothea, Fani, Timo, Timarion, Zenofila; w każdym epigramie nowa zjawia się kobieta i jak ogniwo złotego łańcucha łączy się z poprzednią.

Wszystkie te córy Fenicyi i Syryi, nie mają wcale greckiej prostoty. Pałace żądze, jakie budzą, zapachy, jakimi wieją, strój ich wyszukany i drogi, wszystko to czyni je raczej podobne do kapłanek Astarty, lub dewotek



Adonisa. Rozkoszny Meleagr, swój harem opiewa, często przesycony jak muzułmanin.

„Ani warkocza Fimy, ani sandała Heliodory, ani pachnącej Demo, ani uśmiechu Anticlisy brylantowej, ani girland Dorotei, nie chcę dziś, nie! Twój kołczan próżny, o Amorze! w mém sercu czuję wszystkie twe strzały. Przysięgam ci na sploty Timy, na tę lampę, co oświeca pożerające mnie rozkosze, że mam już tylko na ustach wspomnienie twego tchnienia, a i to lada chwila uleci”.

Jednak w tém rozigraniu zmysłów, wystaje jedna postać wyższa: prawdziwa kochanka poety—Heliodora. Musiała to być czarodziejka niezrównana: czarem jęj przesiąkły wiersze Meleagra. Sławi on jęj powab więcej niż piękność, a słowa tyleż co usta. Heliodora musiała co rano odmawiać ową modlitwę, którą starożytni, Venus błagali: „Dozwól nie zrobić nic, coby nie miłem było, i nie powiedzieć nic, coby się nie podobało.” „Z Heliodory złotoustej, woła Meleagr, z niej, co tak pięknie myśli i mówi, miłość zrobiła duszę duszy mojej.”

Otóż, ta Heliodora umarła w kwiecie wieku. Poeta gorzko jęj płacze. Nie żądajcie jednak od niego nadmiaru nowoczesnej boleści. Elegia grecka nawet w rozpacz piękną pozostaje: łkanie konturu ust jęj nie kazi, łzy nie palą oblicza, ale spadają jak krople deszczu po licach smutnego posągu. Oto strofy poświęcone tęg ukochanej:

„Łzy składam ci w ofierze, Heliodoro, nawet tam w państwie Plutusa. Są to relikwie mojęj miłości... Łzy do wyplakania srogie! Na grób twój gorzko zalany, wylewam na libacyą pamiątki naszej tkliwości, boś ty mi droga nawet u zmarłych. Ja, Meleagr sę za tobą żalсны jęk, hołd jałowy! Niestety! Niestety! Gdzie moja ubóstwiona lilia? Pluton mi ją zerwał, a kurzawa splamiła kwiat jęj blasku. Zaklinam cię na klęczkach, ziemio, karmicielko nas wszystkich, ażebyś łagodnie do łona swego cisnęła tęg ubóstwioną, tęg tak rzewnie oplakiwaną umarłą.

Wszystkie treny Meleagra brzmią pięknie. Nigdy żalósniejsza od niego płaczka nie odprowadzała na stos przedwcześnie zmarłych dziewic; lira jego cichszą się staje, żeby kołysać te uspióne duszyczki.

Oto jeszcze tren poświęcony umarłej w dzień ślubu oblubienicy.

„Nie męża, ale Plutusa przyjęła Klearista odczepiając welon dziewiczy. Wieczór brzmiały flety u podwoi zaślubionej, zuchwałe ręce poodmykały klamki; rano ozwał się tylko jęk żałoby, któremu milczący hymen pogrzebném odpowiedział szemraniem. Pochodnie mające oświecać oblubienicy drogę do rozkoszy, pokazały jej drogę umarłych.”

Tak narzekano przed dwoma tysiącami lat. Tę skardze łagodnej, przez całą amfiladę wieków, odpowiadają wrzaski w podobnym przypadku rozlegające się w werońskim pałacu, kiedy matka zastaje na łożu martwą Juliette. Jakże ogromna w przyjęciu śmierci różnica!

Meleagra jest też ów śliczny napis, niby gałązką mirtu skreślony na kurzawie grobowego kamienia:

„O! ziemo! matko powszechna, cześć! Bądź lekką dla Aisigeny: ona tak mało ciężała tobie!”

Zatrzymajmy się na tym grobowym kwiatku. Meleagr lekki jak Asigena, równie mało jak ona ciężył ziemi; tak mało, że nawet pochwała zaledwie trącić dzieło jego powinna. Lubieżność grecka ostatni raz uśmiechnęła się przez jego usta; poezya jego jest śpiewem umierającego łabędzia Grecyi. Po nim, Aleksandryny i Rzymianie przyszli; na chwilę przyswoili wdzięcznego Amorka, niby egzotycznego ptaszka, ale wnet zadusili go gburowatą pieszczotą.

Kończąc tę pobieżną o greckim bardzie wzmiankę, wspomnieć jeszcze należy, że żywa wyobraźnia Meleagra miała czystość względną, strzeżoną przez estetyczną granicę, której nawet w największym szale nie przeskakiwała; gazowa zasłona unosi się zawsze około jego obrazów: oświecając lampą Psychy skrytki boga miłości, nigdy ani nieładu, ani nagości jego nie pokazał.

Zamiast mówić o panu Marcellusie, daliśmy pierwszeństwo jego bohaterowi. Sądzimy, iż nic przeto złego się nie stało. Książka szanownego akademika zbyt już rozbiegła się po świecie, żeby o niej sprawozdawca wiele



potrzebował gadać; dość będzie, jeżeli ją poleci tym wszystkim, co jej jeszcze nie czytali a tak kochają Grecyą, że im nawet jej szczątki miłe.

---

Pan Emil Cantrel wydał znaleziony w jakimś odwiecznym kantorku napół spróchniały rękopism pod tytułem: „*Wiadomości o hrabinie Du Barry*”. Straszny to i nauczający dramata, historia tej lekkomyślnej kobiety! Po przeczytaniu staje w myśli i migoce fosforycznym światłem, niby jakaś szatańska wizja w obrazkach.

W pierwszym obrazku widzimy panią Du Barry jeszcze dziewczęciem, grającą w wolanta na podwórku u modniarki. Tam wnet rozpusta znajduje piękną dziewczynę i wyprowadza na szerszą widownię, gdzie ją łączy z hrabią Janem Du Barry.

W drugim akcie widzimy już hrabinę Du Barry w Wersalu. Dekoracya przedstawia pokój sypialny. Ludwik XV własnoręcznie gotuje kawę w kominku dla hrabiny, a ona woła na niego: „La France! uważaj! bo kawa wykipi!” Dworacy na klęczkach usługują faworycie.

Obraz drugi. Następca tronu Ludwik XVI świeżo poślubił arcyksiężniczkę austriacką. Jak wiadomo, ulubioną pracą tego księcia było zegarmistrzostwo: szkoda, że nie wiedział, która godzina na zegarze wieków! Otóż tedy książę wykończył sobie zegarek, obok niego siedziała żona i karmiła pierworodnego. Kiedy nagle we drzwiach zjawia się król z dwoma damami. Przyrzekł był przedstawić synowej księżnę de Chaulnes; za jedną drogą chcąc zrobić niespodziankę, przyprowadził hrabinę Du Barry. Marya Antonina wybiegła naprzeciw niej i zawołała: „Najjaśniejszy Panie! Prosiłam cię tylko o jedną łaskę, a ty mi aż dwie wyświadczasz!”

W ciągu tej wizyty wszczęła się ciekawa rozmowa. Du Barry spacerując poufale po salonie, zatrzymała się przed portretem Karola I, pędzla Van Dycka, przywołała króla i rzekła: „La France! widzisz ten obraz? Jeżeli pozwolisz swemu parlamentowi robić co mu się podoba, on ci tak każe ściąć głowę jak angielski Karolowi”.



— Kto mówi o uciętej głowie?—spytał podnosząc oczy od roboty Ludwik XVI.—To ta szalona, odrzekł Ludwik XV, alboż to jeszcze ścinają głowy?—Kto wie, szepnęła Marya Antonina.—Wszyscy spojrzeli po sobie.

— A propos! rzekł królewic, doktor Guillotin, człek bardzo uczony, mówił mi, iż dla dobra ludzkości wymyślił maszynę zadającą śmierć bez bólu.

—Tém lepiej! zawołała Du Barry, a Marya Antonina westchnęła.

Dramat składa się z samych obrazów. W trzecim akcie jesteśmy w Rueil. Król wygnał panią Du Barry i leży chory. Ona ma jeszcze dworaków, bo się obawiają powrotu łaski; ale Ludwik XV wnet zapada śmiertelnie, a złociste karety zapominają zupełnie drogi do Rueil.

W drugim obrazie trzeciego aktu widzimy wygnaną faworytę w klasztorze Pont-aux-Dames: płacze i uczy się modlić. Czy tam jak La Valliera, odegra rolę Magdaleny? Bynajmniej: nie kochała—więc nie oświeci jej łaska. Du Barry pokutuje nieszczerze: wróciwszy z kościoła pisze do króla, błagając, żeby jej oddał piękne Luciennes, gdzie miłosném powietrzem Wersalu odychała. Król daje się ubłagać i przeznaczają za żałującej za grzechy grzeszniczki 200,000 dochodu na żałobę.

Pierwszy obraz czwartego aktu przedstawia ogrody Armidy, czyli nową rezydencją Du Barry: Luciennes. Przy jej boku kroczy zakochany w niej książę de Cosé-Brissac, ogon jej sukni nosi ulubiony Negr Zamor. Znowu bale i fety, ale jakież ich koniec?

Obraz drugi. Równość zaczyna wchodzić w modę, więc Zamor już nie nosi sukni hrabiny. Ma nowy dwór złożony z artystów i książąt zagranicznych. Hrabina tak szczęśliwa, że się aż swego szczęścia lęka....

— Czemu książę dziś nie przyszedł?—pyta Zamora.

— Obywatelko—odpowiada Negr—bo dziś rozruch w Wersalu.

Co? obywatelko!—woła zaperzona Du Barry,—ruszaj precz! U mnie po francuzku gadają.

Ledwie wyszedł odprawiony Zamor, aliści wchodzi znowu i anonsuje księcia Cosé-Brissac.

— Prosić!—woła uradowana pani.

Otwierają się podwoje, ona patrzy kto wchodzi i poznaje zatkniętą na pice głowę kochanka.

Tu zaczyna się tragedia tak zwana „*la ci-devant maitresse du Tyran*” staje przed trybunałem rewolucyjnym.

— Twoje nazwisko? — pytał oskarżonej prezydent Dumas.

— Hrabina Du Barry.

— Twoje nazwisko, mówię! Nazwisko twego ojca, jeżeliś go miała.

Zapytana milczy. Tak często używała pseudonimu, że zapomniała własnego nazwiska. Fouquier-Tinville i Dumas tymczasem na wyścigi biczą ją słowy. „Byłaś doradczynią despoty, który ci poświęcił krew narodu”, wołają w końcu sędziowie i skazują na śmierć za to, że spiskowała przeciw rzeczypospolitęj.

Działo się to w nocy. Stróże zaciągnęli omdlałą do lochu. Już nie obaczy słońca, aż na gilotynie.

Drugi obraz ostatniego aktu. Na fatalnym wózku wiozą hrabinę na śmierć wraz z margrabią, bankierem i księdzem. Margrabia nie tracąc humoru, układa ostatni mandrygał, ksiądz gada o niebie, bankier pyta pani Du Barry, czy mu długi zapłaci na tamtym świecie? Ona nie słucha, napół obłąkana, krzyczy, to jak w malignie bredzi, to jak dziecko kwili. Skarży się, że pierwszy raz w życiu tak rano wstała, że spała ledwo dwie godziny tej nocy. „Sen przeniósł mnie do Wersalu; wtem przebudzono mnie, porwano, nie mogę się obudzić: to sen, sen straszny”!

Wóz stanął na placu rewolucyi (place de la Concorde). W miejscu, gdzie teraz obelisk Luxoru stoi, gdzie spadła głowa Ludwika XVI i jego żony, i tą razą stała gilotyna. Oprawcy porwali skazaną. „Ratujcie! Ratujcie”! krzyczała nieszczęsna oglądając się na lud skupiony dookoła. Ani jeden głos nie odpowiedział na ten krzyk rozpacz. Ciągniona na rusztowanie, mocuje się, wrywa, przysięga, że nikogo zabić nie kazała; przeciwnie, ułaskawiła wielu: ale próżne szamotanie, próżne zaklęcia! Gilotyna czeka; kat porywa i rzuca na fatalną deskę. „Jeszcze chwilkę panie kacie! Jeszcze chwilkę”!!

Tu nóż spadł i przerwał mowę kochance Ludwika XV. Kat, sławny Sanson, co w owych czasach od rana do nocy pracował, podniósł w górę uciętą głowę, pokazał ją ludowi i rzekł: „Oto nierządnic! sprawczyni nieszczęść naszych”!

„Na Boga! muzo! Trochę śmiechu!  
„Choć tyle ile trzeba dla zabawy gminu.”

— Donosiliśmy dawniej, że Lamartine w swoim piśmie: „*Cours familier de Littérature*” wystąpił ostro przeciw zasadom Roussa, a mianowicie przeciw jego „*Umowie społecznej*”. Niewczesna ta wycieczka nie uszła mu płazem. Postradał z tej okazji resztę popularności, jaką jeszcze posiadał. Dzienniki liberalne powstały chórem przeciw niespodziewanym wyrokom byłego prezesa rządu narodowego; w krótkich słowach wykazały mu całą nielogiczność jego postępowania.

Między mnóstwem mniej więcej trafnych pocisków, znajdujemy humorystyczny list pisany niby z grobu, przez ś. p. Jana Jakóba Rousseau do Lamartina. Oto kilka ustępów z tego dokumentu:

„Panteon 22 września”.

„Szanowny kollego! Nie mając tu kursu literatury, ażeby nań wylać nadmiar uraz moich, w tym oto poufnym liściku przesyłam panu kilka uwag natchnionych szczególniejszą zajadłością twoją. W liście poufnym mogę mówić otwarcie, nie obawiając się, ażeby publiczność śmiała się jak zwykle z autorskich załebków.

„A najprzód uprzedzam, że nie będę tu tłumaczył się z mego postępowania ani pism moich. La Fontaine, Alfreda de Musset i tylu innych już pierwej przez ciebie prześladowanych, tworzą zbyt miłe towarzystwo na twych listach wygnania, ażebym mógł się skarżyć. Nie w moim tedy, ale w twoim interesie biorę pióro. Przyznaj, że takie postępowanie nie jest czynem duszy „samolubnej”, „nizkiej”, „komedyanckiej”, chorój i stoczonej przywarami”, „jaką jest wedle ciebie, moja. Ja, com napisał szczerą Spowiedź



moję, wiem najlepiej, żem niedoskonały; jednak przyznaję, iż spodziewałem się więcej pobłażania od tego, który pisał niegdyś, że „mój ideał” przyszedł z nieba i na powrót doń wstąpił”.

„Co za przemiana! Niebo stało się piekłem, a pisarz idealny obrzydliwym. Jednak, nie siebie żal mi, ale ciebie. Przemiana, jakiej ofiarą padłem, nie jest jedyna, którą w postępowaniu twojem dostrzegła historia, a biograf tobie podobny, zestawivszy trzy akty twego politycznego żywota, miałby szerokie pole do komentarzy.....

„Młodzieńcem śpiewałeś prawowitość i splendory prawa Bożego. Rzecz to bardzo naturalna. Powtarzałeś piosneczki, których cię nauczyła tradycya rodzinna: nikt nie ma prawa oskarżać echa.

„Później, legitymista z 1825 r. stał się obrońcą narodowości w 1840, a piewca Girondystów z 1847, bohaterem rewolucyjnym w 1848 roku. Temu nawróceniu Francya nie szczędziła oklasków; tym zaś, co cię ganili, mógłś wtedy odpowiedzieć jednem słowem Wiktora Hugo: „Urośłem”, mógłś powiedzieć podnosząc z dumą czoło.”

„Ale inaczej się stało. Zmierz drogę, którąś uszedł w tył, od lutego. Italia, do której wyswobodzenia wzdychałeś, została przez ciebie spotwarzoną; Girondyści, których ubóstwiałeś, są teraz pod zarzutem *omyłki*; zasady wolności zapomniane, a zasady absolutyzmu zrestaurowane w twém sercu; biała chorągiew zaleca ci się, a zakrystyany zapalają świece na cześć twój przeszłości....

„Ach! jeśli biograf nie będzie dla ciebie łagodniejszy jak ty dla drugich, niechybnie zawiedzionej dumie przypisze tę ostatnią rejteradę. Nie doszłe składki wytłumaczają zmianę przekonania. Pokażą cię stojącego samotnie pomiędzy stronnictwem porzuconém, a tém, do którego powracasz: pierwsze już cię nie trzyma, a drugie przyjąć nie chce.”

„Czy zastanowiłeś się nad tém, kiedys przeciwko mnie srogie ciskał wyroki?”

„Ostatnie dzieła twoje są, jak sam powiadasz, przeznaczone na zapłacenie długów. Prowadź dalej to chwalebne dzieło, ale nie szukaj czytelników za pomocą skandalu: nie sprzedawaj za talerz soczewicy swojej wolności.

Pamiętaj nadewszystko, że ze wszystkich twych długów najświętszym ten, któryś zaciągnął względem liberalnej Europy. Bardzo nie dostatecznie spełniłeś go w 1848 r. Czyż to powód, żeby w 1861 zapierać się własnego podpisu”?

„Chociaż pochodząca od duszy „podłej” i „godnej wzgardy”, rada jest dobrą, proszę cię, kochany kolego, żebyś z niej korzystał. Rad będę z obelg, jakimiś mnie obsypał, jeżeli one dadzą mi sposobność wprowadzenia na prostą drogę znakomitego pisarza i wyrwania go ze śmiertelnych uścisków ultramontanizmu.”

„Jean-Jacques”

Wyszedł dwudziesty piąty tom *Biblioteki użytecznej*. Zawiera *Historią starożytną Grecyi*, napisaną bardzo przystępnie i znakomicie przez pana Ludwika Combes.

— *Les Causeries Athéniennes* Victora Cherbulier, są dopełnieniem dzieła pana Combes.

— Wyszły pierwsze poszyty ozdobnego dzieła wydawanego tu pod zwierzchnictwem Theophila Gautier, pod tytułem: „*Tresors d'Art de la Russie*”. Wspaniałe przez Richebourg'a fotografowane plansze przedstawiają zabytki artystyczne, znajdujące się w kościele ś. Izaaka, arsenale Carskiego Siola i pałacu W. księżnej Maryi.

— Laurent de l'Ardèche, wydał spory tom pod napisem: „*Dom Orleanów w obec legitymistów i demokratów*”.

— Calemard de Lafayette wydał tom poezyi pod tytułem: „*Les Géorgiques Françaises*, czyli *poemat sielski*. Mimo drukowanych pochwał, jakie jej oddają, książka nie wielu znajduje czytelników; autor jednak sposobniejszej pory obrac nie mógł, przednowek bowiem literacki nigdy mocniej jak w tej chwili czuć się nie dawał w Paryżu.

ŻYCIE I PRACE NAUKOWE  
JANA PURKYNE'GO

DOKTORA MEDYCZYNY I FILOZOFII.

NAPISAL

*Janusz Ferd. Nowakowski.*

---

(Dokończenie).

VI.

MOWY I ROZPRAWY MIANE PUBLICZNIE W RÓŻNYCH  
TOWARZYSTWACH NAUKOWYCH, OGŁOSZONE  
W ROCZNYCH SPRAWOZDANIACH.

I tak zawarte są: w sprawozdaniu szlązkiego Towarzystwa narodowej oświaty (Uebersicht der Arbeiten und Beförderung der Schlesischen Gesellschaft für vaterländische Kultur), którego Purkinie od roku 1823, to jest od czasu przybycia do Wrocławia, został czynnym członkiem.

W szczegółach o swém życiu, skreślił on ustawę i historią powstania tego Towarzystwa, i jak najsympatyczniej się o niem wyraża, dodając, że tam miał sposobność zapoznania się ze znakomitymi mężami wszystkich nauk i sztuk; że od pierwszego wstąpienia do głównego miasta Szlązka, znalazł okazję do wywiczenia i męzkiego rozwoju swych sił młodzieńczych.



Sprawozdania z czynności były najprzód ogłaszane od r. 1785 do 1832 w szlązkich Listach (Schlesische Provinzialblätter), wychodzących pod redakcją *Streit'a*, a potem *Sohr'a*. Od r. 1824 zawierają one opisy wykładów Purkiniego tak z botaniki, fizyologii, w ogóle o pracach poprzednio wspomnianych, wyliczenie czego, dla uniknięcia powtarzania, pomijamy. Wszelako wymieniamy następujące:

63. Rok 1824. *Schles. Prov. Blätter*, p. 380: Nowsze badania o wzroku, jako materyał do wydania drugiego tomu przyczynków do pozn. wzroku w subjekt. względzie.

64. R. 1825. Doświadczenia z belladoną, pod względem działania na oko.

65. R. 1827. O sposobach rozbićrania włókien mózgowych i o potrzebie nowej do tego nomenklatury, z ukazaniem przygotowanych preparatów.

66. R. 1828. O sposobie mierzenia mikroskopem łamania światła w różnych płynach.

67. R. 1828. Wyciąg z rozprawy *Berkley'a* o wzroku.

68. R. 1829. Doświadczenia z kulą barwną wedle malarza *Rungégo* przygotowaną, z nadmienieniem o podobnych doświadczeniach *Aguiloni'ego*, *Tob. Mayer'a*, *Lambert'a*, *Göthe'go*, *Klotz'a*.

69. R. 1830. O wpływie słońca na ruch zawartości komórek roślinnych. O niezwykłym składzie naskórka roślin ogórkowatych.

70. R. 1831. Doświadczenia z falami wody na dźwięczących płaszczyznach, z oznaczeniem na szkle fal za pomocą białego precipitatu i żywicy kopalowej.

71. R. 1832. Dokładny opis nabytego mikroskopu *Plössl'a*, i okazanie stu preparatów.

R. 1833. W tym roczniku, mówi Purkynie, nie ma przezemnie podanego. Był to rok dla mnie smutny, bo w nim ukochaną matkę i żonę śmierć mi zabrała.

72. R. 1834. Sprawozdanie o ruchu migawkowym już znane z poprzedniego.

R. 1835. Tu nic się nie znajduje, bo Purkynie zwrócił całą uwagę na swą ojczyznę, chcąc jedną z opróżnionych w Pradze katedr fizyologii lub anatomii otrzymać;

jednak do skutku zamiar nie przyszedł, bo do emerytury nie chciano przyjąć lat strawionych w Prusach.

73. Ueber Entwicklung und Strucktur der Zähne. (O rozwoju i budowie zębów), w: Uebersicht i t. d. im Jahre 1836.

74. Ueber die Faserung des Gehirnes (O układzie włókien mózgu), tamże.

75. Ueber Strucktur des Gehirnes u. d. Nerven (O budowie mózgu i nerwów), tamże r. 1837.

76. Ueber künstliche Verdauung (O sztuczném trawieniu), tamże r. 1837.

77. Analogie zwischen Pflauzen u. Thier-organ (Podobieństwo między ustrojami roślinnemi i zwierzęcemi), tamże r. 1839.

78. Demonstration mikroskopischer Präparate im Drumond'schen Lichte (Okazywanie preparatów mikroskopijnych w świetle Drumond'a, tamże, r. 1839.

79. Struckturverhältnisse im Hirn und Gangliensystem (Stosunki utkania w układzie mózgowym i zwojowym) tamże, r. 1840.

80. Ueber die Bewegungen der Oscillatorien (O ruchach i wzroście oscylatoryów) tamże, r. 1841.

81. Ueber epidemische Bildungen d. Infusorien (O epidemiczném tworzeniu się wymoczków) tamże, r. 1841. Purkynie utrzymuje, iż zarodki wymoczków w postaci drobnutkiego proszku w powietrzu bujają, i deszczem splókane, głównie się rozmnażają na początku uléwy; co naprowadza na domysł, iż wtedy tylko w powietrzu znaczna liczba ich się znajduje, kiedy po splóknięciu deszczem w wodzie przestają się ukazywać.

82. Ueber die Faserung des Herzens (O ułożeniu włókien w sercu) tamże, r. 1842. Z własnego doświadczenia Purkynie radzi do badania używać serce końskie, w którym włókna idą najprawidłowiej; serce zaś ludzkie uważa za najbardziej powikłane; serce ptaków okazuje wielkie podobieństwo do serca ssących; nareszcie serce ryb należy już do oddzielnej budowy.

83. Ueber den Gebrauch des Mikroskops (O użyciu mikroskopa) tamże, r. 1842.

84. Ueber die Krystalle der thierischen Flüssigkeiten (O kryształach w płynach zwierzęcych) jak łzach, mocz, ślinie nosowym, ślinie, surowicy, w pocie i t. d. W ostatnich czasach Funke wydał atlas w tym przedmiocie, tamże, r. 1843.

85. Ueber die Saugkraft des Herzens (O sile ssania serca), tamże, r. 1843. Nowa teoria Purkyniego.

Doświadczenie Gärtner'a nad czynnością zastawek, podało materyał do nowych rozumowań. Znaleziono, że zastawki sercowe tylko przy wchodzeniu krwi do komórki biernie się zachowują; przy jęj zaś wypływaniu nabierają znaczenia czynnego. Dolna powierzchnia zastawek za pomocą mięśni, pomaga krew z komórek wypychać, ale górna powierzchnia ssie, w skutek czego część krwi wstępuje z przedsionków i żył do stożkowatęj przestrzeni, przez zastawki utworzonęj, tak że każdy pojedynczy ruch zastawek wywierą jednocześnie działanie ssące i tłoczące. Przyczyną nieupowszechnienia się tego pojęcia między lekarzami i fizyologami jest zapewne obawa, aby przy pozorném otworzeniu zastawek, krew z komórek do przedsionków się nie powracała. Purkynie mówił jeszcze o innęj działającęj sile ssącęj. W skutek ściągania się komórek miała powstawać w jamie osercnej (pericardium) pusta przestrzeń, która przez wypełnienie przedsionków, natychmiast się wyrównywa i odwrotnie. Z pomiędzy uczniów Purkyniego jeden tylko Dr. Neg'a myśl tę podjął i dalej rozwinął.

86. Ueber die Haupttypen der Windungen des menschlichen Gehirns (O główniejszych typach zwojów mózgu ludzkiego), tamże r. 1843.

87. Ueber verschiedene Formen und Metamorphosen des Hausschwams (*Merulius devastans*) tamże r. 1843 (O różnych formach i przemianach grzyba domowego). Powodem do tego badania było ukazanie się grzyba w nowo wystawionym instytucie fizyologicznym, który robiąc spustoszenie, zniewolił do przebudowania gmachu.

88. Ueber Pacinische Körperchen (O ciałkach Pacinięgo), tamże, r. 1845, str. 24.

89. Ueber die Fasergewebe des Herzens (O tkaniach włóknistych serca), tamże r. 1845. Okazywał tu



Purkynie bardzo znaczną liczbę preparatów i rysunków dokonanych z serc cielecych.

90. Neurologische Beobachtungen (Postrzeżenia neurologiczne) tamże 1845, str. 116.

91. Demonstration eines Wollastonschen Steoroskop (Okazanie steoroskopu Wollastona), tamże r. 1846.

92. Ueber die Körnerfäden in Herzen (O włóknach ziarnistych w sercu), tamże r. 1846.

93. Ueber die Sinne im Allgemeinen (O zmysłach w ogólności), tamże r. 1846, str. 70.

94. Ueber Reform der Gymnasien mit Rücksicht auf naturgeschichtlichen Unterricht (O reformie gimnazyów ze względem na nauki przyrodnicze), tamże r. 1847. Toż samo po czesku zamieszczone w roczniku Jungmana, zobacz numer 97.

Sprawozdania z wykładów fizyologicznych Purkyniego od roku 1847 do 1850 zawarte są w Szląskiej i Wrocławskiej gazetach.

Nadto Purkynie był członkiem drugiego Towarzystwa w Wrocławiu, zwanego filomatyczném. Było to więcéj stowarzyszenie przyjacielskie: każdy z członków przedstawiał co miał zajmującego lub czém się obecnie zatrudniał. Stowarzyszenie to miało członków ze wszystkich gałęzi nauk. Wówczas należeli filologowie: Passov, Schneider; historycy: Wachler, Röppell (1) (znany w Warszawie), Winterfeld; lingwista: Stenzler; teologowie obu wyznań: David Schulz, Köllner, Balzer; lekarze: Ebers, Lichtenstadt, Purkynie; pedagogowie: Wissova, Schönborn. Wykłady szły zwykle kolejno i kończyły się przyjacielską wieczerczą.

Purkynie w tém towarzystwie zwyczajnie miewał mowy o literaturze słowiańskiej, a głównie czeskiej, które z zajęciem były słuchane. I tak mówił o wielkim słowniku Jungmana, o poezjach Kollara, o Svatopółku słowackiego poety Hollego, którego pierwszy śpiew przełożył w niemieckich hexametrach. Poduczwszy się litewskiego języka, dał stowarzyszonym wiadomość o ludo-

(1) Autor historii polskiej, po niemiecku napisanej.

wych pieśniach litewskich, wydanych pod imieniem Dainos, przez Rhezę i Kurszatę. Wyłożył teorią z doświadczeniami narzędzia wynalezione go przez prof. Stampfer'a, zwanego *Stroboskop* (1), który ulepszył i pod nazwą *forolytu* przedstawił. Ostatnia prelekcya była nieco metafizyczna: „o formach istnienia ducha w materialnej naturze.” Purkynie oznaczył formę *czasową*, gdzie duch w ciągu nieśmiertelności cały świat wedle swęj myśli prowadzi; formę *przestworu*, przestrzeń, gdzie duch wcielając się w materya, żyje, ożywiając własne ciało i w przyrodzie po wszystkie krańce się rozpościera. Na ten ustę p zwracamy uwagę czytelnika, że Purkynie, ten wielki demonstrator, tak tu jak i w rozprawie o zmyśle widzenia, śmiało wypowiada swą ideę o duszy; gdy przed niedawnym czasem głos jednego z naszych uczonych, publicznie objawiony, stał się przyczyną swarliwych sporów, i gdyby tylko sporów.....

Jako dodatek literacki, należy wspomnieć o pracy bezimiennie ogłoszonej w książce Ernsta Planetognosis, pod tytułem: „Papierstreifen eines verstorbenen Naturforschers.”

Od czasu przeniesienia się do Pragi, co było życzeniem całego życia Purkyniego, został on członkiem wszystkich towarzystw uczonych w Czechach, na posiedzeniu których również miewa stosowne wykłady w wielu przedmiotach, a których wyliczać tu niepodobna; ograniczymy się tylko na wspomnieniu walnego zgromadzenia kollegium doktorów fakultetu lekarskiego, w d. 11 stycznia 1859 r., gdzie Purkynie miał taką prelekcya: „Doświadczenia robione na rurkach kauczukowych, w celu objaśnienia skreconej postaci pępowiny, stosownie do dzieła doktora Neugebauera, profesora warszawskiej Akademii: „Morphologie der menschlichen Nabelschnur.” (Breslau, 1858, mit 2 Tafeln Abbildungen).”

(1) *Stroboskop*, nazwa przyrządu powstała z wyrazów greckich: *στροβος* — wir, fruczka; *στροβέω* — kręcić wkoło, mocno poruszać i od *σκοπέω* — patrzeć; dziś powszechnie zwanego *kinesiskop*, po niemiecku *Zauberscheibe*, po czesku, *ruchohled*, a po polsku mogłoby być *ruchogład*.

## VII.

## DZIEŁA I ROZPRAWY W JEZYKU CZESKIM.

95. Bedrziha Szyllera básnie lirické. Przelozil i wydal Jan Purkynie. 2 tomy. Wrocław, 1841.

Purkynie jest poetą, bo chociaż wyżej nadmienił, że tylko dla zachowania wprawy w języku ojczystym, wziął się do tłumaczeń utworów Tassa i Szyllera, nie przypisując pracom tym żadnego innego celu, to jednak rozpatrzywszy się w przekładzie czeskim Szyllera, nie można tłumaczowi odmówić talentu poetycznego. Co więcej jeszcze, z przedmowy do tego tłumaczenia załączonej dowiadujemy się, iż Purkynie miał zamiar wydać oryginalne poezye, gdyż tam odzywa się do rodaków w ten sposób: „Mógłby mi kto słusznie zarzucić, iż się bawię w przekłady, będąc w stanie coś oryginalnego napisać. Spodzielam się jednak wystąpić kiedyś z oryginalną *poetyczną pracą*; dlatego też zajęcie obecne ośmielam się z poetami uważać za światło i ciepło, którem siła i smak poetyczny dojrzewają. Zresztą przyswojenie sobie Szyllera, znakomitego poety, którego przekłady wszystkie narody Europy już posiadają, jest rzeczą bardzo ważną, zwłaszcza dla nas Czechów, mimowolnych wychowanców niemieckiej oświaty. Nie można zaprzeczyć, że jesteśmy karmieni, nawet przekarmieni niemiecką uczonością, że jesteśmy natchnięci niemieckim uczuciem piękna, i że te żywioły krążą w naszej krwi i nami poruszają (1). Pierwszą naszą przeto pracą powinno być przetrwanie tych soków i przyswojenie sobie z nich rzeczy najlepszych, najszlachetniejszych. Jeżeli z ujmą dla nas Słowian, wewnątrz i po wszystkich granicach, Niemcy, Włosi i Madziary usiłują wynarodowić nasz lud i stany wyższe, mścijmy się za to szlachetniejszym sposobem, przyswajając sobie, cokolwiek oni wydali znakomitego w zakresie duchowym: przez to nie tylko nowych sił od nich samych nabędziemy, ale oddając cześć temu co

(1) Pisarze w r. 1841.



istotnie godnem jest czci, ich poważanie i szacunek sobie zyskamy. A przecież bez względu na te stosunki, zadaniem jest każdego narodu jako członka całej ludzkości, nie tylko zapełnić swe miejsce własną oryginalnością, ale przyjąć i to, co przez wszystkie wieki i ludzi zostało uznanem, co należy do całego rodzaju ludzkiego."

Z tej przedmowy jasno widzimy, iż Purkynie inny miał cel nad wprawę w język, którym po mistrzowsku włada; widzimy raczej, że praca ta była potrzebą jego duszy, wylaniem uczuć ku rodzinnemu krajowi, złożeniem na to widomego dowodu, jak niemniej potrzebą dania innym pięknego przykładu zachęty.

Aby dać czytelnikowi możność utworzenia sobie sądu, o niezaprzeczonem talencie Purkyniego, o wierności przekładu, postanowiliśmy przytoczyć kilka ustępów, z umieszczeniem obok czeskiego tłumaczenia oryginalnych poezyj Szyllera:

## DIE BLUMEN.

Kinder der verjungten Sonne,  
Blumen der geschmückten Flur,  
Euch erzog zu Lust und Wonne,  
Ja, euch liebte die Natur.  
Schön das Kleid mit Licht gesticket,  
Schön hat Flora euch geschmücket  
Mit der Farben Götterpracht.  
Holde Frühlingskinder, klaget,  
Seele hat sie euch versaget,  
Und ihr selber wohnt in Nacht.

Nachtigall und Lerche singen,  
Euch der Liebe selig Loos,  
Gaukelnde Sylphiden schwingen,  
Buhlend sich auf eurem Schoos.  
Wölbte eures Kelches Krone  
Nicht die Tochter der Dione,  
Schwellend zu der Liebe Pfühl?  
Zarte Frühlingskinder, weinet!  
Liebe hat sie euch verneinet,  
Euch das selige Gefühl.

## KWIETY.

Kwitky! ozdoby tiech pláni,  
Ditky jasne pohody,  
Wy jste právě k milování,  
Piestenečky přírody!  
Krásně si was wylíčila,  
Barwau skwostně přiodila,  
Flora, wasze bohynie.  
Žalowati wám wszak sluszi,  
Že jste nedostaly duszi,  
Wasz že stánek w tuhé tmie.

Slawik s skrzywánkem wám pieji.  
Lásky blasy sladkými,  
Pestrzi motýlci se chwieji.  
Nad kalichy waszemi,  
Zdaliž Afrodyte božska,  
Nesklenila w lásky ložka,  
Niežné wasze lupeni?  
Kwilté, jara ditky ładné,  
Niedáno wám lásky žádné,  
Nedáno wám blaženi.

Aber hat aus Nanny's Blicken,  
 Mich der Mutter Spruch verbannt,  
 Wenn euch meine Hände pflücken,  
 Ihr zum zarten Liebespfand?  
 Leben, Sprache, Seelen, Herzen,  
 Stumme Boten süßser Schmerzen,  
 Gos euch dies Berühren ein,  
 Und der mächtigste der Götter,  
 Schliest in eure stillen Blätter,  
 Seine hohe Gottheit ein.

Jestli wszak mne od militky,  
 Matczin wyrok odlauczil,  
 Budu trbat was, o kwitky!  
 Abych pro ni wińek swil.  
 Kwitky! lasky sladké sluby!  
 Ziti, mluwu, city, tuby,  
 Milo co was to dotknuti!  
 A pak z tohu nejmocniejszi,  
 Mlczky wejde w waszi skvejszi,  
 W tiche listkow klenuti.

## AN DEN FRÜHLING.

Willkommen, schöner Jüngling!  
 Du Wonne der Natur!  
 Mit deinem Blumenkörbchen,  
 Willkommen auf der Flur!

Ei! ei, da bist ja wieder!  
 Und bist so lieb und schön!  
 Und freun wir uns so herzlich,  
 Entgegen dir zu geh'n.

Denkst auch noch an mein Mädchen?  
 Ei, Lieber, denke doch!  
 Dort liebte mich das Mädchen,  
 Und s Mädchen liebt mich noch!

Für's Mädchen manches Blümchen,  
 Erbat ich mir von dir,  
 Ich komm' und bitte wieder,  
 Und du? du gibst es mir.

Willkommen, schöner Jüngling!  
 Du Wonne der Natur!  
 Mit deinem Blumenkörbchen,  
 Willkommen auf der Flur!

## NA WESNU.

Bud' witan krasny junu!  
 Milaczku przyrody,  
 Bud' witan skwietowiencom,  
 Ty darcze aurody.

Hle zas jsi se k nam wratil,  
 W twé dawné jarosti,  
 I w austrzety ti jiti,  
 Nam plodi radosti.

Pomniszli jak milenka,  
 Mnę tamhle boskala!  
 O pomni! ma milenka,  
 Mnie wierna zostala.

Ja wyprosiwal kwiti;  
 Pro moji militku,  
 Ted' prosim zas, i jistie,  
 Dasz kwiti na kytku.

Bud' witan krasny junu!  
 Milaczku przyrody,  
 Bud' witan s kwietowiencom,  
 Ty darcze aurody!

Mimo woli musimy się ograniczyć na przytoczeniu tych dwóch ustępów, zapewniając, że oba tomy czytają się tak, iż nie czuć w nich tłumaczenia, co już przemawia za wartością podjętej pracy. Poezye te Purkynie przypisał Frantisz kowi Hildprandtowi, blahomyslnemu czeske literatury prizniwci (dobrodziejowi).

96. W czeskiem czasopiśmie *Krok*: „Úvod, wszedu-cha proslovi. Znameni nebeská. Ples. Sztiesti (wedle Szyl-lera) O budowie zubů.

97. W Jungmana Czesko-niemieckiej gazecie, poświęconej reformom studyów gimnazyalnych w latach 1841 do 1842.

O opravie gimnasů ohledem na prirodowiedecké studium.

98. W czasopiśmie czeskiego Muzeum (Muzejnik).

Torquata Tassa oswobożeny Jeruzalem, zp.: XVI.—1834.

99. Prochazka (podług Szyllera). 1829.

100. O idealnosti prostoru z rakového, 1836.

101. O železnodrahách a jich nevyhnut, potrebnosti w Europie, 1839.

102. O prospiesznosti vszeobecného rozsziřzeni la-tinského způsobi psani w oboru jazyka slovanského. 1851, str. 41—75.

103. Rzecz przy otewrzeni fisiolog. ustawu. 1851, IV, str. 94.

104. Navieszti o prostonarodnim czasopise prirod-vedeckém, 1852, str. 179—187.

105. O zprostonarodniem vied, zwlaszti prirodnich, 1853, str. 248—272.

106. O bdieni (czuwaniu), jeho stupnich, a przecho-dech do spani. 1857, I, str. 3—23.

107. O úkazech spani a jeho obdobách (analogii), w rostlinstwu a na celé ziemiekuli. 1857, II, str. 188—201.

108. Fysiologie snu. 1857, III, IV.

109. Animalni magnetism w pomieru swém k spa-ni. 1858.

W *czasopiśmie przyrodniczém Živa*, wydawaném przez czeską Maticę, pod redakcyą Purkynie'go i Jana Krej-cze'go.

*Rocznik, 1853.*

110. Rozhled w oboru weszkeré przyrody, str. 1—9.

111. O zmyslech wůbec, str. 163—168.

112. Mistopis czili topologie smyslu, str. 193—361.

*Rocznik, 1854.*

113. Człowék przyrody wladce, a pan, str. 1—11.



114. O spůsobu uczeni se prirodnim viedam bez velikych uczenych, a uczebnych prostrzedku, str. 129, 198, 289.

*Rocznik, 1855.*

115. Prirodoslowna pouczeni a zabawy, str. 131.

116. O Rhizopodech, str. 109, 210, 271.

117. O wytworzowani wajecc (jaj) u wnitru tela slepiczego (kurzego), str. 54, 74, 333, 364.

*Rocznik, 1856.*

118. O dychani s ohledem na jeho luczebni (chemiczną) povahu, str. 171, 261.

*Rocznik, 1857.*

119. O wzniknuti czasopisu *Kroku*, a zaniknuti jeho, str. 83.

120. Podrobné zprawy o moich starszich i nowiej-szich literarenich, zwlasztie prirodniczych pracich, str. 147, 203.

*Rocznik, 1858.* Dalszy ciąg powyższego, str. 36, 103, 183, 242.

*Rocznik, 1859.*

121. O tajemstwich przyrody a ducha lidského, str. 49.

122. Zkouszky (doświadczenia) o sluchu, str. 261.

*Rocznik, 1860.*

123. Prwni podatky z historii odkryti nowe planety zamerkuriowe (wulkana), str. 64.

*Rocznik, 1861.*

124. Akademia, zeszyt I.

## VIII.

### DZIEŁA I ROZPRAWY W JĘZYKU POLSKIM.

W czasopiśmie *Kwartalnik naukowy krakowski*:

125. R. 1835. Badania w przedmiocie fizyologii mowy ludzkiej. Tom II, str. 121, Tom III, str. 104. *Rocznik wydziału lekarskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim. Kraków, r. 1839, Tom II.*

126. O szczególnych samodzielnych uczuciach w skórze, podczas działania nań kąpeli dżdżystej, str. 44.

127. Przyczynek do anatomii nerwów, str. 49—67.

128. Tłumaczenie Czelakowskiego: „Ohlas pisni czeskich” dokonane wspólnie z Szukiewiczem, pod tytułem: „Odgłos pieśni czeskich.” Wrocław, 1842.

Ogólna liczba prac Purkynie'go tu przywiedzionych, wynosi 127! Kiedyś razem zebrane, umiejętnie uporządkowane, będą stanowić piękną całość. Ależ czy można pominąć resztę nie wydanych prac, o których w słusznej swój uwadze P. wspomina:

„Zdawałoby się, że w doniesieniu o czyjś literackiej działalności, tylko prace drukiem ogłoszone znajdować się powinny; ja jednakże inaczej myślę. Praca ręczna, rozmowa, uporządkowanie, kierunek pracy i nauki młodszych, nigdy na widok publiczny nie wystąpią, chociaż mogą one być nie równie ważniejsze od rozpraw drukowanych. Należy mi tylko wspomnieć o moich odczytach fizjologii i patologii ogólnej, które posiadam uporządkowane. W roku 1828 wprowadziłem do wykładu nowy systemat i odczyty podzieliłem w następujący sposób:

1. Anthropologia jako wstęp do ogólnej fizjologii.
2. Anatomia opisowa. 3. Histologia. 4. Embryologia (Histogenia, Organogenia 5. Fenomenologia życia, mówiąca o jego objawach tylko empirycznie bez dalszych objaśnień. 6. Mechanika fizjologiczna. 7. Chemia fizjologiczna. 8. Dynamika fizjologiczna. 9. Psychologia fizjologiczna. 10. Fizjologia powszechna czyli filozofia natury. 11. Fizjologia doświadczalna. 12. Fizjologia stosowana do patologii.

Numera 6, 7, 8, były wykładane w godzinach obowiązkowych, inne oddziały w nadobowiązkowych. W r. 1846 myślałem wydać fizjologiczną encyklopedyę w powyższym sposobie, a Breitkopf i Hartel w Lipsku tego wydawnictwa się podjęli; lecz od zamiaru odstąpiłem, „bo tylko podziałem pracy między uczonych, możnaby tu było co zrobić. Trzeba było przeważnego wpływu na pojedynczych ludzi, a sobie nie śmiałem dowierzać, uważając się za pół obcego między Niemcami. Ile starań było trzeba, aby jaki taki instytut fizjologiczny utworzyć, już

wyżej nadmieniono: dziś przynajmniej mam to zadowolenie, że jako pośmiertna pamiątka wrocławski instytut pięknie kwitnie."

Dr. Ejselt w swym szkicu mówiąc o niewydanych pracach Purkynie'go, powiada: „Uczniowie Purkynie'go do których i piszący się zalicza, znają i posiadają te znakomite pisma. Wzniosły i czysty umysł Purkynie'go orzeźwia i unosi, życzyłyby tylko należało, aby pisma rzeczone dla wszystkich przystępnymi się stały. Dziś, w posuniętej od tego czasu nauce widzimy, że ten kierunek ona przyjął i na takie części rozpaść się musiała.” Dalej z powodu pominięcia w *Żiwie* ważnej pracy P. po polsku napisanej: *Badania w przedmiocie fizjologii mowy ludzkiej*, dodaje: „Pismem tém w ostatnich nawet czasach wielu niemieckich fizjologów się posługuje. Jest ono szczególnie, z powodu nowego systematycznego podziału dźwięków mowy, stosownie do rozmaitych utworów i przyrządów zastawkowych, jakie głos na swój drodze spotyka. Temi otworami i przyrządami są: szpara głosowa (rima glottidis, Stimmritze), nagłośnia (epiglottis), gardziel (pharyngs), korzeń języka, tylne otwory jamy nosowej (choanae), twarde i miękkie podniebienie, grzbiet, koniec języka, jego brzegi, zęby i usta. Najważniejszymi są badania dźwięków przez głosnię wydawanych (Glottislaute), gdyż badania te rzucają nowe światło na także dźwięki w mowie semityckiej się znajdujące.

Przytaczamy z tej niezmiernie ciekawej pracy Purkynie'go wyjątki rzucające światło na całość, której streścić dla swój natury nie można. Czytelnik zaś obok zajęcia samym przedmiotem, powźmie przekonanie o władaniu polskim językiem Purkynie'go, którą to okoliczność również mieliśmy na względzie.

Purkynie swą pracę tak zaczyna:

„Ktokolwiek filozoficznie usiłuje zbadać języki, czuje mniej lub więcej nagłą potrzebę, dokładniejszego zgłębienia części czysto-fizycznej i fizjologicznej mowy ludzkiej.

Nadto wszyscy dzielą to przekonanie, iż nie jest dosyć fizjologicznie wyjaśnić wymawianie głosek zwyczajnego abecadła, lecz, iż ustrój (organizm) mowy słusznie



i bez przenośni tak zwany, uważany tak w ogólności, jakotóż w swych niezliczonych i nader rozmaitych szczegółach, jakimi są języki główne wraz ze swemi u narodów narzeczami (dyalektami), nadzwyczaj obfite zawierają zasoby do zaciekań fizyologicznych.

Tu zastanowię się tylko w ogólności nad niektórymi w tym przedmiocie zagadnieniami, które mi się przed innymi nastęrczyły.

1) Przedewszystkiēm ostrzedz należy, iż jedyną zasadą wszystkich badań, które się tu poczynić dadzą, zasadą, którą fizyologowie już oddawną uważają za jedno z szczególnych w swēj nauce zagadnień, jest fizyologiczne śledzenie pierwotnych mowy ludzkiej głosów. Lecz oprócz tego napotyamy tu jeszcze nie jeden bardzo zawiły przedmiot, na który dotąd zaledwo zwrócono uwagę. Tu należałoby tēż wyjaśnienie oparte na dowodach fizyologicznych, wykazujące właściwe wymawianie w językach martwych.

2) Prawidła dźwięczności (euphonia) w różnych językach, nie mają za cel jedyny przyjemne dla ucha brzmienie, lecz zasadzają się po większej części na łatwiejszē lub trudniejszēm skojarzeniu ruchów narzędzi mowy, wynikających z ustrojności tejże.

3) W tēj to konieczności fizycznej poszukiwać trzeba zasad źródłosłowa. Pierwiastki i formy gramatyczne tworzą żywioly języków, przed innēmi zwanymi ustrojnymi. Wszelako połączenie onych w wyrazy i nagięcia wszelkiego rodzaju, wymaga pewnych odmian, które wypływają z brzmienia stykających się glosek.

4) Także iloczias i nauka o przygłosie (akcencie), osobliwie zastosowana w porównaniu różnych języków, przedstawia wiele zagadnień, które jedynie z zasad fizyologii wytłumaczyć się dają.

5) Chętniebym tēż odniōsł do fizyologii śledzenie mowy przyrodzonej. Przynajmniej mogłaby ta nauka przed innēmi powścięgnąć wybijając wyobraźnię i zwrócić ją do rzeczywistego źródła glosek i koniecznego tychże ograniczenia. Nasze narzędzia mowy mogą wprawdzie plastycznie, akustycznie i silnie naśladować byt i stosunki przedmiotów zewnętrznych; lecz przesadą a nawet niedo-

rzecznością jest wyłączać w tém wszelką dowolność i nadatność.

Przed wszystkim nie należy spuścić z uwagi tego, co z przyrody naszych narzędzi mowy można wytłumaczyć w sposób najprostszy. Nawet przenośnictwo (metaforystyka), o ile pojąć i odgadnąć usiłuje odpowiedniość brzmień zmysłowych z wyższemi położeniami duszy, nie może się obejść bez dokładnej fizyologicznej znajomości czynności narzędzi głosu.

6) Jeszcze bardziej się zbliża do badania fizyologicznego czyli raczej antropologicznego, rozważanie właściwości głosów u najrozmaitszych ludów na ziemi, które nam według swych istotnych znamion wytknąć powinno językoznawstwo (linguistica). Przedmiotem roztrząsań skrzętniejszych byłoby zastanawianie się nad narzeczami i miejscowemi mowy prowincjonalizmami, tudzież nad odmianami wymawiania, zawisłemi od szczególnych każdego osobnika (individuum) stosunków wieku, płci, utworu pierwiastkowego narzędzi mowy, lub zbroczeń chorobowych w tychże.

7) Rzecz jasna, iż każdy z tych oddziałów teoretycznych posiada również część praktyczną, zmierzającą już to do udoskonalenia samego języka, już do wypielegnowania władzy mówienia w wieku młodocianym, także do usposobienia w deklamacyi, do leczenia wad wymowy i t. d.

Nie odważam się tu dziedzinę tego przedmiotu a priori, albo według podmiotowych zdań oznaczać: w tém właśnie, iż przedmiot ten pewnych nie ma granic, upatruję największy powab w śledzeniu. Nie wątpię atoli, iż wytknięte zagadnienia ogarną dostatecznie osobny oddział zaciekań fizyologicznych, który jako *fizjologia mowy* wystąpić może.

Upośrednieniem tych badań nie tyle jest anatomia, której jak najdokładniejsza znajomość bez tego już w podobnych poszukiwaniach jest konieczną, jak raczej przed wszystkim najdokładniejsze zmysłowe baczenie na siebie samego, za pomocą którego możemy pojąć najmniejsze nawet miarkowania (modyfikacye) w całym obszarze mowy ludzkiej. Wtedy dopiero okaże się potrzeba dowodów



czyrpanych z anatomii i przyrodnictwa (fizyki); innych, wyższego rzędu jeszcze, poszukiwać należy w psychologii i w filozoficznych gramatykach.

Wielu wprawdzie bardzo badaczy zajmowało się fizyologiczném, mniej lub więcej dokładném i obszerném roztrząsaniem wydawania głosów w abecadle mowy ludzkiej: każdy bowiem wykład fizyologii, czy to mniejszy czy większy, tudzież wiele dzieł gramatycznych, obejmują ten przedmiot; posiadamy też w tym względzie bardzo obszerne i godne zalety dzieła Kempelana'a, Chladne'go i innych: wszelako zapuszczając się w ten przedmiot, napotkałem tyle nowych, a mianowicie co do nauk powyżej przytoczonych, bardzo ważnych spostrzeżeń, iż nie uważałem za pracę zbytę, rzecz tę nowemu w swoim rodzaju poddać śledzeniu.

W mowie ludzkiej rozróżnić można trzy główne pierwiastki, które przy wymawianiu albo same przez się, albo w połączeniu z innymi słyszeć się dają, to jest: *szelesty*, *głosy* i *oddźwięki* (resonantia); nadto trzeba owe ruchy ustrojne narzędzi mowy dokładnie objąć zmysłami, z których te brzmienia powstają. Przed wszystkim główną jest rzeczą, w samém narzędziu mowy rozróżnić owe pierwiastki mowy w ten sposób, iżby w zmysłowém odszczególnieniu każdy z osobna poznać można. Pierwszym do dopięcia tego środkiem, jest szeptanie, gdzie sam tylko szmer słyszeć się daje, głosy zaś i oddźwięki giną. Tym sposobem dochodzimy też zarazem do poznania tego, co istotnie służy ku wydobyciu głosu i oddźwięku. Prócz tego, dłuższe wytrzymanie głosu zastanowi go dla uwagi, i sprawi to, iż dokładne poczynić można spostrzeżenia. Ponieważ każda jakość w swych rozmaitych stosunkach lepiej odróżnić się daje, przeto dobitniej się wyjawia osobnictwo (indywidualność) i znanie głosów, jeśli je w swych przechodach i nasileniu uwagą pochwycimy; wreszcie możnaby dla dokładniejszego rozeznania różnych oddźwięków, użyć w tym celu piersiozbadu (stethoscopium). Wzmiankowane tu spostrzeżenia zatrudniają najprzód zmysł słuchu. Lecz nie mniej istotny jest przytém nader



tkliwy zmysł dotykania w wargach, języku, w ścianach obejmujących jamy ust, podniebieniu twardém i miękkim, w jamie nosowej, gardle (faucēs), w narzędziach głosu, i wreszcie zmysł dotykania spólny wszystkim błonom głowy zewnętrznym i wewnętrznym, które odbierają wrażenie przy oddźwięku, tudzież dotykanie palcami narzędzi mowy podczas wydobywania głosów. Wreszcie służy tu téż wzrok, wpatrując się w narzędzie mowy wprawione w ruch, już to u innych, już téż u siebie samego przed zwierciadłem.

Za pomocą przytoczonych tu właśnie środków doświadczenia, rozróżniamy dwa rzędy znamion w głosach mowy ludzkiej: dosłyszalne i widzialne; ostatnie w obszerniejszym znaczeniu wyrazu, o ile obejmuje wszelkie mechaniczne zmiany materyi. Obadwa te rzędy mają się do siebie, jak skutek do przyczyny, cel do środka. Rzędy te posłużą zarazem jako zasada podziału w system głosów mowy; jednakże trzeba je utrzymać w rozłączeniu, i nie można ich z sobą bez ładu mieszać.

Najprzód można głosy mowy uważać, dzielić i określać, jedynie według znamion dosłyszalnych. Tym sposobem pojmujemy objawienie się ich zmysłowe, nie odnosząc warunków ich do tworzenia się onych w szczególności. Tu więc stosuje się wyżej pomieniony podział głosów na szelesty, dźwięki i oddźwięki. Z tych, jedynie szelesty objawiają się samoistnie, głosy zaś i oddźwięki, albo w rozmaitem połączeniu z sobą, albo z pierwszemi. Wszelako są głosy, które się do czystych dźwięków lub czystych oddźwięków mniej lub więcej zbliżają, a zatem za wyobraźników tychże służyć mogą.

A) Szelesty dzielą się:

- 1) według *trwania*: na a) nagłe, i b) przedłużone;
- 2) według *stopnia nasilności*: na a) łagodnej i b) mocnej;
- 3) według *jakości*: na a) powiewnej; b) chuchowej;
- c) szepczącej; d) szumiącej; e) syczącej; f) skrzypiącej; g) chrzęszczącej; h) dmiającej; i) huczącej; k) mlaszczącej;
- 4) według *złożenia*: na a) proste, i b) złożone.

B) Głosy nigdy nie bywają czyste, lecz mniej więcej stowarzyszone z szelestami lub oddźwiękami. Głos czysty nie da się pojąć, jak tylko abstrakcyjnie. Każdy dźwięk

nawet sztuczny instrumentów muzycznych, ma właściwy sobie szelest lub dźwięk. Głosy możnaby podzielić:

- 1) według *trwania* tonu: na a) krótkie, i b) długie;
- 2) według *nasilności* tonu: na a) ostre, i b) łagodne;
- 3) według *jakości ogólnych* tonu: na a) czyste; b) stłumione; c) puste; d) bekliwe; e) wycisłe;
- 4) według *jakości szczególnych*, jako właściwe samogłoski;
- 5) według *sposobowości* tonu: na a) oznaczone; b) nieoznaczone, i c) pośrednie;
- 6) według *połączenia z szelestami*: na a) powiewne; b) chuchowe; c) szumiące; d) syczące; e) szepczące; f) skrzypiące; g) chrzęszczące; h) dmiące;
- 7) według *połączenia z oddźwiękami*: na a) samogłoski nosowe; b) spółgłoski nosowe; c) głoski przydechowe; d) głoski napierane;
- 8) według *połączenia głosów* między sobą w szybkim następstwie, jako właściwe dwugłoski.

C) Najmniej samoistne są oddźwięki, albowiem tylko głosy wzbudzić i donieść je mogą, przez co właściwy ztąd tworzący się dźwięk wydają. Rozróżniają się zaś:

- 1) według *rozszerzenia oddźwięku*: na a) oddźwięk krtaniowy; b) oddźwięk nakrywkowy; c) oddźwięk gardłowy; d) oddźwięk nosowy; e) oddźwięk jamy ust, i f) oddźwięk czaszkowy;
- 2) według *stłumienia*: na a) stłumienie ustne; b) stłumienie końcojęzykowe; c) stłumienie korzeniojęzykowe; d) stłumienie krtaniowe;
- 3) według *ograniczenia prrestrzeni*: na a) oddźwięk wolny, i b) oddźwięk zamknięty.

Ścisłe biorąc nie należało tu oddźwięków nazywać, według części ustroju mowy drżących lub stłumionych, lecz tylko według jakości głosu; tamto bowiem nazwanie obejmuje już pewien rodzaj objaśnienia fizycznego, którego w tym układzie głosek zmysłowym, starałem się ile możliwości unikać. Wszakże dotąd zbywa nam w języku na odpowiednich wyrazach; chyba żebyśmy dla oznaczenia samych używali głosek, zawierających w sobie owe rodzaje oddźwięku lub stłumienia, jak np.: oddźwięk *n-owy*, oddźwięk *m-owy*, stłumienie *n-owe* i t. d. Wynikliwe atoli



dokonywanie tego układu głosek, nie wielkiej jest w teorii ważności; dlatego jedynie rzucono tu jego zarysy, żeby lepiej wykazać samoistność jego zmysłowej zasady, to jest: przymiot słyszalności, a zatem drugą, właściwie teoretyczną, akustyczną zasadę, tém jaśniej odsłonić.

*Narzędzie mowy ludzkiej należy uważać jako muzyczny dęty instrument, rozlicznymi klapami opatrzony, którego narządem zadęcia są płuca i klatka piersiowa, cewę tchawicę i jej odnogi, a ustnikiem krtani wraz z głośnią (rima glottidis). Korpus instrumentu można sobie wystawić jako z trzech jam złożony, mianowicie z jamy przełykowej, i dwóch innych rozchodzących się ku górze i dołowi, t. j. jamy nosowej i ustowej. Przegradza je podniebienie twarde, jako poziome dno oddźwiękowe, które w kierunku posady czaszki rozczepane jest przegrodą nosową, jako pionowym śladem, przewodząc oddźwięk po swój kostnej płaszczyźnie, do czego przyczyniają się także sprężyste jamy uboczne, chrząstki i małże nosowe. Klapami ścieśniającymi lub przerywającymi pęd powietrza dźwięcznego lub bezdźwięcznego, a miarkującymi tém samem głosy ludzkie, są: głośnia, nakrywka, odnogi tylnego łuku podniebienia wraz z czopkiem, jako ścieśniacze i zatyczki ujścia gardła, podniebienie miękkie zamykające nozdrza tylne, korzeń języka z odnogami przodkowego łuku podniebienia, grzbiet, brzeg i koniec języka, stykając się z różnymi częściami powierzchni dolnej podniebienia twardego, z dziąsłami i zębami, dalej wargi w zetknięciu z sobą i zębami przodkowymi, wreszcie nos zewnętrzny z nozdrzami.*

Wszystkie te przesmyki mogą wydać mnóstwo szczególnych głosów, z których nie wszystkie w mowie ludzkiej znajdują swe zastosowanie, lecz tak, iż każdy język według ducha swego, albo według usposobienia ustrojnego, przyrodniego, lub nabytego, wybiera niektóre głoski, a inne wyłącza, co znowu mniejszy lub większy wpływ na cały wywiera system. Niektóre głosy odrzuciły wszystkie języki, albowiem należą raczej do innych spraw przyrodzonych; np.: chrząkanie, jęczenie, chrapanie, kichanie, chlipanie, całowanie; albo w rzadszych tylko przypadkach mają wzbudzić uwagę, jak np.: różne rodzaje mlaskania,



które tylko w niektórych językach barbarzyńskich mają znaczenie właściwych głosek. Rzecz osobliwa, iż głoski dmiaćej *f* niedostaje wielu językom Ameryki, podobnie jak słowiańskim, ile się zdaje, z podobnej przyczyny; gdyż jako przeznaczonój do pełnienia innój sprawy, to jest dmuchania, narodowe czucie w mowie uważało za nieprzyzwoitość, używać jako głosci mownej, tak jak to jeszcze wyraźniej okazują inne powyżej przytoczone głosy przyrodne.

W systemie tedy głosek, zasadą uporządkowania onych są koniecznie narzędzia, które je wydają, a pierwiastki jego są tylko ich funkcyami szczegółowemi. Najogólniejsze zasady podziałów podają same narzędzia głosu, mianowicie zaś według tego, czy, i w jakim stopniu są czynne. Tak więc głosy albo są A) bezdźwięczne, albo B) dźwiękowe, a według stopnia mocy pędu powietrza czyli brzmienia są:

A) }  
B) } A) łagodne, B) średnie, albo C) gwałtowne.

Także ujścia zamyczek czyli przesmyki brzmień nie są bez wpływu; te bowiem albo szerokim otworem przepuszczają pęd powietrza dźwięczny lub bezdźwięczny, albo go też w różnym stopniu ścieśniają i odbijają, albo przez nagłe zamknięcie i otwarcie przerywają na chwilę, z kąd powstają głosy:

A) }  
B) } a) otwarte, b) ścieśnione, c) zamknięte.  
C) }

Daliej dzielą się według trwania głosu na:

A) }  
B) } { a }  
C) } { b } a) krótkie, b) przedłużone.  
A) }  
B) } { c }  
C) } { a }  
C) } { b } a) krótkie, b) przedłużone.  
C) } { c }

Wreszcie, ostatecznie i istotnie rodzajowe różnice głosek pochodzą od zatyczek i przesmyków głosowych, które począwszy od głośni włącznie, aż do ostatecznego ujścia warg i nozdrzy, mieszczą się w jamach narzędzi mo-

wy; a przez wzajemne działanie tychże i przechodzącego powietrza dźwięcznego lub bezdźwięcznego, powstają owe szczególne brzmienia, które stanowią istotę głosek.

Z tego względu możnaby następujące stanowić rodzaje:

I. Głosy wyrabiane w głośni. II. Głosy wydawane przez wspólną funkcyjną nakrywkę, korzenia, języka i gardła. III. Głosy pochodzące ze wspólnego działania korzenia języka i opony podniebieniowej. IV. Głosy wydobywane za wspólnym przyczynieniem opony podniebieniowej i jam nosowych. V. Głosy wynikające z działania tyłu języka i podniebienia. VI. Głosy wydawane poruszeniem brzegów języka i podniebienia. VII. Głosy pochodzące z zetknięcia się końca języka z podniebieniem; lub VIII: Głosy z zetknięcia końca języka z zębami. IX. Głosy zębowargowe. X. Głosy wargowe.

Każdy zaś z tych rodzajów głosów, stanowi właściwą w organie mownym sferę, w którym jego działanie wielorako się zmieniając, wiele innych rodzajów głosu zdradza, a to według owych tylko wyżej wspomnianych oznaczeń.”

Następnie wedle powyższego podziału, Purkynie przychodzi do szczegółowego rozważania głosów, jak to w rozmaitych językach, już też fizyologicznie tylko istniejących, tak jak przez ruchy wymienionych części organu wydobywane bywają. W całej tej pracy jak wszędzie, Purkynie jest nie porównanym obserwatorem; pragnącego czytelnika poznać szczegóły, odsyłamy do Kwartalnika naukowego krakowskiego z r. 1835.

Czynny i niezmordowany żywot Purkynie'go nie pozostał bez uznania: akademie i towarzystwa uczonych w Europie, zaliczały go ciągle do swego grona. Król pruski za położone naukowe zasługi udarował go orderem Czerwonego Orła klasy IV, a akademie berlińska mianowała go swym członkiem. Toż samo uczyniła akademie medyczna w Paryżu, w Belgii, Wiedniu, w Petersburgu. Jednocześnie został członkiem szląskiego Towarzystwa narodowej oświaty, członkiem Towarzystwa mikroskopijnego w Londynie, członkiem cesarskiej Leopoldyno-karolińskiej akademii badaczy natury, królewskiego Towa-

rzystwa lekarzy w Edyburgu, królew. szwedzkiego lekarskiego Towarzystwa w Sztokholmie, towarzystw lekarskich w Wiedniu, w Kopenhadze, w Berlinie, w Warszawie, członkiem honorowym fakultetu lekarskiego w charkowskim uniwersytecie, Stowarzyszenia wrocławskiego medycyny fizyologicznej, Towarzystwa naukowego krakowskiego, Towarzystwa fizyczno-lekarskiego w Erlandze i Towarzystwa nauk przyrodniczych w Dreźnie. Nareszcie w r. 1861 zaszczycony został tytułem członka Akademii paryżkiej i wiedeńskiej. Jeżeli pozagranicami swego kraju, Purkynie doszedł do podobnej wziętości, to łatwo się domyśleć, że i swoi o nim nie zapomnieli: jakoż istotnie wszędzie po dziś dzień ma czynny udział. W uniwersytecie jest professorem fizjologii (1) (którą do roku 1860 tylko w godzinach ponadobowiązkowych wykładał po czesku), i dyrektorem zakładu fizyologicznego, nadto jest członkiem prażskiego stowarzyszenia przemysłu, członkiem stowarzyszenia nauk przyrodniczych w Pradze, zwanego „Lotos,” Towarzystwa naukowego królestwa czeskiego, członkiem honorowym czeskiego narodowego Muzeum, prażskiego Stowarzyszenia ogrodniczego, Towarzystwa sztuk pięknych i muzyki kościelnej; członkiem Maticy czeskiej, mieszczańskiej Biesiady i komitetu zajmującego się budową teatru narodowego czeskiego: słowem wszędzie Purkynie ma czynny współudział.

Od początku aż dotąd ukazując czytelnikowi prace Purkynie'go, przedstawialiśmy go ze strony naukowej; teraz wypada pomówić o nim jako o człowieku.

Odzywać się dzisiaj, że sposób pisania Purkynie'go jest zwięzły, jasny, nacechowany oryginalnością przysłów, byłoby trochę nie w porę, bo o tém świat naukowy już dawno wie; ale zamilcząć, że w pismach jego wszędzie, gdzie się tylko zdarzy sposobność, przebija gorąca miłość do ojczyzny, ciągła żądza powrotu do rodzinnej ziemi,

(1) Sprawiedliwość nakazuje wymienić tu nazwisko dzisiejszego współpracownika Purkynie'go, jakim jest asystent pan Dr. Franciszek Foka.



z chęcią poświęcenia jęj własnych sił i życia, w celu podniesienia swojszczyzny; zamilczęć mówię o tém, byłoby ciężkim grzechem, winą nie do darowania.

Wyżej już widzieliśmy, że raz w r. 1820 ubiegał się o posadę profesora patologii, a w roku 1836 fizyologii w Pradze, którą *dopiero* w r. 1850 otrzymał; ale nie poznaliśmy powodów, które go skłoniły do osiedlenia się po zagranicami ukochanej przez niego czeskiej ziemi. Tę okoliczność sam Purkynie nader zajmująco objaśnia; przywodzi ten ustęp, który w biografii ważne zajmuje miejsce, bo nam określa chwile w życiu człowieka, na dalszy jego los wpływające.

„Że już w młodym wieku, mówi Purkynie, czułem w sobie powołanie do stanu nauczycielskiego, i w ogóle naukowego, świadczy o tém wstąpienie moje do zakonu Pijarów. Będąc ich wychowawcem w mikułowskim seminarjum i znając tradycyę o sławnych ich mężach, jak Voigt'cie, Dobner'ze, Konarskim; pełen czci dla swych nauczycieli i dobrodziejów tego zakonu, a nie znając nad ten wyższego stopnia nauki, poczytywałem za wielkie szczęście zostać kiedyś ich członkiem. Podobnie było przyrodzone moje wystąpienie z zakonu, bo z czytania i społeczeńskiego pożycia poznałem, iż są jeszcze wyższe stopnie naukowego świata.

Nauka przyrody głównie mnie pędziła do stosunków wolniejszych. Miałem jakieś przeczucie nowych odkryć, nieznaných dotąd objawów natury, marzyłem o użyciu galwanizmu na zmysły ludzkie i t. d.

Pierwszą moją kochanką była fizyka, której się nigdy zupełnie nie wyrzekłem: bo chociaż później jedynym środkiem dopięcia poznania przyrody była nauka medycyny, więcej przyłgnałem do nauk fizyologicznych, i będąc studentem, już fizyologią za zadanie swego życia obrałem. I sprzyjało mi wyższe zrzządzenie! Skończywszy studia medyczne, ufając w dobroć swego ojcowskiego przyjaciela barona Hildprandt'a, puściłem się w podróż do Szwajcaryi do Pestallosiego i Fellenberg'a, celem praktycznego obeznania się z ich metodą wychowania i z organizacją zakładu hofwylskiego. Zamierzałem bowiem za pomocą swego dobrodzieja, w Błatnie, jego sie-

dzibie, utworzyć oddzielnego rodzaju zakład wychowania. Przez zajmowanie się nim, wszystkie siły duchowe i cielesne miały wzrastać, póki bym się dlań nie stał mistrzem. Bodziec do tej myśli dawał mi przykład artystów, zwłaszcza muzycznych, gdzie tylko ćwiczeniem od lat najmłodszych, zdobywa się prawa wirtuoza. Podniętą większą znajdowałem wówczas w tworzącym się konserwatorium muzycznym w Pradze, gdzie przeniesienie tej myśli do nauk przyrody było na dobie.

Zatopiony w tych marzeniach, nie myśląc jeszcze o ścisłych egzaminach doktorskich, trawiłem czas w Hildprandskiej bibliotece. Wtém doszedł mnie list od profesora chirurgii z Pragi Fritz'a, że tam był pruski generalny sztabowy lekarz Dr. Rust, szukający zdolnego młodzieńca, któryby za dostateczne wynagrodzenie zwiedził zagraniczne zakłady weterynaryjne i następnie zajął w Berlinie miejsce profesora. Pokazawszy ten list swemu dobrodziejowi, spostrzegłem jak radośnie na mnie się spojrział, mówiąc: „a więc udasz się pan w podróż bez kapelusza”? ja tego nie zrozumiałem, aż on dodał: „bez kapelusza (biretu) doktorskiego”?

„Zaraz potem drukowałem swoją dySSERTACYĄ o subiektywnym widzeniu, dysputowałem i nareszcie się doktoryzowałem. Wkrótce (1819) otrzymałem posadę asystenta anatomii i fizyologii przy profesorach Ilg'u i Rottenberg'u, o czém Dr. Rustowi doniosłem, dziękując mu za jego łaskawe starania. W odpowiedzi zachęcał mnie do dalszej w tej gałęzi pracy, obiecując przy zdarzonej sposobności o mnie pamiętać.

Po czterech latach swego asystentstwa otrzymuję list z Berlina od Dra Rust'a, że prawie profesura fizyologii w Wroclawiu zawakowała, że wielu znakomych konkurentów o nią się ubiega, (między innemi Jörg, Care, Wagner, Eck, Gruithuisen), abym więc swego szczęścia spróbował i do Berlina przyjechał. Tak też zrobiłem, a z polecenia Dra Rust'a i ministra barona Altenstein'a wkrótce mianowany zostałem profesorem fizyologii we Wroclawiu, dokąd po powrocie do Pragi około Wielkanocy roku 1823 się udałem. Nie chcę tu wspominać o przykrościach od kolegów i studentów do-



znawanych, których to obrażało, że wbrew woli fakultetu otrzymałem miejsce, na które powoływali Gruithuisena z Mnichowa (Monachium). Po dwóch latach wszystko ustało i z tym dobrodusznym Rakuzanem (gutmüthiger Oesterreicher), chociaż z Rakuz niczego się dobrego nie spodziewaj (was kann aus „Oesterreich Gutes kommen?) dość przyjaźnie szło”.

Po tém wyjaśnieniu dowieść nam wypada, że oświadczenia się Purkyni<sup>ego</sup> z chęcią służenia ojczyźnie nie były cczą gadaniną: bo przecież wiadomo, że mówić a czynić to wielka różnica. Takich co mówią, mamy wszędzie pełno; Purkyni nie należał do drugich, do ludzi czynu. Szło mu głównie o podniesienie w narodowym języku nauk do stopnia rozwoju u sąsiadów, o przekonanie, że wszystkie dzieła naukowe mogą być pisane po czesku, i tego dopiął wprawdzie nie sam, bo téż to nie jest zadaniem jednego człowieka. Ale szczęśliwszy od innych, że przynajmniej dożył chwili, w której marzenia swe znalazł urzeczywistnionemi.

Zbiegiem okoliczności osiedliwszy się na Szlązku w Wrocławiu, nie mógł zapewne wywierać takiego wpływu na kraj rodzinny, jak gdyby stale przebywał w Pradze. Mimo to jednak ciągle miał oczy zwrócone na Czechy, i widzimy, że lekarz-filozof występuje w szacie poety, przyczyniając się tym sposobem do wzbogacenia ojczystej literatury. Obok swych zatrudnień fizyologicznych, spostrzegamy, że już w 1829 r. tłumaczy częściowo poezye Szyllera, w 1834 ogłasza Jerolimę Wyzwoloną Tassa, w 1841 wydaje dwa tomy poezyi Szyllera, a ważniejsze swe prace napisane po niemiecku, przesyła w rodzimym języku do Pragi. Na początku 1842 r. przedstawia rządowi pruskiemu potrzebę utworzenia katedr do języków słowiańskich w Berlinie i Wrocławiu. Za jego to staraniem uniwersytet wrocławski ukazując nieodzowną potrzebę dla górnego Szlązka, wyrabia sobie katedrę języka *polskiego*, którą po wojnie 1831 r. na nowo otwie-  
<sup>1</sup>pruskiego do Królewca i po przedstawieniu się deputacyi  
<sup>1</sup>Polaków domagającej się zachowania i wsparcia swój  
pruskiego do Królewca i po przedstawieniu się deputacyi  
Polaków domagającej się zachowania i wsparcia swój



narodowości, starania idą pomyślniej, katedry w Berlinie i Wrocławiu istotnie przychodzą do życia. Do Berlina powołano Szafarzyka, który jedzie tam na zwiady, a otrzymawszy tymczasem posadę kustosza przy bibliotece uniwersyteckiej w Pradze, professorstwa w Berlinie nie przyjmuje,znaczając na swe miejsce czeskiego poetę Czela-kowskiego. Jednocześnie fakultet filozoficzny wrocławski wzywa naszego Purkynie'go o wskazanie znanych sobie uczonych Słowian do objęcia tych posad. Purkynie przedstawia dwóch Czechów: Czela-kowskiego i Koubka, oraz Polaka Cybulskiego, znanego Czechom ze swych studyów w Pradze. W skutek tego Cybulski zajął katedrę berlińską, a Czela-kowski wrocławską.

To przypada na rok 1842; rzecz jasna, że przybycie Czela-kowskiego było Purkynie'mu bardzo przyjem-ném i pożyteczném. Obaj Czechowie rodacy jęli się do dzieła wspólnemi siłami. Obaj dawali kolejno *niedzielne biesiady*, na wzór istniejących w Pradze, które stały otworem dla miejscowych i podróżujących uczonych. Czela-kowski w uniwersytecie a Purkynie na biesiadach zapoznawał Niemców z pięknosciami literatury polskiej, czeskiej, a nawet jakto wyżej widzieliśmy, prawil im o pieśniach litewskich.

W 1848 r. spotykamy Purkynie'go w Pradze na zborze słowiańskim, złożonym jak wiadomo z 3 sekcyj: czesko-słowiańskiej 237, polsko-rusińskiej 61 i południo-wo-słowiańskiej 42, razem z 340 członków, mających na celu ochronienie narodowości słowiańskiej w monarchii austryackiej. Udział w tym zborze wzięli Czechowie, Polacy, Morawianie, Szlązacy, Słowacy, Serbo-Łużycanie, Serbowie, Sławoni, Kroaci, Chorwaci i Dalmatowie. Każda sekcyja miała swęgo prezesa z zastępcą, sekretarza z zastępcą, członków wielkiego zbioru z ich zastępcami i czterech posłów, po dwóch do dwóch drugich sekcyj. Prezesem w sekcji Polaków i Rusinów był znany nasz estetyk Karol Libelt; sekcji Sławonów, Chorwatów, Serbów, Dalmatów Pavao Stamatowicz, a sekcji czesko-morawsko-szlązko-słowackiej Paweł Józef Szafarzyk.

W liczbie członków spotykamy wiele imion znanych zaszczytnie w literaturach narodów reprezentowanych, a w polskiej oprócz K. Libelta, znajdujemy Jędrzeja Moraczewskiego, Lucyana Siemińskiego, Wojciecha Cybulskiego, Antoniego Helcla, Edmunda Chojeckiego i Dzeduszyckiego (1).

Nareszcie w r. 1850 Purkynie stale zasiadł w Pradze na katedrze fizjologii i od tego też czasu wpływ jego stał się wyraźniejszym. Zaraz utworzył instytut fizjologiczny a od początku r. 1853 ciągle wydaje za współpracownictwem Jana Krejczego prof. geologii czasopismo *Ziva* poświęcone naukom przyrodniczym, z dodatkiem *Domowy lekarz*, redagowanym przez Dra Podlipskiego. *Ziva* jest tak starannie redagowana i prześlicznymi rysunkami ozdabiana, że śmiało równać się może innym europejskim tego rodzaju dziennikom.

Dziś Purkynie pomimo, że liczy 74 rok życia, jest tak czynny jak za dni młodych. Zawdzięcza to czerstwemu zdrowiu i rzeźwości umysłu, które mu ciągle sprzyjają. Mieszka w Pradze przy ulicy Spalonej, w domu, w którym się razem mieści instytut fizjologiczny i słuchalnia dla uczniów. Instytut jeżeli nie należy do najbogatszych, to zawsze posiada bardzo wiele narzędzi fizycznych i preparatów woskowych, a nadto stosowne pod ręczne warsztaty.

Mieszkanie Purkynie'go jest wygodne ale skromne i oryginalne, dlatego też kilka słów mu poświęcamy, bo naszym zdaniem i to należy do charakterystyki człowieka. Za wejściem do wielkiego, widnego pokoju już przez szklane drzwi na lewo prowadzące, dojrząc zaraz można bielutką jak śnieg głowę, zawsze nad książką pochyloną. Często znajdowałem Purkynie'go leżącego na wielkiej, szerokiej sofie i tak czytającego. Za czyjśbądź wejściem zaraz się zrywa i z całą grzecznością wita. Przed ową sofą stoi stół, serwetą nakryty, a na nim kilka fizycznych przyrządów, które stosownie do zajęć się zmieniają. Sofa umieszczona jest przy samych szafach z książkami, obok

(1) Zprawa o Sjezdu Słowanském w Pradze, 1848 i Czasopis českého Museum, rocznik XXII, tom II, zeszyt 1.



stoi kilka krzeseł bardzo skromnych, a na nich książki i pudła z narzędziami. Dalej mieści się również skromne łóżko. Przeciwna ściana zastawiona szafami aż do sufitu mieszczącymi książki i podręczne laboratorium chemiczne. Nieomal, że na środku znajduje się rodzaj oryginalnego stołu: sąto cztery słupy w formie ostrokęgów podobne do bardzo wysokich głów cukru w górze złączonych drewnianymi drążkami, na których leżą deski, a na tych dopiero flaszki, słoiki, flaszeczki i przeróżne narzędzia chemiczne, anatomiczne, słowem cały kram przyborów medycznych. Najoryginalniejszą rzeczą w tym pokoju jest mały towarzyszy uczonego Purkynie'go, jedyna jego rozrywka, jedyna żywa istota, do której przemawia: jestto *suseł*, tak oswojony, że na głos *suslik* zaraz przybiega do swego pana. Proszę wtedy widzieć tę uśmiechającą się twarz uczonego starca do owego zwierzątka, które znów piskiem radość swoją objawia. Zwyczajna ich rozmowa toczy się tym porządkiem: —Suslik tu, —suslik nie ma mleka, ha, ha... a suseł zaraz piszcząc wymyka się z pod szafy, przebiega szybko po pokoju, to staje i patrzy bystro w oczy filozofa niby śledząc prąd jego myśli, to znowu się chowa pod szafę i krząta około swego gniazda. Gniazdo to znajduje się w małej, drewnianej klatce zawsze otworem stojącej, by wolność jęj posiadacza w niczém nie była tamowana.

Wszedłszy do drugiego pokoju a pierwszego od wejścia, spostrzeżemy na środku ogromny biały stół założony atlasami, mappami i tego rodzaju naukowemi przedmiotami. W jednym rogu fortepian, na którym raz tylko zdarzyło mi się słyszeć grającą piękną dziewczicę: była to panna Czelakowska, córka zmarłego w r. 1852 czeskiego poety a przyjaciela Purkynie'go, o którym wyżej wspomniałem. Nadmienić wypada, że dzieci znakomitego poety Czech w tymże co i Purkynie domu mieszkają i często go odwiedzają. Z początku nie znając tej zażyłości z domem Czelakowskich, a wiedząc, że Purkynie nikogo przy sobie z rodziny nie ma, wpadłem w niemałe zadziwienie. Niemniej zaciekawiony zostałem odlewem ręki gipsowej, umieszczonej w pięknym szklanném schro-



nieniu na kolumnie w tymże pokoju stojącej. Sądziłem, patrząc zdaleka, że to zapewne odlew ręki zmarłej matki lub żony, pytać się nie wypadało i nie śmiałem z obawy, aby zaspokojeniem swęj ciekawości nic wywołać czasem smutnych wspomnień. Innego dnia jakoś niechcący zbliżyłem się do owęj kolumny, ręka gipsowa wydała mi się na kobiecą za wielką, za kościstą i wtedy śmiało już zapytałem o objaśnienie. Odebrałem taką odpowiedź:

— Jestto odlew ręki, — rzecze Purkynie, — mego dobroczyńcy, mego dobrodzieja barona Hildprandta: chowam go z poszanowaniem na wieczną pamiątkę.

Czyż ta okoliczność nie jest wyraźnym dowodem szlachetnej wdzięczności, przymiotu niestety tak rzadko w świecie napotykanego? Może mi kto zarzuci, że się bawię w drobnostki; ale wyznam otwarcie, że wolę przyjąć naganę, jak takie rzeczy pomijać.

Lecz idźmy dalej. W tym pokoju oprócz wymienionych przedmiotów, trochę zwyczajnych mebli, portretów familijnych pięknego pędzla, nic godnego uwagi nie było. A, przepraszam, jednego dnia znalazłem przedmiot b. interesujący: byłto stół założony fotografiami przedstawiającemi same twarze w zwyczajnej wielkości. Zdziwienie moje doszło niemałych granic, gdy w każdej z 60 może fotografii poznałem twarz Purkynie'go. Lecz co godna uwagi, że każda twarz była w innęj pozycyi, każda przedstawiała zmienione najróżnorodnięj rysy, począwszy od poważnęj, aż do śmiejącej się, płaczącęj lub modlącej. Sądziłyby kto może, iż to zabawka; lecz Purkynie nic napróżno nie robi: wówczas studyował on grę mięśni twarzy, co przychodzi mu łatwo, bo służący jego umie fotografować. Zwie się on Emmanuel Lokej. W trzecim i ostatnim pokoju a na prawo od wejścia, znajdujemy bibliotekę bardzo liczną, ułożoną oddziałami wedle narodowości; kolumny, na których mieszczą się ogromne globy geograficzne i astronomiczne, obok lunety, teleskopy, a w oknach prześliczne *aquarium*.

Każdy z czytelników bezwątpienia przyzna, że ludzie dzisiejszęj epoki i tego stanowiska tak nie mieszkają, a jednak, o ileż mieszkanie opisane jest więćej pociągają-

cem od owych wykwintnych salonów, lśniących aksami-  
tami, złotem i... tylko złotem. Tu człowieka rozbraja  
prostota, kiedy w tamtych krępuje go etykieta i przesada.  
Purkynie ma tylko dwóch synów: Emmanuela, który  
się odznacza pracami w dziedzinie nauk przyrodniczych;  
obecnie p. Emmanuel zajmuje na prowincyi w Czechach  
urząd profesora w zakładzie leśnym w *Biele* (Weiswasser),  
w powiecie (kraju) bolesławskim. Drugi syn p. Karol  
jest artystą malarzem i bawi za granicą. Tak osamo-  
niony Purkynie nie jest samotnym: praca i nauka,  
które od lat dziecięcych ukochał, stają się dlań zajęciem,  
poświęcenie dla dobra ojczyzny prawdziwą rozkoszą,  
a szacunek przyjaciół i cześć młodzieży, godnym zazdrości  
uwielbieniem.

Purkynie dziś w Czechach obok historyografa Pa-  
lackiego i księdza Sztulca i mającego udział w re-  
prezentacyi narodowej posła Dra Riegera (zięcia Pa-  
lackiego), Karola VI. Zapa, należy bez zaprzeczenia do  
największych powag, do ludzi najwięcej wpływowych,  
najwięcej kochanych. Dają mu do tego niewątpliwe pra-  
wo, jego wysokie stanowisko w nauce, jego wiek sędziwy,  
a nadewszystko charakter łagodny, prostota i ujmujące  
obejście pociągają ku niemu wszystkie serca. Za dowód  
może posłużyć następująca okoliczność:

Było to dnia 5 sierpnia 1860 r., dnia, w którym Pra-  
ga, ba i całe Czechy obchodziły wielką uroczystość żałob-  
ną, na pamiątkę ósmej rocznicy śmierci swego wielbio-  
nego śpiewaka Franciszka Ładysława Czelakowskie-  
go. Wyszehrad był miejscem wybranem do odprawienia  
nabożeństwa. Chociaż gazety nie doniosły o tej uro-  
czystości, a już tłumy ludzi snują się na ową majestaty-  
czną górę. Wejdźmy i my za niemi. Wyszehrad świętym  
dawniej zwany, jak sama nazwa pokazuje, był wyższem  
miastem; dziś jest uroczem przedmieściem. Nad samym  
brzegiem poważnie się snującej Wełtawy, piętrzy się o ko-  
losalnych wymiarach góra (1), fortecznym nasrożona mu-

(1) Miasto Wyszehrad już w roku 950 było twierdzą; kronikarze  
wspominają o opasujących je wałach dokola.





rem, dźwigając kościół Ś<sup>ś</sup>o Piotra i Pawła, oraz zwłoki zmarłych przy kościele dziś się jeszcze grzebiących. Jak wiele pięknych tradycyji przywiązanych jest do Wyszehradu, tak też i wiele wdzięków przyrody z nim się zespała. Tradycya ci opowiada o przemieszkowaniu tu sławnego bohatera S a m o, co Awarów i Franków gromił—o *Kroku* sprawiedliwym i mądrym władcy czeskiej ziemi, do którego chętnie garnał się naród cały i który zbudował hrad Kraków czyli Krokow we wsi Stebna blisko Krzywoklatskich lasów; dalej o trzech wspaniałych córkach Kroka: Kasi, Tetie i Libuszy, z których ostatnia odznaczająca się przystępnością, sprawiedliwością i dobrocią na tron ojcowski wyńiesioną była: wreszcie tradycya ci przypomina sławne sądy Libuszy i sprowadzenie dla niej z pod Austi rolnika P r z e m y s ł a w a na małżonka i króla. Wyszehrad posiadał tron książęcy, na którym i w późniejszych czasach władcy zasiadać musieli. Wiele podobnych, najdawniejszych i najdroższych dla Czecha wspomnień łączy się z tén miejscem. A cudneż bo to jest miejsce! Nie wiedzieć w którą stronę wpierw patrzeć: gdzie się tylko obrócisz, wszędzie będziesz malowniczymi widokami porwanym, zachwyconym. Tu piętrzą się *Hradezany* (Hradschin), ów precudny zamek, w którym zamilkły duchy Ottokarów i potężnych władców Czechii; tam się aż pod obłoki unosi owa góra sławnego *Zyżki*, a obok czarowna jój równiennica *Pietrzyn* dźwiga na swych barkach odwieczny mur, co nam dobrego Karola IV przypomina (1). U stóp tych gór i na ich szczytach rozsiadła się dokoła tysiącoletnia Praga, ze swemi nadobnymi pomnikami i spiętą sławnymi mostami Weltawą, co w swój modrołniącej powierzchni przedstawia ci drugi precudny kraj-

(1) Nad samą Weltawą, prawie w środku miasta wznosi się zielonością amajona wielka góra *Pietrzyn*, na której pogańscy Czechowie ofiary bogom czynili i ognie palili; Libusza miała ztąd przyszlą sławę przepowiadac Pradze, na którą węgielny kamień położyła. Do dziś dnia zaś od przedmieścia *Strachowa* ciągnie się przez cały grzbiet góry *Karolowy mur* aż do *Aujesdu*, który Karol IV w czasie panującego głodu w roku 1360 1361 kazał budować, chcąc dać sposobność zgłodniałym zarobku. Mur ten sowią także *głodowyn*. (Průwodce po Praze K. VI. Zapa). Praga 1848.



obraz, drugą Pragę i zdwojoną liczbę gór, oraz kościołów. Trzeba być ślepyim i uczucia pozbawionym, by się nie zająć krajobrazami, jakimi stary Wyszehrad odpłaca strudzonemu wędrowni przychodniowi. To też zebrane towarzystwo przed kościołem, składające się z Purkyniego, nie dawno zmarłego Waclawa Hanka, Dra praw Rieger'a, młodzieży uniwersyteckiej topiło wzrok w starym grodzie i okolicach z widocznym uczuciem zadowolenia, jakie w podobnych chwilach rodzi się w piersiach każdego człowieka.

Purkynie w towarzystwie zawsze wesoły i żartobliwy odezwał się, że krajobraz jeszcze piękniejszym się wydać może, ale trzeba nań umieć patrzeć. Każdy z obecnych rad był się dowiedzieć o tym sposobie, by go co najprędzej zastosować, i dlatego też wszyscy na profesora zwrócili pytające wejrzenie. Niebawem udzielił nam wymowną odpowiedź: odwróciwszy się tyłem ku rozłożonemu w dole miastu prędko się nachylił, dotykając głową prawie ziemi i tak patrzył przez chwilę. Chociaż między obecnymi byli ludzie o cztery i trzy razy młodsi od Purkyniego, nikt przecież z tego sposobu nie chciał, czy też nie mógł korzystać.

Tak śmiejąc się i zazdroszcząc staremu profesorowi jego humoru i zdrowia, dzwonem kościelnym wezwani zostaliśmy na nabożeństwo. Odprawiał je znany chlubnie w czeskiej poezji z przekładów greckich pisarzy, ksiądz kanonik Winiarzycki, który po nabożeństwie z kilkanaście osób zaprosił do siebie. Po miłej gawędce, przy odejściu każdy z obecnych na prośbę gospodarza złożyć musiał swój bilet wizytowy, na pamiątkę tych wspólnych odwiedzin. Pamiętam, szanowny Hanka kłopotał się, że ostatni bilet oddaje, nie przeczuwając, iż pół roku nie upłynie, a jemu już bilety potrzebnymi nie będą. Młodzież tymczasem udała się z powrotem ku miastu. Wkrótce i my pożegnaliśmy Wyszehrad i przebywających tam kanoników ks. Winiarzyckiego i ks. Sztulca. Towarzystwo się rozpierzchło tak, że tylko Purkynie, młody poeta Józef Kolarz i ja dążyliśmy ku Karolowemu rynkowi. Za kościołem Emausskim posłyszeliśmy w ogródku dla

publiczności otwartym ochoce śpiewy. Wszedłszy tam, znaleźliśmy też samą gromadę młodzieży dorosłej, siedzącą przy ogromnych stolach, z kufkami w rękę i śpiewającą pieśń: „Hej Słowianie.” Skoro tylko spostrzegli Purkyniego, wszyscy z uszanowaniem żywo powstawszy, dzierżąc kufki w podniesionych rękach, zaśpiewali hymn powitalny na cześć swego mistrza. Śpiew trwał krótko, bo sędziwy starzec skinął ręką i wszyscy umilkli, a on z widocznym rozrzewnieniem i łzą w oku dziękował im za cześć i miłość, jaką go otaczają. Był to prześliczny i wzruszający obraz i pełna zapału młodzież, z ust której płynął potok rozdierającej zbolełą pierś melodyi, i ten starzec, którego słowo z taką siłą jak prąd elektryczny działa, nie tylko na obcym, ale na każdym widzu sprawiały nieokreślone wrażenie. Potem śpiewy trwały z godzinę: śpiewano wiele pieśni narodowych, kilka Czelakowskiego, a skoro po jakimś czasie, siedzący na uboczu Purkynie z ogródka wychodził, znów zabrzmiało czeskim obyczajem przy powstaniu i podniesieniu kufków pożegnanie, chórem wygłoszone: „*s Bohem! s Bohem!!*”. Drugi dowód miłości ku Purkyniemu, stanowią przypisywane mu dzieła przez dawnych jego uczniów z największą czcią o swoim profesorze się wyrażających. Do takich zaliczyć wypada i prawie wszystkie dySSERTACE Purkyniemu dedykowane, z czeskich dzieła Krejczego Melichora, kilka niemieckich, a z polskich drugi tom Anatomii opisowej Dra Ludwika Neugebauera.

Dla dopełnienia charakterystyki winienem dodać, że Purkynie ma postawę okazałą, pełną godności, nosi się prosto, chód ma poważny, z rękami często w tył założonymi i twarzą w miarę wzniesioną, z której promienieje dobroć i mądrość a często wesoły uśmiech. Silna jego organizacya każe się spodziewać, że mimo podeszłego wieku, jeszcze wiele lat przeżyć może, czego mu z serca życzymy.

Przed zakończeniem muszę jeszcze kilka słów powiedzieć o epoce odrodzenia się czeszczyzny, z obawy, aby mi nie uczyniono zarzutu, iż zasługi Purkyniego względem kraju za bardzo wynoszę. Gdzieindziej zapewne by-



łyby one nie tyle wybitne, ale w Czechach w owym czasie rzecz się miała inaczej.

Niezmiernie ciekawa historia Czech uczy, że czem była bitwa na Kosowem polu dla Słowian południowych, tém nieszczęsna walka Białogórska w r. 1620 dla czeskiej niepodległości. Od dnia owój bitwy oplakana przyszłość, rozwinęła swój żałobny sztandar dla całej krainy. Pominąwszy, że 6,000 Czechów legło na Białej górze, możnaż zamilczeć o krwawej egzekucyi Ferdynanda, dnia 21 lipca 1621 r., gdzie barbarzyństwo doszło do tego stopnia, iż z wielu na szubienicy straconych, Janowi Jesenskiemu sławnemu lekarzowi i rektorowi uniwersytetu, najprzód język wyrznięto, a po odcięciu głowy, ciało rozczwiertowano i po ulicach rozrzucano. Możnaż nie wspomnieć, iż z 4 milionów Czechów, ledwie 800,000 pozostało; że nowe rodziny baronów rakuskich posiadały ziemię, obsadzając urzęda po miastach samemi Niemcami; że nauki dążyły do upadku; że książki czeskie publicznie w perzynę obracano. Przecież książd Koniasz chełpił się, że własną ręką sześćdziesiąt tysięcy tomów spalił (1).

Wśród takich okoliczności i dalszych nieszczęść, które gradem się sypały na Czechy, to napadami Sasów 1631, Szwedów 1648, Bawarów i Francuzów 1741, Fryderyka Wgo 1744, rzeczy przyszły do tego, że najdroższa własność narodu, mowa, poszła w poniewierkę. Resztką szlachty (2) przyjęła niemczyznę nawet do codziennego użycia, magnaci byli obcym pierwiastkiem. Księża z ambon kazali po niemiecku, mieszczenie więc trochę z potrzeby, a więcej przez naśladownictwo w ślady stanu wyższego

(1) Dieje Kralostvi Czeského; sepsal Wladiwoj Tomek, w Prase, 1850.

(2) W roku 1860 w Czechach, magnackich i szlacheckich rodzin liczono tylko 132, które prócz siedmiu są ziemczale i nie wspólnego z narodem nie mają. Do rzeczonych siedmiu zaliczają: 1. Hr. Hanusza Kołowrata. 2. Księcia Jana z Lobkowie wojewodę rudnickiego, pana na Kouopiszczy, Zynkowie i innych. 3. Hr. Jędrzeja Chotek z Choczkowa, z Wojnina i syna jego hr. Rudolfa Chotek, ożenionego z hr. Auersperg. 4. Hr. Wojciecha Deym ze Strzyteie, który wydawał Hawliczkowe Narodnie Nowiny. 5. Barona Karola Villani. 6. Hr. Waldsteina. i 7. Barona Ehrenberg Jana, pana na Nawarowie.



wstępowali. Mowa czeska znalazła schronienie tylko w domach wieśniaków, otrzymując nazwę chłopskiej. I poczęto się wstydzić mowy ojców swych! Ten smutny stan trwał prawie do końca XVIII wieku. Wtém wybiła dla czeskiego piśmiennictwa godzina odrodzenia. Gromada ludzi młodych zamarzyła o wskrzeszeniu narodowego języka. Pierwszy wystąpił Wacław Maciej Kramerius (1753—† 1808), mąż silny duchem i ufny w swe posłannictwo. Zaczął wydawać „Prażskie Nowiny” pisząc dla ludu powieści i zdarzenia historyczne poprawną czeszczyzną, wzywając do bronienia od upadku święto-Wacławskiej mowy. Jednocześnie, gromiąc ostro mieszczan i literatów, założył w Pradze księgarnią czeską, zkał książki na odpusty i jarmarki po całym kraju rozsyłał. Sam napisał i przełożył 84 dzieł czeskich. Zamiar i jego usiłowania nie były daremne. Wnet znalazł wielu naśladowców, a wśród tego zjawił się posągowy człowiek Dobrowski (1753—† 1829), który pchnął naprzód silnie ideę czeszczyzny i pierwszy zaznajomił obcych uczonych z nazwą czeskiego literata. Znakomity ten filolog oddający się badaniu mowy rodzinnej, którą wyrobił, znał języki hebrajski, chaldejski, syryjski i 64 dzieł po sobie zostawił. W roku 1792 udał się z hr. Sternbergiem do Sztokholmu po odbiór dzieł i rękopismów zabranych w czasie wojny trzydziestoletniej: wracając z niczem, odwiedził Warszawę i Kraków.

Około r. 1800 dwaj bracia: Jan Niejedły (1772—† 1842), Dr. praw i professor języka i literatury i Wojciech Niejedły ksiądz (1776—† 1835), wraz z Sebastianem Hniewkowskim (1770—† 1847) i ks. Ant. Puchmajerem (1769—† 1820), założyli czasopismo *Hlasatel*, którego celem było wskrzeszenie czeszczyzny i mocniejsze rozpowszechnienie rodzimego języka.

Usiłowania tych zacnych ludzi, jakkolwiek z początku słabo oddziaływające, z wolna nabierały szerszych rozmiarów i błogie owoce wydawać poczęły. W roku bowiem 1818 rodzi się myśl założenia Czeskiego narodowego Muzeum silnie przez Dobrowskiego popierana; w tymże roku występuje na widownią literacką Wacław Hanka (1791—† 1861), jako szczęśliwy znalazca rękopismu Królodwor-

skiego, który wnet tłumaczył na szesnaście języków, roznosząc imię znalazcy po całym świecie. Pelcel z rzeczywistą czeską nazwą Kožoszek (1734—† 1801), wydał już czeską kronikę, a co jest godnym uwagi, że Hibel (1786—† 1834) korektor drukarni, z oszczędności ubieranych ze swego zarobku, począł wydawać czasopismo w myśl Kromeriusa, bawiąc stosownymi artykułami lud i budząc zamiłowanie do czytania. Wkrótce spostrzegamy silniejsze objawy czeszczyzny: w roku 1828 powstaje *Czasopismo Muzeum Czeskiego poświęcone naukom*, pod redakcją sławnego dziś historyka Franciszka Palackiego (urodz. 1798); w r. 1834 zjawiają się pierwsze periodyczne pisma belletrystyce poświęcone: *Pszczola* i *Kwiaty*.

Nadto występują nieśmiertelne postacie europejskiej sławy: Józefa Jungmana (1773—† 1847), władcy mistrzowskiego stylu, twórcy znakomitego słownika, (objętością zbliżonego do naszego Słownika Lindego) i *Historii literatury czeskiej*, oraz głębokiego znawcy mowy staroczeskiej. W dziedzinie starożytności dopiero zmarłego Szafarzyka (urodz. 1795—† 1861), a na niwie nauk ścisłych Jana Presla (1791—† 1849), redaktora *dzienników: Krok i technologicznego*, oraz twórcy terminologii naukowej i autora znakomitej botaniki, chemii, fizyki. W poezyi spotykamy sławne imiona Jana Kollara (1793—† 1852), autora *Córy sławy*, która imię twórcy rozniosła po Europie i Franciszka Czelakowskiego (1794—† 1852), przez obcych jeszcze niezupełnie znanego. Dalej poetę Chmieleńskiego (1800—† 1839), Hawliczka (1821—† 1856), a żyjących K. J. Erbena (urod. 1811), Wacława Sztulca (urodz. 1814), oraz zmarłego przed kilką laty (w r. 1856) dramaturga i belletrystę Józefa Kajetana Tyla. Wszyscy powyżej wymienieni oprócz czterech ostatnich, do drugiej generacji należących, są prawie współcześni Purkyniemu, który się urodził roku 1787.

Dziś, po upływie lat 60<sup>ciu</sup> dzieło w imię świętej idei poczęte widzimy dokonane, ziarnko na niepewną rzucone glebę przy starannej hodowli siewców nie tylko że kiel puściło, ale obecnie stawszy się drzewem, poczyna rodzić owoce. Nowa generacya wydała z ludu, z którego i po-

przednicy pochodzą, szereg bardzo liczny o różnych siłach pisarzy; gorące zamiłowanie do mowy naddziadów wróciło, tak dalece, że chociaż nie wszyscy, to przynajmniej wielu brzydzi się niemczyzną. Co więcej, Niemcy na pograniczu Bawaryi i Saxonii na czeskiej ziemi osiedli, tylko 1 ½ miliona, zwolna w niektórych miejscach uczą się po czesku. Dziwny i błogi przewrót stał się na tej ziemi, której uprawiacze uspieni snem wiecznym legli w mogiłach, pewni, że posiew ich nie był daremny; jednego tylko pracownika zostawiwszy jakby na straży, a tym jest Purkynie! Szczęśliwy, że dożył tej chwili.



## KRONIKA LITERACKA.

*Uwagi nad dziełem: Juliana Bartoszewicza Historia literatury polskiej potoczny sposobem opowiedziana. Warszawa. 1861. Nakładem Michała Glücksberga. W 8ce. Str. 644, prócz tytułu, przemowy, podziału treści i skorowidza.*

Lekkomyślnością to się dzieje u nas,  
że sądy z wiatru czerpiemy.

Bartoszewicz.

Oprócz głównych bibliografów jakimi byli: Załuski, Janocki, Bentkowski i Lelewel, a ostatecznie Jocher, którzy przywieśli na pamięć narodowi naszemu cały szereg ludzi rozwijających dlań pismami swemi, w ciągu ósmiu niemal wieków, różnego rodzaju owoce wiedzy ludzkiej, znaleźli się nakoniec dwaj mężowie wielkiej pracy i głębokiej nauki: Wiszniewski i Maciejowski, co się już odważyli na skreślenie całkowitych dziejów literatury polskiej. Pierwszy rzucił już nawet zarysy historii cywilizacji naszej; drugi wiele nieznanych druków opisawszy, podał następcom ważne materyały do bliższego zapoznania się z duchem czasu do połowy XVII wieku w Polsce, i ze stopniem oświaty. Dzieła ich szerokiego rozmiaru a przytém nieskończone, wymagały treściwszego wykładu i dopełnienia, dla użytku zwłaszcza młodzieży i ludzi zajętych więcej czynem niż słowem, niemających dość czasu na czytanie i zgłębianie dzieł wielotomowych. Podjęło się tego dwóch miłośników nauki: Kazimierz Wład. Wójcicki i Ludwik Kondratowicz głównie, bo Mecherzyński wyłącznie tylko dzieje wymowy naszej opisał, Majorkiewicz zaś chociaż wiele obiecujący, niedokończone dzieło zostawił, a książka Lesława Łukaszewicza w pomnożonym wydaniu bibliograficzną raczej pracę przedstawia.

Teraz wystąpił z podobnym historycznym dziełem, uczony badacz dziejów Julian Bartoszewicz. Każdy z nich z innego stanowiska zapatrywał się na obrany przedmiot. Ostatni korzystając także z bogatych wiadomości, rozsianych w dziełach Wiszniewskiego i Maciejowskiego, wyraźniej jeszcze chciał się odróżnić od wszystkich poprzedników nowością układu i poglądu. Jakoż bezwątpienia, jedna to jest z prac dotychczasowych autora, najbardziej zastanawiająca tak z dodatniej jak ujemnej strony: wiele ma bystrych widoków co do stanu umysłowości naszej w różnych epokach, wiele śmielszego i nadto śmiałego sądu o ludziach i dziełach ich, chociaż bardzo raptownie pisana; jako zaś książka, porządnie i starannie wydana. Wszakże pomimo wielu zalet, są tu wady i skazy, które z pod pióra takiego znawcy dziejów krajowych, jakim jest p. Bartoszewicz, nie powinny byłyby nigdy wychodzić, i z których powodu jedynie wzięliśmy się do rozbioru tego dzieła, nie mając zresztą żadnego pociągu do polemiki.

Historia literatury p. Bartoszewicza nie jest nią w ścisłym znaczeniu tego słowa, bo wiele w niej pomysłów i twierdzeń wybiega za obręb tego przedsięwzięcia, a wiele znowu jest wyrzuconych z zakresu, jaki mu zwykle naznaczają najprzedniejsi twórcy dzieł tego rodzaju w Europie. Są to raczej studia nad historią literatury naszej i studia różnej wartości, z wyłączeniem wszelkich ścisłych czyli jak zowią dokładnych umiejętności, przy krótkiej o nich wzmiance, choć i tam także znajdują się piękne i świetne płody rozumu i nauki, które nie mało wpłynęły u nas na rozwój i postęp światła, zwłaszcza w ostatnich czasach. Jest to treściwy traktat historyczno-krytyczny o utworach poezji, wymowy i dziejów w literaturze polskiej.

Autor zaczyna swoje dzieło od poświęcenia go dzieciom, chociaż w żaden sposób tak ze względu rozniaru, jak z powodu samego układu i rozpraw krytycznych, oraz niektórych wiadomości niestosownych do wieku i pojęcia dziecinnego, dla żadnych dzieci nigdy przydatnym być nie może. Ale za to będzie to zajmująca książka podręczna dla nauczycieli literatury polskiej po zakładach naukowych wyższych, którzy potrafią z niej korzystać wyrzucając niektóre zbyteczne rzeczy, albo zmieniając zgodnie ze słuszością wszystkie porywcze opinie autora i uprzedzenia, a dodając dla uczących się przedniejsze wyjątki z utworów cenniejszych pisarzy. Jest to bowiem rzeczą niezbędną dla pożytku młodzieży i wrażenia jej w pamięć tych wszystkich piękności słowa polskiego, które ludzie powołani do tego darem Bożym głoszą



świata w rozmaitych kształtach i celach! Już poprzednik autora Kazimierz Wład. Wójcicki tylu pracami zasłużony pisarz u nas, pojął dobrze tę potrzebę łączenia z opowiadaniem dziejów literatury, przykładów i wypisów z autorów, dla lepszego z nimi obecniania uczniów i uczennic. Pan Bartoszewicz uczynił to gdzieś, mówiąc o dawnych pisarzach naszych; późniejsi i tegoż z niektórych poetów nie weszli do jego planu, zapewne żeby uniknąć powiększenia książki. A jednakże powiększył ją zbytecznym może rozpisaniem się o kronikach, o zabytkach bibliograficznych, bez czego jak dla dzieci obejśćby się mogło. I z tego zatem względu, jak się nam zdaje, praca ta p. B. użyteczniejszą będzie raczej dla tych, którzy już znają naszą literaturę, jak dla dzieci mających ją poznać jeszcze.

Na samym wstępie postrzegamy dwa sprzeczne z sobą zdania autora. „Literaturę, powiada on w § 3., str. 1, ma każdy naród, chociażby stał na ostatnim szczeblu cywilizacji”. Dalej zaś w § 4., str. 3 pisze: „Mogą mieć narody piśmiennictwo, a jednak nie mieć mimo to literatury.” Trudno to zrozumieć, bo skoro wszystkie na wpół dzikie narody już z rodu swego, że tak powiem, podług zdania p. B., mają sobie właściwą literaturę: nie może być zatem, ażeby te, które już się daleko posunęły w cywilizacji i zdobyły się na piśmiennictwo, nie miały mieć literatury. Błąd ten wynika z bardzo subtelnego podziału wszystkich płodów piśmiennych naszej mowy, który p. B., chce wprowadzić na miejscu dotychczasowego. Nie przestaje bowiem autor na literaturze przezwanój od Maciejowskiego piśmiennictwem, wyrazie oznaczającym cały zbiór bogactw umysłowych narodu, które istotnie przyłożyły się do uczynienia go cywilizowanym, i na bibliografii obejmującej spis dokładny tego wszystkiego, co ludzie poświęcający się naukom, albo obowiązani ze swego stanowiska do podania wiadomości publicznej, ogłosili drukiem w każdym rodzaju wiedzy. Autor, mówię, nie przestaje na tém, rozróżniając literaturę od piśmiennictwa. Jego zdaniem, to ostatnie ma oznaczać to wszystko co utworzył jakikolwiek naród w słowie, drukowaniem lub pisanem, bez żadnego względu na wartość i na treść tego co utworzył. Literatura zaś właściwa powinna być wyborem z piśmiennictwa, częścią jego piękniejszą, szlachetniejszą i więcéj idealną. Do piśmiennictwa podług p. B., należy i to wszystko, co jest niepiękne i mniéj szlachetne jak fizyka, matematyka, prawo, filologia, ekonomia polityczna, a nawet teologia, zresztą i to wszystko co ładajako jest napisane (§ 4, str. 2). Pi-



śmiennictwo jest rodzajem rzemiosła: książki bywają nieraz wyrobami potrzeb czasowych, które skoro przeminą, książka starzeje i zapominają o niej. W dziedzinie literatury działa tylko duch wybrańszy, który się obraca w sferach idealnych nie materialnych, i który tworzy to co ma wartość mniej więcej dłuższą, a nawet wiecznie trwałą. Taka jest teoria p. B; podług niej zatem zdawałoby się, że i nasz Ciołek (Vitelio) a przynajmniej Kopernik, powinni być policzeni ze swemi wiekopomnymi dziełami i wynalazkami do literatury, jako twórcy nowych nauk i systematów, które trwają dzięki Bogu dotąd od tylu wieków. Aż tu zupełnie przeciwnie. Żaden z nich jako *paria* bo do fizyków i matematyków należący, nie mogą dostąpić tego nowego szlachectwa naukowego; lepiej wyszedł nasz poczciwy i jowialny Pasek, ze swemi wybornymi Pamiętnikami, który jako szlachcic *de jure et hajda* z urodzenia, a podwójnie uszlachcony na mocy nowej teorii autora, o mało co nie został podniesiony przez p. B., do naczelnictwa jednej z epok historii literatury (ob. str. 16)! Jakiż to los Kopernika! Nie myślimy narzucać nikomu naszych opinij, ale nam się zdaje, że dwa tylko są istotne podziały główne w historii płodów umysłowych narodu. Literatura obejmująca całą dziedzinę ideału i nauk ścisłych z odrzuceniem tego tylko co nie warte zachowania i pamięci ludzkiej: bo wszystko co się w jakiegokolwiek gałęzi wiedzy przyczynia do ukształcenia umysłu i upowszechnienia oświaty i cywilizacji narodu, jest równie szlachetnym i pożytecznym; i *bibliografia* jako powszechny i wielki inwentarz słowa pismem i drukiem wyrażonego, z zaniechaniem tych chyba płodów nędznych, które na nic się nikomu nie zdadzą i do żadnego użytku nie służą. W prolegomenach swych autor rozbiera, co jest we właściwym i ścisłym znaczeniu literatura, odróżniając ją od piśmiennictwa, które ma w części za bibliografią, chociaż wyraz ten wynalazł Maciejowski na oznaczenie właśnie saméjże literatury. W literaturze tylko, podług autora, jest *tworzenie*: idealne w filozofii, uczuciowe w poezji, a *odtworzenie* tego co było, w dziejach. W piśmiennictwie kompilacja. Nauki czyli umiejętności nie warte są należeć do literatury. Dzieła o fizyce, matematyce, astronomii, chemii, i t. d., ponieważ celem ich jest, jak autor twierdzi, rozwój tylko przemysłu (??) są *choćby najgenialniejsza, prostym wyrobem jak pierwsza lepsza machina rolnicza* (str 3). Jakiż to paradoks! Czyż Humboldt przedstawiając w uroczych swych opisach wspaniałe obrazy Andów lub Kordyliarów, i na olbrzymich szczytach tych gór, albo w głębi odwiecz-

nych lasów, okrywających wybrzeża ogromnych rzek Ameryki badając tajemnice przyrody, nie był twórczym i poetycznym? czyż i uczucia jego na widok tylu cudów Boskich, poruszone uwielbieniem, nie wylały się w piórze, którym kreślił swoje wspaniałe obrazy? Albo Buffon nie byłże razem twórczym malując cudnymi słowy wszystkie odmiany i przeobrażenia, wszystkie obyczaje żywota jestestw zapełniających ziemię naszą? Albo nasz wielki Kopernik ścigając okiem i umysłem po głębi wszechświata, drogi i obroty ciał niebieskich, nie posiadałże władzy odtwarzania ich ruchu, który Bóg stworzył, ale na długo zakrywszy przed ludźmi, jemu dopiero dał moc odsłonięcia tak wielkiej tajemnicy? Tak tedy podług owój zasady autora, Bacon, Newton, Kepler i nasz biedny Kopernik, nasz Witelion, są po prostu wyrobnikami, maszynistami? A cóż dopiero mówić o Heweliuszu, Poczobucie, o Jędrzeju Śniadeckim, którego Teoryą jestestw organicznych zna Europa, przełożywszy na francuzki i niemiecki język; cóż o Janie Śniadeckim, którego autor tak serdecznie niecierpi i poniża, pomimo jego pism ocenionych nietylko w kraju, lecz i za granicami jego, bo wyższych nawet nad ówczesny stan nauk matematycznych, o czém nie wiedział p. Bartoszewicz, ale o czém wiedzą właściwi sędziowie, i o czém może się wkrótce dokładniej dowie. Nie wspominam już o współczesnych nam znakomitych uczonych na polu scyentyczném: o astronomie Baranowskim co tyle się zasłużył prócz innych prac swoim pięknym przekładem dzieł Kopernika, o Antonim Wadze uczonym naturaliscie pierwszego rzędu, o Jastrzębowskiem niepospolitym badaczu przyrody, o Zejsznerze jedynym geologu naszym i o tylu innych. Ci wszyscy ze swoją wysoką inteligencyą, która ich usposobiła do zagłębienia w najgłębsze tajniki przyrodzenia, w świat Boży, co nas otacza, a do którego poznania dążymy ciągle z woli i przeznaczenia Stwórcy; ci wszyscy nie będąc zwolennikami samej fantazyi, nie pracując w sferach tylko uczucia, nie mogą należeć ze swojemi pismami i nowemi pomysłami lub odkryciami do naszej literatury i do jej historii, choćby swym geniuszem lub talentem, przeniknęli w te światy mało znane, dziwne a jednak prawdziwe, których imagiacya ludzka, choćby najbujniejsza nawet, nie umiałaby bez pomocy nauk ścisłych należycie pojąć i wystawić.

Za szczupłą jest wreszcie nasza literatura jeszcze, żeby z jej obrazu wyłączać płody inteligencyi naszych współziomków na inném, różném od fantazyi i uczucia polu pracujących. Kiedy Tiraboschi, a po nim Ginguené mogli tak rozległój i tak dawnój

literatury jak włoska, w pięknych i pomnikowych dziełach swoich wystawić historią we wszystkich jej gałęziach: czemużby u nas, w naszej daleko młodziej cywilizacji, nie miano temu wystarczyć. Sam p. Bartoszewicz mógłby tego dokazać. Tylko dobrych chęci potrzeba a więcej wyrozumiałości. Zostawmy Francuzom, których literatura do olbrzymiej rozciągłości doszła, opowiadać jej dzieje osobno w każdym rodzaju wiedzy; nie dziwny się Anglikom, że Warton, jednej tylko ich poezji historią w grubém dziele zostawił. Mogą wreszcie Niemcy przywykli do drobnostkowych spekulacyj ciąć na kawałki wiadomości ludzkie i wszystkie ich koleje w najmniejszych szczegółach opisywać. U nas jeszcze nie czas iść tą drogą, tembardziej w podobnych podręcznikach czyli Handbuchach, na jaki się p. B. zdobyć usiłował. Czuł to i autor nawet, bo pomimo teorii swojej, rozróżniającej literaturę od piśmiennictwa, sam dostrzegł i przekonał się, że niepodobna jest ściśle określić granicę tych dwóch pojęć. A nakoniec idąc za popędem naturalniejszym i właściwszym, chcąc nie chcąc musiał wspomnieć choć pobieżnie o uprawie nauk ścisłych w Polsce, i o tych, którzy nad niemi z korzyścią i zaszczytem w ojczystym lub łacińskim języku pracowali. I nie mogło być inaczej. Szkoda tylko, że nieraz w ich ocenieniu, albo nie chciał oddać sprawiedliwości równej ich zasługom, albo niewczesnym opisem biograficznych drobnostek zastępował dokładne wystawienie ich prac i bezstronne oszacowanie ich talentu! Tak więc nie mogąc jaśnie i stanowczo oznaczyć odrębnych cech literatury i tego co nazywa piśmiennictwem, w porównaniu z bibliografią, po lekkiej wzmiance o filozofii literatury czyli właściwiej o historii cywilizacji narodu, daje program tego wszystkiego, o czém ma pisać w swojej książce i w nim odstępuje niemal zupełnie od swojej z góry ułożonej teorii. I słusznie, bo jakże naprzykład wyrzucać z historii literatury naszej filologią polską, wszystkie najważniejsze prace około uprawy języka narodowego, kiedy ta mowa jest pierwszym niezbędnym narzędziem téjże samej naszej literatury i kluczem do skarbnicy wszystkiej naszej wiedzy. Jednym słowem autor zaledwo utworzył nową teorią, sam ją natychmiast obalił. Lepiejże było nie trudnić się nieużytecznym wynalazkiem, który do niczego nie służy, chyba dla odróżnienia się od innych. A kiedy p. Bartoszewicz nie uznaje szlachetności nauk ścisłych i tych wszystkich umiejętności, które nie są poezją, wymową, filozofią lub historią, niechby napisał tylko historią tych ostatnich, to jużby było logiczniej, choćby to nie dało wyobrażenia o stanie umysłowym naro-



du w każdym okresie jego życia. Ale wtenczas niktby już nie miał powodu oskarżania go, jeżeli nie o małe oswojenie się z umiejętnościami dokładnemi, to o lekceważenie tych, którzy nie mniej od poetów, mowców, filozofów i dziejopisów, przyczynili się do rozwinięcia w umysłach młodzieży zdrowych pojęć o świecie, na którym żyją, a zatem do cywilizacji narodu. Wszystkie nauki, wszystkie źródła wiedzy ludzkiej, wszystkie jój objawy, z natchnienia lub badania przyrody wynikające, tak ściśmym wiążą się z sobą łańcuchem, że chcąc go rozerwać, trzeba koniecznie splątać się i wpaść w labirynt nieskończonych sprzeczności.

Następnie opowiedziawszy p. B., bardzo trafnie źródło i początek łacińsko-polskiej literatury, która poprzedziła ukształcenie czysto narodowej polskiej, i długo jeszcze jój towarzyszyła; wytłumaczywszy się dla czego z obrazu literatury polskiej nie może być wyłączona połowa jój łacińska, co żadnemu zarzutowi nie ulega; rzuciwszy nakoniec kilka uwag o tych, co przed nim w tym zawodzie pisali, przystępuje do podziału historii literatury na epoki czyli okresy. I tu chce iść także nowszą drogą od znanych, nie bez słuszności. Ale zdaje się, że i tym razem nie trafia na najlepszy gościniec, który istotnie z powodu wielu manowców i zakrętów, trudny jest do wyszukania. Autor chcąc zastosować okresy literatury do historii narodu, dzieli je z początku stosownie do tego założenia, na Piastowski, Jagielloński, Zygmunowski czyli wiek złoty; ale zaraz po tym ostatnim nie wiedząc co zrobić z epoką zepsutego smaku i upadającej literatury, tworzy okres panegiryczny. dalej wraca do pierwszego systematu i piąty okres nazywa Stanisławowskim, szóstemu zaś nadaje tytuł okresu Mickiewicza. Niedosć na tém: do nazwy każdej epoki, przydaje drugą, okres np. Jagielloński mianując okresem Długosza, wiek złoty okresem Reja z Nagłowic i Kochanowskiego. Prócz tego nieoznaczając żadnemi datami pewnemi tych epok, i słusznie, zmuszony jest wszakże samym widokiem zmieniającej się dążności literatury i ducha czasu, sięgać zawiązku każdej epoki wyżej nad nią, to jest z poprzedzającej. Ta mieszanina w podziale i nazwaniu okresów naszej literatury dowodzi niepewności nowego systematu p. B., i równie niedostateczności jak dawniejsze poprzedników jego. A bodajże, czy nie trafniejszy byłby podział na zwroty, tylko różne nieco od zwrotów wynalezionych przez Maciejowskiego. Trudno bowiem ściśle oznaczać epoki równie od dynastji jak od uczonych, bo każda niemal miała swoje przygotowanie, swój zawiązek w poprzedzającej. Makaronizmy okresu

czwartego autora zaczęły się już w XVI wieku; dowodem tego między innymi listy Zygmunta Augusta wydane przez Lachowicza. Już Górnicki wyrzucał Polakom owę mieszaninę łaciny ze swoim językiem. Zgadza się więc, że niesłusznie byłoby wadę tę przyznawać samym Jezuitom, bo do tego skażenia mowy ojczystej, wspierały ich na tej drodze inne powody i okoliczności. Pomagali im i prawnicy (Palestra), rzecznicy, pomagały wszelkie stosunki z cudzoziemcami, tak w polityce jak w naukach. Ale też znowu jeżeli nazywając okres upadku literatury w naszym narodzie, panegirycznym i makaronicznym, usuniemy ztąd razem z p. Bartoszewiczem wpływ Jezuitów na tę epokę: będzie to błędem i niesłusznnością. Bo kto trzymał w ręku przez dwa wieki w Polsce, całą instrukcją publiczną młodzieży, ten nie tylko powinien był dać narodowi oświatę i literaturę, ale nawet przeszkody polityczne i wojenne, wzrost ich tamujące, zwyciężko przełamać nauczaniem postępowym i narodowym. Tymczasem inaczej się działo, a Jezuiti uczeni i dzielni do pokonania reformy zasnęli potem z małymi wyjątkami głębokim letargiem, ofiarując literaturze krajowej zamiast zdrowej nauki w słowie ojczystym, dziwotworne plody skrzywionego rozumu w napuszonych i często niecnym pochlebstwem skażonych panegirykach. Z tych więc przyczyn, pomimo całej skłonności i powolności autora dla Jezuitów, wątpimy, ażeby piszący po nim historią literatury, albo sami nawet dzisiejsi czytelnicy, zgodzili się na przezwanie epoki upadku jej w Polsce, okresem makaronicznym i panegirycznym, bez przydania do tego, imienia Jezuitów, którzy właśnie byli głównymi tej wady rozkrzewicielami! Słuszniej autor nazwał przedostatnią epokę literatury naszej okresem Stanisławowskim, bo ten król opiekując się gorliwie naukami i uczonymi podniósł istotnie ją wysoko. Ale że już to odrodzenie oświaty i literatury zaczęło się za Sasów od Stanisława Konarskiego, p. B. zatem okres ów chociaż Stanisławowskim tylko nazwany, zaczyna jednak od połowy panowania Augusta III. Nie chciał zaś dlatego przypuścić sławnego autora księgi *o skutecznym rad sposobie*, do wspólnego naczelnictwa epoki z Stanisławem Augustem, że go wybrał razem z kilką innymi mężami dotąd u nas sławnymi i zasłużonymi, jak Czackim, Janem Śniadeckim, Stanisławem Potockim, Edwardem Raczyńskim i t. d., za cel poniżenia i odarcia z uznanej dotąd przez wszystkich chwały. Inną bowiem przyczyną, pomimo wszelkich argumentów przeciw nim wymyślonych od p. B., znaleźć nie możemy. Lepiej więc postąpił Wiszniewski nazywa-

jąc czas naprawy nauk i odrodzenia literatury, epoką Konarskiego i Stanisława Augusta. Chociaż zdawałoby się nam, że przywiązując główne zmiany i zwroty w dziejach literatury naszej do osób, niemożna dojść do prawdziwego oznaczenia jej epok. Bo jeżeli naprzykład mamy z autorem pierwszeństwo w epoce drugiej Długoszowi, niezważając, ani na Grzegorza z Sanoka, potężnego wpływu mędrca, ani na Głogowczyka: toć trudno będzie w okresie trzecim Reja tylko i Kochanowskiego postawić na czele literatury, opuszczając Skargę. Gdyby zaś przyszło do przedstawienia obrazu całej cywilizacji i oświaty w Polsce w epoce Zygmuntofskiej, nie zaś tylko samej nadobnej literatury, jak ją zowią: wtenczas podobno wypadałoby przyznać Kopernikowi to przewodnictwo okresu.

Wszystkie koleje, przez jakie przeszło kronikarstwo nasze w epoce Piastowskiej, skreślił p. B., jak prawdziwy znawca, krytycznie a nadewszystko poważnie, co nie zawsze jest mu zwyczajnym. Wsparty poszukiwaniem Wiszniewskiego i Bielowskiego i sam także z czytania mnogich dyplomatów, dodał i sprostował wiele rzeczy. I tu wszakże odbiła się w jednym jego zdaniu, zdaje się wrodzona już p. Bartoszewiczowi skłonność do żółciowej, że tak powiem krytyki. Pisząc o tak nazwanym Anonimie archidyakonie gnieźnieńskim, którym był Janko z Czarnkowa, powiada (str. 52), że to był znakomity historyk swojego czasu: *albowiem bezwątpienia jest to najlepszy kronikarz polski tego okresu. Przed nim w ogóle wszyscy wszystkich chwala, wyjąwszy Bolesława Śmiałego. Janko pisze piórem w żółci maczaném.* Dalej dodaje p. B., że *mści się na swoich nieprzyjaciółach i czarno ich bardzo wystawia* i t. d. To są więc podług p. Bartoszewicza zalety dobrego historyka, i dla takich przymiotów Janko podoba mu się i uchodzi w jego mniemaniu za najlepszego kronikarza, ze wszystkich mu współczesnych! Nie życzyłbym samemu p. B., żeby kiedyś tym sposobem był poczytany za najlepszego dziejopisa u potomnych. Nie stosownie potem przy kronikach autor rozprawia o dyplomatarzuszach. Dosyć było powiedzieć o samych dyplomatach, gdyż dyplomatarzusz nie należą wcale do tego czasu, a dwa razy o nich pisać zanadto. Lepiej było cokolwiek szerzej i z większą uwagą na stan kraju, skreślić rys prawodawstwa ówczesnego. W okresie drugim, gdzie autor mówiąc (str. 76) o najdawniejszych książkach polskich, przytacza pierwsze dzieło lekarskie Falimierza, dodając, „że jest porozumienie, że Spicyński układał to dzieło i wiele innych ksiąg o ziołach drukował, do czego miał mu po-



magać Marcin Siennicki”: prostujemy tak tę niedostateczną wiadomość. Spiczyński nie układał dzieła Falimierza, ale po prostu przepisał je, mało co przerobiwszy; i nic innego nie drukował. Po tém znowu toż samo Siennik (nie zaś Siennicki) zrobił, wydając przerobionego Spiczyńskiego. Należało tu jeszcze wymienić bardzo ciekawą przemowę drukarza Floryana Unglera, do księgi Falimierzowój czyli *Zalecenie* dzieła czytelnikowi, wyświecającą ówczesny stan pisowni polskiej. Zajmujące znajdujemy dalej w dziele p. B., wiadomości o pisarzach pod tytułem „poezya czysto polska”. Szkoda tylko, że samój ich poezyi nie widzimy, którą zastępują zupełnie szczegóły biograficzne. Za to ciekawe nam podał autor wspomnienie o hymnie przypisywanym Św. Kazimierzowi. Pomijając wreszcie wiadome już zkądinąd rzeczy o zasługach Grzegorza z Sanoka i Jana Głogowczyka, musimy tu jednak zrobić uwagę co do kanclerza i prymasa Łaskiego, że dwa epiteta nadane mu przez autora, to jest wyrozumiałego i razem popędliwego, trudne są do pogodzenia w publicznym człowieku, i że autor w tém wspomnieniu o tak znakomitym mężu stanu zapomniał się zupełnie, że pisze historią literatury nie zaś biografią. Mamy tu życie Łaskiego, a zaledwo kilka słów o zbiorze jego praw. Więcej cokolwiek i stosowniej zajął się p. B. Ostrorogiem, nad którego pamiętném dziełem wskazującém potrzebę reformy praw rzeczypospolitej dłużej się nieco zastanowił, niż nad jego życiem. Piękny opis żywota i dzieł Długosza jest prawdziwą ozdobą téj części dzieła p. Bartoszewicza. Autor nie skąpi w nim pochwał ojcowi naszych dziejopisów i pochwał zasłużonych. Czemuż niechce być równie sprawiedliwym względem tylu mężów znamienitych rozumem, cnotą i zasługą, których przez niepojęte dziwactwo swojego popędliwego sądu, potępia i szkaluje bez żadnych dowodów, albo dla błahych pozorów, jak to wkrótce zobaczymy. Czemuż nie chciał naśladować w tém owego bezimiennego pisarza żywota Długoszewego, o którym sam właśnie powiada na str. 122, że „jest umiarkowany w zdaniu, wstrzeźmieliwy w naganie, bezstronny w pochwałach”? Po Długoszu idzie niemniej zajmująca biografia Kallimacha, i krótkie, ale ciekawe porównanie z Długoszem. Tu jednak spotykamy błąd grammatyczny, którego pominąć nie możemy, właśnie dlatego, że p. B., jak to widać z wielu pism jego, czystość języka i tych, którzy o nią się troszczyli, ma za rzecz podrzędną. Autor powiada (str. 124) „pisał téż Kallimach *żywota* kardynała Zbigniewa i Grzegorza z Sanoka.“ Może to być modnie pisać *żywo-*

ta zamiast staroświeckiego *żywoity*; ale nasz złotousty Skarga pisał *żywoity* (świętych). Wreszcie mamy: grot, groty, lot, loty, a nie grota i lota, i t. p. Pominąwszy ten usterk, wszystko zresztą co kończy okres drugi historii literatury, i przestrogi naszej królowej Elżbiety matki liczne go potomstwa Jagiellonów pisane po łacinie, do których jednak wypadło przyłączyć wzmiankę, kiedy się wynalazły i ogłosiły światu, i bardzo trafne uwagi o kronikach litewskich, jest ważnym i pożytecznym, nie dla dzieci wprawdzie, ale dla dojrzałych czytelników i usposobionych do odróżnienia co jest dobrzym i prawdziwym a co mylnym i szkodliwym, w tym osobliwym utworze p. Bartoszewicza. Pod tytułem nauki (umiejętności) znowu autor swoim zwyczajem więcej dbając o biografię uczonych, jak o ich dzieła, wypisuje szczegóły życia Brudzewskiego a żadnej wzmianki nie robi o pismach tego niepospolitego matematyka, z którychby można wnioskować o stanie i sposobie uczenia ścisłych nauk w akademii krakowskiej, w której Brudzewski nauczał a Kopernik uczył się astronomii.

Pięknym, treściwym poglądem na dzieje względnie do literatury, otwiera autor okres trzeci swojej historii. Zwrócić tu jednak uwagę p. B. winniśmy, że reforma w XVI wieku czyli jak ją wówczas zwano „genewskie nowinki” do Litwy i do Wilna najprzód nie z Szwajcaryi (str 140), lecz niemal prosto od Lutry przez Królewiec wprowadzone zostały. Na stronnicy zaś 144, autor utrzymuje, że Radziwiłłowie w Litwie działając przez literaturę w swoich osobistych widokach, mieli także dobre chęci dla pouniesienia oświaty i nauki w ojczyźnie. I na dowód tego przytacza Radziwiłła Czarnego, który przez literaturę upowszechnił zasady reformy Kalwina, oraz syna jego Sierotkę, który przeciwnie, jako nawrócony do wiary dawnych przodków niszczył wszystkie pamiątki religijno-literackie po ojcu. Nie wiemy tedy jak tym sposobem mógł podnosić nauki. To jest trochę nie logicznie, a może téż ciemno wyrażone. W obrazie współzawodnictwa akademii krakowskiej z Jezuitami nie był autor zupełnie bezstronnym. Wszędzie u niego Jezuici wygrywają, wszędzie wyżej stoją od akademii, która chociaż podupadająca dla braku mecenasów i skutecznej opieki rządu, dla ubóstwa jej funduszków, dostarczyła jednak wielu swoich uczniów do zasilenia i uświetnienia samegoż zakonu jezuickiego, a zatem nie musiała gorzej od nich uczyć. Owszem Jezuici z początku dzielni nauką, pracą i wymową, póki nie pokonali reformy, stali się dość prędko, zasnawszy na laurach, niedołężnymi i wstecznymi przewodnikami

instrukcyi publicznej, gorzej jeszcze ucząc od akademików krakowskich. Pisze p. Bartoszewicz (str. 151) „cóż szkodzić mogło akademii inne zgromadzenie uczone?” a zapomina, że Jezuitów główną zasadą było wziąć w rękę wszędzie i wszystką naukę młodzi, wszystkie szkoły; i że oni wcaleby nie przestali na jednem tylko współzawodnictwie z akademią, lecz dążyli właśnie do opanowania saméjże akademii. I dokazałoby tego, gdyby się im oprzec nie umiała. Wątpimy, żeby nawet osiągnąwszy ten cel, zakon ów przeważył pożytkiem swym dla kraju, szkodę czynioną mu przez opuszczenie się akademii. Sam siebie zbija p. B., mówiąc w ważnym i nowym ustępie o Maryckim czyli Szymonie z Pilzna, że ten niepospolity człowiek, professor akademii krakowskiej, napisał dwie księgi o szkołach, pierwszy ze wszystkich upominając się wymownie o dźwignienie akademii i całej edukacyi narodowej; gdy tymczasem nieco wyżej (str. 154) Jezuitom przyznawał wołanie o reformę szkół i nauk! Co większa, z dzieła Maryckiego pokazuje się właśnie najdowodniej, że źródło upadku akademii krakowskiej, nie było wcale w niedbalstwie jej członków, ale w opuszczeniu jej przez królów i w oziębłości narodu. Paragraf 86 o rozwijaniu się różnowierstwa w Polsce i o szkołach dyssydenckich, wytrawnego historyka piórem skreślony. I w ogólności wszystko to, co o zapasach piśmiennych protestantów z Jezuitami powiedział p. B., objaśniony pracami Łukaszewicza i wielu innych, jest treściwie i dokładnie przedstawione. Nie zgadzamy się jednak z autorem, żeby Wolan był opętany jakimś widmem (str. 181) i żeby pisał o tém czego nie rozumiał. Wolan był zaciętym kalwinistą i tylko w zasadach swego wyznania widział prawdziwą religią, gromiąc również surowo Jezuitów jak Aryanów; pisał dobrze a był takim jak tyłu jemu podobnych w owym czasie zaciętych nowatorów. Tylko był czynniejszym od wielu współbraci i nadzwyczaj zdolnym. Że zaś, jak mówi p. B., uderzał na prawo i na lewo, i wszystkim dał się we znaki: cóż w tém dziwnego, kiedy i teraz mamy takich, co podobnie postępują, źle używając swoich niepospolitych talentów i nauki, tych darów Boskich, których marnować się nie godzi bezkarnie. Szkoda, że między pisarzami polemicznymi ze strony kościoła katolickiego, wzmiankując o Marcynie Szmigleckim Jezuitcie, nie dodano o jego zasługach w ogólnej literaturze europejskiej, przez co znakomite imię zjednać potrafił u postronnych. Przystępując autor do początków właściwie polskiej literatury, objawiających się dopiero w XVI wieku, pilniej się w ten nowy przedmiot wpa-



truje, niż w poprzedzające. Długa rozprawa o sławnym Mikołaju Reju, jest rozdziałem dobrze wypracowanym. Tu już i drobne szczegóły jego życia właściwsze są, bo silnie związane z jego pismami. Na ten raz darujemy więc autorowi, że się wdał swoim zwyczajem w szersze opisy biograficzne, nad stosowny zakres dla dzieła mającego opowiadać dzieje literatury. Korzystając z tej licencji, ośmielamy się dodać z dokumentów po archiwach litewskich znajdujących się, że wnukowie sławnego Reja w prostej linii, długo przebywali na Litwie. Mikołaj bowiem Rej, najstarszy syn jego pojawiający za żonę córkę Jana Chlebowicza z Dąbrowny, wojewody wileńskiego, Dorotę, miał z nią pięciu synów: Mikołaja także, Jana, Krzysztofa, Jerzego i Andrzeja. Ci wzięwszy po zgonie ojca macierzysty majątek w Litwie, składający się ze znacznych dóbr zwanych Wiązowiec z wielą folwarkami, w powiecie słonimskim położonych, zamieszkali tu dość długo przy matce swój widać owdowiałej. Ale nie byli to już ludzie zajmujący się naukami i pisanie ksiąg, jak ich dziad. Pozostałe ślady w aktach dowodzą wielkiej ich niezgody z potężnym sąsiadem książęciem Jerzym Mikołajewiczem Radziwiłłem, najprzód wojewodziecem nowogrodzkim, a później kasztelanem połockim, dziedzicem dóbr Zblany i Bielica, o spory graniczne. Zawzięte między nimi procesa o wzajemne najazdy i pobicia rządców dóbr i włości, trwały od roku 1597 do 1606. W tymże samym czasie kilka znacznych folwarków od tychże dóbr w zastaw różnej szlachcie oddawali, i zdaje się, że nie długo osiedzieli się na Litwie, zawsze jednak pisali się Rejami z Nagłowic. Wracając z tego wybożenia znowu do dzieła p. Bartoszewicza, wyznajemy, że to co napisał o Reju, Kochanowskim i Skardze, o tych trzech najświetniejszych przedstawicielach złotej epoki naszej literatury, jest największą okrasą jego pracy co do tej epoki. Dzieła i zasługi Skargi opowiedziane są z zapałem i po większej części sprawiedliwie ocenione. Wszakże zbyteczne upodobanie autora w Jezuitach, i usiłowanie oczyszczenia ich od wszelkich win i wad, które im naród zarzuca, niczem nie może być usprawiedliwione. „Nie Jezuitci, ale upadek światła zgubił sprawę rzeczypospolitą” mówi autor (str. 234). Zapytujemy go: czy Jezuitci osiągnąwszy następnie i to jeszcze w świetnej epoce pomyślności krajowej całą niemal instrukcją młodzi naszej i kierując ją blisko dwa wieki, naprawili w dalszych pokoleniach ten uszczerbek światła, czy starali się wpoić ducha porządku, czy zasiaли ziarno zdrowej nauki? Czy

z drugiej strony, co gorsza! rządząc sumieniem wszystkich matek w rodzinach i po większej części ojców rodziny, obracali ten wpływ potężny na dobro kraju i do prawdziwego zamiętowania ojczyzny? Nie, wcale. Łacina opętana mechanicznym Alwarem, była najwyższym szczytem nauki, bezsensowne dyalogi i dziwotworne a po hlebstwem nacechowane panegiryki, jedynymi niemal płodami literatury. To była cała ich nauka. Wpływ zaś moralny nie mniej zgubny, bo skutkiem jego było tylko przejście w posiadanie zakonu ogromnej massy dóbr, które mogłyby być obrócone na lepszy użytek. Zresztą co do Jezuitów powtórzmy prawdę sumienną. Zakon ten, zrazu wielka prawdziwie i świętobliwa instytucja jednego z najznakomitszych mężów XVIgo stulecia, zajaśniał wielkim blaskiem głębokiej nauki, żarliwości religijnej i poświęcenia się, oraz rzadkiej zdolności jego członków, póki walczył z reformą; ale przełamawszy ją zasnął wkrótce letargiem bierności, stanąwszy na jednym miejscu, bez względu na wszelki postęp co go otaczał; odstąpił od celów założyciela, a nakoniec przeżył swój czas i upadł. Sądząc o nim po czynach i faktach oczywistych, bez nienawiści i uprzedzenia, nie można się zgodzić z autorem, że Jezuita wolni są od zarzucanego im udziału w upadku Rzeczypospolitej. Cenniejszych poetów wieku Zygmuntońskiego po Janie Kochanowskim, o których mamy teraz kilka zajmujących monografij, przedstawił autor z przyzwolitą krytyką i poważnie, za co mu czytelnicy wdzięczni będą. Zaliczył on do tego szeregu tych, co się dali poznać z oryginalnych poezyj; i dla tego zapewne sławnego tłumacza Tassa Piotra Kochanowskiego wyłączył z tej świetnej plejady, naznaczając onemu skromne miejsce między poetami mniej głośnie. Wątpimy jednak, żeby to było zupełnie sprawiedliwie, bo talent poetycki Piotra, jako tłumacza wprawdzie, więcej jednakże dokazał i przysłużył się naszej literaturze, niż wiele innych zdolności oryginalnych. Prócz wierności rzadkiej w oddaniu tak wielkiej epopei, jaką jest Jerozolima wyzwolona, prócz niepospolitej siły w nagięciu języka naszego do wydania owej delikatności i osobliwego kształtu wiersza włoskiego, tłumacz zostawił jeszcze bogatą skarbnicę w swoim przekładzie, prześlicznych wyrażeń i szczęśliwie wynalezionych słów, dziś zadziwiających trafnością. Zanadto pobieżnie i z niejakiem zaniedbaniem mówi p. B., o pracach Piotra Kochanowskiego. Dziwi zaś nas niepomału, że autor albo nie znał, albo nie chciał wspomnieć o najwyborniejszem wydaniu przekładu Jerozolimy Kochanowskiego, w Wilnie r. 1826 u Za-



wadzkiego, przez zacną pamięć Leona Borowskiego, profesora wymowy i poezji w uniwersytecie wileńskim, przy którym się znajduje uczona jego rozprawa zawierająca prócz życia Tassa, krytyczne ocenienie pracy tłumacza. Apologia Jezuitów ciągnie się jeszcze w paragrafie o dramacie, gdzie autor powiada, że po ich kolegiach wyprawiano corocznie widowiska dramatyczne, zachęcając młodzież do naśladowania wielkich wzorów cnoty i przywiązania, mianowicie do wiary. Tak, to jedna strona medalu: ale obróćmy drugą. Tam ujrzymy, że w każdym takim dialogu, czy też dramacie, zawsze był jakiś potentat duchowny lub świecki, mogący się przydać Jezuitom, którego okadzano, aż do uduszenia prawie, najbezwstydniejszemi pochlebstwami. Może wreszcie kolegium pułtuskie, którego zbiory takich utworów przeglądał p. B., było umiarkowańsze w wynurzaniu się ze swemi skłonnościami panegirycznymi. Lecz my mając przed sobą stopy takich piśmideł dramatycznych, przez kolegia litewskie wydawanych, nie możemy być jednego z nim zdania. Między naszymi poetami łacińskimi tego okresu, najpowabniej autor rozprawia o Dantyszku, którego żywot ciekawie opisuje i o Klemensie Janickim przytaczając obficie cudne jego wiersze, pięknym przekładem Syrokomli odrodzone w mowie ojczystej. Nie mamy potrzeby zastanawiać się szczegółowie nad pięknym obrazem przedstawiającym mowców i dziejopisów polskich epoki Zygmunto夫斯基, którym p. B. kończy trzeci okres swojej Historii literatury. Skreślił go autor z prawdziwą znajomością rzeczy, jak się należało spodziewać od tak troskliwego badacza historii naszej. Wszędzie prawie zachował umiarkowanie w ocenieniu charakteru pisarzy, oddając sprawiedliwość ich zaletom. Wiele nawet zanotował szczególnych przymiotów, które ich zdobiły, jak np., że Wereszczyński w kazaniach swoich zachował wszędzie ducha łagodności i wielkiego oszczędzenia ludzi, chociaż mocno powstawał przeciw fałszom, str. 309; albo w porównaniu talentu Birkowskiego ze Skargą, str. 310, że Birkowski spokojny, nie obrażał nikogo, powstając tylko na zepsucie i t. d. Jakżeby chwalebnie było, gdyby sam autor, co tak słuszne o tych wielkich mężach zostawił wspomnienie, poszedł w ich ślady, pisząc następne części swojego dzieła o literaturze, a mianowicie o wieku Stanisławowskim. Jednak i w tym ostatnim rozdziale o mowach i dziejopisach Zygmunto夫斯基, pomimo całej jego wartości musimy zwrócić uwagę autora najprzód na to, że w ocenieniu Strykowskiego nie jest jasnym i stanowczym, jak mu się to często zdarza w wielu jego



krytykach i monografiach; że ciągle się chwiejąc między zaletami a przywarami pisarza, nie daje czytelnikowi wyraźnego sądu o nim. A to ztąd pochodzi, że p. Bartoszewicz lubi nadzwyczajnie wykrywać, a nawet domyslać się z czego tylko może, najdrobniejszych wad i słabości autorów, o których pisze, i czyni to nieraz kosztem sprawiedliwości i bezstronności w oszacowaniu płodów ich pióra; o co więcej idzie czytelnikowi, jak o to, że ktoś był próżnym, pysznym, zarozumiałym. Poco tak być troskliwym w wyliczaniu tych słabostek ludzkich, kiedy w ogólności, jak od dawna wiadomo, całe *genus irritabile vatum*, rozciągając to zdanie do wszelkiego rodzaju pisarzy, ma ich dosyć jak dawniej tak i teraz, nie wyłączając wszystkich nas, którzy piszemy książki i recenzje ich! Powtóre, w tymże samym okresie pisząc o Krzysztofie Warszewickim, należało coś więcej o nim powiedzieć, nie tylko jako o mowcy, ale jako o pisarzu politycznym, o statyście znakomitym, który takie dwa wyborne pisma wydał, jak *de Legato* i *de Optimo libertatis statu*. A nawet możeby go należało wspomnieć przy naszych historykach po łacinie wówczas piszących, ze względu na jego słynne w swoim czasie *Parallele*, w Polsce zakazane, których za granicą kilka wydań było!

Okres czwarty obejmujący epokę makaronizmu i panegiryków, zaczyna autor od poglądu, w którym przypisuje upadek literatury w naszym kraju, przeważnie upadkowi światła i smaku w całej Europie; bynajmniej nic a nic nie przyznając winy tym, którzy po szkołach polskich wówczas sposobili młodzież na przyszłych obywateli kraju. „Jak mają nasi pisać pięknie i rozumnie, woła p. B., kiedy rzadko kto pisze i za granicą pięknie i rozumnie; kiedy nawet na ambonie odzywa się nie nauka i serce, a próżna słów igraszka! Zaczął ktoś pierwszy mieszać łacinę do polszczyzny, aliści już wszyscy pisarze plątają łacinę w mowie i piśmie!” Zdanie to pana Bartoszewicza wcale nie jest oparte na pewnym gruncie. Wiadomo najprzód, że upadek nauk w ciągu XVII wieku nie był powszechnym w Europie. Bo jeżeli Niemcy przyszli wówczas do wielkiego ubóstwa w wielu gałęziach wiedzy ludzkiej; jeżeli we Włoszech zatrzymał się postęp oświaty: to przecie zaraz w Anglii zajaśniały nauki walną reformą, zaprowadzoną w nich przez Bakona, a we Francji przez Deskarta. Ale kiedy ci gienialni ludzie obalając Arystotelesa i scholastyków, rozszerzali zdrowe pojęcia o naukach: Jezuici z uporem trzymali się po swoich szkołach tak we Włoszech i Niemczech, jak w Polsce metody XIII wieku, metafizyki i dyalektyki perypatetyków.

Kiedy więc u nas mowa i pisma zamieniły się w potworny makaronizm, z wyjątkiem kilku zdolniejszych kaznodziei, na których umysł wiekopomne słowa Skargi jeszcze wpływ wywierały, i światłej rodziny Morsztynów, co poszukali nowego żywiołu dla swych zdolności naukowych w literaturze francuzkiej: właśnie we Francyi wzniosła się do najwyższego szczytu wymowa kaznodziejska, i zrodziła się piękna i bogata literatura dramatyczna: w Anglii zaś po Szekspirze zjawił się Milton, Dryden i tylu innych. Nie rzadko zatém i za granicą Polski, pisano pięknie i rozumnie. Nie podobna zaś mniemać, żebyśmy w Polsce mieli upadać w światło i smaku, dlatego jedynie, że upadli w nich sąsiedni Niemcy. Niepodobna więc takiej tylko przyczynie przypisać razem z panem Bartoszewiczem, skażenie języka naszego i ciemnotę, w jakiej przetrwaliśmy niestety, od środka wieku XVII do połowy XVIII. Zdaje się, że właściwiej będzie przypisać to dwom walnym przyczynom: pierwszej i najgłówniejszej, nieszczęsnemu wpływowi Jezuitów, odstępujących od pierwotnej świętobliwej zasady założyciela swego, którzy kierując całą niemal edukacją w kraju przez tak długi czas, stępiłi osowiałem nauczaniem wszelkie zdolności umysłowe młodzieży, a w swojej silnej władzy duchownej, jaką potrafili sobie wyrobić u szlachty przez konfesyonał, kazalnicy i domowe stosunki, nie umieli, czy nie chcieli, oświecić jój i zwrócić jój uwagę na potrzebę rozumniejszego miłowania ojczyzny i przekładania jój dobra nad swoje osobiste widoki i dogadzanie namiętnościom; za drugą przyczynę upadku nauk, światła i na resztę bytu politycznego w naszym kraju, poczytujemy zepsutą formę rządu, przez zwichnięcie równowagi we wpływie różnych elementów poruszających całą machinę rzezypospolitęj, a ztąd wynikającą fałszywą i stagnacyjną politykę zewnętrzną państwa, przez wszystkie niemal panowania, zaczynając od Władysława IV, i następnie powikłanie się w wojny lub przymierza szkodliwe dla narodu. Dodać jeszcze musimy, że w tak nieszczęśliwym stanie kraju, i w zaniedbaniu szkół przez Jezuitów, zdolni ludzie kochający się w naukach, musieli się zwrócić do zaspokojenia swych skłonności umysłowych i gustów literackich do jakiegoś innego ogniska, które się rozpałiło na miejscu zgasłych. Ztąd powstał wczesny zwrot do kwitnącej wówczas literatury francuzkiej w światłej rodzinie Morsztynów. Jeden tylko wybujał w tym okresie znakomity talent poetycki po łacinie, w osobie Sarbiewskiego między Jezuitami. Zyskał on tém powszechniejszą sławę w Europie, im bardziej słabiała w niej

nauka języków starożytnych i sztuka pisania wdzięcznie w języku Rzymian. Bo dziwna rzecz! że w XVII wieku nietylko we Włoszech i w Niemczech, ale nawet w Anglii i Francji, gdzie wszystkie inne gałęzie nauk wysoko się utrzymywały, filologia starożytna na niskim stopniu stała. Ustęp autora w tym okresie o wymowie kaznodziejskiej, a szczególnie o kazaniach Młodzianowskiego Jezuity za Jana Kazimierza, zasługuje na osobliwą uwagę czytelnika. W rozdziale opowiadającym dzieje po polsku pisane, p. B. nie z jednostajną względnością ocenia wydane w tym czasie pamiętniki. Nie wiemy znowu dlaczego Piasecki ze znakomitą swą historią, umieszczony jest między dziejopisami Łacińskimi, których dzieła tłumaczone są na język polski, bo przyswojenie jakiejś części jego dzieła nie stanowi przekładu. Nie wiemy także, czy słusznie mieścić Albrychta Stanisława Radziwiłła między dziejopisami, kiedy najważniejszym tytułem do policzenia go między pisarzy, są jego ciekawe pamiętniki. Kojałowicz znakomity autor historii litewskiej, zaledwo wspomniany, również jak Samuel Grądzki; a przecież należało dać jakieś wyobrażenie o wartości ich ważnych prac, zwłaszcza kiedy autor aż całą stronicę poświęcił powieści o związkach małżeńskich Pawła Potockiego z kądziąd wiadomych, który nic dobrego nie napisał. Za co Wassenberg opuszczony? Ale co nas najwięcej zadziwia, to że p. Bartoszewicz, który tyle rzeczy wie, i tyle wybałał pracowitem szperaniem po aktach i bibliotekach, a jednak nie wiedział, czy też wiedząc zaniechał powiedzieć o niepospolitej książce, wydrukowanej za czasów saskich w roku 1751, pod tytułem: *Anatomia rzeczypospolitej polskiej, synom ojczyzny ku przestrodze i poprawie tego, co z kluby wypadło*. Autor jej Stefan Garczyński, wojewoda poznański, rzadkiej odwagi cywilnej senator, mieszkając w swych dobrach w Wielkopolsce, na pograniczu Szlązka i Marchii, albotóż podróżując po Niemczech, przypatrzył się zblizka porządkowi tam panującemu, swobodzie ludu i dobremu bytowi wszystkich mieszkańców. Nie mogąc zaś w cnotliwej swojej duszy, znieść smutnego porównania z nieładem i ciemnotą, panującymi naonczas w ojczyźnie naszej, postanowił, nie mogąc czynem i prawami skłonić spółziomków do upamiętania się i reformy obyczajów i rządu, wylać na papier żalotne swoje uczucia, i w słowie pełnym zdrowego rozsądku, nie obłudnej religii i prawdziwej miłości spółziomków, przestrzedz ich i odwrócić z drogi wiodącej do niechybnej przepaści. Ośmielony w tém chwalebnym przedsięwzięciu, przez swojego krewnego Józefa Załuskiego, re-



ferendarza koronnego, wielkiej już wtenczas sławy uczonej w kraju używającego, ogłosił drukiem tę Anatomią swoją, przeładowaną wprawdzie makaronizmami, choć nawet od Załuskiego poprawioną, ale na każdej karcie napełnioną największemi prawdami. Znalazła tu szlachta odsłoniony jej bez ogródki srogi widok gangreny, toczącej ciało rzeczypospolitej. Wychowanie dzieci zaniedbane, lud wiejski poniżony, kraj wyludniony, praca jako grunt życia domowego zapoznana, zbytek w fundacyach duchownych, a niedbałość około poprawy dusz chrześcijańskich, miasta bez opieki, sejmy zrywane i t. d.: wszystko tu ostro wypowiedziane i przykładami poparte. Autor zwolennik wprawdzie saskiej dynastyi i monarchicznych, nie republikańskich zasad wyznawca, ale wielkiego rozsądku i wielkiej prawości człowiek, wynurzył wszystko co miał na sercu, samemu sobie czyniąc zarzuty i zbijając je zaraz z przekonywającą dyalektyką, zaprawioną ogromem erudycyi i wiadomości. Słowem ważna to książka, i autor jej niepospolitego rozumu i zacnej gorliwości obywatel, zasługuje na pamięć. Już te i tym podobne pisma zapowiadały przesilenie, jeżeli nie w literaturze, to w obyczajach i w sposobie rządzenia rzeczpospolitą. Wiatr przestrogi i reformy wionął z Lotaryngii od Leszczyńskiego. Powracający ztamąd Polacy, zaczęli pomału wnosić nowe idee do kraju, i zwracać umysły na nową drogę, odstręczając trzeźwiejsze rozумы od dawnych uprzedzeń. Wiadomo wszystkim, że przewodnikami tego ruchu w Polsce byli: Załuski, a szczególnie Stanisław Konarski Pijar. Już inni powstałi w obronie tego sławnego męża przeciw nowej opinii, którą p. Bartoszewicz usiłuje utworzyć o nim. My tylko dodamy, że w pojęciach historyczno-politycznych p. B. co do systematu rządzenia Polską w owym czasie, pomimo, że one już wprzódy od kogo innego wyszły, nie ma niemylności. Twierdzenia króla Stanisława Leszczyńskiego, że piękne jest *liberum veto* z pewnym urządzeniem wolności, nie mogło się zgodzić wówczas z potrzebą nagłej reformy. Nie było nawet siły takiej w kraju, któraby z samych jedynie żywiołów narodowych, to jest stosownie do usposobienia szlacheckiego, rząd przekształciła. Chybaby żelazna wola absolutnego monarchy mogła tego dokazać. Taki był stan ślepoty powszechniej i poniżenia, wśród przemagającego wpływu potężnych sąsiadów. Trudno więc było tak skromnemu zakonnikowi, jakim był Konarski, wysnuć wszystko z pierwiastków miejscowych. I nie dziw, że się jął drogi łatwiejszej, to jest korzystania co do reformy naukowej z przykładu Francyi, do czego już miał

szlak utorowany wielu pomyślnemi okolicznościami. Konarskiemu nie uwłóczyć pod tym względem nie można. Zkąd zaś wyrozumował sobie p. Bartoszewicz wszystkie te wyobrażenia i dążności antyreligijne, któremi obarczył Konarskiego, tego przyznajemy się szczerze, pojąć nie możemy; bo jego pismo o *religii poczciwych ludzi*, wcale tego nie pokazuje. Konarski równie jak ów Garczyński, o którym wyżej mówiliśmy, gorliwy miłośnik ojczyzny, i jaśniejszej głowy mąż, bez żadnej wątpliwości był bogobojny; ale umiał rozróżniać bigoteryą i marnowanie dóbr krajowych na przesadzone fundacye, od prawdziwej świątobliwości. Konarski téż w życiu swoim nie zmaszał niczem, a témbardziej niedowiarstwem kapłańskiego swego charakteru: bluźnierstwem jest mniemać inaczej wbrew oczywistości. Byłaż to wina jego, nie zaś wielka zasługa, że urządził postępowe szkoły i gwałtem pobudził do współzawodnictwa odrętwiałych Jezuitów? Byłaż to wina tego pamiętnego odnowiciela nauk, że pomyślał najprzód o oświeceniu szlachty przed innemi, kiedy sama tylko szlachta była żywotną częścią rzeczypospolitęj i trzymała wszystko w ręku? Wszakże oświeciwszy ją, dopiero można było trafić do innych klass społeczności naszej. Wreszcie i tu, jak w wielu innych miejscach dzieła pana B., spotykamy wielkie sprzeczności. Autor wyżej przyznając początek reformy nauk w Polsce Konarskiemu, datując nawet przesilenie w literaturze od niego, a potem zaraz na stronnicy 403 zapowiada, że tenże sam Konarski miał rozum nie głęboki, i że nie umiał zrobić reformy! Nie wiemy jak to z sobą pogodzić, ale to wiemy, że jakkolwiek miał rozum Konarski, zawsze jednak lepszy od innych w swoim czasie.

Pogląd na okres Stanisławowski literatury, byłby bardzo piękny, bo wiele myśli zdrowych zawiera, gdyby nie był tak skwapliwie napisany, i gdyby znowu nie miał w sobie czepiających się ciągle autora sprzeczności. Mijam niektóre omyłki co do litewskich rzeczy, jak naprzykład: że Poczobut pisał po francuzku, kiedy istotnie był zabitym łacińnikiem i namiętym rymopisem, naśladowującym Sarbiewskiego; że Becu wcale nie był uczonym, ani professorem, ale dyrektorem zakładów fabrycznych Tyzenhauza, syn zaś jego już Polak, został dopiero po upadku kraju professorem medycyny. Mijam to, bo Litwa dotąd jeszcze jest *terra incognita* dla wielu naszych literatów. Ale są inne sądy autora do sprostowania, a przynajmniej należałoby je jaśniej wyrazić i gruntowniej udowodnić, chcąc żeby były przyjęte za pewniki. Dwa były stronnictwa w narodzie, w chwili objęcia tronu

prze Stanisława Augusta: jedno staro-szlacheckie, ślepo przywiązane do złotej wolności, do *liberum veto*; drugie reformatorskie, usiłujące wzbudzić postęp i przekształcić naród na obraz oświeconych społeczności europejskich. Bezwątpienia nie byłoby nic pożądanego, nic zbawienniejszego, jak żeby ta reforma wyszła z pierwiastków czysto narodowych, i żeby się z nią odrodziła literatura Zygmuntowska. Lecz ileż to przeszkód stanęło temu na zawadzie, na nasze nieszczęście. Staroświecka część narodu tak głęboko w swojej powierzchni była zbutwiała, że zaledwo ostatek narodu pozostał zdrowym i prawdziwie polskim. I z niego w czynie rozwinęło się to, co było dobrego w konfederacji barskiej; z niego właśnie w literaturze wykwitwały owe ulotne pisemka, mowy i wiersze, o których p. B. wspomina, zapisywane po owych zbiorach zwanych *Sylva rerum*, we wszystkich niemal domach obywatelskich. Ażeby sprężyć i stanowczo odrodzić kraj, i z odnětu a nieładu wyprowadzić naród, trzeba było potężnej siły, trzeba było gieniuszu, a przynajmniej skupionej władzy dla działania wewnątrz, wojennego zaś umysłu dla obrony na zewnątrz. Jednym słowem chcąc krótko powiedzieć: trzeba było takiego króla mniej więcej, jakim był Stefan Batory. Wpływy i zamiary ościenne, obok postępu cywilizacji w innych krajach Europy, nagliły zachwianą w swych posadach rzeczpospolitą do prędkiej reformy: ale inaczej się stało. Siadł na tronie polskim w tej trudnej chwili, człowiek cale innego hartu. Stanisław August sam bardzo oświecony, kochający naukę w drugich, i najlepszymi chęciami dla swego narodu ożywiony, ale słabego charakteru i do rozwijania pierwiastków bytu narodowego, w pokoju tylko usposobiony, został tym odnowicielem. Ukształcony po francuzku, bo cywilizacja francuzka już od Władysława IV weszła do Polski, a raczej do domów pańskich, od połowy zaś XVIII wieku stała się modą nie tylko w Polsce, ale i w Niemczech. Reforma więc francuzka była skutkiem naglących okoliczności, niedostatkiem genialnego naczelnika narodu i niepodobieństwem skłonienia do idei postępowych w prędkim czasie staro-szlacheckiej partyi. Literatura poszła tą samą koleją, i nie mogło być inaczej. Sam autor powiada, że biblioteka Załuskich żadnego wpływu nie wywarła na szlachtę; a przecie tam było najwięcej skarbów samego tylko dawnego piśmiennictwa polskiego. Trzeba więc było szukać elementów odrodzenia upadłej literatury narodowej, we wzorach obcych. Jezuici w szkołach, a obok



ich palestra w trybunałach, postawili umiejętność łaciny na niskim stopniu. Innych języków nie uczono; sam tylko francuzki, ponieważ zastąpił w Europie łacinę, tak w stosunkach międzynarodowych jak w pierwszych towarzystwach, mógł nastroczyć wzory do naśladowania. Rzucono się tedy i u nas do czytania i naśladowania francuzkich pisarzy. Naśladownictwo to jednak nie wyszło zupełnie na złe dla mowy ojców naszych. Język pozostał czysty i nieskażony: Krasicki a szczególnie Trembecki, Zabłocki, Książnin i inni, władali nim prześlicznie. Naruszewicz zaś zaprawiony z własnego natchnienia, do wartowania klasyków łacińskich, więcej też na nie zapatrywał się, pisząc swoje dzieła poetyckie, a w sposobie pisania historii naśladowując Tacyta, co do krytyki jeżeli potrzebował przykładu, to szedł za wzorami od uczonych francuzkich i angielskich wskazanymi. Pomimo tego, wszędzie duch szczeropolski we wszystkich tych pisarzach przeważał naśladownictwo cudzoziemskie. Kiedy tak się odradzała literatura nasza, bez uwłoczenia Zygmunto-wskiej, Stanisław August tymczasem przykładem swym i dworu swego, wprowadzał nierozważnie i wbrew szlacheckiemu usposobieniu, francuszczyznę w obyczaje i zwyczaje narodu. I ta reforma była szkodliwą, a mogła być inuą. Zwrót zaś odrodzonej literatury był dobry i przyniósł piękne owoce, w drugiej połowie panowania Stanisława Augusta, a szczególnie podczas reform rządowych za sejmku czteroletniego.

Niepodobna nam iść dalej krok w krok za autorem, w ocenienu wszystkich pisarzy naszych w epoce tak zwanęj Stanisławowskiej, bobyśmy zbyt wiele powiększyli ten nasz przegląd, już i tak za długi. Wszakże chcielibyśmy zastanowić uwagę p. Bartoszewicza, nad jego niefortunnym sposobem wyrażania się o ludziach sławnych i czczonych u nas od wieków. Zda się jakby p. B. przyjął to sobie za prawidło, za jakąś chlubną dla siebie oryginalność, lekceważyć uszanowanie winne od każdego tym mężom, którzy są zaszczytem całego narodu, używając trywialnych słów za każdą zręcznością. Krasicki naprzykład, ów najświetniejszy talent przeszłowiecznej literatury naszej, dziś jeszcze świeży i wybornym dowcipem swym, przywiązaniem do kraju, oraz zacną dążnością swych dzieł, zawsze nas zachwycający, zresztą wybornie oceniony przez autora, razem z Naruszewiczem, Trembeckim, Zabłockim i Książninem, jest u p. B. *paniczykiem* i *dworakuje* w Berlinie. Niemcewiczowi, któremu przecie autor żadnej nie wyrządził krzywdy, przyznaje dowcip najlepszego ro-

dzaju, i na dowód tego przytacza przykład, że posyłając dzieła swoje Kropińskiemu napisał: *ad usum bachurorum tuorum!* (str. 441). Kto też kiedy słyszał, żeby takie żarciki, dobre sobie w biografii, umieszczać w dziejach literatury i to jeszcze poświęconych młodzieży? A cóż mówić o wyroku wydanym na Karpińskiego, którego *świętoszkciem* i rozpustnikiem, bez wahania się nominował, a zatém obłudnikiem, chociaż we wszystkich jego pismach, żadnego dowodu na te zacnie wymyślone epiteta nikt nie znajdzie. Piękna to nauka dla młodzieży, której dzieło swe autor poświęcił. Ciekaważ tedy rzecz, zkąd p. B. wyczerpnął grunt i farby na odmalowanie tak czarnego wizerunku naszego sielankopisarza. Ze zdania dotąd powszechnego uczonych naszych lub miłośników literatury? Nie, bo go mieliśmy dotąd za poetę serca. Więc może z opinii, jaką miał o nim Mickiewicz, którego przecie we wszystkim poważa p. Bartoszewicz, nie śmiejąc zawadzić o jego sławę, ażeby go swym ogromem nie przywaliła. Owszem zdanie jego o Karpińskim jest wbrew przeciwnie zdaniu Mickiewicza! Więc z czegoż? Oto p. B. postanowił z samychże pamiętników śpiewaka Justyny, wydostać materyały do potępienia go. Tymczasem pamiętniki te, plód rozmyślań nad przeszłością zgrzybiałego już starca, nie pokazują wcale pomimo swojej szczeroty, ani świętoszkostwa, ani pochlebstwa, ani nawet chłodu serca, ani żadnych innych podobnych przymiotów, jakimi zachciało się panu B. obarczyć pamięć zacnego poety. Co do zarozumiałości zarzucanej Karpińskiemu, nie wypadaloby panu Bartoszewiczowi wspominać nawet o tém, że wszelkich względów, bo ta wada i teraz jest bardzo powszechna, równie u poetów, jak u dziejopisów i krytyków. O drugim zarzucie pochlebstwa, powinien wiedzieć p. B., ponieważ także i sam próbował pisać wiersze i drukował je nawet: że poeci nie zawsze są pochlebcami, choć napozór pochlebstwa zdają się pisać. Trzeba im czasem wtku do wiersza, czepiają się więc nastęrczającęj się zręczności; trzeba okazać wdzięczność, która serce dla kogoś przepelnia; a przesadzić u nich w każdéj rzeczy, to najłatwiejsza, i widziéć to czego nie ma, i to częsta, i tém częstsza im bardziéj są czuli i prostoduszni. Mówiąc to, nie mam na myśli wielkich poetów, geniuszów Mickiewiczowskich; ale pozwalam sobie takie wyrazić mniemanie o talentach poetyckich. Zresztą kto był przywiązanym do kraju, bo *pod Niemcami urzędu nie chciał się chwycić*; kto takie pisał i przekładał pieśni religijne *z przeszły w usta ludu i śpiewane są po kościołach*; kto pomimo przebywania na dworach kró-

lewskich i pańskich, tyle tylko otrzymał, że mógł na starość przytulić głowę w szczupłym zaścianku na litewskich borach, jak nasz Karpiński: tego nie można nazwać ani słabą indywidualnością, ani świętoszkiem, ani dworskim pochlebcą. Za wyborny dowód samochwalstwa poety, przytacza między innymi p. B., że go chciano *posuwać* (wybrać) na prezesa sądu w Prużanie. Wielkaż to była rzecz dla Karpińskiego zostać takim prezesem? To chyba dla powiatu zaszczyt, a nie dla niego! Zналиśmy wiele osób, które nie jeden dzień w życiu z Karpińskim przebyły, i osób takich, co o ludziach sądzić umieją. Otóż od nich wiemy, że Karpiński miał najzaczniejsze i prawdziwie czułe serce, że kochał swoją ojczyznę i swoją wiarę stale, ale był melancholik i na starość trochę dziwak. Ale mój Boże! czyż to są takie grzechy ciężkie, żeby o nich tak szeroko i z takim upodobaniem rozprawiać w książce, która pobieżnie dzieje literatury ma wykładać? A któż wie, może w niedalekiej przyszłości, surowi krytycy nazwą samegoż jój autora, dziwakiem za tak dziwaczne sądy!

Oceniwszy p. B. tak zwanych poetów po-Stanisławowskich, przechodzi do prozy tegoż czasu, i przystąpiwszy do dziejów gdzie chwala Bogu! sława Naruszewicza jest ocalona, poświęca jedną stronicę zasługom Tadeusza Czackiego, jako krytyka, dziejopisa, prawnika, statysty, założyciela sławnej szkoły i nakoniec wielkiego prawdziwie obywatela! Nie można więc mówić, że się autor zmordował, pisząc o tym znamienitym i pamiętnym mężu; ale zdaje się, że już był zmęczony pracą nad całym tém dziełem swoim, chociaż bardzo pośpieszną. Inaczej tak dziwnej wzmianki o Czackim pojąćby nie można. „Czacki należał do rzędu tych ludzi, co to muszą koniecznie pracować, bo to leży w ich organizacji, pisze p. Bartoszewicz, co to niesłychanie wiele umieją, bo mają cierpliwość benedyktyńską i pamięć, ale co mimo to wszystko, niczego zrobić nie potrafią i nie mogą, bo im natura odmówiła wszelkich zdolności.” Dalej dodaje do takłej pochwały: „pisał o wszystkim, i o tém co rozumiał, i o tém czego nie rozumiał.” Osobliwsze sądy! a jeszcze osobliwsze sprzeczności! Więc podług p. Bartoszewicza, człowiek prywatny, który prócz wielu innych chwalebnych czynów i zasług, potrafił założyć i wznieść do wielkiej świetności szkołę krzemieniecką, który zgromadził swoim staraniem takie skarby ksiąg, rękopismów i innych pomocy naukowych, który swoim pomysłem i radą przyczynił się przeważnie do utworzenia dwóch kommissyj edukacyjnych i zabezpieczenia przez nie funduszu szkolnego, który nakoniec napisał owe sławne



bogactwem wiadomości dzieło o Litewskich i polskich prawach, do którego jak do zdrowego i obfitego źródła odwołuje się dotąd tylu pracujących nad historią, i które sam pan Bartoszewicz nieco dawniej (ob. *Znakomici mężowie polscy* T. I, str. 169) nazwał dziełem znakomitým: taki człowiek pozbawiony był wszelkich zdolności i pisał o tém czego nie rozumiał?? Kto tu pojmie tak nielogiczne zdanie? Przypominamy tu na inném miejscu jeszcze odezwanie się p. B., że Czacki *lubił bawić się w korespondencyą*. Jestże to przyzwoicie tak się wyrażać o mężu publicznym i do tylu znamienitych prac dla kraju powołanym, który gdyby i niecierpiał pisać listów, to w położeniu swoim musiałby je pisać rad nie rad! A jednak p. B. mógłby przyzwoicij dla siebie i dla Czackiego powiedzieć o nim prawdę, i słusznie go ocenić, gdyby cokolwiek lepij znał świat praktycznie, jak go zna teoretycznie, gdyby z właściwą prawdziwemu dziejopisowi rozważą, umiał i chciał powściągać swoje pióro kierowane dotąd najczęściej drażliwym i namiętným uprzedzeniem! Autor Historii literatury polskiej, chociażby i bardzo pobieżnie skróconej, mógłby napisać, że Czacki nie był stylistą, że wreszcie co do języka nie może być uważanym za wzorowego pisarza, że dla nawału zatrudnień i prac różnego rodzaju, któremi był obciążony ze swego stanowiska, nie mógł i nie miał czasu usystematyzować swojego wielkiego dzieła. Ale powiedzieć o nim, o tak wielkiej znakomitości swojego czasu, że to była tylko dobra dusza i nic więcj, to musimy wyznać panu Bartoszewiczowi, że za wiele sobie na ten raz pozwolił, więcj nawet niżeli mogliśmy się jak zwykle po nim spodziwać. Ale wynagradzając tę zbyteczną śmiałość swoją, że nie powiemy zuchwałość, p. B. obdarzył nas prawdziwie zajmującą i nader właściwą dziejom literatury wiadomością, że Czackiego żona była kapryśnicą (str. 452). Jest to fakt wprawdzie nie stanowczo wpływający na literaturę naszą i na dzieła tego uczonego, ale może potrzebny, jako przestroga dla dzieci płci żeńskiej, którym autor poświęcił swoją książkę, żeby się uchroniły tak przykrój wady, jaką pani C. miała jakoby dręczyć swego męża! Nie wiemy także, czy umieszczona nieco wyżej (str. 423) wiadomość, że Trembecki odbył trzydzieści pojedynków, a wszystkie za kobiety, będzie miała zbawienny wpływ na młodociane umysły uczniów i uczennic pana B., gotujących się uczyć historii literatury polskiej podług jego wykładu? Po tym dziwacznym opisie zawodu Czackiego, znowu oddychamy wolniej, czytając słowa sprawiedliwego poszanowania dla olbrzymich

prac czcigodnego Albertrandego. Za jedną zaś z najtrafniejszych myśli autora w całym jego dziele poczytujemy tę, że nie Czacki lecz Albertrandi powinienby był otrzymać przeznaczenie do kontynuowania historyi zaczętej od Naruszewicza! Poprzednicy moi w rozbiórce tego dzieła pana B., zarzucają mu, że lekceważącym słowem i o Kollątaja zawadził. A ja przeciwnie nie mogę wyjść z zadziwienia, że taki człowiek jak Kollątaj, co do tylu spraw politycznych należał, co tyle rzeczy w życiu napisał, i tyle w kraju działał, potrafił ująć obronnie obosiecznego miecza krytyki p. B.! Może to się stało na przekorę tym, którzy go tyle szkalowali za życia! Pisząc o Staszicu, godziłoż się twierdzić, że człowiek, który tyle dla bliźnich swoich zrobił, który więcej od wielu innych pamiętał na najważniejsze przykazanie Boskie, „kochaj bliźniego twego, jako siebie samego,” że taki człowiek zapominał o Bogu! Zdaje się, że tu autor bardziej, niż w innych miejscach swojej książki, zapominał się o czém powinien pisać w historyi literatury. Drobnostki biograficzne i ploteczki, nie są wcale historyą utworów piśmiennych geniuszu, ani talentu ludzkiego.

W rozdziale utytułowanym *Pisarze po francuzku*, zaledwo dotknął autor tego ważnego i ciekawego przedmiotu, który zasługuje na to, ażeby go kto ze zdolnych pisarzy zgłębił oddzielnie i obszernie. Ale wszystko to, co p. B. nam powiedział o historykach okresu piątego (od 468 do 476 str.) jest po większej części prawdą, któraby jednak wiele na tém zyskała, żeby była napisaną nie tak szorstko, jak to jest zwyczajem autora. Na jedną tylko rzecz zgodzić się zupełnie nie możemy, to jest na przyganę stylu Ossolińskiego, w jego Wiadomościach historyczno-krytycznych. Nie jestto styl świetny, ani wzniosły, ale poważny i szczeropolski. Mijamy tu dobre uwagi o pracujących nad nauką języka polskiego, utyskujemy nad tém, że można byłoby rozważniej prawdę powiedzieć i szlachetniej się wyrazić o Stanisławie Potockim, który jednak tak mocno kochał kraj swój i tak zacnym był ministrem oświecenia; mijamy wreszcie mylne wyobrażenia autora o reformie akademii wileńskiej za Poczobuta i niedokładności we wspomnieniu o Jundzille, a przystępujemy do rzeczy, która nas osobiście jako biografa i Litwę jako krainę, gdzie ludzie nie tak prędko zdobywają się na niewdzięczność dla tych, co ich oświecali, bliżej dotyka. Chcemy tu mówić o Janie Śniadeckim. Lekkomysłne oszkalowanie dzieł i osoby tego sławnego męża, zostanie na zawsze czarną plamą téj dziwotwornej książki p. Bartoszewicza. Nie pojmuje on najprzód wartości jego rozpra-

wy o Koperniku, i zapału, jaki wzbudziło jój czytanie na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk. My zaś rozumiemy, dla czego nie pojmuje. Pan Bartoszewicz nie będąc astronomem z professyi, może nie mógł, może téż nie chciał zadać sobie pracy, zgłębić myśli Śniadeckiego w téj rozprawie zawartych i pilnie ich porównać z tém co przed nim pisano o nauce Kopernika. A jednak i w téj rzeczy chce mu się być Arystarchem! Gdyby zaś je znał i dobrze umiał ocenić, toby się dowiedział, że wiele z nich było zupełnie nowych i Śniadeckiemu właściwych tak dalece, że nim po długim majaczeniu i pierwszym zepsuciu przekładu francuzkiego téj prawdziwie uczonej i nowemi widokami napełnionej rozprawy, postarano się ogłosić w Warszawie poprawny przekład: tymczasem pewien Niemiec dorwawszy się jego rękopismu w Warszawie, pochwytał jego idee i ogłosił potem w Berlinie za własne. I za to Niemcy wynosili po swoich dziennikach naukę przywłaszczyciela i geniusz pod niebiosa! Musiało więc to pismo Śniadeckiego o Koperniku mieć swoje wielkie zalety, których los jakiś zawistny unysłowym zasługom naszego narodu, nietylko nie dozwolił dostrzedz p. Bartoszewiczowi, ale jeszcze naraził go, jakby jakiego Niemca zazdroszczącego nam wszystkiego dobra, na pomiatanie i lekceważenie tego co należy do zaszczytów naszój literatury. Zresztą p. B. kwapiąc się z tak niesprawiedliwém poniżeniem, nauki, talentu i zasług Jana Śniadeckiego, nie znał wielu jeszcze okoliczności życia i prac jego, które może nie zadługo pozna, choć po niewczasie. Powiada p. B., że historyczna część téj rozprawy nic nie rozjaśniła. Odpowiadamy na to, że celem rozprawy Śniadeckiego nie była głównie historia żywota Kopernikowego, *ale pokazanie ile mu winne były nauki matematyczne, mianowicie astronomia w wieku, w którym żył, z których poprzedników, jak wiele i jakim sposobem korzystał, i jak wiele mu są winne w czasie terażniejszym?* To było zapytanie Towarzystwa przyjaciół nauk. Śniadecki odpowiedział na nie jako astronom przedewszystkiem, nie zaś jako biograf lub historyk, dotknąwszy tyle tylko życia tego wielkiego człowieka, ile wypadało, obok rozbioru dzieł jego nieśmiertelnych. Jednakże w szacownych przypisach do swojój pięknej rozprawy, nie opuścił i tych szczegółów o Koperniku, które wówczas można było zgromadzić. Nie siłąc się wprawdzie na dowodzenie, że Kopernik był Polakiem, gdyż miał mocne przekonanie, że to jest śmiesznie inaczej twierdzić, zwłaszcza, że jeszcze kwestya jego narodowości nie była tak pod-



niesioną jak w późniejszych czasach: nie zaniechał jednak donieść na pociechę naszą, że Anglicy owi głęboko uczeni, a w sądach swych poważni i nielekkomyślni, uważali go zawsze bez żadnej wątpliwości za Polaka. Dalej pisze p. Bartoszewicz, że *zasługi Kopernika w astronomii mógł pokazać pierwszy lepszy uczonego znający przedmiot, i nie potrzeba było do tego wielkich zdolności, ani zapowiedzeń i rozpraw*. Pytamy się więc energicznego krytyka, sięgającego w tym razie i do tych sfer naukowych, które nie były dotąd właściwemi jego powołaniu dziejopisa, ani szrankami jego zapasów polemicznych: dla czego ten pierwszy lepszy astronom nie ukazał się między Gassendim a Śniadeckim, któryby z takiego nowego stanowiska jak on, roztrząsał dzieło Kopernika? To dziwna rzecz na tym świecie naukowym w naszym kraju! We wspaniałem i wiekopomną sławę dla uczonych mężów, dla Warszawy i dla całej Polski przynoszącem wydaniu dzieł Kopernika, zacny nasz astronom Jan Baranowski równie skromny jak głęboko uczone, w wyborniej swojej przemowie na czele tej świetnej publikacji umieszczonej, z tą poczciwą szczerością i prostotą właściwą ludziom pracującym nie dla swojej chluby, ale dla dobra spółziomków, wyznaje otwarcie, że korzystał w niej między niewielu innemi i z tej rozprawy Jana Śniadeckiego. Umiął zatem ją cenić astronom, najwłaściwszy znawca i sędzia w tej rzeczy. A tymczasem p. Bartoszewicz z powołania historyk, zapowiada stanowczym tonem, nie wątpiąc o trafności swojego doraźnego sądu, że to jest pismo ładajakie, które pierwszy lepszy znający ten przedmiot mógłby również ukłzyć! A przecie w daleko mniejszem zadaniu, bo w przedstawieniu tylko zawodu publicznego Kopernika, bez zaciekania się w jego naukę i odkrycia, nie udało się panu Bartoszewiczowi tak dostatecznie, jakby należało odpowiedzieć oczekiwaniu czytelników w tym życiorysie, który umieścił w świetnej edycji dzieł tego wielkiego człowieka. Trzeba było znaleźć i zachęcić aż kogo innego więcej oswojonego z umiejętnościami, właśnie ucznia Śniadeckich, nieodżałowanej pamięci Dominika Szulca, który choć później i oddzielnie (czego żałować trzeba) ze zwykłą sobie skromnością, ale wytrawionem piórem i głęboką znajomością przedmiotu zarówno pod względem historii, jak innych nauk, wystawił na nowo dokładniej i trafniej do przekonania cudzoziemskich czytelników, cały bieg życia Mikołaja Kopernika. Lecz i sam p. Bartoszewicz zdaje się, że jeśli nie treścią, to choć retoryką usiłował w téjże samej biografii swojej naślado-

wać owego Jana Śniadeckiego, którego z tak wielkiem zadowoleniem swoim, z każdej niemal strony starał się potępić. „Dogorywając Kopernik, są słowa p. B., spojrzal tęsknym wzrokiem na swoją książkę, jak Aleksander Jagiellończyk rozbił się przed śmiercią, że Tatarów pobito pod Kleckiem”. Tak kończy biografią Kopernika p. Bartoszewicz. *Umierał Kopernik, kiedy wyszła jego książka O obrotach niebieskich. Było wschód nieśmiertelności przy zgonie nękającego człowieka!* powiedział Jan Śniadecki. Jakże to dalekie wyrażenie jedno od drugiego, choć widoczne naśladowanie w myśli! Porównując je czytelnik, dziwi się zapewne nad tćm, że niedołączny Aleksander Jagiellończyk potrafił jeszcze się śmiać, kiedy paraliż naruszył mu wszystkie członki, i na tćm podziwieniu przestanie. Ale temu, co zechce poznać wielkość geniuszu Kopernika w piśmie Śniadeckiego, ta jego piękna myśl tak dzielnemi słowy oddana, prędzej i trwałej wyryje się w pamięci, jak niefortunne porównanie p. Bartoszewicza! Sam nawet zacny astronom Baranowski nie mógł się wstrzymać od powtórzenia tego wspaniałego wyrażenia Śniadeckiego na samym początku swojej przemowy. Prócz tego p. B. nie pojmując wcale niepospolitej nauki Śniadeckiego, nie może tćż zrozumieć tego zapału, jaki ogarnął całą myślącą Warszawę wówczas, kiedy rzecz o Koperniku czytana była na publicznćm posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk. Nietylko cała ta publiczność stolicy polskiej, w osieroceniu swćm tęskniąca do sławy narodowej, ale nawet wszyscy mćzowie znakomici stojący w owćj epoce smutnej na czele oświaty krajowej: Albertrandy, Czacki, Kopczyński, Dmochowski i tylu innych, którzy podzielali w tćj chwili zapał i uwielbienie powszechne dla nauki i zasług człowieka takiego talentu, jakim był autor rozprawy o Koperniku, wydali się w oczach p. B. jak gromada ludzi odurzonych, niewiedzieć po co i na co, jakimś nagłym zawrotem głowy. Ale współzawodnik pana B. w pisaniu biografii Kopernika, stracony już na zawsze dla nas, Dominik Szulc, jeden był z tych skromnych zwolenników nauki, umiejących pamiętać na przeszłość, jak na matkę, której mlekiem został wykarmiony, umiał odgadnąć tę trudną dla p. B. zagadkę. Znał on i czuł zacnćm swoim sercem, choć nie był świadkiem tego hołdu oddanego pracy i zdolnościom Śniadeckiego, że ci którzy stracili matkę ukochaną, z większą rozkoszą słuchali wszystkich pięknych wspomnień o tćm, co ją zdobyło niegdyś i zaszczycało, i lepiej umieli oceniać talenta

ludzi wznawiających tak umiejętnie pamięć jej, niż my odległe, a może (strach i żal mówić) zimne i skartłowaciate wnuki! Próżno się sili p. B. poniżyć tę piękną pracę Śniadeckiego w oczach terazniejszego pokolenia. Zostanie ona zawsze dowodem nie tylko jego wielkiej nauki i przywiązania do sławy narodowej, lecz jeszcze jednym z pięknych wzorów wymowy polskiej. Przyjdzie czas, kiedy młodzież nasza, ale nie ta, któraby się chciała uczyć dziejów literatury polskiej z podręcznika pana B., uzna prawdę i pożytek tych pamiętnych słów Jana Śniadeckiego, któremi zakończył pismo swe o Koperniku. „Skazani na pokutę za błędy i przewinienia ojców naszych, szukajmy pociechy w spokojnym, ale najgodniejszym człowieka zatrudnieniu, to jest w rozwadze prawdy i natury, w przyjemnościach i rozkoszach dowcipu!” Tak, w spokojnym, można tu dodać, sumiennym i przyzwoitym roztrząsaniu pomników pracy umysłowej naszych przodków, lecz nie w burzeniu i czernieniu dzieł ich ‘geniuszu i chwalebnych czynów.

W dalszym ciągu filipiki pana B. nazwany jest Jan Śniadecki ambitnym i zarozumiałym więcej od wszystkich, chociażby najuczestniejszych jego współczesnych! Tak, miał on istotnie ambycją, ale tę ambycją szlachetną, która jest własnością każdego człowieka usiłującego najlepiej wykonywać swoje powinności, jak mu siły i zdolności pozwalają, a jak sumienie i miłość dobra spółziomków nakazują. Inna ambycja była mu obcą. Świadkiem historia jego życia i czynów, jeżeli nie zupełnie, to mało i źle znana od pana B.; świadkiem między wielu innymi dowodami, odmówienie przyjęcia od Stanisława Augusta orderu św. Stanisława; świadkiem długi wstręt od narzuconego sobie niemal gwałtem rektorstwa uniwersytetu wileńskiego; świadkiem pamiętne wymówienie się od wysokiej dostojności członka rządu tymczasowego W. Ks. Litewskiego, do której powołany został w r. 1812 i którą musiał przyjąć dopiero na wyraźny i powtórny rozkaz Napoleona I. Co do zarozumiałości zaś, prawdziwie wyznać musimy, że Jan Śniadecki tak był tęgiej głowy i tak wielkiej nauki, oraz doświadczenia człowiekiem przy najdelikatniejszej prawości charakteru, i tak był wyższym od bardzo wielu ludzi w swoim czasie: że gdyby nawet i położył nazbyt wiele ufności w swoim zdaniu, to mu jeszcze prędzej darować tę słabość wypada, jak nam samym ubożuchnym w porównaniu z nim działaczom na scenie dzisiejszego świata literackiego, którzy bez takich zasług nie wahamy się jednak zarozumiałe nieraz dawać wyroki o wielu



rzeczach, których sami dobrze nie znamy! Daje do zrozumienia p. B., że Śniadeckiemu łatwo było wybierać między Wilnem a Bononią, dokąd był wzywany na astronoma, bo w pierwszym miejscu nowe widoki i nowy zawód otwierały się przed nim. I o tém niedokładne ma wiadomości p. B., ponieważ Śniadecki dlatego nie przyjmował dyrekcyi obserwatoryum w Bononii, jak dawniej w Madrycie, że postanowił jedynie własnemu krajowi poświęcać swoją naukę i swoje usługi, nie zaś dla żadnych widoków, które mu nawet nie były potrzebne, a tém bardziej dla cudzoziemców. Sąd pana Bartoszewicza o Janie Śniadeckim, jako już rektorze uniwersytetu jest tak pozbawiony wszelkiej zasady i tak lekkomyślny, że nie zasługiwałyby nawet na żadną odpowiedź, gdyby nie wzgląd na młodzież, któraby się łatwo mogła zbałamucić takimi fałszami. Dziwić się tylko należy, jak człowiek pracujący nad historią i wiedzący bez wątpienia, że ten tylko dziejopis zasługuje na wiarę, który zdanie swe opiera na prawdzie, sumieniu i faktach, mógł się do tego stopnia zapomnieć i takiego bluźnierstwa się dopuścić? Co do sporów Czackiego ze Śniadeckim odsyłamy tymczasem pana B. do Studyów naszych (wydanych w Wilnie r. 1856), gdzie staraliśmy się wyłożyć na mocy autentycznych dowodów przyczynę tych nieporozumień, które wcale nie uwłaczają pamięci Jana Śniadeckiego, jak się zdaje historykowi literatury polskiej. Niema wreszcie potwarzy, którójby p. B. nie rzucał z jakimś prawie upodobaniem na szanowną i tyle zasłużoną narodowi postać Jana Śniadeckiego. Oddychał on podług autora niesłychaną pychą; a jeden z największych dowodów jego pychy był, jak twierdzi p. B. (str. 497), że *zawsze występował w purpurze, w togach, z Batorowskiemi berłami i kluczami jak król*. Śniadecki pyszny dlatego, że się przyodziewał w togę razem ze wszystkimi profesorami, wchodząc na publiczne posiedzenia uniwersytetu dwa razy do roku odbywane? *Risum teneatis amici!* Alboż to było w mocy jego zmienić urzędowy ubiór używany od wieków w tém zgromadzeniu uczonóm, i starożytnym zwyczajem uświęcony? Jeżeli togi mają w oczach pana B. oznaczać pychę: iluzto rektorów i kanclerzy uniwersytetu w Oxford i w Cambridge musi przyjąć tytuł pysznych. Iluz lordów angielskich, ilu adwokatów francuzkich choćby byli najpotulniejszymi ludźmi z przyrodzenia? Nie, panie Bartoszewicz, pycha i zarozumiałość nie potrzebują objawiać się pod togą, ani też purpurą. Poznać je można, choćby się okryły zwyczajnym surdntem lub wytartą oponczką. Możemy

jednak zaręczyć panu B., bośmy na to poważne grono znakomitych w całej Europie uczonych professorów uniwersytetu wileńskiego, nieraz patrzali z uczuciem czci i wdzięczności, że ich sławny rektor nie wkładał togi, jak w razach przepisanych ustaw; że nie występował z żadnymi kluczami, bo nie był szambelanem, i klucze nie były żadnym godłem akademii; że niesiono za nim w czasie tych uroczystości na wezgielciu berło, bo ten staroświecki obrządek oznaczał władzę naukową nie tylko rektora, ale całego uniwersytetu. Berło to jednak nie było wcale Batorowskie, lecz nadane od Władysława IV. I za ten mniemany pychy znak, nie Jan Śniadecki, ale tenże sam król powinien być obwiniany. Ale z kąd ta osobliwsza wiadomość o pysze Śniadeckiego przysłała do p. Bartoszewicza? Może mu ją podszeptał jakiś nauczyciel dawny z Litwy, któremu rektor wymyślił głowę za niepilność lub zły nałóg? Albo mu to napłócił człowiek, który chciał mieć przystęp poufaty do tak znamienitego naczelnika, ale go nie otrzymał, bo nie zasłużył na to! Zarzut następnie uczyniony Śniadeckiemu, że „corocznie przemawiał na uroczystych posiedzeniach, uważając się za znakomitego krasomówcę, chociaż w mowach jego prócz pięknego języka nie było nic prócz ogólników i pochlebstw.“ jest równie fałszywym jak nieszlachetnym. Przemawiać do młodzieży szkolnej było jego obowiązkiem i zwyczajem używanym dotychczas w zgromadzeniach uczących. W tych jego pięknych zagajeniach posiedzeń uniwersytetu, zarówno przy otwarciu jak przy zakończeniu rocznego biegu nauk, ileż się skarbów znajduje nie tylko mężkiej wymowy, ale zbawiennej nauki dla uczniów, a nawet i dla publiczności, ileż materiałów do historyi uniwersytetu, ile myśli niepospolitych. Pochlebstw niema żadnych, bo ten, który owemu zdobywcy Europy Napoleonowi I odważył się powiedzieć śmiało prawdę w oczy, ten co z największą odwagą walczył o dobro i sprawę publiczną z bardzo potężnymi ludźmi: ten nie umiał pochlebiać. Ale w tych mowach jest wynurzenie wdzięczności dla wspaniałego dobroczyńcy wychowania naszej młodzieży, dla tego, od którego tyle wtenczas dobrodziejstw otrzymano i tyle jeszcze się spodziewano otrzymać; oraz dla tych, którzy święcie wypełniając jego zaniary chwalebne, umieli tym sposobem powiększyć zbawienne skutki jego dobrodziejstw. Wstyd jest, nie przeczytawszy tych mów Śniadeckiego, wyrokować o nich tak niezgodnie z prawdą. Twierdzi także p. B., że Jan Śniadecki stawiał opór Lelewelowi i że niecierpiał nauk historycznych. Tymczasem Śniadecki był je-

dnym z pierwszych, którzy się za wyborem jego na profesora historii najwięcej przyczynili, bo znał jego naukę i biegłość w tym przedmiocie. Zarzucał mu tylko zaniedbanie języka i mętność stylu w pisaniu. Co do zarzutu jakiegś nienawiści do historii, to jest tak śmieszne, że nie wiemy jak na to odpowiedzieć. Śniadecki był tak wszechstronnie ukształcony, takim był znawcą literatury w kilku językach, takim był miłośnikiem nauk i tak umiał szacować wszelkie ich gałęzie, będąc tyle lat przewodnikiem instrukcyi publicznej, że nie wiadomo, dla czegoby miał wyłączać od tego zamyślenia historią. Wreszcie we wszystkich swoich pismach nie dał nigdzie powodu do takiego zarzutu; owszem pisał sam biografie. My zaś, którzyśmy podczas jego przewodnictwa w uniwersytecie odbywali nasze studia, możemy zapewnić pana B., że przeciwnie, Jan Śniadecki poczytywał naukę historii za jedną z najpotrzebniejszych do ukształcenia każdego ucznia. Wielka liczba ksiąg historycznych najcelniejszych autorów w polskim, francuzkim, angielskim i włoskim językach, które zdobyły jego piękną bibliotekę i były nieraz przez niego wertowane, odpierają prócz tego stanowczo tak płochy zarzut pana B. Jeżeli zaś to jest winą Śniadeckiego, że był troskliwym o nieskazitelność języka polskiego, to mu ją łatwo przebaczyć można. Bronił on wielkiej zasady na swoim rektorstwie, „bo strzegł czystości mowy narodowej i powszechności jej w instrukcyi publicznej. Najtrwalszą jego zasługą w tym zawodzie jest ugruntowanie ojczystego języka w prowincjach składających okrąg naukowy, dozorowi jego powierzony. A to jest ogromna zasługa, podobno czy nie równa napisaniu najlepszej historii kraju. Ci wszyscy, co od roku 1820 zaczęli pisać i piszą dobrze po polsku za Niemnem i Bugiem, winni są pośrednio lub bezpośrednio, czystość języka narodowego wzorom, jakie Śniadecki dawał młodzieży w pismach swoich, napominaniom na egzaminach i wizytach szkolnych o pilnowaniu się w czystym mówieniu i pisaniu po polsku; ciągłym jego usiłowaniom w osadzaniu szkół umiejętnymi rodakami, równie jak katedr uniwersyteckich zdolnymi uczniami tej szkoły głównej. Winni są oporowi jego przeciw pomnażaniu się liczby cudzoziemców między professorami uniwersytetu, przez co powiększyła się liczba dobrych dzieł polskich posługujących do wykładu rozlicznych nauk, czego właśnie cudzoziemcy nie byli w możności dokonać. Utrwalenie mowy swojskiej na Litwie, zaniedbaniej ostatkami niedołężności jezuickiej w nauczycielstwie po szkołach nawet za Poczobuta, a popsutej napuszoną



wymową palestry, i nakoniec zagrożonej Bóg wie jaką francuzczyzną w kołach wytwornego towarzystwa, należy gorliwym staraniom Jana Śniadeckiego, wspieranym przez jego brata, ks. Jundzila i kilka innych osób, a naśladowanym od ich uczniów i tych nawet, którzy chcieli być współzawodnikami jego na tém polu. Łatwo może pojmie teraz p. B., jak wielkie ztąd pożytki na kraj spłynęły, i jak się fatalnie pomylił w ocenieniu Jana Śniadeckiego. Pisze p. B., (str. 497), że Śniadecki „powstawał przeciw Kantowi i filozofii niemieckiej, której nie rozumiał”. Przeczytawszy tak stanowczy wyrok, wypadaloby wniesć, że p. B., nie tylko zna z gruntu teorye wszystkich głównych tegoczesnych filozofów niemieckich, o czém godzi się nam powątpiewać, (wreszcie choćby i nie znał, nie można mieć za to pretensyi do niego, tylko za sąd porywczy i na nieznamomości oparty), ale że i Śniadeckiego wszystkie pisma filozoficzne od deski do deski przeczytał, coby mu wcale nie zaszkodziło, i zrozumiał je gruntownie. Ze wszystkiego jednak się pokazuje, że tak nie jest: że jak nie wie co Kant pisał, tak nie wie i tego, czego chciał przeciwnik jego Śniadecki. Wniosek ten opiera się na tém, że znawca nigdyby tak płocho doraźnego sądu nie wydawał wiedząc istotnie o co idzie, zwłaszcza w tak ważnej materyi; ale wyraziłby choć najkrócej co jest teorya pierwszego a jakie przeciw niej zarzuty drugiego. Co jest w niej błędem a co prawdą. Bo choć w tak treściwém dziele, jakim jest *Historja literatury* potocznie opowiedziana, niepodobna szeroco rozprawiać w każdym przedmiocie, możnaby jednak znaleźć i na to właściwe miejsce, wyrzuciwszy te wszystkie osobistości, te wszystkie napaści obelżywe, że tak się wyrażę, plotki biograficzne, nie właściwe powadze takiego dzieła, które je tak srodze zarażają. Otóż co do filozofii Kanta ocenionej przez Jana Śniadeckiego musimy powiedzieć p. B., że już dawniej kilku recenzentów powtórzyło na oślep jeden za drugim, że Śniadecki zbijał jego zawily mistycyzm niesłusznie, że go nie pojął, że się nie znał na tém i t. p. Śniadecki odpowiedział na to w swoim czasie, bardzo ważnym pismem pod tytułem *Dodatek do filozofii*, w którym pokazał, że dobrze zna naukę tę, ale że ma sobie właściwe przekonanie o Kancie. Smutno wszakże pomyśleć, że teraz kiedy już obowiązki krytyka u nas lepiej są poznane, i p. B., który je sam tylekroć przyjmuje na siebie, zawsze uczenie, choć nie zawsze sprawiedliwie, poszedł w te same ślady bez zastanowienia się: że jednak mając sądzić człowieka tak znakomitego

w zawodzie naukowym i publicznym, jak Jan Śniadecki, należałoby dojrzałej zglębić te zarzuty i w ich słusność wnikać. A ponieważ tego nie zrobił, i ponieważ filozofia nie jest jego specjalnością, odsyłamy go najprzód co do wiadomości o nauce Kanta i jej wadach, do wyborczego i łatwo dla nas profanów dostępnego dzieła Gołuchowskiego *Dumania nad najważniejszymi zagadnieniami człowieka*. Jak się tam dowie co jest Kant, a może się spuścić na Gołuchowskiego, bo to jest najdokładniejszy i najrozumialszy autor z tych, którzy chcieli dać nam poznać filozofią niemiecką, niech potem zrobi poświęcenie z siebie, pomimo całej niechęci, jaką ma do Jana Śniadeckiego, i przeczyta jego filozofią. Może w ten czas zmodyfikuje nieco swój sąd porywczy o tym wielkim uczonym naszym. Mówimy zmodyfikuje, bo nie jesteśmy wcale bezwzględni chwalcami jego, bo wiemy, że Śniadecki karcąc zawiklaną teorią królewieckiego filozofa, poszedł może dalej niż należało. Ale to wcale nie wychodziło z tego, że był nie zdolnym pojąć go, ale z zapału i z poczciwej bojaźni, ażeby nasza młodzież zacna, cheiwa nauki jak zawsze a pociągnięta sławą tego myśliciela, nie przewróciła sobie mistycyzmem niemieckim głów, nie przygotowanych dostatecznie do zdrowego objęcia filozofii, tej quintessencji wszystkich nauk na świecie. Mniemał Śniadecki, że to mogłoby zbalamucić młodych ludzi niezdolnych jeszcze o swoich siłach ocenić nową teorię i wszystkich jej zawitych spekulacyj, zrobić ich marzycielami szkodliwymi w życiu praktycznym, a co gorsza! nadętymi półmędrkami, zwłaszcza gdyby to w modę weszło! Jeżeli tedy i przesadził Śniadecki odmawiając nauce Kanta tytułu filozofii, to poszło najprzód z jego własnej teorii skłaniającej się do zasad filozoficznych szkoły szkockiej, a potem z tej obywatelskiej troskliwości o utrzymanie młodzi polskiej w oddaleniu od nauki nową i nie wyprobowaną, przez zholdowanie której mogłyby się zbłąkać i zbalamucić umysły niedoświadczone. Lecz Śniadecki pomimo tego nie nazwał Kanta pysznym, ani mu ubliżał osobiście, szanując go jako cnotliwego mędrca, ani też walcząc przeciw jego zasadom, nie zarzucał mu nieznamości filozofii. Prócz tego trzeba, żeby p. B. wiedział, iż nie jeden Śniadecki w Europie zbijał teorię filozofa królewieckiego. I przed nim i po nim, znalazło się niemało tak Francuzów jak Anglików i samychże Niemców nawet, którzy silnie powstawali przeciw zawilosciom i niedostatkom jego krytycyzmu. Wreszcie jeżeli p. B. chciał wykazać ujemną stro-

nę pism i rozumowań Jana Śniadeckiego w dziedzinie filozofii, należało samemu niepracując w tym przedmiocie, zaradzić się, odłożywszy na bok miłość własną, tych, których to jest specjalnością. A jest ich nie mało w Warszawie i dobrze się znających na rzeczy. Któż tu więc o pychę, przynajmniej literacką, właściwiej powinien być obwiniony: Jan Śniadecki czyli jego samowolny krytyk? Pani Ziemięcka, której nikt nie odmówi wielkiego wykształcenia w tej gałęzi wiedzy ludzkiej, z tą prawością i sumiennością przekonania, jakie są jej właściwe, wcale inaczey starala się ocenić na tém polu, zdolności Jana Śniadeckiego i pisma jego, niepochlebiając mu bynajmniej (*Studia*. Wilno 1860, str. 74—75).

Dziwotworne swoje sądy o Janie Śniadeckim uwieńcza autor *Historii literatury* najzuchwalszą obelgą i wierutnym fałszem, wykrzykując (str. 497): „Jednym słowem, byłto człowiek niezmiernie szkodliwy dla postępu literatury i światła obywatelskiego w narodzie, gdy według jego pojęcia jedynie nauki realne, matematyka i fizyka mają wszelkie za sobą prawo w uniwersytecie. Całą też młodzież polską zmienił gwałtem w materyalistów, i nie pozwalał jej błądzić w sferach ducha”. Dodaje potem, że robił to z przekonania, ale to przekonanie było chińskie. Kończy zaś najniespodziewaniej: „Poważano go powszechnie. Jedno imię Śniadeckiego kiedyś przeważało zwycięstwo!” Proszę więc zrozumieć czego tu chce p. B.? Jednym zamachem pióra obrócił w nie nietylko Śniadeckiego, ale całe obywatelstwo dziewięciu prowincyj naszych. To piękny tryumf! Mickiewicz, Tomasz Zan, Odyniec, Julian Korsak, Aleksander Chodźko, Juliusz Słowacki, Czczot, Mikołaj Malinowski, Jeżowski, Kowalewski i t. d. i t. d., a któż wreszcie wyliczy wszystkie ilustracye w samej tylko literaturze, nie tykając nauk ścisłych szkoły głównej wileńskiej, którą wtenczas, kiedy się oni uczyli, rządził Jan Śniadecki, a potem na nią wpływał przeważnie do roku 1820: byliż więc to materyaliści? Uciskałże ich Śniadecki? przeszkadzałże im być wielbicielami poezyi, filologii lub historyi? Wszyscyż obywatele Litwy, Podola, Wołynia, Ukrainy i t. d., którzy byli wówczas na uniwersytecie wileńskim, zostaliż zamienieni na matematyków jedynie i fizyków? A teraz pytamy p. Bartoszewicza, kiedy, jak sam powiada, Jan Śniadecki był tak wielką potęgą socyalną, i kiedy go wszyscy poważali, za kogóż ma całe obywatelstwo nasze, gdy jak widać z jego słów, sami nie wiedzieli co czynili tak go wysoko ceniąc? że



więc byli ślepi i ograniczeni! Nieprawdaż? bo inaczej zrozumieć takiej potwornej sprzeczności nie można. Jużbyśmy chcieli dać pokój tym nadzwyczajnym niedorzecznościom, ciesząc się tém przynajmniej, że brat Jana, Jędrzej Śniadecki uszedł szczęśliwie jadowitego skalpela p. B. Ale niepodobna, bo na drugiej stronie autor znów innemi oszczerstwami zakłóca cienie sławnego męża. „Koniec żywota tych dwóch znakomitych braci (Jana i Jędrzeja) pisze p. B., (str. 499) który znakomitość pierwszego zdeptał, był całkiem odmienny, jak i zasługi ich różne. Jan, który właściwie mówiąc, nie tylko nie genialnego, ale nawet wielkiego nie napisał (bo i jeografia fizyczno-matematyczna, którą się tyle niegdyś przechwalano, jest tylko książką elementarną, może w porządniejszy ład wprawioną), który pomimo zdolności swoich zły wpływ wywierał i nie trafił na swoją drogę, bo natura stworzyła go uczonym? a okoliczności dały mu w ręce rząd i władzę, przeżył wreszcie swoją wielkość, i odalony od uniwersytetu ostatek życia przepędził w spokojności na wsi u brata (wcale nie u brata lecz u synowicy)”. „Jan umarł w listopadzie 1830 roku. Nikt prawie nie wiedział o jego śmierci, ale pogrzeb Jędrzeja odbył się w Wilnie przy licznych tłumie. Ksiądz Trynkowski powiedział kazanie, prawdziwe arcydzieło wymowy i t. d.” Jakaż to niewiadość rzeczy w całym tém pisaniu? Sąd p. B., o dziełach matematycznych Jana Śniadeckiego, jest wbrew przeciwny zdaniom nieco więcej zasługującym na wiarę, bo zdaniom matematyków z professyi. Jeografia matematyczna choć elementarna, jest wszakże taką w swoim rodzaju książką wyborną, jakiej nikt przed nim nie napisał w Europie, bo Laplace w kilka lat potem wystąpił dopiero z podobnego układu dziełem. Gdyby Jan Śniadecki tak był ambitnym, jak go kwalifikuje p. B., choć na ten raz powinienby nim być, to jest gdyby się postarał o tłumaczenie tej swojej jeografii na język francuzki: sława jego byłaby się prędzej i wyżej utrwalila w literaturze matematycznej europejskiej. A tak rozniosła się z tego powodu szeroko, tylko na wschodzie Europy, bo została przelożoną na język rossyjski, i zakładom naukowym w Cesarstwie zaleconą. Jeżeli zaś chce p. B., wiedzieć jak uważają sędziowie właściwi algebrę Jana Śniadeckiego, niech nie ma wstrętu zajrzeć do przemowy znajdującej się na czele geometrii analitycznej Adryana Krzyżanowskiego, chociaż i ten uczony nie ma wielkiej łaski u p. B. Tam się nauczy nad spodziewanie swoje, że to

znamienite dzieło wyższe jest nad ówczesny stan nauk matematycznych. Nie wiemy także, czy słyszał autor *Historii literatury*, że Jan Śniadecki jest autorem jeszcze jednej wyborniej książki matematycznej, trygonometrii kulistej, którą wytłumaczyli zaraz Niemcy nawet, a zatem poczytali to za więcej niż pospolitą pracę. To o dziełach matematycznych Jana Śniadeckiego, a teraz mówmy o żalu po zgonie jego. Jan osiadł na wsi w 72 roku życia, dla spoczynku starganych sił długoletnią, publiczną pracą, i tam umarł. Trudno więc było całej publiczności Wilna towarzyszyć jego pogrzebowi, a studentom nieść trumnę, jak brata. Nieśli ją tylko do grobu, prócz rodziny, liczni kmiotkowie, którzy wiele dobra od niego doznali, i uwielbiający go sąsiedzi. Jeżeli zaś burzliwe okoliczności owych czasów, nie pozwoliły po całym kraju oddać natychmiast publicznego hołdu ceniom zmarłego, to przecie w Wilnie i w Krakowie zgon Jana Śniadeckiego obudził żywe uczucia żalu ze straty męża, który w tych dwóch miastach położył najwięcej zasług, jakimi się jego życie odznaczało dla kraju. Gorące modły za jego duszę od współtowarzyszów jego i licznej publiczności w stolicy Litwy, a od senatu i akademii krakowskiej u stóp Wawelu, wznosiły się zarówno na dwóch krańcach dawnej Polski. Pomimo tego jednak podobano się p. B., napisać, że „nikt prawie nie wiedział o śmierci Jana”. Co większa! chwając kazanie księdza Trynkowskiego na pogrzebie brata jego Jędrzeja Śniadeckiego w r. 1838 miane, i uważając je za arcydzieło wymowy (str. 499) nie spostrzegł, że z ust tegoż samego kaznodziei i w tymże samym kazaniu, w obec tłumu słuchaczy i młodzieży szkolnej, wyszły słowa największej pochwały i uwielbienia dla Jana, tak srodze oszkalowanego w *Historii literatury p. B.*, (ob. *Mowa pogrzebowa po ś. p. Jędrzeju Śniadeckim*. Ks. L. T. Wilno 1861, str. 20—22).

Cały okres ostatni literatury naszej zwany Mickiewiczowski, chociaż dość obszernie jak na książkę elementarną, bo na półtorastronnicach skreślony, bardzo jednak dorywczo z małemi wyjątkami jest opowiedziany. Sprzeczności zaś jak zwykle a lekceważenia ludzi pełno wszędzie. Mijamy już to zdanie o literaturze Zygmuntofskiej, które na samym wstępie do tego okresu wypisał p. B., niestosowne z tém co wyżej o niej mówił; bo już poprzedzający recenzenci to mu wytknęli. Ale nie możemy zamilczeć, że p. B. myli się twierdząc (str. 502) że „szubrawcy wileńscy bili na wszelką nowość”. Owszem szubrawcy

bili na przestarzałe nałogi i spaczony wyobrażenia; i to było ich głównym celem. Szydzili z wad języka, ale zbawiennemu przewrotowi w poezji w ten czas objawiającemu się wcale nie byli przeciwni. W ogólności uważamy, że pojęcia p. B. o ruchu umysłowym w Litwie w różnych epokach, są bardzo słabe i niedostateczne. Na (stron. 524) autor poczytuje słynną powieść księżnej Wirtemberskiej *Malwina czyli domysłność serca*, za utwór zajmujący i pełen serca: dodaje, że sam nawet Jan Śniadecki, *który nie rozumiał rzeczy lekkich*, napisał jednakże rozbiór jej! Dziwna rzecz, jak można nie rozumiejąc czego, umieć jednakże poznać się, że to dobre i potrafić słusznie ocenić. Wdzięczni jesteśmy p. B., że przecie zacna nasza Klementyna z Tańskich Hofmanowa, której tyle rodzice polscy są winni wdzięczności, nie została zraniona ostrzem pióra jego. Ale za to Edward Raczyński, chociaż jego zasługi wielkie w chwili powszechnego odrętwienia literatury naszej, powinny były obudzić w autorze historyi jej, większe współczucie i pohamować chorobliwe pióro jego od rzucania się na ulomności człowieka dręczonego bolesnymi wspomnieniami, nie uszedł złośliwego sądu. Zgadzać się to z miłością chrześcijańską i z owym duchem religijnym, który objawia się często w tym samym dziele p. B., takimi pociskami srogimi przywalać nawet grób tego nieszczęśliwego, bo ciężką chorobą dręczonego człowieka! Wreszcie jakże pogodzić naprzykład to piękne i niezaprzeczone zdanie samegoż p. Bartoszewicza, kiedy mówi o różnych sposobach pojęcia i pisania Historyi literatury (str. 4): „Tam gdzie wyłącznie o myśl narodu i o tę całość organiczną życia jego idzie, oczywiście znikają jednostki, to jest pisarze, a tylko o płodach może być mowa, i tam ogrom narodu literacki zlewa się w jedno bezdenne, nieograniczone morze wiedzy uczucia i myśli”. Jeżeli tedy mają znikać jednostki, to jest pisarze, dla czegoż p. B., w swojej historyi nie tylko szeroco o wielu rozprawia, lecz jeszcze najniepotrzebniej i najgadatliwiej miesza się w ich domowe sprawy, kiedy o ich dziełach i o ich wpływie na umysłowość narodu mówić wypada. Pocóż przywłaszczać sobie pole należące tylko do biografów i pisarzy pamiętników, a z drugiej strony błędnymi i niewczesnymi sądami o ludziach bałamucić głowy młodzieży? Jednakże oprócz tej zupełnie niestosownej i smutnej rozprawy nad tak zwaną pychą Raczyńskiego, zresztą cały ten rozdział o literaturze poznańskiej i Prus polskich (od stronicy 575—586) jest trafnym i umiarkowanie napisanym poglą-



dem na nią. Dziwimy się nawet wspaniałomyślności p. Bartoszewicza, że na ten raz chciał przebaczyć znamienitemu i zacnemu Augustowi Cieszkowskiemu jego tytuł hrabiowski. „Cieszkowski, mówi autor, został umyślnie hrabią, nie dla pychy, ale dla tego, by się mógł przed Europą stanowiskiem zalecić!”

Przystając na tych uwagach, nie mamy zamiaru zastanawiać się nad tem, co p. B. napisał w swoim dziele o stanie dzisiejszym literatury polskiej. Odwołujemy się w tym względzie do zdania samegoż autora (Nr. 607), że „o wartości prac żyjącego pisarza sąd zawsze musi być zawczesny, bo chociaż wiadomo jest co zrobił, niewiadomo co jeszcze zrobi”. I dlatego zapewne autor odbył całą tę robotę prawdziwie pobieżnie, a jak zwykle nie wszędzie bezstronnie i uważnie, a zatem nie wszędzie niemylnie. Cóżkolwiekby, przypominając sobie, że p. B. tę swoją pracę przeznaczył dla młodzieży uczącej się, musimy wyznać najprzód, że pod tym względem książka tego rodzaju K. Wł. Wójcickiego w powtórném zwłaszcza wydaniu będzie stosowniejszą zawsze, choćby nawet dzieło p. B. nie było dla niej tak szkodliwem jak jest w istocie. Powtóre, uważając tę jego historią literatury, jako księgę otwartą dla oświecenia dojrzałych czytelników, znajdujemy, że Kondratowicz (Syrakomla) daleko wyżej stoi ze swojemi *Dziejami literatury polskiej*, pomimo niektórych wad, od pana B. Wiele on rzeczy widzi i rozumie jasno bez przesady i zarozumienia, a nade wszystko ocenia same dzieła bez żółci, nie tykając ani spraw domowych, ani dobrej sławy autorów. Gładko prowadzi opowiadanie i pięknie mówi o głównych filarach nauk i oświaty naszej. Dobrze umiał korzystać z prac i odkryć bibliograficznych Maciejowskiego, do przedstawienia obrazu umysłowości i jej plodów w XVII wieku. Wyborne wreszcie porobił wypisy z różnych pisarzy, co jest rzeczą wielce wspierającą sądy o nich i najpożyteczniejszą dla wszystkich czytelników. Szkoda tylko, że Kondratowicz dotąd nie kończy tak dobrze rozpoczętego dzieła, korzystając przytém z uwag, jakie mu zrobiono. A większy jeszcze żal, że sam pan Bartoszewicz nie chciał w pisaniu swojej *Historii literatury* pójść za własnym przykładem, za przeszlicznym swoim żywotem Naruszewicza, umieszczonym w najcelniejszem dotąd dziele jego: „*Znakomici mężowie polscy XVIII wieku*” żywotem, który może służyć za wzór wszystkim biografom. Niema tam nietylko żadnych oszczerstw, żadnego szarpania sławy tak dobrze zasłużonej przez wielkiego dziejo-

pisa, ale mądrze i sprawiedliwie pominięte są wszystkie ułomności, wszystkie słabostki, którym mógł ulegać jako człowiek i jako uczestnik zanadto rozwolnionego dworu Stanisława Augusta. Owszem spotykamy tu (Tom I, str. 142—3) ze społecznym i zupełnym uznaniem słuszności najsprawiedliwszego oburzenia pana Bartoszewicza, przeciwko nieszlachetnej napaści Wiszniewskiego w jego Historji literatury polskiej, na tę wielką i zasłużoną postać u nas. Nie możemy się wstrzymać od przytoczenia tych energicznych słów pana B. „Podobało się bardzo niedawno Michałowi Wiszniewskiemu uderzyć na ten kolos Stanisławowskięj literatury. Wiszniewski chciał go ze wszystkich obedrzyć zaszczytów. Zarzucił mu pochlebstwo, które graniczyło z czém jeszcze nie powiemy, przez wzgląd na Naruszewicza. Zelżył nawet jego historję i powiedział, że to panegiryk, że to pochwała królów, że wszystko co tylko w historji Naruszewicza jest dobrego (a jest bardzo mało), wszystko Poniatowskiemu należy, bo on był twórcą myśli, a bez jego pomocy i zachęty nie byłoby wcale historji. Za grube to są zarzuty, pisze dalej pan B., szorstki widać w nich umysł własną zasługą zajęty. Naruszewicz jest zawsze jedną z najznakomitszych postaci z czasów Stanisława Augusta. Zasługi dla literatury położył Naruszewicz nieocenione. Pod tym względem stoi na równi z ludźmi, którzy najwięcej wslawili chwilę wielką w życiu narodu, odradzających się nauk. Sądząc go w ramach swojego czasu, był olbrzymem, a i dzisiaj i po nas w odległych pokoleniach wartości swojej nie utraci.“ Teraz pytamy pana Bartoszewicza, azali nie moglibyśmy tych samych wyrzutów, jakie on robi Wiszniewskiemu, uczynić jemuż samemu wtenczas właśnie, kiedy się targa bezzasadnie i nie w miejscu, nietylko na dzieła piśmienne tyłu znamienitych i czeigodnych mężów naszego narodu, ale jeszcze na ich czyny publiczne i sprawy domowe, lub na osobisty charakter i obyczaj? Zostawujemy to jego własnemu sumieniu! Wszakże na dowód, jak dalece p. B. sam z sobą jest sprzeczny, przytaczamy tu jego zdanie o Naruszewiczu w tej samej Historji literatury (str. 422—3) umieszczone: „Życie prowadził dość wolne, jak prawie wszyscy biskupi ówczesni, doszedłszy jednak władzy dał się mocno uczuć poddanemu sobie duchowieństwu; w lirykach i w odach swoich razi już unізaniem się i pochlebstwem posuniętem aż do bezwstydu.“ Porównywając ten sąd z owemi pochwałami bardzo zasłużonemi, w żywocie jego znajdującemi się, który

właściwsze znalazłby tam miejsce obok nich, aniżeli w historii literatury, nie można się dosyć nadziwić, do jakiego stopnia jest niekonsekwentny p. B. w swoich wyrokach! Tymczasem uważając pana B. jako krytyka, chcącego wszystkim naga prawdę mówić, wyznać musimy, że przy tak chwalebnej chęci nie zawsze mu się udaje dokazać tego z dobrym skutkiem. Grzeszy on raz ostrością wyrażen, co ludzi rozdrażnia przeciw niemu, gdy nie dali do tego powodu, zwłaszcza, że tu przecie nie idzie o karcenie występku, ale o słuszne ocenienie talentu pisarskiego; drugi raz niepamiętaniem na to, że żadnego z piszących inaczej sądzić nie należy, jak względnie do czasu, w którym pisał swoje dzieło; jeżeli zaś coś wyższego nad stan nauk, albo ducha czasu swojej epoki utworzył, przyznać mu stosowną zasługę wypada. Potrzebie, grzeszy nie zawsze dostatecznym przeczytaniem i zgłębieniem przedmiotu wziętego pod rozbiór i sąd. Nakoniec zbyt częstym nieraz uprzedzaniem się, mianowicie przeciw niektórym autorom, tak, że kiedy w jednym piśmie nie podoba mu się który, już nie wchodząc w przemiany i odcienia jego talentu i pracy, nie chce zmieniać raz utworzonego o nim przekonania. Dobre nawet dążności autora nie mają już wtenczas żadnej ceny u p. B., skoro się zaślepi uprzedzeniem, ani mu chce przyznać wtenczas żadnych zasług, które mógł położyć w literaturze, lub jeżeli ich pominąć nie może, to usiłuje jak najzimniejszą wzmianką zmniejszać je w oczach czytelnika. Jednym słowem, p. Bartoszewicz w swoich krytycznych pismach, pokazał się dotąd nietylko pozbawionym tej miłości braterskiej, która przy najsurowszym sądzie łączy z łagodnym przekonywaniem o błędzie, naukę jak się ma poprawić błędzący, ale jeszcze dalekim od wszelkiego natchnienia filozoficznego. Łatwo uprzedzający się, zdaje się jakby cieszyć, że może odsłonić ujemną stronę człowieka dotąd uważanego przez cały kraj za światło i chlubę narodu. A co gorsza! że nieraz nie chcąc, albo nie mogąc zgłębić dojrzałe, co stanowi istotną wartość jego pism i zasługę czynów, odważa się na doraźne sądy, na wyrokowanie z góry, jakby już do tego nabył prawa, w każdej gałęzi nauk i wiadomości ludzkich, jakby był polyhistorem jakim, uznanym za takiego od wszystkich. Znajomość metryki i sygillat, nie może jeszcze nadać nikomu przywileju potępiania *à priori* bez dowodów, mężów, których dzieła i postęпки dotąd poczytywano za pożyteczne i chwalebne! Nie chcemy jednak tracić nadziei, że lata a z niemi doświadczenie,



głębsze zastanowienie się nad sobą i większe poczucie miłości chrześcijańskiej skłoni go nareszcie do wyrzeczenia się tak porywczych sądów, które imieniowi dobremu jego, jakiego dostąpił już w literaturze, wiele dotąd szkodzą. Takie są wady pana B. jako krytyka, chociaż kiedy się w szczęśliwej chwili upamięta w swojej drażliwości wrodzonej, umie dobrze i niekiedy bardzo zdrowo i bezstronnie, a nawet z nowego zupełnie stanowiska sądzić o zdolności pisarzy i wartości ich dzieł. Co zaś do tej *Historji literatury*, którąśmy tu rozbierali, zdaje się, że p. B. pisząc ją, chciał się odznaczyć także nowemi i zupełnie różnemi od dotychczas ustalonych sądami o ludziach i pismach ich w literaturze. Chciał wielkie prawdy wszystkim wypowiedzieć; chciał nakoniec nagłym przewrotem upowszechnionej opinii zwrócić może na siebie uwagę, a gruchocąc grubemi słowami, jakby obuchem i zwalając ze stopni, na których wdzięczna pamięć narodu postawiła tyle znakomitości naukowych, dostąpić nowej sławy. Lecz bodajby nie zasłużył na sławę Herostratową. Wszak chcąc zostać głośnym i pamiętnym, można nietylko budując, ale i niszcząc tego dokazać. Życzymy z duszy panu Bartoszewiczowi, żeby się wreszcie przekonał choć raz, że jego doraźne sądy, jego uwłaczające mniemania nie mogą nikogo ani nakłonić do jego opinii, ani poprawić w błędach, bo są dyktatorskie po większej części, nie zaś dowodami poparte. Może mu się zdaje, że mówi prawdę śmiało, ale go nie chcą słuchać i nie rozumieją. I tu się myli, męczennikiem prawdy nie zostanie, choćby się chciał na to narazić, bo paradoksa i szkalowania nie są prawdą. Pisząc wiele, ubiegamy się za ilością i nowością, usiłujemy w dziejopisarstwie stanąć na równi z Augustynem Thierry, z Macaulejem, dostąpić ich sławy w Polsce. Chcemy naśladować ich odtwarzać postacie dawne, tak te, co zasługują na to, jako i te, któreby mogły wybornie uleść zapomnieniu, rehabilitować niedoleżność jezuitką w szkołach od połowy XVII do połowy XVIII wieku i zdradę Radziejowskiego. A czy mamy rozwagę, siłę, wytrwałość i poświęcenie się tych wielkich dziejopisów? Oni stracili zdrowie, oddali całe życie na pisanie jednego lub dwóch dzieł dla zgłębienia jednego przedmiotu. Thierry odkrył w historyi francuzkiej nowy świat za Merowingów, na który tyle lat patrzyli ludzie uczeni i nie umieli go poznać, bo on długie lata wpatrywał się w niego przez lunetę starych kronik i wartował je po wielekroć razy, nim przejrzał prawdę. Macaulej przywrócił

dobrze imię Kromwellowi, ależ oparł to nie na fantazyi i humorze, lecz na dowodach ciężkim trudem wydobytych z cienia, poświęcając wiek swój jednej myśli, utworzeniu jednej książki. A my uniesieni miłością własną, chęcią błyszczenia lub zaćmienia drugich, piszemy stosy ksiąg, chcemy być wszędzie, rozpraszać siły swoje i wiadomości na wszystkie strony, po gazetach, pismach i pisemkach czasowych, kalendarzach i t. d. I dlatego też mało wydajemy takich plodów, które trwać będą dłużej nad życie nasze. Ztąd musi iść szybkość w ich tworzeniu, a z nią tysiące omyłek i zdań lekkomyślnych. Poeta tylko i powieściopisarz mogą nie zakładać kresu dla swoich utworów, bo idą za natchnieniem i wyobraźnią. Ale dziejopis, pomimo najpotężniejszych zdolności, musi ciężką pracą, mozolnym badaniem źródeł i faktów, zdobywać się na dojście prawdy i nauki, które tamci w jednej szczęśliwej chwili osiągnęli!

Smutno jest nam, że tak surowo musieliśmy wypowiedzieć zdanie nasze o panu Bartoszewiczu, roztrząsając tę jego książkę, zdanie, które z nami tylu innych podziela; co nawet nie było dotąd w naszym zwyczaju. Przykro, że to musieliśmy napisać o jednym z najuczestniejszych teraz i najpracowitszych zaiste badaczy naszej historyi, który już położył niemałe zasługi w tym zawodzie i wiele ich jeszcze położyć może. Ale uważaliśmy za obowiązek swój bronić najprzód tych mężów, najniesprawiedliwiej osławionych przez autora, w których obronie nikt jeszcze nie postąpił z recenzentów; a potem chcieliśmy i my, jako zestarzali w zawodzie pisarskim, przestrzedz choć niendolnym słowem, ziomek naszych o niebezpieczeństwie zawierzenia wszystkim sądom i zdaniom objawionym w tém dziele, przestrzedz nie dla chluby żadnej, lecz jedynie przez tę miłość dla nich i dla wspólnej ziemi naszej, którąśmy zawsze kochali i kochać aż do grobu, zapewne już niedalekiego, nie przestaniemy.

*Michał Baliński.*

---

*Wspomnienie o życiu i pismach księdza Karola Antoniewicza, przez ks. Ignacego Polkowskiego. Warszawa. Nakładem księgarni G. Gebethnera i R. Wolffa. 1861 r. W drukarni Gazety Polskiej, w 8ce str. 113.*

Wiele życiorysów tego apostoła kapłana, poprzedziło pracę księdza Polkowskiego: czytaliśmy je w Żywotach sławnych

Ormian ks. Sadok Barącz; w Tygodniku Ilustrowanym, w Encyklopedyi Powszechnej, i w Rozrywkach dla młodocianego wieku pani Seweryny z Żochowskich Pruszkowej; ostatni co do rozmiarów najobszerniejszy, i dokładnością wszystkie przewyższa. Godzimy się chętnie na myśl rzuconą, ażeby pisma wszystkie jego rozrzucone, zebrane razem, wydawcę znalazły. Zbiór taki byłby nietylko pożądanym, ale stanąłby za najpiękniejszy pomnik dla zacnego kapłana-pisarza.

Praca ks. Polkowskiego na czasie ogłoszoną została, gdy pieśni zmarłego Karola Antoniewicza brzmią teraz po naszych kościołach i w ustach ludu pobożnego.

Z obfitych a gotowych zasobów czerpał nasz autor szczegóły do życiorysu ś. p. Antoniewicza, przywołując obszerniejsze wypisy z pism jego, i przeplatając szczegóły biograficzne swemi uwagami.

Nie będziemy kreslić tu życiorysu sławnego kaznodziei i pisarza, zwrócimy tylko uwagę na jego stanowisko i wartość pracy księdza Polkowskiego.

Autor wziął za godło z Eklezjastyka ustęp:

„Wspominajmy męże chwalebne i ojce nasze w rodzaju swoim.  
Mądrość ich niech powiadają narodowie a chwałę ich niech opowiada kościół.“  
(Rozd. 44, w. 1 i 15).

Godło to stosowne, wspominając zasługi takiego kapłana, jakim był Karol Antoniewicz. Straciwszy pięcioro dzieci i ucochaną żonę, przywdział suknię zakonną. Nie można bez głębokiego rozrzewnienia czytać jego listów, w których opisuje nagłe osamotnienie i pożegnanie z rodzinnym gniazdem. Stary furtyan, wysłużony wachmistrz Kościuszkowski, z porąbaną głową, a w tedy biedny klasztorny braciszek, otworzył mu drzwi żelazem okute. Przeszedł przez nie ks. Antoniewicz dnia 10 września 1839 r. i rozdzielił się z światowym życiem na zawsze. Majątek znaczny, jaki posiadał, rozdał, sam ujawszy krzyż Chrystusa, szedł jak ubogi zakonnik w nowy zawód życia, aby zdążyć do celu wskazanego przez Zbawiciela.

Właśnie uderzyła godzina niedoli w tę część dawniej Polski, którą nazywamy Galicyą. Rok 1846 zapisał krwawemi zgłoskami karty dziejów naszych. Na zgłiszczach spalonych dworów, na ziemi krwią niewinnych ofiar przesiąkniętej, wśród zdziczałej i rozbestwionej tłuszczy, zziąjanój mordem, trunkiem



i rozpustą, stawał mężny apostoł, z krzyżem w ręku, aby przywieść ją do upamiętania.

„Nie małe to zadanie (pisze sam ks. Antoniewicz), lud rozhukany i rozpasany na wszelkie zbrodnie, nawrócić do Boga, poruszyć do żalu i skruchy, a to wczasie, gdy jeszcze krew przelana się kurzyła, gdy wszelka powaga kapłańska, wszelka powaga Boska i ludzka zniszczona. Potrzeba było stanąć na tej ziemi krwią zbroczoną, patrzeć na łzy, żyć między rozpaczą i zbrodnią, i z kazalnicy znieważonych kościołów gromić zbrodnie, pocieszać smutek, uspokoić rozpacz, okazać w całej wielkości i potęgę sąd sprawiedliwości i miłosierdzia Boskiego.”

Wymownie opisawszy sam apostoł mord w Bobowy, i pastwienie się nad trupami, przybywa do pobliskiej wioski *Brzany*: lud z ponurym obliczem spogląda na kapłana, ale wkrótce pod potęgą wymowy miłości, twarde serca roztajają, żal i skrucha je przejmuje i łzami rzewnymi wybucha; przed chwilą milczący, ze srogim spojrzeniem, gotowy do hasła na przelew krwi: teraz pokorny, rzuca się na kolana, żebrze łaski i miłosierdzia Boskiego. Tak przeszedł trzy obwody Galicyi: tarnowski, bocheński, sandecki, główne widownie najstraszliwszych mordów.

Książdz Polkowski z podania swego stryja, daje jeden obraz z tej pamiętnej rzezi.

„Największe męki (pisze), wytrzymali Slotwiński Konstanty i bracia Broniewscy. Slotwińskiego przywiązali za brodę do końskiego ogona i póty po najfatalniejszej włóczyli drodze, dopóki nie wyzionął ducha. Z Broniewskich starszego na śmierć bito cepami, łamiąc żebra, ręce i nogi. Młodszemu *Janowi* obcięto nos i uszy, odarto skórę z twarzy, a gdy mu oczy mieli wylupić, żonę jego zmusili trzymać w ręku pochodnią, przyswiecającą ich barbarzyństwu! Dąbskiego, Horodyńskiego, Kerwińskiego i Sokulskiego rąbano żywcem, rzucając drgające kawały wieprzom ku pożarciu; pani Sętkowskiej lano okowitę w otwarte usta, tak długo, aż się zamęczyła. A iluż to szlachty, ich żon i dzieci niespalono żywcem.“

Wśród takich gromad zbrojnych zbójców i morderców, stawał ks. Antoniewicz, śmiało wyrzucał im popełnione zbrodnie, grożąc straszną zemstą Boga. I zbrodniarze ukorzyli dumne czoła krwią zbryzganę, pewni swobody od miecza sprawiedliwości, bo ta sama dłoń, co go dzierżyła z prawa, dała hasło do mordów i za nie absolucyą zarazem!

Zbliżony do ludu nasz wymowny apostoł, poznawszy go do głębi, pisze w jednym z listów swoich:

„O ileż to wysłuchałem tajemnych westchnień, ile łez po kratkach konfesyonału od Boga tylko widzianych, spłynęło. O! ileż to wielkich, świętych serc bije pod siermięgą i sukmaną! Ja tak przekonany jestem, że z połowę nieba polscy chłopcy zajmą! O wierzaj mi, że powiększej części grzechy ludu naszego, to są grzechy nasze, grzechy księży, szlachty, grzechy niedbalstwa, zepsucia, może i złego przykładu. Oj! my za lud Bogu odpowiemy!“ (Listy z zakonu).

I to pisze kapłan, który szedł jak zwycięzca z krzyżem po zgliszczach skrwawionych ojczyźnej ziemi, co patrzył na zgraje morderców, a obok na lud pełen serca i miłości Chrystusowej: i ten lud musiał ogromną stanowić większość, gdy wywołał tak wymowną a niestety prawdziwą apostrofę.

Z czasu apostołstwa ks. Antoniewicza, pobyt jego w Karpatach pomiędzy góralami, huculami, stanowi jeden z zajmujących ustępów. Tu żywym przykładem ukazuje zacny kapłan na wielkie serca uczucia, tak między góralami jak i ich niewiastami. Myli się ks. Polkowski, dając przypisek objaśniający o tém plemienu, że mowa ich, „nie jest zupełnie polska, ale podobna trochę do rosyjskiej: na orła mówią *oreł*, morze *more*, góra *hora*, młodzieniec *mołodec*, dziewczyna *mołodica*, (mylnie, bo ta nazwa służy tylko mężątkom), i t. d. Wiadomo bowiem, że huculi są plemieniem rusko-polskiem, a język ich dalekim jest bardzo od rosyjskiego.

Co do wartości pracy ks. Polkowskiego, widać sumienną troskliwość w zebraniu szczegółów do życiorysu ks. Antoniewicza, ale brak im tego związku artystycznego, który całości nadaje dopiero prawdziwą wartość. Pomimo tylu już materyałów, i życiorysów zmarłego kapłana, najwyższej ceny jest w *Rozrywkach dla młodocianego wieku* ogłoszony, bo w nim wybija w całej wielkości apostołska postać ks. Antoniewicza, i sprawdza napis, który na jego grobie czytamy:

Z krzyżem w ręku nad polskim górujący ludem,  
Wparłeś go i podniosłeś słowa twego cudem:  
Krzepiłeś go w niedoli nadzieją i wiarą,  
Dla niegoś żył jedynie, i dlań padł ofiarą.  
Dais cię szuka w twym grobie, przez lzy widzi w niebie,  
I modląc się za Tobą, modli się przez Ciebie.

K. Wł. Wójcicki.

*Szandor Kowacz, szkic przez Teodora Tomaszka Jęza. Wilno. Nakładem i drukiem Zawadzkiego 1861 r.* Dwóch było w Szegedynie mieście serdecznych przyjaciół, braci ślubnych, niedobitków szóstki buzańskiej, sprzysięgłej na śmierć i życie; Sawa Simicz Serb z rodu i Madiar Kowacz. Pierwszy miał córkę, drugi synę; więc umyślili silniej jeszcze sprzęgnąć węzły braterstwa, łącząc się powtórnie w swoich dzieciach. Szandor zawczasu stracił ojca a wcześniej jeszcze matkę, ale oboje rodziców swoich, ale więcej niż rodziców, bo i rodzinę, więcej nawet niż rodzinę, bo i ziszczenie uroczych złotych snów młodości, znalazł on w dostatniej chacie Simiczów kolodziei stojącej tuż nad brzegiem Cissy, na krańcu odosobnionego przedmieścia. Kiedy podrośł, oddano go w termin do kowala, żeby był tém czém ojciec. Tedy przez rok okrągły dął tylko w miech i posługiwał majstrowej; przez drugi cały trzymał obcęgami rozpalone żelazo na kowadle i posługiwał czeladnikom; przez dwa następne służył już tylko swojej sztuce, aż się nie wyzwolił na czeladnika, ale ani na chwilę nie zapomniał swojej Maryjki: owszem przywiązał się do niej więcej może, niż się to zdarza, w podobnie uprzątajacém wszelkie zawady do szczęścia, zbyt łatwem, dla młodocianych niespokojnych żądz, położeniu. Cóż wreszcie kiedy przyszedł czas udania się na wędrowkę. Ale otóż początek dramatu, bo dotąd była expozycja dopiero. Po odejściu Szandora, Maryjka miała zalotników nie mało. Była przyrzeczoną innemu i do tego piękną, miał więc owoc zakazany, nie same powaby zakazu. Chodziły też wieści dość nawet uzasadnione o niemaléj pękatości worka Simiczowego, owoc zatém zakrawał na złote jabłko: można też było w razie niepowodzenia oberwać co zreszty od starego Sawy: nadawało to owocowi coś Hesperyjskiego. Ale zdobywcom nie posłużyły ani wasy pozakręcane w druciki, ani szamerowane dołmany, ani błyszczące buty z chwościkami, ani nawet dołki, które kopał jeden pod drugim. Dziewczyna uparła się być okrutną, czy też wierną tylko. Niejaki Leopold Memlauer Edler von Kromschwert przetrzymał inuych. Miał więcej zasobów jak drudzy, a może więcej krwi zimnej z powodu lat czterdziestu kilku, a może tylko więcej czasu do stracenia: bo człowiek ten zdawał się nie nie robić na świecie. A jednak działał mu się tak dobrze jak nie trzeba lepiej, miał i konie i powozy i wszelkie przyjemności życia. Żył za pan brat z panami, a protegował mieszczaństwo; namawiał do siebie młodych ludzi i kierował ich nader zyskownie, a przytém był luźki i przystępny, choć go do rany



przyłożyć. Serb z Serbami, Madiar z Madiarami, Wołoch z Wołochami; nie było człowieka nader gładszego, Niemca mniej niemieckiego jak on. I gdyby nie pewne listy pisane znakami, dość regularnie do Wiednia... Poczmiistrz ciekawiec odpieczętował z nich jeden, ale na nic mu się to nie zdało, bo uni się mógł dowiedzieć o czém tam była mowa. Koniec końcem, Memlauer łączył w sobie wszelkie pokusy szatana mogącego zniechęcić najtwardsze serduszek dziewczęce. Wreszcie zdawał się nie żądać nawet, żeby go kochano, błagał tylko, żeby się kochać pozwolono. A tymczasem pomarańcze, cukierki, koleczyki, łańcuszki, wreszcie i książki coraz więcej romansowe, fatalnie szturm przypuszczały do tej twierdzy tak dotąd niezdobytéj. Przybywaj Szandorze! przybywaj! bo lada chwila może być za późno! Uspokójcie się, czytelniczki; Szandor przybędzie w samą porę, tylko wprzód opowiemy jeszcze w jaki sposób nasz bohater przeżył czas, przez który Maryjka opędzała się zdobywcom. Rok 1847 zaskoczył go w Galicyi i w Czechach. Młody rzemieślnik, wśród wybuchów życia, jakie go opływały zewsząd, dorósł pełnoletności politycznej i poczuł się Węgrem, więcej nawet niż Węgrem, bo Madiarem. Kochanka dochowała mu wiary pomimo za lotników, jakże tedy i jemu nie było dochować wiary ziemi rodzinnej pomimo zalotnych oczu dziewczyny. Łatwo sobie przypomną czytelnicy, że rodzina Simiczów była pochodzenia serbskiego. Otóż niedaleko i katastrofa, uosobiona w postaci natury ciągnącej wilka do lasu. Razu pewnego Szandor, który i tak już oddawna rady sobie jakoś dać nie mógł, stał się mimowolnym współnikiem zmowy na wysadzenie w powietrze składu prochu i amunicyi należącego do Madiarów. Janko Simicz był w tej zmowie narzędziem Memlauera, który tymczasem niby trzymał z Węgrami. Szandor nie będąc już dłużej panem siebie, ucieka z domu swego przybranego ojca i przystaje do huzarów. Walcząc tu i owdzie, raniony zostaje pod Pesztem, co go na całe trzy miesiące usuwa z pola działania. Tymczasem w Szegiedynie niewiadomym sposobem wydaje się wyż wzmiankowana zмова, i pada jej ofiarą Łuka Simicz, brat Janka. Memlauer, który, jak się zapewne czytelnicy domyślają, sam kierował tém wszystkiém, wmawia w Janka, że to Szandor wydał tajemnicę. Stary Sawa przeklina huzara i córkę oddaje Niemcowi. Pewnego mrocznego wieczoru skorzystał Szandor z przechodu przez Szegiedyn i zbijającym sercem stawiał się w chacie kolodzieja. Szczęście było się już wtedy odwróciło od Węgrów, ustępowali, i nie wiele mieli

czasu bawić na miejscu. Szczęście też nie było już po stronie Szandora; odepchnięty i zelżony przez Sawę, nie mając czasu ani możności wyprowadzić go z błędu, przedsięwziął wydrzeć przy najmniej Maryjkę nienawistnym ślubom. Późną już nocą podjechał konno pod ogród Simiczów. Madiary znajdowali się już po drugiej stronie Cissy: chcąc się dostać do swoich, trzeba się było rzucić wplaw przez rzekę; a tymczasem brzeg przeciwny zajmowali już Austriacy. Na widok zbiega dano ognia na całej linii placówek. Jedna z kul zabłądziła w plecy Szandora: młody buzar zachwiał się, mocniej przycisnął do siebie dziewczynę, i wraz z nią zwałił się z konia w bystre nurty rodzinnej rzeki, która sama jedna posiadałaby tajemnicę tego zdarzenia, gdyby nie Cygan, wieczny wszędobylski, który wyraźnie na to tylko podparzył tę scenę, żeby ją opowiedzieć autorowi.

Taka jest powieść o losach Szandora Kowacza.

Jest to gawędzenie tak powabne jak rzadko. Zalecamy tę książkę każdemu, ktoby sobie życzył zapomnieć się przez kilka godzin w miłym towarzystwie. Wyniesie ztamtąd nie tylko przyjemne wrażenie zabranej znajomości, ale się i przywiąże mimowiedzy do osób, weieli się w ich rodzinę, cieszyć się będzie ich radością, i uzali się w końcu, że się im nie tak na świecie powiodło, jak na to zasłużyli. Tyle tam życia i prawdy tyle! I to prawdy, nie zwyczajnej, nie oklepanej, albo pierwszej lepszej z brzegu, nie tej, co to siedzi na dnie dzbanka wraz z mętami, ale tej świeżej, zdrowej, młodzieńczej, pełnej złudzeń, której zwierciadłem bywa powierzchnia wody czystej jak lza, szczerzej aż do dna samego.

Skromność autora kazała mu nazwać utwór jego szkicem. Wcale się na to nie zgadzamy. Tam wszystko wyraźne, wykonane, nie tylko żywo określone, ale i ostatecznie plastyczne. Nie jest to ani pomysł mało rozwinięty, ani wspomnienie zbyt jasne, owszem jest to kunsztowne uobecnienie przedmiotu, który ze wszech stron obejrzeć łatwo, tak tam umiejętnie światła zrównoważono z cieniami. Ze względu może na prostotę sposobów, któremi autor umie wywoływać wrażenia, ze względu także na naiwność formy, mielibyśmy ochotę nazwać ten utwór pogadanką. W istocie, czytelnik znajdzie tam wszelkie powaby przyjacielskiej, poufnej, szczerzej spowiedzi serca, nawet niektóre jej wady. Do tych ostatnich zaliczylibyśmy zbyt długie zboczenia od głównego przedmiotu, co jak wiadomo, szkodzi jedności, odrywa uwagę a akcyę zatrzymuje w miejscu. Choć i wliczbie tych



ustępów znajdują się niektóre mistrzowskie, jak naprzykład uwagi o patryotyzmie austriackim, o huzarskiej narodowości Madziarów, o życiu społecznym na Węgrzech. Są to wszystko studia głęboko obserwacyjne, choć nieco nie w porę. Najobszerniejszym ze wszystkich i najmniej szczęśliwym, jest ustęp o pobycie Szandora w domu Komenich. Znajdujemy także, że jest najmniej potrzebnym. Mogłaby być z tego całkiem osobna powiastka, ale najlepiej żeby tego nie było wcale, bo nawet pod względem obróbienia, nie jest to robota zbyt sumienna, a za to widocznie wysiłona, bo za rozwlekła. Zarzut rozwlekłości zrobilibyśmy także wszystkim w ogóle opisom w powieści: są tam rzeczy, na które autor zdaje się spoglądać przez drobnowidz, taki to tam niemiłosierny inwentarz najdrobniejszych szczegółów, że już tego nie nazwiemy szczegółami. Opis sprzętów w każdej izbie domu Simicza jest tak dokładny, że mógłby się na nim podpisać komornik, nie mając już nic do dodania. Sam opis nosa wachmistrzowego, zajmuje całą stronicę. Ta źle zrozumiana flamandczyzna, popycha nawet autora aż do dziwnych a niczem nie usprawiedliwionych pleonazmów: nie mówi naprzykład inaczej jak *sypialne łóżko*. Pytam się także, kto z ludzi na świecie potrafi z *zamkniętymi ustami i przez nos* powiedzieć *U!* jak to chce mieć autor na str. 46. Sąto skazy na pięknym kryształe. Kryształ nie posiada wolnej woli do pozbycia się tych nieproszonych gości, ale od tego jest umiętny szlifierz. Zgodzi się z nami i autor jako miłujący prawdziwe piękno, że więcej bywało efektów z szerokich a dobrze użytych pociągnięć pędzla, niż ze zbytęicznego wylizania, któremu pomimo najusilniejszych starań, zawsze jeszcze coś brakować musi, bo na tej drodze nie ma loicznej przyczyny do zatrzymania się gdziekolwiek. W każdym jednak razie, czytelnik nawet wiele wymagający, z łatwością przebaczy autorowi Szandora te drobne dysharmonie, dla wdzięków opowiadania i znakomitych zalet dzieła, które śmiało do ozdób literatury pięknej zaliczyć można.

(f).

---

*Porządni ludzie. Komedia w 5 aktach, wierszem. Jana Chęcińskiego. Warszawa. 1861 roku.* Jest coś temi czasy w powietrzu, co z wesołego wzgórza swobodnych i lekkich obserwacji wprowadza komedię w ponury przybytek poważnego sentencyonalizmu i melodramatu, czego dawniej wcale nie bywało. Przedmiotem tak modyfikującej się formy komicznej jest, o ile zauwa-



żyliśmy dotąd, hipokryzya, mająca pierwowzór swój w Tartuffie Moliera. Najznakomitszy z reprezentantów dzisiejszej komedii francuzkiej, Emil Augier, dwa razy już stosownie do ducha czasu próbował przebrać Tartuffa: raz w *Un homme de bien*, drugi raz w *Les Effrontés*; obie te komedye są bardzo mierne, niegodne nazwiska dzieł sztuki, pomimo że ostatnia strasznie narobiła hałasu po teatrach i dziennikach francuzkich. Komedya nie ma sobie za cel wyobrażać, do jakiego stopnia dojść może podłość ludzka, przez jakie alianse spokrewnić się ze zbrodnią, i pomimo to żyć bezpieczną pod pseudonimem prawości. Nie; to nie jest ani celem, ani przeznaczeniem bądź komedyi, bądź którójkolwiek ze znanych form dramatycznych: jeżeli dramaturg zapotrzebuje podobnego duszy ludzkiej fenomenu, to on da mu właściwe miejsce we framugach swęj kompozycyi, ale go nigdy na pierwszym planie nie umieści. A Tartuffe? Prawda, zarzut słuszny tak wielki jak arcydzieło Molierowe, i dla tego na zarzut ten nie odpowiadamy, aż się zbierze więcej podobnych.

Przestrzegając czystość form nie zaś czeź rutyny, ściągnęliśmy na siebie niedawno zarzut szkolarstwa, zapewne od ludzi, którzy przez wstręt do tego trybu, osobistym geniuszem zastępują sobie i szkoły i pracę naukową: z tém wszystkiem i tu oświadczamy, że czystość form w piśmiennictwie odpowiada czystości form w architekturze. Taki wielki poeta, jak Mickiewicz, nie wahał się być w *Panu Tadeuszu*, czystym epikiem, jak jego poprzednik Homer. Nie idzie za tém, aby inny umysł twórczy nie mógł się wyprządz ze wszelkich karbów, by w nowych, niespodziewanych zwrotach dać początek nowym formom: tym nawet jedynie sposobem wyrabia się i mnoży różnaitość estetycznych środków.

Zadługo jednak daliśmy na siebie czekać, ażeby powieścić, iż p. Chęciński w nowęj swęj komedyi nie dosyć zastanowił się, co i w jaki sposób komedya przyjąć w siebie może. Powtarzamy mu więc, że typem komicznym może być jedynie człowiek, który błądzi w mocném przekonaniu, że mu z tém do twarzy, przez co właśnie staje się śmiesznym; typem zaś tym nie może być ani rozmyślny kryminalista, jakim jest tu *Antoni*, ani pospolity podlec uosobiony w *Makowie*. Niemniej uderzającym w tym utworze jest i to, że mu zupełnie zhywa na idei: pytamy się, czego autor w tém dziele chciał, co okazał, czém nas napomniał lub wzruszył; i na te wszystkie pytania utwór jego zawzięcie milczy? Chcielibyśmy przywieść treść jego; niepodo-

ba. Potrzebowałaby ona dużo słów a wgruncie jest tak ubogą, że ją przesadzi dobra farsa, brak myśli komicznej, komicznemi zachwcająca sytuacyami. Wpatrujemy się w pojedyncze osoby: blade to i jakieś skrofuliczne; czerstwiej wygląda jedna tylko *Adela*, obrachowana widocznie jakby dla skaptowania autorowi wszystkich serc staro-panieńskich. *Adela* taka, jak ją pomyślał autor, mogłaby rzeczywiście powodzeniem wystąpić na pierwszym planie komicznego utworu, przy stosowném rozwinięciu: w tém nawet dziele, jedyném dramatycznym miejscem jest właśnie scena (akt V. scena 3), w której *Adela* daje odkosza *Makówce*. Scena ta wraz z poprzednią, w której poczciwy braciszek chce ją sprzedać swemu współnikowi w szachrajstwie, mogłyby znaleźć miejsce w najlepszym utworze dramatycznym. Ale są to tylko epizody. Cóż więc jest w tych całych pięciu aktach, w których zawiązuje się i odwiązuje interes bez interesu, kiedy pomimo to, cały utwór czytamy z przyjemnością i pewnem nawet zadowoleniem serca. Oto uczucia szlachetne, moralność prawdziwa i piękny język, który je wypowiada, gdziekolwiek lekko przyprawiony szczyptą dowcipu i wesołości. Lecz są to przymioty każdego dobrego pisarza, lirycznego wreszcie poety; dla takiego są one już poniekąd celem, dla dramaturga środkiem tylko. To też i cały utwór p. *Chęcińskiego* wygląda jak agrogat środków bez celu. Do takich środków oprócz wytworności językowej liczymy tu sceniczną zręczność do wysokiego posunięta stopnia, co też w samęj rzeczy sprawia, że utwór ten na scenie może być dosyć ruchliwym; a bez tej zalety, przy takiem ubóstwie treści, byłby nudnym tak dobrze jak każda sztuczka *Skrybego*, kiedy się ją czyta. Jest to jednak zaleta bardzo zewnętrzna lubo pożądana a do nabycia nie łatwa. Winszujemy więc jęj panu *Chęcińskiemu*, zycząc, aby ją miał jak najprędzej sposobność przyczepić do rzeczy bogatszej w znaczenie wewnętrzne.

x.

*Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy, przez J. I. Kraśzewskiego. wydane w Paryżu. 1860 r.* Opisy kraju rodzinnego pod tytułem *Wspomnienia*, pojawiające się od niejakiego czasu w naszej literaturze, z zapalem przez ogół czytających przyjętemi zostały; zwrot do rzeczy swojskich jak duch odrodzenia powiał nad ojczystą ziemią i rozjaśniały, zmierzchem obojętności lub zapomnienia pokryte pola i lasy, przemówiły stare zamczyska-



ka i stare groby. Wspomnienia w zewnętrznej swęj formie zda się w prostęj linii od opisów podróży pochodząc, w treści swojej duchowej różnią się zupełnie. *Podróże* wywołane ciekawością i żądzą nowości, z natury swęj działają przedewszystkiem na wyobraźnię, a objawiają się i przyjmują tam, gdzie kwitnący przemysł i dobry byt otwierają szerokie pole ambicyi osobistej, gdzie człowiek syty terażniejszością szuka po zasobę żywiołów nowego życia. Wspomnienia wywołane potrzebą serca, działają na uczucie a objawić się tylko mogą tam, gdzie zachodzi ogólna potrzeba odświeżenia dawnych tradycyj, powrócenia do czynności czas jakiś zawieszonęj. Wspomnienia, czy to dalekie, czy bliżkie przeszłości kraju czy ludzi, pojawiły się u nas w ostatnich czasach tak licznie i pod tak różnemi formami, że wielu to skrętnie zbieranie pamiątek, brać zaczęło za ostateczny obrachunek i testament umierającego, nie bacząc, że miłosne bardziej syntetyczne niż analityczne rozpatrywanie przeszłości wiążąc zerwaną niebacznie nić dziejową, nader ważną społeczeństwu naszemu czyniło przysługę. Do poznania jednak samych siebie brakowało nam jeszcze żywego przedstawienia obecnego stanu rzeczy, brakowało dzieł, któreby w lekkie i przystępnęj formie obznajmiły ogół z obrazem fizyognomii naszęj dzisiejszęj i tę też pracę podjął pierwszy p. J. I. Kraszewski.

Wspomnienia jego w pół wesole w pół rzewne lekko przebiegają po ojczystych niwach: od miejsc sławnych, niemych świadków dawne j chwały i nieszczęść, od podań historycznych i legend, czytelnik przechodzi do żyjących wsi i miast, do żywych ludzi; widzi jak dzisiejsze pokolenie poczyna sobie na dawne j ziemi, jakie błędy i przesady zachowało z przeszłości, co dorobiło lub uroniło ze spuścizny ojców. W opisach tak jak w rzeczywistości, śmierć staje obok życia, złe obok dobrego, a jedno i drugie nie krąży w wysokich strefach ideału, ale się maluje, rysuje, rzeźbi w zwyczajnēj codziennēj życiu a wiąże w całość osobistēj uczuciem autora.

Rozdziały ostatnie a mianowicie, o żydach i włościanach uwydatniając moralną dążność tēj książki, stanowią jakoby jęj streszczenie i wykazują dobitnie dręczące nas złe moralne.

Rysunki załączone do każdego rozdziału a wykonane również przez p. Kraszewskiego, odznaczają się prawdą i dobrze miejscowość i fizyognomię ludu malują; dobór ich prawdziwie artystyczny, przychodzi w pomoc opowiadaniu utrwalając je w pamięci i w sercu. Krajobrazy szczególnie mają w sobie du-



żo uroku, a grób samobójcy upoetyzowany ręką ludu, co nie-szczęsnemu razem z westchnieniem gałązki, kamienie i garście ziemi przechodząc rzuca, długo po zamknięciu książki staje w myśli czytającego.

Słowem *Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy* przedstawiając te prowincye tak jak one są i przedstawiając je do tego obrazowo, obznajmiają ogół sam przez się poszukiwań na tej drodze robić nie mogący, z obecnym stanem kraju, z obyczajami miejscowemi, z charakterami różnych klass społecznych, co zawsze ważne, dziś szczególnie jest na czasie i pierwsze miejsce w literaturze lekkiej zająć powinno. L.

*Przyjaciel zdrowia.* Pod tym tytułem od 1 października r. b. zaczęło wychodzić pismo pod redakcją Dra Gregorowicza, co dni 15 dwa arkusze w 4ce. O treści jego objaśnia wymownie wstęp na czele umieszczony, który tu w całości podajemy:

«Rozpatrując się w biegu spraw ludzkich, dostrzega się, że główną cechą postępu bieżącego stulecia, jest jasność pojęć i praktyczne ich spożytkowanie. Ztąd też łatwiej jest dziś jak przedtém, zdobyte odkrycia na drodze naukowych badań przyrody, zastosować do życia ludzi pojedynczych i zbiorowych i utworzyć naukę mającą wyłącznie na celu utrzymanie zdrowia rodzaju ludzkiego i zabezpieczenie od działania złych wpływów, na szwank je wystawiających. Chwalebne usiłowania poprawienia wszelkich stosunków towarzyskich, tak między pojedynczemi, jakoteż i zbiorowemi ludźmi w celu podniesienia dobrego bytu, zabezpieczenia od losowych wypadków, ognia, wody, gradobicia i t. d., wydały przez stowarzyszenia szczególne pod nazwą różnych assekuracyj, najpomyślniejsze wypadki. Takich stowarzyszeń mnóstwo jest na świecie, ale stowarzyszenia *zdrowia* nie ma jeszcze dotąd. Małym jego oddziałem są gdzie-niegdzie utrzymujące się towarzystwa wstrzemięźliwości, z których tak wielkie wypłynęły już korzyści i niedawno pozaprowadzane ochronki. Jeżeli duch spekulacyi wiele przyczynił się do zabezpieczenia ludzi od nędzy, niedostatku, utworzeniem tylu zbawiennych stowarzyszeń, czas jest pomyśleć o stowarzyszeniach, których wyłącznym celem będzie utrzymanie zdrowia ludzkiego. Straty materialne choćby one były największe, przy zdrowiu dadzą się, jeżeli nie zawsze, to często powetować,

bez zdrowia zaś nigdy. Nie tak życia nie zaprawia goryczą jak niemoc, jak choroba: człowiek chory jest jak rozbrojony rycerz, żadnego nie może stawić oporu zewsząd otaczającym go nieprzyjaciółom, a raz im uległszy, musi szukać pomocy u ludzi wyłącznej nauki. A że wszystko na Bożym świecie jest ciałem użytecznym, a tym samym mającym pewne przeznaczenie, człowiek również postawiony duchowo z najwyższém posłannictwem na czele ciał wszystkich, ma jak one pewną pomoc, pewne środki, materiały, które dla jego pożytku, chwały, szczęścia i zdrowia służą wedle jego woli i rozumu. Nie zmarnieje człowiek, nie straci swojej samoistności, chyba wtedy, jeżeli wzgardzi, lub na złe użyje wszystkich środków, któremi go otoczyła Opatrzność. Jakkolwiek one niezbędnemi są warunkami do utrzymania zdrowia i życia, nie dla wszystkich ludzi zarówno są przystępnymi, i tak: powietrze, woda, ciepło, światło, pokarm, mieszkanie, ubiór, są niezaprzeczenie zachowawczemi środkami zdrowia i życia, używają ich wszyscy ludzie w równej mierze i z równą łatwością? Nie! jedni wszystkiego mają dosyć, a czasami do zbytku, drugim znowu (a tych jest najwięcej) zbywa na wszystkiém, że po największej części zostają w niedostatku lub nędzy. W tej różności używania darów Opatrzności w nierównej mierze, jest mniej więcej główna przyczyna trwalszego zdrowia u jednych, ciągłych chorób u innych, a u innych znowu przedwczesnej śmierci. Prawda, że każdy człowiek musi umierać, ale w śmiertelności ludzi wszystkich stanów wielka zachodzi różnica: kiedy statystycy obliczyli, że średnia długość życia w stanie duchownym jest od 60 do 68 lat, w stanie zamożnym od 50 do 60, okazało się, że w ubogiej klasie rzemieślniczej trwa tylko lat 25 do 30. Jaka uderzająca różnica! Przekonano się też, że większa jest śmiertelność wśród mieszkańców klasy biednej, przymuszonej zamieszkiwać miejsca brudne, ciasne, ciemne, smrodliwe i t. d., jak wśród ludzi zamożnych. Na 60 ludzi zamożnych, wedle statystyk niemieckich umiera jeden rocznie, przeciwnie, w tym samym mieście, ale w częściach jego biedniejszych jeden mieszkaniec umiera na 15, a najwięcej na 20. W Irlandyi na febrę nerwową umiera  $\frac{1}{10}$  część mieszkańców, a w Anglii zaledwie  $\frac{1}{60}$ . Przyczyny zatem zewnętrzne i wewnętrzne mocno wpływają na śmiertelność ludzi. We wszystkich krajach, gdzie wzniosły się rolnictwo i przemysł, zmniejszyła się śmiertelność, bo dobry byt wpłynął na zdrowie i ograniczył śmiertelność.



Zwróćmy téż uwagę na wiele chorób zarazliwych, które albo zupełnie zaginęły, albo też gdzieśgdzie pojawiły się.

Morowa zaraza np. nie była znaną w Egipcie ani pod Faraonami, ani pod Rzymianami, kiedyż się zjawiała? oto pod barbarzyńskim panowaniem Turków; ucisk ludu przymuszonego żyć w jarzmie i nędzy, wyrodził tę straszną plagę, a zginęła ona znówu wtedy, kiedy system rządu został zmieniony, rolnictwo podniosło się, nauki zaświtały i ustało poddaństwo. Wszyscy pamiętają straszną cholere r. 1832; ta znów w r. 1848 okazała się w wielu krajach bez porównania słabszą, a to z powodu, że wcześniej zaradzono złemu stosownemi środkami. Mniej téż ludzi umarło w Anglii, Belgii i Francyi, jak w innych krajach Europy; w Anglii np. umarło 72,000 ludzi, ale gdyby wzięto stosunek śmiertelności w czasie téj samej cholery w Danii, Austrii, Rosyi, toby musiało tam umrzeć najmniej 600,000 ludzi! Od podniesienia rolnictwa, przemysłu i wzniesienia się porządných miast i osad na wybrzeżach północnej Ameryki, straszna choroba, żółta febra, znacznie tam zmniejszyła się; gdy przeciwnie w państwach niewolniczych, jak np. w Indiach zachodnich trwa ciągle z równą zawsze ostrością. Wiadomo jest jak niedawno jeszcze na osadach okrętowych panującą chorobą był skorbut i jak znaczne wśród majtków i wojska szerzył spustoszenie, bo na 100 ludzi 10—20 zwykle umierało; z ulepszeniem okrętów, koszar, baraków, żywności, odzieży nie umiera obecnie jak z 1000, 10 ludzi (1). Mimo tak wielu już ulepszeń, nie wiele więcej jak połowa ludzi jest zupełnie zdrowa, bo w przecięciu zaledwie jeden człowiek ze stu żyje w koniecznych warunkach zdrowia i zaledwie 4 ze stu umiera skutkiem podeszłego wieku; zatem mimo prawdopodobieństwa na zasadzie przyrodzonego porządku, że wszyscy powinni doczekać się i żyć w wieku starości, zaledwie ze stu ludzi, czterech doczekują się tego wieku. Smutny ten obraz niech stanie się podniętą do gruntownych badań wszystkich przyczyn sprawdzających przedwczesną śmierć, a zatruwających krótkie nasze życie licznemi cierpieniami, niemocą, chorobą. Nie wykryją je żaden traf lub dowcip ludzki, ale nauka; do téj nauki zatem garnać się trzeba koniecznie, a przystąpić do niej trzeba z tą myślą, że źródłem szczęścia, pomyślności i potęgi każdego narodu jest ludność i jej zdrowie. Tą nauką jest medycyna.

(1) Tardieu, Lewy, Oesterlen i inni.



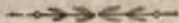
Nauka lekarska jest jedyną ze wszystkich nauk, której wyłącznym przedmiotem jest człowiek, tak w stanie zdrowia jakoteż choroby żyjący. Zdrowie i choroba stworzyły w medycynie działy naukowe, fizylogii i patologii: pierwsza odnosi się do zdrowia, bada jego zjawiska, naturę, trwałość i siłę; druga z należącemi i od niej zawisłemi naukami leczy człowieka chorego, t. j. usiłuje wszystkiemi środkami, jakie podają posiłkujące medycynie nauki, doprowadzić go do stanu fizyologicznego, czyli zdrowia. Spamiętajmy więc, że ile razy wypadnie użyć wyrazu fizylogia, znaczyć to będzie stan przyrodzony zdrowia człowieka.

Ale ani fizylogia, ani patologia, nie są naukami zdrowia, naukę tę zawdzięczamy bliższym nas czasom; nie znali jej starożytni Indyanie, ani uczeni arabscy, ani astrologowie, ani alchemicy, ani też czarnoksiężnicy. Naukę tę stworzyli badacze przyrody, statystycy i uczeni lekarze; wszyscy byli to prawdziwi przyjaciele ludzi: nauka ta nazywa się higieną, to jest sztuką zachowania zdrowia, ubieżającą choroby i nauką najwięcej przyczyniającą się do utrwalenia ogólnego zdrowia. Zostaje ona w najściślejszym związku z moralnością, łącząc w nią mnóstwo zbawiennych przepisów, a zajmując się wyłącznie naturą ludzką; jest rodzoną siostrą medycyny właściwej, z nią wspólnie bada choroby ciała i duszy, z tą różnicą, że medycyna wyłącznie zajmuje się chorobą, a higiena zdrowiem. Nauka zdrowia, której organem stało się pismo niniejsze *Przyjaciel zdrowia*, bardzo obszerne ma zadanie: najważniejsze to, że stać się powinien zawiązkiem stowarzyszenia prawdziwych przyjaciół zdrowia, których liczbę rozpoczną szanowni czytelnicy. Z ich pomocą światło tej nauki rozchodzić się będzie w całym kraju, wniknie pod słomianą strzechę naszego pocziwego ludu, obudzi w nim wiarę do nauki dla niego nieprzystępnej, do lekarzy, jako do sumiennych szafarzów tej nauki, że mimo wiedzy odnosić będzie prawdziwe korzyści i uwierzy, że jakikolwiek zakres życia przeznaczony jest człowiekowi, to ten z pomocą tylko nauki można uczynić wolnym od cierpień i dolegliwości, czyli przeżyć go w czerstwości i zdrowiu.

Zdrowie ludzkie, jak niestety bardzo wiele powodzeń na drodze wędrówki ziemskiej potrzebuje cudzej *protekcji*; najbliższemi i najszczerzszemi protektorami zdrowia są i będą w kraju naszym szanowne panie i zacne duchowieństwo: do nich *Przyjaciel zdrowia* głos swój podnosi z ufnością, że przyjmą go w swo-

jém domowém zaciszu jak dawnego znajomego, z otwartemi rękami i sercem i że nie zaniedbają światłemi uwagami nadawać najpraktyczniejszy temu pismu kierunek. Ponieważ Przyjaciół zdrowia wychodzić będzie w obszernych rozmiarach, a z natury swojej jest pismem ściśle naukowém, wydawnictwo jego stosować się musi do pewnego planu, by tym sposobem ułatwić czytelnikom prędkie i jasne zrozumienie całości. Dlatego obznajomiemy czytelnika z tym przybytkiem, w którym docześnie zamieszkuje dusza nasza; bo słuszne jest, aby człowiek poznał bliżej tę cudownie utworzoną machinę w nieustającym zostającą ruchu przed przyjsciem jeszcze człowieka na świat, aż do ostatniej chwili naszego życia, a która jako machina częstym podpada zepsuciom. Do każdego takiego anatomicznego opisu zastosowane będą sposoby zachowania w zdrowiu każdego organu, zmysłu lub układu w sposób, że przystępnie i łatwo uczyć się będziemy odrazu anatomii opisowej, fizjologii i higieny.

Odzywamy się również do szanownych kolegów, prosząc, aby światłem i pracą swoją wspierali to pismo; w niém z czasem spostrzegą dobro ogółu i własne, bo w miarę szerzenia się oświaty, podniesienia dobrego bytu mieszkańców, a tém samem z rozwojem wiedzy ludzkiej ugruntuje się wiara w naukę i wywoła w każdym zakątku ziemi naszej potrzebę ludzi specjalnej nauki, a tym tylko sposobem położy się tamę zgubnym przesądom, samożytnę niewiarze i fatalną nieufności w naukę”.



# WIADOMOŚCI Z NAUK.

---

## O MIJOCENICZNYCH GIPSACH I MARGLACH

W POŁUDNIOWO-ZACHODNICH STRONACH

KRÓLESTWA POLSKIEGO.

NAPISAŁ

*Ludwik Zejszner.*

---

(Ciąg dalszy).

**Bolowiec.** Wysoki grzbiet składa się z łupkowego, brunatnego gipsu; pokład ten nie tworzy równej płaszczyzny, lecz pokrzywiony jest falisto i tej krzywej linii odpowiada zupełnie warstewka stwardniałego marglu, na którym nie masz gliny; lecz na stopę lub dwie pokrywa go czarna próchnica, na której się nie zbyt bujna roślinność utrzymuje. W pobliżu gipsu rozwinął się biały ziemisty, w proszek rozcierający się margiel, aż do strumienia wchodzący.

**Małoszów.** Najpotężniejsze góry wznoszą się w tej okolicy nad tą piękną, a rozciąglą wioską. I tutaj po wierzchu znajduje się gips łupkowy, żółtej barwy, niżej występuje długo-krystaliczny; zdala świecą jego wysokie ściany; kryształy zwyczajne są 2—3 cali długie, niektóre do 10 cali dochodzą; tkwią w jasno-brunatnym marglu. W jakim stosunku zostaje tutaj drobno-ziarnisty gips, jasno-żółtawy, z wydzieloną drobno-ziarnistą białą odmianą, alabaster przypominający, nie można wykryć: zdaje się zastępować odmianę długo-krystaliczną. Przy małej drożynie prowadzącej z Małoszowa do Gunowa gips biały pokrywa w proch rozpadający się margiel, do krędy podobny: jest to też sama skała, o której w Bolowcu wspomniałem.

**Sietejów.** Na wyłynie pomiędzy Nidzią a Scieklcem zawartej, w różnych miejscach pomiędzy opoką pokazują się margle szare, a mianowicie, znaczne massy przy Sietejowie, Rosiejowie okryte w części gliną: w samym Sietejowie widać one przy drodze, na głównym trakcie pomiędzy wioskami Szarbią a Rosiejowem.



**Zakrzów.** Pomiedzy Sietejowem a Rosiejowem, wśród wysoko wzniesionej wyżyny, poprzęznanj głębokimi dolinami leży Zakrzów ze znaczniejszym łbmem: w następującym porządku, od wierzchu leżą tutaj na sobie pokłady:

1. Glina żółta przeszło 6 stóp grubo, miejscami nierównie grubiej osadzona.

2. Ił łupkowy szary, trzecio-rzędowy; pokład ten ma bardzo zmienną grubość, przechodzi od 2ch do 10ciu stóp, zwyczajnie wynosi 6.

3. Gips skryto-ziarnisty zmienia się w jednostajny, ciemno-szary, przyświeca na krawędziach, bez wyraźnych oddziałów warstwom odpowiednich. Pokład ten jest najrozmaiciej wykrzywiony, i ztąd wynika, że pokrywający go ił łupkowy, różną ma grubość. Wśród tej drobno-ziarnistej massowej skały, wydziela się nagle w różnych miejscach łupkowy gips i równie nagle, jakby ucięty ginie: zupełnie podobny do powyżej opisanych, na długo-krystalicznych osadzonych. Z tego spostrzeżenia wynika, że gips skryto-ziarnisty i łupkowy należą do jednego i tegoż samego pokładu, co też potwierdzają inne miejscowości.

4. Gips długo-krystaliczny tworzy nader znakomite massy w dolnych częściach, kilkanaście kroków oddalonych od opisanych pokładów, i dlatego zdaje się, że służy za spodni pokład: kryształy gipsu zwyczajnie nie są zbyt długie, 3—4 cale, rzadko do jednej stopy dochodzą; spajającego marglu nie masz, albo w bardzo małej ilości.

**Tępczów.** Na wielu miejscach pokazuje się piaskowiec, a mianowicie w parowie zwanym Kamienny; jestto drobno-ziarnista, brudnawo-brunatna odmiana z licznymi niewyraźnymi muszlami; grube warstwy piaskowca zapadają ku południowemu zachodowi, 10<sup>hóra</sup> 55°. Zdaje się, że ten piaskowiec należy do ogniwa osadzonego nad łupkowym gipsem, jak to wskazuje przecięcie w Szańcu.

**Sielec.** Wioska stykająca się z Szkalbmierzem. W dosyć obszernym łomie widać wierzchu łupkowy gips, ku południowemu zachodowi 9<sup>hóra</sup>, pod 10<sup>o</sup> schylony; pod tym leży długo-ziarnisty, którego skały około 20' nad poziomem sterczą. Otwór świdrowy wykonany przebił od poziomu w samym łomie 24 stóp, gipsu tejże odmiany, dalej 2' marglu szarego pomieszanego z gipsem, a pod tym białą opokę, czy wapień heterosteginowy, na 4 stopy grubo. Na gipsie w Sielcu i w całej tej okolicy nie masz wcale gliny, okrywa go tylko czarna próchnicowata rędzina, na stopę lub dwie grubo. Na drodze ze Sielca do wsi Topoli, zdaje się leżeć w spodzie gips, z wydrążonemi jamami; jadąc bowiem drogą mocno dudni ziemia. Dziwna rzecz, że naprzeciw Sielca w Kobylnikach i dalej o pół mili w Kamyszowie i w Hołdowcu nie

masz wcale gipsu, pokazuje się tylko pod nim leżące ogniwo, szary margiel. Około 400 kroków od łomu gipsu w Sielcu, studnia wśród zabudowań folwarcznych ma wodę nie zdatną do picia, dla domieszanych części słonych; sole te są chlorek sodu i siarkan, nieoznaczony bliżej; zdaje się być siarkanem sody i magnezyi, gdyż woda ma gorzkawy przysmak, a bydło nadzwyczajnie chciwie pije z tej studni.

**Kobylniki.** Na wschód przy cegielni widać szare margle okryte grubym pokładem gliny mamutowej.

**Hołodowiec.** Równina na której rozciągają się grunta należące do folwarku Hołodowiec, a w części do Kamyszowa, około pół mili kwadratowej obszerne, składają się ze szarych margli; zwilżone wydają się jak węgiel czarne: równinę tę otaczają znacznie wzniesione pagórki, okryte żółtą gliną, począwszy od Jakuszowic, łączą się z należącymi do Gabułtowa i Kamyszowa. Trudno jest wytłumaczyć, dla czego ten dawniejszy osad tworzy równinę, gdy młodszy składający się z pagórków gliny został wzniesiony.

Z pod czarnych iłów zupełnie nie urodzajnych, na których żadna roślinność nie utwierdziła się, występują piaski grubo-ziarniste; na czarnych iłach i na ziemiach urodzajnych. Często po deszczach wykwiata tu biała powłoka soli kuchennej.

Przy folwarku Hołodowiec wykonano cztery otwory świdrowe:

W pierwszym od wierzchu znajduje się ciemno szary ił, zmieniający się w jasno-niebieskawy margiel; w głębokości 40 stóp, margiel układa się naprzemian z piaskiem i to trwa 27 stóp; raz piasek, znów margle brały przewagę i odtąd aż do 139 stóp, składały pokłady naprzemian z piasku i iłu; w głębokości 39' znaleziono obficie domieszany lignit, w którym widać było wyraźne słoje dykotyledonów. Od 140 stóp znajdował się grubo-ziarnisty piasek płynny.

W drugim pobliskim miejscu, około 50 kroków dalej, wykonano również otwór świdrowy; i tutaj prawie też same przebito pokłady, począwszy od wierzchu w następującym porządku:

1. Szary ił z rozrzuconymi ułamkami gipsu; 6 stóp grubo.
2. Piasek iłowy płynący; 11 stóp.
3. Margiel szary; 13 stóp.
4. Ciemno-szary margiel, ułożony na przemian z piaskiem, trwał do 132.
5. Ciemno-szary płynący piasek; grubość nie dała oznaczyć się ściśle.
6. Biały margiel do 141 stóp.

Dwa drugie otwory nie zbyt głębokie, nie zasługują na bliższy opis.

**Ciuslice.** Na północ od Kobylnik, wśród wyższych pagórków i głębszych dolin, na drodze z Ciuslic do Tarnowca, w boku rozciągłego grzbietu są łomy gipsu. W spodzie znajduje się odmiana długokrystaliczna, jasno-brunatna; miejscami wydziela się w niej drobnoziarnisty gips, zupełnie podobny do Działoszyckiego, w kulach 3—5 cali mających w średnicy; miejscami nagromadzające się bardzo obficie. W górnej części grzbietu znajduje się łupkowy gips, odpowiadający wyraźnie temu ogniwu. Gлина leży na wierzchu.

Dalej na południowy zachód, znów w kilku obok siebie leżących wioskach, występuje gips przedzielony wyniosłym grzbietem opoki. Ponieważ gipsy nie zostały wysoko dźwignione, widać tylko wierzchnie łupkowe ogniwo w następujących wioskach:

**Kowary.** Pomiędzy Kowarami a Szczytnikiem, w głębokiej dolinie, w rozciągłym pagórze Przypas, jest kilka łomów gipsu, odmiany łupkowej, brunatnej barwy, do zwierzchniego pokładu należące; łupki te w spodniej części, coraz bardziej grubiejac zmieniają się w warstwy na jedną stopę grube, pochylają się na wschód pod 10°. Miejscami z pośrodku drobno-ziarnistego gipsu, wydzielają się małe kryształki brunatne. Tutaj nie okrywa glina gipsu, lecz czarna próchnicowata rędzina, 2 do 5 cali gruba, powstająca widocznie z rozpadniętego gipsu i lotnego piasku. Ćwierć mili ztąd w Gruszowie dobywa się z gliny źródło z mocnym odorem wodorodu siarkowego, wartko płynące na rozciągłości stu kroków; przy źródle leżą liczne bryły żelazistej martwicy (Kalktuff) brunatnej i czarnej barwy.

**Błogocice.** Na polach tej znacznie wzniesionej wioski, znajdują się łomy założone w odmianie łupkowej jasno-żółtej barwy, w której wydzielają się kryształy gipsu. Wierzchem glina okrywa ten pokład.

**Dalowice.** Na lewym boku Scieklca, naprzeciw samej wioski są pagórki znacznie wzniesione, składające się z łupkowego gipsu, żółtej lub jasno-szarej barwy: ostatnie wydają mocny bitumiczny odor; łupki pochylają się na wschód 7<sup>h</sup>ora, pod 10°. Poniżej gipsu, na boku tego grzbietu, składającego się z opoki, leżą rozrzucone nieprzeliczone bryły białawej lub szarej martwicy; tak martwica, jako i gips spoczywają na opoce rozciągającej się w podłuż doliny od Rzędowic przez Dalowice, po za Błogaice do Radzimic. Cienki pokład gliny 2—5 stóp gruby, rozpościera się na gipsie.

Nieco dalej ku Rzędowicom tryszczą z czarnej ziemi, bardzo liczne źródła, w polu noszącym nazwę Bzduch, a przy nich rozrzucone są liczne ułamki jasno-szarej martwicy, wyjątkowo większe bryły. Wody tych źródeł mają ściągający smak, pochodzący zapewne od siarkanu żelaza i innego alkalicznego ciała.



**Gniazdowice.** Długi grzbiet rozciągający się prawie od zachodu pomiędzy Rzędowicami a Opatkowicami, niedaleko Proszowic, składa się z dwóch formacji: część zachodnia od Rzędowic, aż do północnej części wioski Gniazdowic z opoki, połączonej z opoką Dalowic, Błogocic, Radzimic, które przepełniają charakterystyczne skamieniałości tej formacji, jako to: *Galerites albogalerus*, *Inoceramus*, *Belemnitella mucronata*; wschodnią część tegoż grzbietu składają gips i margle. Tak opokę jako i gips okrywa gruba warstwa gliny mamutowej, i dlatego nie widać zetknięcia tych dwóch formacji. W samej wiosce Gniazdowice, pod gliną znajduje się gruby pokład piasku, o którym dla braku skamieniałości niewiadomo do jakiej należy formacji: do trzeciorzędowej, czy do gliny mamutowej. Prawie w środku tego grzbietu, na gruntach do Gniazdowic należących, na stoku południowym znajduje się łom w gipsie, który miał w przyległym młynie.

Gips Gniazdowic należy do wierzchniego ogniwa czyli do łupkowego, rozwinął się właściwym sposobem, odmiennie od dotąd opisanych. Ten charakter powtarza się w gipsach, występujących dalej na południe. Łupkową odmianę zastępuje gips drobno-ziarnisty, podzielony w grube warstwy. Jest to czysty, drobno-ziarnisty, nieco bitumiczny minerał, bez domieszanego ilu, i ztąd pochodzi, że nie jest łupkowym i dzieli się w grube warstwy. Od spodu do wierzchu, w łomie leżą na sobie pokłady w następującym porządku:

1. Gips drobno-ziarnisty, czarny, w grube warstwy podzielony: 16' grubo.

2. Gips łupkowy; łupki nie zbyt cienkie, rzadko mają mniej jak pół cala, barwy brunatnej, falisto pokrzywiony: 5 do 6 stóp.

3. Gips drobno-ziarnisty szary, z wydzielonemi kryształkami gipsu, pospolicie brunatno ubarwiony: w tej odmianie wydziela się warstewkami szary margiel i kostkowane ułamki białego, proszkowego węglanu wapna.

4. Gips drobno-ziarnisty; brunatny bez oddziałów warstw, ma czasem nieoznaczone oddziały, snujące się rozmaicie, a na nich wydziela się wodan żelaza. 12'.

5. Gips proszkowy, biały. 1' do 2'. Wszystkie te pokłady okrywa glina, a na niej leży próchnica. W dolnych częściach gipsu, opowiadał mi pan Zagórski, właściciel Gniazdowic, że ma się znajdować siarka rodzima.

W pobliżu łomu Gniazdowskiego gips zastępują ility szare a w nich są rozrzucone kryształy białego, bezbarwnego, blaszkowego, nie zupełnie przezroczystego gipsu.

Około 800 kroków dalej na wschód, ku Proszowicom, u stóp południowych tegoż grzbietu, około 50 kroków od Szreniawy widać pod gliną szare margle. Tutaj wykonane zostały poszukiwania świdrowe. Pomiędzy dwoma parowami, które przerzynają ten grzbiet, zostały wykonane dwa otwory świdrowe, 1,000 kroków jeden od drugiego odległy. Otwór świdrowy pierwszy bardziej na zachód położony, został do głębokości 395'7'' doprowadzony, drugi do 219'.

1. Iłowy margiel szary 34' 8"
2. Iłowy margiel szary, łupkowy, 27'
3. Gips drobno-ziarnisty nieco iłowy, 11' 8"
4. Gips drobno-ziarnisty czysty 60' 4"
5. Margiel szary iłowy 104' 8"
6. Margiel szary, i biały, nieco z solą i ziemistym chlorytem 37' 9"
7. Margiel szary pomieszany z piaskiem i ziemistym chlorytem 156' 11"

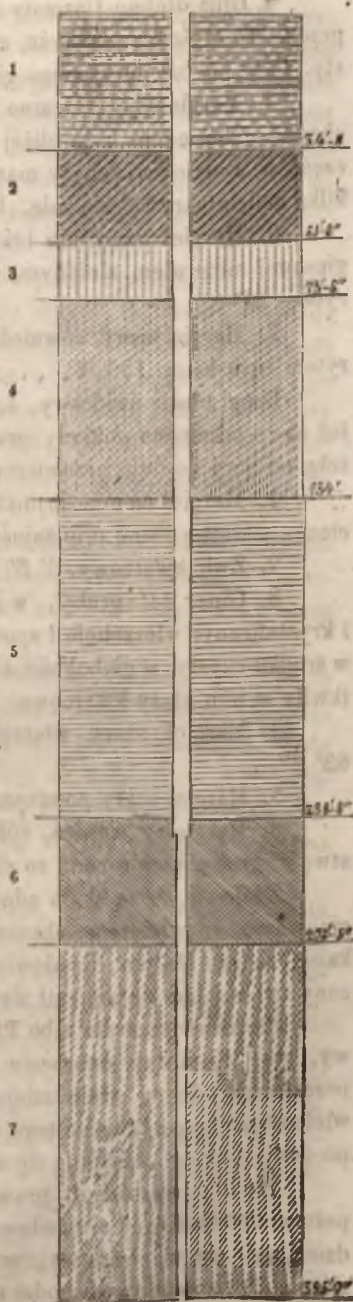
Otwór świdrowy pierwszy N. 1. Świdrowanie rozpoczęto bezpośrednio w szarych iłach; od wierzchu począwszy następujące warstwy przewiercone zostały:

1. Iłowy margiel siwy, zwilżony wydaje się czarnym, bez żadnych obcych domieszaniek 34' 8''

2. Iłowy margiel łupkowy w grubsze łupki podzielony, siwy, lub jasno-szary, w spodzie nieco z gipsem pomieszany 27'

3. Gips drobno-ziarnisty, szary, podobny do znajdującego się w przyległym łomie, podzielony w niewyraźne grube warstwy z wierzchu nieco z iłem pomieszany 11' 8''

Nr. 3. OTWÓR ŚWIDROWY WYKONANY W GNIAZDOWICACH.



4. Gips drobno-ziarnisty szary, 43' grubo, zupełnie czysty, niżej przez, 18' częścią z piaskiem, częścią z ilem pomieszany, częścią czysty. Cały pokład mieszanego gipsu jest 60' 4'' grubo.

5. Margle słone, ciemno szare, zawierające domieszana sół kuchenną. Nie można było bliżej oznaczyć ilości soli, gdyż rozpuszczała część w wodzie: wydobyty margiel na wierzch, poleżawszy na słońcu kilka godzin okrywał się solą. Pokład ten jest 104' 8'' grubym.

6. Margiel szary lub biały, także z częściami soli z rozszanym gipsem i minerałem zielonym, pospolicie nazwanym ziemistym chlo-rytem. 37' 9''.

7. Margiel szary, również słony, pomieszany ze ziemistym chlo-rytem i piaskiem. 156' 11''.

Drugi otwór świdrowy, 1,000 kroków dalej na zachód położony, już nieco odmienne pokłady przebijał, różniące się mianowicie grubo-ścią; od góry do dołu przewiercone zostały następujące pokłady:

1. Margiel ciemno-brunatny, z wierzchu spodem żółtawy, okryty cienką warstwą ziemi urodzajnej. 28' 2''.

2. Zwir kwarcowy. 3' 8''.

3. Gips, 44' grubo, w różnych odmianach, drobno-ziarnisty i krystaliczny: wierzchnie i spodnie jego warstwy z ilem pomieszane: w środku czysty, w głębokości 44' od wierzchu otworu, przez pięć stóp tkwiły w nim głązy kwarcowe.

4. Margiel szary wierzchem łupkowy, niżej bez oddziałów. 63' 2''.

5. Margiel szary pomieszany z solą kuchenną. 10' 1''.

6. Marglowy wapień, żółtawo-biały. Wapień ten zawiera warstwę 2' grubą, pomieszana ze siarkanem sody.

Zdaje się, że ta skała odpowiada zupełnie wapieniowi heteroste-ginowemu, rozwiniętemu obszerniej przy Działoszycach, pod Świątni-kami, Książu Małym, Rzędowicach, Unikowie i t. d. Przez 63' wier-cony ten wapień nie zmienił się wcale.

Piotrkowice małe albo Pietrkowice na prawym boku Szrenia-wy, przy Koniuszy naprzeciw Gniazdowic. Gips na znaczniejszej przestrzeni jest na wielu miejscach odsłonięty; jednakże łomy, nie wiele objaśniają własności tego pokładu, gdyż glina okrywająca gips po dobiecju onego zasypuje się wkrótce.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa gips Pietrkowic, zu-pełnie odpowiadający Gniazdowskiemu, należy do pokładu łupkowego, dzielącego się we warstwy, w którym odmiana jasno-szara drobno-ziarnista przeważa, przechodzi nawet miejscami prawie w odmianę je-dnostajną przez domieszanie ilu; w niektórych warstwach wydzielają



się w drobno-ziarnistym gipsie wielkie kryształy, do 10 cali długie, zupełnie bezbarwne a przezroczyste, a 3 do 4 cali grube. Miejscami wydzielają się w gipsie warstewkami margiel szary, albo krawędziste ułamki, białawo-szarego proszkowego węglanu wapna. Siarka rodzima jednostajna, słomiasto-żółta wpadająca miejscami nieco w szarą nagromadza się bardzo obficie w gipsie, bywa już to w ułamkach kostkowych 3 do 4 cali długich i szerokich; miejscami kawałki są bardzo gęste w gipsie, częściej w przedzielającym go marglu.

Zdaje się, że możnaby onę wydobywać z pożytkiem. Ułamki siarki mają wejrzenie, jakby po rozbiciu wpadły do osadzającego się gipsu i z nim jednocześnie osadzonego marglu; jednakże często łączą one żyłki siarki, co naprowadza, że gips, margiel i siarka razem i jednocześnie osadzały się. Próchnica i glina okrywają gips Pietrzkowic.

Na drodze z Pietrzkowic do Koniuszy, sterczy gips krystaliczny brunatny; a w nim znajdują się ziarenka siarki rodzimój, odmiany jednostajnej.

Na końcu wschodnim Pietrzkowic na drodze ku Proszowicom kopano kamienie: są to grubo-lupkowe, szarawo-białe stwardniałe margle, które na przeciwnym boku w Posądzy najściślej łączą się z gipsem długo-krystalicznym.

**Posądza.** Blisko najwyższego wzniesienia grzbietu, znajduje się łom gipsu nie bardzo rozwinięty. Wierzchnie części składają się z białego łupku marglowego, szarawo-brunatnego; lupki jego zapadają na północny zachód pod 25°: spodem znajduje się szczególna skała składająca się z kryształów brunatnych gipsu 1 do 2 cali długich, spójnych przeważającą ilością szarego marglu, mająca wejrzenie podobne do konglomeratu.

Wierzchem pokrywa gips żółta glina, a w nią leży torfowata glina brunatnawo-czarna, po której snują się białe glizdowate rurki, wypełnione nader drobnymi kryształkami kalcytu. Te czerniawo brunatne gliny wyraźnie łączą się z próchnicowatą ziemią, która tyle żyzności okolicom Proszowic i Szkalbmierza zapewnia.

**Wyżrał góra,** także nazywana Patrola, od piramidy tryangulacyjnej. Prawie pod samym wierzchem tego nieco wyżej wzniesionego grzbietu, na południowym stoku, nad wioską Posądzą, znajduje się obszerny łom kamieni, w gruntach należących do wspomnianej już wioski Pietrzkowice. Jest to wapień na pierwszy rzut oka bardzo podobny do białego wapienia Jura z pod Krakowa, jednakże nie zawiera najmniejszego śladu szczątków organicznych: sądząc z położenia, zdaje się być ogniwiem trzecio-rzędowym, nad gipsem osadzonem. Wapień ten jest biały jednostajny, miejscami dziurkowaty, niema śladu od-

działów warstwom odpowiednich, tylko miejscami liczne poprzeczne, jakby prostopadłe oddziały.

Po obudwóch stronach tego łomu leżą okrągławe ułamki wapienia wielkości pięści, niekiedy i większe, z powierzchnią chropowatą, czarniawo albo zendrowatą ubarwioną. Tak masowy, jako i pokruszony wapień okrywa pokład gliny 10 do 25 stóp gruby. Wapień ten szczególnie zasługuje na uwagę dla zawartej w nim siarki rodzimej, którą łatwo poznać po pięknej siarkowo żółtej barwie, mocnym, tłustym blasku i przeświecaniu; chociaż ta siarka wyraźnie jest krystaliczną, nigdzie i śladu kryształu nie można dostrzedz. Siarka tworzy węzły nie oznaczonej postaci, dochodzące do wielkości orzecha włoskiego; często bywa w drobniejszych ziarnach rozsiana w wapieniu, rzadziej tworzy żyłki kilka linii grube, łączące owe węzły. Siarkę często oddziela od wapienia warstewka białego drobno-ziarnistego gipsu, rzadziej jasno-szarego i wtedy miewać zwykł wyraźniejszą, ziarnistą budowę. Bywają także kulki siarki okryte nie wyraźnemi kryształkami gipsu, powszechnie miewają nerkowate wzniesienie. Od wapienia jako i od gipsu oddziela siarkę niekiedy czarny minerał, będący zapewne siarczkiem żelaza.

Wszelkie jest prawdopodobieństwo, że wapień góry Wyżrał pokrywa gips, do tego wniosku doprowadza jego położenie do tej niższej rozwiniętej skały, jako ogólnie powtarzające się spostrzeżenie, że pod gipsem i jego margłami nigdzie nie widać czystego wapienia. Skała ta ze wszech miar jest ważną dla okolic Proszowic i Szkalbmierz, z niej mogą być robione drogi bite, których taka potrzeba jest w tej żyźnej okolicy.

**Przeclawice.** Podłużny grzbiet Pietrzkowic dzieli głęboki parów od gruntów Przeclawic: prawie pod kościołem Koniuszy otworzono na znacznem wzniesieniu łoin w gipsie cienko-łupkowym: łupki rzadko są nad ćwierć cala grube, szarój i brunatnej barwy; za potarciem wydają odór bitumiczny; miejscami zmienia się gips w drobno-ziarnisty szary, a wtedy łupki grubieją.

**Łyszkowice.** Na przeciwnym południowym boku grzbietu Koniuszy, wśród samej opoki sterczy skała gipsowa w pobliżu dworu małego Biórkowa, w roli zwanój Pustki; dwa łomy są tutaj założone w dwóch odmianach: jeden znajduje się w gipsie drobno-ziarnistym, nieczysto-białym, nieco w szare wpadającym, około 25' wysoko sterczą jego skały; drugi w łupkowym jasno-brunatnym gipsie.

Krystaliczny gips złożony z mniejszych kryształów, zaledwie 1 do 2 cali długich, brunatnej barwy, zlepia margle jasno-bru-

natny. Łupkowy gips łukiem opasuje krystaliczną odmianę. Glina mamutowa okrywa tak białe krystaliczne, jako i łupkowe gipsy.

**Luborzycza.** Wśród nader potarganej krainy, pełnej głębokich dolin i nieco wyższych pagórków, pomiędzy Luborzycą a komorą Baran znajduje się w zagłębieniu gips, właściwej odmiany, ze wszech stron otoczony opoką. W drobno-ziarnistej, białawej, spojnej odmianie gipsu tkwią rozrzucone dwojakowate kryształy tegoż minerału, 4—5 linii długie, blaszkowate, bezbarwne, albo nieco w brunatne wpadające i w półprzezroczyste.

Glina powlekająca grubym pokładem opokę przy Luborzycy, nie pokrywa gipsu, albo leży na nim bardzo ścięczała, chociaż gips wypełnia zagłębienie.

Pomiędzy rokiem 1833 a 1836 odbywał p. Becker z polecenia rządu Królestwa poszukiwania w różnych miejscach na sól kuchenną: według aktów podają opis warstw przewierconych w różnych miejscach, pokłady wymieniam statecznie od wierzchu do spodu, i grubość każdego w szczególności.

**Mały Biórków.** Otwór świdrowy 290' 2'' głęboki.

1. Glina 42' 6''.
2. Ił szary (zapewne iłowy margiel), z odorem bitumicznym, z rozsiałym pięknym pirytem 60' 10''.
3. Ił łupkowy niebieskawo-szary 135' 7''.
4. Ił łupkowy (margiel?) z łuszczkami miki, szczątkami lignitu i ślimaków 140'.
5. Ił wapnisty 158'.
6. Ił szary 242'.
7. Ił szary (margiel) słonawy 290' 2''.

**Gonzyce.** Otwór 64' głęboki.

1. Glina zawierająca urywane warstewki lignitu, jako i bryły granitu i łupków przechodowych (?), wielkości głowy ludzkiej. Zapewne w tym pokładzie zostały pomieszane gliny mamutowe z marglami szaremi trzeciorzędowej formacji, zawierającymi lignit 59'.

2. Biały wapień Jura 64'.

**Wąsów.** Świdrowy otwór 288' 6'' głęboki.

1. Ił (margiel) 8'.
2. Ił z piaskiem 9'.
3. Ił w dwudziestej stopie z warstewką piasku 33'.
4. Ił stwardniały, ciemny 44'.
5. Ił z piaskiem, miejscami zawiera części lignitu 99' 8''.
6. Ił jasno-szary z małą ilością piasku 105'.
7. Ił z domieszaną miką i lignitem, tudzież ze ślimakami 166' 6''.



8. Łupkowy z warstwą rogowca 172' 6''.
9. Konglomerat z licznymi ślimakami 175' 6''.
10. Kamyki z lignitem, pirytem i skamieniałościami 237' 6''.
11. Ułamki różno-barwnych ilów z mika, lignitem i piaskiem 288' 6''.

**Czernichów.** Otwór 115' głęboki.

1. Gruby piasek 20' 9''.
2. Szary il, zbity (margiel trzecio-rzędowy?), 48'.
3. Piasek z rudą żelazną 50'.
4. Il szary z uławkami brunatnego lignitu; w spodzie pokazały się ślimaki i ziarnka pirytu, 53'.
5. Piasek z uławkami lignitu i pirytu, i ze skamieniałościami 63'.
6. Il szary (margiel), 92' 33''.
7. Piasek z lignitem i skamieniałościami 96'.
8. Il szary (margiel?) z mika, lignitem i ze skamieniałościami; w jednym miejscu wydziela się piasek i bitumiczny wapień 115'.

Nie daleko ujścia Nidy do Wisły, rozciąga się na prawym boku Nidy znacznie wzniesiony grzbiet, z którego sterczą skały długo-kryształicznego gipsu w wiosce Żukowice, w przyległych Czarkowach zaś znajduje się pokład siarki. Tak gips, jak i siarkę okrywa gruby pokład gliny mamutowej. Chociaż gips Żukowic nie łączy się bezpośrednio z gipsami Szkalbmierskimi, ani z gipsom Wiślicy, na przeciwnym boku rozciągającym się, mineralogiczny jego charakter nie zostawia żadnej wątpliwości, że to jest ogniwo trzecio-rzędowe.

**Żukowice.** Skały gipsowe w podłuż' wioski sterczące w różnych miejscach pokazują się odmienne pokłady. We dwóch głównych łomach gipsowa formacja Żukowic nie różni się od wyżej opisanych.

W pierwszym łomie od wierzchu do spodu znajdują się skały w następującym porządku:

1. Gлина mamutowa. 6'.
2. Margiel żółty, łupkowy. 2'.
3. Gips łupkowy, szary lub brunatny, z wydzielonemi pojedynczymi kryształami gipsu. 6'.
4. Gips drobno-kryształiczny, kryształy jeden do dwóch cali długie, spaja jasno-brunatny margiel; jest wysoko odsłonięty, 15'.

W drugim łomie występują nieco odmienne skały:

1. Gлина mamutowa. 7—8'.
2. Gips łupkowy jasno-brunatny, około 15' gruby tworzy pokład, w którym wydziela się potężna soczewka długo-kryształicznego gipsu.
3. Gips łupkowy, szary, drobno-ziarnisty, podzielony w grubsze łupki.

4. Gips długo-krystaliczny: pospolicie bywają pogięte kryształy dwojakowate, winnej albo ciemno-szarej barwy; niektóre zupełnie bezbarwne i przezroczyste. Kryształy spaja, jak powszechnie jasno-brunatny margiel.

**Czarkowy.** Bezpośrednio ze sterzącym gipsem w Żukowicach styka się pokład siarki w Czarkowach; jednakże, chociaż dwie te formacje bardzo są bliskie siebie, zetknięcie zakrywa glina mamutowa, obszernie rozwinięta pomiędzy Nidą a Wisłą, powlekająca tam wszystkie równiny i pagóry.

Nie mogłem rozpoznawać téj od kilkunastu lat opuszczonej kopalni (od roku 1849); w dawniejszych czasach wprawdzie dwukrotnie onę zwiedzałem 1830 i 1846 r., ale dla nader nieporządnego prowadzenia robót górniczych, niezmiernych błot i złego powietrza, niedaleko można się było zapuszczać i trudności były nieprzełamane zapoznać się ze stosunkami geologicznymi tego znakomitego pokładu siarki.

Opiszę go dlatego, według Puscha, który w bardziej sprzyjających okolicznościach miał sposobność kopalnię tę rozpoznawać.

Pod gliną mamutową w ciemno-szarym stwardniałym marglu rozciąga się bardzo nieforemny pokład siarki, około  $\frac{1}{8}$  mili długi, 28 stóp gruby, według podań prowadzących roboty górników; tymczasem Pusch znalazł go od 57' do 70' i więcej stóp grubym. Liczby te są wszakże nie zbyt pewne, gdyż odbudowa nader była nieporządną: ogólne, jednak wejrzenie sprawione na Puschu przekonało go, że siarka osadziła się bardzo znakomitym pokładem, równającym się najpotężniejszemu ze znanych, a mianowicie w Radoboju w Kroacyi. Siarka znajduje się w stanie jednostajnym, lub z wyraźną budową krystaliczną; druga jest tu w półprzezroczysta, albo słabo przyświecająca; z barwą siarkowo żółtą, niekiedy wpada w woskowo-żółtą i olejno-zieloną; rzadziej bywa jasno-słomiasto-żółtą i izabelową: dwie te ostatnie barwy są nieprzezroczystej i jednostajnej odmiany. Niekiedy siarka wypełnia geody wysłane, mające bardzo piękne postacie drobno-gronkowate lub drobno-nerkowate, niekiedy krople siarki wielkości grochu powlekają cienkie igiełki gipsu. W południowej części pokład ten wyraźnie został rozbitym: krawędziste części siarki spaja miększy margiel, a pomiędzy szczelinami znajdują się wielkie jej kryształy niekiedy półcała długie. Wraz z kryształami, bywa także siarka proszkowa. W tych samych stosunkach tego pokładu są geody wysłane stalaktytami żółto-brunatnego rogowca lub chalcedonu, a na nich drobne, smukłe kryształy gipsu i mączystej siarki.

Siarka tkwi w pokładzie w szarym marglu, mniej więcej stwardniałym, zupełnie podobnie jak w Swoszowicach. Cały jej pokład ma

bardzo nieforemną postać, co kilka stóp nadzwyczajnie zmienia swą grubość: grubieje i ścieńcza nieznacznie, z czego wynika bardzo trudna odbudowa, wydająca się bardzo nieporządną. Siarka znajduje się zwykła w kulkach, od ziarenek wielkości prosa przechodzących do orzechy włoskiej; nawet kulki jeszcze bywają większe: wtedy ich kształt mniej jest foremny, stają się płaskimi, spływają z sobą i tworzą ciągle, nieforemne warstwy. Pusch podaje, że pokład spoczywa na opoce, a siarka tkwi w samejże opoce w równoległych warstewkach. Wszelka jest pewność, że to podanie opiera się na błędnem oznaczeniu wieku tego pokładu. W głębokich parowach nazywanych Doły Łabędzia przy Działoszycach, przy Święcicach niedaleko Małego Książa, w Rzędowicach, w Unikowie znajdują żółtawo-białe marglowe wapienie, na pierwszy rzut oka, bardzo podobne do opoki ogniwa formacji kredowej; tymczasem te skały nie zawierają żadnej skamieniałości kredowej, nie masz w nich śladu *Anachites ovata*, *Micraster cor anginum*, *Belemitella mucronata*, lub *Inoceramus*, tak pospolitych opoce. W Dołach Łabędzia, przy Szańcu marglowe te wapienie leżą pod gipsem, zawierają obficie rozsiane *Heterostegina Puschii*, a zatem niewątpliwie są trzecio-rzędowymi. Siarka znajdująca się w Czarkowach w mniemanej opoce, należy do formacji trzecio-rzędowej: *Anachites ovata* pochodzący z kopalni Czarkowskiej, pewno dobyte został z końca południowego kopalni, gdzie wyraźne granice stanowi opoka. Pokład siarki w tej części został roztraskany, margiel bardziej twardy, znajduje się w krawędzistych ułamkach; spojony został miększym marglem, a szczeliny mniej więcej foremne wypełniły kryształy siarki i gipsu, tudzież stalaktyty rogowca i chalcedonu.

Pusch obszerniej dowodzi, że pokład siarki Czarkowski odmiennym jest od Swoszowskiego i podaje, że pierwszy nie zawiera gipsu włoknistego; w opisie moim Swoszowic okazałem, że tenże zawiera cały szereg skamieniałości trzecio-rzędowych miocenicznej formacji; głęboki otwór świdrowy w pokładzie siarki Swoszowic wykonany, odkrył w spodzie zasolone margle, a ztąd wynika, że pokład soli Wielickiej leży pod siarką Swoszowic, a że i ten należy do miocenicznej formacji: ztąd wynika, że jednakowy wiek mają pokłady siarki w Swoszowicach i Czarkowach. Mineralogicznie dwa te pokłady, około 8—9 mil odległe, są zupełnie podobne z małemi miejscowemi różnicami.

Przy Bochni, naprzeciw głównej oberży sterczą skały gipsowe, odmiany długo-kryształicznej; dwojakowate kryształy są zupełnie podobne do znajdujących się pod Wislicą, w Działoszycach, Broninie, Nadoli przy Busku, Woli Zagości, Gotartowicach i t. d. i odpowiadają Żukowskiemu gipsom.



**Miernów.** Na zachód Czarkowa ku wiosce Pełczyska, prawie naprost Wiślicy, wśród nader potarganej krainy, przy samej wiosce Miernów wznosi się pagór zwany *Babia Góra*, do potężnego usypanego kopca podobny; na jego odsłoniętych ścianach widać w spodzie ciemno-szare, prawie czarniawe margle podobne do Hołdowskich, pokryte żółtą gliną mamutowa. Wszelkie jest prawdopodobieństwo, że te czarniawe margle należą do formacji trzeciorzędowej, są ogniwiem pod gipsem osadzonym.

**DOLINA NIDY.** W podłuż doliny Nidy, pomiędzy Pińczowem a Wiślicą na wielu miejscach występuje gips, miejscami znakomicie rozwinięty: w górnym końcu tej doliny pagórki wapienia heterostegimowego rozdzielają te skały na dwie odnogi: lewa zaczyna się w wiosce Gotartowice, prawa w Bogucicach pod Pińczowem; przy Busku łączą się dwa te ramiona. W całej dolinie Nidy gips należy do spodniego, czyli długo-kryształicznego ogniwa, łupkowy jest tylko wyjątkowo w pobliżu Wisły. Gips pospolicie okrywają nawiane piaski, wyjątkowo glina mamutowa, margle zwykły dopiero za Wiślicą występować.

Każdą miejscowość opiszę szczegółowo:

**Gotartowice.** Pomiedzy wioskami Stawiany a Gotartowice rozciągają się długie grzbiety składające się z długo-kryształicznego gipsu, ku Stawianom jest bardziej drobno-ziarnistym, pokryty bardzo urodzajną ziemią. W samych Gotartowicach, sterczy wapień ziemisty, marglowy, białawy, zawierający liczne a nie wyraźne skamieniałości.

Pomiedzy Gotartowicami a Sędziejowicami zdaje się znajdować także gips, gdyż są liczne lejowate zapadliska; ziemia jest czarną wielce urodzajną, nazywana rędziną; tę gipsową rędzinę odróżnić należy od rędziny powstającej z rozrobionej opoki, z piaskiem pomieszanej.

Pomiedzy Borkowem a Chwałowicami znajduje się też sama odmiana gipsu: wypełnia ona całą nizinę, okryta czarną urodzajną ziemią; w pobliżu góry Chwałowskiej znów występuje przeważnie wapień: dwa te osady przedziela pokład piaskowca, około 10 stóp grubo: skała ta jest drobno-ziarnistą, jasno-szarą, bez wyraźnych oddziałów warstw. Wapień okrywający piaskowiec, należy do odmiany grochowcowatej, składa się z kulek spojonych jednostajnym wapieniem, bez jakichkolwiek bądź wyraźnych szczątków organicznych. Pokład wapienia ma znaczniejszą grubość, zawiera kilka pokładów wapiennego konglomeratu, rzadko więcéj nad dwie stopy grubych.

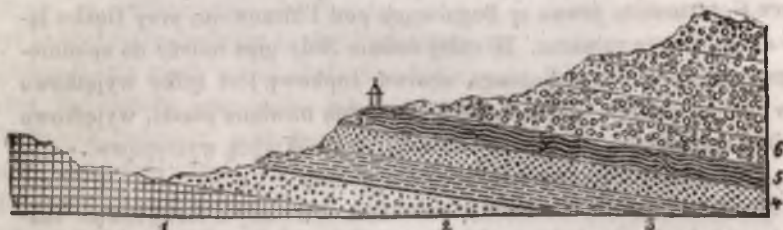
Pomiedzy Unikowem, Śarbkowem, Chrabkowem, Galowem a Szańcem rozciąga się na znacznej przestrzeni długo-kryształiczny, brunatny gips; kryształy jak zwyczajnie spaja jasno-brunatny margiel. Gips zajmuje tu niziny, rozpościera się nieco na równinie. Pomiedzy

Unikowem a Szańcem, bardzo są w nim liczne lejowate zagłębienia, 20 do 30 stóp głęboko, mające ściany złożone ze świecącej skały gipsowej z wielkimi kryształami. W tej okolicy dzieli się niekiedy gips w warstwy, 3 do 4 stóp grube.

**Szaniec.** Najciekawsze przecięcie znajduje się w tej wiosce, na drodze prowadzącej ku kościołowi: gips przegradza tutaj wapień heterosteginowy, a ten spoczywa na opoce: gips zatem należy do formacji trzecio-rzędowej.

W tym przecięciu pokłady leżą w następującym porządku, począwszy od spodniego.

#### N. 4. PRZECIĘCIE W SZANCU.



1. Opoka.
2. Spodni wapień heterosteginowy.
3. Gips długokrystaliczny.
4. Gips drobno-ziarnisty.
5. Piaskowiec łupkowy.
6. Wierzchni wapień heterosteginowy

1. Opoka zwyczajna, czyli wierzchnia formacji kredowej składa niższą część boku wzniesienia, i przeciwny bok doliny, po której prowadzi droga z Buska do Szańca.

2. Wapień heterosteginowy, składa się z białawego jednostajnego wapienia, bez wyraźnych warstw, z rzadkimi soczewkami Heterostegina Puschii. 20' gruby.

3. Gips długo-kryształiczny, kryształy rzadko 2—3 cali długie, brunatnawe i szarawe spaja mała ilość brunatnego marglu, bez wyraźnych oddziałów warstw, około 50'. Pokład ten nieznacznie przechodzi.

4. Gips drobno-ziarnisty, jasno-szarawy, z rzadko wydzielonemi kryształami gipsu, bez wyraźnych oddziałów. 40' gruby.

5. Piaskowiec drobno-ziarnisty, jasno-szary, prawie łupkowy, łupki zwyczajne 2—3 cali grube, pospolicie cieńsze. Pomiedzy spojonym a twardym piaskowcem znajdują się warstwy ruchomego piasku, zwyczajnie na jedną stopę grube, powstające z rozkładu piaskowca, albo niespojonego piaskowca. Grubość spojnych i ruchomych warstw

piaskowca wynosi około 70—90 stóp. Warstwy nachylają się przy kościele ku północy pod 8°, nieco dalej na folwarku ku wschodowi 4—5<sup>h</sup> także pod 8°.

6. Wapień heterosteginowy tworzy bardzo gruby pokład, z niego składa się wysoki grzbiet rozciągający się nad Szańcem. Spodnie jego pokłady mają drobno ziarno, pod szkłem powiększającém widać, że się składa z samych szczątków zwierząt, ze skorup dziurkowców, ułamków zwierzokrzewów i bryozoów (mszywioly) spojonych małą ilością nieco bezpostaciowego wapienia. Trudno pojąć, z kąd się mogło wziąć tyle drobnych skorupki, aby złożyć pokład 100 do 200 stóp gruby. Pokład ten wznosi się wysoko nad wsią i stanowi długi grzbiet, z zupełnie prostą linią odgraniczony.

**Nadola przy Busku.** Na północ od Buska, pomiędzy domami wioski Nadola sterczą skały gipsowe, grubym pokładem gliny okryte, miejscami na wierzchu czerni się próchownicowata ziemia, nieróżniąc się od rędziny proszowskiej. Gips należy do odmiany długo-kryształicznej, kryształy są jasno-brunatne, wół-przezroczyste. Czy gips bezpośrednio spoczywa na opoocy stanowiącej grzbiet przyległego Buska, nie można dostrzegać, szereg pagórków gipsowych mocno potarganych; często ze skalistemi ścianami rozciągają się w stronie ku przyległej wiosce Łagiewniki, tworząc zatokowate półkole. W Łagiewnikach przeważnie występuje wapień białawy, przepelniony soczewkami Heterostegina Puschie; dalej tworzy rozległe pagóry w Broninie, Szczaworysu. Gips ten jest kawałem oderwanym od wielkiego osadu rozpościerającego się przy Owczarach i Pęczelicach, Bieniátkach, Woli Zagajskiej i t. d.

(Dokończenie nastąpi).



# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

---

*Miesiąc Wrzesień 1861 roku.*

## D Z I E Ł A.

Encyklopedia powszechna. Tom VIII, Zeszyty 65, 66 i 67. Warszawa, 1861, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8-ce większ., str. 112, od 113—224, 225—336. (Eckhof-Epigrafia), okł. druk. Każdy zeszyt kop. 35.

*Hugo Wiktor*. Burgrafowie, dramat w 3ch częściach, tłumaczył *Kazimierz Kaszewski*. Warszawa, 1861, druk K. Kowalewskiego, w 8-ce, str. 100, kop. 75.

Zdanie sprawy z działań komitetu synagogi przy ulicy Daniłowiczowskiej za rok 18<sup>60</sup>/<sub>61</sub>, mianowicie: od dnia 1 sierpnia 1860, do dnia 1 sierpnia 1861 roku. Warszawa, 1861, druk S. Orgelbranda, w 4-ce, str. 10.

*Bayer Julian*. Astronomia popularna. Warszawa, 1861, druk Banku Polskiego, w 8-ce, str. od 81—240.

*Rappaport Zenon*. Pamiętniki Wampira, czyli Wampir w świecie artystyczno-literackim. Obrazki, szkice, epizody, życiorysy, felietony, zarysy obyczajowe, oraz pomniejsze komedye, drobne poezye i przekłady. Tom II-gi. Część czwarta (ogólnego zbioru, a 1-sza T. 2-go). Warszawa, 1861, druk braci Hindemith, w 8-ce, str. 70.

Lola Montez, szkic biograficzny, podług najlepszych źródeł skróślony z portretem. Warszawa, 1861, druk braci Hindemith, w 8-ce, str. 31 (odbitka z Pamiętników Wampira).

Biblioteka rolnicza, wydawana staraniem i nakładem redakcyi Gazety rolniczej, z wielu drzeworytami w tekście. Zeszyty 5, 6 i 7. Uprawa roślin pastewnych w Polsce i ich użytkowanie na paszę,

przez *Zygmunta Gawareckiego*, z drzeworytami. Tom I. Warszawa, 1861, druk A. Gins, w 8-ce, str. VII, 160.

*Kurowski Jan Nepomucen*. O urządzaniu gospodarstw bepańszczyńnianych, szczególniej pod względem zaprowadzenia innego systemu rolniczego i ręcznych robotników, z jedną tablicą rycin. Warszawa. 1861, nakł. autora, druk J. Ungra, w 8-ce, str. 188, Tab. 2 i spisu rzeczy nieliczb. 4.

*Felicja*. Modlitwy i pieśni. Warszawa, 1861, druk J. Psurskiego, w 8-ce mniejsz., str. II, 111.

*Maciejowski Franciszek*. Zasady prawa rzymskiego pospolitego podług instytucji Justyniańskich. Warszawa, 1861, druk K. Kowalewskiego, w 8-ce większ., str. spisu prenumeratorów nieliczb. 4, liczb. VIII, 641, nieliczb. 6. rs. 3.

Wizerunki i życiorysy znakomitości tegoczesnych, zebrane z najnowszych źródeł. N. 5 Abd-el-Kader. Warszawa, 1861, nakł. A. Dzwonkowskiego i spół. druk J. Psurskiego, w 8-ce, str. 46.

Cicha Iza chrześcijańska, książka do nabożeństwa dla katolików. Wyd. 3-cie. Warszawa, 1862, nakł. G. Gebethuera i R. Wolfa, druk G. Paetz w Naumburgu. w 16-ce, str. 595.

O boskości spowiedzi, z przykładami historycznymi, wyjątek z biblioteki przeznaczonój dla parafij i rodzin. Przekład z francuzkiego, przez *B. K. M.* Warszawa, 1861, nakł. i druk ks. Missyonarzy, w 12-ce, str. 160, okł. druk.

Książka dzieci Maryi. Nauki i modlitwy dla dzieci. Przekład z francuzkiego. Warszawa, 1861, druk kks. Missyonarzy, w 12ce, str. 199, okł. druk.

*Marciński Franciszek Maciej* ks. Grammatyka litewsko-polska. Gramatika arba spasabas iszsimokinimo Lenkiskos kalbos. Warszawa, 1861, druk kks. Missyonarzy, w 8-ce, str. 152.

## PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik Religijno-moralny. Serya 2, T. VIII, N. 9, M. Wrzesień 1861, str. od 241--360, zawiera:

Wykład Pisma Świętego: Deuteronomium, p. ks. *W. Serwadowskiego*. Opis kościoła farnego w Łomży, p. *Leona Rzezniewskiego*. Missye w Chinach i Kochinchinie, p. ks. *Józefa Szpaderskiego*. Materiały do dziejów kościoła polskiego,

z języków wschodnich, p. *A. Muchlińskiego* (dok.). Dzisiejszy stan kaznodziejstwa w Polsce, p. ks. *Jozefa Szpaderskiego*. Wizyta kościołów parafialnych, przez JW. biskupa suffragana mohylewskiego *Jozefa Maksymiliana Staniewskiego*. Korrespondencya. Kronika kościelna i rozmaitości. Wiadomości krajowe. Kronika zagraniczna.

Roczniki gospodarstwa krajowego. T. XLIV, Posz. III, M. wrzesień 1861, str. od 437—659, zawiera:

Czynności sekcji chowu inwentarza, odbyte w m. lutym r. b. (dok.). Czy wyścigi konne mogą wpływać na poprawę i podniesienie hodowli koni w kraju, p. *Wł. Z. Rozmaitości*. Bieżące wiadomości rolnicze i korrespondencye. Dostrzeżenia meteorologiczne za m. lipiec 1861 roku.

Tygodnik Lekarski. M. Wrzesień 1861, NN. 36—39, zawierają:

*Sankiewicz*: Czarna krosta, karbunkuł zaraźliwy i leczenie téj choroby. *Wiemuth*: Wiadomości z pism zagranicznych o postępach leczenia elektrycznością. *Janikowski St.*: Wpływ uduszenia na ilość krwi w mózgu i płucach. *Groer*: Zwichnienie kości udowej. *Sztam*: O rozwojnieniu u małych dzieci. *St. Janikowski*: Notatki policyjno-lekarskie z podróży. *Sankiewicz*: Wole i jego podwiązywanie. *Eborowicz*: Puchlina workowa jajnika. *Groer*: Wrzody przetokowe. *Rosenfeld*: Czkawka. *Drużyłowski*: Zastosowania terapeutyczne elektryczności do terapii. *Brunner*: Czynność podniebienia miękkiego i gardzienia. Posiedzenia warszawskiego Towarzystwa lekarskiego. *Ściborowski*: Wiadomości z pism zagranicznych. *Eborowicz*: Wyciągi z pism zagranicznych. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła.

Ruch Muzyczny. M. wrzesień 1861, NN. 36—39, zawierają:

Krótki rys historyi powszechnej muzyki (c. d.). Herold i Boieldieu (dok.). Kilka słów o teatrze. Przegląd kompozycyj. Wspomnienia z podróży. Organista jako nauczyciel wiejski. Feliks Mendelssohn-Bartoldi. Podróż bez celu, p. *Orfeusza Dudaszka*. Skarbiec fortepianistów. Gazeta muzyczna.

Kółko domowe. M. wrzesień 1861, Poszyt 6, str. od 162—192, zawiera:

Obertyn, obrazek historyczny wierszem, p. *Sewerynę Pruszkową*. Wspomnienia rodzinne, p. *Sabinę z Gostkowskich Grzegorzewską* (c. d.). Ks. Wacław Stulc, życiorys p. *J. F. Nowakowskiego*. Próbkki stylu z XVIII wieku, p. *Józefę Śmigielką* (c. d.). Wspomnienia historyczne na miesiąc wrzesień, p. *Aleksandrę z Chomętowskich Borkowską*. Korrespondencya. O ubiorach. Objasnienie tablicy rysunków.



Przyjaciel Dzieci. M. wrzesień 1861, NN. 23—26, zawierają:

Historja święta, p. *Szymanowskiego* *M(ichała)*. Boże Narodzenie, powieść *Dickensa*, tłumaczona z angielskiego. Myszeida *Ignacego Krasickiego*. O rasach rozmaitych zwierząt domowych, p. *Albina Kohna*. O potrzebie ochraniańia pożytecznych zwierząt, p. *Albina Kohna* (c. d.). Dzieje narodu polskiego, p. *Leona Rogalskiego* (c. d.). Bociany, p. *Kazimierza Władysława Wójcickiego*. Mądry ogrodnik, powieść wschodnia. Myśli. Zdania. Rozmaitości. Rebusy.

Jutrzenka, Tygodnik dla Izraelitów polskich. M. wrzesień 1861, NN. 10—13, zawierają:

Egzamina szkół elementarnych rządowych wyznania Mojżeszowego w Warszawie. Na Nowy Rok 5622. Dzień—Noc—Poranek, p. *Ben Izaaka*. Słówko o Berku Joselowiczu, szefie szwadronu Ułanów polskich, p. *Jakóba R...*. Do siostr moich, p. *E. z U. P.* O miłości bliźniego z Talmudu. Trenderl, p. Leopolda Kompert, tłum. *J. E.* (c. d.). Odezwa rabina okręgów warszawskich. List ks. Mikulskiego z Mokotowa. Przebaczam. Zawiązanie się i wzrost gminy izraelskiej miasta Włocławka (c. d.). Ustęp z pieśni o Jedynym, p. *F. Str.* Mieszulem Erlich (nekrolog). O wyborach do rad miejskich i powiatowych. Wyjątki z dzieł rabinicznych. O dobroczynności prywatnej i zebraniu, p. *Hilarego Gladsterna*. Palestyna państwem rolniczym. Wyciągi ze sprawozdania synagogi przy ulicy Daniłowiczowskiej za r. 186<sup>o</sup>/<sub>1</sub>. Wyznawcy religii Mojżeszowej w Polsce, p. *J. Z. Hagbaha*, p. *A. Kraushaar*. O domach modlitwy gminy starozakonných w Warszawie, p. *H. Nussbauma*. Korrespondencye. Rozmaitości.

Magazyn Mód. M. wrzesień 1861, NN. 36—39, zawierają:

Janina, zdarzenie prawdziwe, p. *Paulinę z L. Wilkońską*. Anna królowa polska. Dolina Ojcowa. O lustrach. Korrespondencye. Gwiazdka. Poezye. Mody. Opisy rycin. Przepisy kuchenne. Szarady.

Tygodnik Ilustrowany. M. wrzesień 1861, NN. 102—105, zawierają:

Gustaw Potworowski. z drzewor. Kamieniec Podolski z 2-ma drzewor. Nagrobek Maryi Krasińskiej w Kraśnem, z drzewor. Zbytek, p. *L. J.* Kodeks cywilny i procedura małżeńska (c. d.). Kościół parafialny w Szańcu, z drzewor. Kazimierz Cieciszowski, z drzewor. Zamek w Nowym Sączu, z drzewor. Były klasztor Cystersów w Rudnie w Górnym Szlązku, z drzewor. Nagrobek Mikołaja i Zofii Oleśnickich na Łysiej Górze z drzewor. Książd Hugo Kołłątaj, p. *Wojciecha Grochowskiego* (dok.). Opinia, p. *B...*. Kalina, podanie litewskie, p. *Bolesława Brzozę* (*Rackiewicza*). Spotkanie się króla Jana III

z cesarzem Leopoldem I, z drzewor. Przygody Guy du Faur pana na Pibraku, z drzewor. Kijów, z drzewor. Po nad źródłem, z drzewor. Kościół parafialny w Małogoszczy, z drzewor. Jan Karol Chodkiewicz, p. *Kazimierza Władysława Wójcickiego*, z drzewor. O Kartuzach w Berezie, p. *T. K.* Miejsce urodzenia Kościuszki, p. *T. K.* z drzewor. Przeddzień bitwy pod Kirchholmem, z drzewor. Nagrobek biskupa Buczackiego w Płocku, z drzewor. O pracy, p. *Kazimierza Kaszewskiego*. O świętym Marynusię, podanie szląskie, p. *Józefa Grajnera*. Kronika tygodniowa. Korrespondencye. Poezye. Rozmaitości. Zadanie konikowe. Rebusy.

Kmiatek. M. wrzesień 1861, NN. 36—39, zawierają:

Opowiadania Góralczyka z historii polskiej. Uroczystość narodzenia Najświętszej Panny Maryi. List Stacha z pod Kutna do Kazimierza Góralczyka. Grzechy śmiertelne. Paw. O Madaju rozbójniku. Św. Mateusz ewangelista. List Tomasza Palacza. Św. Kinga. Wiersze. Różności.

Czytelnia Niedzielną. M. wrzesień 1861, NN. 35—39, zawierają:

Egzamina w ochronach warszawskich (dok.). O dyamentach. Wincenty Krot włościanin litewski z nad brzegów Hrywdy. Droga do nieba, wiersz. Węgry. Gawędy warsztatowe. Okolice Krakowa. Rady i przestrogi matki córce wychodzącej za mąż. Nasza ziemia, wiersz. Wspomnienie o bitwie pod Kirchholmem. Pierwotne sposoby mierzenia czasu. Różności. Zagadki.

Gazeta Warszawska. M. wrzesień 1861, NN. 209—233, zawierają:

Historya o Pra-pra-pra-wnuku i Pra-pra-pra-dziadku, powieść w 2-ch częściach, p. *Teod. Tom. Jeża* (c. d.). Leśnictwo polskie, przez *Aleks. Połujańskiego* (rozbiór), p. *E. P.* Drobne spostrzeżenia nad artykułami o wychowaniu publicznem, w Gazecie umieszczanemi, p. *Tomasza Dziekońskiego*. Hercegowina, Turcy i Powstańcy. Przegląd literatury zagranicznej. Uwagi o służących i wyrobnikach wiejskich, p. *Horbowskiego*. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące.

Gazeta Polska. M. wrzesień 1861, NN. 209—233, zawierają:

Aleksander Petoefi, poeta węgierski, p. *E. S.* (dok.). Kronika Paryzka, p. *Z. W.* Cesarz, Rzym i król włoski (broszura). Listy z Mokotowskiej ulicy. Wspomnienia z pobytu w Krakowie, p. *F. Nowakowskiego*. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące.

Pszczółka. M. wrzesień 1861, NN. 208—232, zawierają:

Złota góra, powieść Zacharyasiewicza. Jerzy Stefenson. Spekulant w Stanach Zjednoczonych. Wiadomości bieżące. Rozmaitości.

Kuryer Warszawski. M. wrzesień 1861, NN. 208—232.

Gazeta Rządowa Królestwa Polskiego. M. wrzesień 1861, NN. 196—217, zawierają:

Wyciągi z obrazu działań rządu Królestwa Polskiego w roku 1859. Postanowienie rady administracyjnej, w przedmiocie Gazety Rządowej. Postanowienie tejże rady, tyjące się kursów przygotowawczych.

Warszawska Gazeta Policyjna. M. wrzesień 1861, NN. 212—236, zawierają:

Zdarzenie w Hiszpanii z czasów Filipa II (dok.). Sabaudczyk.

Warschauer Zeitung. M. September 1861, NN. 196—220, zawierają:

*Finanzielles. Reiseerinnerungen aus dem Riesengebirge. Der Emporkömmling. Agnes, eine schreckliche Geschichte, v. W F. Verkehrs-und Handelsnachrichten. Lokalbericht. Vermischtes.*

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. M. wrzesień 1861, NN. 69—97, zawierają:

O narzędziach i sprzętach rolnika polskiego, wyrabianych w fabrykach krajowych i używanych w gospodarstwach naszych (c. d.). Leśnictwo polskie Aleksan. Połujańskiego (rozbiór). Wojna owadom szkodliwym plantacyi buraków, mianowicie na Ukrainie. Opis dóbr Chruściechów i Jakóbów. p. *Józefa Kozłowskiego*. Nauka uprawy lasów według wykładu w tarantskiej akademii. Dwie konieczności i jedno pragnienie, p. *K. G.* Wiadomości handlowe. Średnie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Gazeta Rolnicza. M. wrzesień 1861, NN. 35—39, zawierają:

O urządzeniu i administracyi większych posiadłości ziemskich, p. *A. K. Stelmawiewicza* (c. d.). Pogląd na gospodarstwo rolne, przy wolnej pracy na Wołyniu, p. *Aleksandra Jasińskiego* (c. d.). Kosiarka Allena. Listy statystyczno-rolnicze o W. Ks. Poznańskim, p. *Wł. Jankowskiego*. Kosiarka angielska. Rzędownik, p. *Pruneau*. Polska bibliografia rolnicza. O główniejszych chorobach roślin zbożowych i przygotowaniu nasion zbóż ozimych do siewu, p. *Toporczyka*. Treść ustawy z 19 lutego r. b., regulującej stosunki włościańskie na Litwie i Busi, p. *Aleksandra Jasińskiego*. Kwestye



otwarte do dyskusyi piśmiennój. Maszyny do kopania kartofli. O kapitale, p. *Juliana Liedkie*. O sprzęcie potrawów. Kilka myśli o rozszerzaniu oświaty wśród ludu przez czytanie. Próba maszyny do wrywania drzew z korzeniami i pniów sterzących po drzewach ściętych, odbyta w lesie Łomiankowskim pod Warszawą, pod dyrekcją wynalazcy Juliana Wagnera. Korrespondencye gospodarskie. Nowiny gospodarskie. Ceny średnie produktów rolniczych na targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego.

### MUZYKALIA.

*Münchheimer A.* Dwie pieśni polskie. N. 1 Warszawianka, N. 2 Litwinka, przełożone na fortepian. Warszawa, 1861, nakł. i litogr. A. Dzwonkowskiego, str. 6, kop. 30.

*Kurpiński Karol.* Mazur kompozycyi na fortepian. Warszawa, nakł. i litogr. G. Gebethner i R. Wolff, str. 3, kop. 15.

*Troszel Wilhelm.* Polskie kłosa, zbiór melodyj narodowych na fortepian. Warszawa, nakł. G. Sennewalda, lit. M. Fajansa, str. 24, rs. 1.

*Monczyński R.* Melodie religieuse varie pour le Piano. Op. 26. Varsovie, lit. A. Dzwonkowski et comp., str. 10, kop. 45.

*Miller Karol.* Fantazyja ułożona z hymnów religijnych, w dniu Zwiastowania N. Maryi Panny na fortepian, dz. 16. Warszawa, nakł. i litogr. J. Müller, str. 15.

*Moniuszko Stanisław.* Trzy chwile Krakowiaka, śpiew z towarzyszeniem fortepianu, słowa *Włodzimierza Wolskiego*. Warszawa, nakł. i litogr. G. Gebethner i R. Wolff, str. 14, kop. 60.

Rakoczy marsz (marsz węgierski), ułożony na fortepian. Warszawa, nakł. J. Kaufman i spół., lit. W. Otto, str. 3.

*Zientarski Romuald.* Pieśń religijna: „Wszechmocny Boże,” ułożona na fortepian. Dz. 39. Kalisz, nakł. H. Hurtig, lit. E. Myśliwski w Kaliszu, str. 6.

*Zientarski Romuald.* Muzyka kościelna chóralna i figuralna, używana przy obrządkach kościoła rzymsko-katolickiego. Zeszyty 18 i 19. Warszawa, str. od 189—204.

*N. M.* Cztery pieśni narodowe: 1) Marsz Rakoczego węgierski, 2) „Viva Italia” hymn włoski, 3) „God save the Queen” hymn

angielski, 4) Marsz żyrodystów francuzki; ułożone na fortepian. Warszawa, nakł. A. Dzwonkowskiego i spół., str. 4.

### RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Ks. Antoni-Melchior Fijałkowski, arcybiskup metropolita warszawski (portret). Rys. i lit. z natury, *M. Fajans*, w 4-ce większ.

O rasach koni, zebrane przez *R. Froriepa*, a znacznie w tekście zmienione, tudzież licznemi opisami i rycinami pomnożone, przez *J. H. Lewandowskiego*. Warszawa, 1861, druk S. Orgelbranda, lit. A. Dzwonkowskiego i spółki, litografował *L. Piechaczek*, fol. wielkie.

O rasach rogacizny, zestawione przez *J. H. Lewandowskiego*. Warszawa, 1861, druk S. Orgelbranda, lit. A. Dzwonkowskiego i spół., litografował *L. Piechaczek*, fol. wielkie.



## WIADOMOSCI LITERACKIE.

### WARSZAWA.

*Pazdziernik 1861 r.* Dnia 25 b. m, otwarte zostały kursa w *Szkole przygotowawczej*, stanowiącej przejście do nauk akademickich, mających być wykładanemi w Szkole głównej. Trzystu przeszło młodzieży zapełniło obszerną salę, przeznaczoną na audytorjum, w gmachu Instytutu Szlacheckiego, i kursa rozpoczęły się o godzinie w pół do 10ej, prelekcją profesora Szmurły, wykładającego języki starożytne a zarazem pełniącego obowiązki przełożonego w tym nowo utworzonym naukowym zakładzie. Professor wykazawszy ważność znajomości języków starożytnych, ułatwiających poznanie skarbów literatury Greków i Rzymian, a zarazem korzyść, jaką sama ich już nauka dla umysłu przynosi, zakończył prelekcję swoją stosowném przemówieniem do zgromadzonej młodzieży, występując już tu w charakterze przełożonego, obowiązanego czuwać nad dobrem powierzónego jego pieczy zakładu. Następnie Dyrektor Kommissyi Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Margrabia Wielopolski, przemówił sam do młodzieży, i przedstawiwszy jej w kilku treściwych a wymownych słowach obowiązki, jakie ten nowy zakład naukowy na nią

wkłada; jak wiele od postępowania jej przykładnego i zajęcia się gorliwego pracą, nietylko już jej samej, ale i całemu krajowi zależy; pożegnał, i opuścił szkołę. Po dwóch następnych prelekeyach, na których professor Pęczarski wykładał algebrę i fizykę, raz jeszcze o godzinie 1. ej, przybył Margrabia Wielopolski do szkoły i był obecnym na prelekeyi języka i literatury polskiej, tudzież języka i literatury rossyjskiej, ze względem na inne słowiańskie, odczytanę przez profesora Siwińskiego. Prelekeya języka francuzkiego, wykładanego przez profesora Krzeszewskiego, zakończyła nauki w tym dniu rozpoczęte.

— Stagnacya wielka w handlu księgarskim na nowo się pojawiła: niesłychać wcale o ważniejszych dziełach, oprócz że S. Orgelbrand dawno gotowy rękopism, dzieje Multan i Wołoszczyzny uczonego Leona Rogalskiego drukuje; A. Nowolecki przygotował do druku dzieje Węgier. Upadek ten handlu księgarskiego, jeżeli z jednej strony przypisać musimy okolicznościom obecnym, to z drugiej przeważny wpływ wywiera tak na rozwój gazet naszych, jak na coraz liczniej zjawiające się pisma peryodyczne. Zawsze wzrost prassy oddziaływa silnie na wydawnictwo książek, których jeszcze cena wygórowana odstrasza, i czyni mniej dostępnymi dla ogółu. Do gazet wielkich rozmiarów, jak Warszawska i Polska, przybył rządowy *Dziennik Powszechny*, który oddzielne a właściwe sobie ma cechy. W kilkudziesięciu numerach wydanych, traktował najważniejsze zadania dotyczące kraju naszego, i nieznane dotąd materiały do dziejów naszego Królestwa podał. Jeżeli dalej na tej drodze postępować będzie, stanie się ważnym zasobem dla każdego statysty i męża stanu, który zechce badać administracyą kraju naszego.

— Zdawnych publikacyj bez przerwy wychodzi *Encyklopedia powszechna*; już VIII tom niedługo się skończy, wraz z literą F. Spodziewać się możemy, że w roku przyszłym komitet redakcyjny doprowadzi dzieło to ważne do litery K, które do najobszerniejszych należy. Wątpliwość, jaką wielu miało o doprowadzeniu do skutku tak ogromnego przedsięwzięcia, ustaje wobec wydawnictwa bez przerwy. Zastężona firma S. Orgelbranda może być w tém dostateczną rękojmnią. *Tygodnik Ilustrowany*, w ostatnich numerach, oprócz wielu zajmujących artykułów, dał obszerny opis podróży do Gdańska przez Deotymę, odznaczający się artystycznym wykończeniem, i piękną komedyą Maryi Ilnickiej, p. n. *Kto winien*, ślicznym wierszem napisaną, jak wszystko co wychodzi z pod pióra tej



pełnej talentu autorki. *Magazyn Mód*, zyskawszy nie małe upowszechnienie, podług przyjętego planu, rozwija się i ulepsza. *Kółko Domowe*, pod staranną redakcją A. z Chomętowskich Borkowskiej i Józefy Śmigielskiej, zyskuje coraz większą liczbę czytelników. *Przyjaciel Dzieci*, piękną wydania i drzeworytów, jak i treścią zastosowaną dla młodego wieku, coraz się więcej utrwała, i świetnej dla siebie może się spodziewać przyszłości, jeżeli podług obmyślonego planu będzie redagowany. *Czytelnia Niedzielną* przeszła pod redakcją Agatona Gillera, zdolnego pisarza. *Kmiatek* zostaje pod redakcją Władysława Anczyca. *Ruch muzyczny* pod redakcją Józefa Sikorskiego, już rok 5-ty wydawany, odznacza się nie tylko artykułami specjalnymi, ale i z innych sfer, które powinny rozszerzać koło jego czytelników. *Jutrzenka* tygodnik dla Izraelitów polskich, wybornie redagowany przez Daniela Neufelda, znajduje coraz większe upowszechnienie. Do Pamiętnika Lekarskiego i Tygodnika Lekarskiego, przybywa nowe pismo: *Przyjaciel Zdrowia* Dra Gregorowicza. W ostatku uzupełnia poczet pism periodycznych, w Warszawie wychodzących, *Pamiętnik Religijno-Moralny*, który przez ciąg lat 21 już się ustalił w gronie swoich czytelników. Tak znaczna liczba pism, oddziaływać musi na handel księgarski, tém bardziej, gdy nie tak rozległe koło czytelników polskich w Królestwie, w Litwie, Wołyniu, Podolu i Żmudzi, ma w nich dosyć posiłku duchowego. Dodajemy, że pisma nasze czasowe w Krakowie, całej Galicyi i w Wielkiem Księstwie Poznańskiem są osobliwością bibliograficzną, jak równie i książki wydawane u nas w Warszawie, Wilnie, Kijowie, Żytomierzu i innych miastach Cesarstwa Rossyjskiego.

— W Wilnie wyszły z pod prasy drukarskiej następujące dzieła: 1. Ramoty Starego Detliuka o Wołyniu, zebrał Antoni Andrzejowski, we 4ch tomach. (Część tych pamiętników czytaliśmy z wielkiem zajęciem w Piśmie zbiorowem wileńskiem Ad. Kirkora). 2. O kształceniu duszy. Psychologia i filozofia dla kobiet. Wyjątek z dzieł Aimé-Martin; przekład Maryi B. 3. Projekt do prawa o Towarzystwach Kredytowych Ziemskich i Bankach Ziemskich. 4. Ustawy o włościanach wyzwolonych z poddańczej zależności po polsku i po rossyjsku. 5. Złote kajdany, tragikomedia w 5 ciu aktach J. Korzeniowskiego. 6. Siwy Włos i Pustelnia. Dwie komedye Oktawa Feuilleta. 7. Przeznaczenie czyli badacz nauk przyrodzonych i Szkice obyczajowe, przez L. hr. Potockiego.

— Skarba dyplomatów, Ignacego Daniłowicza tom 2gi wyjdzie wkrótce z druku, równie jak Pismo zbiorowe wileńskie na rok 1862.

— W drugiej części „*Rocznika Gubernii Wileńskiej*” (po rosyjsku), znajdują się ciekawe dla nas wiadomości, jak i materyały do statystyki lekarskiej gubernii wileńskiej: treściwy pogląd dziejowy na losy stanu włościańskiego na Litwie. Zwaliska zamku krewskiego. Karaimy w gubernii wileńskiej.

— W Kurjerze Wileńskim czytamy piękny wiersz Wł. Syrokomli, który w całości przyodzimy:

### UPIO DISSOLVI.

Na co mi, Panie, ta suknia z ciała,  
Co mi swobodną duszę skowala,  
Skowala w pancierz, ciśnie i gniecie  
I zatrzymuje na ziemskim świecie.

Ja jestem duchem, duchem nic więcej,  
Po cóż mam chodzić w szacie zwierzęcej?  
Moje radości, moje katusze,  
Na dzwonku serca wydzwaniać muszę;  
A nieśmiertelnych myśli osnowa  
Musi się ścieśniać bełkotem słowa.

Kiedys mię stworzył wolną istotą,  
Między występkiem i między cnotą.  
Czyż grzech i cnotę przed okiem nieba  
Koniecznie ciałem wyrażać trzeba?

Jeśliś przeznaczył ludziom za brata,  
Czyż tylko ciało braterstwo splata?  
Jeżeli cierpieć udział mój doli,  
Czyż tylko ciało jednemu boli?  
Czyż tortur ducha nie masz w twém rąku?  
Czy nie zrozumiesz bólów bez jęku?

Dales mi mowę—cóż ona znaczy?  
Czy choć cień myśli mój wytłumaczy?  
Dales mi zmysły—cóż ich powaby?  
Každy ulomny, każdy z nich słaby;  
Každy kłamliwý w swojej budowie:  
Żaden mi szczerzej prawdy nie powie.

W oku i w uchu, w smaku i woni  
Tylko się same złudzenie chroni,  
Tylko przeszkoda duszy człowieczój,  
By doskonałej pojęła rzeczy.

W ziemskich warunkach ciała i kości  
 Spada korona niezależności,  
 Duch musi stawać na ziemskiej mierze,  
 Ziemska namiętność swe prawa bierze;  
 Wysokie żądze giną bezpłodne,  
 W zamian rozkoszy co mnie niegodne.

Głód i pragnienie, zimno i spieka  
 Daje poczucie nędzy człowieka,  
 Łakomstwo duszę przy ziemi trzyma,  
 Próżność piersiową klatkę wydyma;  
 Nieuawieć ręce uzbraja w noże,  
 Miłość zbydlęca co było Boże.

Tak... nawet miłość, uczuć królowa,  
 Tutaj świętości swój nie dochowa,  
 A zawsze bolem serce się kraje;  
 Ale ta boleść chluby nie daje,  
 A moje ziemskie splacając długi  
 Cierpię męczeństwo, lecz bez zasługi.

Kiedy mię zmysłów cierpienie zmoże,  
 Z więzów cielesnych wyrwiesz mię Boże!  
 Ale już dusza nie będzie młoda:  
 Już jej przemienie dawna swoboda,  
 Bo ją bolesna pamięć przygniata,  
 Grzechu i cierpień ziemskiego świata.

— Nakładem Józefa Zawadzkiego w Wilnie, wydana została ballada *Czatyp*, oczys Mickiewicza, muzyka Stanisława Moniuszki.

— Dnia 11 b. m. odbyło się dziewiąte w tym roku posiedzenie Kommissyi archeologicznej pod przewodnictwem prezesa hr. *Eustachego Tyszkiewicza*, w obecności 15 zgromadzonych członków rzeczywistych i współpracowników.

W zagajeniu swoim, prezes zdając sprawę z naukowej działalności swojej na korzyść muzeum, podczas pobytu swego za granicą, gdzie dla poratowania starganego zdrowia, przez dwa miesiące przebywał, wspominał najprzód, iż za pieniądze wręczone ze sprzedaży dubletów monet znajdujących się w Muzeum, zakupił w Berlinie u naturalisty Keitla kolekcją płazów, z 35 rodzajów i 100 okazów składającą się, kolekcją 64 gatunków grzybów z masy kamienną w 100 okazach, których dotąd w zbiorach naturalnych Muzeum zupełnie brakło, oraz wszystkie rekwizyta konieczne do urządzenia kolekcji koleopterów, darowanej przez barona Seweryna Grossa. Pomiędzy płazami na szczególniejszą uwagę zasługują rodzaje jaszczurek *phrynosoma orbiculare* z Meksyku, *platida-*



*ctylus mauritanicum* z Majorki, z węzów *Coelopeltis lacertina* z Grecyi i *herpetadrius Carinatus* z Ameryki; z żab *bufo viridis* z Sardynii, oraz salamandra pstrokata z gór Harzu i proteusz cielisty (*proteus anguinus*), który się t $\acute{e}$ m szczególnie $\acute{e}$  odznacza, że światła zupełnie nie znosi i lat kilka bez najmniejszego pokarmu żyć może; z ryb ciekawy bardzo znajduj $\acute{e}$  się egzemplarz głowacza morskiego (*aspidophorus cataphractus*) z Islandyi. Kolekcya grzybów zadziwia niezrównan $\acute{e}$ m naśladownictwem natury, a może mieć obok naukowej i t $\acute{e}$  korzyść, że oznajomi dokładnie publiczność z gatunkami szkodliwymi, które często użyte za pokarm prowadzają gwałtowne choroby i śmierć samą.

W dalszym ciągu sprawozdania swego prezes uwiadomił członków, że w przejeździe swoim przez Warszawę, otrzymał w darze dla muzeum od rz. czł. Kommissyi, znanego numizmatyka p. Karola *Bayera* odcisk naturalnej wielkości drzwi Bolesławowskich w katedrze gnieźnieńskiej, dokonany przy współudziale i pomocy hr. Aleksandra Przezdzieckiego.

Z kolei pot $\acute{e}$ m prezes, składaj $\acute{e}$ c ułożone i spisane wedle oddziałów katalogi biblioteki muzealnej, oświadczył Towarzystwu, że czytelnia publiczna jest ju $\acute{z}$  zupełnie urządzona i że prędkie jej otwarcie, w t $\acute{e}$ j chwili od miejscowych okoliczności zależne, wkrótce nastąpić może. Oprócz doboru dzieł rozmaitej treści, a szczególnie odnoszących się do historii ojczystej, specjalnie w naukach ścisłych kształc $\acute{e}$ cy się, korzystać będą mogli w czytelni z biblioteki tutejszego obserwatorium, zasobnej w dzieła matematyczno-astronomiczne. Przechodząc nareszcie do porządku dziennego, prezes wezwał członków do odbycia żałobnego nabożeństwa za spokój duszy niedawno zmarłego współczłonka, a znakomitego autora *Obrazów litewskich Ignacego Chodźki*, którego pamięć długo w sercach ziomków żyć będzie. Nakoniec po odczytaniu protokołu przeszłego posiedzenia i rozpatrzeniu rękopisów i rzadkości bibliograficznych nadesłanych w darze dla muzeum, odczytany został spis ofiar za miesiąc ubiegły. Szóste w r. b. posiedzenie cesarskiego Towarzystwa lekarskiego wileńskiego, miało miejsce dnia 12 września, w zastępstwie obecnie bawiącego dotąd za granicą prezydenta, pod przewodnictwem wice-prezesa Dra S. Wiszniewskiego. Po zagajeniu posiedzenia i przyjęciu protokołu, wice-prezes szczególniejsz $\acute{e}$ j uwadze członków polecił otrzymany od Towarzystwa lekarskiego moskiewskiego rodzaj okólnika do wileńskiego i innych lekarskich krajowych Towarzystw, by one wezwa $\acute{e}$  do wspólnego działania w wyjednaniu dozwole $\acute{e}$ nia u rządu dla corocznych nauko-

wych zjazdów w państwie rossyjskiem. Towarzystwo wileńskie przejęło się ważnością tej pięknej myśli, ku czemu równie dążąc, powołało na wstępne posiedzenie wszystkich swych członków, by ono po rozważeniu licznych wyjątkowych okoliczności, od jakich wolne są zagraniczne Towarzystwa, przyłożyło się najczynniej ze swjej strony do przeprowadzenia w stronach tutejszych naukowej idei wedle myśli podanej z Moskwy. Dalsze korespondencye złożone Towarzystwu są następnie: 1) Od Dra Aleksandra Karwackiego z Warszawy pismo i rozprawa w rękopiśmie, wykładająca teorią zapalenia (sprawozdanie o niej uczynił na posiedzeniu Dr. Rejkowski). 2) Od aptekarza p. Kuszewicza doniesienie o zamknięciu wykładu botaniki dla uczniów aptekarskich. 3) Pismo od Tow. badaczy natury w Moskwie z dołączeniem T. XIII-go poszytu II-go Nouveaux mémoires. 4) Pismo z departamentu medycznego okólne, dotyczące badań o robakach u ludzi, a nadewszystko o napotykaniu gatunku *Botriocephalus*, przysłane za pośrednictwem Dra korpusu p. Hiber von Greifenfels. 5) Od Tow. badaczy natury le Bulletin N. 1, r. 1861. 6) Od Towarzystwa rossyjskich lekarzy petersburskich pismo i dzieło pod tytułem: *Протоколы засѣданій съ 1860 и 1861, годовъ*. 7) Od Dra Hirszfelda profesora anatomii w C. K. Akademii warszawskiej, dzieło p. t. *Układ nerwowy i przyrządy zmysłowe z uwagami fizyologicznymi*. Warszawa 1861. Następnie Towarzystwo wróciło do zajęć naukowych i udzielania zwykłych obserwacyj o chorobach panujących. Okazało się z zebranych uwag członków, że pomimo panujących upałów w miesiącach letnich z przemianami nocy chłodnych, a od pół sierpnia stałych dni wilgotnych i zimnych, stan zdrowia ludności miasta a nawet i wsi, nie wiele ucierpiał. W początkach dopiero września u dzieci poczęła się pojawiać odra, chociaż dosyć rzadko i szkarlatyna, a u dorosłych reumatyzmowe cierpienie i gorączki z gastrycznem powikłaniem. Przed zamknięciem posiedzenia, Towarzystwo jednomyślnie obrało swym członkiem korespondentem Dra prof. c. k. Akademii w Warszawie p. Ludwika Hirszfelda. Naostatek Dr. Renier przeczytał nie lekarską ale interesującą wiadomość, o handlu kością mamutową w Syberyi i o mogiłach mamutów na brzegu Lodowatego morza.

**Kraków.** *Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk pięknych w Towarzystwie naukowem krakowskiem, odbyte na d. 20 czerwca 1861 r.*—Przedmiotem zajęcia oddziału na tém posiedzeniu, były po większej części sprawy oddziałowe wewnętrzne. Prócz tego

w sprawie restauracji pomnika Stadnickich u Dominikanów, postanowiono porozumieć się z p. Kazimierzem hr. Stadnickim, do czego p. Józef Łepkowski upoważnionym został. Upoważniono też kancelaryą oddziału, do zaproszenia osobnym piśmie p. Józefa Kremera, aby zechciał przybyć na następne posiedzenie, dla poparcia i rozwinięcia postawionego przez siebie na piśmie wniosku, odnoszącego się do nadużyć, jakie się w mieście naszym przy restauracjach zabytków pomnikowych dzieją. Odnośnie do tego wniosku utrzymywał p. Leon Chrzanowski, iż jedynym środkiem wprowadzenia go w życie, byłoby odwołanie się do sejmu krajowego, aby tenże wydał uchwałę, iżby żaden zabytek pomnikowy u nas nie mógł być restaurowany bez wiedzy i kontroli oddziału archeologicznego i sztuk pięk. w Tow. nauk. krak.

Prezydujący oddziału, p. Teof. Żebrawski odczytał następnie swój projekt spisania bibliografii archeologicznej polskiej, któraby była wielkiem ułatwieniem i pomocą dla pracujących na tém polu. Projekt ten oddział jednomyślnie przyjął, a na wniosek Dra J. Majera, prezesa Tow., prace około niego z pracami kommissyi historycznej mają być połączone.

Dary na rzecz muzeum, na tém posiedzeniu produkowane były następujące:

a) Portret króla Stanisława Leszczyńskiego, pędzla Gerarda w Lunevillu, dar p. Xawerego Preka.

b) Wiadomość historyczna o zamkach, horodyszczach i okopiskach na Litwie, p. Konstantego hr. Tyszkiewicza, dar autora. Do dzieła dodany atlas złożony z 14 rysunków ręcznych, wykonanych umyślnie, dla poparcia twierdzeń autora i usunięcia wątpliwości rzuconych ze strony Towarzystwa nauk. krak.

c) Kilka oryginalnych dokumentów z różnych czasów, dar p. Jana Majewskiego z Winnik.

d) Rysunek trąby z wizerunkiem Władysława IV, dar p. Lebowskiego malarza z Paryża.

— *Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk pięknych, w Towarzystwie nauk. krakowskiem na d. 20 lipca 1861 r. odbyte.*— Gdy głównym przedmiotem niniejszego posiedzenia był wniosek p. J. Kremera, tyżący się nadużyć przy restauracjach zabytków pomnikowych w mieście Krakowie, przeto po odczytaniu protokołu poprzedniego posiedzenia, odrazu przystąpiono do obrad nad tymże wnioskiem.



Członek J. Kremer, popierając swój wniosek, jako środek wprowadzenia go w życie, podawał moralny niejako przymus, to jest wpływanie drogą pism publicznych na opinią w tym względzie, tak aby wiadano, że jest korporacya, która w te rzeczy wgląda i nadużycia chłoszcze. Czł. Leon Chrzanowski, przyznając wielką doniosłość temu środkowi, utrzymywał atoli, iż takowy sam przez się nie jest dostateczny, ale potrzeba koniecznie władzy, któraby miała atrybucyą czynnego zapobiegania i stawiania tamy takim nadużyciom. Restauracye dokonywane w kościele Franciszkanów, Karmelitów, na Zamku etc. przekonywają, że władza indywidualnego konserwatora w téj mierze nie może być dostateczną. Zapytywał w końcu czł. Kremera, czy zechce podać środek, jakimby władzę takową osiągnąć można. Prezydujący w tém miejscu zrobił uwagę, czyby podobnej opieki i nad prywatnemi budowlami rozciągnąć nie można. Czł. Chrzanowski twierdził, iż w takim razie należałoby przedewszystkiem spisać inwentarz wszystkich w naszym mieście przedmiotów, w zakres zabytków pomnikowych wchodzących, oświecić ich właścicieli co posiadają, i w ten tylko sposób nad nimi opiekę rozciągnąć, gdyż prawa własności ograniczać nie można. Czł. Łepkowski przyznając słuszność wnioskowi czł. Kremera, utrzymywał, iż należałoby przedewszystkiem umotywować: co się złego dzieje, gdzie i dlaczego? Że w tym celu należałoby wybrać kommissyę z grona oddziału, któraby zwiedziła gmachy i inne pomniki źle restaurowane, wykazała, iż restauracye te rzeczywiście są złe, i rezultat swéj pracy ogłosiła przez pisma dla wpłynięcia na opinią publiczną. Obok drogi publicystyki, zostawałaby dopiero inna droga działania. Zawsze jednak gmachy publiczne, jako daleko ważniejsze, winnyby być na pierwszym przed prywatnemi budowlami względzie. Czł. Chrzanowski odnośnie do samego wniosku czł. Kremera, twierdził, iż takowy nie ma jeszcze ostatecznie konkluzyi co do środków. Przemawiający na poprzedniém jeszcze posiedzeniu projektował udanie się do sejmu krajowego, w celu wyjednania dla oddziału władzy czuwania nad zabytkami pomnikowemi. Prof. Kremer za środek w téj mierze podaje jedynie moralny przymus; przemawiający zatem zapytuje, czy środek ten uważa oddział za dostateczny? Czł. Kremer odwołując się do swego wniosku oświadcza, iż właśnie konkluzya jego brzmi: aby oddział ohmyślał środki w téj sprawie. Środka zaś moralnego przymusu, który obecnie stawia jako osobny wniosek, nie uważa jednak jeszcze za dostateczny. Czł. Chrzanowski zatem wnosi, aby obok moralnego wpływu, postarać się dla zabytków naszych o sil-

niejszego, to jest nie indywidualnego, ale korporacyjnego strażnika. Czł. Łuszczkiewicz Władysław, przemawiając w tej samej myśli, motywuje, iż: aby coś osądzić, trzeba stać wyżej od tego, kogo się sądzi. Człowiek pojedynczy, może mieć swoje indywidualne wyobrażenia i sądy o rzeczy, gdy tymczasem zgromadzenie, korporacja, której sąd byłby wypływem dyskusji i starcia się wielu zdań, jest daleko kompetentniejszym i pewniejszym w rzeczach sztuki sędzią. Co do prywatnych zaś mianowicie budowli, zrobił dalej tenże członek uwagę, iż przyczyną złych restauracyj jest częstokroć brak pieniędzy. Cóż więc począć w takim razie? Jak zresztą komu zabronić w własności jego robić zmiany, jakie mu się dla jego widoków lub wygody potrzebne zdają? W tym więc kierunku główną rolę odgrywa publicystyka, bo tylko moralne poczucie poszanowania dla zabytków przeszłości obudzone w ogóle, może takowe od zagłady lub uszkodzeń uchronić. Czł. Kremer zwrócił baczość na to, że mimo rzeczywistego braku pieniędzy, częstokroć jednak zdarza się, że możnaby coś dobrze odrestaurować tym samym albo i mniejszym kosztem, aniżeli ten, którym zła restauracja dokonana została. Zawsze przecież wpływ moralny jest wielkiej wagi i w uznaniu takowego przemawiający przyrzekł o niektórych restauracjach krakowskich wygotować artykuły do *Czasu*. Prezydujący reasumując dyskusję, przedstawił zgromadzonym, że przedmiot dotychczasowych rozpraw, obok pierwszego głównego wniosku czł. Kremera, da się ostatecznie skręślić w dwa inne następujące wnioski, mające na celu wprowadzenie tamtego w wykonanie. *1-szy wniosek* tegoż czł. Kremera, proponujący jako środek wiodący do tego celu wpływ moralny przez publikacje w pismach; *2-gi wniosek* czł. L. Chrzanowskiego przedstawiający potrzebę postarania się obok tego o silniejszą władzę czuwającą nad zabytkami pomnikowymi w kraju całym. Gdy co do pierwszego wniosku nie zachodziła żadna wątpliwość, iż wszyscy takowy jednozgodnie przyjmują, przewodniczący zapytał, jakie jest zdanie oddziału co do wniosku 2go. Czł. Chrzanowski określając bliżej swój wniosek, rzekł: iż udowodniwszy, że restauracje pomnikowych zabytków źle są dokonywane, należy żądać, aby w miejscu konserwatora indywidualnego postawiony został oddział archeologii i sztuk pięk. w Tow. nauk. krak. Czł. Kremer wnosił, czyby nie można władzy oddziału postawić obok władzy konserwatora, którego to zdania byli także pp. prezydujący i Niedzielski Erazm. Czł. Chrzanowski na to odpowiedział, że dwóch władz z jednemi atrybucjami obok siebie być nie może, gdyż decyzje ich krzyżowałyby się mogły.

Co zaś do poparcia pierwszego środka przez czł. Kremera proponowanego, twierdził, iż oddział wygotować powinien w tej sprawie, mowywowany do sejmu memoriał, do którego wszyscy członkowie materiałów dostarczyć powinni. Czł. Niedzielski zrobił uwagę, iż oddział arch. i szt. pięk. jest tylko częścią Towarzystwa, możeby zatem nie on, ale całe Towarzystwo memoriał ten do sejmu wystósować powinno. Czł. Chrzanowski odparł, iż tu tylko mówi o wygotowaniu materiałów do memoriału; podanie takowego mogłoby nastąpić albo przez Towarzystwo do wydziału sejmowego lub do sejmu, albowież przez któregokolwiek z posłów sejmowych. Czł. Łepkowski dodał, że wszystkie oddziały Towarzystwa występują na zewnątrz tylko przez komitet Tow.; wniosek ten, jeżeli przyjęty będzie i zamieniony w uchwałę przez oddział, musi przejść następnie przez komitet, który jeżeli zgodzi się nań i podejmie jego wykonanie, postąpi sobie w tej mierze w sposób, jaki w danym razie uzna za najstósowniejszy. Po tém przemówieniu, czł. L. Chrzanowski formułuje ostatecznie swój wniosek w ten sposób: „Ponieważ jedna osoba nie ma dość siły, aby prawo konserwatorom przyznane mogła wykonywać; trzeba więc, aby prawo to było przelane na korporacyą, to jest oddział archeologii i szt. pięk. w Tow. nauk. krakowskiem.”

Wniosek ten oddział przyjmuje, wniesienie go na najbliższe posiedzenie komitetu zarządowi swemu poleca.

Po przemówieniu wreszcie L. Chrzanowskiego, iż żadna jawność nie może być szkodliwą, przystąpiono do wotowania, i ogłoszenie niniejszego protokołu, po odczytaniu go na następném posiedzeniu, znaczną większością głosów uchwalone zostało.

— Ogromny katalog dzieł polskich, czyli słownik bibliograficzno-księgarski za lat 63, od 1800 do 1862 r. włącznie, już jest przygotowany do druku. Obejmie on przeszło 30,000 dzieł i pism dotyczących rzeczy polskich, pisanych nawet w obcych językach o Polsce lub przez Polaków, tudzież dzieł polskich na obce języki tłumaczonych. Autor tej pożądanej pracy tak dla literatów jak księgarzy, z żelazną wytrwałością poświęcił jej lat nie mało życia. Przejrzał nie tylko kilkaset katalogów polskich, wszystkie nasze bibliograficzne dzieła, wiele francuzkich, ale i sławne ogromem katalogi księgarskie niemieckie Heinzyusza i Kajzera. obejmujące z półtora miliona tytułów. Katalog ten, o którym mówimy, będzie jedynym a najdokładniejszym inwentarzem naszej literatury z lat 63. Autor jego przygotował nadto rozprawę o katalogach księgarskich polskich, o stosunku ich do bibliografii, o potrzebie



katalogu bibliograficzno-księgarskiego, podającego ceny dawne i te-  
raźniejsze, ilość rozchodzenia się książek i t. p.

— Nakładem wydawcy Tygodnika illustrowanego, Józefa Un-  
gra, wyjdzie wkrótce elementarz z drzeworytami, przeznaczony dla  
dzieci klass miejskich uboższych, którego cena z oprawą wynosić  
będzie groszy polskich dziesięć. Księgarnia Gebethnera i Wolffa za-  
mierza wydanie historyi polskiej z 24 drzeworytami kolorowan-  
mi i tekstem odpowiedniego rozmiaru: egzemplarz kosztować ma  
tylko złp. dwa. Michał Glücksberg wydawca *Kmłotka*, nie długo  
rozpocznie drukowanie biblioteki dla ludu, złożonej z kilkunastu ta-  
nich a potrzebom ludności poczynającej się kształcić, odpowiednich  
książeczek. Wydawcy *Elementarzu dla chłopców*, którego rozeszło  
się dotąd 60,000 egzemplarzy, zamierzają na ich żądanie przygoto-  
wany rękopism p. n. *Pogadanka o świecie* ogłosić drukiem. K. Wł.  
Wójcicki ukończy wkrótce część pierwszą w rękopiśmie wykładu  
historyi polskiej dla ludu, połączonej z przypomnieniem dawnych  
zwyczajów głównie rolniczych i wspomnień z życia domowego.  
Ten nowy zwrot książek dla ludu, wywołuje potrzeba obecna przy  
zmianie stosunków rolniczych, i nadzieja, że powstaną liczne szko-  
ły wiejskie, któremi się szczyliło Królestwo Polskie przed r. 1830.

— Józef Unger i J. Jaworski, pospieszają z wykończeniem  
kalendarzy na r. 1862. Kalendarz wydawany przez lat pięć przez  
obserwatorium astronomiczne warszawskie przestał wychodzić; od-  
znaczał się on nader staranną redakcją, i obejmował najważniej-  
sze wiadomości obchodzące każdego obywatela Królestwa.

— Nakładem Gustawa Gebethnera i R. Wolffa wyszedł *Marsz*  
*Sobieskiego*, wykonany przez Polaków wracających z zwyciężkiej  
odsieczy, pod murami Wiednia 1683 r. Wydany staraniem Ignace-  
go Krzyżanowskiego. Na czele mamy litografowany u M. Fajansa  
widok krwawej bitwy i pogromu Turków. Na dzielnym koniu Jan  
Sobieski tratuje rozbite pogaństwo. P. Krzyżanowski w końcu  
daje następne objaśnienie. „Przed kilką laty, za bytnością moją  
w Krakowie, Karol Mecherzyński professor literatury polskiej przy  
uniwersytecie Jagiellońskim, komunikował mi ten marsz, jako zna-  
leziony w jednogłosie w bibliotece Jagiellońskiej, zaręczając za-  
razem za autentyczność onegoż. Ułożywszy takowy podług dzi-  
siejszych pojęć o sztuce na sam fortepian, sądzę, że nie będzie  
bez interesu, jeżeli go na widok muzykalnej publiczności podam.”  
Wdzięczni jesteśmy szczerze p. Krzyżanowskiemu za przechowanie

od zraty tak pięknego pomnika naszej przeszłości, który nam dni pełne sławy i szczęścia narodu przypominają.

— Druk *Książki zbiorowej* ofiarowanej K. Wł. Wójcickiemu już się rozpoczął. Z pisarzy, którzy złożyli już swe prace do niej, wymienić możemy: Eleonorę Ziemięcką, Deotymę, Maryą Ilnicką, Sewerynę Pruszkową, L. Wilkońską, Karola Libelta, Józefa Kremiera, W. A. Maciejowskiego, Cypryana Norwida, Augusta Bielowskiego, Teofila Lenartowicza, Antoniego Małeckiego, Maurycego Karasowskiego, Felicjana Faleńskiego, Władysława Anczyca, J. K. Gregorowicza, Karola Picńkowskiego, Leopolda Huberta, Kramstücka, Agatona Gillera, Leona Kunickiego, J. Prusinowskiego, Jana Chęcińskiego, Stanisława Bogusławskiego, L. Brzozowskiego, Wł. Sabowskiego, Fr. Staszica, H. Przybysławskiego, F. S. Dmochowskiego i Apolla Korzeniowskiego. Wiemy, że znaczny jeszcze poczet pisarzy nadesłał do wydawcy artykuły, ale nazwisk ich jeszcze nie mamy pod ręką.

— W Petersburgu Józefat Ohryzko już ukończył całkowity przedruk Voluminów Legum wraz z inwentarzami, dzieło pomnikowe w literaturze naszej, a tak ważne do dziejów przeszłości. Ołbrzymie to przedsięwzięcie, wykonane z całą sumiennością, zasługuje na najsilniejsze z naszej strony poparcie, témbardziej, że w wydawnictwie tém p. J. Ohryzko więcej miał na celu ogólną potrzebę i użytek, jak zysk materyalny: gdyż podług najpewniejszego obliczenia, całe wydanie przedruku wyprzedane, załedwie pokryje kosztą nakładu wielkiego. Pierwsze wydanie tego zbioru praw rzeczypospolitej stało się rzadkością nie małą, a egzemplarze kompletne płaciły się od 600 do 1000 złp., stosownie do zachowania w czystości: dziś wydawca, wierny, sumienny przedruk oddaje za cenę tak niską, że dla każdego jest przystępnym. Dzieło takie powinno zdobić każdą obywatelską bibliotekę.

— Księgarz i nakładca Alexander Nowolecki rozpoczyna druk dzieła równie ważnego jak zajmującego p. n.: *Węgry*, historia, sztuki, literatura, ich zwyczaje i obyczaje, od najdawniejszych aż do naszych czasów, według najlepszych i najnowszych autorów, a mianowicie podług dzieła wydanego przez Towarzystwo literatów francuzkich pod przewodnictwem M. J. Boldeuyiego, z dołączeniem poglądu na stosunki z Polską, Austryą i innymi mocarstwami europejskimi przez S. P., uzupełnił przypisami do historyi polskiej K. Wł. Wójcicki." Dzieło to ozdobione będzie 25 rycinami i 39 drzeworytami w tekście w Paryżu wykonanemi.

— Nakładem tegoż księgarza wyjdzie wkrótce: „Podróż do Japonii” odbyta przez Lorda Elginwroka 1858 r., opisana przez Jana Alifant’a, przełożona z oryginału angielskiego.

— Znany tłumacz Moliera Franciszek Kowalski i autor wielu pieśni, które brzmiały przed 30 laty, przygotował do druku obszernych rozmiarów poemat p. n.: *Trylogia polska*. Treścią jego są pierwsze czasy Polski z okresu Lecha.

— Drukarnia A. Kwiatkowskiego w Żytomierzu wykończyła zaczęte dawniej dzieła: 1) Przekład kroniki Dytmara. 2) Żywot Hozyusza. 3) Legendy herbowe.

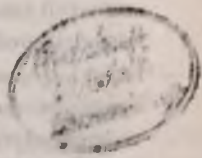
— Znaną jest: „Historya Polski krótko zebrana, dzieje narodowe od powstania aż do podziału i upadku państwa tego, obejmująca, przez Józefa Faleńskiego.” Wydana w Wrocławiu nakładem W. B. korna 1819 r. Joachim Lelewel oddał tej pracy słuszne pochwały. Syn naszego autora, znany z talentu poeta i prozaik Felicyan, ma przygotowany przez ojca egzemplarz, znacznie powiększony, w którym dzieje Polski doprowadzone są aż do czasu nowęj organizaeyi Królestwa Polskiego na mocy traktatu wiedeńskiego, czyli do r. 1816. Wartoby, ażeby który z p. nakładców, szacowną tę pracę drukiem ogłosił.



† Dnia 5 października, w sobotę o godzinie 7-ej z rana, zakończył doczesne życie opatrzony świętymi Sakramentami, Najdostojniejszy nasz Arcy-Pasterz, ksiądz Antoni Melchior Fijałkowski, metropolita warszawski. Dnia 10 odbył się pogrzeb z pałacu arcybiskupów, do kościoła katedralnego św. Jana, gdzie zwłoki szanowne złożone zostały na wieczysty spoczynek.

K. Wł. W.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.





Miejsc dostaw w Warszawie jest 2016 sztuk przybliż  
1861-62, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100

TERMOMETRY				BAROMETRY				Wzrost powietrza	Dni
w Warszawie				w Warszawie					
1	10.0	10.0	10.0	760.0	760.0	760.0	760.0	10.0	1
2	10.1	10.1	10.1	760.1	760.1	760.1	760.1	10.1	2
3	10.2	10.2	10.2	760.2	760.2	760.2	760.2	10.2	3
4	10.3	10.3	10.3	760.3	760.3	760.3	760.3	10.3	4
5	10.4	10.4	10.4	760.4	760.4	760.4	760.4	10.4	5
6	10.5	10.5	10.5	760.5	760.5	760.5	760.5	10.5	6
7	10.6	10.6	10.6	760.6	760.6	760.6	760.6	10.6	7
8	10.7	10.7	10.7	760.7	760.7	760.7	760.7	10.7	8
9	10.8	10.8	10.8	760.8	760.8	760.8	760.8	10.8	9
10	10.9	10.9	10.9	760.9	760.9	760.9	760.9	10.9	10
11	11.0	11.0	11.0	761.0	761.0	761.0	761.0	11.0	11
12	11.1	11.1	11.1	761.1	761.1	761.1	761.1	11.1	12
13	11.2	11.2	11.2	761.2	761.2	761.2	761.2	11.2	13
14	11.3	11.3	11.3	761.3	761.3	761.3	761.3	11.3	14
15	11.4	11.4	11.4	761.4	761.4	761.4	761.4	11.4	15
16	11.5	11.5	11.5	761.5	761.5	761.5	761.5	11.5	16
17	11.6	11.6	11.6	761.6	761.6	761.6	761.6	11.6	17
18	11.7	11.7	11.7	761.7	761.7	761.7	761.7	11.7	18
19	11.8	11.8	11.8	761.8	761.8	761.8	761.8	11.8	19
20	11.9	11.9	11.9	761.9	761.9	761.9	761.9	11.9	20
21	12.0	12.0	12.0	762.0	762.0	762.0	762.0	12.0	21
22	12.1	12.1	12.1	762.1	762.1	762.1	762.1	12.1	22
23	12.2	12.2	12.2	762.2	762.2	762.2	762.2	12.2	23
24	12.3	12.3	12.3	762.3	762.3	762.3	762.3	12.3	24
25	12.4	12.4	12.4	762.4	762.4	762.4	762.4	12.4	25
26	12.5	12.5	12.5	762.5	762.5	762.5	762.5	12.5	26
27	12.6	12.6	12.6	762.6	762.6	762.6	762.6	12.6	27
28	12.7	12.7	12.7	762.7	762.7	762.7	762.7	12.7	28
29	12.8	12.8	12.8	762.8	762.8	762.8	762.8	12.8	29
30	12.9	12.9	12.9	762.9	762.9	762.9	762.9	12.9	30
31	13.0	13.0	13.0	763.0	763.0	763.0	763.0	13.0	31
32	13.1	13.1	13.1	763.1	763.1	763.1	763.1	13.1	32
33	13.2	13.2	13.2	763.2	763.2	763.2	763.2	13.2	33
34	13.3	13.3	13.3	763.3	763.3	763.3	763.3	13.3	34
35	13.4	13.4	13.4	763.4	763.4	763.4	763.4	13.4	35
36	13.5	13.5	13.5	763.5	763.5	763.5	763.5	13.5	36
37	13.6	13.6	13.6	763.6	763.6	763.6	763.6	13.6	37
38	13.7	13.7	13.7	763.7	763.7	763.7	763.7	13.7	38
39	13.8	13.8	13.8	763.8	763.8	763.8	763.8	13.8	39
40	13.9	13.9	13.9	763.9	763.9	763.9	763.9	13.9	40
41	14.0	14.0	14.0	764.0	764.0	764.0	764.0	14.0	41
42	14.1	14.1	14.1	764.1	764.1	764.1	764.1	14.1	42
43	14.2	14.2	14.2	764.2	764.2	764.2	764.2	14.2	43
44	14.3	14.3	14.3	764.3	764.3	764.3	764.3	14.3	44
45	14.4	14.4	14.4	764.4	764.4	764.4	764.4	14.4	45
46	14.5	14.5	14.5	764.5	764.5	764.5	764.5	14.5	46
47	14.6	14.6	14.6	764.6	764.6	764.6	764.6	14.6	47
48	14.7	14.7	14.7	764.7	764.7	764.7	764.7	14.7	48
49	14.8	14.8	14.8	764.8	764.8	764.8	764.8	14.8	49
50	14.9	14.9	14.9	764.9	764.9	764.9	764.9	14.9	50
51	15.0	15.0	15.0	765.0	765.0	765.0	765.0	15.0	51
52	15.1	15.1	15.1	765.1	765.1	765.1	765.1	15.1	52
53	15.2	15.2	15.2	765.2	765.2	765.2	765.2	15.2	53
54	15.3	15.3	15.3	765.3	765.3	765.3	765.3	15.3	54
55	15.4	15.4	15.4	765.4	765.4	765.4	765.4	15.4	55
56	15.5	15.5	15.5	765.5	765.5	765.5	765.5	15.5	56
57	15.6	15.6	15.6	765.6	765.6	765.6	765.6	15.6	57
58	15.7	15.7	15.7	765.7	765.7	765.7	765.7	15.7	58
59	15.8	15.8	15.8	765.8	765.8	765.8	765.8	15.8	59
60	15.9	15.9	15.9	765.9	765.9	765.9	765.9	15.9	60
61	16.0	16.0	16.0	766.0	766.0	766.0	766.0	16.0	61
62	16.1	16.1	16.1	766.1	766.1	766.1	766.1	16.1	62
63	16.2	16.2	16.2	766.2	766.2	766.2	766.2	16.2	63
64	16.3	16.3	16.3	766.3	766.3	766.3	766.3	16.3	64
65	16.4	16.4	16.4	766.4	766.4	766.4	766.4	16.4	65
66	16.5	16.5	16.5	766.5	766.5	766.5	766.5	16.5	66
67	16.6	16.6	16.6	766.6	766.6	766.6	766.6	16.6	67
68	16.7	16.7	16.7	766.7	766.7	766.7	766.7	16.7	68
69	16.8	16.8	16.8	766.8	766.8	766.8	766.8	16.8	69
70	16.9	16.9	16.9	766.9	766.9	766.9	766.9	16.9	70
71	17.0	17.0	17.0	767.0	767.0	767.0	767.0	17.0	71
72	17.1	17.1	17.1	767.1	767.1	767.1	767.1	17.1	72
73	17.2	17.2	17.2	767.2	767.2	767.2	767.2	17.2	73
74	17.3	17.3	17.3	767.3	767.3	767.3	767.3	17.3	74
75	17.4	17.4	17.4	767.4	767.4	767.4	767.4	17.4	75
76	17.5	17.5	17.5	767.5	767.5	767.5	767.5	17.5	76
77	17.6	17.6	17.6	767.6	767.6	767.6	767.6	17.6	77
78	17.7	17.7	17.7	767.7	767.7	767.7	767.7	17.7	78
79	17.8	17.8	17.8	767.8	767.8	767.8	767.8	17.8	79
80	17.9	17.9	17.9	767.9	767.9	767.9	767.9	17.9	80
81	18.0	18.0	18.0	768.0	768.0	768.0	768.0	18.0	81
82	18.1	18.1	18.1	768.1	768.1	768.1	768.1	18.1	82
83	18.2	18.2	18.2	768.2	768.2	768.2	768.2	18.2	83
84	18.3	18.3	18.3	768.3	768.3	768.3	768.3	18.3	84
85	18.4	18.4	18.4	768.4	768.4	768.4	768.4	18.4	85
86	18.5	18.5	18.5	768.5	768.5	768.5	768.5	18.5	86
87	18.6	18.6	18.6	768.6	768.6	768.6	768.6	18.6	87
88	18.7	18.7	18.7	768.7	768.7	768.7	768.7	18.7	88
89	18.8	18.8	18.8	768.8	768.8	768.8	768.8	18.8	89
90	18.9	18.9	18.9	768.9	768.9	768.9	768.9	18.9	90
91	19.0	19.0	19.0	769.0	769.0	769.0	769.0	19.0	91
92	19.1	19.1	19.1	769.1	769.1	769.1	769.1	19.1	92
93	19.2	19.2	19.2	769.2	769.2	769.2	769.2	19.2	93
94	19.3	19.3	19.3	769.3	769.3	769.3	769.3	19.3	94
95	19.4	19.4	19.4	769.4	769.4	769.4	769.4	19.4	95
96	19.5	19.5	19.5	769.5	769.5	769.5	769.5	19.5	96
97	19.6	19.6	19.6	769.6	769.6	769.6	769.6	19.6	97
98	19.7	19.7	19.7	769.7	769.7	769.7	769.7	19.7	98
99	19.8	19.8	19.8	769.8	769.8	769.8	769.8	19.8	99
100	19.9	19.9	19.9	769.9	769.9	769.9	769.9	19.9	100

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Wrzesień, 1861.

Wrzesień, 1861.

Dostrzeżenia Meteorologiczne

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad  
1°14'45",7 czyli w łuku 18°41'25",5

Dnia	Odmiany księżycy	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°					TERMOMETR stustopniowy				
		6	10	4	10	średni	6	10	4	10	średni
		godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny	godz. rano	godz. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	dzienny
1		745.42	746.05	746.77	748.79	746.76	+11°0	+13°9	+15°2	+10°4	+12°62
2		750.48	751.10	750.46	750.36	750.60	7.5	15.2	17.5	12.3	13.12
3		749.43	748.72	747.66	746.34	748.04	9.1	20.4	25.2	18.3	18.25
4		745.30	745.55	744.78	745.74	745.34	16.6	21.4	21.0	14.2	18.30
5	Rów.	744.68	744.04	742.08	744.11	743.72	12.9	14.5	17.6	12.4	14.35
6		747.43	749.12	749.25	748.31	748.52	11.8	14.2	15.6	12.3	13.47
7	Perlg.	743.34	742.84	742.64	744.83	743.41	13.7	18.1	21.1	14.6	16.87
8		745.92	746.15	745.77	745.99	745.95	11.1	14.2	17.8	12.0	13.77
9		746.44	748.09	749.69	751.37	748.89	11.1	14.5	14.8	10.8	12.80
10		751.61	751.76	750.28	749.78	750.85	10.7	16.2	18.1	13.9	14.72
11		747.21	746.51	745.52	741.64	745.99	12.2	14.8	19.8	14.1	15.22
12		743.27	743.96	746.52	749.56	745.82	13.6	13.7	13.1	13.2	13.40
13		755.21	757.30	758.08	759.23	757.45	8.9	12.8	14.6	9.7	11.50
14		757.87	757.43	754.14	752.59	755.51	4.2	12.2	17.1	9.8	10.82
15		749.60	749.03	746.75	745.18	747.64	6.9	17.1	19.8	14.1	14.47
16		743.71	744.46	744.90	745.36	744.61	11.2	13.1	13.7	8.7	11.67
17		744.04	744.28	743.50	743.63	743.86	8.5	14.4	15.6	10.6	12.27
18	Rów.	743.33	745.23	745.58	747.69	745.46	9.9	12.9	14.7	8.9	11.60
19		748.92	749.68	748.03	746.95	748.39	7.0	11.4	12.0	8.9	9.82
20		746.87	747.34	746.95	747.23	747.09	6.0	10.6	12.0	7.5	9.02
21		748.47	749.59	749.94	751.25	749.81	2.7	10.1	12.3	5.6	7.67
22	Apog.	750.70	749.97	747.67	745.96	748.57	2.3	10.8	14.4	11.4	9.72
23		743.50	744.15	742.75	742.02	743.10	11.6	14.6	15.8	14.1	14.02
24		742.40	743.33	739.89	742.31	741.98	13.9	16.4	18.7	14.6	15.90
25		744.00	744.22	744.44	745.07	744.68	11.8	13.9	12.9	11.8	12.60
26		745.26	746.50	747.72	749.36	747.21	11.0	17.1	17.0	14.2	14.82
27		750.30	750.69	750.60	751.12	750.68	12.7	17.7	21.1	14.0	16.37
28		752.64	754.67	755.30	757.11	754.93	12.2	13.5	16.0	9.5	12.80
29		757.87	758.43	758.68	759.05	758.51	5.8	10.4	11.2	7.3	8.67
30		758.43	758.41	757.42	757.76	758.00	7.7	9.6	10.8	8.7	9.20
Sr.		748.12	748.62	748.12	748.62	748.37	+ 9°85	+14°32	+16°22	+11°59	+12°99

w Obserwatorium Astronomiczném Warszawskiem.

poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie  
na wschód względem południka paryzkiego.

Wilgotność średnia dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Ilość wo- dy do wysokości w milim.  Z	Wysok. wody na Wiśle			
	6	10	4	10	6	10	4	10		desz- czu	śnie- gu	stóp	cali
	godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. rano	god. rano	godz. w.	godz. w.					
68.5	pr. poch.	nap. pog.	nap. pog.	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	Z.	0.5		1	11	
80.2	pogodny	nap. pog.	nap. pog.	pr. poch.	Z.	Z.	Z.	Z.			1	11	
66.2	pogodny	pogodny	pochm.	nap. pog.	Pd.	PdZ.	Z.	Pd.			2	2	
71.2	poch. des.	nap. pog.	pr. poch.	pochm.	Z.	PdZ.	PdZ.	Z.	3.2		2	4	
79.0	pochm.	pochm.	pochm.	pochm.	Z.	Z.	Z.	Z.	3.3		2	3	
75.0	pochm.	nap. pog.	pochm.	pochm.	Z.	PnZ.	Z.	PdZ.	0.7		2	2	
73.0	pochm.	poch. des.	pochm.	nap. pog.	Pd.	PdZ.	Z.	Z.	1.0		2	1	
80.7	nap. pog.	pochm.	nap. pog.	pochm.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	1.0		2	1	
86.0	poch. des.	pochm.	poch. des.	nap. pog.	Z.	PnZ.	PnZ.	Z.	3.9		2	0	
73.2	pochm.	pr. poch.	nap. pog.	pochm.	Z.	Z.	W.	PdW.			1	11	
86.5	poc. d. dr.	pochm.	pochm.	poch. des.	W.	W.	PdW.	PnW.	10.9		1	11	
90.2	pochm.	deszcz	desz. mg.	pochm.	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.	4.7		2	0	
72.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.			2	2	
77.2	pog. mgła	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	PdW.	Pd.	PdW.			2	2	
72.7	pogodny	nap. pog.	pochm.	deszcz	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.			2	2	
85.7	poch. des.	pochm.	nap. pog.	pr. pog.	Z.	Z.	PdZ.	Pd.	2.8		2	3	
78.5	nap. pog.	pochm.	pochm.	pr. poch.	Pd.	PdZ.	PdZ.	Pd.			2	4	
82.2	poch. des.	pochm.	pochm.	pogodny	Pd.	Z.	PnZ.	PnZ.	3.5		2	4	
87.2	nap. pog.	nap. pog.	pr. poch.	pr. poch.	Z.	PdZ.	Z.	PdZ.	1.6		2	4	
82.5	pogodny	nap. pog.	nap. pog.	pochm.	Z.	Z.	Z.	PnZ.	0.3		2	3	
76.2	pogodny	nap. pog.	nap. pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.			2	4	
87.0	pr. pog.	pochm.	nap. pog.	nap. pog.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.			2	5	
85.0	pochm.	nap. pog.	pochm.	poch. des.	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	3.3		2	6	
76.5	pr. poch.	pochm.	pochm.	nap. pog.	Z.	PdZ.	PdZ.	PdZ.			2	7	
93.2	poch. des.	pochm.	poc. d. dr.	poch. des.	PdZ.	Pd.	Pd.	PdW.	4.7		2	7	
88.2	poch. mg.	nap. pog.	pochm.	pochm.	Z.	PdZ.	Pd.	Pd.	1.2		2	8	
86.5	pr. poch.	pr. pog.	pogodny	pochm.	Pd.	PdW.	Pn.	PnW.			2	11	
82.5	pochm.	pochm.	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.			3	2	
90.5	poch. mg.	poch. mg.	pochm.	pogodny	Pn.	PnW.	W.	Pn.			3	2	
72.7	pr. poch.	pr. pog.	pochm.	pochm.	PnW.	PnW.	PnW.	PdW.			3		
80.7									45.2		2	4.4	



	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.37	27	7.749
Najwyżej barometr dochodził d. 13 o g. 10 w.	759.23	28	0.564
Najniżej — — d. 24 o g. 4 w.	739.89	27	3.991
Średnia dzienna zmiana barometru	3.43		1.519
Największa dzienna zmiana barometru d. 12 — 13 o godz. 10 r.	13.34		5.910
Średnia wysokość barometru jest mniejsza o od stanu normalnego z 35 lat poprzedzających	2.69		1.194
	751.06	27	8.943
Średnia temperatura wrzesnia wynosi	+ 12° 99 C.	+	10° 39 R.
Największe ciepło było d. 3 o g. 4 w.	+ 25.20 "	+	20.16 "
Najmniejsze — — d. 22 o g. 6 r.	+ 2.30 "	+	1.84 "
Średnia zmianna dzienna temperatury	2.50 "		2.00 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 22 — 23 o g. 6 r	9.30 "		7.44 "
Średnia temperatura jest mniejsza o	0.54 "		0.43 "
od stanu normalnego z 35 lat poprzedzających	+ 13.53 "	+	10.82 "

Termometrograf wskazał: Maximum: + 27.5 C. = + 22.0 R. d. 3 po połud.  
Minimum: + 1° 75 " = + 1.4 " d. 22 w nocy.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 80.7 biorąc 100 za zupełne nasy-  
cenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9.33 gramów na jednym metrze  
szesciennym powietrza; wilgotność ta jest większa o 2.3 setnych od normal-  
nej (78.4).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 45.2 mil. czyli 20.02 lin.  
par.; więcej o 1.3 mil. czyli o 0.38 lin. par. od ilości wody jaka zwykle u nas  
we Wrześniu spada (43,9 mil. czyli 19,45 lin. par.).

Stan elektryczności atmosferycznej co do jej natężenia średni miesięczny jest 23.2  
stopni; największe natężenie siły elektrycznej dochodziło: 78 stopni d. 7 o godz.  
10 rano podczas mocnego Z. wiatru i deszczu.

Dni pogodnych było 2, napółpogodnych 14, pochmurnych 14.

Dni deszczu 19 (d. 1, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 11, 12, 15, 17, 18, 19, 20, 23, 24, 25, 26).

— mgły 3 (d. 14, 19, 29).

— grzmotów 1 (d. 16).

Wiatrów mocnych 12 (2 Pn., 1 PnZ., 6 Z., 5 PdZ., 1 PdW.).

Wichrów 1 (1 Z.).

Wiatr panujący Zachodni i Północno-Zachodni.

Wrzesień który zwykle bywa u nas pogodny i suchy, w r. b. przeciwnie był chłodny,  
wilgotny i niepogodny, osobliwie czternaście dni od d. 4 do 18, to jest od  
Nowiu do Pełni były ciągle niepogodne. Średnia temperatura miesięczna jest  
o 0.4 stop. R. niższa od normalnej. Dwa dni: 3 i 4 były gorące; przeciwnie  
dni 21 i 22 w czasie porównania dnia z nocą, chłodno a nadedniem był mróz  
biały, co się o tej porze rzadko u nas trafia. Deszcze padaly często ale nie  
obficie, liczba dni slotnych jest dwa razy większa niż zwykle. Powietrze było  
wilgotne, średnia wilgotność miesięczna jest przeszło o 2 setne większa niż  
zwykle. Pod względem stanu nieba miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle,  
albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i poch-  
murnych jest jak 7.4:11.5:11.1; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 2:14:14.  
Dnia 16 o godz. 4 m. 20 po południu, grzmot dwa razy dał się słyszeć.

Na słońcu pokazywały się liczne i wielkie plamy.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle . . . . . stóp 2 cali 4.4 n. m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 27 i 28 stóp 3 " 2 " "

" " najmniejsza " d. 1, 2, 10 i 11 stóp 1 " 11 " "

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektry-  
cznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwato-  
ryum Astronomicznym Warszawskim, co dzień o godzinie 8 rano.



# ZIEMIE

TACYTOWYCH I STRABONOWYCH

## SWEWÓW,

W ETNOGRAFICZNEJ WYCIECZCE ŚLEDZONE

PRZEZ

Henryka Sucheckiego (\*).

---

**W** odcinku dziennika „Czas” z d. 22 sierpnia 1860 r., podając wiadomość o naukowej w Niemcy wycieczce Wacł. Aleks. Maciejowskiego, wspominałem, że aż po rzekę Wezery na zachód pozostały dotąd nieomylnie pierwotnej Słowiańszczyzny ślady, a mianowicie języka polskiego, w poprzekreconych duchem niemieckim nazwach geograficznych: miast, wsi, rzek, jezior i t. d.

Jeżeli p. Maciejowski w 6<sup>ci</sup>o tomowym swojej Historii Prawodawstw Słowiańskich dziele ze stanowiska instytucyj i prawa okazuje słowiańskość Swewów Tacytowych, ludności dzisiejszych Niemiec północnych, rozsiadłej za czasów rzymskich od Hermundurów, to jest od średniej Wezery na wschód; rozpatrzmy się po ziemiach Swewiji Strabonowej, to jest: aż po Ren i Men, ze stanowiska językowego, badając narodowość nazew geograficznych takich nawet ziemie, w których dotychczasowa naukowość historyczna widzi za czasów Karola W., Henryka Ptasznika

(\* ) Pisowni ą autora, stosownie do jego woli, zachowujemy.  
Przyp. red.

i Ottonów zaludnienie już czysto niemieckie, a wnosmy zdrową myślą, azali toż zaludnienie mogło tam być tak czysto niemieckie za Rzymian, i jakie musiało być dalszym wnioskiem pierwotnie.

Prześledziwszy Niemcy w powyższym celu naukowym, ogólnych spostrzeżeń moich udzielam rodakom uczonym na pierwsze przewodnictwo do głębszych i rozleglejszych poszukiwań historycznych na tym polu, zwłaszcza, że moje wycieczki w kraje starożytnych Swewów mogły być tylko tego rodzaju, jakie odbywać jest w stanie ot taki jeno popospolity sobie u nas literat.

Aby się okazywało, jak daleko na zachód sięgać mógł niegdyś język polski, czy też w ogólności sławiański, zbytęcną byłoby rzeczą zwracać uwagę ziomków na Szlązk, Pomorze, Brandenburg, Saksoniję, boć już historyczna Bolesławów opieka nad tymi krajami, ościennymi Polski Stanisławowskiej, nie podaje w wątpliwość jedności plemiennej. Że w Meklemburgu dzisiejszym siedziby swe miał lud sławiański, zwany popospolicie Obotrytami, których Czesi Bodrcami zowią, jest także pewnością historyczną, a Dominik Szulc (Pomorze zaodrzańskie) okazuje ze źródeł nawet obcych, z kronik i dyplomatów frankońskich, saskich i bawarskich, że ten lud był rodu polskiego, któremu ów badacz zakreślił dość skromne jeszcze siedziby, bo tylko po jezioro Płońskie w Holsztynie i na domysł mało co za Wezerę w Hanowerze, z wyłączeniem części tego królestwa północnej i południowej. Podzieliwszy zarazem te kraje na ziemie, poprzytaczał niektóre nazwy polskie miast, wsi, rzek, jezior i wysep, domyślając się, nicorzekam, czy najszcześnieściej, brzmienia polskiego w niemieckich przekrętach. Rzeki np. *Biese*, *Steckenitz*, o naocznych pniach, *bies*, *ściek*, nazwane *Pyża*, *Stopnica*. Atoli wcale obejść się można bez głębokich spekulacyj etymologicznych, aby się przekonać z dzisiejszych tam nazew, osobliwie wsi, o ich polskości lub, jeśli kto woli, sławiańskości. Domyśły etymologiczne bez naukowo lingwistycznej metody, osłabiają nawet rzecz.

Aby zaś pochwycić jakąś normę, którą Niemcy przestrajają nazwy polskie, dość rzucić okiem na niemiecką mapę tych ziem wielkopolskich, które się berłu pruskiemu

w opiekę dostały, i nakłonić ucha ku porównaniu kilku nazew dawnych polskich a dziś niemieckich. Dostrzeżem, iż niecierpiane tam nosówki; więc też rozmaicie zadławiane: *Międzyrzecz* (Meseritz), *Międzychód* (Birnbäum), *Zbączyń* (Bentschen) i t. p. Pewne spółgłoski miękkie, będące zaletą języków, są zgrozą dla niemieckich narzędzi mownych; stąd też twardnąć muszą: *Kościany* (Kosten), *Sieraków* (Zirke), *Skwierzyna* (Schwerin) i t. p. Końcówki: *ica*, *ice* regularnie na *itz* kusieją: *Kopanica* (Köpnitz), jak *Gliwice* (Gleitwitz) i t. p. Końcówka *yn*, *in* często na *en* wątleje: *Krzywin* (Kriewen), a końcówki *ów*, *awa*, obie się dyftongują na *au*: *Kraków* (Krakau), *Warszawa* (Warschau). Dla tych tu poszukiwań naszych w najodleglejszych na zachód Niemczech wcale nam nie potrzeba głęboko nurkować w bystrości dowcipów, jakie np. z *Bydgoszczy*, *Odołanowa*, *Leszna*, *Szamotoł*, *Brojcie*, *Sierakowa*, *Babimostu*, wydały twory sztuki językowej, znaczące w niemieckim niby coś: *Bromberg Adelnau*, lub nic: *Lissa*, *Samter*, *Brütz*, *Zirke*, *Bomst*. W mnóstwie zaś przetworów mających w niemieckim rozumne znaczenie, jak: *Fraustadt*, *Schildberg*, *Strassburg*, *Landsberg* i t. p., na wieki zatoneły znaczenia pierwotnych mian polskich: *Wschowa*, *Ostrzeszów*, *Brodnica*, *Santok*....

W ogólności rzec mogę, że takie nazwy w Niemczech geograficzne, w których najgłębszy niemiecki lingwista nie zdoła wykryć jakiegoś znaczenia, jak owe *Bomsty*, *Samtery*, *Brece*.... niezawodnie powstały z pierwotnych słów polskich; a takich tam jest mnóstwo. Przeciwnie się rzecz ma z nazwami sławiańskimi miast, wsi, rzek i t. d.; ogólnie powiedzieć można, że we wszystkich tkwią rdzenie o znaczeniu sławiańskim lub jindoeuropejskim. Komuż nazwy np. *Gniezno*, *Poznań*, *Wieluń*, *Tarnów*, *Rzeszów*, *Przemysł*, *Lublin*, *Grodno*, *Wyszogród*... nie przywodzą na myśl wyrazów: *gniazdo*, *znać*, *wielki*, *tarnina*, *rzesza*, *myśl*, *lubić*, *gród*....? Naukowość zaś w kręgu Sławiańszczyzny snadno wyłoży znaczenia nazew: *Kraków*, *Sandomirz*, *Sambor*, *Santok*, *Chelmino*, *Leszno*, *Szrem*.... a lingwistyka porównawcza dojdzie znaczenia jindoeuropejskiego nawet w nazwach, jak: *Warszawa*, *Lelów*, *Wiśła*, *Odra*, *Tatry* i t. p. o czym pisać odkładam na jinne miejsce.



## Meklemburg.

Po tych uwagach udajmy się w podróż naukową, a przelećmy najprzód Meklemburg wzdłuż i szerz, nie dlatego, aby z nazew tamecznych dowodzić języka ludu, który je niegdyś nadawał, gdyż prawdy dziejowe nad tą krajną świecą; ale w tym celu, by się trochę zaprawić do wniosków analogicznych w dalszych wycieczkach. Do tej atoli wstępnej wycieczki w kraj Pomorzan zaodrzańskich, zapraszam nateraz niektórych tylko rodaków krwi szlacheckiej, a mianowicie, jeśli ochota, panów, którzy się piszą *Grabowscy, Turowscy, Cybulscy, Górniccy, Tarnowscy, Małachowscy* lub t. p. to jest: których nazwiska wiążą się ściślej z naukami swojskimi, nie namawiając zrazu jinnych panów na towarzyszków podróży, jak pp. *Bukowskich, Brodzkich, Lipskich*...., z obawy, aby ci, znalazłszy się w Meklemburgu w *Bukowie, Brodzie, Lipie* i tym podobnych niezliczonych siedliskach mian polskich, jak się owi znajdują w *Grabowie, Turowie, w Cybuli, Górniccy, Tarnowie, Małachowie* i t. d. i t. d. nie popadli z zadziwienia, a z braku może znajomości z Paprockimi lub Niesieckimi, w uludę, jakoby wielka część szlachty polskiej ród swój wiedła z Meklemburga. Bo lubo tam ani dusza nie ozwie się dziś brzmieniem polskim, ale tylko grubo niemieckim, objedzie wszakże przeliczne miasta i wsie, z nazew biorąc, jakby Polakami zasiedlone. Dla ciekawości poznać radzę kilka jeszcze znamienitszych siedlisk, chociaż niekoniecznie wiążących się z nazwiskami karmazynów. W uszkodzonych, czyto tylko pisownią, czy już i w przekaznej formie: *Gadow, Sukow, Rostok, Wustrow, Ribnitz, Kussow, Cuse, Coltzow, Milow, Glasow* i t. p., łatwo wyczytać szczeró polskie brzmienia: *Gadów, Suków, Rostok, Ostrów, Rybnice, Kusów, Kuse, Kolców, Mitów, Głazów* i t. d. i t. d. Często słyzy się tam staropolskie *a* nosowe (*a*, francuzkie: *am, an, em, en*), w którego miejsce później stanęło w języku polskim *o* lub *e* nosowe (*o, e*) (1). Tak *Pampow, Swante*, po

(1) W gramatyce mojej: „Przegląd form gramatycznych języka staropolskiego (Lwów 1857),<sup>4</sup> napisanej do użytku w gimnazjach gali-

nowopolsku brzmiałoby *Papów, Święte...* Krakowianie radzi znajdują tam *dwa Krakowy*: miasto nad dużym jeziorem, zwanym dotąd *Krakowskim*, i wieś o 12 mil na zachód od miasta tego.

Warszawianie nie radzi zapewne znajdują (od stolicy *Schwerin* 2½ mili drogi na południowy zachód), mężki *Warsow* (wieś), jeśli zajigra w nich wyobraźnia, jakoby z jego żebra, przerzuczonego nad Wisłę, wzrosła żeńska *Warszawa* na zrebie. Z mnóstwa utrzymanych dotąd na Pomorzu zaodrzańskim nazew polskich, i z niezbyt rażącego jich poprzekręcania w porównaniu do sponiewierań polszczyzny po prowincyjach pruskich, podróżny w zadziwieniu pokusiłby się mógł do sądzenia, jakoby niemiezenie kraju Obotrytów rozpocząć się mogło od XVIII, a kraju Wielkopolan w X stl.

Nadtobym może potrudził miłych mi rodaków w tej pierwszej z nimi po Niemczech przejażdżce, gdybym jich chciał tą razą obeznać z czymś więcej, jak potrzeba do przedarcia wielowiekowej mgły, leżącej grubym kirem na staroczesnym charakterze krajów niemieckich. Jak tedy po Meklemburgu pomijamy *setki*, tak w dalszych Niemczech pominiem *tysiące* siedlisk, których nazwy są albo czysto jeszcze polskimi, albo wyraźnie zdradzają sławiańskość. Nie spisałby ich na wołowej skórze, a coż na szczupłych czasopiśmie tego ściankach; opis wyczerpujący, dokładny i naukowy wszystkiego tego, com sam znajdował, oglądał i podziwiał, i co jeszcze wykryć można, złożyłby dziełko, byle się zgłosił nakładca.

## Lauenburg.

Z Meklemburgu prosta na zachód droga w Lauenburg i Holsztyn, a ztąd na północ w Szlezwik, owe kraje, gdzie

cyjskich, wyrzekłem zdanie, że w najdawniejszej polszczyźnie były te same nosówki: o nosowe (ą) i e nosowe (ę), które dziś wymawiamy, i które się wykryły w języku starocerkiewnym. Późniejsze atoli badania moje w obrębie języka starczytnych Polaków przekonały mnie, że była jedna tylko nosówka: a nosowe, które z wiekami rozszczepiło się przeglosem na dwie dzisiejsze nosówki.

narodowość niemiecka walczy w naszych dniach na zabój z obcą niby sobie narodowością skandynawską.

O jile miarkować można z dzienników, Sławianie coś nie bardzo sympatyzują ze sprawą narodową ziem onych, a polityka pewna bodaj czy nie wyraźnie przechylona na stronę duńską. Dziwnie się to wydać może Polakom, podróżującym z Meklemburgu dalej, kiedy już w Lauenburgu (od miasta tegoż nazwiska 1 ½ mili na półn. zachód) znajdują wieś *Kruckau*, któreto miano zidentyfikować zechcą z trójmogilnym swoim Krakowem za pośrednictwem braci Kaszubów, którzy kruka krakiem nazywają. Jest tam i *Wahrsau* (wieś w północnym zakątku) z wyraźniejszym *aw* niż w Meklemburgu; zapewne to więc siostra Warszawy nadwiślańskiej, niewiedzieć, czy starsza, czy młodsza. Staropolskie *a* nosowe odzywa się gęsto jak np. *Lankau* (bis) *Pampau*, *Wangelaui*, (Łąków Papów, Węglów). Nie pominiemy: *Grabau*, *Lutau*, *Wendewisch*, oczywiście: *Grabów*, *Lutów*, *Wendów wieś*, osobliwie ze względu, że z pierwiastkami *lut*, *wend*, tkwiącymi w mianach narodowych: *Lutyk*, *Wend*, czyli raczej z nosowym *a*: *Wand*, spotkamy się dalej bardzo często.

## Holsztyn.

Ruszmyż dalej w Holsztyn. Lecz po tej krajinie podróżuje się Polakowi coraz niesmaczniej, coś podobnie jak po zachodniej Poznańszczyźnie. Jistneto wielkie księstwo kongresowe. Albowiem z jednej strony, czym dalej na zachód i północ, tym mniej niestety! już nazew polskich, a najwięcej poprzekręcanych do niepoznania; z drugiej strony, jakby na urąganie bólu, uciskającego serca podróżnych, jakiś urok a smętek rozrzewnia duszę, gdy przypomną się Polakom drogie jim pojęcia, wiążące się, jak w Poznańskim, z podaniami o kolébce narodu i języka jego. Lachy mają tam swój *Lachów* (Lachau), który cię powita na wstępie w tę ziemię czarodziejską; Kraków zwie się tam z mazurska *Kroków* (Crokou, ¼ mili od wybrzeża morza Bałtyckiego na samej północy kraju), zupełnie tak, jak w Czechach szczątki zamku *Krokov*, 7 mil od Pragi na zachód pod Rakownikiem. Od połu-



dniowego wschodu do ujścia Ejdory w morze niemiecko angielskie na zachodniej północy, gdzie cię żegna trawa pod *Trawlą* (Trawel) i *Wendów siedziba* (Wendenhusen) po wsiach, stypanych na *wisze* (np. Averwisch) od ujścia Łaby, którego Grodno (Grodén) strzeże, do ostatniego półwysepka na północnym wschodzie kraju: wszędzie rozsypane dawne siedliska Wendów i Lutów czy Lutyków, jak: *Lutke*, Lutken, Lutkendorp, Lutkenbuttél i t. p. (cf. *Lutocin* w Płockim). Gęsto rozrodził się, jak u nas, odwieczny rdzeń: *biał* w różnych formach: *Below* (bis), *Bellin*, *Beel*, *Bilenburg*. Tu należy i rzeczka *Bille* pod Hamburgem; porównaj: *Biała* (po czes. Biela) pobocznica Łaby w Czechach północnych, i *Biała*, rzeczka płynąca przez Freiwaldau pod Grefenbergiem — obie przekazane na *Bile*. Wrażenie sprawiają na znawców polskiej oświaty i dziejów nazwy siedlisk: *Kornicke*, *Orssa*, *Rathlaw*, przypominające: *Kórnik* zacnego mecenasa, *Orszę* i *Racławice*, prócz takich, jak: *Godów*, *Kurów*, *Ostrów*, *Warnów*, *Barków*, *Grzybin*, *Susów*, *Brodów*, *Jarków*, *Garków*, *Rojno* i t. p. wiele (wyraźnie: *Godow*, *Kurow*, *Ostrobe*, *Warnow*, *Garkow*, *Grybyn*, *Susow*, *Brodow*, *Jarkow*, *Garkow*, *Royno*).

### Szlezwik.

Za rz. Ejdorą w Szlezwiku, rzecz dziwna, jak daleko sięga lud niemiecki pod duński, tak daleko na północ znajdują się ślady nazew sławiańskich. Wyraz *Kępa*, z nosówką staropolską: *Kampa* (Kapa), szeroko rozrzucony po Niemczech. Wspomnę tu jeno tyle, że jest w Pradze czeskiej kępa na Wyltawie, zwana od Niemców i Czechów: *Campa*; a miasta i wsi tegoż nazwiska znachodzą się w Hanowerze etc. gęsto; w Holsztynie powtarza się *Campen* kilkokrotnie; i w Szlezwiku jest *Camper* nad Ejdorą naprzeciw Rendsburga. Znachodzą się nazwy na *aw* i *ów*, jak: *Aschau*, *Lindow*. Podhalańskie wsie *Gron*, *Gronków* i wyraz *gronik*, znaczący u Tatrzańców i Szlązaków *wzgórze*, odzywają się, jak w Holsztynie we wsi *Gronów* i za Wezerą we wsi *Grone*, tak i za Ejderą w nazwie wsi *Gronewolt* nad morzem Bałtyckim. *Lohe*,

jindzie także spotykane, będzie snadź *Łogiem*; zastanawiają nazwy: *Jagel*, *Tating*, *Treya*, *Croppe* (cf. Krupe, wieś w Lubelskim pod Krasnym Stawem), *Bulkehof* (wielk., cf. Wieluń, Wieliczka) i t. p.

### Hanower.

Po tej wycieczce na północ pod sam naród duński przesybujmy łukiem balona za Łabę w Hanower. Pomijając tą razą mnóstwo brzmień polskich, jakie się w onym kraju utrzymały po Wezerę od samego morza Północnego aż po góry Harc, zastanówmy się choć nad niektórymi: *Oppolen* (Opole czy Opolno), *Orle* (bis), *Lipe* i *Lippen* (Lipa), *Wollin* (Wolin), *Trawen* (Trawno?), *Milen*, *Krasak*....; wiele o narostku c: *Bukowitz*, *Wadewitz*, *Turitz*, *Ribitz*....; wiele na ów: *Gaddau* (Gadów), *Weselau* (Weselów), *Lubbau*, *Polau*, *Grabbau* i *Grabbow*, *Turow*, *Belkow*, *Zernekow* (cf. Czerniaków pod Warszawą, albo Czerników pod Lipnem w Płockim, albo Czarnków lub z mazurska Carnków).... prócz *Kampe* i *Campen*, a *Wend* w różnych obrotach, jak *Wende*, *Wendewisch*, *Wendisch Tyn* (Wendów Tyn? porów. *Karlów Tyn* w Czechach, a nasz *Tyniec*. Jest i rzeczka *Oder* (Odra).

### Oldenburg. Westfalija północna.

Zachęcam następnie orlim rozśledzić okiem przestrzeń ziem za Wezerą w Hanowerze, Oldenburgu i Westfalii północnej, w ziemiach, kędy dziś włada najgrubszy język niemiecki, zwany *plattdeutsch*, a najprzód między Wezerą a Emsą. Oto krom' miasta *Bremen*, które Czesi zwą *Brzemie*, ciekawsze nam siedliska: *Ray*, *Lubeke*, *Gronc*, *Vollen* (Wola?), *Campen*, *Remen*, *Lude*, *Poll*, *Niem* (niezgrabniej miasto Niemce w Szlązku pruskim *Nimptsch* przezwane). Odtąd aż głęboko na południe bardzo licznie odzywają się słowa *lut*, *biał*, *rod*, bądź same, bądź w rozmaitych złożeniach: *Lutte*, *Lutkeland*.... *Biel*, *Bieleveld*, *Bielstein*.... *Rode*, *Roden*, *Wellerode*.... Końcówka ów również w poszanowaniu: *Libenau* (por. nowoczes. *Libice* zamiast

*Lubica*, zwaliska zamku, z którego poszli ś. Wojciech i szlachta polska herbu Poraj), *Diebenau*, *Stolzenau* i t. p. Jeżeli zaś tutaj wyrazy *Dieb* (złodziej) a *stolz* (pyszny, dumny) nieharmonijnie brzmią uchu polskiemu, nie dziwnego; wszakże przywykło już do osobliwych dowcipów, które nawet z końcówki stroją sobie czasem *witz*, np. *Zwiasutowice* cywilizując na *Schwesterwitz* (w Szlązku pruskim).

## Holandya.

Zdziwi się zapewne podróżujący Sławianin, gdy nawet za Emsą na zachód aż do ujścia w morze rzeki Yssel w Holandyi i po nurty Renu, a na południe, nie powiem tu jeszcze, jak daleko — znajdzie rozpostarty ten sam, co dotąd, charakter nazew geograficznych. Tuż za Emsą brzmią: *Hankowe*, *Grenowe*, *Wulen* (bis), *Wullin* i t. p., a w Holandyi: *Wesepe*, *Wesup* (Wysep?), *Stripe* (cf. rz. *Strypa*, pobocznica Dniestru na Podolu), *Campen*, *Pol* i t. p.

## Westfalija środkowa.

W Westfaliji środkowej pobocznice Renu: *Wipper*, *Lippe* przypominają *Wizprz* (jeden lubelski, a drugi pomorski, od Prusaków także *Wipper* nazwany) i *Złotą Lipę* (na Rusi Czerwonej), a w porzeczcu Lipy wiekują siedliska: *Ray* (już drugi), *Kamen*, *Ludin*, *Groot* (zapewne Gród), *Drewenich* (Drzewnice?), *Trawinken*, *Wenden*, *Lutke* i rozrzucone: *Bile*, *Bellen*, *Bielefeld* etc.

## Hessen.

Po takich odkryciach dawnych siedzib nie niemieckich zwróćmy się z trwogą podróżujących w głębi Afryki nieco jeszcze na południe *ku zakrętom Menu*, a choć ukradkiem odczytujmy przed wsiami z tablic przydrożnych bodaj tylko: *Nierrade*, *Camp*, *Wenden* i *Winden* (bis),



*Wislich* (Wislica?), przebywszy rzekę *Nidda*; tudzież wiele nazew na *aw* (*au*, *ow*), jak: *Grebenaw*, *Groenaw*, *Cronaw*, *Geraw*, *Merlow*, *Weidenaw*, *Hornaw*.

Dotarliśmy tedy po *Ren* i *Men*. Poza te rzeki w obecnych czasach się zapuszczać, choćby jeno palcem po mapie, w naszym celu naukowym, rzecz drażliwa. Dla czego? Bo za *Renem* przypadkowe odkrycie brzmień takich, jak *Lach*, *Krak*, *Wars*, *Bial...* (a są), wskazując jak na dłoni przedwiekowe siedziby prapradziadów naszych wplątałyby i nas mogło w niebezpieczną antagonyję z Francuzami z przyczyny jich uroszczenia do granic naturalnych, pociągając sławiańskie umysły do wspólnej z rzeszą niemiecką sprawy. Za *Menem* zaś ckliwoby się może robiło podróżnym sławiańskim gdyby jim zanadto przyszło walczyć z przesądami, jakimi jich szkoły napały. Podobnąż wycieczkę naukową w Niemcy południowe odłożmy tedy na później.

## Turyngija.

Dość może już powyższymi odkryciami oczarowani, czy też odczarowani, wracajmy od źródeł *Fuldy* do dom prosto na wschód północnym poręczem *Menu*, póki nie odetchniem historycznym powiewem nad *Sołą* u słupów *Chrobrego*. Przedrzeć się atoli musimy przez górzystą *Turyngiję*, jądro dzisiejszej rzeszy teutońskiej. Szanowni ziomkowie spodziewają się może, że tedy nagrodzą sobie strudzenie umysłowe z wrażeń dotychczasowych odkryć oglądaniem tyłu stolic panujących tu monarchów. Przeprosić muszę; płonna otucha! Nowe, a coraz dziwniejsze czekają Panów niespodzianki. Mniejsza już o takie lub tym podobne formy, z jakimiśmy się dotąd obeznali, np. *Buchenaw*, *Luppenitz*, *Goritz*, *Ludemich*, *Bila*, *Rosla*, *Lecha* (koło *Sondershausen*) i t. p. Ale czytywane wartościówków ucinki do jednolitych niby Niemiec, a poszarpanych między mnóstwo panujących, okazują się być

najniesłuszniejsze, wylęgle jedynie z nieznawstwa jistoty rzeczy. Tam, każdy książę jest panem kilku lub wielu odwiecznych *Rodów*, uszlachconych rozlicznymi przydomkami. Dla przekonania się zwidźmy niektóre znakomitsze; i tak: *Oberroda* (w Sachsen Weimar Eisenach); *Bischof-rod*, *Kütscherode*, *Bockerode* (w Sachsen Meiningen za rz. Werrą); więc dalej *Roda* (bez przydomku), *Mertenroda*, *Graefenroda*, *Angelroda* (w Schwarzburg Sondershausen); więc *Friedrichroda* (w Gotha); *Tanrode* (mila od Erfurtu na wschód).

### Kraj Sasów.

Najgęściej ongi rozsiadły się te rody w kraju Sasów, jak: *Eigenroda*, *Grunzroda*, *Bernteroda*, *Bodenroda*, *Wernicheroda*, *Hallenroda*, *Rineroda*, *Wickenroda*, *Alenroda*, *Weisenroda*, *Grunderoda*, *Anroda*, *Damkeroda*, *Stangerod*, *Oppenroda*, *Westerroda*, *Osterode*, *Diderode*, *Elbigero*de i t. p. wiele. W południowym porzeczcu rzeczki Odry siadły: *Minnigerode*, *Gunterode*, *Bleicherode* i podobne jinne; w porzeczcu pobocznicy Soły *Alte Wipra* (Stary Wieprz; już czwarty *Wieprz*) znajdujem: *Rode*, *Poppenrode*, *Bobenrode*, *Wickenrode*, *Teichenrode*, *Rietkerode*, *Rudigerode*, *Wernrode* i wiele jinnych. A przeprawiwszy się przez rzekę Unstrut, zbliżając się ku Soli Chrobrego, Polak się zdumi, coto tam rodów niegdyś siadło tuż przed nowym *Krakowem* (Cracau), dzisiaj wioszczyną niemiecką. Zda się, że biegną jakby kurczątką za kwoczką, lub koczują jak rozrodzone plemię licznej dziatwy jednego ojca, patryjarchy. Wszystkie niekiedyś zapewne niewinności dziewiczej, równe i swobodne sobie, pasowane zostały na rycerskość teutońską, jak: *Branderoda*, *Schlebroda* i t. p. Niektóre przydomki, jak w nazwach: *Schweinsroda*, *Ebersroda*, świadczą z jednej strony o rodzaju ogłady estetycznej owczesnych nadawców szlachectwa; z drugiej strony wykłuwają się z lat tysiąców ta sama, co dzisiaj, etykietalność w zastosowywaniu pojęcia *Schwein* do niejednego, co sławiańskie czy polskie. Od poznanego tu piątego już z kolei Krakowa 2½ mili na wschód stanął *Merseburg*, pamiętny zjazdem Bolesława W. z ces. Hen-

rykiem II; ale  $\frac{3}{4}$  mili na południe od onego miasta dziś ochędożnego *Królowice* (Krolowitz) nad nurtami Soły dostojniej a świetniej snadź kiedyś jaśniały blaskiem ojców nad ludem języka najwyraźniej polskiego.

## Syrbsko.

Po prawej stronie Soły, w krajinie Syrbów, kędy błyszczał niegdyś zwycięzki oręż rycerstwa polskiego, oswobadzającego lud bratni od złowrogiego mu na później wpływu państwa rzymsko niemieckiego, tam już nie dziw słyszeć takie brzmienia rozliczne, jak: *Orłów* czy *Orława* (Orlaw), *Łobodów* (Lobodau), *Dolice* (Dolitz), *Radegast* i *Lachów* (zapewne wymową mazurską na *Lochau* przegłoszony). Rozściela się i rzęsa *rodów*, ale już wolnych od przydomków owakich; jakoby szczerbiec zażegnał je od godności szlachectwa jim obcego.

Przebywając takie siedliska po ziemiach Syrbów, dojedzie do *Lipska*, z którego zamiast już wracać koleją na Drezno prosto do Krakowa nad Wisłę, warto Polakowi zboczyć jeszcze koleją mil 16 na północ ku Magdeburgowi, który Czesi *Dziewinem* mienia, aby w pół drogi za Sołą ujrzeć *Płocków* (Plotzkau), a na zakończenie tej podróży naukowej pamięć odkrytych dotąd tyłu siedlisk brzmienia polskiego po krajach Tacytowych i Strabonowych *Swewów* a późniejszych *Stawów* uczcić puharem staropolskim nad poważną, prasławiańską Łabą w *Krakowie* (Crakow), naprzeciw którego zbudował się *Dziewin* po drugim brzegu tej rzeki, zupełnie tak, jak Podgórze wedle Krakowa nad Wisłą.

## Prospekt szermierki.

Kiedy wpadniemy w kontrowers naukowy z sąsiedziami o własność pierwotną odkrytych tu ziem i siedlisk, przygotujmy się na filozoficzne i lingwistyczne, a same wissenschaft-liche dowody, że owe nazwy są czystego źródła teutońskiego czyli vulgo giermańskiego; że np. *Lippe* oczywiście od *lippe* (warga); *Brode* nie od brodu



na rzece, ale od wyrazu *brod* (chléb), świadczącego oraz o dawnowiekim *brodsinie*; *Biel*, *Beel* pewnie od *beil* (topor), którym wytepiano pogaństwo sławiańskie; *Gornitz* od *gar nichts* (wcale nic) czyli prowincjonalną wymową *gor niks*; *Wahrsau* od *wahr* (prawdziwa) i *sau* (locha), jako paralela do nazwy *Schweinsrode*; *Campen* z łacińskiego *campus* (pole), a zaś *Pol*, *Niem* może od *follen* (źrębie), *niem* (weźmij); więc *Wendewisch* zapewne od *wenden* (obracać) i *wisch* (ściérka); a gdy w ogóle *au*, *aue*, *aw* znaczy *blonie*, więc np. *Lachau*, będzie *blonie śmiechu*, którym rzeczywiście będą dla nas podobne partackie wywody. Że daleko nie zajdą w takich bredniach, nam widoczna z mnóstwa nazew takich, które się do naukowych wykrętów tego rodzaju wcale nagjąć nie dadzą, a Polakowi brzmią jasno po polsku bez naciągania domysłowego.

Dodatkowo wzmiankę tu czynię, że *Krakowów* żywcem znalazłem już 14. Prócz tego słowo *krak* odezwało mi się w nazwach geograficznych razy 16 bądź w prostym przegłosie samogłoski, jak *Crock*; bądź w derywacji, jak *Krakowan*; bądź w składach, jak *Krakendorf*, z czego wszystkiego później zdam rodakom sprawę, a historykom zostawiam pole do wniosków.

Napisałem w Warszawie we wrześniu 1860.



# HERNANI.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

Wiktora Hugo.

---

## AKT III.

STARZEC.

Scena w zamku Silwów w górach Arragońskich. Wielka sala ozdobiona portretami Silwów rodziny, w bogatych ramach, a na ich wierzchu korony i herby książęce. W głębi drzwi gotyckie. Między portretami wiszą oręż i zbroje różnych czasów.

### SCENA I.

DONA SOL *w bieli stoi około stołu; RUJ GOMEZ pysznie ubrany siedzi w książęcym krześle.*

RUJ GOMEZ.

Nakoniec—to na dzisiaj. Za chwilę będziemy  
Moją księżną. Stryj zniknie. I pocałujemy?....  
Wszak mi już przebaczyłaś? Zgrzeszyłem prędkością;  
Zrumieniłem twe lica, a czoło błądząco  
Okryłem. To zazdrości, pozorów powody:  
Winien byłem wysłuchać tłumaczenia wprzód.  
Jak te pozory mylą! Prędkość zawsze szkodzi.  
Wprawdzie oni tam stali; oba piękni, młodzi.  
Mniejsza—nie trzeba było dawać oczom wiary:  
Ale cóż chcesz, me dziecię—kiedy kto tak stary?...

DONA SOL

*(poważnie).*

Zawsze to wspomnacie; czy kto wam przygania?

RUJ GOMEZ.

Winienem! Twa szlachetność od zdrady zasłania.  
Jakto? Żebym nie wiedział: że szczep mego drzewa,  
Dona Sol, krew hiszpańska, kochanków nie miewa?

DONA SOL.

Pewno—krew czysta, panie! I sami ujrzycie  
Może wkrótce.

RUJ GOMEZ

*(powstaje i zbliża się do Dony Sol).*

O słuchaj! Czasem, moje dziecko,  
Nie mogę władać sobą. Zwłaszcza dla starego,  
Który kocha, zazdrości, gniewliwy... a czego?  
Bo stary; bo powaby, młodość, siła, wdzięki  
Nas zawsze przerażają i zadają męki.  
Bo zazdrościmy innym, wstydząc się za siebie.  
Szyderstwem losu miłość, którą mam dla ciebie;  
Która w sercu płomieniem i rozkoszą pała,  
Lecz odmładzając duszę, nie odmładza ciała.  
Często, gdy młody pasterz idzie w lasów cieniu,  
Spotkamy się; on śpiewa, ja cały w marzeniu  
Mówię w duszy: oddałbym me zamki, me grody,  
Me pałace, me góry, me lasy, me trzody,  
Me pola zbożem bujne, pastwiska, doliny,  
I me stare nazwisko, tytuł i ruiny;  
Oddałbym mych naddziadów, z świętością grobową  
Za jego młode czoło i za chatkę nową!...  
Bo on ma włosy krucze, a ogień w spojrzeniu.  
Możesz go ujrzeć kiedy i westchnąć w milczeniu,  
Pomyślawszy o mojej starości. W rozpacz  
Mówię, że zwę się Silwa!... Ale cóż to znaczy?  
Tak często sobie roję: że oddałbym życie,  
Aby chwilę być młodym, tak ja ty, me dziecko.  
Ale cóż to pomoże, gdy nie ma sposobu,  
I trza ciebie poprzedzić—zdaleka do grobu.

DONA SOL.

Kto zgadnie?

RUJ GOMEZ.

Ale wierz mi, że ci młodzi ludzie  
Ich miłość najszczytniejsza słowami się studzi.



Niech go dziewczę pokocha, to dla niego fraszki.  
 On z jęj śmierci się śmieje. Bo te wszystkie ptaszki  
 Z malowném, żywém skrzydłem, co tęskno gruchają,  
 Swą miłość jak i pierze za często zmieniają.  
 W starych, wiek kolor zetrze i przygłuszy piersi;  
 Lecz skrzydło więcéj pewne, bo oni wierniejsi.  
 O! my dobrze kochamy! Choć na głowie zima  
 I poorane czoło, w sercu zmarszczków niéma.  
 O! gdy starzec pokocha, młodość się odzywa:  
 Bo serce wiecznie młode i łacno krwią spływa!  
 Ja cię kocham jak ojciec, jak mąż, jak kochanek  
 I jeszcze—jak kochamy majowy poranek,  
 Jako kochamy kwiaty i nieba rodzinne!  
 O! gdy widzę cię co dnia: twe czoło niewinne,  
 Twoją postać nadobną i czyste spojrzenie,  
 Uśmiecham się, a w duszy mam stu słońc promienie.

DONA SOL.

Niestety!

RUJ GOMEZ.

A dla świata, jakim to urokiem,  
 Kiedy człowiek już gaśnie i za każdym krokiem,  
 Odchodzi, i zstępuje w straszne grobów cienie,  
 Widziéć, jak czuwa nad nim anielskie stworzenie,  
 Kobieta młoda, piękna, raczy starca wspierać,  
 Czuwać nad nim—gdy jemu trza tylko umierać!  
 O! to święty uczynek, godzien uwielbienia,  
 Gdy serce męzne, pełne cnoty, poświęcenia,  
 Cieszy konającego do końca starości  
 I, nie kochając może, ma pozór miłości!  
 Ty będziesz tą kobietą, a raczéj aniołem,  
 Co nad biednego starca pochyłona czołem,  
 Weźmiesz na twoje serce, pół mojej starości  
 Córką z uszanowania, a siostrą z litości!

DONA SOL.

Że mnie przeżyjesz, panie, spodziewać się wolę.  
 Czyż to prawo do życia—że młodość na czole?  
 Niestety! Starym często opóźnić się zdarza;  
 Wypredzają ich nieraz młodzi do cmentarza;  
 I ich oko zamarłą zmyka się powieką,  
 Jako otwarta trumna, gdy zapada wieko.

RUJ GOMEZ.

O! co za smutne myśli! Będziemy się gniewać!  
 W dniu takim lepiej śmiać się, weselić i śpiewać.

Lecz cóż, gdy chwile liczę, czekając kapłana,  
Naręczona dotychczas jeszcze nieubrana?  
A gdzież to suknia ślubna?

DONA SOL.

Jeszcze wzięść ją zdążę.

RUJ GOMEZ.

O spiesz się!

*(Do wchodzącego pazia).*

A ty—czego?

PAŹ.

Miłościwy Książę!  
Jakiś żebrak, czy pielgrzym, z miną bardzo biedną,  
Prosi cię o gościnność.

RUJ GOMEZ.

To mi wszystko jedno.  
Szczęście mieszka w tym domu, który gością mieści.  
Prosić go.—A z gór czasem czy nie przyszły wieści?  
Co mówią o tym herszcie, którego zuchwałość  
Roznosi w okolicy postrach i zwątpiałość.

PAŹ.

Już po Lwie Góry! o, już po Hernanim.

DONA SOL

*(na stronie).*

O nieba!

RUJ GOMEZ.

Jakto?

PAŹ.

Sam król—Karlos ścigał za nim.  
Już banda rozproszona, wzięta, lub pobita;  
Za herszta przeznaczona cena znakomita:  
Tysiąc karolów w złocie; ale to daremnie,  
Bo Hernani już zginął.

DONA SOL

*(na stronie).*

Hernani! Bezemnie?!

RUJ GOMEZ.

Bogu niech będą dzięki! Zginął ten zuchwały.  
Teraz radość i stroje i bale przystały.

(Do Dony Sol).

Idź więc przydziać na się szat ślubnych ozdoby.  
Dzisiaj święto podwójne.

DONA SOL

(na stronie).

Żałoby! Żałoby!

(Wychodzi).

## SCENA 2.

RUJ GOMEZ i PAŻ.

RUJ GOMEZ.

Idź, zanieś te klejnoty dla przyszłej méj żony.

(Siada).

Chcę ją widzieć tak strojną, jak obraz Madony.  
Z łaski swych czarnych oczów, z łaski mych klejnotów,  
Będzie piękna—że pielgrzym przed nią klęknąć gotów.  
A tenże? Ach u bramy i może narzeka,  
Idźże i proś go tutaj, i przeproś, że czeka!

(Paż wychodzi).

Gość czekał, to źle bardzo. Al on....

## SCENA 3.

RUJ GOMEZ i HERNANI.

HERNANI

(zatrzymując się na progu).

Książę Panie!

Pokój i szczęście z tobą.

RUJ GOMEZ.

Tobie powitanie,

Pielgrzymie!

HERNANI.

Tak—nim jestem.

RUJ GOMEZ.

Musisz być strudzony,

Z Armilas idziesz pewno.



HERNANI.

Idę z innej strony.  
Tam, słyshałem wystrzały.

RUJ GOMEZ.

To walka z banitą.

HERNANI.

Nie wiem, panie.

RUJ GOMEZ.

A herszta, czyli już zabito  
Hernaniego?

HERNANI.

Nie umiem powiedzieć ci panie.

RUJ GOMEZ.

Nie znasz go? Tém ci gorzej; za jego schwytanie  
Wielką sumnę król przyrzekł. To był zbuntowany  
Góral przeciwko króla. Gdy będzie schwytany,  
Możesz widzieć w Madrycie, jak go tam powieszają.

HERNANI.

Nie idę do Madrytu.

RUJ GOMEZ.

Wydać go pośpieszą;  
Zachęcająca summa. Gdzie idziesz pielgrzymie?

HERNANI.

Do Saragossy, panie.

RUJ GOMEZ.

Mój bracie—twe imię?  
Ja—Ruj Silwa.

HERNANI.

Me imię....

RUJ GOMEZ.

Możesz niepowiadać,  
Tutaj nikt niema prawa mego gościa badać.  
Chcesz schronienia?

HERNANI.

Tak, panie.

RUJ GOMEZ.

Wdzięchen jestem tobie.

Witam cię—choć cię nie znam; nie nie żałuj sobie.

Gościnność w moim domu święcie szanowana:

I, gdyby mi Bóg zesłał, przyjąłbym szatana.

(Podwoje otwierają się. Wchodzi Dona Sol w ślubnym stroju. Za nią paziowie, służba; dwie kobiety niosące na aksamitnej poduszce szkatułkę i stawiają ją na stole; w tej szkatułce odemkniętej widać bogate klejnoty, książęca korona, bransoletki, naszyjnik z pereł, brylanty i t. p.).

## SCENA 4.

CIŻ SAMI i DONA SOL.

(Hernani zdumiony patrzy na Donę Sol ognistym wzrokiem i nie słyszy tego co mówi Ruj Gomez).

RUJ GOMEZ

(do Hernaniego).

Możesz modlić się do niej; to moja Madona.

To ci szczęście przyniesie.

(Podaje rękę Donie Sol, bladej, poważnej).

Piękna narzeczona!

Jako—pierścienia niema? Ni wieńca na głowie?

HERNANI

(grzmiącym głosem).

Kto chce tysiąc karolów zarobić, panowie?

(Wszyscy z podziwieniem nań patrząc, on rozdziera suknie pielgrzymu pokazując się w góralskim stroju).

Ja jestem Hernani!

DONA SOL

(na stronie z radością).

Żyje!...

HERNANI

(do służby).

Ja Hernani!

Ten, którego ścigają.

(Do księcia).

Chciałeś wiedzieć, panie,

Czym Perez, czy Diego? Nie! Ja znakomity!

Imię moje piękniejsze, bo imię banity,

Imię wygnańca! Książę! widzisz moją głowę?

Ona może zapłacić wesela połowę!

(Do służby).

Wam ją oddaję wszystkim, każdy z was ubogi:  
 Bierzcie, wiążcie me ręce, wiążcie moje nogi!  
 Lecz nie! to niepotrzebne. O! ja jestem jeniec!  
 Nie skruszę moich kajdan.

DONA SOL

(na stronie).

Biada mi!

RUJ GOMEZ.

Szaleniect!

Cóż to—mój gość jest warjat?

HERNANI.

Nie: twój gość jest zbójca.

DONA SOL.

Nie wierzcie mu.

HERNANI

(do służby).

Że tak jest—klnę się wam na ojca!

RUJ GOMEZ.

Tysiąc karolów, panie, to summa, to złoto;  
 Nie jestem pewien wszystkich.

HERNANI.

Książę! mniejsza o to!

Wydam mnie!

RUJ GOMEZ.

Milczże!

DONA SOL

(cicho do Hernaniego).

O! milcz drogi!

HERNANI

(do służby).

Ja Hernani!

(Obraca się na wprost do Dony Sol).

Cóż to—weselna uczta! I ja chcę być na niej.

(Do księcia).

I mnie kochanka czeka, nie taka wspaniała

Jak twoja, zacny książę, ale równie stała!

Śmierć się zowie!

(Do służby).



Słuchajcie! No, czegoż stoicie?

DONA SOL

(= cicha).

Miej litość!

HERNANI.

Tyle złota—za me jedno życie.

RUJ GOMEZ.

To szatan!

HERNANI

(do młodego służącego).

Tyś tak młody. Bogactwo cię czeka!

I z lokaja posiądziesz nazwisko człowieka!

Ty nie chcesz?! O nieszczęsny!

RUJ GOMEZ.

Wiedzą, co ich czeka.

Kto twojej głowy dotknie, swojej się wyrzeka.

Czyli jesteś Hernani, czy gorszy sto razy,

Gdyby za cię dawano koronę cesarzy,

Muszę cię bronić, gościu, u mojego proga

Nawet przeciwko króla, bo mam cię od Boga;

Jeżeli ci włos spadnie, niechaj lepiej zginę.

(Do Dony Sol).

Ślub nasz trzeba odłożyć na małą godzinę:

Wróc do siebie. Ja wyszlę mych ludzi na wzgórze,

Każę bramy zamykać.

(Wychodzi).

HERNANI

(z rozpaczą).

Nawet nie mam noża!

(Dona Sol po wyjściu księcia i wszystkich obecnych, postępuje kilka kroków za swymi kobietami. Później zatrzymuje się i wraca).

## SCENA 5.

### HERNANI i DONA SOL.

HERNANI

(nieruchomy patrzy na ślubne klejnoty, później podnosi głowę).

Tylko winszować mogę! Złoto i kamienie:

Strój śliczny, wzbudza we mnie zachwyt i zdumienie!

(Przeglądając szkatułkę).

To prawdziwe brylanty, wyobrażam sobie:  
 On nie oszukiwałby stojąc już przy grobie.  
 O! jak tu wiele złota, jakie perły liczne?  
 I książęca korona i pierścień!! Prześliczne!  
 Cóż to miłość szlachetna, bezbrzeżna, lecz biedna.  
 O! cudowne klejnoty!

DONA SOL

(zbliża się do szkatułki i wyjmuje sztylet).

Jeszcze rzecz jedna!

(Hernani pada przed nią na kolana).

DONA SOL.

Ten sztylet ja wydarłam na moją obronę  
 Od króla, gdy za miłość dawał mi koronę!  
 Dziś za to, od kochanka jestem znieważona.

HERNANI

(klęcząc).

O! pozwól, niech z twych oczu, duszo utęskniona,  
 Otrę ślady łez gorzkich, co pocięchą moją;  
 A później krew ci oddam za każdą łzę twoją!

DONA SOL

(rozczulona).

Hernani! Ja cię kocham, przebaczam, bom żyła  
 Twą miłością jedynie.

HERNANI.

Ona przebaczyła!

Kocha mię! Mój aniele! pokaż mi twe drogi,  
 Abym mogł ucałować ślady twojej nogi!

DONA SOL.

Mniemałeś, że ma miłość tak małej pamięci,  
 I że ci wszyscy ludzie w namiętnej swój chęci,  
 Poniżą me uczucia w kadzideł swych dymie  
 I wejdą w moje serce, gdzie strażą—twe imię!!

HERNANI.

Niestety! Ja bluźniłem! I gdybym był tobą,  
 Pogardziłbym miłością, zapałem, osobą;  
 Odepchnąłbym szaleńca, dzikiego bluźniercę,  
 Co pieści tylko wtedy, gdy już zrani serce!

DONA SOL.

O! ty mię już nie kochasz?

HERNANI.

Całą mą istnością  
Ty jesteś! Moją wiarą, nadzieją, miłością!  
Nie miéj za złe, gdy z twoich objęć się wydzieram.

DONA SOL.

O! ja ci za złe nie mam: lecz tylko umieram!

HERNANI.

Umierasz? Dla mnie, luba? Dla mnie ma jedyna?

DONA SOL

(z płaczem padu na krzesło).

A dla kogoż mam umrzeć?

HERNANI.

Znowu ja przyczyna  
Łez twoich. Nie płacz, luba! Ty ukarż mię, Boże!  
Ona zawsze przebacza! Kto wyrazić może,  
Co ja cierpię, gdy widzę, kiedy łzy zamroczy  
Moją radość, me niebo—twoje cudne oczy?  
Towarzysze me zmarli; jam ogarnion szalem;  
Przebacz! tak, chciałbym kochać, ale zapomniałem!  
Niestety! kocham jednak po nad grobu progiem.  
Nie płacz! umrzemy razem! Czemu ja nie Bogiem?  
Niebo moje ci dałbym! Ale ja szatanem....

DONA SOL

(rzucając się w jego objęcia).

Ty mym królem, kochankiem, życia mego panem.  
Kocham cię, kocham!

HERNANI.

Umrzeć w téj miłości niebie,  
Wszak byłoby zbawieniem?

DONA SOL.

Kocham, kocham ciebie!  
Jestem twoją na wieki.

HERNANI

(schyla głowę na jej ramie).

Jak byłoby błogo  
Skonać teraz.

DONA SOL.

Ach! Niebo może skarać srogo  
Za te słowa rozpaczy.



HERNANI.

A więc, niech nas złączy!  
 Już i tak źródź nieszczęścia za długo się sączy.  
 Chcesz sama! Jam uciekał od twojej miłości.  
 (*We wzajemném uściśnieniu patrzą na siebie zachwyceni. Ruj Gomez wchodzi i staje na progu jak skamieniały.*)

## SCENA 6.

CIŻ SAMI, RUJ GOMEZ.

RUJ GOMEZ

(*nieruchomy, ręce nakrzyż złożone.*)

A więc to jest nagroda mojej gościnności?  
 A więc to mi przynosisz, mój gościu wspaniały.  
 (*Hernani i Dona Sol jakby ze snu zbudzeni patrzą na Ruja Gomeza.*)  
 Gospodarzu! Idź, zobacz, czy pewne twe wały;  
 Czyli bramy zamknięte, czy mosty spuszczone;  
 Czyli strażę na basztach twoich nie uspięne.  
 Wyszukaj w arsenale i ciężką swą zbroją  
 Odziej, dla gościa twego, zgrzybiałą pierś twoją;  
 Idź, panie, nas ocalić; nie opuść w potrzebie:  
 Ty dla nas to uczynisz, a my, to dla ciebie!  
 Wielki Boże! Sześćdziesiąt lat przeżyłem z górą;  
 Widziałem wielu zbójców ze zwierząt naturą;  
 Widziałem ich ścinanych, bez modłów, kapłana;  
 Widziałem Sforcę, Lutra i Bordzieg, szatana:  
 Lecz nie widziałem dotąd takiej przewrotności,  
 Co wypłaca się zdradą świętej gościnności!  
 To nad moje pojęcie, zbrodnia niespodziana  
 Zamienia w kamień starca, domu tego pana.  
 I robi, że on stoi nieprzytomny sobie,  
 Jako posąg bez czucia, co stawia na grobie.  
 Kto jest ten człowiek podły? z kąd on? niech mi powie.  
 (*Do portretów.*)  
 Wy, którzy mię słuchacie, wy moi przodkowie!  
 Przebaczcie, że w mym żalu i boleści szale,  
 Powiadam, że gościnność niepotrzebna wcale!  
 O! zemsta: zemsta tylko.

HERNANI.

O! książę Pastrana!  
 Jeśli na czyjém czole zacność wypisana,  
 Jeśli w duszy i w sercu honor ma mieszkanie;  
 To w twojem, zacny książę i szlachetny panie!  
 Nie mam usprawiedliwień, bom zdawna przeklęty!  
 Tak: ja jestem przestępca, gwałcąc pokój święty!

Tak, chciałem tobie wydrzeć twą żonę tajemnie!  
 Tak, chciałem cię znieważyć. O! jak to nikczemnie!  
 Mam krew! Przelej ją, panie! masz prawo, a potem  
 Obetrzesz twoją szpadę, i nie myśl już o tém.

DONA SOL.

Panie! On nic nie winien: mnie karcieć potrzeba.

HERNANI.

Ta ostatnia godzina, dana mi od nieba:  
 Ona do mnie należy. Pozwól więc, o panie!  
 Niech powiem: że ta zbrodnia nic nie ciąży na niej.  
 Wierz mi, bo trzeba wierzyć, kiedy człowiek kona.  
 Ja zbrodzień! Bądź spokojny, bo niewinna ona.

DONA SOL.

Jam winna, bo go kocham! My się dawno znali!

RUJ GOMEZ

*(spoziera okropnie na Donę Sol).*

Ty go kochasz?

DONA SOL

*(pada na kolana).*

O! przebacz!

RUJ GOMEZ

*(do Hernaniego).*

Nic cię nie ocali.

*(Słychać za sceną trąby. Paź wbiega).*

*(Do Paza).*

Co tam?

PAŹ.

Król Karlos sam do zamku jedzie  
 Na czele swych żołnierzy, z heroldem na przedzie.

DONA SOL.

Boże! to cios ostatni!

PAŹ

*(do Ruj Gomeza).*

Cóż więc robić mamy?

Król czeka i wejść żąda.

RUJ GOMEZ.

Pootwierać bramy!

*(Paź wychodzi).*

DONA SOL.

Zgubiony!

(Ruj Gomez zbliża się do swego portretu, który znajduje się po lewej stronie; dotyka sprężyny: portret się usuwa i odkrywa za sobą kryjówkę zrobioną w murze).

RUJ GOMEZ

(do Hernaniego).

Tam się ukryj!

HERNANI.

Książę! Moja głowa

Jest twą; możesz ją wydać, a będzie gotowa.

Jestem więźniem u ciebie.

(Wchodzi do kryjówki, Ruj Gomez przyciska sprężynę i portret powraca na swoje miejsce).

DONA SOL

(do księcia).

O! błagam litości!

PAŹ

(wchodzi).

Król!

(Dona Sol okrywa się woalem. Don Karlos wchodzi uzbrojony i patrzy srogo na księcia, który mu kłania się. Za królem wchodzą dworacy, oficerowie, żołnierze).

## SCENA 7.

DONA SOL, RUJ GOMEZ, KRÓL, DWORACY,  
OFICEROWIE, ŻOŁNIERZE.

KRÓL

(podnosząc raptownie głowę).

A to mi szczególny dowód gościnności?

Mój książę! Jak twój zamek dobrze uzbrojony?

Mniemałem, że twój oręż więcej rdzą zjedzony,

Nie potrafił tak rychło błysnąć w twój prawicy,

Gdy my cię odwiedzamy, my! nie rozbójnicy!

(Ruj Gomez chce przemówić. Don Karlos przerywa mu skinieniem).

To zapóźno już, panie, grać rolę młodzieńca!

Cóż, wzięłeś mię za Turka, czy za odszczepieńca?

Czy turban na mój głowie, na miejscu korony?

Ze most zwodzisz przed nami i zapuszczasz brony?



RUJ GOMEZ.

O! Najjaśniejszy panie....

KRÓL

*(do swoich ludzi).*

Strzedz mi każde wyjście!

*(Kilku oficerów wychodzi; inni rozstawiają żołnierzy w sali. Do Ruj Gomeza).*

Rozdmuchujesz zagasłe bunty oczywiście!  
 Gdy takie będą wasze postęпки książęce,  
 To król was, po królewsku, weźmie w swoje ręce!

RUJ GOMEZ.

Królu, Siłwy są wierni!

KRÓL

*(z gniewem).*

Odpowiadaj szczerze!

Książę! Bo każę zwalić te zamki i wieże!  
 Ze zgaszonej pożogi iskra się znajduje,  
 Ze zbójców herszt pozostał. Kto go przechowuje?  
 Ty książę! I buntownik, zuchwały Hernani  
 U ciebie ma przytułek.

RUJ GOMEZ.

Najjaśniejszy panie!

To — prawda.

KRÓL.

Chcę więc jego, albo twojej głowy!  
 Czy słyszałeś mój książę?

RUJ GOMEZ.

Królu, jam gotowy:

I twa wola się stanie.

*(Dona Sol z rozpaczą upada na krzesło).*

KRÓL.

A! to rzeczy zmienia,

Idź więc po mego więźnia.

*(Ruj Gomez zakłada ręce nakrzyż, schyla głowę i pozostaje tak nieruchomy chwil kilka; nakoniec zbliża się do króla, bierze go za rękę i prowadzi do pierwszego, najdawniejszego portretu).*

BUJ GOMEZ

(pokazując na pierwszy portret).

Królu! to z imienia

Silwów najpierwszy: don Silvius miał imię,  
Człowiek wielki, dwa razy konsulem był w Rzymie.

(Król daje znaki niecierpliwości).

Słuchaj mię, królu panie!

(Do drugiego portretu).

To Silwów ozdoba:

Mistrz Wielki Kalatrawy, Świętego Jakóba.  
Jego zbroja olbrzymia, pamiątka wieczysta.  
Wygrał trzydzieści bitew, wziął sztandarów trzysta.  
Zdobył na królu Montril jego miast połowę,  
A zmarł biednym. Przechodząc, uchyl królu głowę!

(Sam zdejmuje kapelusz, król słucha go ze wzrastającą niecierpliwością. Do trzeciego portretu)

Koło niego don Żuan, dusza nieodrodna:

Ręka jego w przysiedze była królów godna!

(Do czwartego portretu).

Don Gaspar de Mendoza Silwów czci nie plami,  
Bo każdy ród szlachetny chciał być w związku z nami.  
Sandoval, to się lęka, to o nas się stara:  
Manriquez nam zawistny; zazdrości nam Lara;  
Alkanster nienawidzi. W naszej szczytnéj doli  
Wśród książąt mamy stopy, a czoła, wśród króli!

(Do piątego portretu).

To Vasquez; jego stałość była nieodzowna!

(Król niecierpliwi się).

Mijam go, dla godniejszych.

(Do szóstego portretu).

Ta głowa szanowna,

To, mój ojciec! Był wielkim jak jego naddziady:  
Hrabie Żirona wzięli Maurowie z Grenady  
W niewolę; a mój ojciec uwolnić go żądał,  
Bo kochał go jak brata: więc się nie oglądał  
Na małą liczbę ludzi, ale poszedł z niemi,  
Szukając przyjaciela w nieprzyjaciół ziemi,  
I włókł z sobą kamienną statwę Żirona,  
Poprzysiągłszy nie wracać, dopóki by ona  
Sama nie poszła na wstecz, jak Słup Izraela:  
Więc walczył i wybawił swego przyjaciela.

KRÓL

(gwaltownie).

Więznia mi, więznia zaraz!

RUJ GOMEZ.

O! tacy to byli  
Przodkowie Silwów rodu.

KRÓL

*(uderzając nogą o podłogę).*

Więźnia mi w tój chwili.

*(Ruj Gomez uchyla głowę przed królem i prowadzi go do ostatniego portretu, za którym ukryty Hernani. Dona Sol z przerażeniem pogląda na Ruj Gomeza).*

RUJ GOMEZ.

A to mój portret. Wdzięczność królowi, co raczy  
Zrobić to, że ktokolwiek ten portret zobaczy,  
Powie: to wnuk naddziadów, godny ich wielkości,  
Był zdrajcą, i sprzedawał głowy swoich gości.

*(Król zmieszany oddala się i milczy chwilę).*

KRÓL

*(z gniewem).*

Książę! Twojego zamku, śladu nie zostanie!

RUJ GOMEZ.

Zapewne chcesz go kupić, Najjaśniejszy panie?

KRÓL.

Książę! Mury twe zniszczę i na twym okopie,  
Dla wieczystej zagłady każę siać konopie!

RUJ GOMEZ.

Niech lepiej chwasty rosną na mych wież zwalisku,  
Niż mieć trawiącą plamę na Silwów nazwisku.

*(Do portretów).*

Czyż nie prawda: powiedzcie?

KRÓL.

Już czekam dość długo.  
Przyrzekłeś mi tę głowę!

RUJ GOMEZ.

Tę głowę, lub drugą:  
Daję moją.

KRÓL.

Cierpliwości nareszcie niestanie:  
Oddaj mi tego zbójcę.



RUJ GOMEZ.

Najjaśniejszy panie!

Wyrzekłem.

KRÓL

*(do orszaku).*Szukać, badać; od dołu do góry  
Przewrócić wszędzie; wszystko.

RUJ GOMEZ.

Wierne są me mury,  
Jak pan ich: nie wydadzą tajemnicy swojej!

KRÓL.

Zobaczysz czy dostoją przeciw woli mojej!

RUJ GOMEZ.

Gdy kamień po kamieniu zwałą, zamek cały,  
Zabiją mnie, to wtedy go znajdą.

KRÓL.

Zuchwały!

Oddaj mi zbójcę tego! Bo zniszczę załogę;  
Zwałę zamek i głowę!

RUJ GOMEZ.

O królu! nie mogę.

KRÓL.

Więc dwie głowy za jedną dziś mi się dostanie.

*(Do ks. Alkali).*

Jerzy! zatrzymaj księcia!

DONA SOL

*(podnosi wóal i rzuca się między strażę i Gomeza. Do króla).*

Najjaśniejszy panie!

Złym królem jesteś.

KRÓL

*(z zadziwieniem).*

Jakto? Dona Sol w tej dobie?

DONA SOL.

Królu! Serca Hiszpana nie nosicie w sobie!

HERNANI.

KRÓL

(zmieszany).

Za nadto srogo, pani króla osądziła.

(Zbliża się do Dony Sol i mówi z cicha).

Wszakżeś sama tę srogość we mnie roznieciła!

Kto cię poznał: aniołem lub szatanem będzie!

Znienawidzon od ciebie szuka ofiar wszędzie!

O! gdybyś była chciała, być może, w tej chwili

Byłbym wielkim, szlachetnym, byłbym Lwem Kastylii!

W tygrysa mię zmieniłaś pogardą, co rani!

Tygrys ryczy! Więc teraz ustąp i milcz pani!

(Dona Sol rzuca na króla dumne spojrzenie, Don Karlos uchyla głowy).

Jednak będę posłuszny.

(Do księcia).

Mój księżu prześwietny!

Twój krok choć buntowniczy, może być szlachetny.

Z wiary dla twego gościa zdradź króla w potrzebie;

To dobrze. Ja przebaczam, bom lepszy od ciebie:

Donę Sol, jako zakład, co za ciebie ręczę

Biorę z sobą.

RUJ GOMEZ.

Tylko!

DONA SOL

(zmieszana).

Mnie, panie?

RUJ GOMEZ.

Nic więcej!?

O szlachetny zwycięzca! Jakże podziękować?

Zachował moją głowę, by serce katować!

Wielka łaska!

KRÓL.

Wybieraj: zbójca ci zostanie,

Dona Sol ze mną jedzie.

RUJ GOMEZ.

Jesteś królem, panie!

(Król zbliża się do Dony Sol: ta ucieka i staje przy księciu).

DONA SOL

(do księcia).

Ocal mnie!.....

(Po chwili milczenia na stronie).

O, nieszczęsna! możesz wybierać?  
Głowa jego, lub stryja? Lepiej mnie umierać!

*(Do króla).*

Jam gotowa.

KRÓL

*(na stronie).*

Na Boga! to myśl niewiedziana!  
O! trza będzie się poddać, ma księżno kochana.

*(Dona Sol wyjmuje ze szkatułki sztylet; kryje go przy sobie: król podaje jej rękę).*

Co to pani zabiera?

DONA SOL.

O! to klejnot drogi.

KRÓL

*(z uśmiechem).*

Zobaczymy!?

DONA SOL.

O! pokażę.

*(Podaje rękę królowi i mają wychodzić. Ruj Gomez budzi się z zadumania i woła).*

RUJ GOMEZ.

Szatany, czy bogi!

Dona Sol! o! gdy człowiek nie ma tutaj serca,  
Więc muszę piekłą wzywać, jak jaki bluźnierca.

*(Biegnie do króla).*

Ona, jedném mém okiem! O! zostaw ją ze mną.

KRÓL

*(puszczając rękę Dony Sol).*

A więc wydaj mi zbójcę.

*(Książę zdaje się walczyć sam z sobą, po chwili podnosi głowę, zakłada ręce nakrzyż i patrzy na portrety).*

RUJ GOMEZ

*(do portretów).*

Litości nademną.

Wy wszyscy!

*(Postępuje do kryjówki i znów zatrzymuje się. Do portretów).*

O! nie patrzcie: bo mną pogardzicie.

*(Zbliży się powoli do swego portretu, później obraca się do króla).*

Chcesz więc?



KRÓL.

I dawno!

DONA SOL.

Boże!

RUJ GOMEZ

*(odchodzi od kryjówki i pada na kolana przed królem).*

Zabierz moje życie!

KRÓL.

Donę Sol!

RUJ GOMEZ.

Więc bierz ją! niech honor zostanie!

KRÓL

*(podając rękę Donie Sol, do księcia).*

Bądź zdrow!

RUJ GOMEZ.

Do widzenia!

*(Król wychodzi z Doną Sol. Ruj Gomez chwyta za sztylet).*

Do widzenia, panie!

*(Po wyjściu wszystkich, Ruj Gomez stoi chwilę jakby w obłąkaniu, później zdejmuje dwie szpady, mierzy je i kładzie na stole).*

## SCENA 8.

RUJ GOMEZ i HERNANI.

RUJ GOMEZ

*(przyciska sprężynę swego portretu).*

Wychodź teraz!

*(Hernani wychodzi, Ruj Gomez pokazuje mu szpady).*

Wybieraj! Już nie ma żołnierzy.

Teraz mi z twoich czynów zdać sprawę należy.

Wybieraj: tylko prędko! Cóż to? Czujesz trwogę?

HERNANI.

Walka!? Nie. Walczyć z tobą, starcze, ja nie mogę!

RUJ GOMEZ.

Czego drżysz? Czyś nie szlachcic? To mniejsza tym razem.  
Ktobyś był, by skrzyżować żelazo z żelazem,  
Każdy, kto mię obrazi, jest dość godny, ręczę!

HERNANI.

Starcze!

RUJ GOMEZ.

Albo mię zabij, lub zginiesz młodzieńcze!

HERNANI.

Zginać mogę. Wydarłeś mię dzisiaj od króla;  
Życie moje, twa własność.

RUJ GOMEZ.

A! taka twa wola?

Więc pomódl się; bo wkrótce czasu ci niestanie.

HERNANI.

O! ja chcę się pomodlić, lecz do ciebie, panie!

RUJ GOMEZ.

Wznies do nieba twe modły.

HERNANI.

Nie, przed twém obliczem.

Zabij mię, jako zechcesz: trucizną, lub mieczem;  
Ale od twój litości śmiejem pociechy żądać:  
Książę! przed moją śmiercią pozwól ją oglądać.

RUJ GOMEZ.

Donę Sol?

HERNANI.

O! przynajmniej niech głos słyszę luby!  
Raz ostatni, raz jeszcze, przed chwilą zaguby!  
Ja do niej niech przemówię, mój ojczel! A życie  
Z rozkoszą oddam później.

RUJ GOMEZ

(patrzac na kryjówkę).

A więc to ukrycie;

Tak głuchy ten przytułek, który tobie dałem,  
Że nic tam nie słyszałeś?

HERNANI.

Ja nic nie słyszałem!

RUJ GOMEZ.

Trzeba było ją oddać, lub ty byłąs wzięty.

HERNANI.

Oddać, komu?

RUJ GOMEZ.

Królowi.

HERNANI

*(gwałtownie).*

O, starcze przeklęty!

On ją kocha!

RUJ GOMEZ.

On, kocha!!

HERNANI.

Ma teraz ją w mocy!

RUJ GOMEZ.

Hola! moi wassale! Na koń! Tęże nocy  
W pogoń za zwodzicielem!

HERNANI.

Posłuchaj mię, panie!

Zemsta, co szybko bieży, w pół drogi ustanie!  
 Me życie w twojem ręku. Lecz pozwól, nim skonom,  
 Niech zemstę przysiężoną na królu dokonam!  
 O! daj mi część twęj zemsty! O! mój ojczy drogi!  
 Patrz: ja klęczę przed tobą, ściskam twoje nogi;  
 Idźmy za nim obadwa! Będę twém ramieniem:  
 Pomszczę i ją i ciebie.

RUJ GOMEZ.

A twojem istnieniem

Ja zawsze rządzić będę?

HERNANI.

Przysięgam.



RUJ GOMEZ.

Ty zbrojca!?

HERNANI.

Przysięgam ci na świętą głowę mego ojca.

RUJ GOMEZ.

Pamiętaj: ta przysięga jest rzeczą niemałą!

HERNANI

*(daje mu swą trąbkę).*

Weź tę trąbkę, i słuchaj: coby się nie stało:

Gdzie, kiedy, jak zamyślisz, wola twa się stanie.

Gdy zechcesz abym zginął, życia mego panie,

Przyjdź, zagraj na tym rogu, a w tę samą porę

Ja umrę.

RUJ GOMEZ

*(podaje mu rękę).*

Daj mi rękę!

*(Do portretów).*

Was za świadki biorę.

## AKT IV.

## GROBY.

Lochy grobowe w Es. Na prawo grób Karlomana, z małemi spiżowemi drzwiami. Jedyna lampa zawieszona pod szczytem sklepienia oświeca nadpis: *Carolo Magno. Noc. Głębie podziemne w cieniu.*

## SCENA I.

DON KARLOS i DON RICARDO, *oba w obszer-  
nych płaszczach.*

DON RIKARDO

*(z latarnią zatrzymuje się).*

To tu!

KRÓL.

Więc tutaj knują swój zamach zbrodniczy?

O! jak ich wszystkich razem ścisnę w mój prawicy!

Czarny zamach wykwita, wśród tych lochów cieni  
 Dobrze ostrzyć sztylety o grobów kamienie;  
 Jednak gra niebezpieczna gdy na karcie życia!  
 O! panowie zabójcy, wy wygrać myślicie?  
 Wybraliście za miejsce te grobowe progi:  
 Dobrze, dla siebie samych ukracacie drogi.

(Do Don Rikarda).

Jak daleko się ciągnie to zmarłych mieszkanie?

DON RIKARDO.

Aż do samój fortecy, Najjaśniejszy Panie!

DON KARLOS.

Powtórzże mi raz jeszcze spiskowych nazwiska,  
 Chciałbym moich zabójców poznać przecie z bliska.

DON RIKARDO.

Gota.

DON KARLOS.

O! wiem dla czego nienawiścią płonie:  
 Chciałby oglądać Niemca na niemieckim tronie.

DON RIKARDO.

Hohenburg.

KRÓL.

Tego zdawna znam już myśl tajemną:  
 Woli piekło z Franciszkiem, niżli niebo ze mną.

DON RIKARDO.

Telez Żiron.

KRÓL.

O podły! Dziej się Boża wola!  
 Hiszpan rękę podnosi na własnego króla.

DON RIKARDO.

Mówią, że kiedy dostał tytułu barona,  
 Waszój Królewskiej Mości nadto jego żona  
 Wdzięczną była; więc mści się honoru swój pani.

KRÓL.

A czemuż się nie zemści na całej Hiszpanii?  
 Kto więcej?

DON RIKARDO.

Biskup Waskez, członek twego dworu.

KRÓL.

Czy ten także chce pomścić swęj żony honoru?

DON RIKARDO.

Guzman Lara, malkontent; chce mieć Runo Złote.

KRÓL.

Ach! Ten Guzman de Lara! A więc ma ochotę  
Do naszyjnika? Dam mu: lecz będzie z przędziwa.

DON RIKARDO.

Lutzelburg, i nikt nie wie czego się spodziéwa.

KRÓL.

Temu zapewne głowa już ciężyć poczyna.

DON RIKARDO.

Haro.

KRÓL.

To dochód katów, cała ta rodzina.

DON RIKARDO.

To już wszyscy.

KRÓL.

To siedmiu; a coś mi się zdaje,  
Do całego rachunku jeszcze niedostaje.

DON RIKARDO.

A jeszcze kilku zbójców, najętych od rządu  
Francuzkiego—nie liczę.

KRÓL.

Ludzie bez przesądu.

DON RIKARDO.

Chociaż cała ta banda z motłochu złożona,  
Dwóch jednakże spostrzegłem.

KRÓL.

Jakie ich imiona?



DON RIKARDO.

Nie wiem.

KRÓL.

Ich lata jakie?

DON RIKARDO.

Młodszy nie ma brody,  
A starszy lat sześćdziesiąt.

KRÓL.

Ten zanadto młody,  
A ten zanadto stary. Ale mniejsza o to;  
Kat zarzucony będzie z méj ręki robotą.  
Lecz czy będę cesarzem?

DON RIKARDO.

A, właśnie w téj porze,  
Sejm zebrany na radzie.

KRÓL

*(zamyślony).*

Tak lub nie! Być może!

Czyje czoło cesarska korona ozdobi?  
O! Luter prawdę mówi: wszystko źle się robi!  
Fabrykanci Cezarów, płatni za robotę,  
Mają przyczyny swoje; lecz przyczyny złote.  
Mnie trzech głosów brakuje, jak na moją biedę!  
O! za te głosy dałbym Gand, albo Toledę,  
Lub Salamankę moją: wszak to skarby złota!  
Przyjacielu Rikardo! o, za te trzy wota,  
Słuchaj, mówię ci szczerze, byle je wyżebrać,  
Dałbym miasta! A później mógłbym je odebrać.

*(Don Rikardo kłania się królowi, a później nakrywa głowę).*

Cóż to? nakrywasz głowę?

DON RIKARDO

*(z nowym ukłonem).*

Król mi *ty* powiedział:  
Jestem grandem Hiszpanii.

KRÓL

*(na stronie).*

Co za wielki przedział  
Między jego, a moją żądzą wywyższenia?  
O! to plemię tak chciwe lichego znaczenia,

Że za tytuł sprzedałby swą duszę z wiecznością;  
 O! nicłość, nicłość, nicłość i wszystko nicością!  
 Bóg, Cesarz tylko wielcy; a i Papież jeszcze!  
 Reszta: króle, książęta....

DON RIKARDO.

Mam przeczucie wieszczę:  
 Będziesz królu — cesarzem.

KRÓL

(na stronie).

Gdyby dały nieba!  
 Lecz nic mi się nie wiedzie: królem zostać trzeba.

DON RIKARDO

(na stronie).

Ja grandem! król czy cesarz: to mi nic do tego.

KRÓL.

Jakże ogłoszą miastu cesarza nowego?

DON RIKARDO.

Gdy Frydryka wybiorą, jeden strzał harmatni,  
 Dwa strzały, gdy Franciszka; a na znak ostatni  
 Trzy strzały: wtenczas, królu, ty będziesz cesarzem.

KRÓL.

A ta Dona Sol jeszcze. Mniemam, że tym razem  
 Nie pogardzi mną. Pomnij, gdyby ogłosili  
 Mnie przypadkiem; to staw się z nią tutaj w tej chwili.  
 Kiedyż sesya się skończy?

DON RIKARDO.

Mniemam, za godzinę.

KRÓL

(na stronie).

O! trzy głosy, trzy głosy, trzy głosy jedyne!

(Do Don Rikarda).

Idź więc; wkrótce nastąpi spiskowych zebranie:  
 Klucz od grobowca?

DON RIKARDO.

Oto, Najjaśniejszy Panie!

(Kłaniając się).

Niech Królewską Mość Waszą zachowują nieba.

(Ochodzi).

KRÓL

*(woła za nim).*

Wszak tylko trzech wystrzałów, tylko trzech potrzeba.

*(Don Rikardo po nowym ukłonie wychodzi).*

## SCENA 2.

DON KARLOS *(sam)**(głęboko zadumany, ręce skrzyżowane na piersiach, głowa pochylona).*

DON KARLOS

*(obraca się do grobowca).*

Karlomanie! o! przebacz! Ta cisza grobowa  
 Same poważne tylko winna słyszeć słowa.  
 Zapewne cię obraża szmer tych namiętności,  
 Tu, przy twoim pomniku, pomniku wielkości.

*(Po chwili milczenia).*

O! Jaki cudny widok! Jak myśl mą zachwyca!  
 — Europę stworzyła jego to prawica.  
 Budynek. A na szczycie dwaj tylko mężowie,  
 Dwaj rządcy! Im podwładni są wszyscy królowie.  
 Wszystkie trony i państwa i księstwa rozliczne,  
 Królestwa, markizaty—wszystko to dziedziczne;  
 Lud zaś czasami miewa papieża, cesarza:  
 I losu rozrządzenia los inny przeważa;  
 A ztąd też równowaga trwała, jak ze stali.  
 Dumni elektorowie, pyszni kardynali,  
 Podwójny senat święty, tak straszny dla ziemi,  
 Jest tylko czezą wystawą, bo Bóg rządzi niemi!  
 Niech myśl, potrzeba wieku, przypadkiem wyniknie,  
 Rośnie, bieży i lata i wszystko przeniknie,  
 Zamieni się w człowieka, i w sercu zapadnie.  
 Nie jeden król ją depcze i chce zabić zdrađnie,  
 Ale niechże się zjawi w konklawie, w senacie,  
 Ta, niewolnica dawniej, błysnie w świętej szacie,  
 Stanie nogą na królów pochylonych skroni  
 Z tyarą na swęj głowie, lub ze światem w dłoni:  
 Cesarz i papież wszystkim! I cała żrenica  
 Przez nich i dla nich tylko. Szczytna tajemnica  
 W nich żyje; niebo na nich zlewa swoje prawa:  
 I losy ludów, króli, w ich ręce oddawa!  
 Pod niemi—to się kształci światowa dziedzina  
 W stopnie. Jeden rozwiąże, a drugi rozcina;  
 Jeden prawdę ma w ręku, drugi siłę trzyma:  
 Sami sobie przyczyną—bo innej im niema!



Gdy oba sobie równi stoją—tu na światach,  
 Ten w purpurze, a tamten w swoich białych szatach;  
 Świat z trwogą i zdumieniem patrzy na te głowy  
 Cesarza i papieża: dwie Boga połowy!  
 — Cesarz! o być cesarzem! nie być nim—boleści!  
 Czuć w sobie całą wielkość, co się w duszy mieści!  
 Jak był szczęśny ten oto, co leży w tym grobie?  
 Jak był wielki?! Jednakże, gdy pomyślę sobie:  
 Jakież to przeznaczenie? Grób jego—o! nieba!  
 Wszystkoż jest takie małe—że aż tu przyjść trzeba!  
 Jakto? więc być cesarzem i mieć swą podstawą  
 Niemcy; i być olbrzymem z niemierzoną sławą;  
 Przekroczyć w swojej chwale światowy szczyt wszelki;  
 Nosić tytuł cesarza, imię Karol wielki!  
 Być wyższym niż Annibal, wyższym nad Attyle.  
 Jak świat wielkim! I zmieścić wszystko to w mogile?...  
 Ach! żądacie cesarstwa? Patrzcież na popioły  
 Cesarza! Próżne trudy, zabiegi, mozoty,  
 Sławnych czynów odgłosy! Starajcie się wznosić  
 Wyżej i ciągle wyżej! Nie powiedzcie—dosyć!  
 Jakkolwiek cel wysoki, o którym tak marzYM,  
 Oto jest kres zabiegów....

Będęż ja cesarzem?

Widzę tron, widzę berło, cel widzę żądany,  
 I coś mi szepce w duszy—ty będziesz wybrany!  
 Gdybym był już! O Boże! być wszystkiego wątkiem,  
 Ogromnej piramidy ludzkości początkiem;  
 I tych państw Europy, na sobie spiętrzonych,  
 Być kamieniem sklepienia! Króli pochylonych  
 Widzieć pod swemi stopy, i widzieć w pokorze  
 Margrabiów, kardynałów i książąt i dozę,  
 Niżej biskupów, niżej klanów naczelników.  
 Niżej wojska, a niżej tłumy urzędników,  
 Później—o tak daleko—że oko się trudzi  
 Widzieć w głębi przepaści, na samém dnie ludzi  
 Ludzi—to znaczy tłumy zwane narodami:  
 Wielki łomot, łzy, krzyki, gorzki śmiech czasami!  
 O! lud! To jest ocean, fala wiecznie grzmiąca;  
 Co tylko tam upadnie—to wszystko zamąca!  
 Fala co tworzy trony i groby kołysze.  
 Echo, w którym król rzadko pochwałę usłyszy.  
 O! gdyby częściej patrzeć w te morze wzburzone,  
 Na dnie tam widzieć można państwo niezliczone.  
 Okręta roztrzaskane, którą jego fale  
 Kołyszą, choć zabiły i niepomną wcale!  
 Rządzić tém wszystkim i ludy i wiekiem,  
 Kiedy wiemy, że tylko jesteśmy człowiekiem?

Mieć tę przepaść pod sobą! Cóż natchnie mnie siłą  
 Być cesarzem? Gdy królem już za wiele było!  
 Tylko człowiek, wybrany ręką Opatrzności,  
 Olbrzymi swoją duszę na szczyt wielkości!  
 Lecz mnie, któż wielkim zrobi? Kto mi w pomoc stanie,  
 Kto będzie moją prawem?

*(Klęka przed grobem).*

Ty to—Karlomanie!

Ponieważ Bóg potężny, który rządzi światem,  
 Mój majestat postawił przed twym majestatem,  
 Naucz mnie, cesarzu, aby dusza moja  
 Była piękna i wielka i szczytna jak twoja.  
 Wskaż mi rządu sprężyny, których mi nie dojrzyć;  
 Powiedz, że świat jest mały, bo nie śmiem nań spojrzeć.  
 Przemów, panie! Chociażby od słów twoich brzmienia  
 Miały mię tu przywalić grobowe sklepienia!  
 Ty milczysz! A więc pozwól, niech Karlos zuchwał,  
 Spojrzy na twoją głowę—jako na świat cały,  
 I pozwól, niech olbrzymie rozmierzy twe kości!  
 Bo tutaj wszystko mniejsze, od twojej nicości!  
 Jeśli nie cień, niech prochy twe radzą mi, panie!

*(Chce odemknąć grobowiec).*

Wejdźmy. A gdy przemówi? A jeśli powstanie?  
 Gdy go znajdę chodzącym wolnymi krokami?  
 I gdy wyjdę z tych grobów z białymi włosami?  
 Mniejsza! wejdźmy!

*(Słychać kroki w głębi sceny).*

A cóż to? Czyż kroki słyszę?

Kto śmie oprócz mnie, klócić cesarskie zacisze?  
 Któż to?

*(Szelest kroków coraz bliższy)*

A, to są moi spiskowi zawzięci!

*(Odmyka drzwi grobowca, wchodzi i zamyka je za sobą. Z różnych stron podziemia zjawiają się kilku spiskowych, którzy wchodzi, dają sobie umówione znaki, ścisnąc się za ręce i jeden do drugiego kilka słów z cicha przemawia).*

## SCENA 3.

SPISKOWI, HERNANI I RUJ GOMEZ.

1<sup>szy</sup>.

Kto idzie?

2<sup>gi</sup>.

Ad Augusta!

1<sup>szy</sup>.

Per Augusta!

2<sup>gi</sup>.

Święci

Niechaj cię strzegą!

3<sup>ci</sup>.

Zmarli nam służą.

1<sup>szy</sup>.

Bóg z wami!

*(Słychać nowe kroki).*

Kto tam?

4<sup>ty</sup>.

Ad Augusta.

2<sup>gi</sup>.

Per Augusta.

*(Znowu słychać kroki).*1<sup>szy</sup>.

Za nami

Jeszcze. Kto idzie?

5<sup>ty</sup>.

Ad Augusta.

2<sup>gi</sup>.

Per Augusta.

5<sup>ty</sup>.

Jesteśmy tutaj wszyscy—a godzina szósta.

Gota! Przeczytaj raport.

KS. GOTA.

Biorę was na świadki,  
 Że król Karlos Hiszpański, cudzoziemiec z matki  
 Żąda cesarzem zostać.

1<sup>szy</sup>.

Niesłychana zbrodnia!

KS. GOTA

*(rzuca na ziemię pochodnię i gasi ją nogą).*

Niech jego życie zgaśnie, jako ta pochodnia!



WSZYSCY.

Amen.

1<sup>szy</sup>.

Trza go zabić.

2<sup>ci</sup>.

Śmierć mu!

3<sup>ci</sup>

Niechaj ginie!

DON HARO.

Ojciec Niemiec.

KS. LUTZELBURG.

Hiszpańska krew mu w żyłach płynie.

1<sup>szy</sup>.

A gdyby go wybrano?

DON ŻIRON.

Nie widzę sposobu,  
Tylko głowę z koroną wraz cisnąć do grobu.1<sup>szy</sup>.Gdy zostanie cesarzem, uchowaj nas Boże,  
Wtedy tylko Bóg palcem sam go dotknąć może.

GOTA.

Nim pozna się z purpurą, niech zna się z cmentarzem.

1<sup>szy</sup>.

Ale go nie wybiorą.

WSZYSCY.

Nie będzie cesarzem!

1<sup>szy</sup>.

Wiele ramion potrzeba na to życie jego?

WSZYSCY.

Jedno.

1<sup>szy</sup>.

A wiele ciosów?

WSZYSCY.

O! tylko jednego.

1<sup>szy</sup>.

Kto uderzy?

WSZYSCY.

My wszyscy.

1<sup>szy</sup>.

Ofiara skazana!

Sejm tam robi cesarza, my arcykapłana!

Na losy!

*(Spiskowi piszą swoje imiona na kartkach, zwijają je i rzucają do grobowej urny; później klękają i modlą się).*1<sup>szy</sup>*(powstając).*

Niech wybrany szczerze w Boga wierzy!

Mężnie, jako Rzymianin, niech w serce uderzy.

Niech nie lęka się koła, ani kleszczy kata!

Niech śpiewa na torturach, a nie wyda brata.

Lub zabić, albo zginąć—niechaj będzie stałym.

*(Wyciąga jedną kartkę z urny).*

WSZYSCY.

Czyje imię wypadło?

1<sup>szy</sup>*(czyta).*

Hernani.

HERNANI

*(wychodząc z tłumu spiskowych).*

Wygrałem!

O! jak długo téj zemsty, jak długo czekałem?

RUJ GOMEZ

*(na stronie do Hernaniego).*

Ustąp mi swego losu.

HERNANI.

O! za nic na świecie!

Szczęście się uśmiegnęło i do mnie raz przecie.

RUJ GOMEZ.

Jesteś biedny: dam tobie zamki i lenniki,  
Wsi trzysta moich; dam ci niewolniki,  
Za ten cios jeden—wszystko! Jak jest Bóg na niebie.

HERNANI.

Nie!

KS. GOTA

(do Ruj Gomeza).

Starcze! twoja ręka może zawieść ciebie!

RUJ GOMEZ.

Precz mi! Ręka nie pewna, lecz duszę mam w łonie.  
O! z pochwy zardzewiałej nie sądź ostrza broni.

(Do Hernaniego).

Twe życie w mojem ręku.

HERNANI.

Lecz w méj mocy—jego.

RUJ GOMEZ

(oddając mu trąbkę).

Ten róg oddam ci nawet.

HERNANI.

Życie?—A do czego?

Co mi z życia? A zemsty nie oddam nad wrogiem.  
Zdaje mi się że byłem w zmowie z Panem Bogiem,  
Mam zemścić mego ojca, a może co więcéj?  
A ja—czy mi ja oddasz?

RUJ GOMEZ.

Ten róg i nic więcéj!

HERNANI.

Nie.

RUJ GOMEZ.

Pomyśl dobrze!

HERNANI.

Książę! Zamysł mój niezgięty!



RUJ GOMEZ.

Wydzierasz mi pociechę — o! bądźże przeklęty!

1<sup>szy</sup>*(do Hernaniego).*Nim Karlosa wybiorą, mój bracie dostojny,  
Dobrze byłoby dzisiaj.

HERNANI.

Bądź o to spokojny!

Wiem, jak człowieka popchnąć w otchłanie grobowe.

1<sup>szy</sup>.A zdrada niechaj spadnie krwią na zdrajcy głowę!  
Tak nam Boże dopomóż! My zaś przysięgniemy,  
Gdy zginie, nie zabiwszy — to wszyscy będziemy  
Po kolei uderzać. Bracia! przysięgacie?

WSZYSCY.

Przysięgamy! Śmierć jemu!

KS. GOTA

*(do pierwszego).*

A przed czém, mój bracie!

RUJ GOMEZ

*(wznosząc rękojeść swego miecza).*

Przed krzyżem!

WSZYSCY

*(podnosząc sztylęty).*

Bez pokuty, niech wyzionie ducha!

*(Słychać jeden wystrzał: wszyscy zatrzymują się. Drugi wystrzał: drzwi grobowca uchylają się: Don Karlos na progu, błądy, słucha. Trzeci wystrzał: Don Karlos odmyka drzwi całkowicie i nieruchomy a groźny staje na progu).*

## SCENA 4.

CIŻ SAMI, DON KARLOS, później DON  
RIKARDO.

DON KARLOS.

Panowie! Idźcie dalej, bo cesarz was słucha!

*(Wszystkie pochodnie gasną. Cisza. Don Karlos postępuje krok na przód).*

O! zbrodnia z nocy idzie i zapada w cienie!  
 Mniemacie,—wam to przejdzie, jako snu złudzenie!  
 Ja jestem Karol Piąty! Uderzcie! Wy drżycie?  
 Niestaje wam odwagi? Czegoż się boicie?  
 Jaśniały krwawe światła wśród tego sklepienia;  
 By je wszystkie zagasić—dosyć mego tchnienia!  
 Lecz patrzcie, zwróćcie wasze spojrzenie błędzące,  
 Jeżeli gaszę wiele, zapalam tysiące.

*(Uderza kluczem o drzwi spiżowe; z lochów podziemia wychodzi tłum żołnierzy niosących pochodnie: na czele ich ks. Alkala, hrabia Kaza-Nowa i inni dworzanie królewscy).*

Do mnie, do mnie! Mam gniazdo! I schwyciłem w dłonie.  
*(Do spiskowych).*

Na mnie kolój oświecać, i podziemie płonie!  
 Patrzcie!

*(Do orszaku).*

Do mnie! To zbrodnia jest nad pomysł wszelki!

HERNANI

*(patrząc na żołnierzy).*

Tak—to dobrze! Sam jeden zdawał mi się wielki.  
 Mniemałem, że Karloman chciał groby przekroczyć!  
 A to jest Karol Piąty!

DON KARLOS

*(do orszaku).*

Wszystkich ich otoczyć

I rozbroić.

DON RIKARDO

*(wbiega i kłania się do ziemi).*

Najjaśniejszy Cesarzu!

DON KARLOS.

W mym dworze

Robię ciebie Alkadą.

*(z cicha).*

Dona Sol przyjsć może.

*(Don Rikardo w tej chwili wprowadza Donę Sol).*

SCENA 5.

CIŻ SAMI, DONA SOL.

DONA SOL.

Więźniowie,—wojska,—cesarz—Hernani! Drzę cała:  
 On pod strażą.

HERNANI

*(na stronie).*

Dona Sol.

RUJ GOMEZ

*(na stronie).*

Na mnie nie spojrziała.

*(Dona Sol biegnie do Hernaniego; on ją zimnym spojrzeniem zatrzymuje).*

HERNANI.

Pani!

DONA SOL

*(pokazując sztylet).*

Patrz! sztylet zawsze przy mnie

HERNANI

*(wyciąga ku niej rękę).*

Moja luba!

DON KARLOS

*(do spiskowców).*

Milczeń wszyscy! Cóż teraz? Pewna wasza zguba.  
Muszę dać wam naukę, straszną, wielką karę!  
A więc Goto Saksonie, Kastylczyku Laro  
I wszyscy wyznawajcie!

HERNANI

*(postępując krok na przód).*

Cesarzu i Panie!

Rzecz prosta, a więc będzie i proste wyznanie.  
Pisaliśmy na murze słowa Baltazara:

*(Dobywa sztyletu i wstrząsa nim).*

Chcę oddać Cezarowi, co jest dla Cezara!

DON KARLOS

*(do Ruj Gomez).*

Dobrze. Ty—zdrajcą Silwa?

RUJ GOMEZ.

Zdradzam, bom zdradzony!



HERNANI

*(do spiskowców).*

Dopiął celu; nas schwycił i dostał korony.

*(Do Don Karlosa).*Błękitny płaszcz królewski, mógł cię zdradzić wszędzie:  
Na purpurze Cezarskiej znaków krwi nie będzie!

DON KĄRLOS

*(Do Ruy Gomeza).*Książę Silwa! Za taką bezecną niewiarę  
Można zetrzeć ze świata twoje imię stare!*(Do ks. Alkali).*Zabierz tylko książęta, hrabiów i barony.  
Reszta....*(Robi znak pogardy. Znaczni panowie wychodzą z tłumem spiskowców,  
ks. Alkali otacza ich strażą).*

DONA SOL

*(na stronie).*

Ocalon!

HERNANI

*(wychodząc z tłumu).*

Cóż to? mam być opuszczony?

*(Do Don Karlosa).*

Ponieważ o śmierć idzie, a góral Hernani  
 Nie może stać w tém gronie, gdzie są ci wybrani!  
 Ponieważ głowa jego za niską się zdaje,  
 Ponieważ trza być wielkim, by umrzeć: powstaje!  
 — Bóg, który na twe czoło włożył dwie korony,  
 Mnie książęciem Segorbii stworzył i Kordony,  
 I Margrabią Monroa, hrabią Albaterra,  
 Panem miejsc, których liczba w pamięci się ściera.  
 Jestem Jan Arragoński, dziś, Hernani zbójca!  
 Wygnaniec! Syn nikczemnie zabitego ojca,  
 Twego rodzica wołam, Karlosie Kastylii!  
 Morderstwo między nami, jest sprawą familii!  
 My mamy ostry sztylet—ty masz kata, Panie,  
 Księciem zrobił mnie Pan Bóg,—a zbójcą wygnanie.  
 Lecz ponieważ naprózno ostrzyłem sztylety,  
 Gdy zemsta się wyslizga z rąk moich, niestety!

*(Nakłada kapelusz na głowę).*

Więc nakrywajmy głowy, grandowie Hiszpanii.

*(Wszyscy spiskowcy mający ten tytuł, nakrywają głowy).*

Tak, królu! Tę pociechę mamy dziś przynajmniej,

Że kiedy nasze głowy, rodem znakomite  
Mają padać przed tobą, upadną nakryte!

*(Do spiskowych).*

Silwa, Haro i Lara, księżęta, hrabiowie,  
Miejsce dla mnie! me miejsce! Słyszycie, Panowie.

*(Do orszaku królewskiego).*

Jestem Jan Arragoński; znacie me nazwisko:  
Podnieście rusztowania, by nie było nisko!

*(Wchodzi między spiskowych).*

DONA SOL.

O nieba!

DON KARLOS.

Rzeczy dawne, całkiem zapomniane.

HERNANI.

O! lepiej pamięć chowa, serce krwią oblane.

DONA SOL

*(pada do nóg królowi).*

Przebacz, Panie! Litości! Bądź bóstwa obrazem!  
On mym kochankiem, mężem! O! uderz nas razem!  
Ja nim żyję, Cesarzu! Gdy masz boską duszę,  
Zrozumiesz: gdy on ginie, ja umierać muszę!  
Rzuć obie nasze głowy pod miecz twego kata!  
A będziem błogosławić cię z tamtego świata!  
Panie! litości, Panie! Och! nie pomnę siebie!  
On mój! do mnie należy—jak berło do ciebie.  
Miłosierdzia, Cesarzu!

*(Don Karlos patrzy na nią nieruchomy).*

O! ty niewzruszony!

DON KARLOS

*(z głębokim westchnieniem).*

Dosyć. Powstań już pani i księżno Kordony,  
Hrabino Albaterra, kochanko tułacza!

HERNANI.

Czy to król tak przemawia?

DON KARLOS.

Nie: cesarz przebacza.

DONA SOL

*(powstaje).*

O, szczęście!

DON KARLOS

*(do Hernaniego).*

Don Żuanie! oto twoja żona!

*(Do Ruj Gomeza)*Wszak duma twego domu jest zadowolniona?  
I Silwa, i Arragon godni siebie właśnie.

RUJ GOMEZ

*(ponuro).*

Nie o dumę krwi chodzi.

HERNANI

*(trzymając w objęciach Donę Sol).*

Zemsta moja gaśnie.

*(rzuca sztylet).*

DONA SOL

*(do Hernaniego).*

Mój książe!

HERNANI.

W mojej duszy tylko miłość płonie!

DON KARLOS

*(na stronie, przyciskając rękę do serca).*Zagaśnij młode serce i przestań bić w łonie!  
Teraz rządów rozsądku wybiła godzina:  
Niestety! Twa kochanka od dzisiaj jedyna  
Jest Germania! Jak orzeł przy cesarskim tronie,  
Zamiast serca, herb nosić powinienem w łonie.*(Po chwili milczenia do Hernaniego).*Don Żuanie! Syn swoich ojców nieodrodny,  
Godnyś swego nazwiska,*(Pokazując na Donę Sol).*

i jój także godny!

Trza zapomnieć przeszłości, zapomnieć koniecznie.  
Ukłonij!*(Hernani klęka. Don Karlos zdejmuje z siebie Złote Runo i zawiesza na nim).*

Przyjm ten łańcuch!

*(Dobywa szpady i trzy razy uderza go po ramieniu).*

I bądź wierny wiecznie!

*(Podnosi go i całuje).*Dałem ci złoty łańcuch; a ty masz go przecie  
Najpiękniejszy, jak tylko może być na świecie,



Taki, jakiego władza króli dać nie zdoła,  
 Ramiona kochającej kobiety anioła!  
 O! ty jesteś szczęśliwy, a ja—ja cesarzem!  
 (*Do spiskowych*).

Wasze imiona z gniewem zapomniałem razem,  
 Idźcie! Ja wam przebaczam; czas zawisć uśmierzy:  
 Taka nauka światu odemnie należy.

SPISKOWI

(*klęczący*).

Niech żyje Karol Piąty!

RUJ GOMEZ

(*do Don Karłosa*).

Tylko ja skazany!

DON KARLOS.

I ja.

RUJ GOMEZ

(*na stronie*).

O! jak los ślepy—będę niezblągany!

HERNANI.

Któż to nas tak przetworzył.

WSZYSCY.

Chwała Cesarzowi!

Niech żyje Karol Piąty!

DON KARLOS

(*abbracając się do grobowca*).

Cześć Karlomanowi!

(*Do obecnych*).

Zostawcie nas tu samych!

(*Wszyscy oddalają się w głąb sceny*)

## SCENA 6.

DON KARLOS *pochylony u grobowca.*

Czyliś kontent ze mnie?

Rzuciłem nędzę króla w te grobowe ciemnie.  
 Stałem sam, opuszczony, lecz cesarstwa bliski.  
 Świat cały wkoło wyje, kipi, knuje spiski;

I zazdrośnych sztyletów ostrza podniesione;  
 Zasadzek i pogrózek mnóstwa niezliczone;  
 Wszystko nagłe, naglące, więc niewierząc w siebie,  
 „Czemże zacząć, Cesarzu?” zapytałem ciebie.  
 Ty, olbrzymi Monarcho grobowem milczeniem  
 Raczyłeś odpowiedzieć: „Synu, przebaczeniem.”

## AKT V.

### UCZTA WESELNA.

Saragossa. Taras arragońskiego pałacu. W głębi poręcze wschodów, nikańcych w ogrodzie. Na prawo i na lewo drzwi prowadzące z tarasu do mieszkań. W głębi balustrada. Noc. Słychać muzykę. Maski i domina snują się po tarasie. Na przodzie sceny grono młodzieży z odkrytymi twarzami; rozmawiają i śmieją się głośno.

### SCENA I.

DON SANCHEZ, DON MATIAS, DON RIKARDO, DON FRANCZESKO, DON GARCIA.

DON SANCHEZ.

Na widok téj radości śmieją się niebios.

DON MATIAS

(*patrząc z balkonu*).

Dziś w oknach noc przepędzi cała Saragossa.

DON GARCIA.

Dobrze zrobi. Nie zawsze widzą ludzkie oczy,  
 Ani tak pięknej pary, ni tak cudnej nocy.

DON MATIAS.

O! jaki cesarz dobry!

DON SANCHEZ.

Ach! o takiej chwili  
 Myśmy z nim, wszak pamiętasz, zasadzkę robili,  
 I ktoby mógł przewidzieć koniec całej treści?

DON RIKARDO.

I ja także tam byłem.

*(Obracając się do wszystkich).*

Słuchajcie powieści:

Widziałem trzech kochanków: nasamprzód bandytę,  
Później księcia i króla. O jedną kobietę  
Ubiegali się we trzech. Któż ją dostał przecie?  
Zbójca....

DON FRANCZESKO.

Bo to zwyczajne tu na Bożym świecie.  
Miłość i szczęście, jestto kości gra fałszywa:  
Więc nie ma nic dziwnego, gdy złodziej wygrywa.

DON MATIAS.

Gdzież zniknął stary książę? Czy sporządza trumnę?

DON SANCHEZ

Nie śmiejmy się! Ten starzec miał duszę tak dumną!  
Nie mogła go pochylić stulecia połowa.  
A dziś, w jeden dzień smutku, zbielała mu głowa.

DON GARCIA.

W Saragossie go nie ma już dni bardzo wiele.

DON SANCHEZ.

Cóż chcesz? Aby swój całun przywłókł na wesele?

DON FRANCZESKO.

A cesarz co porabia?

DON SANCHEZ.

Co dnia, gdy się budzi,  
To smutny i posępny; bo Luter go nudzi.

DON RIKARDO.

Luter? Piękna przyczyna smutku i zmartwienia.  
Jabym w moment z nim skończył, z pomocą więzienia.

DON SANCHEZ.

I Soliman go trapi.

DON GARCIA.

Lutra, Solimana,  
Jowisza i Neptuna, a nawet szatana



Odesłałbym do djabła. Bal wspaniały wcale  
I ja się bawię dobrze, bawię doskonale.

DON SANCHEZ.

O! to rzecz najważniejsza.

DON RIKARDO.

I ja temu wierzę;  
Na balu jestem inny, i powiadam szczerze,  
Z maską mam lepszą głowę niżli miałem wprzód:  
Słowo daję.

DON SANCHEZ

(z cicha do *Don Matiasa*).

Ach! czemuż nie co dnia te gody?

DON FRANCZESKO

(pokazując na drzwi na prawo).

To młodych narzeczonych pewno pomieszkanie?

DON GARCIA

(potwierdza skinieniem głowy).

Nie długo, przejdą tędy.

DON FRANCZESKO.

Czyś pewny?

DON GARCIA.

Niewinne pytanie!

DON FRANCZESKO.

Tém lepiej. Poczekajmy, chwile niestracone,  
Aby raz jeszcze widzieć taką narzeczoną.

DON GARCIA.

Widzieliście, panowie, jak pomiędzy kwiaty,  
Kobiety, i błyszczące różnofarbne szaty,  
Stała maska, oparta, tam, o balustradę,  
Plamiąc swym czarnym płaszczem całą maskaradę.

DON RIKARDO.

A jakże.

DON GARCIA.

Któż to taki?

DON RIKARDO.

Postać jój i mina  
Admirała Pankrasio bardzo przypomina.

DON FRANCZESKO.

To nie on.

DON GARCIA.

Być postrachem wcale się nie godzi.  
Patrzcie, patrzcie: tu idzie.

*(Czarne domino przechodzi powoli w głębi sceny. Wszyscy oglądają się i patrzą za niem. Ono zdaje się nie uważać na to).*

DON SANCHEZ.

Jeżeli trup chodzi,  
To pewnie takim krokiem.

DON GARCIA

*(zbliżając się ku dominu).*

Czego błądzisz w cieni

Piękna masko?

*(Maska odwraca się. Don Garcia odskakuje).*

Na honor! ma płomień w spojrzeniu.

DON FRANCZESKO.

Widzenie straszne wcale wesołość ostudza.

DON SANCHEZ.

Ach! co straszne gdzieindziej, na balu śmiech wzbudza.

DON GARCIA

*(do Don Matiasa).*

Gdzie poszedł?

DON MATIAS

*(patrząc przez balustradę).*

Zeszedł schody i zniknął śród cienia!

DON SANCHEZ

*(do siebie).*

Dziwna maska! jednakże daje do myślenia.

DON MATIAS.

Otóż i państwo młodzi!

*(Wchodzi Hernani i Dona Sol otoczeni tłumem gości. Wszyscy rozstępują się przed młodą parą i kłaniają się. Słychać muzykę).*

## SCENA 2.

CIŻ SAMI, HERNANI, DONA SOL, MASKI *ptci*  
*obojej, (w ciągu tej sceny muzyka ucicha powoli,*  
*światła gasną, wszyscy się rozchodzą).*

HERNANI

*(przechodząc kłania się).*

Drodzy przyjaciele!

DON RIKARDO

*(z niskim ukłonem).*

Twe szczęście naszym szczęściem, możemy rzec śmieie.

DON FRANCZESKO

*(na stronie, patrząc na Donę Sol).*

Na świętego Jakóba! Jój piękność mię mroczy.

DON SANCHEZ

*(do Hernaniego).*

Bądź szczęśliwy!

*(Do towarzyszy)*

No, jedźmy! Wszak już po północy!

*(Wychodzą).*

## SCENA 3.

HERNANI i DONA SOL.

DONA SOL.

Nareszcie się rozeszli. Już późna godzina?

HERNANI.

Kiedyż może być wczesna, by z tobą, jedyna,  
 Być w dwojgu, w samotności.

DONA SOL.

Prawda, drogi panie,  
 Że ten hałas balowy, zda się szczęście rani.



HERNANI.

Tak jest: szczęście, ma luba, o! poważnie płynie,  
I przenikając serce, chce mieć w niém świątynię.  
Wesołość je przeraża, sypiąc nań kwiatami,  
Uśmiech jego mniej śmiechem, a więcej jest łzami.

DONA SOL.

Ten uśmiech w twoich oczach jest niebo.

*(Hernani stara się ją uprowadzić).*

O, chwilę!...

HERNANI.

Wszak ja twym niewolnikiem, winienem ci tyle.  
Zostańmy kiedy żądasz. Nie mam własnych chęci:  
Co zrobisz, będzie dobrem; wszak nie błądzą święci!  
We mnie ogień; lecz śmiać się będę na skinienie.  
O! rozkaż wulkanowi, niech zgasi płomienie,  
To i wulkan swe ognie zamknie wnet w kraterze,  
Ostłoni się zielenią i w kwiaty ubierze.

DONA SOL.

O! jaki jesteś dobry dla biednej kobiety.  
Hernani mego serca.

HERNANI.

To imię, niestety!

Litości! Niech nie słyszę już tego imienia!  
Ono wydziera szczęście, budzi z zapomnienia!  
Wiem, że istniał tu kiedyś, tych miejsc nawet blizki,  
Hernani, a wzrok jego miał miecza odbłyski!  
Człowiek gór, człowiek nocy, przekłety, banita!  
Na jego czole zemstwa czerniała wyryta!  
I włókł za sobą wszędzie śmierć, postrach, pożogę;  
Lecz ja go wcale nie znam! Bo czyż go znać mogę?  
Ja, lubiący zabawy, i ja grand Hiszpanii,  
Don Żuan aragoński, małżonek twój pani.  
Ja, szczęśliwy!

DONA SOL.

Ja także!

HERNANI.

To pamięci zbyttek!

Pomnic to com porzucił, wchodząc w ten przybytek!  
Wracam w ten dom załoby: u progu, kobieta,  
Anioł raczój niebiański, wędrownika wita.

Wchodzę, oczyszczam sale moje spustoszone,  
 Zapalam zgasłe ognie, kolumny zwalone  
 Podnoszę, i przyjaciół spraszam w dzień radości;  
 I jestem cały w szczęściu, w zachwycie, w miłości;  
 Niech mi oddadzą zamki, wasalów gromady,  
 Mój hełm, i moje miejsce śród kastylijskiej rady;  
 Niech ma Dona Sol przyjdzie, anielskie widzenie,  
 Niech nas samych zostawią, reszta, zapomnienie:  
 Ścieram wszystko co było! I nie mam przyszłości:  
 Czy to szczytem szaleństwa, czy szczytem wielkości  
 Nie wiem! lecz kocham ciebie.

*(Chce ją uprowadzić).*

DONA SOL.

Jeszcze jedną chwilę ...  
 Widzisz, płacząc; bo w sercu szczęścia tyle, tyle...

*(Zbliża się do balustrady).*

Chodź, popatrz: jak tu pięknie! Jedno mgnienie oka  
 Odetchniemy i spojrzym, jak ta noc głęboka!  
 Zgasły światła, głos uczy ciszy nie przerywa;  
 Tylko my jedni, z nocą! Ach! jakżem szczęśliwa!  
 Powiedz: czy wierzysz temu, gdy tutaj my sami?  
 Natura, pół-uśpiona, lecz czuwa nad nami?  
 Ani chmurki na niebie; wszystko w śnie spokojném;  
 Przyjdź tu, odetchnąć ze mną tém powietrzem wonném!  
 Patrz: ni światła, ni szmeru. Cisza na około.  
 Gdy ty do mnie mówiłeś, księżyc wznosił czoło:  
 Głosu twego dźwięk luby i promienie drżące  
 Wpadały w moje serce gwałtownie bijące,  
 I tak mi było lubo i błogo, żem chciała,  
 Aby mię śmierć z tém szczęściem, do nieba zabrała!

HERNANI.

Na głos twój trza się rozstać z myślami gorzkiemi:  
 Bo słowa twe są śpiewem, ale nie tój ziemi!

DONA SOL.

Te ciemności mnie smucą, ta cisza mnie ziębi!  
 Prawda, dobrze byłoby: jedna gwiazdka w głębi?  
 Gdyby nuta piosenki czarowna i rzewna,  
 Wzniosła się, tam, z tój ciszy.

HERNANI

*(uśmiechając się).*

Pani moja zmienna!  
 Tylko cośmy nie chcieli ni światła, ni śpiewu.

DONA SOL.

Balowych. Ale żeby wśród nocy powiewu,  
 Jaki słowik zaśpiewał, ukryty w gęstwinie,  
 Lub flet, tylko zdaleka. Bo muzyka płynie  
 W duszę, i tam gra echem; akordy jej drżące  
 Obudzą śpiących w sercu harmonij tysiące.  
 O to byłoby cudnie.

*(Słuchać w oddaleniu dźwięk trąbki).*

To Bóg mię wysłuchał.

HERNANI

*(na stronie).*

Nieszczęsna!

DONA SOL.

Anioł z nieba myśl moję podsłuchał.  
 Twój anioł.

HERNANI

*(z goryczą).*

Tak! mój anioł, od wieczności progę.

*(Znowu dźwięk trąbki).*

DONA SOL

*(z radością).*

Don Żuanie! Poznałam, to głos twego rogu.

HERNANI.

Tak, luba!

DONA SOL.

O! ty pewno należysz w połowie  
 I do téj przyjemności.

HERNANI.

Ja z grającym, w zmowie.

DONA SOL.

Wszystkie bale na świecie za ten dźwiękbym dała!  
 Twa trąbka: jakbym głos twój z oddali słyszała!

*(Znowu granie trąbki).*

HERNANI

*(na stronie).*

Tygrys swojej ofiary wymaga z wściekłością.



DONA SOL.

Don Żuanie, ta nuta jest moją radością!

HERNANI

*(gwałtownie).*Nazywaj mię Hernanim! To imię złowieszcze  
Na mém przeklętém czole niezatarte jeszcze!

DONA SOL.

*(przeżazona).*

Co ci jest?

HERNANI.

Starzec!...

DONA SOL.

Twe oko błądzi w przeżeniu!

Co ci, drogi?

HERNANI.

Patr! Starzec śmieje się tam w cieniu.

DONA SOL.

Na złudzenie twój myśli ty drzysz pełen trwogil  
Jaki starzec?

HERNANI.

Patrz: starzec!

DONA SOL.

O! błagam cię, drogi,  
Powiedz, jakie cierpienia w twém sercu zbolelałem?

HERNANI.

Ja przysięgłem.

DONA SOL.

Przysięgłeś?

HERNANI

*(prowadząc rękę po czole, na stronie).*

Cóż powiedzieć chciałem?

Nie trwoźmy ją.

*(Głośno).*

Nic, droga, o czém była mowa?

DONA SOL.

Mówiłeś mi.....

HERNANI.

Myśl błędna w błędne przeszła słowa.

*(Znowu słyhać granie; na stronie).*On żąda! on wymaga! Niespełnione śluby!  
Winienem już był skończyć.

DONA SOL.

Tyś chory, mój luby!

HERNANI.

Dawna, chociaż zamknięta, dolega mi rana.

*(Na stronie).*

Oddalmy ją!

*(Głośno).*Przepraszam dona Sol, kochana,  
Ty wiesz, o ta szkatułka, co w dniach strasznej próby  
Nosilem zawsze z sobą.

DONA SOL.

Wiem, wiem, o mój luby!

Na cóż ona?

HERNANI.

Tam napój mam przygotowany,  
Który jeden uśmierza boleści mej rany.  
Idź droga, przynieś mi go.

DONA SOL.

Wnet przyniosę, panie!

*(Wychodzi drzwiami na prawo).*

## SCENA 4.

HERNANI *sam.*Otóż, co z mojem szczęściem za chwilę się stanie,  
Otóż wyrok, co świeci wśród przyszłości cienia!  
Jakże gorzko los szydzi z mego przeznaczenia.*(Zapada w głębokie i bolesne dumanie; później zrywa się).*

Ale cóż? Wszystko milczy! A więc mi się zdało?  
O! gdybym się omylił.

(Maska w czarnym płaszczu pokazuje się na tarasie: Hernani skamieniały stoi).

## SCENA 5.

## HERNANI i MASKA.

MASKA

(grobowym głosem).

„Coby się nie stało,  
Gdzie, kiedy, jak zamyślisz—wola twa się stanie:  
Gdy zechcesz abym zginął, życia mego Panie,  
Przyjdź—zagraj na tój trąbce, ja umrę w tój chwili.“  
—Świadkami tój przysięgi, umarli nam byli,  
Cóż więc? ty żyjesz?

HERNANI.

To on!

MASKA.

Starzec przypomina!  
Wchodzę i mówię tobie: to moja godzina!  
Spóźniłeś się.

HERNANI.

Dość tego! jak każesz umierać?

MASKA.

Żelazo lub trucizna: możesz sam wybierać.  
Przyniosłem co potrzebą i przyszedłem po to,  
By umrzeć z tobą razem. Módl się!

HERNANI.

Mniejsza o to.

## SCENA 6.

## CIŻ SAMI, DONA SOL.

DONA SOL.

Nie mogłam znaleźć nigdzie.



HERNANI

*(na stronie).*

Ach! ona. O Boże!

W tej chwili!

DONA SOL.

On zbladł strasznie i głos mój go trwoży:  
 Jakie straszne cierpienia sprawia mu ta blizna.  
 — Lecz cóż to? Co masz w rękę? O mów!...

*(Domino zdejmuje maskę, Dona Sol wydaje okropny krzyk poznawszy Ruj Gomeza).*

To trucizna!

HERNANI.

O nieba!

DONA SOL

*(do Hernaniego).*

Tyś okropnym ogarniony szalem.  
 Więc mnie oszukiwałeś?

HERNANI.

Ach! milczyć musiałem!

Przyrzekłem księciu umrzeć; on dług przypomina.  
 Arragon dziś zapłaci; wybiła godzina!

DONA SOL.

Ty mą własnością jesteś! Tyś moim, mój miły:  
 Nie oddam cię nikomu!

*(Do Ruj Gomeza).*

Miłość da mi siły

Bronić go przeciw tobie.

RUJ GOMEZ.

A gdzież te potęgi,  
 Coby go obroniły od własnej przysięgi?

DONA SOL.

Przysięgi?

HERNANI.

Ja przysięgłem.

DONA SOL.

Nie, nie! Czy to można  
 Dawać taką przysięgę: to zbrodnia bezbożna!

RUJ GOMEZ.

No, książę!

HERNANI

*(zbliża truciznę do ust, Dona Sol go zatrzymuje; do Dony Sol).*

Pozwól, droga! Me słowo ma książę!  
Mój ojciec patrzy z nieba, nic mię nie rozwiąże.

DONA SOL

*(do Ruj Gomeza).*

Łatwiej ci od tygrysów, w puszczy, bez oręża  
Wydrzeć dzieci, niżeli wydrzeć u mnie męża.  
Czy ty wiesz—kto ja jestem? O! kiedyś, z litości  
Dla twych lat sześćdziesięciu i dla twęj starości  
Byłam dziewczę pokorne, drżąca i nieśmiała:  
Widzisz dzisiaj me oko, jak wściekłą łzą pała.

*(Dobryna sztyletu).*

Widzisz sztylet w męj dłoni, poczwaro z cmentarza!  
Gdy oko moje grozi, to strzeż się żelaza.  
O! strzeż się Ruj Gomezic! W nas jedna krew płynie:  
Gdybyś był moim ojcem—to śmierć cię nie minie,  
Gdy na mego kochanka zechcesz podnieść rękę!

*(Rzuca sztylet i pada do nóg Ruj Gomezowi).*

Miłosierdzia! Mój stryju, patrz na moją mękę!  
Niestety! ja kobieta! I w męj słabęj duszy  
Boleść wnet siły złamie i wolę pokruszy.  
Nie hańb szkaradną zbrodnią świętęj swęj starości!  
U nóg twoich się czołgam: litości! litości!

RUJ GOMEZ.

Pani!

DONA SOL.

O przebacź! przebacź! Ty wiesz, zem Hiszpanka,  
I gniew był w moich słowach: bronilań kochanka!  
Ja nieraz twego serca doznałam dobrego;  
Stryju! Ty mnie zabijesz, jeśli dotkniesz jego!  
Litości! Ja go kocham....

RUJ GOMEZ.

Przypominam sobiel...

HERNANI

*(do Dony Sol),*

Ty płaczesz?

DONA SOL

*(do Hernaniego).*

Nie! ja nie chcę widzieć ciebie w grobie!  
Nie—nie chcę!

*(Do Ruj Gomeza).*

Daruj życie! A miłością szczerą  
I ciebie kochać będę.

RUJ GOMEZ.

A! po nim dopiéro!

*(Do Hernaniego).*

Cóż więc?

*(Hernani zbliża truciznę do ust. Dona Sol chwytą go za rękę).*

DONA SOL.

Czyż jednej chwili wyprosić nie mogę?

RUJ GOMEZ.

Mogła jest otwarta, a godziny drogie.

DONA SOL.

Książę! O jedną chwilę! Don Żuanie! błagam.  
Nieczuli! Czyż tak wielkiej rzeczy ja wymagam?  
Chwilę jedną nic więcej! Nic nie żądam przecie!  
Ach, pozwólcie przynajmniej nieszczęsnej kobiecie  
Powiedzieć, co ma w sercu! O! mój Don Żuanie!

RUJ GOMEZ.

Ja czekam... czas ucieka...

DONA SOL.

Przerażasz mię, Panie!

Cóż ja ci zawiniłam?

HERNANI

*(na stronie).*

Głos jój dręczy duszę!

DONA SOL

*(trzymając Hernaniego w objęciach).*

Widzisz, mam z tobą mówić, powiedzieć ci muszę.

RUJ GOMEZ

*(do Hernaniego).*

Umrzć trzeba—nie zwlekaj.



HERNANI.

DONA SOL.

Kiedy się dowiecie?  
Muszę rzecz ważną odkryć—książe!

(Wyrzyna Hernaniewi flaszkę z ręk).

Mam ją przecie!

(Podnosi w górę flaszkę przed zdziwionemi Ruj Gomezem i Hernanem).

RUJ GOMEZ.

Ponieważ tu kobiety rządzą mężczyznami,  
Muszę szukać czci męskiej pomiędzy duszami.  
Opowiem twemu ojcu, jako tu, na świecie  
Dotrzymuje swych przysiąg jego zacne dziecko!  
— Żegnam was!

HERNANI

(zatrzymując księcia).

Książe! chwilę!

(Do Dony Sol).

O! na miłość Boga!

Chceszże widzieć mnie zdrajcą, fałszerzem, ma droga?  
Chcesz żebym na mém czole nosił jak zgniliznę,  
Złamana wiara moja? O! daj tę truciznę!  
Wróc mi ją! niech się wola przeznaczenia stanie.

DONA SOL

(ponuro).

Chcesz jój?

(Pije truciznę).

Więc masz ją teraz.

RUJ GOMEZ.

Ach! to było dla niej!

DONA SOL

(oddaje Hernaniewi flaszkę w pół wypróżnioną).

Bierz, mówię ci.

HERNANI

(do Ruj Gomez).

Nędzniku! Widzisz co się stało!

DONA SOL.

O! nie miój drogi żalu! Połowę zostało.

(Hernani bierze flaszkę).

Tybyś był nie zostawił nic dla swój kochanki!  
Ty nie masz w sobie duszy żony i chrześcianki!

Nie wiesz, co to jest miłość, co to serce moje?  
Ale ja piłam pierwsza, teraz się nie boję...  
Pij resztę!

HERNANI.

Cóż zrobiłaś? Luba, nieszczęśliwa!

DONA SOL.

Sam chciałeś tego, drogi.

HERNANI.

O! to śmierć straszliwa!

DONA SOL.

Dlaczegoż ma być straszną?

HERNANI

(do nieba wznosząc oczy).

Karzesz mię o Ojczy!

Za to, zem cię zapomniał!

(Chce pić truciznę, Dona Sol chwytą go za rękę).

Boleści zabójcze!

Odrzuć zdala ten napój! Ból w piersi się wije  
Jak wąż! Mój Don Żuanie! Ta trucizna żyje,  
I rzuci w twoje serce hydrę rozjuszoną,  
Co na tysięczne części poszarpie twe łono!  
Nie wiedziałam, że można uczuć ból tak srogi!  
To ogień i nóż razem! O! nie pij, mój drogi!  
Zanadto cierpieć będziesz.

HERNANI

(do Ruj Gomeza).

Nie mogłeś szatanie

Mniej bolesnej trucizny, przygotować dla niej?

(wypija truciznę i rzuca fiaszeczkę).

DONA SOL.

Co robisz?

HERNANI.

Ty wypiłaś!

DONA SOL.

Chwil many nie wiele,  
O! chodź w moje objęcia! Cierpisz?

HERNANI.

Nie, aniele!

DONA SOL.

Oto ślubna noc nasza nad nami zapada!  
Prawda, na narzeczoną, nadto jestem blada?

HERNANI.

Ach!

RUJ GOMEZ.

Los straszny się spełnia.

HERNANI.

Okropne katuszel  
Boleści! Ona patrzy, a ja patrzeć muszę!

DONA SOL.

Uspokój się! mnie lepij! O! bez skargi gińmy!  
W jasności—razem, luby, skrzydła swe rozwińmy!  
Do lepszego nas świata unosi męczeństwo!  
Ach! jeden pocałunek—o! jeden....

*(Hernani i Dona Sol we wzajemnym uściśnieniu).*

RUJ GOMEZ.

Przekleństwo!

HERNANI

*(słabym głosem).*

O! mój Boże! za życie burzą skołatane,  
Przepaściami otoczone, przez widma ścigane,  
Dzięki ci! bo pozwalasz, po tej długiej męce,  
Skonać, złożywszy usta na jej świętej ręce.

RUJ GOMEZ.

Oni jeszcze szczęśliwi!

HERNANI

*(konającym głosem).*

Droga! tu w uspieniu....

Bardzo cierpisz.

DONA SOL

*(słabym głosem).*

Nie, luby.



HERNANI.

Widzisz... ognie w cieniu?

DONA SOL.

Nie jeszcze.

HERNANI

*(z westchnieniem).*

Koniec....

RUJ GOMEZ

*(podnosząc mu głowę).*

Umarł!..

DONA SOL

*(obłąkana, coraz słabszym głosem)*

Umarł! nie! my mamy

Tyle szczęścia... ach! tyle... bo... tak się kochamy!

On śpi—mój anioł z nieba, mój mąż, me kochanie!

O! proszę go nie budzić, mój szlachetny panie.

*(Obraca głowę Hernaniego twarzą do siebie).*

Obróć twe lica do mnie! Urok... niepojęty...

Bliżej.... ach! bliżej.... jeszcze....

*(Upada i kona).*

RUJ GOMEZ.

O! jestem przeklęty!

*(Przebija się sztyletem).*

K O N I E C .



## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

*La fin d'un Monde*, studjum historyczne Jules-Janina.—*Pisarze i poeci nowocześni*, przez p. Taillandier. Ostatnia powieść pani Georges Sand.—*En fumant*, Karra.—*Paris s'amuse* Verona.—*L'Isthme de Darien*, przez p. Puydt.—*Studjum demokracji amerykańskiej*, Witt'a.—*L'Esprit des Grecs*, przez p. Morel.—*Alcesta*, tragedia Eurypidesa z muzyką Gluck'a.—Projekt hodowania gąbek i żółwi na wybrzeżach francuzkich.

Przeciągające się do zimy lato, zły wpływ wywióra na literackie plony. Autorowie dłużej niż studenci używają wakacyj, widząc się do nich przez wyraźną łaskę jaśnieoświecającego słońca upoważnieni. Ten i ów wybierając się na przechadzkę z flintą, mówi, spojrzawszy na zakurzone papiery i zapleśniały kałamarz: jutro zasięde do roboty, dziś trzeba jeszcze korzystać z pogody: może to ostatni ciepły dzionek! I tak, dzień za dniem schodzi na beczynnem oczekiwaniu nie przybywającej zimy. Pod wpływem włoskiego klimatu, włoskie Francuzów opanowało lenistwo; ale cóż się dziwić ludziom, kiedy nawet pracowitsze od nich jaskółki jeszcze o zwykłej nie pomyślały podróży. Wszystko wyszło z powszedniego trybu. Teatra, które według kalendarza pootwierały podwoje, cofnęły nowe sztuki i dotąd letnie pobierają dochody. Osoby, co także trzymając się kalendarza, ze wsi powróciły, odjechały napowrót do Dieppe, Hawru i Trouville, a zdumiony ocean obaczył na swém łonie gości czerpiących zdrowie w listopadzie. Opera włoska pusta. Choć grają Cimarosę, Paryżanie wolą słuchać śpiewu syreny niż głosu Marya, lub świergotania Alboni. Biblioteki puste.

Choć wyszła jaka nowa książka, czytelnicy wolą wachać róże niż rozcinać karty, a przeglądanie nie przekwitających książek odłożyć do kominkowej pory.

Pojąc łatwo, że w takim stanie rzeczy, podczas tak uporczywie powabnej willegiatury, literatura drżemie... Jednak szukając dobrze, znajdzie się kilka godnych czytania książek. Jeżeli wola, przejrzymy je razem, chociaż na wstępie ostrzegam, że w tym listopadowym snopie ziarno nie ważne.

Ułatwiając rozmowę, której początki zawsze trudne między nieznanymi, zaczynam przegląd od znajomego autora, pisarza, którego żywe i dowcipne pogadanki umilały samotność najdalszych wiosek polskich mieszkańcom, ilekroć wzięli do ręki wszędzie wstęp mające *Debaty*. Otóż sławny dziennikarza tego feiletonista Jules Janin, wydał studyum obyczajów XVIII wieku, pod napisem: *La Fin d'un Monde et du Neveu de Rameau*.

Ten Rameau, którego Janin obrał sobie tą razą za bohatera, był jednym z najcharakterystyczniejszych szubrawców za czasów Voltair'a. Sławny encyklopedysta Diderot zaszczycał go przyjaźnią i często nawet rad jego zasięgał, wielce szanując zdrowy rozsądek i szerokość inteligencji tego brukowego ladaco. Autor *Obrazu Paryża* Mercier znał go i opisał. Z jego opisu potomność poznała dziwaka, do którego zapalali się Diderot i Goethe, oryginała, który tyle zajmujących kart natchnął Janinowi, a który w istocie był największym łotrem, jakiego dostarczyła światu tak zwana *cygania*. Nie dziwi się temu kto pozna jego dom rodzicielski.

„Skończyłem lat dwadzieścia dwa, powiada młody Rameau, kiedy ojciec wszedł do mego pokoju i rzekł: —Jakże długo chcesz jeszcze tak żyć? podły próżniaku! Już dwa lata na dzieła twoje czekam. A wiesz-że ty, że ja w dwudziestu leciech już byłem powieszony i już miałem stan”?

Jakoż w młodości papa Rameau został za jakieś brukowe przestępstwo obwieszony. Szczęściem przejeżdżali znajomi, odciepli powróż, a wisielec uciekł do najbliższego szynku, gdzie tego jeszcze wieczora grał koncert na skrzypcach i pokazywał maryonетки, które zrobił napręd-



ce z koszuli, pocieniował atramentem a krwią swoją uróżował.

Mając takiego ojca, trudno było nie zostać t $\acute{e}$ m cz $\acute{e}$ m został syn: niesfornym próżniakiem i pasożytem. Ale tenże pasożyt miał talent, który niestety, jak tego liczne dowodzą przykłady, może iść w parze z najpodlejszym charakterem; miał dowcip, bujną wyobraźnię i wymowę tak porywającą, że go w kawiarnianych klubach z zachwyceniem słuchali dwaj tacy ludzie jak Diderot i Goethe.

Jules Janin znający dokładnie wiek XVIII, nie omieszkał odszkicować t $\acute{e}$ j fantastycznej figury, jawiącej się „pod koniec starożytnego świata.” W istocie nikt lepij $\acute{e}$  od niego nie mógł opowiedzieć skończenia owego świata, czyli ow $\acute{e}$ j społeczności. Społeczność była zgniła, stan rzeczy oplakany, czasy ciężkie, ale pisarzy genialnych wydały wiele, chocia $\acute{z}$  i zadanie autorów nie było łatwe. „Poddani trzem cenzurom, pisząc, mieli zawsze w perspektywie Bastyli $\acute{a}$ , Vincennes, For-l'Ev $\acute{e}$ que i t. d., powiada Janin. Ale mimo to pisali, bo byli zahartowani jak żelazo panującym wtedy w szkołach *batogiem*”.

„Od wieków cudotworny s $\acute{y}$ nu bycz $\acute{e}$ j sk $\acute{o}$ ry,  
Exorcysto złych duchów, poprawco natury,  
Pod jakimkolwiek na świecie s $\acute{l}$ yniesz imieniem,  
Czy cię Lach basem bolesnym, czy swoim obyczajem  
Dziki z Krymu pohaniec ochrzcił nahajem”... .

Zawsze skutki tw $\acute{e}$ j wymowy były dobre, woła natchniony widokiem batoga Naruszewicz, a dzieła świadczą że ludzie bici i bić umieli i pisać. „Bito dawniej, mówi nasz historyk, i młodzie $\acute{z}$  lepsza była bita:

„Czego nie dobił Pijar, albo ksiądz Jezuita,  
Wam ojcowie została ostatnia robota,  
W łozim ogniu dać jeszcze próbę tego złota.  
Rura, niechluj, basalyk, wnet Francuzem został,  
Gdy go z kółka makarem pan ojciec wychłostał“ i t. d.

Ale porzućmy żarty i kończmy przegląd rozłożonej ksią $\acute{z}$ ki Janina.

Obok Rameau'ta i paryzkiej cyganii, szerokie miejsce zajmuje w ni $\acute{e}$ j Diderot: jestto ulubiona figura Janina. Najszczęśliwszy kiedy może przywdziać siwy pluszo-

wy surdut encyklopedysty, jego podarte mankiety, czarne pończochy pozszywane z tyłu białemi niemi, i tak paradować po ogrodzie luksemburskim, rozprawiając językiem Diderota. Janin tak nim się przejął, iż jak sam powiada, śni mu się często iż jest Diderotem, że układa artykuły do encyklopedyi, lub się kłóci w Caffé de la Régence.

Stała się odwrotna metempsykoza: żywy wcielił się w umarłego i maczając pióro w jego kałamarzu napisał książkę nader obrazową. Bańki mydlane, które Janin tak zręcznie wydmuchuje, odbijają zawsze coś z walk dawnych i tegoczesnych aspiracyj francuzkiego narodu: dlatego nie pękają nie zostawiwszy wrażenia lub wspomnienia.

Nie spracowany to człowiek ten Janin. Od lat czterdziestu pędzi z dziennikarskiem *steeple-chase* zawsze na przodzie, choć jedzie na *feiletonie*, koniu najpłochliwszym na literackich wyścigach, narownym, nielubiącym przeszkód ni trudu, gotowym zawsze zsadzić z kulbaki zbyt ciężkiego jeźdźca. Prócz tej pracy, wysuszającej mózg, podejmuje drugą: co rok pisze i wydaje jedną przynajmniej książkę.

Artykuły i książki Janina są streszczeniem historii nowoczesnej w stu obrazach; ramy ich ciężne, ale pełne: znajdziesz w nich odbicia wszystkich rozrywek społeczności francuzkiej; doskonałe poglądy na społeczeństwo zeszłego wieku i satyry naszych czasów. Ostatnia praca zajmie pierwsze miejsce w studyach obyczajowych tego płodnego pisarza, który do najsubtelniejszych zalet autorskich łączy zdrowy rozsądek, największy przymiot francuzkiego narodu, i dar jasnego wyrażania myśli, największą zaletę francuzkich pisarzy.

—Pan Saint-René Taillandier wydał studyum pod tytułem *Pisarze i poeci nowoczesni*. Znajdujemy w tej książce życiorys amerykańskiego romansopisarza Sealsfied'a, Henryka Heine, Henryka Conscience powieściarza flamandzkiego, powieściarza szwajcarskiego Gotthef'a, Leopolda Kompert i Oskara Redwitz. A propos tego ostatniego, rzecz o poezyi katolickiej w Niemczech; a pro-

pos Hebbel'a, o teatrze niemieckim, artykuł wybornie napisany.

W tym tomie, który najmniej cierpliwy czytelnik z przyjemnością do ostatniej karty przeczyta, najlepiej wydała nam się napisaną biografia Heinego. gdzie autor mówi obszernie o poezji niemieckiej w XIXtym wieku. Pan Taillandier twierdzi, że cały trzydziestoletni ruch umysłowy Niemiec był uosobiony w umyśle Heinego; że on jest zwierciadłem wszystkich terażniejszych pragnień i odwiecznych cnót Germanii. Jakoż w istocie: subtelny, szyderczy, śmiały tyleż prawie Francuz co Niemiec, pokrywający czułość śmiechem, Heine na drodze sceptycyzmu rozsiał mnóstwo brylancików, w których najczystsze odbijają się idealy.

Pierwszy ten człowiek swojego wieku (dlatego, jak powiada, że się urodził 1 stycznia 1800 roku, minutę po północy) był humorystą, ale humorystą chorym na ciele i duszy: jęk cierpienia zawsze u niego zmieszany z wesołości wybuchem; mianowicie też pod koniec życia, w pismach jego daleko więcej łez niż śmiechu. Heine był często niesprawiedliwy, gwałtowny, zaślepiony, ale zawsze dowcipny i poetyczny. Szyderstwo jego, w głębi zawsze ma coś ludzkiego. Dzieckiem płakał czytając historią Don Quichota; dorosłszy, często go naśladował: nieraz bił się z wiatrakami biorąc je za olbrzymów. Burząca jego werwa biła w samowolą i obłudę; drwił niechętnie z niemieckiej nielogiki, niedołężności i serwilizmu; nieustannie stawiał Niemcom przed oczy Francuzów, jako przykład do naśladowania; narodom zaś, wolność, jako warownią do zdobycia ukazywał. „Jestem synem rewolucyi, woła, biore znow na ramię broń, którą matka błogosławiła i zaklęła czarownicami słowy. Kwiatów, kwiatów mi dajcie! chcę uwieńczyć głowę na śmiertelny bój. Lirę, lirę mi dajcie: chcę śpiewać hymn wojny.”

René Taillandier skreślił żywot Heinego i rozebrał jego dzieła bez uprzedzenia; wymienia z kolei wszystkie jego cnoty i wady; ostatecznie, dochodzi do téjże definicyi co sam Heine. Raz, w napadzie dobrego humoru, porównał on się do niemieckiego słowika, który sobie uwił gniazdo w peruce Voltaira. Porównanie nadzwyczaj traf-



ne! Rodzaj talentu, natura ducha, dążność i ton, słowem analiza człowieka i dzieł jego, leży w tych kilku słowach. Pomimo wad i przywar, Heine ma mnóstwo przyjaciół we Francji; prawdziwie dowcipny człowiek znajdzie ich wszędzie, bo daje ludziom rzadkie specyały: smaczny ekstrakt prawdy w brylantowym kubku.

— Pani Sand wydała nową powieść pod tytułem: „*Valvedre*”. Jak Boileau zniecierpliwiony niegdyś chwałą Ludwika XIV, wykrzyknął: „*Grand roi, cesse de vaincre, ou je cesse d'écrire!*” tak ja dziś z małą przemianą, rad-bym powtórzyć wykrzyknik zakochanego w swym królu historyka i zawołać: *Grand poëte, cesse d'écrire, ou je cesse de lire.*

Na tej niepojętej manii pisania bez natchnienia ni potrzeby, cierpią najwięcej wielbiciele dawnego geniuszu autorki „*Indyany*”. Nic przykrzejszego dla nich, jak pamiętając owe karty, co płyną niby kaskady dyamentów pod afrykańskiem słońcem, czytać dziś utwory tegoż pióra, blade, bezbarwne, odarte z wszelkiej poezyi, zaledwie czystością stylu, tu i owdzie zdradzające swoją wysoką koligatę. Wyparłaby się takich braci, nietylko dumna *Lelia*, ale nawet najmiłosierniejsza z miłosiernych *Consuelo*; *Edmea* za nic w świecie nie przyznawałaby się, że jest z nimi w pokrewieństwie!

Od niejakiego czasu pani Sand naśladuje siebie, ale naśladuje bardzo źle. *Valvedre* jest bladą kopią „*Jacques*”; ponieważ zaś, jak mówi francuzkie przysłowie: *le sublime touche au ridicule*, z tego nieudolnego zbliżenia smutne dla nowj powieści wynikają skutki. *Valvedre* ma być jednym z owych niesamolubnych małżonków, którzy dawniej z kałamarza pani Sand, jak bajeczne duchy zaklęte z odemkniętej amfory, wylatywały niebotyczne, ku zbudowaniu aniołów, a dziś pozostają przy ziemi karłowate, dla zabawy gminu.

Otóż, żona owego pocziwca *Valvedra*, *Alida*, opuszcza męża i dzieci bez ważnego powodu, tak sobie, jak mówią mazury „z łaski na uciechę”. Kochanek jęj nawet tej uciechy nie usprawiedliwia. Prócz niego, miłuje *Alidę* żyd *Moserwald*! Ten Izraelita przechodzi głupotą wszystkich przeszłych i przyszłych kochanków. Czemu taka

rola dostała się żydowi? Niewiadomo. Nie wiem, czy żydzi kochać umieją, ale to wiem, że mają rozum: co zresztą nie tajne nikomu. Pojąć trudno, jak autorka nie dowiedziała się o tém, chociażby od swego wydawcy Leviego.

Cóżkolwiekby, ów Moserwald gra rolę śmieszłą, głupią, a nawet jest celem żartów podejrzanego smaku. Śmierć bohaterki, wpędzonej przedwcześnie burzami życia do grobu, wszystko uspokaja. Zaledwie pochowano tę kość niezgody, mąż i kochanek rzucają się w swoje objęcia i żenią z dwiema siqstrami, ażeby tym sposobem spokrewnić się z sobą jeszcze bliżej.

Podobne uczucia równie rzadkie jak żydowska głupota; ale romans z samych niepodobieństw się składa. Odmalowane trafnie z natury, są tylko tarapaty młodzieńca wpędzonego w *szkodę* miłością głowy, kiedy ma w sercu miłość wyższą i dozwoloną.

Na tém ogranicza się nietylko nowość pomysłów, ale i prawdziwość powieści, o której mowa. Gdyby była podpisana innem imieniem, my sami, zamiast ganić, możebyśmy chwalili, bo „na bezrybiu i rak ryba”. Ale, opatrzona tak świetną nazwą książka, czego innego każe się spodziewać, a jeśli nie dotrzymuje obietnicy, budzi przeciw autorowi niechęć, gniew prawie, jak przeciw łamiącemu słowo szlachcicowi: bo jeśli, jak mówią, szlachectwo obowiązuje, sto razy więcej obowiązuje geniusz.

— Alfons Karr wydał książeczkę pod tytułem: „*En fumant*”. Jak wszystkie utwory tego pisarza, tak i ten ostatni odznacza się arcyzdrowym rozsądkiem, głębokością myśli i dowcipem, którego celne strzały podziwiał niegdyś świat w „*Osach*”, a później w „*Bourdonnements*”, także piśmie peryodycznem, karcącym nadużycia, zabobony, śmieszności i niesprawiedliwości ludzkie.

Jako biegły ogrodnik Karr zręcznie obiera z gąsienic drzewo społeczne. Próżność francuzka, wodewilisci, Babinety, Veuilloty, przechodzą tam przez różgi niepopolitej gibkości.

Ze wszystkich synów pierwszego cesarstwa a wnuków rewolucyi, co porodzili się po ukończeniu wielkiego Napoleońskiego dramatu, w chwili dzielącej przyszłość od

przeszłości, nie będącej ani jedną ani drugą a do obu podobnej, tak, że człek nie wie, czy po zasiewie, czy po rżysku stąpa; ze wszystkich mówię tych Francuzów, co z rozczarowanych matek łona przyszli na świat bez wiary i nadziei, Karr najmniej przyniósł z sobą zwątpienia. Wierzy on w postęp, kocha przyszłość, jeżeli nie jak oblubienicę żywą, to jak Pigmalion Galateę, jak marmurową kochankę, której żyły wnet purpurową krwią nabiegną. Teraźniejszość tak ciężka dla innych poetów, terażniejszość, ów anioł zmroku nie będący ni dniem, ni nocą, jemu nie zaciemnia wzroku: oczyma duszy przebija mgły, widzi jutrenkę różanną i zwiastuje ją ludziom dobrej woli. Nieubłagany dla złych tej ziemi panów, dla tych co cierpią w cichości, ma zawsze słowa pociechy i łzy współczucia: jak rosa niebieska na pustynią, padają one na ducha wieku uwiniętego w płaszcz samolubstwa i dzwoniącego zębami skutkiem wewnętrznego zimna.

Zachować gorące serce wśród zimy moralnej w porze przeczenia wszechrzeczom, ziemskim i niebiańskim, niepodobna bez wyższej pomocy. Dlatego nam pisma Karra wydają się natchnione i chwytamy je skwapliwie, pewni, że ta lektura utwierdzi w dobrych, a złe myśli odegna. Niegdyś Napoleoński żołnierz zapytany, w co wierzy? odpowiedział: „w siebie”. Zadaj teraz toż samo pytanie Francuzom, ogół odпові: „w nic”; z piszących może tylko sam jeden Karr mógłby nie kłamiąc odpowiedzieć: „w Boga”.

— Piotr Veron, dowcipny redaktor „Charivari”, pod tytułem: „*Paris s'Amuse*” opisał zabawy Paryżanów w sposób filozoficzno-szyderczy, często bardzo pocieszny. Wedle autora, Paryż usiłuje się bawić i bawić drugich, ale nie zawsze mu się to udaje; zabawy jego nie są ani osobliwe, ani wysokie. Zdaniem Verona, dzisiejsze pokolenie zstępuje coraz niżej na uciech drabinie, wiruje w pyle rozrywek powszednich, uciech poliszynelowskich, trwoniąc zdrowie i mienie na rzeczy niesmaczne, ubliżające zarówno sercu i gustowi.

Książka czyta się jak artykuł w Charivari; tam i tu obłuda i śmieszność dostaje porządną chłostę: powożące



się damy, zapał sportmański, przyjemności łódkowych po Sekwanie wyścigów, rodzinne tańczące wieczory, na których nikt nie tańczy, a wszyscy ziewają; bale niefamilijne, na które wszyscy krzyczą, a każdy uczęszcza w masce i bez maski; moralizowanie słowne a rozpusta czynna: krótko mówiąc, wszystkie grzechy i wybryki poczciwego Paryża odsłonię i wykarcone różeczką funkcjonującą dobrze w macierzyńskiej ręce: oto grunt książki Verona. Że na dobrym gruncie łatwo rosną kwiaty, o tém wie każdy, dlatego o stylu tej wesołej satyry zaprawionej Arystofanowską uszczypliwością, mówić zbyteczna.

— Naturalista Puydt wydał dziennik podróży, pod napisem: „*L'Isthme de Darien*”. Cel tej podróży do Nowego Świata, następujący:

Podczas kiedy wszystkie oczy zwrócone na przekop Lesseps'a, ściagały postępy ogromnego przedsięwzięcia mającego rozstrzygnąć jedno z najważniejszych zadań oświaty nowoczesnej, światły i majątny obywatel Rogers, przeczytawszy dzieła Humboldta, powziął myśl wysłania do Ameryki komisji biegłych, celem rozpoznania na miejscu, możliwości połączenia kanałem dwóch oceanów: Spokojnego z Atlantyckim. Na czele wyprawy stanął uczony naturalista francuzki Lucyan Puydt. Dwóch inżynierów, dwóch Napoleońskich oficerów, ksiądz i kilku ochotników, składali tę naukową ekspedycją, która w początku roku bieżącego przybyła na miejsce przeznaczenia.

Tu zaczęły się wszelkiego rodzaju walki, jakie staczać muszą ze stworzeniem i żywiołami ludzie w kraju zupełnie dzikim. Wszystko trzeba było zdobywać szturmem z pomocą inteligencyi i odwagi: ciąć drogę w dziewiczym lesie, przebywać rzeki bez mostów, znosić skwar ognisty, bronić się od zęba dzikich zwierząt i żądał jadowitych gadzin, walczyć z chorobą, która zawsze prawie w tamtych stronach napada zuchwałego podróżnika i t. d. i t. d. Wszystko to pokonywali francuzcy wysłańcy, po francuzku, to jest energicznie i wesoło.

Tym sposobem odbywana missya skończyć się musiała pomyślnie. Jakoż podróżni dotarłszy gdzie należało, obejrawszy na własne oczy co widzieć trzeba było,

zdjawszy plany i pomiary, powrócili szczęśliwie do Francji, przynosząc niezbite dowody możliwości wykopania Darińskiego przekopu.

Historia naturalna nie została pominięta w tej podróży. Przewodnik jej Puydt, prócz rzeczy dotyczących kopania kanału, ogłosił w swym dzienniku mnóstwo szczegółów mogących zająć naturalistów i żeglarzy.

Jeżeli obecnie roztrząsany projekt przekopu Darińskiego będzie wykonany, jeśli jak słyhać, zawiąże się towarzystwo nakładców a Francuzi połączywszy morze Czerwone z Śródziemnym połączą dwa oceany, przybędzie jeszcze jedno wielkie dobrodziejstwo do girlandy dobrodziejstw, jakimi ta „perła narodów” świat uposażyła.

— Wstąpiwszy na amerykańską ziemię, przejrzyjmy za jednym zachodem studjum pana Corneles de Witt, wydane pod tytułem: „*l'Etude historique sur la démocratie Americaine*”.

Jestto właściwie życiorys Jeffersona. Autor Deklaracji niepodległości, postawiony po dwakroć na czele krajowego rządu, zagorzały patriota i nieposzlakowanej prawości obywatel, Jefferson, jeżeli nie jest wielkim człowiekiem, to niezawodnie jest wielkim Amerykaninem. Przez niego zastosowany systemat polityczny w ciągu półwieku podniósł Stany Zjednoczone do stopnia siły i pomyślności, jakiej nie spodziewali się osiągnąć najgorętsi przyjaciele związku w 1787 roku, kiedy Washington rządził, a Jefferson był jego sekretarzem. Jakaż polityka może się pochłubić, iż w ciągu półwieku ugruntowała pomyślność i wielkość kraju?

W samem hrabstwie Ohio jest czternaście miast noszących nazwę Jefferson'a, co nie przeszkadza, że umarł w nędzy. Rzeczypospolite, równie jak monarchie, wedle kaprysu wdzięczność swą lub niewdzięczność rozdają. Jedyną sprawiedliwość, na którą mogą liczyć mężowie stanu, jest sprawiedliwość historii, chociaż i ta rzadko z zupełną bezstronnością sędzi.

Tą razą jednak Jefferson nie może narzekać na swego historyka Witt'a: rażą go wady człowieka, nie podziela jego sposobu myślenia, ale dlatego nie przesadza złego,

nie naśladuje Guizot'a, który unosi się, ilekroć o nie swoich stronnikach mówi i z widoczną oczernia ich uciechą.

Jefferson nie brał udziału w rozprawach nad konstytucją, w czasie bowiem kiedy była układaną (1787) był ambasadorem amerykańskim przy dworze francuskim. Ale, chociaż nie dyskutował artykułów ustawy, można powiedzieć, że ducha jej ustalił i przyczynił się najwięcej do nadania znaczenia, jakie ma obecnie. Jefferson pierwszy był wyobrazicielem i fundatorem demokracji amerykańskiej.

Czytając studjum historyczne Witta, można sobie zdać sprawę z przemiany zaszłej w samej teorii rządu Stanów Zjednoczonych od czasów Washingtona do Jeffersona. Widocznym jest, że pierwsi fundatorowie tego rządu nie oparli go wyłącznie na wszechwładztwie większości: senat nie jest wybierany przez lud; magistratura federalna jest niewzruszona; każdy stan może dowolnie stanowić sobie prawo wyborcze, tem samem rozciągać lub ścieśniać głosowanie. W niektórych punktach konstytucya amerykańska zbliża się do konstytucyi brytanickiej i mogłaby doń zbliżyć się jeszcze więcej zdaniem Witta, gdyby była miała silniejsze w tym kierunku parcie. Twierdzi on, że do tego popychało ją najmędrze w kraju stronnictwo. Ale czyż moc pchająca naród w tę, lub w ową stronę, wychodzi całkowicie ze stronnictwa lub człowieka? Idzie ona podobno z wyższej woli, a zasada radykalna, która mimo rozumnych Anglomanów przemogła w Ameryce, przemódz musiała, bo powinna była być na czas prawem narodu, który miał dokonać tak wielkich cudów osobistej energii i prywatnej inicjatywy.

Wracając do Jeffersona, pan Witt tłumaczy jakim sposobem stanął na czele stronnictwa radykalnego w swoim kraju. „W Paryżu, powiada, znienawidził starą organizacją społeczną Europy i wszystko co z nią wiązało się jeszcze w Ameryce; w Paryżu znienawidził potęgę arystokratyczną i duchowną, którą pierwiej strofował bez gniewu; w Paryżu porwany filozoficznym ruchem XVIII wieku, ten śmiały umysł rozzuchwalił się aż do szaleństwa”, chociaż tak bardzo szalonym być nie musiał, kiedy Sieyès, Barnave i Monnier radzili go się, czy lepiej jedne



czy dwie Izby ustanowić, a on oświadczył się za dwoma, „jako dającymi z jednej strony więcej rękojmi przeciw francuzkiej *nagłości*, z drugiej, przeciw samowolnym dążeniom Izby *jednej*”.

Jefferson umarł 4 lipca 1826 roku w południe, w sam dzień pięćdziesiątej rocznicy ogłoszenia niepodległości. W wigilią wieczorem biorąc zmrok za przedświt, zapytał: „Czy to już 4ty lipca?”—Niedługo, odpowiedziano mu. „Będę czekał”, odrzekł; zasnął i nie obudził się aż czwartego rano. Dzisiaj czwarty! zawołał otwierając oczy. Nasza niepodległość już pół wieku liczy, mogę odejść spokojnie”. Te były jego ostatnie słowa. W parę godzin potem już stał przed Bogiem.

Tegoż dnia umarł John Adams, drugi i trzeci prezydent rzeczypospolitej amerykańskiej; zniknął o tej samej godzinie, jakby stawając na jakiś tajemny apel.

Dniu wiekopomny! czyż cię już nigdy Ameryka nie będzie obchodziła jednem sercem i jedną wiarą? Witt, wytykając palcem każdą wadę konstytucyi Stanów, choć nie republikanin, twierdzi, że jedność niepospolita w obecnym kataklizmie nie zginie, że na tych samych podstawach ostać się może, jeżeli kodeks swój poprawi. Toż samo utrzymuje świeżo ztamtąd wracający książę Napoleon. Nie trzeba więc rozpaczać o przyszłości poważniejszych Stanów: ten tylko ginie, kto poprawić się nie chce. Rasa anglo-saksońska wzięła od protestantyzmu zdolność zastanawiania się nad sobą i moc doskonalenia się. Dla takich narodów wielkie wstrząśnienia nie są grobem, ale zbawienną nauką.

— Niespracowany szperacz, archeolog-filozof Morel, dostarczywszy „*Słownikowi moralności powszechnej*” dwóch obszernych studyów pod tytułem: „*les Moralistes Orientaux*” i „*Moralistes Latins*”, dorzucił obecnie do poprzednich nową pracę tegoż rodzaju; tytuł jęj „*l'Esprit des Grecs*”.

Nie jestto dzieło oryginalne, ale raczej zbiór wyjątków z najlepszych pisarzy greckich; gatunek słownika filozoficznego, w którym myśli, zasady, zdania i przysłowia czerpane ze wszystkich greckich źródeł znajdują się ułożone wedle porządku alfabetycznego. Przyjętą przez

autora formę nakazywała natura zbioru, który jego praca o jeden tom pomnoży. Sztuka pisarska gra tam podrzędną rolę; cała zasługa pracy tego rodzaju w wiedzy, pozwalającej zgromadzić bogactwa rozsiane po bibliotekach i w dobrym smaku pozwalającym rozróżnić w steku materiałów najstosowniejsze do zamierzonej budowy.

Z tego zadania Morel wywiązał się dobrze; w cytacjach uniknął jednostajności i pedanteryi, dwóch skał, o które zwykle rozbijają się podobni jemu pisarze. Oceniając trafnie przytaczanych autorów, zestawiając szczęśliwie rodzaje, szkoły i epoki, złożył całość wcale zajmującą i przystępną. Prócz znanych podaje mnóstwo wyciągów z autorów zapomnianych, po których mało śladu zostało; ztąd dla wielu czytelników nauka, a dla niektórych rewelacya nieznanego świata.

Przy tekście kładzie Morel sławniejsze przekłady francuzkie: Racina, Boileau; la Bruyera przy Theofraście, a Lafontaine przy bajkach Babrius'a. Przytacza także dawniejsze przekłady. Obok wyciągów z Herodota jest tłumaczenie francuzkie z roku 1580. Umieszcza wszystkie lepsze przekłady wierszem: Voltaira z anthologii, naśladowanie Anakreonta przez Lafontaine.

Przez całe dzieło przeprowadzoną jest ta myśl ogólna, że po wszystkie czasy zasady moralności mimo różnicy formy, były jedne, o czém najlepiej przekonywają umysłowe szczątki starożytnej Grecyi, z których wysnuto wszystkie nowsze pojęcia. Grecya ta w dziele pana Morel maluje siebie sama: duch i ciało Hellady od natchnionych czasów aż do epoki, w której Ateny były już tylko sławną szkołą grammatyków i retorów, przemawia tam przez usta wszystkich swoich wieszczów i filozofów. Widzimy ją naprzemiany to prostą, to majestatyczną, żartobliwą, surową, uszczypliwą, to łagodną, wierzącą, to sceptyczną.

Naliczyliśmy przeszło dwieście wyciągów z Homera, Plutarcha, Platona, Xenofonta i Arystotelesa w zbiorze Morela. Sławny hymn Harnudiusza „do Wolności”, który Villemain tak pięknie ocenia w swoim „*Essai sur la Poésie lirique*”, umieszczony pomiędzy szyderczą kartką Lucyana i uszczypliwą sceną Arystofanesa, odbija mocno niby promień słońca na czarnej chmurze.

Uderzającym jest, że w tym zbiorze zdań i pojęć sformułowanych przed dwoma tysiącami lat, znajduje się mnóstwo takich, któreby można napotkać dziś w paryzkich dziennikach. Anaxias i Timocles bawią się kosztem ateńskiego *półświata*, jak Charivari. *Sprawiedliwość* w Atenach, Koryncie, lub Sparcie, pojmowaną była nieinaczéj jak dziś przez europejskich teoretyków i filozofów. Chrysipp powiada: „Sprawiedliwość jest absolutną, leży w naturze, równie jak prawo i rozsądek; od umowy nie zależy”. Antyfon zaś mówi: „Lepiej uwolnić winnego, niż skazać niewinnego”. Szkoda, że sędziowie rzymscy skazując na śmierć Locatellogo, nie zastanowili się gruntownie nad tym pogańskim przepisem.

Ileż kwestyj poruszono już wtedy, które dziś jeszcze są przedmiotem zażartych dyskusyj. Wybory powszechne, wolność mównicy, wolność sumienia wtedy tyleż miały obrońców co dzisiaj. Platon był stronnikiem wychowania *obowiązkowego*, czyli przymusowego, które dziś właśnie ma być zaprowadzone we Francyi, jako jedyny środek przyspieszenia oświaty ludu. „Nie należy, mówi Plato, zostawiać do woli rodzicom, posyłanie lub nieposyłanie dzieci do szkoły; trzeba, żeby wszyscy mali i duzi oświecali się o ile możliwości i *koniecznie*, albowiem mniej do rodziców niż do ojczyzny należą”.

Arystoteles znowu potępiając niewolę w rzeczypospolitej, daje niechęący zdrową radę poróżnionym Stanom Ameryki: „Niema demokracji tam, gdzie drobna część ludzi rozkazuje niewolniczej większości”. „Wolni czy nie wolni, nie mająż jednakiego ciała? pyta Filemon, natura nie stworzyła niewolników: siła ujarzmiła ciało”.

Podobnych zdań pełno. Czytelnik z niewymowną radością napotyka te prawdy jasno sformułowane, jeszcze u wezgłowia kolébki ludzkości. Dotąd lekceważyliśmy książki złożone z wycinków, ale nauczający zlepek Morela, z niemi nas pogodził; skorzystają z niego wszyscy, co nie mając czasu lub możliwości przeczytania kilkuset tomów, radziby wiedzieć ostatnie słowo starożytnéj mądrości.

W chwili kiedy piszemy niniejsze sprawozdanie, wychodzi nowa praca Morela, pod tytułem: „*Esprit des Allemands*”. Jestto znowu zbiór myśli, zasad i pomysłów



najsławniejszych pisarzy niemieckich, z którymi Francuzi daleko mniej od nas obeznani. Schiller, Richter, Goethe, Wieland, Hoffman, i inni dostarczyli materyału. W przedmowie autor bada charakter mowy niemieckiej; ocenia także filozoficzny systemat Kanta.

W teatrze Wielkiej Opery przedstawiono *Alcestę*. Tragedya grecka z muzyką Gluck'a, to Cytharedzki Apollo zstępujący z piedestału i budzący swą uspioną lirę. Muzyka odwieczna, nie stara jednak, tylko starożytna, wielkie sprawiła wrażenie. Pieśni Gluck'a mają wieczystą prawdę namiętności; styl jego pełen szczytnej prostoty, ogromny jak nieskończoność, nurzy czasami przywykłe do mniej surowych dźwięków ucho; ale jeżeli nuda w dzieło się wciska, to podobna tej, jaką rodzi zbyt długa kontemplacya wielkiej rzeczy: niebios przeczystych, spokojnego morza, lub greckiej świątyni rysującej swe proste linie na przezroczystém powietrzu.

Zamiast mówić o muzyce, której oddać słowami niepodobna, przebiegnijmy treść tragedyi Eurypidesa. Muzyk przetłumaczył ją tak wiernie, że partycya pełna greckiego ducha, wydaje się być dosłownym przekładem.

Apollo wygnany z Olimpu, znalazł przytułek w pałacu Admeta: spożywał chléb jego i pilnował trzody; zawdzięczając gościnność, boski niewolnik stał się opiekunem swego gospodarza; skoro Parki zagroziły jego życiu, wyjednał ulaskawienie, pod warunkiem atoli, że za niego kto inny dług zapłaci i dobrowolnie śmiertelnym podda się nożycom. Ani ojciec, ani matka, ani przyjaciele Admeta nie chcą poprzedzić go w grobie; widząc to żona jego Alcesta, podpisuje fatalny cyrograf, i dziś właśnie ma umrzeć. Dziś także „dla uniknienia plamy” bóg Apollo dom Admeta opuścił.

Okoliczność godna uwagi. Wszyscy poeci starożytni wspominają o wstąpieniu, jaki budzi w bogach ludzkie kowanie. Apollo opuszcza Hektora w *Iliadzie*, skoro dni jego odwazone na szali przeznaczeń ku grobowi się chylą; Juno w *Eneidzie*, w godzinie skonu porzuca Turnusa; cały Olimp opuszcza zwykle śmiertelników w takiej chwili.

Jakaż różnica pomiędzy starożytnym a nowym Bogiem! Bóg chrześcian swą obecnością i namaszczeniem wspiera tego, który ma umrzeć na ziemi a odrodzić się w wieczności. Bogi pogan przeciwnie, lękają się zbrukać dotknięciem nędzy ludzkiej. Dlatego ludzie wyparli się tych, co ich się wypierali w najuroczystszej godzinie, a poszli do Tego, który nie lękał się umrzeć jak oni.

W dniu oznaczonym przybywa po Alceste śmierć, a raczej *skon*, Grecy bowiem dawali kształt mężki widmu zniewieściałemu w nowoczesnej wyobraźni: mąż starożytny nie chciał być pokonanym przez kobietę. Skon tedy, wchodzi w dom Admeta. Zgromadzone przed bramą chóry, straszą się ponurą jego ciszą i szepcząc pytają się wzajemnie, co dzieć się może w tym zamku, do którego zapukał skon?... Wtém służąca wychodzi i opowiada, że pani ubiera się na śmierć. Opowiadanie jęj greckim obyczajem, gazując zbyt smutne obrazy, przedstawia Alceste kąpiącą piękne ciało w krynicznej wodzie, następnie, obłóczącą królewskie szaty i żegnającą dom cały.. Elegia niewolnicy brzmi cicho, i żałośnie jak ton fletni poprzedzającej trumnę... Zanim w podwojach pałacu ukazuje się Alcesta, już wszystkie serca podbiła.

Królowa blada, wsparta na ramieniu męża, otoczona dziećmi, przychodzi pożegnać słońce, dla niej raz ostatni świecące: z ust jęj lecą skrzydlate słowa ku światłu, ku rodzinnej ziemi; przed oczyma duszy suną rzewne i gorące wspomnienia... Ale myśl o śmierci wnet płoszy te lube ptaki, a zapal lodem ścina... Śmierć młodej Greczynce przedstawia się w całej przerażającej szkaradzie: jak Prozerpina porwana w kwiecie wieku, tak ona walczy z geniuszem ciemności. Ślepa, nie wie gdzie idzie, nie wie co ją czeka... żal jęj światła ziemskiego jako najwyższego dobra.

Zwykła to żalność umierających Greków: każdy do ostatniej chwili jak heliantem obracał twarz ku słońcu. Dziś człowiek umierając, żałuje tylko dostatków, sławy, czasem przyjaciół; mieszkańcy szczęsnej Hellady, tylko słońca żalowali, i słusznie, bo czemże była bez niego Grecya? Posągiem w ciemnościach.



Ożywiona świeżem powietrzem Alcesta, otwiera przed mężem serce swoje, i objawia ostatnią prośbę w sposób dziwnie rzewny; żadne późniejsze treny nie dorównywają tej zachwycającej elegii: tylko konające łabędzie tak śpiewać musiały. Greczynka nie udaje pogardy śmierci; zna ogrom swego poświęcenia. Za to, że młoda życiem swém życie męża okupuje, żąda od niego tylko jednej łaski „nie życia, bo nic nad nie droższego,” ale żeby pozostał wierny jej cieniowi, żeby nie dał dzieciom macochy. Potem, zanosi się od płaczu... z dziecięcą naiwnością wyznaje, że się boi ciemności; gotowa drugi raz podpisać swój dekret śmierci, ale nie tai że umrzeć ciężko. Tym czasem, śmierć się przybliża, mrok otacza Alcestę: słowa jej coraz rzadsze, twarz coraz bledsza, oddech coraz cięższy... nareszcie pada, jak kwiat święty, bez męki konania.

Poczyza grecka nie ma piękniejszej nad Alcestę postaci. Miłość macierzyńska, poświęcenie dla męża, dobroć dla sług, niezmierna słodycz tchnąca w każdym jej słowie, czyni z niej świętą pogańskiego świata, męczennicę godną chrześcijańskiego ołtarza. Skon tej poganki więcej wzrusza, niż śmierć chrześcianki, bo poświęcając się dla miłości, nie widzi przed sobą otwartego nieba.

Alcesta umarła. Lament dzieci i sług rozlega się w pustym pałacu. Ale wnet przemienia się jego postać: przybywa gość nowy. Herkules w przejeździe zatrzymuje się u Admeta. Z pół-bogiem życie do zamku wraca; zastawiają dlań stoły: głośna wesołość gości, napęlnia żalobne komnaty, ale nie znajduje w domu echa. Uderzony tém pół-bóg pyta domowników o powód smutku? Sędziwy niewolnik opowiada mu całą katastrofę. Dowiedziawszy się o śmierci Alcesty, poczciwy atleta zaszlochał i przysiągł, że ją wydrze śmierci. „Gdzie jej grób? pyta, powiedz gdzie? pobiegnę tam, śmierć siedzącą napadnę, pochwycę, i póty dusić będę, aż mi zwróci ofiarę.”

Herkules dotrzymuje słowa. Wkrótce powraca, wiodąc zakwefioną kobietę. Staje z nią przed Admetem i powiada, iż to jest niewolnica, którą prosi żeby zachował aż do jego powrotu. Admet odmawia. Wierny przyrzeczeniu uczynionemu Alcescie, nie wprowadzi innej kobiety do



domu. Wtedy Herkules odsłania welon zakrywający twarz przybyłej, a mąż poznaje w niej zmartwychwstałą żonę.

Cudna jest rola Alcesty w tej ostatniej scenie. Jak posąg nieruchoma stoi, nie mówiąc ani słowa: usta uśmiechnione drgają życiem, oczy natchnione zdają się niebios zwierciadłem: ale milczy. Dla czego? Wtajemniczona w skrytości śmierci, widziała niewidzialność, słyszała niewysłowioną; każde słowo wyszłe z ust jej, nie byłoby prawdą, ale świętokradzką plotką, bo w żyjących języku nie ma na to wyrazu...

Więc pozostaje niemą. Natchniony autor, jak Wirgiliusz zatrzymując się na progu niebios, węzłem milczenia powiązał wskrzeszoną śmiertelnicę z idealnym światem.

Zakończenie w operze musiało być mniej subtelne jak w tragedyi. Alcesta przez śmierć gnana, przybywa do bram piekielnych. Chór duchów podziemnych wzywa ją w głąb przepaści. Ona chce je przebłagać prośbą, ale prośba jak o głaz roztrąca się o nieubłagany pozew. Orkiestra naśladuje łoskot uderzanego wiosłem Styksu. Admet przybywa i usiłuje obronić ukochaną... ale już za późno: miłośny duet kona w boleści rozdzierającego pożegnania: złe duchy porywają ofiarę, a widmo Charona występuje na czarne tło przepaści...

Wyjawszy tę małą odmianę, Gluck na język tonów przetłumaczył wiernie ideał Eurypidesa. Miłość małżeńska podniesiona do świętości ofiary, zda się być ulubionym przedmiotem germańskiego muzyka: dwa razy go grał i dwa razy wyśpiewał precudnie. *Alcesta* i *Orfeusz* są bliźniętami: piękności ich dość nadziwić się nie można. Które piękniejsze? nikt nie wie: każdy czuje, że tu i tam są niezmiernie głębiny czucia, niby łez morze, na którym w końcu ukazuje się z daleka blada mara utraconego szczęścia.

Pani Viardot rolę Alcesty gra jak natchniona kapłanka Apolina. Doskonała tragiczka i śpiewaczka, bohaterkę Eurypidesa żłobi precudnie; muzyka Gluck'a przez piers jej jak przez harfę eolską przepływa... Głos do łez wzrusza, akcja stąpając w takt rytmów starożytnych, uzacnia. Nie można sobie wyobrazić wznioślejszej sceny, jak tę, kiedy Alcesta sama u stopni ołtarza, rozwa-

za powziętą myśl poświęcenia. *Recitativo* wyrażające walkę w sercu żony i matki, wahanie pomiędzy mężem, którego chce zbawić, a dziećmi, które trzeba porzucić, wypowiedziane z płomiennem czuciem przez panią Viardot, niezawodnie do najwznioślejszych scen poezji lirycznej należy.

Ostatni poszyt *Buletynu Towarzystwa aklimatyzacyi* zawiera: Studium pana Lamiral, o hodowaniu gąbek i aklimatyzowaniu ich na francuzkich brzegach morza Śródziemnego. Lamiral wspólnik doktora Payerne, wynalazcy statku podwodnego, przeznaczonego do ułatwienia robót w głębi morza, jakoto: zbierania pereł, koralu, perłowej macicy, gąbek, ostryg i t. d. w artykule swoim przechodzi wszelkie gałęzie przemysłu, w których można użyć korzystnie statku Payerna. Nad handlem gąbkami zatrzymuje się najdłużej, i podaje ciekawe szczegóły o naturze i połowie tych użytecznych zwierzo-roślin.

Naturaliści długo nie wiedzieli, jakie miejsce na drabinie jestestw naznaczyć starożytniej gąbek rodzinie. Najpierw uważali je za rośliny; potem za pierwotne zwierzęta należące do osobnego królestwa ochrzczonego mianem *Heteromorfu*; ostatecznie, postawili gąbkę na końcu zwierzęcego państwa pomiędzy polipami i polipierami, stanowiącego przejście od zwierząt do roślin w łańcuchu przyrody.

Trudno było zbadać organizacyą tych istot żyjących w głębi morza. Dziś atoli wiadomo, że w miesiącu kwietniu z zarośli gąbczanych wybija w górę rodzaj szumowin, czy poczwerek drobnych, skłębionych jak żabi skrzek; te, porwane prądem wody, płyną za wolą fali; w końcu uczepiwszy się twardego ciała, rosną w znajomym kształcie. Zawsze trzymając się skał podwodnych, gąbki nigdy bliżej powierzchni jak 25 węzłów nie przebywają; żyją pływającami w tej głębokości robaczkami, które chwytają za pomocą śliny, czy galarety, otaczającej ich czuby.

Gąbki najpośledniejsze, zamieszkują morza ciepłe, jak Czerwone i Meksykańską zatokę. Niektóre dochodzą tam do ogromnych rozmiarów: mają metr, a często półtora metra wysokości. W morzach temperatury umiarkowanej

a mianowicie w morzu Śródziemném, tkanka gąbczana rodzi się daleko cieńsza i zbitsza. Im więcéj na północ, tem gąbka mniejsza i delikatniejsza, aż w końcu nie masz jej wcale. Nie znana jest dokładnie długość życia tych zwierzo-krzewów, ani czas jakiego do wzrostu potrzebują; jednakowoż doświadczenie nauczyło, że w początku trzeciego roku można znowu łowić w miejscach, gdzie były poprzednio zupełnie wyczerpane.

Łowieniem gąbek trudnią się głównie Syryjczycy i Grecy, w wodach począwszy od Bejrutu aż do Aleksandretty; zaczynają je łowić w maju a kończą w sierpniu. Skoro przyjdzie pora połowu, Grecy wylądowują w nadbrzeżnych miastach Syrii, rozbijają swoje łodzie, i zajmują takowe mieszkańcom; na każdą siada sześciu ludzi wprawnych i płyną szukać gąbek; każdy nurek ma w ręku nóż silny do odrywania ich od skały. Grecy morejscy używają do tego ostrego trójzęba, osadzonego na długiej tyce i opatrzonego w siatkę, w którą odcięta gąbka wpada; ucinają takowe, nie nurkując się, ale upatrzawszy z łodzi. Tak zbierane gąbki, wychodzą z wody pokaleczone; z tego powodu są daleko tańsze od tak zwanych nurkowych.

W morzu Śródziemném odbywają się dość znaczne połowy gąbek, ale skutkiem nie systematycznego podbierania, coraz mniej bywają obfite, kiedy przeciwnie, konsumacya handlowa wciąż wzrasta. Wkrótce spekulanci francuzcy, łowiący bez uwagi na wiek i miejsce, spowodowaliby zupełny brak gąbek. Chcąc tedy zapobiedz temu, Towarzystwo aklimatyzacyi zamierza zająć się hodowaniem i aklimatyzacyą gąbek na brzegach Francyi i Algeryi. Skaliste brzegi morza Śródziemnego bardzo się do tego nadają: można urządzić plantacye gąbczane od przyładka Cruz aż do Nicei, w około wysp Korsyki i Hyères, na algierskich wybrzeżach, a nawet może w niektórych jeziorach słonych, znajdujących się w departamentach dotykających do morza Śródziemnego.

Pan Lamiral zważywszy, iż skład wody morza Śródziemnego jest tenże sam co na wybrzeżach Syrii, a różnica temperatury wody w téj głębokości, w jakiej gąbka rośnie, uczuć się nie da; sądzi, że przyswojenie gąbek sy-



ryjskich udałoby się niezawodnie. Jedyłą trudność stanowi przewiezienie małych gąbek z Czerwonego do Śródziemnego morza. Trudność tę pokona statek podwodny Payerna. Statek *nurek*, może zejść do wielkiej głębokości i pozostać w niej długo, bez szkody załogi żywionej nieustannie pompowaniem z góry powietrzem; składający ją ludzie, sami marynarze, mogą żeglować wśród gąbek, a wybrawszy te, które chcą na francuzki grunt przesadzić, odrywać je z kawałkami skał rodzimych. Upakowane w skrzynie podziurawione, przejadą sobie z miejsca na miejsce prawie się nie spostrzegłszy. Można będzie także zbierać wydobywające się na wiosnę z gąbek poczwarki i przewozić je spiesznie z Syrii do Algeryi. Po trzech latach, skoro te podmorskie łąny zaczną produkować, można będzie urządzić połów regularny: wycinać gąbki jak drzewa w lesie podzielonym na poręby. Przychód z tego gospodarstwa byłby znaczny. Gąbka toaletowa jest bardzo droga: dwa funty takiej gąbki kosztują francuzkich kupców przeszło 100 franków. Mało produktów handlowych ma tak wysoką cenę w równej wadze. Skoro gąbka stanieje, używać jej będą nietyko do mycia: można będzie z niej robić doskonale materace, pobrzeżne wyściełania mebli, lejki do filtrowania płynów. Wszystkie te i wiele innych użytków handel wyciągnie z gąbki, skoro tylko cena jej spadnie; dlatego projekt hodowania gąbek na wybrzeżach francuzkich, pewno wkrótce urzeczywistniony zostanie.

— Jednocześnie kapitan okrętu Salles, podał Towarzystwu aklimatyzacyi projekt hodowania żółwi morskich: praktyczne uwagi marynarza o korzyściach wynikających dla człowieka, z danej przez niego żółwiom opieki, dały wiele do myślenia Towarzystwu.

Żółw morski jest wyborną potrawą, ale rzadkość jego sprawia, iż bywa tylko przysmakiem bogaczy. Czemu będąc najpłodniejszy z mieszkańców morza, jest tak rzadkim? Dlatego, odpowiada kapitan, że nie ma opieki człowieka, bez której, z powodu czyhających nań nieprzyjaciół, wychować mu się trudno. Oto jak mają się rzeczy:

Żółwie morskie znoszą na lądzie parę tysięcy jaj, wielkości jaj gołębic lub kurzych, wedle gatunku. Nie-

sienie trwa kilka miesięcy. W tym czasie żółwica co noc wychodzi na ląd, znosi jaja na suchym piasku, zagrzebuje i powraca przededniem do morza. Skończywszy nieść się, już nie wychodzi na ląd, a potomstwo samo wylęga się pod ożywczem ciepłem promieni słonecznych. Gniazdo stworzenia tak ciężkiego jak żółw odkryć łatwo: ztąd niebezpieczeństwo, na jakie bez matczynęj pieczy narażone zostaje. Najpierwszym niszczycielem jaj żółwich jest człowiek, mieszkaniec morskich wybrzeży; co nie zjedzą ludzie, dojedzą psy, szakale i inne zwierzęta mięsożerne, bardzo tój strawy łakome.

Jeżeli szczęśliwym trafem gniazdo żółwie uszło na paści tylu wrogów, i wylęgło się, wychodzące zeń żółwinki, nie większe od małej żaby i jak ona miękkie, podczas podróży od gniazda do morza, stają się pastwą morskiego ptastwa, które gromadnie tam krąży. Te, co wylęgły się w nocy i przededniem do wody zdążyły, spotykają znowu w morzu nieubłaganych wrogów, które je pożerają.

W taki sposób, młode żółwie miękkie, wolno-chodzące, pozbawione wszelkiego środka obrony, stają się pastwą wszystkich mieszkańców morza, powietrza i ziemi, tak dalece, że na tysiąc, ledwie cztery ujdą śmierci. Trochę opieki ludzkiey zapobiegłoby złemu. „Niech tylko stróże, powiada Salles, ustrzegą rocznie pomiot sześciu żółwi, a morze Śródziemne pełne ich będzie. Strzedz ich jak jaj kurzych i kureząt póki małe, wystarczy. Skoro skorupa na nich stwardnie, już bronią się same.”

Na ten cel, marynarz proponuje zrobienie zagród na brzegach Algeryi, Sardynii, Korsyki, a mianowicie wysp Balearskich, około których żółwie najwięcej przebywać lubią. W końcu memoryału, autor zachęca Towarzystwo do zajęcia się przyswojeniem wielkiego żółwia, tak zwanego *Caouanne*. Gatunkowi temu daje pierwszeństwo nad wszystkiemi, z powodu wybornego smaku i rozmiarów. Żółw ten zamieszkujący morze Czerwone, mieszkałby zapewne i w Śródziemnym, gdyby te dwa morza były połączone; w każdym razie, przebywać zechce w okolicach Madagaskaru i francuzkiej wyspy Mayotte, zkąd tanim

kosztem można go będzie sprowadzać do Europy na statkach suezkich, po przekopaniu tego między-morza.

Żółw taki średni, waży 400 funtów, a mięso jego smaczniejsze od wołowego. Na całym archipelagu Antyllów, na wyspach Maurice i Réunion, mięso żółwie stanowi część rzeźniczego handlu, sprzedaje się w jatkach taniej niż wołowina, która tam jest dość rzadka.

Zważywszy korzyści, jakieby z obfitości i taniości żółwiego mięsa wynikły dla ubogich mieszkańców Paryża, którzy nawet jaj kurzych jeść nie mogą, bo jedno (w lecie) kosztuje pięć groszy, Towarzystwo aklimatyzacyi postanowiło zająć się niezwłocznie pilnowaniem i przyswajaniem żółwi.





## PORWANIE DO MAELSTROMU.

---

### I.

W, Wdarliśmy się byli na sam najwyższy wierzchołek tych stromych urwisk; stary rybak zadyszany milczał czas jakiś nie mogąc wymówić słowa, zdawał się wstydić swego utrudzenia.

— Nie dawno jeszcze temu — rzekł wreszcie — byłbym wam przewodniczył na tę wyniosłość, równie żwawo jak najmłodszy z moich synów; ale trzy lata temu, przebyłem próbę, jaką mało kto przeżył żeby ją móżdż opowiedzieć. Sześć godzin najsmiertelniejszej obawy złamały mnie na sercu i duszy. Sądziś pan że m stary, nieprawdaz? — dodał po chwili milczenia — jednak tak nie jest. Dosyć było dnia jednego, mniej nawet — godzin kilku, ażeby mi pobielaly włosy, czarne wprzódy jak krucze pióra, ażeby mi raz na zawsze osłabły członki, a nerwy rozprzęgły się do tego stopnia, że się dziś boję własnego cienia, i że najmniejsze wysilenie zużywa moje siły. Czy uwierzysz pan, że za ledwie mogę bez zawrotu głowy spojrzeć w tej chwili tam, w dół, po za ten nędzny wzgórek.

Wzgórek, o którym on mówił z taką pogardą, było to ściana zębata, wysoka na stóp kilkanaście, stercząca ponad głazy sąsiednie, których spiętrzone szczyty rozbiegały się u jej podnóża czarne i nieruchome, na podobieństwo bałwanów skamieniałego morza. Mój przewodnik tak się sobie był niedbale przechylił po za kraniec tej szczupłej krawędzi, że prawie niższą częścią ciała wisiał

ponad otchłanią, opierając się zaledwie łokciem o brzeg głazu. Za skarby świata całego nie byłbym stąpił nogą o sześć stóp tylko od tego miejsca, i sama myśl niebezpieczeństwa, na które się narażał najobojętniej mój towarzysz, przeraziła mię do tego stopnia, że mimowolnie przypadłem do ziemi, czepiając się drugą ręką to krzaków, to korzeni, i nie śmiejąc nawet spojrzeć w górę. Zdawało mi się, że wściekłość wiatrów lada chwila zwali w przepaść ten niebotyczny szczyt, na któryśmy się wdarli, i że się on już chwiać zaczyna razem z nami.

Kiedym się wreszcie opamiętał, siadłem i ośmieliłem się przebiezdz wzrokiem widok, jaki się ztamtąd przedstawiał.

— A no, mój panie! trzeba odwagi! — rzekł mi wtedy mój przewodnik, który tymczasem mruczał sobie pod nosem jakąś piosnkę wiosłarską, — wprowadziłem was tutaj, żebyście mieli przed oczami wszystkie szczegóły miejsca, na którym się zdarzyło to, co wam opowiem. Ale najprzód, czy wiesz pan gdzie się znajdujemy?

— Jesteśmy w tej chwili — ciągnął dalej, nie czekając na moją odpowiedź, i z tém upodobaniem do szczegółów, które go odznaczało — jesteśmy tu blisko pobrzeża Norwegii, pod 68 stopniem szerokości. Góra, na której wierzchu siedzimy sobie w tej chwili, nazywa się Helseggen co znaczy Mglawica.... A teraz podnieśno się pan z łaski swojej, trzymaj się obiema rękami, czepiaj się porostów, jeśli by ci się w głowie zakręciło: o! tak! tak! dobrze! — i spróbuj spojrzeć przed siebie, po za te mgliste wybuchy, które zasłaniają oczom część morza.

Wzrok mój, w kierunku, który mi wskazał, znalazł niezmierną przestrzeń, rozkołysaną i mętną — płynną płaszczynę, jakby powiedziano niegdyś — i barwy tak ponuręj, że mi przypomniała opowiadanie Edryza o morzu ciemności. Nigdy we śnie nie zdarzy się marzyć nic straszniejszego. W prawo i w lewo jak wzrok zasięgał, sterczały wałem olbrzymim długie szeregi skał, których połyskujące grzebienie wyglądały jakby grzbiet potwornego skorupiaka. Ciężkie i czarne bałwany najeżone pianą sinawą, z ruchów i postawy podobne do widziadeł, szamotały się tam ze złowróbnym bełkotem. O kilka mil od

podnóża naszej góry, widać było małą, nagą wysepkę, czyli raczej odgadywała ją wyobraźnia, po za smugą wód rozigranych, które pochłaniały w części niepewne zarysy jej niskich i szarych brzegów. Blżej lądu, nie dalej jak o mil kilka majaczyła wyraźniej nieco druga, mniejsza jeszcze, smutniejsza i puściejsza od tamtej, i cała najezona brunatnymi złomami granitu o najdziwniejszych szczerbach.

Na przestrzeni od wybrzeża aż do najdalszej wyspy, morze miało pozór osobliwszy, jakby wyłącznie właściwy temu tylko miejscu. Jakkolwiek silny wiatr dął ku lądowi (tyle silny, że bryg, który widać było w oddali na pełnym morzu, pomimo że wszystkie żagle miał zwinięte, co chwila jednak zapadał w bałwany), nie widać tam było jego działania; tylko woda, jakby dręczona od spodu, wyskakiwała gwałtownie, targając się i szamotała tam i owdzie, równie z wiatrem, jak i przeciw niemu, jak i na boki. I nie znać na niej było piany, aż dopiero u podnóża skał, o które się roztrącała.

— Wyspa dalsza — rzekł stary — nazywa się Wurrgh w narzeczu Norwegów; ta co bliżej, Moskoë. O milę ku północy widać Ambaaren. Z tej strony znowu: Islesen, Hotholm, Keildhelm, Suarwen i Buckholm. Dalej znów, na pełnym morzu, w dzień pogodny pokażę panu: Otterholm, Flimen, Sandflesen i Stokholm. To są prawdziwe tych wysp nazwiska; ale nie pytaj mnie się pan, dla czego je wyliczam tak drobnostkowo: sam nie wiem czem się to dzieje, ale czuję popęd tajemniczy, nie pozbyty, który mię zmusza opowiadać ci to wszystko. Czy nie słyszysz pan nic w tej chwili? Czy woda nie zaczyna tam zmieniać się z pozorów?

Kiedy on to mówił, w otchłani powstało wrzenie potężne, które wzmagalo się z chwilą każdą, a było podobne do zbiorowego ryku niezmierniej trzody bawołów porozpierzanych wśród Sawany. Zarazem zauważyłem, że powierzchnia morza (jego siatkowanie, jak nazywają żeglarze) przemieniała się w oczach, i że się tam urządzał pęd nagły od wschodu ku zachodowi. Kiedym sobie rozważał jego postęp, w mgnieniu oka nabrał on dziwnej gwałtowności, która jednak wzmagala się jeszcze co chwila.



W przeciągu kilku minut, cała powierzchnia wody aż po Wurrgh, rozszalała się i rozjadła jakby smagana niewidzialnym biczem. Ale osobliwie waliło się to wszystko w kierunku przestrzeni oddzielającej Moskoë od lądu. Wśród tego ogromnego łożyska, pogruchothane, porozpadane, poroztrącane przez tysiące najsprzecznieszych prądów, dręczone najwyuzdańszém szaleństwem, powykręcane w olbrzymie ślimaki przepadające wśród wirów, to znowu wydźwigające się górami, ze świstem, ze zgrzytem, jakby je ogień prażył od spodu, dławily się jedne przez drugie zlewy wód rozpasanych: rzekłbyś, potok zlatujący z oberwanej skały, a zawsze ku wschodowi.

Po pewnym czasie widok zmieniać się zaczął..

Poszczerbiona powierzchnia bałwanów zdawała się przypląszczać stopniowo, także i wiry jeden po drugim powydobywały się z zamętu; a tymczasem szmaty gęstej piany poczęły się zsiadać miejscami na tej przestrzeni wód, całkiem jeszcze ciemnej przed chwilą. W miarę jak przybywały, coraz gładziej wyrównywała się i powierzchnia wody; to co bałwanom ubywało z wysokości, zdawało się zapełniać zakłęśłości wirów; aż wreszcie te smugi śnieżne, jakkolwiek połamane jeszcze i poprzerywane tu i owdzie, poczęły się układać w ogromne wirujące koło, jakby na odznaczenie krańców jednego już tylko ogólnego zakrętu, który niebawem miał się z głębi wynurzyć. Wypadek ten stał się bardzo nagle, wtedy kiedy okrąg koła wyrównany już w zupełności miał może z milę średnicy. Wtedy, jedną razą, zapowiedziana otchłań zapadła się jakby wciągnięta w środek; jej krawędź górna odznaczona była białym pasem, stanowiącym już doskonale koło, ale ani jeden płatek piany nie wpadał w tę przerażającą kotlinę, której ściana wewnętrzna, podobna do wklęsłości olbrzymiego lejka, stała się gładka, połyskująca i czarna jak żelazo. Zaledwie podobna było dopatrzeć wirowania tej ruchomej otchłani, z której wylatywał tylko niekiedy zgrzyt, druzgotanie i trzask głuchy, jakiemu podobnego nie wydaje nawet Niagara, przepadająca w głębiach najeżonych głazami...

Góra, na której znajdowaliśmy się, trzęsła się od podnóża aż do szczytu, a skała trzeszczała pod naszymi

nogami. Rzuciłem się twarzą na ziemię, i sam nie wiedząc o tém, w przystępie odurzenia, chwyciłem się korzeni, które mi się znalazły pod ręką.

— Jestto zapewne — rzekłem epamiętawszy się wreszcie — jestto zapewne ów wir niesłychany, który wy nazywacie Maëlstromem.

— W istocie, tak go nazywają powszechnie; ale my Norwegowie nazywamy go Moskoë-Stromem, z powodu wyspy, którą wam pokazywałem przed chwilą.

## II.

Z pierwszego poglądu na tę otchłań osobliwszą, ani bym był przewidział nawet widowiska, jakie mi tylko co przedstawiła. Opisy Jonasa Ramus (najbardziej szczegółowe, jakie tylko czytać mi się zdarzyło), nie dają nawet najslabszego pojęcia o tej straszliwej cudowności. Nie dają nawet domyśleć się, ile widok podobnie dziwny budzi zdumienia, grozy i uwielbienia zarazem, w duszy człowieka, który to ogląda po raz pierwszy w życiu. Nie wiem z jakiego miejsca, ani w jakiej porze, przypatrywał się on temu; ale dałbym głowę za to, że ani ze szczytu Helsegenu, ani w czasie burzliwego dnia jesieni.

W każdym razie warto przytoczyć tu kilka ustępów z tego pisarza:

„Pomiędzy Loffoden i Moskoë, powiada on, morze głębokiém jest na 36 do 40 sążni; ale od strony Wurrgh, głębokość ta zmniejsza się do tyle, że okręt nie zdołałby przejść tamtędy bez utknięcia na rafach, co się zdarzało istotnie, nawet wśród największej ciszy. Kiedy morze wzbięra, przyływ rzuca się między Loffoden i Moskoë z szybkością i parciem nie małym; ale osobliwie w powrocie, gwałtowność jego w tém miejscu przechodzi najrwiściejsze wodospady. Słychać huk o kilka mil odległości, a zawroty i wiry powstałe wtedy są tak wielkie i tak głębokie, że największy statek, któryby miał nieszczęście znaleźć się naówczas w obrębie ich siły, zostałby w głąb wciągnięty i tam bez żadnej wątpliwości strzaskany o skały. I nie prędzej wypływają szczątki tego co zostało pochło-

nięte w ten sposób, aż dopiero kiedy wody wrócą już do swego poziomu. Zresztą te przerwy uspokojenia zdarzają się tylko po powrocie odpływu i przed powstaniem wzburzenia, i dlatego najdłużej trwają ćwierć godziny; poczem wzburzenie rozpoczyna się na nowo. Kiedy przychodzi do kresu swego wysilenia, i jeżeli jeszcze burza zwiększa jego szaleństwo, niebezpiecznie jest znajdować się nawet o milę ztamtąd. Czółna rybackie, statki większe, a nawet i okręta, padały nieraz ofiarą swojej nieostrożności. Zdarza się nawet często, że i wieloryby zapuszczające się zbyt blisko wiru, porywane bywają w jego głębie. Nie podobna zrobić sobie pojęcia walki, która się wszczyna wtedy, oraz ryku i wycia, jakie wydają te olbrzymie zwierzęta, ciągnięte na swoją zgubę nie przepartą siłą. Trafiło się, że niedźwiedź chcący wplaw przebyć ciasninę pomiędzy Loffoden i Moskoë, porwany został i uniesiony jakby słomka; ryczał przez drogę, aż się rozlegało na wybrzeżu. Ogromne kłody jodłowe i sosnowe, wciągnięte do otchłani, wypływają ztamtąd obdarte z kory i poszarpane na włókna, tak, że zdaleka widać je można za pływające zwierzęta jakieś, okryte wełną. To dowodzi, że dno otchłani składa się ze skał ostrych (zęby potworu), o które te kłody musiały być druzgotane. Wzburzenie to, jak powiedzieliśmy, zależne jest od przypływu i odpływu morza, który ma miejsce nieodmiennie co sześć godzin. W roku 1645, w samą niedzielę mięsopustną, przededniem, wzruszenie wód było tak szalone i huk tak silny, że w niektórych domach znajdujących się na pobrzeżu, kamienie wysuwały się ze ścian i wypadały jakby w trzęsieniu ziemi."

Oto są słowa dobrodusznego kronikarza, i zaprawdę nie z nich ująć się nie da, tak dalece są umiarkowane. Pytam się tylko: jakimi środkami i kiedy zdołał on zbadać głębokość wody? Bezwątpienia czterdzieści sążni, o których mówi, rozumieją się zaledwie stosując je do miejsc najbliższych Loffodenu albo Moskoë. Ale w pośrodku Moskoë-Stromu otchłań zapada się głębiej nierównie, co nie trudno nawet widzieć na oko, spoglądając z wierzchołka Helseggenu. Gdyby godziło się roześmiać w obec tego ryczącego Flegetonu, dośćby było przypomnieć sobie wte-



dy prostoduszność Jonasa, z jaką opowiada nie bez krasomówczych omówień, zdarzenia niedźwiedzi i wielorybów, pociągniętych w niezglębione wiry. Co do mnie, przekonany jestem, że największy nawet okręt wojenny, gdyby tylko dotknął krańca tego odmętu, tyleby mu się oparł, co zeschy listek wichrowi, i w mgnieniu oka przepadłby w tych ziejących i wiecznie głodnych czeluściach.

Co zaś do uczonych wykładów, któremi usiłowano wytłumaczyć to zjawisko, niektóre z nich w czytaniu wydawały mi się dostatecznemi; ale w tej chwili widziałem w nich tylko zamęt, nieprawdę i najgrubszą niewiadomość. Przyjęto powszechnie za zasadę w tym względzie to, co powiada Encyklopedia angielska:—Podobnie jak trzy wiry mniejszej wagi, znane w pośród wysp Feroë, niniejszy nie ma innej przyczyny, jak wzruszenie wód uderzających w chwili przypływu i odpływu o złomy skał i ławice piaskowe, które tamując pęd wody, zmuszają ją wracać i tłuc się samą z sobą. Ztąd, im bałwany spiętrzą się wyżej, tém ubytek ich bywa głębszy; i z tego to ruchu razem i oporu wyradza się wir, którego chłonącą potęgę i straszliwe zawroty łatwo sprawdzić, robiąc doświadczenia na mały wymiar.

Kircher i inni naturaliści wyobrazili sobie: że w środku Maël-Stromu znajduje się otchłań przenikająca głębie kuli ziemskiej, która ma ujście w stronie bardzo odległej, naprzykład w zatoce Botnickiej dopiero, jak nie wahał się oznaczyć wreszcie jeden z tych uczonych. To mniemanie jakkolwiek nie uzasadnione dostatecznie, najwięcej jednak przemawiało do mojej wyobraźni. Kiedym o niem wspomniał mojemu przewodnikowi, dowiedziałem się ze zdziwieniem, że go bynajmniej nie podzielał. Zapytałem go o jego przekonanie, ale wyznał mi otwarcie, że to są rzeczy nad wszelkie pojęcie; tak więc ani na jotę nie posunęło mię to dalej. W istocie, przypuszczenie podobne może być na papierze bardzo trafnym i nawet rozstrzygającym wiele wątpliwości; ale staje się całkiem płonnym—powiedziałbym nawet niedorzecznym—w obec widoku grzmiącej otchłani.

— Spodziewam się, żeś ją pan już obejrzał dostatecznie — rzekł mi wreszcie stary rybak, podnosząc głos dla

przekrzyżenia szaleństwa wód.—Chciejże teraz przesunąć się ostrożnie po za węgiel tego urwiska, które nas trochę zasłoni od huku, a opowiem ci, dlaczego pozwalam sobie mieć moje własne zdanie o Moskoë-Stromie?

Staralem się dopełznąć do miejsca, które mi wskazał; wkrótce i on się wdarł tam za mną, i kiedyśmy wreszcie siedli bezpiecznie plecami oparci o skałę, w ten sposób opowiadać zaczął:

### III.

— Posiadałem do spółki z dwoma moimi braćmi piękny *smek*, rodzaj skuneru, mający około 70 beczek objemu, którym puszczaliśmy się na rybołówstwo pomiędzy wysepki poblizkie Wurrghowi i po za Moskoë.

Trzeba panu wiedzieć, że w tęgie wiatry dmące przeciw przyływowi morza, połów jest prawie zawsze dobry, jeżeli się tylko ma dosyć odwagi korzystać ze sposobności. Ale z pomiędzy rybaków Loffodenu, my tylko jedni lubiliśmy próbować szczęścia, zapuszczając się w te topiele. Zwyczajne miejsca połowu znajdują się daleko niżej, od strony południa—nie braknie tam ryb o każdej porze, i to bez niebezpieczeństwa; dlatego wszyscy wołają tam ich szukać—rzecz prosta. Jednak, tu znowu, poszukawszy dobrze, pokręciwszy się między skałami, nietylko trafić można na najlepsze gatunki, na ryby wyborowe, ale nawet niekiedy na bardzo wielką ich ilość. Dlatego też zdarzało nam się nieraz po pracy jednodzienniej, daleko więcej przywozić do domu, niż mniej odważni towarzysze nasi mogli zebrać w ciągu tygodnia. Byłoto wyrachowanie, jak tyle innych! Narażenie życia stało tam za skrętność kupiecką, odwaga zastępowała wkład pieniężny. Nie byliśmy pierwsi ani ostatni pomiędzy tymi co rozumują podobnie, wszak prawda?

Zatrzymywaliśmy zwykle statek nasz w przystani na pobrażu, o pięć mil wyżej od miejsca, w którym teraz jesteśmy. Wtedy w czas sposobny, staraliśmy się w przerwie pomiędzy przyływem i odpływem, nie trwającej jak ćwierć godziny, przebyć przesmyk Maëlstromu, ma się ro-

zumić w znacznej odległości od wiru; czego dokonawszy, zarzucaliśmy kotwicę albo blisko Otterholmu, albo pod Sandflesen wybierając miejsca, gdzieby wstrząśnienie jak najmniej dochodziło. Tam czekaliśmy na odpływ morza, i dopiero po zupełnym uspokojeniu się Maelstromu, wracaliśmy do siebie. Żeby panu nie dać zbyt złego pojęcia o naszym rozsądku, dodam do tego, żeśmy się nigdy nie puszczali na podobną wyprawę, nie mając zapewnionego wiatru równie tam jak z powrotem. Można się mylić, powiesz mi na to; ale my rybacy mamy węch dobry, i nie często nam się zdarza źle obrachować. Dwa razy tylko przez ciąg lat sześciu, zawiedliśmy się na rachubie: raz cisza zupełna i bardzo nagła, zmusiła nas przepędzić noc na kotwicy, ale cisze są bardzo rzadkie w tej stronie; drugi raz wyrzuceni na brzeg, musieliśmy przebyć tydzień cały o żywności wziętej na 24 godzin tylko. Było dość kuso wtedy, człowiek czuł się lekkim jak piórko, ale nie miał co jeść. Narobiła nam tego burza, wichur wściekły, który się zerwał, właśnie kiedyśmy tylko co przybyli do naszej przystani; w podobną porę nie było nawet co i myśleć o przebyciu cieśniny. Nawet o włos żeśmy i ztamtąd nie zostali porwani wbrew wszelkiej ostrożności, gdyż zagarnięci przez wiry, zaledwieśmy zdołali wypłatać kotwicę; i gdyby nie to, że się nam udało trafić na jakiś prąd poprzeczny, jeden z tych tysiąca, które dziś są tam, jutro tu, a pojutrze przepadają nie wiedzieć czemu i jak, nie bylibyśmy się nigdy dostali pod wiatr wiejący ku Flimen, dokąd szczęściem przybić nam się udało.

Nie będę panu opowiadał, bo to rzecz nudna, tysiąca drobniejszych niebezpieczeństw, które nas nieraz spotykały w tym obrębie wybranym przez nas na połów. Jest to niegodziwa dziura, nawet w czasie pogody. Ale zawsze się jakoś znajdowało sposoby zażartowania sobie z MoskoŃ-Stromu i przebycia go bez wypadku, śmiejąc się na całe gardło. Czasem tylko, kiedy się nie dosyć dokładnie wyrachowało ten przeklęty kwadrans przerwy, dusza była na ramieniu; a trafiało się to pomimo najszczęśliwszych chęci. Niech wiatr nie był tyle silny, ileśmy się spodziewali wychodząc pod żagle, albo nurt nie tyle



bystry ile potrzeba, co wszystko utrudniało ruchy statku, to i zaraz nie mało roboty. Mój brat miał syna ośmna-stoletniego chłopaka, moi także byli już wyrostkami. Byliby nam już nie złą pomocą w podobnych przeprawach, a i do połowu także rąk kilka więcej; ale jeśli się nam podobalo narażać karki na skręcenie, za nic jednak nie bylibyśmy na to wystawili karków naszych dzieci. Trzebaby na to nie mieć serca ani duszy; bo widzi pan, jakkolwiek to się tam gada, było to jednak piekielne niebezpieczeństwo: zaraz się pan o tém przekonasz.

Będzie trzy lata za dni kilka, jak się stało to co opowiem. Było to 10 lipca 1800 roku. Nieprędko ludzie zapomną dnia tego, bo była wtedy burza, jaką chyba piekło wyzionęło. A jednak przez ranek cały, nawet jeszcze i po południu, dmuchał sobie tylko cichy, spokojniuteńki wietrzyk południowo-zachodni, podczas kiedy świeciło najpogodniejsze słońce, tak, że najstarsi nawet między nami, nie zdołaliby przewidzieć co miało nastąpić potem.

Jak zwykle, wybraliśmy się na połów, i około godziny drugiej z południa przebyliśmy bez wypadku nasz zwyczajny przesmyk. Między wysepkami znaleźliśmy połów obfitszy jeszcze niż kiedy, i naładowawszy statek, zabieraliśmy się do powrotu. Była wtedy siódma, i rachowaliśmy, że właśnie przybędziemy do Stromu na czas przerwy między poruszeniami morza, tojest na samą ósmą.

Puściliśmy się mając wiatr z prawego boku, i przez czas niejaki statek ślizgał się dość szybko; nikomu z nas na myśl nawet nie przyszło obawiać się czegokolwiek, z resztą nie było nawet do tego powodu. Wtém znagła zalatuje nas od czoła dość silny wiatr z Helseggenu. Zdziwiło nas to, bo dotąd nie mieliśmy podobnego wypadku, i przeszły nas ciarki, choć sami nie wiedzieliśmy czemu. Skierowaliśmy statek ku wiatrowi, ale nie mógł iść na przód z powodu prądów przeciwnych, i jużem radził powrót do przystani, kiedy spojrzawszy po za siebie, spostrzegłem widnokrąg cały pokryty miedzianym obłokiem osobliwszej barwy, który rozpościęrał się na niebie z niepojętą szybkością. Zarazem wiatr, który nas zbił z tropu, znagła ucichł jakby go nigdy nie było; zrobiła się cisza,

i zaczęło nas podrzucać to tam to owdzie; prawdę mówiąc, nie mieliśmy nawet czasu zastanowić się nad naszym położeniem. Mniej jak w minutę burza już była nad nami; mniej jak w dwie, całe już niebo ogarnięte było przez tę płową, nieubłaganą chmurę, która nas goniła. Ciemność z jednej strony, z drugiej piana, która nam zarzucała oczy, łatwo sobie wyobrazić, że się wcale nie wiele widziało na naszym biednym statku.

Byłoby szaleństwem chcieć opisywać orkan, który się był zerwał natenczas; najstarsi żeglarze Norwegii nie pamiętają nawet z podania nic podobnego. Nie zdążyliśmy zwinąć żagli, ale i to na nicby się nie było zdało, bo zaraz od pierwszego dmuchnięcia obadwa maszty, jakby je kto kosą podciął, padły na pokład. Mój brat młodszy, który bojąc się być porwanym, uchwycił się był głównego masztu, został wraz z nim porwany przez wodę.

Trudno sobie wystawić coś lżejszego od naszego małego statku—piórko, korek, co tylko może być najłatwiejszego do kierowania. Na pomoście były tylko jedne, małe drzwiczki z przodu, któreśmy zawsze jak najstaranniej zamykali, mając przebywać przesmyk Stromu. Była to przezorność niezbędna w naszych burzliwych przeprawach. Gdyby nie ta okoliczność, bylibyśmy od pierwszego razu poszli na dno, gdyż istotnie przez chwil kilka znajdowaliśmy się pod wodą. Nie potrafię opowiedzieć, bo nawet i nigdy nie dowiedział, jakim sposobem ocalał starszy z moich braci. Co do mnie, wiem tylko, że się rzucił twarzą na pomost, nogami wsparłem się w zwężenie przodu, a rękami chwyciłem kółko wbite u podnóża masztu. Myślę, że zupełnie bez wiedzy musiałem obrać to miejsce najlepsze jakie być mogło, bom ani głowy nie miał wtedy, ani nawet czasu nie było na wybór.

Jak powiedziałem wyżej, znajdowaliśmy się pod wodą, przez czas którego ani podobna oznaczyć: wstrzymałem oddech i z całej siły uczepiłem się zbawczego kółka. Ale wkrótce zabrakło mi powietrza, wtedy nie puszczając się, wzmógłłem się tylko na kolana i czując głowę po nad wodą, odetchnąłem jak było można. Pra-

wie w tej samej chwili i nasze członko, wstrząsnęły się jak pies tonący, wyślizgnęło się jakoś więcej jak do połowy. Zebrałem zmysły do zastanowienia się, i w chwili kiedym myślał coby tu począć, uczulem się schwytanym za rękę. Był to mój brat starszy, którego miałem już za zginionego także; nie umiem wyrazić radości, jaką uczulem widząc go, ale radość ta ustąpiła wkrótce przeobrażeniu, kiedy przybliżywszy usta do mojego ucha, zawołał tylko:

„Moskoë Strom!”

Nikt nie zdoła pojąć, jakie myśli obudził w duszy mojej ten wyraz. Wstrząsnęłam się od stóp do głowy, jakby w przystępie gorączki. Wiedziałem co znaczył, rozumiałem ile było grozy, ile zguby, ile rozpacz w tém jedném słowie. Wiatr, któryśmy mieli z tyłu, pędził nas wprost na wir Stromu, i nic na świecie, ale to nic co się zowie, nie mogło już nas ocalić.

Zdaje mi się, że już panu powiedział, że ile razy przebywaliśmy ów niebezpieczny przesmyk, zawsześmy się starali nawet w czas najpogodniejszy, trzymać się ile możności jak najdalej od obrębu wirów, bacznie przytém upatrując chwilę przerwy między dwoma poruszeniami wód; ale teraz pędzeni wprost ku otchłani, mieliśmy jeszcze do pomocy najstraszliwszy w świecie orkan. Być może, pomyślałem sobie, przybędziemy tam na samo przesilenie—wtedy byłaby jeszcze niejaka nadzieja; ale w téjże chwili przekląłem sam siebie, że nawet mogłem myśleć jeszcze o jakimkolwiek środku ratunku. Wiedziałem doskonale, żeśmy jak najpewniej przepadli, nawet gdyby było w naszej możności zamienić naszą kruchą łódkę na okręt liniowy o stu działach.

Zdawało się, że burza zużyła już pierwszą swoją wściekłość, wszakże lecąc w tym samym co ona kierunku, mogliśmy się mylić w tym względzie. W każdym razie wody, dotąd gwałcone wichrem, przybijane niejako do poziomu, teraz zaczynały się piętrzyć niesłychanie. Widok nieba także się był zmienił najzupełniej. Na całym widnokręgu czarno było, jakby go smołą zalano, ale nad naszymi głowami utworzyła się w chmurach przerwa ciemno-błękitna, świetlana i przejrzysta, po przez którą,



jak bywa w piękny wieczór letni, przeglądał księżyc pogodny i wyjaśniony, jak go nie widziałem nigdy przedtém. Światło jego czyniło dziwnie wyraźnem wszystko co nas otaczało, ale to aż do najdrobniejszych szczegółów. Boże wszechmocny! jakieżto widok oblewała ta jasność pogodna!

Chciałem coś powiedzieć memu bratu, ale żadnym sposobem nie mógł mnie usłyszeć, tak dalece, z niewiadomą przyczyną, huk bałwanów stał się ogłuszającym. A jednak krzychałem w niebogłose, przyłożywszy mu usta do ucha. Znała opuścił głowę na piersi, zbladł śmiertelnie i poniósł palec do ust, jakby mi mówił: czy słyszysz?

Z początku nie zrozumiałem dokładnie, ale wkrótce straszliwa myśl przebiegła mi przez głowę. Wyciągnąłem zegarek z kieszeni, spojrzałem na niego pod światło księżycy i zalałem się łzami rozpacz. Ten przeklęty zegarek stał się przyczyną wszystkiego! Wskazywał on, jak wprzód, siódmą. Chybiliśmy czas właściwy i trafiliśmy na otchłań Stromu—właśnie w chwili największego jej rozwścieczenia.

Kiedy statek dobrze zbudowany, w dobrym stanie i nie przeladowany zbyt, płynie z przyjaznym wiatrem i na pełnym morzu, fale same z siebie zdają się podsuwać pod spód jego, co wygląda, jakby się ślizgał jak łyżwa. Otóż dotąd ślizgaliśmy się sobie po falach, jak mogło być najszykowniej; ale znała, coraz potworniejsze bałwany zaczęły chwytać statek nasz od tyłu, i potem wybuchając gwałtownie, wyrzucać go w podskokach, prawie pod same obłoki. Nabrałem wtedy o wysokości, do jakiej się bałwany wzbic mogą, pojęcia, jakie mi nawet nigdy przez myśl nie przeszło. Dobięwszy do wierzchołka, statek stawał prostopadle prawie, tyłem swoim w górę, jak koń który ma runąć spiąwszy się dęba; poczem zlatywaliśmy z nagle po niesłychanej spadzistości błyszczącej i gładkiej, z uczuciem zawrotu i mdłości, których człowiek doświadcza, jeśli mu się przyśni, że zepchnięty zsuwa się w nieokreśloną przestrzeń po ślizkiej płaszczyźnie, gdzie naprózno pracuje rękami i nogami, nie mając się za co uciepić. Spróbowałem schwycić chwilę jednego takiego wyniesienia pod niebiosa, żeby

rzucić szybko wzrok wkoło siebie, i dość mi było mgnienia oka na rozpoznanie miejscowości. Mogliśmy być w prostym kierunku z jakie ćwierć mili zaledwie od Moskoć Stromu, ku któremuśmy pędzili, ale nie był on ani na jotę nawet podobny do tego, któremuś się pan przyglądał przed chwilą, nawet nie tyle, ile ten, przed którym pan drżałeś, mógł być podobnym do pędu z pod kół młynskich. Gdybym już z góry nie był wiedział, gdzie się znajdowaliśmy i co nas czeka, anibym był nawet poznał to miejsce, tak doskonale wprzód mi znane. Takie, jakim było, wydało mi się zbyt okropnym dla ludzkiego spojrzenia; mimowolnie zamknęły mi się oczy, jakby kurczem zaciśnięte.

Nie wyszło dwóch minut, alic uczuliśmy jakby bałwany gwałtownie wymykając nam się z pod spodu, osadziły nas w łożysku z piany, w której zagrażyliśmy się przez chwilę, a potem znów wypłynęli na powierzchnię; kiedy wtém statek nasz wykręciwszy się ze zgrzytem jakby na osi, puścił się pędem błyskawicy w kierunku nowym zupełnie. W tój samej chwili głuszający ryk bałwanów przeszedł w jakieś stłumione warczenie. Wyobrażam sobie, że z jakie 10,000 statków parowych, gdyby zagnała otworzyło swoje klapy bezpieczeństwa, wydałoby może wrzenie podobne. Znajdowaliśmy się wtedy w tym pasie piany, który zwykle stanowi okrąg wiru, i wyobrażałem sobie dość prawdopodobnie, że tylko patrzeć, jak zostaniemy pochłonięci przez tę głąb bezdenną, której wzrok, olśniony szybkością porwania, nawet jeszcze dokładnie rozpoznać nie umiał. Statek zdawał się zaledwie dotykać wody, powiedziałbyś: bańka powietrzna szalejąca po grzbiecie wzburzonej fali. Mieliśmy otchłań z jednej strony, a z drugiej morze, z którego tylko cośmy przylecieli. Piętrzyło się ono pomiędzy nami i poziomem, olbrzymią ścianą kipiących bałwanów, które nie miały już z nami nic wspólnego.

Wyda się to panu dziwnym, ale niemniej rzecz pewna, co powiem. W chwili tój, kiedyśmy się już znajdowali, że tak powiem, w samych szponach potworu, uczułem się spokojniejszym nierównie, niż wtedy, kiedyśmy dopiero w nie wpadali. Raz sobie powiedziałem, że nie

ma już ratunku, pozbyłem się niepotrzebnej trwogi która mi wprzódy przytomność odbierała, i jestem pewny, że to rozpaczliwe przekonanie znacznie mię nawet wzmoćniło na siłach.

Nie chciałbym uchodzić za junaka, ale nawet gdyby i tak być miało, powiem wszystko jak było. Zacząłem się zastanawiać nad tém, że to jednak nie żadna powszednia śmierć mnie czeka. „Umrzćć jak umrzćć, mówiłem sobie, ale umrzćć kładąc na szali jedno lice, nic nie znaczące życie, jakiem było moje, żeby się z niem ważyć na równi cudowny objaw woli Bożej!” Myśl ta wprawiła mnie w uniesienie i mimowolnie zarumieniłem się ze wstydu, że miałem życie moje za warte ocalenia. Po tém uczuciu napadła mnie żywa i szczerza ciekawość dowiedzenia się zanim zginę, jak też to wygląda ten wir bezdenny, żłopiący wszystko, co mu się tylko nadarzy. Korciło mię zbadać, choćby kosztem życia, te głębie zagadkowe i żałowałem jedynie, że nigdy nie będę mógł, ja młody, opowiadać osiwiiałym rybakom pobrzeży, o tych tajemnicach, które sam jeden tylko na świecie zdobyć zdołałem. Nieprawdaż, że myśli podobne u człowieka, który ma zginąć niebawem, są dosyć szczególne? Dlatego też jestem prawie pewny, że owo szybkie wirowanie, w jakie od pewnego czasu byliśmy porwani, musiało przeważnie wpływać na zachwianie moich władz umysłowych; bo nawet przypominam sobie, że odurzenie z tego powodu odejmowało mi chwilami przytomność. Tym jedynie sposobem mogę sobie wytłumaczyć owe zaprzątńienia myśli, całkiem nie do pojęcia inaczej.

Z drugiej strony okoliczność, o której nie wspominałem dotąd, nie mało podniecała mój umysł: było to nagłe uciszenie się wiatru, który tam gdzieśmy byli, już nas nie dosięgał. Mógł pan uważać, że ten pienisty okrąg, który otacza zwykle brzegi Maëlstromu, znajduje się o wiele niżej od poziomu morza; tym sposobem tworzyło ono wkoło nas, jakby rodzaj ciemnej, wzdętej, rozszalałej i huczącej ściany, z po za której żadna potęga ludzka nie byłaby w stanie nas odszukać, bo nawet orkan nie przechodził tego kresu. Otóż kto nie żył na morzu, trudno mu pojąć, do jakiego stopnia wśród silnego wichru,



pośród szalonych i nagłych jego podmuchów, w połączeniu z płatami piany, któremi siecze twarz i zalewa oczy, traci się głowę i nieledwie zmysły. Oślepia cię on, ogłusza i zatyka ci oddech zarazem; niepodobna wtedy zrobić coś rozsądnie, chcieć, lub choćby pomyśleć tylko. Byliśmy w tej chwili bezpieczni od tego wszystkiego, właśnie jak bywa ze skazanym na śmierć: zagnała ustają względem niego srogości więzienia i znajduje nieledwie wolność i spokój, w zamian za los, który go ma spotkać nieodwołalnie.

Nie potrafiłbym powiedzieć, pomimo całej przytomności umysłu jaką miałem wtedy, ile mogliśmy zrobić obrotów po tym pienistym obrębie, który okrąża Maëlstrom. Raczej lecąc niż płynąc, ślizgaliśmy się wśród niego może z godzinę, zakreślając koła, które nieznacznie ścieśniały się coraz więcej. Za każdym razem, po lewej naszej stronie wzrastała szerokość przedziału od morza, za każdym razem, prawym bokiem, coraz więcej przybliżaliśmy się do otchłani. Przez cały ten czas ani na chwilę nie puściłem owego kółka, którego się byłem uczepił. Mój brat znajdował się na tyle statku, trzymając się niewielkiej beczki pustej przymocowanej do pomostu: było jedyny przedmiot, który się był oparł szaleństwu orkanu w chwili, kiedy nas burza napadła. Widząc, że już dosiegamy brzegu otchłani, puścił ową beczkę i przyczołgał się, żeby także uchwycić kółko, którego się trzymałem, ale kółko było za małe na cztery ręce, więc przedsięwziął mi je wydrzeć. Mam w żywej pamięci boleść, jaką mi sprawił ten ohydny objaw samolubstwa, ale jestem pewny, że nieszczęśliwy sam już nie wiedział co robi: przestach pomieszał mu zmysły. Nie robiłem oporu i ustąpiłem mu mego miejsca; zresztą nie zależało już nic na tém, czego się tam człowiek uczepi na statku, który nie zadługo cały zginie. Puściłem zatem kółko i jak mogłem popełzłem ku tyłowi, żeby się uczepić opuszczonej beczki, co nie było nawet tak trudnem, jak mi się zrazu zdawało, ponieważ statek leciał, jak łyżwa na zrębie, prawie bez wstrząśnień i nie zbaczając ani na jotę.

Zaledwem się był ubezpieczył na nowo, kiedy zagnała statek uderzywszy się o coś prawym bokiem,

zeskoczył z drogi, i w téjże samej chwili zagroził się przodem na dół do głębokości niesłychanej.

Czując pewien rodzaj bolesnego omdlenia, jakiego się doświadcza przy gwałtowném spadaniu, chwyciłem się beczki z rozpaczliwém wysileniem. Zamknąłem oczy i czas jakiś nie śmiałem ich otworzyć, lada chwila oczekując śmierci, i dziwując się tylko, że dotąd nie nastąpiła. Jednak czas upływał, a ja żyłem jeszcze. Uczucie spadania już było ustało i statek zdawał się wracać do tych samych ruchów, jakimi niedawno jeszcze kołował wśród pienistej smugi, tylko że teraz zdawał się być nieco więcej pochylony. Zebrałem się na odwagę i spróbowałem znowu spojrzeć wkoło siebie.

Ten rzut oka przejął mnie uczuciem, jakiego nie zapomnę póki życia. Było zarazem przestрах i podziwienie i zdumienie głębokie. Nasza łódka wisiała sobie, jakby uczepiona u nici czarnoksiężkiéj, w połowie wgłębienia bezdennéj ziejącéj kotliny, której lejowata ściana niezmiernie gładka zdawała się być z czarnego marmuru lub z hebanu, tylko że z odurzającą szybkością wirowała jakby na osi, a w jéj połyskującéj powierzchni odzwierciadlało się światło księżyca, zawsze równie spokojnego, równie pogodnego, oprawionego na tém samym dnie ciemno błękitném, otoczoném zewsząd chmurami jak wprzódy. Rzucił on snopami w tę otchłań migocącą srebrzyste blaski, które słabnąc stopniowo, przepadały wreszcie w nieskończoności...

Z początku miałem umysł zanadto zachwiany, żebym mógł zwrócić uwagę na szczegóły; zaledwiem mógł ogarnąć i to jakby przez sen, całą przerażającą wielkość tego widoku, przedstawiającego się oczom człowieka zapewne po raz piérwszy i może jedyny. Nieco się opamiętawszy, zapuściłem wzrok w głąb otchłani i nie było mi to trudném z powodu osobliwszego położenia statku, który ślizgał się na zrębie jak i wprzódy, ale prostopadle do płaszczyzny pochylonéj względem poziomu najmniej na 45 stopni, w skutek czego i pomost wraz z nami, miał kierunek taki, jakby się statek kładł na swoim boku. Rzecz dziwna także, ale w podobnie prostopadłym prawie poło-



zeniu, nie doświadczałem najmniejszej trudności w utrzymaniu się na pomoście. Było mi, jakbym żeglował po poziomej płaszczyźnie. Niesłychana szybkość obrotu wirowego, w który byliśmy wprawieni, może jedna dać tłumaczenie tego osobliwszego dziwu.

Promienie księżyca, jak powiedziałem, przenikały aż do najdalszych głębi, ale po za ich kończynami niepodobna już było nic rozróżnić, z powodu wydobywającej się ztamtąd gęstej mgły, po nad którą, na podobieństwo owego mostu Mahometa łączącego czas z wiecznością, przerzucała się wspaniała tęcza. Bez wątpienia mgła ta, czyli raczej piana powietrzna, pochodziła z rozbryzgiwania się wód zassanych, a przeto kipiących na dnie otchłani; ryk zaś, zgrzyt i wycie, jakie wypadały ztamtąd ku niebu prując powietrze, nie dadzą się wypowiedzieć żadnym językiem na świecie.

Uderzenie statku, o którym mówiłem, posunęło nas było znacznie w głąb przepaścistej pochyłości. Ale nie lecieliśmy już tak jednostajnie, jak wprzód. Ciągłe jeszcze kołując, kołując, kołując, od czasu do czasu to podskakiwaliśmy, to nas coś targało w tył i na boki, tak, że na raz nie robiliśmy może więcej jak sto prętów, a bardzo już rzadko zdarzało nam się zrobić nieprzerwane koło. A przytém obniżaliśmy się coraz więcej, wprawdzie bardzo nieznacznie, ale zawsze bez najmniejszej wątpliwości.

Rozpatrując olbrzymią kotlinę, wśród której lecieliśmy pchnięci na śmierć nieuchronną, postrzegłem wkrótce, że nasz statek nie był jedyną pastwą ziejącej gardzieli. Pod nami jak i po nad nami przelatowały szczątki okrętów, belki, kloce, pnie i wiele innych przedmiotów, jakoto: sprzętów, skrzyń, pogruchotanych beczek, klepek, desek i tym podobnie. Mówiłem wyżej, w jak dziwny sposób z przerażenia przeszedłem w ciekawość. Im więcej przybliżał się straszliwy koniec, który nas czekał, tém to niepojęte uczucie owładało mię silniej; z zimną krwią, której dziś sobie wytłumaczyć nie umiem, zacząłem się zastanawiać nad rzeczami, na które w innym razie żałowałbym czasu. Musiał to być jakiś rodzaj zobojętnienia na wszystko, gdyż wkrótce zacząłem szukać roztargnie-



nia, rozważając sobie w sposób porównawczy kolej zapadania w otchłań rozmaitych przedmiotów, które się już były więcej od nas do jej wnętrza zbliżyły.—Ta sosna—myślałem sobie naprzykład,—przypadnie nasamprzód—i uczulem pewien rodzaj zawodu, kiedy spostrzegł, że jakiś szczątek holenderskiego okrętu uprzędził kłodę. Wreszcie po kilku tym podobnych przewidzeniach, widząc, że się ciągle myślę w rachubie, uczulem dreszcz we wszystkich członkach, a serce zaczęło mi bić tak mocno, że mi aż tchu brakło. Myślisz pan, zem się bał? bynajmniej. Na miejscu rozpaczliwego zubożenia, zaświtała w mojej głowie, jakby niewyraźna jakaś odległa nadzieja. Przypomnienie pewnego spostrzeżenia zrobionego niegdyś, zdawało się obiecywać mi, jeśli nie ratunek, to przynajmniej traf możebny uniknięcia niezawodnej już, jak się zdawało, śmierci. Nieraz rozpatrywałem sobie szczątki, które Moskoć Strom po pochłonięciu wyrzucał z powrotem na brzegi Loffodenu: po większej części były one podruzgotane, pomiażdżone w sposób najosobliwszy, podobierane, powygryzane, poskręcane, niepodobne do siebie jednym słowem, ale pomiędzy nimi zdarzały się i takie, które wróciły ztamtąd prawie zupełnie w całości, zaledwie nieco tylko poskrobane i pootłukane po wierzchu.

Zkąd mogła pochodzić ta różnica?

Nie sięgając daleko, myślałem sobie po prostu, że przedmioty na których widać było ślady przemocy, musiały być najpierwszemi w rzędzie tych, które wir pochwyił; że przeto były wciągnięte mimo oporu, i znajdowały się aż na samem dnie otchłani; drugie zaś, jako przybyłe później nierównie, i zapewne prawie już przed samym przyływem morza, albotóż zatrzymane dla jakiej-bądź przeszkody, wyraźnie nie doszły były do dna, bo je cofnął w drodze wybuch z powrotem, wessanego wprzód w głąb wód zbiorowiska. W obu razach różnica była za nadto widoczna, żeby z niej nie godziło się robić wniosków na korzyść spóźnionych, kosztem tych którzy się spieszyli niepotrzebnie.

To przypomnienie doprowadziło mię w czas krótszy niż to wypowiedzieć podobna, do trzech spostrzeżeń bardzo prostych, ale i nie małej wagi.

Pierwsze: że w ogólności szybkość, z jaką się przedmioty zagrażały coraz więcej w głąb kotliny, była w stosunku prostym z ich objętością.

Drugie: że z pomiędzy dwóch przedmiotów jednakowej objętości, z których jeden miał kształt kulisty a drugi jakibądź inny, kulisty zapadał szybciej nierównie.

Trzecie: że z pomiędzy przedmiotów jednakowej bryłowatości, mający kształt walca, opóźniał się najwidoczniej.

Nie potrzebuję panu mówić, że o wyrazach kulistość i walec, dowiedziałem się później nierównie. Oświecił mnie w tém dopiero stary nauczyciel szkółki w wielu pogadankach, któreśmy nieraz z sobą mieli z powodu mego zdarczenia. Tłumaczył mi także nieraz, ale już zapomniałem w jaki sposób: że z jawiska uważane wtedy przezemnie, były prostym wypadkiem stosunku, jaki zachodził pomiędzy kształtem każdego z przedmiotów, a ruchem wody wprawionej w wirowanie. Wykazywał mi nawet rachunkiem siłę oporu ciała walcowatego, poddanego pod ten warunek, w porównaniu z inném równiej bryłowatości, ale nie tego kształtu.

Muszę tu wspomnieć jeszcze o jednej okoliczności która mię uderzyła; potwierdziła ona moje spostrzeżenia, i poddawała mi myśl nie pozbytą korzystania z takowych. Za każdym zakrętem uważałem, jak przemykały się koło nas, to beczka, to kawał masztu, to drąg jaki, i spostrzegłem, że powiększej części wszystko to, będąc z razu na téj samej co my płaszczyźnie, w chwil kilka znajdowało się już po nad naszemi głowy, i prawie na włos nie zstępowało niżej. Nie należałoż tego uważać za ostrzeżenie od Opatrzności?..

Zrozumiałem to i przestałem wahać się dłużej; postanowiłem przywiązać się silnie do beczki, której się trzymałem, odczepić łańcuch którym była przymocowana do pomostu, i rzucić się w wodę. Zanim jednak do tego przystąpiłem, starałem się przez znaki zwrócić uwagę mego brata; pokazywałem mu pływające beczki któreśmy mijali, i robiłem co mogłem, żeby mu uczynić zrozumiałem moje postanowienie. Przez chwilę zdawało mi się, że mnie pojął; ale bądź to żem się omylił, bądź że przerażenie ubezwładniło mu już było wszelką wolę, potrząsł tylko



głową z wyrazem rozpacz, jakby dając mi poznać, że chce pozostać przy swoim pierścieniu. Nie mogłem myśleć o wyrwaniu go ztamtąd przemocą; zresztą nie było czasu do stracenia; więc z rozdartem sercem pozostawiłem go samemu sobie, i przykrępowawszy się do beczki, niebawem rzuciłem się wraz z nią w morze.

Skutek sprawdził moje rachuby. Gdyby panu kto inny nie ja, opowiadał to zdarzenie, gdyby to nie było w tej chwili, i gdybyś nie miał pewności, żeś wyszedł z niego cały, możnaby mieć upodobanie przedłużać twoją trwogę. Ale wiesz dobrze żeś ocalał, wiesz w jaki sposób: więc nie podobna mi, jak tylko w krótkich słowach dopowiedzieć resztę.

Upłynęła już może godzina od mojego wyskoczenia ze statku, i znajdował się on już znacznie niżej odemnie, kiedy wtém zatoczył z nagłą kilka kół coraz szybszych, i pociągając z sobą biednego mego brata, wleciał jak strzała w sam środek kotliny, kipiącej mgłami i pienistą zamiecią.

Beczka, do której byłem przywiązany, znajdowała się zaledwie na połowie przestrzeni, pomiędzy miejscem gdzie w morze skoczyłem, a krawędzią bezpośredniego spadku w otchłań, kiedy wir przybrał całkiem inną postać. Pochyłość wgłębienia zaczęła być coraz łagodniejszą. Stopniowo także i wirowanie wód stawało się coraz mniej szybkie i gwałtowne; powoli rozpierzchnęła się i tęcza po nad mgłami, potem i mgły rozpląnęły się nieznacznie, wreszcie i dno samo zaczęło się podnosić zwolna i miarowo ku powierzchni morza. Niebo było już całkiem pogodne, cisza najzupełniejsza, i księżyc spokojny i wyjaśniony skłaniał się już ku zachodowi, kiedym się uczuł wreszcie na otwartem morzu, niedaleko pobraża, i właśnie po nad krańcami Maëlstromu. Była to chwila, w której zwykle wody się uspokajają, ale teraz z powodu orkanu, który je był rozkołysał, piętrzyły się jeszcze w góry potężne.

Niebawem zostałem gwałtownie wciągnięty do cieśniny Stromu, i wkrótce potem wyrzucony na brzeg. Podjęła mię łódź jakaś rybacka, ale wycieńczonego i nie będącego w stanie wymówić słowa. Długo jeszcze potem, pamięć okropności, jakie przebyłem, odejmowała mi mowę.



Ci którzy mię powrócili ziemi, byli to dawni moi znajomi, towarzysze dnia każdego, a jednak ani jeden z nich mię nie poznał; tak właśnie jakby nie poznano znajomego, któryby zrobił wycieczkę do krainy duchów, i wrócił z tamtego świata.

Włosy moje, dniem wprzódby czarne jak pióra krucze, były już wtedy takimi jak je pan teraz widzisz.

Powiadają także, że wyraz mojej twarzy zmienił się nie do poznania.

Opowiadałem rzecz całą, nikt nawet słuchać nie chciał. Założyłbym się, że i pan nie dajesz wiary temu com mówił. Cóż robić? nie podróżuje się przecie na dno Maëlstromu, jak to robią ludzie w tyle miejsc innych, na to żeby się chwalić, że z tamtąd wrócili. Śmierć której się w oczy zajrzało z blizka, leczy nas z pychy. Myślę tylko niekiedy, że nie wiele podróżników widziało rzecz tę, jak ja ją widziałem, i żałuję, że nie umiem tego opisać, jakby się godziło, na kawałku papieru. Powiadano mi, że wtedy niktby mi nie zarzucał kłamstwa. Dlatego to opowiadam panu i każdemu kto tu przychodzi, moje cudowne ocalenie. Jeśli pan który mnie wybawić raczył, zechce mi i to dodać jeszcze dla Swój Chwały, wiadomość o tém nie zginie w Loffodenie, jak ja nie zginąłem w Maëlstromie.

*(Ze zbioru Nowelli Edgara Poe).*

## O PIERWSZYM ZAWIĄZKU

### WYSTAWY TOWARZYSTWA ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

I OBRAZACH OBECNIE NA NIĘJ SIĘ ZNAJDUJĄCYCH (\*).

PRZEZ

*Ludwika Buszarda.*

---

Każdy zaczątek jakiegokolwiek działalności ludzkiej, drobny i wątły przy narodzinach swoich, pracą i wytrwałem zamięłowaniem wzrasta; a jeżeli poczęcie jego opromieniło, uczucie zdrowe i wiara w tryumf dobrego, zapewnia sobie ogólne uznanie.

Przed niedawnym czasem, bo zaledwie kilka lat temu, artyści polscy, albo pojedynczo w odosobnieniu w zawodzie swoim pracowali, albo co najwięcej łączyli się w drobne kółka, złożone z kilku indywiduów, które los w jednymże czasie na szkolnej ławie pomieścił. I długo jeszcze te małe grupy koleżeńskie rozdrabniałyby się coraz więcej, gdyby nie potrzeba serca, pragnąca sprawdzić się lub niemoc własnego uczucia w sercu bratniem, rozwinąć pełniej, lub zmienić kierunek artystycznych swych zdolności, i dostroić się tym sposobem do harmonii wspólnego rodzimego ideału. Tém uczuciem powodowani artyści, doświadczeni pracą i trudami podjętymi już poza obrębem

(\*) Ustęp tego artykułu, dotyczące sądu niektórych obrazów, były drukowane w Nr. 86—87 Tygodnika Ilustrowanego. (Przyp. red.).

szkoły, zapragnęli dla dalszego kształcenia się, urządzić wspólnymi siłami pracownią, w którejby starsi i młodszy przez studyowanie żywej natury, rozwijać mogli zaczerpniętą już poprzednio artystyczną naukę. Zaczęła ta myśl znalazła odgłos we wszystkich: zjednoczyły się różne koleżeńskie kółka i uformowały dość liczną grupę pracowników, zgromadzających się w oznaczonym czasie i miejscu. Wspólność celu zbliżyła niedawno obcych sobie ludzi; swobodna pogadanka rozpraszała całodzienne trudy: tu odświeżały się wspomnienia szkolne, odnawiały zatarte już znajomości, rodziły projekta, ścierały przesady, krzewiły wobrażenia wyższe; tu każdy sprawdzał lub zmieniał dawne pojęcia i nawyki w środkach artystycznej formy, używał słodkich owoców wspólnej pracy, dzielił zasługę wspólnego ku lepszej przyszłości dążenia. Gdy jednak celem każdego rodzinnego kółka, jest wstąpienie w szersze koło społeczne, artyści zapragnęli podzielić się z ogółem owocami swęj pracy; pomysłano nad środkami założenia wystawy krajowej, szerszego zużytkowania nagromadzonych sił i zdolności.

Myśleć o urzeczywistnieniu projektu znaczne nakładu potrzebującego, bez żadnych prawie środków materialnych, zdawało się wielu, jednem z tych słodkich a zabubających marzeń, w usposobieniu naszym leżących, których przeznaczeniem pozostać, zawsze marzeniami. Tymczasem siła moralna, zjednoczone usiłowania, te główne i odwieczne działacze wszelkich spraw ludzkich przeważały szalę na korzyść zgromadzenia artystów; wytrwała wola zdobyła środki materyalne, każdy zrobił co mógł dla dobrej sprawy, i wystawa otworzoną została w lipcu 1858 roku, to jest rok mniej więcej od daty pierwszego połączenia się artystów w przyjacielskie kółko ku wspólnemu kształceniu się utworzone. W pierwszych chwilach swego istnienia, wystawa przyjętą została z zapalem, jaki zwykle obudza nowość; zebrany fundusz pokrył pierwsze wydatki; ale ze przeznaczeniem nowości jako takiej jest zawsze przemienność, publiczność powoli cofać się zaczęła. Trzeba było z jednej strony podwoić usiłowania, z drugiej umieć czekać i wierzyć. Artyści uczuli, że aby sztuka wiecznie nową a zatem interesującą była, musi sięgnąć



do głębin duszy człowieka, przemówić do jego myśli i uczucia; publiczność, że nie wielkiego nie tworzy się odrazu, że chcąc korzystać z dojrzałych owoców, płonkę pielęgnować potrzeba. Przy takim usposobieniu zjawily się niebawem utwory wyższego psychologicznego i artystycznego znaczenia, zrodziła się sympatya, wreszcie potrzeba sztuki, i Towarzystwo zachęty sztuk pięknych utworzonym zostało w październiku 1860 r.

Wartość i kierunek pojawiających się poprzednio na wystawie utworów oceniliśmy już i podali w artykułach zamieszczonych w tém piśmie; ponieważ zaś z utworzeniem się Towarzystwa zachęty, zwiększa się widocznie liczba obrazów, częściej więc odtąd sprawozdanie z tychże czytelnikom naszym składać będziemy.

\* \* \*

Zdaje się napozór, że dziś trudniej niż kiedykolwiek, zwłaszcza w rzeczach religii, spotkać się z dziełem sztuki, któreby treścią swoją oddzielone od nas wiekami, blizkiem nas było uczuciem i myślą, i stawiało żywo przed oczy tożsamość szlachetnej natury ludzkiej. Rzecz się ma jednak inaczej: zmieniają się wyobrażenia i potrzeby człowieka, zmieniają środki działania; ale grunt rzeczy, walka, konieczny tryumf cnoty, konieczny upadek zbrodni, to nie cofnione prawo moralnego świata, pozostaje zawsze toż samo. Ono przenika wskroś otchłanie wieków, człowiek je czyta w swęj duszy, a geniusz i talent uwidomia światu.

Sztuka do rozwoju i istnienia swojego żadnych szczególnych nie wymaga i nie potrzebuje warunków; burze i namiętności społeczne przesuwają się po niej, nie dotykając jęj gruntu, a żal, boleść, rozpacz, zarówno jak radość, uniesienie, szczęście, przechodząc w sztukę, pokazują nam już tylko swoją jasną, uczącą i pocieszającą stronę.

Świeży tego dowód daje nam obraz p. Gersona, przedstawiający św. Wawrzyńca. Dla ocenienia artystycznej wartości tęg kompozycyi, musimy sobie najprzód zrobić wyobrażenie o jęj układzie. Pośrodku stoi święty: oczy wzniosł w niebo, ręce machinalnie podał naprzód, ulegając dobrowolnie obok stojącemu siepaczowi, który już ob-

nażył młodzieńczą pierś jego, i zdziwiony nie wzruszonym spokojem męczennika wstrzymał się w swęj czynności na chwilę. Zdrugiej strony stoi o surowém obliczu cesarz rzyński Waleryan, wskazując lewą ręką na stojący zdaleka posąg Jowisza, a prawą na leżące na ziemi cęgi i lancuch; z boku zaś widać żelazne łoże, pod którem ogniste żarzewie czeka na ofiarę. P. Gerson głowy męczennika nie otoczył nadzwyczajną niebios światłością, do wyrazu twarzy nie wybrał chwili najwyższego duchowego zachwytu; nie stoi przed nami święty w całej pełni chwały, ale męczennik, co ma świętym zostać. Chwila to ważna, nauczająca i artysta dobrze się z nią wywiązał. Wprawdzie za pierwszym wejrzeniem figura męczennika nie porywa nas za sobą, nie upadamy w proch przed jego wielkością; ale im bardziej, im dłużej wpatrujemy się w to oblicze spokojne, poważne, w ten wzrok z taką ufnością w niebo wzniesiony, tém jaśniej i pewniej przedstawia się w naszej myśli potrzeba i możność pójścia jego śladem.

Usuwa się nadprzyrodzone działanie, ale człowiek czuje, że w imię Boga on sam z siebie cud wywołać zdolny. Walka go nie zatrważa, chociaż wie, że złe jest potężne, że ciało czeka ogniste łoże. Święty Wawrzyniec żył w chwili najstraszniejszej, bo w chwili dogorywania idei pogańskiej. Wyznawców Chrystusa czekała wówczas nie śmierć szybka, gwałtowna, jaką zadaje pewna siebie przemoc, ale tysiączne pokusy, obietnice, śmierć powolna i łaska czyhająca na najłżejsze od wiary odstępstwo. To też cesarz się nie spieszy: w jego groźbie jest umiarkowanie, zapęd wstrzymała chytróść; on daje do wyboru, wskazuje drogę ratunku. Święty wprawdzie, wpatrzony w niebo, nie widzi gestu, nie słyszy obietnic; ale zostawiona chwila do namysłu skutecznie działa na siepacza: barbarzyńiec zastanowił się, zatrzymał, a z całej jego twarzy wybija budząca się z uspienia dusza: złe w zapamiętałości swojej pomnaża tryumf dobrego—siepacz chrześcianinem zostanie.

Przedstawiwszy pomysł i wejrzenie duchowe obrazu, przystępujemy z kolei do jego wykonania. Jedną z głównych zalet podobnego dzieła jest bez zaprzeczenia styl, czyli inaczej mówiąc, zgodność myśli będącej treścią kompozycyi z zewnętrzną formą stanowiącą odpowiednią



obłocz tej myśli. W obrazie p. Gersona styl, jeżeli nie w całej wymaganj ścisłości, to przynajmniej w najważniejszych warunkach jest dopełniony. Nieugiętość charakteru cesara, łączy się z surowością w postawie i geście; słodczy i szlachetna naturalność męczennika, z swobodną i pełnym dobrowolnego poddania się przewadze siły fizycznej ruchem; nakoniec zadziwienie i zachwiana srogość siepacza, z szortkością i rubaszością postawy. Wszystkie te postacie, jakkolwiek różnym nacechowane wyrazem, nie odosobniają się, nie stoją w odrębności, ale owszem stanowią wyrazistą całość akcji, nie tracąc indywidualnego wyrazu. Przedmiot główny w osobie św. Wawrzyńca zajmuje nas najwięcej, nie zacierając wszakże znaczenia stojących obok niego figur. Całość obrazu pełna, linie przyjemne i skromne; nie uczuwamy tu żadnej przesady w układzie: słowem wszystko, co dotyczy stylu w głównych jego warunkach, zadawała zupełnie. Nie możemy się jednak odjąć chęci zrobienia zarzutu kolorystowi, który grzeszy pewną dysharmonią, w tle zawyrazistém, co łatwo można było usunąć przez zobojętnienie tonu nieba i przesłonięcie warstwą powietrza posągu nazbyt wychodzącego naprzód. Są to wszakże usterki tak małej wagi, przy zaletach tej kompozycyi, że zapominamy o nich łatwo, patrząc na figury tak wyraziste i pełne psychologicznego znaczenia.

Ponieważ na wystawie naszej zjawiają się coraz częściej obrazy treści religijnej, uważamy za stosowne zrobić tu kilka uwag o sposobach pojmowania tego rodzaju malarstwa.

Podwójny, ziemię i niebo obejmujący żywioł religijny, podwójny też w sztuce wywołuje objaw; a jakkolwiek człowiek do tworzenia zarówno rozumu jak wyobraźni i uczucia potrzebuje, a w rozerwaniu nic utworzyć nie zdoła: jednakowoż zupełna harmonia wszystkich władz, duszy, czasowe ale pełne jasno-widzenie odsłaniające śmiertelnikom tajemnice Boże, potęga na wzór Boga tworząca w czasie, rzadko się w dziejach spotyka, i tylko wyobraźnia, pożyczając swych skrzydeł, to rozumowi, to uczuciu, tworzyć będzie dzieła przeważnie rozumowe lub uczuciowe, obejmować ziemię lub niebo. Gdy iskra twór-



cza zatli się w myśli człowieka, pojmować on będzie i przedstawiać przedmioty religijne w stosunku do ziemi: walka myśli, krwawe lub ciche dobijanie się do świętości, Maryja jako Matka ludzi, Chrystus w stosunku swoim do świata, a przy zabużającej wyobraźni, Ewangelia jako mądrość w postaciach ludzkich usymbolizowana, figury użyte jako znaki na myśl i mieszczące w ogólnym swym układzie, całe sentencje Pisma Świętego, lub widzenia Apokalipsy, w zakres tej twórczości wchodzić będą. Gdy zaś taż sama iskra natchnienia w uczuciu się objawi, artysta głównie zajęty niebem, odłączy o ile możności swój ideał od natury, zidealizuje formy i odrzuci wszystko cokolwiekby zbyt żywo przypominało ziemię. Zapraśnie on nam przedstawić zstępujących z nieba aniołów, w niebo-wziętych ludzi, Boga-człowieka we wszystkich przejściach, we wszystkich chwilach cudownych jego życia, lub chwiejący się i niepewny, krążyć będzie tęsknie w przedsiolkach ideału, jak krążą w Boskiej komedyi Danta u bram piekła obojętne śmiertelników dusze.

Dwa te rodzaje twórczości, złączone w geniuszach, rozdzielone w talentach, przechodząc w sztukach plastycznych w objaw życia narodu, dwoma odrębnymi drogami dążą do jego uzacnienia. Gdy artysta, jak to spostrzegamy w wielkich kompozycjach mistrzów niemieckich, figur użyje tylko, jako zgłosek do wyrażenia swęj myśli, a obraz religijny będzie. zindywidualizowaniem pewnego ustępu Pisma Świętego, uosobioną częstką umysłowego świata, tak jak krajobraz do indywidualności przyprowadzoną pewną częstką natury: obraz taki potrzebować będzie w patrzącym, obok wyrobionych już pojęć estetycznych, i znajomości umysłowego świata, w którego zakresie tworzył artysta, pewnej subtelności w myśli i usposobienia do marzeń. W chwilach wrzącego życia, kiedy umysł wyrывa się do czynu, człowiek minie obojętnie taki obraz; ale po zawodach życia, po trudzącej walce myśli, przyjdzie się przed nim pojednać z sobą, ukoić walkę, wzniosłą myśłą religijną.

Gdy zaś artysta całą myślą zwrócony do rzeczywistego świata, przedstawi nam, jak to ma miejsce w obrazie p. Gersona, ludzi dobijających się do świętości; patrzący

potrzebować będzie już wtedy, tylko pewnego nawyknięcia do zastanawiania się i pewnych wyrobionych pojęć religijnych, któreby mógł zmierzyć z przemawiającą z obrazu prawdą. Utwory takie, aby być ocenionemi, nie wymagają wyłącznego stanu duszy, ale w każdej chwili pobudzić mogą do myślenia nad życiem i sobą. W jednym jak w drugim razie, będzie to też sama twórczość rozumowa, w granicach abstrakcyjnej myśli, lub w styczności z życiem działająca.

Drugi rodzaj twórczości objawiającej się w uczuciu, przechodząc w utwory sztuki malarskiej, nie da się podzielić jak twórczość rozumowa, na dwa różne kierunki. Uczucia w abstrakcyi ani pojąć, ani przedstawić nie można; artysta, w którego sercu iskra się święta zatliła, nie niebiańskie idee uplastyczniać, ale niebiańskie postaci wywoływać będzie, a łącząc się z życiem, oddziaływać nań raczej jako poczya niż jako filozofia, pobudzać uniesienie, nie zaś rozwałę.

Obraz religijny pod przewagą uczucia wykonany, to modlitwa mniej lub więcej wyraźna, mniej lub więcej gorąca, ale zawsze i jedynie tylko modlitwa: ona podniesie duszę patrzącego, ulży mu w każdym cierpieniu, obudzi nadzieję i zapał, ale nie domierzając ideału, nie wskaże mu jak użyć, w jakim kierunku obrócić zbudzone potęgi swęj duszy. Widz choćby najmniej przygotowany, odchodzi z pełnem sercem, ze łzą w oku, z gotowością i pragnieniem czynu, którego jednak wiedzy zupełnej nie posiada.

Utwory takie również jak utwory pod wpływem przewagi rozumowej dokonane, to dwie wzięte w odrębności części Ewangelii, dwa żywioły, niebieski i ziemski, z których połączenia dopiero utworzy się Ewangelia zupełna, Bóg i człowiek w Trójcy pojęty, czasowe ale pełne jasnowidzenie prawdy. Są w dziejach chwile przewagi rozumu lub uczucia, sztuka w większości swych objawów przywdziewa poważne formy rozumu, lub stroi się w wspaniałe szaty uczucia; ale nie masz i być nie może zupełnej nieobecności jednego lub drugiego żywiołu, bo człowiek w każdej chwili zarówno pobudki jak i wskazówki do czynu potrzebuje.



Rzuciwszy okiem na rozwijające się dziś szeroko w Europie malarstwo, widzimy, że uniesienie i zapal w dziełach religijnych rzadko się objawia; zbyt wiele człowiek na własne siły rachuje, zbyt mało czerpie natchnienia z wzniosłej modlitwy, a sztuka traci na tém, bo społeczeństwo przeważnie rozumowe, odsuwając przyjsście geniuszu i zjawienie się arcydzieł, odsuwa tém samym jasne i pełne pojęcie dzisiejszego stanowiska ziemi do nieba, człowieka do Boga.

Artyści nasi przychodząc z kolei dorzucić coś swego do ogólnej pracy ludów, baczne oko na obecny rozwój sztuki i na siebie samych zwrócić powinni, korzystać z błędów w abstrakcyi rozumowej tonących Niemców, rozwijać w sobie zarówno uczucie jak rozum, modlić się i pracować, by powstającą u nas sztukę na właściwem i odpowiedniem ideałowi narodowemu utrzymać stanowisku.

Modlitwą rozpoczynają się nasze sejmy i bitwy, modlitwa poprzedziła u nas każdy czyn dziejowy, niechajże modlitwa płynie z pod pędzla artysty; ale że modlitwa nie wypełnia życia człowieka, niechajże więc rozum przyjdzie zrównoważyć szlachetne ale bezświadome popędy, torując drogę nowemu objawieniu się wsztuce chrześcijańskiego świata. Gdy geniusz przemawia, mowę jego rozumie zarówno prostaczek jak uczonec, człowiek uczucia jak człowiek myśli; dla każdego usposobienia i charakteru jest tam zachęta, siła i nauka, bo dzieło geniuszu pod bezpośrednim wpływem Bożym poczęte, łaską, natchnieniem, objawieniem, spada na patrzących.

Inaczéj się ma rzecz z talentami i dziełami talentu: one pojedynczo tę lub owę władzę duszy kształcą i podnoszą, działają na szczegóły, a nie tyle bezpośrednio i stanowczo co geniusze, albo przygotowują przyszłość, albo porwane prądem swego czasu, stają się wiernym echem społeczeństw, wśród których żyją. Artysta wiedzieć powinien czego potrzeba jego społeczeństwu, co potępić, co podnieść i wzmocnić należy; pamiętać, że nie dla uciechy, zabawy lub interesu, nie dla terażniejszości nawet, ale dla przyszłości, dla doskonalenia drugich dar Boży udzielonym mu został.



Gdy to piszemy, obraz p. Zarzeckiego przedstawiający Chrystusa i Barabasza prowadzonych przed lud przez dwóch żołnierzy rzymskich, przybywa na wystawę jakby dla uwydatnienia na przykładzie istnienia twórczości uczuciowej i jej różnicy od twórczości rozumowej.

P. Zarzecki przedmiot swój pojął sercem, ztąd też duchowe wejście do obrazu i środki jego oddania inne niż u pana Gersona.

W samym środku obrazu stoi w większej swój połowie widzialna świetlana postać Chrystusa: boleść pochyliła szlachetną głowę, czoło zasepiła troska i wygląda jeszcze z pod spuszczonej łagodnie i wstydliwie jakby przed brzydota ziemską powieki. Po lewej stronie Chrystusa stanął Barabasz: i on także pochylił głowę, ale w tym pochyleniu widać tylko przyczajenie się zwykłe zbrodni, a spojrzenie bystre, przenikliwe, wymykające się z pod powieki do połowy spuszczonej, okazuje nietylko zawistne w tej chwili względem Chrystusa usposobienie, nietylko obawę i niepewność zapasć mającego ludowego wyroku, ale zdradza zahartowanego w zbrodniach człowieka. Artysta połączył nader szczęśliwie w tej fizyonomii chwilowy stan duszy z treścią całego życia, a lekki odcień obawy i niepewności, rozlany na twarzy zbrodnia-za, nie zatracając charakteru, przesłania wstydliwie moralną i materyalną brzydota, co właśnie jest zadaniem sztuki i koniecznym warunkiem w tego zwłaszcza rodzaju przedmiotach. P. Zarzecki pojął uczuciem, że tak blisko Bóstwa, ostateczna brzydota miejsca mieć nie może, bo przeszkadzałaby uniesieniu i modlitwie a tym samym dopełnił wymagań sztuki odrzucającej bezcelową brzydota.

Główna figura obrazu, Chrystus, interesuje powagą, słodyczą, spokojnem i prawie majestatycznem poddaniem się przeznaczeniu; nie przedstawia jednak jak figura Barabasza pewnej danej chwili, z poza której przeglądałaby przeszłość i przyszłość, jak to jest wymagalnem w pojęciu filozoficznem figury Boga-człowieka i pojęciu warunków sztuki w przestrzeni czas oznaczającej.

Chrystus w obrazie p. Zarzeckiego ma coś w sobie nieoznaczonego, jak marzenie, coś nieuchwytnego jak myśl i jest raczej przypomnieniem niektórych przymiotów sta-

nowiących podwójną naturę Boga-człowieka, niż żywem i plastycznem przedstawieniem Zbawcy świata.

Pomimo jednak tak ważnego pod względem ideałowym w figurze głównej uchybienia i nazbyt obojętnie traktowanych dwóch figur w głębi stojących, stanowiących straż Chrystusa, obraz miłe, tęskne, usposabiające do modlitwy czyni na nas wrażenie.

Co dotyczy strony technicznej, koloryt szczególnie wiele ma siły i harmonii, a złoty ton prześwietlający cały obraz, bardzo umiejętnie i poetycznie zlewa się z mistycznym spokojem figury Chrystusa i zaciera surowy i namiętny charakter Barabasa, któryby w przeciwnym razie nazbyt przeważnie uderzał oko patrzącego. P. Zarzecki widocznie w kolorycie nawet pragnął uwydatnić przewagę światła Boskiego nad ciemnością materyalnych namiętności i dla prawdy idealnej poświęcił prawdę natury. W przedmiotach religijnych tego rodzaju, skoncentrowanie światła na figurę główną bez względu na prawa optyki, usprawiedliwiają najznakomitsze nawet obrazy mistrzów.

Sztuka malarska do oddania siły światła, musi się uciekać do podobnych środków, bo inny jest cel i środki sztuki, a inne prawa natury; wszelako, tylko do pewnego stopnia wolno użyć artyście tej swobody; inaczej bowiem odsuwając wszelką prawdę, zmniejszy wrażenie piękności. P. Z. nie usprawiedliwił umiejętnym światło-cieniem właściwego oddalenia figur na drugim planie będących. Żołnierze rzymscy stojący za Chrystusem i Barabaszem, z powodu bliskości, w jakiej się znajdują względem głównych figur, są utrzymani zaciemno i bez żądanej rozmaitości w kolorycie.

Co się tyczy form, w Chrystusie pragnęlibyśmy widzieć obok idealizowania więcej plastyki w modelowaniu piersi i rąk, zrozumialszego uwydatnienia mięśni, przez co znikłaby pewna ociężałość i obojętność ciała, sprzeczna z pięknnością, która odznaczać powinna ciało Chrystusa. Artysta sięgnął wysoko, chciał nam przedstawić Boga-człowieka, a chociaż nie domierzył wielkości swego zadania, uchwycił jednak tajemniczość, warunek, bez którego nie masz religijnego obrazu, będącego wy-



rażeniem modlitwy i pobudką do niej, a może być tylko obraz religijno-historyczny. Uczucie mistyczne, mniej lub więcej wyraźne wieje ze wszystkich utworów tego artysty; szacowny ten przedmiot przy większem estetycznym i technicznym wyrobieniu, doprowadzić może wysoko p. Zarzeckiego.

Ponieważ z powodu tego obrazu wyszła na jaw kwestya, ażali typ twarzy Chrystusa uświęcony podaniem Kościoła, ma być, lub nie, zachowany w sztuce, uważamy za rzecz potrzebną dotknąć téj kwestyi, choć w kilku słowach.

Konsul rzymski Lentulus, który widział Chrystusa w Jeruzalem wtedy, gdy Tenże miał lat 25, tak o Nim pisze: „Przybył w nasze mury człowiek nadzwyczajny imieniem Jezus, wielu ludzi uważa go jako proroka prawdy, a uczniowie jego nazywają go Synem Bożym. Jest on odznaczający się powierzchowności: wzrost jego jest wysoki, a cała postać tak nakazująca, że obudza zarazem miłość i uszanowanie. Włos ciemny koloru dojrzałego orzecha, gęsty i lśniący na wierzchu głowy, rozdzielony jest pośrodku zwyczajem Nazarejczyków i spada w obfitych splotach na ramiona; czoło jego jest wyniosłe, bez najmniejszej zmarszczki i plamy, nos i usta doskonałego kształtu, broda, której nie strzyże jest tego samego koloru co włosy, niezbyt długa i środkiem rozdzielona; w rysach jego maluje się wytrwałość i słodycz, a oczy wielkie i pełne blasku, straszne są gdy napomina, słodkie i pełne dobroci gdy naucza. Oblicze jego budzi zaufanie, chociaż zawsze jest poważny i nikt go nie widział śmiejącym się, a wielu widziało jak płakał. Mówi mało, ale to co powie ma powagę i siłę nie przepartą: słowem wszystko w nim zdaje się być nadludzkiem (1).”

Opis ten według wszelkiego podobieństwa znany był już Grekom bizantyjskim, a następnie Włochom i Holendrom, i stanowił typ, którego się trzymali zarówno artyści pierwszych czasów chrześcijaństwa, jak i najznakomitsze

(1) Patrz A. G. Schlegel—Leçons sur l'histoire et la théorie des beaux arts tra. par. Couturier. stron. 176.



geniusze epoki odrodzenia. Autentyczność listu konsula Lentulusa podana była w wątpliwość, dotąd jednak niezdolano jej dowodnie zaprzeczyć; ale gdyby nawet jego nieprawdziwość udowodnioną została, typ uświęcony wiarą tylu wieków, zidealizowany i spotęgowany geniuszem tylu mistrzów, dostateczną już pod względem swjej historyczności posiada powagę.

Zobaczmy teraz azali utrzymanie jedności typu, sprzeciwia się lub nie zasadom sztuki.

Wolność i konieczność, dwa prawa, dwa warunki ziemskiego życia człowieka, przenikając wskrós jego istotę, przechodzą we wszystkie jego działania i wszystkie jego utwory. Przechodzenie to i objawianie się na zewnątrz dwóch tych pierwiastków, albo się dzieje bez jego woli i staje się igraszką przypadku, albo się dzieje z jego wolą i tworzy harmonią, czyn, dzieło sztuki.

Z istnienia i walki tych dwóch pierwiastków, wynika podwójne życie człowieka, do którego objawienia tworzy on sobie już tu na ziemi dwa światy: świat społeczny, w którym przemaga konieczność, i świat sztuki, w którym przemaga wolność.

Pomijając świat społeczny nie wchodzący w nasz zakres, zastanowimy się cokolwiek nad światem sztuki. Żądza wolności prowadzi doń człowieka i rozsuwa pierwszą zasłonę téj zaczarowanej krainy, ale konieczność to drugie prawo, idzie tuż za nim i jak duch Banka zjawia się przy uczie duchowej. Artysta do objawienia swjej myśli, do uwidomienia dojrzanych w uniesieniu ideałów, formy potrzebuje. Forma, to pierwsza konieczność, co mu osiada jak wilgoć na rozwiniętych do lotu skrzydłach, a w sztuce plastycznej na przestrzeni i w pewnej danej chwili pełność życia duchowego wyrazić mającej, ciężar to stokroć większy jak w sztukach idealnych. Co więcćj, w malarstwie forma tak ściśle łączy się z treścią, w tak nierozzerwalną spływa się jedność, że zmiana przedstawienia pociąga za sobą zmianę pojęcia. Po za tą pierwszą jednak koniecznością, do formy się odnoszącą, malarz historyczny spotyka drugą wyższą konieczność, w samym przedmiocie leżącą, która w swój sposób przychodzi ograniczać wolność jego duchową. Każda figura dziejowa ma

swoją indywidualność, swoją wolność duchową, i ziemską konieczność, którą artysta uczcić powinien, jeżeli nam chce przedstawić tę, a nie inną figurę, dać nam obraz osoby istniejącej w pewnym czasie i przestrzeni.

P. Zarzecki w obrazie swym zachował tylko zasadę wolności, i Chrystus jego z tego stanowiska uważany, jakkolwiek ściśle nie zachowany w tradycyjnym typie, ale przez zasłonę materialną żadną narodowością nie określoną pozwalający nam oglądać ogólny bosko-ludzki pierwiastek, nie ulega zarzutowi, a kwestya czasu i przestrzeni ważna nader w innych dziejowych figurach, w osobie Chrystusa śmiało na korzyść swobody artystycznej mogłaby być poświęconą, bo święty nad świętymi nie należy do przestrzeni i czasu. Ale że w sztuce malarzkiej treść duchowa, jakeśmy to już wyżej powiedzieli, ściśle łączy się z formą, a Chrystus jest figurą jedyną w całej ludzkości, wyłączność zatem téj treści, z natury swojej wyłącznej téż potrzebuje formy. Zbawca świata, Bóg-człowiek, jeden jedyny, po wsze czasy i wieki, nie może zmieniać stosownie do czasowych i indywidualnych pojęć, zewnętrznej swój obsłony, traciłby bowiem swe historyczne i religijne znaczenie. Artysta odstępując od tradycyjnego typu, odstępuje zarazem od prawdy duchowej i historycznej, zwłaszcza że nader ważny wzgląd czasu i przestrzeni, już przez pierwszych chrześcian uczuciem religijném odrzucony został; a typ wiarą uświęcony nie przedstawia nam Chrystusa zrodzonego w Izraelu i z pokolenia Dawida, ale typ idealny wyrobiony wiarą i pracą wieków, typ do doskonałości przez geniuszów podniesiony i podający się w rysach swoich do nieskończonej różnaitości uczuć i myśli, w których pojęciu i oddaniu artysta twórczość swoją i indywidualność wykazać może. Na tych więc zasadach, tradycyjny typ Chrystusa doskonalący się przez wieki, szanowanym być nie tylko może, ale powinien.

Co się tyczy białej draperyi osłaniającej postać Chrystusa, którą wielu skutkiem nawyknięcia chciałoby zamienić na szkarłatną, nie bacząc na przedstawioną w obrazie chwilę, oświadczyć musimy, że to żądanie ani



pod względem historycznym, ani pod względem estetycznym uwzględnione być nie może; bo najprzód wiadomo jest z rozdziału XXIII, ewangelii św. Łukasza, iż gdy Piłat dowiedziawszy się, że Chrystus jest Galilejczykiem, a tém samem z państwa Herodowego, odesłał Go do Heroda, który téż w Jeruzalem był w one dni. Heród zawiedziony w oczekiwaniu swoim zobaczenia cudu przez Chrystusa uczynionego, wzgardziwszy Nim i naśmiawszy się oblekł Go w szatę białą i do Piłata odesłał, a Chrystus dopiero po wydaniu ludowi, w purpurę i koronę cierniową ubrany został, jak mówi św. Mateusz w roz. XXVII; powtóre, że ta historyczna prawda doskonale pod względem piękna odpowiada danej chwili i przychodzi w pomoc artyście symbolicznością swoją. Jasna, biała szata, w którą Chrystusa przyodział Heród, zda się potwierdzać słowa Piłata wyrażone w następstwie do zaslepionego ludu: „żadnej winy w Nim nie znalazłem”.

Przechodzimy teraz do innego religijnego obrazu.

Zauważaliśmy już oddawna, że p. Gerson do obrazów swych, piękne i pełne duchowego znaczenia temata wybiera. Ta trafność i umiejętność wyboru przedmiotów jest już niemałą zaletą, zwłaszcza, gdy artysta w ich oddaniu nie ogląda się za siebie, nie zaczerpuje sposobów wyrażenia swęj myśli w utworach już przed nim dokonanych, ale powziętą myśl urabia wedle własnego poczucia, tak pod względem wyrazu jako i wykonania. Ta niezależność, to poleganie na własnych siłach, jakkolwiek trudne, ma tę ważną zaletę, że wywołuje do życia nowe zupełnie uczucia i myśli, wyjaśniające coraz to nowe ideały w duszy człowieka złożone.

Ostatni obraz p. Gersona przedstawia św. Jadwigę, żonę Henryka Brodatego, ks. na Szlązku, rozdającą jałmużnę. Artysta za tło swemu przedmiotowi dał naturę. Scena w obrazie przedstawiona odbywa się pod gołym niebem wśród zimy. Zdała od zamku, którego szczyty pokryte śniegiem ukazują się patrzącemu, księżna szuka i znajduje nieszczęśliwych; klęczący przed nią starzec, któremu jałmużnę podaje, niespodziane zjawienie się księżnej w tém miejscu snąc Bogu przypisuje, bo wzniósł oczy w niebo z ufnością i pogodą, wyjaśniającą doskonale



i wysoką wartość ofiary księżnej i ducha pełnego prostoty owych czasów. Księżna chociaż bosą, w ascetycznym uniesieniu, nie wie że na świecie zima; starzec nie widzi księżnej, ale łaskę Bożą. Trzecia figura obrazu, młody chłopak stojący za starcem, z kolei na łaskę oczekuje. Obraz ten ma charakter różny od większej części kompozycji p. Gersona; jeżeli bowiem w poprzednich najczęściej przemagał pierwiastek umysłowy, tu widzimy przeważny odcień uczucia: dlatego też wypada nam bliżej oznaczyć samą naturę przedmiotu i sprawdzić, jak artysta wyraził uczuciową jego stronę. Głównym przedmiotem obrazu jest św. Jadwiga; zobaczmy więc, w jakim charakterze artysta ją przedstawia. Pierwsze wrażenie, jakiego doznajemy na widok tej kompozycji, jest przyjemne; smętna poetyczność i prostota w układzie figur, trafność pomysłu uderza odrazu: bliższe jednak wpatrzenie się zamiast podwyższać zajęcie, jak to ma miejsce przy wielu utworach tego artysty, o wiele go zmniejsza przez brak głębszego wtajemniczenia się w naturę przedmiotu. P. Gerson przedstawił nam św. Jadwigę wiotką i chwiejącą się, posmutniałą, a nawet powiemy, nieszczęśliwą; jakoby jedną z tych istot wątłych i sentymentalnych, w których uczucie jest raczej ciężarem niweczającym ciało, aniżeli siłą podnoszącą duszę. Wprawdzie św. Jadwiga prowadziła życie ascetyczne, ale czynność nieustanna, energia i potęga woli w znoszeniu trudów, na które dobrowolnie dla dobra innych się narażała, okazują, że to była niewiasta łącząca w sobie słodycz anioła i hart woli męża.

Matka, chrześciana i obywatelka, to ideał do którego doskonałego wyrażenia, poezya tak swobodna z natury swojej, tak wysokie u nas zajmująca stanowisko, rzadko się kiedy podniosła; przystępując zatem do obrazu p. Gersona z wielkiem zajęciem dopatrywaliśmy śladów poszukiwania tego pożądanego ideału, który w sztuce malarskiej, mającej za cel ująć w jedną chwilę całość duchowego żywota, trudniejszym jest jeszcze do pochwycenia. W św. Jadwidze p. G. nie znać nawet podobnego usiłowania: dostrzegamy tu tylko tkliwość a nie słodycz, sentyment nie zaś uczucie zdrowe, zdolne do poświęcenia

tak wzniosłego, jakie nam przedstawia w św. Jadwidze charakter matki i chrześcianki błogosławiącej syna swego Henryka, wychodzącego na hój krwawy za wiarę i naród, przeciwko barbarzyńskim Tatarom zalewającym Polskę. Zaiste, patrząc na nią zapomnieć musimy o słowach, jakie wtedy do syna wyrzekła: „Tobie i wam wszystkim, co należać będziecie do boju, daję namaszczenie na śmierć. Przez strumień krwi waszej nie przejdzie nieprzyjaciół Chrystusa.”

Wziąwszy teraz na uwagę nie już samą figurą św. Jadwigi w jej charakterze całkowitym, ale w chwili przedstawionej w obrazie, nie możemy sobie wytłumaczyć smutku przy wspieraniu ubogiego starca, który oblicze pełne pogody i wdzięczności podnosi do nieba. P. Gerson nie spostrzegł, że starzec odbierający jałmużnę daleko jest piękniejszy w swęj rezygnacyi i wdzięczności, jak święta, która obudza w nim te wzniosłe uczucia. Patrząc na te dwie figury, mimowolnie widzimy, że księżna nie tylko nie może pokrzepić duszy żebraka do zniesienia ciężaru biedy i starości, ale sama potrzebuje opieki moralnej i ukojenia. Figura chłopca stojącego za starcem, mętnością wyrazu, nietylko nic nie dodaje do ogólnej akcji, ale ją nadweręża. Daremnie szukamy powodu, dla jakiego się w tęg scenie znajduje. Starzec bowiem klęczący nie okazuje w niczém potrzeby pomocy, chłopiec zaś czerstwego zdrowia sam dla siebie jałmużny nie potrzebuje, nie powoduje go tęg żadna w tęg chwili inna potrzeba, chociażby prostęj ciekawości; jest więc na takich warunkach zupełnie niepotrzebny w obrazie. Co się tyczy wykonania, figura starca najwięcej przedstawia poprawności, głowa pełna prawdy i z wielką precyzją narysowana, malowaną jest skromnie a jednak energicznie i utrzymana w sile kolorytu niepospolitej. Figura św. Jadwigi w rysunku tęg same przedstawia wady co w wyrazie: brak energii, linie nie dosyć pełne, lewa ręka chorobliwie ściągnięta i za drobna, postawa bez wyraźnego ruchu, a formy ogólne nazbyt zatracone w drapekach. Wszystkie te usterki czynią całą postać ubogą i bez żądanej powagi. Ogół obrazu ze wszechmiar przy-



jemny, nie odpowiada wszakże w głównej swój postaci wysokości zadania.

Przejdźmy teraz do obrazu p. Matejki, przedstawiającego otrucie Bony. Na krześle zdobnym w rzeźby siedzi królowa: zbyt kowny przepych, złoto, perły, klejnoty, drogie materye przykrywają ją i otaczają dokoła. Widać, że przed chwilą bawiła się przeglądaniem klejnotów, bo otwarte z niemi pudełko stoi na stoliku; ale teraz już o tém nie myśli. Obok niej stanął doktor i podaje do wpeł już przez siebie wypite lekarstwo; Bonie jednak nie dosyć tój ostrożności: jeszcze się waha i wyciągając rękę, patrzy bystro przed siebie z widocznym namysłem; doktor zaś pozorem uniżoności usiłuje pokryć wewnętrzną trwoję. Młoda kobieta, snąc dama dworu, stoi cokolwiek w głębi po za stolikiem i przysłuchuje się ciekawie, a przez uchyloną kotarę ukazują się dwie figury pilnujące widocznie wykonania zbrodni. W twarzy królowej widać marnie przepędzone życie: próżność, duma wyglądają z zapadłych warg, z wydatnego czoła, z bystrych, czarnych oczu, które kiedyś pięknymi były; widać, że to kobieta niepospolita, chociaż na obrazie niedosyć w najwydatniejszej swój wadzie, chciwości, jest scharakteryzowaną. W otoczeniu przebija taż sama próżność: zdaje się, że artysta chciał przepychem nie mającym w sobie nic artystycznego, dopełnić obrazu duchowego upadku tój kobiety. Postać doktora stanowi najbardziej charakterystyczną figurę tój kompozycyi. Z jakąż subtelną sztuką artysta połączył w tój twarzy chytrność i trwoję, jakie tam rozdarcie wewnętrzne, jakie hamowanie walki, jakie wyciężenie woli ku ręce, która trzyma truciznę, a którą mimowolnie zdradza druga, ku piersiom garnąca się instynktownie. Zaczajony, skryty, ale pewny mord patrzy z tój pochylonój figury.

Kobieta na drugim planie będąca, nie tak szczęśliwie jest pojęta i wykonana. Wytrzeszczone oczy nic nie mówią, jeżeli to ma być współniczka zbrodni, to prosta ciekawość jój nie przystoi; jeżeli niewinny świadek, to scena otrucia w tak zwyczajny odbywa się sposób, że naiwna obojętność byłaby daleko właściwsza i prawdziwsza. Lepiej oddani są dwaj inni świadkowie we



drzwiach komnaty stojący, chociaż podrzędne tylko w obrazie zajmują miejsce, a zwłaszcza jeden, z którego dzikiego spojrzenia widać głębokie zainteresowanie się fatalną sprawą. Obok dostatecznej poprawności rysunku i przyjemnego kolorytu, w technice samej pragnęlibyśmy więcej różnaitości, w światłocieniu więcej harmonii, a mniej refleksów, bo te jakkolwiek dodają powabu, ale zbyt silne odejmują energią i spokój massom światel i cieniów.

Oceniwszy artystyczną stronę obrazu, zrobimy tu jeszcze jedną uwagę dotyczącą samegoż przedmiotu. Morderstwo naprzód ułożone, spełnione cicho, w zwyczajnych warunkach życia, a wymierzone nie na niewinną ofiarę, ale na występłą i duchowo poniżoną istotę, nader to trudny, a do tego niewdzięczny, i mało dramatyczny przedmiot. Ponieważ rozum głównym tu jest działaczem, więc obraz nie przez uczucie do myśli widza, ale przez rozum do uczucia jego odnosić się musi. Złe wzajem się pozerające, nawet w swęj dzikości nie przedstawia głębokiego psychologicznego interesu, a cóż dopiero ujęte w konwencyonalne formy. Trudno jest przepisywać artyście drogę, śmiesznie wskazywać przedmioty lub żądać ich zmiany; sądzymy jednak, iż nie ścieśniając wolności artystycznej, nie tamując wrodzonego popędu, żądać możemy od artystów polskich, zwłaszcza z wyższemi zdolnościami, ażeby w wyborze przedmiotów zważali na interes ogólny, i albo wykazaniem narodowych wad, albo podniesieniem narodowych cnót, powstającą u nas sztukę w godności kapłańskiej utrzymać się starali. Malarz charakterów, a nim jest bez wątpienia p. Matejko, tak dobitnie wewnętrzny proces duchowy oddać umięjący, jak to nam pokazuje figura doktora, może śmiało bogatszych jąc się przedmiotów.

Bitwa pod Obertynem, obraz p. Sypniewskiego, przedstawia stanowczą chwilę walki: Wołoch w rozsypce, Polacy zwyciężają. Pierwszy wprawdzie rzut oka na obraz nie uprzedza nas o tém, bo na przodzie walka wre z całą siłą dogorywającęj nadziei z jednęj, blizkiego tryumfu z drugięj strony; ale gdy po chwili wzrok nasz pswoi się cokolwiek z tym zamętem bojowym, uderzają

nas te dwa uczucia w ruchu i fizyonomiach walczących oddane. Wypadek ostateczny staje się niewątpliwym; śledzimy już z pewną dumą obroty zwycięzców, a myśl bieży w głąb obrazu cheiwa dopełnienia rozpoczętego dramatu. I dopełnia się on też w głębi: dwa obozy rozkładają się przed nami, zalegając dwa przeciwległe sobie wzgórza. Po lewój stronie widza stoi obóz polski, oszańcowany przekopami, obwarowany wozami; na najwyższym punkcie stoi przywódzca, główny bohater walki, hetman Tarnowski, i w postawie spokojnej wydaje rozkazy; nie tłoczą się już wkoło niego wojownicy, ostatnie roty wyszły do boju, gracz rzucił ostatnią kartę, stanowczy cios zadał wrogom. Opodal niego stojące działa, zda się na tryumf zwycięzcom zagrzmiały, bo na drugim wzgórku w obozie nieprzyjaciela strach zamiata i w szalonym pędzie gna przed sobą w nieładzie rozproszone Wołochów hufce, a na osamotnionym i wywyższonym, jak w piéwszym obozie punkcie, biały koń unosi wojewodę Piotra. Plan środkowy dopełnia harmonijnie całości: po stronie polskiego obozu strzelcy wspinają się na stojące w porządku wozy, by skuteczniej razić nieprzyjaciela; wzgórek Wołochów opasał jak wąż, szarawy oddaleniem, szereg rycerzy polskich, zamykając odwrót jednym a drugich pędząc przed sobą. Plan bitwy, jej rozpołożenie, szczegóły nawet zgodne są z kroniką Bielskiego i w całej swojej zewnętrznej stronie ściśle historyczne. Artysta zadał sobie trud niemały w wyszukiwaniu i oddaniu zbroi, strojów i przyrządów bojowych przodków naszych, co wielką już jest zasługą w przedmiocie tak ważnym i dotąd przez nikogo w takim charakterze i na tak rozległą skalę nie traktowanym. Wszystko co się tyczy formy, jest z właściwem poczuciem, a nawet z wiedzą oddane. Fizyonomie Wołochów i Polaków różnią się o tyle, o ile powinny się różnić dwa plemiona wychowane pod wpływem odrębnych pojęć i różne w cywilizacyi; różność ta pojawia się także i w rynsztunku bojowym, a nawet lubo już nie tak wyraźnie, w sposobie napadu i odporu. Koloryt jasny a nie jaskrawy, niebo lekko pochmurzone i jakby tylko kurzawą



i dymem toczącej się walki przyćmione, coraz chmurniejsze i cięższe ku stronie uciekających Wołochów, rozświetlone słońcem i ogniem wzgórze obozu polskiego, dopełnia dobrze ogólnej myśli. Strona wewnętrzna historii, albo inaczej mówiąc duch bitew ówczesnej Polski, głównie na indywidualności oparty, nie tak już szczęśliwie pochwycony. Artysta sił w tém dopiero próbuje; to też wejście duchowe obrazu cokolwiek mętne i nieokreślone, i nie dziwnego, bo żadnego tu wzoru nie miał i nie mógł mieć przed sobą. Żaden z najpiérwszych nawet mistrzów Europy wskazówki mu do tego podać nie mógł, bo żaden naród nie żył w takich jak nasz warunkach społecznych i politycznych: na tém polu wszystko samemu tworzyć, wszystko z własnego ducha i z ducha swego narodu czerpać trzeba.

Półowa życia narodowego ubiegła na polu bitwy i tę połowę grube mgły zasuly; zmieniły się obyczaje i pojęcia, a chociaż poetyczna, legendowo-cudowna przeszłość tych bitew, brzmi dotąd w sercu każdego, to z serca na jaw ją wydobyć, widocznie przed oczy stawić, nader trudnym jest zadaniem. Znakomitą zaletą p. Sypniewskiego jest właśnie to rzucenie się na drogę tak trudną, ta sumienność oddania i to przecucie wielkości traktowanego przedmiotu, które obrazowi nadały powagę, interes i znaczenie pod względem zarówno historycznym jako i estetycznym.

Szerokie i dotąd prawie nietknięte pole ma u nas malarz bitew. Życie narodu, o którego piersi odbijały się przez tyle wieków zbrojne, napady hord azyatyckich, upłynęło w połowie w krwawych zapasach. W Polsce każdy obywatel był żołnierzem z przekonania, godności własnej i wiary religijnej; rzadko który umarł spokojnie na łożu, a żaden prawie bez boju choćby krótkiego nie przeżył żywota. Polski bez bitwy nie zrozumiesz, ani ogarniesz jęj historii, tak jak bez bitwy nie zrozumiesz i nie ogarniesz historii Rzymu niwelującego świat na przyjście Chrystusa; bitwy téż Polaków mają w sobie całym odrębny charakter, od bitew innych ludów Europy, i oprócz interesu narodowego mieszczą w sobie wyższy, czysto ludzki interes.



Stan ekstazy religijno-bohaterskiej, chwilowy i przechodni dla Europy, dla Polski jest stanem ciągłym i zwyczajnym. Po dwóch wiekach wojen krzyżowych, wszystkie ludy składają oręż trzymany w obronie wiary, zdając na najmłodszego ucznia Chrystusa straż idei postępowej i walkę z zachowawczym Wschodem; a chociaż Europa wydaje jeszcze czas jakiś z łona swego zbrojne hordy, znane pod nazwą rycerzy krzyżowych, ale w tych rycerzach nie ma już ani śladu owej religijnej ekstazy i bezinteresowności: ci rycerze walczą już tylko dla łupu, a idzie im nie już o rozszerzenie wiary, nie o oswobodzenie Chrześcian, ale o zdobycie państw dla siebie. Od tej też chwili wojna w Europie traci swój wzniosły i uczący charakter, żąda łupu a co najwięcej sławy, staje się głównym motorem walki, którą uszlachetnia już tylko niebezpieczeństwo, wieńczy sława, nie zaś dobro moralne. W Polsce przeciwnie: wojna zachowuje swój dawniejszy charakter i nie przekracza po zagranicę obrony własnej i obrony Chrześcijaństwa. Gdyby jednak różnica bitew polskich w tém tylko leżała, różnica ta jakkolwiek ważna i dająca się doskonale w sztuce idealnej, to jest poezyi wyrazić, przechodziłaby zakres i możność sztuki plastycznej; ale że nie tylko inne okoliczności otoczyły Polskę, ale i inny duch w wnętrzu jęj pracował, przeto też duch ten we wszystkich objawach życia narodowego uplastycznił się i przywdział kształty, które malarz pochwyć może.

Tym duchem jest głębokie poczucie i uczucie indywidualności. U innych ludów władza z najstarszego w rodzinie przechodzi na pana czyli władcę feudalnego, z władcy na monarchę, a lud zawsze skupia się, czyto w rodzinie, czyto w większém społeczném kole, czy też nakoniec w państwie koło pewnych indywidualuów, objawia swe życie w działaniu władców i bohaterów, czyli inaczej mówiąc, massy wydają z siebie indywidua będące przedstawicielami całego życia narodu. W Polsce rzecz się ma zupełnie odwrotnie: tu massy zawsze działają, każdy czyn dziejowy przez nie a nie przez pojedyncze indywidua się objawia; tu nie masz istot uprzywilejowanych, noszących na swych barkach losy całego narodu; tu głos

ludu staje się głosem Boga, sprężyną i działaczem, a upadek lub postęp, przegrana lub wygrana, zależy zawsze od mniejszego lub większego wyrobienia w ogóle, pojęcia cnoty i sprawiedliwości. Życia innych ludów europejskich próżnobyś szukał na polu bitwy: lud nie świadomy i posłuszny szedł za skinieniem wodza, wódz był bogiem bitwy, sam ją wywoływał, kierował i zawieszał. W obrazach téż bitew z onych czasów, ludy te szukają i znajdują pojedynczych swych bohaterów; my szukamy i znajdować powinniśmy życie całego narodu. U nas każde indywiduum jest ważne, bo to nie kółko maszyny, którego myśli i znaczenia w myśli wodza szukać należy, ale istota odpowiedzialna, czująca i działająca za siebie.

Obrazy bitew polskich na dwa rodzaje podzielić się dadzą: jedne staczone z sąsiednimi i już ucywilizowanymi narodami, drugie z dziecą azyatycką; ale w jednych jak w drugich jeżeli mają być obrazem naszej historii, powinien ten sam żywioł indywidualny przemagać, i artysta zabierający się do tak ważnego dzieła, starać się ma przede wszystkim o uwydatnienie charakteru téj indywidualności. Malarz bitew polskich nawet i pod względem zewnętrznym znajduje żywioł poetyczniejszy, rozmaitszy i bardziej podający się do oddania pewnych uczuć, bez których nie masz dzieła sztuki. Uorganizowane półki z wódzami na czele, wprawdzie porządniej i korzystniej bój przeprowadzić są zdolne, ale pod względem estetycznym uważane, mają zawsze w sobie coś matematycznego. Wszelka systematyczność i skupianie się ważne w strategii, mało waży w sztuce; a obraz doskonale wszelkie działanie strategiczne oddający, będzie wyglądał w obec obrazu polskiej bitwy, jak misternie wystrzyżone aleje ogrodu w obec pełnego poezji, dzikiego obrazu natury.

To wysoko rozwinięte indywidualne życie w utworach naszej literatury wybitnie, pełno, całkowicie oddaném jeszcze nie zostało. W Pamiętnikach Paska sypie się ono jak perły z zerwanéj nici, w Barbarze Radziwiłłównéj schwyte słabo, nie ma plastyczności, wielkie dramata J. Słowackiego krążą w sferach fantazyi; chcąc więc artystom naszym uwydatnić na przykładzie duchowe obli-



cze bitew polskich, bierzemy do porównania utwór jednego z geniuszów należących do całej ludzkości.

Bitwa polska to dramat w najwyższém, ideałowém tegoż pojęciu, dramat głęboko ludzki, taki jakim go Szekspir pojął i przedstawił w królu Lirze, gdy na tle dziejowym pierwotnej Brytanii, króląc historią rozwijającego się społeczeństwa, wytykał drogę przyszłemu rozwojowi i znaczeniu indywidualności. Żadna figura tego dramatu, czy to na tronie, czy po za tronem umieszczona, nie kryje się w cieniu drugiej, nie szuka i nie potrzebuje opieki: każda żyje własnem życiem, czuje się osobą, kieruje swoim losem i wpływa na rozstrzygnięcie losu wszystkich.

Pojęcie indywidualności w tym dramacie jest tak wysokie, że kobiety nawet, mało w ogóle uczestniczą w sprawach świata mające, tu działają za siebie; energiczne zarówno w złem jak w dobrem, przez śmierć tylko z pola działania usunięte być mogą. Żadne stanowisko społeczne nie chroni tu człowieka, nie ułatwia mu życia, nie daje opieki ani władzy nad losami drugich; pośród wybitnych indywidualności, los małą odgrywa rolę, a wyższość lub niższość, powodzenie lub upadek, nie w żadném stanowisku społeczném osób do dramatu wchodzących, ale w sercu i umyśle każdego złożona. Król Lir, Gloster, Kordelia, bohaterowie cnoty, giną wprawdzie jak Żółkiewscy i Wiśniowieccy, nie zdoławszy w danej chwili zapewnić tryumfu swęj sprawie, ale ginąc zapewniają tryumf godności i wielkości indywidualnej. W dramacie Szekspira tak jak w wielu bitwach naszych (1), wybitne indywidualności nie mogą się w idei wyższej pojednać, legły nieraz obok siebie; nie jedna bitwa przegrana, ale znaczenie osoby wzrasta, płynie przez dzieje, olbrzymieje z dniem każdym i potęgując się zarówno w złem jak w dobrem, tworzy szereg dramatów, rodzących jedno drugie i rozciągających się prawie w nieskończoność.

Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, wzięte w duchowém znaczeniu, stanowiąc treść dziejów naszych

(1) Bitwa pod Sokalem z Tatarami 1512 r. za Zygmunta I, nad Seretem z Wołochami i Turkami około r. 1538 za Zygmunta Augusta, patrz Kronika Bielskiego ks. 5, str. 52,



stanowi i treść bitew; artyści więc nasi wczytywaniem się w utwory, w których ten żywioł w ramy sztuki ujęty, harmonijną całość przedstawia, usposabiać swego ducha, ukształcać swe pojęcia powinni.

Gdzie złe i dobre nie leży w korporacjach, nie skupia się w genialne osobistości, ale rozdziela pomiędzy indywidualia równoważące się wzajemnie, tam owe dwie potęgi mniej ulegając wpływowi czasu i podmuchom losu toczą z sobą bój zaciętszy i dłuższy; każda z nich ginąc, nowe zapładnia życie: prawda ma swych bohaterów, błąd zaciętych stronników, a widz stojąc w obec odgrywającego się przed nim na scenie lub w obrazie dramatu, przewiduje długi szereg następnych, co zwiększając jego zajęcie podnosi rozkosz, a ta walka różnorodnych uczuć budzi w nim przedewszystkiem poczucie potęgi osobistej i pożądanie gorące zupełnego tryumfu cnoty, którego dramat obietnice tylko daje i przyjście zapowiada.

Jednym z rodzajów malarstwa, dość licznie na naszej wystawie reprezentowanych jest portret; a że ten rodzaj z natury swojej trzymający się terażniejszości, otwiera pole pochopnej a często nieuzasadnionej krytyce, umieszczamy tu kilka uwag mogących posłużyć za wskazówkę, jak wedle zasad estetyki zapatrywać się mamy na tego rodzaju utwory.

Wiele osób uważa portret za podrzędny rodzaj w dziedzinie sztuki, i byłoby tak w istocie, gdyby warunkiem i zaletą portretu było tylko podobieństwo, a wyższość jego nad wyrobami maszyny leżała tylko w uchwyceniu i oddaniu życia zewnętrznego bądź indywidualnie, bądź ogólnie pojętego. Portret podobieństwem i życiem nacechowany, różni się wprawdzie od fotografii o tyle, o ile się różni człowiek żywy od swego wizerunku w wodzie odbitego; ale pod względem estetycznym uważany, będzie to dopiero obraz człowieka wyróżnionego z pomiędzy ludzi, jako indywidualium, skutkiem naturalnych wpływów lub przypadku, odbiciem takiego a nie innego temperamentu, ale nie wizerunkiem duchowo-materyjalnej istoty; pewną indywidualnością jako wyrób wolnej woli pojętą.

Ażeby artysta dał nam wyobrażenie zupełne przedstawionej osoby, powinien oddać wiernie nie tylko proporcją, kształt rysów, kolor i naturę ciała; ale jeszcze wyrazić charakter osoby tak dobitnie, iżby patrzący mógł sobie utworzyć w myśli ideę tegoż charakteru, powziąć wyobrażenie całkowite o moralnym i fizycznym ustroju tego człowieka.

Malarz portretów jest malarzem obyczajów, bo przedstawiając nam w portrecie jedność wyrazu, życia, i rodzaju indywidualności, przedstawia obraz moralny i nauczający. Obraz taki powinien się podobać przez swe kombinacye optyczne, odpowiedniość, kształt, a światłocien wyrażający tenże kształt, powinien być w tak doskonałej zgodzie z charakterem przedstawionej osoby, iżby wykazywał jasno tenże charakter, bo to właśnie jest zadaniem sztuki.

W przedstawieniu ubioru osób, artysta nie może stosować się do mody; owszem powinien on odrzucić wszystko, cokolwiek psułoby harmonią linii, zubożać ozdoby będące w sprzeczności z wyrazem fizjonomii i tym sposobem nadać częściom wydatnym, przynależne im znaczenie i siłę.

Ludzie światowi żądają często doskonałego oddania wymysłów mody, ale artysta poddawać się tym wymaganiom o tyle tylko może, o ile one są zgodne z zasadami sztuki.

Upiększanie czyli idealizowanie przedmiotu ważną także w portrecie odgrywa rolę; mniejsze lub większe odstępianie od linii prostopadłej, tak doskonale przez Greków w naturze pochwyconej, stanowi mniejszą lub większą szlachetność typu; wszelkie zatem napotykatne się w fizjonomiach i postaciach odstępiania od tej idealnej linii, artysta prostować może, nie zatracając podobieństwa, bo charakter, o którego oddanie idzie głównie w portrecie, będąc wyrobem wolnej woli człowieka, przez zbliżenie do harmonii zewnętrznych rysów, na wydatności zyskuje.

Estetyczna zasada idealizowania potrzebna w portretach zwyczajnych ludzi, staje się konieczną w figurach historycznych, bo treść ich duchowa, jako własność ca-



łego narodu, żadną przypadkowością przesłonią być nie powinna, a znaczenie i wartość dziejowa dla ubocznych i indywidualnych względów, poświęconą być nie może.

Prawdę tych uwag stwierdzić nam mogą portrety p. Horwita, których kilka obecnie znajduje się na wystawie.

Pierwszym co do czasu jest portret mężczyzny stojącego obok stołu, na którym leżą książki; oblicze jego wyraziste i ożywione, znamionują umysł otwarty i swobodny, jestto już indywidualność, jako wyrób wolnej woli pojęta i energią za główne tło swego charakteru mająca. Indywidualność ta więc jako taka, powinna była być dopełnioną podobnymże ruchem ciała i strojem naturalniejszym i swobodniejszym, czego właśnie nie spostrzegamy. Ruch ciała miękki i konwencyonalny, strój nazbyt modny i pozbawiony wdzięku odejmują całość artystyczną temu portretowi, i stanowią dysharmonią między wyrazem oblicza a resztą figury.

W drugim portrecie mniejszym, przedstawiającym młodego człowieka w okrągłym kapeluszu, p. Horwitz szczęśliwie wszelkiej dysharmonii uniknął. Charakter oblicza uczuciowy i poetyczny, doskonale z swobodą ruchu zjednoczony, światłocień łagodnie skoncentrowany na jedną część twarzy, wybornie maluje tajemniczość delikatnych wrażeń przesuwających się po téj fizyonomii, a strój naturalny i lekki dopełnia całości.

Najtrudniejsze zadanie przedstawiała grupa trojga dzieci przez tegoż artystę wykonana. Naturalna naiwność, jaka cechować powinna tego rodzaju portrety, nie jest tu wprawdzie całkowicie oddana, szczęśliwie jednak w najważniejszych swych warunkach dopełniona.

Najstarszy chłopczyk siedzi w pośrodku na fotelu, przy nim małeńki braciszek w koszulce, a siostra oparłszy główkę na rączce wspartej na poręczy fotelu, obok którego stanęła, patrzy przed siebie. Ta ostatnia szczególnie z wielkim wdziękiem jest namalowana: słodycz i niewinność spojrzenia bardzo trafnie scharakteryzowana, prawdziwą oku sprawia rozkosz. P. Horwitz dopełnił w tym portrecie prawie wszystkich wymaganych warun-



ków, to też gdy się wpatrzysz w to zidealizowane oblicze dziecięcia, to ci się w myśli snują wszystkie szczęśliwe chwile twój młodości, zda ci się, że oddychasz czystą wonią rodzinnego ogniska, a dziewczynka uczy się kochać dzieci, bo to anioł niewinności. Mały chłopczyk w koszulce nie jest bez wdzięku, za mało ma jednak dziecięcego wyrazu naiwności; najstarszy zaś, lubo dobrze utrzymany w charakterze, nie dosyć się jednak łączy w całość grupy; chłopczyk wie, że go malują, i to właśnie czyni go mniej poetycznym a tém samém i mniej interesującym. Pomimo tych niedokładności, w ogólnym wyrazie całej grupy, wiele jest naiwnej słodyczy, podwyższonej jeszcze poprawnością rysunku, wdziękiem i siłą kolorytu, plastyką i trafnością układu, co sprawia, iż portrety tych dzieci do prawdziwie pięknych policzone być mogą.



## KRONIKA LITERACKA.

---

*Podobieństwo i różnica języka polskiego  
z ruskim, czyli wyraźniej z rusińskim, objawionym*

**E**lementarz *elementarzu wydanym w Wiedniu 1857 roku.*

**E**lementarz pod napisem: *Bukwar' dla Uczyliszcz narodnych w C. K. Austrijskich Krajach*, pokazuje tę dążność i usiłowania, ażeby język, którym lud ruski dziś mówi w Galicyji, podnieść od razu na stopień czysto scjentyficzny i używać go po szkołach do wykładu wszelkich nauk, wszelkich umiejętności, —i do wyrażania w życiu współczesnym wszystkich pojęć i myśli, które sobie dotąd ludzkość w ogólnej wiedzy długim czasu przeciągiem w pocie czoła po ździeble nagromadzała. Zajiste! z tej strony ogrom wielki i rozległy przedstawia się naszemu umysłowi! Czyż teraz z drugiej znowu strony język, umiejący tylko malować pierwsze potrzeby życia sielskiego, rodzinnego, domowego i w części religijnego, zdoła w tej chwili tego stopnia wysokości i doskonałości dosiądz, ogólną wiedzę tak sobą objąć i ogarnąć, iżby sam, bez nadwężenia siebie, mógł być jej tłumaczem, objaśniaczem i w dalszym jej rozwoju wykładcą? O zapewnie, że nie! Tu się bez uszczerbku nie obejdzie: bo albo język potrzaska i przez rozmaite, a gwałtowne łataniny w co innego zupełnie się przerodzi;—albo nauki w jego pieluchach i powijakach więdną i suchot dostawać będą;—i w dzisiejszym jego rozwoju i dotychczasowym stopniu jego doskonałości skutków innych spodziewać się nie można. Jakkolwiek więc przedsięwzięcie poczęło się w szlachetnej i poczciwej myśli; przecież za jej polotem rozwój języka nie zdąży—i owoców dziś w nagrodę dla niej pomyślnych nie przyniesie;—jednakże ziarno rzucone nie zaginie i w stosownym czasie, dojrząwszy, plon wyda.

Mając to wszystko na uwadze, bądźmy cierpliwi; nieopatrzny bowiem i zmuszony tu pośpiech, nietylko szkodliwy, ale, powiadam,—zgubny;—śpieszyź się więc powoli.

Ależ w samym wstępie może zbyt znacznie odsunąłem się od właściwego założenia, które ma wskazać podobieństwo i różnicę tych języków; natychmiast się przeto zwracam do niego, gdzie szczegóły przytoczone rozjaśnić ten przedmiot zdołają. Zwracam też uwagę czytelnika, iż przykłady dawane z języka ruskiego będą pisał ortografią polską, stosując ją, ile możność i znajomość moja pozwoli, nie do etymologii wyrazu, ale do jego brzmienia ustami wyrażonego i uchem schwytanego; tym sposobem, sądzę, wszelkie przemiany lepiej się uwydatnią i czytelnikowi w umyśle przedstawią.

### Ścisnięcie samogłoski e.

Gdy na e opiera się następująca spółgłoska; wtenczas to przechodzi na i; uwolnione od tego ciężaru, wymawia się swoim brzmieniem, n. p.

<i>Janhele</i> Christow, chrانيتelu	Aniele Boży, strózu mój.
<i>mij</i> (1).	
<i>Janheły</i> sławiat Hospoda.	Aniołowie wysławiają Pana.
<i>Janhil rik</i> jim.	Anioł rzekł jim.
<i>Kin</i> rze, biżył, tiahnie wiz,	Koń rzy, ciągnie wóz, albo pod
albo werchem <i>nese</i> .	wierchem chodzi.
<i>Ne prynis</i> wsioho.	Nie przyniósł wszystkiego.
<i>Odnis</i> chłopczyna sanoczki	Odniósł chłopczyna saneczki
swoji.	swoje.

### Ścisnięcie samogłoski o.

Wolne o wymawia się swoim brzmieniem, obciążone następną spółgłoską przechodzi w y lub i, n. p.

<i>Boha</i> lublu, <i>Bohu</i> znaju.	Boga kocham, Boga znam.
<i>Bih</i> wsio wydit.	Bóg wszystko widzi.
Tym <i>sposobem</i> nawykaje di-	Tym sposobem nawyka dziecina.
tina.	
<i>Jest' sposyb</i> .	Jest sposób.

(1) Wszystkie przykłady wyjęte z Elementarza wyżej przytoczonego.



W deń czetowik dítaje, w *no-*  
*czy* że odpoczywaje.

Póki sonce stojit na nebi, ma-  
jem deń; skoro li zajde, zaczy-  
naje weczeriti i majem *nycz*.

Szanuj hory, *mosty*, budut ci-  
tyji *kosti*.

Szczo szyrsoje, *myst* czy  
ławka?

Tołcze *kist'* na *mast'*.

Jiz szkoły do *domu*.

*Dom* stawytsia.

*Szczyryst'* twoja, luba dityno,  
odpowiła od *radosti*, płaczuczy  
mati, zasołodyła wsiu horest'  
toho liku.

Wbih Nikolcio do sadu pid  
jabłonku.

We dnie człowiek pracuje, w *no-*  
*cy* zaś odpoczywa.

Póki słońce jest na niebie, mamy  
dzień; gdy zaś zajdzie, poczyna  
się zmiierzchać i mamy noc.

Szanuj góry, *mosty*, będą całe  
kości.

Co szersze,—*most*, czy *ławka*?

Tłucze kość na maść (na miazgę).

Ze szkoły do domu.

Dom się buduje.

Szczérość twoja, luba dziecino,  
odpowiedziała, płacząc z ra-  
dości, matka, osłodziła całą  
gorycz tego lekarstwa.

Wbiegł Mikołajek do sadu pod  
jabłonkę.

Toż samo widziemy prawo na pochylanie się *e i o*  
w polskim języku, n. p.: *chleba*, *chleb*, *oleju olej*, *moje mojej*,  
*wieje więj*, *Boga Bóg*, *rowu rów*, *woda wód*, *głowa głów*,  
*mrozu mróz*, *morze mórz* i t. d.

Zmiękczenie współgłosek **k, h, ch**, w siódmym spadku  
liczby pojedynczej.

Cipy na *toci* (k).

Paćec na *ruci* (k).

Mnoho palczyw na każdoj  
*ruci*? (k).

Po czystom *wozdusi* (ch) roz-  
łahajesia daleko uroczystyj ho-  
łos zwona.

*W doroz*i. (h).

Cepy na *toku*, (na klepisku).

Palec u ręki.

Ile palców u każdej ręki?

Po czystym powietrzu rozlega się  
daleko uroczysty głos dzwo-  
na.

W *drodze*.

Alboż nie ma téj saméj przemiany w języku polskim,  
n. p.: *noga nodze*, *pycha pysze*, *matka matce*? Nadto Rusin  
często wyraźnie polonizuje w rodzaju męskim, n. p.:

Stojały na *stolyku* do łżizka  
prystawlennom.

Stały na stoliku do łóżka przy-  
stawionym.

W krasnym ranku.

W pięknym poranku,

gdzie: *stołyku* i *ranku* są czystą formą polską, później nawet w nim wyrobioną.

*Trzeci spadek liczby pojedynczej w rodzaju męskim.*

Końcówka tego spadku na *owi* bardzo często pojawia się polska, n. p.:

Woproszaw jich tak, szczo sia wsi jeho rozumowi dywowały.	Tak się jich pytał, iż się wszyscy jego rozumowi dziwowali.
Toje spodobało sia <i>selaninowi</i> .	To się spodobało wieśniakowi.
Odkrywaje <i>czelownikowi</i> welicyje Bożoje.	Odkrywa człowiekowi wielkość Boga.
Sosid <i>sosidowi</i> .	Sąsiad sąsiadowi.
Rad druh <i>druhowi</i> .	Rad przyjaciel przyjacielowi.

*Piąty spadek we wszystkich formach.*

Jak Polacy, tak Rusini mają osobną końcówkę w piątym spadku, jako to:

<i>Hospodi Jisuse Christe Boże nasz.</i>	Panie Jezu Chryste, Boże nasz.
Pid Twoju miłyst' przybihajem <i>Bohorodice Diwo.</i>	Pod Twoje miłosierdzie uciekamy się Bogarodzico Panno.
Boże miłyj! lubiu Tebe.	Boże miły! kocham Ciebie.
<i>Doniu</i> luba, bud' wsehda tak miłoserdnoju.	Córuniu luba, bądź zawsze tak miłosierna (litościwa).
<i>Mamo</i> moja, umyj mene.	Mamo moja, umyj mnie.
Ne byj ho, <i>Stasiu</i> .	Nie bij go, Stasiu.
Boże pomozły! ty, neboże, ne łyży.	Boże pomóż! ty, nieboże, nie leż.

*Pierwszy spadek liczby mnogiej rzeczowników i przymiotników.*

W ruskim języku przy jakiegokolwiek przybierającój zawsze jest końcówka *y*, lub przy miękkich *i*; w polskim zaś rzeczowniki z przybierającą twardą mają końcówkę *y*,

z przybierającą miękka jest końcówka *e*. Przymiotniki do Jimion ludzkich męskich odnoszone mają końcówkę *y, i*; do wszelkich innych odnoszące się, kończą się na *e*, jako to:

*Koni* bywajut *woronyji, hni-dyji, kasztanowatyji, buławyji, szpakowatyji, bilyji.*      *Konie* bywają *kare, gniade, kasztanowate, szpakowate, biale.*

*Galony* koło *fagota gumowanyji.*      *Galony* koło *fagota gumowane.*

*Wody* *Szczawnycki kwasnyji.*      *Wody* *Szczawnickie kwaśne.*

*Dруги* spadek liczby mnogiej w rodzaju męskim.

Oprócz innych końcówek, mają także *ów*, którą *yw* wymawiają, n. p.:

<i>Szysť</i> <i>desiat krajcaryw</i> czyniat złoty ryńskij.	<i>Sześćdziesiąt</i> <i>grajcarów</i> czyni złoty reński.
<i>Sotnar</i> ma je sto <i>funtyw.</i>	<i>Centnar</i> ma sto <i>funtów.</i>
<i>Pritym</i> jeszcze i <i>kołaczykiw i cukierkiw.</i>	<i>Przy tym</i> jeszcze i <i>kołaczyków (ciastek) i cukierków.</i>
<i>Odstawlenije</i> <i>hrichyw.</i>	<i>Odpuszczenie</i> <i>grzechów.</i>

Siódmy spadek skrócony w liczbie mnogiej takiz sam, jak w polskim, n. p.:

<i>Mini</i> <i>kińmi</i> <i>pień.</i>	<i>Miń</i> <i>końmi</i> <i>pień.</i>
<i>Bud'mo</i> <i>lud'mi.</i>	<i>Bądzmy</i> <i>ludźmi.</i>

Stopnie przymiotników stopniowania względnego i bezwzględnego, tudzież przysłówków uderzającą stanowią tożsamość w swojej formacyji, n. p.:

<i>Dawniwszyj</i> <i>Drohobycz,</i> jak <i>Dobromil.</i>	<i>Dawniejszy</i> <i>Drohobycz,</i> jak <i>Dobromil.</i>
<i>Szczo</i> <i>szyrsoje,</i> <i>myst,</i> czy <i>ławka?</i>	<i>Co</i> <i>szérsze,</i> <i>most,</i> czy <i>ławka?</i>
<i>Bożyj</i> <i>raj</i> <i>najmiliwszyj.</i>	<i>Boży</i> <i>raj</i> <i>najmilejszy.</i>



Maju <i>staryńkoho</i> słaboho tata.	Mam <i>starzuchnego</i> słabego ojca (tate).
Słobi iz razu <i>najpojedynczyjszyi</i> prybyrajut postepenno i perechodiat do <i>trudnijszych</i> mnohosłożnych.	Zgłoski zrazu najprostsze zwiększają się następnie i przechodzą do <i>trudniejszych</i> więcej złożonych.
Wsiuda dobre, doma <i>najlepsze</i> .	Wszędzie dobrze, w domu <i>najlepiej</i> .
Tretyjże rik <i>skromneńko</i> , skłonywszy sia <i>nyzienko</i> .	Trzeci téż rzekł <i>skromniuchno</i> , skłoniwszy się <i>niziuchno</i> .

*Słowo **być** w czasie terażniejszym.*

Tym się obydwą języki odznaczają, iż kładą słowo *być* w czasie terażniejszym, chociaż je także opuszczają mogą i myśl będzie jasna.

Krow' <i>jest'</i> czerwona.	Krów <i>jest</i> czerwona.
Usta <i>sut</i> czerwonyji, licia rumianyji.	Usta <i>są</i> czerwone, lica rumiane.
Jakij <i>jest'</i> fijałok?	Jaki <i>jest</i> fijołek?
Orich <i>jest'</i> żyłtawyj.	Orzech <i>jest</i> żółtawy.
Hroszy <i>sut</i> kruhłyji.	Grosze <i>są</i> okrągłe.

Końcówka osoby pierwszej liczby mnogiej w czasie terażniejszym i przyszłym może się skracać w obydwóch językach, n. p.:

Ja czytaju, my <i>uczymosia</i> .	Ja czytam, my się <i>uczym</i> .
<i>Majem</i> ruki, nohi, czoło wo- czy i druhiji sostawy.	<i>Mamy</i> ręce, nogi, oczy i inne członki.
Tiło <i>widym</i> , duszy ne <i>widym</i> .	Ciało <i>widziem</i> , duszy nie <i>widziem</i> .
Jak sebe samych, tak <i>lubym</i> i druhich.	Jak siebie samych, tak <i>lubim</i> i drugich.

Może tylko języka słowiańskiego dwie są gałęzie, w których słowo czasu przeszłego na wszystkie osoby ma odrębne końcówki, przeniesione od słowa *jestem* i zrosłe z jimiesłowem słowa odmienianego. Końcówki te mogą

się od jimiesłowu odrywać i łączyć z innym wyrazem, ale zawsze słowo poprzedzającym. Często dziś Rusin w tych zdarzeniach słowianizuje, to jest: kładzie całe słowo *jestem* obok jimiesłowu; Polak zaś tę formę ma tylko w swoim starym języku. Okoliczność ta pokazuje, iż ruski język przy niektórych zdarzeniach w swoim rozwoju stanął; polski ciągle dalej się rozwijał. Nadto Rusin używa samego zajimka z jimiesłowem bez końcówki osobowej; z Polaków dziś niektórzy nierozważnie czynią, gdy go w tym zwrocie naśladują. Przykłady wyraźniej nam te zmiany przedstawia.

*Zhubylem, ditinko, nożyk.*

*Wydyliśmo, kazaly.*

*Szczobyśmo czerez neho żywot jimyły.*

Pozbyrajte sobi sehodne wsi weszczy waszy, *szczobyście były* s wsim hotowyji skoro pidwoda v. podwoda najata zajide.

Mnoho jeś, synu, *połuczysz* i borzoś sia *nauczysz*.

Jako *rodyła jesi* Christa Spasa.

Sławosłowim Tia Hospodi Ot-cze nebesnyj, jako *nasytył jeś* twojimi daramy tiło nasze.

Mamo! a ot *ja* rano *wstaw*, a jeszcze nyczo *nedostaw*.

*Ja* uże doma *jiła*.

*Zgubilem, dziecinko, nożyk.*

*Widzieliśmy, mówili.*

*Ażebyśmy* przez niego żywot *otrzymali*.

Zbierzcie sobie dziś wszystkie rzeczy swoje, *abyście były* ze wszystkim gotowe, gdy podwoda najęta zajedzie.

Wiele, synu, *otrzymałeś* i *dużoś* się *nauczył*.

*Że porodziła* (dawniej: *porodziła jesteś*) Chrystusa Zbawiciela.

Wysławiamy Cię, Panie, Ojczy niebieski, *żeś nasycił* swojemi darami ciało nasze.

Mamo! otom *ja* rano *wstał*, a jeszcze nic nie dostał.

*Jam* już w domu *jadła* (nie dobrze: *ja jadła*).

W liczbie mnogiej czasów przeszłych Rusin nie odróżnia końcówek słowa; Polak zaś ma jich dwie: jedną do jimion ludzkich męskich stosuje; drugą do wszelkich innych jimion bez wyjątku odnosi, n. p.:

*Jichały* kupci.

Nym to kniazi *howoryły*.

*Jechali* kupcy.

Nim to kniazie *mówili*.





Kołomyja <i>nedaleko Kluczewa.</i>	Kołomyja <i>niedaleko Kluczewa.</i>
Sanok leży <i>nad Sanom.</i>	Sanok leży <i>nad Sanem.</i>
Sambor <i>nad Dnistrom.</i>	Sambórz <i>nad Dniestrem.</i>
Zamek w <i>Zamostiu.</i>	Zamek w <i>Zamościu.</i>
<i>Za Żołotnikami Zaliszczyki.</i>	<i>Za Żłotnikami Zaleszczyki.</i>
Żółkewskich <i>rodina iz Żółkwi.</i>	Żółkiewskich <i>ród z Żółkwi.</i>
<i>Do czoho pero tu?</i>	<i>Do czego pióro tu?</i>
<i>Do czoho kniżka?</i>	<i>Do czego książka?</i>
Wbih <i>Nikolcio do sadu pid</i> <i>jablonku mołodu.</i>	Wbiegł <i>Mikołajcio do sadu pod</i> <i>jabłonek młodą.</i>
<i>Styl robyt stolar'.</i>	<i>Stół robi stolarz.</i>
<i>Pyrwyj deń zowesia nedila.</i>	<i>Pierwszy dzień nazywa się nie-</i> <i>dziela.</i>
Tak to ne raz bywaje, nepo- słuch <i>sam sia karaje.</i>	Tak to nieraz bywa, że nepo- słuszeństwo <i>samo się karze.</i>

Słowiańskich czysto postaci zewnętrznych więcej język ruski do chwili obecnej w sobie zatrzymał, niż dzisiaj polski. Objawia się to szczególnie w słowach nieformalnych, najpierwsze potrzeby malujących, a przeto najdawniejszych, jak nas przykłady następne przekonywają:

Tebi jedynomu <i>sohryszych i łukawoje pred Toboju sotworych.</i>	Tobie jednemu zgrzeszyłem i zło przed Tobą działałem.
Win <i>wist'</i> , szczo sia dije na nebi i na zemli.	On wie, co się dzieje w niebie i na ziemi.
<i>Wist'</i> Bich z neba, szczo komu treba.	Wie Bóg z nieba, czego komu trzeba.
Dobra nauka <i>dast'</i> łuczszu krasu.	Dobra nauka daje piękniejszą ozdobę (krasę).
Kto mnoho <i>jist'</i> i pije, toj w rozum ne tyje.	Kto dużo <i>jjé</i> i pije, ten w rozum nie tyje.

„Jidąc wyroków nakazem w deszcz, w pogodę, byle razem,” jak mówi poeta z Pokucia, pomagając sobie wzajem, naśladowując jedni drugich, utrzymywaliśmy nawet wyrażenia zupełnie przeciwne rodzaje języka,—i ta właśnie okoliczność służy za wielki dowód długiej łączności naszego żywota duchowego. Postrzegać się daje w elementa-

rzu: *mular'*, u nas *mularz*, choć być powinno: *murarz*, jak dawniej używano. Znajduje się wyrażenie: *wowsa daju telatkowi*; toć i u nas znaleźć niekiedy można: *jimieniowi*, zamiast: *jimieniu*. Podobnie: *paw jest krasnyj*, lud nasz także zatrzymuje spółgłoskę przybierającą twardą w wyrazie: *paw*, mówiąc: *paw jest piękny*, zamiast: *paw*.—Jak w elementarzu widzimy: *Ne syp jemu wiwis*, (*nie syp mu owies*, zamiast: *owsa*), gdzie rząd słowa jest niestosowny; tak nigdy lud nasz, lecz za to w zamian, choć to już pisarze, często ten błąd popełniają. Nareście ks. Józef Łoziński, (czytaj jego Grammatykę strona 56), nie śledząc silnie rody języka, dał się uwieść zwyczajowi powszechnemu, z którego znowu rodzi się nowy wyjątek, i powiedział przy rodzaju żeńskim rzeczowników: „Tu należą także niektóre kończące się na spółgłoskę twardą, n. p.: *krow* (*krew'*), *cerkow*, (*cerkiew'*), *riad'kow* v. *ried'kow*, (*rzodkiew'*), *morkow*, (*marchew'*).” Powyższych wyrazów i następnych: *konew'*, *brukiew'* *stągiew'*, *chorągiew'*, *kotew'*, *warząchew'*, *żągiew'*, *jątrew'*, *brew'*, *Narew'*, *Tanew'*, *Żółkiew'* *panew'* i t. p., ogół powszechnie w języku polskim wymawia przybierającą *w* twardo w pierwszym spadku, lecz w drugim i następnych zwraca się na właściwą drogę, bo mówi: *krwi*, *cerkwi*, *chorągwi*, *Tanwi* i t. d.; dla tego też dobrzy i baczni pisarze na filozoficzność mowy naszej, już w pierwszym spadku *w* miękkie piszą i wymawiają, ponieważ jest święte i nietykalne prawo następujące: wszystkie wyrazy rodzaju żeńskiego, gdy mają spółgłoskę przybierającą odkrytą; muszą ją mieć koniecznie miętką. Tu nie ma żadnego wyjątku. Wyrazy, bodaj, czy nie najwięcej w Galicyji źle używane: *poszew*, *pochev*, *podeszew*, *brzytew*, tu się odnosić nie mogą, albowiem są ony spadkiem drugim liczby mnogiej, n. p.: *tych poszew*, *tych pochev* v. *pochw*, *tych podeszew* v. *podeszw*, *tych brzytew* v. *brzytw*,—od: *ta poszwa*, *ta pochwa* i t. d.

### Przysłowia.

W każdym narodzie przysłowia przedstawiają jego filozofiją, jego zwyczaje, obyczaje i jego życie duchowe. Zobaczmy tu, że są jedne; a zatym z jednego źródła wypłynęły i jeden początek mieć muszą, jako to:

Bez Boha, ani do poroha.	Bez Boga, ani do proga.
Ne ma nycz złocho, szczyoby na dobre wyjti nemohło.	Nie ma nic złego, coby na dobre wyjść nie mogło.
Bih daw, Bih wziaw.	Bóg dał, Bóg wziął.
Komu Bih pomoże, wsio pe- remoże.	Komu Bóg pomoże, wszystko przemoże.
Bez ochoty nesoriji roboty.	Bez ochoty niespore roboty.
Jak sobi postęłysz, tak sia wypysz.	Jak sobie pościelesz, tak się wy- śpisz.
Szczo prawda, to ne hrych.	Co prawda, to nie grzech.
Kto rano wstaje, temu Bih daje.	Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
Ne wsio to zołoto, szczo sia śwityt.	Nie wszystko złoto, co się świeci.
Jake korinie, take nasinie.	Jakie korzenie, takie nasienie, v. Jaka mać, taka nać.
Koždyj kraj maje swyj oby- czaj.	Każdy kraj ma swój obyczaj.
Czełowik hardije, jak mu sia dobre dije.	Człowiek hardzieje, jak mu się dobrze dzieje.
Jide koza do woza.	Jidzie koza do woza.
Koho neprypikaje, toj sia ne- odsuwaje.	Kogo nie boli, temu powoli.
Konec diło chwalit.	Koniec dzieło uwieńcza. <i>Finis coronat opus.</i>

W tymże samym zamiarze, celu i przedmiocie ktoś już wyrzekł:

„Każdy z poczynających literatów, zabierając się do pisanja po rusku, tłumaczył właściwie swe myśli polskie na język ruski.” Aby okazać prawdziwość powyższego zdania, przytaczam tu wierszyk: *Diti i Kotik*, a chociaż nie poeta,—gdzież tam! chociaż nie byłem nigdy wierszopisem, ośmieliłem się go wyraz w wyraz odłożyć (sic) na język polski, ile moja zdolność pozwoliła:

#### DITI I KOTIK.

Kotik małeńkij liz dorohoju  
A Staś nebacznij trutył nohoju,

#### DITICZKI I KOTICZE.

Kotek małeńki laził sobie drogą  
A Staś niebaczny potrafił nogą.



„Ne byj ho, Stasiu!” kaže diwczatko, „Nie bijgo, Stasiu!” rzekło dziewczątko,  
 „I szczoż ti wynno bidne kociatko? „I což ci winno biedne kociatko?  
 Ne welit Hospod,” kazala mati, Wszak wzbrania Pan Bóg,” matka od-  
 [rzekła,  
 „Bidnym zwiriatkom pakist’ dilati.” „By srogość biedne zwierzątka siekła.”

Nie doznałem najmniejszej trudności w odkładzie, bo mi się jakoś same rymy nawijały i nasuwały, jakbym je znał, i rzeczywiście nie były dla mnie obce, ponieważ Stanisław Jachowicz, także Galicyjanin, napisał powiastkę pod tytułem: *Kotek kulawy* w taki sposób:

Kotek kulawy szedł sobie drogą,  
 A ktoś niebaczny trącił go nogą.  
 „Nie trącaj, Panie!” rzekła dziecinka,  
 I což ci winna biedna kocinka?  
 Ej! daj jój pokój! niech sobie jidzie,  
 I ona umie zapłakać w biedzie.”—  
 A mama mówi: „Ojciec niebieski  
 Nie kaže biednym wyciskać łezki.”

Stanisław przeto Jachowicz, jak widzimy, jest autorem powiastki; autor elementarza jój przekładaczem, czyli tłumaczem,— a ja tylko odkładaczem. Dla tej głównie przyczyny mówiłem o łatwości przekładu i odkładu, o jich podobieństwie do oryginału, aby czytelnikowi jasno okazać, że narzeczem tylko języka polskiego jest język ruski przy zmiennych nieco końcówkach, które z powodu małego jich obrobienia grammatycznego i filozoficznego jeszcze się dotąd nie ustaliły.

Po przejrzeniu szczegółów zdajemy teraz w krótkim zarysie sprawę czytelnikowi. Na pierwszy rzut oka szata zewnętrzna coś dla nas odmiennego obiecuje, albowiem jój fałdy, jój zagięcia powierzchowne układają się pozornie w innym i dla nas nieznanym ustroju; gdy się jednakże przypatrzymy jój z bliska, objawi się dla nas tylko osłoną tak przezroczystą, pozwalającą ujrzeć ze wszystkimi członkami ciało, które jest wspólną naszą własnością, które jest kością z kości naszych, ożywione tymże samym tchem żywota. Co większa! na tym ciełe też sama nawet znajdującą się plamka, tę już zasłonę przebiła, by tym widoczniejsze dać tożsamości świadectwo;— a gdy zasłonę

teraz uchylisz i na chwilę usuniesz,—cóż ujrzysz? Oto rzeczywiście rodę, duch i myśl języka polskiego. Skądże taki pojaw wynika? Najwyższa Opatrzność przed pięcią wiekami silniej nas zjednoczyła; zasilaliśmy się odtąd jednemi sokami, jedna nas ziemia karmiła, przechodziliśmy też same koleje pomyślności i nieszczęść, mieliśmy też same potrzeby i dążności, skąd musiały wyniknąć i powstały: ten sam sposób widzenia rzeczy, te same myśli, zwyczaje, obyczaje,—a za nimi nareście cały wewnętrzny ustrój mowy, okrytej szatą powierzchowną innego kroju. Co więc przez pięć wieków zamieniało się w krew, szpik i kości nasze; tego dziś bezkarnie zrywać i niweczyć nam się nie godzi.

Jeżeli zatem niektórzy mieszkańcy Galicyji zamierzają język ruski do szkół, jako przedmiot, wprowadzić; dobrze postępują i rozumnie działają, bo mu nie wyrządzą żadnej szkody: będzie się zwolna rozwijał, nabierał sił na drodze od pięciu wieków wytkniętej i przyspasabiał do pracy dla niego przeznaczonej (1). Dopóki nie dojrzeje, niech go brat krzepszy w niej jeszcze wyręcza, w której doświadczenia i wprawy pewnej już nabył; my wtenczas chętnie z nimi powtarzać będziemy zdanie w elementarzu umieszczone:

(1) Słusznie i bardzo stosownie mówi ks. Józef Łoziński. „Na ostatku nie odwołuję się także na żadną literaturę ruską, chociaż bowiem mamy pomniki z bardzo dawnych czasów, lecz te—formy starosłowiańszczyzny na sobie noszą,—późniejsze znowu dzieła więcej polonizują, jak mowa ludu;—a teraźniejszych kilka dziełek nie stanowi jeszcze literatury. Literatura zaś, na którąby się we względzie grammatycznym odwołać można, powinna zawierać dzieła wzorowe, klasyczne,—a takich dzieł dla języka ruskiego jeszcze nie mamy. Uważam więc język ruski, jako jeszcze nie piśmienny i li w ustach ludu prostego żyjący—i tak go uważać należy, aby go kształcić można było. Prędzej bowiem język prosty w grammatyczne reguły ujęty wykształci się, jak ten, co pod wpływem obcych form i grammatyk męczył się.”—(Czyt. Grammatykę, ks. Józefa Łozińskiego. Przedmowa str. XLI). I na innym miejscu. „Pisząc jednak w języku prostego ludu, natrafia się często na niedostatek wyrazów. Do oznaczenia pojęć oderwanych i wyższych, których lud w ustnej mowie nie zna lub nie używa, do oznaczenia rzeczy ludowi nieznanym, lub nowo wynalezionym, potrzeba także wyrazów nowych. Potrzeba ta nadaje prawo i wolność tworzenia wyrazów nowych, a bez tej wolności nie da się nawet pomyśleć postępu w uprawie mowy.”—(Tamże, str. XXXIV).

Kożdy naryd, choť by dik,  
Lubit swyj rodimyj kraj,  
Lubit otczeskiy jazyk,  
Swoju zemlu i zwyczej.

Choćby naród był surowy,  
Kocha swe rodzinne kraje,  
I ojczystej dźwięki mowy,  
Swoję ziemię, swe zwyczaje.

Jeżeli znowu koniecznie zechcą utrzymać się przy swoim zamiarze, jaki już silnie objawili i uczynią go językiem wykładowym; obarczą jego słabe skrzydła, zwichną jego kierunek pierwotny, siły żywotne straci, spójność dotychczasową przerwie, skarłowacieje i w gwałtownym zwrocie, tudzież przełomie zupełnie w inny przeobrazić się musi: my wtedy, patrząc na jego męczarnie i bóle do głębi serca nas przejmujące, na jego pochod w inną stronę, z żalem na rozłąkę powiedzieć musimy: Panie! odpuść jim, bo nie wiedzą, co czynią, dodając:

„Łutsze buło ne znaty sia,  
Niż lubywszy rozstaty sia;  
Łutsze buło ne wydaty,

Niż lubywszy perestaty.  
Sudy Boże, kto z nas wynen,  
Kto ne lubyw, jak powynen” (\*).

*Feliks Żochowski.*

*Gawędy. Walerego Wielogłowskiego. Kraków. 1859.*  
*Spółeczeństwo dzisiejsze w Obrazach. Zeszyt I.*  
*Kraków. 1859.*

Do najważniejszych pojawów literatury społeczno-dziejowej, należą niezaprzeczenie pisma ulotne, czyli tak zwane broszury. Co do formy, niekępowane żadnemi zasadami, ujmującemi w ciasne pęta inne rodzaje tej literatury, pozwalają autorowi przybrać taką, jaką za najodpowiedniejszą uważa swemu przedmiotowi i najstósowniejszą do osiągnięcia zamierzonego celu. Prócz ściśłości w rozumowaniu i wywodach, a jasności i jedności stylu, tych pożądaných przymiotów każdego pisarza, lecz nadewszystko potrzebnych pisarzowi, chcącemu działać na ogół, nie podlega on żadnym prawidłom pod względem wewnętrznej budowy swego rozbiuru i jego rozwoju. Może on się w zupełności oddać swojemu natchnieniu, i z całą swobodą swęj wyobraźni, wezwać w pomoc i użyć dowolnie wszelkich środków i sposobów sztuki krasomowskiej, jeżeli je uzna za potrzebne do wywalczenia sobie ufności i trafienia do przekonania czytelnika. Ta swoboda co do formy ułatwia mu

(\* ) Waclawa z Oleska *Pieśni Polskie i Ruskie* str. 317 i 321.



nieskończenie przystępność, a nie przeszkadza wcale do zachowania największej zalety każdego pisarza, to jest: głębokości poglądu i rzeczywistej, wewnętrznej wartości pisma. Wreszcie, już przedmiot sam jest tej natury, iż każde pojawienie się takiego pisma najżywsze obudza zajęcie. Tym przedmiotem są bowiem wyłącznie kwestye, będące na czasie, tak nazwane: palące, obchodzące zatem najmocniej całe społeczeństwo i jak najściślej z całym jego istnieniem i dalszym związané rozwojem. Wszak widzimy codziennie, iż u narodów, na najwyższym szczeblu cywilizacji stojących, jak np. Anglia, Francya, Belgia i t. d., wszystko co je boli lub cieszy, wszystkie ich nadzieje, życzenia i dążenia, słowem cała ich wewnętrzna walka, przygotowuje i odbywa się głównie przez nie i odbija w nich, gdy dążenie przejdzie w czyn dokonany. Czy to chodzi o wywalczenie powszechnego uznania jakiej nowej myśli, czy też o obeznanie ogółu z donośnością i wagą poruszonych kwestyj, lub też o oświecenie w jakimkolwiek bądź przedmiocie, broszura tego najłatwiej dopełni i wszędzie i po wszystkie czasy w tym celu używaną była i będzie. Na tém polu, osobliwie w kwestiach większej wagi, literatura broszurowa ma nawet pierwszeństwo nad dziennikami i pismami czasowemi w ogóle, których z resztą jest dopełnieniem, a to z powodu, że dzienniki są zawsze w pewnej zawistości od swych czytelników, nigdy zatem tak śmiało i otwarcie wystąpić nie mogą z przeprowadzeniem swego zdania, a powtóre, iż ograniczone raz przyjętym formatem, licznymi mechanicznymi trudnościami, a nadewszystko stałą chwilą swego wydania, nie mogą swym artykułom dać takich rozmiarów, jakby tego rzecz wymagała, i każdą kwestyą w najstosowniejszej chwili i do dna wyczerpać. Dlatego też nie ma ważniejszych źródeł dla dziejopisarza lub też każdego, kto chce wnikać w ducha jakiej epoki i jej walk, nad pamiętniki ludzi, mniej nawet znakomitych, lecz o bystrém oku, wykształconym umyśle i licznych stosunkach, dalej dzienniki i pisma czasowe, nadewszystko zaś broszury, które przez pisarzy, mierniejszych nawet zdolności, wydane, tę nieskończenie wielką mają wartość, że nas wtajemniczają we wszystkie dążenia i walki danej epoki, w kwestiach najżywoźniejszych.

Do rzędu podobnych broszur należą niezaprzeczenie i powyższe dwa pisemka tak pod względem swój treści jak i formy, chociaż występują w postaci pism zbiorowych. Pierwsza z nich „*Gawędy*” zawiera następujące przedmioty: „*O miłości rodzinnej i o nagannym i grzeszonym zwyczaju wzajemnego sobie odmawiania służących. Teorya i praktyka w rolnictwie. Pogadanka o szkole rol-*

niczój w Czernichowie pod Krakowem. O banku rolniczym" i jest niezawodnie wcześniejszą od następnej, chociaż tę samą nosi datę. Zdaje się nawet, iż przychylnie przyjęcie tego pisemka przez publiczność podało autorowi myśl do prowadzenia go dalej w zeszytach ulotnych, w miarę potrzeby dowolnie wychodzących. Przedmioty, które autor w nim wziął pod rozbiór, są nader ciekawe i należą rzeczywiście do kwestyj palących. Treść bowiem jest następna: „*Możni Panowie, Szlachta, Magnaci giełdowi, Kupcy*” i dowodzi, iż autor zna dobrze potrzeby czasu i wybierał przedmioty, z przekształceniem się całego społecznego składu naszego narodu w żywotnym stojące związku. A chociaż autor stosunki, pod berłem austriackim zostającej części Polski miał głównie na względzie, gdzie to przekształcenie pierwój się rozpoczęło; jednakowo rok ostatni i u nas w Królestwie takie wprowadził zmiany, iż w tój mierze obie części prawie się zrównały, a praca autora nie mniej i dla nas stała się ciekawą i większego nabrała znaczenia. Autor użył w swém przedstawieniu głównie formy dyalogu, która pod pewnym względem znaczne nastrocza korzyści. Dozwala bowiem ucieleśnić niejako zasady i wprowadzić je z sobą w walkę w postaci osób żyjących i odpowiednio działających, co zręcznie użyte i ze znajomością rzeczywistych stosunków przeprowadzone, całą czynność do życia zbliża i tём samém wszystkie złe i dobre strony tychże zasad, ich stosowność lub niestosowność, w sposób w oczy bijący, uwydatnia i niejako dotykalnemi czyni, przez co z wielką siłą działać można na umysły do naukowego rozumowania mniej usposobione i ztąd mniej przystępne. Ażeby jednak ten cel mógł dokładnie być osiągnięty, potrzeba, ażeby autor posiadał wiele warunków, które razem połączone rzadko się natrafiają. I tak np. autor powyższych dwóch pisemek, p. W. W. posiada rzeczywiście gruntowną znajomość zasad społecznych i stosunków, w naszym kraju istniejących. Spędziwszy długie lata za granicą, w samym środkowym punkcie niejako tego ruchu i odmętu dążeń, które stanowią cechę naszego wieku, wplątany w jego wir olbrzymi, przez liczne, a najwięcej księgarskie przedsiębiorstwa, i zmuszony niejako badać i śledzić jego naturę i prawa jego rozwoju, miał oraz najlepszą sposobność do zgłębienia jego wpływu na ludzkość i jej postęp, i przekonania się naoczno o doniosłości tego ruchu cywilizacyjnego, rzetelności jego praw, nieuchronności i potęgi jego postępu i nakoniec jego stosunku do naszego społeczno-narodowego żywiołu. Duch tchnący w powyższych pisemkach przekonał



nas, że autor rzeczywiście wiele widział, wiele poznał, wiele spa-  
miętał i wiele się nauczył. I to właśnie stanowi dodatnią stronę  
tych pisemek. Czytelnik, obeznany przytém z towarzyskiém sta-  
nowiskiem autora, może nabrać tego przekonania, że zasady za-  
wane w tych pismach, nie są wynalazkiem ludzi, czyhających na  
zagładę społeczeństwa, jak sobie to jeszcze nie jeden z tych wy-  
braza, dla których to pismo przeznaczone, ale koniecznym wyni-  
kiem całego rozwoju dziejów ludzkości. Opór przeciwko nim, mo-  
że sprowadzić rzeczywiście zagładę opierającego się, ale biegu  
dziejów nie wstrzyma. Z tego względu mają powyższe pisemka  
niezaprzeczoną wartość. Widać w nich dobre pojęcie rzeczywi-  
stych potrzeb kraju, dobre zrozumienie rzeczy, i jak najlepsze  
chęci. Ale to wszystko nie jest jeszcze dostatecznym do żywszego  
zajęcia i przekonania téj części publiczności, dla której te pisma  
są przeznaczone. Nieusposobiona i nieprzyzwyczajona do ciężkiej  
strawy naukowego wywodu, operującego jedynie liczbami i oder-  
wanemi pojęciami, powodująca się więcej sercem, nałogiem, zwy-  
czajem i tradycją, ujętemi w formę przysłowia lub aforyzmu, mi-  
łością własną i różnemi innymi pobudkami, aniżeli rozumowaniem,  
do którego danych nie posiada, lub zimną rozważą, nie daje do sie-  
bie przystępu rzeczy, której przedstawienie uderza tylko do jéj  
zimno ważącego rozumu. Jéj nie można przekonywać, ją trzeba  
pochwyć, unieść, porwać w sfery wyższych uczuć, i rozplómić  
którekolwiek z nich w słońce, któreby ich oblało strumieniem  
swych jaskrawych promieni i ogrzawszy swém ciepłem wszelkie  
inne niższe uczucia, zapędziło w ciemny serca zakąt, jakby pluga-  
we robactwo w swe nory. Prawdy, drogą umiejętności lub dziejo-  
wym zdobyte postępem, powinny jedynie posłużyć za wątek i tkan-  
kę, na której ręka mistrza, używając wszelkich sposobów wymo-  
wy, wyrabia swe misterne dzieło. Autor popełnił tutaj jeszcze ten  
wielki błąd, że oparł swe rozumowanie na przysłowia, aforyz-  
mach i prawidłach, z życia wprawdzie wyjętych, i w rzeczywisto-  
ści tło rozumowania stanowiących, ale nie mogących same przez  
się nigdy sprowadzić rozwiązania kwestyi. Nie ma bowiem ani  
przysłowia, ani aforyzmu, ani żadnego z życia wyjętego prawidła,  
któreby miało bezwzględną wartość, albo téż przeciwko któremu  
niemożnaby postawić innego, z znaczeniem wprost przeciwn-  
nym. Chcąc zatém takie dwa zdania pogodzić, wypadało się albo  
udać do tak zwanego chłopskiego rozumu, który nie jest niczém  
innym, tylko zdolnością do trafnego pochwylenia loicznego związ-  
ku między dwoma faktami, w jakiejkolwiek bądź formie ten zwią-



zek nam się przedstawia, czyli jako czyn rzeczywisty, czy też jako obraz, porównanie, podobieństwo i t. p., albo też do zasady naukowej i zastosowania onęj w ścisłym, wiernym wywodzie, do danęj kwestyi. Natomiast autor ucieka się np. w kwestyach gospodarstwa krajowego, do praw zupełnie innego rzędu, które nie mają najmniejszej styczności z prawami czystęj produkcyi, w niczém je zatém zmienić nie zdołają, a których cała potęga leży w ich uznaniu. Ztąd cały wywód traci nie tylko na sile i dobitności, ale i na wewnętrznej prawdzie. Za przykład naszego twierdzenia przytoczymy następný ustęp z I zeszytu społeczeństwa w obrazach, str. 81, z obrazku: „*Magnaci giełdowi*” gdzie się rzecz toczy o przemysł:

„*Faustyn*. To, co mówisz, ubliżałoby jednę z najszlachetniejszych prac ludzkich i zdawałoby się potępiać wszelki rodzaj uczciwego przemysłu. A przecież czemże jest w organizmie społecznym przemysł, jeśli nie konieczném pośrednictwem między producentem a konsumentami?.. Powiem nawet, że on jest drugą ręką w porządku sił społecznych. Bez niego rolnik chodziłby bez odzienia, rzemieślnik bez chleba, literat bez możności reprodukowania i upowszechnienia prac swoich. Uroń na chwilę przemysł z tego świata, a przekonasz się, iż go natychmiast zastąpi głód, nagość, ciemnota i barbarzyństwo. Uważam więc przemysł nie jako sztukę osobistego wzbogacenia się ludzi pojedynczych, lecz jako jednę z potęg dających życie i ruch całemu społeczeństwu. Gdybym go tak nie uważał, to przyznam szczerze, iżbym się wstydził mojego rzemiosła.”

„*Fryderyk*. Ty może z wyższego stanowiska rzecz bierzesz, bo przyznaj, iż zamiast pilnować ksiązek handlowych, wolisz czytać o ekonomii politycznej, lub bawić się w literaturę; lecz ja, który całe życie ślęczę nad cyframi, to mniej wysoko, ale może praktyczniej o tych rzeczach sędzę. Rolnik nie dlatego pracuje, aby społeczeństwo owocem swęj pracy nasyczał, ale aby produkta swoje w więkšej ilości zebrane jak najdrożej sprzedał. Tak dalece, że głód powszechny większą mu przynosi korzyść, jak powszechna sytość; zboże bowiem w takich latach po wyższej sprzedaje cenie. Szewc nie dlatego buty nam robi, abyśmy chodząc boso nie dostali kataru, ale iżbyśmy mu pracę jego sownie wynagrodzili. I kupiec też lub bankier nie dlatego nudzi się w sklepie lub komptoarze, aby ożywił ruch i był „potęgą w porządku sił społecznych”, lecz aby na producencie zyskał ile się da najwięcej, a z konsumenta wyciągnął najwyższe dla siebie korzyści. Tak jest w świecie, iż jeden na drugiego poluje, i zawsze mocniejszy zje słabsze-

go, choćby nawet w imię powszechnego dobra. Gdybyś nawet, Faustynie, nie miał być tego apetytu, tobyś był już oddawna zjedzony, a jednak widać, żeś i ty tą potrawą nie gardził, kiedy się dorobiłeś tak znacznego majątku. Ja utrzymuję z Konradem, iż nie chodzi o to, aby przemysł pozbył się egoizmu, ale raczej aby był uczciwym i nie opierał się na oszustwie."

„*Konrad*. Tak jest, moi panowie! Przemysł nie na poświęceniu się i ofiarach stoi, ale na rzetelności i sumiennym spełnieniu wzajemnych zobowiązań. I dlatego nikt od nas nie ma prawa żądać heroizmu, ale służy mu prawo wymagać uczciwego postępowania."

„*Faustyn*. Dlaczegożby społeczeństwo nie miało prawa domagania się od nas ofiar?... Czyliż dlatego, iż się przemysłem trudnimy, a nie rolą lub rzemiosłem, przestaliśmy być kraju obywatelami?... i z kraju krew wysysać bez żadnej dla ogółu korzyści? Któż nas to kiedy odsądził od praw obywatelskich, lub uwolnił od obowiązków z tychże praw płynących? Czyliż wyższe i niższe mieszczaństwo nie odznaczało się zawsze dziełami poświęcenia?"

„*Fryderyk*. Tak,... zapewne,... w wielkich wypadkach, w ważnych zdarzeniach,... ale zawsze z przyzwoitą wyrachowaniem,... oględnością... i miarą. Według mnie wszakże to nie jest koniecznym warunkiem w prowadzeniu interesów handlowych! Ja powiedziałbym, że taka spekulacja gorszą jest od gry giełdowej, bo się w żadną cyfrę ująć nie da. Wolałbym już stawić na klasyczną loteryą, jak w te lub owe wchodzić stosunki i narażać siebie i fortunę."

„*Konrad*. Oczywiście! Każdy ma swoją sferę działania i niechaj w niej pozostanie. Tradycja rodowa i historyczna nie przywodzi nam z przeszłości, ani senatorów, ani hetmanów, ale ludzi majątnych i uczciwych; przeto trzymajmy się drogi, jaką nam ojcowie nasi zostawili. Zbierajmy, pomnażajmy, a silnie sami w sobie zamknęci, stojmy wśród społeczeństwa, jak twarda skała, którą przeskoczyć trudno, rozbić nie podobna, ale o którą przeciwnie rozbijają się ludzkie niechęci, zazdrość albo pycha. Widzimy codziennie, iż potomkowie senatorów i hetmanów korzą się przed nami jak ułamki dawnych społecznych pagórów, i chętnieby nam zastługę przodków za brzęczący pieniądz wymienili. Stanowisko przeto nasze coraz jest lepsze, bo się na szerokiej podstawie powszechnego ubóstwa opiera."

„*Fryderyk*. Brawo, Konradzie! To jest mistrzowskie! i zdaje mi się, że Faustyn pobitym jest na głowę w swoich społecznych, czy humanitarnych lub też obywatelskich teoriach. Bo tak jest w istocie: nasz tron stoi na gruzach majątków tych właśnie panów,



którzy tradycji poświęcili obecność i przyszłość, a dzisiaj jak nie pyszni po zasilek chwilowy do nas udawać się muszą.”

„*Faustyn*. Mylicie się mniemając, iż jestem pobitym. Owszem więcej niż kiedykolwiek blizki jestem zwycięstwa, a nie wątpię, iż zechcecie cofnąć zdania płamiące nie tylko przemysł w ogólności, ale i każdego, któryby go w takiej myśli i zasadach pojmował. Przyznajcie, iż ojcowie nasi nie na ubogiej klasie społeczeństwa, ale na bogatej zdobyli korzyści i majątek, które dzisiaj dziedziczymy. Przyznajcie także, iż ojcowie nasi nisko się wszelkiej szlacheckiej wyższości kłaniając, kruszyli pomału te pagóry społeczne, obfite w rodzinne złoto, i przywłaszczali sobie ich bogactwa. Niema może jednej cegiełki w gmachach dzisiaj przez nas posiadanych, któreby nie były należały do przodków tych właśnie ludzi, którzy skutkiem społecznych przemian zubożali i w dawnym znaczeniu poniżeni, udają się do nas po chwilową w kłopotliwych interesach pomoc. Nie godzi się więc nadymać w obec zwyciężonych z łupu na nich zdobytego, ale szlachetniejbyśmy postąpili, podając im w każdym zdarzeniu rękę ratunku, o ileby to bez szacunku naszych interesów być mogło.”

Ten ustęp cechuje wydatnie cały sposób autora, traktowania kwestyi. Zamiast przy końcu obszernie rozwinąć to, co z początku tego ustępu *Faustyn* mówi, wykazać prawa, których owe objawy są wynikiem, stwierdzić ich rzetelność przykładami z dziejów świata wziętymi, lub też nawet na objawach potocznego życia opartymi, i tym sposobem zbić wszelkie zarzuty przeciwników, przerzucił się autor w sferę objawów zupełnie innego świata i praw które nim rządzą. W społeczeństwie poświęcenie jest koniecznym, świętym obowiązkiem, lecz z prawami produkcji najmniejszego niema związku. Można poświęcić siebie, swe mienie i cały swój dobytek, to jest: to co jest wynikiem produkcji. Można nawet poświęceniem zniszczyć wszelką produkcją, ale chcąc ją mieć, trzeba najprzód zadosyć uczynić niezmiennym jej warunkom. Dlatego też poświęcenie jest często wrogiem wszelkiej produkcji, a przez to i własnym zabójcą. Zniszczywszy bowiem siły produkcji, niszczy zarazem możliwość dalszego poświęcenia. A chociaż jest wzniosłym i potężnym czynnikiem w świecie społeczno-moralnym, już tém samém czerpie swą potęgę z uznania swego jako wyższego obowiązku. Postawiwszy zatem poświęcenie za normę produkcji, oddał przez to przeciwnikom *Faustyna*, przedstawiającym różne odcienia egoizmu, łatwe zwycięstwo w rękę, i zniszczył tym sposobem zamierzony cel swego przedstawienia. Nie dziw, że każda z osób dyalogu w końcu przy swoim własnym przekonaniu pozostaje, a autor nawet tego nie



osięgnął rezultatu, co owi dwaj duchowni, jeden protestancki, drugi katolicki, którzy po dyspacie o wyższości swych wyznań, tak dalece się wzajemnie przekonali, że protestant przeszedł na katolicyzm, a katolik na protestantyzm. Co więc jeszcze: przez takie nietrafne a często niezręczne nawet przeprowadzenie rzeczy, paraliżuje autor z góry zamierzony skutek i ściąga na siebie nadto jeszcze ten zarzut, jakoby sam był siebie niepewnym i chwiejącego się zdania, a co gorzej, jakoby w głębi duszy był czém inném, niż się chce okazać; zasady zaś, których broni, zewnątrznie do niego tylko przyłgnęły, łowz z jego przekonaniem się nie zrosły. Któż bowiem może inaczej sądzić, przeczytawszy następny monolog Faustyna, (w tym samym obrazku str. 99), tego reprezentanta niby poświęcenia i postępu, które ciągle ma na ustach: (str. 99—102).

„Faustyn sam na sam z myślami swojemi.

W tém co mówił Konrad i Fryderyk, było wiele prawdy!... Chociaż,... była i przesada, a szczególnieju pór przy starym rzeczy porządku. Dzisiaj przemysłowy prąd zmienił swój kierunek i na nic się nie przyda płynąć pod wodę. Ale z drugiej strony puścić się za wodą nie zawsze bezpiecznie!... Oh! gdyby mię jaka niewidzialna ręka mogła pchnąć w tę lub ową stronę!... Mamże odstąpić starych przyjaciół, z którymi mnie oddawna tyle stosunków łączy, a zbliżyć się do żydów, których nawet nie doścignę w ich przemysłowym pędzie?... Pierwszych stracę, drudzy mnie odbiegą i zostaną sam!... Nie!... rozsądek każe wstrzymać wszelką decyzją!... Ale, znowu czas nie czeka!... Co dzień przerastają mnie nowi współzawodnicy... Publiczność mnie odbiega i przerzuca się tam, gdzie widzi ruch i życie... Tracę materyalne korzyści, a patrzę z założonemi rękami na rozwijającą się pomysłność drugich!... Silberbahn opanował ster przemysłowego ruchu i ma wpływy, stosunki, zażyłość z dostojnemi w kraju rodzinami... A my?... my nic!... my na to patrzymy obojętnie, i zamknięci w ciasnym kółku staro-kupieckich pretensyj, furtką nawet dostać się nie możemy, gdzie Silberbahn wchodzi wielkimi drzwiami. To jest myśl, która mnie gnębi i zabija! takiego stanu dłużej nie zniosę. Konrad może być człowiekiem poczciwym, ale jest zaślepionym: on ma wazkie i płytkie rzeczy pojęcie. Skwasi się i upadnie ze swemi teoryami konserwatyzmu i poczciwości!... Niechże więc ginie, skoro przekłada śmierć nad życie!... Lecz myślę znowu, czyli dzisiejszy ruch przemysłowy nie jest na fałszywej drodze?... Jestli on zdrowiem, lub chorobą obecnego społeczeństwa?... Tego nie wiem... Mieliliśmy dawniej arystokracją miecza i brutalnej siły... przeszła!

Potém urodzenia,... upadła!... Dzisiaj znowu przyszła arystokracja pieniężna.... Czy potrwa ona dłużej?... Cóż ją zastąpi?... może wyższość zasługi?... Wątpię... bo na nią zawczasie. Może wyższość ducha?... byćby mogło!... I cóżbym wtenczas zyskał na nowym z Izraelem sojuszu?... Kto wie?... możebym i nie stracił! Dziwna rzecz.. Ja mam wstręt do tego narodu, a czuję jego wyższość. Nie lubię go, a podziwiam; nie ufam mu, a szedłbym za jego radą i przeczuciem. Są to jakieś stare duchy, które wiekowa niewola wyrobiła w szkole prób i cierpień... Oni żyją medytacyjnie, głęboko, a dla świata zewnętrznego wyrobili sobie osobny układ i formę. Ulegli, upokorzeni, a czasem podli, noszą w piersiach uczucia dumy i niczem niezwalczonęj nadziei. Zdaje się, że służą całemu światu, a marzą o jego opanowaniu. Dawna ich wielkość każdemu z nich stoi przed oczami, a w przyszłość ukradkiem, ale z pociechą spoglądają. We wszystkich gałęziach nauk, sztuk i rzemiosł celują. Wynoszą się na szczyt społeczeństwa przeciwko woli wszystkich, ale jednak z powszechnem uznaniem. Mają klucz do odczytania myśli każdego z nas, a któż kiedy wewnętrzną myśl ich odczytał?... Któż się spodziewał, iż tam zajdą, gdzie ich dzisiaj widzimy?... Szczególni to są ludzie, którzy nie tylko ubogich, ale bogatych, a nawet możnych panów owładnąć umieli. Ale zaraz!... przypuśćmyż na chwilę, że oni upadną?... przypuśćmyż, iż społeczeństwo zwróci się raptem ku wyniesieniu na szczyt swój poczciwości, zasługi, słowem cnoty?... To cóż wtenczas?... Do kogóż się od żydów udam i w którą stronę uderzę?... Do Boga?... trudno będzie!... Do moich dawnych przyjaciół?... ani podobna!... a więc chyba do diabła!! Oj źle!... ta odwrotna strona zastrasza mnie!... Lecz płonne moje obawy, aby się tak prędko ludzkość z chorobliwego stanu wyleczyła i z upadku podniosła!! Przewidzieć się da, niestety! iż giełda będzie kościołem, pieniądź bożyszczem, a żyd jego kapłanem. Projekt więc założenia banku dla uboższego kupiectwa, świetnym dla mnie będzie wstępem do nowego świata przemysłowego. Jako reprezentant staro-kupieckiego stronnictwa, stanę poważnie wśród ruchawej rzeczy spekulantów. Silberbahn otworzy mi tajemnice ruchu, i do wielkich operacyj przemysłowych przypuści. W parę lat zyski moje w trójnasób pomnożone, dadzą mi stanowisko, jakie mi się oddawna należy, a z którego moi koledzy korzystać nie umieją!... Wtenczas będę mógł rzucić rękawicę samemu Silberbahnowi i na moję stronę przeciągnąć zaufanie magnatów. Nie wątpię, że i zaszczyty mnie nie ominą, i jako starszy, pierwszą zasiądę ławę!... Córki wydam za szlachci-



ców, synów pożenię z córkami zacnych szlacheckich rodzin!... potem, to już będzie łatwo piąć się coraz wyżej. Pochodzenie mieszczańskie zagrzebie się w émie wieków, tak jak się zatarta pamięć dawnego wielu z możnych panów pochodzenia!... Doskonale!! wszystko rozważone i naprzód obmyślane zaręcza mi pomyślny skutek.... Trzeba pośpieszać.... Ale do kogo iść najprzód?... Czy do Silberbahna, Dampfreicha? czy też do Goldschauma?... W istocie Dampfreich jest pełen miłości własnej i śmiesznej próżności, przeto od niego zacząć tę ekspedycyą należy!... Rozpoczynam, jakby nowy dramat życia."

Któż, przeczytawszy to, może ufać zasadom przez Faustyna głoszonym! Któż uwierzy, że one są czém inném, a nie szumnymi frazesami, mającemi pokryć próżność, chciwość, najbrudniejszy egoizm? Któż nie pomyśli, że autor albo się lękał obrazić stan tak u nas jeszcze wrażliwy, przesądny i potężny i dla własnego interesu jemu schlebić wołał, albo też w głębi serca te wszystkie ich przesady podziela i tylko dla skaptowania opinii publicznej mglistym płaszczem obłudnej frazeologii się otacza. Czyż w takim razie mógł wzbudzić zaufanie dla siebie i powodzenie sobie zapewnić? Faustyn, mający widocznie być przedstawicielem owęj części społeczeństwa naszego, która idąc za rozsądkiem i rzeczywistą potrzebą naszego kraju, łączy się z owemi giełdowemi magnatami, aby ich wplątać w koło wspólnych interesów kraju, i z czystych a nawet często zgubnych pasożytów, uczynić dźwignią pomyślności narodowej, podnosząc ich nawzajem do godności rzeczywistych obywatelów kraju; tenże sam Faustyn, tak jak w powyższym monologu jest przedstawiony, ściąga na całą ową część narodu klątwę, za najohydniejszy egoizm i najpodlejszą zdradę. Jesteśmy pewni, że to nie było zamiarem autora, i przekonani o jego uczciwych dążeniach, przypisujemy to jedynie mylnemu przedstawieniu, a raczej zbytnej oględności i pewnej chęci do pojednania i godzenia, która się lęka zbytecznie razić i drażnić. Lecz p. Wielogł. powinien był pamiętać o tém, że są chwile w życiu narodów, w których brak stanowczości, i zbyteczna ostrożność i oględność są zgubną wadą, jeżeli nie czémś więcej; że temi chwilami są to zwykle chwile przekształcenia społecznego narodu, i że w tych chwilach właśnie żyjemy. Że ten pozór wynika więcej z formy obrobienia i powyżej wymienionych wad, aniżeli dążności, na to mamy wszędzie w tém piśmie dowody. Wszędzie widzimy walkę, starcie, ale nigdzie zwycięży.

Obrazki: „Moźni Panowie, Kupcy, Szlachta”, pomimo prawdy w przedstawieniu wyobrażeń i pobudek, któremi się te stany rządzą,



jest najsmutniejszym przeciwstawieniem ich wzajemnych interesów, albowiem nigdzie nie prowadzi do pojednania i zgody przez postawienie jakiegoś wyższego prawa, któremu by uleż musiały, a którym jest byt i pomyślność narodu. Obrazek: „Magnaci giełdowi” jest więcej pamfletem na nich, aniżeli zdrową krytyką ich działania i korzyści dla kraju. Wprowadzenie do dyalogu zepsutego polskiego języka, który się stał niejako stereotypowym dla bankierów izraelskich, uważamy za wielce niestosowne. Można to uczynić w komedyi, mając za cel przedstawienie wad i śmieszności ludzkich, lecz już w dramacie nie uchodzi wszędzie, a tém mniej w piśmie, którego celem jest przedstawienie praw społecznych, i usunięcie mnogich zawał postępu w naszym narodzie, przez rozpoznanie znajomości ich działania i skutków. Tutaj jest niestosownem i razi. Że żydzi mają u nas głównie wszystkie większe kapitały w swém ręku, jest rzeczą przypadkową; ich posiadanie tak potężnej siły, w swych skutkach na rozwój cywilizacyi i postępu w społeczeństwie, rzeczą wcale podrzędną, a czy oni źle lub dobrze po polsku mówią, dla naszego narodowego rozwoju nader obojętną. Nie obojętną zaś wcale, czy oni się częstą żywotną naszego kraju, wszystkiemi cywilizacyjnymi dążnościami i więzami z resztą narodu zespoloną, być mienią lub nie, a nader wielkiej wagi dla pomyślnego rozwoju kraju i narodu, czyli tak potężna siła jak kapitał, pozostaje w ręku, działającym w tymże samym z nim kierunku, lub też w odwrotnym, pozostając po za jego obrębem. To stanowisko powinien był autor w téj kwestyi głównie mieć na oku i jak najmocniej uwydatnić. Nie przypisujemy w tém autorowi złej woli, tylko niezrozumienie rzeczy i zagubienie się w drobiazgach i jednostronności. Autor oddaje z wiernością portrecisty lub fotografii wszystkie odcienia, manowce i błędniki egoizmu w tych wszystkich sprawach, które porusza; lecz nie posiadając nici Ariadny, mogąc go wyprowadzić z tego błędnika, gubi się w nim w końcu. Zdaje się, iż zatracił w pamięci to słowo tajemnicze, którymby był zdołał zakląć wywołane duchy egoizmu, i nieszkodliwemi je uczynić, a które się teraz niepowodzeniem srogo na nim pomściły. Tą nicią, tém tajemniczym słowem, jest jedynie pojęcie egoizmu (\*), jako jednej z najpotężniejszych, a przytém najo-

(\*) Ostatnie czasy wprowadziły pewną zmianę do pojęcia egoizmu. Egoistą jest ten, kto bezwzględnie swe własne dobro jedynie ma na celu, nawet z pokrzywdzeniem drugich, i dla oznaczenia téj moralnej strony za-

gólniejszej siły produkcyjnej, tkwiącej w samej naturze ludzkiej. Autor nie pamiętał o tém, że egoizm jest pionierem postępu, zwłaszcza tam, gdzie do przewyciężenia jego zawał, potrzeba nadludzkiej prawie odwagi i siły. Ci, co z Kolumbem poszli na zdobycie nowego świata; Korteż, Pizzaro, ich towarzysze i następcy, a narazcie ci, co pod nazwą pionierów amerykańskich, dziś jeszcze walki krwawe i nieubłagane toczą z Aborygenami owój części świata i kończą dzieło, przez wzwyż wspomnianych poprzedników przed wiekami rozpoczęte, nie czynili i nie czynią tego przez miłość ludzkości, ale przez egoizm; a jednak ludzkość cała ciągnie z ich krwawego dzieła największe i nieskończone korzyści. Nie potępiać zatem egoizmu, ale uznając go jako niezaprzeczoną produkcyjną siłę, zbadać jego naturę, określić jego działanie, oznaczyć jego potęgę i wpływ, zakreślić ściśle granice, w obrębie których jest dozwoloném, działając zbawiennie na rozwój ludzkości, i postawić owe wzniosłe prawo, któremu poddać się musi, jeżeli jak niedźwiadek sam siebie zgubić nie chce: słowem zwalczyć egoizm przez egoizm. Oto było zadanie autora, które spełnione, wielką narodowi mogło oddać przysługę, a jemu samemu w dziełach literatury zaszczytne zapewnić miejsce. Widać, że autor tego zadania nie pojął, albo też pojawiwszy, nie miał dostatecznych sił do sprostania mu. Droga, którą dotąd w swych społeczno-gospodarskich pismach zdążył do celu, okazała się mylną, i to jest jedyną przyczyną tego niepowodzenia, którego aż do ostatniej chwili doznaje; gdyż nie tylko, że z téj przyczyny wstrzymanym być musiał dalszy ciąg owych obrazków, których zeszyt I wzięliśmy właśnie pod rozbiór, ale i ostatnie jego przedsięwzięcie, które rozpoczął w formie czasowego pisma, pod tytułem: „Ognisko” z tego samego powodu widocznego doznaje niepowodzenia.

chowano ten wyraz egoizm. Egoizm zaś jako dążenie do zapewnienia sobie korzyści, czy to przez pracę, czy też jakimkolwiek bądź innym sposobem, gdzie zatem występuje jako czynnik społeczno-gospodarski, nazwano *interes własny*. Jakkolwiek uważamy, że to rozróżnienie jest uzasadnione, tém bardziej, że się przyczynia do jasności mowy, i odejmuje broń owym szalbierzom społecznym, którzy podobnemi dwuznacznikami, zręcznie użytymi, usiłują rzecz zagmatwać i mniej zastanawiających się lub rzeczy świadomych, fałszywemi ztąd wyprowadzonymi wnioskami, omamić. Woleliśmy jednak użyć wyrazu: egoizm w tym rozbiórce w obu jego znaczeniach, aby pozostać na stanowisku autora, który właśnie przez nierozróżnianie obu tych stron egoizmu, pozbawił się bronii do zwalczania Konrada, jakieśmy to właśnie wykazali: dodajemy zatem dla wyjaśnienia rzeczy, że tam, gdzie mówimy o egoizmie, jako czynniku produkcyjnym, rozumiemy pod nim *interes własny*.



Rozszerzyliśmy się cokolwiek więcej nad temi pisemkami, nie dla wewnętrznej ich wartości, lecz raczej dla ważności przedsięwzięcia samego. Nigdzie bowiem potrzeba pism, traktujących kwestye społeczno-gospodarskie w sposób dla najszerszego nawet koła czytelników przystępny, nie jest tak wielką jak u nas, z powodu odbywającego się powolnego przekształcenia wszystkich naszych społecznych podwalin. Warto zatem zastanowić się nad przyczynami ich braku, albo też upadku, który to upadek tém szkodliwiej jeszcze działa, że całe pokolenia od podobnego przedsięwzięcia odstrasza, nastęrczając każdemu łatwą wymówkę i usprawiedliwienie własnego niedołęztwa albo opieszałości. Panu Waleremu Wielogłowskiemu musimy oddać wszelką cześć i uznanie za jego wytrwałość u nas nie zwykłą i za poświęcenie swego czasu, pracy i nie małego pieniężnego zasobu przedsięwzięciu, mającemu na względzie tak gwałtowną potrzebę naszego społeczeństwa. Lecz przyczyny niepowodzenia onegoż, podobnie jak i upadku wielu innych próbek tego rodzaju, niepodobna przypisywać ze wszystkiém obojętności, z jaką publiczność je przyjmuje, ale raczej nieodpowiedniemu ich poprowadzeniu, głównie z braku wyższych zdolności i sił, w tym kierunku użytych. Ten upadek staje się tém dotkliwszą stratą dla narodu, że się przez to marnują i te szczupłe umysłowe i materyalne siły, jakimi rozrządzać zdołamy, a następnie rodzi odrętwienie. Uważamy zatem za święty obowiązek krytyki, przystąpić śmiało i otwarcie do wykrycia rzeczywistych tego zjawiska przyczyn, ażeby chętni do podobnych przedsięwzięć, poprzód dobrze ze swemi umysłowemi i materyalnemi siłami i zasobami obliczyć się mogli, i tym sposobem i siebie nie narażali na przykry zawód, i społeczeństwo na szkodliwe ztąd straty, które tém dotkliwsze są dla niego, iż w podobne siły wcale nie obfituje.

T. W.

*Polska w Pieśni: Wojna Olbrzymów, Wyszymir, Dwunastu wojewodów, przez Deotymę (\*).*

Gdyby kto z naszych starożytników był tak szczęśliwym jak Waclaw Hanka, gdyby w jakim zamku albo kościele sta-

(\*) Poemata Deotymy p. t. *Polska w pieśni*, były przedmiotem trzech recenzyj. W jednej z nich powiedziano, że niepotrzebnie autorka kreśli obrazy



rożytnym Wielkopolski, Pomorza lub ziemi krakowskiej, znalazł odwieczne pergaminny i z nich w zaledwie zrozumiałym staropolskim języku wyczytał przedchrześcijańskie pieśni o tych wodzach, których zatarte i na kilku słowach ograniczone wspomnienia dochowały się u dawnych dziejopisów, czyliżbyśmy tego zjawiska z najwyższą radością nie powitali? Mamy tło do naszej narodowej epepei! zawołalibyśmy jednoznacznie; wkrótce znajdzie się wieszcz nowożytny, który te pierwotne obrazy przyoblecze w kształty do naszego pojęcia i smaku zastosowane.

Tak uczynił Tasso z podaniami ludu i pieśniami starych śpiewaków, o wyprawie do Ziemi Świętej.

Tradycja o przybyciu Lecha z dalekiej krainy, który pojedyncze osady kmieci złączył w jeden naród, a potem odparł najezdniców od Zachodu i Północy groźących; druga tradycja o najeździe mongolskiego plemienia Awarów, Obrami i Olbrzymami zwanych, którzy południową część ziemi naszej opanowali; o ich starciu się ze Skandynawami ciągnącymi od Północy; o Samonie, który w Słowianach nad Wełtawą, górną Wisłą i Sanem osiadłych, obudził wojowniczego ducha i najezdniców pogromił, musiały w dawnych czasach brzmieć w ustach śpiewaków ludowych. Gdyby więc takie zabytki odgrzebane z pomroki wieków zabrzniały następującym dźwiękiem:

Przed laty wielu, w lechickim kraju  
Zbrojno osiadł hardy lud Gotów,  
Od fal Bałtyku, do fal Dunaju  
Pływał falami namiotów.

Król Ermanaryk łupem się dzieli,  
Król Ermanaryk spełnia kielichy;  
Przed jego mieczem królowie drżeli:  
Król Gotów był królem pychy.

z przeszłości, bo powinniśmy zupełnie zapomnieć o przeszłości naszej, i na czystym wyprzątniętym placu wznosić nowe budowle. Nie potrzebuję zbijać tego zdania tak przeciwnego pojęciom i uczuciom nie tylko naszym, ale jakiegobądź narodu. P. Kaszewski w Bibliotece Warszawskiej umieścił sprawiedliwe uwagi nad poematem Deotymy, lecz nie dał zupełnego wyobrażenia ich układu; nie zamieścił celujących obrazów. Sądzę, że pogląd na utwory godne uwagi publicznej z przytoczeniem miejsc ważniejszych, jest obowiązkiem pisma literackiego, jest wymiarem sprawiedliwości należącym się autorowi za jego pracę. Tym względem powodowany, skreśliłem zarys najznacniejszego poematu Deotymy o Wyszmirze, i uwagi nad nim.

Przyszeli Balamir, z nim czeru straszliwa:  
 Attyla mlody na czarnym koniu,  
 Jakby smierc hasa po lackiem bloniu  
 I Gotow na boj wyzywa.

Czyście widzieli te slawne gaje,  
 Nad Wisla, gaje z krwawemi brzozy?  
 Kora nacieta krew z nich wydaje:  
 Tam dwa stanely obozy.

Próżno król gocki ściga łuk złoty,  
 Attyla wzrokiem nadludzkiej siły  
 Skamienil wrogów; upadły Goty  
 I brzozy krwi się opily.

Jedna część wrogów słowiańskich uległa pod ciosem  
 drugiej, wieszczba gęślarza zwiastuje upadek pozostałej.

Jasne słonko, czemu z ciebie  
 Jasność bije, taka biała?  
 Jak mam świecić, gdy po niebie  
 Cień krogulca pada.

Skowroneczku drżący z trwogi,  
 Czemu pierzchasz z wonnych bloni?  
 Jak mam nie drzeć, kiedy srogi  
 Krogulec mnie goni?

O skowronku, jasny dzwonku,  
 Nie trać siły, patrz na chmury;  
 Przyjdzie sokół złoto-pióry:  
 Zbawi cię skowronku.

I przybył Samo, wódz biegły w sztuce wojennej, zaopatrzo-  
 ny w zbroje, włócznie i miecze.

Wyzwał Obrów do rozprawy,  
 Olbrzymami zasał pole,  
 I Chagana wziął w niewolę,  
 Po rękojeść miecz miał krwawy.

W wyzwolonych podziw rośnie,  
 Wdzięczność w sereach płonie;  
 Wykrzyknęli jednogłośnie:  
 Panuj nam Samonie!

Ale niedosyc na tém, przypusćmy, że na tej obszernej  
 przestrzeni rozciągającej się nad Bałtykiem, pomiędzy Wisłą

i Elbą, a jak to badania Dominika Szulca wyświeciły, zamieszka-  
 lęj przez rodowite lechickie plemię, odkryto pieśni o walkach  
 pra-ojców naszych z ludami skandynawskimi, o ich zwycięż-  
 twach i zawładnięciu Danią, o ich potędze nietylko na lądzie  
 lecz i na morzu kwitnącej. Zniście, być musiały takie podania  
 i pieśni, bo pieśń jest jedyną żyjącą kroniką pierwotnej prostoty  
 ludu, skoro treść ich dochowała się w Saxonie, Kadlubku i Gallu.  
 Komuż owocześni gęślarze mogli przypisywać tryumfy Wizi-  
 mierza nad rozbójniczymi Duńczykami, jeśli nie opiekuńczemu  
 wpływowi bogów, wód, lasów i strumieni? Czyliż ten kto na  
 czele rolniczego ludu, na łodziach zbudowanych naprędce,  
 zwyciężył flotę skandynawskich wodzów, nie mógł być ulubień-  
 cem bogini Wisły, tej królowej rzek naszych? Następnym obraz  
 Wisławy nie jestże odpowiednim ideałowi, jakie młodzieńcza  
 wyobraźnia poetki utworzyła sobie o bogini Wisły.

Jej suknia długa, szumna, niezmierna,  
 Niebieska, w szkliste przetykana nici,  
 Stufarbną muszlą przepięta u łona,  
 Stufarbną tęczą ściśnięta w kibici,  
 Jak wielka fala jej kształty opływa.

Jej szyja błyszczy naszyjnikami z rosy,  
 A każda kropla jak zrenica żywa,  
 Łzami radości patrzy pronieście.  
 Nad czołem wodne niebieskawe liście  
 Między jej złote wplatają się włosy;  
 Deszcz z wonnych perel kapie z jej warkoczków,  
 A dwa księżycy przyświecają z oczów.

Teraz na ludzką użalę się mowę:  
 Jakiemiż słowy myśl moją otoczę,  
 Aby opisać ten wdzięk po nad wdzięki,  
 Co dziwi, trwoży, równie jak zachwyca?

Patrzcie: jej stopy, ramiona i lica,  
 Wszystkie jej członki są nawskróś przezrocze.  
 Tak przezroczyste, jakby kryształowe,  
 Giętkie jak fala pluskając radośnie,  
 W ruchach wydają brylantowe dźwięki.

I temi stopy z kryształu lanemi,  
 Stąpa wspaniale po Lechowój ziemi.

Gdy się w największą potęgę rozrośnie,  
 Dotknęciem jedną kryształowój ręki  
 Sięga po Baltyk, drugą po Karpaty.



Odszukanie skarbów pierwotnej poezji naszej, wzbudziłoby niemięjszy zapal pomiędzy nami, co odkrycie króloworskiego rękopismu u Czechów. Lecz niestety! dotąd nie posiadamy takich zabytków, i zapewne zginęły na wieki. Dziwna to rzecz i smutna razem, iż może u żadnego dziś istniejącego ludu tak bardzo nie zatarła się pamięć przeszłości przedchrześcijańskiej, tak się dlań obojętną nie stała, jak u nas. I dlatego to, trzy tylko postacie przeżyły powszechną zagładę, Piasta rolnika i króla razem, wojowniczego Krakusa i jego córki Wandy, bo one są typem nie przeobrażonych, nie zagładzonych i wiecznie trwałych żywiołów, rolnictwa, rycerstwa i poświęcenia się dla obrony siedzib rodzinnych. Odparci od morza, straciwszy nad-baltyckie i nad-elbiańskie krainy, zapomnieliśmy o pierwotnych wodzach narodu naszego. Lecz Opatrzność wynagrodziła nam tę szkodę, zaszczerpiwszy głęboko w piersiach naszych uczucie wiary prawdziwej i przywiązania do zagrody ojczystej.

Po upływie czternastu wieków, okazuje się talent twórczy, który z krótkich oderwanych wspomnień, z moralnych badań tegoczesnych historyków, z ledwie dojrzanych przekształconych podań ludowych, odtwarza nam epokę Lecha i Wyszymira, i piśmiennictwo nasze z bogactw utworami, którym tego tylko niedostaje, żeby o nich powiedzieć można: one pochodzą z żywych, szeroko rozpostartych tradycyji ludowych, a dziś wzniesione do ideału, ubarwione wdziękiem nowożytnego wieszczopisarstwa, mieszczą się w rzędzie poematów na ludowej zbudowanych podstawie.

Poetka Lecha, Wojny Olbrzymów i Wyszymira, musiała w wyobraźni swojej znaleźć to, co szczęśliwsi od niej znaleźli w zabytkach przeszłości.

Z takiego stanowiska wynikło, że ogół nie czując z młokiem macierzyńskim wyssanej wiary w obrazy i przygody bohaterów poematu, niełatwo idzie za duchem poetycznym autorki, i na te poemata zapomnianych wieków, zapatruje się jako na utwory tegoczesnej sztuki i fantazyi. Gdyby nie ta jedna okoliczność, moglibyśmy powinszować sobie, że posiadamy bohaterские poema. To bowiem jest piętnem tych utworów, piętnem wydatnem w Homerze, Wirgiliuszu, Tassie, Kamoensie, Miltonie, że epepeja musi wypływać z tradycyji żyjących ognistym duchem w narodzie lub wierze; im zaś one bardziej są zagładzone, tém więcej na tém cierpi poemat, chociażby najwięk-

szemi zaletami stylu i obrazowania ozdobny. Dowodem tego jest Eneida, którą sędziowie tegocześni kładą w niższym rzędzie od poematów Homera, Miltona i Tassa.

Lecz nawzajem, czyliż takie stanowisko poety może zmniejszać rzeczywistą wartość jego dzieła, u znawców i miłośników poezyi ojczyściej? czyliż może czynić ich obojętnymi na piękności w niem zawarte? Bynajmniej; wpłynie to na większą lub mniejszą popularność utworu, lecz nie zdoła przynieść uszczerbku zasłudze i chwale poety.

Tak nam przedstawiają się trzy poemata Deotyny: Lech, Wojna Olbrzymów i Wyszymir. Jaśniej one bogactwem wyobraźni, wdziękiem i mocą wysłowienia, którego po improwizacyach i poezjach poprzednio ogłoszonych, sprawiedliwie spodziewano się od niej. Znakomity talent wynalezienia posiada poetka, kiedy z tak szczupłych wzmianek dziejowych, bez żadnej pomocy z tradycyi ludowej, mogła rozwinąć tyle skarbów poezyi.

Zastanowimy się obszerniej nad poematem o Wyszymirze, jest bowiem większego rozmiaru, a tém samém nie już do pojedynczych rapsodyj, jakimi są Lech, Wojna Olbrzymów i Dwunastu Wojewodów, należy; lecz wstępuje w zakres bohaterskiej poezyi.

Poemat o Wyszymirze, z czterech wielkich pieśni złożony, opiewa odparcie najazdu Skandynawów na brzegi Pomorza, wzajemny odwet Polaków, zdobycie stolicy Danii, i ubóstwienie Wyszymira po zgonie, jako małżonka Wisławy bogini Wisły. Wyszymir był prostym rybakim; jego urodą zachwyconą Wisława obdarzyła go nadzwyczajnymi przymiotami umysłu i cudownym żagle, rękojmią zwycięstwa i władzy. Pierwsza pieśń bogata jest w zajmujące obrazy. Jużesmy przytoczyli obraz Wisławy, pominąć nie możemy wyliczenia bogów i bogiń rzek polskich, na wezwanie ich władczyni zgromadzonych w jej podwodnym pałacu. Świetny i walowny talent poetki, umie każdą przybrać w właściwe skarhy i ozdoby, i tak naprzykład:

A teraz patrzcie, idzie mąż wspaniały,  
San, groźny rycerz, który srebrną dzidą  
Druzgocze lasy i przebija skaly;  
Po jego falach echa Karpat idą.

Dalój w dolinie wijąca się kręto  
Od tataraku swoich jezior wonna

W więzach kamieni żali się *Kamionna*;  
Zda się, że słyszym królownę zakłątą.  
Potem poważna szafirowo lica  
Idzie, jak cicha kapłanka *Pilica*.

A teraz z drogi! oto z wielkim szumem  
Nadchodzi *Narew*, cała upowita  
W płaszcz tkany złotem, ciemno szmaragdowy;  
*Narew* tak dumna, że gdy *Wisłę* wita,  
Zarzuca ciemny płaszcz opony swojej  
Na modrą suknię co splywa z królowej.  
Jakiż to kmiotek goni dumną księżnę?  
A wszak to brat jej wesoly ów żeniec  
*Bug* kłosoński; codziennie on w wieniec  
Statków ładownych pszenicą się stroi,  
Wieczne na wodach wyprawia okrężne.

Wyszmir i *Wisława* długie i tajemne prowadzą rozmowy.

Rybak coraz większą miłością przejęty, usłyszawszy te  
wyrazy bogini: że trzeba

Wprzód nieśmiertelność wywalczyć na ziemi,  
Żeby za ziemią żyć z nieśmiertelnymi,

Zapytuje się uniesiony zapalem:

Ty moja gwiazdo, ty przewodniczcelko!  
Oświeć mię, powiedz, jak się to zdobywa  
Ta nieśmiertelność?

*Wisława* odpowiada młodzianowi! Nieśmiertelność zdobyć  
mogą śmiertelni

Wielką miłością, lub mądrością wielką,  
Alo miłością co braci rozgrzewa,  
Ale mądrością co świeci dla rzeszy.  
Bo człowiek bywa podobnym do drzewa:  
Gdy nikt o woni jego kwiatów nie wie,  
Gdy nikt się jego owocem nie cieszy,  
Choć najpiękniejsze, co po takim drzewie?

Godząc zatem uczucie swoje dla młodziana z chęcią wy-  
wyższenia go między ziomkami, wyjawia mu, że teraz gdy naród  
po zgonie ostatniego z potomków *Lecha* naradza się nad wybo-  
rem monarchy, a *Duńczycy* najechali nadbrzeżne dziedziny *Le-*  
*chitów*, ona go wesprze, i za jej sprawą zostanie wodzem i zbawcą  
współbraci.



W drugiej pieśni mającej tytuł *Cudowny żagiel*, stawa przed oczyma naszymi zgromadzenie ludu, żupanów i wojewodów, owych potomków dwunastu towarzyszków Lecha, naradzające się na polu pod Gnieznem, przy mogile Lechowej. Między nimi jaśnieje postać młodego Krakusa. Wtém niespodzianie:

Nad brzegiem jezior z daleka ujrzano  
Postać, nikomu w tych stronach nieznaną;  
Postać tak lekko idącą ku rzeszy,  
Że choć bez skrzydeł, zdaje się skrzydlata,  
W zbroi tak świetnej, że jak od pochodni  
Jasna się smuga zdaje ciągnąć od niej.

Miecz ma u boku sadzony w klejnoty,  
Hełm pozłocisty z tęczowemi kity,  
Na piersiach pancerz luskowany złoty,  
U bark płaszcz biały, w złote wzory lity.

Tłum zadziwiony drogę mu otwiera,  
A mąż ów dziwny z czołem bohatera  
Zwolna wstępuje na mogilę Lecha.

Stanął—i mówi, brzmieniem tak śpizowem,  
Że siedmiu wzgórków zadziwione echa,  
Siedemkroć dźwięczą każdym jego słowem:

„Oto przychodzę posłaniec od bogów,  
Straszny posłaniec wieści piorunowej;  
Gdy wy tu gracie o metę wymowy.  
Ziomkowie wasi jęczą w pętach wrogów.

Król duński, Syward, naksztalt fali krwawej  
Zalał lechickie nad Bałtykiem kraje,  
Zdobyl Pomorze, Kaszubią, Żuławy—  
Wziął skarby, święte powycinał gaje,  
A na ich miejscu w posągach zabłysły  
Bożyszczą, lackiej nieznaną krainie,  
—Lecz niedość na tem: wielkie wód rozdroże  
Nęci go, owałdł święte ujścia Wisły;  
Gościńcem rzeki w serce Lechii wpłynie,  
Za dni dwadzieścia w Gnieźnie stanąć może!”

Zrazu lud nie chciał wierzyć tej wieści. Posłańcy od morza nazajutrz stwierdzili tę klęskę. Wtenczas lud cały chciałby spieszyć na pomoc braciom;

Ale wodzowie zgodzić się nie mogą,  
Jaką rycerstwo poprowadzić drogą?

Pochód lądowy i trudny i długi,  
 Wodnego radzić nikt się nie odważa;  
 Każdy pomiędzy olbrzymami temi  
 Był pewnym swojej potęgi na ziemi:  
 Żaden z nich nie czuł potęgi żeglarza.

Wtedy powtórnie zjawił się nieznanomy wojownik i rzekł:

„Posłaniec nieba znów do was przychodzi,  
 Jeżeli zbawczą chcecie obrać drogę,  
 Wisłą się puście: szereg waszych łodzi  
 Ja poprowadzę.—I przysiądź wam mogę,  
 Że ani wichur przeciwny nie wstanie,  
 Ani w morskie pochłoną otchłanie,  
 Ani zwycięstwo nie przejdzie do wrogów,  
 Bo ja, o bracia! dane mi od bogów  
 Nad żywiołami dzierzę panowanie.”

I na dowód władzy swojej uciszył potęgą śpiewu wzburzo-  
 ne fale Gopła.

Jak wielka struna, drga i jęczy lina  
 Co drobne czółno wiąże do wybrzeży,  
 Mąż nieznanomy wstąpił do czółenka,  
 Żagiel dobyty z pod płaszcza rozpina,  
 W toczone ręce pochwyca dwa wiosła,  
 I jakaś dziwna, nie ludzka piosenka  
 Pieśń bez wyrazów z ust się jego wzniosła.—

Płynie,—ilekroć wiosłami uderzy,  
 To przed nim gniewne klękają dwie fale.

Kiedy zaśpiewa, to najzapalczywszy  
 Wichur, usypia jak płaczka omdlała...  
 Pod łódką, piany, jak białe motyle  
 Zwijają skrzydła... Po wrzącym kryształu  
 Krąg zakreśliwszy, łódź się zatrzymała  
 Na środku Gopła, i Gopło za chwilę  
 W tak niezmarszczone przezrocze się zmienia,  
 Jak cichy ogrom czystego sumienia.

Krakus, ów przyszły Władca Lechitów, uznał go wodzem  
 i księciem: za nim poszły wszystkie głoso. Kaplan

Z leszczyny łaskę wysmukłą ucina  
 I takie berło jeszcze strojne w liście,  
 Tajemniczemu młodzieńcowi wręcza;  
 Ten się pokłonił i lekko wstąpiwszy

Na biały kamień, wyrzekł uroczyście:  
 „Od dziś wam serce oddaję w zastawie,  
 Od dzisiaj żądzą mi będą jedyną  
 Dorównać mężom co w przeszłości słyną,  
 A jeśli można przewyższyc ich w sławie.  
 Czemu Lech zdobył wspomnienie tak trwałe?  
 Dał wam skarb droższy nad złoto, nad chwałę;  
 Skarb co jest kwiatem na berle mocarza,  
 Skarb, co i bogów szczęśliwość stanowi:  
 Mir, tę kotwicę w ciężkiej burzy losów;  
 Lecz wam na lądzie, ten mir dał jedynie,  
 Dziś owę tarczy czy nie dość, narodzie!  
 Niebezpieczeństwo od mórz ci zagraża;  
 Dzisiaj więc tobie posłaniec niebiosów  
 Wyższy mir niesie: ja memu ludowi  
 Mir dam na ziemi, i mir dam na wodzie.”

„Wyższy mir! Wyższy” zewsząd zawołano.

Ta nazwa z echem po jeziorze płynie,  
 I Wyższy-mira przydomek wspaniały  
 Został mu odtąd,—znikło jego miano.  
 Ale przydomek wieki spamiętały.

Lud z pośpiechem bierze się do budowania łodzi; flota osadzona zbrojnym żołnierzem, wypłynęła Wisłą ku brzegom Bałtyckiego morza. Dwaj wodzowie przebrani za rybaków, udają się do floty Sywarda dla przekonania się o jej sile i stanowisku. Wracają schwytawszy Gunnaba brata króla Duńczyków, lecz wspaniałomyślny Wyszimir uwalnia go i Danów na otwarty bój wyzywa.

Pomiędzy wojownikami polskimi pierwsze miejsce po Wyszomirze zajmuje Krakus, ulubiony ideał poetki, która w tym utworze toruje mu drogę do wyższych przeznaczeń. Między Duńczykami słynie Harald: obraz jego i żywością kolorytu i ciągle powracającym dźwiękiem rymu, przypomina dawne pieśni Skandynawów:

To najpiękniejszy pomiędzy młodziany,  
 Najodważniejszy z pomiędzy żeglarzy;  
 To Jarl norwegski, złotobrodym zwany:  
 To sławny Harald, bożyszczu korsarsy.

Jest widać niewieści w jego męskiej twarsy,  
 Broda pierścienna, złociста i długa  
 Na pierś mu splywa jak złota koleczuga,  
 Pięknym jest Harald, bożyszczu korsarsy!



Nie ma tak skalnej wysepki ni fjordu,  
 Takiego grodu z twierdzami na straży,  
 Gdzieby nie poniósł rabunku i mordu  
 Harald, pan skarbów, bożyszcze korsarzy.

Serce w nim zmienne, lecz zawsze się żarzy,  
 Nie ma dziewicy o skroniach ze śniegu,  
 Którejby serca na północnym brzegu  
 Nie podbił Harald, bożyszcze korsarzy.

Gdy w uczujących przytomność się waży,  
 Tylko u niego myśl jeszcze swobodna;  
 Nie ma pułbaru, którego by do dna  
 Nie spełnił Harald, bożyszcze korsarzy.

Jeśli nad morzem gdzie się bieli skała,  
 Skąd siądzie marząc, o nim pewnie marzy;  
 Nie ma powieści, któraby nie brzmiała  
 Chwałą Harald, bożyszcza korsarzy.

Obraz walki i jej zmiennych kolei, niebezpieczeństwo Wyszymira, pożar grożący łodziom polskim od palnego statku Duńczyków, nareszcie zwycięstwo męstwem naszych, opieką Wisławy i wpływem cudownego zagła odniesione, nie ustępują obrazom podobnego rodzaju w innych poematach bohaterских. Jest w nich siła i duch właściwy spiewakom wojennych trudów. Pokonany Syward prosi o pokój, zwraca grabieżę i przyrzeka wynagrodzić zrzędzone szkody. Obie strony dają sobie nawzajem zakładników. Krakus płynie z Sywardem, ponury i chytry Jarmeryk syn króla Danii zostaje u Wyszymira. Hufce rycerskie i lud tłumnie zebrany składa ofiary dziękczynne na cześć Wisły.

Wyszymir zabrzmiał pamiętnemi słowy:

„Na uświęcenie wygranej tu bitwy,  
 Przy ujściu Wisły, nowy gród założę.

Niech będzie drugą stolicą, niech będzie  
 Morską stolicą mojego narodu.

Jak orzeł czuwa z gucznińskiego grodu  
 Nad laską ziemią, tak nad laskie morze  
 Nowy gród skrzydła roztoczy labędzie.”

Witaj, o Gdansk, ty grodzie labędai,  
 Pasterzu łódek! Każda twoja wieża  
 Jak nawijana lasocznka pasterza  
 Trzody okrętów pod two stopy pędał.

Znać żeś jest synem rolniczj rycerki,  
 Choć na tron ciebie żeglarstwo podniosło;  
 Dziś jeszcze trzymasz w jednej dłoni wiosło,  
 Drugą przeliczasz ziarna Sandomierki.

Gdańsku rozsiadły na drodze łabędzi!  
 Gdańsku władnący przezroczeni światy!  
 Gdańsku w rzeźbionym granitowym wianku!  
 Gdańsku spowity w malowane szaty!  
 Na szmaragdowj wybrzeża krawędzi  
 Oparłszy ramię, stoisz jak na ganku,  
 Pod którym z pluskiem nieskończoność płynie,  
 I nurzasz oczy w tój strasznej głębinie,  
 A serce twoje tak od wieków marzy,  
 Iż skamieniałeś, o królu żeglarzy.

W trzeciój pieśni na nowo powstaje walka, bo Jarmeryk uszedł, a Syward, za jego namową najechał dziedziny Polaków. Wtedy Wyszymir przedsięwzię wyprawę do Danii. Stoczono walkę na łądzie; nasz bohater rozgromił wojsko Sywarda i król Danów legł z jego ręki. Hufce nasze postąpiły po Leir warownią Duńczyków, zdobyły ją mimo czarów Hildy córki Sywarda i uwolniły Krakusa. Hilda dostała się w moc Wyszymira.

Wódz Lechitów umyślił wcielić Danią do państw swoich, wezwał wszystkich wojowników na radę, i przełożył im swoje zamiary. Nie przypadły one do serca ludowi. Pierwsi dowódcy milczeli.

Książę się oparł na włóczni i rzecze:  
 „Jakże wam, bracia, co czuję, wyrażę?  
 Bogom ojczystym wrócone ołtarze,  
 Lechia wyrwana z więzów i rozpaczy,  
 Podbicie morza przez naród oraczy  
 I większe ludów zbójceckich podbicie,  
 Czyż to dzieło? Każdy wasze miecze  
 I wasze serca pozna po tём dziele!

Ziomki, ojcowie, bracia, przyjaciele  
 Przez was stanąłem na wielkości szczytacie,  
 I oto dumna, straszna owa Danja,  
 Co zakłócała krwawym niepokojem  
 Łądy i morza, będzie to żupanja,  
 Jedna żupanja, w wielkiem państwie mojem.“

Wtedy na środek rycerskiego kola  
 Wystąpił wojak, prosty szeregowiec;  
 Siwe mu oczy niby stał błyszczący,

Z pod helmu w księciach opadał włos biały;  
Wzniósł obie ręce i w natchnieniu woła:

„O wielkie bogi! Coby też w tej chwili  
Nasz Lech powiedział, gdyby skronią krwawą  
Swoją nasypany przebiwszy grobowiec  
Słyszał, co wyście, o książę mówili;  
A wszakże znacie jego trzecie prawo.

—Granice, wyrzekł, święte jak ołtarze,  
Wodzom szlachetnym dochowajcie wiary;  
Lecz jeśli wodza chęć łupu pochwyti,  
Wtedy pozwalam, o wtedy wam każe  
Jego zaborcze opuścić sztandary.

Pókiście biegli odbić przyjaciela,  
Wszystkie wam hufce wiernie wojowały,  
I po cierniowej krwawej ścieżce chwały  
Szliśmy za wami, szliśmy aż do bramy,  
Która obrońce z ciemiężcą rozdziela:  
Tu posłuszeństwo wam wypowiadamy”.

I podniósł dźwidę, i cisnął—w tej chwili  
Cała równina w jeden szcęk się zmienia:  
Wszyscy Lechici na znak przyzwolenia  
Włóczykami w ziemię smutnie uderzyli.

Pierś Wyszymira wzdyma się jak fala.  
Wszyscy struchleli; już w zrenicach księcia  
Gniew, dwie pożarne pochodnie zapala.

Aż nagle—obie zagasły pochodnie:  
Wyszymir spojrział smętnie, lecz łagodnie:  
Powstał, po stopniach ku tłumowi zmierza;  
Zbiegł, i serdecznie rozwarłszy objęcia,  
Czule uściskał siwego żołnierza.

—Objąwszy starca czulemi ramiony  
Księżę zawołał: „Bądź błogosławiony  
„Gołębiu rady, co pod siwym włosem  
Niby pod skrzydłem niesiesz wieść przestrogi;  
Przez twoje usta przemówiły bogi,  
A raczej naród przemówił twym głosem,  
Bo władcom ludu, niebo nieinaczéj,  
Jak przez głos ludu, swą wolę tłumaczy.”

W pieśni trzeciej wydatnie maluje się postać Hildy córki  
Sywarda, która chce pokonać zwycięzcę swojej ojczyzny razem



potęgą czarodziejską i wdzięków. Opis jej wędrówki w krainę bóstw skandynawskich, powzięty z tradycji tych ludów, które szczęśliwsze pod tym względem od nas, mają swoje mitologiczne i historyczne podania, jest ustępem wprawdzie niedość ściśle z osnową dzieła związanym, ale bogatym w kwiaty poezyi i moc wysłowienia.

Spełniła się nadzieja Hildy, Wyszymir skoro tylko wszedł do jej komnaty, natychmiast upojony dymem czarodziejskiego kadzidla, nie może oderwać się od niej.

Ale to wszystko, to nie była miłość:  
Miłość ma jasne, pogodne oblicze,  
Miłość się zdaje rozkazywać światu:  
A to uczucie było niewolnicze.

Smutne, podobne do sztucznego kwiatu,  
Co nosząc wszystkie pozory rozkwitu,  
Zawsze bezwonnym i martwym zostanie;  
Nie! to nie miłość: to oczarowanie.

Lecz i Hilda nie zarzuciła bezkarnie sidła swoich; dotąd obojętna dla wszystkich, pokochała Wyszymira; biedna! ze słów jego poznaje, że on nie pala dla niej wzajemną miłością, lecz tylko niezwalczonym wzrokiem do niej przykuty, sam ją błaga, aby zerwała potęgę czarów swoich. Uniesiona zalem i gniewem, zaprasza go na biesiadę razem z wodzami lechickimi, wprowadza go na statek stojący tuż przy brzegach, a tak przybrany w kwiaty i osłonięty namiotem, iż wódz Lechitów nie domyślał się, że jest na zdradliwym żywiole: wtenczas podaje mu czarę z zatrutym napojem.

„Za wolność Danii spełniam ten kielich, rzekł Wyszymir”. Na te słowa Hilda wrywa mu z ręki morderczy napój i słyzy potwierdzenie szlachetnych jego zamiarów. „Wracam swobodę twojej ojczyźnie, rzekł, ciebie raz jeszcze błagam, skrusz te więzy nadludzkie, któremi do tych miejsc przykuty jestem”.

Nieszczęsna Hilda w tej chwili go traci,  
W której raz pierwszy kochać go jej wolno;  
Lecz wielka dusza równie była zdolną  
Ukochaćemu poświęcić swe szczęście,  
Jak je poświęcić dla ojczyzny chciała.

Gasi czarodziejskie kadzidło, a Wyszymir wtedy poznaje, że jest na morzu i na obcym okręcie. Wtém zrywa się gwałtowna burza, fale uderzają w okręt,

I dwie z nich wyszły postacie złowieszcze:  
 Jeden był starzec gniewny, długo-brody,  
 Cały pancierzem z błyskawicy zbrojny;  
 Jego to ręka tak rozbudza wody.  
 A druga postać, oh! straszniejsza jeszcze:  
 Ma bladeść głodu, ma szaty pożogi.  
 Ma wzrok zarazy, ma oblicze wojny.

W takiej to postaci gniewny bóg Bałtyku i bogini Wisły stanęli przed Wyszymirem. Spokojnym głosem odpowiedział Wyszymir na ich zapytanie „że jest niewinnym” i na wezwanie kochanki rzucił się w morze. W tej chwili burza okret strzaskała. Statki Lechitów daremnie biegły na pomoc Wyszymirowi, uratowały samą tylko Hildę; nie długo ona przeżyła zgon jego. Ulegając woli ziomków odplynęła do Norwegii, z której monarchą już była zaręczoną; lecz tylko jej zwłoki ujrzał oblubieniec.

Po śmierci swojego księcia i wodza, Lechici wykonywając jego wolę oddali władzę nad Danią Jarmerykowi, i wrócili do ojczystych zagrod.

Wisława nie mogła ocalić życia swemu ziemskiemu kochankowi, lecz uniosła go do podwodnej groty, i tam zbudził się duch Wyszymira przyobleczony w nieziemską postać.

On wtedy rękę przysunął do czoła,  
 Zwolna z trudnością przypomina sobie  
 Swe przeszłe troski i chwile konania,  
 Które zaledwie jak powieść pamięta.

Zbliżył się, ruchem pełnym tkliwjéj cześci  
 Podniósł płaczącą, która od boleści  
 W jego objęciach niby kwiat się ślania  
 I jak świerk z brzozą rosnące na grobie,  
 Zaczęli długą, w pół cichą rozmowę,  
 Pełną powierzeń, płynącą tajemnie,  
 Jak dwóch strumieni skargi kryształowe...  
 Nabrzmiałą smętném ich przeszłości echem,  
 Nieraz przerwana łkaniami srebrnemi,  
 Czasem przetkana promiennym uśmiechem  
 Długą rozmowę! Aż w ostatniej chwili  
 Wzajemnie sobie wszystko przebaczyli,  
 I swą niewinność uznali wzajemnie  
 I zapomnieli o łzach i o ziemi.

Od tej chwili zaczęło się dla bohatera nowe życie. Poetka z właściwym sobie talentem i wyobraźnią, maluje świat podwo-

dny, obecne Wyszymira mieszkanie i pałac starego boga Bałtyku. Ubóstwienie Wyszymira, który zaślubiwszy Wisławę zajął miejsce w rzędzie bóstw, kończy poemat. Wszystkie rzeki, jeziora i wody ziemi Lechitów przybyły na ten uroczysty obchód, zameżcia swojej królowej. I tu jest uzupełnienie obrazu rzek w pierwszej pieśni zamieszczonego:

Tym od zachodu pochód niedaleki,  
Lecz któż tak piękny idzie od północy?  
To Niemen, Niemen z wielkimi oczyma;  
Gdy wszystkie inne z tego grona rzeki  
Dręczą swe brzegi i pędzą zuchwale,  
On tylko jeden, zawsze swoje fale  
Jak namiętności w równej mierze trzyma:  
Ról nie zalewa, nie zmienia koryta,  
Idzie jak mędrzec spokojny w swój mocy.  
Dniestr szumiącemi spadkami brodaty  
Alabastrowe podzwiga bulaty  
I fali morskiej rzewną dunkę śpiewa,  
Tak strasznie rzewną, że otchłań głęboka  
Czarnego morza, niby czarnobrewa,  
Wieczną ma burzę, niby lżę u oka.

- Nakoniec strażnik przed stepowym progiem  
• W szubie obszytej złotem futrem z kłosów,  
Potrząsający obfitości rogiem  
Nadchodzi moczarny olbrzymiów urody:  
To Dniepr przepyszny, Dniepr wielki książ wody.

Ostatnia ta pieśń poematu, ma najwięcej fantastyczności, bogactw wyobraźni i zalet dykcji; jednakże mniejsze wzbudza zajęcie od poprzednich, bo szczerze wyznajemy, że świat ten zostaje za obrębem naszych pojęć i uczuć.

Miłośnicy pięknych wierszy i obrazów znajdą tam znakomite zalety, ale takich wybranych mała jest liczba. Ogół szuka i pragnie dźwięków odpowiednich tym, które mimowolnie brzmią w głębi jego piersi, a znalazł je był w Wojnie Olbrzymów i obrazach pierwszych trzech pieśni Wyszymira; takie znajdzie jeszcze w rapsody o Dwunastu Wojewodach, która jest przejściem od Wyszymira do Krakusa.

Zdaje nam się, że gdyby poetka uczyniła Wyszymira więcej samodzielnym, gdyby jego męztwo i moc ducha zależały nie od samych czarodziejskich darów Wisławy, gdyby nareszcie ta bogini i jej ojciec bóg Bałtyku, którego postać jest poważnym



poetycznym utworem, otoczyli bohatera opieką swoją przez miłość dla tej krainy, której brzegi skrapiają; gdyby dopomogli mu do tryumfów, a ginącego w walce z nieprzyjaciółmi ojczyzny przyjęli do grona bóstw i do swoich przybytków, co wszakże nie przeszkadzałoby uczuciu miłości bogini dla śmiertelnika; wtedy ta główna postać poematu, byłaby więcej jeszcze zajmującą, bo więcej do ludzkości zbliżoną.

Zakończamy nasz pogląd wynurzając przekonanie, że wydane dotąd części wielkiego utworu Deotymy, *Polska w pieśni*, należą do celujących pomników poezji naszej. Wyszły one na widok publiczny w porze niedosyc przyjaznej dla nich: bo dla zajęcia się i upodobania sobie w utworach imaginacyi, potrzeba albo prostoty pierwszych epok cywilizacyi, albo swobodnego wypoczynku myśli, pośród skarbów przyrodzenia i sztuki. Pierwszą cieszyli się Grecy, drugim zaś wykształcone społeczeństwo w XVI wieku nad brzegami Padu, Arno i Tybru.

Nas otaczają inne stosunki, inne wrażenia wpływają u nas na sąd o dziełach poezji. I dlatego przepowiadamy, że czas nietylko nie umniejszy zalet poematów Deotyminy, lecz nowęj ceny im doda. Niech więc nie ustaje w zamierzonej pracy, której owocem mają być poemata o Krakusie, Piaście, a może i Bolesławie Chrobrym i Śmiałym i o Władysławie Łokietku.

F. S. D.

*Opisanie hydrograficzno-statystyczne Dźwiny Zachodniej, oraz ryb w niej żyjących, przez Adama hr. Platę, z dodaniem Mappy. Wilno. 1861 r. Broszura obejmująca 69 stron.*

Praca ta jak tytuł wskazuje, składa się z dwóch części: pierwsza po potrąceniu tytułów, objaśnień i przedmowy, zajmuje 20 stron obszernego druku; druga 28: dodatki do obu 8.

Część statystyczna bardzo krótko jest traktowana i nie obejmuje kilku bardzo ważnych szczegółów hydrograficznych, jak np. dat zamarzania i puszczenia rzeki ze wszystkimi do tego należącymi okolicznościami, równie jak wiadomości o wylewach.

W części zoologicznej jest wyliczenie rezonowane 49 gatunków ryb, zamieszkujących Dźwinę, między temi zaledwie jest 5 obcych wodom Królestwa Polskiego. Pod gatunkami, prócz

krótkiej ich synonimii, są wskazówki rozmieszczenia, czasem szczegóły obyczajowe, a pod kilkoma tylko krótkie objaśnienia, niewystarczające do odróżnień. Szkoda, że autor nie umieścił dokładnych przynajmniej dyagnoz tych kilku gatunków, dla których niezbędne są pewniejsze wyjaśnienia. Tak np. konieczną by była dla pierwszego gatunku Białoryba *Leuciscus albula*, do którego autor stosuje synonim *Cyprinus leuciscus* Gmel., stosowany przez najnowszych ichtyologów do *Leuciscus vulgaris* Cuv. (Jelca pospolitego), którego także znajdujemy pod Nr. 7. Taka dyagnoza stanowczo mogłaby wyjaśnić, czy ten pierwszy gatunek jest dobrym, i do jakiego skupienia rodzaju *Leuciscus* należącym. Bez tego nie ma żadnej pewności, czy te dwa gatunki nie odnoszą się do jednej i tej samej ryby.

Podobna także zostaje wątpliwość, pod gat. 11 tego samego rodzaju. Jakkolwiek przypisek do niego pod literą *i*, obejmuje opis obszerniejszy, pominięte są w nim jednak esencjonalne cechy, to jest: czy linia naboczna znajduje się na całej długości, czy też urwana, równie jak formuła zębów gardłowych. Tym sposobem niewiadomo, czy rybka ta jest gatunkiem profesora Czernaja, czy jednym z gatunków Heckla *Leucaspius abruptus* lub *Squalius delineatus*, czy też zupełnie odrębnym. Opis bowiem w przypisku da się także stosować do młodych rybek wielu gatunków.

Podawszy te dwa szczegóły jako przykład, że podobny sposób traktowania nie wystarcza dzisiejszym wymaganiom, wypada zakończyć uwagę, że praca tego rodzaju wtenczas dopiero będzie prawdziwie pożyteczną, gdy gatunki będą ściśle porównane z opisami nowych dzieł ichtyologicznych, jak Valencienna, Heckla, Günthera, Kesslera, i z ich cytatami podane. Porównywanie zaś z dawniejszemi opisami, a szczególnie w książkach krajowych, które są tylko tłumaczeniami obcych, i powtórzeniami jedne drugich, do błędów tylko doprowadzić może, a niczego nie objaśni.

W cytowaniu zaś autorów, należy mieć wzgląd na pierwszeństwo (prioritas), gdyż nie godzi się tego w żadnym razie przyznawać kompilatorom dzieł źródłowych, bo ich nazwisko położone przy synonimie, żadnej powagi nie stanowi. Tém więc na podobny wzgląd nie zasługują pisarze zaniedbujący wymieniania autorytetu, a tym sposobem lekceważący pierwszeństwo lub nierozumiejący jego znaczenia. Zamiast także przytaczania nazw popularnych niewiadomego pochodzenia, wypisa-

nych z książek dawniejszych, byłoby daleko pożyteczniej zebrać i dodać miejscowe z ust ludu.

Szanowny autor prawdziwą wyświadczyłby przysługę, gdyby przy tak rozległej znajomości fauny ichtyologicznej tamtych okolic, zechciał w nowym wydaniu swęj pracy wymaganiom dzisiejszym odpowiedzieć, czego po jego bezinteresowném zamiłowaniu spodziewać się możemy.

*W. Taczanowski.*

*O stowarzyszeniach lekarskich prowincjonalnych. Lwów. Drukiem Kornela Pillera 1861 r. Program topografii lekarskiej przyjęty przez Towarzystwo lekarskie podolskie za osnowę swych badań topograficznych. Lwów. Drukiem Kornela Pillera 1861 r. Przez Adryana Baranieckiego, lekarza z Podola.*

Pan Adryan Baraniecki lekarz z Podola, wydał roku bieżącego we Lwowie, pismo z godłem: „l'union fait la force” o stowarzyszeniach lekarskich prowincjonalnych, tudzież program topografii lekarskiej przyjęty przez Towarzystwo lekarskie podolskie, za osnowę do swych badań topograficznych. Na wstępie mówi autor o przykrém wrażeniu, jakiego doświadcza poczynający praktykę lekarz, z powodu trudności porozumienia się z kolegą, tego samego sposobu myślenia i tęj samej narodowości. Za przyczynę tego podaje, pobieranie nauk przez lekarzy krajowych w obcej mowie, w różnokrajowych uniwersytetach; z obcą bowiem terminologią na ustach i napojeni zdaniem obcych szkół nie tak łatwo porozumieć się mogą. Za najwłaściwszy środek zaradczy przeciw wynikającemu ztąd złemu, uznaje p. B.... „stowarzyszenie, ową sprężynę poruszającą świat cały na drodze postępu”. W dowód skuteczności podawanego przez siebie środka, powołuje się autor na wielkie rezultata osiągnięte przez stowarzyszenia religijne, naukowe, przemysłowe, handlowe i t. p. Wnioskiem przeto pana B.... jest zaprowadzenie Towarzystw lekarskich prowincjonalnych, mających łączyć lekarzy, jak mówi, w jedno ognisko, któreby z różnych zdań i opinij dozwolilo wyrodzić się jednę myśl, jednym dążnościom, wyrobić jednę odrębną szkołę lekarską polską, wyłączną od dzisiaj istniejących cudzoziemskich.



Nie pojmujemy dobrze, na czem pan Baraniecki trudność porozumienia się z kolegami opiera. Krajowiec pobierający nawet w obcej mowie nauki, z terminologią miejscową w krótkim czasie, bez żadnej przykrości obeznać się może. Terminologia zaś powinna być jedną na całą przestrzeń ziemi, gdzie tym samym mówią językiem; dlatego nie jest rzeczą pożądaną, aby każde stowarzyszenie prowincjonalne lekarzy, ustanawiało oddzielną terminologię lekarską. Przedmiotem tym najwłaściwiej zajmować się powinni tam, gdzie nauka lekarska jest wykładaną i gdzie najwięcej o niej piszą. Różność szkoły, odmienny nieco sposób zapatrywania się na przedmiot, posługuje do jego wszechstronnego, gruntowniejszego zbadania; nie powinna być zatem i ta okoliczność żadną przykrością dla poczynającego lekarza. Wszakże sam pan B.... bardzo słusznie ocenia z tego korzyści, gdy mówi: „że w jednej Polsce gdzie są przedstawiciele wszystkich dzisiejszych opinii lekarskich, może się wyrodzić pośrednia szkoła na nowej podstawie, jedynie dziś możliwa”. Podstawą tą rozumiemy kraj, mianowicie jego stosunki miejscowe, klimatyczne, tudzież zwyczaje, obyczaje, sposób życia mieszkańców, nawet z uwzględnieniem nałogów i przesądów ludu. Taką szkołę lekarską utworzyć, jest gorącym życzeniem autora, dla niejto chce za pomocą stowarzyszenia się lekarzy zbierać materiały potrzebne do topografii lekarskiej krajowej. W ten sposób pojmujemy cel pisma pana B.... i czynione przez niego wnioski, które z całym przekonaniem naszym dzielimy.

Każdy z lekarzy, szczególnie na prowincyi praktykujący, czuje potrzebę zbliżenia się z kolegami, celem udzielania sobie wzajemnie spostrzeżeń, czynionych doświadczeń, a nawet niekiedy dla osiągnięcia zdania w szczególnie ważnych wypadkach, i to zapewne pan B.... potrzebą porozumienia się nazywa.

Spostrzeżenia czynione we względzie szczegółowych miejscowości, wpływających przeważnie na stan zdrowia mieszkańców, z powodu braku bliższego zjednoczenia się lekarzy prowincjonalnych, bywają najczęściej dla nauki stracone; nie każdy z nich bowiem może lub ma po temu sposobność, aby zajmować się teorią lekarską, pisać naukowe rozprawy; lecz każdy ma coś co do powiedzenia w przedmiocie, który jest jego codziennym zajęciem. Lekarz prowincjonalny czasem dni kilka nieodstępnie przy łóżku jednego chorego przepędza; nietylko więc ma sposobność obserwowania najmniejszej zmiany w przebiegu cho-

roby i sposobu bezpośredniego działania środków lekarskich, które niekiedy własną ręką podaje; lecz nadto, jako najbardziej zbliżony ze swemi choremi, ich rodzinami i domownikami, może łatwiej poznawać stosunki społeczne, na które lekarz obojętnym być nie powinien. Powołanie zatem lekarzy prowincjonalnych do pracy na polu medycyny krajowej, uważamy za bardzo trafne i znakomite przynieść mogące korzyści. We wszystkich krajach wielkie miasta, do których łatwiejszy ma przystęp cywilizacya, są mniej więcej co do usposobienia, rodzaju zajęcia i sposobu życia mieszkańców do siebie zbliżone; najwydatniejszą różnicę w tym względzie stanowią prowincye, gdzie nietylko jeszcze od praw przyrody odstąpiono, a przyroda nie jednakowo świat cały obdarzyła. Powiedziano mi, że jedna jest tylko na cały świat medycyna. Prawda, że są jedne wszędzie i te same zasady życia, choroby i śmierci, ale każdemu z lekarzy wiadomo, że nawet tego samego nazwiska choroba przybiera różny charakter i różnych do jej usunięcia wymaga środków. Charakter zaś choroby zależy może od pewnych wpływów atmosferycznych, nie wszędzie i nie zawsze jednakowych, od miejscowych okoliczności i od warunków indywidualności mieszkańców. Zresztą są niektóre choroby częste w jednych krajach, a nieznane w innych. Jestem przekonania, że najznakomitszy lekarz ze stolicy Anglii lub Francyi nie mógłby być odrazu szczęśliwym lekarzem dla naszego ludu, nie poznawszy jego charakteru, sposobu życia, stosunków miejscowych, klimatycznych etc. Poznanie właściwości każdej okolicy za pomocą dokładnej topografii lekarskiej i ściśle zbieranych wiadomości statystycznych pod względem stanu chorobliwości i śmiertelności mieszkańców, jest koniecznym dla praktykującego lekarza, a jeszcze więcej dla urzędnika lekarskiego, czuwającego nad zdrowiem publicznym.

Tą prawdą przenikniony, jako lekarz praktykujący długi przeciąg lat na prowincyi, przedstawiłem jeszcze w r. 1846 potrzebę pisma lekarskiego małych rozmiarów, lecz w krótkich przedziałach czasu wychodząc mającego, pod nazwą „Wiadomości praktyczno-lekarskie chorób panujących w Królestwie Polskiem”, któreby obejmowało nie naukowo-lekarskie rozprawy, lecz same tylko praktyczne spostrzeżenia nad charakterem panujących u nas epidemij i endemij treściwie opowiedziane, tudzież doniesienia o środkach lekarskich w różnych okolicach kraju przez nasz lud używanych. Wskazałem oraz sposób, w jaki potrzebne do tego pisma materyały z całego kraju zbier-

rane być mogą. W podaniu mojem do władzy w tym celu wniesionem, między innymi powiedziałem, „że przez takie pismo przyjdziemy z czasem do dokładnej topografii chorób panujących w kraju naszym i do znajomości środków w naszym klimacie najbardziej skutecznych; słowem, uprawianą będzie czysto krajowa praktyczna medycyna, i uwolnimy się przez to od niewolniczego naśladowania z obcych autorów czerpanych, a nie zawsze u nas korzystnych w zastosowaniu zasad”.

Towarzystwo lekarskie warszawskie, któremu projekt mój został komunikowany, w odpowiedzi swój do głównego inspektora służby zdrowia oświadczyło: że jakkolwiek zamiar pisma pochwała i przedsięwzięcie powodzenia życzy, nie może się przecież zająć jego redakcją i zarazem uprasza, aby raz wzięty w swą opiekę Pamiętnik Towarzystwa raczył nadal ochronić od upadku.

Pan Baraniecki do tego samego głównie co i ja zamierzając celu, to jest do zbierania materyałów dla topografii lekarskiej i do wzniesienia medycyny krajowej, lepszy obrał środek, aniżeli ja przed piętnastu laty podać mogłem. Skomunikowanie się bowiem osobiste, jeżeli tylko zajęcia lekarzy prowincjonalnych na to pozwalają, musi być nierównie płodniejsze w następstwa, jak wszelkie pisemne znoszenia się. Zgadzaamy się z autorem, że Towarzystwa lekarskie stolicy i miast większych, jak Warszawy, Krakowa i Wilna, powinny być ogniwem łączącym medycynę krajową z medycyną reszty naukowego świata i zostawać w stosunkach z Towarzystwami prowincjonalnymi, mającemi dostarczać materyałów naukowych, z praktyki lekarskiej na miejscu czerpanych.

Oprócz powyżej wymienionych, naznacza jeszcze inne daleko rozleglejsze Towarzystwom lekarskim pan B..... cele, bo jak mówi, „rozpościeranie dobrodziejstwa nauki lekarskiej i światła cywilizacji na naród”. Pierwszy ten cel z samego przeznaczenia sztuki lekarskiej wypływa, zaś co do drugiego, myśl prawdziwie piękna, bo nauka lekarska, która nie jest już dziś prostą empiryą, może mieć wpływ i na cywilizację jak każda inna nauka, a jako dotycząca najinteresowniejszej strony, bo zdrowia i życia człowieka, tudzież przenikająca wszystkie nawet najniższe warstwy społeczeństwa, dalej sięgać może.

Zakładanie bibliotek, zbiorów dotyczących nauki lekarskiej i nauk jej pomocniczych, oraz zaprowadzenie komitetów wsparcia podupadłych lekarzy, tudzież wdów i sierót po nich



pozostałych, bardzo słusznie pan B. za przedmiot starań Towarzystwom lekarskim przeznaczają. Inne zajęcia przez autora tymże stowarzyszeniom wskazywane, jak wykorzenienie szarlataneryi, zakładanie szkółek akuszerok i felczerów wiejskich, zaopatrywanie kraju w także indywidualną, opiekę nad szpitalami wiejskimi, rozprzestrzenianie drukowanych instrukcyj co do postępowania w chorobach epidemicznych i endemicznych i t. p. wchodzi już w zakres obowiązków władz rządowych lekarskich. Władze te przecież nie omieszkają zapewne korzystać z uwag przez stowarzyszenia naukowe sobie czynionych.

Program topografii lekarskiej jest zbyt rozległy, zwłaszcza na początek w kraju, w którym na tém polu prawie nic jeszcze dotąd nie zrobiono. Usprawiedliwia w tym względzie autora nadmianienie, że nie wymaga od każdego współpracownika, żeby dał odpowiedź na wszystkie punkta, zwłaszcza, że różnorodność przedmiotu wymaga specjalnych badań. Zna autor dokładnie stosunki społeczne i z rodzaju powołania wynikające, lekarzy prowincjonalnych, i wie w jaki sposób z ich doświadczenia i bliższego zetknięcia się z ludem, można wyciągnąć korzyści dla kraju, gdy mówi, że „Towarzystwa lekarskie nie rozpraw żadnych, ani filozoficznych rozumowań, ale dobrze zrozumianych, rzetelnych faktów potrzebują”. Koroną pisma pana B.... są ostatnie jego w programacie słowa: „Towarzystwo wywiąże się godnie krajowi z jednego z najważniejszych celów swojego stowarzyszenia, gdy naprowadzi rząd i lekarzy na drogę ulepszeń pod względem publicznego zdrowia, co jest ostatnim wynikiem badań topograficzno-lekarskich i najpiękniejszym wieńcem lekarza obywatela”. To wyrzeczenie jest dowodem, że autor równie, jak wszyscy zwolennicy nauki publicznego zdrowia, przenoszący nadewszystko dobro ogółu, ma przekonanie, że nie tyle właściwe leczenie chorych, jak środki zapobiegające powstawaniu chorób, mają wpływ na zmniejszenie śmiertelności, a tem samem na wzrost ludności, owego źródła wszelkiej pomyślności kraju, i że tą jedynie drogą można największą krajowi oddać przysługę.

Życzymy najserdeczniej, aby wnioski pana B... przeszły w czyn, gdyż prawdziwe dobro nauki i kraju mają na celu. Jeżeli zanadto obszerne naznaczył autor granice działaniom Towarzystw lekarskich prowincjonalnych, jeżeli w jego programie znajduje się co takiego, co spełnionem być nie może, to spełnionem nie zostanie. Wszakże chcieć nawet zawiele dla

dobra nauki, dla dobra kraju, nie jest grzechem, byleby zbyt-  
 czne ubieganie się za tém, co na teraz jest mniej możliwe wypeł-  
 nieniu, nie odwozdilo od pracy nad tém, co jest równie poży-  
 teczne, a więcéj możliwe w osiągniéciu.

Jeżeli pan Baraniecki potrafi wzbudzić chęć zajęcia się  
 więcéj statystyką i topografią lekarską dla wzniesienia krajowej  
 medycyny, i jeżeli przyczyni się do rozpowszechnienia nauki  
 publicznego zdrowia, tak mało jeszcze dotąd u nas znanéj i ce-  
 nionéj, na prawdziwą wdzięczność kraju zasłuży.

Warszawa, 20 października 1861 r.

W. Siekaczynski.

---

*Powiatki ludowe przez Eleonorę Ziemięcką, z rysunkami lito-  
 grafowanemi. Warszawa 1860 r., w 12, str. 117. Serya 2ga, War-  
 szawa 1861 r. str. 113. Nakład księgarni Polskiej A. Dzwonkowskie-  
 go i Spółki.* Autorka znana z prac swych w literaturze naszej,  
 brała pojedyncze zdarzenia (jak pisze na wstępie), z życia ludo-  
 wego, i opisywała je jako wzory do naśladowania. W Seryi dru-  
 giej, sama robi zapytanie: „Czy lud będzie kiedy czytał te po-  
 wieści? i odpowiada, pragnęłabym tego, bo co z ludu wyrosło,  
 do ludu przejść powinno: tylko że to są czyny i uczucia wybra-  
 nych z pomiędzy niego, a więc ogół nie łatwo je pojmie, jak my  
 nie łatwo pojmujemy naszych wybrańców”.

Każdy tom obejmuje kilkanaście krótkich powiastek; czy  
 są brane z życia naszego ludu wszystkie, musimy powątpiewać:  
 bo *Marta córka kowala*, treścią swoją przypomina starą z czasów  
 Floryana opowieść; inne trącą szczególną przesadą, jak *Flis*,  
*Szuba*, *Kolonista*, *Dzieci Boże*, *Balamut wioskowy*, i. w. i. Opisany  
 wypadek p. n. *Mamka i jej dziecię*, grzeszy zakończeniem i sen-  
 sem moralnym, który nie jest moralnym; a przesada najwyższa  
 cechuje obrazek *Chłop filozof*. Przyznajemy wraz z autorką, że  
 tak nienaturalnych wypadków i charakterystyki niby ludowej,  
 lud łatwo nie pojmie, a wykształcony czytelnik prawdy im nie  
 przyzna. Jest tu kilka w treści swéj pięknych powiastek, jak *To  
 cudze*, *Góral ożeniony*, *Kapitan Syndyk* i. w. i.; ale oddane w stylu  
 zbyt uczonym, przy braku prostoty w układzie i opowiadaniu,  
 tracą cały wdzięk swój właściwy. Nauka moralna, nie zawsze  
 odpowiada ich treści. Piękne pole miała autorka do odmalowania  
*Kapitana Syndyka*, syna chłopka, co corocznie z gronem towa-

rzyszów broni odwiedzał rodziców swych w chacie; albo ów poetyczny obrazek ożenionego na naszych równinach górala: a jedno i drugie z jakąż przesadą, z jakim brakiem życia opowiedziane? Szanowna autorka, poświęciwszy swe pióro poważnym badaniom filozoficznym, nie potrafiła go nagiąć do powiastek z życia ludu, gdzie prostota w stylu i opowiadaniu, przy serdecznem uczuciu i prawdzie, główną zaletę stanowią i wywołują silne wrażenie. Takie też tylko utwory mogą przejść z czasem do ludu, i od niego zrozumiane i pojęte zostaną: bo w nich znajdzie odbicie jakby w zwierciadle, swych myśli i uczuć. (w.).





## ROZMAITOŚCI.

### *Zakłady naukowe w W. Ks. Poznańskim, Prusach Zachodnich i Wschodnich i Szlązku.*

**W.** Ks. Poznańskie, składające się z większej części dawniej Wielkopolski, liczy 536 mil kwadr. i około jeden i pół miliona mieszkańców, z których więcej niż milion jest Polaków. Spisy ludności rządowe podają wprawdzie liczbę Polaków na 700,000, a Niemców na 600,000; do tych ostatnich są zaliczeni i ci Polacy, którzy mówią po niemiecku. Prusy Zachodnie i Wschodnie liczą przeszło 800,000 a Szlązk 700,000 ludności polskiej, tak że najmniej dwa i pół miliona, a może przy dokładniejszem obliczeniu i trzy miliony Polaków w państwie pruskiémby się znalazło.

Potrzebom duchowym ludności zaradzają zakłady naukowe, które dotąd więcej obrachowane były i są na zniemczenie, a przynajmniej zabiegami germanizacyjnymi wiele zabijają czasu, aniżeli rzeczywiście szerzyły oświatę. Kiedy każda prowincya w Prusach ma uniwersytet, Księztwo Poznańskie pozbawione jest tego dobrodziejstwa. Co się tyczy niższych zakładów naukowych, Księztwo Poznańskie liczy około 1,000 szkółek elementarnych katolickich, a około 800 ewangelickich, kościołów zaś katolickich liczy Ks. Poznańskie przeszło 650, protestanckich 123; z tego łatwo ocenić, że niemiecko-protestancki żywioł nie jest u nas tak strasznym.

Z wyższych zakładów naukowych liczy Ks. Poznańskie trzy tylko gimnazya polsko-katolickie, to jest: w *Poznaniu*, *Trzemesznie*

i *Ostrowie*. Po większej części przy tych zakładach są nauczycielami Polacy, a wykład nauk w niższych klassach prawie zupełnie, w wyższych zaś częściowo jest polski. *Poznańskie* gimnazjum, pod nazwą św. Maryi Magdaleny znane, istnieje już od czasów jezuickich. Uczęszcza tu znaczna nader liczba polskiej młodzieży, a właściwie są to dwa gimnazya, bo prawie wszystkie klasy są podwójne. Dyrektorem jest p. Brettner, który acz niemieckiego pochodzenia umie dobrze po polsku, a dla narodowości polskiej jest dosyć wyrozumiałym. Właściwie jednak teraz pełni obowiązki dyrektorskie p. Rymarkiewicz, znany z swych prac w piśmiennictwie polskiem.

*Trzemesznieńskie* gimnazjum jest zapewne najstarszą szkołą w całej Polsce. Tu bowiem Mieczysław I wkrótce po zaprowadzeniu chrześcijaństwa w Polsce, założył klasztor Augustyanów, a wiadomo, że dawniej przy każdym klasztorze istniała także szkoła, więc i w Trzemesznie zapewne w pierwszych zaraz początkach zakonnicy szkoły urządzili. W końcu zeszłego wieku czcigodny opat Kosmowski, jeden z szczupłej liczby mężów, którzy w upadku Rzeczypospolitej gorliwie się starali o zaprowadzenie w narodzie oświaty, urządził z dawniejszej szkoły klasztornej nowy zakład naukowy, na którego utrzymanie przeznaczył za zezwoleniem zakonników znaczne dochody klasztorne. Gdyby nie zapisy tego zacnego męża, byłyby dobra klasztorne do rąk rządu przeszły, a trzemesznieńska szkoła byłaby upadła. Później powstało z téj szkoły *progimnazjum*, a następnie r. 1840 gimnazjum o 6-ciu klassach. Dotąd 12 młodzieży stanu szlacheckiego, 6-ciu stanu niższego, a 30 poświęcających się stanowi duchownemu, z funduszu Kosmowskiego odbiera wolną naukę, stół, mieszkanie i książki. Wiele zasług położył w wyszukaniu zapisów dyrektor Meissner, który dotąd żyje. Pod jednym z późniejszych dyrektorów p. Milewskim, gimnazjum trzemesznieńskie zakwitnęło, tak że liczyło 700 uczniów. Obecnie jest dyrektorem p. Szóstakowski, professorowie zwykle tu byli i są Polacy. Do szkoły trzemesznieńskiej uczęszczał pewien czas Stefan Garczyński, a sławny szewc Kiliński z Trzemeszna jest rodem.

Gimnazjum w Ostrowie dla południowych powiatów W. Ks. Poznańskiego, zostało otwartém r. 1845. Dyrektorem jest p. Enger; professorowie są po większej części Polacy. Zwykle dawniej trzy te zakłady liczyły czasem i do 2,000 młodzieży, jednakże, liczbę 1,500 a często i mniejszą przyjąć można w przecięciu

Duch młodzieży z małemi wyjątkami jest narodowy. Trochę może mało poświęca młodzież wielko-polska czasu na naukę dziejów, języka i piśmiennictwa polskiego, co mianowicie dawniej się działo; lecz znajduje się też wielu, którzy się gorliwie kształcą w tych przedmiotach.

Prócz tego uczęszczają Polacy do gimnazjum w *Lesznie*, które jest protestanckie. Istnieje ta szkoła już przeszło lat trzysta, a założoną była przez Braci Czeskich. Dawniejszemi laty było więcej polskiej młodzieży, która celowała znajomością piśmiennictwa, języka i dziejów narodowych, o co gorliwie się starał zacny Jan Popliński, professor języka polskiego.

W *Lesznie* wychodził „Przyjaciel ludu,” pismo, które się nie mało przyczyniło do rozbudzenia ducha narodowego w W. Ks. Poznańskim, oraz „Szkołka Niedzielną,” pierwsze pismo polskie dla ludu. Po dziś dzień liczy Leszno do 100 młodzieży polskiej.

W *Poznaniu* istnieje szkoła realna, przy której 4 niższe klasy są polskie, a dwie wyższe są mieszane. Jest w niej do 100 młodzieży polskiej.

Istnieją jeszcze zakłady naukowe już to gimnazya, już to szkoły realne, ale po większej części niemieckie: w *Szremie*, *Krotoszynie*, *Rawiczu*, *Bydgoszczy* i w *Inowrocławiu*, do których także uczęszczają Polacy. W ogóle Niemcy, acz mniejsi liczbą, posiadają daleko więcej zakładów naukowych.

Seminarjum duchowne dla księży w *Poznaniu* i *Gnieźnie*, przy którym do stu kleryków po większej części Polaków się kształci. W *Poznaniu* uczą się klerycy 3 lata, a w *Gnieźnie* półtora roku. Wykład nauk odbywa się w polskim i łacińskim języku, tylko filozofią wykłada Niemiec filozof po niemiecku.

Seminarya katolickie dla nauczycieli istnieją w *Poznaniu* i *Paradyżu*, a obecnie budują trzecie w *Kcyni*. Każde seminarjum dzieli się na trzy oddziały. Język polski jest dość w zakładzie uwzględniony; dzieje atoli polskie i piśmiennictwo, są niemal zupełnie wykluczone, dlatego też nauczyciele elementarni co do tych przedmiotów nader ograniczone posiadają wiadomości, tak, że o historii polskiej często wyobrażenia nie mają. Pod tym względem poznańskie seminarjum jest szczęśliwsze, bo w *Poznaniu* więcej żywioł polski jest upowszechniony. Nauczycielem muzyki i języka polskiego przy seminarjum w *Poznaniu* jest p. *Kłowski*, skrzętny zbieracz melodyj ludowych. Wydał on piosnki dla dzieci i śpiewnik dla kościołów. *Paradyż* jest to wieś w po-



wiecie międzyrzeckim nad granicą Brandenburgii położona. Nauczycielem języka polskiego jest p. Kiszewski, który niestety podczas polskich godzin mówi po niemiecku. Każdy z tych zakładów naukowych liczy do stu młodzieży. Przy téj sposobności należy nadmienić, że mimo wielu nieprzyjaznych okoliczności, stan nauczycielski w W. Ks. Poznańskim na daleko wyższym znajduje się stopniu, aniżeli w Królestwie Galicyi. Wychodziły tu już trzy pisma czasowe pedagogiczne, a i obecnie kilku nauczycieli gorliwie się stara powołać do życia nowe pismo czasowe szkolne, co też nie należy wątpić, że ten piękny zamysł przyjdzie do skutku. Należy tu dodać, że w szkołach elementarnych wolno uczyć dziejów polskich, rząd bowiem pruski oświadczył, że nigdy tego nie zakazywał. Niektórzy nauczyciele téż uczą po szkołach dziejów polskich, za co téż mają wiele do znoszenia od biurokracyi pruskiej. Oprócz tego istnieją jeszcze w Poznańskim szkoły prywatne, jakoto zakład naukowy *Schwarzbacha* w *Ostrowie* pod Wieluniem, do którego i Polacy uczęszczają, a przy którym pewien czas pracował zacnej pamięci Ewaryst Estkowski, mąż wielkich zasług i poświęcenia. W *Rogoźnie* powstało prywatne gimnazjum luterskie, do którego także uczęszczają Polacy; gdy jednakże nie uwzględniano należycie nauki religii i języka polskiego, wtedy ks. Gawarecki proboszcz, w *Rogoźnie* założył prywatny zakład, który przyspasabia uczniów do trzeciej gimnazyalnej klasy.

Szkoły wyższej przemysłowej brak wielki w Poznaniu, chociaż znaczna liczba młodzieży polskiej oddaje się handlowi i przemysłowi.

Dla braku uniwersytetu, zmuszoną jest młodzież po ukonczeniu nauk gimnazjalnych udawać się za granicę. Większa część kształci się na wszechnicach w *Wrocławiu*, *Berlinie* i *Gryfi* (*Greisswalde* na Pomorzu). Katolicy teologowie udają się do *Monasteru*. Brak także akademii rolniczej: młodzież poświęcająca się zawodowi gospodarskiemu, za granicą się kształci. Najwięcej udają się do *Proskowa* na Górnym Szlązku, do *Eldenig* przy *Gryfi* i *Hohenheimu*. Młodzież polska w Proskowie utrzymuje większą część pism czasowych polskich, zakupuje i rozdaje dziełka ludowe między lud polski górno-szlązki, a z dobrowolnych składek utrzymuje ubogiego młodzieńca w Proszkowie.

Na przyszłość zdaje się, że młodzież poświęcająca się zawodowi rolniczemu, nie będzie potrzebowała jeździć po wykształ-

cenie za granicę; albowiem August hr. Cieszkowski, zakłada akademię rolniczą w Poznaniu, przeznaczając dla niej dochód wsi swojej *Wierzenicy* pod Poznaniem przez lat dwadzieścia. Cześć zacnemu mężowi i wdzięczność rodaków za czyn tak szlachetny!

Mówiąc o zakładach naukowych wielkopolskich, nie podobna pominąć milczeniem *Prus Zachodnich* i *Wschodnich* i *Szlęzka*, bo i tam mieszkają Polacy, o których oświatę Wielkopolska się starać powinna, acz mało się dotąd starała.

Prusy dzielą się na Zachodnie i Wschodnie. W Prusach Zachodnich mieszkają Polacy i katolicy. W *Chelmie* wychodzi „*Nadwiślanin*” dzielnie sprawę narodową popierający, oraz „*Przyjaciel ludu*,” pismo dla wieśniaków. Istnieją tam gimnazya katolickie: w *Chelmie*, *Chojnicach*, *Wejherowie* i *Wałczu*. W *Chelmie* młodzież polska czuje i myśli po polsku, mniej po innych gimnazyjach. W *Wałczu* jest ich niewiele; w *Chojnicach* zacny ks. Bielecki nauczyciel religii, stara się ile może o uwzględnienie języka polskiego w nauce religii i co do nabożeństwa. *Wejherowo* leży w *Kaszubach*, gimnazjum jest tam niedawno założone. *Kaszubi* są to Polacy rozciągający się aż na *Pomorzu*. Do stu polskiej młodzieży uczęszcza do gimnazjum *wejherowskiego*, jest tam p. *Maroński*. W *Gdańsku* zapewne także znajduje się polska młodzież, bo naokół mieszkają Polacy. Prócz tego istnieje prywatny zakład naukowy wyższy w *Kurzętniku*, przez ks. *Hundta* założony, w którym i język polski jest uwzględniony.

Seminaryum duchowne dla księży znajduje się w *Pełplinie*, siedzibie biskupa *chełmińskiego*. W *Grudziążu* jest seminaryum nauczycielskie dla Polaków. Języka polskiego uczy p. *Szabrański*. Dodać należy, że rząd wszelkimi siłami stara się ludność polską w Prusach za pomocą szkół elementarnych zniweczyć.

Prusy Wschodnie leżą nad morzem Bałtyckim przy *Królewcu*. Mieszka tam kilkaset tysięcy Polaków (*Mazurów*) i *Litwinów*. Dochował się tam jeszcze mały ludek *Kuronów*, który coraz więcej niknie. W Prusach Wschodnich leży biskupstwo *warmińskie*, na którego stolicy tyłu sławnych siedziało Polaków. Narodowość polska jest tam bardzo uśpioną. Lud polski jest wyznania ewangelickiego, a zatem łatwiej go niemczyć. Pod względem narodowości jest to kraj nieszczęśliwy, dlatego też mało posiadamy wiadomości o Polakach tam zamieszkałych.

W *Imborku* istnieje księgarnia *Gąsiorowskiego* czyli *Gonchorowskiego*, jak się sam pisze, która wydała dużo dzieł pol-

skich. Kalendarza polskiego rozchodzi się podobno 5,000 egzemplarzy. Wydawał też ten Gąsiorowski „Ewangelika polskiego,” który się odznaczał zapamiętałą nienawiścią narodowości polskiej, lecz nie długo upadł dla braku przedpłacicieli; widać więc, że lud mazurski nie podzielał zapatrywań tego renegata. Ewangielicy polscy w Szlązku, którzy po większej części są dobrymi narodowcami, zbrzydzili sobie to pismo. W Elku (Łyck) istnieje także księgarnia polska. Dawniej wychodził tu „Przyjaciel ludu łecki,” wydawany przez pastora Gizewiusza. Pismo to szerzyło zamiłowanie polszczyzny. Nie ma teraz gorliwego rodaka, coby czuwał i budził w tym poniżonym ludzie mazowieckie poczucie polskości. Prusy Wschodnie pozostaną na zawsze dziwnym zjawiskiem. Od wieków bujnie się tam krzewiła niemczyzna, bo Krzyżacy, a następnie Prusacy (to jest Niemcy, którzy tę nazwę po wytopionym przez Krzyżaków szczepie przyjęli), niczego nie szczędzili, aby narodowość polską wykorzenić. Gdzieindziej religia broni narodowości, tu i religia jest narzędziem niemczenia; a jednak lud ten dotąd mówi po polsku i tak podobno nie prędko się go wyrzeczy.

W Elku (Łyck) istnieje gimnazjum, do którego uczęszcza młodzież mazurska, także zapewne w *Braunsbergu*, gdzie się znajduje liceum Hosianum, założone przez kardynała Hozyusza, a i w *Królewcu* młodzież polska się znajduje.

W niewiele lepszym stanie znajduje się narodowość polska na Szlązku. W Wrocławiu w seminarjum duchowném, jest 50 polskich Szlązaków zniemczających. Do gimnazjum św. Macieja w Wrocławiu uczęszczają także Polacy, ale z Poznańskiego; tak samo i w *Głogowie* kilkunastu Polaków się kształci. Młodzież polska górno-szlązka uczęszcza do gimnazjum w *Opolu*, *Raciborzu* i *Gliwicach*. W Gliwicach zmarły ks. biskup Bogeduin, wyznaczył roczne stypendyum za napisanie najlepszej pracy w języku polskim. W Opolu istnieje seminarjum dla nauczycieli, gdzie zapewne i polskiego języka uczą; w *Kluczborku* zaś jest seminarjum dla ewangelików, gdzie też znajdują się Polacy, bo w Zachodnim Szlązku w kilku powiatach mieszkają Polacy wyznania ewangelickiego.

W roku 1848 wychodziły cztery pisma czasowe polskie na Szlązku, a zacny Lompa pismami swemi wielkie położył zaślugi co do utrzymania tamże języka polskiego. Nie należy także pominąć milczeniem zabiegów p. Kosickiego (właściciela ziem-



skiego), który przez 20 lat starał się, aby *Dziennik urzędowy górno-szlązki* w Opolu po polsku był wydawany, co też w końcu dopiął. Byłaby na Szlązku narodowość polska więcj się wzmogła, gdyby Wielkopolanie więcj się byli o tę krainę troszczyli.

W końcu należy dodać, że młodzież polska z pod zaboru pruskiego, wydawała w Wrocławiu roku 1850 pierwsze pismo polskie „Znicz.” Wydawcą tego pisma był Kazimierz Szulc. Artykuły tego pisma były głównie treści naukowej, a liczne mieściło korespondencje z kraju. Dwa tylko wyszły „Znicza” zeszyty, główną zaś dążnością tego pisma było wzbudzić między młodzieżą polską zamiłowanie do pracy.

J. J.

## WIADOMOŚCI Z NAUK.

### O MIJOCENICZNYCH GIPSACH I MARGLACH

W POŁUDNIOWO-ZACHODNICH STRONACH

KRÓLESTWA POLSKIEGO.

NAPISAL

*Ludwik Zejszner.*

(Dokończenie).

**Owczary i Pęczelice.** W zagłębieniu dolinowatém, pomiędzy dwoma grzbietami, na których stoi Busko, na drugim zaś Bronina, Żerniki, Pęczelice, rozciąga się obszerna równina, z której wyskakują pojedyncze pagórki. Pierwsze pagórki od strony Buska składają się z opoki, drugie z wapienia heterosteginowego z licznymi skamieniałościami, a mianowicie z charakterystyczną *Terebratula bisinuata*, Lam. W tej obszernej kotlinowatej dolinie rozpościera się gips długo-kryształiczny, wśród równiny wyskakują pojedyncze pagórki, również gipsowe ze skalistemi ścianami. Te kryształy są dwojakowatemi, zwyczajnie są 2—3, rzadko 6 cali długie; odmiany zaś wachlarzykowato rozchodzące się dochodzą do 8 stóp długości, 2—3 cale są szerokie; barwę mają jasno-brunatną, rzadko są bezbarwy. Gips dzieli się w niektórych miejscach w wyraźne warstwy, mające 2 do 3 stóp, w innych pomimo wielkości kryształów zaledwie dochodzą do 3—5 cali; warstwy nachylają się na zachód pod 20°.

Żaden młodszy osad nie okrywa tych grzbietów gipsowych, cienka warstewka urodzajnej ziemi powstaje z nawianego piasku, miejscami bardzo obszerne okrywającego przestrzenie; wyjątkowo niektóre pagóry są nagą skalą gipsową.

Przy Owczarach źródła siarkowo-słonawe, zdają się występować ze szarych margli, ziemia bowiem jest wyraźnie ilowatą; źródło to słabo odpływające, ma w spodzie czarny osad. Robione tutaj poszukiwania na sól około roku 1825, doszły do głębokości 60 stóp reńskich.

Wymieniając następstwo warstw tłumaczyć będą ich wiek odmiennie od Puscha, wychodzę bowiem z zasady, że gips nie znajduje się w kredowej formacji, lecz w mijocenicznej, należącej do wapienia heterosteginowego. W geologicznym opisie Polski Pusch (Geognostische Beschreibung von Polen. Tom II stron. 354) wymienia następujące pokłady w szybie wykonanym w Owczarach, 60 stóp 10 cali głębokim.

Pokłady zostały przebite, zaczynając od wierzchu w następującym porządku:

1. Ziemia urodzajna 1' 8'' miary reńskiej.
2. Piasek żółtawy 10 cali.
3. Głina żółtawo-biała, w spodzie z licznymi ułamkami krzemienia 10' 2''.
4. Margłowy wapień heterosteginowy biały 1' 3''.
5. Ił niebieskawy z rozrzuconymi ułamkami marglu 1' 8''.
6. Gips blaszkowy 2 cale.
7. Ił niebieskawy 8 cali.
8. Margłowy wapień heterosteginowy bardzo twardy, szary, prążkowany 33' 9''.
9. Margłowy wapień heterosteginowy pomieszany z krzemieniem i małą ilością gipsu 1' 10''.
10. Margłowy wapień bez gipsu: w tej głębi dobyły się obficie słone wody, zawierające w sobie według Puscha jeden odsetek soli kuchennej, 5' 10''.

Potężny grzbiet gipsowy poczynający się w Bogucicach, wiosce prawie na milę na wschód od Pińczowa odległej, ciągnie się od zachodu na wschód, aż do Zagości, przeszło milę daleko. Na południowym stoku leżą wioski Widawa, Wola Zagościa, Zagość, Skorocice, Skotniki, na północnym zaś Marzęcin, Małe i Wielkie Kątki, Wieniary, Bieniałki.

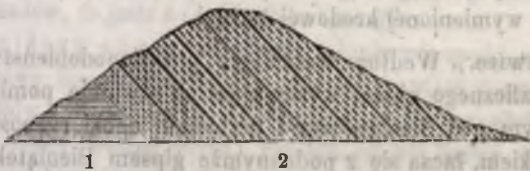
Bogucice. W dolinie Nidy leży gips pod nieco wyniesionym grzbietem, składającym się z długo-krystalicznej odmiany, na



wielu miejscach tworzy ściany 25' do 30' wysokie. Długo-kryształiczną pokrywa drobno-ziarnista odmiana gipsu, czyli alabaster, warstwą 3 do 4 stóp grubą, a tę pokrywa cienka warstwa ziemi urodzajnej od 4 do 15 cali gruba: powszechnie jest to czarna rędzina. Skały gipsowe miejscami są nader popękane, głęboko wyszczerbione i wypełnione czarną próchnicą.

**Wola Zagościa i Zagość.** Na przedłużeniu grzbietu Bogucice, rozciąga się grubym pokładem długo-kryształiczny gips, przy młynie Górnowlskim i Woli Zagościa; stanowi tylko wierzchnią część, w spodzie znajduje się opoka. Nieco dalej na wschód, pod tymże grzbietem rozciąga się obszerna wieś Zagość, tam gipsowe skały tworzą znaczne pagóry z obszerną zatoką.

Fig. 5. WINIARY.



1. Opoka.
2. Gips długo-kryształiczny.

**Winiary.** Na samym grzbiecie, na drodze prowadzącej z Buska do Winiar, pokrywa bezpośrednio opokę (fig. 5) przy zetknięciu tych dwóch skał, nie widać ani w jednym, ani w drugim żadnej zmiany. Opoka nie pokazuje oddziałów warstwom odpowiednich, tymczasem w długokryształicznym gipsie nader są wydatne; warstwy jego 2 do 3 stóp grube, często nierównie grubsze, zapadają na północ, pod 45°. Nad wioską Zagość, sterczą dwie wyższe góry Winnica i Wścieklica składające się z samego długo-kryształicznego gipsu. Na równinie stanowiącej dolinę Nidy, ćwierć mili rozciąglej, znajduje się opoka, cienką warstwą rędziny okryta; taż rędzina okrywa gips grzbietu Woli Zagojskiej, warstwą bardzo cienką, mającą od 5 do 10 cali.

Też same długo-kryształiczne gipsy składają pagórki pomiędzy Skorocicami i Skotnikami Małemi. Przy ostatniej wiosce znajduje się najznakomitsza jama w gipsie jednostajnym, ściany onej okrywają piękne kryształy tegoż minerału. Środkiem Skorocic przedziera się mały potoczek wśród jam różnorodnie potarganych, znajdujących się w pagórkach złożonych z długo-kryształicznego gipsu.

**Bieniutki.** Na przeciwnym stoku grzbietu ciągnącego się od Bogucic, sterczą skały długo-kryształicznego gipsu; przy Bieniutkach dobywają się na wielu miejscach, a nawet widać one na równinie. W spo-

dzie skały, że są dziko powyszczerbiane, wyraźne są to skutki wody, gips rozpuszczającej.

Przy młynie Gornowolskim i na pagórkach Bieniątek, znajdowałem rozrzucone ułamki piaskowca drobno-ziarnistego, bardzo podobnego do Szanieckiego; warstwa ta nad gipsem osadzona o ile poznana została w Szańcu jest bardzo cienką i składa się z warstw twardych i kruchych; zdaje się, że z tąd pochodzą owe ułamki, walające się pojedynczo po roli. Na wierzchu pagórów gipsowych, w obydwóch tych miejscowościach, przy Gornowolskim młynie i przy Bieniątkach znajdowałem również liczne skorupy Ostrygi podobnej do *Ostrea vesicularis*: postać jednakże ta należąca do formacji kredowej, jeżeli oznaczenie nie jest mylném, musiałaby być naniesioną, co nie jest prawdopodobném, gdyż znajduje się w bardzo wielkiej ilości, mianowicie na pagórkach Bieniątek: zdaje się, że to jest mijoceniczny gatunek, bardzo podobny do wymienionej kredowej ostrygi.

**Siesławice.** Według wszelkiego prawdopodobieństwa, skały długo-krystalicznego gipsu, występujące na równinie pomiędzy Chotlem zielonym pod Siesławicami i grzbietem opoki rozpościerającym się nad Buskiem, łączą się z podobnymże gipsem Bieniątek: połączenie zakrywa gruba warstwa piasku. Gipsy te nie mogą się łączyć z gipsem Nadoli, ponieważ przedziela one wyniesiony nieco grzbiet opoki. Gips Siesławic tworzy dwa ramiona: jedno wysuwa się niskimi pagórkami ku Zielonemu Chotlowi, drugie ku Buskowi: w pierwszej wiosce w Chotlu, odgranicza gips drobno-ziarnisty magnezyowy wapień, od Buska opoka. Gips ten złożony z długich kryształów, dzieli się w grube warstwy.

**Busko.** Z jakich skał dobywa się źródło słonawo-siarczane Buska trudno oznaczyć, ponieważ wody te tryszczą na równinie; od strony Buska, najbliższe są skały opoki, z drugiej strony, ku Zbludowicom zaś jest znaczniejszy pagór składający się ze zwiru. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, źródło Buskie wydobywa się z zasolonych margli, zawierających nieco rozstrzeloną siarkę, łączących się z przyległym gipsem i margłem Owczar, gdzie również tryszcze słone źródło.

**Latanice i Chołudza.** Pomiedzy temi dwiema wioskami rozciągają się znaczniejsze pagórki, z licznymi ścianami, składające się z długo-krystalicznego gipsu. Wierzech grzbietów tego gipsu nie pokrywa urodzajna ziemia, ani nawet piasek; jest to naga skała, na której widać zuędzniałą roślinność: korzonki zapuszczają się w marglu zlepiających kryształy gipsu. Gipsy Latanic i Chołudzy najbliższe Owczar zdają się pomiędzy sobą łączyć.



**Kobylniki i Sielec.** Równina nad Nidą pomiędzy Kobylnikami a Wiślicą, składa się z opoki, na niej pod wymienionemi wioskami leżą cienkie pokłady długo-krystalicznego gipsu, nie różniące się od powyżej opisanych; grube warstwy piasku zasłaniają ich rozciągłość.

Pod Kobylnikami, tuż po nad Nidą znajduje się przecięcie dobrze odsłonięte; skały leżą w następującym porządku od spodu.

1. Opoka biała, łupkowa.
2. Opoka żółtawa, łupiąca się w kostki.
3. Gips długo-krystaliczny.
4. Rędzina czarna 2' grubo.

**Wiślica, górki Kardynała.** Naprzeciw Jurkowa, na prawym brzegu Nidy, pod Wiślicą i Goryśławicami, wznoszą się trzy pagórki, zwane Kardynała. Pagóry te nagle wyskakują z równiny Nidy, podobne są do stożków bazaltowych, tymczasem składają się z niewątpliwie wodnych osadów, to jest: z opoki, gipsu i marglu.

Najniższy pagór składa się z łupkowej opoki, czyli wierzchniego ogniwa formacyi kredowej, zawiera bowiem niewyraźne odciski Bakulitów (*B. anceps?*); liczne małe węzły wypełnione prozokowym limonitem (wodan żelaza), pomarańczowej barwy, zapewne są szczątki mięczaków, których ślad nawet zginął.

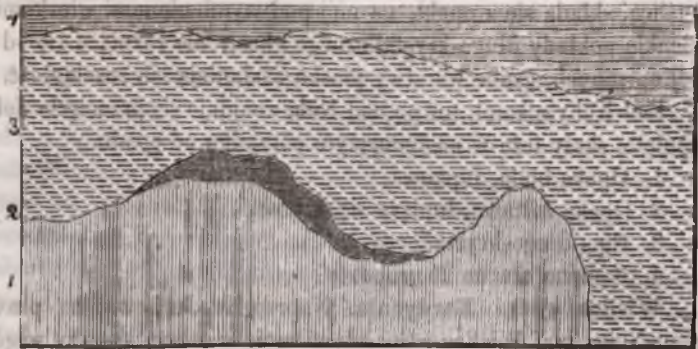
Średni pagór składa się z dwojakich skał: z drobnoziarnistego gipsu, około 5 stóp grubej warstwy i oliwkowo szarego, stwardniałego marglu, na którego oddziałach wydziela się czarny manganit, cienką warstewką.

Trzeci pagór ma odmienną skałę od dwóch poprzednich, jestto długo-krystaliczny gips, jasno-brunatnej barwy; jego kryształy spaja mała ilość jasno-brunatnego marglu. Niedawno założono tu łomy gipsowe, dla sprowadzania tego minerału Nidą i Wisłą do Warszawy.

**Goryśławice.** Około 500 kroków na północ, od pagórów Kardynała, rozciąga się półkolisty grzbiet, na którym opiera się wieś Goryśławice przytykająca do Wiślicy: nawet na równinie znajduje się tenże gips, droga prowadzi po jego długich kryształach nie okrytych ziemią urodzajną, albo w części nawianym piaskiem. Rozciągnęta skalista ściana długo-krystalicznego gipsu, wznosi się nad tą wioską i na skrócie stanowiącym bok doliny Nidy. Kryształy te zwyczajnie dwojakowate rozchodzą się wachlarzykowato: niektóre dochodzą do olbrzymiej wielkości, bywają 6 do 10 stóp długie. Widać to na wielu miejscach, mianowicie w stronie ku pagórom Kardynała. Przy owym skrócie opokę łupkową w części pokrywa wielko-krystaliczny gips. Powierzchnia ogniwa kredowej formacyi, była już podczas osadzania się gipsu nie równą, miała rozliczne wyniesienia i zagłębienia: objaśniają to najle-



Fig. 6. GORYSŁAWICE.



1. Opoka.
2. Margiel szary.
3. Gips długo-kryształiczny.
4. Gips łupkowy.

pięć załączone przecięcia: w pierwszej części widać pagór opoki dzielącej się w łupki, okryty bezpośrednio długo-kryształicznym gipsem, w części zaś ku Wislicy zwróconej opokę, dzieli od gipsu warstewka ciemno-szarego marglu 6 cali gruba. W drugiej części przecięcia znajduje się zagłębienie wypełnione długo-kryształiczną odmianą bez przedzielającego marglu, na gipsie zaś osadziła się warstwa na jedną stopę gruba, drobno-ziarnistego alabastru, jasno-szarego, rozpadającego się w proch. Na rozciągniętych ścianach długo-kryształicznego gipsu dokładnie widać, że ta skała dzieli się w wyraźne warstwy: zwyczajnie są 10 do 18' grube, a pomiędzy nimi są cieńsze, mające zaledwie stopę jedną. Wierzchem okrywa długo-kryształiczny gips odmiana łupkowa, jasno-brunatnej barwy, dzieląca się w cienkie łupki. Miejscami jednakże ginie łupkowatość, grubsze warstwy składające się ze skryto-kryształicznej odmiany, które zastępują one. Tak łupki jako i warstwy znajdują się poziomo ułożone.

**Chotel Czerwony.** Na drodze z Gorysławic do Chotla, rozpościera się nieco obszerniejsza równina: przez oranie dobywa się łupkowa, nieco krzemieniasta opoka, bliżej zaś pagórków gipsowych, należących do Czerwonego Chotla, wyrują oliwkowo szary, łupkowy margiel, zupełnie podobny do znajdującego się w pagórkach Kardynała pod Wislicą. Pagórki gipsowe Chotla Czerwonego, tworzą półkole jak zwyczajnie, miejscami ze stromymi ścianami: już zdala łatwo je poznać po świeżących długich kryształach, które mniej więcej obficie spaja jasno-brunatny margiel. Na wierzchu miejscami widać na długo-kryształicznym gipsie, cienki pokład białego alabastru rozpadający się pospolicie w biały proszek.

Daliej na wschód, bliżej ujścia Nidy do Wisły giną gipsy, a przeważa spodnie ogniwo czyli margle szare: a że ten pokład podobny jest do ziemi ilowej, nie zawiera szczątków organicznych, trudno go poznać, gdyż nie różni się od zwyczajnej ziemi ilowej; bytność jego wskazują słone wody w Szczerbakowie, Gadawie i Solcu. Za Wislicą ziemia urodzajna, nader jest rozmaita; są to albo urodzajne rędziny, czarne jak węgiel, albo lotne piaski: pierwsze pochodzą zapewne z rozkładu gipsu: z kąd piaski zostały naniesione w dolinę Nidy, nie jest dotąd rzeczą wyjaśnioną.

**Szczerbaków.** Małe pół mili na wschód od Wislicy, leży Szczerbaków, z obfitą źródłem surowicy czyli solanki; źródło to było przyczyną bardzo kosztownych poszukiwań na sól, pomiędzy latami 1818 i 1827. Roboty te odbywały się naprzód szybem, a następnie świdrowaniem do głębokości 1440' stóp reńskich.

1. Ziemia urodzajna 5' 3'' miary reńskiej.

I. Formarcya mijoceniczna 186' 7'' gruba, składa się z następujących ogniw.

2. Margiel szary z ułamkami gipsu ze słoną wodą mającą 22 odsetki soli kuchennej 128'.

3. Wapień marglowy biały (heterosteginowy), z jednostajnym gipsem i kawałkami lignitu 30' 9''.

4. Zielonawo-szary margiel, zabarwiony ziemistym chlorytem, pomieszany z jednostajnym i blaszkowym gipsem, odmiana druga miodowo-żółta 28'.

5. Gips jednostajny i blaszkowy 20'.

6. Il łupkowy ciemno-szary, z cienką warstewką ubarwioną, zielono-ziemistym chlorytem 33'.

II. Formarcya kredowa 748' 4''.

7. Zwyczajna opoka z charakterystycznymi skamieniałościami *Ananchites ovata* i *Galerites albo galerus*. Wśród opoki pojawiły się warstewki szarawego iltu, pirytu, gipsu włóknistego i blaszkowego; ostatni minerał powtarza się w różnych odstępach 657' 1.

8. Margle popielate z łuszczkami miki i z liśćmi. Z tych poszukiwań wynika, że trzy formacje zostały przebite: mijoceniczna, kredowa i jurassowa. Wiek pokładów, jak to uczynił Pusch, inaczej tłumaczę, opierając się na tém, co się wyżej powiedziało o wieku gipsu i z nim ściśle połączonych margli; drobne wątpliwości zachodzą co do mineralogicznego oznaczenia tych pokładów. W opoce i w wapieniu jura, wymienia Pusch w różnych głębokościach warstwy gipsu: na bardzo wielu miejscach rozpoznawałem w Polsce dwie te formacje, pozna-



czalem ściślej ich ogniwa, a nigdzie nie znajdowałem w nich śladu gipsu. Toż samo potwierdzają poszukiwania formacji Jura w jak najściślej rozprawanych krajach, jako to: w Frankonii, Wirtembergu, Szwajcaryi, w Normandyi i t. d. Czy pod Szczerbakowem jest wyjątkowy przypadek, nie mogę rozstrzygnąć.

Zdaje się, że pokład ten 91' gruby, także do kredowej formacji powinien być zaliczonym, bo zawiera szczątki *Inoceramów* (*Catillus*).

### III. Formacja Jura 50Ź.

9. Wapień żółty nieco margłowy do krakowskiego, według Puscha podobny; sądzę jednakże, że ten pokład należy do ogniwa wapienia z *Exogyra virgula*: pod Kijanami znajdują się bowiem jednostajne wapienie z oolitowemi najściślej połączone. Warstwy te zawierają obficie krzemień 39' 8".

10. Szary iłowy margiel z lignitem i Terebratulami 9' 8".

11. Szary wapień, w spodzie aoletowy, zupełnie podobny do występującego przy Korytnicy i Małogoszczu, z licznemi skamieniałościami formacji Jura, jako to *Terebratula bisuffarcinata* (*T. vulgaris*, *bicanaticulata*). *Rhynchonella lacunosa*, *Ostrea crista galli*.

W Szczerbakowie zebrałem na kupach opuszczonego szybu ulamki wapienia oolitowego, nie jest to dolomit, a powtórnie odmienny jest od krakowskiego wapienia, który jest dawniejszą warstwą, należącą do niższego pokładu, t. j. wapienia gębkowego, (Spongiten Kalk) warstwy zwanéj iłami.

Wapień oolitowy należy do wierzchniego ogniwa formacji Jura, zawiera bowiem w sobie *Exogyra virgula* przy Korytnicy, skamieniałość w niewątpliwy sposób oznaczającą i dowodzącą, że pokład ten leży nad wapieniami gębkowym krakowskim i koralowym, rozwiniętym przy luwaldzie pod Wadowicami, czyli należy do pokładu nazwanego od angielskich geologów Kimmeridge clay.

W największej głębokości 1440, do której się dowiercono dobywała się słona woda na jedną minutę 0.36 do 0.4 stopy kwadratowej; woda ta mocno wodorodem siarkowym śmierdziała. Z razu dobywały się wody, zanieczyszczone mocno czarnym szlamem.

W jednym funcie takiej wody znalazł Pusch 17.6 cali sześciennych wodorodu siarkowego; szlam zaś składał się z czarnego węgla kamiennego, z siarki, ładu i śladów niedokwasu żelaza, tudzież żywicy ziemnej. Po kilku dniach wyczyściła się woda, odór osłabł widocznie, a woda miała 4,5 odsetków rozpuszczonych części solnych (1).

(1) Pusch Geognostische Beschreibung von Polen. T. II. str. 281, 344.



Z rozbioru Puscha okazuje się, że zawiera następujące sole: sól kuchenna 3.95, siarkan sody 0.29, chlorek wapna 0.25, tudzież ślady gipsu, chlorku, magnu, i wodorodn siarkowego. Ścisłejszy rozbiór i obserwacye lekarskie, może kiedyś uczynią to źródło pożyteczném i Szczerbaków pójdzie w zawód o lepszość z Buskiem i Solcem. Teraz woda ta służy za napój dla bydła, kilku przyległym wioskom.

**Górki, Bilcza.** Ćwierć mili za Szczerbakowem, wyskakuje szereg pagórków, przy których leżą wioski Górki i Bilcza. Pagórki te składają się z dwóch odmian gipsu: wierzchem jest grubo-lupkowa odmiana skryto-krystaliczna, na krawędziach nieco przeświecająca, szarawo-brunatnej barwy, łupki nachylają się pod 40° na zachód. Pod lupkową odmianą leży gips długo-krystaliczny: kryształy są brunatne, mniej więcej spojone brunatnym marglem.

**Bodrzychowice.** Ćwierć mili za Górkami, występuje szary margiel, pod mniej więcej grubą warstwą piasku nawianego.

**Strózyska.** Rozciągły pagór, na którego wierzchu wznosi się kościółek gotycki, starannie z ciosu wystawiony, składa się ze szarego marglu, należącego zapewne do podgipsowego ogniwa. Margiel pokrywa szczerkowaty piasek, należący do najnowszych osadów.

**Gadawa.** Pod pagórkami stanowiącym prawy bok doliny Nidy rozciągają się pola Gadawy. Słone źródło dobywa się tutaj ze szarych margli, rozpościerających się tutaj obszernie. W pobliżu tego źródła, poszukiwano na sól; otwór doprowadzono do 144' głębokości i dwa pokłady według mojego tłumaczenia przebito:

1. Szary łupkowy ilowy margiel z warstwami niebieskawo szarymi z rozsiałym pirytem, kawałkami gipsu i lignitu 78'.

2. Wapienny margiel szary, niżej białawy: zapewne wapień heterosteginowy, pomieszany w różnych odstępach z gipsem: w spodzie w głębokości 140' margiel jest bardzo spojny, zawiera krzemień, i być może, że już należy do formacyi kredowej.

**Solec.** Mila prawie dalej na wschód, na rozciągłej równinie rozpościera się wioska Solec, mająca źródła słone i zakład kąpielowy, rozwijający się coraz znakomiciej. W pobliżu źródła wykonano poszukiwania na sól, za pomocą szybu a następnie przez wiercenie, w 425 stopach reńskich przebito następujące formacye. I tutaj tłumaczenie wieku wapienia przez Puscha jest wątpliwém; jeżeli pokłady w zwykłym porządku następują, pod ziemią urodzajną występują margle i gips, pod tym leży wapień oolitowy i margle, które do formacyi Jura mogą należeć. Pusch wymienia skamieniałości, lecz zdaje się, że skorupa Inoceramu nie dobrze oznaczona, albo też wapień ten należy do formacyi kredy, co nie jest prawdopodobném.

Pokłady następujące przebito:

1. Ziemia urodzajna 3' 6".

Formacja mijoceniczna.

2. Niebieskawe i szarawe iłowe margle, z trzaskami lignitu 122' 2".

3. Gips jednostajny, szary, w spodzie blaszkowy, żółty i biały, w najgłębszych częściach pomieszany z margłem 81'.

Formacja jura.

4. Wapień szarawo-biały, spojny z krzemieniem podzielony w warstwy, zapadające na północ pod 8°; wapień ten staje się jaśniejszym i oolitowym i zawiera drobne ziarnka ziemistego chlorytu, niżej zaś staje się podobnym do kamienia litograficznego. Wszystkie te własności odpowiadają wapieniowi oolitowemu 26'.

5. Margiel wapienny szary z drobnymi muszlami, zostaje niżej, zielonawo-szarym przez domieszanie ziemistego chlorytu, a w spodzie szarawo-białym i zawiera nieprzeliczone drobne muszle. W średniej warstwie wymienia Pusch skorupy Inoceramów z tkaniną włóknistą 21'.

6. Margłowy wapień albrawo-żółty, w spodzie szary i zielonawy 14' 3".

Różnica pomiędzy następstwem pokładów poznanych w Szczerbakowie i Solcu polega na tem, że pod mijoceniczną formacją w Szczerbakowie rozwinęła się znakomicie opoka, (formacja kredowa), w Solcu onęj nie masz: i średnia formacja trzeciorzędowa spoczywa bezpośrednio na wapieniu Jura. Na północ od Solca rozciągają się nieco wyższe pagóry, należące do Zborowa i Magierowa, składające się z wapienia heterosteginowego, stanowiącego wierzchnie ogniwo nad margłem i gipsem, gdyż po przebicciu margli szarych z gipsem, powinnyby pod niemi się znajdować: w tym otworze: tymczasem tutaj leży pod niemi jednostajny wapień formacji Jura.

Staszów. Prawie cztery mile od Wiślicy na wschód, zjawia się tu odrazu przy Staszowie, w pośrodku wapieni heterosteginowych, mała wyspa gipsu długo-krystalicznego. Skala ta jest zupełnie, w najdrobniejszych szczegółach podobna do poprzednio opisanych; z tego przeto wynika, że to jest jednoczesny osad na całej wymienionej przestrzeni osadzony. Zdaje się, że heterosteginowe wapienie od Pinczowa, aż po za Staszów, na wschód obszernie rozwinięte, kryją w spodzie młodszą warstwę gipsu. Gips Staszowski zajmuje pół ćwierci mili kwadratowej. Mały potok płynący koło tego pięknego miasteczka, dzieli gips od wapienia: na północ rozwija pierwszy osad, na południe drugi. Gips jak wspomniałem, należy do długo-krystalicznej odmiany; kryształy dwojakowate mocno świecące się, brunatnawe, spaja jasno-bru-



natny margiel, a czarna rędzina pokrywa warstwą kilka cali grubą, rzadko dochodzi do jednej stopy.

Na drugiej stronie potoku, czyli na stronie południowej przeważają skały wapienne. Blisko rzeki jest łom, w którym następujące warstwy na sobie spoczywają, poezynając od wierzchu:

1. Piaskowiec drobno-ziarnisty, białawy.

2. Wapień kulkowaty, biały.

3. Wapień jednostajny przechodzi nieco w drobno-ziarnisty z bardzo licznymi skorupami dwu-skórupnych, a mianowicie pektenów.

Szereg tych skał zdaje się pod gipsem spoczywać. Czy wapień biały kulkowaty, składające pagórki obwodzące Staszów nie można oznaczyć? Zdaje się, że to jest pokład odpowiadający wierzchniemu wapieniowi heterosteginowemu.

W Korytnicy, wiosce przeszło milę na zachód za Pińczowem położonej, znajdują się także pokłady formacji mijocenicznój; miejscowość ta oddawna znajoma dla swych licznych, a doskonale zachowanych skamieniałości: pomimo tego nie można oznaczyć jak się tu margle zachowują do wymienionych ogniw towarzyszących gipsowi: skamieniałości te odpowiadają prawie w najdrobniejszych szczegółach podobnymże osadom pod Wiedniem i pod Nagy Lapugy w Siedmiogrodzie, jako i w Piemontcie. Jasno-szare margle Korytnickie spoczywają, mniej więcej grubym pokładem na oolitawym wapieniu jurasowej formacji, należącym do jej wierzchnich ogniw, a nazywanych od angielskich geologów Kinmeridge clay. Pokład ten głównie charakteryzuje *Exogyra virgula*, prócz wielu innych skamieniałości, mniej dokładnie zachowanych. Margle zawierające owe nieprzeliczone skamieniałości dochodzą do 100 stóp grubości; na nich spoczywają żółtawe wapień, proszkowe, z licznymi skorupy wielkiej ostrzygi *Ostrea longirostris*; ostatnie okrywają nawiane piaski, rozpościerające się przy Korytnicy na znaczniejszej przestrzeni. Czy Korytnickie margle odpowiadają zasolonym marglom, a tém samém spoczywają na wapieniu heterosteginowym spodnim, czy też leżą na wierzchnim wapieniu heterosteginowym nie można oznaczyć.

1. *Conus Dujardini*, Deshayes w Lamarck: Anim. sans vertebres. 2 Ed. T. IX, str. 158. Hörnes. Die fossilen Mollusken des tertiären Becken von Wien. T. I, str. 40. Tab. V, fig. 3—8.

2. *C. ponderosus*, Brocchi, Conch. fossile subapennina. T. II, str. 239, Tab. III, fig. 1.

3. *C. fuscoingulatus*, Bronn Index paleontologicus, str. 330. Hörnes Foss. Moll. Wien T. I, str. 21, Tab. I, fig. 4—5.



4. *C. ventricosus*. Bronn Italien's Tertiärgelände, str. 13, Nr. 17. Hörnes, Foss. Moll. Wien. T. I, str. 32, Tab. III, fig. 5—8.
5. *C. Noae*, Brocchi, Conchiologia foss. subap. T. II, str. 239, Tab. III, fig. 3.
6. *Ancillaria glandiformis*, Lamark. Annales du Museum. T. XVI, str. 305. An. coniformis, Pusch, Polen's Paleontologie, str. 116, Tab. IX, fig. 1.
7. *Cypraea amygdalum*, Brocchi. Conch. foss. subap. T. II, str. 285, Tab. II, fig. 4.
8. *C. sanguinolenta*, Gmelin Linnaei Syst. nat. 12 Wyd., str. 3406, N. 38. Hörnes, Foss. Moll. Wien. T. I, str. 70, Tab. VIII, fig. 9—12.
9. *C. pyrum* Gmelin, Linnaei Syst. Nat., str. 3411, N. 59. Hörnes Foss. Moll. Wien. T. I, str. 66, Tab. VIII, fig. 3, 4, 5.
10. *Ringicula costata*, Eichwald Lethea rossica. T. III, str. 259, Tab. X, fig. 44.
11. *R. buccinea*, Deshayes, Hörnes, Foss. Moll. Wien. T. I, str. 89, Tab. IX, fig. 3—4, *Auricula ringens*, Pusch, Pol. Paleont., str. 117.
12. *Voluta taurinia*, Bonelli, Hörnes, Foss. Moll. Wien. T. I, str. 95, Tab. XIV, fig. 14—16. *Voluta magorum*, Pusch, str. 117, Tab. 11, fig. 2.
13. *V. rarispira* Lamark Ann. du Museum d'hist. nat. T. XVII, str. 79, N. 10. Hörnes Foss. Moll. Wien. T. I, str. 91, Tab. IX, fig. 6—10.
14. *Mitra goniophora*, Bellardi, Monogra. delle Mitre fossile del Piemonte, str. 12, N. 11, Tab. 1, fig. 20.
15. *M. scerobiculata*, Brocchi, Conch. foss. subapen. T. II, str. 317, N. 17. Hörnes, Foss. Moll. Wien. T. I, str. 100, Tab. X, fig. 14—18.
16. *Columbella curta*, Bellardi, Syn. méth. des anim. inverteb. foss. du Piemont, str. 42. Hörnes, Foss. Moll. Wien. T. I, str. 118, Tab. IX, fig. 2—6.
17. *C. subulata*, Bellardi Monogra. delle Columbelle foss. di Piem., str. 14, N. 9, Tab. I, fig. 12.
18. *Terebra acuminata*, Borson Saggio orittol. di Piemonte w Mém. de l'Acad. de Turin. T. XXV, str. 224, Tab. 1, fig. 17.
19. *Purpura echinulata*, Eichwald, Lethea rossica, str. 172. *Ricinula echinulata*, Pusch, Polen's Paleont., str. 140, Tab. XI, fig. 27.
20. *P. exilis*, Partsch, Hauer Vorkommen der foss. Thiere im Tertiär Becken von Wien w Leonh. Jahrb. 1837, str. 417, Nr. 12. Hörnes Foss. Moll. Wien. T. I, str. 169, Tab. XIII, fig. 20—23.
21. *Buccinum Rosthorni*, Partsch, Hörnes, Foss. Moll. Wien. T. I, str. 140, Tab. XII, fig. 4, 5. *B. obliquatum*, Pusch, str. 123.
22. *B. semistriatum*, Brocchi, Conch. foss. subap. T. II, str. 651, Tab. XV, fig. 15.
23. *B. incrassatum*, Müller. Zoologiae Danicae Prodromus. N. 2946. Hörnes, Foss. Moll. Wien T. I, str. 148, Tab. XII, fig. 16. *Nassa asperula*, Pusch, str. 123.
24. *B. costulatum*, Brocchi, Conch. foss. subap. T. II, str. 343, 652, Tab. VI, fig. 9.
25. *B. coloratum*, Eichwald. Lethea ross. T. III, str. 164, Tab. VII, fig. 1. *B. reticulatum*, Pusch, str. 124, 187.
26. *B. miocenicum*, Michelotti (*Nassa miocenica*) Descr. des foss. mioc. de l'Italie septent., str. 205, Tab. XVII, fig. 1. Hörnes Foss. Moll. Wien, T. I, str. 153, Tab. XIII, fig. 20—22.

27. *B. Dujardini*, Deshayes w Lamark, Hist. nat. d. anim. sans verteb. 2 Ed. T. X, str. 211. Hörnes Foss. Moll. Wien. T. I, str. 154, 668. Tab. XIII, fig. 1, 2, 4. *Nassa laevigata*, Pusch, str. 122. Tab. II, fig. 8. *N mutabilis*, str. 122, 187.
28. *B. polygonum*, Brocchi, Conch. foss. subap. T. II, str. 344. Tab. V, fig. 10.
29. *B lyratum*, Hist. nat. anim. s. verteb. 1 Wyd. T. VII, str. 272. N. 230. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 152. Tab. XII, fig. 19. *Nassa Desnoyersi*, Pusch. Pol. Paleont., str. 124.
30. *Oniscia cithara*, Sowerby. The genera of recent and fossil shels. N. 24, fig. 5. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 171. Tab. XIV, fig. 2. Pusch. Pol. Paleont., str. 126. Tab. XI, fig. 19. Var. polonica.
31. *Cassis saburon*, Lamark, Hist. nat. anim. s. verteb. T. VII, str. 227. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 177. Tab. XV, fig. 2—7. C. texta, Pusch, str. 124.
32. *C. crumena*, Deshayes, Lamark. Anim. s. verteb. 2 Wyd. Tab. X, fig. 25. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 180. Tab. XVI, fig. 1—3.
33. *Strombus Bonelli*, Brongniart. Mém. sur le terr. calcar. trapeen. du Vicentin, str. 74. Tab. VI, fig. 6. *St. tuberculiferus*, Pusch, Pol. Paleont., str. 127, Tab. XI, fig. 12.
34. *Chenopus pes pelicani*, Phillipi. Enum. mollus. Siciliae T. I, str. 225. Hörnes Foss. Moll. Wien. T. I, str. 194. Tab. XVIII, str. 2—4.
35. *Triton nodiferum*, Lamark. Hist. nat. anim. s. verteb. T. VII, str. 179. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 201. Tab. XIX, fig. 1, 2.
36. *T. affine*, Deshayes. Expedition scientif. en Morée T. III, str. 188. Tab. III, fig. 23, 24. *Tritonium leucostoma*, Pusch, Pol. Paleont., str. 139. Tab. XI, fig. 25.
37. *T. heptagonum*, Brocchi. Conch. foss. subap. T. II, str. 404. Tab. IX, fig. 2.
38. *Ranella marginata*, Brongniart. Mém. sur le terrain calc. trapéen du Vicentin, str. 65. Tab. VI, fig. 5. *R. laevigata*, Pusch, Pol. Paleont., str. 139.
39. *R papilosa*, Pusch. Polen's Paleont., str. 139. Tab. XII, fig. 7.
40. *R. anceps*, Lamark. Hist. nat. anim. s. verteb. 1 Wyd. T. VII, str. 154. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 213. Tab. XXI, fig. 6.
41. *Murex Sedgwickii*, Michellotti. Monogr. del genere di Murex, str. 15. Tab. IV, fig. 12.
42. *M. spinicosta*, Bronn. Italien's Tertiärgelände N. 142. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 259. Tab. XXVI, fig. 14—16. Pusch. Pol. Paleont. Tab. XI, fig. 20.
43. *M. erinaceus*, Linneusz. Syst. nat. 12 Wyd., str. 1216. N. 526. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 250. Tab. XXV, fig. 14—16.
44. *M. plicatus*, Brocchi. Conch. foss. subap. T. II, str. 410. *Cancellaria angulata* Pusch, str. 120.
45. *M. sublavatus*, Basterot. Mém. geol. sur l. envir. de Bordeaux, str. 59. Tab. III, fig. 23. *Fusus lavatus* Pusch. Pol. Paleont., str. 141.
46. *Pyrula cingulata*, Bronn. Pyr. reticulata, Lamark, Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 268, 676. Tab. XXVIII, fig. 1—3. *P. reticulata*, Pusch. *P. clathrata* Pusch. Pol. Paleont., str. 141. N. 2—3.

47. *P. condita*, Brongniart Mém. sur le ter. calc. trap. du Vicentin, str. 76. Tab. VI, fig. 4.
48. *P. geometra*, Borsari. Saggio di orittol. di Piemonte w Mém. Acad. di Torino. T. XXIX, str. 311. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 271. Tab. XXVIII, fig. 7, 8.
49. *P. rusticula*, Basterot. Mém. géol. d. env. d. Bordeaux, str. 68. Tab. VII, fig. 9. *Melongena rusticula*, Pusch. Pol. Paleont., str. 147, Tab. XII, fig. 10.
50. *Fusus Puschi*, Andrzejowski. Notice sur quelques fossiles de la Volhynie w Bulletin soc. nat. de Moscou. T. II, str. 95. Tab. IV, fig. 2. *Fasciolaria polonica*, Pusch. Pol. Paleont., str. 145. Tab. XII, fig. 3.
51. *F. Valenciennesi*, Grateloup. Atlas Conch. foss. du bassin de l'Adour. Tab. XXIII, fig. 4.
52. *F. longirostris*. Brocchi. Conch. foss. subap. T. II, str. 48. Tab. VIII, fig. 7.
53. *F. semirugosus*. Bellardi. e Michelotti Sag. di orittol. di Piedemonte w Mém. Acad. di Torino. T. III, str. 105. Tab. I, fig. 13.
54. *F. intermedius*. Michelotti. Descr. des foss. mioc. de l'Italie septent., str. 274. Tab. IX, fig. 16.
55. *T. virgineus*. Grateloup. Tableaux des coquilles foss. de l'Adour w Acta Linn. T. VI, str. 38. N. 394. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 286. Tab. XXXI, fig. 10—12. *Fusus uniplicatus* Pusch, str. 146.
56. *Cancellaria uniangulata*, Deshayes Encyclop. méth. Hist. natur. de Vers. T. II, str. 181. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 306. Tab. 35, fig. 2.
57. *C. inermis*, Pusch. Pol. Paleont., str. 129. Tab. XI, fig. 22.
58. *C. lyrata*, Brocchi. Conch. foss. subap. T. II, str. 311. Tab. III, fig. 6.
59. *C. Michelini*, Bellardi. Descr. des Cancellaires foss. du terrain tertiaire du Piem., str. 37. Tab. IV, fig. 7, 8. *C. acutangula* Pusch, str. 128. Tab. XI, fig. 17. *Var. polonica*.
60. *C. cancellata*, Linneusz Syst. nat. 12 Wyd., str. 1191. N. 39. Hörnes. Fos. Moll. Wien. T. I, str. 316. Tab. 34, fig. 20, 21.
61. *C. Gestini*, Basterot. Mém. géol. sur l. env. de Bordeaux, str. 46. Tab. II, fig. 5.
62. *C. varicosa*. Brocchi. Conch. foss. subap. T. I, str. 311. Tab. III, fig. 8. *C. lyrata*, Pusch. str. 130.
63. *C. contorta*, Basterot. Mém. géol. sur les env. d. Bordeaux, str. 47. Tab. II, fig. 3. *C. buccinula*, Pusch, str. 129. Tab. XI, fig. 18.
64. *Plautotoma asperulata*, Lamarck. Hist. nat. anim. s. verteb. T. VII, str. 97. N. 3. *P. tuberculosa*, Basterot. Mém. géol. env. Bord., str. 63. Tab. III, fig. 3. Pusch. Paleont., str. 142. Tab. XII, fig. 6.
65. *Pl. cataphracta*, Brocchi, Conch. foss. subap. T. II, str. 427. Tab. VIII, fig. 16.
66. *Pl. ramosa*, Basterot. Mem. géol. env. d. Bordeaux, str. 67. Tab. III, fig. 15.
67. *Pl. interrupta*, Brocchi, Conch. foss. subap. T. II, str. 433. Tab. IX, fig. 21.



- 68 *Pl. granulato-cincta*, Münster, Goldfuss. Petref. Germaniae. T. III, str. 20. Tab. 171, fig. 3. *Pl. cataphracta*, Varietas, Pusch. Pol. Paleont., str. 142, Tab. XII, fig. 15 (non Brocchi).
69. *Pl. semimarginata*, Lamark. Hist. nat. anim. s. verteb. T. VII, str. 9. N. 2. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 347, Tab. 37, fig. 7—8.
70. *Pl. turricula*, Brocchi. Conch. foss. subap. T. II, str. 453. Tab. IX, fig. 20. *Pl. contigua*, Pusch. Paleont., str. 144.
71. *Pl. monilis*, Brocchi. Conch. foss. subap. T. II, str. 432. Tab. VIII, fig. 15.
72. *Pl. strombilus*, Dujardin. Mém. sur la couche en Touraine w Mém. soc. géol. de France. T. II, str. 290. Tab. XX, fig. 15. *Pl. costellata* Pusch Paleont., str. 144. N. 6.
73. *Pl. Sotteri*, Michelotti. Foss. mioc. de l'Italie sept., str. 302. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 338. Tab. 38, fig. 16.
- 74 *Pl. Jouanetti*, Des Moulins, Revis. de quelques esp. du genre *Pleurotoma* w Acta Liuneana. T. XII, str. 141, N. 18. Hörnes foss. Moll. Wien. T. I, str. 346. Tab. 38, fig. 1—6.
75. *Pl. Reevei*, Bellardi. Monogr. di *Pleurotome* foss. del Piemonte. str. 55. Tab. III, fig. 20.
76. *Pl. harpula* Brocchi. Conch. foss. subap. T. II, str. 421. Tab. VIII, fig. 12.
77. *Pl. pustulata*, Brocchi. Conch. foss. subap. T. II, str. 430. Tab. IX, fig. 5.
78. *Cerithium vulgatum* Brugieure Encycl. méth. Hist. nat. des Vers. T. I, str. 148. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 386. Tab. 41, fig. 1—4. *C. Zejszneri*, Var. *adulta* Pusch, str. 148. Tab. XII, fig. 14.
79. *C. Zejszneri*, Pusch. Pol. Paleont. str. 148. Tab. XII, fig. 13.
80. *C. minutum* Marcelle de Serres. Essai pour servir a l'hist. nat. du midi de la France, str. 60. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 390. Tab. I, fig. 8, 9.
81. *C. lignitarum* Eichwald. Naturh. Skizze von Lithauen, str. 224. *Lethea rossica*. T. I, str. 146. Tab. VI, fig. 20. *C. plicatum* Pusch, str. 147 (non Brugieure).
82. *C. Duboisi*, Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 399. Tab. 42, fig. 4, 5.
83. *C. crenatum*, Varietas. Brocchi. Conch. foss. subap. T. II, str. 442. Tab. X, fig. 2.
84. *C. Mediteraneum*, Deshayes, Lamark. Anim. s. verteb. 2 Ed. T. IX, str. 313. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 393. Tab. 42, fig. 13, 14.
85. *C. rubiginosum*, Eichwald. *Lethea rossica*. T. I, str. 151. Tab. VII, str. 9. *C. calculusum* Fusch, str. 145.
86. *Turritella turris*, Basterot. Mém. geol. env. Bordaoux, str. 29. T. I, fig. 11. *T. subangulata* Fusch, str. 104, non Brocchi. *T. fasciata*, Pusch, str. 104.
87. *T. Archinedis*, Brongniart. Mém. terrain calcareo trapeen du Vicentin, str. 35, Tab. II, fig. 8.
88. *T. bicarinata*, Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 424. Tab. 43, fig. 13, 14.
89. *T. vermicularis*, Brocchi. Conch. foss. subap. T. II, str. 372. Tab. VI, fig. 13.
90. *Turbo rugosus*, Linneusz. Systema nat. 12 Wyd., str. 1234. N. 14. Hörnes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 462. Tab. 44, fig. 2, 3.

91. *Solarium simplex*, Bronn, Italiens Tertiärgelbilde, str. 63. N. 331. Hönes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 463. Tab. 46, fig. 3. *S. carrocollatum*, Pusch, str. 111, Tab. X, fig. 11.
92. *Solarium carrocollatum*, Lamark. Hist. nat. anim. s. verteb. 2 Wyd. T. VII, str. 6. N. 7. Hönes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 462. Tab. 42, fig. 1, 2.
93. *Natica millepunctata*, Lamark. Hist. nat. anim. s. vert. 2 Wyd. T. VI, 2 część, str. 199. *N. glaucinoides*, Pusch. Pol. Paleont., str. 100. Tab. IX, fig. 14.
94. *N. helicina*, Brocchi. Conch. foss. subap. T. II, str. 297. Tab. I, fig. 10. *N. hemiclausula*, Pusch. Pol. Paleont., str. 101. Tab. IX, fig. 16 (non Sowerby).
95. *N. redempta*, Michelotti. Descr. d. foss. de l'Italie septentrion., str. 157. Tab. XV, fig. 6. *N. cepacea*, Pusch. Pol. Paleont., str. 102. Tab. IX, fig. 13 (non Lamark).
96. *N. Josephinia*, Risso. Hist. nat. des env. de Nice. T. IV, str. 149, fig. 13. *N. sigaretina*, Pol. Paleont., str. 101. Tab. IX, fig. 15 (non De-france).
97. *Eulima subulata*, Bellardi. Monog. delle Columbelle foss. di Piemonte, str. 14. N. 9. Tab. I, fig. 12. *Melania subulata*, Pusch. Pol. Paleont., str. 96, 185.
98. *E. Eichwaldi*, Hönes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 546. Tab. 49, fig. 19.
99. *Dentalium Badense*, Fartsch, Hönes. Foss. Moll. Wien. T. I, str. 652. Tab. 50, fig. 30. *D. grande* Pusch, Pol. Paleont., str. 190 (non Deshayes).
100. *D. Boyéi*, Deshayes. Monog. du genre Dentale w Mém. soc. d'hist. natur. T. II, str. 355. Tab. 50, fig. 31.
101. *Venus multilamella*. Lamark. Hist. nat. anim. s. verteb. V. 581. *V. rugosa* Brocchi; Marc. de Serres, Geogn. terr. tert. Tab. VI, fig. 7. Pusch. Polen's Paleont., str. 73.
102. *V. Brocchi*. Bronn Lethea, str. 406. Tab. 38, fig. 1 a—d; *Venus Islandica*. Brocchi; *Cyprina islandicoides* Pusch, Pol. Paleont., str. 74. Tab. VIII, fig. 5.
103. *V. crassatellaeformis* Pusch, Pol. Paleont., str. 74. Tab. 8, fig. 2.
104. *V. Brongniarti*. Payr. Catal. d. mollusq. de Corse, str. 51. Tab. I, fig. 23—25. *V. dysera*, Linneusz, Pusch. Pol. Paleont., str. 74.
105. *V. nitida*, Sowerby Min. Conch. Tab. 521, fig. 2. Pusch. Paleont., str. 74.
106. *Cytherea plana*, Al. Brongniart. Ossem. foss. T. II, str. 612. Tab. VIII, fig. 7, c—d, 8. Pusch. Paleont., str. 74.
107. *Panopea Faujasii* Menard de la Groie. Annales du Museum. T. IX, str. 135. Tab. XII. Pusch. Paleont., str. 184. Korytnice, Lipa, Mędrów, Rachów.
108. *Arca diluvii*, Lamark. Annal. du Museum. T. VI, str. 219. Dubois. Conch. foss. Wolh. Podolien. T. VII, fig. 10—12.
109. *Pectunculus nummiformis*, Lamark. Dubois. Conch. Wolh. Podol. Tab. VII, fig. 6.
110. *P. polyodonta*, Bronn. Italien. terl. Gebild., str. 107. Goldf. Petref. Germ. str. 161. Tab. 126, fig. 6, 7. Odmiana mająca na polu cienkie linijki, a nie rowki.

111. *Pecten Malvinae*, DuBois. Conchiol. Wolfyn. Podol. Tab. VIII, fig. 23.  
 112. *P. nodosiformis* Marc. de Serres, Pusch. Paleont., str. 42 Tab. V, fig. 9. Widuchowa i Skotniki przy Busku, Kików przy Stopnicy, Korytnice.  
 113. *Ostrea flabellula*, Lamark, Ann. d. Museum. T. VIII, str. 164, T. XIV, Tab. XX, fig. 3. Goldf. Petref. Germ. II, str. 14. Tab. 76, fig. 6.  
 114. *O. crassissima* Lamark. Chemnitz. Conch. Tab. 74, fig. 678.  
 115. *O. longirostris*, Lamark. Ann. d. Museum. T. XIV. Tab. XXII, fig. 4.  
 116. *Flabellum Michelini*, Milne Edwards et Haime: *Turbinolia cuneata* Goldfuss, Petref. Germ. T. I. Tab. 37, fig. 17.

Z powyższego opisu ogniwi gipsowi towarzyszących, dają się wyprowadzić następujące wnioski.

1. Szare margle zasolone, długo-krystaliczny gips i lupkowy gips osadziły się na znacznej przestrzeni, wynoszącej około 15 do 18 mil kwadratowych. Każdy ma na wymienionej przestrzeni jednakowy charakter mineralogiczny, w najdrobniejszych nawet szczegółach. Jednakowe stosunki musiały mieć miejsce przy ich osadzaniu.

2. Z roztworu wodnego zawierającego siarkan i węglan wapna, osadziły się gips i margiel; według wszelkiego prawdopodobieństwa, odmiana długo-krystaliczna musiała się tworzyć długo i nader zwolna wydzielając z wody. Nie można wszakże wytłumaczyć sobie pod jakimi warunkami rozpuściła się w wodzie tak znaczna ilość gipsu, wiadomo bowiem, że bardzo mało, zaledwie jedna setna rozpuszcza się w wodzie; tymczasem aby się utworzyła warstwa gipsu 50 stóp gruba, potrzebaby nadzwyczajnie wiele wody i czasu. Szare margle zasolone na znacznej przestrzeni rozpościerające się w dolinie Nidy od Buska do Solca, w dolinie Nidzicy przy Działoszycach i Hołdowcu, tudzież pod Gniazdowicami zdają się odpowiadać wierzchnim warstwom nad pokładem w Wieliczce i Bochni osadzonym; w ostatniej kopalni sterczą też same gipsy. Na północ zaś od dwóch wymienionych kopalń wszelkie jest prawdopodobieństwo, że nie masz pokładów soli kuchennej, gdyż margle okrywają wapienie heterosteginowe (Działoszyce, Hołdowiec, Gniazdowice). Źródła słone w Busku, Gadawie, Solcu, Owczarach nie bardzo są obfite i mało procentowe, bo powstają przez wypłukanie margli zasolonych. Gdyby się znajdowały pokłady soli kuchennej, byłaby większa ilość surowicy, i zawierałaby więcej odsetków soli; tymczasem wody te bardzo słabo odpływają, a ilość domieszanej soli nie zmienia się wcale: zawsze zostaje niezmienną.

3. Na jakiej skale osadziły się sole Wieliczki i Bocheńska nie wiadomo, gdyż w spodnich ogniwach pokładu Wielickiego dobywają się obficie wody i dlatego w tym znakomitym pokładzie soli, nie można się było przekonać, na jakiej się skale osadził. O pokła-



dzie siarki w Swoszowicach, z wierceń wiadomo, że spoczywa na szarych marglach zasolonych. Pokład Wielicki okrywa glina mamutowa, jako i Bocheński; przy ostatniej kopalni występuje gips długo-kryształiczny, nie różniący się od opisanych z doliny Nidy, lub około Szkalbmierza i t. d. Łupkowego gipsu i wapienia heterosteginowego nie masz i śladu w kopalniach podkarpackich, przy Wieliczce i Bochni, i dalej na Bieskidach. Pokład soli Wieliczki styka się bezpośrednio z piaskowcem neokomienowym; przy Bochni stosunki jeszcze mniej są jasne: glina mamutowa grubym pokładem okrywa całkiem stykające się skały.

4. Podczas osadzania się gipsu na opoce czyli wierzchniem ogniwie formacji kredy, tudzież innych ogniw mijoceniczych, dno morza mijocenicznego poruszały podziemne siły: często wznosiło się, a następnie poniżało. Te ruchy trwały ciągle przy osadzaniu się spodnich wapieni heterosteginowych, margli zasolonych i gipsów: w czasie zaś tworzenia się wierzchnich heterosteginowych wapieni, musiał panować już spokój, gdyż pokład ten jest bardzo gruby, rozciąga się na wielkich przestrzeniach, a warstwy jego leżą prawie poziomo; czego nie widać w ogniwach pod nim leżących.

5. Ogniwą gipsu i z niemi połączonych osadów, rzadko gdzie razem wszystkie występują. Szeregu zupełnego tych pokładów nie masz wcale, w wielu miejscach znajduje się znaczniesza część, jak to: przy Działoszycach w dołach Łabędzia, w Sielcu przy Szkalbmierzu, w Szańcu niedaleko Buska. Zwyczajnie w dolinach Nidy występuje sam długo-kryształiczny gips bezpośrednio na opoce; bliżej ujścia tej rzeki pokazują się zasolone margle; pod Pińczowem znów nie masz zupełnie odpowiednich ogniw gipsu i tylko wierzchni wapień heterosteginowy (?) okrywa opokę. Niewątpliwie średnia część doliny Nidy, podczas osadzania się gipsu, musiała być nieco wzniesioną, zniżyły się następnie i w tedy osadził się gips długo-kryształiczny.

6. Wyspa gipsu pod Staszowem występująca, zdaje się, że została odsłoniętą przy wzniesieniu pagórów wapienia heterosteginowego i dla tego jest prawdopodobieństwo, że pokłady gipsu rozciągają się pod tymże wapieniem pomiędzy Szańcem a Staszowem.

To przypuszczenie rozstrzygną kiedyś poszukiwania świdrowe.

7. Szczególne, dotąd niejasne okoliczności musiały mieć miejsce przy osadzaniu się soli kuchennej, siarki i gipsu.

Sól kuchenna osadziła się wraz z anhydrytem, marglami i iłami, bardzo grubemi pokładami u stóp Bieskidów i Bieszczadów: począwszy od wsi Sól pod Żywcem, ciągnie się z przerwami aż do Bukowiny; pomiędzy Sydziną, Wieliczką i Bochnią jest jedno połączenie;

po znacznej przerwie od Dobromila do Bukowiny, rozpościerają się właściwie marglowe skały, z których tryszczą nieprzeliczone źródła solanki. Taż sama formacja soli występuje jeszcze znakomiciej na południowym stoku Karpat, w Siedmiogrodzie i w Marmaroszu. Siarka osadziła się tylko sporadycznie: wszelkie jest prawdopodobieństwo, że czas onęj osadzania nastąpił, gdy się już potworzyły pokłady soli: czas tworzenia się siarki pada w czasie osadzenia się długo-kryształicznego gipsu.

W Swoszowicach po przewierceniu pokładu siarki, pokazały się iły zasolone; w gipsach wielko-kryształicznych w Pietrkowicach, znajduje się rozrzucona siarka bez żadnego ładunku: liczne wody nasycone wodorodem siarkowym w całym Szkalbmierskiem tryszczą z tego gipsu, co świadczy, że się siarka znajduje tutaj na wielu miejscach.

Zkąd się wzięła ta nadzwyczajnie wielka ilość soli kuchennej, trudno sobie wytłumaczyć, że plutoniczne wyziewy na to wpływały, jak niektórzy geologowie przypuszczali, nic nie dowodzi; w całej okolicy nie widać ani śladu działań ognia, lub ogniowej skały. Że osadzanie się soli w Wieliczce i Bochni odbywało się zwolna i z wody morskiej, przez wiele tysięcy lat, dowodzą liczne skorupki młodych ślimaków, zawarte w soli i w przegradzających słonych marglach.

Siarka zdaje się być osadem źródeł zawierających wodoród siarkowy, a jak źródła zwykły się ograniczać do niezbyt rozległych miejscowości, tak i pokłady siarki ograniczają się na pojedyncze punkta.

Nader wielka przyczyna musiała wpływać na osadzenie gipsu, nastąpiło to z potężnego rozczywna na bardzo wielkiej przestrzeni. Chemia kiedyś wyjaśni, co za ciała wpływały na rozpuszczenie w wodzie siarkanu wapna w tak znacznych ilościach.

8. Po osadzeniu się soli i gipsu, następnie gliny mamutowej, podziemne siły wstrząsały i poszarpały te osady i potworzyły pagórki, na które się patrzymy teraz. Soli Bocheńskiej pokład przewróciły, pokład Wieliczki pogięły, w dolinie zaś Nidzicy gipsy i zasolone margle porzdzierały i wydzwignęły do różnych wysokości nad poziom doliny; ztąd to pochodzi w tej okolicy, potargane występowanie tych skał i pod nią leżącej opoki.

## KORRESPONDENCYE.

### *Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.*

Kuryer wileński w przeglądzie Biblioteki Warszawskiej na miesiąc lipiec i sierpień, zbija twierdzenie moje w rozbiórce Historji literatury polskiej Juliana Bartoszewicza: 1. Że Stanisław Górski pisał historją panowania Zygmunta I. 2. Że Trzeciecki nie swoją biografią Reja, ale przekładem Krescentyana i poezjami łacińskimi zajął stanowisko w literaturze krajowej. 3. Że Krzysztof Niemierzyś, bajkopisarz, nie był ani Szwedem, ani arianinem, ani zdrajcą ojczyzny, ani kozakiem, tylko sobie prostym szlachcicem i stronnikiem domu saskiego. 4. Że Swada Danejkowicza wyszła z druku 1684; narazcie 5. Że Poczubut i Naruszewicz byli owocem reform Konarskiego.

Zobaczymyż, czy się Kuryer wileński, sam nie pomylił. A nasamprzód co do historji panowania Zygmunta Starego, przez Stanisława Górskiego skreślonej, nie podpada najmniejszej wątpliwości, że ją Górski pod tytułem *Historia arcana temporis sui* napisał. Posiadał ją w autografie jeszcze w środku zeszłego wieku Andrzej Żaluski, biskup krakowski. Janocki bowiem w dziele: *Nachricht von polnischen raren Büchern* część III, str. 8 mówi: *Denn diesen Umstand hat der krakowische Stiftsdomherr, Stanislaus Górski in einer geheimen, mit seiner eigenen Hand geschriebenen Histoire seiner Zeit, die vorjetzo in Ihro Durchl. des Fürsten Bischofs von Krakow, Handbibliothek verwahret wird, angemerket.* W dziele zaś *Specimen Catalogi Codicum manuscriptorum Bibliothecae Żaluscianae* na stronie 37 mówi Janocki: *Hicce Gorscius reliquit historiam, singulorum ordine annorum contextam in qua secretiora Sigismundi Regis consilia et varias, quibus Bona Sphortia Regina in tractandis Polonis, semper usa fuit. artes liberius atque audacius prodidit. Hanc, ipsius Gorscii manu descriptam. Optimo principi meo Episcopo cracoviensi, olim donavit Serenissimus princeps Regius Jacobus Sobiescius.* Z téj historji Górskiego przytoczył wyjątek o Erazmie Ciolku Janocki, a z Janockiego Ossoliński w życiu Erazma Ciolka. *Jest tedy dowód, że Górski osobno dzieje Zygmunta I pisał.* Ale o czém ani Janocki, ani Ossoliński nie wiedział, niez mordowany Górski prócz zebrania tak zwanych Aktów Tomickiego, prócz zebrania dzieł Krzyckiego, Dantyszka, Kalimacha, prócz żywota Kmity, prócz historji sekretnej Zygmunta I, napisał jeszcze żywoty kilku biskupów polskich



współczesnych sobie. n. p. Samuela Maciejowskiego, Zebrzydowskiego i innych. O tych nie wątpię, że czasów naszych nie doszły. Dlaczego zaś nie doszły, domyśli się czytelnik z następującego wyjątku z listu Górskiego, pisanego do Hozyusza dnia 12 marca 1562 r., zachowanego w archiwum frauenburgskiem: *Zebrzydovius quam horrenda patravit, puto non ignotum est vel ex fama D. V. quae fortasse aliquando plexius ex-vita ejus a me conscripta cognoscel.* Takim biografiom, obejmującym *horrenda* ich antenatów skręcili wnet kark interesowau i w tém potomkowie Maciejowskich, Zebrzydowskich i innych.

Przejdźmyż teraz do biografii Reja przez Trzecieskiego napisanej. Zdania mego, że gdyby Trzecieski nic więcej nie był napisał tylko tę biografią, nie zajęłby był najnuiejszego stanowiska w literaturze polskiej, nie cofnę. Cóż bowiem ta biografia w sobie takiego zawiera, aby, jak Kurjer wileński mieć chce, wybornie epokę charakteryzowała? Oto opis pustot jedynaka panicza, jego ożenienia, brania spadków, łask królewskich niezasłużenie nań wylanych, nareszcie gołe wyliczenie tego co sam pisał (albo też inni za niego pisali) i wzmiankę że lubił łamać kark za zajęciami, *bo był pan bardzo ciekawy z młodu, że nigdy na jedném, niejsu posiedzieć nie mógł a myślistwo wiele mu. też przeszkadzało.* Tymczasem Rej warchoł zamącał sejmy i sejmiki, najeżdżał sąsiadów, dawał się we znaki duchowieństwu katolickiemu, gorszył kraj burdami i niewstydlivością; z drugiej zaś strony rozbudzał życie narodowe pismami własnemi, lub też pisanemi przez innych za niego. Trzecieski miał więc bogaty materiał do odzwierciadlenia, że się tak wyrażę, życia Reja. Jakżeż użył tego materiału? Oto zamiast wykazać szkodliwy lub zbawienny wpływ Reja na sprawy krajowe, zamiast wyliczyć jego zasługi lub zdrożności w życiu prywatnem, prawi jak nieuk bąki strzelał, proporczyki wronom do szyi przywiązywał i t. p. figle, właściwe dzieciom każdowiekowego gminu płał. Nie taką jest biografia Kmity napisana przez Stanisława Górskiego. Tu oglądasz prawą i lewą stronę medalu, i widzisz tego satrapę w prawdziwej postaci jego, jako człowieka, obywatela, gdy tymczasem owe proporczyki Trzecieskiego tak charakteryzują Reja i wiek w którym żył, jak charakteryzuje wiek XVIII, uczenie się alfabetu przez strzelanie Radziwiłła Panie kochanku. Nie zajął więc, powtarzam, Trzecieski żadnego stanowiska w literaturze polskiej swoją naiwną biografią Reja, ale zajął je swoim przekładem Krescentyna, swojemi poezjami łacińskimi. Przekład jego Krescentyna, jako pierwsza książka w języku polskim o rolnictwie, kilkukroć przedrukowany, wywarł wielki wpływ na podniesienie u nas gospodarstwa wiejskiego w XVI wieku i był dla ojców naszych za czasów Jagiellonów i Wazów tém, czém dzieło Haura za czasów Sobieskiego i Sasów. O poezjach zaś łacińskich Trzecieskiego, Jan Kochanowski, sam wielki poeta, mówi:

*Aurea Tuicesi tua carmina divitiores*

*Auro pensabunt. . . . .*

Utrzymując, że Krzysztof Niemierzyc bajkopisarz nie był ani Szwedem, ani kozakiem, ani zdrajcą ojczyzny, nie pomyliłem się bynajmniej co do osoby. Krzysztof ten Niemierzyc żył za panowania Sobieskiego i August-

ta II. Szwed zaś i kozak Niemierzyc zamordowanym został przez kozaków około 1659 roku, imię mu było Jerzy, nie Krzysztof, i był podkomorzym kijowskim i może jakimś antenatem Krzysztofa bajkopisarza, bo obadwaj pisali się z Czernichowa.

Że Swada Danejkowicza wyszła najprzód w Kaliszu 1684 r. a potem w Lublinie 1745 i 1747 świadczy Bentkowski w tomie I, na str. 664. Wprawdzie Janocki w *Polonia literata nostri temporis*, wydanej 1750 r., mówi o Danejkowiczu jako o żyjącym jeszcze i wydawcy Swady 1745 do 1747 roku. Ale Swada ta jego, będzie zapewne tylko przedrukiem (z dodatkiem kilku ramot później drukiem ogłoszonych, np. Sapięhy, Ustrzyckiego i innych) Swady kaliskiej 1684 roku, której nie znam, a którą przecież Bentkowski musiał mieć w ręku. Że nie mógł mieć na myśli Swady Jana Stefana Pisarskiego, której nie znał, dowodzi ta okoliczność, że Swada ta wyszła w Kaliszu pod tytułem *Mowca polski* w dwóch częściach in-4, i nie w roku 1634, tylko część I roku 1668 druga 1676. Zresztą nie mając pod ręką ani Swady kaliskiej z roku 1684, ani Swady lubelskiej z roku 1745 i 1747, nie mogę powiedzieć, czy się Bentkowski pomylił a ja za nim, opierając się na powadze jego.

Że Poczobut i Naruszewicz byli Jezuitami aż do samej kassaty zakonu, wiem o tem bardzo dobrze i dziwi mię mocno, że Kurjer wileński mógł o tem wątpić. Ale mimo tego utrzymuję, że bez reform zaprowadzonych w szkołach pijarskich przez Konarskiego nie jaśnieliby w literaturze naszej ani Poczobut, ani Naruszewicz. Reformy te szkół pijarskich zmusiły Jezuitów, nie chcących wypuścić z ręki swoich wychowania młodzieży krajowej, do zaprowadzenia podobnych reform w szkołach i nowicyatach swoich, czego owocem byli wszyscy uczeni Jezuici przed samą kassatą zakonu. Zatem Poczobutów, Naruszewiczów, Wyrwiczów, Bobomalców i t. p. zawdzięczamy Konarskiemu, tak jak i jego dziełem pośrednio był sejon wielki, komisya edukacyjna, szkoła krzemieniecka, uniwersytet wileński, Mickiewicze, Lelewelowie, i t. p. Aby godnie uwielbić Konarskiego nie mam dosyć wyrazów! Nie powinno więc Kuryera wileńskiego dziwić, że się w obronie takiego męża, jakim był Konarski, zbyt unoszę.

J. Łukaszewicz.

### Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Nie otrzymawszy dotąd, na dawniejsze wezwanie moje, żadnego zawiadomienia, jakoby się kto zajmował wypracowaniem rozprawy konkursowej obejmującej *Historyę finansów dawniej Polski*, i uznawszy wspólnie z dawcą nagrody konkursowej, że obszerność i trudność zadania, odstręczać może piszących od podjęcia tej pracy, postanowiliśmy ogłosić następującą zmianę tegoż konkursu:

1. Przedmiotem wypracowania być ma nie już ogólna historia finansów dawniej Polski, lecz *rys dochodów i wydatków dawniej Rzeczypospo-*

*litęj polskiej, za panowania Stanisława Augusta, ze szczególnym względem na ulepszenia w skarbowości owczesnej zaprowadzone i na nowe źródła dochodu publicznego podówczas uchwalone.*

2. Nagroda pierwsza rsr. 500 przeznaczona się dla najlepszej rozprawy odpowiadającej na to zadanie; drugą nagrodę rsr. 100 i procent od 600 rsr. od daty złożenia tej sumy, aż do daty rozstrzygnięcia konkursu zbierany, otrzyma autor rozprawy, która po uwiecznionej uznana zostanie za zasługującą na drugą nagrodę.

3. Do napisania tej rozprawy, zostawia się konkurującym dwa lata czasu, począwszy od 1 stycznia 1862, do tegoż dnia 1864 r.

4. Komitet sędzić mający konkurs, składać się będzie pod moją prezydencją z pięciu członków, tojest z dwóch osób zaleconych znajomością dziejów naszych, które wspólnie ze mną powołają do składu komitetu dwóch jeszcze innych członków.

5. Ubiegający się o powyższe nagrody, zechcą przysłać pisma swoje do Warszawy franco pod moim adresem przed 1 stycznia 1864 r. z opieczętowaną kopertą zawierającą nazwisko autora.

Warszawa, dnia 4 listopada 1861 r.

Fr. br. Skarbek.

### *Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.*

„Cesarsko-Królewska Warszawska Medyko-Chirurgiczna Akademia podaje do powszechnej wiadomości, że w dalszém rozwinięciu czynności kliniki chirurgicznej, przy szpitalu Dzieciątka Jezus urządzonej, otwartem już zostało tak zwane *ambulatoryum* chirurgiczne.

Chorzy wszelkiego rodzaju chorobami chirurgicznymi dotknięci, zgłaszać się mogą do ambulatoryum w poniedziałki, środy i piątki od godziny 12 do 1. Otrzymają tam wszelką pomoc chirurgiczną na miejscu, a w razie wypadków ważniejszych, dłuższego leczenia, lub większych operacyj chirurgicznych wymagających, stosownie do ich życzenia, w klinice pozostaną.

Dla tęp ściślejszej kontroli chorych w ambulatoryum leczonych, do pilnowania i wykonania danych im przepisów, każdy z nich otrzyma stosowną kartę ambulatoryjną, z którą na następne porady do kliniki przybywać będzie.

Przy tej sposobności professor kliniki chirurgicznej uprasza panów kolegów lekarzy w Warszawie i na prowincyi zamieszkałych, aby chorych tak zwanych chirurgicznych, w rzadkich, wątpliwych i ważniejszych operacyj chirurgicznych wymagających wypadkach, do kliniki chirurgicznej i ambulatoryum odsyłać raczyli”.



# KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

Mieiąc Październik 1861 roku.

## DZIEŁA.

Encyklopedia powszechna Tom VIII, Zeszyty 68, 69 i 70, Warszawa, 1861, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8-ce większ., str. od 337—448, 449—560, 561—672. (Epigrafia-Farmakologija), okł. druk. Każdy zeszyt kop. 35.

*Połujański Alexander.* Leśnictwo polskie, część trzecia. Szacowanie lasów. Warszawa, 1861, nakł. A. Lewińskiego, druk braci Hindemith, w 8-ce, str. 207, II, okł. druk.

*Rogalski Leon.* Dzieje księstw nad-dunajskich, tojest: Multan i Wołoszczyzny, podług dzieł Cogalniceana, Vaillanta, Ubicinięgo i Palauzowa, ułożone i pomnożone wyjątkami z dziejopisów polskich i tureckich. Tom I. Warszawa, 1861, nakł. i druk S. Orgelbranda, w 8-ce większ., str. nieliczb. 2, liczb. 812, III.

*Directorium Divini officii, et Missarum ad usum, F. F. Minorum de observantia Almae Provinciae S. Mariae Angelorum, Ordinis S. P. Francisci Seraphici pro anno Domini MDCCCLXII post bissextilem 2 dispositum jussu et auctoritate superiorum editum. Varsoviae, 1862.* druk J. Jaworskiego, w 8-ce, str. 69.

*Piramowicz Ant. Konrad.* Mowy pogrzebowe przy zmarłych różnego wieku i stanu, napisane oryginalnie. Wydanie trzecie przejrane i powiększone. Warszawa, 1861, nakł. G. Sennewaldt, druk J. Ungra, w 8-ce, str. 374, IV, okł. druk., rs. 1.

Uwagi nad edukacją publiczną przez dawnego ucznia szkół wojewódzkich i uniwersytetu warszawskiego (*Franciszka Salezego Dmochowskiego*). Warszawa, 1861, druk J. Glücksberga, w 12-ce, str. 18. (Przedruk z Pszczoły).

Wizerunki i życiorysy znakomitości tegoczesnych, zebrane z najnowszych źródeł. N. 6 Lord Palmerston. Warszawa, 1861, nakł. A. Dzwonkowskiego i spół., druk J. Psurskiego, w 8-ce, str. 18.

(*Bayer Julian*). *Astronomia popularna*. Zeszyt 3-ci. Warszawa, 1861, druk Banku Polskiego, w 8-ce, str. od 241—287, nieliczb. 22.

*Rogalski Leon*. *Obraz historii powszechnej od najdawniejszych do najnowszych czasów*. Dzieło z niemieckiego przerobione. Wyd. 2-gie poprawne i do roku 1860 doprowadzone. T. IV, Zesz. II, str. od 177—150. Spisu rzeczy nieliczb. 3. T. V, Zesz. I, str. 207. Warszawa, 1861, nakł. J. J. Okońskiego, druk J. Psurskiego w 8-ce, rs. 4 k. 50.

Porównanie miar i wag polskich, z miarami i wagami rosyjskimi, pruskimi, austriackimi, saskimi, francuzkimi i angielskimi. Warszawa, 1862, nakł. A. Lewińskiego, druk braci Hindemith, w 8-ce, str. 60, okł. druk.

*Auswahl von Mustern deutscher Prosaiker und Dichter*. Wzory z prozy i poezyi niemieckiej do użycia gimnazyów. Warszawa, 1861, nakł. S. H. Merzbacha, druk A. Gins, w 8-ce, str. 328.

*Rzeczniowski Leon*. *Dawna i terażniejsza Łomża*. Warszawa, 1861, nakł. autora, druk braci Hindemith, w 8-ce, str. 128.

Dziennik praw. Tom 57, Zeszyty 173 i 174, str. od 332—445, spisu rzeczy II, Tab. 1.

*Gawarecki Zygmunt i Kohn Albin*. *Rolnik polski*. Tomów dwa, z wielu rycinami. Zeszyt 4. Warszawa, 1861, nakł. A. Dzwonkowskiego i spół., druk J. Jaworskiego, w 8-ce, str. od 247—342, Tab. 3, okł. druk.

## DZIEŁA ZBIOROWE.

Księga świata etc. Poszyt II-gi, 1861, str. od 41—80, zawiera:

Antoni Allegri (Corregio), p. S. O muzyce. Urywki z dziejów Wenecyi, Horacy Vernet i jego przodkowie. Wypadek na łowach, obrazek z XVI wieku, p. A. Sk. (dok). Wycieczka na wieś. Maszyna nowa do szycia, zwana szwaczką stalową. Niektóre ciekawe zwierzęta morskie. O zniesieniu niewoli Murzynów w angielskich osadach Ameryki. Rozmaitości.

## KALENDARZE.

Kalendarz astronomiczno-gospodarski na rok 1862, który jest rokiem zwyczajnym mającym dni 365, z opisem dni galowych w Rosyi, poczt. świąt żydowskich i innych wiadomości ciekawych i gospodarskich. Warszawa, nakł. M. Saltzsteina, druk Ch. Kelter et S. Rothmühl, w 4-ce, str. 52; zawiera prócz części kościelnej i astronomicznej, następujące artykuły:

Przepowiednie praktyczne rolnika co do urodzajów i pogody. Kalendarz gospodarski. Gawęda pod karczma. Dumanie chłopka polskiego (wiersz). Przepisy kuchenne. Jarmarki krajowe i zagraniczne.

Kalendarzyk na rok 1862 (pugilaresowy). Warszawa, nakł. i litogr. A. Dzwonkowskiego i spół.

## PISMA PERYODYCZNE I GAZETY.

Pamiętnik Religijno-moralny. Rok 21, Serya 2, T. VIII, N. 10, M. Wrzesień 1861, str. od 361—480, zawiera:

Historia kościoła polskiego dziś opracowywana i źródła jej ważne w ustawodawstwie synodalnym zawarte, p. *Wacława-Alexandra Maciejowskiego*. Śpiew i muzyka kościelna, p. ks. *Franciszka Sławianowskiego*. Missye w Indyach, p. ks. *Józefa Szpaderskiego*. Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Przegląd literatury duchownej zagranicznej. Korrespondencya z Paryża, p. *Eugeniuszu Miłosza*. Kronika kościelna i rozmaitości. Wiadomości krajowe. Kronika zagraniczna.

Dziennik Politechniczny etc. 1861, Poszyt 4-ty, str. od 71—86, Tab. ryć. od XVIII—XXIII, zawiera:

O studniach artezyjskich, p. *A. Grotowskiego*, (c. d.). O tartakach w ogólności a w szczególe o tartaku parowym, wystawionym w Wilanowie, p. *Jana K. Pietraszka*. O oszczędnym użyciu drzewa pod względem technicznym. (c. d.). Wapno pyłowane, p. *Zienkiewicza*. Kaplica katolicka w Puławach. Roboty miejskie w Warszawie.

Tygodnik Lekarski. M. Październik 1861, NN. 40—44, zawierają:

*Koniuszewski*: Listy lekarskie. *Drużyłowski*: Zastosowanie terapeutyczne elektryczności do terapii, (c. d.). Posiedzenia warszawskiego Towarzystwa lekarskiego. Wiadomości z wy ciągu z obrazu działań rządu Królestwa Polskiego w r. 1859.



*Groer*: Odcięcie ręki lewej. *Brunner*: Czynność podniebienia miękkiego i gardzieli, (c. d.). *Groer*: Próchnienie szczęki górnej. *Baraniecki*: Przyczynek do notatek o historii akuszeryi w Polsce. *Karwański*: Utkwienie szkła w górnej części oczodolu strony lewej. *Sciborowski*: Wiadomości z pism zagranicznych. *Sankiewicz*: Płód 12 $\frac{1}{4}$  funta ważący. *Dymniński*: Zdrój buzuki. *Elborowicz*: O niektórych groźnych powikłaniach podczas wysypki odrowej. *Janikowski*: Notatki policyjno-lekarskie z podróży. Nowiny z medycyny publicznej. *Sciborowski*: Wiadomości z pism zagranicznych. Spostrzeżenia meteorologiczno-lekarskie. Nowe dzieła.

Przyjaciel zdrowia, pod redakcją Dra. *Karola Gregorowicza*. Warszawa, 1861, druk K. Kowalewskiego, w 4-c. Rocznie rs. 4, M. Październik, NN. 1—2, zawierają:

Wstęp. O skórce. Botanika. Apteczka domowa. Rozmaite fałszowania artykułów żywności i sposoby rozpoznawania. Stosunek śmiertelności do ceny zboża. Pożyteczne wynalazki dla strojów damskich. Nabalsamowanie ciała ś. p. Arcy Pasterza metropolity warszawskiego. Zdrowie, narodowość, cywilizacya zastosowane do Polaków wyznania mojżeszowego. O wpływie dzieciennego wieku na rozwój wielu chorób. Apteczka domowa. Rozmaitości.

Ruch Muzyczny. M. październik 1861, NN. 40—44, zawierają:

Podróż bez celu, p. *Orfensza Dudaszka*, (dok.). Skarbiec fortepianistów, (dok.). Reforma teatru. Jak zachęcać do sztuki. Vivier i Napoleon III. Luter Marcin jako muzyki kompozytor, p. *M. Jelskiego*: Wincenty Bańkiewicz, nekrolog, p. *M. Jelskiego*; Kolenda Nowakiewicza. Literatura zagraniczna. Tekst polski do muzyki zagranicznej. Catalani. Korrespondencye. Gazeta muzyczna. Rozmaitości.

Kółko domowe. Pozyt 7, M. październik 1861, zawiera:

Wspomnienia rodzinne, p. *Sabinę z Gostkowskich Grzegorzewską*, (c. d.). Marcelli Baciarelli, p. *Józefę Smigielską*. Lady Georgina Fullerton i jej pisma, p. *A. z Ch. Borkowską*. Wspomnienia historyczne z miesiąca października. Liban i Damaszek w roku 1861, p. *A. z Ch. Borkowską*. O ubiorach. Objaśnienie tablicy rysunków, przytém tablica i rycina mód.

Przyjaciel Dzieci. M. październik 1861, NN. 27—30, zawierają:

Dzieje narodu polskiego, p. *Leona Rogalskiego*, (c. d.). Historia święta, p. *Michała Szymanowskiego*, (c. d.). Myszeida *Ignacego Krasieckiego*, (c. d.). Wspomnienia królowych polskich, p. *L. Huberta*. Górale tatrzańscy. Jabłonna, p. *Jana*

*Warmińskiego*. Wigilia Bożego narodzenia, powieść *Dickensa*, tłum. z angielskiego. Wspomnienie poświęcone Najdostojniejszemu Arcy-pasterzowi ks. Antoniemu Fijałkowskiemu, metropolicie warszawskiemu. Stanisław Jachowicz. O potrzebie ochraniańia pożytecznych zwierząt, p. *Albina Kohna* Lipa mojego dziadunia, powieść, p. *Kazimierza-Włodysława Wójcickiego*. Trzęsienia ziemi. Poezye. Myśli. Zdania Rozmaitości.

Jutrzenka, Tygodnik dla Izraelitów polskich. M. październik 1861, NN. 14—17, zawierają:

Gazeta polska w kwestyi żydowskiej. Dzień, Noc, Poranek, p. *Ben Izaak*, (c. d.). Wyznawcy religii Mojżeszowej w Polsce, p. *J. Z.*, (c. d.). Pamiętnik kowieński, p. *H. Szafira*. Praca korzystna. Wyjątki z dzieł rabinicznych. Jeszcze Berek Josielowicz, p. *H. Borowskiego*. Trenderl, p. *Leopolda Kompert*, tłum. *J. E.*, (c. d.). Ks. Antoni Melchior Fijałkowski metropolita warszawski. Stosunek ludności żydowskiej do chrześcijańskiej w Królestwie Polskiem. Hebrajska Gazeta Krzyżowa. Ambulans w szpitalu Starozakonnym w Warszawie. Nazwy nasze, p. *J. Cywiona*. Do Jutrzenki, wiersz p. *Ad. Rutkowskiego*. Siedm grzechów głównych, p. *J. A. Korngolda*. Bibliografia. Rozmaitości.

Magazyn Mód. M. październik 1861, NN. 40—43, zawierają:

Z pogadanki o wychowaniu, p. *Paulinę z L. Wilkońską*. Nekrolog ś. p. ks. Antoniego Melchiora Fijałkowskiego, Arcybiskupa warszawskiego. Dolina Ojcowa. Numer pierwszy Przyjaciela zdrowia. Fra diavolo. Jeden dzień w Krakowie, p. *S. Grzymałę*. Korrespondencye. Gwiazdka Mody. Nowości zagraniczne. Poezye. Szarady. Opisy ryciu mód. Opisy deseni. Przepisy kuchenne.

Tygodnik Ilustrowany. M. październik 1861, NN. 106—109, zawierają:

Klementyna z Tańskich Hofmanowa, p. *Z. J. A.*, z drzewor. Wycieczka do Gdańska, p. *Deotymę (Jadwigę Juszczyńską)*, z drzewor. Antoni Melchior Fijałkowski Arcybiskup, metropolita warszawski, z drzewor. Zkąd brać na początek nauczycieli elementarnych, p. *J. J. Zwaliska* zamku w Mokrzkach, z drzewor. Kto winien, komedia w 2-ach aktach, p. *Maryę Iluicką*. Kościół po Franciszkański w Piotrkowicach, z drzewor. Rozmaitości. Józef Muczkowski, p. *Kazimierza Włodysława Wójcickiego*, z drzewor. Zwyczaje, zabobony i obrzędy ludu w niektórych miejscach W. Księstwa Poznańskiego. Wynalazki i ulepszenia. Komunikacye, przemysł i handel. Korrespondencye. Kronika tygodniowa. Bajki. Szachy. Rebusy.

Kmiotek. M. październik 1861, NN. 40—43, zawierają:

Opowiadania Góralczyka z historyi polskiej. O ptaszkach leśnych i polnych, jako służą gospodarstwu wiejskiemu wedle opowiadania Grzesia z pod Mogiły. Grzechy śmiertelne. Święty Michał archanioł. O stworzeniach Bożych, jako je ludzie męczą a niepowinni. Obrzędy kościelne. Niech żyje pijaństwo czyli jaki z gorzałki pożytek dla ciała, a jaki dla duszy. Ks. Antoni Melchior Fijałkowski, Arcy-biskup metropolita warszawski. O zacności stanu włościańskiego. Jako w bardzo dawnych czasach lud mieszkał w Polsce. Święty Łukasz ewangelista. Łaskawy chleb.

Czytelnia Niedzielną. M. październik 1861, NN. 40—43, zawierają.

Węgry, (c. d.). Pierwotne sposoby mierzenia czasu i dawne zegary, (c. d.). Franek Czajka i Teresa Bartoszcówna. Antoni Melchior Fijałkowski, Arcy-biskup warszawski. Włochy. Historyczna wiadomość o sztuce introligatorskiej. Wilno. Nauka o zachowaniu zdrowia. Błogosławieństwo duchowne domu. Gawędy warsztatowe. Kamieniec. Poezye. Różności.

Gazeta Warszawska. M. październik 1861, NN. 234—260, zawierają:

Historja o Pra-pra-pra-wnuku i Pra-pra-pra-dziadku, powieść w 2-ch częściach, p. *Teod. Tom. Jeża* (c. d.). Wiadomości z kościoła i o kościele ewangelickim w Polsce. Nekrolog ś. p. Arcy-biskupa, metropolity Antoniego Melchiora Fijałkowskiego. Odpowiedź na odpowiedź w przedmiocie edukacji. Generał Cialdini. O uposażeniu nauczycieli szkół średnich, p. *Wł. S.* Przegląd historyczny. Listy z miasta. Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące.

Gazeta Polska. M. październik 1861, NN. 234—259, zawierają:

Listy z Mokotowskiej ulicy. Odpowiedź na artykuł Dziennika Powszechnego o teatrze. Sprawozdanie i uwagi nad artykułem Dziennika Powszechnego o oświacie ludu. Życiorys ś. p. Fijałkowskiego, Arcy-biskupa warszawskiego. Przegląd literatury krajowej. Listy redaktora z podróży. Kopcuszek, powieść *J. I. Kraszewskiego*, (c. d.). Korrespondencye krajowe i zagraniczne. Wiadomości bieżące.

Pszczółka. M. październik 1861, NN. 233—258, zawierają:

Oświata, (c. d.). Spekulant w Stanach Zjednoczonych (c. d.). Kwestya teatralna. O szkółkach elementarnych. Dwaj referenci, fotografia dramatyczna, p. *Władysława Sabowskiego*. Cialdini. Sędziwa miłość. Bezpieczeństwo pożyczek oparte na ruchomościach. Kwestya żydowska. Zboże. Jedno z moich



wspomnień, z francuzkiego p. *Delahaye*. Z rejestru życia. Rozmaitości.

Kuryer Warszawski. M. październik 1861, NN. 233—258.

Dziennik Powszechny, pismo urzędowe, polityczne i naukowe. Wychodzi codziennie prócz niedziel i świąt. Warszawa 1861, druk J. Jaworskiego, fol. M. październik, NN. 1—27, zawierają:

Pogląd na teorią kodeksową jakoteż naukową, o nieważnościach prawnych cywilnych. O reformie teatrów. Jurisprudencja warszawskich departamentów senatu. Uprawnienie żydów w Królestwie Polskiem. Dawna rota przysięgi od żydów wymanana, oraz wykaz statystyczny ludności żydowskiej w Królestwie Polskiem. Mowa Prezesa Trybunału handlowego. Uwagi nad organizacją szkół elementarnych w Król. Pols., p. *Jakóba Łaszczynskiego*. Krótkie porównanie kodeksu karnego z r. 1847 z kodeksem z r. 1818 i z kodeksem pruskim, p. *Stan. Budzińskiego*. Uzupełnienie poglądu na teorię kodeksową. Wychowanie publiczne w Król. Pols., p. *Jana Papińskiego*. Obraz przemysłu i handlu w r. 1860 w Król. Pols. Wyciąg z obrazu działań rządu Król. Pols. w r. 1859. Wiadomości bieżące z nauk ścisłych. Proklamacya p. o. Namiestnika król. w Król. Pols. Pogląd na źródła pierwotnych dziejów Litwinów i praw ich, tudzież zapatrywanie się na takowe dzisiejszych historyków, p. *Wacława - Alexandra Maciejowskiego*. Listy *J. Miniszewskiego*. Objasnienia o stanie skarbu Król. Pols. O zjawiskach fermentacyi. O miastach egzymowanych. Finlandya. Oczynszowanie z urzędu. Projekt do prawa względem oczynszowania z urzędu. Projekt organizacyi zakładów naukowych w Król. Pols. Otwarcie kursów przygotowawczych O normalném rozgraniczeniu. Dochód skarbu z tytoniu i tabaki. O potrzebie reformy prawa karnego. Myśli o ułożeniu kalendarza flory w kraju naszym. Uwagi o potrzebie w szkołach średnich podniesienia wykładu przedmiotów filologicznych i historycznych, p. *Juliana Skupiewskiego*. Statystyka. Przeglądy dzieł. Bibliografia polska za m. wrzesień r. b. Bibliografia francuzka za m. wrzesień r. b. Gospodarstwo, handel, przemysł Wiadomości rozmaite.

Warszawska Gazeta Policyjna. M. październik 1861, NN. 237—262, zawierają:

Sabaudczyk, (c. d.). Cyganka, ustęp z życia pewnego oficera angielskiego. Wiadomości miejscowe.

Warschauer Zeitung. M. October 1861, NN. 221—246, zawierają:

*Agnes* (c. d.). *Japan*, v. R. v. B, *Joseph Warszewicz*. *Feine Arbeit*, v. Fr. Barrentrapp. *Der Mormonspriester*. *Litera-*

*risches. Technisches. Handelsnachrichten. Lokalbericht. Vermischtes.*

Korrespondent rolniczy, handlowy i przemysłowy. M. październik 1861, NN. 78—86, zawierają:

Nauka uprawy lasów według wykładu w tarantskiej Akademii, (c. d.) O narzędziach i sprzętach rolnika polskiego XIX stulecia, wyrabianych w fabrykach krajowych i używanych w gospodarstwach naszych (c. d.). Jak rozpoznawać grunta dla podniesienia uprawy. O rasach rogacizny, przez *J. H. Lewandowskiego*, (rozbiór). O pijaństwie, p. *Włodzimierza Kamockiego*. Korrespondencye. Wiadomości handlowe. Średnie ceny żywności na targach Warszawy i Pragi.

Gazeta Rolnicza. M. październik 1861, NN. 40—43, zawierają:

O wpływie lasów na gospodarstwo rolne i o sposobie gospodarowania lasów. Domy zleceń ziemian polskich. Krajowe doświadczenia z uprawą Owsiku australskiego. Pogląd na gospodarstwo rolne przy wolnej pracy na Wołyniu, p. *Alexandra Jusieńskiego*, (dok.). Czyszczenie zboża. Drenowanie pól faszynami z leśnego wrzosu. Polska bibliografia rolnicza. Wiatrak chłopski. Korrespondencye gospodarskie. Nowiny i ogłoszenia gospodarskie. Ceny średnie produktów rolniczych na ostatnich targach znaczniejszych miast Królestwa Polskiego.

## MUZYKALIA.

*Teichman Antoni*. Salve Regina, śpiew z towarzyszeniem organu lub fortepianu. Warszawa, nakł. G. Sennewalda, lit. M. Fajansa, str. 7, kop. 30.

*Kratzer Andrzej*. Mazur dawny, ułożony na fortepian. Warszawa, lit. A. Dzwonkowskiego, str. 3., kop. 15.

*Kadler Ludwik*. Marsz żałobny; Łza wspomnień, skomponowany na fortepian. Warszawa, nakł. J. Kaufmann i spół., str. 3.

*Kossakowska Wanda*. Polonez, Witaj ziemio rodzinna, skomponowany na fortepian. Warszawa, lit. W. Otto, str. 3.

*Bogucki Adolf*. Marsz żałobny wykonany w Warszawie, d. 18 marca 1814 roku w czasie obchodu pogrzebowego po zgonie W. M. księcia Józefa Poniatowskiego, a teraz nowo ułożony i przypomniany. Warszawa, lit. A. Dzwonkowskiego i spół., str. 7, kop. 37½.



Marsz Sobieskiego, wykonany przez Polaków wracających z zwyciężkiej odsieczy pod murami Wiednia 1683 r. Wydany staraniem *Ignacego Krzyżanowskiego*. Warszawa, nakł. G. Gebethnera i R. Wolffa, lit. okładki M. Fajansa, tekstu Gebethnera i Wolffa, str. 5, kop. 30.

*Freyer A.* Kompozycye kościelne. N. 2, *Veni Creator*, na cztery głosy męzkie z towarzyszeniem organu (ad libitum) Dz. 10. Warszawa, nakł. i litogr. G. Gebethnera i R. Wolffa, str. 13, k. 60.

*Jawurek Jan.* Wielki marsz żałobny, skomponowany na fortepian. Warszawa, lit. M. Fajansa, str. 9, k. 37<sup>1/2</sup>.

Dwie pieśni polskie: N. 1 *Warszawianka*, N. 2 *Litwinka*, utworu *Karola Kurpińskiego*, przełożone na fortepian przez *Józefa Brzowskiego*. Warszawa, nakł. R. Friedleina, lit. W. Otto, str. 7.

#### RYCINY, LITOGRAFIE i t. d.

Na pamiątkę śmierci ks. Antoniego Melchiora Fijałkowskiego, Arcybiskupa metropolity warszawskiego, dnia 5 października 1861 r. nastąpionój, litogr. *L. Piechaczek*, w lit. A. Dzwonkowskiego, w 4-ce.

Ks. Antoni-Melchior Fijałkowski, Arcybiskup metropolita warszawski na katafalku. Litogr. *A. Aschenbrenner* w litogr. A. Dzwonkowskiego i spół., fol.

Ks. Antoni Melchior Fijałkowski, Arcybiskup metropolita warszawski (portret), litografował *H. Aschenbrenner* w litogr. A. Dzwonkowskiego, fol.

### WIADOMOSCI LITERACKIE.

#### WARSZAWA.

Listopad 1861 r.—Stagnacya w handlu księgarskim trwa ciągle jednostajna: w ciągu miesiąca okazała się broszura nakładem księgarni Celsa Lewickiego wydana, p. n.: *Ojciec Święty i Rzym*, z oryginału księdza Mallois, przekład z francuzkiego przez ks. M. N.—Leon Rzeczniewski nauczyciel historii w Łomży, wydał monografią, p. n.: *Dawna i terażniejsza Łomża*.—w Łęczycy wyszedł:



*Żywot sługi Bożego, Błogosławionego Rafała z Proszowic*, napisany przez Adama Chodyńskiego, w drukarni Józefa Kuchcińskiego. Dziełko to w pierwszej części obejmuje żywot tego zakonnika bernardyńskiego, w drugiej modlitwy i pieśni do błog. Rafała. Wydanie staranne, druk wyraźnie i dobrze odbity. Wydanie nakładem OO. Bernardynów w Warcie. — Księgarz Okoński, *Obrazu historyi powszechnej* wydał tomu V zeszyt I. — W Wilnie nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego wyszedł tom IV podróży do Włoch, Józefa Kremera. — Z Krakowa przybyły nam nowe zeszyty ważnej publikacji J. K. Torowskiego Biblioteki Polskiej, zawierające: 1) *Zbiór rytmów Kacpra Miaskowskiego*, 2) *Opis Starożytnej Polski Tomusza Świeckiego* (dokończenie), 3) *Klejnoty miasta Krakowa, Pruszcza*, 4) *Żywoty uczonych Polaków, przez Jana Śniadeckiego*, 5) *Hippika, to jest księga o koniach: Krzysztofa Dorohostajskiego* (z drzeworytami jak w tekście pierwotnym). — Józef Łepkowski dołożył starania w wydaniu broszury p. n.: *Dzieje, ustawy, powinności, odpusty i nabożeństwa arcybactwa męki Pańskiej*, przy krakowskim kościele ks. Franciszkanów, wedle edycji z roku 1607. Obecnie przygotowywa w 500 egzemplarzach, opis podróży swojej po Galicyi na przestrzeni od Wisły do Sanu, która częściowo w Rocznikach Towarzystwa naukowego krakowskiego drukowała się poprzednio. — We Lwowie wyszedł trzeci tom *Szkiców historycznych Szajnochy*. Jakkolwiek tom ten składa się ze znanych już prac naszego historyka, które poprzednio po różnych pismach peryodycznych drukowane były, nie traci wszakże na wysokiej swojej wartości zbiór ich razem wydany. Zawsze są to drogocenne klejnoty dla dziejów i literatury narodowej. W tomie tym mamy następne szkice, czyli rozprawy: 1) *Słowianie w Andaluzyi*. 2) *Zdobycze pługa polskiego*. 3) *Powieść o niewoli na Wschodzie*. 4) *Miecznik koronny Jabłonowski*. 5) *Urazy królewiał polskich*. 6) *Krzysztof Opaliński*. 7) *Śmierć Czarnieckiego*. 8) *Jm Sobieski banitą i pielgrzymem*. — W Kępnie nakładem Feliksa Wężyka, wydana została: *Wiadomość o synodach prowincjonalnych i dyccezyalnych gnieźnieńskich i o prawach kościoła polskiego, z dodatkiem spisu synodów dyccezyalnych polskich*: podana przez ks. Pawła Wład. Fabisza. Wydanie drugie pomnożone — W Bochni wyszedł: „Rozbiór pisma Józefa Łepkowskiego pod tytułem: Przegląd zabytków przeszłości w okolicach Krakowa napisał B. S.” w 8-ce str. 30. W Lipsku Marcelli Dłużniewski ogłosił dzieło (w 8-ce, str. 202), p. n.: *Dawna Polska ze stanowiska chrześcijańskiego*. O tych nowościach literackich, powiemy w następnych zeszytach obszerniej, we właściwym dziale kroniki literackiej.

— Od 1 stycznia 1862 r. zacznie wychodzić w Poznaniu pod główną redakcją Dra Kazimierza Szulca, pismo w zeszytach arkuszowych, p. n.: *Tygodnik Poznański*. Pismo to obejmować będzie następujące oddziały. 1) Powieści historyczne, a w braku tych, powieści obyczajowe. 2) Poezye. 3) Rozprawy i artykuły rozmaitej treści: opowiadania i wspomnienia historyczne, opisy, podróże, życiorysy, wiadomości o ruchu przemysłowym w Polsce i t. p. Do tego działu należeć będą korespondencye. 4) Przeglądy literatury krajowej i zagranicznej. 5) Rozmaitości. Wyłączają się kwestye polityczne, socyalne i religijne. Redakcyja płaci współpracownikom 15 talarów od arkusza druku, po odebraniu manuskryptu. Adress do głównego redaktora Kazimierza Szulca, Poznań, ulica Fryderykowska numer 19.

— Księgarnia i wydawnictwo dzieł katolickich Walerego Wielogłowskiego, rozpoczęła druk znanego dzieła, o Naśladowaniu Jezusa Chrystusa, tłumaczone dawniej, a teraz starannie przejrzone przez księdza biskupa Łętowskiego. Będzie to najlepszy przekład, wydanie w małym formacie ze stalorytem, w najozdobniejszej edycyi.

Taż księgarnia przygotowuje w małym formacie w stalorytach, wydawnictwo wszystkich najcenniejszych obrazów z kościołów krakowskich.

— Karol Forster ogłosił w Berlinie, jako dalszy ciąg *Biblioteki podręcznej nauk moralnych i politycznych*, dzieło p. n.: *Dla każdego co z pracy żyje, krótki poradnik z pola moralności i ekonomii politycznej*. Zapowiada przytem, że następujące tomy obejmować mają: 1) *Sztuka pozyskania szczęścia*, Droza. 2) *Ekonomia czyli środki przeciw ubóstwu*, Mezieres'a. 3) *O wykształceniu moralném czyli wychowaniu samego siebie*, de Gerando. 4) *Historya cywilizacyi*, Guizota. Zwracamy uwagę szanownego ziomka, że dziełko Droza, już dwukrotnie tłumaczone jest po polsku, a dziełko Guizota mamy także w wybornym przekładzie. Sądzymy, że lepiej uczyni, jak wybierze do tłumaczenia inne dzieła, nie znane wcale czytelnikom polskim.

— Francuzki minister wojny otworzył wstęp młodzieży polskiej do wszystkich szkół wojskowych we Francyi. Dotąd młodzież nasza nie mogła się dostać do szkoły politechnicznej i St. Cyr, a do szkoły sztabu, chodziła z tytułu eksternów.



— Dwutygodnik *Swiat*, którego pierwszy zeszyt miał wyjść w dniu 15 listopada, z przyczyn od redakcyi tego pisma nie zależnych, nie wyjdzie w oznaczonym terminie. O dniu wyjścia pierwszego zeszytu, prenumerotorowie przez pisma publiczne uwiadomieni zostaną.

— W Wiedniu wyszły w oddzielnym zeszycie trzy fotografie p. n.: *Maria (eine polnische Sage) in drój Bildern von J. Machold*. Przedstawiają z obrazów olejnych trzy sceny z poematu Maleczeskiego. Pierwsza: Miecznika z Maryą; druga: bitwy z Tatarami; trzecia: gdy Waclaw znajduje trupa tylko Maryi i jego rozpacz. Postać Miecznika dość udatna, ale Marya obliczem swoim przypomina dzisiejsze młode a przystojniejsze Wiedeńki. Bitwa z Tatarami, gdzie malarz i wielbłądy pomieścił, razi nieprawdą. Scena na śmiertelnej pościeli Maryi i rozpachy Waclawa, przypomina znane obrazki *Romea i Julii*. To nam pokazuje, że tylko Polak artysta, znający przeszłość narodową, tak dobrze jak Julian Kossak, może godnym być ilustratorem Maryi Maleczeskiego.

— Mówiąc o wydanych sprawozdaniach sejmu galicyjskiego wspomnieliśmy o tém stronnictwie Święto-Jurców, które stara się nowy dziwolązny język podawać za narodowy ludności Rusi galicyjskiej, w tej myśli, ażeby oddzielić się od Polaków, służąc widokom rządu wiedeńskiego. W nr. 216, pisma petersburskiego *Ruski Inwalid*, spotykamy trafne ocenienie kwestyi rusińskiej i stanowisko owego stronnictwa; podajemy je w przekładzie tak, jak Gazeta Warszawska w nr. 260 r. b. ogłosiła:

„W Galicyi Wschodniej, to jest w tej części, którą zamieszkuje Rusini, przejawia się dzisiaj wrzenie, wywołane przez centralistycznie rozdzielającą politykę Metternicha, mające na celu rozbudzenie w Rusinach ducha samodzielności, to jest przetworzenie rusińskiego plemienia w naród Rusinów. Zjawisko to może interesować każdego, podaję zatem kilka wiadomości, zebranych przezemnie w czasie bytności mojej tego lata we Lwowie.

Przedstawicielami rusińskiego ruchu są tak zwani Śto-Jurcy, którzy to miano otrzymali ztąd, że większość ich należy do stanu duchownego, dla którego moralnym środkowym punktem jest starożytny kościół lwowski św. Jerzego. Ich organem jest gazeta *Słowo*, wydawana we Lwowie od początku b. r., i drukowana w części słowiańskimi, w części zwyczajnemi ruskiemi literami.



Na czele Śto-Jurców stoi biskup unicki *in partibus* (Śto-Jurcy i włościanie Rusini są unitami) Litwinowicz. O szczerości przekonań tego dostojnika wielu powątpiewa, obwiniając go o dumne osobiste widoki. Litwinowicz był najprzód nieznanym księdzem na Bukowinie, następnie przeniósł się do Wiednia i przyłączył się do partyi dworskiej. Kiedy podczas pewnego dworskiego święta zachorował duchowny, który miał mówić niemieckie kazanie, Litwinowicz ofiarował się z chęcią zastąpienia go i po półgodzinném przygotowaniu zaimprovizował tak piękną naukę, że zadziwił cały dwór i zwrócił na siebie uwagę cesarza. To powodzenie wzmocniło polityczną pozycję terażniejszego unickiego biskupa.

Gazeta *Słowo*, prowadzi z polskimi galicyjskimi dziennikami żywą polemikę, zdradzającą wzajemne rozdrażnienie, do którego powód podały obie strony. Zdaje się, że z nowszych przyczyn największe rozdrażnienie sprawiła następująca: kiedy przed kilkoma laty uniwersytety krakowski i lwowski starały się o zniesienie wykładu w języku niemieckim, Śto-Jurcy przyłączyli się do partyi wiedeńskich centralistów i przez to w uniwersytecie lwowskim utrzymali język niemiecki, tłumacząc swój krok tém, że chcą wprowadzenia do uniwersytetu języka rusińskiego; ponieważ zaś w tym języku nie ma przewodników naukowych, to dopóki takowe się nie zjawią, nie życząc sobie języka polskiego, muszą wystąpić w obronie niemieckiego.

Obywatele wiejscy zachowują więcej zimnej krwi aniżeli gazeciarze publiczności i okazują jednakowe współczucie dla obu narodowości, przyznając im równe prawa: przynajmniej tak starają się postępować dla zachowania zgody. Tego dowodzi i ostatni galicyjski sejm i liczne broszury, wydawane podczas krzątania się przed wyborami na deputatów.

Głównym przedmiotem sporu jest język rusiński, o prześladowanie którego gazeta *Słowo* obwinia Polaków. Dla wyjaśnienia tej kwestyi, opowiemy w krótkości historią rusińskiego języka.

Dziś więksi ziemscy właściciele, to jest szlachta (drobnemi posiadaczami nazywają tam włościan), oraz mieszkańcy miast i miasteczek, mówią po polsku; lecz podczas pierwszego podziału Polski w 1772 r., kiedy Galicyę zajęła Austria, wyższa i średnia klasa Rusinów po większej części mówiła po rusińsku. Nawet na polskich sejmach, posłowie z Galicyi Wschodniej jeszcze w XVIII wieku często używali rusińskiego narzecza. Ten przewrót filologiczny miał miejsce w skutek następnych przyczyn. Kiedy Galicya należała do Polski, życie umysłowe i polityczne było ześrodkowane

w stolicy państwa, w Warszawie, Galicya zaś miała w niem udział taki, jak każda prowincya oddalona od centra politycznego. Żyła sobie spokojnie, mało myślała o ogólnych interesach, rozprawiła i zajmowała się swojemi miejscowemi sprawami: w ogóle pędziła życie patryarchalne, a przeto przechowywała swoje starodawne zwyczaje i dawny język. Kiedy zaś skutkiem przyłączenia Galicyi do Austrii, ognisko życia przeniosło się z Warszawy do Wiednia, wtedy nieuznając moralnie tej ostatniej stolicy, Galicyanie byli zmuszeni więcej zająć się badaniem wewnętrznego zarządu, chociaż utracili w nim udział, jaki im wprzód z prawa należał. Nową ich stolicą stał się Lwów; obudziło się wszechstronniejsze życie, ze wszystkimi niszczącymi i odradzającymi żywiołami. Trzeba było samym zająć się nauką, ciągle mówić o polityce, o administracyi, o działaniach rządu. Do tego wszystkiego język rusiński był niewystarczający; używany aż do owej chwili tylko w kółku rodzinnem i w pieśniach, nie był wyrobiony pod względem pojęć politycznych. Dlatego, naturalnym biegiem rzeczy, Rusini, już i wprzód rozumiejący i władający obiema językami, mówili niemi i dalej tylko po polsku częściej; o tyle o ile do rozmów przybyło żywiołu politycznego. Przy takich okolicznościach, młode pokolenie Rusinów więcej przywykło do polskiego języka, ich zaś synowie zaczęli między sobą już wyłącznie mówić po polsku i zachowując język rusiński tylko do porozumiewania się z ludem prostym. Nic dziwnego, że to przeobrażenie filologiczne musiało poniekąd wywrzeć wpływ i na lud: dziś mówią po polsku nie tylko mieszkańcy najdrobniejszych miasteczek, lecz i włościanie, którzy żyli we dworze obywatelskim, lub też którzy jako zajmujący się jakim przemysłem mają częste stosunki z mieszkańcami miast.

Czytelnik może pomyśleć, że współpracownicy *Słowa* występując namiętnie (i sprawiedliwie) w obronie języka rusińskiego, tym językiem piszą? Bynajmniej! Niechęć używać polskiego, mogli użyć jako języka książkowego jednego z trzech: ruskiego, małoroskiego albo miejscowego rusińskiego, który zresztą bardzo mało różni się od małoroskiego. Sto-Jurcy nie życzą sobie żadnego z tych języków i tworzą nowy, obecnie mniej zrozumiały dla Rusinów aniżeli język polski. Sądziemy, że podobne zamętowanie twórczości może sprawić babilońskie pomieszanie języków.

Gazeta *Słowo* dzieli Galicyą na dwa obozy: na Polaków i na Rusinów; z tego jednak wcale nie wypada, ażeby do ostatniego obozu należeli wszyscy Rusini. Rozbierzmy to pytanie.



Nazwa *Polak* nie jest mianem jednego plemienia: jest to imię zbiorowe. W dawnych czasach tćm nazwiskiem oznaczano plemię Polan; później przyjęli tę nazwę Mazury, Kujawiacy i t. p.: w wieku XVII zaczynają już nazywać się Polakami Rusini, Żmudziui, Litwini, mówiąc np. „jestem Polakiem z plemienia litewskiego”, (to wyrażenie przechowało się w dawnych aktach). Lwowskie *Słowo* odzywając się o Polakach, pojmuje pod tą nazwą nietylko Polaków z plemienia chrobackiego, zamieszkujących bliżej Krakowa, lecz nadto całą wyższą i średnią klasę Rusinów. Do stronników *Słowa* zaliczyć można tylko duchowieństwo i to bynajmniej nie całe; nawet uczniowie lwowskiego seminarjum po większej części mówią pomiędzy sobą po polsku. W uniwersytecie lwowskim jest Rusinów więcej jak tysiąc (wszystkich studentów do 2000), a prawdziwych Sto-Jurców rachują między nimi zaledwie około 25. Zresztą, poznać dziś kto z nich jest Rusinem, kto Mazurem lub Polakiem z innego jakiego plemienia, bardzo trudno. Redaktor *Słowa*, Diedickii urodził się i długo żył pod nazwiskiem Dziedzickiego; współpracownik *Słowa* Hołowackij, długo nazywał się Głowackim. Niektórzy mieszkańcy Lwowa na moje zapytania odpowiadali, że nie wiedzą z jakiego plemienia pochodzą. Przytćm w wielu rodzinach przez małżeństwa, krew rusińska pomieszała się z mazurską lub inną. To miało miejsce nie tylko w klasach wyższych, ale częścią i w niższych, gdyż od Krakowa do Lwowa ciągną się oddzielnemi kupkami polskie kolonie. Miejska ludność, z powodu interesów handlowych, często przesiedlała się; dziś w Krakowie wiele znajduje się Rusinów i nawzajem Krakowiaczy mieszkają we Lwowie. Zresztą Tatarzy 92 razy pod Lwów zapuszczali swoje zagony, a wynikający ztąd ubytek ludności zawsze zapełniali koloniści z Małej Polski.

Następne fakta posłużą za objaśnienie. Znacomity wódz za czasów Chmielnickiego, Jeremiasz Wiśniowiecki, był Rusinem; król polski, Michał Wiśniowiecki, był Rusinem; sławny polski hetman Konstanty Ostrogski, był także Rusinem. W wielu znacomitych polskich familiach płynie krew rusińska, pomieszana ze krwią innych polskich plemion. Dzisiejsi literaci polscy: Siemieński, Szujski, Ujejski, Zacharyasiewicz, Wiesiołowski, Gregorowicz i wielu innych pisarzy galicyjskich sami siebie nazywają Polakami pochodzenia rusińskiego.

To co wyżej powiedziano, łatwo da się wyjaśnić. Wszystkie prowincje polskie, tak dawne jak i nowo przyłączone, miały jednakową polityczną organizacyą, zasadzającą się na miejscowym



samorządzie. Urzędnicy sądowi, administracyjni i wszelkiego rodzaju, byli wybierani przez szlachtę każdej prowincyi z jej grona.

Z zazdrością strzegły tego prawa nie tylko ziemie, lecz i ich części, powiaty, pilnując aby urzędnicy pochodzili z miejscowej szlachty. Nowi przybysze z innych okolic rzadko a przynajmniej nie prędko byli dopuszczani do piastowania godności publicznych; aby je mogli osiągnąć, musieli, że tak powien naturalizować się, to jest zyskać zaufanie i szacunek. Obok takiego organizmu państwa z łatwością dadzą się pojąć dwa następne fakta: 1) wyższa klasa każdej prowincyi nie mogła zniknąć lub być zastąpioną przez przychodniów; 2) ognisko państwa miało bardzo słaby wpływ na niższe klasy narodu; bezpośrednio oddziaływało ono na szlachtę, a przez nią dopiero na lud. Oprócz innych dróg, ognisko kraju działało cywilizacyjnie na szlachtę, już to przez sejmy, już to przez zbieranie się na pospolite ruszenia. W obu tych przypadkach szlachta różnego pochodzenia i miejscowości zlewała się w jedną całość połączoną wspólnym interesem, zaznajamiała się i zaprzyjaźniała z sobą, dzieliła się pojęciami i przesądami, uczyła się mówić jednym językiem, szanować jednakowe podania i jednakowe przekonania.

Na zakończenie postaramy się w krótkości określić rusiński żywioł, z którego Sto-Jurecy starają się stworzyć samoistny antypolski naród. Jest to plemię ruśniackie, o pięknych rysach i kształtach ciała, łagodne i poetyczne. Nie ma ono ani arystokracji, ani klasy średniej: składa się z dwóch tylko klas: wieśniaków i duchowieństwa. Włościanie pędzą życie patryarchalne i o ile się zdaje, ani się troszczą o cele Sto-Jurców; oni nawet dobrze o nich nie wiedzą. Mają dwa rządy: niemiecki w Wiedniu i teokratyczny, uosobiony w duchowieństwie. Oba wyżej wzmiankowane obozy starają się ich zyskać, przeciągnąć na swoją stronę: rusiński za pośrednictwem dodatku do *Słowa*, drukowanego słowiańskimi literami; polski za pomocą broszur, wydawanych po polsku, w których wyrazy *zgoda*, *pojednanie* dają się spotykać na każdej stronicy. Zresztą, nie od rzeczy będzie dodać, że rzeź 1846 r. miała miejsce prawie wyłącznie w Galicyi zachodniej."

— *Gazeta rolnicza* wychodzić będzie w 1862 roku, w Warszawie, tygodniowo, w arkuszu podwójnym większego formatu. Jest ona najtańszem polskiem pismem gospodarskiem, bo tylko rs. 1 (złp. 6 gr. 20) kosztuje kwartalnie. Poświęcone jest ono wyłącznie rolnictwu polskiemu. Każdy numer zawiera ilustracją rysunkową

z dziedziny mechaniki rolniczej lub przemysłu gospodarskiego. Nadto stałym prenumeratom redakcyja bezpłatnie daje dodatki w książkach, mappach gospodarskich i leśnych, oraz nasionach drzew i roślin, które są rzadkością. Prenumeratorowie Gazety Rolniczej otrzymują za pół ceny publikacyę „*Biblioteka Rolnicza*” nakładem redakcyi wydawaną.

— *Biblioteka Rolnicza*. Od początku roku bieżącego redakcyja *Gazety Rolniczej* wydaje własnym nakładem dzieło zbiorowe p. t.: *Biblioteka Rolnicza*. Dotąd publikacyi tej wyszło 7 zeszytów, które zawierają w sobie następujące dzieła: *Zasady leśnictwa*, dla obywateli ziemskich lasy posiadających, tom I, który zawiera botanikę leśną i szczegółową uprawę lasów, wspartą 33 wizerunkami znaczniejszych drzew w lasach polskich rosnących. Autorem tego dzieła jest Adam Mieczyski redaktor *Gazety Rolniczej*. Drugim dziełem wchodzącem w skład *Biblioteki Rolniczej* jest wyłożona praktycznie przez Zygmunta Gawareckiego *Uprawa chmielu*, wedle najnowszych postępów nauki i praktyki własnej autora, napisana z 4 figurami; tegoż autora dzieło z rycinami, p. t.: *Uprawa roślin pastewnych w Polsce i ich użytkowanie na paszę*, składa ostatnie trzy zeszyty *Biblioteki Rolniczej* dotąd wyszłe.

— Posiedzenie wydziału nauk historycznych i moralnych Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego, pierwsze po wakacyach, a z kolei sześćdziesiąte ósme, odbyło się w Poznaniu dnia 28 października r. b. Po złożeniu licznych darów i przegłądzie tychże, sekretarz Towarzystwa przedłożył imieniem zarządu list zaopatrzone podpisem S. Z. W liście tym objawia piszący życzenie, ażeby Towarzystwo ogłosiło konkurs do napisania rozprawy odpowiadającej na pytanie: *Czém były dla Polski i czém być mogą w przyszłości praca i oszczędność, oraz próżnowanie i zbytek?*

Jako nagrodę za pracę najlepszą w tym przedmiocie przesłał konkursodawca dwie akcyje drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej w imiennęj wartości 268 talarów w monecie pruskiej. Sekretarz zawiadamia wydział, że zarząd przychylił się do życzenia obywatela ofiarodawcy i następnie, że prezes Towarzystwa uzupełnił z własnych funduszów nagrodę w ten sposób, że takowe bez względu na rzeczywistą wartość rzeczonych akcyj w pruskiej monecie 300 talarów czyli 100 dukatów wynosić będzie.

— W Krakowie, na d. 11 b. m., oddział nauk przyrodniczych i ścisłych Towarzystwa naukowego odbył zwyczajne miesięczne

posiedzenie, na którym zajmowano się pomysłami elektro-lekarskimi Dra J. Dropsego lekarza wolno-praktykującego, zamieszkałego w Zastawiu na Wołyniu.

— Donoszą z Krakowa pod d. 14 listopada, że przeprowadzono już kancelaryą, archiwum, bibliotekę i zbiory Towarzystwa naukowego krakowskiego z domu Popiela, gdzie tymczasowo były pomieszczone, do trzech ukończonych już pokojów w własnym domu Towarzystwa. Przedewszystkiem przeniesiono posąg Światowida.

Jakkolwiek Towarzystwo ulokowało się w domu nieukończonym i potrzebującym wiele jeszcze ofiar dla odpowiedniego urządzenia, i muzeum nie będzie mogło być dogodnie pomieszczone, zawsze będzie to znaczny zbiór pamiątek, przypominający wystawę krakowską. Gdy cały kraj będzie wiedział, że już istnieje muzeum narodowe, bez wątpienia zaczną się zewsząd gromadzić pod opiekę Towarzystwa, zabytki przeszłości i sztuki, a nawet zbiory prywatnych znajdują pomieszczenie w murach, na które cały kraj się złożył.

Towarzystwo ma zamiar urządzić przy muzeum *gabinet odlewów* i już prace rozpoczął w tym względzie p. Parys Filippi, odlewając popiersia królewskie z monumentów katedralnych. Odlewy zabytków pogańskich oddawna są już do nabycia w kancelaryi Towarzystwa. Warto by, żeby księgarze przyszli w pomoc Towarzystwu do rozpowszechnienia tych drogiej pamiątek.

— Hrabia W. D. przeznaczył 1200 złr. na wykształcenie na uniwersytecie w Krakowie dwóch młodych doktorów lub absolwowanych studentów sztuki lekarskiej na weterynarza i anatomicznego patologa. Rektor ma przedstawić dawcy kandydatów i wziąć ich pod swoją opiekę. Hrabia Wit Żeleński przeznacza również 60 złr. na wsparcie najbiedniejszego i najpilniejszego ucznia. Rektor przedstawia trzech kandydatów, z których dawca jednego ma wybrać.

— Kuryer Wileński w N. 86 z r. b. pisze:

„Encyklopedia powszechna” warszawska, której wyszło dotąd siedm i pół grubych woluminów, obejmujących razem 480 arkuszy druku, ma już swoją historję, niepróżną, zajmujących dla czytelnika szczegółów. Sądźmy, iż nie wezmą nam za złe czcigodni pracownicy przy tém pomnikowem dziele, że skorzystamy z opowieści p. Lewestama dla naszych czytelników, o których chwalebniem zajęciu się polską „Encyklopedyą” nie wątpimy. W r. 1858 księgarz warszawski S. Orgelbrand, nie zrażony niepowodzeniem



przedsięwzięcia Glücksbergowskiego, które na czwartym tomie się zwichnęło, przystąpił do podniesienia i urzeczywistnienia myśli encyklopedyi powszechnej w języku polskim. W czerwcu tegoż roku zawiązany został komitet redakcyjny złożony z czterech członków, z których jeden wypracował plan i programat dzieła. Długo wazono się z myślą oddania tego komitetu pod przewodnictwo jednej osoby; z pomiędzy kilku rozgłośniejszej sławy literatów, oświadczających się ze swoją ku temu gotowością, już miano zatrzymać się na J. I. Kraszewskim, którego wszechstronne wiadomości szczególnie ku temu sposobnym czyniły, gdy położony na szali wzgląd ówczesnego jego pobytu w Żytomierzu przeważyc musiał samą materialną swoją niedogodnością. Członkowie komitetu rozegrali więc pomiędzy siebie pojedyncze wydziały, a mianowicie: K. Wł. Wójcicki polską geografią, historią i literaturę; Leon Rogalski teologią i Słowiańszczyzną; Jan Pankiewicz nauki przyrodzone i matematyczne; F. H. Lewestam powszechną geografią, historią, literaturę, sztuki piękne, filozofią i filologią. Później do działu rzeczy polskich przybył jeszcze na współredaktora F. M. Sobieszczański. Zająwszy się przedewszystkiem wspólnie z nakładcą rozpisaniem listów wzywających do współpracownictwa wszystkich, w jakimkolwiek zawodzie odznaczających się pisarzy polskich, komitet rozesłał im zarazem drukowane i porządkiem pojedynczych gałęzi nauk ułożone spisy pewnej części wyrazów, mających wejść do „Encyklopedyi”. Poprzednio już staraniem nakładcy, przy pomocy jednego z następnych członków komitetu i sekretarza tegoż komitetu J. Grajnera, wszystkie wyrazy do całego dzieła spisane zostały na oddzielnych kartkach z encyklopedyj zagranicznych i dzieł krajowych; kartki te porządkiem alfabetycznym tenże sekretarz a potem następca jego C. Biernacki ułożyli w oddzielne księgi stanowiące podstawę rzeczoną całej pracy. Udział we współpracownictwie przyjęło dotąd około 140 osób, w liczbie których oprócz komitetu czytamy imiona A. E. Adamowicza, M. Balińskiego, J. Bartoszewicza, L. Kondratowicza, J. Korzeniowskiego, J. I. Kraszewskiego, J. Kremera, J. Majera, L. Otto, M. Wiszniewskiego i wielu innych mężów znanych w naszym piśmiennictwie. Współpracownicy obrobione przez siebie artykuły składają lub przesyłają na ręce właściwych redaktorów wydziałowych, którzy przejrane przez siebie w miarę potrzeby stosownie do planu całości skrócone lub uzupełnione i cyfrą zaopatrzone składają na sessyi komitetowej, odczytując tu takie jedynie, względem których albo sami mają wątpliwość, lub których

ważność wywołuje podobnego rodzaju żądanie ze strony innych współczłonków; ponieważ jednak żaden z redaktorów wyłącznym własnych swoich artykułów sędzią być nie może, przeto takowe bez wyjątku przez wszystkich się odczytują i tylko za wspólną zgodą przyjmują. Sessye z zasady odbywają się raz w tygodniu, częstokroć jednak przy natłoku pracy dwa razy; dotąd odbyto już takich sessyj dwieście dwadzieścia kilka. Ułożone na sessyi i ponumerowane alfabetycznym porządkiem artykuły odsyłają się do drukarni nakładcy, gdzie czterech zecerów wyłącznie jest niemi zajętych. Pierwszy zeszyt tej ogromnej publikacyi wyszedł na widok publiczny w d. 1 października 1859 r.; księgarnia miała wówczas zapasowych dalszych zeszytów 12. Odtąd bez przerwy kaźdomiesięcznie wychodzi po 3 zeszyty (z wyjątkiem większych świąt dorocznych, które wyjście jednego zeszytu opóźniają). Dotychczas otrzymaliśmy już zeszytów 70 stanowiących, jakieśmy rzekli, pół osma tomu; całość wedle kilkakrotnego zapewnienia redakcyi nie przeniesie 20 tomów. Na tę objętość, a zarazem i na znaczenie tego pisma dla nas wpływają nadewszystko obszerniej opracowywane artykuły w przedmiocie rzeczy słowiańskich, a szczególnie polskich, ze źródeł bezpośrednio układane; pod tym względem żadna najlepsza encyklopedia zagraniczna naszej polskiej zastąpić nie potrafi. Wielu, rzucała się w oczy ta niewymierność artykułów obcych i krajowych; my ją znajdujemy bardzo słuszną i chyba jednemu p. Bartoszewiczowi zarzucilibyśmy, że niekiedy zbyt obszernie rozwodzi się o osobach, których głównym tytułem do usadowienia się w encyklopedyi było pańskie nazwisko i nie więcej. Pierwsze zeszyty „Encyklopedyi” miały obszerny pokup, czemu cena niska i ułatwienie nabywania zeszytami bardzo były na rękę; niedawno jednak byliśmy świadkami nieusprawiedliwionego zubożenia. Teraz liczba nabywców znowu poczęła wzrastać i jak donoszą stale się wzmacnia.

— Nakładem i w sztycharni nut A. Dzwonkowskiego wyszedł *Marsz żałobny*, wykonany w Warszawie d. 18 marca 1814 roku, w czasie obchodu pogrzebowego po zgonie księcia Józefa Poniatowskiego, a teraz nowo ułożony i przypomniany przez Adolfa Boguckiego. Na czele jako karta tytułowa, jest rycina litografowana, przedstawiająca w obłokach popiersie bohatera, z podpisem ostatnich słów które wyrzekł umierając: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go oddam.” Poniżej grób Poniatowskiego, przy którym grenadyer hermiczny polski, w głębokim smutku podaje

braterską rękę hułanowi, który wsparty głową o pomnik w ciężkiej żałobie, zdaje się płakać sławnego wodza. Wydanie to należy do melodyj historycznych, równie jak *Marsz Sobieskiego*, o którym mówiliśmy. Przypomnieć tu winniśmy o melodyi do dawnego obrzędu narodowego w Krakowie, którą redaktor *Ruchu Muzycznego* Józef Sikorski wydał przed kilką laty, p. n.: Konik zwierzyński; muzyka grywana w Krakowie podczas dorocznego obchodu uroczystości, na pamiątkę oswobodzenia Krakowa od Tatarów, ułożona na fortepian." O tej melodyi czytamy w numerze 45 *Ruchu Muzycznego* na r. b., co pisze J. Sikorski. „Kiedyśmy sami zwiedzali Kraków w 1856 r. dla wyszukania tam pomników muzykalności polskiej, badaliśmy też i podania muzykalne z dawnych czasów, może przechowane w melodyach popularnych, i dopytywali się o obyczaj starodawny ludowy, z którym i muzyka w jakiś sposób musiała być związana. Powiadano nam o obchodzie dorocznym *Konika zwierzyńskiego*, i o muzyce grywanej podczas tej uroczystości. Postaraliśmy się o nią i dostaliśmy ją z pierwszej ręki, a mianowicie od p. Micińskiego, obywatela krakowskiego, którego rodzinie oddawna służy prawo przewodniczenia temu historycznemu obrzędowi. Muzykę tę wydaliśmy na widok publiczny, a ciekawy może sprawdzić, że jedna jej część, a mianowicie zaczynająca *trio* (str. 3), jest ta sama, co rozpoczynająca marsza Sobieskiego i stanowiąca go głównie. Ta tożsamość pomysłów pokazuje, że melodia ta istotnie jest dawną; a lubo nie dowodzi to jeszcze, że ją grywano istotnie jako marsza powracającemu z pod Wiednia, pod Sobieskim wojsku, tém mniej, że pochodzi z czasów dawniejszych najazdów tatarskich: to okoliczność, że tę melodią podanie i pismo jako historyczną wskazują, dowodzić się zdaje, że nie jest apokryfem i prawdopodobnie melodią, przy której przodkowie nasi cieszyli się pamiątką jakąś pełną chwały, może nie jedną.”

— Nakładem Gustawa Senewalda, wyszły w sztycharni Gebethnera i Wolffa: 1) *Polskie kłosy*. Zbiór melodyj narodowych, ułożył na fortepian Wilhelm Troszel. Karta tytułowa odbita w litografii Fajansa, przedstawia młode wiejskie pacholę zbierające kłosy nierzysku, a obok starca żebraka. Krajobraz przedstawia las i pole, a na wyniosłym wzgórzu ruiny starego zamczyska. Pod tym dwuwiersz Jana Chęcińskiego:

„Śpiewasz bracie?—Zbieram kłosy.”  
— Niechże rosną pod niebiosy!

2) *Salve Regina*. Śpiew z towarzyszeniem organu lub fortepianu, napisany przez Ant. Teichmana.



— W Bochni u Wawrzyńca Pizsa, wyszła świeżo broszura podpisana głoskami B. S., z tytułem: *Rozbiór pisma Józefa Łepkowskiego, podającego przegląd zabytków przeszłości w okolicach Krakowa.*

Obszerna praca Łepkowskiego, którą rozpoczął (w V tomie *Rocznika Tow. nauk. Krak.*) publikacją swojej po Galicyi podróży, innego warta oceny niż to, jakie w cytowanej znajdujemy broszurze, na 14-tu zapisane kartkach. Mniemamy, recenzent p. B. S. uzbrojony odkryciem pomyłki w dwóch datach, wyrokuje w szumnym wstępie: że *Łepkowski i przedmiot swój i czytelników lekce traktuje, a praca jego wartości żadnej nie ma, jest bezpożyteczną i szkodliwą nawet.* Gdyby krytykujący (a ze złą wiarą zestawiający słowa) rozumiał istotnie wartość mozolnie w podróżach po kraju zbieranych dat i szczegółów, z miłością dorzuciłby do nich drobną wiadomośćką swoją; tego zaś, że Łepkowski nie jest *infalibilis*, nie używałby na osnowę śmiesznych o nim sądów.

Nie wspominalibyśmy nawet o tej bocheńskiej broszurze, gdyby nie uwaga: iż bolesno jest czytać zgryźliwe słowa o poczciwej, sumiennej, a bezinteresownej wyrzeczonej pracy. Szczęściem, taki na świecie rzeczy porządek, że pracowita książka zostanie, a złośliwa broszura w zapomnienie pójdzie.

Uczeni znajdą zapewne i poprostują błędy lub niedokładności w pełnej szczegółów Łepkowskiego publikacji; ale stanie się to inaczej, jak zrobił p. B. S.: bo z miłością nauki, uznaniem zasługi i poszanowaniem pracy. Wyrok wreszcie wszelki wtedy tylko jest sprawiedliwym, gdy się opiera na wolnej od namiętności prawdzie, a kompetentny wydaje go sędzia. Strzały za płotu nie są szlachetną walką. B. S. nie pozwala domyślać się nazwiska zasłużonego a znanego krytyka.

— Dzień 6 lipca, w którym Jan Hus spalonym został na stosie, 1415 r. w Konstancyi, mając lat czterdzieści dwa, nazywany był dotąd w czeskich kalendarzach *Pamiętka mistra Husi* i uroczystie obchodzonym. Wiele dokumentów datowanych jest od tego dnia, a nawet w końcu XVIgo stulecia, lud czcił jeszcze dzień ten tak szczerze i uroczystie, że opat Paweł Horský, który w tym dniu kazał robotnikom pracować w winnicy swojej, musiał uciekać z miasta, przez lud wygnany i złożyć dostojność swoje. Dochowała się nawet piosneczka z owego czasu (1596), której tu pierwszą zwrotkę przytaczamy:

A ten slovansky Opat,  
Dal na vinicy kopat,

Na svatek Jana Husi  
Za to do pekla musi,

Kraków. Rocznik c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego, tom V. Kraków, w drukarni c. k. uniwersytetu Jagiellońskiego, 1861 wyszedł i mieści w sobie:

*Oddział nauk moralnych.*

1) Zdanie sprawy z czynności c. k. Towarzystwa nauk. krak., dokonanych w roku 1860 przez prof. Dra J. Majera prezesa Towarzystwa.

2) Zdanie sprawy z budowy domu Tow. nauk. i składek na tęż budowę zebranych, od 1 lutego 1860, do dnia tegoż 1861 roku, przez Franciszka Wężyka, b. prezesa Tow.

3) Zdanie sprawy w przedmiocie zadań przez c. k. Tow. nauk. krak. do nagrody ogłoszonych.

4) O poezjach satyrycznych Klonowicza, przez prof. Dra K. Mecherzyńskiego.

5) Wiadomość o Filipinach polskich.

6) Przegląd zabytków przeszłości w okolicach Krakowa, przez Józ. Łepkowskiego członka Tow. nauk. krak.

*Oddział nauk przyrodniczych i lekar skich.*

1) Przyczynek do prowadzenia stycznych do krzywych drugiego stopnia, czyli przecięć ostrokągowych, przez prof. J. K. Steczkowskiego.

2) Sposób uskuteczniania rozbiorów ilościowych chemicznych za pomocą piknometrów, przez prof. Gustawa Piotrowskiego.

3) Rzut oka na kształt powierzchni Galicyi i Bukowiny, przez Dra Alojzego Altha, czł. Tow. nauk. krak.

4) O równoważnikach farmakodynamicznych, dla głównych składników wód lekarskich, przez prof. Dra F. K. Skobla.

5) Rozbiór chemiczny Jaszczurówki cieplicy w Tatrach, wykonany przez Adolfa Aleksandrowicza, czł. Tow.

6) Pogląd na ruch i postęp zdrojowisk ojczystych w r. 1860 dostrzeżony; skreślił Dr. M. Zieleniewski, sekr. kom. baln. w Tow. nauk.

7) O zastosowaniu szwu węzłkowego do cięcia tchawicy, przez prof. Dra Ant. Bryka.

8) O rozpoznaniu pęknięcia worka przepuklinowego, przez prof. Dra Ant. Bryka.

— *Astronomia sposobem dla każdego dostępnym wyłożona przez J. K. Steczkowskiego, profesora matematyki w Uniwers. Jagiellońs.*

Kraków 1861. Nakładem D. E. Friedleina. Dzieło to obejmujące 600 stroniec ścisłego druku w większej 8-ce, objaśnione 80-ciu drzeworytami i dwiema tablicami litografowanemi, dobrze odpowiada swemu zadaniu dostępności dla wszystkich, mających elementarne z matematyki wiadomości.

— P. Deszkiewicz zamieszkały w *Lancucie* w Galicyi, następujące zrobił w pismach publicznych uwiadomienie.

1) Rozprawy (z r. 1843) o języku polskim, oraz o jego grammatykach i grammatyczkach. Wydanie drugie poprawniejsze 1852.

2) Grammatyka języka polskiego dla młodzieży w gimnazyjach uczącej się, 1853.

3) Takż grammatyka (mniejsza) dla poczynającej młodzi 1853.

4) Słowniczek wyrazów polskich zapomnianych, lub przez obce zastępywanych, oraz niektórych nazw sławiańskich przemienionych w innych językach, 1854.

5) Treść grammatyki polskiej, czyli wykład najnudniejsze przedmioty w naszym języku rozwijający, pisownią ustalający, mający służyć nauczycielom za przewodnika, a dojrzałszym rodakom za samą grammatykę. (Z zagajeniem odczytów w Przemysłu i z dodatkiem osobnym o rzeczach nie językowych), 1858.

„Te wszystkie prace, pisze p. Deszkiewicz, jak z wyszczególnienia powyższego widoczna, oddawna już przezemnie ułożone zostały. Nie spieszyłem się z ich wydaniem, bo i tak ulewa dzisiejsza dzieł grammatycznych i badań o naszym języku, niebezpieczną powodzią grozi. Gdy jednak uczeni bliżej mnie i moje rękopisma znający, nie przestają zachęcać od lat kilku do ogłoszenia ich drukiem; przeto ustępując życzliwym naleganiom, i nie mogąc własnym nakładem tego skutecznie, wzywam niniejszemu pp. księgarzów wydawnictwem się trudniących, aby raczyli w przedmiocie swego przedsiębiorstwa do mnie pisemnie się zgłosić; jeżeli na zasadzie dzieł moich od 1843 r. już wydanych, przy korzyści własnej i pożytek powszechny upatrzą.”

*Lwów. Kilka słów o stosunkach naszych. Rzeszów 1861. Nakładem księgarni Pellara.* W dziełku tém dotyka autor wszystkich wad społeczeństwa galicyjskiego i podaje środki zaradczę dla zapobieżenia rozstrojowi.

— Nakładem księgarni Karola Wilda wyjdą: *Poezye Platona Kosteckiego* (w języku ruskim, literami łacińskimi).

— P. W. Goczałkowski oficer I pułku Ułanów b. wojsk pols., ogłosił przedpłatę na 2-tomowe dziełko z litografiami, pod napisem:



*Wspomnienia lat ubiegłych.* Dziełko to wyjdzie w Krakowie. Tom I wyjdzie z 1-szym grudnia b. r. Tom II w styczniu 1862 r. Przedpłata wynosi fl. 3 w. a.

— Staraniem i nakładem komisyji wydawnictwa w Towarzystwie gospodars., wyszła w drukarni E. Winiarza: *Złota księga, w której zawarte są przykłady cnót chrześcijańskich, ludziom ku nauce i zabawie.*

— W drukarni Poręby we Lwowie wychodzi *Stenografia polska* do nauki bez pomocy nauczycielskiej. ułożona przez J. Polińskiego.

— Zakład Imienia Ossolińskich na pamiątkę swego założenia, obchodził w dniu 17 października publiczne posiedzenie. Na posiedzeniu tem zastępca kuratora hr. Maurycy Dzieduszycki, odczytał sprawozdanie o stanie Zakładu. Dyrektor p. August Bielowski, wyłożył w gorącej przemowie przyczyny, dla których dzieje Polski nie mają i nie mogły mieć dotąd historyka swego. Odczytał następnie biografią *Titmara Merseburgskiego*, jako wyjątek z opracowanych materyałów do dziejów polskich, których tom I *Monumenta Poloniae historica*, obejmujący okres materyałów od początków naszego narodu do połowy XII wieku, za kilka miesięcy z druku wyjdzie. P. Mieczysław Romanowski pisarz Zakładu, odczytał piękny swój wiersz, pod tytułem *Legenda*. Zakończył posiedzenie p. Godebski, odczytaniem mistrzowskiego szkicu historycznego Karola Szajnochy z XVI wieku o polszczeniu Rusi, zakończonego konkluzją na faktach opartą, że Polacy polszczyli Rusinów, a Rusini Polaków ruszczyli.

Główną czynnością Zakładu w upłynionym roku, było ukończenie druku *Słownika Lindego*, czyli tomu VI i ostatniego, i urządzenie wystawy starożytności.

Zastępca kuratora zapowiedział wydawanie od nowego roku *pisma naukowego*, o które od tak dawna upominały się wszystkie organa peryodycznej prasy polskiej.

Zapowiedziane dawniej wydawnictwo pisma zbiorowego we Lwowie: *Praca*, poświęconego dobroczynnym a pożytecznym sprawom i zakładom, wyjdzie w b. r. zeszyt I. Przedpłata roczna wynosi złp. 12, półroczna 6. Wydawcą tego pisma jest Franciszek Borgia Twardowski.

*Jasło.* Ks. Marcelli Śleczkownki napisał i wydał: *Wiadomości niektóre do dziejów kościoła katolickiego w polsko-rossyjskich prowincjach, od rozbioru Polski aż do najnowszych czasów.* Jasło 1861.

Wrocław. Dr. M. Fritz nauczyciel języka polskiego przy szkołach wyższych w Wrocławiu, wydał:

*Wypisy polskie* odznaczające się wyborowemi, treściwemi, a dostępnemi dla początkujących opowiadaniem z historii polskiej i z historii naturalnej. Znajdziesz w nich zajmujące powiastki i życiorysy królów naszych, a wszystkie pióra naszych najlepszych pisarzy. Wypisy te polecić można dla szkół polskich niższego rzędu.

Prof. Fritz nie pomija żadnej sposobności, aby germańskiemu światu ukazać skarby literatury polskiej. Do wychodzącej w Lipsku encyklopedyi Brockhousa *Unsere Zeit*, podaje życiorysy sławnych Polaków. Jemu to głównie wdzięczność się należy za gorliwe zaszczipianie w młódem pokoleniu niemieckiem znajomości mowy i dziejów polskich. Sam będąc przez długie lata w Polsce, poznał nasz naród, pokochał go i wiernie teraz służy jego interesowi, niosąc mu w ofierze swe siły. Żywoty *Tytusa Działyńskiego* i *Joachima Lelewela* wyszły w Encyklopedyi Brockhousa. Teraz skończył żywot *Adama Czartoryskiego*, a wykończy życiorys ks. *Antoniewicza*. P. Fritz więcej jeszcze skreśli życiorysów, przy rodakach jednak naszego wieku bardzo trudno o materiały, dlatego prace te powolnie tylko postępują.

Ruch polsko-literacki w Wrocławiu się wzmaga. Jeden z księgarzy, znany już z wydawnictwa wielu dzieł polskich, zamierza ogłosić tu nową edycją Mickiewicza; zacznie od „Dziadów.” Drugi nakładca niemiecki postanowił wydawać *Gazetę rolniczą polską*; miała już I październik się okazać, lecz dla nieprzewidzianych przeszkód druk zawieszono: od I stycznia nowego roku na pewno wyjdzie. Są widoki, że ten sam księgarz skłoni się do wydawania *pisma ludowego* dla Górno-szlązaków, czego dla nich w istocie potrzeba.

Professor języków słowiańskich w uniwersytecie wrocławskim Dr. Cybulski, na kurs tegoroczny zapowiedział odczyty *literatury polskiej*. *Towarzystwo literacko-słowiańskie* zawiązane przy uniwersytecie wrocławskim, odpowiada najzupełniej swemu celowi, dostarczając młodzieży źródeł do zapoznania się z przeszłością słowiańską, a z polską w szczególności. Zostaje ono obecnie pod kuratorstwem prof. Cybulskiego, który regularnie i pilnie na zgromadzenia jego uczęszcza. Dostyć liczny księgozbiór, utrzymujący i pomnażający się ze składek młodzieży polskiej, obejmuje przeszło 2000 tomów wyborowych dzieł. W ubiegłym roku zajmowało się *Towarzystwo* mitologią słowiańską i starożytnościami polskimi.

Przy gimnazjum św. Elżbiety w Wrocławiu, jest nauczyciel wyższy p. Kampmann, oddający się z zamiłowaniem studjom języka polskiego. Przed kilką laty napisał on: *Obraz mowy polskiej*, później *Grammatykę polską na sposób greckiej*; wydał także *Wypisy polskie*. Człowiek ten wysoko ukształcony, traktuje przedmiot obrany przez siebie do zbadania gruntownie, i opiera się w swych wywodach na podstawie filologicznej,

— Pomiedzy utworami na cześć jubileuszu uniwersytetu wrocławskiego wydanemi, niepospolite zajmuje miejsce dzieło *Gruenhagena*, „Wrocław pod panowaniem Piastów, jako gmina niemiecka.”

*Praga*. Wkrótce rozpocznie wychodzić nowe czasopismo czeskie, p. n.: „Cesky lew z hasłem, niedajmy sel” W Morawii zaś ma wychodzić pismo „Orlica” z hasłem „Jestem ceskeho lwa wzdry uprzimna sestra.”

*Paryż*. Leonard Chodźko powziął zamiar wybicia medalu na cześć Joachima Lelewela i wydania żywota zmarłego.

— Wyszły z druku tomy I, II i VI pism Adama Mickiewicza, uzupełniające nowe to wydanie w XI tomach, z których pięć ostatnich zawierają kurs literatury francuzkiej w języku francuzkim. W pierwszym tomie jest portret Mickiewicza, ryty na stali. Wyobrażony jest tak jak był w r. 1842. Za wzór służył dagerotyp z tej epoki. Zaledwo druk tych trzech tomów został skończony, pp.: Jung i Treuttel księgarze paryzcy, łącznie z p. Franciszkiem Wagnerem księgarzem z Lipska, kupili od wydawcy prawo udzielone mu na tę edycją od opieki małoletnich dzieci ś. p. Adama Mickiewicza. O ile nam wiadomo, prawo to tylko służy do przedaży w Europie, wyjąwszy Królestwa Polskiego i Cesarstwa Rossyjskiego, albowiem w tych krajach do lat dwóch jeszcze, posiada je księgarz warszawski Merzbach.

— Wyszła tu broszura in 12-mop. Juliana Klaczki o *Korrespondencyi Adama Mickiewicza*. Będzie to obraz charakteru moralnego wieszca, uzupełniający nowe wydanie pism jego, a zastępujący w części *Żywot*, którego napisanie kiedyś może nastąpić.

— Księgarz paryzki Amyot przedsięwziął w francuzkim języku publikacją dyplomatycznych, lub innego pochodzenia wiarygodnych dokumentów Polski dotyczących, między rokiem 1762 a 1862 wydanych. Liczba ich do 600 dochodzi, większą ich połowę dostarczył Leonard Chodźko. Całe dzieło nie mniej jak 70—80



arkuszy druku obejmujące, jeszcze w ciągu bieżącego roku ma opuścić prasę. Będzie to pożądanym uzupełnieniem do zbiorów dyplomatyczne akta obejmujących, w których Polska albo zupełnie pomijana, albo lekko traktowana była.

*Cieszyn.* Nakładem Karola Prochaski wyszły na r. 1862 dwa kalendarze polskie: *Kalendarz polski* str. 72, drukiem łacińskim i *Kalendarz cieszyński* o 60 str., drukiem gockim. Obok części kościelno-astronomicznych, zawiera pierwszy żywoty świętych, drugi zaś kilka artykułów do poznania natury, przepisy lekarskie i gospodarcze.

Wyszło tu także 5-te wydanie książeczki *Nauka religii. Chryśtusowej dla dzieci szkół ewangelickich.*

*Słowiańszczyzna południowa.* Ruch piśmienniczy pomiędzy południowemi Słowianami coraz się więcej wzmagą. W *Warazdynie* zacznie wychodzić od grudnia b. r. humorystyczno-satyryczne pismo czasowe pod napisem: *Podwarski jeź.*

W *Nowym Sadzie* z początkiem 1862 r., zamierza Iwanowicz wydawać pismo *Jawor.* Za nadesłanie najlepszej powieści w języku serbskim, któraby przynajmniej arkusz druku wynosiła, przeznaczył wydawca 50 złr. nagrody.

— Podajemy w całości prospekt na jedną z ważniejszych publikacyj, która się ukaże jeszcze w r. b.

„Nakładem Aleksandra Nowoleckiego księgarza w Warszawie, wyjdzie wkrótce z druku dzieło p. n.: *Węgry*, pod względem historycznym, literackim, artystycznym i społecznym, podług najlepszych i najnowszych źródeł, głównie podług dzieła wydanego przez towarzystwo pisarzy francuzkich pod kierunkiem madziarskiego historyka N. J. Boldenyi, wraz z poglądem na stosunki tego kraju z Polską, Austryą i innemi mocarstwami europejskimi, przekład z francuzkiego przez S. P. przypisami do historyi polskiej odnośnemi uzupełnił K. Wł. Wójcicki.

Dzieło ozdobione w tekście przeszło 60 artystycznie wykonanemi drzeworytami, które posłużą nietylko ku niezmierniej ozdobie dzieła, ale zarazem uwydatnią znakomitsze zdarzenia historyczne, portrety ludzi jakąkolwiek zasługą dla kraju swego wstawionych, ubiory narodowe i tym podobne przedmioty, których samo słowo nie wrażałoby dość silnie w umysły czytelników.

Całe dzieło składać się będzie z przeszło 30 arkuszy druku, w formacie wielkiej ósemki, na grubym pięknym welinowym papierze. Wyjdzie w 6 zeszytach stanowiących jeden obszerny tom, z nich pierwszy opuści prasę w połowie listopada r. b., ostatni w marcu 1862 r.

Przedpłata na całe dzieło wynosi złp. 40 (rs. 6) mogące się uiszczać, albo w całości z góry, albo w 3 ratach, to jest przy zapisaniu się złp. 13 gr. 10 (rs. 2); przy odbiorze 1 poszytu złp. 13 gr. 10 (rs. 2) i przy odbiorze 2 poszytu złp. 13 gr. 10. Na urzędach i stacyach pocztowych w Królestwie i w Cesarstwie cena wraz z kosztami przesyłki wynosić będzie złp. 43 gr. 10 (rs. 6 kop. 50), które z góry uiszczane być winny. Po wyjściu 3 zeszytu cena będzie znacznie podwyższona.

Pierwsi 400 prenumeratorów, otrzymują jako *praemium* ozdoby chromolitografowany tytuł, przedstawiający wszystkie herby Królestwa Węgierskiego”.

Dzieje narodu madziarskiego, jak również opis kraju i społeczność różnych warstw i plemion ziemi tę zamieszkujących nie mogą być obojętne dla nas. Ze zgonem ostatniego Piasta, króla kmiotków Kazimierza Wielkiego, krew jego po kądzieli, co dzierżyła tron madziarski, objęła władzę i berło polskie. Z tej krwi królowa Jadwiga oddaniem ręki Jagielle, której imię otoczone aureolą czci i wdzięcznej pamięci narodowej połączyła bratnim węzłem dwa narody, co z górą przez pięć wieków szły razem z rodzinną miłością w pochodzie historycznym.

Nie mamy dotąd w naszym języku ani dziejów Węgier, ani opisu dokładnego tej ziemi, na której tyle krwi wylano w obronie Chrystusowego krzyża. Węgry z jednej strony dzielną pierśią zastaniały Niemcy od nawału bisurmańskiej dzicy, gdy z drugiej Polacy bronili wstępu za graniczne kopce hufcom pogańskim i stanęli tarczą nieprzełamaną, zastaniając Europę od pożogi wojennej i spustoszenia. Pod cieniem szabli węgierskiej i proporców polskich inne ludy spoczywały bezpiecznie, rozwijając u siebie swobodnie sztuki, handel i przemysł.

Związki, jakie nas łączyły z Madziarami, sympatye wzajemne, wreszcie przewaga tego plemienia, jaką się odznacza wybitnie, podnosi wartość tej pracy, która poznaajamia nas tak z historią, jak i ludem węgierskim.

Dzieło, które w przekładzie na język ojczysty wyjdzie, pod główną redakcją pisarza węgierskiego dobrze znającego swój kraj i mieszkańców, zaleca wysoka wartość, i ta mu we Francji zjednała najpochlebniejsze przyjęcie. Przekład polski w ustępach właściwych uzupełnionym zostanie potrzebnymi przypisami i objaśnieniami z dziejów polskich, gdzie się te ściśle łączą z historią Węgier. Ostatni dziesięć lat tak obłity jeszcze na ziemi węgierskiej w wypadki, w wielkich ludzi i w pełne poświęcenia ich czyny, okres dziełem Boldeny'ego wcale nie objęty, skreślony biegiem piórem jednego z cenniejszych polskich pisarzy, stanowić będzie niemniej ważną i zajmującą stronę tej publikacji.

† Dnia 15 października r. b. zmarł we Francyi w Pau, w departamencie niższych Pirenei Dr. Jan Nepomucen Romanoński, współpracownik naszego pisma. Z powodu starganego pracą zdrowia, udał się przed kilku miesiącami do południowej Francyi, gdzie zgasł przedwcześnie. Jestto nieoceniona strata dla literatury historycznej naszej. Nie mogąc dla słabości zdrowia odlać się zawodowi nauczycielskiemu, do którego na uniwersytecie wrocławskim był się przysposobił, od lat kilku zajmował się pracą literacką w Kurniku w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, gdzie czerpiąc z bogatych skarbów w bibliotece hr. Działyńskich, ogłosił w r. b. *Otia Cornicensia*. Umieszczał także po rozmaitych czasopismach rozprawy z różnych ustępów dziejów polskich: między temi najcenniejszą o *Zakonie Dobrzyńców* wydrukowaliśmy w piśmie naszym. Był to badacz niepospolity, pisarz sumienny i z rzadkim zasobem nauki.

† D. 2 listopada zmarł w Liège Hieronim Martynowski professor uniwersytetu tamiecznego, wykładający kurs rachunku różniczkowego i całkowego. Mąż nauki wielkiej jak prawości, powszechny żal zgonem przedwczesnym obudza.

† Dnia 19 listopada o godzinie w pół do pierwszej po północy, opatrzony świętymi Sakramentami, uroczyście w obec duchowieństwa, przenióst się do wieczności, znany w kościele i kraju, pełen nauki i cnoty ś. p. ks. Jan Dekert, biskup halikarnaski, sufragan warszawski, dziekan kapituły metropolitalnej warszawskiej, proboszcz parafii św. Andrzeja przy kościele św. Karola Boromeusza w Warszawie, po przeżyciu wieku lat 75.

Urzędowe ogłoszenie o pogrzebie zmarłego biskupa, brzmi następująco:

„Jakkolwiek przepisami stanu wojennego zabronionem jest, ażeby oprócz krewnych nikt na pogrzebach nie znajdował się, wszakże p. o. Namiestnika Królestwa oceniając cnoty chrześcijańskie i położone zasługi w kraju ś. p. księdza Jana Dekerta, biskupa halikarnaskiego, sufragana warszawskiego, zatwierdzić raczył poniżej zamieszczony program pogrzebu i zarazem dozwolił prócz osób do orszaku należących, znajdować się mieszkańcom miasta chcącym uczcić pamięć zgasłego pasterza. W tym celu przygotowane zostały bilety, które zgłaszającym się wydawane będą, a mianowicie: a) w biurze warszaw. wojen. generał-gubernatora; b) warszawskiego ober-policmajstra; c) w biurze komissyi rządowej wyznań i oświecenia; d) i na miejscu przez osoby zajmujące się pogrzebem. Każdy więc znajdujący się na pogrzebie, na żądanie władzy policyjnej



okazać bilet jest obowiązany; w przeciwnym razie ani zastanawiać się na ulicy, ani łączyć się z orszakiem nie może, gdyż narazi się na nieprzyjemności, jakie ze stanu wojennego wynikają.

### PROGRAM POGRZEBU

ś. p. ks. Jana Dekerta,

*biskupa halikarnaskiego, sufragana warszawskiego, dziekana kapituły metropolitalnej warszawskiej, proboszcza parafii św. Andrzeja w Warszawie przy kościele św. Karola Boromeusza, zmarłego dnia 19 listopada 1861 r.*

1. Ciało ś. p. biskupa przez dni trzy, tojest od dnia 20 listopada godziny 10 z rana, do dnia 22 t. m. i r. godziny 12 w południe, wystawione będzie w sali głównej mieszkania zmarłego przy ulicy Chłodnej, obok kościoła św. Karola Boromeusza.

2. Przy ciele ś. p. biskupa, codziennie od godziny 8 rano do 4 z południa, śpiewany będzie psalterz przez kler.

3. W dniu 22 listopada o godzinie 12 w południe, nastąpi eksportacya zwłok ś. p. biskupa do kościoła na Powązkach ulicami: Elektoralską, Rymarską, Przejazd i Dziką. Orszak pogrzebowy postępować będzie w następującym porządku: a) sieroty i starcy Towarzystwa Dobroczynności; b) wychowañcy Instytutu Głuchoniemych; c) zgromadzenia zakonne żeńskie; d) zgromadzenia zakonne męskie; e) duchowieństwo świeckie; f) profesorowie akademii duchownej; g) kapituła metropolitalna; h) niesione będą ordery; i) celebrujący; k) karawan.

4. W dniu 23 od godziny 8 do 12 przed południem, odprawiać się będzie nabożeństwo żałobne w kościele powązkowskim przy zwłokach ś. p. biskupa zmarłego, poczem nastąpi pochowanie zwłok na cmentarzu Powązkowskim, w grobie murowanym."

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA wychodzić będzie regularnie i w roku następnym 1862. Cena prenumeraty pozostaje taż sama, t. j.: w Królestwie rub. sr. **9** rocznie, lub rub. sr. **4** kop. **50** półrocznie; w Cesarstwie zaś tylko rocznie, z przesyłką pocztową w kopertach rub. sr. **10**.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

**DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE**  
**w Obserwatoryum Astronomiczném**  
**WARSZAWSKIEM.**

***Październik, 1861.***









	m.	°.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	757.15	27	11.641
Najwyższy barometr dochodził d. 15 o g. 10 r.	767.27	28	4.128
Najniższy — — — d. 31 o g. 10 w.	741.75	27	4.814
Średnia dzienna zmiana barometru	2.66		1.178
Największa dzienna zmiana barometru d. 15 — 16 o g. 10 w. w czasie przejścia księżyca przez Równik	8.52		3.774
Średnia wysokość barometru jest większa o	7.43		3.292
od stanu normalnego z 35 lat poprzedzających	749.72	27	8.349
Średnia temperatura października wynosi	+ 7° 62 C.	+	6° 10 R.
i ta jest mniejsza o	0.70		0.56 "
od stanu normalnego z 35 lat poprzedzających	+ 8.32 "	+	6.66 "
Największe ciepło było d. 10 o g. 4 w.	+ 20.40 "	+	16.32 "
Największe zimno — d. 28 o g. 6 r.	- 3.70 "	-	2.96 "
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.29 "		1.83 "
Największa zmiana dzienna temperatury d. 28 — 29 o g. 10 r.	9.70 "		7.76 "

Termometrograf wskazał: Maximum: + 22° 12 C. = 17.7 R. d. 10 po połud.  
Minimum: — 4° 12 " = — 3.3 " d. 28 w nocy.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 80.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 6.843 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejsza o 3.5setnych od normalnej (84.2).

Ilość wody spadłej z deszczu co do wysokości wynosi 5.0 mil. czyli 2.115 lin. par.; mniejsza o 48.5 mil. czyli 21.585 lin. par. od ilości wody jaka zwykle u nas w październiku spada (53.5 mil. czyli 23.7 lin. par.).

Stan elektryczności atmosferycznej co do jej natężenia średni miesięczny jest 24.4 stopni; największe natężenie siły elektrycznej dochodziło: 50 stopni d. 29 o godz. 10 rano.

Dni pogodnych było 15, napółpogodnych 11, pochmurnych 5.

Dni deszczu 1 (d. 31).

— mgły 13 (d. 3, 4, 5, 8, 11, 12, 18, 19, 24, 28, 29, 30, 31).

Wiatrów mocnych 6 1 W., 4 PdW. 1 Pd).

Wiatr panujący Południowo-Wschodni, częste także były Północno-Wschodnie.

Październik r. b. prawie ciągle pogodny i nie zwykle suchy, najwyraźniej przedstawiał cechę naszej jesieni zwykle pogodnej i najmniej zmianom powietrza podległej. Począwszy od d. 25 września aż do końca października panowała ciągle susza i dopiero w dniu ostatnim padal deszcz nieznaczny. W żadnym z 36 lat poprzednich, miesiąc ten nie był tak pogodny i suchy jak w r. b.; wprawdzie noc i poranki, osobliwie w drugiej połowie miesiąca były chłodne, a nawet mroźne, ale za to około południa powietrze było ciepłe i łagodne jakby w porze letniej; wiatr południowo-wschodni prawie ciągle panujący, sprowadzał tak pogodny i suchy stan powietrza. Średnia temperatura całego miesiąca jest takaż sama jak w roku 1839 to jest 6.1 stop. R. Najcieplejsze dni były: d. 2, 3, 4, 6, 9, 10, 11, 12, 14; najzimniejsze d. 16, 17, 22, 25, 26, 27. Barometr przy ciągłej prawie pogodzie utrzymywał się wysoko; największą wysokość barometru i największą jego dzienną zmianą przypadała dnia 15 w czasie przejścia księżyca przez równik niebieski. Powietrze podczas dnia było suche, z rana tylko i w nocy panowały mgły. Pod względem stanu nieba miesiąc ten odznaczał się niezwykłą pogodą, albowiem w stanie normalnym stosunek dni pogodnych i pochmurnych jest jak 5:9:17; w r. b. stosunek tychże dni jest jak 15:11:5; to jest trzy razy więcej było dni pogodnych niż zwykle.

Plamy na słońcu od d. 1 do 5 pokazywały się dość liczne, następnie liczba ich znacznie się zmniejszyła; w drugiej znowu połowie miesiąca były liczne.

Dnia 11 o g. 8 $\frac{1}{2}$ , wieczorem koło białe otaczało księżyc.

Średnia wysokość wody na rzece Wiśle ..... stóp 1 cali 11.4 n.m. polsk.

Wysokość wody największa dochodziła d. 1..... stóp 2 " 10 " "

" " najmniejsza " d. 27, 28, 29, 30 i 31 stóp 1 " 7 " "

W tym miesiącu podobnie jak w poprzednich, przesyłano telegrafem elektrycznym do St. Petersburga, postrzeżenia meteorologiczne czynione w Obserwatorium Astronomicznym Warszawskiem, co dzień o godzinie 8 rano.

## SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

z R. 1861.

### *Materyały historyczne.*

	Stron.
Ziemie Tacytowych i Strabonowych Swewów, w etnograficznej wycieczce śledzone przez <i>Henryka Suheckiego</i> .....	513

### *Biografia.*

Życie i prace naukowe Jana Purkynie'go doktora medycyny i filozofii. Napisał <i>Janusz Ferd. Nowakowski</i> .....	123, 376
Wspomnienie ś. p. Antoniego Hanna, przez <i>Józefa Belzę</i> .....	191

### *Statystyka.*

Zakłady naukowe w W. Ks. Poznańskim, Prusach Zachodnich i Wschodnich i Szlązku. Przez <i>J. J.</i> .....	709
--	-----

## Literatura.

	Stron.
Edgar Allan Poe i jego nowelle, przez <i>Felicjana Faleńskiego</i> .....	1
Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. „Siostra Filomena” powieść, przez Juliusza Goncourt. — „Jak trzeba wspierać sztuki.” przez Ludwika Viardot. — „Wyprawa sycylijska,” przez Maxyma Du Camp.— Tom XIX „Konsulatu i Cesarstwa.”.....	158
Studia w Polsce nad literaturą grecką w czterech przeszłych wiekach i przekłady tragików na język polski, przez <i>Zygmunta Węclewskiego</i> .	178
Mowy pogrzebowej Peryklesa, kilku wstępniemi uwagami poprzedzony przekład <i>A. Cywińskiego</i> .....	281
Pogadanka z Mumią.....	303
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Thiersa tom XIX Historii Konsulatu i Cesarstwa. — „Starożytne i nowożytne Grecji” przez Marcellus’a. — „Wiadomości o hrabinie Du Barry” przez Emila Cantrel.— List Jana Jakóba Rousseau do Lamartina.— Wiadomości literackie.....	356
Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. <i>La fin d’un Monde</i> , studjum historyczne Jules-Jauina. — <i>Pisarze i poeci nowocześni</i> , przez p. Taillandier.— Ostatnia powieść pani Georges Sand.— <i>En fumant</i> , Karra.— <i>Paris s’amuse</i> Verona — <i>L’Isthme de Darien</i> , przez p. Puydt.— <i>Studjum demokracji amerykańskiej</i> , Witt’a.— <i>L’Esprit des Grecs</i> , przez p. Morel.— <i>Alcesta</i> , tragedia Eurypidesa z muzyką Gluck’a.— Projekt hodowania gąbek i żółwi na wybrzeżach francuzkich.....	586
Porwanie do Maëlstromu.....	609

## Dramat.

Czarnoksiężnik. Dramat Kalderona de la Barka w trzech aktach, przełożył z hiszpańskiego <i>Bolesław Wiktor</i> .....	45
Hernani. Dramat w pięciu aktach Wiktora Hugo.....	321, 526

## Sztuki piękne.

O pierwszem zawiązku wystawy Towarzystwa zachęty sztuk pięknych i obrazach obecnie na niej się znajdujących, przez <i>Ludwika Buszarda</i> ....	631
---	-----

## Rozbiory.

Dziela Ludwika Osńskiego profesora literatury w uniwersytecie warszawskim, członka Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk. Warszawa. 1861. Przez <i>K. Wł. Wójcickiego</i> .....	198
Śmieciński. Powieść szlachecko-ukraińska, przez Aleksandra Grozę. Żytomierz. 1860 r.....	207
Rozbitek. Powieść Zygmunta Kaczkowskiego. Wilno. 1860 r.....	208
Duch-pieśń, przez A. J. Gorzałczyńskiego. Kijów, 1860 r.....	211



	Stron.
Opowiadania Kurennego, powieść przez Michała Grabowskiego.....	213
Dzieje Starego i Nowego Testamentu, krótko zebrane dla dzieci. Wydanie drugie, przejrzone i poprawione przez ks. Waleryana Serwatowskiego, autora wykładu Pisma Świętego i wielu innych dzieł, członka Towarzystwa naukowego krakowskiego, z 10 rycinami kolorowanymi. Warszawa. 1861 r.....	214
Rocznik koła towarzyskiego w Poznaniu na rok 1861. Poznań.....	214
Pamiętka z Czerniakowa przez Jana Warmińskiego. Warszawa. 1861 r...	215
Przewodnik naukowy w Paryżu dla młodzieży polskiej. 1860 r.....	215
Abecadło, rysował W. Gerson. Warszawa. 1860 r.....	221
Portrety Nie-Van-Dyka. Lwów. 1861 r.....	221
O Ruchu muzycznym.....	222
Gdzie idziemy?.....	223
Kilka słów o teatrze.....	226
Uwagi nad dziełem: Juliana Bartoszewicza Historia literatury polskiej potoczny sposobem opowiedziana. Warszawa. 1861. Przez <i>Michała Balińskiego</i> . . . . .	413
Wspomnienie o życiu i pismach księdza Karola Antoniewicza, przez ks. Ignacego Polkowskiego. Warszawa. 1861. Przez <i>K. Wł. Wójcickiego</i> . . . . .	456
Szandor Kowacz, szkic przez Teodora Tomasza Jeża. Wilno. 1861.....	460
Porządni ludzie. Komedia w 5 aktach, wierszem. Jana Chęcińskiego. Warszawa. 1861.....	463
Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy, przez J. I. Kraszewskiego, wydane w Paryżu. 1861. . . . .	465
Przyjaciel zdrowia.....	467
Podobieństwo i różnica języka polskiego z ruskim, czyli wyraźniej z ruskim, objawionym w elementarzu wydanym w Wiedniu 1857 roku. Przez <i>Feliksa Żochowskiego</i> .....	658
Gawędy. Walerego Wielogłowskiego. Kraków. 1859.—Społeczeństwo dzisiejsze w Obrazach. Zeszyt I. Kraków. 1859. Przez <i>T. W.</i> .....	671
Polska w Pieśni: Wojna Ołbrzymów, Wyszymir, Dwunastu wojewodów, przez Deotymę. Przez <i>F. S. D.</i> .....	683
Opisanie hydrograficzno-statystyczne Dźwiny Zachodniej, oraz ryb w niej żyjących, przez Adama hr. Platęra, z dodaniem Mappy. Wilno. 1861. Przez <i>W. Taczanowskiego</i> .....	699
O stowarzyszeniach lekarskich prowincjonalnych. Lwów. 1861.—Program topografii lekarskiej przyjęty przez Towarzystwo lekarskie podolskie za osnowę swych badań topograficznych, przez Adryana Baranieckiego, lekarza z Podola. Lwów. 1861. Przez <i>W. Siekaczyńskiego</i> . . . . .	701
Powiatki ludowe przez Eleonorę Ziemięcką, z rysunkami litografowanymi. Warszawa. 1860.....	706

### Wiadomości z nauk.

O mijocenicznym gipsach i marglach w południowo-zachodnich stronach Królestwa Polskiego, napisał <i>Ludwik Zejszner</i> .....	230, 472, 715
---	---------------

## Korrespondencya.

	Stron.
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>J. Łukaszewicza</i> .....	734
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Fr. hr. Skarbka</i> .....	736
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od Cesarsko-Królewskiej Warszawskiej Medyko-Chirurgicznej Akademii.....	737
<i>Kronika bibliograficzna</i> .....	246, 488, 738
Wiadomości literackie.....	255, 495, 746
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem :	
za miesiąc sierpień r. b. ....	277
— — wrzesień r. b. ....	509
— — październik r. b. ....	769

